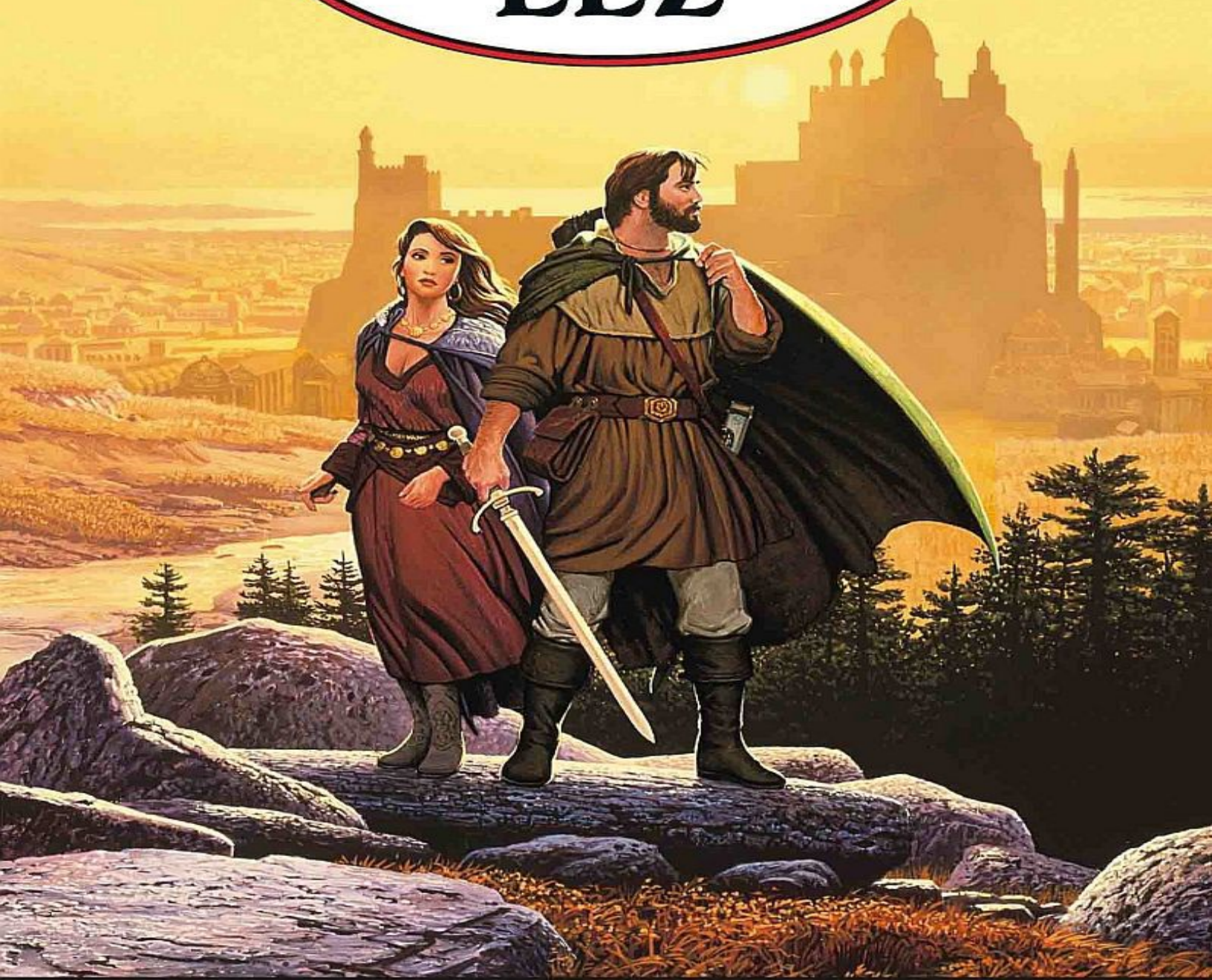


Fantasy

KAMIEŃ ŁEZ



TERRY GOODKIND

Terry Goodkind

Kamień Łez

Tom II serii

Przełożyła Lucyna Targosz

Dom Wydawniczy REBIS

Dla moich rodziców, Natalie i Leo

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować mojemu wydawcy, Jamesowi Frenkelowi, za to, że domagał się ode mnie najlepszego i nie zadowalał się niczym mniejszym; mojemu brytyjskiemu wydawcy, Caroline Oakley, za wsparcie i słowa zachęty; moim przyjaciółom, Bonnie Moretto i Donaldowi Schassbergerowi MD, za cenne rady, a także Keithowi Parkinsonowi za znakomitą okładkę.

ROZDZIAŁ 1

Rachel mocniej przytuliła lalkę i wpatrzyła się w ciemnego stwora, który przyglądał się jej z krzaków. Prawdę mówiąc - podejrzewała, że się jej przyglądał. Nie wiedziała tego na pewno, bo oczy bestii były równie ciemne jak cała reszta i tylko czasem złociście połyskiwały, odbijając światło. Dziewczynka widziała już przedtem leśne zwierzęta: króliki, szopy, wiewiórki i jeszcze inne, lecz ten stwór był od nich większy. Był tak duży jak ona sama, a może i większy. Niedźwiedzie były ciemne. Rachel zastanawiała się, czy to aby nie niedźwiedź.

Poza tym to nie był przecież prawdziwy las, bo rósł pod dachem pałacu, w jednym z pomieszczeń olbrzymiej budowli. Rachel nigdy wcześniej nie była w takim wewnętrznym lesie. Czy żyją tu takie same zwierzęta jak w prawdziwym?

Dziewczynka na pewno by się wystraszyła, gdyby nie obecność Chase'a. Wiedziała, że przy nim jest bezpieczna. Chase to najdzielniejszy ze znanych Rachel mężczyzn. Ale i tak trochę się bała. Strażnik powiedział małej, że jeszcze nigdy nie widział dziewczynki tak dzielnej jak ona. Toteż Rachel nie chciała, żeby pomyślał, że się wystraszyła jakiegoś sporego królika.

Bo może to i był tylko spory, siedzący na kamieniu królik. Ale króliki mają długie uszy. Więc może to jednak niedźwiedź. Dziewczynka wsunęła do buzi nóżkę lalki.

Rachel odwróciła się i popatrzyła w dół, wzdłuż dróżki - ponad ładnymi kwiatami, niskimi murkami i zieloną trawą - na Chase'a, rozmawiającego z Zeddem, tym czarodziejem. Stali obaj przy kamiennym stole, przyglądali się szkatułom i zastanawiali, co z nimi zrobić. Rachel cieszyła się, że nie dostał ich ten paskudny Rahl Posępny i że okrutnik już nigdy nikogo nie skrzywdzi.

Dziewczynka obejrzała się, sprawdzając, czy ciemny stwór nie podszedł bliżej. Zniknął. Rozejrzała się, lecz nigdzie go nie dostrzegła.

- Gdzie się podział, Saro? - szepnęła.

Lalka nie odpowiedziała. Rachel przygryzła stopkę Sary i ruszyła ku strażnikowi granicy. Chętnie by pobiegła, ale nie chciała, żeby Chase pomyślał, iż się wystraszyła; ona, taka dzielna. Przecież powiedział, że jest dzielną dziewczynką, i bardzo była zadowolona z tej pochwały. Mała zerkała

przez ramię, lecz nigdzie nie spostrzegła ciemnego stwora. Pewno mieszkał w jakiejś norze i tam się teraz schronił. Bardzo chciała pobiec, jednak nie zrobiła tego.

Dziewczynka dotarła wreszcie do strażnika i przytuliła się do jego nogi. Chase rozmawiał z Zeddem, a Rachel wiedziała, że niegrzecznie jest przerywać rozmowę, więc ssała stopkę lalki i czekała, aż skończą.

- A co by się stało, gdybyś po prostu opuścił wieko? - spytał Chase czarodzieja.

- Skąd niby mam to wiedzieć!? - Zedd wyrzucił w górę kościste ramiona, przyglądził siwe włosy, ale i tak sterczało kilka niesfornych kosmyków. - Wiem, czym są szkatuły Ordenu, lecz to wcale nie znaczy, że mam pojęcie, co z nimi teraz zrobić, zwłaszcza kiedy Rahl otworzył jedną z nich. I magia Ordenu zabiła go za to. Mogła zniszczyć świat. Może zginąłbym, gdybym zamknął szkatułę? A może stałoby się coś jeszcze gorszego?

- Nie możemy ich przecież tak zostawić, nieprawdaż? - westchnął Chase.
- Chyba powinniśmy coś z nimi zrobić?

Czarodziej zmarszczył brwi. Wpatrywał się w szkatuły i zastanawiał. Przez chwilę panowała cisza. Rachel pociągnęła strażnika za rękaw i Chase spojrzał na nią.

- Chase...

- Chase? Przecież wyjaśniłem ci zasady. - Wsparł się pod boki i zachmurzył twarz, udając gniew, a mała chichotała i mocniej tuliła się do niego. - Dopiero od kilku tygodni jesteś moją córką, a już łamiesz zasady! Mówiłem ci, że masz się do mnie zwracać „ojcze”. Żadnemu z moich dzieci nie wolno mówić do mnie „Chase”. Rozumiesz?

- Tak, Ch... ojcze. - Rachel uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Strażnik przewrócił oczami i potrząsnął głową. Zwichrzył czuprynę Rachel.

- O co chodzi?

- Tam, wśród drzew, jest jakieś duże zwierzę. Pewno niedźwiedź albo i coś gorszego. Powinieneś dobrać miecza i sprawdzić, co to.

- Niedźwiedź! - Chase zaśmiał się. - Tutaj? - Znów się roześmiał. - To wewnętrzny pałacowy ogród, Rachel. W takich ogrodach nie ma niedźwiedzi. To musiał być jakiś cień. Światło płata tu różne figle.

- Raczej nie, Ch... ojcze. - Dziewczynka potrząsnęła główką. - To mnie obserwowało.

Chase się uśmiechnął, zwichrzył jej włoski i wielką dłonią przytulił główkę Rachel do swojej nogi.

- No to zostań przy mnie i ten stwór nie będzie cię już niepokoił.

Mała przygryzła stopkę Sary i potakująco skinęła głową. Dotknięcie wielkiej dłoni strażnika uspokoiło ją, więc znów spojrzała między drzewa.

Ciemny potwór, niemal skryty za jednym z obrośniętych pnączami murków, przyskoczył bliżej. Dziewczynka mocniej przygryzła stopkę Sary i pisnęła cicho, zerkając na Chase'a. Akurat wskazywał na szkatuły.

- A cóż to za kamień, a może klejnot? Wypadł ze szkatuły?

- Tak - potwierdził Zedd. - Ale nie powiem, co to, dopóki się nie upewnię. A przynajmniej nie powiem tego głośno.

- On jest coraz bliżej, ojciec - jęknęła Rachel.

- No dobrze. - Chase spojrzał na dziewczynkę. - Obserwuj to coś dla mnie. - I znów rzekł do Zedda: - Dlaczego nie chcesz powiedzieć? Sądzisz, że ma to coś wspólnego z ewentualnym rozdarciem zasłony zaświatów?

Czarodziej zmarszczył brwi, pocierając równocześnie kościstymi palcami gładką brodę i patrząc na czarny klejnot leżący przed otwartą szkatułą.

- Tego się właśnie boję.

Rachel rzuciła okiem na murek, żeby sprawdzić, gdzie jest ów stwór. Zadrżała, widząc wysuwające się z za krawędzi ręce. Był dużo bliżej. I to nie były ręce, a szpony. Długie, zakrzywione szpony. Spojrzała na strażnika, na broń, którą był obwieszony, by się upewnić, iż mu wystarczy oręża. Chase miał za pasem noże, mnóstwo noży, z za ramienia sterczał mu miecz, u pasa wisiał topór i maczugi nabijane ostrymi szpikulcami, a przez plecy przewiesił łuk. Rachel miała nadzieję, że to wystarczy.

Cała ta broń odstraszała ludzi, lecz nie robiła żadnego wrażenia na potworze - był coraz bliżej. A czarodziej nie miał nawet noża. Odziany był w skromną, brązową szatę. I okropnie chudy. Wcale nie tak wielki jak Chase. Ale czarodzieje znają czary. Może jego zaklęcia odstraszą intruza.

Magia! Rachel przypomniała sobie ogniową pałeczkę, którą dostała od czarodzieja Gillera. Sięgnęła do kieszeni i zacisnęła paluszki na magicznym patyczku. Może Chase będzie potrzebował pomocy. Rachel nie pozwoli, żeby ten stwór zranił jej nowego ojca. Będzie dzielna.

- Czy to niebezpieczne?

- Jeśli to jest to, o czym myślę - Zedd spojrzał na strażnika - i jeżeli się dostanie w niepowołane ręce, to słowo „niebezpieczne” będzie o wiele za słabe.

- No to wrzucmy to do jakiejś głębokiej jamy lub zniszczmy.

- Nie. Może się nam przyda.

- A gdybyśmy to ukryli?

- O tym właśnie myślę. Lecz gdzie? Trzeba się nad tym dobrze zastanowić. Najpierw udam się z Adie do Aydindril, wspólnie zbadamy przepowiednie i dopiero potem zdecyduję, co uczynić z kamieniem i ze szkatułami.

- A co przedtem? Zanim będziesz wiedział?

Rachel obejrzała się na mrocznego stwora. Znów był bliżej, tuż za pobliskim murkiem. Oparł na nim szpony, uniósł łeb i spojrzał dziewczynce w oczy. Wyszczrzył się do niej w uśmiechu, ukazując długie i ostre zębiska. Wstrzymała oddech. Ramiona potwora dygotały. Śmiał się. Przerazona Rachel szeroko otworzyła oczy, słyszała szum własnej krwi.

- Ojczy... - pisnęła cichutko.

Chase nawet na nią nie spojrzał. Po prostują uciszył. Stwór przeskoczył przez murek i opadł na ziemię, wciąż spoglądając na Rachel i rechocząc. Błyszczące ślepia łypnęły na Chase'a i Zedda. Zasyczał, znów się zaśmiał i przygarbił.

Dziewczynka pociągnęła strażnika za nogawkę.

- Ojczy... to się zbliża - wykrztusiła z trudem.

- Dobrze, dobrze, mała. Dalej nie wiem, Zeddzie...

Ciemny potwór z wrzaskiem wyskoczył na otwartą przestrzeń. Gnał tak szybko, że wyglądał jak smuga czerni. Rachel krzyknęła. Chase obrócił się; w tym momencie stwór uderzył. Szpony śmignęły w powietrzu. Strażnik upadł, a napastnik skoczył ku Zeddowi. Czarodziej uniósł ramiona; z palców strzelały błyskawice, odbijały się od mrocznej istoty i uderzały w ziemię, wzbijając kurz i rozrzucając odłamki kamieni. Monstrum powaliło Zedda na ziemię.

Bestia zaśmiała się dziko i skoczyła na Chase'a, sięgającego po wiszący u pasa topór. Szpony znów spadły na strażnika. Rachel wrzasnęła. Jeszcze nigdy nie widziała tak szybkiego stworzenia. Z przerażeniem patrzyła, jak rani jej ojca. Z ohydny rechotem wyrwało mu z dłoni topór i szarpało

Chase'a pazurami. Dziewczynka złapała ogniową pałeczkę, przyskoczyła do stwora i przytknęła do jego pleców.

- Zapal to dla mnie! - wykrzyknęła magiczną formułkę.

Mroczne monstrum stanęło w płomieniach. Z przeraźliwym wrzaskiem okręciło się ku Rachel. Szeroko rozwarło paszczę, kłapało zębiskami, całe w ogniu. Znów się zaśmiało, ale nie tak, jak się śmieją ludzie, kiedy ich coś rozbawi. Ten rechot wywołał u dziewczynki gęsią skórkę. Stwór skurczył się i płonąc, ruszył ku cofającej się przed nim Rachel.

Chase rzucił jedną z nabijanych ostrzami maczug. Wbiła się stworowi w plecy. Bestia obejrzała się na strażnika, zaśmiała i wyszarpnęła sobie maczugę z pleców. Zawróciła i znów szła ku strażnikowi.

Zedd zerwał się gwałtownie. Z jego palców strzelił ogień i okrył stwora jeszcze większym płomieniem. Tylko zarechotał. Płomienie zniknęły. Ciało potwora dymiło, lecz wyglądało tak samo jak przedtem - ogień go nie tknął. Prawdę powiedziawszy, jeszcze zanim Rachel go podpaliła, wyglądał jak zwęglony.

Pokrwawiony Chase poderwał się na nogi. Rachel patrzyła nań ze łzami w oczach. Strażnik zdjął z pleców łuk i strzelił. Grot utkwiał w piersi stwora. Ów zaśmiał się straszliwie i wyszarpnął strzałę. Chase odrzucił łuk, dobył miecza, rzucił się ku bestii i ciął. Istota poruszała się tak szybko, że strażnik chybił. Zedd uczynił coś, co powaliło ją na murawę. Chase stanął przed Rachel; jedną ręką przytrzymał dziewczynkę za sobą, w drugiej dzierżył miecz. Stwór poderwał się na nogi, łypiąc na nich. - Idźcie! - ryknął Zedd. - Nie biegnijcie! Nie stójcie! Chase złapał małą za rękę i zaczął się cofać. Czarodziej również. Ciemny potwór przestał się śmiać i przyglądał się im, mrugając ślepiami. Strażnik ciężko dyszał. Jego kolczugę i skórzaną bluzę znaczyły ślady szponów. Rachel, widząc rany ojca, z trudem powstrzymywała płacz. Krew, spływająca mu z ramienia, plamiła dłoń dziewczynki. Mała nie chciała, żeby cierpiał. Bardzo go kochała. Mocniej ścisnęła Sarę i ogniową pałeczkę. Zedd przystanął.

- Nie zatrzymuj się - polecił strażnikowi.

Stwór spojrział na stojącego bez ruchu czarodzieja i wyszczerzył w uśmiechu ostre zębiska. Znów się ohydnie zaśmiał i skoczył ku Zeddowi jak błyskawica.

Czarodziej wyrzucił ramiona w górę. Ziemia i trawa uniosły się wokół

bestii, ona także. Błękitne błyskawice uderzyły w mroczną istotę. Ryknęła śmiechem i głucho uderzyła o ziemię; dymiła.

Wydarzyło się coś jeszcze. Rachel nie wiedziała co, lecz monstrum zamarło z wyciągniętymi ramionami, jakby próbowało biec i nie mogło oderwać stóp od murawy. Zedd zatoczył ramionami koła i znów wyrzucił je w górę. Ziemia zadrżała jak przy uderzeniu pioruna, stwora ugodziły strzały ognia. Istota zaśmiała się tylko, coś trzasnęło niczym łamane drewno, znów ruszyła ku czarodziejowi.

Zedd zaczął iść. Potwór stanął i zmarszczył brwi. Czarodziej zatrzymał się, uniósł ramiona. Kula ognia pomknęła ku biegnącej do Zedda bestii. Mknęła z przeraźliwym rykiem, coraz większa i większa. Uderzyła z siłą, od której zadrżała ziemia. Błękitne i złote światło było tak jaskrawe, że cofająca się Rachel musiała zmrużyć oczy. Kula ognia płonęła z rykiem.

Dymiący stwór wyszedł z ognia, trzęsąc się ze śmiechu. Płomienie rozwiały się małymi iskierkami. - O kurna! - wyrwało się Zeddowi. Zaczął się cofać.

Rachel nie wiedziała, co to znaczy „kurna”, ale Chase zwrócił kiedyś czarodziejowi uwagę, żeby nie używał takich słów przy niewinnych dzieciach. I tego też nie rozumiała. Siwe, zmierzwiłe włosy Zedda sterczały na wszystkie strony.

Rachel i Chase cofali się dróżką wśród drzew, byli już blisko wrót ogrodu. Czarodziej szedł ku nim tyłem, a stwór przyglądał się temu. Zedd przystanął i bestia znów ruszyła. Przed mroczną istotą pojawiła się ściana płomieni. Słychać było huk i łoskot, w powietrzu unosiła się woń dyrnu. Potwór przeszedł przez ogień. Zedd wywołał kolejną ścianę ognia. Bestia znów przeszła przez nią bez szwanku.

Czarodziej ponownie zaczął iść i monstrum zatrzymało się obok niskiego, porośniętego pnączami murku; obserwowało. Grube pnącza zsunęły się z murku i wydłużyły. Oplotły, omotały mrocznego stwora. Zedd był już blisko strażnika i Rachel.

- I co teraz? - spytał Chase.

- Przekonajmy się, czy zdołamy go tu zamknąć - odparł zmęczony czarodziej.

Pnącza przygniatały bestię do ziemi; szarpała je ostrymi pazurami. Trójka uciekinierów minęła wielkie wrota. Chase i Zedd zatrzasnęli je.

Z wnętrza dobiegł ryk i głośny trzask. Złote drzwi wybrzuszyły się, powalając czarodzieja na ziemię. Chase wsparł dłonie o oba skrzydła wrót i naparł na nie całym ciężarem, gdy stwór dobijał się od wewnątrz. Szarpał je pazurami, wrzeszczał, a metalowe wrota jęczały i trzeszczały pod uderzeniami jego szponów. Chase spływał potem i krwią. Zedd poderwał się i pomógł strażnikowi przytrzymać podwoje.

W szparze pomiędzy skrzydłami wrót ukazał się pazur i przesunął się w dół, drugi pojawił się od spodu. Rachel słyszała rechot stwora. Chase stękał z wysiłku. Wrota skrzypiały i trzeszczały.

Czarodziej cofnął się, uniósł ręce, jakby napierał na powietrze. Trzaski ustały. Stwór zawył głośniej. Zedd złapał strażnika za rękaw.

- Uciekajcie.

- Czy to go powstrzyma? - spytał Chase, cofając się.

- Wątpię. Jeśli znów się na was rzuci, idźcie spokojnym krokiem. Ten, kto biegnie lub stoi, przyciąga jego uwagę. Powiedz to każdemu, kogo spotkasz.

- Co to za stwór, Zeddzie?

Rozległ się łomot i w skrzydle wrót pojawiło się nowe wybrzuszenie. Złotą płytę przebiły czubki pazurów, krojąc ją jak noże. Rachel aż uszy bolały od tego trzasku i huku.

- Uciekajcie! Natychmiast!

Chase podniósł dziewczynkę i pobiegł przez westybul.

ROZDZIAŁ 2

Zedd patrzył na szpony szarpiące złote płyty wrót i machinalnie dotykał poprzez grubą tkaninę swej szaty tkwiącego w wewnętrznej kieszonce kamienia. Obejrzał się na niosącego Rachel strażnika granicy. Chase nie zdążył odejść zbyt daleko, kiedy jedno ze skrzydeł z okropnym łomotem zostało wyrwane z rarn. Potężne zawiasy puściły, jakby były z gliny.

Czarodziej w ostatniej chwili uskoczył, gdy stalowa, pokryta złotymi płytami połowa drzwi przeleciała przez westybul i łupnęła w granitową ścianę. Rozprysnęły się kamienne i metalowe odłamki. Zedd poderwał się i pobiegł.

Screeling wyskoczył z Ogrodu Życia. Wyglądał jak szkielet obciążony wysuszoną, szerniałą skórą. Jak trup przez lata palony słonecznym żarem. Białe kości sterczały przez porozdzieraną w walce skórę, lecz stworowi to nie przeszkadzało. Nie zwracał na to uwagi: był istotą z zaświatów i nie obchodziły go takie drobnostki. Nie miał w sobie ani kropli krwi. Pewno dałoby się go unieszkodliwić, gdyby został rozdarty lub posiekany na kawałki, ale poruszał się zbyt szybko, by ktoś zdołał go dosięgnąć. A magia mu najwyraźniej nie szkodziła. Był istotą podległą magii subtraktywnej, toteż bez żadnej szkody wchłaniał magię addytywną. Może magia subtraktywna pokonałaby screelinga, jednak Zedd nie był nią obdarzony. Przez ostatnie kilka tysięcy lat żaden czarodziej nie miał daru magii subtraktywnej. Niektórzy mieli skłonność - Rahl Posępny na przykład - lecz nikt nie miał daru.

Hm, moja magia nie powstrzyma tej istoty, dumiał Zedd. Przynajmniej nie wprost. A może by tak sposobem?

Czarodziej cofał się powoli, a screeling w oszołomieniu mrużył ślepie. Teraz, pomyślał Zedd, dopóki stoi bez ruchu.

Skupił się, zagęścił powietrze, tak by uniosło i utrzymało ciężkie wrota. Był zmęczony, więc wymagało to znacznego wysiłku. Siłą woli pchnął powietrze, a skrzydło wrót runęło stworowi na plecy, przygniatając go i wzbijając chmurę pyłu. Screeling zawył. Czarodziej nie wiedział, czy był to ryk bólu, czy złości.

Ciężkie wrota uniosły się, zsunęły się z nich odłamki kamieni. Screeling

podniósł je jedną szponiastą łapą i śmiał się; wokół szyi miał nadal okręcone pnącze, którym Zedd usiłował go udusić w ogrodzie.

- O kurna! - mruknął czarodziej. - Nic nie jest łatwe.

Znów się wycofywał. Wrota uderzyły o podłogę - to screeling wydostał się spod nich i ruszył za Zeddem. Zaczynał pojmować, że idący człowiek jest tą samą istotą, która stoi lub biegnie. Ten świat był dlań zupełnie obcy. Czarodziej musiał coś wymyślić, zanim stwór nauczy się czegoś jeszcze. Gdybyż tylko Zedd nie był tak zmęczony.

Chase schodził szerokimi marmurowymi schodami. Czarodziej szybkim krokiem za nim. Gdyby był pewien, iż screeling nie ściga ani strażnika, ani Rachel, wybrałby inną drogę i odciągnął od nich zagrożenie. Stwór mógł jednak pójść za nimi, a Zedd nie chciał, żeby Chase samotnie walczył z istotą z zaświatów.

Po schodach wchodzili kobieta i mężczyzna w białych szatach. Chase próbował ich zawrócić, ale bez powodzenia.

- Idźcie powoli! - wrzasnął do nich Zedd. - Nie biegnijcie! Zawróćcie, bo zginiecie!

Spojrzeli nań ze zdumieniem.

Screeling człapał ku schodom, szurając i drapiąc pazurami o marmur. Czarodziej słyszał jego zduszony, szarpiący nerwy rechot.

Para ludzi w białych szatach dostrzegła ciemnego stwora i skamieniała; szeroko otworzyli ze zdumienia błękitne oczy. Zedd popchnął ich, obrócił i zmusił do schodzenia po schodach. Nagle poderwali się i pognali w dół, po trzy stopnie naraz; białe szaty i złote włosy rozwiewiał pęd.

- Nie biegnijcie! - wrzasnęli chórem Zedd i Chase. Screeling wyprostował się na zakończonych pazurami łapach, gwałtowny ruch przyciągnął jego uwagę. Zarechotał i skoczył ku schodom. Czarodziej uderzył stwora w pierś powietrzną kulą, ale ten ledwo zwrócił na to uwagę. Wyrzwał za rzeźbioną balustradę i zobaczył biegnących ludzi. Zaśmiał się zgrzytliwie, przeskoczył przez poręcz i opadł dobre sześć metrów niżej, na biegnące, białe odziane postacie. Chase natychmiast zakrył Rachel twarz i zawrócił. Strażnik dobrze wiedział, co się stanie, a nic nie mógł na to poradzić. Zedd czekał nań u szczytu schodów.

- Szybko - powiedział. - Szybko, dopóki nie zwraca na nas uwagi. Poniżej zawrzała krótka szamotanina, rozległy się krzyki, które wkrótce umilkły.

Gromki, ohydny rechot zahuczał echem w przepastnej klatce schodowej. Krew trysnęła wysoko, plamiąc biały marmur niemal u stóp gnającego w górę schodów strażnika. Rachel mocno trzymała go za szyję i wtulała buzię w jego ramię. Nawet nie pisnęła.

Zedd był pełen podziwu dla małej. Jeszcze nigdy nie spotkał dziecka tak rozumnego jak Rachel. Była bystra. Bystra i odważna. Rozumiał, dlaczego Giller jej właśnie powierzył ostatnią szkatułę Ordenu, kiedy próbował ukryć puzderko przed Rahlem Posępnym. Metoda czarodziejów, pomyślał Zedd - wykorzystać ludzi do tego, co musi być zrobione. Biegli westybulem i zwolnili dopiero wtedy, gdy screeling pojawił się u szczytu schodów. Stwór wyszczerzył w uśmiechu okrwawione zębiska, martwe czarne oczy zalśniły na chwilę złościście we wpadającym przez wysokie, wąskie okno słonecznym blasku. Światło sprawiło, że skrzywił się z bólu. Zlizał krew ze szponów i skoczył za Zeddem i strażnikiem. Ruszyli innymi schodami - screeling za nimi. Czasem przystawał na chwilę, niepewny, czy to ich ma ścigać.

Chase jedną ręką przytrzymał Rachel, w drugiej dzierżył miecz. Zedd trzymał się pomiędzy nimi a screelingiem. Wycofywali się małym korytarzem. Stwór wspinał się na ściany, orząc pazurami gładki kamień i rozrywając gobeliny.

Screeling przewracał stojące pod ścianami bogato zdobione, trójnogie konsolki z orzechowego drewna, śmiał się i cieszył, słysząc brzęk kryształowych waz, rozbijających się na kamiennej posadzce. Woda rozlewała się, a kwiaty spadały na dywany. Screeling rozerwał na strzępy bezcenny, błękitno-złoty tanimurański kobierzec, ryknął śmiechem i wdrapał się po ścianie na sufit. Szedł nim niczym pająk, obserwując uciekinierów. - Jak on to robi? - szepnął Chase.

Zedd tylko potrząsnął głową. Dotarli do olbrzymiego głównego westybulu Pałacu Ludu. Strop składający się z czterodzielnych żebrowanych przęseł, wsparty na kolumnach, znajdował się dobre piętnaście metrów w górze.

Stwór nagle pomknął sufitem bocznego korytarza, z którego tamci już wyszli, i skoczył na uciekinierów.

Zedd posłał w stronę szybującej bestii strzałę ognia. Chybił: strzała trafiła w granitową ścianę i osmałiła ją.

Za to Chase tym razem trafił. Potężnym uderzeniem miecza odciął

screelingowi ramię. Stwór po raz pierwszy zawył z bólu, zachwiał się, zatoczył i śmignął za kolumnę z szarego, zielono żyłkowanego marmuru. Odcięte ramię leżało na posadzce, wijąc się i zaciskając dłoń.

Z głębi olbrzymiego westybulu nadbiegli żołnierze z mieczami w dłoniach. Szczęk oręża i zbroi odbijał się echem od wysokiego sklepienia, buty dudniły na płytach okalających sadzawkę modlitewną. D'haranscy wojownicy byli waleczni i groźni, tym groźniej więc wyglądali teraz, kiedy do pałacu wtargnął wróg.

Wzbudzili w Zeddzie przelotny lęk. Jeszcze przed paroma dniami zawlekliby go przed ówczesnego mistrza Rahla, na śmierć. Teraz byli lojalnymi stronnikami nowego mistrza Rahla - Richarda, wnuka Zedda.

Czarodziej zobaczył nadbiegających żołnierzy i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że westybul jest wypełniony ludźmi. Właśnie skończyły się popołudniowe modły. Screeling miał tylko jedno ramię, ale i tak groziło to krwawą łaźnią. Stwór mógłby zabić mnóstwo ludzi, zanim pomyśleliby o ucieczce. I jeszcze więcej, gdyby zaczęli uciekać. Trzeba ich wszystkich jak najszybciej stąd usunąć.

Żołnierze byli już obok Zedda, ich twarde, bystre oczy wypatrywały przyczyny zamieszania. Czarodziej obrócił się ku dowódcy, potężnie umięśnionemu mężczyźnie w skórzanym uniformie. Na jego lśniącym napierśniku widniała ozdobna litera „R”, znak domu Rahlów. Na przedramionach okrytych jedynie rękawami kolczugi było widać nacięcia świadczące o randze. Spod błyszczącego hełmu spojrzały na Zedda czujne niebieskie oczy.

- Co tu się dzieje? - spytał dowódca. - O co chodzi?

- Usuń tych ludzi z holu. Grozi im niebezpieczeństwo.

- Jestem żołnierzem, a nie jakimś cholernym pastuchem! - Tamten zdenerwował się, a twarz mu poczerwieniała.

- A pierwszym i najważniejszym obowiązkiem żołnierza jest obrona ludzi. - Zedd aż zgrzytnął zębami. - Jeśli nie usuniesz ich wszystkich z holu, dowódco, to już ja się postaram, żebyś został pastuchem.

Żołnierz zasalutował, kładąc pięść na sercu. Opanował się, gdy zdał sobie sprawę, z kim się sprzecza.

- Wedle rozkazu, czarodzieju Zoranderze - rzekł potulnie i wyładował gniew na swoich ludziach: - Wyrzucicie stąd wszystkich! Ale już! Rozwinąć

szuk! Oczyścić hol!

Żołnierze ustawili się w wachlarz i ruszyli, wypychając z holu wystraszonych ludzi. Zedd miał nadzieję, że zdołają usunąć wszystkich i że potem uda się im osaczyć screelinga i rozsiekać go na strzępy.

Wtem stwór niczym czarny cień wyskoczył zza kolumny i wpadł w stłoczoną grupę wypędzanych przez żołnierzy ludzi; wielu upadło. W holu rozległy się wrzaski, zawodzenia i ohydny rechot bestii.

Żołnierze rzucili się na potwora i cofnęli, okrwawieni. Ruszyły ku nim posiłki. Lecz w takim ścisku nie mogli się posłużyć mieczem ani toporem, a screeling torował sobie krwawą ścieżkę. Nie dbał, czy to zbrojny żołnierz, czy bezbronny człowiek - rozszarpał każdego, kto mu stanął na drodze.

- Kurczę blade! - zaklął Zedd i popatrzył na Chase'a. - Trzymaj się blisko mnie. Musimy go stąd odciągnąć. - Rozejrzał się. - O, tam. Sadzawka modlitewna.

Pobiegli ku kwadratowemu zbiornikowi wodnemu umieszczonemu pod otworem w dachu. Z góry wpadał snop słonecznego światła i na jednej z narożnych kolumn odbijał się falującym, nieregularnym wzorem. Wystająca z wody, położona z boku czarna skała unosiła dzwon modlitewny. W płytkiej wodzie mignęła pomarańczowa ryba, obojętna wobec krwawej jatki w holu.

Czarodziejowi zaczął świtać pewien pomysł. Screeling na pewno był odporny na ogień: nieco się tylko osmalił, kiedy spadł nań czarodziejski płomień. Zedd ogłuchł na docierające z holu jęki i krzyki i wyciągnął ręce nad wodę: zbierał jej ciepło, przygotowując do tego, co chciał uczynić. Tuż nad powierzchnią dostrzegał migotliwe fale ciepła. Utrzymywał narastający żar na granicy wybuchnięcia płomieniem.

- Kiedy screeling się tu zjawi - odezwał się do strażnika granicy - musimy go zepchnąć do wody.

Chase potaknął. Czarodziej był zadowolony, że strażnik nie należał do osób, które wciąż żądają wyjaśnień, i że nie marnował cennego czasu na pytania.

- Stań za mną - nakazał Chase Rachel, stawiając małą na podłodze.

Dziewczynka także nie zadawała zbędnych pytań. Skinęła potakująco główką i mocniej przytuliła lalkę. Zedd dostrzegł, że w drugiej ręczce ściska ogniową pałeczkę. Naprawdę odważna i zmyślna dziewczuszka. Czarodziej zwrócił się w stronę holu, ku tumultowi i wrzawie, uniósł dłoń i posłał języki

płomieni ku czarnemu stworowi. Żołnierze się cofnęli. Screeling wyprostował się i odwrócił, wypuszczając przy tym z zębisk oderwane komuś ramię. Dym buchnął z muśniętej płomieniem skóry stworu. Straszycło zarechotało urągliwie ku stojącemu przy sadzawce Zeddowi.

Żołnierze spychali ocalałych w głąb holu, choć tym razem ludzi nie trzeba było zachęcać do wycofywania się, Zedd posłał w kierunku screelinga toczące się po podłodze kule ognia. Ów odrzucał je na bok i rozpadały się na snopy iskier. Czarodziej wiedział, że ogień nie zrani stworu: po prostu chciał zwrócić na siebie jego uwagę. I udało mu się.

- Pamiętaj, do wody z nim - przypomniał Chase'owi.
- Chyba się nie zmartwisz, jeśli chlupnie już martwy?
- Nawet byłoby lepiej.

Screeling gnał ku nim, zgrzytając pazurami po kamiennej posadzce. Ciągnął za sobą smugę kamiennego pyłu i odłamków, zdzieranych w pędzie z posadzki. Zedd bił w stworu kulami zagęszczonego powietrza, rozpraszając tym jego uwagę i starając się na tyle przyhamować jego pęd, żeby wraz ze strażnikiem łatwiej mógł sobie poradzić ze straszycłem. To za każdym razem natychmiast się podrywało i pędziło ku nim. Chase ugiął lekko kolana, w garści trzymał maczugę wzmocnioną sześcioma ostrzami.

Screeling jednym niesamowitym susem spadł na Zedda, zanim ten zdołał go odepchnąć. Czarodziej upadł, tkając powietrzną sieć wiążącą łapę stworu, gdy kły monstrum sięgały już chciwie do jego gardła. Człowiek i bestia potoczyli się po podłodze. Kiedy screeling znalazł się na górze, Chase zdzielił go maczugą. Stwór okręcił się ku niemu i wtedy strażnik uderzył ponownie, strącając go z czarodzieja. Zedd usłyszał trzask pękających kości, lecz screeling zdawał się tego nie czuć. Wyrzucił ramię, podbił strażnikowi nogi, a gdy Chase padł na podłogę, wskoczył mu na pierś. Czarodziej starał się jak najszybciej pozbierać. Rachel przytknęła ogniową pałeczkę do pleców potwora, buchnęły płomienie. Zedd tymczasem zagęszczał powietrze, starając się zepchnąć bestię do wody, ale ta krzepko trzymała się strażnika. Wśród płomieni błyskały wściekle czarne ślepia, wykrzywione wargi. Chase uniósł oburącz maczugę i z całej siły trzasnął stworu w plecy. Uderzenie zmiotło screelinga do sadzawki. Buchnęły kłęby pary.

Zedd natychmiast zapalił powietrze nad powierzchnią wody, wykorzystując zawartą w niej energię. Czarodziejski płomień pozbawił wodę

całego ciepła. Sadzawka w mgnieniu oka zmieniła się w twarde lodowy blok ze screelingiem w środku. Ogień zużył całe ciepło i zgasł. Zapadła cisza, słychać było tylko jęki rannych.

Rachel przypadła do strażnika.

- Nic ci nie jest, Chase? - dopytywała się poprzez łyzy.

- Nic mi nie jest, mała - uspokajał ją, siadając tuląc dziewczynkę. Zedd widział, że wcale tak nie było.

- Usiądź na tamtej ławce, Chase - polecił. - Muszę się zająć rannymi i nie chcę, by oczy dziecka widziały, co się tam stało.

Czarodziej dobrze wiedział, że te słowa odniosą lepszy skutek niż namowy, aby strażnik siedział spokojnie, dopóki on, Zedd, nie będzie się mógł zająć jego ranami. Trochę się jednak zdziwił, iż Chase przystał na to bez żadnych protestów.

Nadbiegł dowódca z ośmioma żołnierzami. Kilku z nich odniosło rany, na metalowym napierśniku jednego widniały ślady pazurów stwora. Popatrzyli na zakutego w blok lodu screelinga.

- Dobra robota, czarodzieju Zoranderze. - Dowódca lekko skłonił głowę i uśmiechnął się z uznaniem. - Trochę ludzi przeżyło. Czy mógłbyś im jakoś pomóc?

- Obejrzę ich. Czy twoi żołnierze, dowódco, mogliby rozsiekać tego stwora, nim wymyśli, jak stopić lód?

- To on wciąż żyje!?

Zedd burknął potakująco i dodał:

- Im szybciej to zrobią, tym lepiej.

Żołnierze już odczepili od pasów topory o półksiężycowatych ostrzach, czekając na rozkaz. Dowódca kiwnął przyzwalająco głową i skoczyli na lód.

- Co to za stwór, czarodzieju Zoranderze? - spytał cicho dowódca. Zedd przeniósł wzrok na strażnika, który bacznie się im przysłuchiwał. Spojrzał mu prosto w oczy.

- To screeling.

Twarz Chase'a ani drgnęła, zresztą prawie nigdy nie reagował na to, co słyszał. Czarodziej znów patrzył na dowódcę. W szeroko otwartych, błękitnych oczach było zdumienie i strach.

- To screelingi grasują??? - wyszeptał. - Nie... nie żartuj sobie, czarodzieju Zoranderze.

Zedd wpatrywał się uważnie w twarz żołnierza. Dostrzegł blizny, których wcześniej nie zauważył, pozostałości walk na śmierć i życie. D'haranscy żołnierze rzadko walczyli inaczej. Ten człowiek nie zwykł okazywać strachu. Nawet w obliczu śmierci.

Czarodziej westchnął. Nie spał od kilku dni. Od czasu, kiedy bojówki próbowały pojmać Kahlan, a ona uwierzyła, że Richard nie żyje, wpadła w Con Dar, Krwawy Gniew, i zabiła napastników. Potem ona, Zedd i Chase szli przez trzy dni i trzy noce do Pałacu Ludu, żeby Kahlan mogła się zemścić. Nie można powstrzymać Spowiedniczki w Con Dar, w mocy starożytnej magii. Na koniec schwytano ich i odkryli, że Richard żyje. To było wczoraj, a zdawało się, iż wieki temu.

Rahl Posępny przez całą noc pracował nad uwolnieniem magii Ordenu z trzech szkatuł, a oni patrzyli na to bezsilnie. Dopiero tego ranka Rahl zginął, otworzywszy niewłaściwą szkatułę. Zabiło go pierwsze prawo magii, którym posłużył się Richard. Niezbity dowód na to, że miał dar - choć chłopak nie chciał w to wierzyć - bo tylko ktoś z wrodzonym darem mógł się posłużyć pierwszym prawem magii przeciwko takiemu czarnoksiężnikowi jak Rahl Posępny.

Zedd zerknął na żołnierzy rąbiących lód ze screelingiem.

- Twe imię, dowódco?

- Naczelną dowódca Trimack, Pierwsza Kompania Gwardii Pałacowej - padła dumna odpowiedź.

- Pierwsza Kompania? Co to takiego? Dowódca wyprostował się jeszcze dumniej.

- Otaczamy żelaznym pierścieniem samego mistrza Rahla, czarodzieju Zoranderze. Dwa tysiące gwardzistów gotowych umrzeć w jego obronie.

- Tuszę naczelną dowódca Trimacku, że zdajesz sobie sprawę, iż jedną z powinności wyższego oficera jest dźwiganie brzemienia wiedzy w samotności i milczeniu.

- Wiem to.

- Owym brzemieniem jest też świadomość, że ten stwór to screeling. Zamilcz o tym, przynajmniej na razie.

Trimack ciężko westchnął i potakująco skinął głową.

- Rozumiem. - Obejrzał się na leżących na posadzce ludzi. - A co z rannymi, czarodzieju Zoranderze?

Zedd szanował żołnierza troszczącego się o rannych cywili. Początkowe lekceważenie wynikało z poczucia obowiązku, nie z braku serca i gruboskórności. Wpojone zasady nakazywały najpierw odeprzeć atak.

Czarodziej ruszył z Trimackiem przez hol.

- Wiesz, że Rahl Posepny nie żyje?

- Tak. Byłem rankiem na wielkim dziedzińcu. Widziałem nowego lorda Rahla, zanim odleciał na czerwonym smoku.

- I będziesz służył Richardowi równie lojalnie jak jego poprzednikowi?

- Jest Rahlem, czyż nie?

- Tak, jest Rahlem. - I ma dar? - Tak.

- Więc będę. Będziemy, ja i moi ludzie. W razie potrzeby umrzemy w jego obronie.

- Może nie być łatwo służyć pod jego rozkazami. Jest twardy i uparty.

- Jak każdy Rahl.

Zedd nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- No i jest moim wnukiem, choć jeszcze o tym nie wie. Nawiasem mówiąc, nie ma też pojęcia, że jest Rahlem. Czyli mistrzem Rahlem. Richardowi może się to wcale nie spodobać. Lecz pewnego dnia będziesz mu potrzebny. Byłbym wdzięczny, naczelny dowódco Trimacku, gdybyś był dla niego cierpliwy i wyrozumiały.

- Umrę zań, jeśli będzie trzeba - rzekł Trimack, bacznie obserwując hol, jak zawsze gotów na spotkanie z niebezpieczeństwem.

- Na początku bardzo mu się przyda twoja cierpliwość i wyrozumiałość. On myśli, że jest zwykłym leśnym przewodnikiem i nikim więcej. Urodzenie i charakter czynią zeń władcę, ale on się uważa za zwykłego człowieka. Nie chce mieć nic wspólnego z władzą, a ona mimo to została mu dana.

- Zgoda. - Trimack uśmiechnął się leciutko. Zatrzymał się i popatrzył na czarodzieja. - Jestem d'haranskim żołnierzem. Służę mistrzowi Rahlowi. Ale i mistrz Rahl musi służyć nam. Ja to żelazo przeciwko żelazu. On powinien być magią przeciw magii. On będzie żyć bez mego miecza, lecz my zginiemy bez jego magii. A teraz powiedz mi, co porabia screeling poza zaświatami.

- Twój poprzedni lord Rahl - odparł z westchnieniem Zedd - bawił się groźną magią. Magią zaświatów. Rozdarł zasłonę pomiędzy nimi a naszym światem.

- Skończony głupiec. Powinien nas ochraniać, a nie wydawać wiecznemu

mrokowi. Ktoś go powinien zabić.

- I ktoś go zabił. Richard.

- A więc lord Rahl już nam oddał przysługę - uśmiechnął się Trimack.

- Kilka dni temu uznalibyście to za zdradę.

- Jeszcze większą zdradą byłoby wydanie żywych umarłym.

- Wczoraj zabiłbyś Richarda, gdyby chciał zranić Rahla Posepnego. -
Wczoraj i on by mnie zabił, żeby dopaść tamtego. Lecz dzisiaj się
wspomagamy. Tylko głupiec ma oczy na plecach.

Zedd potaknął i uśmiechnął się z uznaniem, a potem nachylił się ku
dowódcy.

- Jeśli zasłona nie zostanie scalona i Opiekun się tu przedostanie, to
wszystkich nas czeka ten sam los. Zginie nie tylko D'Hara, zginie cały nasz
świat. Przepowiednie mówią, że jedynie Richardowi może się udać scalenie
zasłony. Pamiętaj o tym, gdy coś mu zagrozi.

- Żelazo przeciw żelazu - powtórzył z lodowatym spojrzeniem Trimack. -
Żeby on mógł być magią przeciwko magii.

- Świetnie to ująłeś.

ROZDZIAŁ 3

Zedd ogarnął spojrzeniem rannych i umierających. Cała posadzka była zalana krwią. Ból przeszył serce czarodzieja. Dokonał tego tylko jeden screeling. Co będzie, jeśli się ich pojawi więcej?

- Poślij po uzdrowicieli, dowódco. Sam nie zdołam wszystkim pomóc.

- Już posłałem, czarodzieju Zoranderze.

Zedd skinął głową i zaczął badać rannych. Żołnierze Pierwszej Kompanii odciągali na bok zmarłych i pokrzepiali rannych. Czarodziej dotykał skroni poranionych ludzi - badał ich obrażenia, wyczuwał, z czym poradzi sobie uzdrowiciel, a co wymaga większej mocy. Dotknął skroni młodego żołnierza, duszącego się własną krwią. Zedd stłumił jęk, spojrzał w dół i zobaczył żebra sterczące z wybitej pięścią screelinga dziury w pancerzu. Żołądek czarodzieja zaczął wyczyniać dziwne harce. Trimack uklęknął przy drugim boku rannego. Zedd popatrzył znacząco na dowódcę, tamten dał znak, że rozumie. Chłopakowi pozostało ledwie kilka chwil życia.

- Idź do innych - powiedział spokojnie Trimack. - Ja z nim zostanę.

Czarodziej odszedł, a dowódca ścisnął dłoń chłopaka w swoich i pokrzepiał go pocieszającymi słowami.

Nadbiegły trzy kobiety w długich brązowych spódnicach z mnóstwem kieszeni. Ze stoickim spokojem przyjęły to, co zobaczyły. Wydobyły z obszernych kieszeni bandażę i kataplazmy, zaczęły opatrywać rannych i poić ich wywarami. Mogły zaradzić większości obrażeń, na niektóre rany i czarodziej nie znał leku. Zedd poprosił najsrożej wyglądającą spośród trzech kobiet, żeby obejrzała Chase'a. Strażnik siedział na ławce z brodą opuszczoną na piersi. Rachel przycupnęła na posadzce i tuliła się do jego nogi.

Czarodziej i dwie uzdrowicielki szli pomiędzy ludźmi, pomagając tym, którym jeszcze można było pomóc. Jedna z kobiet przywołała Zedda. Nachylała się nad niewiastą w średnim wieku, która usiłowała ją odpędzić.

- Lepiej zajmij się innymi - protestowała słabym głosem. - Mnie nic nie jest. Po prostu muszę odpocząć. Pomagaj innym.

Zedd uklęknął przy leżącej i poczuł pod kolanami krew przesiąkającą przez szaty. Odepchnęła jego dłoń. Drugą rękę przyciskała do rozdartego

brzucha.

- Zostaw mnie, proszę. Inni bardziej potrzebują pomocy. Czarodziej spojrział ze zdumieniem na poszarzałą twarz. Na czole kobiety widniał błękitny kamień, zawieszony na okalającym głowę delikatnym złotym łańcuszku. Błękit kamienia tak odpowiadał barwie oczu rannej, iż zdawało się, że ta ma troje oczu. Zedd wiedział, co to za kamień, zastanawiał się tylko, czy istotnie jest prawdziwy, czy to aby nie czcza błyskotka. Od bardzo, bardzo dawna nie widział kogoś, kto nosiłby kamień jako symbol swych talentów. Ktoś tak młody jak ona nie mógł wiedzieć, co oznacza ów klejnot.

- Czarodziej Zeddicus Zu'l Zorander - przedstawił się. - A kimże ty jesteś, dziecko, żeby mi rozkazywać?

- Wybacz mi, czarodzieju... - Dziewczyna jeszcze bardziej pobladła.

Zedd położył palce na czole rannej i uspokoiła się. Ból był tak wielki, że mimo woli cofnął rękę. Z wysiłkiem powstrzymywał łzy. Teraz już nie miał wątpliwości: dziewczyna nosiła kamień jako symbol swego daru. Kamień koloru jej oczu, noszony na czole jako trzecie oko, symbolizował „wewnętrzny wzrok” dziewczyny.

Czyjaś dłoń szarpała szatę Zedda.

- Mną się najpierw zajmij, czarodzieju! - nakazał cierpki głos zza jego pleców. Odwrócił się i zobaczył twarz odpowiadającą głosowi, a może i paskudniejszą. - Jestem lady Ordith Condatith de Dackidvich, z rodu Burgalass. Ta dziewczyna jest tylko moją służką. Gdyby była tak szybka, jak powinna, to bym tak nie cierpiała! Mogłam zginąć przez jej powolność! Najpierw zajmij się mną! Lada chwila mogę umrzeć!!!

Czarodziej doskonale widział, że owe „śmiertelne” rany to tylko banalne draśnięcia.

- Wybacz mi, o pani - rzekł dwornie i położył dłoń na jej czole. Tak jak myślał: mocno potłuczone żebra, słabiej nogi oraz ranka na ramieniu wymagająca ledwo kilka szwów.

- I cóż? - Zacisnęła dłoń na srebrzystych koronkach u szyi. - Czarodzieje! - burknęła. - Żaden z nich pożytek! A ci gwardziści! Chyba posnęli na posterunkach! Już lord Rahl się o tym dowie! I cóż? Jak moje rany?

- Nie wiem, czy zdołam ci pomóc, o pani.

- Co takiego!?! - Złapała szatę Zedda tuż przy szyi i potężnie szarpnęła. - Lepiej się postaraj! Postaraj się albo lord Rahl każe ci ściąć głowę i zatknąć ją

na włóczy! I jakież pożytek z twojej nędznej magii!?

- Zrobię, co w mojej mocy, o pani.

Zdecydowanym szarpnięciem rozdarł maleńkie pęknięcie w rękawie ciemnej atlasowej sukni i położył dłoń na ramieniu kobiety noszącej błękitny kamień. Jęknęła, kiedy powstrzymał częściowo ból i dodał jej sił. Zaczęła spokojniej oddychać. Zedd jeszcze przez chwilę nie cofał ręki, posługując się kojącą magią.

- Moja szata! - wrzasnęła lady Ordith. - Zniszczyłeś ją!

- Wybacz mi ten czyn, o pani. Nie mogłem przecież pozwolić, żeby twa rana się zaogniła. Chyba lepiej stracić szatę niż ramię. Nieprawdaż?

- Hramm, cóż, tak...

- Powinno wystarczyć dziesięć, piętnaście szwów - powiedział czarodziej do krzepkiej uzdrowicielki, pochylającej się nad obiema kobietami.

- Jestem pewna, że masz rację, czarodzieju Zoranderze - odparła spokojnie, spojrzawszy najpierw twardymi szaroniebieskimi oczami na niewielką ranę. Jedynie błysk w oku świadczył, że właściwie pojęła intencje Zedda.

- Co takiego!?! Chcesz, żeby ta baba wykonała za ciebie twoją robotę!?

- Jestem już za stary, o pani. Ręce mi się okropnie trzęsą, poza tym nigdy nie umiałem zbyt dobrze szyć. Lękam się, że przyniosę więcej szkody niż pożytku, ale skoro nalegasz...

- Nie - parsknęła lady Ordith. - Niech ta baba to zrobi.

- Wedle twego życzenia. - Zedd spojrzał na uzdrowicielkę, ta zachowała spokój, ale się zarumieniła. - Obawiam się, iż tylko jedno może złagodzić ból, jaki sprawiają dostojnej damie pozostałe rany. Czy znajdziesz w którejś ze swoich kieszeni korzeń akacji?

- Tak, ale... - stropiła się.

- To dobrze - przerwał jej. - Sądzę, że dwie kostki wystarczą.

- Dwie??? - zdumiała się uzdrowicielka.

- Nie waż się żałować mi leku! - wrzasnęła lady Ordith. - Jeśli masz go za mało, to najwyżej zabraknie dla kogoś mniej ważnego niż ja!!! Musisz mi dać pełną dawkę!!!

- Ależ oczywiście. - Zedd zerknął na uzdrowicielkę. - Podaj dostojnej damie całą dawkę. Trzy kostki. Rozdrobnione.

- Rozdrobnione? - spytała cicho, ze zdumienia otwierając szeroko oczy.

Czarodziej mrugnął i kiwnął głową. Kąciki ust uzdrowicielki uniosły się w tłumionym uśmiechu.

Korzeń akacji uśmierzał ból niewielkich ran, ale należało go połykać w całości. Wystarczała jedna mała kostka. Trzy - i to rozdrobnione - wprost przenicują lady Ordith. Szanowna damulka spędzi większość tygodnia w wygodce.

- Jak się nazywasz, moja droga? - spytał Zedd. - Kelley Hallick.

- Czy są tu jeszcze inni, Kelley - spytał z ciężkim westchnieniem czarodziej - którymi powinnaś się zająć?

- Nie, panie. Middea i Annalee kończą już opatrywanie rannych.

- Zabierz więc, proszę, lady Ordith tam, gdzie... gdzie mogłabyś się nią spokojnie zająć.

Kelley zerknęła na kobietę, na której ramieniu Zedd nadal trzymał dłoń, na jej rozszarpany brzuch; spojrzała czarodziejowi w oczy.

- Oczywiście, czarodzieju Zoranderze. Wyglądasz na bardzo utrudzonego. Zechciej potem przyjść do mnie, zaparzę ci lubczykową herbatkę. - Leciutki uśmieszek uniósł kąciki ust uzdrowicielki.

Zedd również nie zdołał powściągnąć uśmiechu. Taka herbatka nie tylko wzmacniała siły spracowanym ludziom, ale i dodawała wigoru kochankom. Błysk w oczach Kelley świadczył, że należała do koneserów lubczykowej herbatki.

- Może i skorzystam z zaproszenia. - Zedd mrugnął do niej. W innych okolicznościach z pewnością przyjąłby tę propozycję, bo Kelley była ładną kobietą, ale teraz jego myśli zaprzętały inne sprawy.

- Jak się nazywa twoja służka, o pani?

- Jebra Bevinvier. Nic z niej dobrego. To leniwa i bezwstydna dziewczucha.

- Już nie będziesz musiała tolerować jej niefachowych usług. Czeka ją długie leczenie, a ty, o pani, wkrótce opuścisz pałac.

- Opuścę pałac? Co masz na myśli? - Dumnie zadarła nos. - Wcale nie mam takiego zamiaru.

- Pałac przestał być miejscem bezpiecznym dla tak dostojnej damy jak ty. Dla własnego dobra powinnaś wyjechać. Sama mówiłaś, że strażnicy głównie śpią na posterunkach. Musisz stąd wyjechać.

- Hmm, po prostu nie mam zamiaru...

- Kelley - Zedd spojrzał znacząco na uzdrowicielkę - zaprowadź lady

Ordith tam, gdzie będziesz się nią mogła odpowiednio zająć.

Kelley zdecydowanie odciągnęła lady Ordith niczym tobolek, zanim ta zdążyła bardziej zaszkodzić. Zedd uśmiechnął się ciepło do Jebry i odgarnął rudoblond włosy z jej twarzy. Dziewczyna wciąż przyciskała dłoń do bolącej rany. Czarodziej prawie całkowicie powstrzymał krwotok, ale to nie uratowałoby Jebry. Należało jeszcze wtłoczyć do środka to, co się wydostało na zewnątrz.

- Dziękuję, panie. Czuję się teraz o wiele lepiej. Pomóż mi się podnieść, a odejdę.

- Leż spokojnie, dziecko - powiedział delikatnie Zedd. - Musimy porozmawiać.

Spojrzeniem nakazał innym, żeby się cofnęli. Żołnierzom Pierwszej Kompanii wystarczyło to jedno spojrzenie - natychmiast odsunęli gapiów.

- Umrę, prawda? - Wargi jej drżały, szybciej oddychała.

- Nie chcę cię okłamywać, dziecko. Z trudem bym cię uleczył i wtedy, gdybym był wypoczęty. A nie możesz czekać, aż odpocznę. Umrzesz, jeśli nic nie zrobię. Jeżeli zaś zaryzykuję, mogę przyspieszyć twój koniec.

- Ile czasu mi pozostało?

- Może parę godzin, jeżeli nic nie zrobię. Może i cała noc. Mógłbym uśmierzyć ból i złagodzić dzięki temu ostatnie chwile.

- Nigdy nie sądziłam, że chcę tak żyć. - Łzy spłynęły z kącików zamkniętych oczu Jebry.

- Przez ten Kamień Jasnowidzenia?

- To ty wiesz! - Szeroko otwarła oczy. - Rozpoznałeś kamień!? Wiesz, kim jestem?

- Wiem. Dawno minęły czasy, kiedy ludzie rozpoznawali widzących dzięki kamieniom, ale ja jestem stary. Tak stary, że pamiętam te czasy. To dlatego nie chciałaś, bym ci pomógł? Bałaś się, co poczuję, kiedy cię dotknę?

- Tak - potaknęła słabo. - Ale nagle stwierdziłam, że chcę żyć.

- Właśnie to chciałem wiedzieć, dziecko. - Zedd poklepał Jebre po ramieniu. - Nie martw się o mnie. Jestem czarodziejem pierwszego stopnia, nie jakimś tam nowicjuszem.

- Pierwszego stopnia? - zdziwiła się. - Nie wiedziałam, że jeszcze jakiś pozostał. Nie marnuj sił dla tak mało ważnej istoty jak ja, panie.

- To tylko trochę bólu - uśmiechnął się czarodziej. - A, mam na imię Zedd.

Jebra milczała przez chwilę, potem zacisnęła dłoń na ramieniu Zedda.

- Jeśli mogę wybrać, Zeddie... to wybieram życie.

Starzec uśmiechnął się i pogładził zimne, spocone czoło dziewczyny.

- Przrzekam, że zrobię, co w mojej mocy, by cię uratować. - Kiwnęła głową, czepiając się jego ramienia, czepiając się swojej ostatniej nadziei. - Czy możesz stłumić ból towarzyszący wizjom?

Jebra przygryzła wargę i przecząco potrząsnęła głową, łzy znów popłynęły z jej oczu.

- Niestety - szepnęła ledwo dosłyszalnie. - Może nie powinienes...

- Ciiiicho, dziecino.

Zedd głęboko zaczerpnął powietrza i położył dłoń na ramieniu Jebry, przytrzymującym wypływające z rany trzewia. Drugą dłonią delikatnie zasłonił oczy dziewczyny. Tu nie wystarczało działanie z zewnątrz. Umysł cierpiącej musiał naprawić szkody. To mogło ją zabić. I jego, Zedda, także. Czarodziej zebrał siły i otworzył swój umysł. Uderzenie bólu zaparło mu dech w piersiach. Bał się marnować energię na głębokie oddechy. Zacisnął zęby, mięśnie miał jak z kamienia. A przecież nie dotknął jeszcze bólu płynącego z rany. Najpierw musiał sobie poradzić z bolesnością wizji Jebry, dopiero potem zaś będzie się mógł zająć tamtą sprawą.

Udręka wtrąciła umysł Zedda w rzekę czerni. Przemykały cienie wizji dziewczyny. Czarodziej ledwo mógł się domyślać ich znaczenia, za to aż nazbyt ostro odczuwał związany z nimi ból. Łzy płynęły spod zaciśniętych powiek Zedda, drżał, walcząc z nawałą udręki i rozpacz. Wiedział, że nie może dać się im ponieść, bo zginie. Coraz głębiej i głębiej wnikał w umysł Jebry, atakowany przez jej wizje. Mroczne myśli czające się tuż pod granicą świadomości czepiały się woli czarodzieja, usiłując wciągnąć go w otchłanie beznadziejnej rezygnacji. Falą szaleńczej udręki wypłynęły jego bolesne wspomnienia i połączyły się z dręczącymi wspomnieniami dziewczyny. Gdyby nie doświadczenie i zdecydowanie, Zedd straciłby zmysły i wolę, zapadłby się w niezgłębioną otchłań smutku i żalości.

W końcu czarodziej dotarł do spokojnego, białego płomienia, do centrum jestestwa Jebry. Odczuł stosunkowo niewielki ból płynący z groźnej rany. Rzeczywistość rzadko potrafi dorównać imaginacji, a w wyobraźni ból był prawdziwy.

Spokojne jądro umysłu otaczała lodowata czerń wiecznej nocy. Coraz

bardziej zaciskała się wokół słabnącego życia, pragnąc na zawsze zdmuchnąć jego płomień, zniszczyć ducha dziewczyny. Zedd odepchnął ów czarny całun, moc czarodzieja ożywiła i wzmocniła ducha Jebry. Cienie cofnęły się przed potęgą magii addytywnej. Jej siła, działająca dla dobra każdej żywej istoty, sprawiła, że trzewia rannej wróciły na miejsce, które wyznaczył im Stwórca. Zedd nie ośmielił się poświęcić ani odrobiny energii na stłumienie bólu. Jebra wygięła się w łuk. Jęczała w udręce. Czarodziej czuł cierpienie dziewczyny. Drżał w tej samej męce. Kiedy skończyło się to, co najtrudniejsze, co wykraczało poza jego rozumienie, Zedd ukoił ból widzącej. Opadła na podłogę z westchnieniem ulgi, którą poczuł i czarodziej.

Teraz Zedd mógł dokończyć dzieła uzdrowienia. Mocą magii zetknął brzegi rany: warstwa po warstwie, aż do skóry, jakby ciało nigdy nie zostało przecięte. Skończone. Pozostawało wydostać się z umysłu dziewczyny. Było to równie niebezpieczne, jak wniknięcie weń, a czarodziej stracił niemal całą siłę, oddając ją Jebrze. Nie marnował czasu na martwienie się tym, pozwolił się unieść strumieniowi udreki.

Zedd spędził w umyśle Jebry niemal godzinę.

Kłęczał teraz obok dziewczyny i łkał. Ona już siedziała. Oplotła czarodzieja ramionami, tuliła jego skołataną głowę do swego ramienia. Zedd uświadomił sobie, że wydostał się z umysłu Jebry, i natychmiast wziął się w garść. Rozejrzał się wokół. Żołnierze odsunęli wszystkich odpowiednio daleko; nikt niczego nie słyszał. Nikt nie powinien być w pobliżu czarodzieja, kiedy ten czyni czary zmuszające ludzi do takich wrzasków.

- No i już po wszystkim - rzekł godnie, powoli dochodząc do siebie. To nie było nawet takie straszne. Sądzę, że już wszystko w porządku.

Jebra zaśmiała się cicho i mocno uściskała Zedda,

- A mówiono mi, iż czarodziej nie potrafiłby uleczyć widzącej.

- Jakiś tam czarodziej na pewno by tego nie dokonał. - Zedd zdołał znacząco unieść kościsty palec. - Lecz jestem Zeddicus Zu'l Zorander, czarodziej pierwszego stopnia!

- Czym ci się odwdzięczę? - Jebra otarła łzę z policzka.

- Nie mam nic wartościowego, tylko to. - Odpięła złoty łańcuszek okalający jej włosy i złożyła go na dłoni czarodzieja. - Przyjmij, proszę, ten skromny dar.

Zedd popatrzył na łańcuszek z błękitnym kamieniem.

- To bardzo miły gest, Jebro Bevinvier. Jestem wzruszony i zaszczycony. - Poczuł leciutkie ukłucie winy, że podsunał jej ów pomysł. - To piękny łańcuszek, przyjmuję go jako wyraz wdzięczności. Użył swej mocy, wyjął kamień z oprawy i oddał dziewczynie; tylko łańcuszek był Zeddowi potrzebny.

- Sam łańcuszek wystarczy, zatrzymaj kamień. Jest twój. Jebra zamknęła klejnot w dłoni, skinęła głową i cmoknęła Zedda w policzek. Przyjął to z uśmiechem.

- Powinnaś teraz wypocząć, kochanie. Zużyłem sporo twoich sił, żeby cię uratować. Kilka dni w łóżku i będziesz jak nowo narodzona.

- Coś mi się zdaje, iż nie tylko mnie wyleczyłeś, ale i pozbawiłeś pracy. Muszę poszukać jakiejś posady, żeby się wyżywić - zerknęła na zakrwawione rozdarcie zielonej sukni - i ubrać.

- Czemu nosiłaś kamień, będąc służącą lady Ordith?

- Niewielu wie, co on oznacza. Lady Ordith nie ma o tym pojęcia. Za to jej mąż, diuk, tak. Chciał wykorzystać moje zdolności, ale jego żona nigdy by się nie zgodziła na zatrudnienie jakiejś kobiety. Umieścił mnie więc wśród jej służących. Wiem, że to nie honor dla widzącej działać w ukryciu, lecz w Burgalass wielu cierpi głód. Rodzina wiedziała o moich zdolnościach i odrzuciła mnie, obawiając się tego, co wizje mogły o niej powiedzieć. Babka dała mi swój kamień, zanim zmarła, mówiąc, iż będzie zaszczycona, jeśli zechcę go nosić. - Jebra przycisnęła dłoń z kamieniem do policzka i szepnęła: - Dziękuję, że go nie przyjąłeś. Że zrozumiałeś.

- Więc ten diuk - Zedd znów poczuł ukłucie winy - wziął cię na dwór i korzystał z twego daru?

- Tak. Ze dwanaście lat temu. Ponieważ zostałam osobistą dworką lady Ordith, uczestniczyłam w każdej prawie uroczystości czy spotkaniu. Diuk przychodził potem do mnie i mówiłam mu, co widziałam o jego przeciwnikach. Większość swojej potęgi i bogactw osiągnął dzięki mojej pomocy. Nikt oprócz niego nie wie, czym jest Kamień Jasnowidzenia. On zaś gardził tymi, którzy zatracili dawną wiedzę. Drwił z ich ignorancji, każąc mi jawnie nosić kamień. Chciał też, żebym miała oko na lady Ordith. No i nie udało się jej owdowieć. Pociesza się, znikając z pałacu diuka, kiedy tylko zdoła. Lady nie będzie po mnie płakać; jej mąż pociągał za sznurki i dbał o to, by mnie nie zwolniła.

- Czemu lady nie podobały się twoje usługi? - Zedd się uśmiechnął. - Czyżbyś istotnie była leniwa i źle wychowana?

- Nie. - Jebra odwzajemniła uśmiech, który pogłębił delikatne zmarszczki w kącikach jej oczu. - To wizje. Czasami... sam zresztą to odczułeś, kiedy leczyłeś moją ranę. Mam tylko nadzieję, że nie dręczyły cię tak jak mnie. Niekiedy nie mogłam usługiwać lady Ordith.

- Hmm, skoro jesteś teraz bez pracy - Zedd potarł policzek - to do czasu wyzdrowienia będziesz w Pałacu Ludu na prawach gościa. Mam tu jakieś wpływy. - Pomyślał sobie, że to szczerą prawdą. Wyciągnął z kieszeni sakiewkę i potrząsnął nią. - Oto twoja zapłata, jeśli cię przekonam do nowego pracodawcy.

Jebra zważyła sakiewkę w dłoni.

- Jeżeli to miedź, przyjmę ją wyłącznie za pracę dla ciebie. - Uśmiechnęła się i przysunęła bliżej. Oczy miała wesołe i gniewne zarazem. - Jeśli zaś to srebro, to o wiele go za dużo.

- To złoto - rzekł z powagą Zedd, a ona zamrugnęła, zaskoczona. - Ale to nie dla mnie będziesz głównie pracować.

- A dla kogo? - Wpatrywała się chwilę w wypełnioną kruszcem sakiewkę i znów spojrzała na czarodzieja.

- Dla Richarda. Nowego mistrza Rahla.

- Nie. - Jebra zbladła i gwałtownie potrząsnęła głową, kuląc ramiona, po czym wcisnęła sakiewkę w dłoń Zedda. - Nie. - Zbladła jeszcze bardziej i znów potrząsnęła głową. - Nie. Przykro mi, lecz nie. Nie chcę dlań pracować. Nie.

- On nie jest złym człowiekiem. - Czarodziej zmarszczył brwi. - Ma dobre serce.

- Wiem.

- Znasz go?

- Widziałam go wczoraj. - Spuściła oczy. - Pierwszego dnia zimy. - I miałaś wizję, kiedy go zobaczyłaś?

- Tak - odparła słabo, przez łzy.

- Powiedz mi, co widziałaś, Jebro. Każdy szczegół. Proszę cię oto. To bardzo ważne.

Spojrzała spod oka na czarodzieja, potem znów opuściła wzrok i zagryzła wargi.

- To było wczoraj, podczas porannych modłów. Poszłam na plac, kiedy zabrzmiał dzwon, i on tam stał, zapatrzony w sadzawkę. Zwróciłam nań uwagę, bo miał u pasa miecz Poszukiwacza. Był wysoki i przystojny. I nie klęczał jak pozostali. Stał tam i patrzył na zbierających się, a nasze oczy spotkały się na moment. Emanująca zeń moc zaparła mi dech w piersiach. Widząca może wyczuć niektóre rodzaje mocy, na przykład wrodzony dar. - Jebra popatrzyła na Zedda. - Już wcześniej widziałam tych z darem. Widziałam ich aury; były podobne do twojej: ciepłe, serdeczne i łagodne. Twoja aura jest piękna. Jego była zupełnie inna - było w niej to, co w twojej, ale i jeszcze coś.

- Gwałtowność - wtrącił Zedd. - On jest Poszukiwaczem.

- Pewno tak - przytaknęła - sama nie wiem. Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałam. Mogę ci powiedzieć, jak to odczułam. Zdawało mi się, że zanurzono mi twarz w lodowatej wodzie, zanim zdołałam zaczerpnąć powietrza. Czasem nie mam żadnej wizji na czyjś temat, czasem mam. Nigdy nie wiem, kiedy wizja się pojawi. Strapieni i nieszczęśliwi silniej emanują aurę i swoje myśli. Jego błyszczała jak błyskawice w czasie burzy. Bardzo cierpiał. Niczym złapane w pułapkę zwierzątko, które usiłuje odgryźć sobie łapę, żeby się uwolnić. Dręczył się, że musi zdradzić przyjaciół, by ich ocalić. Nie pojmowałam tego. Nie miało to dla mnie żadnego sensu. W jego myślach był też obraz kobiety, bardzo pięknej długowłosej kobiety. Może Spowiedniczki, choć nie wiem, jak to możliwe. Tak się o nią zadreślał, iż dotknęłam twarzy, bo zdawało mi się, że jego aura pali mi skórę. Nawet gdybym nie była na modłach, jego uderka i tak powaliłaby mnie na kolana. Już miałam doń podbiec i go pocieszyć, kiedy zjawily się dwie Mord-Sith i zobaczyły, że stoi, a nie klęczy. Nie bał się ich, lecz ukląkł, rozpaczając nad zdradą, do której był zmuszony. Z ulgą przyjął to, co zrobił; sądziłam, że to już koniec. Dostrzegając tylko aurę, cieszyłam się, że to nie były prawdziwe wizje. Nie chciałabym mieć wizji na temat tego człowieka. - Jebra zapatrzyła się przed siebie, najwyraźniej zatopiona we wspomnieniach o tamtej chwili.

- Ale to nie był koniec?

- Nie. Sądziłam, że najgorsze już minęło, ale to, co widziałam, nie dorównywało temu, co nadeszło. - Przez chwilę tarła dłonie. - Zanosiliśmy modły do Ojczulka Rahla, kiedy ów młodzieniec nagle się poderwał.

Uśmiechał się. Rozwiązał trapiącą go zagadkę. Ostatni fragment wśliznął się na właściwe miejsce. Twarz kobiety i miłość do niej przepoily jego aurę. - Jebra potrząsnęła głową. - Współczuję osobie, która kiedykolwiek spróbuje wsunąć choć czubek palca pomiędzy tych dwoje. Straci palec, dłoń, a może i całe ramię, zanim zdąży pomyśleć, żeby się cofnąć.

- Ona ma na imię Kahlan - uśmiechnął się Zedd. - A co się stało potem?

- Potem zaczęły się wizje. - Dziewczyna skrzyżowała ręce na brzuchu. - Widziałam, jak zabija jakiegoś mężczyznę, choć nie wiem, w jaki sposób. Nie było krwi, lecz go zabił. Potem zobaczyłam tego, który miał zginąć: Rahla Posępnego. I dostrzegłam, że to jego ojciec, ale że on o tym nie wie. Wtedy pojęłam, kim jest: synem Rahla Posępnego, a wkrótce nowym mistrzem Rahlem. Aura mieniła się straszhliwymi sprzecznościami. Z chłopca król.

- Rahl Posępny chciał rządzić światem dzięki przerażającej magii. Richard zapobiegł temu, ocalił całe rzesze od tortur i śmierci. Zabicie kogoś to straszhliwy czyn, ale zabijając Rahla, ocalił od śmierci wielu ludzi. Myślę, że na pewno nie to tak cię przeraziło w Richardzie.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Chodzi o to, co stało się potem. Chciał odejść, lecz dwie Mord-Sith zastąpiły mu drogę. Jedna z nich groziła mu Agielem. Zdziwiło mnie, że i on miał zawieszzonego na szyi Agiela, czerwonego jak i tamte. Zacisnął na nim dłoń. Powiedział Mord-Sith, że je zabije, jeżeli go nie przepuszczą. W jego aurze błysnęła taka gwałtowność, taka chęć użycia siły, iż na moment straciłam oddech. Chciał, by spróbowwały go powstrzymać. Wyczuły to i pozwoliły mu przejść. Odwrócił się, żeby odejść i... i wtedy miałam inne wizje. - Przycisnęła dłoń do serca, płakała. - Moje wizje... moje wizje nie zawsze są wyraźne, Zeddzie. Czasami nie wiem, co oznaczają. Kiedyś miałam wizję jakiegoś rolnika. Ptaki dziobały brzuchy jego i jego rodziny. Nie wiedziałam, co to znaczy. Okazało się potem, że przyleciało stado kosów i wydziobały ziarno, które ów rolnik dopiero co zasiał. Na szczęście mógł zasiać ponownie i pilnował pola. Gdyby nie miał na ponowny zasiew, to on i jego rodzina umarliby z głodu... - Dziewczyna otarła palcami łzy z policzków. - Czasami nie umiem powiedzieć, co znaczą moje wizje albo czy się spełnią. Nie wszystkie się spełniają. - Skubała kosmyk włosów. - Lecz czasem dzieje się dokładnie to, co widzę. Wiem, że są prawdziwe i że na pewno się spełnią.

- Rozumiem, Jebro. - Zedd poklepał ją pocieszająco po ramieniu. - Wizje

to rodzaj prorocstwa, a dobrze wiem, jak prorocstwa potrafią być zagmatwane. Jakie były wizje dotyczące Richarda? Zagmatwane czy wyraźne?

- I takie, i takie. - Dziewczyna patrzyła czarodziejowi w oczy. Miałam wszelkie rodzaje: zagmatwane i jasne, prawdopodobne i całkiem pewne. Przepływały szybko. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło. Zwykle mam tylko jedną wizję i albo wiem, co znaczy i czy się spełni, albo jej nie rozumiem i nie wiem, czy się wypełni. Wizje o tym młodzieńcu płynęły jak rwący strumień. Jak niesione huraganem krople deszczu. W każdej był ból, cierpienie, niebezpieczeństwo. Te najwyraźniejsze, a wiem, że są prawdziwe, były najgorsze. Jedna dotyczyła czegoś wokół szyi Richarda. Nie wiem, co to, ale sprowadzi nań wielki ból i oddzieli go od tej kobiety... Mówiłaś, że ma na imię Kahlan... Oddzieli go od wszystkich, których kocha. Uwięzi go.

- Mord-Sith pojmała Richarda, więziła go i torturowała. Może to właśnie widziałaś - podsunął Zedd.

- Nie, to nie to - Jebra gwałtownie zaprzeczyła. - Tu nie szło o to, co już było: to się ma dopiero wydarzyć. I to nie ból sprawiany przez Mord-Sith. Zupełnie inny. Jestem tego pewna.

- I co jeszcze? - Czarodziej w zadumie skinął głową.

- Widziałam go w klepsydrze. Klęczał w dolnej części, płacząc z udręki; wokół sypał się piasek, lecz ani jedno ziarenko nie spadało na Richarda. W górnej połowie klepsydry były nagrobki tych, których kochał, ale sypiący się piach bronił mu tam dostępu. Widziałam nóż w jego sercu, nóż zadający śmierć, zaciśnięty w jego własnych drżących dłoniach. Pojawiła się inna wizja i nie wiem, co się stało, bo obrazy nie zawsze są chronologiczne. Richard był odziany we wspaniałą czerwoną płaszcz ze złotymi guzikami i brokatowym przybraniem. Leżał twarzą w dół... w plecach miał nóż. Był martwy i zarazem nie był. Jego własne ręce sięgnęły, żeby odwrócić leżącego, lecz zanim zobaczyłam jego martwą twarz, nadpłynęła inna wizja. Najgorsza. Najwyraźniejsza. - Z oczu Jebry znów popłynęły łzy. Łkała cicho, a Zedd ścisnął jej ramię, dodając otuchy i zachęcając, by mówiła dalej. - Widziałam, jak płonie. - Ocierała łzy i kołysała się, szlochając. - Krzyczał. Czułam swąd przypiekanej skóry. Potem cofnięto to coś, nie wiem co, co go paliło, i był nieprzytomny, naznaczony. Wypalono na nim znamię.

- Widziałaś ten znak? - Zedd poruszał językiem, usiłując zwilżyć wyschnięte nagle usta.

- Nie, nie widziałam. Ale wiem, co to było, wiem równie pewnie, jak rozpoznaję słońce. To był znak śmierci, znak Opiekuna zaświatów. Opiekun nazaczył go jako swoją własność.

- Były jeszcze jakieś wizje? - Zedd ze wszystkich sił starał się zapanować nad oddechem i drżeniem rąk.

- Tak, ale mniej wyraźne i niezrozumiałe. Przemknęły tak szybko, że wyczułam tylko zawarty w nich ból. Potem Richard odszedł. Skorzystałam z tego, że Mord-Sith patrzyły za nim, i pobiegłam do swojej komnaty. Długie godziny leżałam w łóżku, płacząc, udręczona tym, co widziałam. Lady Ordith waliła w drzwi, wołając mnie. Krzyknęłam, że jestem chora, i w końcu odeszła rozeźlona. Płakałam, dopóki starczyło mi łez. Widziałam zalety owego młodzieńca i płakałam, przerażona złem, które po niego sięgało. Wizje były rozmaite, a mimo to podobne. Wszystkim towarzyszyło to samo odczucie: niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo otacza tego chłopaka równie szczelnie jak woda rybę... - Jebra zdołała się trochę opanować, a Zedd obserwował ją w milczeniu. - To dlatego nie chcę dla niego pracować. Nie chcę mieć najmniejszego kontaktu z grożącym mu niebezpieczeństwem i brońcie mnie przed tym, dobre duchy. Nie chcę się narażać na dotknięcie zaświatów.

- Może mogłabyś mu pomóc, może twoje zdolności pomogłyby mu uniknąć niebezpieczeństwa. Właśnie na to liczyłem - powiedział cicho Zedd.

- Za żadne skarby świata nie pójdę na służbę do mistrza Rahla. - Jebra osuszyła twarz rękawem. - Nie jestem tchórzliwa, lecz nie jestem też heroiną z opowieści czy idiotką. Nie po to moje trzewia wróciły na miejsce, żeby mi je znowu ktoś wypruł i przy okazji zabrał duszę.

Zedd spokojnie patrzył, jak dziewczyna odzyskuje kontrolę nad sobą, jak odsuwa przerażające obrazy. Wzięła głęboki wdech i westchnęła. Błękitne oczy napotkały wzrok czarodzieja.

- Richard jest moim wnukiem - powiedział jej.

- Wybaczcie mi, dobre duchy. - Gwałtownie zamknęła powieki, zasłoniła usta dłonią, a potem otworzyła oczy, przerażona. - Zeddzie... tak mi przykro, że ci to wszystko opowiedziałam. Wybacz mi. Gdybym wiedziała, że to twój wnuk, to nigdy, nigdy bym ci tego nie wyjawiała. - Ręce trzęsły się jej. -

Wybacz mi, wybacz. Błagam.

- Prawda jest prawdą. A ja nie należę do tych, którzy winiliby cię za to, że ją widziałaś. Jestem czarodziejem i wiem, że grozi mu niebezpieczeństwo. Dlatego prosiłem cię o pomoc. Stwór, który cię zranił, dostał się do świata żywych przez rozdarcie w zasłonie. Jeżeli zasłona będzie nadal pękać, Opiekun wydostanie się z zaświatów. Richard dokonał czynów, które według proroctw świadczą, że tylko on jeden potrafi scalić zasłonę.

Zedd znów położył sakiewkę ze złotem na kolanach Jebry, która się temu przyglądała. Cofnął pustą dłoń. Dziewczyna patrzyła na sakiewkę, jakby była to gotowa ukąsić ją bestia.

- Czy to będzie bardzo niebezpieczne? - spytała w końcu słabiutkim głosem.

- Nie bardziej niż popołudniowy spacer w pałacu. - Zedd uśmiechnął się, kiedy nań spojrzała.

Jebra odruchowo przyłożyła dłoń do brzucha, tam gdzie była rana. Rozejrzała się po rozległym, wspaniałym holu, jakby szukała drogi ucieczki albo obawiała się ponownego ataku. Potem powiedziała, nie patrząc na czarodzieja:

- Moja babka była widzącą i moją jedyną mentorką. Powiedziała mi kiedyś, że wizje naznaczają cierpieniem całe moje życie i że nigdy nie zdołam powstrzymać ich napływu. Powiedziała też, żebym nie odmawiała, kiedy trafi mi się sposobność wykorzystania tego, co widzę, dla czyjegoś dobra. Że to choć trochę zmniejszy przygniatające mnie brzemię. Usłyszałam to, gdy dała mi swój kamień... - Jebra oddała sakiewkę Zeddowi. - Nie zrobiłabym tego za całe złoto D'Hary. Ale zrobię to dla ciebie.

- Dzięki, dziecinko. - Czarodziej uśmiechnął się i pogładził policzek dziewczyny. Znów dał jej sakiewkę. - Przyda ci się. Będziesz miała wydatki. To, co zostanie, należy do ciebie. Takie jest moje życzenie.

- Co mam zrobić? - spytała, z rezygnacją kiwając głową.

- Najpierw oboje musimy się porządnie wyspać. Potem odpoczniesz parę dni, żeby odzyskać siły. Dopiero później czeka cię podróż, lady Bevinvier. - Rozbawiła go jej mina. - Oboje jesteśmy bardzo zmęczeni. Jutro wyruszam w ważnych sprawach. Ale najpierw przyjdę do ciebie i porozmawiamy. Od razu cię jednak proszę, żebyś nie nosiła kamienia na widoku. Nie ujawniaj swoich talentów podpatrującym oczom.

- Więc i nowemu panu będę służyła z ukrycia? Niezbyt to zaszczytne.

- Tym, którzy by cię teraz rozpoznali, nie zależy na złocie. Służą Opiekunowi. Pożądamy czegoś cenniejszego niż kruszec. Jeśli cię wypatrzą, pożałujesz, że cię dziś ocaliłem.

Jebra zadrżała, lecz dała znak, iż się zgadza.

ROZDZIAŁ 4

Zedd przyklęknął, podparł się dłonią o kolano i wstał. Pomógł się podnieść Jebrze. Nie mogła stać o własnych siłach, co wcześniej podejrzewał, i mocno się na nim opierała. Przeprosiła go za to. Rozbawił ją, twierdząc, że i tak wykorzystałby każdy pretekst pozwalający mu otoczyć ramieniem kibić ślicznej panny.

Ludzie zaczęli wracać do swoich spraw; rozmawiali cicho i rozglądali się po nagle wcale nie tak bezpiecznym pałacu. Rannych przeniesiono, ciała zabitych zabrano. Służące zmywały krew z posadzki. Wszędzie pełno było żołnierzy Pierwszej Kompanii. Zedd skinął do stojącego po drugiej stronie holu dowódcy Trimacka.

- Tak czy owak, cieszę się, że stąd odejdę - odezwała się Jebra. - Widziałam tu aury, przez które biją na mnie siódme poty.

- Czy widzisz coś wokół niego? - spytał Zedd, gdy oficer ruszył ku nim.

Dziewczyna przyglądała się przez chwilę Trimackowi, sprawdzającemu po drodze rozmieszczenie żołnierzy.

- Słaba aura. Obowiązek. - Zmarszczyła brwi. - Zawsze mu ciążył. Ma nadzieję, że teraz się to wreszcie odmieni, że stanie się powodem do dumy. Czy to ci jakoś pomogło?

- O, tak - uśmiechnął się czarodziej. - Jakies wizje?

- Nie. Tylko słaba aura.

Zedd w zamyśleniu pokiwał głową, a potem się rozpogodził.

- A jak to się stało, że taka ładna panna nie znalazła sobie męża?

- Trzech mnie prosiło o rękę. - Dziewczyna zerknęła nań spod oka. - I za każdym razem widziałam, jak klęczący akurat przede mną mężczyzna leży z inną kobietą.

- Spyтали, dlaczego ich odrzuciłaś? - zaśmiał się Zedd. - Wcale im nie odmówiłam. Po prostu tak im przyłożyłam, że aż im w głowach zadudniło.

Czarodziej tak się śmiał, że i Jebra nie mogła się powstrzymać. Trimack wreszcie do nich podszedł.

- Naczelný dowódcó Trimacku, oto lady Bevinvier. - Oficer skłonił się. - Lady, podobnie jak ty i ja, czuwa nad tym, żeby zło nie miało dostępu do mistrza Rahla. Chcę, by gwardziści jej strzegli, dopóki będzie przebywać w

pałacu. Lord Rahl potrzebuje jej, więc nie życzę sobie, aby znów, tak jak dzisiaj, groziło lady Bevinvier jakieś niebezpieczeństwo.

- Będzie w pałacu równie bezpieczna, jak dziecko w ramionach matki. Ręczę za to honorem. - Trimack odwrócił się i dał umówiony znak; błyskawicznie przybiegło dwudziestu kilku ludzi Pierwszej Kompanii; stanęli na baczność, wcale nie zadyszani. - Oto lady Bevinvier. Odpowiadacie za nią życiem.

Zaciśnięte pięści jak jedna stuknęły w opancerzone piersi. Dwóch żołnierzy uwolniło Zedda od ciężaru Jebry. Dziewczyna mocno zaciskała kamień w dłoni. Sakiewka ze złotem wypychała kieszeń jej zielonej spódnicy, niemal w całości pokrytej zaschniętą krwią.

- Potrzebne jej odpowiednie komnaty i posiłki - pouczył ich czarodziej. - Dopilnujcie, żeby nie miał do niej wstępu nikt poza mną. Wypocznij dobrze, dziecinko - dodał, patrząc w zmęczone oczy Jebry i łagodnie dotykając jej ramienia. - Odwiedzę cię rankiem.

- Dziękuję, Zeddzie - uśmiechnęła się blado. Żołnierze zabrali Jebkę i Zedd powiedział do Trimacka:

- W pałacu znajduje się pewna dama, lady Ordith Condatith de Dackidvich. Lord Rahl będzie miał dość kłopotów i bez takich jak ona. Chcę, by wyjechała, zanim dzień się skończy. Gdyby odmówiła, każ jej wybrać między karocą a stryczkiem.

- Zajmę się tym osobiście. - Trimack uśmiechnął się złośliwie.

- Jeżeli w pałacu znajdują się jeszcze inne osoby o podobnym charakterku, możesz im zaofiarować ten sam wybór. Nowa władza przynosi zmiany. - Zedd nie widział aury, ale był pewien, że Jebra zobaczyłaby, jak aura oficera pojaśniała.

- Niektórym zmiana się nie spodoba, czarodzieju Zoranderze. To nie była czcza uwaga.

- Czy w pałacu są wyżsi rangą od ciebie oprócz mistrza Rahla?

- Jest Demmin Nass - Trimack splótł dłonie za plecami i omiatał wzrokiem hol - dowódca bojówek, który rozkazuje wszystkim poza lordem Rahlem.

- Nie żyje. - Zedd westchnął ciężko na wspomnienie o tym człowieku.

Trimack kiwnął głową, chyba poczuł ulgę.

- Pod pałacem, w wydrążonych w płaskowyżu pomieszczeniach

kwateruje blisko trzydzieści tysięcy żołnierzy. Ich dowódcy przewyższają mnie rangą w polu, lecz w pałacu prawem jest rozkaz naczelnego dowódcy Pierwszej Kompanii. Niektórzy z nich ucieszą się ze zmiany, inni nie.

- Richard będzie wystarczająco zajęty walką z magią zaświatów, niepotrzebne mu kłopoty z żelazem. Masz wolną rękę, dowódcu: czyn w jego obronie, co uważasz za *konieczne*. Choćby i z przesadą.

Trimack dał znak, że rozumie, i rzekł:

- Pałac Ludu to miasto pod jednym dachem. Mieszkają tu tysiące ludzi. Kupcy, domokrażcy, żywność. Całe kolumny wozów wjeżdżają tu i wyjeżdżają stąd we wszystkich kierunkach, wyjąwszy jedynie równiny Azrith na wschodzie. Drogi tu wiodące to arterie odżywiające serce D'Hary, Pałac Ludu. W płaskowyżu jest dwa razy tyle pomieszczeń, ile nad ziemią. Nie jesteśmy w stanie właściwie ocenić motywów napływających tłumów. Zamknąłbym wielkie wewnętrzne wrota i odciął naziemną część pałacu. Nie czyniono tego od kilkuset lat; zaniepokoi to i zmartwi lud D'Hary, ale i tak zrobiłbym to. Wtedy do pałacu będzie się można dostać jedynie od wschodu, drogą w górę urwiska. Zadbam, żeby most był podniesiony. I tak będziemy mieć do czynienia z licznymi mieszkańcami właściwego pałacu. Każdy z tych ludzi może mieć zamiary sprzeczne z naszymi. Co gorsza, są tu tysiące zaprawionych w bojach żołnierzy, a nie chciałbym, by niektórzy z ich dowódców choć spojrzeli na mistrza Rahla. Coś mi się zdaje, że nowy lord Rahl jest inny niż ci, z którymi mieli dotąd do czynienia, i że ta zmiana wcale im się nie spodoba. D'Hara to olbrzymie imperium, drogi tu długie. Może nadszedł czas, by niektóre z dywizji opuściły pałac i zadbały o ich bezpieczeństwo, zwłaszcza tych leżących na dalekim wschodzie, w pobliżu Dżicy. Słyszałem, że jest tam niespokojnie. Zaś ci, którym ufam, trzykrotnie powiększyliby szeregi Pierwszej Kompanii.

Zedd obserwował twarz rozglądającego się po holu Trimacka.

- Nie jestem co prawda żołnierzem, ale dla mnie brzmi to całkiem sensownie. Pałac musi być miejscem tak bezpiecznym, jak to tylko możliwe. Czyn, co uważasz za stosowne.

- Dobrze. Rano dam ci listę tych dowódców, którym można ufać, i tych mogących przysporzyć kłopotów.

- Po co mi ona?

- Bo takie rozkazy powinien wydać ktoś, kto ma dar - odparł stanowczo

Trimack.

- Czarodzieje nie powinni rządzić ludźmi - mamrotał Zedd, potrząsając głową. - To nie w porządku.

- Takie są w D'Harze zwyczaje. Magia i żelazo. Chcę chronić lorda Rahla. W tym celu należy zrobić to, o czym mówiłem.

Zedd patrzył przed siebie; coraz bardziej odczuwał zmęczenie.

- Czy wiesz, Trimacku, że walczyłem i zabijałem czarodziejów, którzy chcieli rządzić?

Cisza. Zedd odwrócił się ku oficerowi. Trimack bacznie go obserwował.

- Gdybym miał wybór, czarodzieju Zoranderze, to wołałbym służyć temu, dla którego władza jest brzemieniem, niż temu, kto jej pragnie.

Czarodziej westchnął i kiwnął głową.

- No, to do rana. A, i jeszcze najważniejsze: chcę, żeby strzeżono wejść do Ogrodu Życia. Właśnie tam screeling zaatakował po raz pierwszy. Nie wiem, czy nie pojawiło się ich więcej. Główne wrota trzeba naprawić. Otocz ogród stalowym pierścieniem. Ustaw ludzi gęsto; wystarczy, żeby się mogli zamachnąć toporem. Do środka mogę wejść wyłącznie ja, Richard albo ktoś przez nas upoważniony; poza tym nikt, absolutnie nikt nie ma tam wstępu. Każdy, kto się tam spróbuje dostać, powinien być traktowany jako zagrożenie dla mistrza Rahla. Nawet ten, kto powie, że przyszedł jedynie powyrywać chwasty. Wiedz, że to wszystko, co się będzie chciało stamtąd wydostać, to najgorsze zło.

- Będziemy bronić mistrza do ostatniego człowieka. - Trimack uderzył pięścią w opancerzoną pierś.

- Znakomicie. Lord Rahl może potrzebować tego, co tam zostało, Wolę na razie nie przenosić tych rzeczy. Są niesłychanie niebezpieczne. Pilnie strzeż ogrodu, dowódco. Mogą się pojawić następne screelingi. Albo coś jeszcze gorszego.

- Kiedy?

- Sądziłem, że pierwszy pojawi się po roku lub później. A przynajmniej po wielu miesiącach. To niedobrze, że Opiekun tak prędko przysłał jednego ze swoich zabójców. Nie wiem, po kogo go wyprawił. Może miał po prostu zabić każdego, kto będzie w pobliżu. Opiekun nie potrzebuje powodów do zabijania. Jutro opuszczę pałac i spróbuję się jak najszybciej dowiedzieć, zanim znowu nas coś zaskoczy.

Trimack, zaniepokojony, rozważał słowa Zedda.

- Czy wiesz, kiedy powróci lord Rahl?

- Nie wiem. - Czarodziej potrząsnął głową. - Łudziłem się, że będę miał dość czasu, aby go nauczyć wszystkiego, co powinien wiedzieć. Lecz teraz muszę posłać po niego, by się ze mną spotkał w Aydindril. Obaj musimy odkryć, co należy teraz zrobić. Grozi mu wielkie niebezpieczeństwo, a on nic o tym nie wie. Wszystko dzieje się szybciej, niż przewidywałem. Nie mam pojęcia, co Opiekun teraz uczyni, ale zaczynam się obawiać, że zdołał zapuścić macki daleko. To, iż tak oplótł Rahl, jeszcze zanim zasłona pękła, a ja nie wiedziałem, że sięgnął aż tu, świadczy, jakim byłem bezmyślnym głupcem w tej sprawie. Gdyby Richard nieoczekiwanie powrócił lub gdyby mi się coś przytrafiło... to pomóż mu. On się uważa za leśnego przewodnika, nie za mistrza Rahl. Będzie nieufny. Przekaż mu, iż kazałem, by ci zaufał.

- Jak go przekonam, żeby mi zawierzył, skoro jest taki nieufny?

- Powiedz mu, że mówiłem, że to prawda - uśmiechnął się Zedd. - Prawdziwa jak szczerze złoto.

- Chcesz, żeby naczelny dowódca Pierwszej Kompanii mówił takie rzeczy mistrzowi Rahlowi??? - zdumiał się Trimack.

Zedd odchrząknął i przybrał poważną minę.

- To szyfr, dowódco. On to rozumie.

Tamten skinął głową, lecz ciągle miał wątpliwości.

- Lepiej zajmę się Ogrodem Życia i całą resztą. Ośmielam się powiedzieć, że przydałby ci się wypoczynek. - Spojrzał tam, gdzie armia służących nadal zmywała krew. - Całe to uzdrawianie ogromnie cię wyczerpało.

- To prawda. Dzięki, dowódco Trimacku. Skorzystam z twojej rady.

Pięść dowódcy uderzyła w napierśnik, a uśmiezek złagodził surowość salutu. Zaczął się odwracać, lecz zmienił zdanie. Niebieskie oczy znów spojrzały na Zedda.

- Pozwolę sobie zauważyć, czarodzieju Zoranderze, że to przyjemność mieć wreszcie w pałacu kogoś z darem, kto woli leczyć ludziom brzuchy, niż je rozpruwać. Nigdy przedtem się z tym nie spotkałem.

- Bardzo żałuję, dowódco, iż nie mogłem pomóc tamtemu chłopcu - powiedział z powagą Zedd.

- Wiem, że to prawda, czarodzieju Zoranderze - ze smutkiem potaknął Trimack. - Prawdziwa jak szczerze złoto.

Zedd patrzył, jak dowódca idzie poprzez hol, przyciągając do siebie zbrojnych niczym magnes. Czarodziej uniósł rękę i spojrzał na złoty łańcuszek owinięty wokół kościstych palców. Westchnął boleśnie. Dola czarodzieja - posługiwanie się ludźmi. Trzeba zrobić to, co najgorsze. Z dobrze ukrytej w szatach kieszeni wyjął czarny kamień mający kształt łyzy. Niech będą przeklęte duchy za to, co musi czynić czarodziej. Ujął oprawkę po błękitnym kamieniu i przytknął do niej czubek tego gładkiego, czarnego. Moc popłynęła z palców czarodzieja i spoiła kamień z oprawą. Mając nadzieję, że się myli, Zedd przywołał bolesne wspomnienia dawno zmarłej żony. Jebra zniosła blokady w jego umyśle, więc nie było to trudne. Łza spłynęła mu po policzku; otarł ją i z najwyższym wysiłkiem odpędził te myśli. Uśmiechnął się leciutko, stwierdzając, że czarodzieje wykorzystują nawet siebie samych i że owe straszliwe wspomnienia wreszcie przyniosły ze sobą jedno przyjemniejsze.

Czarodziej mocno ujął czarny kamień i potarł jego powierzchnię kciukiem zmoczonym łzą. Kamień przybrał barwę jasnego bursztynu. Serce Zedda zamarło na chwilę. Już nie miał wątpliwości, co to takiego. Wiedział, co musi uczynić. Oplótł klejnot zaklęciami - teraz tylko Richard dojrzy prawdę o nim. Co więcej, zaklęcia przyciągną uwagę Richarda. Jeśli go kiedykolwiek zobaczy, czar zadziała i zaszczepi w umyśle chłopaka zainteresowanie tym kamieniem.

Zedd popatrzył na strażnika granicy - Chase leżał na ławie, jedną nogę opuścił i wsparł o podłogę. Rachel siedziała na posadzce, główkę położyła na kolanie mężczyzny, a ramieniem oplótła jego łydkę. Chase położył sobie na czole obandażowane ramię.

Czarodziej westchnął i ruszył ku nim przez wykładany marmurem hol. Zastanawiał się, czegoż to będzie teraz strzegł strażnik granicy, skoro granica zniknęła. Dotarł do tamtych dwojga.

- Zeddzie, stary przyjacielu - odezwał się Chase, nie odsłaniając oczu - jeśli jeszcze raz przyślesz jakąś krzepką wiedźmę-uzdrowicielkę, która wleje mi w gardło ohydną ciecz, to ci okręcę głowę tak, żebyś musiał chodzić tyłem.

Czarodziej uśmiechnął się z zadowoleniem. Przysłał strażnikowi właściwą uzdrowicielkę.

- Czy lekarstwo naprawdę było tak niedobre, Chase? - spytała Rachel.

- Popamiętasz, jeśli jeszcze raz powiesz do mnie „Chase” - zagroził, łypiąc na małą spod obandażowanej ręki.

- Przepraszam, ojcie - zachichotała. - Przykro mi, że kazała ci wypić to paskudne lekarstwo. - Skrzywiła się. - Ale bardziej mnie przeraża ta krew na tobie. - Strażnik coś mruknął. - Może następnym razem - Rachel zerknęła nań niewinnie - dobędziesz miecza, kiedy cię ostrzegę. Wtedy ani cię nie poranią, ani nie będziesz musiał pić paskudnych mikstur.

Zedd podziwiał dziecinną niewinność, z jaką wbiła strażnikowi tę dobrze wymierzoną, ostrą szpilę. Chase uniósł nieco głowę - skamieniałe ramię nadal osłaniało oczy - i spiorunował małą wzrokiem. Czarodziej jeszcze nigdy nie widział człowieka, który z takim trudem powstrzymywałby śmiech. Rachel marszczyła nosek i chichotała, rozbawiona miną ojca.

- Niech dobre duchy okażą się litościwe dla twojego przyszłego męża - wykrztusił Chase - i подарują mu choć parę spokojnych lat, zanim wpadnie w twoje łapki.

- Co to znaczy? - zaciekawiła się.

Strażnik opuścił z ławki drugą nogę i usiadł. Podniósł dziewczynkę i posadził sobie na kolanie.

- Powiem ci, co to znaczy. To znaczy, że obowiązuje nowa zasada. Nowe prawo. I lepiej go nigdy nie łam.

- Dobrze, ojcie, nie złamię. Jak ono brzmi?

- Od teraz - powiedział groźnie, przysuwając twarz do buzi Rachel - jeżeli będziesz chciała mi powiedzieć coś ważnego, a ja cię nie wysłucham, to masz mnie kopnąć. Kopnąć tak mocno, jak tylko zdołasz.

- Tak, ojcie. - Mała uśmiechnęła się.

- Wcale nie żartuję. Mówię całkiem serio.

- Obiecuję, Chase. - Rachel energicznie pokiwała główką.

Wielkolud przewrócił oczami i przytulił dziewczynkę równie mocno, jak ona tuliła swoją lalkę. Zedd z trudem przełknął ślinę. Nie lubił siebie za to, co musiał zrobić, a jeszcze mniej mu się podobało to, co stałoby się, gdyby tego nie zrobił. Przyklęknął obok dziewczynki; szaty miał sztywne od zaschniętej krwi.

- Muszę cię o coś poprosić, Rachel.

- O co, Zeddzie?

Czarodziej uniósł rękę; trzymał w palcach złoty łańcuszek, na którym

kołysał się klejnot.

- To czyjaś własność. Czy mogłabyś ją nosić przez jakiś czas i chronić? Pewnego dnia zjawi się Richard, zabierze to i odniesie, dokąd trzeba, ale nie wiem, kiedy to będzie.

Oczy strażnika, zwykle dumne i bystre, miały dziwny wyraz. Tak chyba patrzy mysz tuż przed końcem w pyszczku kota, pomyślał Zedd.

- Jakie to ładne, Zeddzie. Nigdy nie nosiłam takiej śliczności.

- To nie tylko ładne, ale i ważne. Tak ważne, jak szkatuła, którą ci powierzył Giller.

- Przecież Rahl Posępny już nie żyje. Sam to powiedziałeś. On już nic nam nie zrobi.

- Wiem, dziecinko, lecz to nadal jest ważne. Tak dzielnie strzegłaś szkatuły, więc pomyślałem, iż najlepiej będzie tobie powierzyć naszyjnik, zanim właściciel zgłosi się po niego. Do tego czasu musisz go stale nosić. Nie pozwól nikomu przymierzyć naszyjnika dla zabawy. To nie zabawka.

- Skoro to takie ważne, Zeddzie - Rachel spoważniała na wspomnienie szkatuły - to się tym zaopiekuję.

- Co ty sobie myślisz, Zeddzie? - syknął Chase, przytulając do siebie główkę małej i zasłaniając dłonią jej uszko. - Co ty wyprawiasz!? Czyżby to było to, o czym myślę?

- Staram się uchronić wszystkie dzieci świata przed straszliwymi koszmarami. - Czarodziej popatrzył nań ponuro. - Trwającymi całą wieczność.

- Nie chcę, Zeddzie... - wysyczał strażnik przez zaciśnięte zęby.

- Jak długo mnie znasz, Chase? - przerwał mu Zedd. Strażnik milczał, tylko łypnął groźnie. - Czy widziałeś, żebym kiedykolwiek kogoś skrzywdził, a zwłaszcza dziecko? Czy widziałeś, bym kogoś wystawiał na niepotrzebne, głupie ryzyko?

- Nie - wychrypiał Chase. - I nie chcę patrzeć, jak teraz chcesz to zrobić.

- Musisz ufać, że wiem, co czynię - rzekł twardo Zedd, a wzrokiem wskazał miejsce, gdzie screeling zabił tylu ludzi. - To, co się dzisiaj stało, nawet odrobinę nie dorównuje temu, co nam zagraża. Męki i zabijanie przekroczą wszelkie twoje pojęcie, jeżeli zasłona nie zostanie zapieczętowana. Czynię to, co powinienem uczynić jako czarodziej. Jako czarodziej rozpoznaję tę małą, tak jak to zrobił Giller. Ona jest zmarszczką

na powierzchni wody, języczkiem u wagi. Jest przeznaczona do wielkich czynów. Przyjrzałem się runom na ścianach, kiedy poszliśmy sprawdzić, czy dobrze zapieczętowały grobowiec Panisa Rahla: jeszcze nie wszystkie zniknęły. Były w *górnod'haranskim*; nie znam zbyt dobrze tego języka, ale wystarczająco dużo zrozumiałem. Mówiły, jak się dostać do zaświatów. Pamiętasz ten kamienny stół w Ogrodzie Życia? To ołtarz ofiarny. Rahl Pośępny korzystał zeń, żeby się dostać do zaświatów, przechodzić pod granicami.

- No, ale on nie żyje. Co to...

- Rahl zabijał dzieci i ofiarowywał ich niewinne duszyczki Opiekunowi, by ten pozwolił mu przechodzić przez zaświaty. Pojmujesz, co mówię? Rahl Pośępny zawarł pakt z Opiekunem. A to oznacza, że Opiekun wysługiwał się ludźmi z naszego świata. Skoro korzystał z usług Rahla, to bez wątpienia korzystał również z usług innych. A teraz zasłona jest rozdarta. Dowodzi tego pojawienie się *screelinga*. Uważam, że wiele dawnych proroctw dotyczy Richarda i tego, co się właśnie zaczyna dziać. Ten, kto je napisał, usiłował wspomóc Richarda poprzez czas. Pomóc mu w walce z Opiekunem. Lecz przez ostatnie parę tysięcy lat przesłania te stały się niejasne i zagmatwane. Boję się, że to podstępne knowania Opiekuna zaciemniły znaczenie wyroczeni. Cierpliwość to najważniejsza cecha Opiekuna. Ma przecież całą wieczność. Pewnie ostrożnie zapuszczał macki do naszego świata, kusił ludzi, czarodziejów podobnych Rahlowi Pośępnemu, żeby go słuchali. To nie przypadek, że nie ma czarodziejów potrafiących zrozumieć przepowiednie, że brak ich właśnie teraz, kiedy są tak potrzebni. Nie mam pojęcia, gdzie się czają szpiedzy Opiekuna i co on dalej zamierza.

Oczy strażnika dalej płonęły, lecz był to już inny żar.

- Powiedz, jak mam pomóc? Co mam zrobić, Zeddzie?

- Chciałbym, żeby to dziecko stało się podobne do ciebie. Naucz ją tego. - Czarodziej uśmiechnął się i poklepał ramię wielkoluda. - Ona jest bystra. Spraw, by się stała jeszcze bystrzejsza. Niech się od ciebie uczy. Niech się nauczy posługiwać każdym orężem, który znasz. Niech będzie mocna i szybka.

- Dziecko-wojownik - westchnął Chase, lecz dał znak, iż się zgadza.

- Rankiem wyruszę po Adie i zabiorę ją do Aydindril. Chciałbym, żebyś się udał do Błotnych Ludzi. Dotrzyj tam najszybciej, jak zdołasz. Richard,

Kahlan i Siddin będą dziś u smoczycy, a ta jutro zanieś ich do wioski. Tobie droga zajmie całe tygodnie. Nie wolno nam zmarnować ani chwili. Powiedz Richardowi i Kahlan, żeby natychmiast dołączyli do mnie w Aydindril. Opowiedz im to, co ja opowiedziałem tobie. Potem, jeżeli zdołasz, umieść to dziecko w bezpiecznym miejscu. Jeśli jest jeszcze jakieś bezpieczne miejsce.

- Czy mogę zrobić coś jeszcze?

- Najważniejsze to dotrzeć do Richarda. Byłem głupi, łudząc się, że mamy jeszcze czas. Nie powinienem był go spuścić z oka. - Zedd w zadumie tarł brodę. - Może mógłbyś mu powiedzieć, że jestem jego dziadkiem, a Rahl Posępny był ojcem. Będzie już mniej wściekły, kiedy do mnie dotrze. - Zedd się uśmiechnął. - Czy wiesz, jak go nazywają Błotni Ludzie? Richard Popędliwy. Pomyśl tylko. Właśnie Richarda tak nazwali. Jednego z najłagodniejszych ludzi, jakich znam. Boję się, iż Miecz Prawdy ujawnił drugą stronę jego charakteru.

- Na pewno się nie wścieknie, kiedy się dowie, że jesteś jego dziadkiem - pocieszał czarodzieja Chase. - Kocha cię.

- Może i tak - westchnął Zedd - ale z pewnością nie ucieszy go wiadomość, kto jest jego ojcem, jego prawdziwym ojcem. I że to przed nim ukryłem. Wychowywał go George Cypher, kochali się jak ojciec i syn.

- To prawda, której nic nie zmieni. Czarodziej przytaknął. Uniósł naszyjnik.

- Zaufasz mi?

Chase przez chwilę patrzył na Zedda, potem prościutko usadowił Rachel.

- Sam zapnę klamerkę łańcuszka.

Strażnik zamocował łańcuszek, a dziewczynka wzięła w rączki bursztynowy kamień i pochyliwszy się, przyjrzała się mu.

- Będę go strzec dla ciebie, Zeddzie.

- Pewnie, pewnie. Jestem o tym przekonany. - Czarodziej zwichrzył włoski małej.

Zedd położył palce na skroniach Rachel, popłynęła magia. Przekazał dziewczynce, jak ważny jest ów naszyjnik, że nie powinna nikomu o nim wspominać ani mówić, skąd go ma; że ma strzec klejnotu jak przedtem szkatuły Ordenu. Cofnął palce, a Rachel otworzyła oczka i uśmiechnęła się. Chase podniósł małą i postawił obok siebie na ławce. Strażnik przejrzał wiszącą u jego pasa arseniał noży i wybrał najmniejszy. Odwiązał skórzany

rzemyk, wysunął ostrze z pochwy i zaświecił nim Rachel w oczy.

- Skoro jesteś teraz moją córką, to będziesz nosić nóż jak ja. Ale pamiętaj, nie dobywaj go, dopóki cię nie nauczę, jak się nim posługiwać. Mogłabyś się paskudnie pokaleczyć. Nauczę cię bezpiecznie nim władać i bronić się. Zgoda?

- Nauczysz mnie, żebym była taka jak ty!? - rozpromieniła się dziewczynka. - Bardzo tego chcę, Chase. Strażnik, pomrukując, przypasał jej nóż.

- Noo, nie wiem, jak mi pójdzie to szkolenie. Nawet nie potrafię cię nauczyć, byś mi mówiła „ojcze”.

- Chase i ojciec to dla mnie to samo - uśmiechnęła się wstydliwie. Chase potrząsnął głową, zrezygnowany. Zedd wstał i wygładził szatę.

- Jeżeli czegoś potrzebujesz, Chase, to zajmie się tym naczelný dowódca Trimack. Weź tylu ludzi, ilu ci potrzeba.

- Nikogo nie wezmę. Będę się spieszył, więc po co mi zbędne towarzystwo, o które na dodatek musiałbym dbać. Poza tym uważam, że ojciec z córką będą mniej zwracać na siebie uwagę, a przecież chyba o to chodzi? - Spojrzał wymownie na klejnot zawieszony na szyi Rachel.

Zedd podziękował mu uśmiechem; docenił bystrość umysłu strażnika granicy. Tych dwoje - Chase i Rachel - świetnie do siebie pasuje; nie dadzą sobie w kaszę dmuchać.

- Pojadę razem z wami aż do drogi ku domkowi Adie. Załatwię tylko rankiem pewne sprawy i możemy ruszać.

- Dobrze. Wyglądasz, Zeddzie, jakby ci się należał solidny wypoczynek przed podróżą.

- O, tak.

Czarodziej zrozumiał nagle, dlaczego jest taki zmęczony. Sądził, że dlatego, iż nie spał od wielu dni - ale to nie było to. Chodziło o to, że całe miesiące walczyli o powstrzymanie Rahla Posepnego i udało im się to, więc sądził, że zwyciężyli. Okazało się jednak, iż prawdziwa walka dopiero się zaczyna. I tym razem nie szło o pokonanie niebezpiecznego czarnoksiężnika. Obecnie ich przeciwnikiem był Opiekun zaświatów. W czasie pojedynku z Rahlem Posepnym Zedd znał większość zasad, wiedział, jak działają szkatuły Ordenu, ile mają czasu. Teraz nie wiedział nic. Opiekun mógłby zwyciężyć w parę minut. Rozpaczliwa niewiedza. Czarodziej

westchnął w skrytości ducha. Podejrzewał, że co nieco jednak wie; musi się na tym oprzeć.

- A przy okazji - odezwał się Chase, gdy przypasał już nóż Rachel. - Jedna z tamtych uzdrowicielek, mówiła, że ma na imię Kelley, przekazała mi wiadomość dla ciebie. - Sięgnął do kieszeni, wyjął małą karteczkę i podał Zeddowi.

- Co to takiego? - Na karteczce widniał napis: „Zachodni Krąg, North Highland Way, trzecia kondygnacja”.

- Mówiła, że tam ją znajdziesz - wyjaśnił strażnik. - Kazała ci powiedzieć, iż według niej potrzebujesz wypoczynku i że jeżeli do niej przyjdiesz, to zaparzy lubczykową herbatkę; przygotuje słaby napar, byś się dobrze wyspał. Rozumiesz, o co jej chodziło?

- Mniej więcej. - Zedd uśmiechnął się do siebie i zmiął karteczkę w dłoni; w zamyśleniu przygryzł wargę. - I ty także solidnie wypocznij. Gdyby rany nie dawały ci spać, to jedna z uzdrowicielek zaparzy ci...

- O, nie! - zaprotestował Chase. - Zasnę bez tego.

- To świetnie. - Zedd poklepał rączkę Rachel i ramię strażnika. Miał już odejść, kiedy coś sobie przypomniał. - Widziałeś kiedykolwiek Richarda w czerwonym płaszczu? Czerwonym płaszczu ze złotymi guzikami i brokatowymi ozdobami?

- Richarda!? - zaśmiał się Chase. - Przecież go wychowywałeś, Zeddzie. Wiesz lepiej ode mnie, że Richard nie ma takiego płaszcza. Jego odświętne okrycie jest brązowe. On jest leśnym przewodnikiem, lubi kolory ziemi. Nigdy nie widziałem go w czerwonej koszuli. A co?

- Kiedy go zobaczysz - Zedd zignorował pytanie strażnika - przekaz mu ode mnie, żeby nigdy nie nosił czerwonego płaszcza. Nigdy! To bardzo ważne, nie zapomnij mu o tym powiedzieć. Żadnego czerwonego płaszcza.

- Dobra - obiecał Chase. Wiedział, kiedy nie naciskać starca. Czarodziej uśmiechnął się do Rachel i uścisnął ją, po czym odszedł.

Zastanawiał się, czy znajdzie jadalnię. Pora obiadowa niemal już minęła. A co potem? Gdzie będzie spać? Eee tam, pomyślał Zedd, w pałacu są przecież gościnne komnaty. Sam o nich mówił strażnikowi. Może tam pójść. Rozwinął zmiętą w dłoni karteczkę i przeczytał wiadomość. Akurat przechodził obok jakiś dostojny mężczyzna ze starannie przystrzyżoną siwą brodą, odziany w złociste szaty. Czarodziej zagadnął go uprzejmie:

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie... - spojrzał na karteczkę - gdzie się mieści Zachodni Krąg, North Highland Way, trzecia kondygnacja?

- Oczywiście, panie. - Brodacz uprzejmie skinął głową. - To kwatery uzdrowicielek. Leżą niedaleko stąd. Podprowadzę cię, a potem wskażę dalszą drogę.

Zedd się uśmiechnął. Nagle nie czuł się już tak zmęczony.

- Dzięki. To bardzo uprzejmie z twojej strony - powiedział.

ROZDZIAŁ 5

Siostra Margaret wyszła z za narożnika u szczytu kamiennych schodów. Stara służąca, niosąca kubek wody i ścierkę, zobaczyła ją i padła na kolana. Siostra przystanąła na chwilę, dotknęła głowy pochylonej kobiety.

- Niech błogosławieństwo Stwórcy spłynie na jego dziecko.

- Dzięki ci, Sostro. - Kobieta spojrzała na nią, a jej pomarszczoną twarz rozjaśnił ciepły, bezzębny uśmiech. - Pomyślności w zbożnym trudzie.

Margaret odwzajemniła uśmiech i patrzyła, jak staruszka z trudem taszczy ciężkie wiadro. Biedna, pomyślała Siostra, musi pracować do późna. No cóż, w końcu i ona sama była na nogach w środku nocy.

Szata Siostry marszczyła się na ramieniu. Margaret sprawdziła dlaczego? Okazało się, że w pośpiechu krzywo zapięła trzy górne guziki. Poprawiła je, po czym pchnęła ciężkie dębowe drzwi i wyszła w mrok. Wartownik spostrzegł ją i przybiegł pośpiesznie. Margaret przysłoniła usta księgą, skrywając ziewnięcie. Żołnierz zatrzymał się przed nią.

- Sostro! Gdzie Ksieni? On ją gwałtownie przyzywa. Tak krzyczy, że aż mnie ciarki przechodzą. Gdzie ona?

Siostra Margaret spiorunowała go wzrokiem; strażnik przypomniał sobie dobre maniery i opadł na kolana. Kiedy się podniósł, ruszył za kobietą wzdłuż wału obronnego.

- Ksieni nie pofatyguje się tylko dlatego, że Prorok się wydziera.

- Ale on się dopomina właśnie o nią.

Margaret przystanąła, zacisnęła dłoń na drugiej, w której trzymała księgę.

- A może sam chciałbyś załomotać w środku nocy w drzwi sypialni Ksieni i zbudzić ją tylko dlatego, że Prorok ją woła?

- Nie, Sostro. - Twarz mu pobladła.

- Zupełnie wystarczy, że z powodu takiego głupstwa wyciąga się z łóżka Siostrę.

- Przecież nie wiesz, co on mówił, Sostro. Ryczał, że...

- Dostyc - ostrzegła go cichym głosem. - Czy muszę ci przypominać, iż stracisz głowę, jeżeli powtórzysz choć jedno jego słowo?

- Nie, Sostro. - Położył odruchowo dłoń na gardle. - Nigdy nie powtórzę

ani słówka. Chyba, że którejs z Sióstr.

- Nawet żadnej z Sióstr. Nie wolno ci powtórzyć nawet słowa.

- Wybacz, Siostrze - poprosił pokornie. - To dlatego, że nigdy jeszcze nie słyszałem, by tak krzyczał. Przedtem jego głos docierał do mnie tylko wtedy, kiedy przyzywał Siostrę. Zaniepokoiło mnie to, co mówił. Nigdy go nie słyszałem, a opowiadał takie rzeczy.

- Zdołał się przedrzeć głosem przez nasze osłony. To już się zdarzało. Dlatego wartownicy składają przysięgę, iż nigdy nie powtórzą nic z tego, co zdarzyłoby się im usłyszeć. Zapomnij o wszystkim, co słyszałeś, jeszcze zanim skończymy rozmawiać, chyba że chcesz, byśmy ci pomogli zapomnieć.

Żołnierz potrząsnął przecząco głową, zbyt przerażony, żeby cokolwiek powiedzieć. Siostra Margaret nie lubiła straszyć ludzi, lecz przecież nie można dopuścić, aby ten człowiek paplał z koleżkami nad kuflem piwa o słowach Proroka.

Proroctwa nie są dla pospolitych umysłów. Dotknęła łagodnie ramienia żołnierza.

- Jak się nazywasz?

- Jestem zbrojny Kevin Andellmere, Siostrze.

- Jeśli mi przyrzekniesz, Andellmere, że aż do śmierci nie piśniesz słówka o tym, co tu usłyszałeś, to się postaram, żebyś dostał inny przydział. Najwyraźniej nie nadajesz się do tej służby.

- Dzięki ci, Siostrze. - Żołnierz przyklęknął. - Stokroć wolę stawić czoło i setce pogan z Dzikich, niż słuchać głosu Proroka. Przysięgam na me życie, że będę milczeć.

- Dobrze więc. Wracaj na posterunek, a po służbie powiedz kapitanowi wartowników, że Siostra Margaret rozkazała, byś dostał inny przydział. - Dotknęła jego czoła. - Niech błogosławieństwo Stwórcy spłynie na jego dziecię.

- Dzięki za twoją dobroć, Siostrze.

Odeszła. Idąc wzdłuż wału obronnego, przez niewielką kolumnadę i w dół po krętych schodach, dotarła do oświetlonego pochodnią westybulu przed wejściem do pokojów Proroka. Drzwi strzegli dwaj wartownicy uzbrojeni we włócznie. Skłonili się jednocześnie.

- Dowiedziałam się, że Prorok przemówił poprzez osłony.

- Naprawdę? - Zimne, ciemne oczy strażnika napotkały jej spojrzenie. - Nic nie słyszałem. A ty? - spytał drugiego, nadal patrząc Siostrze w oczy.

Drugi wartownik wsparł się na włócznie, odwrócił głowę, splunął. Potarł brodę wierzchem dłoni.

- Ani słówka. Milczał jak grób.

- Ten dzieciak na gorze mełł językiem? - spytał pierwszy.

- Wiele czasu minęło, od kiedy Prorok zdołał przekazać poprzez osłony coś więcej niż prośbę o przyjście Siostry. Chłopak nigdy nie słyszał głosu Proroka i to wszystko.

- Czy życzysz sobie, byśmy sprawili, że już nic nie usłyszysz? I nie rozpowiesz?

- To nie będzie konieczne. Mam jego przysięgę oraz rozkazałam, żeby mu zmienili przydział.

- Przysięga - skrzywił się wartownik. - Przysięga to tylko paplanina. Prawdziwsze jest krwawe ślubowanie.

- Doprawdy? Mamże więc uznać, że twój ślub milczenia to jedynie paplanina? Powinniśmy sobie zapewnić twoje milczenie w „prawdziwszy” sposób? - Siostra Margaret wpatrywała się w ciemne oczy, aż uciekły w bok.

- Nie, Siostrze. Moja przysięga jest prawdziwa. Spokojnie skinęła głową.

- Czy ktoś jeszcze mógł usłyszeć wrzaski Proroka?

- Nie, Siostrze. Sprawdziliśmy, czy nikt się tu nie kręci, jak tylko zaczął dopominać się o Ksienię. Wszystko było w porządku; postawiłem wartowników przy dalszych wejściach i posłałem po Siostrę. Wcześniej nigdy nie wzywał Ksieni, zawsze tylko Siostrę. Uznałem, że to Siostra, a nie ja, powinna zdecydować, czy budzić Ksienię w środku nocy.

- Dobry pomysł.

- Skoro już tu jesteś, Siostrze, to pójdziemy skontrolować pozostałych. - Znów spochmurniał. - Upewnimy się, że nikt nic nie słyszał.

- Dobrze. Lepiej uważaj, by zbrojny Andellmere nie spadł z muru i nie skręcił karku, bo się tobą zajmę. - Żołnierz mruknął z irytacją, słysząc to. - A jeżeli usłyszysz, że powtarza choć słówko z tego, co tu usłyszał, natychmiast zawiadom o tym którąś z Sióstr.

Weszła do wewnętrznego holu; w połowie pomieszczenia przystanęła, po czym sprawdziła bariery ochronne. Oburącz przycisnęła księgę do piersi i skoncentrowawszy się, szukała wyłomu. Znalazła go i uśmiechnęła się:

maleńkie zwichrowanie w splocie osłon. Prawdopodobnie zabrało to Prorokowi całe lata. Margaret zamknęła oczy i załatała szczelinę; opieczętowała ją takim ładunkiem mocy, który na pewno odstraszy Proroka, jeśli znów spróbuje tego samego. Zadziwił ją jego spryt i upór. No, a niby cóż innego ma do roboty, westchnęła w duchu.

W przestronnych pokojach paliły się lampy. Na jednej ze ścian wisiały gobeliny, a barwne, błękitno-żółte miejscowe dywany zaścielały posadzki. Półki na książki były pustawe, za to otwarte woluminy leżały wszędzie - na fotelach i kanapach, na poduchach na podłodze, grzbietem do góry: ustawione w stosy przy ulubionym fotelu Proroka, przy wygasłym kominku.

Siostra Margaret podeszła do wytwornego biurka ze lśniącego różanego drzewa. Usiadła na wyściełanym krześle i otworzyła leżącą na blacie księgę; przekartkowała ją, aż dotarła do czystej strony u końca zapisków. Proroka nigdzie nie było widać. Pewno wyszedł do ogrodu. Podwójne drzwi do małego ogrodu były otwarte, wpadał przez nie łagodny powiew ciepłego powietrza. Siostra wyjęła z szuflady biurka kałamarz, pióro i mały pojemniczek z delikatnym piaskiem; ustawiła to wszystko obok otwartej księgi prorocत्व.

Uniosła głowę. Prorok stał w półcieniu, w otwartych drzwiach ogrodu i obserwował ją. Odziany był w czarne szaty; nasunął kaptur. Stał nieruchomo, ręce wsunął w przeciwległe rękawy. Wypełniał drzwi nie tylko swą posturą, ale i osobowością.

Margaret odkorkowała kałamarz.

- Dobry wieczór, Nathanie.

Trzema długimi krokami znalazł się w świetle lamp, odrzucił czarny kaptur, odsłaniając proste, sięgające ramion białe włosy. Metalowa obręcz na szyi ledwo wystawała z wycięcia szaty. Zacisnął zęby, a pod czysto wygoloną skórą policzków napięły się mięśnie. Białe brwi ocieniały głębokie, posępne, lazurkowe oczy. Był najstarszym ze znanych Margaret mężczyzn, a mimo to przystojnym. I był szalony. Lub na tyle bystry, że chciał, aby wszyscy uważali go za szaleńca. Nie wiedziała, która z tych możliwości jest prawdziwa. Nikt nie wiedział.

Tak czy owak, był chyba najniebezpieczniejszym z ludzi.

- Gdzie Ksieni? - spytał niskim, groźnym głosem.

- Jest środek nocy, Nathanie. - Margaret chwyciła pióro. - Nie będziemy

budzić Ksieni tylko dlatego, że tak ci się zachciało. Każda Siostra może zapisać przepowiednie. Usiądź i zaczynajmy.

Prorok podszedł do biurka, nachylił się nad Margaret.

- Nie sprawdzaj mnie, Siostro Margaret. To bardzo ważna sprawa.

- I ty mnie nie sprawdzaj, Nathanie. - Spiorunowała go wzrokiem. - Mam ci przypomnieć, że i tak przegrasz? Wyrwałeś mnie z łóża w środku nocy, więc skończmy to jak najszybciej, żebym zdołała się jeszcze choć trochę przespać.

- Prosiłem o Ksienię. To bardzo ważna sprawa.

- Musimy jeszcze rozszyfrować przepowiednie, którymi nas dotąd uraczyłeś, Nathanie. Nie zrobi żadnej różnicy, jeżeli tę podyktujesz mnie, a Ksieni przeczyta ją rano, za tydzień lub za rok.

- Nie mam żadnej przepowiedni do podyktowania.

- Wyrwałeś mnie z łóża dla towarzystwa? - rozzłościła się.

- Masz coś przeciwko temu? - Uśmiechnął się szeroko. - Taka piękna noc. Ty zaś jesteś dość ładną, choć ostrą kobietką. - Przechylił na bok głowę. Nieeee? No cóż, skoro przyszedłeś i musimy mieć jakąś przepowiednię, to może chcesz, żebym opowiedział ci o twojej śmierci?

- Stwórca powoła mnie do siebie, kiedy zechce. Zostawiam to jego woli.

Przytaknął, zapatrzony w dal ponad jej głowę.

- Mogłabyś przysłać mi jakąś kobietę, Siostro Margaret? Ostatnio jestem bardzo samotny.

- Nie do Sióstr należy sprowadzanie dla ciebie nierządnic.

- Ale w przeszłości przysyłały mi kurtyzany, jeśli podyktowałem przepowiednię.

Margaret z przesadną ostrożnością położyła pióro na biurku.

- I ostatnia z nich uciekła, zanim zdążyliśmy z nią porozmawiać. Umknęła na wpół naga i na wpół oszalała. Dotąd nie wiemy, jak ominęła strażę. Obiecałeś, że nie powierysz jej żadnych przepowiedni. Obiecałeś, Nathanie. Rozgadała wszystko, co jej powiedziałeś, nim ją odnalazłyśmy. Rozniosło się to błyskawicznie i wywołało wojnę. Niemal sześć tysięcy ludzi umarło przez to, co powiedziałeś owej młodej kobiecie.

- Nic o tym nie wiedziałem. Naprawdę? - zasmucił się. Margaret zaczerpnęła głęboko powietrza i powiedziała cicho, starając się powściągnąć gniew:

- Sama mówiłam ci to już trzy razy, Nathanie.

- Przepraszam, Margaret. - Spuścił smutne oczy.

- Siostrze Margaret.

- Siostra? Ty? Jesteś o wiele za młoda i zbyt pociągająca, żeby być Siostrą.

Na pewno jesteś dopiero nowicjuską.

- Dobranoc, Nathanie. - Wstała, zamknęła księgę i chciała ją zabrać.

- Usiądź, Siostrze Margaret. - W głosie Proroka znów dźwięczała moc i groźba.

- Nie masz mi nic do powiedzenia. Wracam do łóżka.

- Nie mówiłem, że nie mam ci nic do powiedzenia. Mówiłem, iż nie mam żadnej przepowiedni.

- Skoro nie miałeś wizji i nie masz przepowiedni, to cóż chcesz mi powiedzieć?

Wysunął dłonie z rękawów, wsparł pięści o biurko i przysunął twarz do jej twarzy.

- Siadaj albo nic nie powiem.

Margaret rozważała, czy aby się nie postawić mocą, uznała jednak, że szybciej i łatwiej będzie go wysłuchać. Usiadła.

- No dobrze, już siedzę. O co chodzi?

Prorok nachylił się jeszcze niżej, oczy zrobiły mu się wielkie:

- Przepowiednia się rozwidliła.

- Kiedy!? - Margaret aż się poderwała z krzesła.

- Dzisiaj. Właśnie dziś.

- To dlaczego przywołałeś mnie w środku nocy?

- Zawołałem cię, kiedy tylko to do mnie dotarło.

- Czemu nie poczekałeś z tą wieścią do rana? Rozwidlenia już się zdarzały.

- Ale nie takie. - Prorok potrząsnął głową i uśmiechnął się.

Będę musiała o tym powiedzieć innym, pomyślała z niechęcią Margaret. Nikogo ta wieść nie ucieszy. Z wyjątkiem Warrena - będzie zachwycony, że dostał nową cząstkę łamigłówek. Za to pozostali na pewno nie będą zadowoleni. To oznaczało lata pracy.

Niektóre przepowiednie były z gatunku jeżeli i „wówczas”, rozgałęziały się, rozwidlały na kilka możliwości. Istniały przepowiednie dotyczące każdego odgałęzienia i proroctwa zapowiadające wydarzenia każdego

rozwidlenia. Nawet proroctwa nie zawsze mówiły, które z tych możliwości naprawdę się przydarzą.

Spełniła się właśnie jedna z takich przepowiedni: wskazała, które odgałęzienie będzie prawdziwe, i zrealizowała się jedna z możliwości, proroctwo się rozwidliło, jak to nazywano. Proroctwa dotyczące odrzuconej możliwości stały się zbędne, fałszywe. Rozwidlały się teraz i splatały jak gałęzie drzewa, zaciemniając święte wizje bałamutnymi, sprzecznymi i błędnymi informacjami. Za każdym razem, kiedy przytrafiało się podobne rozwidlenie, musieli jak najstarannie odsiewać takie fałszywe już teraz proroctwa. To była ciężka, żmudna praca. Im dane wydarzenie znajdowało się dalej od rozwidlenia, tym trudniej było ustalić, czy należało do prawdziwej, czy też błędnej linii przepowiedni. Co gorsza, trudno było powiedzieć, czy dwie kolejne przepowiednie są ze sobą powiązane, czy też dotyczą faktów rozdzielonych tysiącami lat. Niekiedy - ale tylko niekiedy - same wydarzenia ułatwiały im ustalenie swojej chronologii. Im więcej czasu mijało od rozgałęzienia, tym trudniej było je powiązać. Mogło to zająć całe lata - i nawet wtedy zdawali sobie sprawę, że wykonali jedynie część roboty. Do dziś nie byli pewni, czy odczytują właściwą przepowiednię, czy też podążają błędnym odgałęzieniem. Dlatego niektórzy uważali, iż proroctwa są w najlepszym wypadku wątpliwe, w najgorszym zaś bezużyteczne. Teraz wiedzieli o rozwidleniu. Co ważniejsze odkryli, które odgałęzienie jest prawdziwe, a które nie - zyskali cenną wskazówkę.

Margaret z powrotem usiadła.

- Jak ważne jest proroctwo, które się rozwidliło?

- Fundamentalna przepowiednia. Najważniejsza.

Dziesięciolecia. To zajmie nie lata, a dziesięciolecia. Fundamentalna przepowiednia dotyczyła niemal wszystkiego. Margaret zadrżała. To jakby im nagle odebrano wzrok. Nie mogą się na niczym wesprzeć, niczemu zaufać, dopóki nie odrzucą splamionego owocu fałszywego odgałęzienia.

- Wiesz, która się rozwidliła? - Spojrzała Prorokowi w oczy.

- Wiem, które odgałęzienie jest fałszywe, a które nie. - Uśmiechnął się dumnie. - Wiem, co się wydarzyło.

Przynajmniej tyle. Margaret poczuła dreszczyk emocji. Gdyby Nathan mógł jej powiedzieć, które odgałęzienie jest prawdziwe, a które fałszywe, wyjaśnić istotę każdej gałęzi... bardzo by im to pomogło. Proroctwa nie

układały się chronologicznie, więc nie mogli zwyczajnie prześledzić odgałęzienia. Informacja Nathana zapewniłaby im dobry początek, wiedzieliby, gdzie zacząć. Najważniejsze, że dowiedzieli się o tym właśnie teraz - akurat wtedy, kiedy się to wydarzyło, a nie całe lata później.

- Dobrze postąpiłeś, Nathanie. - Uśmiechnął się jak dziecko pochwalone przez matkę. - Przysuń sobie krzesło i opowiedz mi o rozgałęzieniu.

Rozgorączkowany Prorok uczynił, co chciała. Wiercił się, jak szczeniaczek trzymający w pyszczku patyk. Obym tylko nie musiała go zranić, żeby wydrzeć mu ów patyk, pomyślała Margaret.

- Czy mógłbyś wypowiedzieć to rozwidlone proroctwo, Nathanie?

- Na pewno chcesz je usłyszeć, Siostrze Margaret? - W oczach Proroka zalśniły psotne ogniki. - Proroctwa są niebezpieczne. Kiedy ostatnio powierzyłem jedno pewnej ładnej pannie, umarły tysiące. Sama tak powiedziałaś!

- Proszę cię, Nathanie. Późno już. To bardzo ważne.

- Nie pamiętam zbyt dokładnie słów - spoważniał. Margaret nie uwierzyła mu: gdy szło o proroctwa, Nathan widział ich słowa, jak gdyby wryto je na kamiennej tabliczce. Położyła uspokajająco dłoń na ramieniu Proroka.

- To zrozumiałe. Wiem, jak trudno zapamiętać każde słowo. Powiedz to, co sobie przypomnisz.

- No cóż, spróbujmy. - Zapatrzył się w sufit, skubiąc palcami brodę. - Dotyczy to kogoś z D'Hary, kto omroczyłby cały świat, licząc cienie.

- Znakomicie, Nathanie. Pamiętasz jeszcze coś? - Wiedziała, że pamięta każde słowo, ale uwielbiał, gdy go proszono. - Ogromnie by mi to pomogło.

Przypatrywał się jej przez chwile, a potem skinął głową.

- *Pod tchnieniem zimy rozkwitną liczne cienie. Jeżeli dziedzic d'haranskiej pomsty zliczy je właściwie, to jego cień omroczy świat. Jeśli zaś się omyli, straci życie.*

Istotnie, rozgałęzienie przepowiedni. Wczoraj był pierwszy dzień zimy. Margaret знаła to proroctwo, choć nie wiedziała, co ono znaczy. Roztrząsano jego słowa i debatowano nad nimi, zastanawiając się, kiedy się spełnią.

- Które odgałęzienie się sprawdziło?

- Najgorsze - odparł ponuro.

- Padnie na nas cień tego z D'Hary? - Margaret bawiła się guzikami.

- Powinnaś uważniej studiować proroctwa, Siostrze. To mówi dalej: *Jeśliby zaś uwolnione zostały siły zatury, to światem zawładnie jeszcze mroczniejsza pasja, wypływająca przez to, co zostało rozdarte. Nadzieja wybawienia zawisnie na białej klindze zrodzonego z prawdy.* - Nachylił się ku niej i szepnął; - Tym o jeszcze mroczniejszych pasjach może być tylko Władca Chaosu.

- Oby Stwórca osłonił nas swoim blaskiem - wyszeptała.

- Proroctwo nie wspomina, czy Stwórca pospieszy nam na pomoc, Siostrze - zakpił. - Jeżeli szukasz obrony, podąż lepiej właściwym odgałęzieniem. Tak właśnie on zapewnił ci światełko nadziei dla obrony przed tym, co nadejdzie.

- Nie wiem, co oznacza ta przepowiednia, Nathanie. - Margaret wygładziła szatę na kolanach. - Nie możemy podążyć prawdziwym czy fałszywym odgałęzieniem, skoro nie wiemy, co to znaczy. Mówiłeś, że to wiesz. Powiesz mi? Powiesz mi proroctwo dla każdego odgałęzienia, dla każdej drogi, żebyśmy mogli pójść właściwą?

- *Pod rządami Pana pomsta wytrzebi przeciwników. Rozszaleją się beznadzieja, rozpacz i przerażenie.* - Spojrzał na nią znacząco. - To prowadzi w fałszywe odgałęzienie.

- A prawdziwe? - spytała, dumając, jak to możliwe, żeby prawdziwa przepowiednia była gorsza od tej.

- Proroctwo bliskie prawdziwemu odgałęzieniu mówi: *Kiedy ustąpią mroki, ze wszystkich, co byli, pozostanie jedynie ów zrodzony z magii, by wydobyć prawdę. Potem idzie najmroczniejszy podstęp śmierci. By ocalić więzy życia, kobieta w bieli ma być ofiarowana swemu ludowi, co przyniesie radość i otuchę.*

Margaret zadumała się nad obiema przepowiedniami. Nie pamiętała ich. Pierwsza wydawała się względnie jasna, łatwa do zrozumienia. Tak czy owak, umożliwi im prześledzenie błędnego odgałęzienia. Druga była bardziej pokrętna, bardziej zawoalowana, choć prawdopodobnie po jakimś czasie będzie ją można rozwikłać. Siostra uznała, że dotyczy ona Spowiedniczki. Określenie „kobieta w bieli” oznaczało Matkę Spowiedniczkę.

- Dziękuję, Nathanie. To ułatwi nam prześledzenie błędnego odgałęzienia. Z właściwym będzie trudniej, ale poradzimy sobie, mając tę drugą przepowiednię. Poszukamy proroctw wywodzących się od owego wydarzenia. Ona ma dać szczęście swemu ludowi. - Margaret uśmiechnęła

się leciutko. - Może zostanie zaślubiona albo coś w tym rodzaju.

Prorok zamrugał oczami, potem odrzucił głowę w tył i zawył. Poderwał się na nogi; ryczał śmiechem, aż się zakrztusił i rozkaszłał. Znow patrzył na Margaret, a twarz miał czerwoną.

- Wy nadęte idiotki! Puszycie się niczym pawice, jakbyście zrobiły coś ważnego, jakbyście w ogóle wiedziały, co robicie! Przypominacie mi stadko rozgdakanych kur, sądzących, że pojadły wszystkie rozумы! Rzucam wam do stóp ziarno przepowiedni, a wy kwoczecie, drapiecie w pyle i wydziobujecie ziarno żwiru!

- Dość tego, Nathanie. - Po raz pierwszy, odkąd została Siostrą, poczuła się mała i głupia.

- Idiotki! - wysyczał.

Pochylił się nad nią tak nagle, że się wystraszyła. Instyktownie użyła mocy. Padł na kolana. Złapał się za serce i z trudem łapał oddech. Margaret natychmiast wycofała moc; żałowała tej wywołanej strachem reakcji.

- Wybacz, Nathanie. Przestraszyłeś mnie. Nic ci nie jest?

Chwycił oparcie krzesła i podniósł się, sapiąc z wysiłku. Dał znak, że wszystko w porządku. Siostra siedziała nieruchomo, zażenowana, czekając, aż Prorok przyjdzie do siebie.

- Przestraszyłem cię? Ja? - Uśmiechnął się ponuro. - A chcesz się naprawdę wystraszyć? Chciałabyś, żebym ci pokazał prorocstwo? Nie przekazał słowami, lecz pokazał? Zademonstrował ci, co się ma ewentualnie wydarzyć? Nigdy przedtem nie zrobiłem tego dla żadnej Siostry. Badacie przepowiednie i sądźcie, że rozszyfrowujecie ich znaczenia ze słów, ale nic nie rozumiecie. One nie działają w ten sposób.

- Co to znaczy „nie w ten sposób”? - Pochyliła się ku niemu. - Mają przepowiadać, i to właśnie czynią.

- Tylko częściowo. - Potrząsnął głową. - Są przekazywane przez mających dar, przez proroków jak ja. I mają być odczytywane i rozumiane poprzez dar oraz mających go, a nie podkradane przez podobne tobie, obdarzone mocą osoby.

Wyprostował się, otoczył aurą powagi i znaczenia; Margaret wpatrywała się w jego twarz. Nigdy przedtem nie słyszała o czymś takim. Nie wiedziała, czy Prorok mówi prawdę, czy to słowa przywołane gniewem. Lecz jeśli to była prawda...

- Wszystko, co możesz mi powiedzieć lub pokazać, Nathanie, będzie bardzo pomocne. Wszyscy walczymy po stronie Stwórcy. Jego sprawa musi zatriumfować. Stronnicy Bezimiennego nieustannie próbują nas uciszyć. Tak, chcę, żebyś mi pokazał, jeżeli możesz to uczynić, jak ma się ewentualnie spełnić proroctwo.

Nathan wyprostował się i patrzył na Siostrę płonącymi oczami. W końcu powiedział miękko:

- Dobrze, Siostrzo Margaret. - Nachylił się ku niej z tak dziwną miną, że się zaniepokoiła. - Patrz mi w oczy - szepnął. - Zatrać się w nich.

Wpatrzyła się. Ich głęboki lazur rozlewał się coraz szerzej, aż Margaret miała wrażenie, że spogląda w jasne, błękitne niebo. Zdawało się jej, iż Prorok za nią oddycha.

- Wypowiem znów proroctwo prawdziwego odgałęzienia, ale tym razem pokażę ci, co się stanie. - Zastłuchana Margaret unosiła się swobodnie. - *Ze wszystkich, co byli, pozostanie jedynie ów zrodzony z magii, by wydobyć prawdę...*

Słowa uleciały i Siostra zobaczyła proroctwo, jakby to była wizja. Znalazła się w niej; nie przebywała już w pałacu, lecz w wizji.

Ujrzała piękną długowłosą kobietę w białej atlasowej szacie - Matkę Spowiedniczkę. Widziała, jak inne Spowiedniczki ginęły z rąk bojówek wysyłanych z D'Hary i odczuła bijącą z tych wydarzeń straszliwą grozę. Zobaczyła najbliższą przyjaciółkę owej kobiety, jej siostrę Spowiedniczkę, umierającą w jej ramionach. Współczuła Matce Spowiednicze.

Potem Margaret spostrzegła Matkę Spowiedniczkę przed obliczem tego z D'Hary, który posłał bojówki, by zabiły inne Spowiedniczki. Przystojny mężczyzna w bieli stał przed trzema szkatułami. Każda z nich, ku zdumieniu Margaret, rzucała odmienną liczbę cieni. Mężczyzna w białych szatach dopełniał rytuału: rzucał złowrogie zaklęcia, uroki zaświatów. Czynił tak do późnej nocy, całą noc aż do wschodu słońca. Nastął świt i Margaret jakoś wiedziała, że to właśnie ten dzień. Patrzyła na to, co się działo tego dnia, który upływał.

Mężczyzna w bieli zakończył przygotowania. Stał przed szkatułami. Uśmiechnął się, sięgnął i otworzył środkową, rzucającą dwa cienie. Najpierw oblał go blask płynący ze szkatuły, lecz potem uwolniona ze skrzyneczki magia zawirowała wokół niego w błysku mocy i odebrała mu życie. Źle wybrał - zapłacił życiem za magię, do której rościł sobie prawa.

Siostra zobaczyła Matkę Spowiedniczkę u boku mężczyzny. Mężczyzny, którego kochała. Czowała jej szczęście. Takiej radości owa kobieta nigdy przedtem nie zaznała. Serce Margaret przepęłniła błogość, jaką odczuwała tamta u boku ukochanego. Wizja ukazywała to, co się właśnie działo.

Potem umysł Margaret pomknął naprzód. Ujrzała wojnę i śmierć pustoszące kraj. Widziała, z jak przewrotną, chorobliwą rozkoszą Opiekun zaświatów niósł śmierć światu żywych. Patrzyła na to i drżała z przerażenia.

I znów proroctwo poniosło ją w przyszłość, ku wielkiemu, gęstemu tłumowi. W jego centrum, na masywnym podwyższeniu stała Matka Spowiedniczka. Ludzie byli podekscytowani i w podniosłym nastroju.

Było to radosne wydarzenie, które przyniosłoby rozwidlenie przepowiedni; jedno z tych rozwidleń, jakie trzeba właściwie przeżyć, by ocalić świat przed czyhającą ciemnością. Siostrze udzielił się świąteczny nastrój rzesz. Zastanawiała się, radośnie podekscytowana, czy Matka Spowiedniczka poślubi za chwilę swego ukochanego i czy to właśnie o tym wydarzeniu przepowiednia głosiła, że przyniesie radość ludziom. Z całego serca pragnęła, by tak się stało.

Lecz coś było nie tak. Zadowolenie Margaret zniknęło, poczuła lodowate dreszcze.

Z przykrością spostrzegła, że Matka Spowiedniczka ma związane ręce i że obok niej nie stoi ukochany, lecz jakiś mężczyzna w czarnym kapturze, dzierzący wielki topór. Smutek Margaret zmienił się w przerażenie.

Dłoń zmusiła Matkę Spowiedniczkę, by uklękła, złapała ją za włosy i przycisnęła twarz skazanej do pniaka. To była ta sama kobieta, choć teraz włosy miała krótkie, a nie długie jak przedtem. Z zamkniętych oczu Matki Spowiedniczki płynęły łzy. Jej biała szata lśniła w promieniach słońca. Siostra nie mogła złapać tchu.

Uniósł się wielki półksiężyc topora. Błysnął w słońcu i mocno uderzył w pniak. Margaret wstrzymała oddech. Głowa Matki Spowiedniczki spadła do kosza, a tłum wrzasnął radośnie.

Bluznęła krew i splamiła białą szatę; bezgłowe, martwe ciało osunęło się na deski. Krew dalej płynęła, biel szaty zmieniała się w czerwień. Tyle krwi. Rzesze ryczały w zachwycie.

Margaret jęknęła z przerażenia. Poczwała mdłości. Nathan pochwycił ją, kiedy - płacząc i szlochając - osuwała się z krzesła, i przytulił tak, jak ojciec

tuli przerażoną córkę.

- Czy właśnie to zdarzenie ma przynieść ludowi radość, Nathanie? Czy to właśnie musi się zdarzyć, by świat żywych został ocalony?

- Tak - odparł cicho. - Niemal każda przepowiednia we właściwej gałęzi stanowi rozwidlenie. Jeżeli świat żywych ma ocaleć przed Opiekunem zaświatów, to każde zdarzenie musi trafić we właściwą gałąź. W tej przepowiedni lud powinien się radować, widząc śmierć Matki Spowiedniczki, bo w drugiej gałęzi jest wieczny mrok zaświatów. Nie wiem, dlaczego tak właśnie jest.

Margaret łkała, wtulona w krzepkie ramiona Proroka.

- O łaskawy Stwórco - szlochała - ulituj się nad swoim biednym dziećciem. Daj jej siłę.

- W walce z Opiekunem nie ma litości.

- Ach, Nathanie! Czytałam przepowiednie o śmierci ludzi, ale to były tylko słowa. Wizja tego zraniła moją duszę.

- Wiem. Dobrze to znam. - Poklepał ją pocieszająco. Margaret odsunęła się i otarła łzy.

- Czy to prawdziwa przepowiednia, następstwo tej, która się dziś rozwidliła?

- Tak.

- I w ten sposób trzeba je oglądać?

- Tak. W ten sposób do mnie napływają. Pokazałem ci, jak je widzę. Razem z wizją przychodzą słowa; słowa do spisania, aby niepowołani nie oglądali wizji zdarzeń, lecz by dostrzegli ją ci, dla których jest przeznaczona. Żeby ujrzeli ją po przeczytaniu słów. Nigdy przedtem nie pokazywałem nikomu proroctwa.

- To dlaczego pokazałeś je mi?

Patrzył na nią przez chwilę ze smutkiem.

- Walczymy z Opiekunem, Margaret. Musisz znać niebezpieczeństwo, które nam zagraża.

- Zawsze walczyliśmy z Opiekunem.

- Tym razem to coś innego.

- Muszę powiedzieć pozostałym. Muszę powiedzieć, co możesz im pokazać. Twoja pomoc ułatwi nam zrozumienie proroctw.

- Nie. Innym nie pokażę tego, co tobie. Nie zrobię tego, choćby nie wiem

jaki ból mi zadały. Nigdy więcej nie zrobię tego ani dla ciebie, ani dla żadnej innej Siostry.

- Dlaczego?

- Bo nie jesteście powołane, by je oglądać. Macie je tylko czytać. - Ale tak nie może być...

- Tak właśnie ma być, w przeciwnym bowiem razie wasz dar ujawniłby je wam. Nie jesteście powołane, aby oglądać proroctwa, tak jak ci o pospolitych umysłach nie są powołani, żeby je słyszeć.

- Lecz to by nam pomogło.

- Nie więcej niż owej dziewczynie czy tysiącom, które zginęły, pomogło to, co jej powiedziałem. Tak jak wy wieżecie mnie tu, by niepowołani nie słyszeli mych słów, tak i ja muszę utrzymywać w niewiedzy każdego poza innym prorokiem. Taka jest wola tego, który zesłał dar i wszystko inne. Gdyby chciał, obdarzyłby cię zdolnością widzenia proroctw. Nie uczynił tego jednak.

- Są inni, Nathanie, którzy cię przymuszają.

- Nie odsłonię im tego, choćby nie wiem co mi uczynili. Mogą mnie nawet zabić. - Pochylił ku niej głowę. - Niczego nie spróbują, chyba że im to wszystko zdradzisz.

Margaret wpatrywała się weń: widziała go teraz w zupełnie innym świetle. Żaden nie był tak przebiegły. Nigdy nie mogły mu ufać. Tamci powiedzieli prawdę o swoim darze i możliwościach. Wiedziały, że Nathan kłamał, że taił przed nimi, co potrafi. Zastanawiała się teraz, co jeszcze Prorok wie o swoich zdolnościach.

- Do śmierci nie zdradzę tego, co mi pokazałeś, Nathanie.

- Dziękuję, dziecko. - Zamknął oczy i skinął głową.

Inne Siostry skarciłyby go, gdyby się tak do nich odezwał. Margaret do nich nie należała. Wstała i wygładziła szatę.

- Rankiem powiem tym w kryptach, że przepowiednia się rozwidliła i które proroctwo dotyczy prawdziwej, a które fałszywej gałęzi. Rozszyfrują je najlepiej, jak zdołają, zgodnie z talentami, którymi obdarzył ich Stwórca.

- Tak właśnie ma być.

Margaret włożyła do szuflady biurka kałamarz, pióro i pojemniczek z piaskiem.

- Dlaczego chciałeś, żeby przyszła Ksieni, Nathanie? Nie przypominam

sobie, byś kiedykolwiek o to prosił.

Spostrzegła, iż zimno i obojętnie się jej przygląda.

- Ta wiedza, Siostrze Margaret, również nie jest przeznaczona dla ciebie. Czy będziesz mnie dręczyć, żeby mi ją wydrzeć?

- Nie, Nathanie, nie zrobię tego. - Wzięła z biurka księgę prorocत्व.

- Przekażesz Ksieni wiadomość ode mnie? Skinęła głową, powstrzymując łzy.

- Co mam jej od ciebie powiedzieć?

- Czy i to zabierzesz ze sobą do grobu, a przekażesz tylko Ksieni i nikomu poza nią?

- Jeżeli tak sobie życzysz, choć nie rozumiem dlaczego. Możesz ufać Siostrze...

- Nie. Chcę, żebyś mnie usłuchała, Margaret. Jeśli walczysz z Opiekunem, nie możesz ufać nikomu. Podejmuję ogromne ryzyko, zawierając tobie i Ksieni. Nie wierz nikomu. - Krzaczaste brwi nadawały mu groźny wygląd. - Tylko ci mogą cię zdradzić, którym ufasz.

- Więc dobrze, Nathanie. Co to za wiadomość? Wpatrywał się w nią bacznie. W końcu wyszeptał:

- Powiedz jej, że kamyk wpadł do stawu.

- Co to znaczy? - Zdumiała się Margaret.

- Dość się już wystraszyłaś, dziecko. Nie wystawiaj swej wytrzymałości na nową próbę.

- Siostrze Margaret, Nathanie - poprawiła go łagodnie. - Nie jestem „dziecko”, lecz Siostra Margaret. Traktuj mnie, proszę, z należyтым szacunkiem.

- Wybacz, siostrze Margaret. - Uśmiechnął się. Czasem przechodziły ją ciarki pod jego spojrzeniem. - Jeszcze jedno, Siostrze Margaret.

- Tak?

Stał łzę z jej policzka.

- Nic nie wiem o twojej śmierci. - Westchnęła w duchu z ulgą. - Ale wiem o czymś ważnym związanym z tobą. Ważnym w walce z Opiekunem.

- Powiedz mi, co to takiego, jeśli ma mi to pomóc skąpać świat w blasku Stwórcy.

Miała wrażenie, iż nagle patrzy na nią z wielkiej dali.

- Wkrótce nadejdzie czas, że przypadkowo się na coś natkniesz i

będziesz chciała poznać odpowiedź na pytanie. Nie wiem, jakie to pytanie, lecz przyjdź do mnie, kiedy zechcesz poznać odpowiedź, bo będę ją znać. Tego też nie możesz nikomu powiedzieć.

- Dziękuję, Nathanie. - Dotknęła jego dłoni. - Niech błogosławieństwo Stwórcy spłynie na jego dziecię.

- Nie dziękuję, Siostró. Już niczego więcej nie pragnę od Stwórcy. Wpatrywała się weń ze zdumieniem.

- Bo trzymamy cię tu w zamknięciu?

- Są rozmaite więzienia, Siostró. - Znów się uśmiechał. - Błogosławieństwa, którymi on mnie obdarza, są skażone. Tylko jedno jest gorsze od dotknięcia przez Stwórcę. To dotknięcie Opiekuna. Lecz nawet tego nie jestem pewny.

Margaret cofnęła dłoń.

- Będę się za ciebie modlić, Nathanie.

- Skoro tak się o mnie troszczysz, to uwolnij mnie.

- Przykro mi, ale nie mogę tego uczynić.

- Czyli nie chcesz tego uczynić.

- Myśl sobie, co chcesz, lecz musisz tu pozostać. Odwrócił się od niej. Ruszyła ku drzwiom.

- Siostró? Przyślesz mi jakąś kobietę? Na noc lub dwie? Cierpienie w głosie Nathana niemal przyprawiło ją o łzy.

- Sądziłam, że wyrosłeś już z tych lat. Powoli obrócił się ku niej.

- Masz kochankę, Siostró Margaret.

Zachwiała się. Skąd wiedział? Nie wiedział - *zgadywał*. Była młoda, podobała się niektórym. Prawdopodobnie interesowała się mężczyznami. Tylko *zgadywał*. Jednakże żadna z Sióstr nie wiedziała, co potrafił. Tylko temu jednemu czarodziejowi nie mogły wierzyć, iż im powiedział prawdę o swoich zdolnościach.

- Słuchasz plotek, Nathanie? Uśmiechnął się.

- Powiedz mi, Siostró Margaret, czy wyznaczyłaś sobie jakiś dzień w przyszłości, kiedy to będziesz już za stara na miłość, choćby na miłość jednej nocy? W jakim to wieku, Siostró, stajemy się za starzy na miłość, przestajemy odczuwać jej potrzebę?

Stała przez chwilę milcząca i zawstydzona.

- Sama pójdę do miasta, Nathanie, i przyprowadzę ci kobietę.

Choćbym sama musiała jej zapłacić. Nie obiecuję, że ucieszy twoje oczy, bo nie wiem, co się im podoba, lecz zadbam, żeby miała dobrze poukładane w głowie, bo chyba cenisz to bardziej, niż się przyznajesz.

- Dziękuję, Siostrze Margaret. Zobaczyła łzę, spływającą z oka Nathana.

- Ale obiecaj, że nie powiesz jej żadnej przepowiedni.

- Oczywiście, Siostrze. - Skłonił z lekka głowę. - Klnę się słowem czarodzieja.

- Mówię poważnie, Nathanie. Nie chcę być współwinna śmierci ludzi. Nie tylko mężczyźni ginęli w tamtych bitwach, kobiety również. Nie zniósłabym świadomości, iż się do tego przyczyniłam.

- Nawet wtedy, Siostrze Margaret - Nathan uniósł brwi - gdyby jedna z tych kobiet, o ile przeżyłaby, urodziła syna, który wyrósłby na krwawego tyrana, dręczącego i mordującego tysiące niewinnych ludzi, w tym kobiety i dzieci? Nawet wtedy, Siostrze, gdybyś miała możliwość zlikwidowania rozwidlenia tej straszliwej przepowiedni?

Margaret zamarła ze zdumienia. W końcu się otrząsnęła.

- Czyżbyś mówił, Nathanie... - wyszeptała.

- Dobranoc, Siostrze Margaret - odwrócił się i odszedł w samotność swego niewielkiego ogrodu, naciągając po drodze kaptur.

ROZDZIAŁ 6

Wiatr uderzał w nią, szarpał odzieniem. Kahlan z zadowoleniem pomyślała, że tym razem przynajmniej związała włosy, które tak się przecież wczoraj splątały. Z całych sił wczepiła się w Richarda, przytuliła policzek do jego pleców i mocno zacisnęła powieki.

To się znów działo - mdlące uczucie, że nabiera ciężaru, a żołądek zaciska się jej jak pięść. Bała się, iż zwymiotuje. Obawiała się otworzyć oczy. Wiedziała, co się działo, kiedy czuła się taka ciężka. Richard zawołał, żeby popatrzyła.

Dziewczyna leciutko uchyliła powieki i zerknęła. Tak jak przypuszczała, świat był nachylony pod jakimś dzikim kątem. Zakręciło się jej w głowie. Czy smoczyca musiała się aż tak przechylać, kiedy skręcała?! Jakaś siła przygniatała Kahlan do czerwonych łusek. Dziewczyna nie miała pojęcia, dlaczego nie spada. Richard tłumaczył jej, że to tak samo, jak wtedy, gdy kołujesz wiadrzem pełnym wody i woda się nie wylewa. Ona sama nigdy nie kręciła nad głową wiadrzem wody; nie całkiem wierzyła, że woda się wtedy nie wylewa. Spojrzała tęsknie na ziemię i wreszcie dostrzegła, co Richard jej wskazywał - wioskę Błotnych Ludzi.

Siedzący przed Richardem Siddin pisnął radośnie, kiedy wielkie, skórzaste skrzydła Scarlet złapały ciąg i wpadli w ciasną spiralę. Czerwona smoczyca pikowała ku ziemi. Żołądek Kahlan miał ochotę podejść do gardła. Jak oni mogli to lubić, dziwiła się. Uwielbiali to. Uwielbiali! Rozpostarli szeroko ramiona i śmiali się z zachwytu zupełnie jak mali chłopcy. Cóż, jeden istotnie był małym chłopcem i miał do tego prawo, pomyślała Kahlan.

Nagle i ona się uśmiechnęła, a potem roześmiała. Nie dlatego, iż leciała na smoczyce, lecz z radości, że Richard był taki szczęśliwy. Latałyby na smoku nawet i codziennie, byle tylko widzieć go takim roześmianym i szczęśliwym. Wyprostowała się i pocałowała go w kark. Richard opuścił ręce i pogładził nogi dziewczyny. Zacisnęła je mocniej wokół niego i na chwilę zapomniała o mdłościach.

Richard zawołał do Scarlet, żeby wylądowała na pustym placu w środku wioski. Słońce niemal już zaszło, jego ukośne promienie oświetlały stojące kręgiem brązowe chaty z błotnych cegieł. Kahlan czuła słodko pachnący dym

kuchennych palenisk. Ludzie biegli, żeby się ukryć, ciągnąc za sobą długie cienie. Kobiety uciekały od palenisk, mężczyźni z wiat, gdzie wyrabiali broń; wszyscy krzyczeli i nawoływali się.

Oby się tylko zbyt nie przerazili, pomyślała Kahlan. Kiedy Scarlet była tu ostatnio, przyniosła na grzbiecie Rahla Posępnego, a on zabił wielu ludzi, gdy nie znalazł Richarda. Mieszkańcy wioski nie wiedzieli, że Rahl ukradł jajo smoczycy i tym zmusił ją, by nosiła go, dokąd chciał. Ale nawet i bez Rahla na grzbiecie czerwony smok byłby uważany za śmiertelne zagrożenie. Ona też uciekałaby ile sił w nogach, gdyby zobaczyła czerwonego smoka. Te były najbardziej przerażające ze wszystkich i nikt nie pomyślałby, że z czerwonym smokiem można robić coś innego, niż próbować go zabić albo uciekać przed nim.

Nikt inny poza Richardem. Tylko on mógł wpaść na pomysł, by pomóc smoczycy i zaprzyjaźnić się z nią. Z narażeniem życia odebrał jajo Scarlet chimerom, które strzegły go z rozkazu Rahla, oddał je smoczycy, a w zamian ta mu pomogła. Teraz zaś byli przyjaciółmi na śmierć i życie, choć Scarlet nadal twierdziła, że pewnego dnia schrupie chłopaka. Kahlan podejrzewała, iż był to ich prywatny żarcik, bo Richard zawsze się śmiał, kiedy smoczycza tak groziła. Przynajmniej miała nadzieję, że był to żart, lecz nie była całkiem pewna. Dziewczyna spojrzała na leżącą w dole wioskę. Byle tylko łucznicy nie zaczęli szyć w Scarlet swoimi zatrutymi strzałami, zanim zobaczą, kogo niesie, pomyślała.

Siddin rozpoznał nagle rodzinną chatę. Wskazywał na nią i paplał coś do Richarda w języku Błotnych Ludzi. Ten nie zrozumiał ani słowa, ale się uśmiechnął i zmierzwił chłopcu włoski. Złapali się mocno kolców na plecach Scarlet, bo smoczycza wyszła z ostrego pikowania. Osiadła na ziemi, wzbijając wielkimi skrzydłami tumany kurzu.

Richard posadził sobie Siddina na ramionach i stanął na grzbiecie Scarlet. Chłodny wiaterek rozwiał kłęby pyłu, ukazując pierścień łuczników. Ich zatrute strzały celowały w trójkę na smoczycy. Kahlan wstrzymywała oddech.

Siddin, uśmiechnięty od ucha do ucha, machał rączkami nad głową tak, jak poradził mu Richard. Scarlet opuściła łeb, żeby Błotni Ludzie dobrze wiedzieli, kto jest na jej grzbiecie. Zdziwieni łowcy ostrożnie opuścili łuki. Kahlan odetchnęła z ulgą, widząc, że już nie napinają cięciw.

Zza kręgu Błotnych Ludzi wyszła postać w skórzanych spodniach i takiejż bluzie. Długie srebrzyste włosy spływały jej na ramiona. Był to Człowiek Ptak, z osłupiałą miną.

- To ja, Richard! Wróciłem! Dzięki waszej pomocy pokonaliśmy Rahla Posępnego. Przywieźliśmy synka Savidlina i Weselan.

Człowiek Ptak patrzył na tłumaczącą te słowa Kahlan. Promienny uśmiech rozjaśnił jego spaloną słońcem twarz.

- Z otwartymi ramionami witamy was oboje, którzy powróciliście do swego ludu.

Wśród łowców gromadziły się kobiety i dzieci; ciemne, przyлизane błotem włosy okalały zadziwione twarze. Scarlet pochyliła nisko cielsko i Richard ześliznął się po jej barku, z tupnięciem lądując na ziemi. Jednym ramieniem podtrzymywał Siddina, drugim pomógł zsiąść Kahlan. Dziewczyna z radością poczuła ziemię pod nogami.

Weselan przecisnęła się przez tłum i biegła ku nim, Savidlin tuż za nią. Wołał synka. Siddin radośnie wyciągnął do niej rączki i wpadł w ramiona matki. Kobieta śmiała się i płakała, usiłując jednocześnie uściskać wszystkich troje - Siddina, Richarda i Kahlan. Siddin głaskał plecy synka i patrzył na Kahlan i Richarda wilgotnymi oczami.

- Był dzielny jak każdy łowca - powiedziała mu dziewczyna.

Mężczyzna z dumą skinął głową. Patrzył przez chwilę na dziewczynę, a potem lekko ją klepnął.

- Moc Spowiedniczce Kahlan.

Odwzajemniła klepnięcie i pozdrowienie, a łowca przytulił ją z całych sił. Kiedy wreszcie wypuścił ją z objęć, poprawił zarzuconą na ramiona skórę kojota będącą oznaką starszego i spojrzał na Richarda. W zdumieniu potrząsnął głową. A potem poczęstował chłopaka potężnym ciosem w szczękę, co oznaczało szczery podziw dla krzepy tegoż.

- Moc Richardowi Popędliwemu.

Kahlan wolałaby, żeby Savidlin tego nie robił. Po oczach Richarda widziała, że podobnie jak wczoraj znów boli go głowa. Dziewczyna miała nadzieję, że mu to przejdzie po solidnym śnie w jaskini Scarlet. Siddin do upadłego bawił się z czerwonym smoczątkiem, potem umościł się pomiędzy Kahlan a Richardem i zasnął.

Dziewczyna nie spała od wielu dni, sądziła więc, że nie będzie miała

żadnego kłopotu z zaśnięciem. Nie mogła jednak się napatrzeć na Richarda. W końcu położyła mu głowę na ramieniu, ujęła jego rękę w dłoń i z uśmiechem zasnęła. Wszyscy troje potrzebowali wypoczynku. Chłopaka dręczyły złe sny, parę razy rzucał się, zlany zimnym potem. Nic nie mówił, ale oczy zdradzały, że głowa nadal go bolała. Nie dał jednak nic po sobie poznać i uprzejmie odwzajemnił cios Savidlina.

- Moc Savidlinowi, mojemu przyjacielowi.

Powitań dopełniono, dusze zabezpieczono. Teraz Savidlin nie szczędził uśmiechów i klepięć w plecy. W końcu Richard przywitał się z Człowiekiem Ptakiem i przemówił do mieszkańców wioski.

- Ta oto dzielna i szlachetna smoczyca Scarlet - wołał głośno, żeby wszyscy mogli go słyszeć, choć nie rozumieli ani słowa - pomogła mi zabić Rahla Posępnego i pomścić naszych pomordowanych współplemieńców. Przyniosła nas tutaj, by Siddin wrócił do swoich i by rodzice nie musieli się już o niego bać. Scarlet jest moją przyjaciółką, przyjaciółką Błotnych Ludzi.

Oślupiali mieszkańcy wioski słuchali tłumaczenia Kahlan. Łowcy pęczniali z dumy, że wróg Błotnych Ludzi został zabity przez swojaka - choćby nawet i swojaka z wyboru, a nie z urodzenia. Błotni Ludzie szanowali siłę i moc, a zabicie tego, który krzywdził ich lud, to właśnie dla nich oznaczało.

Scarlet opuściła łeb i nerwowo zastrzygła uszami. Żółte ślepie łypnęło gniewnie na Richarda.

- Przyjaciółka! Czerwone smoki nie przyjaźnią się z ludźmi! Oni wszyscy się nas boją!

- Jesteś moją przyjaciółką. - Chłopak się uśmiechnął. - A ja jestem człowiekiem.

- Phi! - Smoczyca dmuchnęła nań dymem. - Jeszcze cię kiedyś zjem.

Richard uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wskazał na Człowieka Ptaka.

- Widzisz tego mężczyznę? Dał mi gwizdek, który pomógł mi uratować twoje jajo. Gdyby nie ów gwizdek, chimery zjadłyby twoje małe. - Pogładził jaskrawoczerwony pysk. - A to taki wspaniały malec.

Scarlet przechyliła łeb, wielkie żółte ślepie spojrzało na Człowieka Ptaka.

- On byłby gorszym kąskiem. - Znów patrzyła na Richarda, a zduszony śmiech dudnił jej w gardle. - Cała ta wioska nie wystarczyłaby na porządny posiłek. Szkoda zachodu. - Przysunęła łeb do chłopaka. - Skoro są twoimi

przyjaciółmi, Richardzie Cypher, to są i moimi.

- Jego nazywają Człowiekiem Ptakiem, Scarlet, bo kocha latające stworzenia.

- Naprawdę? - Smoczyca uniosła łuskowate brwi, przysunęła łeb do Człowieka Ptaka i bacznie mu się przyglądała, a stojący w pobliżu starszego na wszelki wypadek się cofnęli.

- Dziękuję, Człowieku Ptaku, że pomogłeś Richardowi. On ocalił moje maleństwo. Błotni Ludzie nie muszą się mnie lękać, nie skrzywdzę ich. Klnę się na mój smoczy honor.

Kahlan przetłumaczyła i Człowiek Ptak uśmiechnął się do Scarlet, a potem rzekł do swoich ludzi:

- Jak powiedział Richard Popędliwy, ta szlachetna smoczyca Scarlet jest przyjaciółką Błotnych Ludzi. Może polować na naszej ziemi. Nie uczynimy jej żadnej krzywdy ani ona nam.

Tłum krzyknął radośnie. Mieć smoka za przyjaciela to zaszczyt i uznanie dla siły ludu. Wymachiwał radośnie ramionami i tańczył. Scarlet przyłączyła się do ogólnej radości - odrzuciła łeb do tyłu i posłała ku niebu ryczący słup dymu. Okrzyki radości przybrały na sile.

Kahlan zauważyła, że Richard zerka w bok. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła małą grupkę łowców. Żaden z nich nie podzielał radości reszty Błotnych Ludzi. Rozpoznała ich przywódcę. To ów mężczyzna obwinił Richarda, że przyniósł zmartwienie do wioski. Winił go za śmierć Błotnych Ludzi z rąk Rahla Posępnego.

Radosna wrzawa wciąż trwała. Richard skinął na Scarlet. Smoczyca opuściła łeb, a on przysunął twarz tuż do jej ucha. Wysłuchiwała tego, co mówił, a potem cofnęła łeb i spojrzała na chłopaka złotym ślepiem. Kiwnęła głową.

Richard uniósł kościany gwizdek, wiszący na skórzanym rzemyku na jego szyi, i zwrócił się do Człowieka Ptaka:

- Dałeś mi to, ale powiedziałeś, że nigdy nie będę miał zeń żadnego pożytku, bo potrafię tylko przywołać wszystkie ptaki naraz. Myślę, iż dobre duchy chciały, aby tak właśnie było. Twój podarek pomógł mi ocalić wszystkich przed Rahlem Posępnym. Pomógł mi uratować Kahlan. Dziękuję ci.

Człowiek Ptak z uśmiechem wysłuchiwał tłumaczenia. Richard szepnął

Kahlan, że zaraz będzie z powrotem, i wdrapał się na grzbiet Scarlet.

- Czcigodny starszy, Scarlet i ja chcemy ci ofiarować skromny podarek. Chcielibyśmy zabrać cię wysoko w powietrze, żebyś mógł zobaczyć, gdzie latają twe ukochane ptaki. - Wyciągnął dłoń do Człowieka Ptaka.

Starszy, słuchając tłumaczenia, popatrywał z obawą na smoczy - cę. Czerwone łuski połyskiwały w zachodzącym słońcu, falując, poruszane oddechem Scarlet. Ogon sięgał niemal do stojących za placem chat. Smoczyca rozwinęła skrzydła i leniwie je rozprostowała. Człowiek Ptak spojrział na Richarda, który wciąż wyciągał ku niemu dłoń. Chłopięcy uśmiech rozjaśnił twarz starszego. Kahlan roześmiała się, widząc to. Złapał dłoń Richarda i podciągnął się.

Scarlet wzniosła się w powietrze, a Savidlin podszedł do Kahlan. Ludzie wiwatowali, patrząc, jak Scarlet unosi ich czcigodnego starszego. Kahlan nie widziała smoczy. Spoglądała wyłącznie na Richarda. Słyszała śmiech Człowieka Ptaka. Oby dalej się śmiał, kiedy Scarlet wykona zwrot.

- Richard Popędliwy jest kimś niezwykłym - odezwał się Savidlin.

Dziewczyna uśmiechnęła się i przytaknęła. Spojrzała na mężczyznę, który się nie cieszył i nie wiwatował.

- Kto to jest, Savidlinie?

- Chandalen. Wini Richarda za to, że Rahl Posępny przybył tu i pozabijał ludzi.

Kahlan *przypomniała* sobie pierwsze prawo magii. Ludzie uwierzą we wszystko.

- Gdyby nie Richard, Rahl panowałby teraz nad nami, ten sam Rahl Posępny, który zabił tamtych.

- Nie każdy, kto ma oczy, widzi. - Savidlin wzruszył ramionami. - Pamiętasz tego starszego, którego zabiłaś? Toffalara? Był wujem Chandalena.

- Zaczekaj tu - odparła, skinąwszy w zamyśleniu głową.

Szła przez plac, rozwiązując po drodze włosy. Wciąż oszołamiała ją świadomość, że Richard ją kocha i że jej magia nie wyrządzi mu krzywdy. Trudno było uwierzyć, iż i ona, Spowiedniczka, doświadczy miłości. To było sprzeczne ze wszystkim, czego ją nauczono. Chciałaby zabrać Richarda gdzieś daleko i całować go, i tulić długo całe życie. Chciała się wraz z nim zestarzeć. Za nic nie pozwoli temu Chandlenowi skrzywdzić Richarda.

Nareszcie mogą być razem - ona, Kahlan, i ten, którego kocha - i nie dopuści, by ktoś im przeszkodził.

Sama myśl o tym, że ktokolwiek mógłby skrzywdzić Richarda, obudziła w Kahlan Con Dar, Krwawy Gniew. Przedtem nie wiedziała nic o Con Dar, nie miała pojęcia, że stanowi część jej magii. Odnalazła w sobie Krwawy Gniew, słysząc, iż zabito Richarda. Od tamtej pory czuła go w sobie, tak jak zawsze odczuwała magię Spowiedniczki.

Chandalen skrzyżował ręce na piersiach i patrzył na nadchodzącą dziewczynę. Jego łowcy stali za nim, wsparci na włóczniach. Najwyraźniej dopiero co wrócili z polowania. Ich szczupłe ciała wciąż były wysmarowane błotem. Stali swobodnie, choć nie tracili czujności. Każdy miał na ramieniu łuk, u pasa zaś kołczan i długi nóż. Niektórzy byli umazani krwią. Wiązki trawy przyczepione do głów i ramion sprawiały, że trudno było ich dostrzec na trawiastych polaciach; stawali się tam niewidoczni. Kahlan zatrzymała się przed Chandalenem i spojrzała w jego ciemne oczy.

- Moc Chandalenowi. - Klepnęła go.

Oderwał od niej wzrok, nie rozplótł rąk, odwrócił głowę i splunął. Płonące oczy znów na nią patrzyły.

- Czego chcesz, Spowiedniczko?

Wymazane błotem twarze łowców uśmiechnęły się lekko. Chyba tylko tutaj, u Błotnych Ludzi, obrazą było nieoddanie uderzenia.

- Richard Popędliwy poświęcił więcej, niż sądzisz, żeby uratować nasz lud przed Rahlem Posępnym. Czemu go nienawidzisz?

- Wy dwoje przynieśliście mojemu ludowi same kłopoty i troski. Znów to uczynicie.

- Naszemu ludowi - poprawiła go Kahlan. Rozpięła mankiet, podciągnęła rękaw i pokazała Chandalenowi ramię. - Toffalar mnie zranił. Sam się zabił, atakując mnie. Nie szukałam z nim zwady.

Łowca obojętnie spojrzał na bliźnię i w oczy dziewczyny.

- Wuj nigdy zbyt dobrze nie władał nożem. Szkoda.

Kahlan zacisnęła zęby. Teraz nie mogła się już wycofać. Patrząc na Chandalena, ucałowała koniuszki palców i dotknęła nimi jego policzka dokładnie tam, gdzie przedtem uderzyła. Łowcy zaszeptali gniewnie i wyrwali włócznie z ziemi. Twarz Chandalena zapłonęła nienawiścią. Taki gest był dla łowcy największą obelgą. On sam okazał lekceważenie, nie

oddając policzka. Ale to nie znaczyło, że nie szanuje mocy Kahlan, lecz tylko że nie chce okazać szacunku. Pocałunek umieszczony tam, gdzie trafiło powitalne uderzenie, anulował szacunek Kahlan dla jego siły. Oznaczał, iż dziewczyna nie poważa łowcy i uważa go za głupiutkiego dzieciaka. Publicznie go zelżyła.

Wrogowi nie należy okazywać słabości - *to niebezpieczne*, zwłaszcza wśród Błotnych Ludzi. To zachęta, by cię zamordowano we śnie. Okazanie słabości odbierało prawo do potykania się z przeciwnikiem w blasku dnia. Honor wymagał, żeby sile rzucano wyzwanie otwarcie. Ponieważ Kahlan potraktowała go tak na oczach innych, honor wymagał, by i Chandalen odpowiedział jawnie.

- Jeśli chcesz, żebym cię szanowała, musisz na to zasłużyć.

Chandalen zacisnął pięść tak, że zbieleły mu kłykcie. Zamierzył się. Kahlan podsunęła mu brodę.

- No, no! Postanowiłeś okazać respekt mojej sile?

Wściekle oczy łowcy przeskoczyły na coś poza nią. Jego ludzie z ociąganiem wbili włócznie w ziemię. Kahlan odwróciła się i zobaczyła około pięćdziesięciu mężczyzn z napiętymi łukami.

Każda strzała mierzyła albo w Chandalena, albo w któregoś z jego dziewięciu łowców.

- Więc nie jesteś aż taka silna - zadrwił Chandalen. - Musisz prosić innych, żeby cię osłaniali.

- Opuśćcie broń - zawołała do tamtych. - Niech nikt nie podnosi oręża na tych ludzi w mojej obronie. To sprawa wyłącznie między mną a Chandalenem.

Wszystkie łuki zniżyły się niechętnie, a strzały wróciły do kołczanów.

Chandalen powtórnie skrzyżował ramiona.

- Wcale nie jesteś tak potężna. Ukryjesz się za mieczem Poszukiwacza.

Kahlan chwyciła go za ramię. Zesztywniał i szeroko otworzył oczy. Gest Spowiedniczki był otwartą groźbą, i tak go odczytał. Zbuntowany czy nie, Chandalen wolał więc stać bez ruchu; i tak nie byłby szybszy od myśli Kahlan.

- Ostatniego roku - syknęła dziewczyna - zabiłam więcej ludzi niż ty, wedle twoich fałszywych przechwałek, przez całe życie. Zabiję cię, jeżeli spróbujesz skrzywdzić Richarda. - Nachyliła się ku niemu. - Zabiję, jeśli choć

słowo powiesz o tym, a ja je usłyszę. - Niespiesznie spojrzała na jego łowców. - Moja dłoń będzie zawsze wyciągnięta ku każdemu z was w przyjaznym geście. Lecz jeśli ręka któregoś z was wyciągnie się ku mnie z nożem, to zabiję go, tak jak zabiłam Toffalara. Jestem Matką Spowiedniczką i nie łudźcie się, że nie mogę tego uczynić albo że nie zechcę. - Patrzyła kolejno w oczy każdemu z nich, a oni potakująco skłaniali głowy. Na koniec spojrzała na Chandalena i wzmocniła chwyt. Łowca wahał się, ale wreszcie i on skinął głową. - To sprawa między nami. Nie powiem o tym Człowiekowi Ptakowi. - Cofnęła dłoń z ramienia Chandalena. Dał się słyszeć ryk; to wracała smoczyca. - Jesteśmy po tej samej stronie, Chandaleni. Oboje walczymy o przetrwanie Błotnych Ludzi. I tę częśćkę ciebie szanuję.

Kahlan wymierzyła łowcy słaby policzek. Nie dała mu sposobności, by go odwzajemnił lub zlekceważył, i odwróciła się doń plecami. To uderzenie przywróciło mu w oczach jego ludzi część respektu; okazałby się słaby lub szalony, gdyby teraz nadal naciskał. Drobnym gestem, ale świadczył, że Spowiedniczką postępowała honorowo. Niech ludzie Chandalena sami zadecydują, czy i on tak postępował. Zastraszanie kobiety nie przynosiło zaszczytu.

Lecz ona, Kahlan, nie była zwykłą kobietą - była Spowiedniczką.

Dziewczyna wróciła do Savidlina, odetchnęła z ulgą i patrzyła, jak smoczyca ląduje. Weselan stała obok męża, nadal mocno tuląc Siddina. Mały zaś wyglądał, jakby właśnie tego najbardziej pragnął. Kahlan pomyślała o tym, co mogło spotkać malca, i serce jej zadrżało.

- Byłabyś dobrym starszym, Matko Spowiedniczo - powiedział Savidlin, z uznaniem unosząc brew. - Mogłabyś nauczać czci i przewodzenia.

- Wolałabym, żeby takie lekcje nie były konieczne.

Savidlin przytaknął. Kurz i podmuch wywołane skrzydłami smoczycy uderzyły w płaszcz Kahlan. Dziewczyna zapinała mankiet, kiedy obaj mężczyźni ześliznęli się z grzbietu Scarlet.

Człowiek Ptak z lekka pozieleniał, ale uśmiechał się od ucha do ucha. Z respektem pogładził czerwoną łuskę i posłał promienny uśmiech obserwującemu go złotemu ślepiu. Kahlan podeszła i starszy poprosił, żeby przetłumaczyła Scarlet jego słowa. Z uśmiechem spojrzała na zwrócony teraz ku niej wielki łeb i uszy smoczycy.

- Człowiek Ptak pragnie, byś wiedziała, że był to jeden z największych

zaszczytów, jakie spotkały go w życiu. Mówi, iż obdarowałaś go nowymi wizjami. Oświadczaj, że jeżeli ty czy twoje małe będziecie

potrzebowali schronienia, to zawsze znajdziecie je na tych ziemiach, będziecie tu mile widziani i bezpieczni.

- Dzięki, Człowieku Ptaku. - Scarlet uśmiechnęła się po smoczemu. - Miło mi to słyszeć. - Pochyliła głowę i szepnęła Richardowi: - Teraz muszę odlecieć. Mój malec już za długo był sam i pewno jest głodny.

- Dziękuję, Scarlet. - Chłopak uśmiechnął się i pogładził czerwoną łuskę. - Dzięki za wszystko. Dzięki za to, że nam pokazałaś swojego malca. Jest jeszcze piękniejszy niż ty. Dbaj o niego i o siebie. Bądźcie wolni.

Scarlet rozdziawiła paszczę i sięgnęła w jej głąb. Trzasnęło i po chwili wyjęła ząb, kawałeczek zęba. Kawałeczek, ale miał dobre sześć cali.

- I smoki mają magię - powiedziała Richardowi. - Nadstaw dłoń. - Rzuciła mu ząb. - Wygląda na to, że masz prawdziwy talent do wpędzania się w tarapaty. Nie zgub zęba. Jeśli będziesz w potrzebie, to mnie nim przywołaj. Przylecę. Ale pamiętaj - to zadziała tylko raz.

- Jak mam cię tym przywołać?

- Masz dar, Richardzie Cypher. - Smoczyca zbliżyła łeb do chłopaka. - Zamknij go w dłoni i zawołaj mnie. Usłyszę. Pamiętaj, w ostatecznej potrzebie.

- Dziękuję, Scarlet, ale ja wcale nie mam daru.

Smoczyca odrzuciła łeb i zagrzmiała śmiechem. Ziemia się zatrzęsła. Łuski na gardzieli Scarlet drgały i wibrowały. W końcu śmiech ustał. Przechyliła łeb i łypnęła na Richarda żółtym ślepiem.

- Jeśli ty nie masz daru, to nikt go nie ma. Bądź wolny. Wszyscy mieszkańcy wioski patrzyli, jak sylwetka smoka maleje na tle złocistego nieba. Richard otoczył ramieniem kibić Kahlan i przytulił dziewczynę.

- Mam nadzieję, że już nie usłyszę tych bzdur o darze - mruknął i dodał: - Widziałem cię z góry. Powiesz mi, o co chodziło w tym spotkaniu z naszym tutejszym przyjacielem?

Chandalen usilnie starał się nie patrzeć na nią.

- To nic ważnego. Nie ma o czym mówić.

- Czy kiedykolwiek zostaniemy sami? - spytała Kahlan, uśmiechając się z udaną skromnością. - Bo jeśli nie, to już niebawem zacznę cię całować na oczach tych wszystkich ludzi.

Trwała zaimprovizowana uczta. Łagodne światło zmierzchu blakło coraz bardziej. Richard zerknął na siedzących pod trawiastym dachem starszych, okrytych skórami kojotów. Uśmiechali się i rozmawiali. Dołączyły do nich żony i kilkoro dzieci. Koło wiaty zatrzymywali się mieszkańcy wioski, okazywali radość z powrotu Richarda i Kahlan i witali się z nimi uprzejmymi klepięciami.

Dzieciaki goniły brązowawe kury, które chciały znaleźć sobie na noc jakąś grzędę. Te gdakały i uciekały, podfruwając. Kahlan nie pojmowała, jak dzieci mogą biegać na golasa w taki zimny wieczór. Kobiety w jaskrawych strojach przynosiły plecione tace z chlebem tava i glinianymi miseczkami z opiekaną papryką, ryżowymi ciasteczkami, gotowaną fasolą, serem i pieczonym mięsivem.

- Łudzisz się, że pozwolą *nam* odejść, zanim dokładnie opowiemy o naszych przygodach? O naszej wielkiej przygodzie?

- Jakiej wielkiej przygodzie? Pamiętam tylko, że cały czas śmiertelnie się bałam i nie miałam pojęcia, jak wyjść z tego cało. - Przypomniała sobie swoje cierpienie, gdy dowiedziała się, że Mord-Sith pojmała Richarda, i ból ten powrócił. - I myślałam, że nie żyjesz.

- Jak to jakiej? - Uśmiechnął się. - Na tym właśnie polega przygoda: wpadanie w tarapaty.

- No to wystarczy mi to, co było. Mam dość przygód do końca mojego życia.

- Ja też. - Szare oczy Richarda zapatrzyły się w dal.

Kahlan spojrzała na czerwony skórzany pręt, Agiel, zawieszony na złotym łańcuchu, okalającym szyję chłopaka. Wzięła z tacy kawałek sera. Wypogodziła się. Przytknęła ser do jego ust.

- To może przeżyjemy właściwą przygodę? Krótką przygodę.

- Czemu nie - odparł i ugryzł kawałek sera. Natychmiast wypluł kęs na dłoń i skrzywił się. - Paskudztwo! - szepnął.

- Naprawdę? - Powąchała ser i ugryzła kawałek. - Cóż, nie lubię sera, ale ten nie smakuje gorzej niż inne. Nie jest zgłiwiały.

- Dla mnie jest paskudny. - Richard nadal się krzywił. Kahlan rozmyślała przez chwilę, a potem zmarszczyła brwi. - Wczoraj, w Pałacu Ludu, również ci nie smakował, choć Zedd mówił, że jest całkiem dobry.

- Dobry!? Smakował jak zgniły! Chyba wiem, co mówię, bo lubię ser.

Bardzo często go jem. Umiem rozpoznać smak zepsutego sera.

- Za to ja nie znoszę sera. Może nabierasz moich przyzwyczajęń. - Mogło mnie spotkać coś gorszego. - Uśmiechnął się, zawijając opiekana paprykę w kawałek placka tava.

Kahlan odwzajemniła uśmiech. Dojrzała dwóch zbliżających się łowców. Zesztywniała. Richard zauważył to i spoważniał. - To ludzie Chandalena. Nie wiem, czego chcą. - Mrugnęła do chłopaka. - Będziesz grzeczny? *Nie* chcę żadnych przygód.

Odwrócił się bez słowa i uśmiechu i obserwował, jak nadchodzą. Łowcy zatrzymali się przed Kahlan, przy skraju podwyższenia. Wbili włócznie w ziemię i oburącz wsparli się na nich. Przyglądali się dziewczynie przymrużonymi oczami, a ich uśmieški nie były tak całkiem nieprzyjazne. Ten stojący bliżej poprawił łuk na ramieniu i wyciągnął ku Kahlan rękę, wnętrzem dłoni ku górze. Patrzyła na tę dłoń. Wiedziała, co to oznacza - otwarta dłoń, dłoń bez broni. Spojrzała na łowcę, zakłopotana.

- Chandalen to pochwała?

- Jesteśmy ludźmi Chandalena, a nie jego dziećmi.

Nie cofnął dłoni. Patrzyła na nią jeszcze chwilę, po czym przykryła ją swoją. Uśmiechnął się odrobinę szerzej i wymierzył dziewczynie powitalny policzek.

- Moc Spowiednicze Kahlan. Jestem Prindin. A to mój brat Tossidin.

Kahlan odwzajemniła pozdrowienie. Tossidin również wyciągnął ku niej otwartą dłoń. Nakryła ją swoją i nastąpił kolejny powitalny policzek i życzenie mocy. Tossidin, podobnie jak brat, miał ładny uśmiech. Dziewczyna przywitała się, zdumiona jego życzliwością. Zerknęła na Richarda. Bracia zauważyli to i powitali również jego.

- Chcemy ci powiedzieć, że godnie dziś postąpiłaś - odezwał się Prindin. - Chandalen to twardy człowiek i trudno mu coś wytłumaczyć, ale nie jest zły. Bardzo się troszczy o nasz lud i chce go uchronić przed złem. To właśnie robimy - chronimy nasz lud.

- Richard i ja też jesteśmy Błotnymi Ludźmi.

- Starsi nam to ogłosili. - Bracia się uśmiechnęli. - Będziemy chronić was tak samo jak resztę naszego ludu.

- Chandalen też?

Uśmiechnęli się, lecz nic nie powiedzieli. Unieśli włócznie, szykując się

do odejścia.

- Powiedz im ode mnie, że mają wspaniałe łuki - odezwał się Richard.

Zerknęła nań z ukosa. Powtórzyła jego słowa Prindinowi. Bracia z uśmiechem skinęli głowami.

- I świetnie umiemy się nimi posługiwać. Richard patrzył na nich bez wyrazu.

- Powiedz im, że ich strzały wyglądają na porządnie zrobione. Spytaj, czy mógłbym jedną obejrzeć.

Kahlan spojrzała nań gniewnie i przetłumaczyła te słowa łowcom. Bracia rozpromienili się z dumy. Prindin wyciągnął jedną z kołczana i podał Richardowi. Dziewczyna spostrzegła, że starsi obserwowali to w milczeniu. Chłopak obrócił strzałę w palcach. Z kamienną miną obejrzał wycięcie w brzechwie i płaski metalowy grot. Oddał pocisk.

- Wspaniała robota.

Prindin wsunął strzałę do kołczana, a dziewczyna przetłumaczyła mu słowa Richarda. Łowca przesunął dłoń w górę drzewca włóczni i mocniej się na niej wsparł.

- Jeśli umiesz strzelać z łuku, to chodź jutro z nami. Savidlin odezwał się, zanim przełożyła odpowiedź Prindina.

- Kiedy tu byliście poprzednio, Richard powiedział mi, że musiał zostawić swój łuk w Westlandzie i że bardzo mu go brakuje. Przygotowałem mu niespodziankę - nowy łuk. To prezent dla niego za to, że nauczył mnie budować dachy, które nie przeciekają. Miałem mu go dać jutro. Przekaż mu to i powiedz, że jeśli się zgodzi, to wezmę paru moich łowców i pójdziemy z nim jutro. - Uśmiechnął się. - Zobaczymy, czy jest równie dobrym łucznikiem jak nasi łowcy.

Bracia zaśmiali się i z zapałem przytaknęli. Nie mieli wątpliwości co do wyniku zawodów.

Kahlan powtórzyła Richardowi słowa Savidlina. Chłopak był zdumiony i wzruszony.

- Błotni Ludzie robią najlepsze łuki, jakie widziałem. Czuję się zaszczycony, Savidlinie. To bardzo szczodry dar. Bardzo bym chciał, żebyś jutro ze mną poszedł. - Uśmiechnął się. - Pokażemy tym dwóm, jak się szyje z łuku.

Tę część tłumaczenia bracia skwitowali śmiechem.

- To do jutra - rzucił Prindin i odeszli. Richard patrzył za nimi ponuro.

- O co ci szło z tymi strzałami? - spytała Kahlan.

- Spytaj Savidlina, czy mógłbym rzucić okiem na jego strzały, to ci pokażę - odparł po chwili.

Savidlin podał swój kołczan. Richard wyciągnął garść strzał, pogrzebał wśród tych z zaostrzonymi i utwardzonymi drewnianymi szpicami. Kahlan wiedziała, że są zatrute. Wyjął jedną z płaskim metalowym grotem, resztę na powrót wsunął do kołczana. Podał ją dziewczynie.

- Powiedz mi, co widzisz.

Obróciła strzałę w palcach jak on tamtą. Nie miała pojęcia, co powinna z tego wyczytać, więc spojrzała na wycięcie i grot. Wzruszyła ramionami.

- Dla mnie wygląda jak każda inna. Jak każda zwykła strzała.

- Jak każda inna? - Uśmiechnął się, wyciągnął z kołczana drugą strzałę i trzymał tak, żeby widziała szpic. Uniósł brew. - Tak samo jak ta?

- Hmm, nie. Ten szpic jest niewielki, smukły, cienki i zaokrąglony. Ale tamta ma metalowy grot. Jak Prindina.

- Nie, nie. - Richard z wolna potrząsnął głową. Odłożył strzałę z drewnianym ostrzem, wziął tamtą od Kahlan i pokazał dziewczynie wycięcie. - Widzisz miejsce na cięciwę? Wchodzi w środek nacięcia. Rozumiesz? - Dziewczyna zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. - Niektóre strzały mają spiralnie osadzone pióra, co nadaje im ruch obrotowy. Niektórzy sądzą, że to wzmacnia skuteczność strzału.

Nie wiem, czy tak istotnie jest, ale nie o to teraz idzie. Wszystkie strzały Błotnych Ludzi mają pióra osadzone prosto. To je stabilizuje. Trafiają w cel na takiej wysokości, na jakiej zostały wystrzelone.

- W dalszym ciągu nie wiem, czym te strzały różnią się od strzał Prindina.

- O, tak strzała siedzi na cięciwie. - Zademonstrował to na swoim kciuku.

- Właśnie tak. I tak uderza. Przyjrzyj się grotowi. Widzisz? Jest jak nacięcie w brzechwie. Grot i cięciwa są na tej samej płaszczyźnie. Wszystkie strzały Savidlina mają takie groty. Wykorzystuje je w łowach na duże zwierzęta, jak dziki lub jelenie. Ich żebra układają się w linii pionowej. Tak ustawiony grot łatwiej przechodzi między nimi, nie odbija się od nich. - Przynął się bliżej Kahlan. - Strzały Prindina są inne. Groty obrócono o dziewięćdziesiąt stopni. Kiedy osadzi się strzałę na cięciwie, ustawiają się poziomo. Te groty

nie prześlizną się między żebrami zwierząt. Ustawiono je poziomo, bo Prindin poluje na stworzenia o żebrach równoległych do podłoża. Na ludzi.

- Dlaczego to czynią? - Dziewczynę przeszył dreszcz.

- Błotni Ludzie bardzo strzegą swych ziem i rzadko wpuszczają tu obcych. Sądzę, że Chandalen i jego ludzie strzegą granic. Z pewnością są najzagorzalszymi łowcami i najlepszymi łucznikami. Spytaj Savidlina, czy są dobrzy.

Uczyli to. Starszy zachichotał.

- Nikt z nas nigdy nie pokonał ludzi Chandalena. Nawet jeśli Richard Popędliwy jest dobrym łucznikiem, to i tak przegra. Ale oni starają się, żeby nas zbyt nie pogięć. Będą miłosiernymi zwycięzcami. Niech się Richard nie martwi, miło spędzi dzień. Nauczą go lepiej strzelać. To dlatego chcę zabrać moich łowców. Ludzie Chandalena zawsze nas uczą. U Błotnych Ludzi ten, który jest najlepszy i zwycięża, ma obowiązki wobec pokonanego. Musi go uczyć, jak się stać lepszym. Powiedz mu, że teraz, kiedy przyjął wyzwanie, nie może się już wycofać.

- Zawsze uważałem, że dobrze jest się nauczyć czegoś nowego - oznajmił Richard. - Nie wycofam się.

Uporczywe spojrzenie chłopaka sprawiło, że Kahlan uśmiechała się i uśmiechała. On też się uśmiechnął, przyciągnął plecak i wyjął zeń jabłko. Przekroił je, wyciął środki i podał połówkę Kahlan.

Starsi wierzili się nerwowo. W Midlandach, każdy czerwony owoc był śmiertelną trucizną w efekcie działania diabelskiej magii. Nie mieli pojęcia, że w Westlandzie, skąd pochodził Richard, można było spokojnie jeść czerwone owoce, więc i to jabłko. Już wcześniej widzieli, jak jadł jabłko - wtedy skłonił ich do uznania, że nie powinni mu dawać za żonę dziewczyny z wioski, bo trucizna z tego owocu zatruwała jego nasienie, co mogło być szkodliwe dla panny młodej. Teraz z obawą patrzyli, jak oboje spożywają jadowity owoc.

- Co ty wyprawiasz?

- Jedz swoją połówkę, a potem przetłumacz, co powiem. Schrupali jabłko. Richard wstał i dał znak Kahlan, żeby stanęła przy nim.

- Czcigodni starsi, odwróciłem groźbę od naszego ludu i powróciłem. Teraz, kiedy wszystko się pomyślnie zakończyło, chciałbym was o coś poprosić. Mam nadzieję, że uznacie mnie godnym tego. Chciałbym was

prosić o pozwolenie wzięcia za żonę kobiety Błotnych Ludzi. Jak widzieliście, nauczyłem Kahlan jeść te owoce. Nie uczynią jej nic złego, a i ja nie jestem dla niej niebezpieczny. Jej magia, magia Spowiedniczki, również nie wyrządzi mi krzywdy. Chcielibyśmy się pobrać i zostać zaślubieni zgodnie ze zwyczajem naszego ludu, ludu Błotnych Ludzi.

Kahlan z trudem wykrztusiła ostatnie słowa i powstrzymała się, żeby nie objąć Richarda. Czuła, jak łzy wzbierają jej w oczach. Musiała odkaszlnąć, by skończyć tłumaczenie. Otoczyła ramieniem stan chłopaka, nie chcąc się zachwiać.

Starsi rozpromienili się w radosnym zdumieniu. Człowiek Ptak uśmiechał się szeroko.

- Widzę, że wreszcie się uczycie, jak być Błotnymi Ludźmi - powiedział. - Nic nie sprawi nam większej przyjemności niż wasze zaślubiny.

Richard nie czekał na tłumaczenie, ale pocałował Kahlan tak, że w głowie jej zawirowało. Starsi i ich żony przyklasnęli temu.

Dla Kahlan było szczególnie ważne, że zostaną sobie zaślubieni wedle zwyczajów Błotnych Ludzi. Czuła się u nich jak w rodzinnym domu. Kiedy przybyli tu po raz pierwszy, szukając pomocy w walce z Rahlem, Richard pokazał Błotnym Ludziom, jak budować dachy, które nie przeciekają. Znaleźli przyjaciół wśród członków wspólnoty i razem walczyli. Oboje - ona i Richard - bardzo się związali z tym ludem. W podziękowanie za ich poświęcenie Człowiek Ptak ogłosił ich Błotnymi Ludźmi.

Teraz Człowiek Ptak powstał i po ojcowsku uściskał Kahlan. Dał jej w ten sposób odczuć, że rozumie, co przeżyła, i że się ogromnie cieszy jej szczęściem. Wzruszona, uroniła parę łez na jego ramieniu. Ciężkie przejścia wyniosły dziewczynę z otchłani cierpienia na szczyty radości. Walka skończyła się dopiero wczoraj. Trudno było uwierzyć, że to naprawdę koniec zmagania.

Uczta nadal trwała. Kahlan pragnęła z całego serca, by przyjęcie wreszcie się skończyło i żeby mogła zostać sama z Richardem. Był więźniem ponad miesiąc i dopiero wczoraj znów się spotkali. Nawet nie miała okazji z nim porozmawiać, należycie go wyściskać.

Dzieci tańczyły i bawiły się wokół małego ogniska, starsi zebrali się przy pochodniach, jedząc, gawędząc i śmiejąc się. Weselan przycupnęła przy Kahlan, uściskała ją i obiecała, że przygotuje odpowiednią suknię ślubną.

Savidlin cmoknął dziewczynę w policzek, a Richarda klepnął w plecy. Matka Spowiedniczka nie mogła oderwać wzroku od szarych oczu chłopaka. Nie chciała przestać w nie patrzeć. Nigdy, przenigdy.

Zbliżyli się łowcy, którzy towarzyszyli Richardowi owego dnia, kiedy to Człowiek Ptak próbował nauczyć chłopaka, jak przywoływać poszczególne ptaki kościanym gwizdkiem. Nic z tego nie wyszło: młodzieniec potrafił jedynie zebrać wszystkie ptaki naraz, a nie ich poszczególne gatunki. Łowcy śmiali się wówczas do rozpuku. Teraz Savidlin poprosił Richarda, żeby pokazał gwizdek i opowiedział, jak przywołał całe ptactwo mieszkające w pełnej chimier dolinie. Tysiące głodnych ptaków zjadły gończe muchy bestii i wywołały panikę. To zamieszanie pomogło chłopakowi odzyskać jajo Scarlet. Człowiek Ptak śmiał się radośnie, choć słyszał tę opowieść już ze trzy razy. Savidlin również się śmiał i z uznaniem poklepywał Richarda po plecach, a łowcy rzeli radośnie, uderzając się w uda. Śmiał się także Richard, patrząc, jak reagowali na tłumaczenie Kahlan. A Kahlan cieszyła się, widząc radość chłopaka.

- Zdaje mi się, że znaleźliśmy przygodę, która się im podoba. - Coś jej się przypomniało i zmarszczyła brwi. - Jak to się stało, że chimery nie spostrzegły Scarlet, kiedy przyniosła cię w pobliże swojego jaja?

Richard zapatrzył się w dal i przez chwilę milczał.

- Zostawiła mnie w dolinie po drugiej stronie wzgórz otaczających Ogniste Źródło. Przeszedłem jaskinią.

Nie patrzył na dziewczynę. Kahlan odsunęła za ucho pukiel włosów.

- Czy w jaskini naprawdę była jakaś bestia? Był tam Shadrin?

- Owszem, był - odparł z westchnieniem, obserwując horyzont. - I jeszcze coś. - Kahlan położyła mu dłoń na ramieniu; ucałował ją, ale nadal spoglądał przed siebie. - Sądziłem, że umrę tam sam jak palec. Bałem się, że nigdy cię już nie zobaczę. - Otrząsnął się z nieprzyjemnych wspomnień, odchylił i oparł na łokciu, po czym spojrzał na dziewczynę z podstępny uśmiechem. - Shadrin zostawił parę ran, które się jeszcze nie wygoiły. Ale musiałbym zdjąć spodnie, żeby ci je pokazać.

- Naprawdę? - Kahlan zaśmiała się gardłowo. - Chyba lepiej sprawdzę... czy wszystko jest w porządku.

Zapatrzona w oczy Richarda dziewczyna zorientowała się nagle, że przygląda się im większość starszych. Zarumieniła się. Złapała ryżowe

ciasteczko i pospiesznie ugryzła kęs, zadowolona, iż starsi nie rozumieją ich słów. Miała tylko nadzieję, że nie pojmują również wymowy ich spojrzeń. Powinnaś bardziej zważać na to, gdzie jesteś, zbeształa się. Richard usiadł. Kahlan sięgnęła po miseczkę pieczonych żeberek i podała mu.

- Zjedz trochę.

Dziewczyna spojrzała na grupkę żon. Uniosła ryżowe ciasteczko i uśmiechnęła się do nich.

- Są bardzo smaczne.

Kobiety okazały zadowolenie. Kahlan znów popatrzyła na Richarda. Spoglądał na miseczkę z mięsiwem. Twarz miał bladą.

- Zabierz to - wyszeptał.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, wzięła naczynie z jego kolan i postawiła za sobą. Przysunęła się do niego.

- Co się stało, Richardzie?

Wciąż patrzył tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała miseczka.

- Sam nie wiem. Spojrzałem na mięso i poczułem jego zapach. Zemdliło mnie. Miałem wrażenie, że to martwe zwierzę. Jakbym miał zamiar zjeść leżące przede mną martwe zwierzę. Jakże ktoś mógłby jeść padlinę?

Kahlan nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Chłopak nie wyglądał za dobrze.

- Trochę rozumiem, co masz na myśli. Kiedyś byłam chora i nakarmili mnie serem. Wszystko zwróciłam. Sądzili, że to mi dobrze zrobi, i każdego dnia dawali mi więcej sera, a ja to zwracałam, aż wreszcie wyzdrowiałam. To dlatego do dziś go nie cierpię. Może to przez twój ból głowy?

- Może - odparł słabym głosem. - Spędziłem sporo czasu w Pałacu Ludu. Oni tam nie jedzą mięsa. Rahl Pośepny nie je, nie jadtł, mięsa, więc w ogóle go w pałacu nie podawano. Może się odzwyczaiłem.

Dziewczyna masowała mu plecy, a Richard oparł głowę na rękach i przeczesał palcami włosy. Najpierw ser, teraz mięso. Nabierał szczególnych upodobań kulinarnych, zupełnie jak... jak czarodziej.

- Kahlan... Przepraszam, ale muszę pójść w jakieś spokojne miejsce. Strasznie boli mnie głowa.

Położyła mu dłoń na czole. Było zimne i wilgotne. Wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. Przeraziła się i zmartwiła. Przykucnęła przed Człowiekiem Ptakiem.

- Richard nie czuje się dobrze. Potrzebuje ciszy i spokoju. Możemy odejść?

Z początku Człowiek Ptak myślał, że zna powód tego odejścia. Przestał się jednak uśmiechać, widząc niepokój i zatroskanie Kahlan.

- Zaprowadź go do domu duchów. Tam jest cicho i spokojnie. Nikt mu nie będzie przeszkadzał. Zawołaj Nissel, jeśli uznasz, że tak trzeba. - Znów się leciutko uśmiechnął. - Może spędził zbyt wiele czasu na grzbiecie smoczycy. Dziękuję duchom, że mój lot trwał tak krótko.

Dziewczyna skinęła głową, lecz nie zdołała się uśmiechnąć. Prędko pożegnała się z pozostałymi. Zabrała oba plecaki, wsunęła rękę pod pachę Richarda i pomogła mu wstać. Oczy miał zamknięte, brwi ściągnięte z bólu. Wydawało się, że ból nieco zelżał. Chłopak otworzył oczy, głęboko odetchnął i ruszył za Kahlan przez plac.

Wśród chat panował gęsty mrok, ale księżyc już wzeszedł, więc oświetlał im drogę. Odgłosy uczyty ucichły, słysząc było tylko powolne szuranie butów Richarda po suchej ziemi. Wyprostował się nieco.

- Chyba ból trochę zelżał.

- Często masz bóle głowy?

- Słynę z tego. - Uśmiechnął się do niej w księżycowym blasku. - Tata powiedział mi, że i mama miała podobne. Ból głowy jest wtedy tak wielki, że aż odczuwa się mdłości. Ale ten to co innego. Nigdy przedtem nie przytrafiło mi się coś takiego. To tak, jakby coś chciało się wydostać z mojej głowy. - Odebrał Kahlan swój plecak i zarzucił go na ramię. - To o wiele gorsze niż moje poprzednie bóle głowy.

Wyszli z wąskiego przejścia na plac przed domem duchów. Dom stał samotnie, a światło księżyca odbijało się od dachówek dachu, który Richard pomógł zbudować Błotnym Ludziom. Z komina unosił się dym. Z boku, na niskim murku, siedziało parę kur. Patrzyły, jak Kahlan otwiera drzwi chłopakowi. Trochę wystraszył je skrzyp zawiasów, ale uspokoiły się, gdy młodzi weszli do środka.

Richard usiadł przed paleniskiem. Dziewczyna wyjęła koc i ułożyła chłopaka na plecach, podłożywszy mu pod głowę zwinięty materiał. Leżał, osłaniając oczy rękami, a ona siedziała przy nim. Czuła się bezradna.

- Chyba pójdę po Nissel. Może uzdrowicielka ci pomoże. Potrząsnął przecząco głową.

- Przejdzie mi. Muszę tylko odpocząć z dala od tego hałasu. - Uśmiechnął się, nadal osłaniając oczy. - Zauważyłaś, jak źle wpływamy na wszelkie przyjęcia? Ile razy bierzemy w którymś udział, coś się dzieje.

Kahlan sięgnęła pamięcią do wszelkich imprez, w których wspólnie uczestniczyli.

- Wygląda na to, że masz rację. - Poglądziła go po piersi. - Powinniśmy być sami. Z tego wynika, że powinniśmy być sami.

- Bardzo by mi się to podobało. - Pocałował jej dłoń.

Kahlan ujęła rękę Richarda w obie dłonie; pragnęła czuć jego ciepło. Patrzyła, jak leży spokojnie. Ciszę panującą w domu duchów zakłócało jedynie potrzaskiwanie ognia. Dziewczyna słuchała powolnego, miarowego oddechu Richarda. Po chwili cofnął rękę i popatrzył na nią. Blask płomieni odbijał się w jego oczach. Było coś w tej

twarzy i oczach: coś, co jej umysł próbował sobie przypomnieć. Przypominał kogoś, kogo znała. Ale kogo? Z pamięci wypłynęło czyjeś imię, lecz zignorowała je. Odgarnęła Richardowi włosy z czoła. Już nie było takie zimne. Usiadł.

- Coś mi się przypomniało. Zapytałem starszych o zgodę na poślubienie ciebie, ale ciebie nie poprosiłem o rękę.

- Faktycznie, nie poprosiłeś. - Kahlan uśmiechnęła się.

Nagle ogarnęły go niepewność i zakłopotanie, błędził spojrzeniem po wnętrzu domu duchów.

- Przepraszam. To było głupie z mojej strony. Nie tak to powinienem zrobić. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Nigdy nikogo nie prosiłem o rękę, więc nie jestem w tym dobry.

- Ja też nie.

- To chyba mało romantyczne miejsce na taką prośbę. To powinno być jakieś przepiękne miejsce.

- Dla mnie najromantyczniej na świecie jest wszędzie tam, gdzie ty jesteś.

- I pewno idiotycznie wyglądam, leżąc tak z okropnym bólem głowy i oświadczając ci się.

- Jeśli mi się natychmiast nie oświadczysz, Richardzie Cypher - szepnęła - to sama wyduszę z ciebie te oświadczyzny.

Wreszcie spojrzał jej w oczy, spojrzał tak niespokojnie i żarliwie, że aż

zaparło jej dech.

- Wyjdiesz za mnie, Kahlan Amnell? Nieoczekiwanie stwierdziła, że nie może wykrztusić słowa. Zamknęła oczy i całowała miękkie wargi Richarda, po policzkach zaś płynęły jej łzy. Objął ją i mocno przytulił. Cofnęła się bez tchu. Wreszcie odzyskała głos.

- Tak. - Pocałowała go raz jeszcze. - O, tak.

Oparła głowę o ramię chłopaka, a on łagodnie gładził jej włosy. Słuchała jego oddechu i potrzaskiwania ognia. Richard tulił ją czule i całował w czubek głowy. Nie potrzebowali słów. W jego ramionach czuła się bezpieczna.

Kahlan dała wyraz swojemu cierpieniu: temu, że kocha Richarda nad życie, a nie zdążyła mu powiedzieć, jak bardzo, zanim Mord-Sith pojmała go i straszliwie torturowała; że nigdy nie będzie do niej należał, bo jest Spowiedniczką i jej magia mogłaby go zniszczyć; że tak bardzo go pragnie i kocha ponad wszystko. Udręka minęła, wypaliła się. Zastąpiła ją radość z tego, co nadchodzi - ze wspólnego życia. Dziewczynę przepełniło radosne podniecenie. Wtuliła się w Richarda, chciała się weń wtopić, zlać w jedno.

Uśmiechnęła się. Takie właśnie będzie ich małżeństwo: będą stanowili jedność. Jak to kiedyś powiedział Zedd - jakby odnaleźli swoją drugą połowę.

W końcu spojrzała na chłopaka. Płakał. Otarła swoje łzy, a on uczynił to samo. Miała nadzieję, że i on uwolnił się od swoich demonów.

- Kocham cię - szepnęła.

Richard przytulił ją mocniej. Wędrował palcami po wypukłościach kręgosłupa Kahlan.

- Żałuję, że nie ma lepszych słów niż „kocham cię” - powiedział. - To o wiele za mało, by wyrazić, co czuję do ciebie. Szkoda, że nie znam innych słów, żeby ci to powiedzieć.

- „Kocham cię” zupełnie mi wystarczy.

- Kocham cię, Kahlan. Po tysiącokroć, po milionokroć. Zawszę będę cię kochał.

Dziewczyna słuchała trzasku ognia i bicia jego serca. I rytmu własnego. Chłopak kołysał ją łagodnie. Chciała na zawsze już pozostać w jego ramionach. Nagle świat stał się cudowny.

Richard ujął Kahlan za ramiona i nieco odsunął, żeby lepiej ją widzieć. Uśmiechnął się z zachwytem.

- Ależ jesteś piękna, to nie do uwierzenia. Nigdy nie widziałem kogoś tak ślicznego jak ty. - Przesunął dłonią po jej włosach. - Cieszę się, że ich wtedy nie ściałem. Masz wspaniałe włosy. Nie obcinaj ich.

- Jestem Spowiedniczką, zapomniałeś? Włosy są symbolem mojej mocy. Poza tym nie mogę ich sama ściać. Tylko ktoś inny może to uczynić.

- To dobrze. Nigdy ich nie zetnę. Kocham cię taką, jaka jesteś, z twoją mocą i w ogóle. Nie pozwól, by ktoś je ściał. Twoje włosy spodobały mi się już wtedy, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, w Lasach Hartlandzkich.

Kahlan uśmiechnęła się, wspominając ów dzień. Richard pomógł jej uwolnić się od bojówki. Ocalił jej życie.

- Zdawałoby się, że to tak dawno temu. Będzie ci brakować tamtego życia? Będiesz żałował, że już nie jesteś zwykłym, beztroskim leśnym przewodnikiem? - Uśmiechnęła się kokieteryjnie. - Kawalerem?

- Kawalerem? - zaśmiał się chłopak. - Nie przy tobie jako mojej żonie. Leśnym przewodnikiem? Może troszeczkę. Zapatrzył się w ogień. - Myślę, że na dobre czy na złe jestem prawdziwym Poszukiwaczem. Dźwigam Miecz Prawdy i idącą z nim w parze odpowiedzialność. Będziesz szczęśliwa jako żona Poszukiwacza?

- Byłabym szczęśliwa nawet w dziupli na drzewie, bylebyś był ze mną. Nie przestanę jednak być Matką Spowiedniczką, Richardzie. I mam obowiązki.

- Pamiętam, jak mi opowiadałaś, co to znaczy być Spowiedniczką: że dotknięcie twoją magią całkowicie zmienia ludzi, wypełniając ich miłością do ciebie, tak iż są gotowi spełnić każde twoje życzenie i wyjawić prawdę o swoich zbrodniach. Jakie jeszcze masz obowiązki?

- Chyba nie powiedziałam ci o wszystkim, co łączy się z byciem Matką Spowiedniczką. Wtedy to nie miało znaczenia. - Sądziłam, że nigdy nie będziemy razem. Że zginiemy, a nawet jeśli zwyciężymy, to wrócisz do Westlandu i nigdy cię już nie zobaczę.

- Masz na myśli to, że jesteś kimś więcej niż królową? Potaknęła.

- Naczelna Rada Midlandów w Aydindril składa się z przedstawicieli najważniejszych krain Midlandów. Rada rządzi Midlandami. Krainy są co prawda niezależne, lecz słuchają rady. W ten oto sposób, poprzez Konferencję Krain, realizuje się wspólne cele i utrzymuje pokój. Ludzie rozmawiają, zamiast walczyć. Gdyby jedna z części chciała zaatakować

drugą, zostałoby to uznane za atak na całość, na wszystkie inne krainy, i te poskromiłyby agresora. Królowie, królowe, władcy, urzędnicy, kupcy i pozostali proszą Naczelną Radę o to, czego pragną: o pozwolenie na handel, o traktaty graniczne, zgodę na paranie się magią; o najrozmaitsze rzeczy.

- Rozumiem. To podobnie jak w Westlandzie. Nasza rada działa w podobny sposób. Westland nie jest co prawda tak duży, żeby dzielić się na królestwa, ale są u nas samorządne dystrykty, reprezentowane przez swoich rajców w Hartlandzie. Mój brat był rajcą, a potem Pierwszym Rajcą, więc ocierałam się o działania rady. Widziałem, jak rajcy przybywają z różnych miejsc, by prosić o najrozmaitsze rzeczy. Zawsze prowadziłem ich do Hartlandu i z powrotem. Rozmowy z nimi dużo mnie nauczyły. - Richard skrzyżował ramiona. - Jaką więc rolę gra w tym Matka Spowiedniczką?

- Hmm... Naczelna Rada kieruje, rządzi Midlandami... - Odkasznęła i spuściła oczy. - A... a Matka Spowiedniczką kieruje Naczelną Radą.

Richardowi opadły ręce.

- To znaczy, że władasz tymi wszystkimi królami i królowymi? Wszystkimi krainami? Midlandami?

- Hmm... tak, można to tak ująć. Nie wszystkie krainy mają swego przedstawiciela w Naczelnej Radzie. Niektóre, jak Tamarang królowej Mileny czy ziemia Błotnych Ludzi, są zbyt małe, inne zaś, na przykład kraina nocnych ogników, to krainy magii. Matka Spowiedniczką jest rzecznikiem owych mniejszych krain. Rada, pozostawiona sobie, mogłaby postanowić rozbiór takich małych ziem. Wojska z łatwością poradziłyby sobie z tym. Tylko Matka Spowiedniczką przemawia w ich imieniu. Inny problem to częste nieporozumienia pomiędzy krainami. Niektóre są od zawsze skłócone. Czasem upór ich przedstawicieli blokuje prace rady, narażając na szwank interesy Midlandów. Matka Spowiedniczka ma jeden cel: dobro Midlandów. Gdyby nie jej zwierzchnictwo, krainy starałyby się za pomocą Naczelnej Rady zdobyć jak największą potęgę. Matka Spowiedniczka przeciwstawia się tym partykularnym interesom, dba o ogólne dobro i realizuje szersze cele. Dzięki swojej magii jest najwyższym arbitrem prawdy, jest również najwyższą władzą. Jej słowo jest prawem.

- Czyli to ty mówisz tym wszystkim królom i królowym, co mają robić?

Chwyciła go za rękę.

- Ja, jak i większość Matek Spowiedniczek przede mną, pozwalam

członkom rady decydować i rządzić. Wkraczam tylko wtedy, kiedy nie mogą dojść do porozumienia lub gdy działają na niekorzyść słabszych krain.

- I zawsze robią, co im każesz?

- Zawsze.

- Dlaczego?

- Bo mają świadomość, że jeśli nie ugną się przed Matką Spowiedniczką, to zostaną sami, wydani na łup silniejszego, pragnącego potęgi sąsiada. Wojna pomiędzy najsilniejszymi zniszczy całą resztę, tak jak to uczynił w D'Harze Panis Rahl, ojciec Rahla Posepnego. Zdają więc sobie sprawę, iż w ich własnym interesie jest posiadanie niezależnego przywódcy rady, który nie optuje za żadną z krain.

- Ale to nie leży w interesie tych najsilniejszych. Czasem coś innego niż dobre serce czy zdrowy rozsądek powinno utrzymywać najpotężniejszych tego świata w szeregu - wtrącił Richard.

- Świetnie rozumiesz rozgrywki władzy - uśmiechnęła się Kahlan. - Masz rację. Oni wiedzą, że jeśli nie okiełznają swoich ambicji, to ja czy któraś ze Spowiedniczek możemy dotknąć ich władcy naszą magią. Lecz jest jeszcze coś. Matkę Spowiedniczkę popierają też czarodzieje.

- Sądziłem, że czarodzieje nie chcą mieć nic wspólnego z władzą.

- Bo nie chcą i nie mają. Wystarczy sama groźba ich interwencji. Czarodzieje nazywają to paradoksem mocy: jeżeli masz moc oraz potrafisz i chcesz się nią posłużyć, to nie musisz z niej korzystać. Krainy wiedzą, że jeśli nie będą współdziałać i nie podporządkują się bezstronnemu kierownictwu Matki Spowiedniczki, to stojący za nią czarodzieje chętnie dadzą nauczkę nierozsądnym i zachłannym. To wszystko jest bardzo skomplikowane, ale sprowadza się do tego, iż właśnie ja kieruję Naczelną Radą i jeżeli mnie tam zabraknie, to słabi, bezbronni i pokojowo nastawieni stracą wolność, a reszta zostanie wciągnięta w wojnę, z której cało wyjdą jedynie najsilniejsi.

Richard odchylił się do tyłu i zamyślił. Kahlan patrzyła na blask ognia tańczący na twarzy chłopaka. Wiedziała, o czym tak rozmyśla: wspominał, jak ona, Kahlan, jednym gestem dłoni skłoniła królową Milenę, by padła na kolana i ucałowała rękę Matki Spowiedniczki oraz przysięgła jej posłuszeństwo. Szkoda, że musiała mu okazać, jak wielką ma władzę i jak bardzo się jej lękają, lecz wówczas nie mogła inaczej postąpić. Niektórzy ustępują tylko przed siłą. Jeżeli to konieczne, przywódca musi okazać swą

potęgę lub przypadnie.

- Będą kłopoty. - Richard spojrział na nią z powagą. - Czarodzieje nie żyją: popełnili samobójstwo, kiedy wyruszałaś szukać Zedda. Nie ma już przychodzącej wraz z Matką Spowiedniczką groźby. Nie żyją inne Spowiedniczki, zabite przez Rahla Posepnego. Ty jedna pozostałaś. Nie masz już sojuszników. Jeśli coś ci się stanie, nie będzie nikogo, kto mógłby zająć twoje miejsce. Zedd mówił, byśmy się z nim spotkali w Aydindril. Musi się o tym dowiedzieć. Z tego, co wiem o ludziach władzy, z obserwacji rajców w Westlandzie i mojego własnego brata, tutejszych królowych czy Rahla Posepnego, wynika, że będą cię uważali za przeszkodę na swojej drodze. Matka Spowiedniczką musi władać, jeżeli Midlandy mają zachować jedność, więc będzie ci potrzebna pomoc. I ty, i ja musimy służyć prawdzie. Pomogę ci. - Uśmiechnął się łobuzersko. - Skoro ci wasi rajcy boją się spiskować przeciwko Matce Spowiednicze ze strachu przed czarodziejami, to niech no tylko spotkają się z Poszukiwaczem!

- Jesteś szczególną osobą, Richardzie Cypher. - Palce Kahlan musnęły jego twarz. - Najpotężniejsza ze mnie osoba w Midlandach, a zdaje mi się, że unosisz mnie ze sobą ku świetności.

- Jestem kimś, kto kocha cię całym sercem i kochać nie przestanie. - Richard westchnął. - O ileż wszystko było prostsze tam, w lasach: tylko ty i ja, gotowałam ci posiłki na ognisku. - Zerknął na nią spod oka. - Czy nadal pozwolisz mi dla siebie gotować, Matko Spowiedniczo?

- Pani Sanderholt bardzo by się to nie spodobało. Nie lubi, gdy ktoś grasuje po jej kuchni.

- Masz kucharkę?

- Prawdę mówiąc, to nigdy nie widziałam, żeby sama coś gotowała. Prawie cały czas kręci się po swoim królestwie z warząchwią w garści, próbuje potraw i beszta kucharzy, kuchcików i podkuchennych. Jest Pierwszą Kucharką. Strasznie się irytuje, kiedy schodzę do kuchni coś sobie ugotować. Pani Sanderholt radzi mi wtedy, żebym się zajęła innymi sprawami. Mówi, iż straszę jej ludzi. Twierdzi, że ile razy przyjdę do kuchni i poproszę o garnki, to jej ludzie trzęsą się potem przez resztę dnia. Staram się więc nie zachodzić tam zbyt często. A tak lubię gotować.

Kahlan uśmiechnęła się na wspomnienie pani Sanderholt.

Jakże dawno nie była w domu!

- Kucharze - mruknął do siebie Richard. - Nigdy nie miałem kogoś, kto by dla mnie gotował. Zawsze sam sobie pitrasilem. - Znów się uśmiechnął. - Chyba pani Sanderholt ustąpi mi trochę miejsca, kiedy zechcę ugotować ci coś pysznego?

- Idę o zakład, że wkrótce owiniesz ją sobie dokoła palca.

- Obiecasz mi coś? - Uścisnął dłoń dziewczyny. - Przrzeknij, że pojedziesz ze mną do Westlandu, bym mógł ci pokazać najpiękniejsze, znane tylko mi, miejsca w Lasach Hartlandzkich. Marzę o tym, by cię tam zabrać.

- Bardzo bym tego chciała - szepnęła Kahlan.

Richard pochylił się, chcąc ją pocałować. Skrzywił się z bólu, zanim zdążył objąć dziewczynę. Jęknął i ciężko wsparł głowę na ramieniu Kahlan. Przytuliła go, przerażona, a potem ułożyła na plecach. Trzymał się za głowę, z trudem oddychając. Wystraszyła się nie na żarty. Richard przyciągnął kolana do piersi i przetoczył się na bok. Pochyliła się nad nim, dotknęła jego ramienia.

- Idę po Nissel. Pobiegnę, ile sił. Mógł tylko kiwnąć głową; drżał z bólu.

Kahlan podbiegła do drzwi, popchnęła je i wypadła w cichą, spokojną noc. Zamknęła drzwi. Lodowate powietrze zmieniało oddech w obłoczki pary. Spojrzała ponad niskim murkiem. Księżyc srebrzył jego szczyt.

Kury zniknęły.

Za ogrodzeniem kulił się ciemny kształt.

Poruszył się leciutko i w księżycowej poświacie błysnęły złociste ślepia.

ROZDZIAŁ 7

Mroczny stwór podniósł się, pazury zgrzytnęły o murek. Zarechotał. Kahlan przeszył lodowaty dreszcz. Zesztywniała, a oddech uwiązał jej w gardle. Ciemny kształt wydawał się fragmentem czarnej pustki w księżycowej poświacie. Ślepie błysnęły i zniknęły w ciemnościach.

Myśli wirowały w głowie dziewczyny - usiłowała dopasować to, co wiedziała, do tego, co zobaczyła. Chciała uciekać, ale dokąd? Ku Richardowi? Gdzie indziej?

Nie widziała ślepi, lecz czuła je jak lodowate dotknięcie śmierci. Z gardła Kahlan wydobył się najcichszy jęk. Bestia ryknęła śmiechem i wskoczyła na ogrodzenie.

Ciężkie drzwi otworzyły się z trzaskiem, uderzając o ścianę domu duchów. Dziewczyna usłyszała charakterystyczny brzęk dobywanego w gniewie Miecza Prawdy. Czarna głowa zwróciła się ku Richardowi, a ślepie błysnęły złościście w księżycowej poświacie. Poszukiwacz złapał Kahlan za ramię i wepchnął z powrotem do środka. Kopnięciem zatrzaskał za nią drzwi.

Spowiedniczka, zamknięta w domu duchów, usłyszała skowyczący śmiech, a potem coś grzmotnęło w odrzwia. Poderwała się, dobytek noża. Docierał do niej śpiew miecza, ciała uderzały o ścianę budynku.

Słyszała wrzaskliwy, skowyczący rechot.

Uderzyła ramieniem we wrota i potoczyła się w noc. Zerwała się i zobaczyła mknący ku niej mały, ciemny kształt. Zadała cios nożem i chybiła.

Stwór znów się na nią rzucił, lecz zanim zdążył ją dopaść, Richard celnym kopniakiem cisnął nim o ogrodzenie. Miecz Prawdy zaśnił w blasku księżyca. Trafił tylko w murek. Poleciały kawałki błotnych cegieł i zaprawy. Potwór ryknął śmiechem.

Richard zdążył odciągnąć Kahlan i czarny stwór przemknął obok. Pchnęła nożem, lecz trafiła w coś twardego - twardego jak kość. Szponiasta łapa śmignęła przed twarzą dziewczyny, a cięcie miecza chybiło.

Słyszała, jak Richard ciężko oddycha, obserwując ciemność. Stwór wyskoczył znikąd i zwałił chłopaka z nóg. Ciemne kształty tarzały się w pyłe. Nie wiedziała, który to Richard, który napastnik. Szponiaste łapy wzbijały

tumany pyłu, uderzając chłopaka.

Poszukiwacz cisnął stwora za murek. Ów natychmiast wskoczył na szczyt ogrodzenia i stał tam, rechocząc ohydnie. Jego ślepie błyszcząły złościście w księżycowym blasku - patrzył, jak się cofają.

Powietrze ożyło nagle rojem strzał. Trafiły w czarne monstrum. Żadna nie chybiła. Następna fala strzał. Bestia dusiła się ze śmiechu. Stała na murku i wyglądała jak czarna poduszka do igieł.

Kahlan aż otworzyła usta, widząc, że monstrum wrywa garść sterczących mu z piersi grotów. Zarechotało, jakby się z nich wyśmiewało, a potem zamrugało, obserwując, jak się cofają. Nie rozumiała, dlaczego stoi na murku. Nowa fala strzał wbiła się w czarnego stwora. Nie zwrócił na to uwagi i zeskoczył na ziemię.

Ktoś biegł z uniesioną włócznią. Stwór wypadł z cienia rzucanego przez ogrodzenie i rzucił się ku biegnącemu. Łowca cisnął włócznią. Potwór uchylił się z nieprawdopodobną szybkością, po czym złapał włócznię zębiskami. Ze śmiechem przegryzł drzewce na pół. Łowca wycofał się powoli, a bestia straciła dlań zainteresowanie. Znowu obserwowała Kahlan i Richarda.

- Co on, u licha, robi? - szepnął chłopak. - Czemu się zatrzymał? Dlaczego tylko się nam przygląda?

Kahlan zrozumiała i zmartwiła z przerażenia.

- To screeling - szepnęła bardziej do siebie niż do Richarda. - Chrońcie nas, dobre duchy, to screeling.

Trzymali się z chłopakiem za rękawy i powoli cofali, obserwując monstrum.

- Odejdźcie! - wrzasnęła Kahlan do łowców. - Nie biegnijcie! Idźcie!

Wystrzelili kolejną bezużyteczną falę strzał.

- Tam - powiedział Richard. - Między chaty, gdzie ciemno.

- Ten stwór widzi w ciemnościach lepiej niż my w blasku dnia, Richardzie. Jest z zaświatów.

Chłopak nie spuszczał oczu ze screelinga, stojącego w blasku księżyca na otwartej przestrzeni.

- Słyszę. Co innego nam pozostało?

- Nie wiem. - Potrząsnęła głową. - Lecz nie biegnij i nie stój bez ruchu. To przyciąga jego uwagę. Myślę, że uśmierci go tylko rozdarcie na strzępy.

- A jak ci się zdaje, co próbowałem zrobić? - Spojrzał na Kahlan gniewnymi oczami.

- Może i powinniśmy tamtędy przejść. - Dziewczyna obejrzała się przez ramię na wąskie przejście, w które mieli wejść. - Może stwór pozostanie tutaj, a nam się uda uciec. Jeśli nie, to przynajmniej odciągniemy go od pozostałych.

Screeling patrzył, jak się wycofywali, a potem ruszył susami za Kahlan i Richardem, rechocząc złośliwie.

- Nic nigdy nie jest łatwe - mruknął chłopak.

Cofali się wąskim przejściem pomiędzy wyprawionymi na gładko ścianami chat; bestia podążała ich śladem. Kahlan widziała ciągnącą za stworem grupkę łowców. Słyszała bicie swego serca.

- Chciałem, byś została w domu duchów. Dlaczego opuściłaś to bezpieczne miejsce?

Dziewczyna rozpoznała w jego głosie magiczny gniew miecza. Rękaw Richarda pod jej dłonią był lepki i ciepły. Spojrzała - z ramienia chłopaka na jej dłoń spływała krew.

- Bo cię kocham, głuptasie. I nigdy już nie próbuj zostawiać mnie w bezpiecznym miejscu, ostrzegam.

- Jeśli wyjdziemy z tego żywi, to przerzucę cię przez kolano. Cofali się wąskim, krętym przejściem.

- Jeśli wyjdziemy z tego żywi, to ci na to pozwolę. Co z twoim bólem głowy?

- Nie wiem. - Richard potrząsnął głową. - Zniknął w jednej chwili, choć przed sekundą ledwie mogłem oddychać. Gdy tylko ustał, wyczułem tego stwora za drzwiami i usłyszałem jego ohydny rechot.

- Prawdopodobnie usłyszałeś go i dlatego myślisz, że wyczułeś jego obecność.

- Sam nie wiem. Może. Ale to było strasznie dziwne uczucie. Kahlan pociągnęła chłopaka w boczne przejście. Tu było ciemniej.

Blask księżyca oświetlał szczyt ściany po lewej. Ze zgrozą zobaczyła ciemny kształt screelinga pełzającego po niej jak jakiś wielki, czarny robak. Z trudem zaczerpnęła powietrza.

- Jak on to robi? - szepnął Richard.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Za nimi pojawiły się pochodnie.

Nadciągali łowcy, starając się osaczyć napastnika. Richard obejrzał się.

- Jeśli spróbują złapać stwora, to zabije wielu z nich. Nie mogę na to pozwolić, Kahlan. - Weszli na oświetlone księżycem skrzyżowanie wąskich przejść i chłopak spojrział w prawo, ku zbliżającej się z pochodniami grupie łowców. - Idź do nich. Skryj się za nimi.

- Richardzie, nie zostawię...

- Rób, co mówię! - Popchnął ją. - Ale już!

Aż podskoczyła, słysząc taki ton jego głosu. Mimowolnie się odsunęła. Richard trwał nieruchomo w blasku księżyca, trzymając oburącz miecz dotykający czubkiem ziemi. Popatrzył na przyczepionego do ściany screelinga. Stwór zaśmiał się wrzaskliwie, jakby nagle rozpoznał stojącą przed nim postać. Puścił się ściany i opadł, z łomotem lądując w mroku.

Kahlan widziała gniewnie zaciśnięte szczęki Richarda, widziała też mknącą ku niemu, wzbijającą tumany kurzu błyskawicę. Czubek miecza dotykał ziemi.

To się nie może stać, myślała dziewczyna, nie może. Nie teraz, kiedy wreszcie wszystko jest, jak trzeba. Ten potwór może go zabić. Naprawdę zabić. I wszystko się skończy. Wstrzymała oddech. Obudził się Krwawy Gniew Spowiedniczki. Czują dreszcze.

Screeling odbił się od ziemi i poszybował ku Richardowi. Czubek miecza szarpnął się w górę, przesywając młócając łapami postać. Kahlan widziała sterczące z pleców monstrum, lśniące w księżycowej poświacie żelazo. Stwór znów zarechotał ohydnie. Czepiał się łapami klingi i przesuwał ku chłopakowi. Przy okazji odciął sobie kilka szponiastych paluchów. Poszukiwacz potężnie machnął mieczem. Screeling ześliznął się z klingi i łupnął o ścianę. Natychmiast skoczył ku chłopakowi. Ten zamierzył się mieczem. W Kahlan wezbrały gniew i strach. Instynktownie uniosła ramię i skierowała zaciśniętą pięść ku stworowi próbującemu zabić Richarda, jej ukochanego - jedyne go mężczyznę, którego mogłaby pokochać.

Screeling był tuż-tuż; oręż Poszukiwacza kończył swój bieg. Dziewczyna czuła nieposkromiony przyływ mocy. Uwolniła ją. Niesamowite błękitne światło strzeliło z jej zaciśniętej pięści; noc zmieniała się w oślepiający dzień.

Miecz i błękitna błyskawica jednocześnie trafiły bestię. Stwór eksplodował, rozpryskując się deszczem bezkrwawych, czarnych szczątków. Kahlan widziała, jak Miecz Prawdy czyni tak z żyjącymi. Nie wiedziała, czy

tym razem było to dzieło klingi, czy błękitnego gromu.

Huk gromu dzwonił dziewczynie w uszach w zapadłej nagle dokoła ciszy. Podbiegła do zgarbionego i zadyszanego Richarda i objęła go.

- Nic ci nie jest?

Chłopak przytulił ją wolnym ramieniem i potaknął, że nic mu się nie stało. Stali tak, przytuleni. Otoczyli ich łowcy z pochodniami. Richard wsunął miecz do pochwy. Kahlan dostrzegła w świetle pochodni szarpaną ranę na ramieniu ukochanego. Oddarła kawałek jego rękawa i przewiązała krwawe rozdarcie. Popatrzyła na łowców, uzbrojonych w gotowe do strzału łuki lub we włócznie.

- Nic się nikomu nie stało?

Chandalen wszedł w blask pochodni i powiedział: - Wiedziałem, że przyniesiecie kłopoty.

Spojrzała nań twardym wzrokiem, potem podziękowała jernu i jego ludziom za to, że chcieli pomóc.

- Co to był za stwór? I co ty, u licha, zrobiłaś? - Richard osuwał się na ziemię.

- To chyba screeling. - Objęła go w pasie i podtrzymała. - I za dobrze nie wiem, co zrobiłam.

- Screeling? Co to jest...

Ścisnął głowę w dłoniach i mocno zacisnął powieki. Osuwał się na kolana. Kahlan nie mogła go utrzymać. Savidlin, który też tu był, chciał jej pomóc. Lecz nie zdążył. Richard upadł do przodu, twarzą na ziemię. Płakał z bólu.

- Pomóż mi go zanieść z powrotem do domu duchów, Savidlinie, i pošlij kogoś po Nissel. Niech przyjdzie jak najszybciej.

Savidlin krzyknął do jednego ze swoich ludzi, żeby biegł po uzdrowicielkę. Potem, wraz z paroma innymi, podniósł Richarda. Wsparty na włócznie Chandalen tylko się temu przyglądał.

Oświetlona pochodniami grupka ruszyła ku domowi duchów. Savidlin i niosący chłopaka ludzie weszli za Kahlan do środka. Umieścili Richarda przed paleniskiem i podłożyli mu pod głowę koc. Savidlin odesłał swoich, lecz sam został z dziewczyną.

Kahlan uklękła przy chłopaku, drżącą dłonią dotknęła jego czoła. Było lodowate i złane potem. Wydawało się, że Poszukiwacz jest prawie

nieprzytomny. Zagryzła wargi i z trudem powstrzymywała łzy.

- Nissel mu pomoże - odezwał się Savidlin. - Zobaczysz. To świetna uzdrowicielka. Będzie wiedziała, co robić.

Dziewczyna tylko skinęła. Richard mamrotał coś i kręcił głową, jakby próbował ją wygodniej ułożyć. Siedzieli, milcząc, aż wreszcie Savidlin zapytał:

- Co zrobiłaś, Matko Spowiedniczko? Jak posłałaś tamtą błyskawicę?

- Sama dobrze nie wiem. Ale to część magii Spowiedniczek. Nazywają to Con Dar.

Savidlin siedział na piętach, otaczając kolana krzepkimi ramionami.

- Nie miałem pojęcia, że Spowiedniczka potrafi przywołać błyskawicę.

- Sama dowiedziałam się tego dopiero parę dni temu.

- Czym był ten czarny stwór?

- Sądzę, że mogło to być stworzenie z zaświatów.

- Stamtąd, skąd przedtem przyszły cienie? - Dziewczyna potaknęła. - Dlaczego pojawił się teraz?

- Przykro mi, Savidlinie, ale nie wiem. Gdyby pokazało się ich więcej, powiedz ludziom, żeby schodzili im z drogi spokojnym krokiem. Niech nie stoją i nie biegną. Mają iść spokojnie i przywołać mnie.

Savidlin w milczeniu rozważał słowa Kahlan. W końcu drzwi otworzyły się, skrzypiąc, i w progu stanęła przygarbiona postać oraz dwaj łowcy z pochodniami. Kahlan poderwała się, podbiegła do przybyłej i ujęła jej dłoń.

- Dziękuję, że przyszłaś, Nissel.

Uzdrowicielka uśmiechnęła się i poklepała dziewczynę po ramieniu.

- Jak tam ramię, Matko Spowiedniczko?

- Zdrowe, dzięki tobie. Coś złego dzieje się z Richardem. Ma straszliwy ból głowy.

- Już dobrze, dziecko. - Nissel uśmiechnęła się.

- Zajmiemy się nim.

Kobieta uklękła obok Richarda, a jeden z przybyłych z nią łowców podał uzdrowicielce płócienną torbę. Gdy położyła ją na klepisku, w środku coś brzęknęło. Kazała bliżej przysunąć pochodnię. Zdjęła zakrwawiony opatrunek i otworzyła palcami ranę. Spojrzała na chłopaka - nic nie poczuł.

- Najpierw, dopóki on śpi, zajmę się raną.

Oczyściła i zeszyła rozdarcie. Kahlan i trzej mężczyźni przyglądali się

temu w milczeniu. Pochodnie syczały i skwierczały, oświetlając wnętrze niemal pustego domu duchów niemiłym, migotliwym blaskiem. Ustawione na półce czaszki przodków przyglądały się temu wszystkiemu wraz z innymi.

Nissel, mruczając coś czasem do siebie, skończyła zszywanie rany i nałożyła pachnący sosnową smołą kataplazm. Całość owinęła czystym bandażem. Szukała czegoś w torbie. Powiedziała łowcom, że mogą już odejść. Wychodząc, Savidlin dotknął ze współczuciem ramienia Kahlan i zapowiedział, że wróci do nich rankiem.

Poszli. Nissel przestała grzebać w torbie i spojrzała na Kahlan.

- Słyszałam, że masz go poślubić. - Dziewczyna potaknęła. - Sądziłam, że nie możesz mieć ukochanego, bo jesteś Spowiedniczką i twoja moc mogłaby go porazić, gdy... kiedy byście robili dzieci.

Kahlan uśmiechnęła się do staruszki ponad Richardem.

- Richard to ktoś szczególny. Ma magię, która chroni go przed moją mocą.

Obiecali Zeddowi, iż nigdy nie wyjawiają prawdy - że chłopaka chroniła jego miłość do niej.

Nissel uśmiechnęła się i pomarszczoną ręką dotknęła ramienia Kahlan.

- To radosna nowina, dziecko. Cieszę się. - Znów sięgnęła do torby i tym razem wyjęła garść niewielkich glinianych buteleczek. - Często ma te bóle głowy?

- Mówił, iż czasem głowa bardzo go boli, lecz że teraz jest to zupełnie inny ból: jakby coś chciało mu się z niej wydostać. Twierdzi, iż nigdy wcześniej się to nie zdarzało. Możesz mu pomóc?

- Przekonamy się.

Nissel kolejno odkorkowywała buteleczki i machała każdą przed nosem Richarda. Zawartość jednej z nich ocuciła w końcu chłopaka. Uzdrowicielka powąchała tę buteleczkę, żeby sprawdzić, co to takiego. Pokiwała głową, mruknięła coś i schowała flaszeczkę do torby.

- Co się dzieje? - jęknął Richard.

- Nissel szuka leku na twój ból głowy. - Kahlan nachyliła się i pocałowała go w czoło. - Leż spokojnie.

Chłopak wygiął się w łuk i mocno zacisnął powieki. Przycisnął drżące pięści do skroni pękającej z bólu głowy. Uzdrowicielka otworzyła mu usta i

wsunęła w nie kilka małych listków.

- Powiedz mu, żeby je żuł. Bez przerwy.

- Mówi, żebyś żuł te liście. Pomogą ci.

Chłopak kiwnął głową, przetoczył się na bok, udęczone cierpieniem, i zaczął żuć zioła. Kahlan gładziła jego włosy. Czuła się bezradna; ogromnie chciała mu jakoś ulżyć. Przerazał ją widok targanego bólem Richarda.

Nissel wlała do dużego kubka jakiś płyn z bukłaka i domieszała doń proszki z kilku słoiczków. Wraz z Kahlan pomogły chłopakowi wypić tę miksturę. Potem opadł na plecy; ciężko oddychał, lecz wciąż gryzł listki.

- Napój da mu sen. - Nissel wstała i podała dziewczynie małą torebkę. - W razie potrzeby daj mu więcej tych listków do żucia. Stłumią ból.

Dziewczyna przygarbiła się nieco; nie chciała aż tak górować wzrostem nad staruszką.

- Wiesz, skąd te bóle, Nissel?

Uzdrowicielka wyjęła korek z buteleczki, powąchała zawartość i podsunęła pojemniczek pod nos Kahlan. Pachniał bzem oraz lukrecją.

- Duch - oznajmiła.

- Duch? Co masz na myśli?

- To choroba jego ducha. Nie krwi, nie równowagi, nie oddechu. Ducha.

Kahlan nie miała pojęcia, co to znaczy, ale w końcu nie tego chciała się dowiedzieć.

- Wyzdrowieje? Liście i mikstura uleczą go?

Nissel uśmiechnęła się, po czym poklepała ramię dziewczyny.

- Bardzo bym chciała być przy waszych zaślubinach. Nie zrezygnuję. Jeśli to nie pomoże, to spróbujemy czegoś innego.

Kahlan ujęła ramię staruszki i wyprowadziła ją z domu duchów.

- Dziękuję, Nissel.

W pobliżu niskiego murku stał Chandalen. Kilku jego ludzi tkwiło trochę dalej, w mroku. Prindin był tuż przy domu duchów.

- Czy mógłbyś odprowadzić Nissel do chaty?

- Oczywiście.

Prindin ujął ramię uzdrowicielki i troskliwie poprowadził ją w noc.

Kahlan wymieniła z Chandalenem długie spojrzenie i podeszła do niego.

- Doceniam to, że ty i twoi ludzie nasz strzeżecie. Dziękuję.

- Wcale was nie strzegę. - Spojrzał na nią obojętnie. - Strzegę mojego

ludu przed wami. Przed tym, co jeszcze możecie sprowadzić.

Kahlan otrzepała ramiona z kurzu.

- Jeśli nawet coś zjawiłoby się, to nie usiłuj tego sam zabić. Nie chcę, żeby zginął choć jeden Błotny Człowiek. To dotyczy również ciebie. Jeżeli coś się pojawi, to nie stój w miejscu ani nie biegnij. Musisz spokojnie iść. Przyjdź i powiedz mi o tym. Nie próbuj sam z tym walczyć. Rozumiesz? Przyjdź i zawołaj mnie.

- A ty przywołasz następne błyskawice? - Nadal był obojętny.

- Jeśli będę musiała. - Spojrzała nań zimno, zastanawiając się, czy da radę: nie miała pojęcia, jak to zrobiła. - Richard Popędliwy jest chory. Nie wiadomo, czy będzie mógł jutro zmierzyć się z tobą i twoimi ludźmi na łuki.

- Wiedziałem, że znajdzie jakiś pretekst, by się wycofać. - Chandalen miał zarozumiałą minę.

Kahlan zaczerpnęła głęboko powietrza przez zaciśnięte zęby. Nie zamierzała stać tutaj i wymieniać zniewag z tym głupcem. Chciała wrócić do Richarda.

- Dobranoc, Chandalenie.

Richard w dalszym ciągu leżał na plecach i przeżuwał liście. Usiadła przy nim, ciesząc się, że wygląda lepiej.

- Te liście zaczynają mi smakować.

- Jak się czujesz? - Dotknęła jego czoła.

- Trochę lepiej. Ból przychodzi i odchodzi. Myślę, iż liście pomagają. Tylko że kręci mi się po nich w głowie.

- Chyba lepiej, żeby się kręciło, niż łomotało?

- Pewnie. - Położył dłoń na ramieniu dziewczyny i zamknął oczy. - Z kim rozmawiałeś?

- Z tym durniem Chandalenem. Pilnuje domu duchów. Uważa, że ściągniemy więcej kłopotów.

- Może i nie taki z niego głupiec. Ten stwór nie przybyłby tu bez nas. Jak go nazwałaś?

- Screeling.

- A cóż to takiego?

- Sama dobrze nie wiem. Opisywano mi je, choć nie znam nikogo, kto widziałby je na własne oczy. Podobno są z zaświatów.

Richard przestał żuć liście, otworzył oczy i spojrzał na Kahlan.

- Z zaświatów? Co wiesz o tych screelingach?

- Niezbyt wiele. - Zmarszczyła brwi. - Widziałeś kiedyś pijanego Zedda?

- Zedda??? Nigdy. On nie lubi wina. Za to kocha jeść. Mawia, że picie źle wpływa na myślenie, a myślenie jest najważniejsze ze wszystkiego. - Richard uśmiechnął się. - Mawia też, że im komu gorzej wychodzi myślenie, tym jest lepszy w picciu.

- Hmmm, pijani czarodzieje są okropni. Pewnego razu, dawno temu, kiedy byłam mała, byłam w Wieży Czarodzieja i uczyłam się języków. Trzymali tam słowniki i tak dalej. Tak więc uczyłam się, a czterej czarodzieje czytali wspólnie księgę przepowiedni. Nigdy przedtem tej książki nie widziałam. Pochylali się nad nią, coraz bardziej podekscytowani. Rozmawiali cicho. Powiedziałabym, że wszyscy byli wystraszeni. Wtedy o wiele bardziej bawiło mnie obserwowanie czarodziejów niż uczenie się języków. Podniosłam oczy znad książki, a oni zbledli jak płótno. Poderwali się jak jeden mąż i zatrzasnęli księgę. Aż podskoczyłam, słysząc ów trzask. Stali tak przez chwilę nieruchomo, a potem jeden z nich wyszedł i wrócił z butelką. Bez słowa rozdał puchary i nalał. Wypili jednym haustem. Znow nalał i znow wypili jednym haustem. Rozsiedli się wokół stołu, na którym leżała owa księga, i osuszyli butelkę. Stali się całkiem zadowoleni. I pijani. Śmiali się i śpiewali. Uważałam, że to strasznie zabawne i ciekawe. Nigdy wcześniej niczego podobnego nie widziałam.

W końcu spostrzegli, że się im przyglądam, i przywołali mnie. Nie miałam ochoty do nich podejść, ale byli czarodziejami i dobrze ich znałam, więc nie bałam się i w końcu podeszłam.

Jeden z nich posadził mnie sobie na kolanach i spytał, czy nie chciałabym z nimi zaśpiewać. Odparłam, że nie znam piosenki, którą śpiewali. Spojrzeli po sobie i powiedzieli, że mnie nauczą. Siedzieliśmy tam dosyć długo i nauczyli mnie tej piosenki.

- Pamiętasz ją?

Kahlan potakująco kiwnęła głową.

- Nigdy jej nie zapomnę.

Usiadła wygodniej i zaśpiewała:

Screelingi grasują, Opiekunowi zwycięstwo szykują. Jego asasyni zedrą z ciebie skórę. Nie biegnij, bo złote ślepia cię zoczą, Screelingi cię dopadną, z radości zarechoczą.

Idź wolno albo cię poszarpią, Wyrwą ci serce i ze śmiechu padną. Nie stój, bo złote ślepie cię odkryją. Screelingi cię dopadną, dla Opiekuna zabiją.

Szarp je, tnij, siekaj na kawały Lub screeling cię dopadnie, drząc ze śmiechu cały. A jak nie screeling, to Opiekun się waży, Sięgnie, dotknie i skórę ci przysmaży.

Odbierze ci rozum, odbierze i duszę. Będziesz spał z umarłym i postradasz życie. Przy Opiekunie wieczność całą będziesz mrzeć, Bo on brzydzi się życiem, co zbrodnią dlań jest.

Screeling cię dopadnie, tak mówi ten tekst.

Jak nie on, to Opiekun w kolejce też jest.

Chyba że w prawdzie zrodzon podejmie bój o sprawę.

On naznaczon jest; to kamyk w stawie.

Richard wpatrywał się w śpiewającą dziewczynę.

- Też pomyśl, żeby uczyć dziecko takiej makabry - zawyrokował, żując liście.

Kahlan przytaknęła z westchnieniem.

- Tamtej nocy miałam straszliwe koszmary. Mama przyszła do mojego pokoju i usiadła przy mnie na łóżku. Utuliła mnie i spytała, jakie zmory mnie dręczą. Zaśpiewałam jej tę piosenkę. Została i spała ze mną. Następnego dnia poszła do owych czarodziejów. Nie wiem, co im powiedziała, ale przez parę miesięcy umykali pospiesznie na jej widok. I przez długi czas unikali mnie jak śmierci.

Chłopak wyjął z torebki kolejny liść i wsunął do ust.

- To Opiekun wysyła screelingi? Opiekun zaświatów?

- Tak mówi piosenka. To musi być prawda. Czy jakaś istota z tego świata śmiałaby się, przeszyta tyloma strzałami?

Richard rozmyślał przez chwilę w milczeniu. - A co to jest „kamyk w stawie”?

- Nigdy przedtem o tym nie słyszałam.

- A ta błękitna błyskawica? Jak to zrobiłaś?

- To ma coś wspólnego z Con Dar. Dokonałam tego już wcześniej, kiedy zbudził się we mnie ów gniew. - Odetchnęła głęboko, wspominając tamtą chwilę. - Sądziłam wtedy, że nie żyjesz. Nigdy wcześniej nie czułam Con Dar, ale od tamtej pory stale go wyczuwam, podobnie jak moją magię Spowiedniczki. Najwyraźniej są ze sobą powiązane. Musiałam obudzić w

sobie Krwawy Gniew. To chyba przed tym ostrzegła mnie Adie, kiedy u niej byliśmy. Ale nie mam pojęcia, Richardzie, jak to zrobiłam.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać. - Chłopak uśmiechnął się. - Nie siedziałbym tak spokojnie, gdybym odkrył, że potrafię ciskać błyskawice.

- Więc dobrze sobie zapamiętaj, że to potrafię - ostrzegła go. - Bo gdy jakaś ślicznotka zacznie do ciebie trzepotać rzęsami...

- Nie ma żadnych ślicznotek. - Wziął ją za rękę, a ona drugą dłonią pogładziła go po włosach.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Połóż się przy mnie - szepnął. - Chcę, żebyś była tuż-tuż. Boję się, że już się nie obudzę, i chcę, byś była blisko mnie.

- Na pewno się obudzisz - obiecała żarliwie.

Wzięła jeszcze jeden koc i przykryła ich oboje. Przytuliła się do Richarda, położyła mu głowę na ramieniu, objęła i usiłowała się nie smucić tym, co powiedział.

ROZDZIAŁ 8

Kahlan zbudziła się przytulona plecami do Richarda. Przez szczeliny wokół drzwi sączyło się światło. Usiadła, przetarła oczy i popatrzyła na chłopaka. Leżał na plecach, wpatrzony w sufit, i powoli, spokojnie oddychał. Uśmiechnęła się radośnie, patrząc na jego twarz. Był przystojny aż do bólu.

Nagle drgnęła, uświadamiając sobie, kogo jej przypomina. Richard był podobny do Rahla Posępnego. Nie tak nieskazitelnie, posągowo doskonały - rysy miał wyrazistsze, odrobinę mniej regularne; był prawdziwszy.

Zanim pokonali Rahla, byli u Shoty. Wiedźma ukazała się im jako matka chłopaka i Kahlan spostrzegła, że Richard ma matczyne oczy i usta. W jego twarzy rysy matki mieszały się z rysami Rahla, odbierając tym ostatnim okrutną doskonałość. Rahl miał włosy delikatne, proste i jasne, Richard - ciemniejsze i grubsze. Oczy Richarda były szare, Rahla błękitne, ale jedne i drugie były tak samo przenikliwe. Ich spojrzenie przypominało spojrzenie drapieżnego ptaka, było ostrzejsze od stali.

Kahlan nie wiedziała, jak to możliwe, lecz była pewna, że w żyłach Richarda płynie krew Rahla. Przecież Rahl Posępny był z D'Hary, a Richard z Westlandu. To dość odległe krainy. Uznała w końcu, iż musieli mieć jakiegoś wspólnego przodka.

Chłopak wciąż patrzył w sufit. Położyła mu dłoń na ramieniu i ścisnęła lekko.

- Jak twoja głowa?

Podskoczył jak oparzony. Rozejrzał się, zamrugał oczami. Potarł powieki.

- Cooo? Spałem. Co mówiłaś?

- Nie spałeś - skrzywiła się Kahlan.

- Owszem, spałem. Głęboko.

- Miałeś szeroko otwarte oczy - powiedziała. Poczwała ukłucie lęku. - Obserwowałam cię. - Przemilczała fakt, że według jej wiedzy tylko czarodzieje śpią z otwartymi oczami.

- Naprawdę? - Rozejrzał się. - Gdzie te liście? - Proszę, weź. Dalej tak boli?

- Tak. - Usiadł. - Ale bywało gorzej. - Wsunął kilka liści do ust, przeczesał włosy palcami. - Przynajmniej mogę mówić. - Uśmiechnął się do Kahlan. - I mogę się uśmiechać bez lęku, że twarz rozpadnie mi się na kawałki.

- Skoro nie czujesz się zbyt dobrze, to może nie powinieneś rywalizować dziś w strzelaniu z łuku?

- Savidlin powiedział, że nie mogę się wycofać. Nie sprawię mu zawodu. Poza tym naprawdę chcę zobaczyć ten łuk, który dla mnie zrobił. Od... O, nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio strzelałem.

Richard zuł przez chwilę otrzymane od Nissel liście, a potem złożyli koce i poszli do Savidlina. Był w swojej chacie, słuchał, jak Siddin opowiada o lataniu na smoczycy. Savidlin bardzo lubił opowieści. Małego chłopca słuchał równie uważnie, jak powracającego z wyprawy łowcy. Kahlan z dumą zauważyła, iż malec opowiada zadziwiająco dokładnie, bez fantastycznych upiększeń.

Siddin dopytywał się, czy mógłby trzymać w domu smoka. Ojciec pouczył go, że czerwony smok to nie domowe zwierzątko, lecz przyjaciel ich ludu. Za to może mieć czerwoną kurkę.

Weselan gotowała rodzaj owsianki, do której wbiła jajka. Zaprosiła Kahlan i Richarda na wspólny posiłek. Usiedli na leżącej na podłodze skórze, dostali po miseczce potrawy. Jako łyżka służył chleb tava.

Richard poprosił Kahlan, żeby spytała Savidlina, czy ma jakiś świder. Łowca odchylił się w tył i z leżącej pod ławą torby wyjął cienki pręt. Podał go chłopakowi, a ten wydobył z kieszeni ząb smoczycy. Richard ze zdziwieniem obejrzał pręt, przytknął go do zęba i pokręcił. Savidlin roześmiał się.

- Chcesz go przewiercić? - Richard potwierdził skinieniem głowy. Łowca wyciągnął rękę. - Daj mi to. Pokażę ci, jak to działa.

Nożem wydlubał w zębie malutką dziurkę, potem przytrzymał go stopami. W otworze umieścił kilka ziaren piasku, potem czubek pręta. Splunął w dłonie; prędko kręcił prętem, od czasu do czasu dorzucając do otworu ziarenek piasku i dodając trochę śliny. Raz-dwa przewiercił ząb na wylot. Nożem wygładził powierzchnię przy wlotach i uniósł kiel, pokazując wyborowany w nim otwór. Richard śmiał się i dziękował mu, nawlekając ząb na rzemyk. Zawiesił go na szyi jak gwizdek od Człowieka Ptaka i Agiel Mord-Sith.

Miał zaczątek kolekcji wisiorów. Nie wszystkie podobały się Kahlan.

- Jak twoja głowa, lepiej? - zapytał Savidlin, wycierając miseczkę chlebem tava.

- Lepiej, ale nadal solidnie boli. Liście Nissel pomagają. Głupio mi, że

musieliście mnie nieść w nocy.

Savidlin roześmiał się.

- Kiedyś miałem tu poważną ranę. - Wskazał okrągłą bliznę na boku. - Kobiety zniosły mnie do domu. - Nachylił się ku chłopakowi, znacząco unosząc brew. - Kobiety! - Weselan łypnęła nań z przyganą, lecz udał, że tego nie widzi. - Ależ się moi ludzie śmiali, kiedy się dowiedzieli, że to kobiety mnie przyniosły. - Żuł przez chwilę ostatni kawałek chleba tava. - Potem powiedziałem im, które kobiety zniosły mnie do domu, i przestali się śmiać, za to zaczęli się zastanawiać, jak tu otrzymać taką samą ranę, żeby ich także zniosły do domostw.

- Savidlinie! - przywołała go do porządku zgorszona Weselan. Do młodych rzekła: - Gdyby nie miał wtedy tej rany, to już ja bym go zraniła. I to porządnie.

- Jak zarobiłeś tę ranę? - dopytywał się Richard.

- To było całkiem łatwe, jak to wówczas powiedziałem moim ludziom. - Łowca wzruszył ramionami. - Trzeba tylko stać nieruchomo niczym zaskoczony królik, a obcy spokojnie przeszyje cię włócznią.

- Czemu więc cię nie dobił?

- Bo naszpikowałem go kilkoma dziesięciokrokovymi strzałami. O, tu. - Wskazał na swoje gardło.

- Co to jest dziesięciokrokowa strzała?

Savidlin wyjął z kołczanu pocisk z haczykowatym zakończeniem.

- To jedna z nich. Widzisz tę ciemną barwę? To trucizna. Dziesięciokrokowa trucizna. Kiedy trafi cię taka strzała, to masz tylko dziesięć kroków, a potem padasz martwy. - Roześmiał się. - Moi ludzie oznajmili, że poszukają innego sposobu na to, żeby owe kobiety ich niosły.

Weselan nachyliła się ku niemu i wepchnęła mu w usta resztę swego chleba tava.

- Mężczyźni ogromnie lubią opowiadać najokropniejsze historie - powiedziała do Kahlan i uśmiechnęła się nieśmiało. - Ale martwiłam się o niego, dopóki nie wydobrzeał. Wiedziałam, że jest już zdrowy, jak przyszedł do mnie i zrobił Siddina. Wtedy się przestałam martwić.

Kahlan uświadomiła sobie, że przetłumaczyła, zanim dotarło do niej znaczenie słów. Poczula, jak palą ją uszy. Nie patrzyła na Richarda, całą uwagę poświęcając swojej owsiance. Cieszyła się, iż włosy zakrywają jej uszy;

wreszcie się na coś przydały.

- Przekonasz się, że i kobiety uwielbiają opowiadać różne historie - Savidlin poinformował Richarda z miną doświadczonego męża i mężczyzny.

Dziewczyna rozpaczliwie usiłowała wymyślić nowy temat do rozmowy. Nic z tego. Na szczęście wyręczył ją w tym Savidlin. Odchylił się do tyłu i wyjrzał przez drzwi.

- Wkrótce będzie czas iść.

- Skąd wiesz, kiedy mamy wyruszyć?

- Ja tu jestem, ty też. - Savidlin wzruszył ramionami. - Paru łowców. Kiedy wszyscy się zbiorą, będzie czas iść.

Mężczyzna wziął stojący w kącie izby łuk, wyższy od tego, z którego przedtem strzelał. Wyższy, dostosowany do wzrostu Richarda. Pomógł sobie stopą i napiął cięciwę.

Chłopak uśmiechał się szeroko. Powiedział łowcy, że tak wspaniałej broni jeszcze nie widział. Savidlin promieniał z dumy i dał jeszcze Richardowi pełen strzał kołczan.

- Skąd wiedziałeś, jaki dać naciąg? Ten jest w sam raz. - Richard zdziwił się, sprawdzając broń.

- Pamiętam, jak mocny szacunek okazałeś mojej sile przy naszym pierwszym spotkaniu. - Savidlin dotknął swojej brody. - Dla mnie jest za mocny, więc uznałem, że dla ciebie będzie akurat.

- Na pewno chcesz iść? - Kahlan stanęła obok chłopaka. - Jak twoja głowa?

- Przerażliwie boli. Ale mam liście, trochę pomagają. Wszystko będzie dobrze. Savidlin bardzo się z tego cieszy. Nie chcę go zawieść.

- Iść z tobą? - spytała, gładząc go po ramieniu. Richard pocałował ją w czoło.

- Nie będę potrzebować tłumacza, żeby wiedzieć, jak sromotnie przegrałem. No i *nie* chcę dawać ludziom Chandalena pretekstu do jeszcze gorszego upokorzenia mnie. I tak zrobią, co w ich mocy, by dać mi w kość.

- Zedd mówił mi, że jesteś całkiem niezły. Tak naprawdę to powiedział, że jesteś więcej *niż* dobry.

Chłopak zerknął na napinającego swój łuk Savidlina.

- Od dawna nie wypuściłem ani jednej strzały. Zedd pewno chciał kogoś zaniepokoić.

Skorzystał z tego, że Savidlin był zajęty swoim łukiem i skradł Kahlan

całusa, po czym wyszedł wraz z łowcą. Dziewczyna oparła się o framugę drzwi i patrzyła za nimi; nadal czuła usta Richarda na swoich wargach.

Chandalen odwrócił wzrok od strzały i obojętnie spojrzął na chłopaka. Prindin i Tossidin uśmiechnęli się szelmowsko. Czekali na to. Richard rozejrzał się wokół, spojrzął w oczy każdemu z mężczyzn i poszedł dalej. Ruszyli za nim. Był od nich wyższy przynajmniej o *głowę*. Wyglądali, jak podążająca za dorosłym grupka dzieci. Ale te „dzieci” miały zatrute strzały, no i niektóre z nich nie były życzliwie nastawione do Richarda. Kahlan nagle przestało się to wszystko podobać.

Weselan stała obok dziewczyny, spoglądając na odchodzących mężczyzn.

- Savidlin obiecał, że będzie czuwał, żeby nikt nie strzelił Richardowi w plecy. Nie martw się, Chandalen nie zrobi żadnego głupstwa.

- Nie wiem, co Chandalen uważa za głupstwo, i to mnie trapi.

Weselan wytarła dłonie ścierką i odwróciła się, by spojrzeć na synka. Siddin siedział i wodził paluszką po klepisku; był przygnębiony - chciał wyjść, lecz mama kazała mu zostać w chacie. Weselan stała nad nim przez chwilę i przyglądała mu się. Wreszcie spojrzął na nią, podpierając bródkę dłonią. Klepnęła go lekko ścierką.

- Możesz się pobawić na zewnątrz. - Wybiegł z radosnym okrzykiem, a ona westchnęła i potrząsnęła głową. - Dzieciaki nie mają pojęcia, jak cenne jest życie. I jak kruche.

- Może dlatego wszyscy chcielibyśmy znowu być dziećmi.

- Może i tak - potaknęła Weselan. Śliczny uśmiech rozjaśnił jej śniadą twarz, w ciemnych oczach zatańczyły iskierki. - W jakiego koloru sukni chciałabyś poślubić swojego mężczyznę?

Kahlan odrzuciła z ramion długie włosy, zastanawiała się przez chwilę. Uśmiechnęła się.

- Richard najbardziej lubi błękit.

- To wspaniale. - Weselan splótła palce. - Mam coś takiego. Chowałam to na specjalną okazję.

Poszła do małej sypialni i wróciła z zawiniątkiem. Usiadła na ławie obok Kahlan i ostrożnie je rozwinęła. Ukazała się wspaniała tkanina - soczysty błękit usiany jaśniejszymi, niebieskimi kwiatami. Kahlan pomyślała, że będzie z *niego* przepiękna suknia. Dotknęła materiału.

- Jest cudowny. Skąd go masz?

- Wyhandlowałam go. - Machnęła ręką ponad głowę. - Od ludzi z północy. Podobają się im misy, które robię. Wymieniłam je na to.

Kahlan potrafiła rozpoznać tkaninę wysokiej jakości. Weselan musiała zrobić mnóstwo mis, żeby dostać za nie ten materiał.

- Nie mogę tego przyjąć, Weselan. Ciężko na to pracowałaś. Materiał jest twój.

Weselan uniosła brzeg błękitnej tkaniny, przyjrzała się jej krytycznie.

- Bzdura. Przyszliście tu oboje i nauczyliście nas budować dachy, które nie przeciekają. Ocaliliście Siddina przed cieniami i przy okazji uwolniliście nas od starego głupca, dzięki czemu Savidlin został jednym z sześciu starszych. Nigdy nie był taki szczęśliwy. A kiedy wprowadzono Siddina, odnaleźliście go i zwróciliście nam. Zniszczyliście człowieka, który chciał uczynić z nas niewolników. Jesteście opiekunami naszego ludu. Czymże jest przy tym sztuka materiału? Będę dumna z tego, że Matka Spowiedniczka całych Midlandów bierze ślub w uszytej przeze mnie sukni. Przeze mnie, prostą kobietę.

Dla ciebie, moja przyjaciółko z odległych, wspaniałych krain, których nawet nie potrafię sobie wyobrazić. Niczego mi nie odbierzesz. Podarujesz mi coś.

Oczy Kahlan wypełniły się łzami, usta jej drżały.

- Nawet nie wiesz, Weselan, ile radości mi sprawiłaś. Być Spowiedniczką, to budzić strach. Zawsze, przez całe moje życie, ludzie się mnie bali i unikali mnie. Nikt nigdy nie widział we mnie kobiety, me rozmawiał ze mną jak z kobietą. Zawsze byłam dla innych wyłącznie Spowiedniczką. Nikt poza Richardem nie dostrzegął we mnie człowieka. Żadna kobieta, poza tobą, nigdy nie zaprosiła mnie do domu i nie pozwoliła przytulić swojego dziecka.

- Otarła łzy. - To będzie najpiękniejsza, najcenniejsza ze wszystkich szat. Będę ją nosić dumna z tego, że uszyła ją dla mnie przyjaciółka.

- Kiedy twój ukochany zobaczy cię w tej sukni, to wkrótce będziesz miała własne dziecko. - Weselan zerknęła na nią spod oka.

Kahlan roześmiała się, rozplakała i wyściskała kobietę. Nawet nie marzyła, że coś takiego kiedykolwiek się jej przydarzy, że ktoś zobaczy w niej kogoś więcej niż tylko Spowiedniczkę.

Obie kobiety spędziły większość poranka na przygotowywaniu sukni.

Weselan była równie podekscytowana szyciem, jak Kahlan perspektywą noszenia samego stroju. Szwachki w Aydindril nie były wcale lepsze od Weselan, posługującej się cienkimi, kościanymi igłami. Zdecydowały się na prosty fason.

Zjadły lekki posiłek - rosół z kury i chleb tava. Weselan powiedziała, że później popracuje nad suknią, i spytała Kahlan, co chciałyby robić po południu. Dziewczyna odparła, iż chętnie by coś ugotowała.

Kahlan wiedziała, że Błotni Ludzie jedzą ludzkie mięso, zjadają swoich wrogów, by posiąść ich wiedzę. Dlatego przybywając z oficjalną wizytą, nigdy nie jadła tu mięsa. Nie chcąc urazić Błotnych Ludzi odmową, tłumaczyła, że w ogóle go nie jada. Poprzedniego wieczoru Richard tak dziwnie zareagował, kiedy podała mu jego dawniej ulubione żeberka, iż dziewczyna nie protestowała, gdy Weselan zaproponowała jarską potrawę.

Pokroiły tava i jakieś rudawe korzenie, których Kahlan nie rozpoznała, paprykę, fasolę i trochę pikantnego kuru. Na koniec do dużego żelaznego kociołka, zawieszzonego nad niewielkim ogniem w rogu kuchennego paleniska, wrzuciły też warzywa i suszone grzyby. Weselan dołożyła do ognia kilka kawałków twardego drewna, bo - jak powiedziała Kahlan - mężczyźni nie wrócą chyba przed zmierzchem. Zaproponowała, by poszły do innych kobiet, do wspólnej kuchni, i upiekły trochę chleba tava.

- Z przyjemnością - powiedziała Kahlan.

- Pogadamy z nimi o zaślubinach. Wesela i śluby to znakomity temat do rozmowy. - Weselan uśmiechnęła się. - Zwłaszcza kiedy w pobliżu nie kręcą się mężczyźni.

Ku wielkiej radości Kahlan młode kobiety nie stroniły od rozmowy z nią. Przedtem zawsze zbyt je onieśmiewała. Starsze chciały rozmawiać o zaślubinach, młodsze - o dalekich stronach. Pragnęły wiedzieć, czy mężczyźni naprawdę słuchają rozkazów dziewczyny, czy robią, co im każe.

Z szeroko otwartymi oczami słuchały o Naczelnej Radzie i o tym, jak Kahlan broniła słabszych plemion, takich jak Błotni Ludzie, przed zakusami silniejszych, by te pierwsze mogły żyć spokojnie. Tłumaczyła im, że choć może rozkazywać, czyni to jako służebnica wszystkich ludów. Kobiety pytały, czy dziewczyna dowodzi wojskiem podczas bitwy. Odparła, że to nie o to chodzi, że stara się, by rozmaite krainy współdziałały ze sobą, zamiast walczyć. Chciały wiedzieć, ile ma służących i jak wyglądają jej wspaniałe

szaty. Te pytania młodszych zaczynały działać na nerwy starszym kobietom i sprawiać przykrość Kahlan. Pacnęła kulą ciasta o stolnicę, wzbijając obłoczek mąki. Popatrzyła na młodsze kobiety.

- Najpiękniejszą z moich sukien będzie ta, którą uszyje mi Weselan, bo zrobi to z przyjaźni, a nie dlatego, że jej kazałam. Nic nie może równać się z przyjaźnią, to największy skarb. Oddałabym wszystko, co mam, chodziłabym w łachmanach i wygrzebywała korzonki, byle tylko mieć chociaż jednego przyjaciela.

To ucieszyło dziewczęta i zadowoliło resztę niewiast. Ku zadowoleniu Kahlan rozmowa powróciła do tematu wesela. Dziewczyna pozwoliła, by rej wiodły starsze kobiety.

Popołudnie zbliżało się ku końcowi, kiedy Kahlan dojrzała w oddali jakieś zamieszanie. Richard sunął długimi krokami ku chacie Savidlina i Weselan. Nawet stąd widziała, że jest zły. Tłumek łowców ciągnął za nim, podbiegając czasem, żeby nie zostać zbyt daleko w tyle.

Dziewczyna wytarła zabrudzone mąką ręce, rzuciła ścierkę na stół. Zeszła z drewnianej podłogi pod wiatą i pobiegła ku powracającym mężczyznom. Dogoniła ich w szerokiej uliczce. Przepchnęła się pomiędzy łowcami i dotarła do Richarda, kiedy ten był już przy drzwiach chaty. Chandalen i Savidlin deptali mu po piętach. Chandalen miał zakrwawione ramię, a na ranie gliniany opatrunek. Był wściekły jak osa.

Kahlan złapała Richarda za rękaw. Obrócił się, rozeźlony, i trochę uspokoił, kiedy zobaczył, że to ona. Zdjął dłoń z gardy miecza.

- Co się stało, Richardzie?

Spojrzał wściekle na łowców, zwłaszcza na Chandalena, i znów popatrzył na dziewczynę.

- Jesteś mi potrzebna jako tłumacz. Mieliśmy tego popołudnia małą... przygodę. Nie potrafiłem im wytłumaczyć, co się stało.

- Chcę wiedzieć, jakim prawem chciał mnie zabić! - Zagłuszał go Chandalen.

- O czym on mówi? Chce wiedzieć, dlaczego chciałeś go zabić.

- Zabić go! Ocaliłem temu głupkowi życie! Nie pytaj dlaczego! Powinienem być pozwolić, żeby zginął! I następnym razem tak zrobię! - Richard przeczeszał palcami włosy. - Ten ból głowy mnie zabija.

- Zrobiłeś to umyślnie! - Chandalen wskazał ze złością na swoją ranę. -

Widziałem, jak strzelasz! To nie mógł być wypadek!

Chłopak wyrzucił w górę ramiona.

- Cóż za idiota! - Powiedział ku niebu i spojrzał wściekle w zawzięte oczy tamtego. - Tak, widziałeś, jak strzelam! Nie wątpisz więc chyba, że gdybym chciał cię zabić, to już byś nie żył!!! Pewnie, że zrobiłem to specjalnie! Tylko tak mogłem cię ocalić! - Sięgnął ponad ramieniem Kahlan i przysunął dłoń ku twarzy Chandalena: kciuk oraz palec wskazujący dzieliło może pół cala. - Tylko tyle miałem miejsca, i to w najlepszym wypadku! Gdybym nie zaryzykował, to byś nie żył!!!

- O co ci chodzi? - zapytał Chandalen.

- Uspokój się, Richardzie. - Kahlan położyła mu dłoń na ramieniu. Opowiedz nam, co się wydarzyło.

- Nie rozumiał mnie. Żaden z nich nie pojmował. Nie potrafiłem im tego wytłumaczyć. - Spojrzał na nią rozeźlony i rozżalony. - Zabiłem dziś człowieka.

- Co takiego!?! - wyszeptała. - Zabiłeś jednego z ludzi Chandalena?

- Nie! Nie to ich rozgniewało. Cieszą się, że go zabiłem. Ocaliłem życie Chandalenowi! Ale oni myślą...

- Uspokój się. - Kahlan się opanowała. - Przetłumaczę im, co powiedziałeś.

Richard kiwnął głową i potarł oczy pięściami. Spuścił wzrok, przeczesał palcami włosy. Znów popatrzył na łowcę.

- Tylko raz to wytłumaczę, Chandalenie. Jeśli to nie dotrze do twego zakutego łba, to staniemy na przeciwnych krańcach wioski i będziemy szyc do siebie z łuków aż do skutku. Mnie wystarczy jedna strzała.

- No, to tłumacz. - Chandalen uniósł brew i skrzyżował muskularne ramiona.

- Stałeś dość daleko - zaczął Richard, głęboko zaczerpnąwszy powietrza. - Jakoś wiedziałem, że stał za tobą. Odwróciłem się w twoim kierunku i zobaczyłem tylko... o, tak to było. - Złapał Kahlan za ramiona, okręcił ku Chandalenowi, po czym skulił się za nią. - Tak to wyglądało. Widziałem jedynie czubek jego głowy. Już się zamierzał włócznią. Jeszcze chwila i wbiłby ci ją w plecy. Mogłem go powstrzymać tylko w jeden sposób. Tylko w jeden. Z mojego miejsca w nic innego nie udałoby mi się trafić: wyłącznie w czubek głowy, bo wszystko mi zasłaniałeś. Szczyt czoła ostro schodził w tył.

Gdybym celował za wysoko, strzała mogłaby się ześlizgnąć i zabiłbym cię. Musiałem musnąć nią wierzch twojego barku. Jedyne w ten sposób mogłem go trafić. - Chłopak znów ustawił kciuk i palec wskazujący jakieś pół cala od siebie. - O, takie miałem pole manewru. Gdybym mierzył trochę niżej, strzała odbiłaby się od twojej kości i zabiłby cię. Jeżeli celowałbym odrobinę wyżej, żeby cię nie zranić, ty zginąłbyś, a on by przeżył. Wiedziałem, że strzała Savidlina z metalowym grotem przejdzie przez twoje ciało i uśmierci go. Nie miałem czasu na nic innego. Musiałem natychmiast strzelać. Sądzę, że ze dwanaście szwów to niska cena za życie.

- Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? - Oczywiście Chandalena nie były już takie zawzięte.

Richard potrzęsnał głową, mrużąc pod nosem. Nagle coś sobie przypomniał. Wyrwał jednemu z ludzi Chandalena płócienny worek. Zanurzył w nim rękę i wyciągnął głowę, trzymając ją za zlepione krwią, splątane włosy.

Kahlan zaparło dech. Zasłoniła usta dłonią i odwróciła się. Zdążyła jednak dostrzec sterczącą pośrodku czoła strzałę, której metalowy grot wystawał z potylicy.

Chłopak ustawił czerep za ramieniem Chandalena tak, żeby pióra brzechwy znalazły się tuż obok rany.

- Tylko tyle widziałem. Gdyby było inaczej, gdyby bardziej spoza ciebie wystawał i trafiłbym go w czoło, to bym cię nie zranił.

Łowcy zaczęli kiwać głowami i szeptać między sobą. Chandalen popatrzył na brzechwę strzały na swoim ramieniu oraz na głowę, w której tkwiła. Namyslał się przez chwilę, po czym wziął głowę i wepchnął do worka.

- Już mnie przedtem zszywano. Parę szwów więcej nie zrobi różnicy. Uznam twoje słowa za prawdziwe. Tym razem.

Richard wsparł pięści na biodrach i patrzył, jak Chandalen i jego ludzie odchodzą.

- Nie ma za co dziękować - zawołał za nimi. Kahlan nie przetłumaczyła jego ostatnich słów.

- Po co zabrali tę głowę?

- Nie pytaj. To nie był mój pomysł. I pewnie nie chciałabyś wiedzieć, co zrobili z resztą.

- To ryzykowny strzał, Richardzie. Z jakiej odległości wypuściłeś tę

strzałę?

- Wcale nie ryzykowny, możesz mi wierzyć - powiedział już spokojnie. - Byłem o jakieś sto kroków.

- I trafiasz tak celnie ze stu kroków?

- Trafiłbym i z dwu-, a nawet trzykrotnie większej odległości. - Westchnął i spojrzał na okrwawione dłonie. - Muszę to zmyć. Jeszcze parę minut, Kahlan, i rozerwie mi głowę. Powinienem usiąść. Czy mogłabyś sprowadzić Nissel? Jedyne ruganie tego głupka trzymało mnie na nogach.

- Oczywiście. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Wejdz do środka, a ja pójdę po Nissel.

- Myślę, że Savidlin też jest na mnie zły. Powiedz mu, że żałuję, iż zniszczyłem mu tyle strzał.

Wszedł do chaty i zamknął drzwi. Kahlan zmarszczyła brwi. Savidlin chciał coś powiedzieć. Ujęła go za ramię.

- Richardowi potrzebna jest Nissel. Choć ze mną i opowiedz, co się stało.

Łowca zerknął przez ramię na drzwi swojej chaty.

- Richard Popędliwy w pełni zasługuje na swoje imię.

- Jest zdenerwowany, bo zabił człowieka. Trudno mu się z tym pogodzić.

- Nie powiedział ci wszystkiego.

- No to ty mi opowiedz.

Savidlin popatrzył na nią poważnie.

- Strzelaliśmy. Chandalen się rozłościł, bo chłopak był dobry. Oznajmił, że Richard to demon, odszedł i stał samotnie w wysokiej trawie. My staliśmy z boku i patrzyliśmy, jak Richard strzela. To, co robił, wydawało się zupełnie niemożliwe. Nasadził strzałę na cięciwę. Nagle okręcił się ku Chandalenowi. Zanim zdążyliśmy krzyknąć, strzelił do niego. Chandalen nie miał w ręce żadnej broni, stał ze skrzyżowanymi ramionami. Nie mogliśmy uwierzyć, że Richard zrobił coś takiego. Pocisk leciał ku Chandalenowi, a dwaj jego ludzie unieśli już łuki. Pierwszy wypuścił ku Richardowi dziesięciokrokową strzałę, nim strzała chłopaka dotarła do celu.

- Strzelił do Richarda i nie trafił? - zdumiała się Kahlan. - Ludzie Chandalena nie chybiają.

- Nie chybiłby. - Savidlin mówił cicho, głos mu drżał. - Ale Richard obrócił się ku niemu, wyjął ostatnią, zakończoną metalowym grotem strzałę i wypuścił ją. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem kogoś tak szybkiego... -

Zawahał się, jakby bał się, że Kahlan mu nie uwierzy. - Strzała Richarda trafiła tamtą w powietrzu i rozłupała ją na pół. Każda połówka przeszła obok niego.

Dziewczyna aż przystanęła, zatrzymując łowcę.

- Richard trafił w lecącą strzałę? Savidlin z wolna potaknął.

- Potem strzelił ten drugi. Kołczan Richarda był już pusty. Stał więc i czekał, trzymając łuk w ręce. To też była dziesięciokrokowa strzała. Słyszałem, jak pruje powietrze. - Rozejrzał się, jakby nie chciał, żeby usłyszał to ktoś jeszcze oprócz Kahlan. - Richard złapał ją. Chwycił brzechwę w połowie. Nasadził strzałę na cięciwę i wycelował w ludzi Chandalena. Wrzeszczał coś do nich. Nie rozumieliśmy jego słów, ale tamci położyli łuki na ziemi i pokazali mu puste dłonie."Wszyscy myśleliśmy, że Richard Popędliwy oszalał. Baliśmy się, że nas pozabija. Potem zawołał do nas Prindin. Znalazł tamtego za Chandalenem. Wtedy pojęliśmy, iż chłopak zabił zbrojnego we włócznię obcego. Zrozumieliśmy, że wcale nie chciał zabić Chandalena, lecz napastnika. Chandalen jednak nie był o tym do końca przekonany. Uważał, że Richard specjalnie go zranił. Rozzłościł się jeszcze bardziej, kiedy wszyscy jego ludzie okazali tamtemu respekt. Kahlan ze zdumieniem wpatrywała się w Savidlina. Nie mogła uwierzyć w to, co mówił. Większa część tej historii była zupełnie nieprawdopodobna.

- Richard chciał, bym ci powiedziała, jak mu przykro, że zniszczył twoje strzały. O czym on mówił?

- Wiesz, co to strzał w brzechwę? Kahlan potaknął.

- Kiedy trafiasz strzałą w strzałę, która tkwi w środku tarczy, i rozszczepiasz jej brzechwę na pół. W Aydindril, w Gwardii Obywatelskiej, dostawało się za to rozetkę. Widziałam kilku mężczyzn z sześcioma rozetkami. Tylko jednego z dziesięcioma.

Savidlin wyciągnął z kołczana pokaźną wiązkę. Każda strzała była rozszczepiona.

- Lepiej byłoby dawać Richardowi Popędliwemu rozetkę za każde chybienie. Nie miałby ani jednej. Zniszczył dzisiaj ponad setkę strzał. Wykonanie każdej zabiera wiele czasu, więc nie należy ich marnować. Ale ludzie wciąż i wciąż chcieli, żeby to powtarzał, bo nigdy przedtem czegoś takiego nie widzieli. Raz nawet wstrzelił sześć strzał jedna w drugą. Upolowaliśmy króliki i upiekliśmy je nad ogniem. Richard siedział przy nas.

Zaczęliśmy jeść, lecz on nie chciał jeść z nami. Wyglądał, jakby miał dostać mdłości. Zostawił nas i strzelał z łuku, dopóki *nie* skończyliśmy. To po naszym posiłku zabił tego obcego.

- Lepiej szybko sprowadźmy Nissel. - Kahlan rzuciła okiem na łowcę. - Po co ludzie wzięli głowę, Savidlinie? Przecież to obrzydliwe. Jak mogli zrobić coś takiego?

- A zauważyłaś te czarne znaki ponad jego oczami? Miały go ukryć przed naszymi duchami, żeby mógł się chyłkiem zakraść. Człowiek, który się wkrada na nasze ziemie, nosząc czarne znaki nad oczami, ma tylko jeden cel: zabić. Ludzie Chandalena zatykają głowy jemu podobnych na tykach ustawionych przy granicach naszych ziem. Czynią tak, by ostrzec następnych, którzy chcieliby namalować sobie coś podobnego. Tobie może się to wydawać makabryczne, a przecież ogranicza zabijanie. Nie myśl źle o łowcach Chandalena, bo wzięli tę głowę. Zrobili to nie dlatego, że sprawiło im to przyjemność, lecz by w przyszłości było mniej zabójstw. Kahlan poczuła się głupio.

- Coś mi się zdaje, iż popełniłam ten sam błąd co Chandalen. Za szybko ich osądziłam. Wybacz mi, starszy Savidlinie, iż błędnie oceniłam twoich ludzi.

Za całą odpowiedź łowca otoczył ją ramieniem i uścisnął.

Kiedy wrócili z uzdrowicielką, Richard kulił się w kącie izby, chowając głowę w splecionych dłoniach. Skórę miał bladą, zimną i wilgotną. Nissel dała chłopakowi coś do picia. Po kilku minutach kazała mu połknąć niewielki sześcianik. Richard uśmiechnął się na jego widok. Prawdopodobnie wiedział, co to jest. Nissel siedziała obok niego na podłodze i długo badała mu tętno. Kiedy policzki Poszukiwacza trochę się zaróżowiły, zażądała, by odchylił w tył głowę i otworzył usta. Wycisnęła coś nad nimi, a sok kapał do gardła chorego. Richard skrzywił się. Uzdrowicielka uśmiechnęła się, lecz nic nie powiedziała.

- To powinno pomóc - zwróciła się do Kahlan. - Przypomnij mu, żeby stale żuł liście. I zawołaj mnie w razie potrzeby.

- Prędko wyzdrowieje, Nissel? Przecież już powinien zdrowieć. Przygarbiona staruszka popatrzyła na Richarda.

- Duch jest sam sobie panem. Nie zawsze chce słuchać. Myślę, że jego duch nie chce słuchać. - Rozpogodziła się nagle, widząc zmartwioną minę

Kahlan. - Nie martw się, dziecko. Poradzę sobie i z duchem.

Dziewczyna kiwnęła głową. Nissel uśmiechnęła się do niej ciepło, poklepała ją po ręce i odeszła.

Richard spojrział na Kahlan i Savidlina.

- Powiedziałaś mu, jak mi przykro, że zniszczyłem tyle strzał?

- Zamartwia się, iż zniszczył ci tak dużo strzał. - Dziewczyna uśmiechnęła się leciutko do łowcy.

- To moja wina - mruknął Savidlin. - Za dobry łuk ci zrobiłem. - Chłopakowi udało się roześmiać. - Weselan piecze chleb. Muszę załatwić parę spraw. Wypocznij dobrze. Wrócimy w porze posiłku. Zjecie z nami. Ładnie pachnie, moja żona gotuje chyba coś pysznego.

Kiedy Savidlin wyszedł, Kahlan usiadła obok ukochanego i mocno się doń przytuliła.

- Co się dziś zdarzyło, Richardzie? Savidlin opowiedział mi, jak strzelałeś. Zawsze byłeś taki dobry?

Chłopak grzbietem dłoni otarł pot z czoła.

- Nie. I przedtem rozszczepiałem strzały, ale nie więcej niż sześć dziennie.

- Jednego dnia?

- Dobrego dnia, kiedy czułem cel. Ale dziś było całkiem inaczej.

- Jak?

- Poszliśmy na równinę i głowa zaczęła mi pękać z bólu. Łowcy ustawili cele z wiązek trawy. Głowa tak mnie bolała, że sądziłem, iż w ogóle nie trafię w żaden cel. Ale spróbowałem, bo nie chciałem sprawiać zawodu Savidlinowi. Gdy mierzę, przywołuję cel do siebie.

- Jak to „przywołujesz cel do siebie”?

- Boja wiem? - Richard wzruszył ramionami. - Sądziłem, że każdy tak czyni, kiedy strzela. Dopiero Zedd powiedział mi, że wcale tak nie jest i że inni tego nie robią. Patrzę na cel i przyciągam go ku sobie. Jeśli zrobię to, jak trzeba, to cel usuwa wszystko inne z pola widzenia. Jestem tylko ja i on. Jakby się przybliżył. I dokładnie wiem, w jaki sposób ułożyć strzałę, żeby trafiła. Czuję ją we właściwym punkcie, jeszcze zanim spuszczę brzechwę z cięciwy. Przestałem strzelać z łuku, kiedy się przekonałem, że nigdy nie chybiam, jeśli ogarnie mnie to dziwne wycucie. Musiałbym po prostu wycelować i je wywołać. Nie chybiłbym, więc po co trenować. Wycelowałbym

ponownie i znów spróbował je przywołać. Z czasem potrafiłem to robić dość często.

- A co się dzisiaj zmieniło?

- Jak już mówiłem, solidnie bolała mnie głowa. Patrzyłem, jak inni strzelają. Byli bardzo dobrzy. Savidlin zaczął mnie poklepywać po plecach i domyśliłem się, że nadeszła moja kolej. Uznałem, iż lepiej mieć to już za sobą. Napiąłem cięciwę i przywołałem cel. - Richard przeczesał palcami włosy. - Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Przywołałem cel i głowa natychmiast przestała mnie boleć. Ból zniknął. Cel przyszedł jak nigdy przedtem. Miałem wrażenie, że w powietrzu jest jakiś rowek, w który wystarczy mi włożyć strzałę. Nigdy przedtem tak mocno tego nie odczuwałem. Zdawało mi się, że cel jest olbrzymi. *Nie* sposób było chybić. Po chwili, dla odmiany, zamiast tak po prostu rozszczepiać strzały, postanowiłem ściąć zewnętrzne czerwone pióro. Zrobiłem to i pomyśleli, że chybiłem. Nie zorientowali się, iż dokonałem czegoś o wiele trudniejszego.

- I ból głowy zupełnie minął? - Potaknął. - Domyślasz się, dlaczego się to wszystko działo? - spytała.

Richard podciągnął kolana i oparł na nich ręce. Odwrócił wzrok od twarzy Kahlan.

- Obawiam się, że tak. To była magia.

- Magia? - wyszeptała dziewczyna. - Co masz na myśli? Znów na nią patrzył.

- Nie mam pojęcia, Kahlan, jak ty czujesz swoją magię, ale jaja właśnie wyczuwałem. Za każdym razem, kiedy dobywam Miecza Prawdy, magia wpływa we mnie, staje się częścią mnie. Wiem, jaka ona jest. Czułem ją dość często, na rozmaite sposoby, zależnie od tego, jak się nią posługiwałem. Byłem złączony z mieczem, więc wyczuwam jego magię nawet wtedy, gdy tkwi w pochwie. Mogę przywołać ją, w ogóle go nie dobywając. Wiem, że jest tuż przy mnie, gotowa do działania jak wierny pies. Kiedy dziś naciągnąłem luk i przywołałem cel, przywołałem jeszcze coś: magię. Czułem magię, kiedy Zedd dotknął mnie, żeby mnie wyleczyć, i gdy ty mnie dotknęłaś, będąc w Con Dar. To było podobne. Wiedziałem, że to ona. Odmienna niż twoja i Zedda, ale na pewno magia. Była niczym drugi oddech. Żyła. - Richard przyłożył dłoń do piersi. - Czułem, jak wzbiera we mnie, rośnie, aż uwolniłem ją, żeby przywołać cel. Kahlan dobrze znała uczucie, które

opisywał.

- Może ma to coś wspólnego z mieczem.

- Bo ja wiem? - Chłopak potrząsnął głową. - Bardzo możliwe. Ale nie potrafiłem jej kontrolować. Po jakimś czasie po prostu zniknęła jak zdmuchnięty przez wiatr płomień świecy. Miałem wrażenie, że nagle znalazłem się w ciemnościach, jakbym oślepl. I wrócił ból głowy. Nie mogłem trafić w cel ani go do siebie przywołać, więc pozwoliłem strzelać innym. Magia przychodzi i znika. Nigdy nie wiem, kiedy to się stanie. Potem łowcy zaczęli jeść mięso, zemdliło mnie i musiałem ich opuścić. Postrzelałem sobie, dopóki jedli, i niekiedy udawało mi się przywołać magię. Wówczas ból głowy zniknął.

- A wtedy, gdy złapałeś strzałę w powietrzu? Richard zerknął na nią spod oka.

- Savidlin ci o tym powiedział? - Przytaknęła, a on odetchnął głęboko. - To było najdziwniejsze ze wszystkiego. Nie umiem tego wyjaśnić. Jakbym zagęścił powietrze.

- Zagęścił powietrze? - Nachyliła się ku niemu. Potakująco skinął głową.

- Wiedziałem, że muszę spowolnić lot strzały. Przyszło mi na myśl tylko gęstsze powietrze. Jak czasem z mieczem, gdy powietrze zagęszcza się i powstrzymuje klingę. Może wtedy miałbym szansę. Inaczej zginąłbym. Nagle wiedziałem, co i jak trzeba zrobić. Nie mam pojęcia, co zrobiłem. Myśl błysnęła i zobaczyłem własną dłoń łapiącą strzałę w locie.

Richard umilkł. Kahlan tarła kciukiem bok swojego obcasa. Nie wiedziała, co powiedzieć. Budził się w niej lęk. Zerknęła na chłopaka. Patrzył gdzieś w dal.

- Kocham cię, Richardzie - wyszeptała. Długo trwało, zanim odpowiedział.

- I ja cię kocham. - Popatrzył na nią. - Boję się, Kahlan.

- Czego się boisz?

- Coś się dzieje. Pojawiły się screelingi, ja mam okropne bóle głowy i robię to, co dziś, a ty przywołujesz błyskawice. Wymyśliłem tylko jedno: trzeba iść do Aydindril i odszukać Zedda. To wszystko wiąże się z magią.

Dziewczyna sądziła, że pewnie tak jest, ale próbowała to jakoś wytłumaczyć.

- Przywoływanie błyskawic ma związek z moją magią, nie z twoją.

Zrobiłam to, choć nie mam pojęcia jak, żeby cię bronić. Screeling prawdopodobnie pochodzi z zaświatów i nic go z nami nie łączy. To diabelski potwór. Twoja dzisiejsza magia... może ma coś wspólnego z magią miecza. Sama nie wiem.

- A bóle głowy?

- Nie wiem - przyznała w końcu.

- One mogą mnie zabić, Kahlan. Nie mam pojęcia, skąd to wiem, lecz jestem tego pewny. To nie jest zwyczajny ból głowy. To coś innego, choć nie wiem co.

- Nie mów tak, Richardzie. Przerażasz mnie.

- Sam też się boję. Złościłem się na Chandalena również dlatego, bo obawiam się, iż może mieć rację co do mnie w tym, że sprowadzam kłopoty.

- Może powinniśmy się stąd wynieść. Pójść do Zedda.

- A co z bólami głowy? Przez większość czasu nie mogę się utrzymać na nogach. Przecież nie będę co dziesięć kroków wypuszczał strzały.

- Może Nissel znajdzie jakąś radę - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło Kahlan.

Chłopak potrząsnął głową.

- Pomoże tylko trochę i *to na* krótko. Wkrótce nie będzie mogła nic zrobić. Boję się, że umrę.

Kahlan się rozplakała. Richard oparł się o ścianę, objął dziewczynę i przytulił. Zaczął coś mówić, lecz położyła mu pałce na ustach, uciszając go. Ukryła twarz na jego piersi i płakała. Miała wrażenie, że wszystko się powoli rozpada. Chłopak tulił ją, pozwalając się wyszłochać.

Zaczęła w końcu pojmować, jaka była samolubna. A przecież to wszystko dotyczyło Richarda. To on cierpiał i był w niebezpieczeństwie. Ona powinna pocieszać jego, a nie on ją.

- Jeśli sądzisz, że w ten sposób wykręcisz się od poślubienia mnie, Richardzie Cypher, to grubo się mylisz.

- Kahlan, ja nie... przysięgam...

Uśmiechnęła się i łagodnie musnęła ustami jego policzek.

- Wiem, Richardzie. Rozwiązaliśmy o wiele większe problemy. Poradzimy sobie i z tym. Obiecuję. Nie mamy wyjścia, bo Weselan już zaczęła szyc moją suknię ślubną.

- Naprawdę? - Wsunął do ust kilka otrzymanych od Nissel liści. -

Będziesz w niej prześlicznie wyglądać.

- Cóż, musisz się ze mną ożenić, żeby się o tym przekonać.

- Tak, pani.

Po chwili wrócili Savidlin, Weselan oraz Siddin. Richard zamknął oczy i wypoczywał, żując zioła. Powiedział, że głowa boli go trochę mniej. Siddin był ogromnie podekscytowany. Stał się miejscową znakomitością, bo latał na smoku. Przez większość dnia opowiadał dzieciom, jak to było. Teraz chciał usiąść Kahlan na kolanach i pochwalić się, iż był ośrodkiem uwagi.

Jedli polewkę i chleb tava, a dziewczyna słuchała opowieści malca. Ona i Richard nie chcieli sera. Savidlin poczęstował chłopaka kawałkiem wędzonego mięsa, ale ten grzecznie odmówił.

Właśnie kończyli posiłek, kiedy w progu stanął ponury Człowiek Ptak w asyście mężczyzn z włóczniami. Wszyscy odstawili miseczki i wstali. Kahlan bardzo się nie spodobała mina starszego. Richard wysunął się naprzód.

- O co chodzi? Co się stało?

Człowiek Ptak powiódł po nich wzrokiem.

- Trzy obce kobiety przybyły na koniach.

Kahlan zastanawiała się, dlaczego sprawiły, że Człowiek Ptak otoczył się zbrojnymi.

- Czego chcą?

- Trudno je zrozumieć. Słabo posługują się naszym językiem. Sądzę, iż chodzi im o Richarda. Mówią chyba, że chcą Richarda i że pragną zobaczyć jego rodziców.

- Moich rodziców! Jesteś pewny?

- Wydaje mi się, iż to właśnie usiłują nam przekazać. Mówią, żebyś już więcej nie uciekał. Że przyjechały po ciebie i że nie wolno ci tego robić. Zażądały, bym się nie wtrącał.

Richard odruchowo poluzował miecz w pochwie. Twarz mu stężała, stała się groźna, drapieżna.

- Gdzie one są?

- Kazałem im czekać w domu duchów.

- Powiedziały, kim są? - spytała Kahlan, odsuwając za ucho kosmyk włosów.

Długie, srebrzyste włosy Człowieka Ptaka lśniły w promieniach zachodzącego słońca.

- Twierdzą, że są Siostrami Światła.

Oddech uwiązał dziewczynie w gardle, dostała gęsiej skórki.
Złodowaciała. Nawet nie mogła mrugnąć powieką.

ROZDZIAŁ 9

No i? - zniecierpliwiał się Richard. - Kim one są? Co powiedział Savidlin? Kahlan nadal trwała w bezruchu.

- Mówi, że to Siostry Światła - udało się jej wyszeptać. Chłopak dłuższą chwilę przyglądał się dziewczynie.

- Kim są Siostry Światła?

Kahlan wreszcie drgnęła, zamrugła powiekami i spojrzała na niego.

- Nie wiem o nich zbyt wiele. Nikt nie wie. Powinniśmy stąd odejść, Richardzie. - Chwyła go mocno za ramię. - Dobrze? Odejdźmy. Natychmiast.

Richard rzucił okiem na Człowieka Ptaka i stojących przy nim ludzi z włóczyniami.

- Podziękuj mu, że do nas przyszedł. Powiedz, że to załatwimy. Człowiek Ptak skinął głową i odszedł wraz z łowcami. Richard i Kahlan wyszli z chaty. Powiedzieli Savidlinowi, że pójda sami. Skręcili parę razy, po czym chłopak delikatnie ustawił Kahlan przy ścianie jednej z chatek i przytrzymał za ramiona.

- No cóż, może i nie wiesz o nich wszystkiego, ale coś na pewno. Powiedz mi to. Nie trzeba umieć czytać w myślach, by się zorientować, że coś wiesz i że się boisz.

- Mają coś wspólnego z czarodziejami. Z tymi z darem.

- Co masz na myśli?

Kahlan położyła dłonie na ramionach stojącego przed nią Richarda.

- Kiedyś, jak wiesz, podróżowałam z czarodziejem Gillerem. Pewnego razu siedzieliśmy i rozmawialiśmy o rozmaitych sprawach: o życiu, o marzeniach, sam wiesz, Giller był czarodziejem z powołania. Nie miał daru, jedynie powołanie. Zostać czarodziejem było jego największą ambicją. Zedd wyuczył go czarodziejskiego fachu. Tyle że Giller nie pamiętał Zedda. Nikt w Midlandach go nie pamiętał, bo opuszczając tę krainę, rzucił specjalny czar zapomnienia. No i zapytałam Gillera, czy chciałby mieć coś więcej niż powołanie. Czy chciałby mieć dar. Uśmiechnął się i rozmarzył. Potem jego uśmiech zniknął. Twarz mu zbladła i odparł, że nie, nie chciałby. Zdumiał mnie i zaskoczył strach na jego twarzy. Czarodzieje nieczęsto mają taką

przerażoną minę, zwłaszcza po prostym pytaniu. Spytałam więc, dlaczego nie chciałby mieć daru. „Bo gdybym miał dar, odparł, musiałbym stawić czoło Siostrom Światła”. Spytałam, kto to taki, ale nie chciał mi nic o nich powiedzieć. Ostrzegł, że lepiej w ogóle nie wymawiać głośno tych dwóch słów. Błagał, bym go już więcej o to nie wypytywała. Wciąż pamiętam, jak mnie wystraszyła jego mina.

- Wiesz, skąd one są?

- Znam prawie całe Midlandy. Nigdy nie słyszałam, żeby je gdzieś widziano. A pytałam.

Richard puścił dziewczynę, wsparł się pięścią pod bok. Drugą dłonią skubał wargę, zacisnął ją w palcach. Zastanawiał się. Wreszcie skrzyżował ramiona i obrócił się.

- Dar. Znow ten dar. Myślałem, że skończyliśmy już z tą bzdurą. Nie mam żadnego daru.

Kahlan splotła palce.

- Chodźmy stąd, Richardzie. Odejdźmy, proszę cię. Jeżeli czarodziej bał się Sióstr Światła... Uciekajmy stąd.

- A jeśli pójdą za nami? Jeśli nas dogonią, kiedy powali mnie ból głowy i będę bezbronny?

- Nic o nich nie wiem, Richardzie. Lecz jeżeli czarodziej aż tak się ich bał... A co, jeśli i teraz jesteśmy bezbronni?

- Jestem Poszukiwaczem. Nie jestem bezbronny. Ale mogę później być. Lepiej spotkać się z nimi na moich warunkach niż na ich. Mam powyżej uszu słuchania o darze! Nie mam żadnego daru i zamierzam natychmiast skończyć z tymi głupotami.

Kahlan odetchnęła głęboko i skinęła głową.

- W porządku. Poszukiwacz i Matka Spowiedniczka potrafią się bronić.

- Ty nie idziesz. - Łypnął na nią srogo.

- A masz sznur?

- Nie. Dlaczego? - Zdziwił się trochę.

- Bo trudno ci będzie mnie powstrzymać, jeśli mnie nie zwiążesz - powiedziała.

- Kahlan, nie zamierzam pozwolić...

- A ja nie zamierzam pozwolić ci na spotkanie z kobietą, która mogłaby ci się spodobać bardziej ode mnie. Muszę tam być i w razie czego wydrapać jej

oczy.

Przez chwilę z irytacją patrzył na Kahlan, potem nachylił się i pocałował ją.

- Niech będzie. Ale bez żadnych „przygód”?

- Powiemy im tylko - uśmiechnęła się - że nie masz żadnego daru, odeślemy, skąd przyszły, a potem na serio cię pocałuję.

Kiedy dotarli do domu duchów, błękit nieba zdążył już pociemnieć. W pobliżu stały spętane trzy krzepkie konie. Kahlan nigdy przedtem nie widziała takich siodeł, z kulami i tylnymi łękami. Zatrzymali się na chwilę przed wejściem; powietrze było już tak chłodne, że oddech zmieniał się w obłoczki pary. Uśmiechnęli się do siebie i uścisnęli dłonie. Richard sprawdził, czy miecz luźno tkwi w pochwie. Głęboko zaczerpnął powietrza i pchnął drzwi. Kahlan przybrała „twarz Spowiedniczki”, jak nauczyła ją tego matka.

Niewielki ogień oraz dwie pochodnie zatknięte po obu stronach paleniska oświetlały wnętrze domu duchów. Ich plecaki nadal tam leżały. Pachniało smołą i wonnościami, którymi zawsze nasączano spalające się drwa. Ogień podtrzymywano tu ciągle ku czci duchów. Blask łuczyw drżał na czaszkach przodków, zajmujących jedyną półkę. Klepisko było suche, bo Richard nauczył Błotnych Ludzi budować nieprzeciekające dachy. Pośrodku izby bez okien stały trzy kobiety. Ich brązowe, ciężkie wełniane peleryny niemal dotykały podłogi. Podniesione kaptury częściowo zasłaniały twarze. Ubrane były w długie, rozcięte podróżne spódnice, każda w innym, ciemnym, przytłumionym kolorze, i proste białe bluzki.

Kobiety odrzuciły kaptury. Ta w środku - parę cali wyższa od dwóch pozostałych, ale nie tak wysoka jak Kahlan - miała kasztanowe, lekko falujące włosy. Stojąca po jej prawej ręce - proste, czarne włosy do ramion, a trzecia - ciemne, krótkie i kręcone, z pasmami siwizny. Każda stała spokojnie, ze splecionymi dłońmi.

Ów spokój był pozorny. Na dojrzałych twarzach Sióstr malował się wyraz, który przypominał Kahlan ochmistrzynię z Aydindril. Powaga, dostojeństwo i poczucie władzy odcisnęły na ich rysach niezatarte piętno. Dziewczyna znów zerknęła na dłonie kobiet, sprawdzając, czy aby na pewno są puste. Powinny dzierżyć szpicruty. Oczy patrzyły bacznie, gotowe jednym błyskiem stłumić każde zuchwalstwo.

- Jesteście rodzicami Richarda? - zapytała kobieta stojąca pośrodku. Jej głos nie był tak szorstki, jak oczekiwała tego Kahlan, choć miał ton osoby nawykłej do rozkazywania.

Richard spojrział na nie z wściekłością, jakby samym spojrzeniem chciał je odepchnąć. Nie odwrócił oczu, dopóki nie mrugnęły. Dopiero wtedy się odezwał:

- Nie. To ja jestem Richard. Moi rodzice nie żyją. Matka zmarła, kiedy byłem mały, a ojciec w końcu tego lata.

Trzy kobiety wymieniły spojrzenia.

Kahlan dostrzegła gniew w oczach chłopaka. Czerpał magię z miecza, nawet go nie dobywając. Mogłaby się założyć, że jest

o włos od dobytca oręża. I że się nie zawaha, jeśli kobiety popełnią jakiś błąd.

- To niemożliwe - stwierdziła ta wyższa, w środku. - Jesteś... stary.

- Nie taki stary jak ty - odpalił Richard.

Zarumieniły się. Oczy kobiety błysnęły gniewnie, ale pośpiesznie złagodziła ich wyraz.

- Nie uważamy, że jesteś stary, po prostu jesteś starszy, niż oczekiwaliśmy. Jestem Siostra Verna Sauventreen.

- Siostra Grace Rendall - odezwała się czarnowłosa kobieta po jej prawej.

- Siostra Elizabeth Myric - przedstawiła się trzecia. Siostra Verna zwróciła srogie spojrzenie na Kahlan.

- A kimże ty jesteś, dziecko?

Kahlan nie wiedziała, czy to wpływ nastroju Richarda, lecz poczuła, że i ona się irytuje. Zgrzytnęła zębami.

- Nie jestem twoim „dzieckiem”. Jestem Matką Spowiedniczką. Głos Kahlan też potrafił brzmieć władczo, jeśli tego chciała. Wszystkie trzy drgnęły prawie niedostrzegalnie. Lekko skłoniły głowy.

- Wybacz nam, Matko Spowiedniczko.

W domu duchów wyczuwało się niemal namacalną groźbę. Dziewczyna uświadomiła sobie, że dłonie ma zaciśnięte w pięści. Że reaguje tak dlatego, bo kobiety stanowią zagrożenie dla Richarda. Najwyższy czas zachować się jak Matka Spowiedniczką, uznała.

- Skąd jesteście? - zapytała lodowato. - Jesteśmy z... z daleka.

Oczy Kahlan zapłonęły niemal tak jak oczy Richarda.

- W Midlandach klęka się przed Matką Spowiedniczką przynajmniej na jedno kolano. - Nigdy nie narzucała owego zwyczaju, lecz teraz czuła taką potrzebę.

Wszystkie trzy wyprostowały się i lekko odchyliły do tyłu. Ich twarze wyrażały jeszcze głębsze oburzenie.

To wystarczyło, by dobyć miecza.

Zabrzmiał charakterystyczny brzęk stali. Richard milczał; stał, trzymając oburącz głównię. Kahlan widziała, jak napina mięśnie. Magia Miecza Prawdy płonęła w oczach chłopaka. Dziewczyna była rada, że to przerażające spojrzenie kieruje na Siostry, nie na nią. One zaś nie przeraziły się aż tak, jak tego oczekiwała, ale jednocześnie przyklęknęły na kolano i skłoniły głowy.

- Wybacz nam, Matko Spowiedniczo - powiedziała Siostra Grace. - Nie znamy waszych obyczajów. Nie chciałyśmy cię urazić.

Nie uniosły głów.

Kahlan odczekała, ile trzeba, po czym dorzuciła jeszcze parę długich sekund.

- Wstańcie, moje córki.

Tamte podniosły się i ponownie splotły przed sobą dłonie. Siostra Verna odetchnęła niecierpliwie.

- Nie przybyłyśmy, żeby cię straszyć, Richardzie. Jesteśmy tu po to, by ci pomóc. Odłóż miecz. - Ostatnie słowa brzmiały jak rozkaz.

Chłopak nawet nie drgnął.

- Powiedziano mi, że zjawiłyście się tutaj z mojego powodu, cokolwiek to oznacza, i że nie powinienem uciekać. Nie uciekłem. Jestem Poszukiwaczem. Sam zdecyduję, kiedy odłożyć miecz.

- Po... - niemal krzyknęła Siostra Elizabeth. - Jesteś Poszukiwaczem?!

Tym razem niecierpliwie westchnęła Siostra Grace.

- Nie jesteśmy w tym miejscu po to, żeby cię skrzywdzić, Richardzie. Aż tak się boisz trzech kobiet?

- I jedna kobieta wystarczy, aby wzbudzić strach. Nauczyłem się tego w przykry sposób i nie mam już żadnych głupich uprzedzeń co do ich zabijania. Proponuję po raz ostatni: przedstawcie waszą sprawę albo ta rozmowa dobiegnie końca.

- O tak, widzę, że się czegoś nauczyłeś. - Siostra Grace spojrzała na Agiela na szyi chłopaka. Jej twarz trochę złagodniała. - Potrzebujesz naszej pomocy,

Richardzie. Przybyliśmy tu, ponieważ masz dar.

Richard obdarzył każdą z nich długim spojrzeniem i powiedział: - Wprowadzono was w błąd. Nie mam daru i w ogóle nie chcę mieć z tym nic wspólnego. - Wsunął miecz do pochwy. - Przykro mi, że na próżno przebyłyście tak długą drogę. - Wziął Kahlan za rękę. - Błotni Ludzie nie lubią obcych. Ich broń jest nasączona trucizną i chętnie się nią posługują. Powiem im, żeby bezpiecznie przepuścili was przez swoje ziemie. Nie nadużywajcie ich cierpliwości, dobrze warn radzę.

Poprowadził Kahlan ku drzwiom. Czują bijącą odeń wściekłość, a w jego oczach widziała gniew i jeszcze coś: ból głowy. Czują, jak cierpi.

- Te bóle głowy cię zabiją - powiedziała spokojnie Siostra Grace. Richard zamarł. Oddychał ciężko, zapatrzony przed siebie.

- Przez całe życie cierpię na bóle głowy. Przyzwyczaiałem się do nich.

- To były inne bóle - upierała się Siostra Grace. - Rozpoznajemy migreny powodowane przez dar. To nasze zadanie.

- Tutejsza uzdrowicielka się tym zajmuje. Jest znakomita. Już mi pomogła i wierzę, że wkrótce mnie wyleczy.

- Nie da rady. Tylko my możemy to zrobić. Jeżeli nie pozwolisz, byśmy ci pomogły, migreny cię zabiją. Po to tu jesteśmy, aby przyjść ci z pomocą, a nie skrzywdzić cię.

Richard wyciągnął rękę ku klamce.

- Nie musicie się mną przejmować. Nie jestem dotknięty darem. Wszystko jest pod kontrolą. Bezpiecznej podróży, szanowne panie.

Kahlan położyła łagodnie dłoń na rękę chłopaka, nie pozwalając mu dotknąć klamki.

- Richardzie - szepnęła. - Może powinniśmy ich przynajmniej wysłuchać. Przecież to nie przyniesie żadnej szkody. A może dowiesz się czegoś, co przyda ci się, by powstrzymać te bóle głowy.

- Nie mam żadnego daru! Nie chcę mieć nic wspólnego z magią! Dość się przez nią nacierpiałem. Nie mam daru i nie chcę mieć. - Znów sięgnął do klamki.

- I na pewno powiesz nam, że w ciągu kilku ostatnich dni nie zmieniłeś nagle swoich upodobań kulinarnych - powiedziała Siostra Grace.

Richard ponownie zeszywniał.

- Każdy może je zmieniać i raz jeść to, a innym razem co innego.

- Czy ktoś patrzył, jak śpisz?

- Co takiego?

- Gdyby ktoś obserwował cię podczas snu, zauważyłby, że teraz sypiasz z otwartymi oczami.

Kahlan poczuła lodowate dreszcze. Wszystko się zgadzało. Czarodzieje mieli dziwaczne, specyficzne upodobania kulinarne i wszyscy, nawet ci pozbawieni daru, sypiali z otwartymi oczami. Nie mający daru czynili to rzadziej, posiadający go, jak Zedd - częściej.

- Nie śnię z podniesionymi powiekami. Mylisz się.

- Może powinniśmy ich wysłuchać, Richardzie - szepnęła Kahlan. - Usłyszeć, co mają do powiedzenia.

Spojrzał jej w oczy, jakby błagając, żeby go przed tym ustrzegła, pomogła uciec. Błagając o pomoc.

- Nie śpię z otwartymi oczami.

- Owszem, śpisz. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Przez całe miesiące, gdy próbowaliśmy powstrzymać Rahla, widywałam cię śpiącego. Kiedy miałam wartę, często patrzyłam, jak śpisz. Miałeś wtedy zamknięte oczy. Z otwartymi, jak Zedd, zacząłeś spać dopiero teraz, po opuszczeniu D'Hary.

Richard nadal stał odwrócony plecami do trzech kobiet.

- Czego chcecie? Jak możecie ulżyć moim cierpieniom?

- Skoro mamy o tym dyskutować, nie będziemy mówić do twoich pleców - powiedziała Siostra Verna niczym do upartego dziecka. - Powinieneś się do nas zwracać, jak należy.

Nie takim tonem należało teraz przemawiać do Richarda. Szarpnął drzwi i zatrzasnął je za sobą tak energicznie, że Kahlan wystraszyła się, iż wylecą z zawiasów. Wytrzymały jednak. Nie mogła przeboleć, że mu to powiedziała. Chciał, by wzięła jego stronę; nie był w nastroju do wysłuchiwania prawdy.

Kahlan zdumiała postawa Richarda. Przecież nie należał do unikających prawdy. Coś go śmiertelnie wystraszyło. Odwróciła się i spojrzała na Siostry.

Siostra Grace opuściła luźno ręce.

- To nie zabawa, Matko Spowiedniczko. On umrze, jeśli mu nie pomożemy. Nie zostało mu dużo czasu - powiedziała.

Kahlan skinęła głową. Gniew zniknął, zastąpił go smutek.

- Porozmawiam z nim - powiedziała cichym, ledwie słyszalnym w dużej

izbie głosem. - Zaczekajcie tu, proszę. Przyprowadzę go z powrotem.

Richard siedział na ziemi, oparty o niski murek tuż pod szczerbą, którą zrobił mieczem w noc pojawienia się screelinga. Łokcie wsparł o kolana, głowę schował w dłoniach, splótł palce. Nie spojrzął na dziewczynę. Kahlan usiadła tuż przy nim.

- Strasznie cię boli głowa, prawda?

Przytaknął. Dziewczyna podniosła zeschniętą łodygę zielska. Richard jakby coś sobie przypomniał. Sięgnął do kieszonki koszuli, wyjął kilka liści i wsunął do ust. Kahlan zerwała listek z zeschniętego badyla.

- Powiedz mi, Richardzie, czego się boisz.

Przez chwilę w milczeniu żuł zioła, potem podniósł głowę i odchylił się do tyłu.

- Kiedy zjawił się screeling, mówiłem, że go wyczułem, a ty stwierdziłaś, iż może go po prostu usłyszałem, pamiętasz? - Przytaknęła. - Tego obcego też dziś wyczułem, zupełnie jak screelinga, którego zabiłem. To było dokładnie to samo uczucie. Niebezpieczeństwo. Nie wiem jak, lecz wyczułem niebezpieczeństwo. Wiedziałem, że coś się szykuje, choć nie miałem pojęcia co.

- Co to ma wspólnego z trzema kobietami w domu duchów?

- Zanim tam weszliśmy, by się z nimi spotkać, czułem to samo: zagrożenie. Nie wiem, co to oznacza, ale na pewno było to identyczne wrażenie. Tak czy inaczej, jestem pewny, że one staną między nami.

- Wcale tego nie wiesz, Richardzie. Przecież powiedziały tylko, że chcą ci pomóc.

- A właśnie, że wiem. Jak wiedziałem, że był tam screeling, a potem ów obcy z włócznią. Te kobiety są dla mnie niebezpieczne. Kahlan poczuła, jak dławi ją w gardle.

- Sam mówiłeś, iż migreny mogą cię zabić, Richardzie. Boję się o ciebie.

- A ja się boję magii. Nienawidzę jej. Nienawidzę magii miecza. Chciałbym się od niej uwolnić. Nawet nie wiesz, co musiałem nią uczynić. Nie masz pojęcia, jakim kosztem zmienia się klingę w biel. Magia Rahla Posepnego zabiła mi ojca i odmieniła, zabrała brata.

Skrzywdziła tak wielu ludzi. - Westchnął głęboko. - Nie znoszę magii.

- We mnie też jest magia - powiedziała cicho Kahlan.

- I mało brakowało, aby na zawsze nas rozdzieliła.

- Ale nie rozdzieliła. Wymyśliłeś, jak ją ujarzmić. Gdyby nie moja magia, to nigdy bym cię nie spotkała. - Pogłaskała go po ramieniu. - Przywróciła Adie stopę i pomogła wielu, wielu ludziom. Zedd jest czarodziejem, ma dar. Czy powiedziałbyś, że to złe? On zawsze korzysta ze swego daru, żeby pomagać innym. W tobie także jest magia, Richardzie. Masz dar, sam to przyznałeś. Dzięki niej wyczułeś obecność screelinga i ocaliłeś mnie. Potem odkryłeś obcego, który chciał zabić Chandalena. Uratowałeś łowcy życie.

- Nie chcę magii.

- Coś mi się wydaje, że myślisz o problemie, a nie o rozwiązaniu. Czyż nie tak właśnie mówiłeś: myśl o rozwiązaniu, nie o problemie?

Richard oparł głowę o murek i zamknął oczy. Westchnął z rozpaczliwą irytacją:

- Czy tak ma wyglądać nasze małżeństwo? Przez resztę życia będziesz mi wytykać każdy głupi postępek?

- Wolałbyś, żebym pozwoliła ci się okłamywać? - uśmiechnęła się Kahlan.

- Chyba nie. - Potarł twarz. - Głowa boli mnie do tego stopnia, że nie mogę rozsądnie myśleć.

- No to zaradzmy temu, co? Wejdźmy tam i chociaż porozmawiajmy z Siostrami. Dobrze byłoby usłyszeć, co mają do powiedzenia, prawda? Mówiły, że chcą pomóc.

- Rahl Posepny też tak mówił. - Chłopak zerknął na nią ponuro.

- Ucieczka to żadne rozwiązanie. Nie uciekłeś Rahlowi Posepnemu. Richard patrzył na nią długo i w końcu skinął głową.

- Wysłucham ich.

Trzy kobiety stały tak, jak Kahlan je zostawiła. Uśmiechnęły się z uznaniem do dziewczyny, najwyraźniej zadowolone, iż go sprowadziła. Kahlan i Richard stanęli przed nimi.

- Posłuchamy... posłuchamy, co macie do powiedzenia o moich bólach głowy.

Siostra Grace spojrzała na dziewczynę.

- Dzięki za pomoc, Matko Spowiedniczko, lecz teraz chciałbyśmy porozmawiać z Richardem na osobności.

Chłopak znów się wściekł, lecz zapanował nad swoim tonem.

- Kahlan i ja mamy się pobrać. - Siostry znów popatrzyły po sobie, tym razem z nieco większym zatroskaniem i powagą. - To, co macie mi do

powiedzenia, dotyczy więc również jej. Jeżeli chcecie rozmawiać ze mną, to ona zostanie i wysłucha tego. Oboje albo żadne z nas. Wybierajcie.

Trzy kobiety wymieniały spojrzenia. W końcu przemówiła Siostra Grace.

- Zgoda.

- Przede wszystkim powinnyście wiedzieć, że nie lubię magii i wcale nie jestem przekonany, iż mam dar. Jeśli faktycznie tak jest, to wcale mnie to nie cieszy i chciałbym się go pozbyć.

- Nie przybyłyśmy tu dla twojej przyjemności, lecz po to, by ocalić ci życie. W tym celu musimy nauczyć cię posługiwać się darem. Zabije cię, jeśli się nie dowiesz, jak go kontrolować.

- Rozumiem. Miałem podobny problem z Mieczem Prawdy.

- Po pierwsze, musisz się nauczyć - wtrąciła Siostra Verna - że również nas, tak jak Matkę Spowiedniczkę, należy traktować z poważaniem i okazywać respekt. Długo i ciężko pracowałyśmy, by stać się Siostrami Światła, i oczekujemy należnego nam szacunku. Ja jestem Siostra Verna, to Siostra Grace, a to Siostra Elizabeth.

Richard spojrział na nie ze złością, w końcu jednak skłonił głowę.

- Wedle twego życzenia, Siostrze Verno. - Popatrzył na każdą z nich. - A kim są Siostry Światła?

- Uczymy czarodziejów: tych, którzy mają dar.

- Skąd przybyły Siostry Światła?

- Wszystkie mieszkamy i pracujemy w Pałacu Proroków.

- Nigdy nie słyszałam o Pałacu Proroków, Siostrze Verno. - Kahlan zmarszczyła brwi. - Gdzie to jest?

- W Tanimurze.

- Znam w Midlanach każde miasto. - Mars Kahlan pogłębił się. - Nigdy nie słyszałam o Tanimurze.

Siostra Verna przez chwilę patrzyła dziewczynie w oczy.

- Mimo to stamtąd właśnie jesteście.

- Dlaczego się zdziwiłyście, widząc, ile mam lat?

- Ponieważ - odezwała się Siostra Grace - niezmiernie rzadko się zdarza, by umknęło naszej uwadze dziecko mające dar.

- Iloletnie dziecko?

- Co najwyżej w jednej trzeciej twego wieku.

- Jak myślicie, dlaczego nie zwróciłem waszej uwagi?

- Najwidoczniej jakoś cię przed nami ukryto.

Kahlan zorientowała się, że Richard wpada w rolę Poszukiwacza: próbuje znaleźć odpowiedzi na swoje pytania, zanim cokolwiek tamtym zdradzi.

- Czy uczyliście Zedda?

- Kogo?

- Zeddicusa Zu'l Zorandera, czarodzieja pierwszego stopnia. Znow spójrzały po sobie.

- Nie znamy Pierwszego Czarodzieja Zorandera.

- Zdawało mi się, Siostrzo Verno, że waszym obowiązkiem jest znać mających dar.

Zesztywniały.

- Znasz owego czarodzieja pierwszego stopnia?

- Znam. Dlaczego wy go nie znacie?

- Czy jest stary? - Richard potaknął. - Być może pojawił się, zanim nastał nasz czas.

- Być może. - Richard oparł pięść na biodrze, zrobił kilka kroków i zatrzymał się tyłem do Sióstr. - Skąd się o mnie dowiedziałyście? Siostrzo Elizabeth?

- Naszym obowiązkiem jest wyszukiwanie tych z darem, czarodziejów. Ukryto cię przed nami, ale odnalazłyśmy cię, kiedy ujawnił się twój dar.

- A co, jeżeli nie chcę być czarodziejem?

- To już twoja sprawa. My mamy nauczyć cię, jak kontrolować magię. Nie przybyłyśmy tu, żeby zmusić cię do zostania czarodziejem, lecz po to, by nauczyć cię kontrolować magię i ocalić ci życie. Potem możesz zostać, kim zechcesz.

Richard wrócił ku nim i stanął twarzą w twarz z Siostrą Verną.

- Skąd wiecie, że mam dar?

- Jesteśmy Siostrami Światła. To nasza powinność.

- Sądziłyście, iż będę mały i znajdziecie mnie przy rodzicach. Nie wiedziałyście, że jestem Poszukiwaczem. Nie znacie Pierwszego Czarodzieja. Opuszczacie się w spełnianiu swych obowiązków. Może więc mylicie się i w tym, że mam dar, Siostrzo Verno? Te pomyłki nie skłaniają do zaufania. Czy wasza godna szacunku pozycja dopuszcza podobne błędy?

Twarze Sióstr były purpurowe. Siostra Verna z trudem panowała nad tonem głosu.

- Nasza praca, Richardzie, nasze powołanie, to pomoc tym, którzy mają dar. Temu poświęcamy życie. Przybyliśmy z daleka. Z oddali zbierałyśmy wieści. Nie wiemy wszystkiego. Sprawy, o których mówisz, nie są ważne. Liczy się to, że masz dar. I że umrzesz, jeśli nie pozwolisz sobie pomóc. Sam widzisz, jakie trudności napotkałyśmy. By tego uniknąć, pomagamy mającym dar, kiedy są jeszcze mali, i dlatego chcieliśmy rozmawiać z twoimi rodzicami. Dajemy im do zrozumienia, co jest najlepsze dla ich syna. Rodzice są bardziej zainteresowani dobrem swoich dzieci niż ktoś w twoim wieku własnym. Trudno będzie uczyć kogoś w twoim wieku. Łatwiej przygotować ludzi, gdy są jeszcze dziećmi.

- Zanim zaczną samodzielnie myśleć, Siostrze Verno? - Milczała. - Zapytam raz jeszcze: Skąd wiecie, że mam dar?

Siostra Grace przyglądała proste, czarne włosy.

- Kiedy rodzi się ktoś z darem, to owa moc jest początkowo uśpiona, nieszkodliwa. Staramy się odszukać takich chłopców, gdy są jeszcze mali. Mamy swoje sposoby, żeby ich wykryć. W pewnym momencie osoba obdarzona czyni coś, co budzi moc, co sprawia, że moc rośnie i rozwija się. Wtedy ów dar staje się zagrożeniem. Nie wiemy, jak zdołałeś ujść naszej uwagi. Raz wyzwolona moc zaczyna się rozwijać. Nie można jej powstrzymać. Musisz nad nią zapanować lub umrzesz. To właśnie ci się przydarzyło. Coś takiego zdarza się niezmiernie rzadko. Przyznaję, że choć uczono nas o tym, to nie stało się tak za życia żadnej z nas. W Pałacu Proroków powinny być zapiski dotyczące podobnych przypadków; zapoznamy się z nimi. Ale to nie zmienia najważniejszego: masz dar, obudziłeś tę moc i zaczęła się rozwijać. Nigdy przedtem nie uczyłyśmy kogoś w twoim wieku. Obawiam się trudności, jakie to wywoła w pałacu. Nauka wymaga dyscypliny. Ktoś w twoim wieku na pewno z trudem się temu podporządkuje.

Richard złagodził ton głosu, ale jego spojrzenie stwardniało.

- Pytam po raz ostatni, Siostrze Grace: Skąd wiecie, że mam dar? Wyprostowała się jeszcze bardziej, sapnęła. Spojrzała na Siostrę Verne.

- Ty mu powiedz.

Siostra Verna z rezygnacją kiwnęła głową i wyjęła z pasa niewielką czarną książeczkę. Zmarszczyła czoło i zaczęła ją kartkować.

- Ci z darem mogą zeń w pewnym stopniu korzystać nawet wtedy, kiedy

jest uśpiony. Pewnie zauważyłeś, że potrafisz coś, czego inni nie mogą zrobić? Określone posłużenie się magią budzi moc i zapoczątkowuje jej rozwój. Raz przebudzonej mocy nie można ponownie uśpić. Ty obudziłeś swój dar. - Odwracała stronicę i wodziła po nich palcem. - O, tu jest. - Podniosła wzrok znad książki. - Aby obudzić dar, należy dokonać trzech rzeczy. Nie w pełni rozumiemy istotę tego, ale pojmujemy ogólne zasady. Ty spełniłeś wszystkie trzy warunki. Po pierwsze, należy użyć daru, by kogoś ocalić. Po drugie, żeby ocalić samego siebie. I po trzecie, zabić kogoś ową mocą. Sam rozumiesz, jak trudno tego dokonać i dlaczego wcześniej cię nie odkryliśmy?

- Co napisano o mnie w tej książce?

Zajrzała do woluminu, podniosła wzrok, sprawdzając, czy chłopak słucha uważnie, i znów zerknęła do książki.

- Po pierwsze, posłużyłeś się darem, żeby ocalić życie komuś, kogo wciągały zaświaty. Wciągały nie fizycznie, lecz poprzez umysł. Przywołałeś ją z powrotem. Zginęłaby, gdyby nie ty. - Spojrzała nań spod oka. - Rozumiesz, prawda?

Kahlan rzuciła okiem na Richarda. Oboje rozumieli. To ją ocalił.

- Pod sosną-strażniczką - powiedziała. - Pierwszego wieczoru po naszym spotkaniu. Przywołałeś mnie z zaświatów.

- Tak, rozumiem. - Richard skinął głową ku Siostrze Vernie.

- A co do uratowania samego siebie... Sprawdźmy... - Przesunęła palcem po stronicę. - O, jest! - Znów spojrzała na niego. - Po drugie, wykorzystałeś dar, by ocalić własne życie. - Postukała palcem w książkę. - Rozdzieliłeś swój umysł. Rozumiesz, prawda?

Richard zamknął oczy.

- Tak rozumiem - szepnął. O tym Kahlan nic nie wiedziała.

- Po trzecie, skorzystałeś z daru, żeby zabić czarnoksiężnika. Nazywał się Rahl Posępny. Rozumiesz, prawda?

- Tak. - Otworzył oczy. - Skąd to wiesz?

- Posłużyłeś się magią, specyficzną magią, która pozostawia ślad, bo jesteś niewyszkolony. Gdybyś opanował warsztat, ów trop nie pozostałby i nie dowiedzieliśmy się o tobie. W Pałacu Proroków mamy potrafiących wyczuć taki ślad.

Richard spojrzał na nią z gniewem.

- Naruszyliście moją prywatność, szpiegowaliście mnie. A co do ostatniego, to właściwie nie zabiłem Rahla Posepnego.

- Rozumiem, co czujesz - powiedziała spokojnie Siostra Grace. - To wszystko po to, by ci pomóc. Jeśli chcesz tu stać i sprzeczać się, czy owe trzy zdarzenia można uznać za „wyzwalacze”, to rozwieję twoje wątpliwości. Dokonałeś tamtych rzeczy i zacząłeś się stawiać czarodziejem. Możesz w to nie wierzyć albo zdecydować się zostać magiem, lecz nie ma wątpliwości, iż stało się to, co się stało. Nie obarczamy cię tym brzemieniem. Chcemy ci pomóc poradzić sobie z nim.

- Ale...

- Żadne „ale”. Kiedy magia się budzi, występują co najmniej trzy zmiany. Po pierwsze, zmiana upodobań kulinarnych. Możesz zacząć za czymś przepadać lub przestać jeść coś, co ci do tej pory smakowało. Badałyśmy tę sprawę, lecz nie rozumiemy, dlaczego tak się dzieje; ma to jakiś związek z budzeniem się daru. Po drugie, zaczynasz, przynajmniej czasami, spać z otwartymi oczami. Wszyscy czarodzieje to robią, nawet ci z powołaniem. Ma to coś wspólnego z nauką korzystania z magii. Jeśli masz dar, to zaczynasz tak spać, kiedy dokonasz trzech, wspomnianych na początku, rzeczy. Jeżeli zaś masz tylko powołanie, to dopiero nauka czarodziejskiego fachu wywołuje taki sen. Po trzecie, pojawiły się migreny. Są zgubne. Nie ma na nie żadnego leku. Jedyna rada to nauczyć się kontrolować magię. Jeżeli tego nie zrobisz, prędzej lub później bóle głowy cię zabiją.

- To znaczy kiedy? Ile życia mi zostanie, jeśli odrzucę waszą pomoc?

- Richardzie... - Kahlan położyła dłoń na ramieniu chłopaka. - Ile!?

- Wiadomo, że ktoś żył z takimi migrenami kilka lat - powiedziała Siostra Elizabeth. - Inny zmarł po paru miesiącach. Sądzymy, że ilość czasu, który ci pozostał, zależy od tego, jak potężna jest twoja moc. Im większa moc, tym silniejsze migreny i tym krótsze życie. Jednakże można się spodziewać, że już po miesiącu bóle nasilą się tak bardzo, iż będziesz tracić przytomność.

- Już były tak silne. - Richard spojrział na nią bez wyrazu. Oczy trzech Sióstr rozwarły się w zdumieniu. Znów wymieniły spojrzenia.

- Zaczęłyśmy cię szukać, jeszcze zanim dokonałeś owych trzech rzeczy. Zrobiłeś to już po tym, jak opuściliśmy pałac - odezwała się Siostra Verna. - To magiczna księga. Ukazuje się w niej to, co w pałacu zapisują w bliźniaczym egzemplarzu. Stąd wiemy, że ich dokonałeś. Ile czasu upłynęło

od trzeciej, od zabicia tego Rahla Posępnego?

- Trzy dni. Byłem nieprzytomny drugiej nocy po tym, jak go zabiłem.

- Drugiej...! - Znowy wymieniły spojrzenia.

- Czemu tak na siebie patrzycie?! - zdenerwował się Richard.

- Bo jesteś bardzo szczególną osobą, Richardzie - powiedziała łagodnie Siostra Verna. - Pod wieloma względami. Jeszcze nigdy nie spotkałyśmy kogoś o tak niezwykłych cechach.

- Masz rację. - Kahlan otoczyła ramieniem stan Richarda. - On jest szczególną osobą. Kimś, kogo kocham. Jak możecie mu pomóc? - Bała się, że chłopak je odstraszy i że nie będą chciały przyjść z pomocą.

- Musi się zastosować do odpowiednich zasad. Wszyscy musimy: one są nienaruszalne, nie podlegają dyskusji. Powinien się oddać w nasze ręce i udać z nami do Pałacu Proroków. - Siostra Grace uściśliła ze smutkiem w oczach: - Sam.

- Na jak długo? - spytał chłopak. - Ile to potrwa?

Blask pochodni zalśnił w czarnych włosach Siostry Grace, kiedy obróciła głowę ku pytającemu.

- To zależy od tego, jak szybko się będziesz uczył. To potrwa tyle, ile nauka. Musisz zostać do końca.

Richard otoczył ramieniem kibić Kahlan, a dziewczyna poczuła ucisk w piersi.

- Będę go mogła odwiedzać?

- Nie. - Siostra Grace z wolna potrząsnęła głową. - I jest jeszcze coś. - Przez moment patrzyła na Agiela, po czym wyciągnęła coś spod peleryny: metalowy pierścień, szeroki może na dłoń. Blask ognia odbijał się w jego srebrzystej matowej powierzchni. Rozpięła go, choć wyglądał na lity, i uniosła ku Richardowi. - Nazywamy to Rada'Han. To obroza. Musisz ją nosić.

Chłopak cofnął się o krok, puścił talię Kahlan i położył dłoń na szyi. Zbladł, a oczy mu się rozszerzyły.

- Dlaczego? - wyszeptał.

- Koniec dyskusji. Zaczynają się reguły. - Siostry Verna i Elizabeth stanęły za trzymającą obrozę Grace. - To nie zabawa. Od teraz należy się ściśle trzymać reguł. Słuchaj uważnie, Richardzie. Ofiarujemy ci trzy możliwości odebrania Rada'Han; trzy oferty przyjęcia naszej pomocy, każda

od jednej Siostry. Każda z Sióstr poda jeden z trzech powodów noszenia Rada'Han. Poda ów powód i ofiaruje ci możliwość przyjęcia lub odrzucenia oferty. Po trzeciej odmowie, a mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, nie będzie już kolejnej szansy. Nie otrzymasz od Sióstr Światła żadnej pomocy i twój dar cię zabije.

Richard wciąż zaciskał dłoń na szyi. Mówił ledwo dosłyszalnym szeptem.

- Dlaczego muszę nosić obrozę? Siostra Grace wyprostowała się władczo.

- Żadnych dyskusji. Masz słuchać. Z własnej woli musisz otoczyć szyję Rada'Han. Nie będzie ci wolno samemu jej ściągnąć. Może to uczynić jedynie Siostra Światła. Pozostanie na twoim karku, dopóki nie uznamy, że można ją zdjąć. Zdejmujemy ją dopiero wtedy, kiedy zostaniesz wyszkolony, nie wcześniej.

Ciężki oddech unosił pierś chłopaka. Richard nie odrywał spojrzenia od obroży. Jego oczy miały niesamowity, dziki wyraz. Kahlan jeszcze nigdy nie widziała, by tak patrzył. Przeraziła ją jego trwoga; zdrętwiała.

Chłopak spojrzał wreszcie na Siostrę Grace. Patrzyła nań twardo, zdecydowanie.

- Za chwilę otrzymasz pierwszą szansę. Każda z Sióstr ofiaruje ci jedną. Pierwszą dostaniesz ode mnie. Ja, Grace Rendall, Siostra Światła, podam ci pierwszy powód przyjęcia Rada'Han, ofiaruję pierwszą możliwość uzyskania pomocy. Rada'Han po pierwsze zakłada się po to, żeby opanować migreny i otworzyć twój umysł, byś się mógł nauczyć posługiwać swoim darem. Teraz masz możliwość przyjęcia lub odrzucenia mej oferty. Usilnie doradzam przyjęcie tej pierwszej propozycji naszej pomocy. Wierz mi, proszę, że drugą będzie ci o wiele trudniej przyjąć, trzecią zaś najtrudniej. Proszę cię, Richardzie, zaakceptuj tę propozycję, zaakceptuj pierwszy powód. Od tego zależy twoje życie.

Siostra Grace stała bez ruchu, czekając na decyzję chłopaka. Richard znów patrzył na matowosrebrną obrozę. Zdawał się stać na skraju paniki. W izbie słychać było tylko ciche potrzaskiwanie ognia i pochodni. W końcu chłopak podniósł oczy, otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w zdecydowane oczy Siostry Grace. Wreszcie zamrugał i szepnął ochryple:

- Nie założę obroży. Nigdy więcej nie założę obroży. Dla nikogo. Z żadnego powodu. Nigdy.

Kobieta lekko zeszywniała i opuściła obrożę; była zdumiona i zaskoczona.

- Odrzucasz ofertę i Rada'Han?

- Odrzucam.

Siostra Grace stała przez chwilę nieruchomo, w jej oczach były smutek i troska; zbladła. Odwróciła się ku stojącym za nią Siostram.

- Wybaczcie mi, Siostry, zawiodłam. - Podała Rada'Han Siostrze Elizabeth. - Teraz twoja kolej.

- Światło ci wybacza - szepnęła Siostra Elizabeth i ucałowała blade policzki Siostry Grace.

- Światło ci wybacza - szepnęła Siostra Verna i też ją ucałowała. Siostra Grace zwróciła się ku Richardowi, lecz jej głos nie brzmiał już tak pewnie.

- Oby Światło zawsze otaczało cię opieką. Obyś pewnego dnia odnalazł drogę.

Patrząc w oczy chłopaka, uniosła rękę i potrząsnęła nią. Z rękawa wysunął się sztylet - raczej ostro zakończony, krągły pręt sterczący ze srebrnej rękojeści.

Richard odskoczył do tyłu i szybkim, płynnym ruchem dobył miecza. Rozległ się charakterystyczny brzęk stali.

Siostra Grace zręcznie obróciła sztylet w dłoni - mierzył teraz między jej piersi, nie w chłopaka. Trzymając broń wdzięcznym, wyćwiczonym gestem, nie odrywała wzroku od oczu Richarda. Wbiła ostrze w klatkę piersiową.

Błysnęło światło - zda się z jej oczu - i martwa osunęła się na klepisko.

Wstrząśnięci i przerażeni Richard z Kahlan cofnęli się o krok. Siostra Verna schyliła się i wyjęła nóż z ciała martwej kobiety. Wyprostowała się, po czym spojrzała na chłopaka.

- Już ci mówiłyśmy, że to nie zabawa. - Wsunęła sztylet pod pelerynę. - Sam musisz ją pogrzebać. Jeżeli pozwolisz, by ktoś zrobił to za ciebie, to przez resztę życia będą cię dręczyć koszmary wywołane przez magię. - Obie Siostry naciągnęły kaptury. - Ofiarowano ci pierwszą z trzech możliwości i odrzuciłeś ją. Wrócimy.

Siostry odeszły.

Czubek miecza powolutku dotknął podłoga. Richard wpatrywał się w martwą kobietę i płakał.

- Nie założę ponownie obroży - szepnął do siebie. - Dla nikogo.

Mechanicznymi ruchami wyjął z plecaka niewielką łopatkę i trzonek, przytroczył je do pasa. Obrócił Siostrę Grace na plecy, skrzyżował jej ręce na piersiach i uniósł w ramionach martwe ciało. Jedną ręką ześliznęła się, wisiała swobodnie. Głowa Grace zwieszała się bezwładnie. Martwe oczy patrzyły nieruchomo, czarne włosy kołysały się. Na białej bluzce widniał mały, krwawy ślad.

Richard spojrział na Kahlan pełnymi bólu oczami.

- Idę ją pogrzebać. Sam.

Kahlan skinęła głową. Przyglądała się, jak otwiera ramieniem drzwi. Gdy się zamknęły, osunęła się na podłogę i zaczęła płakać.

ROZDZIAŁ 10

Po powrocie Richard zastał Kahlan zapatrzoną w ogień. Nie było go długo. Kiedy się wyplakała, poszła opowiedzieć Savidlinowi i Weselan, co się stało; potem wróciła do domu duchów i czekała w nim na powrót chłopaka. Savidlin i Weselan powiedzieli jej, żeby w razie potrzeby przyszła po nich.

Richard usiadł obok dziewczyny, objął ją i oparł głowę na jej ramieniu. Przytuliła go i głaskała jego włosy. Chciała coś powiedzieć, lecz bała się słów, więc tylko go tuliła.

- Nienawidzę magii - szepnął w końcu. - Znowu stanie między nami.
- Nie pozwolimy na to. Nie pozwolimy. Znajdziemy na to radę.
- Dlaczego się musiała zabić?
- Nie wiem - szepnęła Kahlan.

Richard puścił ją, z kieszonki koszuli wyjął kilka liści od Nissel. Żuł je i patrzył w płomienie; twarz miał boleśnie ściągniętą.

- Mam wrażenie, jakbym uciekał, ale nie miał dokąd pójść. Jak umknąć przed czymś, co jest w tobie?

Kahlan przesunęła dłonią po jego nodze.

- Wiem, Richardzie, że ciężko ci tego słuchać, ale bardzo cię proszę, wysłuchaj mnie. Magia nie jest zła. - Nie zaprotestował, więc kontynuowała.
- To ludzie czasami wykorzystują ją niewłaściwie, do czynienia zła, tak jak uczynił to Rahl Posępny. Od urodzenia mam moc. Nauczyłam się z tym żyć, pogodziłam się z tym. Czy nienawidzisz mnie, bo noszę ją w sobie?

- Oczywiście, że nie.

- Czy kochasz mnie pomimo tej magii? Namyslał się przez chwilę.

- Nie. Kocham w tobie wszystko, a moc stanowi część ciebie. To dlatego magia Spowiedniczki jest wobec mnie bezsilna. Gdybym kochał cię pomimo tego, że masz moc, nie akceptowałbym cię jako Spowiedniczki. Twoja magia zniszczyłaby mnie.

- Widzisz? Ona nie jest zła. Moc ma dwoje ludzi, których kochasz najbardziej na świecie: Zedd i ja. Wysłuchaj mnie, proszę. Masz dar. Nazywa się to darem, nie przekleństwem. To cudowna, osobliwa rzecz. Można ją wykorzystywać do pomagania innym. Sam już użyłeś jej, żeby pomóc innym. Spróbuj o tym myśleć w ten sposób i przestań walczyć z czymś, czego nie

sposób pokonać.

Richard długo patrzył w ogień, a Kahlan gładziła go po nodze. W końcu szepnął ledwo dosłyszalnie;

- Nie założę ponownie obroży.

Dziewczyna spojrzała na Agiela. Czerwony skórzany pręt zwisał na złotym łańcuchu z szyi chłopaka; kołysał się lekko, poruszany oddechem. Wiedziała, że Agielem torturowano ludzi, ale nie miała pojęcia, jak to czyniono. Nie podobało się jej, że Richard *go* nosi. Przełknęła ślinę

- Czy Mord-Sith kazała ci założyć obrożę? Richard patrzył nieruchomo w płomienie.

- Miała na imię Denna.

Kahlan obróciła się ku niemu, lecz nie poruszył się.

- Czy ona... Czy Denna kazała ci nosić obrożę?

- Tak. - Łza spłynęła po policzku chłopaka. - Używała jej, by mnie dręczyć. Do obroży był przytwierdzony łańcuch. Przyczepiała ten łańcuch do swojego pasa i prowadziła mnie na obroży jak zwierzę. Czasami mocowała kajdany do czegoś i wtedy nie mogłem ich odzepić. Kontrolowała magię zadającą mi ból, kiedy zabijam mieczem. Potrafiła ją wzmocnić, zwiększyć cierpienie. Nawet nie udawało mi się wtedy naciągnąć łańcucha. Próbowałem. Staralem się ze wszystkich sił. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić bólu, jaki to wywoływało. Denna zmusiła mnie, bym sam założył sobie obrożę. Zmusiła mnie do wielu rzeczy.

- Lecz te migreny cię zabiją. Siostry powiedziały, że obroża wyleczy cię z bólów głowy i pomoże nauczyć się kontrolować dar.

- Powiedziały, iż to tylko jeden z powodów jej założenia. Że są *jeszcze* dwa inne. Nie znam ich. Wiem, Kahlan, że uważasz moje postępowanie za głupie. Ja sam też tak myślę. Rozum mówi mi to samo *co ty*. Ale dusza podpowiada coś zupełnie innego.

Kahlan dotknęła Agiela i przetoczyła go w palcach.

- Z powodu *tej* rzeczy? Ze względu *na to*, co robiła Denna? - Potaknął, zapatrzony w ogień. - Cóż to sprawia, Richardzie?

Chłopak wreszcie spojrzał na nią. Zacisnął dłoń na Agielu.

- Dotknij mojej dłoni. Tylko dłoni, nie Agiela. Kahlan położyła palce na pięści Richarda.

Z jękiem bólu szarpnęła się w tył. Potrząsała nadgarstkiem, starając się

zlikwidować skurcz mięśni.

- Dlaczego nie bolało, gdy dotknęłam go wcześniej?

- Bo nigdy cię nim nie tresowano.

- To czemu nie sprawia ci bólu trzymanie Agiela w dłoni? Richard wciąż zaciskał w ręce czerwony skórzany pręt.

- Owszem, sprawia. Boli zawsze, kiedy go tak trzymam.

- Czyli teraz boli cię tak, jak mnie zboleło, gdy dotknęłam, twojej ręki? - zdumiała się Kahlan.

W oczach chłopaka widziała cierpienie wywołane migreną.

- Nie. Moja dłoń osłaniała cię przed tym, co czuje się naprawdę.

- Pragnę wiedzieć. - Wyciągnęła rękę.

- Nie. - Richard puścił Agiela. - Nie chcę, żeby zadał ci taki ból. Nie chcę, by cokolwiek sprawiło ci taki ból.

- Proszę, Richardzie. Chcę wiedzieć. Chcę zrozumieć.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, potem westchnął.

- Czyż potrafiłbym odmówić jakiejś twojej prośbie? - Znow zacisnął dłoń na Agielu. - Nie zamykaj go w dłoni: mogłabyś nie wypuścić go dostatecznie szybko. Tylko go dotknij. Wstrzymaj oddech i zaciśnij zęby, żebyś nie przygryzła sobie języka. Napnij mięśnie brzucha.

Kahlan wyciągnęła rękę ku Agielowi, serce jej waliło. Nie chciała poczuć bólu. Wystarczająco bolesne było już samo dotknięcie dłoni Richarda. Ale musiała wiedzieć, jak to jest, bo teraz stanowiło to część doświadczeń chłopaka. Chciała poznać i zrozumieć wszystko, co go dotyczyło. Nawet udrękę.

Było to jak dotknięcie błyskawicy.

Ból wystrzelił w górę kończyny i eksplodował w barku Kahlan. Krzyknęła, upadła na plecy. Przetoczyła się na brzuch, zaciskając drugą dłoń na obolałym ramieniu. Nie mogła poruszyć zdrętwiałą z bólu ręką. Ręką, która wciąż mrowiła i drżała. Natężenie bólu wstrząsnęło dziewczyną i przeraziło ją. Płakała. Dłoń Richarda ze współczuciem dotknęła jej pleców. Płakała, ponieważ teraz choć trochę rozumiała, co mu uczyniono.

W końcu opanowała się i usiadła. Richard w dalszym ciągu zaciskał Agiela w dłoni, patrząc na Kahlan.

- Cały czas, kiedy go trzymasz, czujesz taki ból? - Tak.

Uderzyła go pięścią w ramię.

- Puść to! - krzyknęła. - Puść! Wypuść bicz.

- To mi czasem pomaga zapomnieć o bólu głowy. Wierz lub nie, ale pomaga.

- Migreny zadają ci większy ból niż Agiel? Przytaknął.

- Byłbym teraz nieprzytomny, gdyby nie to, czego Denna nauczyła mnie o bólu. Nauczyła mnie, jak kontrolować cierpienie, jak je znosić tak, żeby mogła mnie bardziej i bardziej dręczyć.

- Richardzie, ja... - Kahlan starała się powstrzymać łzy.

- Poznałaś najmniejszą część tego, co potrafi Agiel. - Znów ujął w dłoń skórzany pręt i dotknął nim wewnętrznej strony drugiego przedramienia - popłynęła krew. Cofnął narzędzie. - Może obedrzeć cię z ciała. Może połamać kości. Denna lubiła łamać mi zebra. Przyciskała do mnie Agiela i słyszałem trzask pękającej kości. Wciąż nie są całkiem zrosnięte; bołą, kiedy leżę albo gdy mocno mnie obejmujesz. Agiel potrafi jeszcze wiele innych rzeczy. Jego dotknięcie może nawet zabić. - Richard znów zapatrzył się w ogień. - Denna założyła mi kajdany, spięła ręce na plecach i zawiesiła na zwisającej z sufitu linie. Godzinami torturowała mnie Agielem. Aż do zachrypnięcia błagałem, żeby przestała. Nigdy mnie nie wysłuchała. Ani razu. Nie mogłem się bronić, nie mogłem jej powstrzymać. Tresowała mnie, ucząc, dopóki nie poczułem, iż nie została mi ani kropla krwi, ani odrobina powietrza w płucach. Błagałem, by mnie zabiła i w ten sposób położyła kres udreć. Sam bym się zabił, ale wykorzystwała magię, aby to uniemożliwić. Zmuszała mnie do klękania przed sobą i błagania, by użyła Agiela. Zrobiłbym wszystko, co by mi kazała. Miała przyjaciółkę, która czasem przychodziła, żeby mogły wspólnie się mną... zabawiać.

Kahlan siedziała nieruchomo, ledwo mogła oddychać.

- Richardzie, ja...

- Każdego dnia byłem prowadzony na obroży tam, gdzie mogła zawiesić mnie na linie; do komnaty, w której swobodnie mogła wypróbować Agiela, wytaczać ze mnie krew. Czasami czyniła to od rana do wieczora. A nocą... Oto, czym jest dla mnie noszenie obroży. Możesz mi tłumaczyć, jakie to potrzebne, jak mi pomoże i że nie mam wyboru. Dla mnie obroża oznacza właśnie to, o czym ci opowiedziałem. Dobrze wiem, jak czujesz teraz swoje ramię. Jakby skóra została opalona, mięśnie rozdarte, a kość rozszczepiona. To oznacza noszenie obroży Mord-Sith. Tyle że cierpi tak całe ciało, nie tylko

ramię, i to calutki dzień. Dochodzi jeszcze świadomość, iż w żaden sposób nie potrafisz tego powstrzymać, że nie możesz uciec i że nigdy więcej nie zobaczysz osoby, którą kochasz nade wszystko. Wolę umrzeć, niż znów założyć ją sobie na szyję.

Kahlan pomasowała ramię. Faktycznie czuła to, co opisał Richard. Nie wiedziała, co powiedzieć. Zbyt cierpiała, by rzec cokolwiek. Siedziała więc, milcząc, i obserwowała zapatrzonego w ogień chłopaka. Płakała. Bolała nad jego udręką.

Wtem usłyszała, że pyta o to, o co postanowiła nigdy nie zapytać:

- Denna wzięła cię na kochanka, prawda? Chętnie cofnęłaby te słowa, lecz było już za późno. Richard nie zaprzeczył.

- Tak - szepnęła, wpatrzony w płomienie, a łza spłynęła mu po policzku. - Skąd wiesz?

- Demmin Nass przyprowadził dwie bojówki, żeby mnie pojmać. Rahl specjalnym zaklęciem osłonił go przed magią Zedda. I przed moją też. Czarodziej nie mógł nic zrobić: zaklęcie go sparaliżowało. Demmin Nass powiedział mi, co cię spotkało. Powiedział, że nie żyjesz. Wtedy przywołałam Con Dar i zabiłam go.

Richard zamknął oczy. Spłynęła z nich kolejna łza.

- Nie mogłem jej powstrzymać. Przysięgam, Kahlan... starałem się. Nie masz pojęcia, co Denna zrobiła mi za to, że próbowałem. Byłem bezbronny. Mogła robić, co tylko chciała. Mało jej było, iż dręczyła mnie całymi dniami. Chciała sprawiać mi ból także w nocy.

- Jak ktoś może być taki zły?

Chłopak popatrzył na Agiela i znów zacisnął na nim dłoń.

- Pojmano ją, kiedy miała dwanaście lat. Tresowali ją tym Agielem. Właśnie tym. Zrobili jej to wszystko, co ona potem uczyniła mnie. Powtarzali to i powtarzali. Całymi latami. Musiała patrzeć, jak zadręczyli na śmierć jej rodziców. Nikt jej nie pomógł. Dorastała, dręczona Agielem i otoczona ludźmi, którzy chcieli ją ranić. Nikt, nikt nie powiedział jej jednego dobrego słowa, nie pocieszył, nie współczuł. Czy potrafisz sobie wyobrazić przerażenie tej kobiety? Zmienili jej życie w nieustanną udrękę. Gwałcili ciało i umysł. Złamali ją. Sprawili, że stała się jedną z nich. Rahl Posepny osobiście zmienił ją w jedną z nich. Kiedy mnie dręczyła, Agiel zadawał ból również jej. Tak samo jak mnie teraz, gdy trzymam go w dłoni. Oto twoja

magia. Pewnego dnia Rahl Posępny katował ją przez wiele godzin, bo uważał, iż za mało mnie dręczy. Bił tak, iż zdarł jej skórę z pleców. - Głowa Richarda opadła bezwładnie. Zapłakał. - A potem, pod koniec wypełnionego bólem i szaleństwem życia, zjawilem się ja. Sprawilem, że zbieła klinga Miecza Prawdy i przeszyłem nim Denne. Przed śmiercią poprosiła tylko o jedno: żebym nosił jej Agiela i o niej pamiętał. Ja jeden zrozumiałem cierpienie Mord-Sith. Chciała jedynie tego, by pamiętał o niej ktoś, kto rozumiał. Obiecałem jej to, a ona zawiesiła mi bicz na szyi. Później siedziała spokojnie, a ja wbiłem jej miecz w serce. Bo cały czas miała nadzieję, że będę tym, który zdoła ją zabić. Oto dlaczego ktoś może być taki zły. Gdybym mógł, wróciłbym życie Rahlowi Posępnemu i znów go zabił.

Kahlan siedziała nieruchomo, wstrząsana sprzecznymi emocjami. Nienawidziła Denny za to, że dręczyła Richarda. Była o nią straszliwie zazdrosna i jednocześnie ogromnie jej żałowała i współczuła jej. W końcu odwróciła głowę, otarła łzy.

- Dlaczego im się nie udało, Richardzie? Czemu Denna nie zdołała cię złamać? Jak udało ci się uchronić przed popadnięciem w szaleństwo?

- Bo, jak powiedziały Siostry, rozdzieliłem swój umysł. Nie umiem tego wytłumaczyć. Nawet nie bardzo wiem, co właściwie zrobiłem, ale dlatego ocalałem. Oddzieliłem najgłębsze, najbardziej osobiste „Ja”, a resztę poświęciłem. Pozwoliłem Dennie robić, co chciała. Rahl Posępny powiedział, że skoro to uczyniłem, to na pewno mam dar. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem o rozdzielaniu umysłu.

Richard osunął się na plecy, zakrył oczy ramieniem. Kahlan zwinęła koc i podłożyła mu pod głowę.

- Tak mi przykro, Richardzie - szepnęła.

- Tamto już minęło. Na szczęście minęło. - Odsłonił oczy i nareszcie się do niej uśmiechnął. - Odeszło i jesteśmy razem. W pewnym sensie ma to i swoje dobre strony. Gdyby Denna mnie nie wytresowała, nie poradziłbym sobie z tym bólem głowy. Może mi pomogła. Może zdołam wykorzystać to, czego mnie nauczyła, i poradzę sobie z bólem.

- Tak bardzo cię boli? - zapytała ze współczuciem. Leciutko skinął głową.

- Ale prędzej umrę, niż znów założę sobie obrozę na szyję. Kahlan rozumiała go teraz, choć wolałaby o tym wszystkim nie wiedzieć. Ułożyła się obok Richarda i przytuliła doń. Przez łzy patrzyła w ogień.

ROZDZIAŁ 11

Następnego dnia niebo było szarawe i chłodne, wiał lodowaty wiatr. Kahlan i Richard poszli samotnie na równinę. Chłopak pragnął pobyć z dala od ludzi, od chat. Powiedział, że chce popatrzeć na niebo i na ziemię. Zbrązowiała trawa chwiała się w podmuchach zimnego wiatru szarpiącego okryciami młodych. Szli w milczeniu. Richard zamierzał postrzelać z łuku i w ten sposób choć na chwilę pozbyć się bólu głowy. Kahlan pragnęła być przy nim.

Dziewczyna miała uczucie, że wszystko się jej wymyka z rąk, choć jeszcze parę dni temu sądziła, iż cała wieczność należy do nich. Chciała się bronić, ale nie wiedziała jak. Nagle wszystko się psuło, zmieniało na gorsze.

Nie sądziła, że Richard założy obrożę, Rada'Han. Nie zrobi tego, choćby Siostry mówiły nie wiadomo co. Może i zgodziłby się nauczyć posługiwania swoją mocą, lecz nie założy obroży. A jeśli tego nie zrobi, umrze. Jakżeby mogła oczekiwać od niego, że zgodzi się nosić obrożę? Po tym, co jej opowiedział - a co gorsza po tym, co, jak wiedziała, zataił? Jakżeby śmiała go o to poprosić?

Dobrze było być daleko od wioski, od ludzi, od śledzących ich wszędzie oczu Chandalena. Czyż mogła mieć doń o to pretensje? Rzeczywiście wyglądało na to, że ona i Richard sprowadzają kłopoty, lecz gniewało ją, iż łowca zachowuje się tak, jakby czynili to specjalnie. Kahlan miała już dosyć kłopotów i zmartwień. Odnosiła wrażenie, że nigdy się nie skończą. Postanowiła przynajmniej dziś trzymać się z dala od trosk i cieszyć własnym towarzystwem.

Dziewczyna powiedziała Richardowi, że strzelała z łuku. Nie mogła naciągnąć jego łuku - był za duży i za ciężki. Chłopak namówił ją, żeby pożyczyła łuk, to nauczy ją lepiej strzelać. Odnaleźli cele z wiązek trawy ustawione wcześniej przez łowców - stały jak strachy na wróble strzegące rozległej, trawiastej równiny. Niektóre miały nawet głowy. Każdy miał trawiaste X jako cel; te z głowami miały znaki i na nich. Richard uznał, że te znaki były zbyt szerokie. Zdjął je i zrobił nowe z pojedynczych źdźbeł.

Stanęli daleko od celów; tak daleko, że Kahlan ledwo widziała wiązki trawy, a co dopiero nowe znaki. Richard założył na nadgarstek skórzany

ochraniacz, który zrobił dlań Savidlin, i szył z łuku, dopóki ból głowy go nie opuścił.

Chłopak był obrazem spokoju i sprawności, stanowił jedno z łukiem. Kahlan uśmiechała się z radości, że jest taki wspaniały i że należy do niej. Serce jej się śmiało, bo z oczu Richarda zniknął ból; iskrzyły się teraz radośnie. Podeszli bliżej celów, żeby i ona mogła postrzelać.

- Nie chcesz sprawdzić, gdzie trafiły twoje strzały?

- Wiem, gdzie trafiły. - Uśmiechnął się. - Teraz ty strzelaj. Wypuściła kilka strzał, nabrała wprawy i wyczucia. Richard oparł swój łuk o ziemię, wsparł się na nim oburącz i obserwował Kahlan. Nie strzelała od czasu, kiedy była młodziutką dziewczyną. Patrzył jeszcze przez chwilę, potem podszedł i stanął za nią. Otoczył ją ramionami, poprawił ułożenie ręki na łuku, dotknął cięciwy.

- Zrób tak. Jeżeli będziesz przytrzymywać strzałę kciukiem i kostką palca wskazującego, to nie będziesz miała ani siły, ani stabilności. Napnij cięciwę trzema pierwszymi palcami, o tak, brzechwę ułóż pomiędzy dwoma pierwszymi. Ciągnij również ramieniem. Nie musisz tego robić ze strzałą, skup się na odciąganiu cięciwy. Strzała sama wskoczy na miejsce. Widzisz? Czy tak nie lepiej?

- Pewnie, że lepiej, bo w twoich ramionach - uśmiechnęła się Kahlan.

- Skup się na strzelaniu - zbeształ ją.

Dziewczyna wycelowwała i strzeliła. Pochwalił ją i kazał znów spróbować. Strzeliła jeszcze kilka razy, raz chyba nawet trafiając wiązkę trawy. Ponownie napięła cięciwę, starając się nie poruszyć łukiem. Richard znienacka połaskotał ją. Zgięła się w pół, piszcząc i śmiejąc się, i starała się odepchnąć ręce chłopaka.

- Przestań! - Śmiała się do utraty tchu i usiłowała mu się wyrwać. - Przestań, Richardzie! Nie mogę strzelać, kiedy mnie łaskoczesz!

Wsparł się pod boki.

- A powinnaś móc.

- Co masz na myśli? - Spojrzała nań srogo, jeszcze zadyszana.

- Powinnaś nie tylko trafiać, w co chcesz, ale i potrafić strzelać bez względu na to, co się dzieje. Skoro nie możesz wypuścić strzały, kiedy się śmiejesz, to jak zdołasz strzelić, gdy się wystraszysz? Tylko ty i cel, nie ma nic innego. Nic poza tym się nie liczy. Powinnaś odrzucić wszystko inne.

Jeżeli dzik na ciebie szarżuje, to nie możesz myśleć o tym, jak bardzo się boisz i co będzie, jeśli chybisz. Musisz umieć strzelić z łuku i w trudnej sytuacji. Albo mieć w pobliżu drzewo, żeby w razie potrzeby na nie uciec.

- Tobie to łatwo, Richardzie, bo masz dar. Ja tego nie potrafię.

- Bzdura. Dar nie ma z tym nic wspólnego. To wyłącznie koncentracja. Rób dokładnie to, co powiem. Nasadź strzałę.

Znów stanął za Kahlan, odsunął jej włosy z szyi, nachylił się i patrzył ponad jej ramieniem, szepcząc do ucha, kiedy naciągała cięciwę. Mówił, co powinna czuć, jak powinna oddychać, gdzie patrzeć i co zobaczyć. Mówił tak, że słowa znikwały, a zamiast nich w umyśle Kahlan pojawiały się obrazy. Istniały tylko trzy rzeczy: strzała, cel i słowa Richarda. Dziewczyna znalazła się w świecie ciszy.

Kiedy wszystko inne zniknęło, cel jakby urósł w polu widzenia Kahlan, przyciągając do siebie strzałę. Słowa Richarda sprawiały, że czuła, iż robi, co mówił, choć nie rozumiała co. Rozluźniła się i odetchnęła; stała nieruchomo, nie czerpiąc powietrza. Czuła cel. Wiedziała, kiedy wystrzelić.

Strzała leciutko, płynnie pomknęła naprzód, jakby sama uznała, iż czas lecieć. Dziewczyna widziała, jak pióra opuszczają łuk; czuła, jak cięciwa uderza w ochraniacz. Ujrzała, jak cel przyciąga strzałę, słyszała uderzający w X grot. Poczowała, że powietrze napływa jej do płuc.

Uczucie było niemal takie, jak wówczas, kiedy uwalniała moc Spowiedniczki. To była magia, magia Richarda. W jego słowach tkwiła moc. Wszystko było tak, jakby zyskała nową zdolność widzenia.

Kahlan miała wrażenie, że się budzi ze snu. Wrócił świat. Niemał się z nim zderzyła.

Odwróciła się i zarzuciła Richardowi ramiona na szyję. Nadal trzymała w dłoni łuk.

- To było cudowne, Richardzie. Cel do mnie przyszedł!

- A widzisz? Mówiłem, że to potrafisz.

- To nie ja to potrafię, tylko ty. - Cmoknęła go w nos. - Ja tylko trzymałam łuk.

- Nie. - Chłopak uśmiechnął się. - To ty to zrobiłaś. Ja ci tylko pokazałem jak. Na tym polega uczenie kogoś. Po prostu cię uczyłem. Zrób to jeszcze raz.

Kahlan całe życie spędziła wśród czarodziejów. Wiedziała, jak działają. Richard postąpił tak samo. Mówił do niej, jak mówią czarodzieje. To

przemówił jego dar - była o tym przekonana, choć chłopak zaprzeczał.

Strzelała nadal, a Richard mniej mówił. Bez jego pomocy Kahlan trudniej było wyczuć cel, ale od czasu do czasu udawało się jej to. Wiedziała, kiedy czyni to sama, bez pomocy Richarda. Było faktycznie tak, jak powiedział - głęboka koncentracja.

Zaczynała się uczyć zapominania o świecie, gdy celowała, więc Richard starał się ją rozproszyć. Najpierw łaskotał dziewczynę po brzuchu. Uśmiechała się, aż nakazał, by przestała się zajmować tym, co on robi, a myślała jedynie o tym, co musi uczynić. Po kilku godzinach mogła strzelać mimo jego łaskotek. Przynajmniej czasami. Wspaniale było wyczuwać, gdzie powinna być strzała. Kahlan nieczęsto się to zdarzało, ale było wspaniałe, porywające.

- To magia - powiedziała Richardowi. - Oto, co robisz: czarujesz.

- Nie, wcale nie. Każdy to potrafi. Ludzie Chandalena robią to, kiedy szyją z łuków. Czyni tak każdy, kiedy nabiera wprawy. To dzieło twojego umysłu. Ja ci tylko pomogłem, pokazałem, jak to zrealizować. Sama nauczyłaś się tego, gdybyś wystarczająco długo trenowała. Coś, czego nie potrafisz, wcale nie jest tym samym magiczne.

- Nie jestem tego taka pewna. - Zerknęła na niego spod oka. - Teraz ty strzelaj. A ja cię połaskoczę.

- Najpierw coś zjemy i jeszcze trochę poćwiczysz.

Przygięli trawę, robiąc z niej rodzaj gniazda, umościli się w nim. Obserwowali kołujące ptaki, jedli chleb tawa z jarzynami i kuru oraz pili wodę z bukłaka. Trawa osłaniała ich trochę, więc wiatr nie dokuczał im zbyt swoimi chłodem. Kahlan położyła głowę na ramieniu Richarda i w milczeniu patrzyli w niebo. Dziewczyna wiedziała, że oboje zastanawiają się, co mają zrobić.

- Może mógłbym znów rozdzielić umysł - odezwał się w końcu Richard - i zapanować nad tymi bólami głowy. Rahl Posępny mówił, że to właśnie zrobiłem.

- Rozmawiałeś z nim? Rozmawiałeś z Rahlem Posępnym?

- Tak. Właściwie to głównie on mówił. Ja przede wszystkim słuchałem. Powiedział mi wiele rzeczy, ale nie we wszystko wierzę. Oświadczył, że George Cypher nie był moim ojcem. Ze rozdzieliłem swój umysł i że mam dar. Przekonywał, iż mnie zdradzono. Pamiętałem słowa Shoty, że ty i Zedd

użyjecie swej magii przeciwko mnie, więc sądziłem, iż to któreś z was zdradziło. Nie przyszło mi do głowy, że to mój brat. Może gdybym znów zdołał rozdzielić umysł, to zapanowałbym nad migrenami i nie zabiłyby mnie. Może Siostry tego właśnie uczą. Już raz to zrobiłem, więc gdyby powtórnie mi się to udało, to ocaliłbym życie bez... - Zakrył oczy ramieniem, nie chcąc wymówić tego słowa. - Może wcale nie mam daru, Kahlan. Może to tylko pierwsze prawo magii.

- Co masz na myśli?

- Zedd mówił nam, że ludzie często wierzą w nieprawdę. Pierwsze prawo sprawia, że wierzysz w coś, bo albo chcesz, żeby to była prawda, albo lękasz się, iż może to być prawda. Obawiam się posiadania daru i ów strach sprawia, że dopuszczam, iż Siostry mówią prawdę. Być może zaś wcale nie jestem obdarzony, a Siostry mają swoje powody, żeby mi to wmawiać. Może go wcale nie mam.

- Naprawdę uważasz, Richardzie, że wolno ci pominąć wszystko inne? Zedd mówił, że masz dar, Rahl Posępny też tak twierdził. Siostry tak mówią i nawet Scarlet to powiedziała.

- Scarlet nie wie, o czym mówi, Siostrom nie ufam i chyba nie sądzisz, że wierzę choć w jedno słowo Rahla Posępnego?

- A co z Zeddem? Uważasz, że Zedd kłamie albo nie wie, o czym mówi? Sam mi powiedziałeś, że to najbystrzejszy ze znanych ci ludzi. Poza tym on jest czarodziejem pierwszego stopnia. Naprawdę myślisz, iż czarodziej pierwszego stopnia nie rozpozna daru?

- Zedd może się mylić. Jest bystry, owszem, ale to nie znaczy, że wie wszystko.

Kahlan przez chwilę dumiała nad tą jego niechęcią do przyznania, że ma dar. Dla dobra Richarda chciałaby, by go istotnie nie miał, lecz znała prawdę.

- Richardzie, czy wtedy, w Pałacu Ludu, recytowałeś Rahlowi Posępnemu Księgę Opisanie Mroków? No wiesz, wówczas gdy dotknęłam cię swoją mocą i wszyscy sądziliśmy, że zostałeś porażony, bo nie wiedzieliśmy, iż odkryłeś sposób, jak sobie z nią poradzić? - Przytaknął. - Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Skąd ją znasz? Gdzie się nauczyłeś tekstu?

Richard westchnął.

- Kiedy byłem chłopcem, ojciec zaprowadził mnie do miejsca, w którym ukrywał tę księgę. Powiedział mi, że strzegła jej bestia nasłana przez osobę o

lepkich rękach. Stwór miał strzec dzieła, dopóki ta osoba nie przyjdzie po nie. Ojciec zabrał Księgę Opisania Mroków i nie dopuścił, by wpadła w niepowołane ręce. Teraz już wiemy, że były to ręce Rahla Posępnego, lecz wówczas nie mieliśmy o tym pojęcia. Ojciec mówił, że zabrał księgę, by nie padła łupem dybiącej na nią osoby. Bał się, że ta w końcu ją odnajdzie, więc kazał mi się nauczyć tekstu. Całego tekstu. Twierdził, że powinienem znać każde słowo, bym pewnego dnia mógł zwrócić zawartą w księdze wiedzę właściwemu jej strażnikowi. Nie wiedział, że to Zedd był strażnikiem księgi. Całe lata minęły, zanim wyuczyłem się całego tekstu. Ojciec nigdy do niego nie zajrzał; mówił, że wystarczy, iż ja go znam. Spaliliśmy manuskrypt, gdy tylko dokładnie zapamiętałem każde jego słowo. Nigdy nie zapomnę tamtego dnia. Księga płonęła, pojawiały się dziwne kształty, blask, słychać było jakieś dźwięki.

- Magia - szepnęła Kahlan.

Chłopak skinął głową i znów zasłonił oczy ręką.

- Mój ojciec umarł, chroniąc księgę przed Rahlem Posępnym. Był bohaterem, ocalił nas wszystkich.

Kahlan zastanawiała się, jak ubrać w słowa to, co wiedziała, to, o czym myślała.

- Zedd mówił nam, że Księga Opisania Mroków była ukryta w jego wieży. W jaki sposób twój ojciec ją zdobył?

- Nigdy mi tego nie powiedział.

- Urodziłam się i wychowałam w Aydindril, Richardzie. Sporą część życia spędziłam w Wieży Czarodzieja. To potężna warownia. Dawno temu mieszkały tam setki czarodziejów. Kiedy dorastałam, zostało ich tylko sześciu i żaden nie był czarodziejem pierwszego stopnia. Niełatwo się do niej dostać. Ja miałam wstęp, bo jestem Spowiedniczką i musiałam się uczyć z przechowywanych tam ksiąg. Wszystkie Spowiedniczki miały wstęp do wieży. Przed innymi strzegła jej magia.

- Nie wiem, jak ojciec tego dokonał. Był mądrym człowiekiem; musiał znaleźć jakiś sposób.

- Owszem, gdyby księga była w samej wieży. Czarodzieje oraz Spowiedniczki wchodzili i wychodzili, czasem pozwalano wejść innym. Może i ktoś zdołałby się wśliznąć, ale i tak wewnątrz są miejsca chronione silniejszymi zaklęciami. Miejsca, do których nawet ja nie mam dostępu.

Zedd mówił, że Księga Opisania Mroków to ważne, bardzo ważne magiczne dzieło, że przechowywał je w swojej wieży: wieży czarodzieja pierwszego stopnia. To już zupełnie co innego. Ta wieża jest co prawda częścią Wieży Czarodzieja, lecz stanowi oddzielną budowlę. Poszłam kiedyś murami obronnymi do Wieży Pierwszego Czarodzieja. Roztacza się stamtąd przepiękny widok na Aydindril. Szłam tylko blankami, a czułam straszliwą moc chroniących to miejsce zaklęć. Aż mi skóra cierpła. Kiedy się podejdzie dostatecznie blisko, potęga magii sprawia, że włosy unoszą się, stercząc we wszystkie strony, trzeszcząc i sycząc iskierkami. Jeżeli zbliżysz się jeszcze bardziej, zaklęcia ochronne wzbudzą w tobie taką grozę, że nie zdołasz zrobić kolejnego kroku i nie będziesz mógł oddychać. Od kiedy jeszcze przed naszym narodzeniem Zedd opuścił Midlandy, nikt nie wszedł do tej baszty. Pozostali czarodzieje próbowali dostać się do Wieży Pierwszego Czarodzieja. Żeby się tam znaleźć, musisz dotknąć płytki. Mówią, że przypomina to dotknięcie lodowatego serca samego Opiekuna. Nie wejdiesz, jeśli czar nie rozpozna w tobie osoby upoważnionej. Dotknięcie płytki bez ochrony, jaką daje własna magia, a czasem nawet zbyt głębokie wkroczenie w strefę chronioną zaklęciami, to pewna śmierć. Czarodzieje próbowali się tam dostać, kiedy byłam mała i pierwszy raz poszłam do wieży uczyć się z ksiąg. Chcieli się dowiedzieć, co w sobie kryje. Pierwszy Czarodziej zniknął, więc uważali, że powinni zobaczyć i spisać to, co znajduje się w jego wieży. Żaden nie zdołał wejść, żadnemu nie udało się nawet dotknąć płytki, Richardzie. Skoro nie udało się to pięciu czarodziejom trzeciego stopnia i jednemu drugiego, to jak się tam dostał twój ojciec?

- Chciałbym to wiedzieć, Kahlan - westchnął chłopak - ale nie mam pojęcia.

Dziewczyna nie zamierzała rozwiewać jego nadziei ani potwierdzać obaw, lecz musiała to uczynić. Prawda to prawda. Richard powinien poznać prawdę o sobie samym.

- Księga Opisania Mroków była księgą czarodziejskich rytuałów i zaleceń, Richardzie. Była magiczna.

- Nigdy w to nie wątpiłem. Pamiętam, co widziałem, kiedy ją paliliśmy.

Kahlan dotknęła jego dłoni.

- W wieży znajdowały się też inne, pomniejszej wartości księgi z magicznymi zaklęciami. Czarodzieje pokazali mi je. Kiedy próbowałam

czytać, działo się coś dziwnego: czasem już po kilku słowach, czasem po kilku stronicach zapominałam, co przeczytałam. Nie pamiętałam ani słówka. Zaczynałam czytać od początku i znów zapominałam. Czarodzieje uśmiechali się, a po chwili śmiali, obserwując moje wysiłki. Wreszcie miałam dość takiego czytania-zapominania i spytałam ich, co się właściwie dzieje. Wyjaśnili mi, że dzieła te są chronione potężnymi zaklęciami, przywoływanymi przez pewne słowa tekstu. Powiedzieli, że jedynie ktoś mający dar może zapamiętać to, co przeczyta w takiej księdze. Tych sześciu czarodziejów miało jedynie powołanie, nie dar. Nawet oni nie mogli czytać wszystkich dzieł i pamiętać tego, czego się dowiedzieli. Dostępne były im jedynie te pomniejsze, a i to tylko dzięki latom nauki. Zedd mówił nam, że Księga Opisania Mroków była jedną z najważniejszych w wieży: tak ważną, że przechowywano ją w Wieży Pierwszego Czarodzieja. Nigdy nie zapamiętałbyś tekstu, Richardzie, gdybyś nie miał daru. Nigdy. Twój ojciec musiał skądś wiedzieć, że masz dar, i dlatego kazał ci się jej nauczyć. - Głowa Kahlan spoczywała na ramieniu chłopaka, więc dziewczyna wyczuła, jak Richard na moment wstrzymał oddech, kiedy pojął znaczenie tego, co mu powiedziała. - Wciąż pamiętasz treść księgi, Richardzie?

- Każde słowo. - Jego głos brzmiał, jakby dobiegał z oddali.

- Słyszałam, jak recytujesz tekst, a nie pamiętam nawet jednego wyrazu. Magia kluczowych słów wymazała go z mej pamięci. Nie wiem, jak się posłużyła księgą, żeby pokonać Rahla Posępnego.

- Na początku księgi powiedziano, że jeżeli jej słowa zostaną wyrecytowane osobie dzierżącej szkatułę Ordenu, nie zaś przeczytane przez tę osobę, to ich prawdziwość może zweryfikować wyłącznie Spowiedniczka. Rahl sądził, że poraziłaś mnie swoją mocą, i dlatego był pewny, iż deklamuję prawdziwy tekst. Tak też i było, lecz na końcu pominąłem ważny fragment, tak by Rahl wybrał niewłaściwą szkatułę i zginął.

- Widzisz? Wciąż pamiętasz. Nie pamiętałbyś, gdybyś nie miał daru. Magia wymazałaby tekst z twojej pamięci. Jeżeli mamy sobie z tym wszystkim poradzić, Richardzie, to najpierw musimy stawić czoło prawdzie, a potem znaleźć jakiś sposób. Masz dar, mój najmilszy, magiczną moc. Taka jest prawda. Richard westchnął z irytacją.

- Tak bardzo nie chciałem, by to była prawda, że próbowałem sobie wmówić, iż nie jestem obdarzony. Ale to nic nie dało. Mam nadzieję, że nie

uważasz mnie za głupca. Dzięki, iż kochasz mnie na tyle, by ukazać mi prawdę.

- Nie jesteś głupcem. Jesteś moją miłością. Razem coś wymyślimy. - Ucałowała dłoń chłopaka. W milczeniu patrzyli na niebo, którego ciemna, chłodna szarość doskonale odzwierciedlała nastrój Kahlan.

- Żałuję, że nie poznasz mojego ojca. Był kimś wyjątkowym, wspaniałym. Nawet nie przypuszczałem wtedy, że aż tak wyjątkowym. Bardzo za nim tęsknię. - Richard pogrążył się w myślach. - A twój ojciec?

Kahlan owinęła wokół palca pukiel włosów.

- Był partnerem mojej matki, partnerem Spowiedniczki. Nie był takim ojcem, jak inni mężczyźni. Poraziła go jej moc i całkowicie oddał się mojej matce, nie istniało dlań nic poza nią. Interesował się mną tylko po to, żeby jej sprawić przyjemność, tylko dlatego, że to ona mnie urodziła. Nie istniałam dla niego jako ja, lecz byłam częścią Spowiedniczki, z którą się związał.

Richard zerwał źdźbło trawy i gryzł je w zadumie. Wreszcie zapytał:

- Kim był, zanim twoja matka poraziła go swoją mocą?

- Wybornem Amnellem, królem Galei.

Chłopak uniósł się na łokciu, spojrzał ze zdumieniem na Kahlan.

- Król! Twój ojciec był królem?

Dziewczyna bezwiednie przybrała nieprzeniknioną „twarz Spowiedniczki”.

- Mój ojciec był partnerem Spowiedniczki. Jedynie to się dla niego liczyło. Przeraził się śmiertelnie, kiedy umierała na straszliwie wyniszczającą chorobę. Pewnego dnia przyszli do nas czarodziej i uzdrowiciel, którzy zajmowali się matką, i powiadomili nas, że już nic nie mogą dla niej uczynić, że wkrótce zabiorą ją duchy. Że wkrótce zakończy życie. Ojciec jęknął przeraźliwie, nigdy nie słyszałam głosu takiej rozpacz, złapał się za serce i padł martwy.

Richard spojrzał w oczy Kahlan.

- Tak mi przykro - szepnął i pocałował dziewczynę w czoło. - Tak mi przykro.

Znów położył się na plecach i przygryzł źdźbło trawy.

- To było dawno temu - powiedziała.

- Kim więc jesteś? Księżniczką? Królową?

Rozbawiło ją to pytanie. Pomyślała, jakie to wszystko musi być dlań dziwne. Wciąż tak mało wiedział i o niej, i o jej świecie.

- Nie. Jestem Matką Spowiedniczką. Córka Spowiedniczki jest Spowiedniczką, nie córką swojego ojca. - Czują się nieswojo, bo wyglądało na to, że pomniejsza rolę własnego ojca. W końcu to nie jej wina, iż matka wybrała go i poraziła mocą. - Chcesz, żeby ci o nim opowiedzieć?

- Pewnie. W końcu i po nim coś wzięłaś. Chcę wiedzieć o tobie wszystko. Kahlan zastanawiała się chwilę, jak zareaguje na to, co usłyszy.

- Kiedy matka wybrała go na partnera, był mężem królowej Bernadine.

- Twoja matka wybrała żonatego mężczyznę? Kahlan czuła spojrzenie Richarda.

- To nie było tak, jak ci się wydaje. Królowa Bernadine i mój ojciec pobrali się, by tak rzec, z rozsądku. On był wojownikiem, świetnym dowódcą. Dzięki małżeństwu połączyli włości i powstała Galea. Ojciec poślubił Bernadine dla swojego ludu, chcąc utworzyć mocne królestwo, mogące przeciwstawiać się wrogo usposobionym sąsiadom. Królowa była mądrą i szanowaną władczynią. Wyszła za mego ojca ze względu na swój lud, nie zaś dla własnego szczęścia. Nie kochali się. Ojciec dał królowej i mieszkańcom Galei piękną, dzielną córkę, Cyrillę, a potem i syna, Harolda.

- Masz więc przyrodnie rodzeństwo, brata i siostrę.

- Tak jakby. - Wzruszyła ramionami. - Ale to nie jest pokrewieństwo, o jakim myślisz. Jestem Spowiedniczką, a nie węzłem królewskiej linii. Spotkałam się z Cyrillą i Haroldem. To wspaniali ludzie. Cyrilla jest teraz królową Galei. Jej matka zmarła parę lat temu. Książę Harold dowodzi wojskami, jak przedtem jego ojciec. Ani oni nie myślą o mnie jako o krewnej, ani ja o nich. Wywodzę się ze Spowiedniczek, z magii.

- A jak było z twoją matką? W jaki sposób wkroczyła w to wszystko?

- Wtedy akurat została Matką Spowiedniczką. Chciała znaleźć mocnego mężczyznę, który dałby jej obdarzoną mocą córkę. Słyszała, że królowa nie jest szczęśliwa w małżeństwie, więc spotkała się z nią. Bernadine powiedziała jej, że nie kocha męża i że go zdradza. Miłowała innego, lecz szanowała w Wybornie przywódcę, dobrego wojskowego i silnego człowieka. Nie chciała się zgodzić, żeby został porażony mocą Spowiedniczki. Matka zastanawiała się, co zrobić, a tymczasem Wyborn przyłapał królową z kochankiem. Omal jej nie zabił. Matka dowiedziała się o tym i wróciła do

Galei, kończąc całą sprawę, zanim Wyborn zdążył dodać morderstwo kochanka do lania, jakie spuścił żonie. Spowiednicze grozi wiele rzeczy, ale na pewno nie razy męża.

- Musi być ciężko brać na kochanka kogoś, kogo się nie kocha. Kahlan uśmiechnęła się i mocniej przytuliła głowę do ramienia chłopaka.

- Nawet nie marzyłam, że to będzie ktoś, kogo pokocham. Szkoda, że matka nie mogła zaznać tego szczęścia.

- Jakim był ojcem?

Złożyła dłonie na brzuchu, splotła palce.

- Był dla mnie niczym obcy. Obchodziła go wyłącznie matka, był jej całkowicie oddany. Chciała, żeby poświęcał mi czas, uczył mnie i przekazywał swoje umiejętności, więc czynił to z radością, lecz wszystko robił dla niej, nie dla mnie. Spędzał czas, udzielając lekcji tego, co świetnie znał: sztuki wojennej. Opowiadał o taktyce swoich wrogów, podpowiadał, jak zwyciężyć przeważające siły przeciwnika, a przede wszystkim uczył, jak przeżyć i zatriumfować, posługując się umysłem, a nie zasadami. Matka czasami przysłuchiwała się tym lekcjom. Patrzył wtedy na nią i pytał, czy dobrze mnie przygotowuje. Mówiła mu, że tak, że to znakomicie, iż przekazuje mi swoją wiedzę, która w razie czego pozwoli mi przetrwać, choć miała nadzieję, że nigdy nie będę potrzebować tych umiejętności. Nauczył mnie, że wojownik powinien być bezlitosny, bezwzględny. Ze sam wiele razy wygrał dzięki tym cechom. Mówił, że panika może pokonać rozsądek i że dobry dowódca musi umieć wzbudzić ją wśród wrogów. Dzięki jego lekcjom przeżyłam, kiedy zginęły inne Spowiedniczki. Dzięki jego instrukcjom potrafiłam zabić, gdy było to konieczne. Nauczył mnie, iż nie należy się bać tego, co trzeba zrobić, by przeżyć. Kochałam go i nienawidziłam za to, czego mnie uczył.

- A ja kocham go za to, że pokazał ci, jak przeżyć, bo tylko dlatego jesteś przy mnie.

Kahlan z wolna potrząsnęła głową; patrzyła, jak mały ptaszek odgania kruka.

- Jego wiedza nie była odrażająca. Odrażający są ci, którzy przymuszają cię do czynienia takich rzeczy, byś mógł przeżyć. Ojciec nigdy nie wszczynał wojen. Nie mogę winić go za to, że zmuszony do walki, wiedział, jak zwyciężyć. Może powinniśmy zacząć się zastanawiać nad sposobem

przetrwania, Richardzie.

- Masz rację - przyznał, otaczając ją ramieniem. - Tak sobie myślałem, że tkwimy tutaj niczym te trawiaste cele: siedzimy i czekamy, aż trafi nas jakaś strzała, czekamy na to, co się z nami stanie.

- A co powinniśmy zrobić?

- Sam nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Ale jeśli będziemy tak tkwić, to prędzej czy później nas ustrzelą. Wcześniej lub później wrócą Siostry. Dlaczego mamy czekać, żeby do nas przyszły? Nie znam odpowiedzi na swoje pytania, ale takie bezczynne siedzenie na pewno w niczym nam nie pomoże.

Kahlan skrzyżowała ręce na piersiach, a dłonie wsunęła pod pachy, żeby je ogrzać.

- Zedd? - spytała.

Richard potaknął.

- Jeśli ktokolwiek wie, co robić, to właśnie Zedd. Uważam, że powinniśmy iść do niego.

- A twoje bóle głowy? Co będzie, gdy najdą cię w podróży? Jeżeli ci się pogorszy, a nie będzie nawet Nissel, żeby ci pomóc?

- Nie wiem - westchnął Richard. - Ale musimy spróbować. Inaczej biada mi.

- No to ruszajmy od razu, zanim migreny jeszcze się nasilą. Nie czekajmy na nic.

- Wkrótce. - Ścisnął jej ramię. - Najpierw jednak musimy coś zrobić. Coś ważnego.

Kahlan odwróciła ku niemu głowę.

- Co?

Chłopak uśmiechnął się do niej.

- Musimy się pobrać - szepnął. - Nie odejdę stąd, dopóki nie zobaczę tej sukni, o której tyle słyszałem.

Uściskała go.

- Będzie prześliczna, Richardzie. Weselan cały czas się uśmiecha, kiedy ją szyje. Nie mogę się już doczekać, aż mnie w niej zobaczysz. Na pewno ci się spodoba.

- Nie wątpię w to, moja przyszła żono.

- Każdy czeka na nasze zaślubiny. Wesele u Błotnych Ludzi to wielkie

święto. Muzyka, tańce, występy. Cała wioska bierze w tym udział. Weselan mówiła, że przygotowania zajmą z tydzień od chwili, kiedy powiemy, by je zacząć.

- Niech zaczynają. - Przytulił ją mocniej.

Kahlan pocałowała chłopaka. Miała zamknięte oczy, ale i tak wiedziała, że ból głowy powrócił.

- Postrzelamy trochę - zaproponowała - żeby głowa przestała cię boleć.

Strzelali kolejno. Kahlan aż zapiszczała z radości, kiedy poszli po strzały, i zobaczyła, że trafiła w jedną z brzechw Richarda.

- Niech no tylko Gwardia Obywatelska się o tym dowie! Zzielenieją, bo będą musieli dać Matce Spowiednicze rozetkę za strzałę w strzale! Zzielenieją z zazdrości, gdy zobaczą mnie z łukiem w ręce!

Richard śmiał się i wyciągał strzały z wiązek trawy.

- No to ćwicz porządnie. Mogą ci nie uwierzyć i będziesz musiała im to udowodnić. A ja nie biorę odpowiedzialności za tamto z Savidlinem. - Odwrócił się ku niej nagle. - Co ty powiedziałaś? Co powiedziałaś wcześniej, ostatniej nocy, o bojówce? Że Rahl rzucił na nich czar, by Zedd nie mógł ich powstrzymać?

Kahlan zdziwiła się trochę tą nagłą zmianą tematu.

- Tak, magia Zedda nie działała na nich.

- Bo Zedd, jak każdy czarodziej z darem, ma tylko magię addytywną. Rahl Posępny też miał dar magii addytywnej, lecz jakoś zdołał się wyuczyć również subtraktywnej. Zedd nie ma żadnej obrony przed magią subtraktywną. Ty też nie. Czarodzieje stworzyli moc Spowiedniczek, a sami mieli przecież tylko magię addytywną. - Potaknęła i dała mu znak, żeby mówił dalej. - No to jak ci się udało ich zabić?

- Weszłam w Con Dar. - Wzruszyła ramionami. - To część magii Spowiedniczek, ale przedtem nie potrafiłam z niej korzystać. To się jakoś łączy z gniewem. Con Dar znaczy „Krwawy Gniew”.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz, Kahlan? Musiałaś się posłużyć magią subtraktywną. Jakże inaczej mogłabyś ich pokonać? Czary Zedda nie działały, twoja zwykła moc także nie, bo zaklęcie chroniło tych ludzi przed magią addytywną. Musisz mieć też magię subtraktywną. Lecz jeśli dawni czarodzieje stworzyli twoją moc Spowiedniczki, to skąd w niej element subtraktywny?

- Nie wiem. - Patrzyła nań ze zdumieniem. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale musi być tak, jak mówisz. Może Zedd to wytłumaczy, kiedy się z nim spotkamy z Aydindril.

Chłopak zmarszczył brwi i wyciągnął kolejną strzałę z trawiastego celu.

- Może. Ale skąd u Spowiedniczki magia subtraktywną? - Jeszcze mocniej ściągnął brwi. - Ciekaw jestem, czy skorzystałaś z niej, wypuszczając tę błyskawicę?

Richard ma dar, a ja magię subtraktywną, pomyślała dziewczyna. Straszne. Zadrżała, lecz nie z zimna.

Szyli z łuków całe popołudnie, dopóki nie zaczęło się zmierzchać. Kahlan bolały ramiona i ręce od naciągania cięciwy. Powiedziała, że nie wypuści już ani jednej strzały, choćby jej życie od tego zależało, i żeby Richard wystrzelił jeszcze kilka razy jako lekarstwo na ból głowy. Przypomniała sobie, iż ani razu nie próbowała go rozpraszać, a przecież obiecał, że jej na to pozwoli.

- Czas sprawdzić, czy naprawdę jesteś taki dobry, jak ci się zdaje - oznajmiła, stając tuż za chłopakiem.

Naciągnął cięciwę, a ona połaskotała go. Nawet nie drgnął i wypuścił strzałę jak przedtem. Ale później roześmiał się i skręcał pod palcami Kahlan. Próbowała i próbowała, lecz bez skutku. Nie chybił. Zawzięła się. Skoro łaskotki go nie rozpraszaają, to może zadziała coś innego. Przytuliła się mocno do pleców mierzącego w cel Richarda i zręcznie rozpięła trzy górne guziki jego koszuli, kładąc mu dłoń na piersi. Skóra chłopaka ciasno opinała napięte mięśnie. Dobrze było go dotykać. Był ciepły i mocny.

Rozpięła kolejne guziki, żeby mieć lepsze dojsście. Jedną dłonią gładziła Richardowi tył głowy, drugą łaskotała go po brzuchu. Nie chybił.

Całowała kark chłopaka, zapominając powoli, że miała go rozpraszać. Zaśmiał się i poruszył ramionami dopiero wtedy, kiedy wypuścił strzałę. Nasadził kolejną na cięciwę. W końcu dziewczyna rozpięła mu wszystkie guziki i łaskotała po całym torsie, aż do pasa. Wyciągnęła koszulę Richarda ze spodni i przesuwiała obie dłonie po jego ciele, jedną wysoko, drugą nisko. Ciągle trafiał. Nie była w stanie go rozproszyć. Zawzięła się. A właśnie, że wygra. Uśmiechnęła się, mocniej przylgnęła do chłopaka i sięgnęła głębiej.

- Kahlan! - Zakrztusił się. - Kahlan... to nie fair! - Łuk był napięty, ale lekko się zachwiał. Richard starał się go unieruchomić.

Dziewczyna delikatnie całowała jego ucho.

- Mówiłeś, że nie chybisz bez względu na to, co się będzie działo - szepnęła i jeszcze głębiej wsunęła rękę.

- Kahlan... - protestował zmienionym głosem. - To nie fair... to oszustwo!

- Bez względu na to, co się dzieje. To twoje własne słowa. Musisz strzelać celnie nawet w opałach. - Musnęła językiem ucho Richarda. - Czy wystarczająco cię gnębię, najmilszy? Potrafisz? Potrafisz celnie strzelić?

- Kahlan... - szeptał bez tchu. - Oszukujesz...

Roześmiała się gardłowo i zacisnęła dłoń. Richard na moment stracił oddech; puścił cięciwę. Ta strzała na pewno nie trafiła w cel.

- Coś mi się zdaje, że chybiłeś - szepnęła mu do ucha. Chłopak okręcił się w ramionach Kahlan i upuścił łuk. Mocno objął dziewczynę; twarz mu płonęła. Pieścił ustami ucho dziewczyny.

- Nie fair - szepnął. - Oszukiwałaś.

Musnął wargami jej małżowinę; dziewczynie zawiroowało w głowie. Objęła go jeszcze mocniej. Richard odsunął gęste włosy Kahlan i dotknął ustami jej szyi. Zadrżała. Wygięła ramiona, ni to śmiejąc się, ni to jęcząc; świat przechylił się - leżała na trawie, czując ciężar Richarda. Zaczął ją całować, zanim zdążyła dokończyć „kocham cię”. Brakowało jej tchu. I wcale jej to nie przeszkadzało.

Zaczęła się zastanawiać, kiedy dłonie Richarda odpłacą za jej śmiałość, gdy nagle chłopak skoczył na równe nogi.

Wyszarpnął miecz.

W oczach Richarda nie było już pożądania, zastąpił je gniew. Gniew Miecza Prawdy. Wiatr poniósł szczęk stali. Chłopak stał w rozpiętej koszuli, z odsłoniętą piersią i dyszał z gniewu. Kahlan uniosła się na łokciach.

- Co się dzieje, Richardzie?

- Coś się zbliża. Schowaj się za mnie. Szybko! Poderwała się, chwyciła łuk i nasadziła strzałę na cięciwę.

- Jakiś stwór?

Daleko przed nimi falowała trawa. I to nie od podmuchu wiatru.

ROZDZIAŁ 12

Spośród traw wychyliła się szarawa, pokryta plamami głowa. Stwór - cokolwiek to było - nie odznaczał się wysokim wzrostem. Kahlan zastanawiała się, czy to aby nie kolejny screeling. Napięła cięciwę. Bała się, że chybi, jeśli bestia ich zaatakuje. Chociaż, przypomniała sobie, strzała i tak nie wyrządziłaby screelingowi żadnej szkody. Nie wiedziała, czy się jej uda ponownie wywołać błyskawicę.

- Zaczekaj. - Richard uniósł rękę, powstrzymując dziewczynę.

Z wysokich traw wynurzyła się przed nimi krępa, łysa postać z długimi ramionami i wielkimi stopami, odziana jedynie w podtrzymywane paskiem spodnie. Mrugające żółte oczy wpatrywały się w mierzającą pomiędzy nie strzałę.

- Śliczna panienska. - Stwór wyszczerzył w uśmiechu ostre zęby. To był kompanion więdźmy Shoty.

- Samuel! - warknął Richard. - Co ty tu robisz? Wstrętny potwór zasyczał i wyciągnął ręce po miecz. - Moje! Dawaj!

Chłopak groźnie potrząsnął bronią i Samuel z nadąsaną miną cofnął ręce. Richard dotknął czubkiem klingi szarych fałdów skóry na szyi kompaniona.

- Pytałem, co tutaj robisz?

- Pani chce cię widzieć - odparł Samuel, łypnąwszy nań nienawistnie.

- Sam wracaj do domu. My nie idziemy do kotliny Agaden. Kompanion spojrział na chłopaka żółtym okiem.

- Pani nie w kotlinie. - Odwrócił się, stanął na palcach, żeby wyrzeć ponad trawę, i wycelował długi chudy palec w kierunku wioski Błotnych Ludzi. - Pani tam ciebie czeka. Gdzie tamci ludzie mieszkają. - Spojrział ze złością na Richarda. - Mówi, że ich pozabija, jak nie przyjdiesz, i Samuel ugotuje z nich potrawkę. - Znów szczerzył zęby w uśmiechu.

- Jeżeli kogoś skrzywdziła... - rzucił chłopak przez zaciśnięte zęby.

- Mówi, że nic im nie zrobi... jeśli przyjdiesz.

- Czego chce?

- Ciebie.

- Czego chce ode mnie?

- Pani Samuelowi nie powiedziała. Tylko, żeby cię przyprowadził. Kahlan poluzowała cięciwę.

- Shota mówiła, że cię zabije, Richardzie, jeśli znów cię zobaczy.

- Nie - odparł, nie spuszczać z oczu Samuela. - Powiedziała, że zabije mnie, jeżeli wrócę do kotliny Agaden. Nie jest w kotlinie.

- Ale...

- Ostrzegła, że jeśli nie przyjdę, to zabije ludzi. Nie wierzysz w to? - Wierzę... lecz i ciebie może zabić.

Mruknął coś, a potem się uśmiechnął.

- Zabić mnie? Wątpię. Ona mnie lubi. Ocaliłem jej życie. Tak właściwie to nic jej nie groziło, ale liczy się zamiar.

Kahlan się zjeżyła. Już raz Shota próbowała oczarować Richarda i wcale się to dziewczynie nie podobało. Wołałaby już nigdy nie spotkać ani Shoty, ani Sióstr Światła.

- Nie podoba mi się to.

- A masz lepszy pomysł? - Chłopak zerknął na nią spod oka.

- Chyba nie mamy wyboru - sapnęła gniewnie. - Nie pozwól jednak, żeby cię dotknęła.

Richard spojrział na nią ze zdumieniem, po czym przeniósł wzrok na kompaniona wiedzmy.

- Prowadź, Samuelu, i nie zapominaj, kto ma miecz. Przypomnij sobie, co ci powiedziałem. Jeśli spróbujesz nas skrzywdzić, to zrobię z ciebie potrawkę.

Samuel przez chwilę wpatrywał się w klingę. Potem odwrócił się bez słowa i ruszył przed siebie, zerkając przez ramię, by się upewnić, że za nim idą. Richard nie schował miecza, zarzucił tylko łuk na ramię i odgrodził Kahlan od stwora. W jego oczach płonął magiczny gniew oręża. Kompanion sadził susami wśród traw, od czasu do czasu odwracając się i sycząc na nich. Kahlan szła tuż za Richardem.

- Lepiej niech tym razem nie zsyła na mnie węży. Żadnych węży! - powiedziała stanowczo.

- Jakbyśmy mieli coś do powiedzenia - mruknął do siebie chłopak.

Był już prawie zmierzch, kiedy dotarli do wioski. Szli od wschodu, lecz natychmiast się zorientowali, że wszyscy mieszkańcy skupili się na południowym krańcu wioskowego placu: tkwili tam, otoczeni murem

zbrojnych łowców, stojących jeden obok drugiego. Kahlan wiedziała, że Błotni Ludzie straszliwie bali się wiedźmy. Nawet nie wymawiali głośno jej imienia.

Prawdę mówiąc, wszyscy zawsze bali się wiedźmy, Kahlan również. Shota zabiłaby ją wówczas w kotlinie Agaden, gdyby Richard - żeby ocalić Kahlan życie - nie wykorzystał jednego z życzeń, które wiedźma obiecała spełnić. Tym razem Shota nie spełni żadnego życzenia Richarda, pomyślała dziewczyna.

Samuel prowadził ich wąskimi uliczkami ku domowi duchów tak pewnie, jak gdyby spędził w wiosce całe życie. Rechotał przy tym ohydnie i od czasu do czasu łypał na Kahlan i Richarda. Krzywił w uśmiechu bezkrwiste wargi, jakby wiedział coś, o czym, oni nie mieli pojęcia. Czasem jego uśmiech stawał się zbyt drapieżny i wówczas Richard groził mu mieczem - wtedy kompanion warczał i syczał, a jego żółte ślepia lśniły gniewnie w gasnącym świetle dnia.

- Śliczna panienska czeka tu. Ze mną. - Samuel położył rękę na klamce drzwi domu duchów. - Pani chce tylko Poszukiwacza.

- Ja też wejść, Richardzie - oznajmiła zdecydowanie Kahlan.

Chłopak spojrzał na nią spod oka, a potem popatrzył na Samuela.

- Otwórz drzwi.

Krzepkie ramię otworzyło drzwi, żółte ślepia wściekle łypnęły na Richarda. Chłopak uniósł miecz, dając znak Kahlan, żeby weszła. Drzwi zamknęły się za nimi ze zgrzytem, ponury kompanion został na zewnątrz.

Pośrodku izby stał wysoki, wspaniały tron. Światło pochodni tańczyło na złotolistnych lianach, węzłach, kotach i innych stworach, zdobiących majestatyczne siedzisko. Tron ocieniał baldachim z czerwonego brokatu, ozdobiony złocistymi chwastami. Samo siedzisko wspierało się na trzech białych, marmurowych płytach, służących zarazem za stopnie. Całość sprawiała imponujące wrażenie. Siedzenie, oparcie i wierzch poręczy pokrywał pikowany czerwony aksamit. Kahlan nie mogła sobie wyobrazić, jak to wszystko przeszło przez drzwi i ilu ludzi musiało go nieść.

Shota siedziała jak królowa, obojętne migdałowe oczy obserwowały Richarda. Odchyliła się lekko, opadając na czerwone aksamitne oparcie, i założyła nogę na nogę. Jej ramiona spoczywały na oparciach, dłonie na złotych chimerach. Chimery lizały jej nadgarstki, a Shota stukała jednym z

długich lakierowanych paznokci o paznokiec kciuka. Przepyszne kasztanowate włosy spływały na ramiona wiedźmy.

Wiecznie młode oczy spojrzały na Kahlan. Przeciągłe, ciężkie jak głaz spojrzenie sparaliżowało dziewczynę, wniknęło w nią. Ze szczytu baldachimu wychylił się wąż w czerwone, białe i czarne okrężne pasy. Zasyczał na dziewczynę, wysunął ku niej rozdwojony język, po czym spadł na kolana Shoty i zwinął się jak zadowolony kot.

Wiedźma dała znać Kahlan, że jej nie zapraszała, i ostrzegła, co się stanie, jeżeli ona, Shota, się zniecierpliwi. Kahlan przełknęła ślinę, usiłując nie okazać strachu. Po trwającej całą wieczność chwili Shota, zadowolona, że jej znak został zrozumiany, znów przeniosła spojrzenie na Richarda.

- Schowaj miecz, Richardzie. - Jej głos brzmiał miękko i jedwabście jak głaskany we właściwą stronę aksamit. Kahlan uznała, że to nie w porządku, iż ktoś tak piękny ma jeszcze głos zdolny stopić lód, a tym bardziej serce mężczyzny.

- Pamiętając naszą rozmowę przy rozstaniu, boję się, że mogłabyś spróbować mnie zabić. - I jego głos był irytująco słodki.

- Jeżeli postanowię cię zabić, drogi chłopcze, a może mi to przyjść do głowy, to miecz nic ci nie pomoże. - Richard nagle jęknął i upuścił broń, jakby ta go parzyła. Potrząsał dłonią, patrząc ze zdziwieniem na swój oręż. - A teraz go schowaj. - Tym razem głos Shoty przypominał aksamit gładzony pod włos. Richard spojrzał najpierw spod oka na siedzącą na tronie wiedźmę, a potem schylił się, podniósł miecz i wsunął go do pochwy.

Na pełnych ustach Shoty zaigrał zadowolony uśmiezek. Zdjęta z kolan węża i położyła go z boku. Przez chwilę patrzyła na chłopaka, po czym wstała, pochylając się przy tym tak, iż w całej okazałości zaprezentowała swe piękne piersi. Ze też nie wypadły z głębokiego dekoltu cieniutkiej, mieniającej się, szarej szaty, dziwiła się Kahlan. Spomiędzy piersi wiedźmy wysunęła się i zawisała na srebrnym łańcuszku mała buteleczka.

Nie spuszczać oczu z Richarda, Shota wdzięcznie zstąpiła po trzech marmurowych stopniach; Kahlan poczuła, że się czerwieni. Szata wiedźmy falowała łagodnie, jakby w podmuchach wietrzyku. Lecz we wnętrzu domu duchów nie było żadnego wietrzyku. Kahlan uznała, że tkanina była stanowczo zbyt cienka na suknię; zastanawiała się, jak by też ona wyglądała w takim stroju, i aż się zapłonila.

Wiedźma stanęła na klepisku, odwróciła się i odkorkowała ów mały flakonik. Cały tron zafalował jak w przegrzonym powietrzu. Nagle zmienił się w popielaty dym, zaczął wirować, zmniejszając się z każdym obrotem, aż stał się cieniutką smuzką, która schowała się w buteleczce. Shota zakorkowała naczynko i na powrót umieściła je pomiędzy piersiami, wsuwając tak głęboko, że zniknęło. Kahlan ze świstem wciągnęła powietrze.

Oczy Shoty oderwały się od oczu Richarda i spojrzały na rozpiętą koszulę chłopaka. Spojrzały z rozbawieniem albo z zadowoleniem. Richard poczerwieniał. Uśmiech wiedźmy stał się szerszy.

- Cóż za rozkoszny bezwstyd. - Przesunęła długim, czerwonym paznokciem po piersi chłopaka aż do pępka, delikatnie poklepała jego brzuch. - Zapnij koszulę, Richardzie, bo mogę zapomnieć, po co się tu zjawiłam.

Twarz Richarda jeszcze bardziej spurpurowiała. Zaczął zapinać guziki; Kahlan przysunęła się doń bliżej.

- Muszę ci podziękować, Shoto - oznajmił, wtykając koszulę w spodnie. - Naprawdę mi wtedy pomogłaś, choć może o tym nie wiesz. Pomogłaś mi znaleźć rozwiązanie.

- Zamierzałam ci pomóc.

- Nie rozumiesz. Mówię, że pomogłaś mi odkryć, jak być z Kahlan. Dzięki tobie wymyśliłem, jak możemy być razem, ona i ja. Jak mogę ją kochać. - Uśmiechnął się. - Pobieramy się.

Nastąpiła chwila lodowatej ciszy.

- To prawda - powiedziała Kahlan, dumnie unosząc brodę. - Kochamy się... i już możemy być razem... Na zawsze razem. - Wściekała się, że się tłumaczy przed Shotą, i to tak niezdarnie tłumaczy.

Przenikliwe oczy wiedźmy spoczęły na Kahlan. Uśmiech powoli zniknął z ust Shoty, a dziewczyna przełknęła ślinę, starając się rozluźnić zaciśnięte gardło.

- Głupie dzieciaki - szepnęła Shota, z wolna potrząsając głową. - Szalone, głupie dzieciaki.

Richard zaczął się denerwować.

- Może i jesteśmy głupi, ale nie jesteśmy dziećmi i kochamy się. I pobierzemy się. Łudziłem się, że się z tego ucieszysz, Shoto, bo masz w tym swój udział.

- Mówiłam ci, drogi chłopcze, że powinieneś ją zabić.

- Z tamtym już koniec - zaprotestowała Kahlan. - Sprawa została rozwiązana. Już wszystko dobrze. Wszystko w porządku.

Dziewczyna wstrzymała oddech, czując, że traci grunt pod nogami. Ona i Richard przelecieli przez izbę i wylądowali na przeciwległej ścianie. Uderzenie było tak silne, iż na moment straciła oddech. Przed oczami tańczyły jej iskierki. Spuściła wzrok, próbując widzieć wyraźnie.

Kahlan i Richard tkwili rozplaszczeni na ceglanej ścianie, dobre trzy stopy nad klepiskiem. Dziewczyna z trudem oddychała. Mogła poruszyć tylko głowę. Nawet ubranie przyłgnęło do ściany. Płaszcz leżał na niej, jakby to była podłoga. Richard był równie bezsilny jak ona. Kręcili głowami, napinali mięśnie - bez skutku.

Shota sunęła ku nim przez izbę, oczy miała groźne i gniewne. Stała przed Kahlan.

- Nie musi cię zabijać? Wszystko dobrze, Matko Spowiedniczko? - Tak - wykrztusiła dziewczyna, starając się, by zabrzmiało to pewnie, choć bezsilnie wisiała na ścianie.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, Matko Spowiedniczko, że nie mówiłam tak bez powodu?

- Tak, ale to...

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, Matko Spowiedniczko, dlaczego Spowiedniczki nie powinny kochać swoich partnerów? I że być może istnieją inne przyczyny, dla których on powinien był cię zabić?

Kahlan milczała, a w jej umyśle kłębiły się oszalałe myśli.

- O czym ty mówisz? - zapytał Richard. Shota zignorowała go.

- No i, Matko Spowiedniczko?

Kahlan tak zaschło w gardle, że musiała parę razy przełknąć ślinę, zanim zdołała się odezwać.

- O co ci chodzi? Jaki powód?

- Czy spałaś już z tym mężczyzną, którego kochasz? Czy już to uczyniłaś, Matko Spowiedniczko?

Teraz Kahlan się zarumieniła.

- Jak można kogoś o to pytać!?

- Odpowiedz, Matko Spowiedniczko - syknęła Shota - albo natychmiast obedrę cię ze skóry i coś sobie z niej zrobię. I tak mam na to wielką ochotę.

Lepiej nie próbuj kłamać.

- Ja... My... Nie! Co cię to obchodzi!?

Wiedźma przysunęła się bliżej. Jej spojrzenie sprawiło, że Kahlan krzyknęła w duchu.

- Lepiej dwa razy się zastanów, zanim to zrobisz, Matko Spowiedniczko.

- O co ci chodzi? - szepnęła zaskoczona Kahlan.

Shota skrzyżowała ramiona na piersi. W jej głosie zabrzmiała jeszcze większa groźba.

- Spowiedniczki nie powinny kochać swoich partnerów, bo muszą im nakazać, by zabili nowo narodzonych synów. Mąż Spowiedniczki powinien być porażony jej mocą, żeby bez zastrzeżeń spełnił każde jej życzenie. Bez zastrzeżeń.

- Ale...

Shota przysunęła się jeszcze bliżej; w jej oczach płonął gniew.

- Jakże go o to poprosisz, skoro go kochasz!? Jak mogłabyś poprosić Richarda, aby zabił swego syna!? Myślisz, że zrobiłby to? A ty? Zabiłabyś syna swego ukochanego? Zabiłabyś, Matko Spowiedniczko?

Słowa Shoty bezlitośnie raniły serce i duszę Kahlan. Z trudem zdołała wyszeptać:

- Nie.

Dziewczyna czuła, jak ulatują wszelkie nadzieje, jak znika radość i szczęście. Uradowana odkryciem, że nie straci Richarda, że mogą być razem, nie poświęciła ani jednej myśli przyszłości. Owocom owego bycia razem. Dzieciom. Myślała tylko i wyłącznie o Richardzie, o tym, że będą razem.

- I co wtedy, Matko Spowiedniczko!? - krzyknęła Shota. - Wychowasz go? Ukarzesz świat Spowiednikiem!? Spowiednikiem! - Opuściła rękę; tak zaciskała pięści, że aż zbieleły kostki palców. - Znow sprowadzisz na świat mroczne czasy! Mroczne czasy! Przez ciebie! Bo kochasz tego mężczyznę! Czy w ogóle o tym pomyślałaś, głupie dziecko?

Kahlan z trudem oddychała przez zaciśnięte gardło. Chciała uciec od Shoty, ale nie mogła się poruszyć. - Nie wszyscy Spowiednicy byli źli.

- Niemal wszyscy! Niemal wszyscy! - Wiedźma wskazała palcem Richarda, nie patrząc nań. - Zaryzykujesz dobro świata, ponieważ kochasz tego mężczyznę? Narazisz wszystkich na ponowną groźbę mrocznych czasów, bo samolubnie zechcesz ocalić życie synowi ukochanego?

- Shoto. - Głos Richarda brzmiał zadziwiająco spokojnie. - Większość Spowiedniczek rodzi dziewczynki. Zamartwiasz się czymś, co prawdopodobnie nigdy się nie zdarzy. Może w ogóle nie będziemy mieli dzieci. Są i bezpłodne małżeństwa. Martwisz się na wyrost.

Nagle chłopak ześliznął się po ścianie i wylądował na klepisku. Rozwścieczona Shota złapała go za koszulę, podniosła i łupnęła nim o ścianę z taką siłą, że aż mu dech zaparło.

- Myślisz, że jestem równie głupia jak wy!?! Znam nurt czasu! Jestem wiedźmą! Już ci mówiłam, że znam niektóre przyszłe wydarzenia! Jeśli legniesz z tą kobietą, to urodzi syna! Jest Spowiedniczka! Każda Spowiedniczka rodzi sobie podobnych! Zawsze! Jeżeli dasz jej dziecko, to będzie syn!

Shota znów rzuciła Richardem o ścianę. Kahlan aż się skrzywiła, słysząc, jak głowa chłopaka uderza w mur z błotnych cegieł. Wiedźma nie panowała nad sobą. Uprzednio wydała się dziewczynie nad wyraz groźna, lecz mądra i rozsądna, przynajmniej do pewnego stopnia. Teraz była zupełnie inna - nieopanowana i nieprzewidywalna.

Richard nie próbował odsunąć rąk Shoty, lecz Kahlan widziała, że zaczyna się złościć.

- Shoto... - zaczął.

- Milcz. - Ponownie trzasnęła nim o ścianę. - Albo ci język utnę! Chłopak wściekł się niemal tak samo jak wiedźma.

- Myliłaś się przedtem, Shoto! Myliłaś! Wydarzenia mogą płynąć w czasie rozmaitymi nurtami. Gdybym cię posłuchał i zabił Kahlan, do czego mnie namawiałaś, teraz władałby nami Rahl Posepny! Stałoby się tak, gdybym posłuchał twojej głupiej rady! To dzięki Kahlan pokonałem Rahla Posepnego! Przegralibyśmy, jeśli zrobiłbym to, czego sobie życzyłaś! - Ciężko oddychał i patrzył na wiedźmę płonącymi gniewem oczami. - Jeżeli przybyłaś tu, żeby straszyć nas jakimś domniemanym zagrożeniem, to tylko zmarnowałaś czas. Wtedy nie poszedłem za twoją radą, nie zrobię tego i teraz! Nie zabiję jej ani nie porzucę z powodu jednego twojego słowa! Ani niczyjego!

Przez chwilę Shota wpatrywała się w Richarda, aż wreszcie puściła go.

- Nie przybyłam tu z powodu jakiegoś „domniemanego zagrożenia” - szepnęła. - Nie przybyłam tu, żeby się z tobą kłócić o płodzenie dzieci ze Spowiedniczkami, Richardzie Rahlu.

- Nie jestem... - Zaszokowany chłopak szarpnął się do tyłu.

- Przybyłam tu, bo może zechcę zabić cię za to, co uczyniłeś, Richardzie Rahlu. To, że wy, bezmyślne dzieciaki, chcecie spłodzić potomstwo, jest drobnostką w porównaniu z potwornością, którą już stworzyliście.

- Dlaczego mnie tak nazywasz? - szepnął Richard.

- Bo to twoje nazwisko. - Shota badawczo patrzyła na jego pobladałą twarz.

- Jestem Richard Cypher. Moim ojcem był George Cypher.

- Wychował cię człowiek o nazwisku Cypher, ale spłodził ten, którego zwał Rahlem Posępnym. Zgwałcił twoją matkę.

Richard pobladał jeszcze bardziej. Kahlan współczuła mu i cierpiała wraz z nim. Teraz pojęła wszystko; wiedziała, że Shota mówi prawdę. To właśnie widziała w chłopaku - twarz jego ojca, Rahla Posępnego. Desperacko usiłowała się uwolnić, podejść doń, lecz nie mogła.

- Nie. - Richard potrząsnął głową. - To nieprawda. To niemożliwe.

- Prawda - warknęła Shota. - Rahl Posępny był twoim ojcem. Zeddicus Zu'l Zorander jest twoim dziadkiem.

- Zedd? - wyszeptał. - Zedd jest moim dziadkiem? - Wyprostował się. - Rahl Posępny... Nie, on nie może być. To nieprawda. - Richard odwrócił się i popatrzył na Kahlan. Jej twarz powiedziała mu, że to prawda. Znow zwrócił się ku Shocie. - Zedd powiedziałby mi. Powiedziałby. Nie wierzę ci.

- Nic mnie to nie obchodzi - rzuciła obojętnie wiedźma. - Wszystko mi jedno, w co wierzysz. Znam prawdę. - Ponownie się rozzłościła. - A prawda wygląda tak, że jesteś bękartem bękarta bękarta! I każdy z tych bękartów, co do jednego, miał dar. Co gorsza, Zedd ma dar. Ty też go masz, i to z dwóch linii czarodziejów! - Spojrzała wściekle w szeroko rozwarte oczy chłopaka. - Jesteś nad wyraz niebezpieczną osobą, Richardzie Eahlu. - Chłopak wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. - Masz dar. W twoim wypadku nazwałabym to raczej przekleństwem.

- Zgodziłbym się z tobą co do tego - wyszeptał Richard.

- Wiesz, że masz dar? Nie będziemy się o to sprzeczać? - Chłopak mógł tylko potaknąć. - Reszta mało mnie obchodzi. Jesteś synem Rahla Posępnego i wnukiem Zeddicusa Zu'l Zorandera. Zedd jest ojcem twojej matki. Możesz w to nie wierzyć, jeśli taka twoja wola, nie dbam o to."Wierz sobie, w co chcesz, oszukuj się do woli. Nie jestem tu po to, by dyskutować o twoich

przodkach.

Richard cofał się i cofał, aż zatrzymała go ściana. Przeczesał palcami włosy.

- Odejdź Shoto. Odejdź, proszę. - Zdawało się, że uszło zeń całe życie. - Nie chcę już usłyszeć od ciebie ani słowa. Po prostu odejdź. Zostaw mnie.

- Zawiodłam się na tobie, Richardzie.

- Nie dbam o to.

- Nie sądziłam, że jesteś taki głupi.

- Nie dbam o to.

- Myślałam, że George Cypher coś dla ciebie znaczy. Myślałam, że masz honor.

- O co ci chodzi? - Richard uniósł głowę.

- George Cypher cię wychował. Poświęcił ci swój czas, obdarzył miłością. Uczył cię, dbał o ciebie i ochraniał. Ukształtował cię. I odrzucisz to wszystko, bo ktoś inny zgwałcił twoją matkę? Takie to dla ciebie ważne?

Oczy Richarda zapłonęły. Zaczął unosić ręce. Kahlan się wystraszyła, że spróbuje udusić Shotę, ale ramiona chłopaka zwisły bezwładnie.

- No ale... skoro Rahl Posępny jest moim ojcem...

- Co!?! - Shota wyrzuciła w górę ramiona. - Nagle masz zamiar zacząć postępować tak jak on? Zaczynasz wyrządzać zło, bo już wiesz? Boisz się, że będziesz zabijać niewinnych ludzi, ponieważ dowiedziałeś się, że Rahl Posępny jest twoim prawdziwym ojcem? Zapomnisz, czego nauczył cię George Cypher, dlatego że odkryłeś, iż nazywasz się Rahl? I ty się uważasz za Poszukiwacza. Rozczarowałeś mnie, Richardzie. Sądziłam, że jesteś niezależny. Że nie jesteś odbiciem tego, co inni myślą o twoich przodkach.

Richard zwiesił głowę. Shota zmarszczyła gniewnie brwi, obserwowała go w milczeniu. W końcu chłopak odetchnął głęboko.

- Przykro mi, Shoto. Dzięki, że nie pozwoliłaś mi być głupszym, niż jestem. - Popatrzył na Kahlan wilgotnymi oczami. - Opuść ją, Shoto, proszę.

Kahlan poczuła, że nacisk zniknął - ześliznęła się po ścianie, z tupnięciem lądując na podłodze. Wściekłe spojrzenie Shoty zatrzymało ją, choć bardzo chciała podejść do Richarda. Chłopak wpatrywał się we własne buty. Wiedźma wyciągnęła rękę i uniosła mu głowę.

- Powinieneś się cieszyć: twój ojciec nie był brzydki. Masz po nim rysy i charakter. No i dar.

Richard wyswobodził brodę z palców Shoty.

- Dar. Nie chcę daru. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie nazwałbym darem niczego, co pochodzi od Rahla Posępnego. Nienawidzę tego! Nienawidzę magii!!

- Ona pochodzi także od Zedda - powiedziała Shota z zaskakującym współczuciem. - Z obu linii przodków. Tak odziedziczyłeś swój dar. Dziedziczono go, czasem przeskakiwał jedno lub wiele pokoleń, a czasem nie. Ty dostałeś go od obojga rodziców, w tobie ma więcej niż jeden wymiar. To bardzo niebezpieczna mieszanina.

- Jest odziedziczony. Jak każda deformacja.

Shota, uśmiechając się szyderczo, chwyciła twarz chłopaka w swoje długie palce.

- Przypomnij to sobie, zanim z nią legniesz. Dzięki Kahlan twój syn zostanie Spowiednikiem. Po tobie otrzyma dar. Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, jakie to groźne? Wiesz, co to Spowiednik z darem? O, wątpię. Powinieneś ją wtedy zabić, ty głupi dzieciaku, zanim odkryłeś sposób, żeby z nią być. Powinieneś być ją zabić.

- Dość już usłyszałem. - Richard spojrział na nią gniewnie. - Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Powiedziałem ci już, że to dzięki Kahlan pokonałem Rahla Posępnego. Zwyciężyłby, gdybym ją zabił. Mam nadzieję, że nie zjawiałaś się tu po to, by w kółko powtarzać tę bzdurę.

- Nie - powiedziała spokojnie Shota. - To nie ma znaczenia. Nie po to tu jestem. Przybyłam z powodu tego, co już uczyniłeś, a nie tego, co *mógłbyś* uczynić pewnego dnia. To, czego już dokonałeś, Richardzie, jest o wiele gorsze niż wszystko, co zdołałbyś kiedykolwiek zrobić z tą kobietą. Żaden potwór, którego spłodzicie, nie dorówna temu, którego już stworzyłeś.

- Nie dopuściłem, żeby Rahl Posępny władał światem. - Richard zmarszczył brwi. - Zabiłem go. Nie stworzyłem żadnego potwora.

Shota z wolna potrząsnęła głową.

- To magia Ordenu go unicestwiła. Mówiłam ci, że nie powinien otwierać szkatuły. Nie zabiłeś go, pozwoliłeś mu tylko otworzyć jedną ze szkatuł. Miałeś go zabić, zanim otworzy szkatułę.

- Nie mogłem! To był jedyny sposób! Inaczej nie mogłem go zabić! Co to w końcu za różnica? Nie żyje!

- Już lepiej byłoby, byś pozwolił mu władać światem, zamiast dopuścić,

aby otworzył niewłaściwą szkatułę.

- Chyba oszalałaś! Cóż może być gorszego od Rahla Posępnego zdobywającego magię Ordenu i bez przeszkód władającego światem!?

Wiedźma uniosła brwi.

- Opiekun - szepnęła. - Lepiej było pozwolić, żeby Rahl rządził nami, żeby nas skrócił o głowę czy nawet zadreczył na śmierć. To wszystko byłoby lepsze od tego, co zrobiłaś.

- O czym ty mówisz?

- Zasłona oddziela Opiekuna zaświatów od świata żywych, zasłona trzyma go z dala od nas. Powstrzymuje jego i jego pupili, powstrzymuje zaświaty. Separuje zmarłych od żywych. To, co uczyniłaś, rozdarło zasłonę. Już grasują asasyni Opiekuna.

- Screelingi... - wyszeptał Richard.

- Tak - potwierdziła Shota. - Uwolniłaś magię Ordenu i dopuściłaś, by naddarła dzielącą nas od zaświatów zasłonę. Jeżeli rozedrze się dalej, to Opiekun się uwolni. Nawet sobie nie wyobrażasz, co to oznacza. - Shota uniosła wiszącego na szyi chłopaka Agiela. - Cierpienia, które ci tym zadano, będą jak pocałunek kochanki, jeśli porównasz je z tym, co on uczyni. Każdemu. Już lepiej było pozwolić wygrać Rahlowi, niż dopuścić do tego. Skazałaś wszystkie żywe istoty na los przekraczający wszelką wyobraźną okropność. - Wiedźma zacisnęła w pięści Agiela. - Powinam zabić cię za to, co uczyniłaś. Powinam zadać ci niewyobrażalne cierpienia. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo Opiekun chce dopaść tych z darem? Jak bardzo pragnie dostać wiedźmy?

Kahlan spostrzegła, że Shota płacze. Nagle z przerażeniem zrozumiała, iż wiedźma wcale nie jest rozgniewana, lecz że się boi.

To dlatego tu przybyła. Nie dlatego, że się rozgniewała, iż Kahlan żyje i będzie mieć dziecko z Richardem. Przybyła tutaj, ponieważ panicznie się bała. Przerazona Shota, przerażona wiedźma - to było gorsze od wszystkiego, co dziewczyna mogła sobie wyobrazić.

- Ale... - Richard patrzył na Shotę szeroko otwartymi oczami. - Przecież musi być coś, co możemy zrobić... Musi istnieć sposób, żeby to powstrzymać.

- My!?! - wrzasnęła, dźgając go palcem w pierś. - Ty! Tylko ty, Richardzie Rahlu! Tylko ty! Ty jeden możesz to naprawić!

- Ja! Niby dlaczego ja!?

- Nie wiem! Ty jeden masz potrzebną do tego moc. - Uderzała pięścią w pierś chłopaka. - Ty! Jedynie tobie może się to udać! Nie wiem dlaczego! Ale ty jeden możesz to naprawić! Tylko ty możesz scalić rozdarcie zasłony - chlupała. - Wyłącznie ty, ty głupi, szalony dzieciaku!

Kahlan była oszołomiona doniosłością tego, co się działo. Uwolniony Opiekun - to przekraczało wszelkie pojęcie. Zmarli w świecie żywych; dziewczyna nie potrafiła wyobrazić sobie takiej okropności - strach Shoty pomagał Kahlan zrozumieć, czym to groziło.

- Nic o tym nie wiem, Shoto... Nie mam pojęcia, jak... Wiedźma płakała i tłukła pięścią w pierś Richarda.

- Musisz. Musisz znaleźć sposób. Nie wiesz, co Opiekun mi zrobi, co uczyni wiedźmie. Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie, zrób dla siebie, bo nie będzie łagodniejszy dla ciebie niż dla mnie. A jeżeli nie dla siebie, to zrób to dla Kahlan, ponieważ zapewni jej wieczne męki tylko za to, że ją kochasz. Będzie ją dręczył, żebyś jeszcze bardziej cierpiał. Wszyscy zawisniemy na granicy życia i śmierci, na wieczność, na wieczną udrękę - łkała wiedźma. - Wydrze nam dusze... Zabierze nam dusze... Na zawsze... - Znow uderzała pięścią w pierś chłopaka. Objął ją i przytulił, starając się pocieszyć; płakała. - Na zawsze, Richardzie. Pozbawione duszy umysły w niewoli śmierci. Wieczna męka. Jesteś zbyt głupi, żeby to zrozumieć. Nie potrafisz wyobrazić sobie takiej okropności, dopóki się nie wydarzy.

Kahlan podeszła do chłopaka i uspokajająco położyła mu dłoń na ramieniu. Nie irytowało jej, że Richard tuli Shotę. Widziała, jak wiedźma jest przerażona. Jej strach nie dorównywał przerażeniu Shoty, bo nie wiedziała tego, co tamta. Lecz reakcja wiedźmy mówiła wiele.

- Screelingi zjawily się w kotlinie - chlupała.

- Screelingi! W kotlinie Agaden? - Richard spojrzał na nią.

- Screelingi i czarodziej. Szczególnie obmierzły czarodziej. Ja i Samuel ledwo uszliśmy z życiem.

- Czarodziej! - Chłopak położył dłonie na jej ramionach i odsunął Shotę od siebie. - Jak to czarodziej? Nie ma innych czarodziejów.

- Jest ten w kotlinie. Screelingi i czarodziej są teraz w kotlinie Agaden. Są w moim domu! Moim domu!

- Jesteś pewna, Shoto, że to czarodziej? - wyrwało się Kahlan. - Może to ktoś udający czarodzieja? Nie ma innych czarodziejów oprócz Zedda.

Wszyscy pozostali nie żyją.

- Myślisz, że ktoś mógłby mnie oszukać, że ma moc? - rozłościła się zapłakana wiedźma. - Rozpoznam czarodzieja, gdy go zobaczę, i rozpoznam czarodzieja z darem. Znam ogień czarodzieja. Ten w kotlinie to czarodziej z darem, choć jeszcze młody. Nie wiem, skąd się wziął i czemu nikt przedtem o nim nie słyszał, ale był ze screelingami. Ze screelingami! To zaś może oznaczać tylko jedno. Ten czarodziej poddał się Opiekunowi, spełnia jego wolę. Dokłada starań, by do reszty rozedrzeć zasłonę dla Opiekuna. To znaczy, że Opiekun ma swoich ludzi w naszym świecie. Rahl Posępny był pewno jednym z nich. Dlatego właśnie mógł się posługiwać magią subtraktywną. Skoro Opiekun wykorzystuje czarodziejów, znaczy to, iż jedynie czarodziej może rozedrzeć zasłonę. Ty masz dar. Jesteś czarodziejem. Co prawda głupim czarodziejem, ale jednak. Nie wiem, dlaczego tak jest, lecz ty jeden masz szansę scalić zasłonę.

- Co zamierzasz zrobić? - Richard otarł łzę z policzka Shoty. Oczywiście wiedźmy znów zapłonęły, zacisnęła zęby.

- Wracam do kotliny. Odbiorę im mój dom.

- Przecież cię wygnali.

- Bo mnie zaskoczyli - burknęła. - Przybyłam tu tylko po to, by ci powiedzieć, jaki z ciebie głupiec. I że musisz coś z tym zrobić. Musisz scalić zasłonę albo wszyscy... - Odwróciła się do nich plecami. - Wracam do kotliny. Opiekun straci tego szpiega. Zabiorę mu dar. Wiesz, jak odebrać dar czarodziejowi?

- Nie. - Richard miał zaciekawioną minę. - Nie wiedziałem, że to możliwe.

- O tak, możliwe. - Popatrzyła nań i uniosła brew. - Magia wycieknie z nich, kiedy obdrzesz ich ze skóry. Tylko tak można odebrać dar czarodziejowi. Powieszę go za kciuki i żywcem obedrę. Calutkiego. I obję mój tron jego skórą. Potem usiądę na nim, na jego skórze, i będę się przyglądać, jak się zakrzyczy na śmierć i jak magia będzie zeń wyciekać. - Zacisnęła pięść. - Albo zgine, próbując go dopaść.

- Potrzebuję pomocy, Shoto. Nie mam o tym pojęcia. Wiedźma patrzyła w dal, poruszała pięściami. Wreszcie rozprostowała palce.

- To, co mogłabym powiedzieć, nic ci nie pomoże.

- Czyli możesz mi coś powiedzieć, ale nic mi to nie da? - Potaknęła.

Richard westchnął. - Co to takiego?

Splotła ręce na brzuchu. Znów miała łzy w oczach.

- Wpadniesz w pułapkę czasu. Nie pytaj, co to znaczy, bo nie wiem. Nie uda ci się scalić zasłony, dopóki się nie wydostaniesz z tej pułapki. Będziesz w niej tkwił i Opiekun się wydostanie, zanim zdołasz się uwolnić. Nie uda ci się to, dopóki nie nauczysz się czegoś o swoim darze.

Richard odszedł w głąb izby. Stał tyłem do obu kobiet. Jedną dłoń oparł na biodrze, drugą przeczesywał włosy. Kahlan nie patrzyła na Shotę. Nie chciała spotykać oczu wiedźmy, dopóki mogła tego uniknąć.

- Jest coś jeszcze? - zawołał przez ramię Richard. - Powiesz mi jeszcze coś? Powiesz?

- Nie. Gdybym coś jeszcze wiedziała, to, możesz mi wierzyć, nie ukrywałabym tego przed tobą. Wcale nie mam ochoty napotkać spojrzenia Opiekuna.

Chłopak zastanawiał się przez jakiś czas. Wreszcie wrócił ku obu kobietom i stanął przed Shotą.

- Mam migreny. Przeróżliwe migreny. Wiedźma skinęła głową.

- To dar je powoduje.

- Zjawiły się trzy kobiety. Nazywają siebie Siostrami Światła. Powiedziały, że muszą pójść z nimi, by nauczyc się korzystać z daru, albo migreny mnie zabiją. - Richard wpatrywał się w twarz Shoty. - Co o nich wiesz?

- Jestem wiedźmą. Nie wiem za dużo o czarodziejach. Te Siostry Światła mają coś wspólnego z czarodziejami. Ze szkoleniem ich. Tylko tyle wiem. Nie wiem nawet, skąd one są. Pojawiają się jedynie wtedy, kiedy odkryją, iż narodził się ktoś z darem.

- Co się stanie, jeżeli z nimi nie pójde? Umrę, jak powiedziały?

- Migreny zabiją cię, jeśli się nie nauczysz kontrolować daru. Tyle wiem.

- Czy tylko Siostry mogą mi pomóc?

- Nie mam pojęcia. - Shota wzruszyła ramionami. - Za to jestem pewna, że musisz się nauczyć posługiwać darem, bo inaczej nie uciekniesz z pułapki, nie scalisz zasłony, no i migreny cię zabiją.

- Mówisz więc, że powinienem z nimi pójść?

- Nie. Mówię, iż musisz się nauczyć posługiwać darem. Może jest na to jakiś inny sposób.

- Jaki?

- Nie wiem, Richardzie. Nie wiem nawet, czy na pewno jest inny sposób. Przykro mi, ale nie mogę ci w tym pomóc. Po prostu nie wiem. Tylko głupiec doradza w sprawach, o których nie ma pojęcia. Nie potrafię udzielić ci żadnej rady.

- Pogubiłem się, Shoto. Nie wiem, co robić - poskarżył się Richard. - W ogóle nic z tego wszystkiego nie rozumiem: dar, Siostry, Opiekun. Czy możesz mi powiedzieć coś, co by mi pomogło?

- Już ci powiedziałam wszystko, co wiem. Czuję się równie zagubiona jak ty. I jestem w gorszej sytuacji. Nie mam żadnego wpływu na to, co się wydarzy, ty zaś masz taką możliwość. Masz chociaż to, choć taki cień szansy. - Oczy Shoty załśniły. - Obawiam się, że przyjdzie mi spojrzeć w martwe oczy Opiekuna. Już zawsze w nie patrzeć. Nie mogę zasnąć od czasu, kiedy się o tym dowiedziałam. Pomogłabym, gdybym cokolwiek wiedziała. Nic nie wiem o świecie zmarłych. Żywi jeszcze się z nim nie zetknęli.

Richard patrzył na klepisko.

- Nie mam pojęcia, co robić, Shoto - wyszeptał. - Boję się. Bardzo się boję.

- Ja też - powiedziała i dotknęła twarzy chłopaka. - Żegnaj, Richardzie Rahlu. Nie walcz ze sobą. Wykorzystaj dar. - Odwróciła się ku Kahlan. - Nie wiem, czy zdołasz mu pomóc, lecz jestem pewna, że jeśli istnieje sposób, to zrobisz, co w twojej mocy.

- Na pewno, Shoto. Mam nadzieję, że odzyskasz swój dom.

- Dziękuję, Matko Spowiedniczko. - Wiedźma obdarzyła ją leciutkim uśmiechem.

Shota odwróciła się i popłynęła ku drzwiom. Otworzyła je. Na zewnątrz czekał Samuel; jego złote oczy lśniły. Shota stanęła w progu i znieruchomiała.

- Będę ci niewymownie wdzięczna, Richardzie, jeżeli zdołasz scalić zasłonę i ocalić mnie przed Opiekunem, ocalić nas wszystkich przed Opiekunem.

- Dziękuję, Shoto.

Nie odwróciła się ku nim.

- Lecz wiedz, że jeśli dasz dziecko Matce Spowiedniczce, to będzie to chłopiec. Będzie Spowiednikiem. Żadne z was nie znajdzie w sobie sił, by go zabić, choć wiecie, czym grozi pozostawienie go przy życiu. - Zamilkła na

chwilę. - Moja matka żyła w mrocznych czasach. - Głos miała lodowaty. - Ja mam siły i zrobię to. Macie na to moje słowo. Wiedźcie, że nie będzie w tym nic osobistego.

Drzwi zamknęły się ze skrzypieniem. Dom duchów stał się nagle bardzo pusty. Bardzo cichy.

Kahlan czuła się jak odrętwiała. Spojrzała na swoje ręce - drżały. Tak chciałaby, żeby Richard ją przytulił, ale nie zrobił tego. Wpatrywał się w drzwi. Twarz miał śnieżnobiałą.

- Nie wierzę w to - wyszeptał; wciąż wpatrywał się w drzwi. - Jak to możliwe? Czy to mi się śni?

Dziewczyna miała wrażenie, że zaraz upadnie. - Co zrobimy, Richardzie?

Chłopak odwrócił się ku niej, lecz jego oczy były niewidzące. Wypełniły się łzami.

- To na pewno jakiś koszmarny sen.

- Jeśli tak, to i mnie się on śni. Co zrobimy, Richardzie?

- Dlaczego każdy mnie o to pyta? Dlaczego każdy zawsze mnie o to pyta?

Dlaczego wszyscy sądzą, że to właśnie ja wiem?

Kahlan stała bez ruchu, próbując zmusić umysł do działania. Nie mogła logicznie myśleć.

- Bo jesteś Richardem. Poszukiwaczem.

- Nic nie wiem o zaświatach, Opiekunie i świecie zmarłych.

- Shota mówiła, że nikt z żyjących tego nie wie.

Richard ocknął się z oszołomienia. Chwytał Kahlan za ramiona.

- To musimy spytać zmarłych.

- Jak to?

- Duchy przodków są ze świata zmarłych. Możemy z nimi porozmawiać. Mogę poprosić o poradę widzających i wypytać duchy. Od nich się dowiemy. Może wymyślimy, jak scalić zasłonę. Może się dowiem, jak się pozbyć migren, jak korzystać z daru. - Złapał Kahlan za rękę. - Chodź.

Dziewczyna niemalże się uśmiechnęła. Naprawdę był Poszukiwaczem. Richard ciągnął ją wąskimi przejściami; biegli, gdy widzieli drogę. Chmury zakrywały księżyc i pomiędzy chatami było ciemno. Lodowate powietrze mroziło twarz Kahlan, drażniło jej oczy, tak że łzawiły.

Dotarli w końcu na wspólny plac; tu było jasno. Pochodnie oświetlały zgromadzonych ludzi. Wciąż jeszcze tu tkwili, osłonięci pierścieniem

łowców. Nie wiedzieli, że wiedźma odeszła. Patrzyli w milczeniu na zbliżających się Kahlan i Richarda. Łowcy rozstąpili się i młodzi podeszli do Człowieka Ptaka oraz sześciu starszych. Stał tam i Chandalen.

- Nikomu nic nie grozi - zapewniła ich Kahlan. - Wiedźma odeszła.

Mieszkańcy wioski odetchnęli z ulgą.

Chandalen uderzył o ziemię drzewcem włóczni.

- I znów ściągnęliście na nas kłopoty!

Richard zignorował go i poprosił Kahlan, żeby tłumaczyła. Objął wzrokiem starszych, lecz w końcu zatrzymał spojrzenie na Człowieku Ptaku.

- Czcigodny starszy. Wiedźma nie zjawiała się tu po to, by wyrządzić komuś *krzywdę*. Przybyła, żeby ostrzec mnie przed wielkim niebezpieczeństwem.

- To ty tak twierdzisz - warknął Chandalen. - Nie wiemy, czy to prawda.

Dziewczyna zdawała sobie sprawę, iż Richard z trudem zachowuje spokój.

- Wątpisz, że nie wysłałaby cię do świata duchów, gdyby tego chciała?

Chandalen odpowiedział wściekłym spojrzeniem.

Człowiek Ptak tak popatrzył na Chandalena, iż ten zmalął o parę cali. Starszy przeniósł wzrok na Richarda.

- Jakim niebezpieczeństwem?

- Mówiła, że grozi nam przechodzenie zmarłych do świata żywych.

- Oni nie mogą przejść do świata żywych. Zasłona ich nie przepuszcza.

- Wiesz o zasłonie?

- Tak. Każdy poziom świata zmarłych, który ty nazywasz zaświatami, jest zapieczętowany zasłoną. Kiedy zwołujemy naradę i zapraszamy do nas duchy przodków, to mogą one na krótko przeniknąć przez zasłonę.

Richard wpatrywał się przez chwilę w twarz Człowieka Ptaka.

- Co jeszcze możesz mi powiedzieć o zasłonie?

- Nic. - Starszy wzruszył ramionami. - Wiemy tylko to, co powiedziały nam duchy przodków: że muszą przez nią przeniknąć, gdy je przywołujemy, i że poza tymi krótkimi chwilami jest dla nich nie do przebycia. Powiedziały nam również, iż istnieje wiele poziomów zaświatów, świata zmarłych, i że one są na najwyższym, dlatego mogą nas odwiedzać. Duchy mniej czcigodne znajdują się na niższych poziomach i nie mogą przyjść. Są na zawsze odcięte od żywych.

Richard spojrzął w oczy wszystkim starszym.

- Zasłona jest rozdarta. Jeśli nie zostanie scalona, to świat zmarłych wchłonie nas wszystkich. - Zebrani westchnęli, rozległy się przerażone szepty; chłopak znów patrzył na Człowieka Ptaka. - Czcigodny starszy, proszę o zwołanie narady widzających. Muszę uzyskać pomoc duchów naszych przodków. Muszę znaleźć sposób na scalenie zasłony, zanim Opiekun zmarłych wyrwie się z zaświatów. Być może duchy przodków mogłyby mi pomóc. Muszę wiedzieć, czy będą potrafiły.

- Kłamstwa! - Chandalen znów uderzył włócznią o ziemię. - Powtarzasz nam kłamstwa wiédźmy. Nie będziemy przywoływać czcigodnych duchów naszych przodków z powodu gadania jakiejś wiédźmy! Uśmierciłyby cały nasz lud za takie bluźnierstwo!

- To nie wiédźma je przywołuje. - Richard spiorunował go wzrokiem. - To ja proszę o zwołanie narady, a jestem jednym z Błotnych Ludzi. Proszę o zwołanie narady, żeby się dowiedzieć, jak ustrzec nasz lud przed złem i krzywdą.

- Przynosisz nam śmierć. Przyrowadzasz obcych. Ściągnąłeś tu wiédźmę. Chcesz pomóc jedynie samemu sobie. Jak rozdarto tę zasłonę?

Richard rozpiął mankiet i podciągnął rękaw koszuli. Z wolna dobył Miecza Prawdy. Przeciągnął ostrzem po przedramieniu, cały czas patrząc Chandalenowi w oczy, i naznaczył swoją krwią obie strony klingi. Wbił czubek miecza w ziemię i wsparł obie dłonie na rękojeści.

- Chciałbym, żebyś coś przetłumaczyła, Kahlan. Nie opuść ani słówka. - Gniewne spojrzenie chłopaka spoczęło na Chandalenie. Głos miał spokojny, niemal łagodny, lecz we wzroku czaiła się śmiertelna groźba. - Jeśli usłyszę tego wieczoru jeszcze jedno twoje słowo, Chandalenie, choćbyś przemówił po to tylko, by się ze mną zgodzić lub zaofiarować mi pomoc, to cię zabiję. Rzeczy, których się dowiedziałem od wiédźmy, wzbudziły we mnie chęć zabijania. Sprowokuj mnie ponownie, a zginiesz.

Wszyscy starsi szeroko otworzyli oczy. Chandalen rozchylił usta, żeby coś powiedzieć, lecz widząc minę Richarda, natychmiast je zamknął i skrzyżował ramiona. I w jego oczach płonął gniew, lecz nie dorównywał wściekłości chłopaka. W końcu Chandalen wbił wzrok w ziemię.

- Znasz moje serce, czcigodny starszy - przemówił Richard do Człowieka Ptaka. - Wiesz, że nie uczynię niczego na szkodę naszego ludu. Nie

prosiłbym o poradę, gdyby to nie było takie ważne lub gdybym miał inny wybór. Zwołaj, proszę, dla mnie zgromadzenie, bym mógł zapytać duchy przodków, jak odwrócić tę groźbę od naszego ludu.

Człowiek Ptak popatrzył na starszych. Każdy z nich przyzwalająco kiwnął głową. Kahlan wiedziała, że tak zrobią; to była tylko formalność. Savidlin był ich przyjacielem, a pozostali już przedtem mieli do czynienia z Richardem i żaden nie chciał mu się sprzeciwić. Decydował Człowiek Ptak. Starszy patrzył, jak tamci schylają kolejno głowy, potem znów przeniósł wzrok na Richarda.

- To niedobra sprawa. Nie podoba mi się przywoływanie przodków, żeby ich wypytywać o ich świat. Przybywają, by nam pomagać w sprawach naszego świata. Mogą być niezadowoleni i rozgniewani. Mogą odmówić. - Obserwował przez chwilę Richarda. - Lecz znam twoje serce. Wiem, że jesteś wybawcą naszego ludu i że nie prosiłbyś o poradę, gdybyś miał inny wybór. - Położył dłoń na ramieniu Poszukiwacza. - Zgoda.

Kahlan odetchnęła z ulgą. Chłopak skłaniał głowę na znak podziękowania. Dziewczyna wiedziała, że Richard wcale się nie cieszy na ponowne spotkanie z duchami przodków. Już pierwsze bardzo go wyczerpało i przygnębiło.

Nagle coś zatrzepotało w powietrzu. Kahlan zasłoniła się rękami. Coś uderzyło Richarda w głowę z taką siłą, że aż się zachwiał i cofnął o krok. Rozległy się zdumione i przestraszone okrzyki. Jakiś ciemny kształt spadł na ziemię między Richardem a Człowiekiem Ptakiem. Chłopak odzyskał równowagę i dotknął głowy. Krew spływała mu na czoło.

Człowiek Ptak przykucnął nad owym ciemnym kształtem, by po chwili się wyprostować. Trzymał w dłoniach martwą sowę. Głowa ptaka przechyliła się na bok, skrzydła rozłożyły się i opadły. Starsi popatrzyli na siebie. Chandalen zmarszczył się jeszcze bardziej, ale zmilczał.

Richard obejrzał zakrwawione palce.

- Czemu, do licha, ta sowa tak mnie uderzyła? I co ją zabiło? Człowiek Ptak łagodnie pogładził pióra martwego ptaka.

- Ptaki żyją w przestworzach, na innym poziomie niż my. Żyją na dwóch poziomach: w powietrzu i na ziemi. Mogą podróżować pomiędzy swoim a naszym poziomem. Ptaki są ściśle związane ze światem duchów. Z duchami. A sowy bardziej niż większość pozostałych. Widzą w nocy, kiedy my

jesteśmy ślepi, tak jak jesteśmy ślepi na świat duchów. Jestem duchowym przewodnikiem naszego ludu. Tylko Człowiek Ptak może być duchowym przewodnikiem, bo potrafi zrozumieć takie sprawy. - Uniósł wyżej martwego ptaka. - To ostrzeżenie. Nigdy przedtem nie widziałem sowy przynoszącej posłanie od duchów. Ten ptak oddał życie, by cię ostrzec, Richardzie. Rozważ, proszę, ponownie sprawę zwołania narady. Ta przestroga oznacza, że narada będzie niebezpieczna, tak niebezpieczna, iż duchy przesłały tę wiadomość.

Richard przeniósł wzrok z twarzy Człowieka Ptaka na martwą sowę. Poglądził jej pióra. Wszyscy milczeli.

- Niebezpieczna dla mnie czy dla starszych?

- Dla ciebie. To ty prosisz o naradę i tobie sowa przyniosła wieść. Ostrzeżenie było przeznaczone dla ciebie. - Starszy spojrzał na czoło Richarda. - Krwawe ostrzeżenie, z tych najgorszych. Gorzej byłoby tylko wtedy, gdyby przyniósł je kruk, a nie sowa. To oznaczałoby niechybną śmierć.

Chłopak cofnął dłoń i wytarł palce o koszulę. Zapatrzył się na martwego ptaka.

- Nie mam wyboru - szepnął. - Jeśli czegoś nie zrobię, to zasłona zostanie rozerwana do końca i Opiekun zmarłych wyrwie się z zaświatów. Świat zmarłych pochłonie nasz lud, pochłonie wszystkich. Muszę się dowiedzieć, jak temu zapobiec. Muszę spróbować.

Człowiek Ptak skinął głową.

- Jak sobie życzysz. Przygotowania potrważą trzy dni.

Richard podniósł wzrok i spojrzał nań.

- Poprzednio zajęło to dwa dni. Nie możemy tracić czasu. Starszy głęboko zaczerpnął powietrza i westchnął.

- Dwa dni.

- Dziękuję, czcigodny starszy. - Richard odwrócił się ku Kahlan, a jego oczy zdradziły, jak bardzo cierpiał. - Znajdź i przyprowadź Nissel, dobrze? Idę do domu duchów. I poproś ją, żeby przyniosła jakiś mocniejszy lek.

- Oczywiście. Już biegnę.

Chłopak kiwnął głową. Wyciągnął miecz z ziemi i odszedł w mrok.

ROZDZIAŁ 13

Przyczyna śmierci. Podniosła w zadumie oczy, przyciskając zaokrąglony koniec osadzonej w drewnie stalówki do dolnej wargi. Świece, ustawione wśród porozrzucanych na biurku stert papierów, rozjaśniały nieco mrok panujący w niedużej, skromnej komnacie. Pomędzy opasłymi tomami piętrzyły się stosy zwojów. Ciemny blat biurka było widać tylko przed siedzącą przy nim kobietą. Leżał tam raport.

Na półkach za jej plecami stary stłoczone, gromadząc kurz, liczne magiczne przedmioty. Zręcznym i wszechobecnym sprzątaczkom nie wolno było ich dotykać; tylko ona mogła je odkurzać, lecz zawsze brakowało czasu i chęci. Poza tym pokryte warstwą kurzu mniej przyciągały ciekawskie oczy.

Na noc zaciągnięto ciężkie zasłony. Jedyłą barwną plamę w komnacie stan owity miejscowe błękitno-złote dywaniki, które położyła przed biurkiem. Goście zwykle się w nie wpatrywali.

Przyczyna śmierci. Raporty to takie zawracanie głowy. Westchnęła. Ale konieczne zawracanie głowy. Przynajmniej na razie. Pałac Proroków żądał mnóstwa raportów. Niektóre Siostry spędzały całe życie w bibliotekach, katalogując je, pieczołowicie o nie dbając, zapisując każde bezużyteczne słowo, które - jak sądziły - mogło się kiedyś okazać ważne.

Cóż, nie pozostaje nic innego, jak wymyślić odpowiednią przyczynę śmierci. Prawda nie spodobałaby się im. Jej Siostry muszą otrzymać satysfakcjonujące wyjaśnienie przyczyny zgonu. Wysoko ceniły tych z darem. Głupie.

Wypadek w czasie szkolenia? Uśmiechnęła się. Taak, wypadek w czasie szkolenia. Od lat z tego nie skorzystała. Wydęła usta, umoczyła stalówkę w kałamarzu i zaczęła pisać. „Przyczyną zgonu był wypadek z Rada’Han podczas szkolenia. Jak często ostrzegałam inne Siostry, gałązka - choćby nie wiem jak młoda i giętka - pęknie, jeśli sieją zbyt nownie”.

Któż by wątpił? Pozwólmy się im zastanawiać, która zawiniła. To je powstrzyma przed zbyt szczegółowymi dociekaniem, będą się bały, że wina spadnie na którąś z nich. Osuszała raport bibułą, kiedy rozległo się ciche stuknięcie w drzwi.

- Chwileczkę. - Przytknęła róg listu chłopca do płomienia świecy, a kiedy

prawie cały spłonął, wrzuciła go do zimnego kominka: złamana pieczęć zmieniła się w czerwony kleks. Już nie będzie pisał listów. - Wejść.

Uchyliły się ciężkie, zaokrąglone na górze drzwi, wysunęła się zza nich głowa.

- To ja, Siostró - szepnął ktoś z mroku.

- Nie stój jak nowicjuszka, wejdź i zamknij drzwi.

Kobieta weszła do komnaty, wyjrzała ostrożnie na korytarz i cicho zamknęła drzwi. Nie spojrzała na dywan.

- Siostró...

Uciszyło ją gniewne spojrzenie i palec przyłożony do ust siedzącej za biurkiem.

- Przecież ci mówiłam. Żadnych imion, kiedy jesteśmy same. Przybyła rozejrzała się po ścianach, jakby oczekiwała, że ktoś zza nich wyjrzy.

- Jestem pewna, że osłoniłaś swoją komnatę.

- Oczywiście. Ale wiaterek zawsze może zanieść słowa do ciekawskich uszu. I chyba nie chciałybyśmy, żeby wraz ze słowami zaniósł też nasze imiona, prawda?

- Jasne, że nie. - Oczy tamtej znów się przesunęły po ścianach. - Oczywiście, masz rację. - Potarła dłonią o dłoń. - Kiedyś to nie będzie potrzebne. Nienawidzę tego, że się musimy kryć. Pewnego dnia będziemy mogły...

- Czego się dowiedziałaś?

Przyglądała się, jak przybyła wygładza suknię na biodrach, kładzie palce na biurku i lekko się nachyla. Wyzywające spojrzenie. Te oczy były niesamowite, jasne, jasnyniebieskie z ciemniejszymi fiołkowymi cętkami. Zawsze z trudem się powstrzymywała, by w nie nie patrzeć.

- Znalazły go - szepnęła tamta, pochylając się bardziej.

- Widziałaś księgę?

- Widziałam. W porze obiadu. Poczekalam, aż tamte pójda na obiad. - Spojrzała bez wyrazu. - Odrzucił pierwszą ofertę.

- Co takiego!?! - Trzasnęła dłonią o biurko. - Jesteś pewna?

- Tak zapisano w księdze. I jeszcze więcej, nie tylko to. Jest dorosły. Jest już mężczyzną.

- Dorosły! - Głęboko zaczerpnęła powietrza, patrzyła na stojącą przed nią Siostrę. - Która to była Siostra?

- A co to za różnica? Wszystkie są od nas.

- Nie, nie są. Nie udało mi się wysłać trzech naszych. Jedna z nich to Siostra Światła.

- Jak mogłaś do tego dopuścić? - zdumiała się przybyła. - W tak ważnej sprawie jak ta...

- Milcz! - Znów uderzyła dłonią o blat biurka. Tamta wyprostowała się i splótła palce. Nadąsała się.

- To była Siostra Grace.

Zamknęła oczy i opadła na oparcie krzesła.

- Siostra Grace była jedną z naszych - szepnęła. Tamta znów nachyliła się nad biurkiem.

- Więc tylko jedna z pozostałych jest spośród nas. Która? Siostra Elizabeth czy Siostra Verna?

- Nie musisz tego wiedzieć.

- Dlaczego? Nie cierpię nigdy nic nie wiedzieć. Nie znoszę nie wiedzieć, czy Siostra, z którą rozmawiam, jest Siostrą Światła czy też jedną z nas, Sióstr Mroku...

- Nigdy więcej nie wymawiaj głośno tej nazwy. - Trzasnęła pięścią o biurko i zacisnęła zęby. - Nie waż się tego głośno wymawiać, bo w kawałkach wysłę cię do Bezimiennego.

Tamta zapatrzyła się na dywan, poblądła.

- Wybacz mi - szepnęła.

- Każda z Sióstr Światła sądzi, że jesteśmy jedynie legendą. Jeśli to miano dotrze do ich uszu, zaczną się zastanawiać. Nigdy, przenigdy nie wolno ci tego wymówić! Jeżeli Siostry cię wykryją i dowiedzą się, komu służysz, to założą ci Rada'Han na szyję, zanim zdołasz krzyknąć.

Przybyła uniosła dłonie do szyi i wstrzymała na chwilę oddech. - Aleja...

- Wydrapiasz sobie oczy, byle tylko nie widzieć, jak co dnia nadchodzą, żeby cię wypytywać. Dlatego nie znasz imion pozostałych, byś nie mogła ich wydać. One zaś nie znają twojego, by z kolei ciebie nie mogły zdradzić. To dla naszej ochrony, byśmy mogły służyć. Znasz wyłącznie moje imię.

- Ależ Siostro... Odgryzłabym sobie język, nim ujawniłabym im twoje imię.

- Teraz tak mówisz. Lecz gdybyś miała na szyi Rada'Han, błagałabyś, żeby pozwoliły ci mnie wydać i w zamian zdjęły to... Tu nie chodzi o moje

przebaczenie. Bezimienny nie wybaczy, jeżeli zdradzisz. Kiedy spojrzysz mu w oczy, to wszystko, co by ci za życia uczyniono Rada'Han, wyda ci się niewinną igraszką.

- Ależ służę... Przysięgałam... Złożyłam przysięgę.

- Te, które dobrze służą, zostaną nagrodzone, gdy Bezimienny uwolni się spod zasłony. Ci, którzy go zawiodą lub zwalczają go, będą przez wieczność żałować swej pomyłki.

- Oczywiście, Sostro. - Gniewnie wpatrywała się w dywan. - Żyję tylko po to, by służyć. - Znow splotła palce. - Nie zawiodę naszego Pana. Przysięgam.

- Na twoją duszę.

Podniosła wyzywające, fiołkowo cętkowane oczy.

- Złożyłam przysięgę.

- Jak my wszystkie, Sostro. - Kiwnęła głową i usiadła swobodniej. - Jak my wszystkie. - Przez chwilę patrzyła tamtej w oczy. - Czy księga mówiła coś jeszcze?

- Nie miałam czasu, żeby ją dokładnie przejrzeć, lecz zauważyłam to i owo. On jest z Matką Spowiedniczką. Ma być jej mężem.

- Matka Spowiedniczką. - Zmarszczyła brwi, po czym machnęła ręką. - To żaden problem. Co jeszcze?

- Jest Poszukiwaczem.

- Przekleństwo Światłu! - Uderzyła dłonią w biurko i ze świstem wciągnęła powietrze. - Poszukiwacz. Cóż, poradzimy sobie z tym. Coś więcej?

Tamta z wolna potaknęła, pochylając się bliżej.

- Jest mocny i dorosły, a migreny pozbawiły go przytomności w dwa dni po tym, jak obudził swój dar.

Siostra wolno podniosła się z krzesła. Tym razem zdumienie rozszerzyło jej oczy.

- Dwa dni - szepnęła. - Jesteś pewna? Dwa dni?

- Powtarzam jedynie to, co mówiła księga. - Tamta wzruszyła ramionami. Wiem, co mówię, ale nie mam pojęcia, czy to prawda. No bo jak by to było możliwe?

Znow opadła na krzesło.

- Dwa dni. - Wpatrywała się w blat biurka. - Im szybciej założymy mu na szyję Rada'Han, tym lepiej.

- Nawet Siostry Światła zgodzą się z tobą co do tego. Przesłano im wiadomość. Od Ksieni.

- Sama Ksieni przesłała polecenia?

- Tak - potwierdziła tamta i sama do siebie szepnęła: - Chciałabym wiedzieć, czy ona jest z nami, czy przeciw nam.

Siostra udała, że tego nie usłyszała.

- Co im przekazała?

- Że Siostra Verna powinna go zabić, jeżeli odrzuci trzecią ofertę. Słyszałaś kiedy podobny rozkaz? Jeśli naprawdę ma taką moc i odrzuci trzecią ofertę, to za parę tygodni migreny i tak go zabiją. Po co wydała takie polecenie?

- Czy kiedykolwiek słyszałaś, żeby ktoś odrzucił pierwszą ofertę?

- Nie, nie słyszałam.

- To jedna z reguł. Jeżeli ktoś z darem odrzuci wszystkie trzy oferty, to należy go zabić, by oszczędzić mu końcowych cierpień i szaleństwa. Nigdy przedtem nie widziałaś takiego rozkazu, bo nie słyszałaś wcześniej o kimś, kto odrzuciłby pierwszą ofertę. Spędziłam wiele czasu w archiwach, przeglądając proroctwa. To wtedy napotkałam wzmianki o tym prawie. Ksieni zna wszystkie niezrozumiałe, stare prawa. I boi się; ona też czytała proroctwa.

- Boi się? - zdumiała się tamta. - Ksieni? Nigdy nie widziałam, żeby się czegokolwiek bała.

- Ale teraz się boi - powtórzyła Siostra. - Każde rozwiązanie przysłuży się naszej sprawie. Albo założą mu obrożę, albo umrze. Jeżeli założą mu Rada'Han, to postąpimy z nim po naszymu, jak to zawsze czynimy. Jeżeli umrze, to kłopot z głowy. Może i lepiej, by umarł. Może lepiej byłoby, gdyby umarł, zanim Siostry Światła odkryją, kim jest, jeśli już tego nie wiedzą.

Przybyła ponownie przechyliła się przez biurko, ścisząc głos. - Jeżeli wiedzą albo się zorientują, to i wśród Sióstr Światła są takie, które go zabiją.

Siedząca kobieta przez chwilę obserwowała fiołkowe cętki.

- O tak, są - uśmiechnęła się. - Cóż za niebezpieczny dla nich dylemat. Jakaż wspaniała sposobność dla nas. - Uśmiech zniknął. - A co w tej drugiej sprawie?

Stojąca przed biurkiem kobieta wyprostowała się.

- Ranson i Weber czekają tam, gdzie chciałaś. - Założyła ręce na brzuchu.

- Są zadowoleni i pewni siebie, bo przeszli wszystkie próby i jutro mają być uwolnieni. - Na wąskich ustach i w cętkowanych oczach zaigrał sadystyczny uśmiezek. Przypomniałam im, iż wciąż mają obrożę. Dziwne, że nie słyszymy, jak się im trzęsą kolana.

Kobieta zza biurka zignorowała ów uśmiezek.

- Mam lekcje. Pójdiesz za mnie. Powiesz im, że muszę popracować nad raportami. Ja natomiast zajmę się dwoma naszymi przyjaciółmi. Może i przeszli wszystkie próby Ksieni, lecz jeszcze nie przeszli moich. Jeden powinien złożyć przysięgę. A drugi...

- Który? - Tamta pochyliła się nisko nad biurkiem; cętkowane oczy pały dziwnie. - Którego zamierzasz... Och, tak bym chciała na to popatrzeć. Albo pomóc. Obiecujesz, że mi wszystko opowiesz?

- Wszystko. - Siostrę rozbawił zapach przybyłej. - Obiecuję. Od początku do końca. O każdym końcowym wrzasku. A teraz idź i zajmij się za mnie tymi lekcjami.

Tamta wyszła tanecznym krokiem jak trzpiotowata uczennica. Była zbyt gorliwa. Niebezpieczny to rodzaj gorliwości. Taka pasja sprawia, że można zapomnieć o ostrożności, o tym, że się ryzykuje. Kobieta wyjęła nóż z szuflady. Zanotowała w pamięci, by w przyszłości mniej korzystać z usług tamtej i mieć na nią oko. Sprawdziła broń - była ostra jak brzytwa; wsunęła ją do rękawa, rękawa bez woreczka. Wzięła z półki niewielką, zakurzoną statuetkę i wsunęła ją do kieszeni. Zanim obeszała biurko, przypomniała sobie jeszcze o czymś - odwróciła się i zabrała gruby pręt, oparty z boku o biurko.

Było już późno; korytarze były ciche i prawie puste. Nie zważając na ciepło, mocniej otuliła ramiona krótką, cienką pelerynką z błękitnej bawełny. Zimno zrobiło jej się na myśl o tym nowym z darem. Dorosły. Mężczyzna. Szła, potrząsając głową, po długich dywanach, obok lamp ustawionych na półeczkach zamocowanych do boazerii z wiśniowego drewna, obok stolików przystrojonych suszonymi kwiatami, obok okien osłoniętych ciężkimi kotarami, wychodzących na dziedziniec i zewnętrzne mury obronne. Światła odległego miasta migotały jak morze gwiazd. Od okien napływało cuchnące nieco powietrze. Pewno wkrótce zacznie odpływ, pomyślała.

Krzążące się tu i ówdzie sprzątaczkę, zginały się przed idącą w głębokim ukłonie. Ledwo je zauważała, a już na pewno nie odpowiadała im

zwyczajowym pozdrowieniem. Nie były godne jej uwagi.

Dorosły. Już mężczyzna.

Twarz paliła ją z gniewu na tę myśl. Jak to możliwe? Ktoś się poważnie pomylił. Pomyłka. Przeoczenie. Na pewno.

Przykucnięta służąca zmywała plamę na dywanie; uniosła wzrok w samą porę, by uskoczyć jej z drogi ze słowami „Wybacz, Siostrze”. Dotknęła czołem podłogi, ponownie przepaszając.

Dorosły. I tak trudno byłoby go przeciągnąć na ich stronę; nawet chłopca ciężko zmienić. Ale mężczyznę? Znów potrząsnęła głową. Dorosły. Zirytowana, uderzyła prętem o udo. Dwie służące podskoczyły, słysząc ten odgłos, i padły na kolana, skrywając zamknięte oczy za modlitewnie wzniesionymi dłońmi.

Cóż, dorosły czy nie, będzie miał na szyi Rada’Han, a wokół siebie pałac pełen czuwających nad nim Sióstr. Lecz nawet w Rada’Han pozostanie dojrzałym mężczyzną. Poszukiwaczem. Trudno go będzie kontrolować. Niebezpiecznie trudno.

Hmm, w razie potrzeby zawsze może go spotkać „wypadek podczas szkolenia”. A jeśli nie, to takiemu z darem grozi mnóstwo innych niebezpieczeństw, z których wyjdzie gorzej niż martwy. Gdybyż tak zdołała go wykorzystać lub przeciągnąć na ich stronę... To by wynagrodziło wszelkie trudy.

Skreśliła w kolejny korytarz. Z początku myślała, że jest pusty, później jednak dostrzegła młodą kobietę, stojącą w cieniu pomiędzy lampami i wyglądającą przez okno. Rozpoznała ją, jak się jej zdawało. Jedną z nowicjuszek. Stała za dziewczyną i skrzyżowała ramiona. Nowicjuszka, wsparta na łokciach, patrzyła przez otwarte okno - spoglądała na bramy.

Siostra chrząknęła. Tamta okręciła się, na moment wstrzymując oddech, i skłoniła się nisko.

- Wybacz, Siostrze, nie słyszałam, że nadchodzisz. Dobry wieczór.

Dziewczyna podniosła wielkie, piwne oczy. Kobieta podsunęła jej pod brodę koniec pręta, unosząc wyżej głowę nowicjuszki.

- Pasha, nieprawdaż?

- Tak, Siostrze. Pasha Maes. Nowicjuszka, trzeci poziom. Teraz moja kolej zostać Siostrą.

- Teraz twoja kolej - prychnęła Siostra. - Zarozumiałstwo nie przystoi

Siostrze, a tym bardziej nowicjuszcze. Nawet tej z trzeciego poziomu.

Pasha spuściła wzrok i skłoniła się, choć przeszkadzał jej w tym tkwiący wciąż pod brodą pręt.

- Tak, Siostro. Wybacz mi.

- Co tu robisz?

- Patrzę, Siostro. Obserwuję noc.

- Obserwujesz noc. A mnie się zdawało, że spoglądasz na bramy. Czyżbym się myliła, nowicjuszko?

Dziewczyna spróbowała opuścić oczy, lecz pręt uniósł jej brodę i nie mogła odwrócić wzroku od oczu wyższej rangą kobiety.

- Nie mylisz się, Siostro - przyznała. - Patrzyłam na bramy. - Kilka razy oblizwała pełne wagi, a wreszcie palnęła: - Słyszałam plotki. Dziewczęta paplały, że jakiś czas temu wyruszyły gdzieś trzy Siostry i że pewno powrócą z kimś, kto ma dar. Przyprawdzą nowego. Przez te wszystkie lata, które tu spędziłam, nie widziałam, by sprowadzono kogoś nowego. - Znów oblizwała wargi. - Jestem... to znaczy... mam nadzieję, że teraz moja kolej zostać Siostrą. Skoro mam być Siostrą, to ten nowy zostanie mi przydzielony. - Splotła palce. - Tak bym chciała zostać Siostrą. Przykładnie się uczyłam, ciężko pracowałam. Czekałam i czekałam. Nie było nikogo nowego. Wybacz, Siostro, że jestem taka podekscytowana, ale mam nadzieję, że się okażę godna. Więc... tak, spoglądałam na bramę, bo liczyłam, że zobaczę, jak go wiodą.

- Uważasz, iż masz dość mocy, by podołać zadaniu? Żeby pokierować nowym?

- Tak, Siostro. Codziennie uczę się formuł i wypróbuję je w praktyce.

Starsza spojrzała lekceważąco na dziewczynę.

- Ach tak? No to pokaż.

Patrzyły na siebie. Siostra poczuła, jak jej stopy unoszą się o parę cali nad podłogę. Mocny, krzepki uchwyt powietrza. Nieźle. Ciekawe, czy nowicjuszka poradzi sobie z zakłóceniami. Na obu krańcach korytarza buchnął ogień i z rykiem pomknął ku obu kobietom. Pasha nie drgnęła. Ogień nie dotarł do nich - zderzył się z powietrznym murem. Powietrze to nie najlepszy sposób na pożogę. Dziewczyna szybko naprawiła tę pomyłkę. Płomienie nie zdołały się przedrzeć - powietrze zwilgotniało, zaczęło się skraplać. Ogień zgasł z sykiem.

Siostra nie próbowała się poruszyć, lecz wiedziała, że i tak by nie mogła. Czuła, jak krzepko więzi ją powietrzny kokon. Sprawiała, że kokon zmienił się w kruchy lód i rozbiła go. Uwolniła się i uniosła Pashę z podłogi. Obronne zaklęcia nowicjuszki bezskutecznie próbowały się przeciwstawić zaciekłemu atakowi Siostry. Kobieta ponownie oderwała się od podłogi. Imponujące - dziewczyna potrafiła kontrować nawet w takiej sytuacji.

Zaklęcia splątały się, zwalczały, zderzały, zasupływały. Każda parowała cios, broniła się i uderzała przy nadarzającej się sposobności. Obie wisiały parę cali nad podłogą. Milcząca, skryta walka szalała przez jakiś czas.

W końcu Siostrze się to znudziło - wyzwoliła się z sieci i przerzuciła je na dziewczynę. Łagodnie spłynęła na podłogę, a Pasha musiała radzić sobie z tym wszystkim. Proste, przebiegłe wyjście z sytuacji: kazać przeciwnikowi uporać się nie tylko z atakującymi zaklęciami, ale i przerzucić nań jego własne uroki. Pasha zupełnie się tego nie spodziewała i nie była w stanie się przed tym obronić; nie uczono jej czegoś takiego.

Pot sływał po ściągniętej twarzy nowicjuszki. Wyzwolona moc sprawiała, że zwijały się naroża dywanów. Lampy pobrzękiwały na swoich półeczkach. Pasha zaczynała się złościć. Zmarszczyła brwi. Wreszcie złamała zaklęcie - więżąca ją klatka pękła z trzaskiem, rozprysnęło się lustro w głębi korytarza. Stopy dziewczyny dotknęły podłogi. Odetchnęła głęboko parę razy.

- Nigdy się z czymś takim nie spotkałam, Sostro. To... to niezgodne z zasadami.

Pręt znów znalazł się pod brodą dziewczyny.

- Zasady są dobre w dziecięcych zabawach. Nie jesteś już dzieckiem. Jako Siostra będziesz sobie musiała radzić w sytuacjach, w których nie obowiązują żadne reguły. Musisz być na to przygotowana. Jeśli zawsze będziesz działać według jakichś „zasad”, to możesz stwierdzić, że celuje w ciebie ostry nóż, trzymany przez kogoś, kogo one nie obchodzą.

- Tak, Sostro. - Pasha zachowała spokój. - Dziękuję za lekcję.

Kobieta uśmiechnęła się w duchu, lecz jej twarz pozostała poważna. Ta mała miała charakterek. Rzadka to cecha u nowicjuszki, nawet takiej z trzeciego poziomu. Siostra ponownie się przyjrzała Pashy: miękkie kasztanowate włosy sięgające ramion, duże, piwne oczy, powabna buzia, usta przyciągające spojrzenia mężczyzn, dumnie wyprostowane ramiona i

kształty, których nawet strój nowicjuszek nie zdołał ukryć ni zeszpeci. Przesunęła pręt od podbródka dziewczyny, przez szyję aż po piersi widoczne w rozchylonej, nie zapiętej sukni.

Mężczyzna.

- A od kiedyż to, Pasho - powiedziała tonem, który mógł uchodzić za groźbę - pozwala się nowicjuszkom nosić tak porozpinane pod szyją szatki?

Dziewczyna zaczerwieniła się gwałtownie.

- Wybacz mi, Sostro. Taka ciepła dziś noc. Byłam tu sama... nie spodziewałam się, że ktoś nadejdzie. Chciałam tylko, by wiaterek ochłodził mi skórę. - Zarumieniła się jeszcze bardziej. - Skóra bardzo mi się poci w tym miejscu. Nie zamierzałam nikogo urazić. Tak mi wstyd. Wybacz mi.

Dłonie Pashy skoczyły ku guzikom. Kobieta łagodnie odsunęła je prętem od piersi dziewczyny.

- To Stwórca cię taką uczynił. Nie powinnaś się wstydzić tego, czym w swojej mądrości cię obdarzył. Nigdy, Pasho, nie powinnaś się wstydzić wdzięków, które masz z jego woli. Tylko pozorujący lojalność wobec Stwórcy mogą cię ganić za to, że z dumą ukazujesz wspaniałe dzieło jego rąk.

- Oooo... dziękuję, Sostro. Nigdy tak na to nie patrzyłam. - Zmarszczyła brwi. - Co rozumiesz przez „porozpinane pod szyją szatki”?

Kobieta cofnęła pręt i znacząco uniosła brew.

- Ci, którzy czczą Bezimiennego, wcale się nie chowają w mrokach, moja droga. Mogą być wszędzie. Nawet i ty możesz być jedną z nich. Albo ja.

Pasha przyklękła na jedno kolano i schyliła głowę.

- Błagam, Sostro. Nie mów o sobie takich rzeczy nawet w żartach. Jesteś Siostrą Światła; przebywamy w Pałacu Proroków, nie narażone na podszepty Bezimiennego.

- Nie narażone? - Kiwnęła prętem na nowicjuszkę, żeby wstała, i patrzyła na nią surowo. - Tylko głupia gęś może uważać, iż jest bezpieczna; nawet tutaj. Siostry Światła nie są niemądre. Również one powinny się strzec mrocznych podszeptów.

- Zapamiętam to, Sostro.

- Przypominaj to sobie za każdym razem, gdy ktoś każe ci się wstydzić kształtów, którymi obdarował cię Stwórca. Zapytaj sama siebie, dlaczego się wstydzą, widząc dzieło Stwórcy. Czemu się wstydzą tak, jak zawstydziłby się Bezimienny.

- Dobrze, Siostró... Dziękuję - zająknęła się nieco Pasha. - Muszę się nad tym zastanowić. Nigdy przedtem nie myślałam tak o Stwórcy.

- On nigdy nie czyni niczego bez powodu, prawda?

- Co masz na myśli?

- Hmm, po co daje mężczyźnie silny grzbiet?

- Każdy to wie. Mężczyźnie dano silny grzbiet, żeby zeń właściwie korzystał. Stwórca dał mu siły po to, by dzięki swej pracy mógł wyżywić rodzinę. Osiągnąć powodzenie. Zadowolić Stwórcę. Nie wolno mu marnować tego daru Stwórcy przez tkwienie w lenistwie.

Kobieta machnęła prętem przed Pashą.

- Jak myślisz, po co Stwórca dał ci takie ciało?

- Nnie wiem... Właściwie to nie wiem. Żeby się nim posłużyła... tak, by Stwórca... mógł być dumny ze swego dzieła?

Siostra potakująco skinęła głową.

- Przemyśl to. Przemyśl, dlaczego tutaj jesteś. Jesteś właśnie teraz. Wszystkie znajdujemy się tutaj z jakiegoś powodu. Siostry Światła są tu nie bez przyczyny, nieprawdaż?

- O tak, Siostró. Jesteśmy tutaj po to, żeby szkolić mających dar. Uczyc ich, jak się mają nim posługiwać. Tak nimi kierować, by słyszeli jedynie głos Stwórcy, a byli głusi na podszepty Bezimiennego.

- Dlaczego możemy tego dokonać?

- Bo Stwórca uczynił nas czarodziejkami, dzięki czemu potrafimy kierować tymi z darem i uczyć ich.

- Skoro Stwórca w swej mądrości uczynił cię czarodziejką, to chyba nie bez powodu obdarzył cię takim ciałem, nieprawdaż? Może łączy się to z twoim powołaniem do wstąpienia do Sióstr Światła? Może powinnaś wykorzystać swoje wdzięki w jego służbie?

- Nigdy o tym nie myślałam. - Pasha była wyraźnie zdumiona. - Jak mogę wykorzystać swój wygląd? W czym to może pomóc?

- Cóż, nie zawsze znamy zamysły Stwórcy. - Siostra wzruszyła ramionami. - Daje nam poznać, kiedy zechce.

- Oczywiście, Siostró - potwierdziła niepewnie dziewczyna.

- Co myślisz, Pasho, kiedy widzisz mężczyznę, którego Stwórca obdarzył kształtnym ciałem i urodą? Co czujesz, patrząc nań?

- Ja... czasem... serce mi mocniej bije. - Nowicjuszka zarumieniła się. -

Podoba mi się. Budzi we mnie... tęsknoty... i... i pragnienia.

- Nie trzeba się rumienić, moja droga. - Siostra wreszcie leciutko się uśmiechnęła. - To chęć dotknięcia dzieła Stwórcy. Nie sądzisz, że Stwórca jest zadowolony, iż podziwiasz jego dzieło? Nie myślisz, że chce, byś z przyjemnością patrzyła na to, co stworzył, cieszyła się tym i korzystała z tego? Powinnaś wiedzieć, iż mężczyźni z zachwytem patrzą na twoją urodę i pragną dotknąć tego, co stworzyła jego ręka. Grzechem wobec Stwórcy byłoby nie wykorzystać w jego służbie tego, czym cię tak hojnie obdarzył.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy - uśmiechnęła się nieśmiało Pasha. - Otworzyłaś mi oczy, Siostrze. Im więcej się dowiaduję, tym bardziej zdaję sobie sprawę, jak niewiele wiem. Mam nadzieję, iż kiedyś będę Siostrą Światła choć w części tak mądrą jak ty.

- Wiedza przychodzi, kiedy chce, Pasho. Najważniejsze rzeczy poznajemy wtedy, gdy się tego najmniej spodziewamy. - Wskazała prętem okno. - Stoisz sobie, wyglądając przez okno i mając nadzieję, że się czegoś dowiesz, a tymczasem nauczyłaś się czegoś o wiele ważniejszego.

- Jakże ci jestem wdzięczna, Siostrze - Pasha dotknęła ręki tamtej - że poświęciłaś swój czas, by mnie czegoś nauczyć. Żadna z Sióstr nie rozmawiała ze mną tak otwarcie.

- Ta lekcja nie mieści się w pałacowym programie nauki, Pasho. Bezimienny gniewałby się, że się tego dowiedziałaś, więc zachowaj to dla siebie. Lepiej pojmiesz, jak pracować dla Stwórcy, gdy przemyślisz to, co powiedziałam, i kiedy odsłonią się jego zamysły. Zawsze będę do twojej dyspozycji, gdybyś potrzebowała dalszych wskazówek i wyjaśnień. Lecz nie mów innym o naszej rozmowie. Jak już mówiłam, nigdy nie wiadomo, kto słucha podszeptów Bezimiennego.

- Nikomu nie powiem, Siostrze. - Pasha skłoniła się przepisowo. - Dziękuję ci.

- Nowicjuszka jest poddawana wielu próbom. Próbom obmyślonym w pałacu. Rządzą nimi odpowiednie zasady. Próba ostatnia, poprzedzająca mianowanie Siostrą Światła, to przydzielenie opieki nad nowo przybyłym. W tym ostatecznym teście zasady nie zawsze się przydają. Może być trudno uzyskać kontrolę nad nowo przybyłym. Ale to nie oznacza, iż jest on złym człowiekiem.

- Trudno?

- Oczywiście. Przybywają tu, wyrwani z dotychczasowego życia, jedyne, jakie znali. Nagle znajdują się w zupełnie obcym miejscu i nie pojmują, czego się od nich wymaga. Mogą się buntować, nie chcą poddać się kontroli. To dlatego, że się boją. Musimy być cierpliwi.

- Boją się? Sióstr? Pałacu?

- A ty się nie bałaś, gdy się tu pierwszy raz znalazłaś? Nie lękałaś się ani trochę?

- No, może troszeczkę. Ale marzyłam o tym, żeby tu przybyć. Pragnęłam tego nade wszystko.

- Nie wszyscy nowi o tym marzą. Własna moc wprawia ich w zakłopotanie. Twoja rosła wraz z tobą. Stanowiła część ciebie, byłaś do niej przyzwyczajona. Z nimi jest inaczej: czasem moc budzi się nagle, nieoczekiwanie. Nie tego oczekiwali, nie tego pragnęli. Rada'Han może wyzwolić moc, a to dla nich nowość. I niekiedy potrafi ich przerazić. Czasem strach sprawia, że walczą ze swoim darem. Z nami. Do ciebie, nowicjuszki trzeciego poziomu, należy uzyskanie nad nimi kontroli, dla ich własnego dobra, i przygotowanie ich do nauczania przez Siostry. Do tej pory uczyłaś się i postępowałaś według reguł. Tutaj czasami nie ma żadnych reguł. Nowo przybyli nie znają jeszcze naszych zasad. Jeżeli będziesz się stosować tylko do znanych ci prawideł, możesz mieć kłopoty z zapanowaniem nad nimi. Zdarza się, że i obroza nie wystarcza. Musisz wykorzystać wszystko, co dał ci Stwórca. Powinnaś móc uczynić wszystko, co trzeba, żeby uzyskać kontrolę nad wolą tych nie wyszkolonych czarodziejów. To ostatnia próba przed zostaniem Siostrą. Niektóre nowicjuszki zawodziły w niej i musiały opuścić pałac.

- Nigdy o tym nie słyszałam - wykrztusiła zdumiona Pasha. - A więc okazałam się pomocna. Cieszę się, że Stwórca właśnie mnie wybrał, bym ci pomogła. Może inne zataiły to przed tobą, bo wcale nie chciały, żeby ci się powiodło. Może to do mnie powinnaś się zwracać z problemami dotyczącymi nowego, którego ci przydzielą.

- O, tak. Dziękuję, Siostro, za pomoc. Przyznaję, że zasmuca mnie, iż nowi mogą sprawiać kłopoty. Zawsze sobie wyobrażałam, że się palą do nauki i że uczenie ich oraz pokazywanie im pałacu to sama przyjemność.

- Są bardzo różni. Niektórzy są potulni jak maleńkie dzieci. Miejmy nadzieję, iż tobie trafi się właśnie taki. Inni wystawią cię na próbę. Stare

zapiski opowiadają o takich, którzy wyzwolili swój dar, zanim do nich dotarliśmy, założyliśmy Rada'Han i mogliśmy im pomóc.

- O nie... To musiało być dla nich straszne: moc wyzwolona bez naszych wskazówek.

- Istotnie. I ze strachu, jak już mówiłam, stają się kłopotliwi i niezdolni. Widziałam też zapiski mówiące o kimś, kto odrzucił pierwszą propozycję założenia obroży.

Dziewczyna zamarła, zasłoniła usta dłonią, po czym ją cofnęła.

- Ale... to znaczy... że jedna z Sióstr... Kobieta potaknęła poważnie.

- To cena, którą jesteśmy gotowe zapłacić. Cięży na nas wielka odpowiedzialność.

- Dlaczego rodzice nie skłonili go, by się zgodził?

Siostra nachyliła się ku Pashy, ścisząc jednocześnie głos.

- Zapiski mówią, że ów z darem był już dorosły. Że był mężczyzną.

Szeroko otwarte oczy dziewczyny pełne były zdumienia i niedowierzania.

- Mężczyzna? - wyszeptała. - Jeśli trudno zapanować nad chłopcem... to cóż dopiero nad mężczyzną?

- Jesteśmy tu po to, żeby służyć Stwórcy - pouczyła ją surowo Siostra. - Nigdy nie znasz zamysłów Stwórcy, nigdy nie wiesz, czemu obdarzył cię tym, co masz. Nowicjuszka mająca pod opieką nowego powinna zrobić użytek ze wszystkiego, w co Stwórca ją wyposażył. Obroża nie zawsze wystarcza. Nigdy nie wiadomo, co będziesz musiała uczynić. Reguły nie za każdym razem się sprawdzają. Nadal chcesz zostać Siostrą Światła, choć wiesz, że możesz dostać kogoś, kto będzie kłopotliwszy od wszystkich tych, którzy do tej pory zjawili się w pałacu?

- O, tak! Tak, Siostro! Jeśli ten nowy okaże się taki trudny, to będę wiedzieć, że sam Stwórca zesłał na mnie tę próbę, by się przekonać, czy jestem godna. Nie zawiodę. Zrobię, cokolwiek będzie konieczne. Wykorzystani wszystko, czego się nauczyłam, wszystko, czym Stwórca mnie obdarował. Będę przygotowana na to, że nowy może być z obcej krainy, że może mieć osobliwe obyczaje, że się może bać, sprawiać kłopoty czy być oporny. I że może będę musiała ustanowić swoje własne zasady, by mi się powiodło. - Zawahała się. - A jeśli naprawdę mi pomożesz, jak mówiłaś, to wiem, iż wesprze mnie cała twoja wiedza i że dzięki temu nie zawiodę.

Kobieta z uśmiechem skinęła głową.

- Dałam słowo. I dotrzymam go bez względu na trudności. - W zamyśleniu zmarszczyła czoło. - Może po to obdarowano cię urodą, żeby ten nowy mógl poprzez ciebie dostrzec piękno Stwórcy. Może tak masz wskazać mu jego drogę.

- Zaszczycem będzie ukazanie nowemu blasku Stwórcy.

- Masz rację, moja droga. - Siostra wyprostowała się i złożyła dłonie. Chcę, byś poszła do przełożonej nowicjuszek i powiedziała jej, że masz za wiele wolnego czasu i że od jutra powinnaś mieć przydzielone nowe zadania. Powiedz jej, iż zbyt wiele czasu spędzasz na wyglądaniu przez okna.

Pasha pochyliła głowę i znów się skłoniła nisko.

- Dobrze, Siostro - powiedziała potulnie.

Starsza uśmiechnęła się, kiedy nowicjuszka podniosła wzrok.

- Ja też słyszałam, że trzy Siostry pojechały po kogoś, kto ma dar. Myślę, iż jeszcze trochę czasu upłynie, zanim z nim powrócą, jeśli w ogóle wrócą. Lecz kiedy to się stanie i jeżeli go przyprowadzą, przypomnę Ksieni, że teraz twoja kolej i że jesteś gotowa.

- Ooo, dziękuję, Siostro! Dziękuję!

- Jesteś, Pasho, piękną młodą kobietą. Stwórca istotnie ukazał w tobie całą krasę swego dzieła.

- Dziękuję, Siostro. - Nowicjuszka się nie zarumieniła.

- Podziękuj Stwórcy.

- Na pewno to uczynię, Siostro. Siostro...? Czy mogłabyś, nim pojawi się ów nowy, wyjaśnić mi zamiary Stwórcy wobec mnie? Pomóc mi zrozumieć, czego on ode mnie oczekuje?

- Jeżeli tego chcesz.

- O tak, chcę. Naprawdę chcę. Kobieta pogładziła policzek Pashy.

- Ależ oczywiście, moja droga. Chętnie. - Spoważniała. - A teraz marsz do przełożonej nowicjuszek. Nie życzę sobie, by prawie-że-Siostra marnotrawiła czas na wyglądanie przez okno.

- Tak, Siostro. - Dziewczyna skłoniła się z uśmiechem i pospiesznie odeszła. Wtem zatrzymała się i odwróciła. Siostro... przecież nie znam twojego imienia.

- Idź już!

Pasha wzdrygnęła się.

- Jak każesz, Siostró.

Kobieta patrzyła, jak nowicjuszka kołysze biodrami, idąc szybko w głąb korytarza. Po drodze poprawiała stopą pozwijane rogi dywanów. Ależ ma zgrabne kostki, pomyślała.

Dorośli, mężczyzna.

Siostra zebrała myśli i poszła dalej korytarzami i schodami. Schodziła wciąż niżej i niżej. Drewniane schody przeszły w kamienne. Ochłodziło się, choć nie zmniejszył się zaduch i odór odpływu. Migotliwy blask rzadko rozmieszczonych pochodni zastąpił ciepłe światło lamp. Służby, padającej na jej widok na kolana, było coraz mniej, wreszcie w ogóle zniknęła. Kobieta schodziła coraz niżej aż na ostatni poziom - poniżej zakurzonych magazynów, poniżej pomieszczeń dla służby, poniżej warsztatów. Pochodni było coraz mniej, w końcu zniknęły zupełnie. Siostra zapaliła na dłoni kulę ognia, oświetlając sobie nią drogę.

Wreszcie dotarła do właściwych drzwi. Posłała ogniową kulę z dłoni ku osadzonej przy framudze pochodni. Było to niewielkie pomieszczenie o kamiennych ścianach, jakaś nie wykorzystywana piwnica. Pusta, jeśli nie liczyć stęchłej słomy na podłodze, zapalonej pochodni i dwóch czarodziejów. Pachniała niezbyt przyjemnie płonąca smoła i zatęchła wilgocia.

Kiedy Siostra weszła, dwaj czarodzieje wstali, chwając się nieco. Obaj byli ubrani w jednobarwne szaty stosowne do ich wysokiej rangi. Uśmiechali się głupawo. To nie impertynencja, uświadomiła sobie przybyła; po prostu trochę wypili. Prawdopodobnie świętowali swoją ostatnią noc w Pałacu Proroków. Ostatnią noc u Sióstr Światła. Ostatnią noc z Rada'Han na szyi.

Ci dwaj dostali się do pałacu niemal jednocześnie i od razu się zaprzyjaźnili. Sam Weber był średniego wzrostu, niezbyt przystojny. Włosy miał jasnobrązowe, kręcone, twarz gładko wygoloną, o miękkich rysach i mocno zarysowanej, nie bardzo pasującej do reszty twarzy dużej szczęce. Neville Ranson był nieco wyższy; proste, czarne włosy nosił krótko przycięte i gładko przylizane. W krótkiej, ładnie przystrzyżonej brodzie mężczyzny zaczynały się pojawiać siwe pasma. Jego oczy były niemal tak ciemne jak włosy, a rysy, kiedy tak stał obok delikatnego przyjaciela, wydawały się jeszcze ostrzejsze.

Kobieta zawsze uważała, że Neville wyrósł na przystojnego mężczyznę.

Znała go od chwili, kiedy się pojawił w pałacu. Była wówczas nowicjuszka i dostała go pod opiekę; jej ostatnia próba przed zostaniem Siostrą Światła. Wiele, wiele lat temu.

Czarodziej Ranson położył sobie dłoń na żołądku i skłonił się nisko, choć chwiejnie. Wyprostował się, uśmiechając się szeroko. Ten uśmiech sprawiał, że wyglądał chłopięco pomimo swych lat i początków siwizny.

- Dobry wieczór, Siostro...

Z całej siły uderzyła go prętem w twarz. Czuła, jak chrupnęła kość policzkowa. Z krzykiem upadł na posadzkę.

- Przecież ci mówiłam - syknęła przez zaciśnięte zęby - żebyś nigdy nie wymawiał mego imienia, kiedy jesteśmy sami. Pijaństwo nie usprawiedliwia łamania zakazu.

Czarodziej Weber stał nieruchomo, blady, z szeroko otwartymi oczami. Już się nie uśmiechał. Ranson przetoczył się na brzuch, zasłaniając rękami twarz; na słomie został krwawy ślad. Oblicze Webera oblało się czerwienią.

- Jak śmiałaś to uczynić!? Przeszliśmy wszelkie próby! Jesteśmy czarodziejami!

Kobieta wysłała strumień mocy do Rada'Han. Uderzenie rzuciło mężczyznę na kamienną ścianę, a obroza przylgnęła do kamienia niczym żelazo do magnesu.

- Przeszliśmy testy! - wrzasnęła. - Przeszliśmy testy! Nie przeszliście moich testów! - Do tego stopnia wzmogła natężenie bólu, że Weber aż dusił się w męce. - Jak się zwracacie do Siostry!? To tak okazujecie należny jej szacunek!?

Przerwała strumień mocy i Weber, jęcząc, uderzył o posadzkę. Z wysiłkiem podniósł się na kolana.

- Wybacz mi, Siostro - powiedział ochryplym, pełnym bólu głosem. - Wybacz, błagam, nasz brak szacunku. - Ostrożnie spojrzał w jej pałające gniewem oczy. - To wina napitku. Wybaczasz nam? Wybaczasz?

Patrzyła nań, wsparta pod boki. Wskazała prętem tarzającego się z jękiem po posadzce Ransona.

- Ulecz go. Nie mam czasu na takie bzdury. Przyszłam tu, by poddać was próbie, a nie żeby patrzeć, jak zawodzi i skarży się, bo lekko go skarciłam.

Weber pochylił się nad przyjacielem i ostrożnie przetoczył go na plecy.

- Już dobrze, Neville. Pomogę ci. Leż spokojnie.

Odsunął drżące ręce Ransona, na ich miejsce położył swoje dłonie. Zaczął recytować formułki, uzdrawiać. Kobieta czekała niecierpliwie ze skrzyżowanymi ramionami. Nie trwało to długo.

Weber był utalentowanym uzdrawiaczem. Pomógł usiąść przyjacielowi, wziął garść słomy i wytarł krew z zaleczonej rany.

Ranson wstał. Oczy miał gniewne, ale głos spokojny.

- Wybacz mi, Siostrze. Czego od nas oczekujesz? Weber stanął obok Neville'a,

- Wypełniliśmy wszelkie polecenia Sióstr. Zakończyliśmy naukę.

Jesteśmy gotowi.

- Gotowi! Gotowi? Nie sądzę. Zapomnieliście o naszych rozmowach? Zapomnieliście, co wam mówiłam? Uważacie, że nie pamiętam? Że pozwolę, byście sobie radośnie stąd odeszli wolni jak ptaki? Nikt nie odchodzi stąd bez spotkania ze mną lub jedną z moich towarzyszek. Chodzi o złożenie przysięgi.

Tamci spojrzeli na siebie i cofnęli się o pół kroku.

- Jeśli nas wypuścisz, to złożymy ci przysięgę - zaproponował Weber.

Przez chwilę przyglądała się im, a potem powiedziała spokojnie:

- Przysięgniecie mi? To nie mnie macie złożyć przysięgę, chłopcy. To przysięga Opiekunowi. Przecież wiecie. - Pobledli. - Przysięgę składa się wtedy, kiedy jeden z was przejdzie próbę. Tylko jeden z was ją złoży.

- Jeden z nas? - zapytał Ranson; przełknął ślinę. - Tylko jeden z nas ma złożyć przysięgę, Siostrze? Dlaczego tylko jeden?

- Ponieważ ten drugi nie będzie musiał - szepnęła. - Umrze. Zachłysnęła się oddechem i przysunęła do siebie.

- Co to za próba? - spytał Weber.

- Zdejmijcie szaty i zaczynamy.

Znów spojrzeli na siebie. Ranson lekko uniósł rękę.

- Nasze szaty, Siostrze? Teraz? Tutaj? Popatrzyła na nich.

- Nie bądźcie tacy wstydliwi, chłopcy. Widziałam was pływających nago w jeziorze, kiedy byliście ot, tacy. - Zatrzymała dłoń tuż poniżej pasa.

- Ale wtedy byliśmy mali - zaprotestował Weber. - Dorośliśmy już.

- Nie każcie mi tego powtarzać. - Spiorunowała ich wzrokiem. - Bo spałę na was ubrania.

Drgnęli i zaczęli ściągać okrycia przez głowę. Rozmyślnie przyjrzała się

każdemu z nich od głów do stóp, okazując im w ten sposób swoją irytację. Obaj się zaczerwienili.

- Pod ścianę. Obydwaj. - Poruszyła nadgarstkiem i nóż wsunął się w jej dłoń.

Zbyt wolno wykonywali polecenie, więc posłużyła się obrozą i rozpląszczyła ich na murze. Unieruchomiła czarodziejów cienkim strumieniem mocy, skierowanym w Rada'Han. Stali, przyklejeni do ściany, i nie mogli nawet drgnąć.

- Nie zabijaj nas, Siostrze, błagam - wyszeptał Ranson. - Zrobimy, co zechcesz. Co zechcesz.

- O tak, zrobisz. - Popatrzyła nań. - A przynajmniej jeden z was. Ale jeszcze nie dotarliśmy do przysięgi. Przestań mleć językiem, bo ci go przytnę.

Byli zupełnie bezbronni. Podeszła najpierw do Webera. Przytknąwszy czubek noża do jego piersi, przesunęła powoli w dół, przecinając tylko skórę. Weber zaciskał zęby, pot spływał mu po twarzy. Policzki mu się trzęsły. Zrobiła nacięcie długie na łokieć, potem drugie, równoległe do poprzedniego, odległe może o palec. Dziwne, wysokie piski wyrwały się z gardła mężczyzny, kiedy nóż ciął jego ciało. Końce obu nacięć zbiegały się w jednym punkcie. Strumyczki krwi spływały po piersi Webera. Podważała nożem skórę od góry nacięć, aż oddzieliła spory kawałek.

Stała przed Ransonem i powtórzyła całą operację. Łzy spływały po twarzy czarodzieja wraz z potem, ale nie wydał dźwięku. Nie był taki głupi.

Skończyła, wyprostowała się i obejrzała swoje dzieło. Obaj wyglądali tak samo. Znakomicie. Schowała ostrze w rękawie.

- Jednemu z was zdejną jutro Rada'Han i odejdzie wolny. Przynajmniej gdy chodzi o Siostry Światła. Inaczej ma się sprawa ze mną, a co ważniejsze z Opiekunem. To będzie początek służby dla niego. Jeśli będziesz wierny, to otrzymasz nagrodę, kiedy Opiekun się uwolni z za zasłony. Jeżeli zawiedziesz... Cóż, nie musisz wiedzieć, co czekałoby cię, gdybyś go zawiódł.

- Dlaczego tylko jeden z nas, Siostrze? - spytał drżącym głosem Ranson. - Obaj możemy złożyć przysięgę. Obaj możemy służyć.

Oczy Webera spojrzały na przyjaciela. Nie lubił, gdy ktoś mówił w jego imieniu. Zawsze był uparty.

- To przysięga pieczętowana krwią. Jeden z was musi zwycięsko przejść

mój test, żeby móc ją złożyć. Drugi straci dziś swój dar, straci magiczną moc. Wiecie, jak czarodzieje tracą dar?

Obaj potrząsnęli przecząco głowami.

- Magia wycieka wraz z krwią, kiedy się ich odziera ze skóry - powiedziała, jakby chodziło o obranie gruszki. - Po kropelce, aż zniknie.

Weber gapił się na kobietę, twarz miał zupełnie białą. Ranson zamknął ciemne oczy, drżał.

Ujęła w palce skórę zwisającą pomiędzy nacięciami na piersiach obu mężczyzn.

- Pozwolę wam wybrać. A oto mała demonstracja tego, co czeka ochotnika. Nie chcę, żebyście myśleli, iż śmierć będzie łatwa. - Uśmiechnęła się do nich ciepło. - Pozwalam wam krzyczeć, chłopcy. Sądzę, że to będzie bolało.

Zdarła im obu z piersi pasy skóry. Zaczekała spokojnie, aż ucichną wrzaski, a nawet trochę dłużej, ponieważ chlípali. Należy pozwolić, by nauka głęboko zapadła w umysł.

- Błagam, Siostrze. Służymy Stwórcy, jak nauczyły nas Siostry - łkał Weber. - Służymy Stwórcy, a nie Opiekunowi.

Popatrzyła nań zimno.

- Skoro jesteś taki lojalny wobec Stwórcy, Samie, to wybieraj pierwszy. Chcesz być tym, który dziś umrze, czy tym, który będzie żyć?

- Dlaczego on? - spytał Ranson. - Dlaczego on pierwszy wybiera?

- Milcz, Neville'u. Będziesz mówił, kiedy cię zapytam. - Przeniosła wzrok na Webera, uniosła mu palcem brodę. - I cóż, Samie? Kto ma umrzeć: ty czy twój najlepszy przyjaciel? - Skrzyżowała ramiona na piersiach.

Popatrzył na nią nagle zapadniętymi oczami. Skórę miał szarą. Nie spojrzał na przyjaciela. Wyszeptał cicho:

- Ja. Mnie zabij. Daruj życie Neville'owi. Nie złożę przysięgi Opiekunowi. Wolę umrzeć.

Kobieta patrzyła przez chwilę w pozbawione wyrazu oczy Webera, po czym przeniosła wzrok na Ransona.

- A ty co powiesz, Neville'u? Kto ma żyć? Kto umrzeć? Ty czy twój najlepszy na świecie przyjaciel? Kto złożę przysięgę Opiekunowi?

Ranson popatrzył na Sama; tamten nie odwzajemnił spojrzenia. Obliznął wargi. Ciemne oczy zerknęły na Siostrę.

- Słyszałaś, co powiedział. Wybrał śmierć. Pozwól mu umrzeć, skoro tego chce. Ja wybieram życie. Złożę przysięgę Opiekunowi.

- Ofiarujesz mi duszę.

Z wolna skinął głową, oczy miał twarde, zawzięte.

- Moją duszę, tak.

- No cóż - uśmiechnęła się Siostra - dwaj przyjaciele podjęli decyzję. Każdy jest zadowolony. Niech tak będzie. Cieszę się, Neville'u, że to ty do nas dołączysz. Jestem z ciebie dumna.

- Muszę tu pozostać? - spytał Ranson. - Muszę na to patrzeć?

- Patrzeć? - Uniosła znacząco brew. - Musisz to zrobić.

Neville przełknął ślinę, ale jego oczy nie zmieniły wyrazu. Kobieta zawsze wiedziała, że to będzie on. Oczywiście, zdarzały się chwile zwątpienia, lecz w gruncie rzeczy wiedziała. Dobrze go wyszkoliła. Poświęciła mu mnóstwo czasu; mnóstwo czasu spędziła na przeciąganiu go na swoją stronę.

- Czy spełnisz moją prośbę? - wyszeptał Weber. - Czy zdejmiesz mi obrożę, zanim umrę?

- Żebyś mógł wyzwolić ogień życia czarodzieja i odebrać sobie życie, nim my ci je odbierzemy? Sądzisz, że jestem głupia? Głupia, słaba kobieta? - Potrząsnęła przecząco głową. - Odmawiam.

Uwolniła obie Rada'Han ze ściany. Weber osunął się na kolana, zwiesił głowę. Był sam w celi i wiedział o tym.

Ranson stanął, rozprostował ramiona. Wskazał na krwawą ranę na swojej piersi.

- A co z tym?

Kobieta spojrzała na Webera.

- Wstań, Samie. - Podniósł się posłusznie, ale nadal patrzył w podłogę. - Twój przyjaciel jest ranny. Uzdrów go.

Weber odwrócił się bez słowa, położył dłonie na piersi Ransona i zaczął go leczyć. Tamten stał prosto, nieruchomo, czekając, aż ból zniknie. Kobieta podeszła do drzwi, oparła się o nie. Patrzyła, jak Weber wykonuje swoją robotę. Swoją ostatnią robotę. Kiedy skończył, nie spojrzał ani na nią, ani na Ransona. Poszedł pod przeciwległą ścianę, osunął się po niej plecami i usiadł na posadzce. Ukrył twarz między podciągniętymi kolanami, oplótł nogi rękami.

Uleczony, lecz wciąż nagi, czarodziej podszedł do Siostry, stanął przed nią, czekał.

- Co mam uczynić?

Poruszyła nadgarstkiem, a nóż powtórnie znalazł się w jej dłoni. Podrzuciła broń i złapała za ostrze. Skierowała rękojeścią ku Ransonowi.

- Masz go obedrzeć ze skóry. Żywcem.

Dźgnęła go rękojeścią, więc w końcu uniósł rękę i wziął nóż. Odwrócił oczy od baczących oczu kobiety, spojrzał na ostrze w swojej dłoni.

- Żywcem - powtórzył.

Kobieta sięgnęła do kieszeni, po czym wyjęła małą figurkę cynowego mężczyzny, klęczącego na jednym kolanie i trzymającego nad głową kryształ. Drobną brodą twarz postaci ze zdumieniem patrzyła na kamień. Kryształ był lekko wydłużony, o ściętych końcach. Tkwiły w nim lśniące drobinki. Siostra starła kurz rogiem peleryny i podała statuetkę Ransonowi,

- To czarodziejski przedmiot absorbujący magię. Kryształ nazywany jest „quillion”. Wchłonie moc wyciekającą z twego obdartego ze skóry przyjaciela. Dopiero gdy cała magia znajdzie się w quillionie, rozjarzy się on pomarańczowym blaskiem. Przyniesiesz mi tę figurkę, by udowodnić, że dobrze wykonałeś zadanie.

Ranson przełknął ślinę.

- Tak, Sostro.

- Złożysz przysięgę, zanim stąd odejdę. - Wyciągnęła doń figurkę z kryształem i trzymała, dopóki jej nie wziął. - To będzie twoje pierwsze zadanie po zaprzysiężeniu. Zawieź teraz lub kiedykolwiek, a pożałujesz, że nie możesz się zamienić ze swym przyjacielem. Będziesz żałował przez całą wieczność.

Neville stał, trzymając w jednej ręce figurkę, w drugiej nóż.

- Tak, Sostro. - Zerknął przez ramię na skulonego pod ścianą Sama i ściszył głos. - Czy mogłabyś, Sostro... czy mogłabyś go uciszyć? Nie wiem, czy wytrzymam jego gadanie, gdy będę to robić.

- Masz nóż, Neville'u. - Uniosła znacząco brew. - Jeśli jego słowa będą ci przeszkadzać, to utnij mu język.

Ranson przełknął ślinę i na moment zamknął oczy. Otworzył je.

- A co, jeżeli umrze, zanim cała magia zeń wycieknie?

- Quillion sprawi, że będzie żyć, dopóki pozostanie w nim choć odrobina

magii. Kryształ zacznie lśnić dopiero wtedy, gdy wchłonie ją całą. Łatwo poznasz, kiedy to nastąpi. Potem zrobisz z nim, co zechcesz: nie obchodzi mnie to. Jeśli chcesz, możesz go natychmiast dobić.

- A jeśli będzie się starał mi przeszkodzić? - Nachylił się ku niej. - Swoją mocą.

Kobieta uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Zaradzę temu dzięki obroży. Nie będzie mógł cię powstrzymać. Kiedy umrze, nie pozostaną w nim siły życiowe trzymające Rada'Han na jego szyi i obroża się otworzy. Przyniesiesz mi ją razem z kryształem.

- A co z ciałem? Spojrzała nań surowo.

- Wiesz, jak się posługiwać magią subtraktywną. Sporo czasu poświęcałam na uczenie cię tego, na uczenie ciebie i innych. - Rzuciła okiem na Webera. - Wykorzystaj to. Pozbądź się ciała za pomocą magii subtraktywnej. Każdego skrawka, każdej kropli krwi.

Ranson lekko zeszywniał, po czym skinął głową.

- Dobrze.

- Zanim skończysz tutaj i przyjdiesz do mnie rankiem, czeka cię tej nocy jeszcze jedno zadanie.

Neville głęboko zaczerpnął powietrza i powoli je wypuścił.

- Jeszcze jedno zadanie? Czy muszę tej nocy wykonać i to drugie zadanie?

Kobieta uśmiechnęła się, poklepała go po policzku.

- To drugie na pewno ci się spodoba. Jest nagrodą za dobre wykonanie pierwszego. Przekonasz się, że służenie Opiekunowi jest nagradzane. Mam nadzieję, iż nigdy nie poznasz kar, jakie grożą tym, którzy zawiedli Opiekuna.

- Co to za zadanie? - spytał podejrzliwie.

- Znasz nowicjuszkę Pashę? Chrząknął.

- Chyba wszyscy mężczyźni w pałacu znają Pashę Maes. - I jak dobrze ją „znają”?

- Lubi się całować i ścisnąć po kątach. - Ranson wzruszył ramionami.

- Coś więcej niż ściskanie się i całusy?

- Znam paru takich, którzy wsunęli jej rękę pod spódnicę. Słyszałem, jak gadali, jakie ma wspaniałe nogi i że chętnie oddaliby swój dar, byle tylko ich nimi oplotła. Nie sądzę, by któryś to osiągnął. Są tacy, którzy czuwają nad

nią, jakby była bezbronnym kociątkiem. Zwłaszcza młody Warren.

- Warren jest jednym z tych, z którymi Pasha lubi się całować i ściskać?

- Nawet by go nie poznała, gdyby się przed nią zjawił. - Ranson zachichotał cicho. - Jeśli zdobył się na odwagę, by wyściubić nos z archiwów i spojrzeć jej w oczy. - Zmarszczył brwi. - Więc co to za zadanie?

- Chcę, żebyś poszedł do jej komnaty, kiedy już tu skończysz. Powiesz, że jutro zostaniesz uwolniony i że po przejściu wszelkich prób objawił ci się Stwórca. I że w tej wizji Stwórca nakazał ci się udać do niej i nauczyć ją, jak ma korzystać ze wspaniałego daru swojego ciała, który jej ofiarował. Jak ma go wykorzystywać, żeby się podobać mężczyznom, tak by była gotowa wypełnić zadanie, do którego on ją wyznaczył. Powiedz Pashy, że Stwórca rzekł, iż to jej pomoże poradzić sobie z nowym, najoporniejszym ze wszystkich, których przydzielono nowicjuszkom. Powiedz, że objawił ci, iż uczynił tę noc tak parną po to, by Pasha spociała się pomiędzy piersiami, nad sercem, i poznała, co Stwórca dla niej przeznaczył. - Uśmiechnęła się doń miękko. - Chcę, żebyś ją potem nauczył, jak się przypodobać mężczyźnie.

Ranson patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Sądzisz, że uwierzy choć w jedno moje słowo? Że się zgodzi? Kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Powtórz jej to, co ci mówiłam, Neville'u, a osiągniesz o wiele, wiele więcej niż wsunięcie ręki pod spódnicę. Pewno opasze cię nogami, zanim skończysz mówić.

Kiwnął głową, zdumiony.

- Dobrze.

Z rozmysłem skierowała spojrzenie we właściwy punkt.

- Cieszę się, że jesteś... dobrze wyposażony do tej roboty. - Znowu spojrzała mu w oczy. - Naucz ją wszystkiego, co trzeba, by zadowolić mężczyznę. Wszystkiego, czego ją zdołasz nauczyć do świtu, rzecz jasna. Dobrze ją przygotuj. Chcę, żeby wiedziała, jak uszczęśliwić mężczyznę i jak sprawić, by wciąż wracał po więcej.

- Dobrze, Siostrze - uśmiechnął się Ranson.

Oparła czubek przęta pod brodą czarodzieja i uniosła ją nieco.

- Obchodź się z nią łagodnie, Neville'u. Nie chcę, żebyś ją zranił. To ma być dla niej przyjemne doświadczenie. Pragnę, by w tym zasmakowała. - Znowu spojrzała na dolne partie ciała czarodzieja. - Jak najlepiej wykorzystaj

to, co masz.

- Żadna się nie skarżyła - burknął.

- Dureń. Kobiety nie mówią tego w oczy mężczyznom. Żalą się za ich plecami. Nie waź się wskoczyć na nią, zaspokoić się i zasnąć jak kłoda. Masz czas aż do świtu. Nie życzę sobie, byś spał tej nocy. Spraw, żeby wspominała to z czułością. Dobrze ją naucz. Wszystkiego, co sam umiesz. - Kobieta wyżej uniosła prętem brodę Ransona. - To przyjemne zadanie, lecz pamiętaj, że to służba Opiekunowi. Nie sprawdź się, a twoja służba gwałtownie się zakończy, za to udręka będzie trwać i trwać. Zapamiętaj każdy szczegół. Oczekuję rankiem dokładnego raportu, muszę wiedzieć, czego ją nauczyłeś. Opowiesz absolutnie wszystko. Muszę to wiedzieć, by kierować Pashą.

- Tak, Sostro.

Przeniosła wzrok na skulonego mężczyznę.

- Im prędyj tu skończysz, tym szybciej znajdziesz się u Pashy i tym więcej będziesz miał czasu na uczenie jej.

- Tak, Sostro - przytaknął z uśmiechem.

Cofnęła pręt, a Neville odetchnął. Kobieta gestem przywołała jego szatę. Rzuciła mu ją.

- Ubierz się. Wystawiasz się na wstyd. - Patrzyła, jak wciąga szatę przez głowę. - Jutro zacznie się prawdziwa służba, poważne zadanie.

Ukazała się głowa, potem ręce czarodzieja.

- Jaka służba? Jakie zadanie?

- Gdy tylko zostaniesz wyzwolony, musisz stąd odejść i podjąć służbę w swoim rodzinnym kraju. Pamiętasz swój kraj, nieprawdaż? Udasz się do Aydindril jako doradca arcyksięcia Fyrena. Masz tam wiele do zrobienia. To ważne rzeczy.

- Jakże?

- Porozmawiamy o tym rano. Teraz zaś, zanim przystąpisz do pierwszego i drugiego zadania, i do następnych, musisz złożyć przysięgę. Czy złożysz ją z własnej woli, Neville'u?

Obserwowała jego oczy. Patrzyły przez chwilę na skulonego pod ścianą przyjaciela. Potem przeniósł je na nóż i na quillion. Widziała, jak się zamgliły - myślał o Pashy.

- Tak, Sostro - wyszeptał. Skinęła głową.

- To świetnie, Neville'u. Uklęknij. Nadszedł czas przysięgi. Uklęknał;

kobieta uniosła rękę. Pochodnia zgasła i cela pogrążyła się w ciemnościach.

- Opiekunowi przysięga się w ciemnościach - szepnęła. - Bo ciemności są jego domeną.

ROZDZIAŁ 14

Kahlan ostrożnie otworzyła drzwi. Richard nie spał - siedział przed paleniskiem. Wraz z zamknięciem drzwi ucichły dziwaczne dźwięki boldasów i bębnow, dobiegające z centralnego placu wioski. Dziewczyna stanęła przy Richardzie, oparła głowę chłopaka o swoją nogę i przeczesała mu palcami włosy. - Jak bó] głowy?

- Już dobrze. Pomógł mi wypoczynek i napój Nissel. - Nie spojrzał na nią. - Czeka] tam na mnie, prawda?

- Tak. Już czas. - Pogłaskała go po ramieniu. - Na pewno zjesz to mięso, choć już wiesz, co to jest?

- Muszę.

- Ale to mięso. Dasz radę je zjeść?

- Muszę, jeżeli chcę zgromadzenia. Mus to mus. Zjem je.

- Niepokoi mnie ta narada, Richardzie. Wcale nie jestem przekonana, że powinieneś ją zwoływać. Może istnieje jakiś inny sposób. Człowiek Ptak też się o ciebie boi. Może powinieneś zrezygnować.

- Muszę to zrobić.

- Dlaczego?

- Bo to wszystko moja wina. - Patrzył w płomienie. - Jestem za to odpowiedzialny. To moja wina, że zasłona się rozdarła. Shota tak powiedziała. To moja wina. Wszystko stało się przeze mnie.

- Rahl Posepny do tego doprowadził. - I ja jestem Rahl - szepnął chłopak.

Kahlan popatrzyła nań, lecz nie odwzajemnił spojrzenia. - Wina ojca przeszła na syna? Uśmiechnął się leciutko.

- Nie wierzę w to stare powiedzonko, ale może jest w nim szczypta prawdy. - Wreszcie spojrzał jej w oczy. - Pamiętasz, co mówiła Shota? Że tylko ja mogę scalić zasłonę? Może powinienem ją naprawić, skoro Rahl Posepny rozdarł ją, uwalniając magię Ordenu, w czym miałem swój udział.

Dziewczyna patrzyła, jak blask płonącego ognia migoce w oczach Richarda.

- Więc uważasz... że skoro Rahl ją rozdarł, to i Rahl powinien scalić?

- Może. - Wzruszył ramionami. - To by wyjaśniało, dlaczego tylko ja mogę naprawić zasłonę. Może to nie jest właściwy powód, ale nic innego nie

przychodzi mi do głowy. - Uśmiechnął się. - Cieszę się, że się żenię z taką bystrą niewiastą.

Kahlan odwzajemniła uśmiech. Uszczęśliwiał ją fakt, że się uśmiechał.

- Hmm, ta bystra niewiasta nie pojmuje, dlaczego miałyby to być właściwa przyczyna.

- Może i nie jest, lecz muszę rozważyć i taką możliwość.

- To po co ci to zgromadzenie?

Oczy mu zabłysły, uśmiechnął się do niej chłopięco.

- Bo wymyśliłem. Wymyśliłem, co zrobimy.

Usiadł inaczej, twarzą do Kahlan, i skrzyżował nogi.

- Jutrzejszego wieczoru odbędzie się narada widzących i zdobędziemy jak najwięcej potrzebnych nam informacji, a rankiem, po naradzie... - Uniósł ku Kahlan dłoń z zębem smoczyca, uśmiechnął się do dziewczyny. - Rankiem przywołam Scarlet tym zębem. W ten sposób dostaniemy się do Zedda, do Aydindril, a moje migreny nie przedłużą i tak już długiej podróży wierzchem. Scarlet lata dzięki magii. Jej moc sprawia, że w krótkim czasie może pokonać szmat drogi. Odlecimy, zanim Siostry zdołają nas powstrzymać, a podróż za nami zajmie im sporo czasu. Nie chcę znów im odmawiać, przynajmniej na razie. Najpierw muszę się zobaczyć z Zeddem. Będzie wiedział, co robić: mam na myśli moje migreny. Po naradzie przywołam Scarlet. Upłynie prawdopodobnie sporo dnia, zanim do nas dotrze. - Pochylił się ku Kahlan i pocałował ją. - W tym czasie weźmiemy ślub.

- Ślub? - Serce zabiło jej z radości.

- Tak, ślub. Wszystko jednego dnia. Pojutrze. Załatwimy wszystko i odlecimy, nim minie dzień.

- O, Richardzie... bardzo bym chciała. Zrobmy to teraz. Teraz zawołaj Scarlet. Pobierzemy się rankiem, kiedy tu dotrze. Wiem, że Błotni Ludzie szybko się dla nas uwiną. Polecimy do Zedda, a on już będzie wiedział, co robić. Nie musisz ryzykować, zwołując naradę.

Chłopak potrząsnął głową.

- Zgromadzenie musi się odbyć. Shota powiedziała, że jedynie ja mogę scalić zasłonę. Nie Zedd. A co, jeżeli on nie będzie wiedział, co zrobić? Sam mówił, iż nie wie zbyt wiele o zaświatach. Nikt nic nie wie. Nikt nie wie nic o świecie zmarłych. Za to duchy przodków wiedzą. Muszę poznać wszystko, co

się może przydać. Nie wolno nam marnować czasu na dotarcie do Zedda tylko po to, żeby się przekonać, iż on nie ma pojęcia, co robić. Najpierw powinienem się dowiedzieć, czego tylko zdołam, a potem lecieć do Aydindril. Shota twierdziła, że jedynie ja mogę scalić zasłonę. Może dlatego, że jestem Poszukiwaczem. Muszę wykonać swoje zadanie i znaleźć rozwiązanie. Nawet jeśli wiadomości niewiele mi powiedzą, mogą wiele dać Zeddowi. Może dzięki nim będzie wiedział, co robić, co mam uczynić.

- A jeżeli znajdziemy się w Aydindril przed Zeddem? Scarlet doleci tam w jeden dzień, a Zedda może jeszcze nie być w Aydindril.

- Wtedy go znajdziemy. Powinien dostrzec Scarlet. Kahlan obserwowała go przez chwilę.

- Już się zdecydowałaś, prawda? Richard wzruszył ramionami.

- Ty jedna mogłabyś mnie przekonać, bym zmienił zdanie. Masz jakiś lepszy pomysł?

Po chwili potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, nie mam, choć bardzo bym chciała. Właściwie to tylko zgromadzenie mi się nie podoba.

Uśmiech rozjaśnił twarz chłopaka.

- Bardzo chciałbym zobaczyć cię w ślubnej sukni uszytej przez Weselan. Zdąży ją tak szybko skończyć? Noc poślubną moglibyśmy spędzić w Aydindril, w twoim domu.

I Kahlan się uśmiechnęła.

- Zdąży. Poza tym wcale nie potrzebujemy wystawnego wesela. I tak nie ma czasu, żeby to przygotować, przecież trwa uczta poprzedzająca naradę. Człowiek Ptak chętnie da nam ślub i bez wesela. - Posłała Richardowi niby to nieśmiałe spojrzenie. - W Aydindril mielibyśmy prawdziwe łóżce. Wielkie, wygodne łóżce.

Objął ją i przytulił. Pocałował. Pragnęła, żeby to trwało i trwało, ale łagodnie się odsunęła i odwróciła wzrok.

- Richardzie... a co z innymi sprawami, o których mówiła Shota? Co z dzieckiem?

- Shota pomyliła się przedtem w wielu sprawach. A nawet to, w czym miała rację, okazało się inne, niż oczekiwaliśmy. Nie zamierzam z ciebie rezygnować, bo więdźma coś tam stwierdziła. Pamiętasz, co mi kiedyś mówiłaś? Żeby nie słuchać rad pięknej kobiety, gdy wpadnie jej w oko

mężczyzna? Zresztą najpierw pogadamy z Zeddem. On wie mnóstwo o Spowiedniczkach i ich mocy.

Dotknęła palcami torsu Richarda.

- Na wszystko masz odpowiedź. Od kiedy tak zmądrzałeś? Przyciągnął ją do siebie i znów pocałował, tym razem mocniej.

- Poradzę sobie ze wszystkim, co chciałoby mnie trzymać z dala od ciebie i twojego wielkiego łoża. Poszedłbym i do zaświatów, walczyć z samym Opiekunem, byle tylko być z tobą.

Przytuliła się do niego. Wydawało się, że wieki minęły od chwili, kiedy spotkał ją - ściganą przez bojówkę - w Westlandzie. Wieki, a nie parę miesięcy. Tyle razem przeżyli. Kahlan miała już dość strachu, dość uciekania. Jakaż to niesprawiedliwość, że ledwie się to wszystko skończyło, a już wraca na nowo. Skarciła się w myślach. To niewłaściwe podejście do sprawy. Problem, a nie rozwiązanie. Zmusiła się, by nie patrzeć przez pryzmat przeszłości na to, co się działo teraz.

- Może tym razem nie będzie tak ciężko. Może uda nam się zrobić to, co zaplanowałaś, oraz dowiedzieć się, co należy czynić, i wreszcie zakończyć to wszystko. - Cmoknęła Richarda w szyję. - Chodźmy już, czekają na nas. Poza tym jeśli zostanę tu z tobą choć odrobinę dłużej, to nie dotrwamy do mojego wygodnego łoża.

Richard i Kahlan wyszli ze spokojnego domu duchów i ruszyli, trzymając się za ręce, ciemnymi przejściami wijącymi się pomiędzy chatami. Dziewczyna czuła się bezpieczna, trzymając go za rękę. Lubiła czuć dłoń Richarda w swojej od pierwszej chwili, od dnia, kiedy się spotkali - gdy wyciągnął do niej dłoń i pomógł jej wstać. Nikt przed nim tego nie zrobił - ludzie bali się Spowiedniczek. Chciała, żeby to wszystko się wreszcie skończyło i żeby mogli spokojnie wieść razem życie. By już nigdy nie musieli uciekać i mogli się trzymać za ręce, kiedy zechcą.

Weszli na oświetlony ogniskami plac, na którym było słyhać rozmowy, odgłosy tańca, gwar dzieci. Muzykanci stali na osłoniętych trawiastymi dachami podestach, kołysząc się, przeciągając smykami po nacięciach boldasów i dobywając z nich niesamowite tony niosące się nad trawiastą równiną. Mężczyźni uderzali w bębny, śląc innym dzikie, dudniące dźwięki - tamci słuchali lub przyłączali się. Poprzebierani tancerze krążyli jeden za drugim w koliskach, jednocześnie zatrzymując się, obracając, podskakując i

przytupując; odgrywali przed tłoczącymi się wokół nich zachwyconymi dziećmiakami oraz dorosłymi rozmaite historie. Od kuchennych palenisk płynął słodko pachnący dym i wspaniałe aromaty.

Kahlan z Richardem minęli wielkie palące się pośrodku placu ogniska i dziewczyna poczuła bijący od nich żar. Mężczyźni z dumą obnosili najwspanialsze skóry, kobiety - najstrojniejsze suknie. Wszyscy mieli włosy świeżo posmarowane lepkiem błotem. Dziewczęta roznosiły siedzącym pod trawiastymi dachami tace z chlebem tava, opiekaną papryką, cebulą, fasolą, kapustą, ogórkami i burakami, miseczki z duszonym mięsiwem, rybami i kurczakami oraz talerze z dziczyzną. Cała wioska radośnie świętowała nadchodzące spotkanie z duchami przodków.

Kiedy się zbliżyli, Savidlin wstał i zaprosił ich na podwyższenie dla starszych. Wyglądał bardzo dostojnie w narzuconej na ramiona skórze kojota. Człowiek Ptak oraz pozostali starsi powitali nowo przybyłych uśmiechami i skinieniami głowy. Kahlan i Richard usiedli, a młode kobiety natychmiast postawiły przed nimi tace i miseczki z różnymi potrawami. Każde wzięło kawałek chleba tava i zawinęło weń opiekaną paprykę, uważając, by jeść prawą ręką. Chłopiec przyniósł im gliniane kubki i dzban łagodnie przyprawionej korzeniami wody.

Kiedy Człowiek Ptak uznał, iż goście mają wszystko, co trzeba, skinął głową ku kobietom pod pobliskim trawiastym dachem. Kahlan wiedziała, co to oznacza. Owe kobiety były specyficznymi kucharkami - tylko im wolno było przyrządzać główne danie uczyty. Richard patrzył, jak jedna z nich niesie plecioną tacę z kuliście ułożonymi kawałkami suszonego mięsa. Nie zdradził swych uczuć.

Jeśli nie zje tego mięsa, to zgromadzenie się nie odbędzie. Co gorsza, nie było to zwyczajne mięso. Kahlan wiedziała, że chłopak mimo to postanowił je zjeść.

Kobieta skłoniła głowę i podsunęła tacę Człowiekowi Ptakowi, a potem kolejno pozostałym starszym. Każdy z nich wziął porcję mięsa. Kucharka podsunęła tacę żonom starszych. Kilka z nich również się poczęstowało. Teraz podała tacę Richardowi. Chłopak przyglądał się przez chwilę, a potem wziął jeden z największych kawałków mięsa. Trzymał go w palcach i patrzył nań. Kahlan grzecznie odmówiła i kobieta odeszła.

- Wiem, że to dla ciebie trudne - powiedział Richardowi Człowiek Ptak -

ale musisz osiąść wiedzę naszych wrogów.

Chłopak odgryzł spory kęs.

- Mus to mus. - Przeżuł i przełknął ze stoickim spokojem. Zapatrzył się w dal. - Kto to?

Znów spojrzął na Człowieka Ptaka, który przyglądał mu się przez chwilę, zanim odpowiedział:

- To ten, którego zabiłeś.

- Aha.

Richard odgryzł kolejny kęs. Specjalnie wziął taki duży kawałek, by pokazać, że nie odstąpi od narady i nie odwiedzie go od tego nawet ostrzeżenie duchów. Jadł, spoglądając na tancerzy i popijając każdy kęs łykiem wody ze swojego kubka. Podwyższenie dla starszych było oazą spokoju w ogólnym gwarze i ruchu.

Nagle chłopak przestał jeść. Szeroko otworzył oczy, wyprostował - się i gwałtownie obrócił głowę ku starszym.

- Gdzie Chandalen?

Przez chwilę bacznie mu się przyglądali, a potem spojrzeli jeden na drugiego. Richard zerwał się na równe nogi.

- Gdzie Chandalen!?

- Gdzieś tutaj - odparł Człowiek Ptak. - Znajdźcie go! Natychmiast! Przyprawdźcie tutaj! Człowiek Ptak wysłał na poszukiwania jednego z łowców. Richard bez słowa zeskoczył z podwyższenia i ruszył ku kuchennym ogniskom. Odszukał kobietę z tacą z mięsem i wziął następny kawałek.

- Czy wiesz, co się dzieje? - spytała Człowieka Ptaka Kahlan. Przytaknął z powagą.

- Miał widzenie wywołane mięsem naszego wroga. To się czasami zdarza. Dlatego zjadamy naszych wrogów: chcemy wiedzieć, co kryją w sercach.

Richard wrócił. Czekając, chodził tam i z powrotem przed podwyższeniem dla starszych.

- Co się stało, Richardzie? Co zobaczyłeś? Zatrzymał się. Twarz miał zmienioną.

- Kłopoty.

Znów chodził. Kahlan spytała, jakie kłopoty, lecz nie odpowiedział. W końcu wrócił łowca, prowadząc Chandalena i jego ludzi.

- Po co wezwał mnie Richard Popędliwy?

- Zjedz to. Powiedz, co widzisz. - Chłopak rzucił mu ów kawałek mięsa.

Chandalen jadł suszone mięso, patrząc Richardowi w oczy. Richard znów zaczął niecierpliwie kroczyć tam i z powrotem. Odgryzł kęs ze swojego kawałka; żuł i chodził. W końcu nie wytrzymał:

- I cóż? Co widzisz?

- Wroga - odparł ostrożnie Chandalen. Richard sapnął z rozdrażnieniem.

- Kim był ten człowiek? Z jakiego ludu?

- Był Bantakiem, ze wschodu. Kahlan aż podskoczyła, zerwała się.

- Bantak! - Zeskoczyła z podwyższenia i stanęła obok Richarda. - Bantakowie to spokojny lud. Nigdy na nikogo nie napadają. To nie w ich zwyczaju.

- Był Bantakiem - powtórzył Chandalen. - Wokół oczu miał czarny malunek. Zaatakował nas. - Przeniósł wzrok na chłopaka. - Przynajmniej Richard Popędliwy tak twierdzi.

Richard znów zaczął się przechadzać tam i z powrotem.

- Nadchodzą - mruknął do siebie. Zatrzymał się, złapał Chandalena za ramiona. - Nadchodzą! Zaatakują Błotnych Ludzi!

- Bantakowie nie są wojownikami. - Chandalen zmarszczył brwi. - To spokojny lud, jak już powiedziała Matka Spowiedniczka. Uprawiają ziemię, hodują kozy i owce. Handlujemy z nimi. Ten, który nas zaatakował, musiał być chory na głowę. Bantakowie wiedzą, że Błotni Ludzie są od nich mocniejsi. Nie napadliby na nas.

Chłopak niemal nie słuchał przekładu.

- Zbierz swoich ludzi. Zwołaj więcej łowców. Musimy ich powstrzymać.

Chandalen patrzył nań uważnie.

- Nie musimy się niczego bać ze strony Bantaków. Nie napadliby na nas.

Richard się wściekł.

- Masz bronić naszego ludu, Chandalenie! Mówię ci, że nadciąga niebezpieczeństwo! Nie lekceważ moich ostrzeżeń!!! - Przeczesał palcami włosy i uspokoił się. - Ani trochę cię nie dziwi, Chandalenie, że ten człowiek samotnie nas zaatakował? Czy ty, choć jesteś dzielny, zaatakowałbyś w pojedynkę tylu ludzi? Z włócznią na łuki?

Chandalen łypnął nań z wściekłością. Człowiek Ptak sprowadził starszych z podwyższenia, stanął obok Chandalena i rzekł do Richarda:

- Powiedz nam, co ci ujawnił nasz wróg. Powiedz nam, co widziałeś. - Ten człowiek... - Chłopak trzymał pasek mięsa przed twarzą Człowieka Ptaka. - Ten człowiek był synem ich duchowego przewodnika.

Wśród starszych rozległy się pełne zatroskania szepty. Człowiek Ptak nie odrywał oczu od Richarda.

- Jesteś tego pewny? Zgładzenie syna duchowego przewodnika to ciężkie przewinienie. Nawet zabicie w samoobronie. Tak samo, jak zabicie mojego potomka, gdybym go miał. Wystarczy, by rozpocząć wojnę.

- Wiem - pospiesznie przytaknął chłopak. - Tak to właśnie zaplanowali. Z jakiegoś powodu uznali, że Błotni Ludzie nagle zaczęli im zagrażać. Żeby się upewnić, wysłali syna swojego duchowego przewodnika; jego śmierć miała być dowodem naszych wrogich zamiarów. Wypatrywali, czy zatknijemy jego głowę na tyce. Mieli zaatakować, gdyby nie wrócił i gdyby zobaczyli jego głowę. - Richard znów zamachał kawałkiem mięsa przed twarzą starszego. - Ten człowiek z jakiegoś powodu skrywał w sercu gorycz. Chciał, by wybuchła wojna. Zaatakował nas, wiedząc, że zginie, że będzie to sygnał rozpoczęcia walk i że jego lud wybije Błotnych ludzi. Nie pojmujecie? Odgłosy uczyty słyhać daleko na równinie. Tamci będą wiedzieć, że nie jesteśmy przygotowani na ich atak. Nadchodzą! Właśnie teraz!

Wszyscy starsi lekko się cofnęli. Człowiek Ptak spojrział na Chandalena:

- Richard Popędliwy miał widzenie pochodzące od naszego wroga. Niech każdy z twoich ludzi zwoła dziesięciu innych. Nie pozwolimy Bantakom skrzywdzić naszego ludu. Zatrzymacie ich, zanim dotrą do wioski.

Chandalen popatrzył na Richarda, a potem znów na Człowieka Ptaka.

- Przekonamy się, czy miał prawdziwe widzenie. Poprowadzę ludzi na wschód. Jeśli Bantakowie nadchodzą, to ich powstrzymamy.

- Nie! - wrzasnął chłopak, słysząc przekład Kahlan. - Nadejdą z północy!

- Z północy! - Chandalen spojrział nań gniewnie. - Bantakowie żyją na wschodzie, nie na północy. Nadejdą od wschodu.

- Spodziewają się, że będziecie przygotowani na atak od wschodu. Myślą, że Błotni Ludzie chcą ich pozabijać. Spodziewają się tego. Zatoczą koło i zaatakują z północy!

- Bantakowie nie są wojownikami. - Chandalen skrzyżował ramiona. - Nie znają taktyki. Jeżeli naprawdę chcą nas zaatakować, jak twierdzisz, to po prostu ruszą na nas. Sam mówiłeś, iż usłyszą odgłosy uczyty; uznają, że się

niczego nie spodziewamy. Nie mają powodu, by nadkładać drogi i napadać nas z północy. To by tylko niepotrzebnie opóźniło ich atak.

- Nadchodzą z północy. - Richard patrzył nań gniewnie.

- Czy to część twojego widzenia? - zapytał Człowiek Ptak. - Zobaczyłeś to po zjedzeniu owego mięsa?

Chłopak sapnął i spuścił wzrok.

- Nie. Tego nie było w mojej wizji. - Przeczesał palcami włosy. - Ale wiem, że to prawda. Nie mam pojęcia, skąd to wiem, lecz wiem. Nadchodzą z północy.

Człowiek Ptak spojrział na Chandalena.

- Może powinieneś rozdzielić ludzi. Powiedz część ku wschodowi, a reszta niech idzie na północ.

- Nie. - Chandalen potrząsnął głową. - Jeśli widzenie się sprawdzi, to będziemy potrzebować wszystkich. Jeden niespodziewany atak naszych ludzi i przy odrobinie szczęścia może być po sprawie. Jeżeli jest ich tak dużo, jak on mówi, to mogliby pokonać mniejszy oddział i napaść na wioskę, zanim reszta naszych zdołałaby powrócić. Mogłoby zginąć wiele kobiet i dzieci. Cała wioska mogłaby paść. To zbyt niebezpieczne.

Człowiek Ptak skinął głową.

- Opowiedziano nam widzenie, Chandaleni. Do ciebie należy obrona naszego ludu. Widzenie nie mówi, z której strony nadejdzie zagrożenie, ostrzega jedynie, że nadejdzie. Wybierz taki sposób obrony, który uznasz za najlepszy. Jesteś naszym najbardziej doświadczonym wojownikiem. Zawierzę twojemu osądowi. - Zmarszczył brwi i nachylił się ku Chandalenowi. - Ale niech to będzie osąd wojownika, a nie Chandalena.

- Uważam, że Bantakowie zaatakują ze wschodu - powiedział spokojnie łowca. Zerknął na Richarda. - Jeśli w ogóle nadejdą.

Chłopak położył dłoń na ramieniu łowcy.

- Wysłuchaj mnie, Chandaleni, wysłuchaj, proszę. - Głos miał spokojny, pełen troski. - Wiem, że mnie nie lubisz. Może masz co do tego rację. Może, tak jak mówisz, sprowadziłem kłopoty na nasz lud. Teraz też nadciąga bieda, nadciąga z północy. Uwierz mi, błagam. Od tego zależy życie całego naszego ludu. Nienawidź mnie, jeżeli chcesz, lecz nie pozwól, by ktoś z nich zginął przez tę nienawiść. - Richard dobył Miecza Prawdy i obrócił rękojeścią ku Chandalenowi - Dam ci mój miecz. Idź na północ. Jeśli się okaże, że się

pomyliłem, że nadejdą ze wschodu, to możesz mnie zabić tym mieczem.

Chandalen spojrział na miecz, przeniósł wzrok na twarz Richarda i uśmiechnął się leciutko.

- Nie dam się oszukać. Nie wydam na zgubę naszych ludzi tylko po to, żeby móc cię zabić. Wolę już, byś żył wśród nas, byle tylko mój lud ocalał. Idę na wschód. - Odwrócił się i odszedł, wydając polecenia swoim ludziom.

Chłopak patrzył, jak tamtem odchodzi. Wsunął miecz do pochwy. - Ten człowiek jest głupcem - odezwała się Kahlan. Richard potrząsnął przecząco głową.

- On tylko robi to, co uważa za najlepsze. Bardziej zależy mu na obronie mieszkańców wioski niż na zabiciu mnie. Gdybym miał wybrać kogoś, kto walczyłby u mego boku, to wybrałbym jego, choć tak mnie nienawidzi. To ja jestem głupcem, bo nie potrafiłem go przekonać do prawdy. - Popatrzył na Kahlan. - Muszę iść na północ. Muszę ich powstrzymać.

Dziewczyna rozejrzała się wokół.

- Zostało kilku łowców. Zbierzemy tylu, ilu zdołamy, i...

- Nie - przerwał jej, potrząsając głową. - I tak byłoby ich za mało. Poza tym każdy mężczyzna zdolny utrzymać włócznię czy łuk potrzebny jest tutaj, żeby bronić wioski, gdyby mi się nie powiodło. Starsi nie powinni przerywać uczty. Narada widzących musi się odbyć. To jest najważniejsze. Pójdę sam. Jestem Poszukiwaczem. Może ich powstrzymam. Może wysłuchają jednego człowieka, widząc, że nie stanowi zagrożenia.

- No dobrze. Zaczekaj tu na mnie. Zaraz wrócę.

- A co?

- Muszę założyć szatę Spowiedniczki.

- Nigdzie nie idziesz!

- Muszę iść. Przecież nie mówisz ich językiem.

- Kahlan, nie chcę...

- Richardzie! - Zaciśnęła dłoń na jego koszuli. - Jestem Matką Spowiedniczką! Nie będzie żadnej wojny, dopóki mam coś do powiedzenia! Czekać tu na mnie!

Puściła koszulę chłopaka i odeszła rozgniewana. Matka Spowiedniczką nie po to wydaje polecenia, by je kwestionowano: mają zostać wykonane. Pozałowała nagle, że wrzasnęła na Richarda, ale to wszystko dlatego, iż była wściekła z powodu uporu Chandalena. Rozzłoszcili ją też Bantakowie.

Zachodziła do ich osady i zawsze uważała, że są uprzejmi i łagodni. Dopóki ona tu jest, nie będzie żadnej wojny, niezależnie od tego, jaki mają powód dobitki. Matka Spowiedniczka ma zapobiegać wojnom, a nie siedzieć i patrzeć, jak wybuchają. Na tym polega jej odpowiedzialność, jej zadanie, jej, nie Richarda.

Przywdziała ubiór Spowiedniczki w ciemnej chacie Weselan i Savidlina. Z zewnątrz dobiegały odgłosy uczty. Wszystkie Spowiedniczki noszą identyczne szaty - z prostokątnym dekoltem, długie, proste, pozbawione wszelkich ozdób, jedwabście gładkie i czarne. Jedynie Matka Spowiedniczka nosi białą szatę. To oznaka władzy. W tej szacie nie była Kahlan Amnell - była Matką Spowiedniczką, symbolem potęgi prawdy. Wszystkie inne Spowiedniczki nie żyły - obecnie wyłącznie na jej barkach spoczywał obowiązek obrony Midlandów, obrony słabszych.

Teraz Kahlan inaczej patrzyła na swoją szatę. Przedtem była dla niej czymś zwyczajnym. Od spotkania z Richardem oznaczała większą odpowiedzialność. Wcześniej dziewczyna zawsze odczuwała osamotnienie, teraz, u boku Richarda, czuła się bardziej związana z mieszkańcami Midlandów, stała się jedną z nich, czuła się bardziej przed nimi odpowiedzialna. Wiedziała, co znaczy kochać kogoś i bać się o niego. Dopóki jest Matką Spowiedniczką, nie pozwoli, by ktokolwiek rozpoczął wojnę. Wzięła płaszcz swój i Richarda i wróciła na ucztę.

Starsi stali przed podwyższeniem, jak ich Kahlan zostawiła. Richard ciągle czekał. Rzuciła mu płaszcz i powiedziała do starszych:

- Jutro wieczorem zaczyna się narada widzających. Musi się odbyć. Wrócimy, zanim się rozpocznie. - Zwróciła się do żon starszych: - Chcemy się pobrać następnego dnia po naradzie, Weselan. Żałuję, że nie ma więcej czasu na przygotowania, lecz musimy odejść tak szybko, jak to tylko możliwe. Musimy się udać do Aydindril. Musimy odwrócić groźbę od Błotnych Ludzi, od wszystkich innych też.

- Twoja suknia będzie gotowa. - Weselan się uśmiechnęła. - Tak bym chciała, byśmy mogli przygotować ci wspaniałą ucztę weselną, ale rozumiemy was.

- Jeżeli Chandalen się pomylił... - Człowiek Ptak położył dłoń na ramieniu Kahlan. - Uważajcie. Bantakowie to pokojowy lud, ale może to się zmieniło. Powiedz im, że nie życzymy im źle. Nie chcemy z nimi walczyć.

Kahlan skinęła głową. Zarzuciła płaszcz na ramiona i ruszyła w drogę.
- Chodźmy.

ROZDZIAŁ 15

Richard bez sprzeciwu ruszył za Kahlan. Opuścili wioskę, nie zamieniwszy ani słowa, i skierowali się na północ płaską, trawiastą równiną. Głosy ludzi, dźwięki boldasów i bębnow stopniowo milkły w oddali. Księżyc nie był w pełni, ale wystarczająco rozjaśniał mroki. Szli przez wysokie po pierś, suche trawy. Mieli nadzieję, że jest na tyle ciemno, by nie było łatwo w nich trafić.

- Przepraszam, Kahlan - odezwał się w końcu chłopak.

- Za co?

- Za to, że zapomniałem, kim jesteś. Że jesteś Matką Spowiedniczką i że to twoje zadanie. Bałem się o ciebie. Zdziwiły ją te przeprosiny.

- A ja przepraszam, iż na ciebie krzyknęłam. Nie powinnam była. Nie chcę, by wybuchły jakiegokolwiek walki. Mam strzec mieszkańców Midlandów przed wojną. Gniewa mnie, kiedy się chcą zabijać. Mam dość patrzenia na czyjąś śmierć, Richardzie. Myślałam, że to się już skończyło. Nie zniosę tego więcej. Mam już tego dość, przysięgam, mam dość.

Richard otoczył ją ramieniem.

- Wiem. Ja również. - Ścisnął jej ramię. - Matka Spowiedniczka położy temu kres. - Spojrzał na nią. Kahlan wydawało się, że ma dziwną minę, ale było ciemno i nie widziała wyraźnie. - Przy mojej pomocy.

- Przy twojej pomocy. - Uśmiechnęła się i na chwilę przytuliła głowę do jego ramienia. - Od teraz już zawsze przy twojej pomocy.

Odeszli daleko od wioski, widząc jedynie usiane gwiazdami niebo i tonącą w ciemnościach równinę. Richard co jakiś czas przystawał i obserwował trawiasty teren, wyjmował z kieszeni parę liści od Nisseł i żuł je. Tuż po północy dotarli do niewielkiego zagłębienia. Chłopak kolejny raz rozejrzał się po okolicy i zdecydował, że tutaj zaczekają. Lepiej, by Bantakowie na nas natrafili, powiedział, niż żebyśmy oboje znienacka na nich wpadli.

Richard uklepał trawę na małej przestrzeni i usiedli tam. Każde z nich na przemian to drzemało, to czuwało, patrząc na północ. Kahlan położyła dłoń na ręce śpiącego Richarda, przyglądała mu się i od czasu do czasu bacznie obserwowała widnokrąg. Ileż to już razy się zdarzyło, myślała, że jedno z nas

śpi, a drugie czuwa. Żeby wreszcie nastał ów dzień, kiedy będą mogli po prostu spać, kiedy żadne z nich nie będzie musiało czuwać. Gdy będą mogli razem spać. Prawdopodobnie już wkrótce, uznała. Richard znajdzie sposób na scalenie zasłony i skończą się wszystkie troski i kłopoty. Zapanuje spokój, będą bezpieczni.

Kahlan, szczelnie otulona płaszczem, spała wtulona w Richarda. Ciepło promieniujące od chłopaka sprawiało, że była jeszcze bardziej senna. Zaczynała się zastanawiać, czy Richard rzeczywiście miał rację, czy Bantakowie nadejdą z północy. Jeżeli przyjdą ze wschodu, to wielu zginie. Chandalen będzie bezlitosny. Nie chciała, by zło dosięgło Błotnych Ludzi; nie chciała również krzywdy Bantaków. I oni byli jej ludem. Myśląc o Richardzie, zapadła w niespokojny sen.

Chłopak zbudził Kahlan; dłonią zasłaniał jej usta. Po prawej, na wschodzie, niebo zaczynało się rozjaśniać. Nad horyzontem snuły się ciemnoszkarłatne obłoki, jakby chciały osłonić wschód słońca. Richard patrzył ku północy. Dziewczyna była niższa od niego, więc nic nie widziała, lecz po zachowaniu Richarda poznała, że ktoś nadchodzi.

Przypadli do ziemi i leżeli bez ruchu, czekając. Łagodny wiaterek szeleścił wyschniętymi trawami. Kahlan powoli zsunęła płaszcz z ramion. Nikt nie powinien mieć wątpliwości, kim jest. Bantakowie rozpoznaliby jej długie włosy, ale chciała, żeby zobaczyli także szatę Spowiedniczki. Każdy musi wiedzieć, że znalazła się tutaj jako Matka Spowiedniczka. Richard również zrzucił płaszcz. Cienie przesuwają się wśród otaczających ich traw.

Wokół było pełno ludzi. Richard i Kahlan wstali. Znajdujący się najbliżej odskoczyli z okrzykami zdumienia. Bantakowie, zbrojni we włócznie i łuki, szli wąskim, długim szeregiem ku wiosce Błotnych Ludzi.

Rozległy się podniecone okrzyki. Bantakowie złamali szereg - część otoczyła Richarda i Kahlan, większość zbiła się w tłumek przed nimi. Dziewczyna stała dumnie wyprostowana, ręce opuściła swobodnie. Przybrała „twarz Spowiedniczki”, jak ją nauczyła matka - oblicze spokojne i nieprzeniknione. Richard stał tuż przy niej z ręką na gardzie miecza. Większość przybyłych, odzianych w skórzane, przybrane trawą stroje, skierowała broń ku parze młodych. Najwyraźniej nie mieli pojęcia, co zrobić.

- Ośmielacie się grozić Matce Spowiednicze? - zawołała do nich Kahlan.
- Opuśćcie broń. Natychmiast.

Tamci rozglądali się wokół, sprawdzając, czy ci dwoje są sami. Nieco mniej pewną ręką kierowali włócznie i łuki ku Matce Spowiednicze. Wiedzieli, że czynią coś niesłychanego. Wydawało się, iż nie mają pojęcia, czy nadal trzymać oręż w pogotowiu, czy też odrzucić go i paść na kolana. Niektórzy pochylili się w półukłonie.

Kahlan ruszyła ku nim groźnie.

- Natychmiast!

Mężczyźni drgnęli, cofnęli się trochę. Groty włóczni i strzał przestały mierzyć w Kahlan, lecz skierowały się ku Richardowi. Oczekiwali, że będzie to zadowalający kompromis. Dziewczyna nie tego oczekiwała. Stała przed Richardem. Broń znów celowała w nią.

- Co ty wyprawiasz? - szepnął chłopak.

- Cicho. Pozwól mi spróbować. Nie mamy najmniejszej szansy, jeśli nie skłonimy ich, żeby opuścili broń i zaczęli rozmawiać.

- Czemu się tak zachowują? Sądziłem, że wszyscy obawiają się Matki Spowiedniczki.

- Oni się boją, ale są przyzwyczajeni, że zawsze był przy mnie czarodziej. Teraz go nie widzą i prawdopodobnie dlatego są odważniejsi. Ale i tak nie powinni we mnie celować. - Postąpiła krok do przodu. - Kto przemawia w imieniu Bantaków? Kto spośród was bierze na siebie odpowiedzialność za to, że Bantakowie grożą Matce Spowiednicze?

Zasłaniała Richarda i nie mogli już weń celować. Bantakowie stracili na śmiałości i troszkę znizyli broń. Nie opuścili jej jednak całkowicie.

Wreszcie zbliżył się jakiś starzec i stanął przed Kahlan. Ubrany był, jak wszyscy, w prosty skórzany strój, lecz na szyi miał złoty medalion pokryty symbolami Bantaków. Dziewczyna go znała. To był Ma Ban Grid, duchowy przewodnik Bantaków. Groźna mina sprawiała, że jego twarz zdawała się jeszcze bardziej pomarszczona, niż Kahlan pamiętała. Nie przypominała też sobie, by się tak gniewnie marszczył; zawsze się przyjemnie uśmiechał.

- Ja mówię w imieniu Bantaków - oznajmił Ma Ban Grid. Miał tylko dwa dolne przednie zęby. Szczeka mu dziwnie chodziła, bo słowa języka Bantaków były trudne do wymówienia. Spojrzał na Richarda. - Kim on jest?

Kahlan odwzajemniła gniewne spojrzenie Ma Ban Grida.

- To Ma Ban Grid wypytuje teraz Matkę Spowiedniczkę, zanim ją godnie powita?

Bantakowie niespokojnie zaszurali stopami. Starzec nawet nie drgnął. Jego oczy nie zmieniły wyrazu.

- To nie są odpowiednie czasy. To nie są nasze ziemie. Bantakowie przybyli tu nie po to, żeby witać gości. Przybyli zabić Błotnych Ludzi.

- Dlaczego?

Ma Ban Grid spojrzał na nią spod oka.

- Chcą wojny, jak nas ostrzegali nasi duchowi bracia. Dowiedli tego, zabijając jednego z moich. Musimy ich pozabijać, zanim oni zabiją nas.

- Nie będzie żadnej wojny! Żadnego zabijania! Jestem Matką Spowiedniczką i nie pozwolę na to! Bantakowie ucierpią z mojej ręki, jeżeli to uczynią!

Mężczyźni zaczęli niespokojnie szeptać i cofnęli się o krok. Ich duchowy przewodnik się nie uląkł.

- Duchowi bracia powiedzieli mi także, że Matka Spowiedniczka nie ma już władzy nad ludem Midlandów. Powiedzieli, że na dowód tego pozbawiono ją towarzystwa czarodzieja. - Spojrzał na nią z samozadowoleniem. - Nie widzę czarodzieja. Duchy jak zwykle powiedziały Ma Ban Gridowi prawdę.

Kahlan odebrało głos; wpatrywała się w starca.

- Co on powiedział? - spytał Richard, nachylając się ku niej. Przetłumaczyła mu słowa Ma Ban Grida i chłopak stanął tuż przy niej. - Chcę im coś powiedzieć. Przetłumaczysz?

Kahlan skinęła potakująco głową.

- Chcą wiedzieć, kim jesteś. Nie powiedziałam im. W oczach Richarda pojawiła się groźba.

- Już ja im pokażę, kim jestem. - Głos chłopaka stał się równie zimny i groźny jak wzrok. - Nie spodoba im się to.

Spojrzał drapieźnie na mężczyzn, celowo ignorując Ma Ban Grida. Kahlan dostrzegła w jego oczach magiczny gniew miecza. Richard przyzywał magię, choć klina tkwiła w pochwie.

- Dajecie posłuch staremu głupcowi, staremu głupcowi zwanemu Ma Ban Grid, który nie ma dość rozumu, żeby odróżnić prawdziwe duchy od fałszywych. - Zniewaga zaparła Bantakom dech w piersiach. Chłopak popatrzył teraz przenikliwie na starca. - Prawda, stary głupcze?

Ma Ban Grid przez chwilę jąkał się z gniewu, zanim zdołał cokolwiek

powiedzieć.

- Kim jesteś, że się ośmielasz tak mnie obrażać? Richard obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- Te fałszywe duchy powiedziały ci, że Błotni Ludzie zabili jednego z swoich. Twoje fałszywe duchy cię okłamały, a ty w swojej głupocie uwierzyłeś im.

- Kłamstwo! Znaleźliśmy jego głowę! Błotni Ludzie go zamordowali! Chcą wojny z nami. Zabijemy ich wszystkich. Co do jednego! Zgładzili jednego z moich!

- Mam już dość gadania z kimś tak głupim jak ty. Bantakowie są pozbawieni rozumu, skoro pozwalają komuś takiemu rozmawiać z duchowymi braćmi.

- Co ty wyprawiasz, Richardzie? - szepnęła Kahlan.

- Tłumacz.

Uczyła to i twarz Ma Ban Grida z każdym słowem coraz bardziej czerwieniała. Wyglądał, jakby miał buchnąć płomieniem. Richard pochylił się ku niemu.

- To nie Błotni Ludzie zabili jednego z twoich. Ja to zrobiłem.

- Richardzie! Nie mogę im tego powiedzieć. Zabiją nas. Chłopak patrzył z wściekłością na Ma Ban Grida, zaś do Kahlan powiedział spokojnie:

- Coś przeraziło tych ludzi i zmusiło do takiego postępuku. Najpierw zabiją nas, a potem mnóstwo Błotnych Ludzi, chyba że zdołam ich wystraszyć bardziej niż to coś. Tłumacz.

Dziewczyna sapnęła i przetłumaczyła Bantakom słowa Richarda. Znow unieśli broń.

- Ty! Zabiłeś jednego z moich!

- Tak. - Richard wzruszył ramionami i przytknął palec do czoła. - Tu posłałem strzałę. Jedną strzałę. Dokładnie w to miejsce. Przestrzeliłem mu głowę, bo chciał wbić komuś w plecy swoją włócznię. Tamten mężczyzna nie miał w sercu nienawiści do Bantaków. Zgładziłem tego twojego tak, jakbym zabił kojota próbującego ukraść jedno z moich jagniąt. Zasługuje na śmierć ten, który chce drugiemu odebrać życie sposobem tchórze. Nie powinien kierować ludem ktoś, kto ulega podszeptom fałszywych duchów i posyła jednego ze swoich, by popełnił tak niegodny czyn.

- Zabijemy cię!

- Naprawdę? Chyba spróbujecie, lecz nie zdołacie tego uczynić. - Richard obrócił się tyłem do starca i odszedł jakieś dwadzieścia kroków, a Bantakowie przepuścili go. Po raz kolejny spojrzął na Ma Ban Grida. - Potrzebowałem tylko jednej strzały, by uśmiercić twojego człowieka. Spróbuj i ty mnie zabić jedną strzałą, a przekonamy się, kogo chronią dobre duchy. Wybierz, kogo chcesz. Niech strzeli do mnie, jak ja strzeliłem do jednego z twoich. Jedną strzałą. - Powtórnie gniewnie wskazał na swoje czoło. - Tu, w to samo miejsce, gdzie trafiłem tchórza chcącego zabić dla fałszywych duchów!

- Richardzie! Chyba straciłeś rozum! Nie powiem im, żeby do ciebie strzelili.

- Poradzę sobie, Kahlan. Czuję to.

- Raz ci się udało. A jeśli tym razem się nie uda? Nie zamierzam pozwolić, by cię zabili.

- Jeżeli nie powstrzymamy tych ludzi, Kahlan, to zabiją nas oboje, a Opiekun się uwolni. Dziś w nocy narada widzających; to jest ważne. Zastosowałem pierwsze prawo magii: uwierzysz, jeżeli chcesz wierzyć, że coś jest prawdą, lub jeśli się obawiasz, że nią jest. Do tej pory wierzyli w coś, bo chcieli w to wierzyć. Muszę spowodować, by się wystraszyli, iż prawdziwe jest to, co zamierzam powiedzieć.

- A co zamierzasz powiedzieć?

- Pospiesz się. Przetłumacz, zanim przestanę w nich budzić zainteresowanie, zanim uznają, że powinni najpierw nas zabić, a potem uderzyć na Błotnych Ludzi.

Kahlan spojrziała na Ma Ban Grida i niechętnie przetłumaczyła słowa chłopaka. Każdy z Bantaków chciał być tym, który wypuści strzałę. Wrzeszczeli i wymachiwali ramionami, a Ma Ban Grid przesuwiał po nich wzrokiem. Uśmiechnął się.

- Wszyscy możecie strzelić do tego złego człowieka, który zabił jednego z moich. Wszyscy! Strzelajcie!

Unieśli łuki. Oczy Richarda zapłonęły wściekłością.

- Tchórz! Widzicie, jakim głupcem jest ten staruch? Wie, że posłuchał fałszywych duchów! Chce, byście i wy ich posłuchali! Wie, że dobre duchy wesprą mnie w tej próbie i boi się, iż dojrzycie jego głupotę. Świadczą o niej jego słowa!

Ma Ban Grid zacisnął zęby. Uniósł rękę, dając znak swoim ludziom, żeby nie strzelali. Po chwili odwrócił się ku jednemu z nich i wyrwał mu łuk.

- Udowodnię ci, że słuchałem prawdziwych duchów! Umrzesz, bo zabiłeś jednego z moich! Bo powiedziałaś, że nasi duchowi bracia są fałszywi!

Nasadził na cięciwę zatrutą strzałę i posłał ją w kierunku Richarda. Bantakowie wrzasnęli radośnie. Kahlan wstrzymała oddech, skamieniała ze strachu.

Richard złapał brzechwę w powietrzu, tuż przed swoją twarzą.

Bantakowie sapnęli ze zdumienia i zamilkli. Chłopak ruszył ku ich duchowemu przewodnikowi ze strzałą w ręku i płonącymi oczami. Stał przed Ma Ban Gridem i przy wtórze wystraszonych szeptów pozostałych mężczyzn złamał brzechwę przed jego nosem.

- Dobre duchy chronią mnie, ty stary głupcze. - W jego głosie czaiła się śmiertelna groźba. - Usłuchałeś podszeptów fałszywych duchów.

- Kim jesteś? - szepnął Ma Ban Grid, patrząc na Richarda szeroko otwartymi oczami.

Chłopak powoli dobył Miecza Prawdy. W ciszy poranka rozległ się delikatny brzęk stali. Richard dotknął czubkiem klingi gardła starca.

- Jestem Richard, Poszukiwacz, wybranek Matki Spowiedniczki. - Rozległy się zalęknione szepty. - I jestem czarodziejem, jej czarodziejem.

Oczy słuchających zrobiły się okrągłe ze zdumienia, wszyscy porozdziawiali usta. Twarz Ma Ban Grida już nie była taka dumna i zawzięta. Zerknął na miecz.

- Czarodziej? Ty?

- Czarodziej! - Richard powiódł po zebranych gniewnym wzrokiem. - Czarodziej. Panuję nad magią. Nad darem. Wygląda na to, stary głupcze, że twoje fałszywe duchy cię okłamały. Powiedziały, że Matka Spowiedniczka nie ma czarodzieja. Wysłały jednego z twoich, by sprowokował wojnę, której Błotni Ludzie nie chcieli. Wykorzystały cię do własnych celów. Mądry duchowy przewodnik pewno by się tego domyślił, lecz stary głupiec uwierzył. - Bantakowie zaczęli szemrać. - Zniszczę cię magią, jeżeli nadal się będziesz upierał przy swoim, jeżeli nie usłuchasz Matki Spowiedniczki. Moja straszliwa moc spali na popiół ziemie Bantaków i już na zawsze rzuci na nie zły urok. Każdy Bantak umrze okropną śmiercią: śmiercią, którą sprowadzą moje czary. Zabiję was wszystkich, co do jednego. Młodych i starych. - Zimne

szare oczy znów patrzyły na Ma Ban Grida. - A zacznę od starego.

- Magia? - wyszeptał Ma Ban Grid. - Zabiłbyś nas czarami? Chłopak pochylił się ku niemu.

- Jeżeli nie usłuchacie Matki Spowiedniczki, zgładzę was czarami straszliwszymi niż wszystko, co potraficie sobie wyobrazić.

Wszyscy Bantakowie zachłannie słuchali tłumaczenia Kahlan, więc Richard wyrecytował litanie okropieństw, jakie na nich sprowadzi. Dziewczyna przypomniała sobie, że większość z tych gróźb Zedd posłał tłumowi, który przybył zabić go jako „wiedźmę”. Teraz Richard tak samo straszył Bantaków. Im dłużej mówił, tym szerzej otwierali oczy.

Ma Ban Grid oderwał wzrok od miecza i spojrzał Richardowi w twarz. Nie był już taki pewny siebie, ale jeszcze nie chciał ustąpić.

- Duchy powiedziały mi, że Matka Spowiedniczka nie ma czarodzieja. Czemu miałbym uwierzyć, że nim jesteś?

Gniew zniknął z twarzy Richarda. Kahlan jeszcze nigdy nie widziała, żeby trzymał w dłoni Miecz Prawdy i nie miał w oczach magicznego gniewu. Coś malowało się we wzroku chłopaka, lecz nie była to ani nienawiść, ani furia. Był wyciszony, spokojny. O dziwo, to przerażało bardziej niż gniew. Był to spokój człowieka zdecydowanego na wszystko.

Ostrze miecza Richarda zaczęło się zmieniać w mglistym świetle poranka. Zaczęło błyszczeć bielą. Bielą magicznego żaru. Lśniło tak długo, aż każdy zobaczył ów biały blask.

Richard korzystał z jedynej magii, jaką znał, i na której mógł polegać. Wykorzystał magię miecza.

Wystarczyło. Tłum ogarnęło przerażenie. Mężczyźni rzucili broń, padli na kolana i zaczęli błagać o wybaczenie, zaklinając duchy, by ich broniły. Niektórzy stali nieruchomo, nie wiedząc, co zrobić.

- Przebacz mi, starcze - szepnął Richard - ale muszę cię zabić, żeby ocalić życie wielu ludziom. Wiedz, iż wybaczam ci i żałuję tego, co muszę uczynić.

Kahlan - tłumacząc te słowa - położyła dłoń na ramieniu chłopaka, chcąc go powstrzymać.

- Zaczekaj, Richardzie. Pozwolisz mi jeszcze raz spróbować?

- Jeden jedyny raz. - Leciutko skinął głową. - Nie uda ci się, to go zabiję.

Dziewczyna wiedziała, że próbował przerazić Bantaków i złamać przymus, pod którym działali, ale ją też przerażał. Wykroczył poza magię

miecza - dostał się pod wpływ czegoś jeszcze groźniejszego. Kahlan znów spojrzała na duchowego przewodnika.

- Richard cię zabije, Ma Ban Gridzie. Na pewno to zrobi. Poprosiłam go, by poczekał, żebym mogła ci zagwarantować przebaczenie, jeżeli uwierzysz w nasze słowa. Mogę go poprosić, by cię nie zabijał, i spełni moją prośbę. Ale tylko raz. Potem już nie będę miała na niego wpływu. Jeśli postąpisz nieszczerze, zapanuje śmierć i cierpienie. Richard ma tylko jedno słowo. Obiecał, że cię zgładzi, i robi to, jeżeli spróbujesz go oszukać. Daję ci tę jedyną szansę, byś pojął prawdę. Matka Spowiedniczka nie chce, by zginął choć jeden z jej ludzi. Każda żywa istota w Midlandach jest droga memu sercu. Czasami muszę jednak pozwolić na śmierć niektórych, by dzięki temu ocalić życie wielu innym. Chcę usłyszeć twoją odpowiedź.

Mężczyźni stali nieruchomo. Wyglądali, jakby się wplątali w coś, co im się przestało podobać. Bantakowie byli spokojnym ludem - żalowali teraz swego postępku i wstydzili się go. Richardowi udało się ich wystraszyć o wiele bardziej niż owym duchom, które ich do tego skłoniły.

Wiatr zaszeleścił suchą trawą, zwiął na twarz Kahlan pukiel włosów. Odgarnęła go i czekała. Ma Ban Grid wpatrywał się w jej twarz spokojnymi teraz oczami. Czar został przełamany.

- Słyszałem słowa duchów - powiedział cichym, pełnym szczerości głosem. - Myślałem, że mówiły prawdę. Jest tak, jak on twierdzi. Stary ze mnie głupiec. - Popatrzył na swoich milczących ludzi. - Bantakowie nigdy wcześniej nie pragnęli przynosić innym śmierci. Niech tak zostanie. - Pochylił głowę i zdjął z szyi złoty medalion. Uniósł go w dłoniach, podając Kahlan. - Przekaż to ode mnie Błotnym Ludziom, Matko Spowiedniczko. Powiedz im, że to znak pokoju. Nie zaczniemy z nimi wojny. - Obejrzał się. Richard schował miecz do pochwy. Ma Ban Grid znów spojrzał na Kahlan. - Wielkie dzięki za to, żeś nam, żeś mnie nie pozwoliła usłuchać fałszywych duchów, nie dopuściła do straszliwego czynu.

Kahlan pochyliła głowę przed starcem.

- Jestem wdzięczna za to, iż na czas zapobiegłam rozlewowi krwi.

- Spytaj, jak duchy skłoniły go, by zrobił coś niezgodnego z obyczajami jego ludu - odezwał się Richard.

- Jak duchy wzbudziły w twoim sercu pragnienie wojny, Ma Ban Gridzie? Chęć zabijania?

Starzec odwrócił wzrok, zakłopotany.

- Nocami nawiedzały mnie ich szept. Sprawiały, że czułem zew wojny. Już wcześniej budziła się we mnie chęć przemocy, ale nigdy się nie poddałem. Tym razem nie zdołałem jej powstrzymać. Jeszcze nigdy nie była tak silna.

- Rozdarta jest zasłona dzieląca nas od zaświatów, od świata duchów. - Bantakowie zaczęli szeptać pomiędzy sobą, kiedy Kahlan przekładała im słowa Richarda. - Fałszywe duchy pewno znów spróbują do ciebie szeptać. Strzeż się ich. Obecnie rozumiem, w jaki sposób cię oszukały, i nie chowam urazy. Spodziewam się jednak, iż teraz, kiedy zostałeś ostrzeżony i poznałeś prawdę, będziesz ostrożniejszy.

- Wielkie dzięki, czarodzieju. - Ma Ban Grid potakująco skinął głową. - Będę uważał.

- Czy głosy duchów powiedziały ci jeszcze coś? Starzec ściągnął brwi, zamyślił się.

- Nie pamiętam, żeby mówiły mi, co należy czynić. To było bardziej odczucie budzące pragnienia przelania krwi. Był ze mną mój syn... ten, który umarł... i też je słyszał. Czułem, że duchy inaczej do niego przemawiają. Jego oczy pałały nienawiścią jeszcze bardziej niż moje. Odszedł natychmiast po tym, jak duchy nas nawiedziły... - Opuścił wzrok.

Richard długo patrzył na duchowego przewodnika. Wreszcie powiedział łagodnie:

- Bardzo żałuję, Ma Ban Gridzie, że musiałem zabić twojego syna. Moje serce krwawi z powodu tego czynu. Wiedz, że gdyby było jakieś inne wyjście, na pewno bym je wybrał.

Starzec skinął głową, lecz nie zdołał wykrztusić ani słowa. Spojrzał na swoich ludzi, nagle zawstydzony.

- Nie wiem, co tutaj robimy - wyszeptał. - To nie w zwyczaju Bantaków.

- To sprawka fałszywych duchów. Cieszę się, że pomogliśmy wam to zrozumieć - powiedział Richard.

Ma Ban Grid znów potaknął, obrócił się do swoich ludzi, obrzucił ich spojrzeniem i wszyscy odeszli ku swoim ziemiom. Kahlan ciężko westchnęła. Richard patrzył bacznie, jak Bantakowie odchodzili ku wschodzącemu słońcu, ciągnąc za sobą włócznie.

- Co z tego wyczytałeś? - spytała, kiedy w końcu na nią spojrział. Chłopak

wsparł dłoń na rękojeści miecza i znów popatrzył na Bantaków.

- Opiekun zdobywa nad nami przewagę. - Spojrzał Kahlan w oczy. - Próbuje cię zdyskredytować. Zdyskredytować Matkę Spowiedniczkę. Zastawia na nas pułapki. Ma jakieś swoje plany, a ja nie mam bladego pojęcia jakie.

- Co zrobimy?

- To, co postanowiliśmy. Dzisiejszej nocy narada widzących, a jutro pobieramy się i wyruszamy do Aydindril.

Kahlan bacznie obserwowała jego twarz.

- Naprawdę jesteś czarodziejem - powiedziała miękko. - Posłużyłeś się magią, żeby złamać czar Opiekuna.

- Nie. - Richard nie zmienił wyrazu twarzy. - Nie jestem. Wykorzystałem sztuczkę, której nauczył mnie Zedd. Powiedział kiedyś, że ludzie bardziej się boją umrzeć wskutek działania czarów niż czego innego, jakby wtedy byli jeszcze bardziej martwi. Wykorzystałem ten strach oraz pierwsze prawo magii i skłoniłem ich, by uwierzyli. To był o wiele potężniejszy lęk niż ten, który wzbudziły w nich duchy.

- A jak sprawiłeś, że Miecz Prawdy zbiegał? Chłopak długo się jej przyglądał.

- Pamiętasz, jak Zedd demonstrował nam działanie miecza? Jak mówił, że oręż nie zrani tego, kogo uważasz za niewinnego? - Kahlan potaknęła. - Zedd się mylił. Kiedy miecz jest biały, możesz zabić każdego. Nawet tego, kogo kochasz. - Znów miał twarde, srogie oczy. - Nienawidzę magii.

- Dzięki swemu darowi ocaliłeś właśnie życie wielu ludziom, Richardzie.

- Ale jakim kosztem? - wyszeptał chłopak. Wystarczy, że pomyślę o uczynieniu klingi białą, a natychmiast mi się przypomina, jak zrobiłem to przeciw tobie, jak cię o mały włos nie zabiłem.

- Ale nie zabiłeś. I to się liczy, a nie jakieś tam „małe włosy”.

- Jednak to wspomnienie nadal boli. I boli pamięć o tym, że zgładziłem białą magią miecza oraz świadomość, iż jestem do tego zdolny. Przez to czuję się jak Rahl. - Westchnął ciężko i zmienił temat. - Powinniśmy bardzo uważać tej nocy na naradzie widzących.

- To stawia sprawy w nowym świetle, Richardzie. Już drugi raz ostrzeżono nas o niebezpieczeństwie grożącym przy spotkaniu z duchami. Może byś się jeszcze raz zastanowił nad zwoływaniem narady?

Chłopak odwrócił wzrok.

- A jaki mam wybór? Wygląda na to, że Opiekun ma nad nami przewagę. Wszystko się dzieje tak szybko. Im się więcej dowiadujemy, tym wyraźniej widzimy naszą niewiedzę. Musimy się dowiedzieć, ile tylko zdołamy.

- Może duchy przodków nie będą nam mogły pomóc.

- I to też nam coś powie. Nie wolno nam zrezygnować z szansy; zbyt wiele od tego zależy. Musimy spróbować. - Łagodnie ujął jej dłoń. - Kahlan... nie chcę być za to odpowiedzialny. Wiedzieć, że to z mojej winy.

Zaczekała, aż na nią spojrzy.

- Bo co? Bo Rahl Posępny jest twoim ojcem? Uważasz, że jesteś odpowiedzialny, ponieważ jesteś Rahlem?

- Może i tak. Rahl czy nie Rahl, nie chcę odpowiadać za to, że wszyscy wpadniemy w łapy Opiekuna. Że ty w nie wpadniesz. Muszę znaleźć sposób, by temu zapobiec. Rahl Posępny prześladuje mnie z za grobu. Przyczyniłem się do tego. Jakoś to spowodowałem. Nie wiem jak, lecz to moja wina. Muszę uczynić wszystko, żeby to powstrzymać, albo wszyscy ucierpimy i Opiekun cię dopadnie. To mnie przeraża tak, jak jeszcze nic mnie nie przerażało. Przez to mam koszmary. Zrobię wszystko, by cię nie dostał. Nie zmarnuję ani jednej okazji dowiedzenia się czegoś, bez względu na to, czym będzie mi to groziło. Muszę mieć tę naradę. - Wpatrywał się w oczy Kahlan. - Choć boję się, że to może być pułapka. Muszę zaryzykować.

- Pułapka? Myślisz, że to może być pułapka?

- I owszem. Ostrzeżono nas. Przynajmniej możemy się mieć na baczności. - Popatrzył na jej dłoń w swoich rękach. Na naradzie nie będę miał miecza. Zdołasz w razie czego przywołać błyskawicę?

- Nie wiem. - Kahlan potrząsnęła głową. - Nie wiem, jak to zrobiłam. Po prostu się stało. Nie panuję nad tym.

Chłopak skinął głową i potarł kciukami grzbiet dłoni dziewczyny.

- Cóż, może nie będziesz musiała. Może duchy przodków zdołają nam pomóc. Już nam przecież pomogły.

Richard zacisnął dłoń na Agielu. Szare oczy zdradzały, jak bardzo boli go głowa. Osunął się na ziemię i ujął głowę w dłonie. Kahlan usiadła tuż przy nim.

- Muszę chwilę odpocząć, zanim wrócimy do wioski. Ta migrena mnie zabija.

Dziewczyna bała się, że istotnie tak jest. Pragnęła, by już było jutro, gdy będą mogli wyruszyć do Zedda, wyruszyć po pomoc.

Było już późne popołudnie, kiedy wrócili na ucztę. Głowa bolała Richarda trochę mniej, ale wystarczająco, by w jego oczach nadal malowało się cierpienie. Starsi powstali, kiedy on i Kahlan zbliżali się do ich podwyższenia. Człowiek Ptak postąpił ku młodym.

- Co z Bantakami? Widzieliście ich? Nie mam żadnych wieści od Chandalena.

Kahlan wyciągnęła ku niemu złoty medalion i położyła go na dłoni starszego, kiedy ta wreszcie po niego sięgnęła.

- Znaleźliśmy ich na północy, jak mówił Richard. Ma Ban Grid przesyła to Błotnym Ludziom na znak, że Bantakowie nie chcą z nimi wojny. Popelnili błąd i żałują tego. Przekonaliśmy ich, że Błotni Ludzie nie życzą im źle. Chandalen również się pomylił.

Człowiek Ptak potaknął z powagą i polecił stojącemu najbliżej łowcy, żeby sprowadził do wioski Chandalena i jego ludzi. Był jednak o wiele mniej zadowolony z obrotu sprawy, niż się Kahlan spodziewała.

- Czy coś się stało, o czcigodny starszy?

Piwnie oczy spojrzały na nią ponuro. Zerknął na Richarda i znów popatrzył na Kahlan.

- Powróciły dwie Siostry Światła. Czekają w domu duchów. Dziewczynie mocniej zabiło serce. Miała nadzieję, że się tak szybko nie pojawią. Przecież minęło dopiero parę dni.

- Siostry Światła czekają w domu duchów - powiedziała Richardowi.

- Nic nigdy nie jest łatwe i proste - westchnął chłopak. Zwrócił się do Człowieka Ptaka - Wieczorem narada, Będziecie gotowi?

- Dziś wieczór duchy będą z nami. Będziemy gotowi.

- Bądźcie ostrożni. Nie przesądzajcie niczego z góry. Od tego zależy życie nas wszystkich. - Ujął rękę Kahlan. - Zobaczmy, czy sobie z tym poradzimy.

Poszli przez plac, mijając buzujące ogniska. Wszędzie było pełno ludzi: jedli, tańczyli, grali na boldasach i na bębnach. Za to dzieci było mniej. Część poszła już spać, lecz niektóre nadal bawiły się i tańczyły.

- Trzy dni - mruknął Richard. - Co?

- Minęły niespełna trzy dni, odkąd były tutaj ostatni raz. Odeślę je, a jutro wyruszymy. Kiedy wrócą tu znów za trzy dni, my już od dwóch będziemy w

Aydindril.

- Jeśli się trzymają tego samego schematu - powiedziała zapatrzona przed siebie Kahlan. - Kto wie, czy trzeci raz nie pojawią się następnego dnia. Albo za godzinę.

Czuła na sobie wzrok Richarda, lecz nie spojrzała na niego.

- Próbujesz mnie do czegoś przekonać?

- Masz tylko trzy szansę, Richardzie. Boję się o ciebie. Boję się tych migren.

Tym razem spojrzała nań, ale Richard nie odwzajemnił się tym samym.

- Nie założę obroży. Z żadnego powodu. Dla nikogo.

- Wiem - szepnęła.

Szarpięciem otworzył drzwi i wmaszerował do domu duchów. Minę miał zdecydowaną. Wbił wzrok w dwie kobiety, stojące pośrodku słabo oświetlonej izby; podszedł do nich. Otulone były w peleryny, kaptury miały odrzucone. Twarze Sióstr były niemal spokojne. Richard stanął przed nimi.

- Mam pytania i oczekuję, że na nie odpowiecie.

- Cieszymy się, Richardzie, że nadal jesteś w dobrej formie - powiedziała Siostra Verna. - Że wciąż żyjesz.

- Dlaczego Siostra Grace się zabiła? Dlaczego jej na to pozwoliłyście?

Siostra Elizabeth wysunęła się przed Siostrę Verne. Trzymała w dłoniach otwartą obrożę.

- Już ci mówiłyśmy, iż skończył się czas dyskusji. Teraz należy postępować według reguł.

- I ja mam reguły - odparł chłopak, wsparłszy się pod boki. Popatrzył kolejno na każdą z Sióstr. - Oto pierwsza z nich: żadna z was się dzisiaj nie zabije.

Nie zwróciły uwagi na jego słowa.

- Masz słuchać. Ja, Elizabeth Myric, Siostra Światła, podaję drugi powód przyjęcia Rada'Han. Drugą szansę przyjęcia pomocy. Pierwszym z trzech powodów zgody na Rada'Han jest pozbycie się migren i otwarcie umysłu, umożliwiające naukę korzystania z daru, z magicznej mocy. Odrzuciłeś tę okazję. Daję ci drugą i wyjawiam kolejny powód. - Elizabeth wpatrywała się w oczy chłopaka, jakby chciała mieć pewność, że uważnie jej słucha. - Oto drugi powód noszenia Rada'Han: dzięki obroży możemy cię kontrolować.

- Kontrolować mnie? - Richard obrzucił ją wściekłym spojrzeniem. - Co

to znaczy, kontrolować mnie?

- To znaczy właśnie to.

- Nie założę na szyję obroży po to, byście mnie mogły kontrolować. -
Pochylił się ku niej. - Ani z żadnego innego powodu.

Siostra Elizabeth uniosła obrożę.

- Jak ci już powiedziano, trudniej ci jest zaakceptować drugą ofertę. Uwierz nam, proszę, iż grozi tobie wielkie niebezpieczeństwo. Twój czas się kończy. Proszę cię, Richardzie, przyjmij teraz moją ofertę, drugą z trzech. Uznanie trzeciego powodu i wyrażenie zgody będzie jeszcze trudniejsze.

W oczach chłopaka pojawiło się coś, co Kahlan widziała tylko jeden jedyny raz - kiedy uprzednio podawano mu obrożę. Było to coś obcego, coś przerażającego. Przeszył ją dreszcz. Ramiona dziewczyny pokryły się gęsią skórką. Z głosu Richarda zniknął gniew.

- Już ci powiedziałem - szepnął - że nie założę obroży. Dla nikogo. Z żadnego powodu. Jeżeli naprawdę chcecie mnie nauczyć, jak kontrolować ów dar, jak się nim posługiwać, to możemy o tym porozmawiać. Dzieje się wiele ważnych i groźnych spraw, o których nic nie wiecie. Jestem Poszukiwaczem, mam swoje obowiązki. Nie jestem dzieckiem jak ci, z którymi dotąd miałyście do czynienia. Jestem dorosły. Możemy wszystko omówić.

Siostra Elizabeth wpatrywała się weń intensywnie. Richard nieco się cofnął. Zamknął oczy, drżał. Po chwili się uspokoił, otworzył oczy i głęboko zaczerpnął powietrza. Odwzajemnił spojrzenie. Coś się wydarzyło - i Kahlan nie miała pojęcia co.

Zniknęła moc bijąca z oczu Siostry Elizabeth. Kobieta opuściła obrożę.

- Czy przyjmiesz Rada'Han? - W jej szepcie pobrzmiwały groźne tony.

Richard bacznie się w nią wpatrywał. Głos chłopaka znów zabrzmiał pewnie i mocno:

- Odmawiam.

Siostra Elizabeth zbladła. Patrzyła nań jeszcze chwilę, a potem odwróciła się ku stojącej za nią kobiecie.

- Zawiodłam, wybac mi, Sostro. - Włożyła Rada'Han w wyciągniętą dłoń Siostry Verny i szepnęła: - Teraz twoja kolej.

Siostra Verna złożyła pocałunek na policzkach towarzyszki.

- Światło ci wybacza, Sostro.

Siostra Elizabeth obróciła się ku Richardowi; twarz miała zapadniętą.

- Oby Światło zawsze otaczało cię opieką. Może pewnego dnia odnajdziesz drogę.

Richard wsparł się pod boki, bacznie obserwując oczy Siostry. Uniósł głowę. Podniosła rękę - jak przedtem Siostra Grace - i jednym ruchem nadgarstka wsunęła w dłoń nóż o srebrnej rękojeści. Chłopak patrzył, jak zwracała ku sobie ostrze. Kahlan stała niczym zaczarowana: wstrzymała oddech i śledziła przygotowania Siostry Elizabeth. Cisza aż dzwoniła w uszach. Na jedno mgnienie wszystko zamarło.

Ostrze się poruszyło - i Richard też. Działał niesamowicie szybko. Chwytał nadgarstek kobiety, zanim ta zdała sobie sprawę, co się dzieje. Wolną ręką próbował wyrwać opierającej się Siostrze dziwaczny nóż. Był od niej silniejszy.

- Wyjawiłem ci moją zasadę. Nie możesz się dzisiaj zabić.

- Puść, proszę... - Jej twarz krzywiła się w daremnym wysiłku. Zadrzała. Szarpnęła do tyłu głowę. Błysk światła wytrysnął z jej oczu. Siostra Elizabeth upadła na klepisko; Siostra Verna wyciągnęła nóż z pleców osuwającej się towarzyszki.

- Sam musisz ją pochować. - Siostra Verna przeniosła wzrok z martwej kobiety na Richarda. - Jeśli pozwolisz, by ktoś inny zrobił to za ciebie, to przez resztę życia będziesz miał koszmary zsyłane przez magię. I nie uwolnisz się od nich.

- Zabiłaś ją! Zamordowałaś! Jak mogłaś ją zabić!?

Verna schowała nóż w rękawie, gniewnie patrząc na Richarda. Wyrwała mu z dłoni broń o srebrnej rękojeści i ukryła w fałdach peleryny.

- To ty ją zabiłeś - szepnęła.

- Masz jej krew na rękach!

- I siekiera kata jest splamiona krwią, a nie uderza sama. Richard sięgnął jej do gardła. Nie odsunęła się - po prostu nadal się weń wpatrywała. Ręce chłopaka jej nie dotknęły. Richard drżał, walcząc z niewidzialną przeszkodą, a Siostra Verna tylko się weń wpatrywała.

W tym momencie Kahlan pojęła, kim były Siostry.

Richard przestał napierać na przeszkodę. Cofnął trochę ręce. Widać było, że się rozluźnił. Twarz mu złagodniała, powoli wyciągnął rękę ku Siostrze Vernie i zacisnął palce na gardle kobiety. Wstrząśnięta Verna szeroko

otworzyła oczy ze zdumienia.

- Zabierz rękę, Richardzie - szepnęła gniewnie.

- Sama mówiłaś, że to nie zabawa. Dlaczego ją zabiłaś? Stracił grunt pod nogami. Uniósł się na kilka cali w powietrze.

Mocniej zacisnęła dłoń na szyi Siostry. Nie puścił jej - i dookoła zapłonął ogień, otaczając ich kręgiem ryczących płomieni.

- Mówiłam, żebyś cofnął dłoń.

Jeszcze chwila i żar pochłonie Richarda. Kahlan wyciągnęła pięść ku Siostrze, zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi. Zaciśniętą dłoń otoczyły błękitne płomyki. Strzelały małe błyskawice. Dziewczyna ze wszystkich sił powstrzymywała się od uwolnienia mocy. Błękitne ogniki z trzaskiem pełzały po ścianach, suficie i podłodze, omijając jedynie to miejsce, gdzie stali Richard i Verna. Kahlan drżała z wysiłku, powstrzymując moc.

- Przestań! - Błękitne ogniki wessały płomienie. - Już nikt dzisiaj nie umrze. - Błękitny blask zgasł.

W izbie domu duchów znów zapadła cisza. Siostra Verna wpatrywała się w Kahlan. W jej oczach pojawił się gniew. Richard dotknął podłoga i puścił gardło Verny.

- Nie zrobiłabym mu nic złego. Chciałam go tylko przestraszyć, żeby mnie puścił. - Przeniosła gniewny wzrok na chłopaka. - Kto cię nauczył łamać czar?

- Nikt. Sam się nauczyłem. Dlaczego zabiłaś Siostrę Elizabeth?

- Sam się nauczyłeś - zakpiła. - Już ci mówiłam. To nie zabawa: musi się toczyć według reguł. - Głos jej złagodniał. - Znałam ją od wielu lat. Gdybyś choć raz rozżarzył bielą swój miecz, zrozumiałbyś, ile mnie ten czyn kosztował.

Richard nie powiedział jej, że rozżarzył miecz bielą.

- I spodziewasz się, iż po tym, co uczyniłaś, oddam się w twoje ręce?

- Twój czas się kończy, Richardzie. Po tym, co dziś widziałam, zdziwiłabym się, gdyby migreny cię wkrótce nie zabiły. Nie rozumiem, dlaczego ból cię jeszcze nie powalił. Ale i tak nie wytrwasz długo, bez względu na to, co cię chroni. Wiem, że nie chcesz, by ktokolwiek umarł. My również tego nie chcemy, lecz uwierz, proszę, iż to wszystko stało się dla ciebie, aby cię ocalić. - Siostra Verna obróciła się ku Kahlan. - Obchodź się ostrożnie z tą swoją mocą, Matko Spowiedniczko. Wątpię, czy wiesz, jakie to

niebezpieczne. - Naciągnęła kaptur; piwne oczy znów spojrzały na Richarda. - Otrzymałeś pierwszą i drugą szansę i odrzuciłeś je. Powrócę. - Pochyliła się ku chłopakowi. - Będiesz mógł wybierać jeszcze jeden raz. Jeżeli i wówczas odmówisz, umrzesz. Dobrze się zastanów, Richardzie.

Drzwi zamknęły się za Siostrą Verna, a Richard przykucnął obok martwej Siostry.

- Próbowała na mnie wpłynąć. Magią. Czułem to.

- Co czułeś?

Richard z wolna potrząsnął głową.

- Już za pierwszym razem czułem, jak coś mnie skłania, bym przyjął ofertę, bym się zgodził, ale tak się przeraziłem obroży, że nie zwróciłem na to uwagi. Teraz to było o wiele mocniejsze. To magia. Magia próbowała mnie zmusić, żebym powiedział „tak” i przyjął ofertę Sióstr. Po prostu myślałem o obroży, dopóki ta siła nie zniknęła, i mogłem odmówić. - Popatrzył na Kahlan. - Czy wiesz, co się dzieje? Co one robiły? Z ogniem i w ogóle?

Dłoń dziewczyny wciąż jeszcze promieniowała błękitnym blaskiem.

- Tak. Siostry to czarodziejki. Richard wstał powoli.

- Czarodziejki. - Długo spoglądał Kahlan w oczy. - Dlaczego się zabijały, kiedy odmawiałem?

- Chyba po to, żeby przekazać moc drugiej Siostrze, tak by była silniejsza, gdy znów spróbują.

Chłopak popatrzył na leżące na klepisku ciało.

- Dlaczego jestem taki ważny, że aż się zabijają, by mnie dostać? - Może naprawdę jest tak, jak mówią. Chcą ci pomóc. Spojrzał na nią kątem oka.

- Nie chcą dopuścić, żeby zmarł ktoś obcy, a dwie z nich odebrały sobie życie, próbując mnie nakłonić do przyjęcia pomocy i ocalenia życia? Jaki w tym sens?

- Nie wiem, Richardzie, ale strasznie się boję. Obawiam się, iż mogą mówić prawdę: że te migreny naprawdę cię zabijają i że nie zostało ci już dużo czasu. Boję się, że nie zdołasz już panować nad tymi bólami głowy. - Głos jej załamał. - Nie chcę cię stracić.

- Nic mi nie będzie. - Richard objął dziewczynę. - Pochowam ją. Za parę godzin narada widzących. Jutro będziemy w Aydindril, a tam już będę bezpieczny. Zedd powie, co robić.

Kahlan tylko kiwnęła głową, wtuloną w jego ramię.

ROZDZIAŁ 16

Kahlan siedziała w kręgu z ośmioma mężczyznami; wszyscy byli nadzy. Po lewej miała Richarda, wymalowanego - jak ona sama i starsi - białym i czarnym błotem; wolne od malowideł było tylko niewielkie kółko pośrodku piersi chłopaka. Za plecami dziewczyny płonął mały ogień. W jego nikłym blasku widziała dziką płataninę linii i zawijasów przecinających twarz Richarda. Wszyscy byli identycznie pomalowani, żeby duchy przodków mogły ich zobaczyć. Kahlan się zastanawia czy i ona wygląda teraz w oczach Richarda jak dzikuska, tak jak on nabrał wyglądu barbarzyńcy dla niej. Gryzący dym drażnił nos. Żaden ze starszych nie drapał się jednak; patrzyli w pustkę i śpiewali duchom świętą pieśń.

Drzwi same się zatrzasnęły i Kahlan aż podskoczyła.

Oczy Człowieka Ptaka straciły nieobecny wyraz.

- Nikt nie może stąd wyjść i nikt nie może tu wejść aż do świtu, dopóki nie skończymy. Duchy strzegą drzwi.

Kahlan z niepokojem pomyślała, że może to być pułapka, jak jej powiedział Richard. Mocniej ścisnęła dłoń chłopaka. Odwzajemnił uścisk. Przynajmniej jestem przy nim, pomyślała. Miała nadzieję, że zdoła go ochronić. Że w razie potrzeby uda się jej przywołać błyskawicę.

Człowiek Ptak wyłowił małą żabkę i podał koszyk jednemu ze starszych. Kahlan patrzyła na ustawione w krąg czaszki. Każdy ze starszych brał żabę i pocierał jej grzbietem nie pomalowaną skórę na piersi. Potem odchyłili w tył głowy i zaczęli śpiewać inną pieśń. Savidlin podał dziewczynie koszyk.

Kahlan zamknęła oczy i zanurzyła w nim rękę. W końcu wyłowiła kopiającą i szarpiącą się żabkę duchów o odpychającej, gładkiej, oślizłej skórze. Dziewczyna przełknęła ślinę, opanowała swoją moc Spowiedniczki, żeby jej niechący nie uwolnić, i przycisnęła grzbiet płaza do skóry pomiędzy piersiami. Podała koszyk Richardowi. Pod dotknięciem żabki skóra dziewczyny stężała i zaczęła mrowić. Kahlan puściła zwierzę i znów chwyciła dłoń Richarda. Ściany zaczęły falować jak w gorącym powietrzu lub w kłębach dymu. Dziewczyna bezskutecznie usiłowała zachować w myślach obraz domu duchów. Nic z tego - ściany odpłynęły i Kahlan miała wrażenie, że wiruje wokół czaszek.

Coś miękko muskało jej skórę. Z czerepów wytrysnęło światło i wypełniło oczy Kahlan. W uszach miała dźwięki bołdasów i bębnów oraz śpiewy. Gryzący dym wypełnił jej płuca. Światło bijące z czaszek pojaśniało - jak poprzednio - i wchłonęło ich. Wirowali w jedwabistej pustce.

A potem otoczyły ich jakieś kształty. Kahlan pamiętała je z poprzedniej narady: to duchy przodków. Poczwała na ramieniu najłżejsze dotknięcie - ręka, ręka ducha.

Człowiek Ptak poruszył ustami, lecz to nie był jego głos. To były połączone głosy duchów przodków: puste, bezdźwięczne, martwe.

- Kto zwołał tę naradę?

Kahlan pochyliła się ku Richardowi i szepnęła:

- Chcą wiedzieć, kto zwołał naradę. Chłopak skinął głową.

- Ja. Ja zwołałem naradę.

Bezcielesna dłoń cofnęła się z ramienia Kahlan i wszystkie duchy wpłynęły do środka kręgu.

- Podaj swoje imię. - Dźwięk ich głosów sprawiał, że Kahlan czuła ukłucia bólu. - Pełne i prawdziwe imię. Jeżeli jesteś przekonany, że mimo niebezpieczeństwa pragniesz tej narady, to najpierw podaj swe prawdziwe imię, a potem wypowiedz życzenie. To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.

Richard wpatrywał się w tłumaczącą dziewczynę.

- Proszę, Richardzie...

- Muszę. - Przeniósł wzrok na zgromadzone w środku okręgu widma, po czym głęboko zaczerpnął powietrza. - Jestem Richard... - Przełknął ślinę i na chwilę zamknął oczy. - Jestem Richard Rahl i proszę o naradę widzących.

- Niech tak się stanie - szepnęły głuche głosy. Drzwi domu duchów otworzyły się z trzaskiem.

Kahlan krzyknęła i podskoczyła. Poczwała, jak drgnęła dłoń Richarda. Wrota stały otworem - czarna wyrwa w spowijającym zebranych łagodnym blasku. Starsi podnieśli nie zamglone już dalekimi wizjami oczy. Byli zmieszani i zaskoczeni.

Znów się rozległy głosy duchów - tym razem ze środka kręgu, nie zaś poprzez starszych. Ich dźwięk był jeszcze bardziej przykry niż przed chwilą.

- Mogą wyjść wszyscy oprócz tego, który przywołał duchy przodków. Opuśćcie to miejsce, dopóki jeszcze możecie. Usłuchajcie naszego ostrzeżenia. Ci, którzy tu z nim zostaną, mogą postradać swoje dusze. -

Wszystkie duchy zwróciły się ku Richardowi, a ich głosy zabrzmiały jak syk. - Ty nie możesz odejść.

Starsi popatrywali na siebie z przerażeniem. Kahlan przełożyła Richardowi słowa zjaw. Wiedziała, że coś takiego nigdy przedtem się nie zdarzyło.

- Niech wyjdą - szepnął chłopak. - Powiedz, żeby wszyscy wyszli. Nie chcę, by coś im się stało.

Dziewczyna spojrzała w zatroskane oczy Człowieka Ptaka.

- Wyjdźcie stąd wszyscy, proszę. Dopóki możecie. Nie chcemy, żeby któremukolwiek z was stało się coś złego.

Starsi spojrzeli na Człowieka Ptaka. On zaś przez chwilę wpatrywał się w Kahlan, zerknął na Richarda i znów przeniósł wzrok na dziewczynę.

- Nie mogę ci nic doradzić, dziecko. To się nigdy przedtem nie zdarzyło. Nie wiem, co to oznacza.

- Rozumiem. - Kahlan skinęła głową. - Odejdźcie, zanim będzie za późno.

Savidlin dotknął ramienia dziewczyny i starsi zniknęli, wchodząc jeden za drugim w czarną pustkę otwartych drzwi. Kahlan została z Richardem i z duchami.

- Chcę, żebyś i ty odeszła, Kahlan. Idź. Natychmiast. - Głos chłopaka był spokojny, niemal zimny. W oczach Richarda tańczył strach... i magia.

Przyglądał się duchom, a Kahlan wpatrywała się w jego twarz.

- Nie - szepnęła. Raz jeszcze spojrzała na środek kręgu. - Nie zostawię cię. Z żadnego powodu. Nie wymieniliśmy przysięgi, lecz moja magia złączyła nasze serca. Stanowimy jedno. Co przydarza się jednemu z nas, przydarza się obojgu. Zostaję.

Richard nie spojrzał na nią. Wpatrywał się w duchy unoszące się w środku okręgu, ponad czaszkami. Pomyślała, że pewnie wrzaśnie na nią, żeby sobie poszła. Nie zrobił tego.

- Dzięki - powiedział łagodnie. - Kocham cię, Kahlan Amnell. Zostańmy więc razem.

Drzwi zamknęły się z hukiem.

Kahlan podskoczyła i nie zdołała powstrzymać okrzyku. Krew pulsowała jej w uszach. Usiłowała spokojniej oddychać, ale nie mogła. Przełknęła ślinę.

Kształty duchów zamgliły się.

- Nie możemy zostać i być świadkami tego, co wywołałeś, Richardzie

Rahlu. Przykro nam.

Duchy zaczęły się rozplýwać. Zniknęły, a światło odeszło wraz z nimi. Richard i Kahlan znaleźli się w całkowitych ciemnościach. Dziewczyna słyszała lekkie potrzaskiwanie ognia, płonącego gdzieś poza tą czernią, szybki oddech Richarda i swój własny. Dłoń chłopaka odnalazła jej rękę. Siedzieli w ciemnościach, nadzy i osamotnieni.

Kahlan zaczynała już mieć nadzieję, że nic się nie stanie, kiedy dostrzegła przed sobą słaby blask. Pojawiło się światło.

Zielony blask.

Taki blask widziała tylko w jednym miejscu.

W zaświatach.

Dziewczyna z trudem oddychała. Zielone światło nabrało mocy, a wraz z nim odległe zawodzenia.

Dał się słyszeć przeraźliwy, rozdzierający uszy trzask, jak uderzenie pioruna - nagły, głośny, przykry.

Z centrum zielonej poświaty wydobyła się jasność i zmaterializowała w stojącą przed młodymi postacią. Kahlan na moment straciła oddech. Zjeżyły się jej delikatne włoski na karku.

Biała postać postąpiła ku nim. Dziewczyna niejasno czuła, jak mocno, aż do bólu Richard miażdży w uścisku jej dłoń. Znała te białe szaty, długie blond włosy, boleśnie piękną twarz. Stał przed nimi z okrutnym uśmiechem na ustach.

- Chronście nas, dobre duchy - szepnęła dziewczyna. To był Rahl Posępny.

Richard i Kahlan podnieśli się powoli, obserwowani przez błyszczące błękitne oczy. Rahl Posępny, rozluźniony i zrelaksowany, uniósł rękę i oblizał czubki palców.

- Dzięki, Richardzie, że mnie przywołałeś. - Okrutny uśmiezek rozszerzył się. - To bardzo ładnie z twojej strony.

- Ja... wcale cię nie wezwałem - szepnął chłopak. Rahl Posępny zaśmiał się cicho.

- I znów popełniłeś błąd. O tak, przywołałeś mnie. Zwołałeś naradę. Zgromadzenie duchów przodków. Jestem twoim przodkiem. Tylko ty, ty jeden mogłeś mnie sprowadzić poprzez zasłonę. Ty jeden.

- Wyrzekam się ciebie.

- A wyrzekaj się do woli. - Rahl wyciągnął ramiona w otaczającej go białej

poświacie. - Nadal tu jestem.

- Przecież cię zabiłem.

Lśniąca, migocąca postać w białej szacie znów się zaśmiała.

- Zabiłeś mnie? Owszem, zabiłeś. I posłużyłeś się magią, by mnie wysiać na drugi świat. Świat, gdzie mnie znają. Świat, gdzie mam... przyjaciół. A teraz mnie przywołałeś. Znowu za pomocą magii. I nie tylko przywołałeś, Richardzie, lecz jeszcze bardziej rozdarłeś zasłonę, żebym się mógł pojawić.

- Z wolna potrząsnął głową. - Czyż nie ma końca twojej głupocie?

Rahl Posepny zdawał się płynąć i iść równocześnie, posuwając się ku Richardowi. Chłopak puścił dłoń Kahlan i cofnął się. Dziewczyna wrosła w podłogę, nie zdołała się cofnąć wraz z nim.

- Zabiłem cię. - Oczy Richarda były szeroko otwarte. - Pokonałem cię. Ja wygrałem, ty przegrałeś.

Jasnowłosa głowa powoli potaknęła.

- Wykorzystując swój dar i pierwsze prawo magii, wygrałeś małą potyczkę w odwiecznej wojnie. Lecz w swojej niewiedzy pogwałciłeś drugie prawo magii i przez to straciłeś wszystko. - Na usta Rahla powrócił złośliwy uśmieszek. - Taki wstyd. Czyżby nikt nigdy ci o tym nie powiedział? Magia jest niebezpieczna. Mogłem cię tego nauczyć. Mogłem podzielić się z tobą całą moją wiedzą. - Wzruszył ramionami. - No, nic. Pomogłeś mi zwyciężyć bez tego. I tak nie mógłbym być z ciebie bardziej dumny, niż jestem.

- Co to za drugie prawo magii? Cóż ja takiego zrobiłem? Rahl uniósł brwi i zbliżył się o krok.

- Jak to, Richardzie? Nie wiesz? A powinieneś - szepnął. - Dzisiaj złamałeś je po raz drugi. A łamiąc je drugi raz, ponownie rozdarłeś zasłonę i sprowadziłeś mnie tutaj. Sprowadziłeś, bym mógł ją rozedrzeć do reszty i uwolnić Opiekuna. - Znów się kpiąco uśmiechał. - Sam, bez niczyjej pomocy.

- Zaśmiał się urągliwie. - Mój syn. Nigdy nie powinieneś się mieszać w sprawy, o których nie masz pojęcia.

- Czego chcesz!? Rahl podpłynął bliżej.

- Ciebie, synu. Ciebie. - Zaczął wyciągać dłoń ku Richardowi. - Wysłałeś mnie na tamten świat, teraz ja tam ciebie wyślę. Należysz do Opiekuna. Potrzebuje cię. Jesteś jego własnością.

Kahlan, nie zdając sobie sprawy, co czyni, uniosła pięść; w głębi jej jestestwa zapłonął Con Dar. Dziewczynę ogarnęła wściekłość, z zaciśniętych

palców buchnęła błyskawica. Burza światła i grzmotu, od którego zadrżała ziemia, rozdarła otaczającą ich czarną pustkę. Ukazało się wnętrze domu duchów, rozświetlone pędzącą ku Rahlowi Posępnemu błękitną strzałą.

Rahl podniósł rękę i bez wysiłku odbił uderzenie. Błyskawica się rozszczepiła. Jedna struga ognia strzeliła poprzez dach w czarne niebo, zsyłając deszcz popękanych dachówek. Druga uderzyła w podłogę, wzbijając tumany kurzu.

Oczy Rahla Posępnego i Kahlan spotkały się. Jego spojrzenie dosięgło głębin duszy dziewczyny, zmroziło ją. Jeszcze nigdy nie widziała tak wstrętnego, niegodziwego uśmiechu. Czuła ból w każdym włókienku ciała. Spróbowała na nowo przywołać moc, lecz daremnie. Rahl coś zrobił. Kahlan nie mogła się poruszyć. Richard również. Świat dziewczyny walił się z przerażającą szybkością. Richardzie, załkała w myślach, mój Richardzie. Nie pozwólcie na to, dobre duchy.

Z płonąącym wściekłością wzrokiem Richard zdołał postąpić o krok, lecz Rahl Posępny przyłożył dłoń do piersi chłopaka, ponad sercem, i ten skamieniał.

- Naznaczam cię, Richardzie. Dla Opiekuna. Znakiem Opiekuna. Należysz do niego.

Chłopak odrzucił w tył głowę. Jego wrzask przeszył powietrze, rozdzierając serce i duszę Kahlan. Dziewczyna miała wrażenie, że umiera tysiące razy.

Spod dłoni Rahla uniosły się pasemka dymu. Kahlan poczuła swąd przypalanego ciała. Rahl cofnął rękę.

- Cena ignorancji, Richardzie. Jesteś naznaczony. Teraz należysz do Opiekuna. Już na zawsze. Zaczyna się podróż.

Chłopak osunął się na ziemię jak marionetka po przecięciu kierujących nią sznurków. Kahlan nie wiedziała, czy tylko stracił przytomność, czy też nie żyje. Ją samą coś podtrzymywało - nie jej własne nogi, a sznurki trzymane przez Rahla.

Rahl Posępny podpłynął ku dziewczynie. Majaczył przed nią groźnie, oślepiając jaskrawym blaskiem. Kahlan chciała się odsunąć, zamknąć oczy, ale nie mogła. Wreszcie odzyskała głos.

- Mnie też zabij - szepnęła. - Wyślij mnie tam, dokąd wysłałeś jego. Błagam.

Rahl wyciągnął ku niej połyskującą rękę. Śmiertelna udręka niemal pozbawiła Kahlan przytomności. Rozstawił palce. Jego dotknięcie było niczym fale lodu i ognia.

Cofnął rękę.

- Nie. - Na usta Rahla wypełził bezlitosny uśmiezek. - Nie. To by było zbyt proste. Lepiej niech on patrzy na to, co cię spotka. Lepiej niech bezsilnie patrzy. - Uśmiech pierwszy raz odsłonił zęby Rahla. - Niech cierpi przez to. - Rahl przeszywał dziewczynę wzrokiem. Richard odziedziczył owo gniewne, przenikliwe spojrzenie. - Na razie nie umrzesz. Już wkrótce będziesz się wic w odmiennym bólu, żywa i martwa zarazem - szeptał spokojnym, bezlitosnym głosem. - On będzie się przyglądał. Przez wieczność. Ja będę patrzył. Przez wieczność. Opiekun będzie patrzył. Przez wieczność.

- Wyślij mnie wraz z nim, błagam - załkała.

Wysunął palec i zebrał jej łzę. Dotknięcie sprawiło Kahlan taki ból, że zadrżała.

- Obdaruję cię czymś, skoro tak go kochasz. - Rahl odwrócił się i wyciągnął ramię ku Richardowi. Jego straszliwe błękitne oczy znów spojrzały na dziewczynę. - Pozwolę mu jeszcze trochę pożyć. Na tyle długo, żebyś widziała, jak życie wycieka zeń przez znak Opiekuna. Jak wypływa zeń dusza. Czas się nie liczy. Opiekun i tak go dostanie. Podaruję ci tę okruszynę czasu, byś mogła patrzeć na śmierć tego, którego kochasz. - Rahl pochylił się ku dziewczynie. Z całych sił starała się cofnąć, lecz nie zdołała. Usta Rahla dotknęły jej szyi. Ból nappełnił ją bezgłośnym krzykiem i zesłał wizję gwałtu. Świetliste palce odsunęły włosy Kahlan. Usta Rahla były tuż przy jej uchu. -

Raduj się moim darem - szepnął. - W odpowiednim czasie dostanę i ciebie. Na wieczność. Zawieszoną pomiędzy życiem a śmiercią. Na zawsze. Z chęcią powiedziałbym ci, jak będziesz cierpieć, lecz obawiam się, że nie pojęłabyś tego. Już wkrótce się dowiesz. - Cichy śmiech zaszemrał przy uchu Kahlan. - Gdy tylko do reszty rozerwę zasłonę i uwolnię Opiekuna. - Znów ucałował szyję unieruchomionej dziewczyny. Jej umysł wypełniły straszliwe obrazy, poczuła się zbezczeszczona ponad wszelkie wyobrażenie. - To jedynie łagodny przedsmak. Żegnam na razie, Matko Spowiedniczko.

Odwrócił się i Kahlan odzyskała zdolność ruchu. Desperacko sięgnęła po swoją moc. Bezskutecznie. Płacząc i drżąc, patrzyła, jak Rahl wypływa przez otwarte drzwi domu duchów i znika.

Dziewczyna osunęła się na ziemię z przeraźliwym jękiem. Czołgała się ku Richardowi, wstrząsana łkaniem.

Leżał na boku, plecami do niej. Przewróciła go na wznak. Ręce chłopaka osunęły się bezwładnie na ziemię. Odwrócił ku niej głowę. Twarz miał szarą, martwą, a na piersi wypaloną dłoń - znak Opiekuna. Przez spaloną, spękaną skórę sączyła się krew. Sączyło się życie i dusza Richarda.

Kahlan przypadła doń, wczepiła się weń i płakała niepoohamowanie. Zacisnęła dłoń na włosach chłopaka, tuląc twarz do jego zimnego policzka.

- Richardzie, Richardzie - łkała. - Nie zostawiaj mnie. Zrobię dla ciebie wszystko. Umrę zamiast ciebie. Nie umieraj. Nie opuszczaj mnie. Błagam cię, Richardzie. Nie umieraj.

Kuliła się przy nim; jej świat się walił. Umierała. Jedyne co potrafiła, to łkać z miłości do niego. Odchodził, a ona nie mogła temu zapobiec. Czowała, jak coraz wolniej oddycha. Chciała umrzeć wraz z nim, lecz śmierć nie nadchodziła. Straciła poczucie czasu. Nie wiedziała, czy jest tu od paru minut, czy też od wielu godzin. Nie miała pojęcia, co jest jawą. Wszystko przypominało koszmar. Drżącymi palcami głaskała twarz chłopaka. Miał śmiertelnie lodowatą skórę.

- Ty pewno jesteś Kahlan.

Dźwięk kobiecego głosu, dobiegającego zza jej pleców, sprawił, że Kahlan uniosła się i usiadła. Odwróciła się. Drzwi domu duchów znów były zamknięte. W mroku górowała nad dziewczyną biała postać. Duch kobiety ze złożonymi dłońmi. Przyglądała się Matce Spowiedniczce z miłym uśmiechem. Włosy miała splecione w warkocz.

- Kim jesteś?

Kobieta usiadła przed dziewczyną. Ta nie dostrzegła żadnych szat, lecz duch wcale nie sprawiał wrażenia nagiego. Kobieta spojrzała na Richarda. Na dumnej twarzy odmalowały się tęsknota i niepokój. Zwróciła się ku Kahlan.

- Jestem Denna.

Denna! Związana z Richardem! - Pięść Kahlan skoczyła w górę. Błyskawica już-już miała wystrzelić, ale Denna odezwała się, zanim dziewczyna uwolniła swoją moc.

- On umiera. Potrzebuje nas. Nas obu. Kahlan zawahała się.

- Możesz mu pomóc?

- Być może obie potrafimy. Jeśli go wystarczająco kochasz.
- Zrobię, co trzeba. Wszystko. - W Kahlan znów obudziła się wiara.
- Mam nadzieję. - Denna skinęła głową.

Duch spojrział na Richarda i czule pogładził jego pierś. Kahlan o mało nie uwolniła swej mocy. Nie wiedziała, czy Denna stara się go zranić, czy mu pomóc. Łudziła się na przekór wszystkiemu. To jedyna szansa, żeby ocalić Richarda. Chłopak głęboko odetchnął. Serce Kahlan zabiło radośnie.

Denna cofnęła rękę i uśmiechnęła się.

- Nadal jest przy tobie.

Kahlan odrobinę opuściła pięść i palcami drugiej dłoni otarła łzy z policzka. Wcale jej się nie podobała tęsknota, z jaką Denna patrzyła na Richarda.

- Jak się tu znalazłaś? Richard nie mógł cię przywołać, nie jesteś jego przodkiem.

Denna odwróciła się ku niej, z jej ust zniknął marzycielski uśmiech.

- Trudno to będzie dokładnie wytłumaczyć, lecz spróbuję. Byłam w miejscu mrocznym i pełnym spokoju. Przejście Rahla Posępnego wywołało zakłócenia. Nie powinien był przeniknąć przez owo miejsce. Kiedy Rahl się zbliżał, wyczułam, że to Richard go przywołał, pozwalając wydostać się spoza zasłony i pojawić tutaj. Zbyt dobrze znałam Rahla Posępnego, by nie mieć pojęcia, co mógłby uczynić Richardowi. Ruszyłam jego śladem. Nigdy nie zdołałabym przeniknąć przez swoją zasłonę; udało mi się to tylko dlatego, że podążałam śladem Rahla, niejako przyczepiona doń. Przybyłam, bo wiedziałam, co Rahl uczyni chłopakowi. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć.

Kahlan skinęła głową. Nie widziała ducha, lecz kobietę, która wzięła Richarda na kochanka. Moc buzowała w niej gniewnie i dziewczyna z trudem ją powstrzymywała, tłumacząc sobie, że to dla dobra Richarda. Innego sposobu nie było - musiała przystać na pomoc Denny. Kahlan powiedziała, że uczyni wszystko, i zamierzała dotrzymać słowa, choćby miała zrezygnować z zabicia kogoś, kto i tak był już martwy. Kogoś, kogo chciałyby zabijać tysiące razy, a potem kolejne tysiące razy.

- Zdołasz mu pomóc? Zdołasz go ocalić?

- Napiętnowano go znakiem Opiekuna. Ten znak ściągnie go do Opiekuna. Jeśli inna dłoń nałoży się na znamię, to ten, do kogo ona należy,

pójdzie za Richarda. Chłopak nie będzie już ściągany do Opiekuna. Będzie żyć.

Kahlan wiedziała, co ma zrobić. Pochyliła się nad Richardem i bez wahania wyciągnęła dłoń.

- Więc przejmę ten znak i pójdę za niego, żeby mógł żyć. - Rozpostarła palce, dopasowując je do piętna. Już-już miała przycisnąć do niego dłoń.

- Nie rób tego, Kahlan.

- Dlaczego? - Dziewczyna obejrzała się przez ramię. - Pójdę za niego, skoro ma go to ocalić.

- Wiem, że jesteś gotowa to uczynić, lecz to nie takie proste. Najpierw musimy porozmawiać, a to nie będzie łatwe dla żadnej z nas. Obie ucierpimy, chcąc mu naprawdę pomóc.

Kahlan niechętnie się cofnęła i usiadła. Zgodzi się na wszystko, zapłaci każdą cenę, nawet porozmawia z tą... kobietą. Patrzyła na Denne, opiekuńczo dotykając Richarda.

- Skąd wiesz, kim jestem?

Denna uśmiechnęła się, niemal roześmiała.

- Znać Richarda, to znać Kahlan.

- Opowiadał ci o mnie?

- Tak jakby. - Przestała się uśmiechać. - Słyszałam twoje imię niezliczoną liczbę razy. Wykrzykiwał je, kiedy raniłam go tak, że tracił rozum. Żadnego innego. Nigdy. Ani imienia matki, ani ojca, tylko twoje. Raniłam go, aż zapominał, jak się nazywa, ale zawsze pamiętał twoje imię. Wiedziałam, iż znajdzie sposób, by być z tobą pomimo twojej mocy Spowiedniczki. - Na jej usta powrócił cień uśmiechu. - Myślę, że Richard potrafiłby zmusić słońce, żeby wstało o północy.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Ponieważ chcę cię prosić, byś mu pomogła, pragnę, żebyś pojęła, zanim się na to zgodzisz, jak bardzo go zranisz. Musisz zrozumieć, co powinnaś uczynić, aby go ocalić. Nie chcę cię do tego skłonić podstępem. To się powinno stać za twoją wiedzą i zgodą. Tylko tak zdołasz go uratować. Jeśli nie pojmiesz, przegrasz. Nie tylko znak mu zagraża. Grozi mu szaleństwo, które w nim zaszczepiłam. Ono zabije go równie pewnie, jak znak Opiekuna.

- Richard to najzdrowszy na umyśle człowiek, jakiego znam. Nie ma w nim krzty szaleństwa. To owo znamię musimy usunąć.

- On jest naznaczony i w inny sposób: ma dar. Zrozumiałam to w chwili, kiedy przyszedł mnie zgładzić. Widzę to w nim i teraz. Wiem, że go to zabija, że zostało mu już niewiele czasu. Nie mam pojęcia, ile jeszcze, lecz na pewno mało. Nie ocalimy go przecież przed Opiekunem jedynie po to, by padł ofiarą daru.

Kahlan kiwnęła głową, otarła nos grzbietem dłoni.

- Siostry Światła twierdzą, że mogą go ocalić. Mówią, iż by się uratować, powinien sobie założyć obrozę. Richard nie zgodzi się na to. Powiedział mi, co mu robiłaś, i dlaczego nie chce już obrozy. On nie jest szalony. Pojmie, co powinien zrobić, i uczyni to. Taki już jest. Dostrzeże prawdę.

Denna potrząsnęła głową.

- Wyjawiał ci zaledwie maleńką cząstkę. Nie masz pojęcia, ile przed tobą zataił. Wiem o jego opętaniu. On sam nie powie ci wszystkiego. Ja to muszę uczynić.

W Kahlan znów zapłonął gniew.

- Niezbyt mądrze byłoby mi o tym opowiadać. Skoro on sam nie chce tego zrobić, to nie powinnam się o tym dowiadywać od innych.

- Musisz. Jeżeli naprawdę masz mu pomoc, to musisz go zrozumieć. Pod pewnymi względami rozumiem Richarda lepiej niż ty. Doprowadziłam go na skraj szaleństwa i dalej. Widziałam w stanach całkowitej utraty zmysłów. Utrzymywałam w bezkresnym oblędzie.

Kahlan spojrzała na nią z wściekłością. Rozpoznała wyraz oczu Denny, kiedy ta patrzyła na Richarda. Za grosz jej nie ufała.

- Kochasz go.

Denna utkwiała w niej wzrok.

- On kocha ciebie. Wykorzystywałam tę miłość, żeby go ranić. Doprowadzałam go na granicę niebytu i trzymałam zawieszzonego pomiędzy życiem a śmiercią. Inne szybciej doprowadzały człowieka na ów skraj, lecz nie umiały go tam utrzymać. Zawsze posuwały się o krok za daleko, za szybko i zabijały; wszystko się kończyło, zanim zdołały zadać najwymyślniejsze tortury, wtrącić w stan najstraszliwszego pomieszania zmysłów. Rahl Posępny wybrał mnie dlatego, że potrafiłam utrzymywać przy życiu i zadawać coraz większy i większy ból. Sam mnie tego nauczył. Siedziałam czasem godzinami i czekałam, wiedząc, iż jedno więcej dotknięcie Agielem zabiłoby Richarda. Siedziałam, czekając, aż odzyska siły,

aż odzyska je na tyle, bym go mogła dalej dręczyć. Siedziałam i czekałam, a on szeptał twoje imię, całymi godzinami szeptał twoje imię. Nawet nie był świadomy, że to czyni. Byłaś niteczką trzymającą go przy życiu. Niteczką, dzięki której mogłam mu zadawać dodatkowe cierpienia. Prowadzić go coraz bliżej śmierci, w coraz głębsze szaleństwo. Wykorzystywałam jego miłość do ciebie, by dręczyć go ponad wszelkie wyobrażenie.

I kiedy tak siedziałam, słuchając, jak szepcze twoje imię, zapragnęłam, żeby choć raz, choć jeden jedyny raz wykrzyknął moje. Nigdy jednak tego nie uczynił. I za to dręczyłam go najbardziej.

Po policzkach Kahlan płynęły potoki łez.

- Błagam cię, Denno! Już nie chcę tego słuchać! Nie zniosę tego dłużej; nie zniosę świadomości, że właśnie przeze mnie mogłaś mu to wszystko uczynić.

- Musisz. Jeszcze ci nawet nie zaczęłam opowiadać o tym, czego się musisz dowiedzieć, jeżeli naprawdę chcesz mu pomóc. Powinnaś zrozumieć, jak wykorzystywałam przeciwko niemu magię i dlaczego nienawidzi swego daru, swojej magicznej mocy. Ja to rozumiem, bo wszystko, co uczyniłam Richardowi, Rahl Posępny uczynił też mnie.

Kahlan siedziała, drżąca, zapatrzona w pustkę, niczym w transie, a Denna opowiadała jej, jak dręczyła Richarda. Jak się posługiwała Agielem. Mówiła o każdym dotknięciu i wszystkich jego skutkach. Dziewczyna dobrze pamiętała straszliwy ból, wywołany lekkim muśnięciem pejcza. Teraz pojęła, że był to zaledwie przedsmak tego, co może Agiel. Łkała, słuchając, jak chłopak wisiał w kajdanach, a Denna trzymała go mocno za włosy, żeby pozostawał zupełnie nieruchomy, kiedy wpychała mu bicz w ucho, bowiem najłżejsze drgnięcie mogło mu nieodwracalnie uszkodzić mózg. Dowiedziała się, że zniósł to tylko dzięki miłości do niej. Trzęsła się, słuchając przerażającego opisu tego, co wepchnięcie Agiela w ucho czyniło Richardowi, co czyniła z nim magia, jego własna magia. Nie potrafiła patrzeć na opowiadającą Denne. Nie była w stanie napotkać jej spojrzenia. A to był dopiero początek.

Denna opisywała jeden straszliwy czyn po drugim, Kahlan zaś przyciskała jedną dłoń do żołądka, drugą zaś do ust, żeby powstrzymać torsje. Nie mogła przestać płakać. Krztusiła się szlochem, mocno zaciskając powieki, a Denna mówiła.

Matka Spowiedniczka cały czas błagała dobre duchy, by Mord-Sith oszczędziła jej tego, czego już zupełnie nie byłaby w stanie znieść.

Lecz Denna nie oszczędziła jej nawet tego. Opowiedziała, co Mord-Sith robią swoim kochankom i dlaczego ich partnerzy nie żyją zbyt długo. Nie pominęła najdrobniejszego intymnego szczegółu. Powiedziała, że Richardowi uczyniła to, czego nie zrobiła żadnemu innemu partnerowi.

Kahlan odwróciła się z rozpaczliwym jękiem, odczołgała kawałek i zaczęła wymiotować. Podpierała się jedną ręką, drugą przyciskając do brzucha. Łkała, z trudem łapiąc oddech, i krztusiła się łzami. Dłonie Denny podtrzymywały jej włosy, kiedy wyrzucała z siebie wszystko. Wymiotowała, dopóki miała czym.

Poczuła na plecach ciepłą dłoń kobiety. Chciała przywołać błyskawicę, lecz była na to zbyt słaba. Targały nią sprzeczne pragnienia - pragnęła utulić i pocieszyć Richarda, a jednocześnie rozedrzeć Denne na strzępy, porazić ją magią Con Dar, Krwawego Gniewu. Wstrząsana łkaniem, dławiąca się łzami, zdołała wreszcie wykrztusić:

- Zabierz... ręce... nnie... dotykaj mnie.

Zniknęła dłoń przytrzymująca jej włosy. Cofnęła się ręka dotykająca pleców. Skurcze szarpały pusty żołądek Kahlan.

- Ile razy mu to robiłaś?

- Wystarczająco wiele razy. To nie ma znaczenia.

Kahlan odwróciła się ku niej z wściekłością, zacisnęła pięści i wrzasnęła:

- Ile razy!!!

- Przykro mi, Kahlan, ale nie mam pojęcia. - Głos Denny był cichy i spokojny. - Nie liczyłam. Był ze mną długo. Dłużej niż inni moi partnerzy. Robiłam to prawie każdej nocy. Nikomu innemu tego nie czyniłam, bo oni nie mieli siły Richarda: siły, którą dawała mu miłość do ciebie. Tamci umarliby już za pierwszym razem. Bardzo długo mi się opierał. Czyniłam to wystarczająco wiele razy. Wystarczająco wiele razy.

- Wystarczająco wiele! Wystarczająco wiele, by co!?

- Wystarczająco wiele, by w części jego umysłu zagnieździł się obłąd.

- On nie jest szalony! Nie jest! Nie jest!!!

Denna wpatrywała się w drżącą z gniewu i bólu dziewczynę.

- Wysłuchaj mnie, Kahlan. Złamałabym każdego innego. Richard rozdzielił swój umysł i dzięki temu ocalał. Oddzielił i zamknął najważniejszą

częstkę swojego umysłu, tak że nie mogłam do niej dotrzeć, że magia nie mogła do niej dotrzeć. Wykorzystał do tego swój dar. Ocalił przed obłędem rdzeń własnego Ja”, lecz w naj mroczniejszych zakątkach jego umysłu czai się szaleństwo. Wykorzystywałam przeciwko niemu jego własną magiczną moc, korzystałam z niej, żeby go doprowadzić do obłędu. Nie mógł przed tym uchronić całego swojego umysłu. Opowiedziałam ci o wszystkim, co mu czyniłam, żebyś dostrzegła jego obłęd. Musiał poświęcić część siebie, by ocalić resztę. Ocalić ją dla ciebie. Żałuję, że nie mogłam postąpić tak samo, kiedy to mnie dręczono.

Kahlan uniosła bezwładną dłoń Richarda i przycisnęła do swego serca.

- Jak mogłaś go tak dręczyć? - Załkała. - O, mój biedny Richardzie. Jak mogłaś? Jak mogłaś komukolwiek to zrobić?

- W każdym z nas tkwi odrobina obłędu. W niektórych większa niż w innych. Moje życie to mroczna otchłań szaleństwa.

- Więc tym bardziej! Jak mogłaś tak czynić, wiedząc, do czego to prowadzi!?

Denna spojrzała na nią spod oka.

- I ty dokonałaś straszliwych czynów. Wykorzystywałaś swoją moc, żeby ranić ludzi.

- Ale oni popełnili odrażające zbrodnie.

- Wszyscy? - spytała spokojnie Denna. - Każdy z nich? Kahlan wstrzymała oddech, przypominając sobie, jak użyła swej mocy przeciwko Brophy'emu.

- Nie - wyszeptała. - Lecz nie chciałam tego uczynić. Musiałam. To mój obowiązek, moje zadanie. Jestem tym, kim jestem.

- Uczyniłaś to jednak. A co z Demminem Nassem?

Ugodziły ją te słowa. Napłynęły wspomnienia, słodkie wspomnienia o tym, jak wykastrowała tego bydlaka. Pochyliła się z jękiem.

- O, dobre duchy, czyżbym nie była lepsza od ciebie? - Wszyscy czynimy to, co musimy. - Lśniące, przejrzyste palce uniosły brodę Kahlan. - Nie opowiadałam ci o tym wszystkim, żeby cię zranić. To sprawiło mi więcej bólu, niż sądzisz. Powiedziałam ci o tym, ponieważ chcę ocalić Richarda, sprawić, by nie umarł przed czasem i by Opiekun się nie wymknął.

Kahlan mocniej przycisnęła do piersi dłoń chłopaka; płakała.

- Nie potrafię ci wybaczyć, Denno... Żałuję, lecz nie potrafię. Wiem, iż Richard ci wybaczył... ale ja nie. Nienawidzę cię.

- Nie oczekiwałam, że mi przebacysz. Chcę tylko, byś zrozumiała to, co ci opowiadam; byś poznała prawdę o obłądnie Richarda.

- Po co!?! W jakim celu!?

- Żebyś pojęła, co musisz uczynić. Obroza na szyi to samo jądro owego obłądnie. Symbol wszystkiego, co uczyniłam Richardowi. Dla niego magia jest szaleństwem i udręką. Obroza to szaleństwo, tortury. Utrata zmysłów. Myśl o tym, że znów miałby ją nosić, wywołała obłądnie z najtajniejszych zakamarków jego umysłu, wywołała najgorsze strachy. Nie przesadza, mówiąc, że wolałby umrzeć, niż po raz drugi założyć obrozę. Nie zapnie jej, by się ocalić, a umrze, jeśli tego nie zrobi. Tylko jedna jedyna rzecz na świecie może go skłonić, by przyjął obrozę.

Kahlan gwałtownie uniosła głowę; oczy miała szeroko rozwarte.

- Chcesz, abym go poprosiła o jej założenie? - Zdrętwiała z przerażenia. - Chcesz, żebym go do tego skłoniła? Po tym, co mi opowiedziałas?

Denna potaknęła.

- Zrobi to, jeśli go nakłonisz. Z żadnego innego powodu. Z żadnego innego.

Bezwładna ręka Richarda wysliznęła się z drżących dłoni Kahlan. Dziewczyna zakryła palcami usta. Denna miała rację. Po tym, co usłyszała i czego się dowiedziała, była pewna, że Mord-Sith miała rację. Teraz wiedziała, co się kryło w oczach Richarda patrzącego na obrozę. Obłądnie. Nigdy nie założy jej sobie z własnej woli, Nigdy. Teraz to wiedziała. Wiedziała. Załkała krótko.

- Jeśli go namówię, to pomyśli, iż go zdradziłam. Uzna w swym obłądnie, że chciałam go zranić. Znienawidzi mnie. - Znow się rozplakała, złamana cierpieniem.

- Tak mi przykro, Kahlan - szepnęła miękko Denna. - Istotnie, tak się może stać. Tak to może zrozumieć, choć nie możemy być tego pewne. Nie wiem, do jakiego stopnia zwycięży szaleństwo, na ile pograży się w obłądnie, kiedy pojmie, że musi założyć obrozę, po tym jak mu powiesz, iż musi to zrobić. On cię kocha nad życie i uczyni to tylko dla ciebie.

- Nie wiem, czy zdołam mu to zrobić, Denno. Nie po tym, co mi opowiedziałas.

- Musisz, inaczej umrze. Musisz się na to zdobyć, jeśli wystarczająco mocno go kochasz. Miłość powinna dodać ci siłę, byś zmusiła go do tego, choć

wiesz, jaki mu to sprawi ból. Musisz postąpić tak, jak ja bym postąpiła: wystraszyć go na tyle, żeby cię usłuchał. Może trzeba będzie sprawić, by jego szaleństwo wybuchło w całej pełni, żeby myślał tak jak wtedy, kiedy był ze mną, kiedy spełniłby każde polecenie. Być może utracisz jego miłość. Może cię na zawsze znienawidzi. Lecz jeśli go naprawdę kochasz, to zrozumiesz, iż tylko ty jedna możesz mu pomóc, że ty jedna potrafisz go ocalić.

Kahlan rozpaczliwie szukała jakiegoś wyjścia z sytuacji.

- Rano mamy wyruszyć do Zedda, czarodzieja, który może nauczy Richarda, jak kontrolować dar. Richard uważa, że Zedd będzie wiedział, co robić. Że mu pomoże.

- Może i tak. Przykro mi, Kahlan, lecz nie wiem, czy tak będzie. Może istotnie Zedd mu pomoże. Za to wiem na pewno, iż Siostry Światła ocalą Richarda. Jeżeli powrócą, a on trzeci raz odmówi, to na zawsze straci szansę uzyskania ich pomocy. A jeśli i ów czarodziej nie zdoła mu pomóc, Richard umrze. Zostało mu bardzo niewiele czasu, najwyżej parę dni. Rozumiesz, Kahlan, co to oznacza? On nie umrze ot, tak sobie: wpadnie w łapy Opiekuna, wszyscy w nie wpadniemy. Jedynie Richard może scalić zasłonę.

- W jaki sposób? Wiesz, jak może ją scalić?

- Żałuję, ale nie mam pojęcia. Wiem jedynie, że musi zostać do końca rozdarta od drugiej strony. To dlatego Opiekun ma swoich popleczników w waszym świecie. Z jakiegoś powodu tylko Richard może im przeszkodzić i tylko on ma moc naprawienia tego, co zostało zniszczone. Jeżeli odrzuci pomoc Sióstr i ów czarodziej nie zdoła nic dlań zrobić, to wkrótce umrze i wypalone piętno zaprowadzi go prosto do Opiekuna. Chyba że uda mu się dotrzeć do tego czarodzieja, zanim trzeci raz odmówi Siostron, i dowie się, czy poradzi sobie bez nich... bez obroży. Lecz jeśli Siostry się zjawią, nim dotrze do Zedda, to musisz zrobić, co trzeba, by go ocalić. Obiecuj mi, że to uczynisz.

- Mamy czas. Siostry powrócą dopiero za parę dni. Zdążymy najpierw dostać się do Zedda. Mamy czas.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Jestem przekonana, iż mi nie wierzysz, ale naprawdę nie chciałabym, by Richard znów nosił obrozę i powtórnie musiał stawić czoło szaleństwu. Obiecuj, że nie pozwolisz mu odepchnąć Sióstr, jeżeli się pojawią, zanim dotrzecie do Zedda.

Z oczu Kahlan płynęły palące łzy. Richard ją znienawidzi, jeśli zmusi go

do założenia obroży. Znienawidzi. Pomyśli, że go zdradziła.

- A co z piętnem? Wciąż ma wypalony znak.

Denna długo się wpatrywała w Kahlan. Wreszcie odezwała się tak cicho, że dziewczyna ledwo ją usłyszała.

- Zdejmę z niego to piętno. Pójdę zań do Opiekuna. - Po jej policzku spłynęła migotliwa łza. - Ale zrobię to tylko wtedy, tylko wtedy poświęcę swoją duszę, gdy będę pewna, że dzięki temu Richard zyska szansę ocalenia życia.

Kahlan patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Zrobiłabyś to dla niego? - szepnęła. - Dlaczego?

- Bo choć uczyniłam mu to wszystko, on się martwił, że cierpię. On jeden próbował mi ulżyć w cierpieniu. Płakał, kiedy Rahl Posępny mnie skatował; płakał i przyrządził maść kojącą ból, chociaż ja nigdy nie przestałam go dręczyć, nawet gdy nie wiem jak błagał. Ani razu. I wybaczył mi, choć uczyniłam mu to wszystko, o czym ci opowiedziałam. Zrozumiał, co wycierpiałam. Zawiesił sobie na szyi mojego Agiela i obiecał, że będzie o mnie pamiętał, że zapamięta, iż byłam czymś więcej niż Mord-Sith; że kiedyś byłam Denna. - Po policzku Denny znów spłynęła migotliwa łza. - I dlatego, że go kocham. Nawet w śmierci. Kocham go, mimo iż wiem, że nigdy nie odwzajemni mojej miłości.

Kahlan popatrzyła na Richarda - leżał na plecach, nieprzytomny, bezbronny, z wypalonym krwawiącym piętnem Opiekuna na piersi. Czarno-białe malunki sprawiały, że wyglądał dziko i barbarzyńsko, ale wcale taki nie był; był najłagodniejszym, najmiłszym człowiekiem, jakiego znała. Zrozumiała, że uczyni wszystko, by go ocalić. Wszystko.

- Zrobię to - wyszeptała. - Obiecuję. Jeżeli Siostry pojawią się trzeci raz, zanim dotrzemy do Zedda, to skłonię Richarda do założenia obroży, choćby mnie to nie wiem ile kosztowało. Nawet jeśli mnie za to znienawidzi i umrę przez to.

Denna wyciągnęła ku niej rękę.

- A więc przymierze żywej i umarłej. Przysięgnijmy, że zrobimy wszystko, co trzeba, żeby go ocalić.

Kahlan wpatrywała się w wyciągniętą dłoń.

- Nadal nie potrafię ci wybaczyć. Nie wybaczę ci. Ręka się nie cofnęła.

- Już uzyskałam przebaczenie, na którym mi zależało. Dziewczyna

jeszcze chwilę patrzyła na dłoń tamtej, a potem ją ujęła.

- Zatem przymierze. Przyrzekamy ocalić tego, którego kochamy.

Uścisnęły sobie dłonie i przez chwilę milczały. Denna cofnęła rękę.

- Zostało mu niewiele czasu. Muszę to uczynić teraz. - Kahlan potaknęła.

- Sprowadź pomoc, kiedy już będzie po wszystkim. Zniknie przyciągająca moc piętna, ale ciężka rana pozostanie.

Kahlan skinęła głową.

- Jest tutaj uzdrowicielka. Ona mu pomoże.

Oczy Denny przepęłniało współczucie.

- Dziękuję, Kahlan, że kochasz go na tyle, by mu pomóc. Niech dobre duchy będą z wami. - Uśmiechnęła się trwoźliwie. - Tam, dokąd idę, nigdy nie zobaczę żadnego z nich, a jeśli zobaczę, to wyślę go, by wam pomógł.

Kahlan dotknęła dłoni Denny, bezgłośnie życząc jej mocy.

Denna dotknęła policzka dziewczyny, po czym uklękła przy Richardzie. Położyła dłoń na wypalonym piętnie. Piers chłopaka uniosła się w ciężkim oddechu. Ból wykrzywił twarz Denny, odrzuciła w tył głowę i przenikliwie krzyknęła. Kahlan zadrżała.

Denna zniknęła.

Richard jęknął. Kahlan pochyliła się nad nim i głaskała go, płacząc.

- Kahlan? - wyjęczał. - Co się stało, Kahlan? To boli. Tak boli...

- Leż spokojnie, kochanie. Wszystko dobrze. Jesteś ze mną, bezpieczny.

Zaraz sprowadzę pomoc.

Kiwnął głową. Kahlan podbiegła do drzwi i otworzyła je gwałtownie. Tuż za nimi siedzieli kręgiem starsi. Spojrzeli wyczekująco na dziewczynę.

- Pomóżcie mi! - krzyknęła. - Zanieście go do Nissel! Nie ma czasu, by ją tu sprowadzać!

ROZDZIAŁ 17

Richard się poruszył i Kahlan uniosła głowę.

Szare oczy mrugały, przepatrując izdebkę, aż natrafiły na twarz dziewczyny.

- Gdzie jesteśmy?

- U Nissel. - Kahlan lekko ścisnęła ramię chłopaka. - Opatrywała twoje poparzenie.

Podniósł prawą rękę i dotknął przytwierdzonego bandażami opatrunku. Skrzywił się z bólu.

- Jak długo... Która godzina?

Kahlan, która przycupnęła obok niego, przetarła oczy i wyjrzała przez uchylone drzwi w szarawe światło poranka.

- Jasno jest od jakiejś godziny, może dwóch. Nissel śpi w izbie z tyłu. Większą część nocy zajmowała się twoją raną. Na zewnątrz są wszyscy starsi, czuwają nad tobą. Są tam cały czas, od chwili, kiedy cię tu przynieśliśmy.

- Kiedy? Kiedy mnie tu przynieśliście?

- W środku nocy.

Richard znów się rozejrzył dokoła.

- Co się stało? Był tam Rahl Posępny. - Duża dłoń chwyciła ramię Kahlan. - Dotknął mnie. On... mnie naznaczył. Dokąd odszedł? Co się stało, gdy mnie dotknął?

- Nie wiem. Po prostu odszedł.

Duża dłoń boleśnie ścisnęła ramię Kahlan. Szare oczy były błędne.

- Co to znaczy: odszedł!? Nie powrócił do zielonej poświaty? Do zaświatów?

- Richardzie! - Próbowała odgiąć mu palce. - Sprawiasz mi ból. Puścił jej ramię.

- Przepraszam. - Przytulił głowę Kahlan do zdrowego ramienia. - Przepraszam, nie chciałem. Przepraszam. - Ze świstem wypuścił z płuc powietrze. - Nie mogę uwierzyć we własną głupotę.

- Aż tak bardzo to nie bolało. - Cmoknęła go w szyję.

- Nie to miałem na myśli. Głupotą było przywołanie go z zaświatów. Nie

mogę uwierzyć, że zrobiłem coś tak idiotycznego. A ostrzeżono mnie. Powinienem być pomyśleć. Powinienem być się domyślić, w czym rzecz. Tak bardzo się skupiłem na jednej sprawie, że nie dostrzegłem, co nadciąga z innej strony. Musiałem być szalony, że to uczyniłem.

- Nie mów tak - szepnęła Kahlan. - Nie jesteś szalony. - Usiadła i popatrzyła nań. - Nigdy tak o sobie nie mów.

Richard zamrugał, usiadł naprzeciwko dziewczyny. Dotknął opatrunku i znów się skrzywił. Przesunął dłonią po policzku Kahlan, po jej włosach. Uśmiechnął się tym uśmiechem, od którego topniała. Poszukał jej oczu.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie. Czy już ci to kiedyś mówiłem?

- Mnóstwo razy.

- Bo jesteś najpiękniejsza. Kocham twoje zielone oczy, twoje włosy. Masz najwspanialsze włosy na calutkim świecie. Kocham cię ponad wszystko, Kahlan.

Dziewczyna z największym trudem powstrzymała łzy.

- I ja kocham cię ponad wszystko. Obiecuj mi, Richardzie, że nigdy nie zwątpisz w moją miłość. Obiecuj mi, że cokolwiek by się stało, przenigdy nie zwątpisz w moją miłość.

Dotknął dłonią jej policzka.

- Obiecuję. Obiecuję, że nigdy nie zwątpię w twoją miłość. Cokolwiek by się stało. Zadowolona? O co chodzi?

Kahlan przytuliła się doń, położyła mu głowę na ramieniu i objęła ostrożnie, żeby nie dotknąć rany.

- Rahl Posepny mnie wystraszył, ot i tyle. Tak się przeraziłam, kiedy przytknął ci dłoń do piersi i poparzył cię. Sądziłam, że umarłam.

- Więc co się wydarzyło? - Richard pogładził jej ramię. - Pamiętam, że mówił, jak się tu dostał, że go przywołałem jako swojego przodka, a potem powiedział coś o tym, iż naznaczy mnie dla Opiekuna. Więcej nie pamiętam. Co się potem działo?

Kahlan w popłochu obmyślała, co powiedzieć.

- Hmm... powiedział, że cię naznaczy, zabije, że piętno pośle cię prosto do Opiekuna. Mówił, iż po to się pojawił, by do końca rozedrzeć zasłonę. Przytknął dłoń do twojej piersi. Poparzył cię, wypalił piętno. Ale zanim zdążył zrobić coś jeszcze, zanim zdążył cię zabić, przywołałam błyskawicę Con Dar.

Richard na moment wstrzymał oddech.

- Nie sądzę, żebyśmy mieli tyle szczęścia, by go to zabiło, zniszczyło czy co tam złego można zrobić duchowi.

- Nie. - Kahlan potrząsnęła głową. - Nie zniszczyło go to. Częściowo odbił błyskawicę. Ale chyba się wystraszył. Odszedł. Nie w zieloną poświatę, lecz na zewnątrz. Zanim zakończył to, co zamierzał ci uczynić. Wyszedł z domu duchów i tyle.

Chłopak się uśmiechnął i mocniej ją przytulił.

- Moja bohaterka. Uratowałaś mnie. - Milczał przez chwilę. - Przybył, by rozedrzeć zasłonę - szepnął do siebie i zamyślił się. - A co się stało później?

Kahlan zdecydowanie postanowiła przemilczeć pojawienie się Denny, lecz nie mogła znieść badawczego spojrzenia szarych oczu. Przytuliła twarz do ramienia chłopaka i desperacko myślała, jak by go tu odwieść od tego tematu.

- Potem, starsi i ja, przynieśliśmy cię tutaj, a Nissel zajęła się twoim oparzeniem. Powiedziała, że źle to wygląda, lecz że opatrunek na pewno pomoże. Musisz go nosić przez parę dni, dopóki rana się nie podgoi. - Pogroziła mu gniewnie palcem. - Już ja cię znam. Będiesz chciał go wcześniej zdjąć. Zawsze uważasz, że sarn wszystko wiesz najlepiej, a wcale tak nie jest. Musisz zostawić ten opatrunek w spokoju, Richardzie Cypher.

Uśmiech chłopaka przygasł.

- Richardzie Rahlu. Kahlan wpatrzyła się weń.

- Przepraszam - szepnęła. - Richardzie Rahlu. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Mój Richardzie. Kiedy się pobierzemy, będziesz mógł zmienić nazwisko. Byłbyś Richardem Annellem. Mężowie Spowiedniczek przyjmują czasem rodowe nazwisko żony.

- Podoba mi się - uśmiechnął się chłopak. - Richard Annell. Mąż Matki Spowiedniczki. Oddany mąż. Kochający mąż. - Znów miał niespokojne, błędne oczy. - Czasami nie wiem, kim jestem. Czasem myślę...

- Jesteś częścią mnie, a ja częścią ciebie. I tylko to się liczy. Przytaknął z roztargnieniem, oczy miał pełne łez.

- Zwołałem tę naradę, bo pragnąłem pomóc. Chciałem odkryć sposób, w jaki to wszystko powstrzymać. A Rahl Posępny powiedział, że jedynie pogorszyłem sprawę. Miał rację: jestem głupi. To będzie moja wina...

- Przestań, Richardzie. Zostałeś ranny. Po prostu jesteś wyczerpany.

Odpoczniesz, wydobrejesz i rozwiążesz tę sprawę. Będiesz wiedział, co robić.

Chłopak przywołał się w myślach do porządku. Odrzucił koc i przyjrzał się sobie.

- Kto zmył ze mnie wzory i ubrał mnie?

- Starsi obmyli cię. Nissel i ja miałyśmy cię ubrać - odparła Kahlan, a chłopak się zaczerwienił - lecz okazałeś się dla nas za duży i za ciężki. Starsi cię ubrali. Zajęło im to sporo czasu. I wszyscy się musieli przyłożyć.

Z roztargnieniem skinął głową, przestał słuchać. Dotknął miejsca, gdzie zawsze wisiały gwizdek, Agiel i ząb Scarlet, lecz nie znalazł ich.

- Musimy stąd odejść i dostać się do Zedda. Natychmiast, zanim coś jeszcze się wydarzy. Potrzebuję pomocy Zedda. Gdzie ząb Scarlet? Muszę ją przywołać. Gdzie mój miecz?

- Wszystkie nasze rzeczy są w domu duchów.

W zamyśleniu potarł dłonią twarz i przeczesał palcami włosy.

- No dobrze. - Znów patrzył Kahlan w oczy. - Pójdę po ząb i przywołam Scarlet, a potem przygotuję nasze rzeczy do podróży. - Łagodnie ścisnął ramię dziewczyny. - Idź do Weselan i załóż szatę ślubną. Zdamy się pobrać, zanim Scarlet przyleci. - Pocałował Kahlan w policzek. - Weźmiemy ślub i będziemy w Aydindril, z Zeddem, nim zapadnie zmrok. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Zrozumiem, w którym miejscu popełniłem błąd, i naprawię to. Obiecuję.

Zarzuciła mu ramiona na szyję.

- My naprawimy - poprawiła go. - Razem. Zawsze razem. Zaśmiał się cicho tuż przy uchu dziewczyny.

- Razem. Potrzebuję cię. Oświeć mi drogę.

Kahlan odsunęła się i obrzuciła go surowym spojrzeniem.

- No to mam dla ciebie polecenia i masz je wypełnić. Zaczekasz tu, dopóki Nissel nie pozwoli ci wstać. Powiedziała, że gdy się obudzisz, zmieni ci opatrunek i poda lek. Masz tu zostać tak długo, aż tego nie zrobi. Zrozumiano? Nie życzę sobie, byś chorował i umierał, skoro się tak namęczyłam, próbując cię ocalić, a trudne to było, oj, trudne. Pójdę do Weselan, żeby mogła skończyć moją suknię. A ty możesz przywołać Scarlet dopiero wtedy - pogroziła mu palcem - kiedy Nissel zmieni opatrunek. Jak już wszystko załatwisz, czyli Nissel cię obejrzy, przywołasz Scarlet i

spakujesz nasze rzeczy, to zjaw się po mnie i wówczas wyjdę za ciebie. Cmoknęła go w czubek nosa. - Jeżeli przyrzekniesz, że *zawsze* będziesz mnie kochać.

- Zawsze - przytaknął z uśmiechem.

Kahlan położyła mu ręce na ramionach po obu stronach krzepkiej szyi i splotła palce na jego karku.

- Obudzę Nissel i poproszę, by szybko to załatwiła. Ale błagam, Richardzie, nie trać potem ani chwili. Jak najszybciej przywołaj Scarlet. Pragnę się stąd wydostać, odejść, zanim się zjawi Siostra Verna. Nie chcę ryzykować, choć nie powinna się pojawić szybciej niż za parę dni. Chcę, żebyśmy stąd zniknęli i oddalili się od Sióstr Światła. Powinieneś jak najszybciej dotrzeć do Zedda, aby zaradził twoim migrenom, nim się jeszcze nasilą.

Uśmiechnął się do niej chłopięco kącikiem ust.

- A to twoje wielkie łóżko w Aydindril? Czy i do niego tak ci spieszo?

Ostrożnie spłaszczyła mu palcem czubek nosa.

- Jeszcze nikogo nie gościłam w moim wielkim łóżku. Mam nadzieję, że cię nie rozczaruję.

Ujął ją w pasie krzepkimi dłońmi i przycisnął do siebie tak mocno, że aż miauknęła. Odsunął włosy z szyi Kahlan i pocałował z czułością, dotykając ustami dokładnie w tym samym miejscu co Rahl Posępny.

- Rozczarować mnie? To jedyna rzecz na świecie, moja najmilsza, której nie potrafisz dokonać. - Znów ucałował szyję dziewczyny. - Idź po Nissel. Tracimy czas.

Kahlan podciągnęła tkaninę, ile tylko zdołała.

- Nigdy nie nosiłam stroju z tak dużym dekoltem. Nie sądzisz, że... że jest zbyt głęboki?

Weselan spojrzała w górę; przykucnęła na podłodze i zakładała dół błękitnej sukni. Wyjęła z ust kościaną igłę, podniosła się i przyjrzała dziewczynie. Przez chwilę oceniała głębokość dekoltu.

- Chyba mu się to spodoba, prawda? Kahlan poczuła, że się rumieni.

- Pewnie tak. Mam nadzieję, że tak, ale... Weselan pochyliła się ku dziewczynie.

- Jeśli martwi cię to, iż zobaczy aż tyle, to może jeszcze raz się zastanów.

Kahlan znacząco uniosła brew.

- Nie tylko on się będzie przyglądał. Nigdy nie nosiłam podobnego stroju. Ja... boję się, że to nie dla mnie.

Weselan uśmiechnęła się i poklepała dziewczynę po ramieniu.

- Dla ciebie, dla ciebie. Dobrze leży i ślicznie wyglądasz. Dziewczyna nadal się niepokoiła; zerknęła na siebie.

- Naprawdę? Jesteś pewna? Dobrze leży? Weselan uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Naprawdę. Masz ładne piersi. Każdy to mówi.

Kahlan poczerwieniała. Była pewna szczerości owej uwagi. U Błotnych Ludzi publiczne pochwały biustu były tym samym, czym gdzie indziej komplementowanie uroczego uśmiechu. Ale te zwyczaje niejedną raz ją zaskakiwały. Ujęła materiał w dłonie i rozłożyła spódnice.

- To najpiękniejsza suknia, jaką w życiu nosiłam, Weselan. Dziękuję, że włożyłaś w nią tyle pracy. Zawsze będzie dla mnie jak skarb.

- Może kiedyś pójdzie w niej do ślubu twoja córka.

Kahlan uśmiechnęła się i skinęła głową. Sprawcie, dobre duchy, pomyślała, żebym urodziła córkę, a nie syna. Dotknęła skromnego naszyjnika, obracając w palcach małą, krągłą kosteczkę umieszczoną wśród czerwonych i żółtych paciorków. Dostała naszyjnik od Adie, kościanej babki. Miał chronić dziewczynę przed bestiami mieszkającymi w przejściu przez granicę, w czasach, kiedy ta dzieliła jeszcze Westland i Midlandy. Stara kobieta powiedziała Kahlan, że pewnego dnia naszyjnik ochroni jej dziecko. Dziewczyna ogromnie go lubiła. Taki sam dostała niegdyś od Adie matka Kahlan i dała córce, Kahlan zaś pogrzebała klejnot wraz z Dennee, swą najbliższą przyjaciółką jeszcze z dziecinnych lat. Od tamtej pory bardzo jej brakowało naszyjnika matki. Ten nowy był jeszcze cenniejszy, bo noc przed przekroczeniem granicy Richard wzmocnił go przysięgą, że będzie strzegł każdego z przyszłych dzieci Kahlan. Żadne z nich nie podejrzewało wówczas, że to może być ich wspólne dziecko.

- Bardzo bym tego chciała. Będiesz moją druhną, Weselan?

- Druhną?

Dziewczyna odruchowo przysłoniła falą długich włosów zbyt, według niej, odkryte piersi.

- W moim kraju jest taki zwyczaj, iż w chwili ślubu ma się obok druhnę. Symbolizuje dobre duchy, czuwające nad nowym związkiem. Richard na

pewno pragnęłby, żeby Savidlin był jego drużbą. Bardzo bym chciała, abyś była moją druhną.

- Jakiż to osobliwy zwyczaj! Dobre duchy zawsze czuwają nad nami. Lecz jeśli to wasz obyczaj, to z radością będę twoją druhną.

- Dziękuję, Weselan. - Dziewczyna rozpromieniła się.

- Stój teraz spokojnie. Już prawie skończyłam.

Weselan znów przykucnęła i zajęła się obrębianiem sukni. Kahlan usiłowała stać prościutko i nie ruszać się. Plecy bolały ją po nocy spędzonej na podłodze obok nieprzytomnego Richarda. Tak by chciała usiąść albo się położyć - była bardzo senna. No a przede wszystkim strasznie bolały ją plecy.

Zastanowiła się nagle, czy Denna bardzo cierpi.

Nic mnie to nie obchodzi, powiedziała sobie. Zasłużyła na to i na wiele więcej po tym, co zrobiła Richardowi. Żołądek skurczył się jej na wspomnienie opowieści o wyczynach Mord-Sith.

Kahlan czuła na szyi miejsce, gdzie spoczęły usta Rahla Posepnego. Przeszył ją dreszcz.

Przypomniała sobie wyraz straszliwego cierpienia na twarzy Denny tuż przed jej zniknięciem. Dobrze jej tak: zasłużyła sobie na to.

A przecież to mógł być Richard. Gdyby nie Denna, spotkałoby to Richarda.

- Nie bój się, Kahlan.

- Co? - Spojrzała uważniej. Stała przed nią uśmiechnięta Weselan. - Przepraszam. Co mówiłaś?

Kobieta otarła łzę z policzka Kahlan.

- Powiedziałam, żebyś się nie bała. Richard to dobry człowiek. Będiesz z nim szczęśliwa. Obawa przed ślubem to rzecz normalna, ale się nie martw. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Też płakałam, zanim poślubiłam Savidlina. Nie sądziłam, że się popłaczę, bo bardzo go pragnęłam, a okazało się, że beczę, zupełnie jak ty teraz. - Mrugnęła do dziewczyny. - Już nigdy potem nie miałam powodu do płaczu. Czasami znajduję powód do narzekań, ale do płaczu nigdy. Kahlan otarła drugi policzek. Co się z nią działo? Przecież nic a nic nie obchodziło jej to, czego doświadczała teraz Denna. Nic a nic. Ani odrobinkę. Skinęła Weselan głową i zmusiła się do uśmiechu.

- Nigdy więcej nie płakać. To największe marzenie mojego życia.

Weselan uścisnęła ją pocieszająco.

- Chciałabyś coś zjeść? - Nie. Nie jestem...

Do izby wpadł Savidlin. Był spocony i zasapany. Kahlan aż zmartwiała z przerażenia, widząc jego minę. Zaczęła drżeć, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Kiedy Nissel opatrzyła ranę Richarda, to, jak przykazałaś, poszedłem z nim do domu duchów, żeby mógł przywołać smoczycę. Przybyła Siostra Światła. Jest z nim tam teraz. Nie rozumiałem jego słów, ale domyśliłem się, o co mu chodzi. Zrozumiałem tylko twoje imię. Chciał, bym cię przyprowadził. Pospiesz się.

- Nieee! - jęknęła Kahlan i wypadła z chaty.

Dziewczyna biegła, unosząc spódnicę ślubnej sukni, żeby się w nią nie zaplątać. Jeszcze nigdy nie poruszała się tak prędko. Pędziła wąskimi przejściami, tak że aż brakowało jej tchu. Włosy rozwiewały się za nią w pędzie, a zimowe powietrze mroziło jej skórę. Tupot Savidlina ucichł gdzieś z tyłu.

Kahlan nie była w stanie myśleć, wiedziała tylko jedno: musi się dostać do Richarda. To się nie mogło stać. Za wcześnie. Przecież już-już mieli stąd odejść, już ich tu właściwie nie było. To nie w porządku. Richard.

Z góry opadały duże, białe płatki śniegu; było ich zbyt mało, by ziemia zbielała, lecz wystarczająco wiele, żeby przynieść lodowaty przedsmak nadchodzącej zimy. Świadczyły, że zima już prawie tu jest. Śnieżynki spadały na rozgrzaną skórę Kahlan i natychmiast topniały. Niektóre zawisały na rzęsach dziewczyny i musiała mrugać, by je strząsnąć. Zza rogu powiał wiatr, płatki zawirowały niczym biała zasłona. Kahlan przemknęła przez nią, pognąła uliczką. Zatrzymała się gwałtownie i rozejrzała. Zabłądziła. Cofnęła się, po czym skręciła we właściwą stronę. Po twarzy dziewczyny płynęły łzy, mieszając się z topniejącym śniegiem. To już zbyt wiele. To się nie mogło stać.

Zasapana i zdesperowana wybiegła spomiędzy chat na placyk otaczający dom duchów. Konie Sióstr były spętane po drugiej stronie murku, tego samego, w którym Richard wybił wyrwę, próbując zabić screelinga.

Wszędzie dokoła stali ludzie, ale dziewczyna ich nie zauważyła. Widziała tylko drzwi domu duchów, wszystko inne zniknęło z jej pola widzenia. Pobiegnęła ku nim. Miała wrażenie, że trwa to całe wieki - jak we śnie, gdy

biegnie się w miejscu, wcale się nie posuwając. Nogi bolały ją z wysiłku. Wyciągnęła rękę ku klamce. Słyszała w uszach szum krwi.

- O dobre duchy, sprawcie, żebym się nie spóźniła.

Ze świstem wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby, szarpnięciem otworzyła drzwi i wpadła do środka.

Zatrzymała się gwałtownie i głęboko odetchnęła. Richard stał przed Siostrą Verną pod wyrwą wybitą w dachu przez błyskawicę. Oboje tkwili w smudze szarawego światła, w fali miękko wirujących i powoli opadających płatków śniegu. Izba wokół nich tonęła w ciemnościach. U boku Richarda połyskiwał miecz. Chłopak nie miał na szyi ani zęba, ani gwizdka, ani Agiela. Nie zdołał przywołać Scarlet.

Siostra Verna wyciągała ku Richardowi dłoń z obrożą. Ostrzegawczo spojrzała na dziewczynę, po czym znów przeniosła wzrok na stojącego przed nią chłopaka.

- Poznałeś trzy powody przyjęcia Rada'Han. Masz ostatnią szansę uzyskania pomocy, Richardzie. Czyją przyjmiesz?

Chłopak odwrócił wzrok od poważnych, twardych oczu Siostry Verny i powoli spojrzał na zasapaną Kahlan. Jasne, szare oczy przesunęły się po błękitnej sukni i spoczęły na twarzy dziewczyny.

- To piękna suknia, Kahlan... Przepiękna - powiedział cicho z zachwytem i uznaniem.

Dziewczyna nie mogła wykrztusić ani słowa. Serce jej waliło, pękało. Siostra Verna ostrzegawczo wymówiła jej imię. Kahlan dopiero teraz spostrzegła, że kobieta trzyma coś w drugiej dłoni. Srebrny nóż. Nie kierowała go jednak ku sobie, a ku Richardowi. Dziewczyna zrozumiała, że Verna go zabije, jeżeli i tym razem odrzuci pomoc Sióstr. Zdawało się, iż Richard w ogóle nie dostrzega połyskującego w mglistym świetle ostrza. Kahlan się zastanawiała, czy Siostra rzuciła urok, by nie widział broni.

Chłopak znów patrzył na Siostrę Verne.

- Zrobiłaś, co w twojej mocy. Wykorzystałaś wszystkie możliwości. Dostyc. Jak już mówiłem, nie...

- Richardzie! - Kahlan postąpiła o krok w jego stronę, a on odwrócił się ku niej na ten okrzyk. Wbiła wzrok w oczy chłopaka. - Richardzie - szepnęła i zrobiła następny krok. Głos jej się załamał. - Zgódź się. Przyjmij obrożę. Błagam.

Siostra Verna stała bez ruchu. Obserwowała ich ze spokojem.

- Co? - Richard ściągnął lekko brwi. - Kahlan... nic nie rozumiesz. Mówiłem ci, że nie...

- Richardzie! - Umilkł i patrzył na nią, osłupiały. Kahlan zerknęła na nieruchomą Siostrę, nadal trzymającą w dłoni nóż. Verna obserwowała zbliżającą się dziewczynę. Spojrzały sobie w oczy i Kahlan zrozumiała, że tamta poczeka, by zobaczyć, co się stanie. Twardy błysk w oczach Siostry ostrzegwał, na co jest zdecydowana, jeżeli Kahlan nie skłoni Richarda do zmiany decyzji. - Posłuchaj mnie uważnie, Richardzie. Chcę, żebyś się zgodził.

- Cooo??? - Mars na czole chłopaka pogłębił się jeszcze bardziej. - Przyjmij obrożę.

Oczy Richarda błysnęły gniewnie.

- Już ci powiedziałem. Nie...

- A mówiłeś, że mnie kochasz!

- Co z tobą, Kahlan? Wiesz, że cię kocham...

- Zatem zgódź się - wpadła mu w słowo. - Jeśli naprawdę mnie kochasz, to weź obrożę i załóż ją. Zrób to dla mnie.

Chłopak wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

- Dla ciebie...??? Kahlan, nie mogę... nie chcę...

- Musisz! - Zreflektowała się, że była zbyt łagodna: to go jedynie konfundowało. Jeżeli chce go ocalić, powinna być bardziej zdecydowana, postępować podobnie jak Denna. O dobre duchy, błagała w myślach, dajcie mi siłę, byrn potrafiła zrobić to, co konieczne, i ocalić go!

- Nie rozumiem, co się z tobą dzieje, Kahlan. Później o tym pogadamy. Wiesz, jak bardzo cię kocham, lecz nie zamierzam...

- Jeśli mnie kochasz, to załóż obrożę! - wrzasnęła, zaciskając pięści. - Nie stój tak i nie opowiadaj o swojej miłości, tylko mi jej dowiedz! Mam cię dość!

Richard zamrugał w osłupieniu. Dźwięk jego głosu sprawił, że dziewczynie ścisnęło się serce.

- Kahlan...

- Jeżeli mi tego nie udowodnisz, to nie zasługujesz na moją miłość! Jak śmiesz mówić, że mnie kochasz!

W oczach chłopaka pojawiły się łzy.

I obłęd.

I pamięć tego, co uczyniła mu Denna.

Wolno opadł na kolana.

- Kahlan... błagam cię...

Wyciągnęła zaciśnięte pięści i pochyliła się nad nim.

- Nie waż się do mnie odzywać! - Zasłonił głowę ramionami: myślał, że go uderzy; naprawdę myślał, że go uderzy. Kahlan miała wrażenie, iż serce jej pęknie, łzy popłynęły po jej policzkach. Dała upust gniewowi. - Mówiłam, byś przyjął obrożę! Jak się śmiesz sprzeciwiać!? Weź ją, skoro mnie kochasz!!!

- Błagam cię, Kahlan - szlochał Richard. - Nie czyni tego. Nie proszę, żebym...

- Świetnie rozumiem! - wrzasnęła. - Rozumiem, że mówisz, iż mnie kochasz, ale ci nie wierzę! Nie wierzę ci! Okłamujesz mnie! Jeśli nie weźmiesz obroży, będzie to znaczyć, że twoja miłość to kłamstwo! Oszustwo! Ohydne kłamstwo!!!

Richard nie mógł się zmusić, żeby na nią spojrzeć, podnieść oczy na Kahlan stojącą przed nim w ślubnej sukni. Wbił wzrok w klepisko i z trudem wykrztusił:

- To nie... to nie jest kłamstwo. Błagam cię, Kahlan. Kocham cię. Uwierz mi. Jesteś dla mnie najdroższa na świecie. Uwierz mi, proszę. Zrobię dla ciebie wszystko, lecz proszę...

Kahlan, ledwo żywa z żalu i współczucia, złapała go za włosy i szarpnięciem uniosła jego głowę, tak że musiał na nią spojrzeć. W oczach Richarda tańczyło szaleństwo. Pogrążył się w nim. Ale jedynie na teraz, na krótko, modliła się dziewczyna. O dobre duchy, jedynie na krótko.

- Słowa! Dajesz mi tylko słowa! Nie miłość! Nie dowód! Puste słowa! Bezwartościowe słowa!

Trzymając go wciąż za włosy, zamierzyła się nań drugą ręką. Mocno zacisnęła powieki. Kahlan nie mogła się przemóc, nie potrafiła go uderzyć. Z wysiłkiem się powstrzymywała, żeby nie uklęknąć obok chłopaka, nie objąć go i nie pocieszyć. Nie zapewnić o swojej miłości.

Lecz nie wolno było się jej poddać. Jeżeli Richard odrzuci obrożę, umrze. Tylko ona jedna, Kahlan, mogła go uratować, choćby za cenę własnego życia.

- Nie bij mnie już - wyszeptał. - Proszę, Denno... Nie bij. Dziewczyna zdusiła jęk i powiedziała:

- Spójrz na mnie. - Spełnił polecenie. - Drugi raz nie będę powtarzać, Richardzie. Jeśli mnie kochasz, to przyjmiesz ofertę i nałożysz obrożę. Jeżeli tego nie zrobisz, sprawię, że będziesz żałował swego nieposłuszeństwa, jak jeszcze nigdy niczego w życiu nie żałowałeś. Uczyni to natychmiast albo to koniec. Wszystko skończone. - Oczy mu zmętniały; Kahlan zacisnęła zęby. - Drugi raz nie powtórzę, pieścioszku. Założ obrożę. Natychmiast!

Dziewczyna wiedziała, iż Denna nazywała go „pieścioszkiem”. Mord-Sith sama jej to powiedziała. Wiedziała, co znaczy dlań to słowo. Miała nadzieję, że nie będzie się musiała nim posłużyć. Richard usłyszał je i w tym samym momencie pogrążył się w obłędzie. Ujrzała to w jego oczach: to, czego lękała się bardziej niż śmierci.

Zdrada.

Puściła włosy Richarda, a on, na kolanach, obrócił się ku Siostrze Vernie. Kobieta podała mu obrożę. Matową, szarawą w chłodnym blasku, jakby martwą obrożę. Chłopak zapatrzył się na nią. W nieruchomej smudze światła powoli opadały płatki śniegu. Siostra Verna spoglądała na niego bez wyrazu.

- Dobrze - wyszeptał i wyciągnął drżącą dłoń. Palce chłopaka dotknęły Rada'Han, uchwyciły ją. - Przyjmuję ofertę. Przyjmuję obrożę.

- Więc załóż ją na szyję - powiedziała łagodnie Siostra Verna - i zapnij.

Znów spojrział na Kahlan.

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko - wyszeptał.

Dziewczyna pragnęła umrzeć.

Ręce tak mu się trzęsły, że przez chwilę myślała, iż upuści przyjmowaną z rąk Siostry Verny obrożę. Trzymał rozwartą metalową obręcz i wpatrywał się w nią.

Potem ręce Richarda przestały się trząść. Zacerpnął głęboko powietrza i założył obrożę. Zamknęła się z trzaskiem - złączenie zniknęło, szyję Richarda okalał gładki metalowy pierścień.

Smuga światła ściemniała jak o zmierzchu, choć na zewnątrz wciąż był dzień. Po trawiastej równinie przetoczył się głuchy, złowieszczy grzmot. Kahlan jeszcze nigdy nie słyszała takiego grzmotu. Odczuła go w ziemi pod swoimi stopami. Pomyślała, że może ma to coś wspólnego z magią obroży, z Siostrami Światła.

Popatrzyła na Siostrę Verne, ujrzała, iż ta rozgląda się wokół, i już

wiedziała, że nie.

Richard podniósł się z podłogi, stanął przed Siostrą Verna.

- Przekonasz się, Siostrze Verno, że trzymanie smyczy tej obroży może być gorsze niż noszenie owej obroży na szyi - zgrzytnął zębami. - O wiele gorsze.

Siostra Verna nie straciła spokoju.

- Chcemy ci tylko pomóc, Richardzie. Leciutko skinął głową.

- Nie przyjmuję niczego na wiarę. Musicie tego dowieść. Kahlan nagle coś sobie przypomniała.

- A ten trzeci powód? - zapytała przerażona. - Jaki jest trzeci powód noszenia obroży?

Richard zmierzył ją tak wściekłym spojrzeniem, że nawet jego ojciec nie dorównałby mu w tym. Na moment straciła oddech.

- Pierwszy powód: opanować migreny i otworzyć umysł, żebym się mógł nauczyć posługiwać darem. Drugi powód: panowanie nade mną. - Wyciągnął rękę i złapał Kahlan za gardło, wbił w nią wzrok. - Trzeci powód: zadać mi ból.

Dziewczyna jęknęła i zamknęła oczy.

- Nie! O dobre duchy, nie!

Chłopak cofnął dłoń z jej szyi. Stał przygaszony i zagubiony.

- Mam nadzieję, Kahlan, że udowodniłem ci moją miłość, że mi teraz wierzysz. Wszystko ci oddałem. Mam nadzieję, iż to wystarczy, bo nie mam już nic do ofiarowania. Nic.

- Masz. I to więcej, niż sobie potrafisz wyobrazić. Kocham cię ponad wszystko, Richardzie.

Wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć policzka chłopaka. Richard odepchnął dłoń Kahlan. Jego oczy powiedziały: zdradziłaś mnie.

- Czyżby? - Odwrócił wzrok. - Chciałbym ci wierzyć.

Kahlan usiłowała się pozbyć bolesnego, palącego uścisku w gardle.

- Obiecywałeś, że nigdy nie zwątpisz w moją miłość.

- Obiecywałem. - Potaknął z wolna.

Gdyby mogła sama siebie porazić błyskawicą, na pewno by to uczyniła.

- Richardzie... Wiem, że teraz tego nie rozumiesz, lecz zrobiłam tylko to, co musiałam, żeby ocalić ci życie, nie dopuścić, by zabiły cię migreny i twój dar. Mam nadzieję, iż kiedyś to pojmiesz. Zawsze będę na ciebie czekać.

Kocham cię całym sercem.

Kiwnął głową, oczy miał pełne łez.

- Jeśli to prawda, to odzyskaj Zedda. Powiedz mu, co zrobiłaś. Powiedz mu.

- Richardzie, weź swoje rzeczy - wtrąciła się Siostra Verna - i poczekaj przy koniach.

Obejrzał się na nią i skinął głową. Poszedł do przeciwległego kąta izby, wziął swój płaszcz, łuk i plecak. Wyjął z plecaka trzy rzemyki - z gwizdkiem od Człowieka Ptaka, zębem Scarlet i Agielem Denny. Kahlan patrzyła, jak zawiesza je na szyi; tak by chciała dać mu coś swojego. Rozpaczliwie myślała, co mu ofiarować.

Położyła dłoń na ramieniu chłopaka i zatrzymała go, kiedy ją mijał.

- Chwileczkę.

Z pochwy wiszącej u pasa Richarda wyjęła nóż. Oddzieliła długie pasmo swoich włosów i odcięła je. Nie zastanowiła się, co robi ani co się dzieje, kiedy Spowiedniczki obcinają sobie włosy. Padła na ziemię, krzycząc z bólu. Magia paliła każde włókienko nerwów Kahlan. Dziewczyna z trudem chwyciła powietrze, ze wszystkich sił starając się nie zemdleć. Walczyła ze straszliwym bólem. Musiała zachować przytomność, bo Richard odejdzie, zanim ofiaruje mu swój dar. Ta myśl sprawiła, że Kahlan podniosła się z podłogi. Ból w końcu ustąpił. Dziewczyna chwyciła błękitną wstążeczkę przszytą do stanika sukni i odcięła ją. Owinęła pasmo włosów wokół palców i przewiązała w połowie wstążeczką. Richard patrzył. Z powrotem wsunęła nóż do pochwy, a pukiel włosów włożyła mu do kieszeni koszuli.

- Abyś zawsze pamiętał, iż moje serce jest przy tobie... że cię kocham.

Długo patrzył na nią bez emocji.

- Odnajdź Zedda.

To były jego ostatnie słowa. Odwrócił się i wyszedł.

Kahlan stała nieruchomo, wpatrzona w drzwi, którymi Richard opuścił dom duchów. Czuła się pusta, zagubiona i odrętwiała.

Siostra Verna przystanęła obok niej, także spoglądając na wyjście.

- To chyba najodważniejszy czyn, którego byłam świadkiem - powiedziała miękko. - Ludzie Midlandów mają szczęście, że jesteś ich Matką Spowiedniczką.

Dziewczyna nadal wpatrywała się w drzwi.

- Myśli, że go zdradziłam. - Odwróciła się i spojrzała na Siostrę, a w jej oczach wezbrały łzy. - Myśli, że go zdradziłam.

Kobieta przez chwilę patrzyła na nią uważnie.

- Nie zdradziłaś go. Obiecuję, że we właściwym czasie pomogę mu zrozumieć twój dzisiejszy czyn.

- Nie krzywdź go - poprosiła ją Kahlan.

Siostra Verna splotła przed sobą dłonie i głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Dopiero co go zraniłaś, żeby ocalić mu życie. Chciałabyś, bym uczyniła mniej niż ty?

- Nie. - Po policzku Kahlan spłynęła łza. - I wątpię, byś potrafiła zrobić coś równie okrutnego jak ja przed chwilą.

- Obawiam się, że masz rację - potaknęła Siostra Verna. - Ale masz moją obietnicę, że osobiście będę nad nim czuwać i że dopilnuję, aby czyniono wyłącznie to, co jest niezbędne. Przysięgam nie dopuścić, by choć o włos to przekroczone. Choć odrobinę. Daję na to słowo Siostry Światła.

- Dziękuję ci. - Kahlan spojrzała na nóż, który nadal tkwił w dłoni kobiety. Siostra ukryła go w rękawie. - Byłabyś go zabiła. Zabiłabyś go, gdyby odmówił.

Verna przytaknęła.

- Gdyby odmówił, czekałby go coraz straszliwszy ból i szaleństwo. Oszczędziłabym mu tego. Teraz jednak nie ma to już znaczenia. Ocaliłaś mu życie. Dzięki ci, Matko Spowiedniczko... Kahlan.

Siostra Verna ruszyła ku drzwiom.

- Siostro? Jak długo? Jak długo u was będzie? Jak długo mam czekać?

Verna się nie odwróciła.

- Żałuję, lecz nie potrafię tego powiedzieć. To potrwa tak długo, jak będzie trzeba. Wiele zależy od niego. Od tego, jak szybko się będzie uczył.

Kahlan uśmiechnęła się po raz pierwszy.

- Sądzę, że zdziwi cię szybkość, z jaką Richard się uczy. Kobieta skinęła głową.

- I tego się najbardziej obawiam. Wiedza przed mądrością. To przeraża mnie bardziej niż cokolwiek innego.

- Myślę, że i mądrość Richarda może cię zadziwić.

- Modłę się, byś miała rację. Żegnaj, Kahlan. Nie próbuj iść naszym śladem, bo on umrze.

- Jeszcze jedno, Siostrze. - Kahlan sama się zdziwiła, słysząc w swoim głosie taką lodowatą groźbę. - Jeżeli w czymkolwiek mnie okłamałaś, jeżeli go zabijecie, to dopadnę każdą Siostrę Światła. Zabiję wszystkie, lecz przedtem każda z was będzie błagać o śmierć.

Siostra pozostała przez chwilę bez ruchu, po czym skinęła głową i wyszła.

Kahlan również opuściła dom duchów i stanęła wśród mieszkańców wioski. Patrzyła, jak Siostra dosiada konia. Richard już siedział, dumnie wyprostowany, na wielkim gniadym wałachu. Czekał, odwrócony plecami do dziewczyny.

Kahlan pękało serce. Tak bardzo chciała choć raz zobaczyć jego twarz, ale się nie odwrócił. Konie ruszyły.

Kahlan osunęła się na kolana.

- Richardzie! - krzyknęła. - Kocham cię!

Zdawało się, że jej nie usłyszał. Zniknął wraz z Siostrą Verną w śniegu pokrywającym trawiastą równinę. Kahlan siedziała na ziemi w swojej ślubnej sukni i zwiesiwszy głowę, płakała. Weselan objęła ją, próbowała pocieszyć.

W końcu dziewczyna przypomniała sobie słowa Richarda: odnajdź Zedda. Zmusiła się, by wstać. Byli tam wszyscy starsi. Popatrzyła kolejno na każdego z nich.

- Muszę natychmiast wyruszyć. Muszę się dostać do Aydindril. Chcę, żeby poszło ze mną paru ludzi do pomocy, tak bym na pewno tam dotarła.

Zbliżył się do niej Savidlin.

- Ja pójdę. I tylu moich ludzi, ilu zapragniesz. Wszyscy, jeżeli tak postanowisz. Będzie nas setka.

Kahlan położyła mu dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się doń leciutko.

- Nie. Nie chcę, żebyś szedł ty, przyjacielu, czy twoi łowcy. Wezmę tylko trzech ludzi. - Wszyscy się zdziwili. - Większa grupa przyciągnęłaby uwagę, a pewno i kłopoty. Z trzema łatwiej się niepostrzeżenie prześliznąć i podróż potrwa krócej. - Dziewczyna cofnęła dłoń z ramienia Savidlina i wskazała mężczyźnie gniewnie obserwującego wydarzenia. - Wybieram ciebie, Chandalenie. - Obaj bracia stali u jego boku. - I was, Prindinie i Tossidinie.

Chandalen ruszył ku nim wściekłe.

- Mnie!?! Czemu akurat mnie!?!

- Bo nie mogę zawieść. Wiem, że jeżeli wybrałabym Savidlina, to starałby się z całych sił, lecz gdyby mu się nie udało, Błotni Ludzie wiedzieliby, iż zrobił, co w jego mocy. Ty jesteś lepszym łowcą ludzi.

Richard powiedział mi kiedyś, że gdyby miał wybrać jednego człowieka, by walczył u jego boku, to chociaż go nienawidzisz, wybrałby ciebie. Ludzie będą dla nas największym zagrożeniem. Jeśli mi się nie uda Jeśli mnie zawiedziesz, to wszyscy pomyślą, że nie dołożyłeś wszelkich starań. Zawsze będą uważać, iż uczyniłeś tak z nienawiści do mnie i do Richarda; że pozwoliłeś umrzeć i mnie, i innym Błotnym Ludziom, bo nienawidzisz nas obojga. Jeżeli pozwolisz, by mnie zabili, to już nigdy nie będziesz mógł wrócić do Błotnych Ludzi, do swojego ludu.

Podeszli Prindin z Tossidinem.

- Pójdę. Mój brat też. Pomożemy ci. Oczy Chandalena płonęły wściekłością. - Aja nie! Nie pójdę!

Kahlan spojrzała na Człowieka Ptaka. Piwne oczy spotkały zielone, a potem starszy twardo i bezlitośnie popatrzył na Chandalena.

- Kahlan jest Błotnym Człowiekiem. Ty jesteś naszym najdzielniejszym i najsprytniejszym wojownikiem. Twoim obowiązkiem jest chronić nas. Chronić każdego z nas. Zrobisz to. Pójdiesz z nią. Będziesz wypełniał jej polecenia i doprowadzisz bezpiecznie tam, dokąd chce dojść, albo natychmiast stąd odejść i nigdy nie wracać. I jeszcze jedno, Chandalenie: jeżeli ona zginie, nie wracaj tu. Gdyby tak się stało, zabijemy cię jak każdego obcego z zamalowanymi na czarno oczami.

Chandalen trząśł się z wściekłości. Rzucił włócznią o ziemię i wsparł się pod boki; kipiał gniewem.

- Jeżeli mam opuścić nasze ziemie, to musi się odbyć ceremonia przywołania duchów, żeby się nami w tej podróży opiekowały. To potrwa do jutra. Wtedy wyruszymy.

Wszystkie oczy spojrzały na Kahlan.

- Wyruszam za godzinę. Ty ze mną. Masz godzinę na przygotowania.

Dziewczyna wróciła do domu duchów, żeby zmienić suknię ślubną na strój podróżny i spakować rzeczy. Z wdzięcznością przyjęła pomoc Weselan.

ROZDZIAŁ 18

Z nieba spadały duże, wilgotne płatki śniegu. Czasem sypały gęściej, zbijając się w kłęby lub tworząc białe zasłony. Otepiały Richard jechał za Siostrą Verną. Trzeci koń truchtał za nim, uwiązany do jego wierzchowca. Kiedy śnieg sypał gęściej, jadąca przodem Siostra zmieniała się w szary kształt.

Chłopak nigdy się nie zaciekawił, dokąd jada, nie otulił się płaszczem przez ukąszeniami zimnego wichru. Nie miało to dlań znaczenia, nic nie miało znaczenia.

Myśli Richarda płynęły i wirowały jak śnieg, bez końca. Niczego i nikogo w całym swoim życiu nie kochał tak jak Kahlan. Stała się jego życiem. I odesłała go.

Za bardzo cierpiał, by zająć myśli czymś innym. Nie mógł pojąć, jak to się stało, że zwątpiła w jego miłość, że go odesłała. Dlaczego to zrobiła?

Dręczyły go ciężkie, pełne rozpaczmyśli. Nie pojmował, czemu kazała mu założyć obrozę i w ten sposób udowodnić swoją miłość. Mówił dziewczynie, co oznacza dlań noszenie obroży. Może powinien był wszystko jej opowiedzieć. Może wtedy by zrozumiała.

Bolała go rana, wypalona przez Rahla Posępnego. Gdy dotknął opatrunku, zauważył wreszcie, że śnieg przestał walić. Przez niskie, pędzone wiatrem chmury tu i ówdzie przebijało słońce. Trawiasta równina była szarobura, chmury - szare i ponure. Krajobraz był bezbarwny i pusty.

Z położenia słońca Richard zorientował się, że musiało już być późne popołudnie. Długo tak jechali, milcząc - Siostra Verna nie odezwała się doń ani razu.

Chłopak po raz pierwszy dotknął obroży. Była gładka, bez śladu złączenia, i zimna. Mówił, że nigdy więcej jej nie założy. Obiecał to sobie. A jednak zrobił to. Co gorsza - sam ją sobie założył, bo Kahlan go o to poprosiła. Bo zwątpiła weń.

Pierwszy raz, odkąd miał na szyi obrozę, zmusił się do myślenia o czymś innym. Nie mógł już dłużej myśleć o Kahlan, nie mógł już znieść bólu, jaki mu to sprawiało. Był przecież Poszukiwaczem: miał inne ważne sprawy do przemyślenia. Lekko ścisnął boki konia łydkami, skłaniając go do szybszego

posuwania się naprzód, i znalazł się obok kasztana Siostry. Chciał odrzucić kaptur, lecz przekonał się, że wcale go nie nasunął, więc tylko przeczesał palcami wilgotne włosy. Popatrzył na Siostrę Verne.

- Musimy omówić pewne sprawy. Ważne sprawy, o których nic nie wiesz.

Verna spojrzała nań spokojnie. Brzeg kaptura częściowo zasłaniał jej twarz.

- A cóż to za sprawy?

- Jestem Poszukiwaczem. Znów patrzyła przed siebie.

- Trudno powiedzieć, żebym o tym nie wiedziała. Richarda zirytował jej spokój i brak zainteresowania.

- Mam swoje obowiązki. Już ci mówiłem, że dzieją się ważne rzeczy, o których nic nie wiesz. Groźne sprawy. - Verna nie odpowiedziała, zupełnie jakby on nic nie powiedział; więc Richard postanowił przejść do rzeczy. - Opiekun próbuje uciec z zaświatów.

- Nie wymawiamy jego imienia. I ty nie powinieneś tego robić. To przyciąga jego uwagę. Kiedy już musimy o nim rozmawiać, to nazywamy go „Bezimienny”.

Mówiła do Richarda jak do dziecka. Życie Kahlan było w niebezpieczeństwie, a ta kobieta traktowała go jak dziecko.

- Nieważne, jak go nazywacie; próbuje się wydostać. A ja i tak przyciągnąłem już jego uwagę, możesz być tego pewna.

W końcu spojrzała obojętnie na chłopaka.

- Bezimienny zawsze usiłuje się wydostać. Richard odetchnął głęboko i znów spróbował.

- Zasłona zaświatów jest rozdarta. On chce się wydostać. Siostra Verna raz jeszcze spojrzała nań, tym razem odsuwając skraj kaptura, żeby jej nie zasłaniał Richarda. Spod materiału wysunęły się kręcone, kasztanowate włosy. Kobieta miała osobliwą minę. Rozbawioną. W kącikach jej ust czaił się uśmiech.

- To Stwórca umieścił Bezimiennego tam, gdzie się teraz znajduje. To Stwórca własną ręką postawił zasłonę, żeby tamten się nie wydostał. - Uśmiech przybrał na sile, gdy ściągnęła lekko brwi, marszcząc czoło. - Bezimienny nie może uciec z więzienia, w którym osadził go Stwórca. Nie bój się, dziecko.

Richard, wściekły, skierował swego gniadosza ku Siostrze. Konie się zderzyły, rżały i potrząsały łbami. Chłopak twardą ręką złapał cugle wierzchowca Verny, by ten nie poniósł lub nie stanął dęba. Nachylił się ku kobiecie, dysząc z wściekłości.

- Nie będziesz mi ubliżać! Nie pozwolę sobie ubliżać tylko dlatego, że noszę obrożę! Jestem Richard! Richard Rahl!

Siostra Verna ani drgnęła. Jej głos pozostał spokojny i łagodny.

- Przepraszam, Richardzie. To po prostu siła przyzwyczajenia. Zwykle miałam do czynienia z o wiele młodszymi od ciebie. Nie zamierzałam cię obrazić.

Spojrzenie Verny sprawiło, że Richard poczuł się głupio, speszył się. Poczul się jak niegrzeczne dziecko. Puścił wodze jej konia. - Wybacz mi moje wrzaski. Nie jestem w dobrym nastroju. Siostra powtórnie zmarszczyła brwi.

- Sądziłam, że twoje nazwisko brzmi „Cypher”.

Chłopak mocniej zacisnął płaszcz osłaniający opatrzone poparzenie.

- To długa historia. George Cypher wychował mnie jak własnego syna. Dopiero niedawno się dowiedziałem, że jestem synem Rahla Posępnego.

- Rahl Posępny. - Mars na twarzy Verny pogłębił się. - To ten z darem, którego zabiłeś? Zabiłeś swojego ojca?

- Nie patrz tak na mnie. Nie znałaś go. Nie masz pojęcia, jaki był. Uwięził i zadręczył więcej ludzi, niż ty czy ja możemy sobie wyobrazić. Mdli mnie na myśl, iż zniewolił moją matkę. Ale taka jest prawda. Jestem jego synem. I przez wieczność się nie doczekasz, bym pożałował swojego czynu.

Siostra Verna potrząsnęła głową, prawdziwie zatroskana.

- Tak mi przykro, Richardzie. Niekiedy Stwórca bardzo zawile splata wątki naszego życia, a my dziwimy się, dlaczego tak czyni. Jestem jednak przekonana, że niczego nie robi bez powodu.

Paplanina. Zdobyła się jedynie na czczą paplaninę. Richard zawrócił ku niej konia i zaczął od nowa:

- Mówię ci, że zasłona jest rozerwana i że Opiekun się wydostanie.

- Bezimienny - szepnęła groźnie.

- Niech ci będzie - zgodził się poirytowany chłopak. - Bezimienny. Nie obchodzi mnie, jak go nazywasz, ważne, że się chce wydostać. Wszyscy jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie.

Kahlan była w wielkim niebezpieczeństwie.

Richard nie dbał o to, czy ta Siostra czarodziejka spali go na popiół - życie nie znaczyło dlań już nic. Obchodziło go wyłącznie bezpieczeństwo Kahlan.

Siostra Verna znów miała rozbawioną minę, uśmiechała się pobłaźliwie.

- Kto ci to powiedział?

- Wiedźma Shota powiedziała mi, iż zasłona została rozdarta. - Richard przemilczał, że Shota uświadomiła mu również, że to właśnie on tego dokonał. - Powiedziała, że zasłona jest rozdarta i że jeśli się jej nie scali, to Opie... to Bezimienny się wydostanie.

Siostra Verna uśmiechnęła się, oczy jej błyszczały.

- Wiedźma. - Zaśmiała się. - I uwierzyłeś jej? Uwierzyłeś wiedźmie? Uważasz, że wiedźmy mówią prawdę tak bez ogródek, prosto z mostu?

Kipiący gniewem Richard łypnął spod oka na Verne.

- Uważam, że wiedziała, co mówi. Nie kłamałaby w tak ważnej sprawie. Wierzę jej.

Siostra Verna najwyraźniej bawiła się tym wszystkim.

- Gdybyś miał wcześniej do czynienia z wiedźmą, Richardzie, wiedziałbyś, że one osobliwie pojmują prawdę. Czasami mogą i mieć dobre intencje, lecz ich słowa rzadko dokładnie się sprawdzają.

Prawdziwość tego stwierdzenia ostudziła nieco gniew chłopaka. Siostra Verna najwyraźniej sporo wiedziała o wiedźmach. Była o nich tego samego zdania, co i on, Richard.

- Ale Shota była absolutnie pewna tego, co mówiła. Bardzo się bała.

- Oczywiście, że się bała. Mądrzy ludzie zawsze się boją Bezimiennego. Nie przywiązywałabym jednak dużej wagi do jej słów.

- Chodzi nie tylko o to, co mówiła Shota. Wydarzyły się i inne rzeczy.

- Jakie? - zaciekała się.

- Screeling.

Verna odwróciła od Richarda piwne oczy.

- Screeling. Widziałeś screelinga?

- Czy go widziałem? Zaatakował mnie! Screelingi są z zaświatów. Wysyła je Bezimienny. Ten przeszedł przez rozdartą zasłonę, żeby mnie zabić!

- Ależ masz wyobraźnię, Richardzie. - Siostra znów się uśmiechała. - Nasłuchałeś się zbyt wielu dziecinnych piosenek.

- Co masz na myśli? - Chłopak powściągnął budzący się na nowo gniew.

- Screelingi istotnie pochodzą z zaświatów, tak jak i inne bestie, na przykład sercowe psy. Jednakże nie są wysyłane. One po prostu uciekają. Żyjemy w świecie zawieszonym pomiędzy dobrem a złem, pomiędzy światłem a ciemnością. Stwórca wcale nie chciał, żeby to był świat doskonały, wolny od wszelkich cierpień. Nie zawsze potrafimy pojąć powody, którymi on się kieruje, ale powody takie istnieją, a on jest doskonały. Może screelingi mają nam ukazać mroczną stronę? Nie wiem. Wiem za to, że są tylko złem, które niekiedy się wydarza. Widziałam, jak to spotykało osoby mające dar. Możliwe, iż to dar je przyciąga. Być może to jakaś próba, ostrzeżenie przed złem, które czyha na porzucających światło.

- Ale... ale istnieją przepowiednie mówiące, że to Bezimienny wysyła te bestie, że wysyła je przez rozdartą zasłonę.

- Jak to możliwe, Richardzie? Czyżby zasłona była już kiedyś rozdarta?

- Skąd mam wiedzieć? - Zastanawiał się przez chwilę. - Nie rozumiem tego. Jeśli tak było, to w jaki sposób ją scalono? Takie wydarzenie nie pozostałoby nie zauważone. Do czego zmierzasz?

- Gdyby zasłona nie była nigdy przedtem rozdarta, to jak mogłyby tu być wcześniej przysyłane screelingi? Skąd byśmy o nich wiedzieli? Skąd znalibyśmy tę nazwę?

Tym razem to Richard się zasępił.

- Może znamy je jako screelingi, bo tak je nazwano w prorocत्वie.

- Czytałeś to prorocत्वo?

- Hmm, nie. Kahlan mi o nim powiedziała.

- A ona widziała je na własne oczy i sama przeczytała?

- Nie. Dowiedziała się o nim, kiedy była mała. - Mars Richarda się pogłębił. - Z piosenki. Czarodzieje nauczyli ją tej piosenki.

- Z piosenki. - Siostra Verna się nie obejrzała, ale wiadomo było, iż jej uśmiech stał się jeszcze szerszy. - Nie zamierzam umniejszać twoich obaw, Richardzie, lecz często się wypacza to, co się wciąż na nowo powtarza, zwłaszcza w piosence. Zaś co do prorocत्व, to jeszcze trudniej je zrozumieć niż słowa więdźmy. Mamy w pałacu piwnice wyładowane prorocत्वami. Może będziesz mógł nad nimi pracować, może to będzie część twojej nauki. Przeczytałam je wszystkie i więdź, że przekraczają zdolności pojmwowania większości ludzi. Jeśli się nie powściągniesz, jeśli nie potraktujesz ich z

należyta ostrożnością, to potwierdzą, co tylko zechcesz. A przynajmniej będziesz przekonany, że potwierdzają. Niektórzy czarodzieje poświęcają całe życie na studiowanie proroctw, lecz nawet oni pojmują zaledwie maleńką część zawartej w nich prawdy.

- Tego niebezpieczeństwa nie można lekceważyć.

- Sądzisz, że zasłona się rozdarła ot tak? Miej wiarę, Richardzie. To Stwórca umieścił zasłonę. Ufaj mu.

Chłopak przez pewien czas jechał w milczeniu. Słowa Siostry Verny miały sens. Zachwiało się jego rozumienie świata. Nie mógł się jednak zbyt długo zagłębić w rozmyślenia nad tymi sprawami - w myśli Richarda znów powracała Kahlan. Udręka, iż kazała mu założyć obrożę na dowód miłości, choć wiedziała, że ich to rozdzieli, rozdzierała mu serce. Zdrada dziewczyny paliła boleśnie. Tarł kciukiem o wodze. W końcu ponownie odezwał się do Siostry Verny.

- To jeszcze nie wszystko. Nie powiedziałem ci najgorszego.

- Jest coś jeszcze? - Uśmiechnęła się doń po matczynemu. - Mów zatem. Może zdołam rozproszyć twoje obawy.

Richard odetchnął głęboko, starając się choć trochę stłumić ból. - Człowiek, którego zabiłem... Rahl Posępny... mój ojciec... po śmierci został zesłany do zaświatów. Do Opie... do Bezimiennego.

Uwolnił się tej nocy. Powrócił do naszego świata przez rozdarcie w zasłonie. Wrócił, żeby ją do końca rozedrzeć.

- A ty wiesz, że został zesłany do Bezimiennego. Byłeś w zaświatach i widziałeś, jak się tam pojawił u jego boku, tak?

Ta kobieta miała prawdziwy dar irytowania Richarda. Starał się nie zważać na uszczypliwości.

- Rozmawiałem z nim, kiedy powrócił. Sam mi to powiedział. Oświadczył, że jest tu, by do reszty rozedrzeć zasłonę. Stwierdził, iż Opiekun dopadnie nas wszystkich. Zmarły powrócił do naszego świata. Rozumiesz? Jego duch mógł tu dotrzeć wyłącznie przez zasłonę.

- Siedziałeś sobie, a ów zmarły wszedł i przemówił do ciebie, tak? Richard przybrał groźną minę, lecz Verna wcale nań nie spojrzała.

- To było na naradzie widzących u Błotnych Ludzi. Próbowałem rozmawiać z duchami ich przodków i dowiedzieć się od nich, jak scalić zasłonę; wtedy się pojawił.

- Aaaa. - Pokiwała z satysfakcją głową. - Rozumiem.

- Co to ma znaczyć?

Siostra Verna przybrała pobłażliwą minę, jak zawsze, kiedy wyjaśniała dzieciom rozmaite sprawy.

- Czy zanim zobaczyłeś owego ducha, Błotni Ludzie dali ci do wypicia lub zjedzenia jakiś święty napój lub potrawę?

- Nie!

- Ot tak usiadłeś sobie z nimi i zobaczyłeś duchy?

- Nooo, niezupełnie. Najpierw była uczta. Przez parę dni. Starsi jedli i pili szczególne potrawy, aleja nigdy. Potem pomalowano nas błotem i poszedłem z siedmioma starszymi do domu duchów. Usiedliśmy w okręgu i oni przez chwilę śpiewali. Później podali kołem koszyk, a każdy wziął żabkę duchów i potarł jej śluzowatym grzbietem o skórę na piersiach...

- Żaby. - Verna obejrzała się na Richarda. - Czerwone żaby, tak?

- Tak. Czerwone żabki duchów. Uśmiechnęła się i odwróciła wzrok.

- Znam je. I skóra mrowiła, prawda? A potem widziałeś duchy?

- To bardzo uproszczona wersja wydarzeń, lecz możesz to tak przedstawić. Co chcesz mi dać do zrozumienia?

- Dużo podróżowałeś po Midlandach? Widziałeś wiele tutejszych ludów?

- Nie jestem z Westlandu. Niewiele wiem o ludach Midlandów. Verna znów pokiwała głową.

- W Midlandach jest wiele ludów nie znających światła Stwórcy. Ci niewierni czczą najrozmaitsze rzeczy: bożki, duchy i inne takie. To dzikusy, których rytuały ogniskują się wokół ich fałszywej wiary. Jedno ich łączy: żeby „zobaczyć” swoje „duchy opiekuńcze”, posługują się świętymi potrawami lub napojami. - Obejrzała się na Richarda, sprawdzając, czy uważnie słucha. - Błotni Ludzie najwyraźniej wykorzystują śluz owych żabek, by uzyskać swoje wizje, zobaczyć to, co chcą zobaczyć.

- Wizje?

- Stwórca umieścił w naszym świecie wiele roślin i zwierząt, żebyśmy z nich korzystali. Zawarta w nich moc działa na rozmaite sposoby. I tak, herbatka z kory wierzby obniża gorączkę. Nie widzimy, jak działa, ale wiemy, że działa. Z kolei sporo rzeczy może po zjedzeniu wywołać chorobę, a nawet spowodować śmierć. Stwórca obdarzył nas rozumem, byśmy potrafili je rozróżnić. Jeśli zaś zjemy pewne produkty lub, jak w wypadku śluzu

czerwonych żabek, natrzemy nimi skórę, to będziemy mieli wizje jak we śnie. Dzicy sądzą, że to się dzieje naprawdę. To właśnie przydarzyło się tobie. Wtarłeś w skórę śluz czerwonej żabki i miałeś wizje. Twój usprawiedliwiony strach przez Bezimiennym sprawił, iż były one nad wyraz realne. Gdyby owe „duchy” były prawdziwe, to czy potrzebowałbyś jakiejś szczególnej rośliny, napoju, potrawy lub czerwonej żabki, żeby je zobaczyć i porozmawiać z nimi? Nie myśl, Richardzie, iż z ciebie drwię. Wizje mogą wyglądać bardzo realnie. Można je uznać za rzeczywistość, ale nią nie są.

Chłopak nie był skłonny uwierzyć w wyjaśnienia Siostry, lecz rozumiał, o czym mówiła. Od dziecka chodził z Zeddem do lasu zbierać pomocne ludziom rośliny - uśmierzający ból i przyspieszający gojenie się małych ran aum oraz łagodzący ból głębokich ran korzeń akacji. Zedd pokazał mu też i inne rośliny - niosące ulgę w gorączce, ułatwiające trawienie, łagodzące bóle porodowe, leczące bóle głowy. Wskazał również te, których należy unikać, niebezpieczne i mogące sprowadzić wizje.

Lecz chłopak wcale nie uważał, że wyobraził sobie Rahla Posępnego.

- Oparzył mnie. - Klepnął się w opatrunek na piersi. - To nie mogła być wizja. Rahl Posępny był tam: wyciągnął rękę, dotknął mnie i spalił mi skórę. Tego sobie nie wyobraziłem.

Siostra lekko wzruszyła ramionami.

- Mogło się wydarzyć jedno z dwojga. Kiedy już potarłeś skórę żabką, to nie widziałeś izby, prawda?

- Nie widziałem. Jakby zniknęła w mrocznej pustce.

- Cóż, izba tam była. Jestem pewna, że w trakcie narady dzicy palili ogień. Nie siedziałeś, kiedy zostałeś oparzony, prawda? Stałeś, chodziłeś?

- Tak - przyznał niechętnie Eichard. Verna zacisnęła usta.

- Prawdopodobnie w swoim zamroczeniu potknąłeś się, upadłeś i poparzyłeś patykiem z ogniska. No i wyobraziłeś sobie, że to duch cię oparzył.

Chłopak zaczynał się czuć okropnie głupio. Czyżby Siostra miała rację? Czyżby to wszystko było takie proste? Czy był aż tak naiwny i łatwowierny?

- Mówiłaś, że jedno z dwojga. Tamto to jedno, a drugie? Siostra Verna jechała przez chwilę w milczeniu. Potem odezwała się ciszej i posępniej niż poprzednio.

- Bezimienny zawsze się stara przeciągnąć nas na swoją stronę. Jest

uwięziony poza zasłoną, lecz jego macki mogą sięgać aż tutaj, do naszego świata. Może nas ranić. Jest niebezpieczny. Mroczna strona jest groźna. Ignoranci, bawiący się niebezpiecznymi rzeczami, mogą wywołać zagrożenie, przyciągnąć uwagę Bezimiennego lub jego pachołków. Bardzo możliwe, iż naprawdę dotknęła cię i oparzyła jedna z owych złych istot. - Spojrzała na chłopaka. - Ludzie są zbyt głupi, by unikać pewnych spraw. Spraw, które czasem mogą zabić. - Głos Verny nabrał pogodniejszych tonów. - To jedno z naszych zadań: nauczać tych, którzy jeszcze nie dojrzeli chwały Stwórcy, kierować ich ku jego blaskowi, zawracać z mrocznych i niebezpiecznych ścieżek.

Richard nie potrafił zbić argumentów Siostry Verny. Mówiła całkiem do rzeczy. Jeżeli miała rację, to Kahlan nic nie groziło, była bezpieczna. Bardzo chciał w to uwierzyć. Rozpaczliwie pragnął w to uwierzyć. Ale ciągle...

- Przyznaję, że możesz mieć rację, lecz wcale nie jestem o tym przekonany. Nie potrafię wyrazić słowami wszystkiego, co się wtedy wydarzyło.

- Rozumiem, Richardzie. Trudno nam przyznać, że się myliliśmy. Nikt nie chce przyznać, że go oszukano, wystrychnięto na dudka. Takie wynurzenie boli. Dorastanie, uczenie się sprawia, iż potrafimy przełożyć prawdę ponad wszystko, choćbyśmy się musieli przyznać do własnej głupoty. Wierz mi, Richardzie, wcale cię nie uważam za głupca, ponieważ w to wszystko wierzyłeś. Twoje obawy są zupełnie zrozumiałe. Mądrzy ludzie są w stanie sięgnąć poza pozorną prawdę i przyznać, że potrafią się nauczyć więcej niż do tej pory.

- Ale wszystkie te sprawy się łączą...

- Czyżby? Mądry człowiek nie łączy w łańcuch dowolnych wydarzeń tylko po to, by potwierdzić swoje domysły. Mądry człowiek dostrzega i uznaje prawdę, choćby była czymś najmniej oczekiwanym. Prawda to najwspanialszy klejnot.

- Prawda - mruknął do siebie Richard.

Był Poszukiwaczem, a prawda to coś, na czym Poszukiwaczowi zależało najbardziej. Słowo to wypisano złotymi literami na gardzie jego miecza - Miecza Prawdy. W tym, co się wydarzyło, było coś, czego Richard nie potrafił? nie chciał? ubrać w słowa. A może Siostra Verna miała rację? Może sam siebie zwodził?

Chłopak przypomniał sobie pierwsze prawo magii: ludzie są niemądrzy, uwierzą we wszystko albo dlatego, że chcą, by to była prawda, albo też dlatego, że się boją, iż to może być prawda. Wiedział z doświadczenia, iż dotyczy to także jego samego. I on mógłby uwierzyć w kłamstwo. Wierzył, że Kahlan go kochała. Wierzył, iż nigdy by go nie skrzywdziła. A odprawiła go. Richard znów poczuł kulę w gardle.

- Mówię prawdę, Richardzie. Jestem tu po to, by ci pomóc. - Nie odpowiedział, nie uwierzył Vernie. Spytała, jakby czytając w myślach chłopaka: - Jak tam twoje migreny?

Zaskoczyło go to pytanie. Właściwie nie samo pytanie, lecz to, co sobie uświadomił.

- Moje migreny...? Zniknęły. Zniknęły bez śladu.

Siostra Verna uśmiechnęła się i z zadowoleniem skinęła głową.

- Stało się, jak ci obiecywałam: Rada'Han zlikwidowała migreny. Chcemy ci jedynie pomóc, Richardzie.

- I zadać cierpienie. Sama powiedziałaś, że ta obroża przyniesie mi ból.

Kobieta wzruszyła ramionami i uniosła ku niebu otwarte dłonie; cugle miała przeplecione przez palce.

- Dopiero co zadałam ci ból. Wykazałam, że uwierzyłeś w coś niemądrego. Nie zabolalo cię to? Nie cierpiełeś, dowiadując się, iż się myliłeś? Lecz czyż nie lepiej poznać prawdę, niż wierzyć w kłamstwo? Nawet jeśli to boli?

Richard odwrócił wzrok. Myślał o Kahlan zmuszającej go do założenia obroży, odsyłającej go z Verna - to również była prawda. I ta raniła najbardziej: świadomość, że nie był dla niej dość dobry.

- Pewno tak. Ale nie podoba mi się noszenie obroży. Ani ociupinę mi się nie podoba. Richard miał dość gadania. Rana go bolała, a mięśnie zeszywniały. Był zmęczony i tęsknił za Kahlan. Ale Kahlan kazała mu założyć obrożę i odprawiła go. Pozwolił, by oba konie - jego i luzak - pozostały z tyłu, za rumakiem Verny. Lodowate łzy spływały po policzkach chłopaka. Jechał w milczeniu. Jego wierzchowiec skubał po drodze kępy trawy i przeżuwał ją w marszu. W dawnych czasach Richard nie pozwoliłby jeść koniowi mającemu wędzidło w pysku. Zwierzę nie mogło wówczas dokładnie przeżuć stawy, co groziło kolką. Przez kolkę można było stracić dobrego wierzchowca. Tym razem chłopak nie powstrzymywał konia, lecz

gładził jego ciepły kark i poklepywał uspokajająco. Dobrze było mieć towarzysza, który nie wytykał mu głupoty, nie osądzał i nie miał żadnych pretensji ani wymagań. Zdawało mu się, że nie odplaca zwierzęciu tym samym. Lepiej być koniem niż człowiekiem, pomyślał Richard. Iść, zawracać, skręcać, zatrzymywać się. Nic więcej. Lepiej być kimkolwiek lub czymkolwiek niż nim, Richardem.

Chłopak wiedział, że był jeńcem; był nim, choćby Siostra Verna mówiła nie wiem co. Żadne jej słowa tego nie zmieniają.

Jeżeli ma kiedykolwiek odzyskać wolność, to musi się nauczyć kontrolować dar. Może Siostry go wypuszczą, jeśli uznają, że potrafi już kontrolować dar. Gdyby Kahlan go nie chciała, przynajmniej byłby wolny.

To właśnie powinienem zrobić, uznał Richard. Trzeba się nauczyć kontrolować dar - najszybciej jak się da - żeby mu zdjęły obrożę i uwolniły go. Zedd zawsze twierdził, iż Richard szybko się uczy. Teraz też się wszystkiego nauczy. Przecież zawsze lubił to robić, zawsze chciał wiedzieć więcej i więcej. Nigdy nie miał dosyć nauki. Trochę się rozpogodził na tę myśl. Lubiał się uczyć nowych rzeczy. Może nie będzie aż tak źle. Da radę. Czyż ma inne wyjście?

Richard przypomniał sobie, jak Denna go tresowała i uczyła.

Nastrój mu się pogorszył. Oszukiwał sam siebie. Nigdy go nie wypuszczą. Nie będzie się uczył z własnej woli ani tego, czego by sam chciał; będzie poznawał to, czego zechcą go nauczyć Siostry Światła, a wcale nie był pewny, czy ich nauki będą zgodne z prawdą. Zamierzały go uczyć cierpienia. Beznadzieja.

Chłopak jechał, pogrążony w ciężkich, mrocznych myślach. Był Poszukiwaczem, dawcą śmierci.

Kiedy zabijał kogoś Mieczem Prawdy, wiedział, że jest dawcą śmierci, że tym właśnie jest Poszukiwacz.

Niebo zaczęło się różowić, żółcić i złocić, gdy Richard zauważył daleko w przodzie białe plamy. To nie był śnieg, bo śnieg nie osiadał. Poza tym plamy się poruszały. Siostra Verna nic o nich nie powiedziała; jechała w milczeniu. Słońce świeciło za ich plecami, rzucali w przód długie cienie. Richard uświadomił sobie, iż kierują się na wschód.

Podjechali bliżej i rozpoznał przecinające im drogę, różowiejące w ostatnich promieniach słońca białe kształty. To było małe stado owiec.

Strzegli ich Bantakowie - chłopak rozpoznał to po ubiorze pasterzy.

Trzej Bantakowie zbliżyli się do Richarda, nie zwracając uwagi na Siostrę Verne. Nie pojął, co mówili, ale ich miny wyrażały uszanowanie. Upadli na kolana, wyciągnęli ręce ku chłopakowi i wsparłszy dłonie o ziemię, pochylili głowy. Chłopak zmusił konia, byzwołnił. Bantakowie unieśli głowy i coś mówili, lecz nie zrozumiał ani słowa. Uniósł rękę w geście pozdrowienia. Zadowolono ich to. Uśmiechnęli się i kilka razy skłonili, kiedy koło nich przejeżdżał. Podnieśli się z klęczek i truchtali przy koniu Richarda, starając się wepchnąć chłopakowi do rąk chleb, owoce, pasy suszonego mięsa, brudną brązową przepaskę, naszyjniki z zębów, kości i paciorków, a nawet swoje pasterskie kije.

Richard zmusił się do uśmiechu i gestami starał się odmawiać przyjęcia owych darów, uważając, by nie urazić Bantaków. Jeden z nich był szczególnie uparty i koniecznie chciał, żeby Richard wziął od niego melon. Chłopak nie chciał się wplątywać w żadne kłopoty, więc przyjął w końcu prezent i kilka razy skinął w podzięcie głową. Tamci wyglądali na dumnych i zadowolonych, kiwali głowami i kłaniali się. Richard skłonił się im z siodła ostatni raz, minął ich i wsunął melon do torby przy siodle.

Siostra Verna zatrzymała konia, zawróciła go ku Richardowi i czekała, aż chłopak do niej dołączy. Patrzyła nań gniewnie. Richard nie poganiał wierzchowca, pozwalając mu iść własnym tempem. I co teraz, zastanawiał się.

W końcu dotarł do Siostry *Verny*. Nachyliła się ku niemu.

- Dlaczego oni mówią takie rzeczy!?! - Jakie? Nie znam ich języka.

- Myślą, że jesteś czarodziejem. - Zgrzytnęła zębami. - Dlaczego tak myślą? Dlaczego!?

- Pewno dlatego, że tak im powiedziałem. - Chłopak wzruszył ramionami.

- Co takiego!?! - Zrzuciła kaptur. Nie jesteś czarodziejem! Nie masz prawa im tego mówić! Okłamałeś ich!

Richard wsparł kłykcie na łęku siodła.

- Masz rację. Nie jestem czarodziejem. Okłamałem ich.

- Kłamstwo to występki przeciwko Stwórcy!

- Nie podałem się za czarodzieja dla zabawy - chłopak westchnął ze znużeniem. - Uczyniłem to, by nie dopuścić do wojny. Jedynie w ten sposób

mogłem zapobiec śmierci wielu ludzi. Udało się i nikt nie ucierpiał. Skłamałbym jeszcze raz, żeby powstrzymać zabijanie.

- Kłamstwo jest złem! Stwórca nienawidzi kłamstwa!

- Czyżby ten twój Stwórca wołał zabijanie?

Siostra Verna sprawiała wrażenie, jakby za moment miała zionąć ogniem.

- To nie mój Stwórca. Jest Stwórcą wszystkich. I nienawidzi kłamstwa.

Richard spokojnie patrzył na rozwścieczoną kobietę.

- Sam ci to powiedział? Przyszedł, usiadł obok ciebie i rzekł: „Siostrze Verno, chcę, żebyś wiedziała, iż nienawidzę kłamstw”?

- Jasne, że nie - wydusiła przez zaciśnięte zęby. - To jest zapisane. Zapisane w księgach.

- Aaaa. - Richard pokiwał głową. - Noo, w takim razie to musi być prawda. Wszyscy wiedzą, że jeśli się coś zanotuje i komuś przypisze, to musi to być prawda.

- Lekceważysz słowa Stwórcy. - Oczy Verny płonęły. Chłopak pochylił się ku niej; pozorny spokój nie zdołał całkiem zamaskować irytacji.

- A ty, Siostrze Verno, lekceważysz życie tych, których uważasz za pogan.

Zmilczała i z trudem zdołała się nieco uspokoić.

- Musisz się nauczyć, Richardzie, że kłamstwo jest złem. Wielkim złem. To sprzeczne z wolą Stwórcy, sprzeczne z tym, czego nauczamy. Taki z ciebie czarodziej jak z dziecka starzec. Kłamstwem jest nazywać się czarodziejem, nie będąc nim. Ohydny kłamstwem. To profanacja. Nie jesteś czarodziejem.

- Dobrze wiem, że kłamstwo jest złem, Siostrze Verno. Nie zwykłem tego robić, ale wolę już skłamać, niż pozwolić, by umierali ludzie. Innego sposobu nie było.

Verna odetchnęła głęboko i skinęła głową, co wprowadziło w ruch kasztanowate loczki.

- Może i masz rację, póki wiesz, że kłamstwo to coś złego. Nie nabieraj złych nawyków. Nie jesteś czarodziejem..

Richard wpatrywał się w nią; mocniej zacisnął w dłoni wodze.

- Wiem, że nie jestem czarodziejem, Siostrze Verno. Doskonale wiem, kim jestem. - Ścisnął konia nogami, ponaglając go do marszu. - Jestem dawcą śmierci.

Siostra Verna gwałtownie złapała go za rękaw i szarpnięciem obróciła ku sobie, aż ściągnął przy tym wodze. Patrzyła nań wielkimi oczami.

- Co powiedziałaś? - szepnęła nagle. - Jak się nazwałś?

- Jestem dawcą śmierci. - Richard spojrzał na nią bez wyrazu.

- Kto cię tak nazwał?

Chłopak wpatrywał się w jej zszarzałą twarz.

- Wiem, co znaczy noszenie tego miecza. Wiem, co znaczy dobyte go. Wiem to lepiej niż poprzedni Poszukiwacze. Jestem częścią owej klingi, a ona jest częścią mnie. Posłużyłem się jej magią, by zabić osobę, która założyła mi obrożę. Wiem, co odczuwam, zabijając. Okłamałem Bantaków, bo nie chciałem, by ginęli ludzie. I jest jeszcze jeden powód. Bantakowie to spokojny lud, Pragnę, by nie poznali grozy zadawania śmierci. Zbyt dobrze to znam. Zabiłaś Siostrę Elizabeth, więc może i ty to wiesz.

- Kto cię nazwał dawcą śmierci? - dopytywała się uparcie.

- Nikt. Sam się tak nazwałem, bo wiem, że to właśnie daję i tym jestem. Jestem dawcą śmierci.

- Rozumiem. - Puściła rękaw chłopaka.

Kiedy zaczęła zawracać konia, Richard rozkazująco wymówił jej imię. Zatrzymała się.

- Po co ci to? Czemu chciałaś wiedzieć, kto mnie tak nazwał? Dlaczego to takie ważne?

Gniew Siostry Verny zniknął, zostawiając po sobie cień strachu.

- Mówiłam ci, że czytałam przechowywane w pałacu przepowiednie. Jedna z nich zawiera zdanie: „Jest ci on dawcą śmierci i sam siebie tak nazwie”

Richard zmrużył oczy.

- A co mówi reszta proroctwa? Głosi, że zabiję ciebie i każdego, kogo będę musiał, żeby się pozbyć tej obroży? Uniknęła spojrzenia wściekłych oczu chłopaka.

- Proroctwa nie są przeznaczone dla oczu i uszu nie wyszkolonych. Ponagliła konia nieoczekiwanym kopnięciem i wysforowała się naprzód. Jadąc za nią, Richard postanowił, że zaniecha dalszych dociekań. Proroctwa nic go nie obchodziły. Uważał je za zagadki, a tych nie cierpiał. Po co zamieniać w zagadki ważne przesłania? Zagadki to głupie, mało ważne gierki. Jechał i zastanawiał się, ilu też ludzi będzie musiał zgładzić, żeby się

pozbyć obroży. Jednego czy setkę - to nie miało znaczenia. Chłopak kipiał gniewem na myśl, iż będzie wodzony na Rada'Han. Aż zazgrzytał ze złości zębami i zacisnął szczęki. Jego pięści mocno uchwyciły lejce.

Dawca śmierci. Zabije tylu, ilu będzie trzeba. Pozbędzie się tej obroży albo umrze. Fala wścieklej furii i chęć zabijania przepłynęła przez każde włókienko ciała Richarda.

Chłopak zorientował się, że przyzywa magię oręża, choć ten nadal tkwi w pochwie. Już nie musiał trzymać w dłoni rękojeści Miecza Prawdy, żeby wezwać jego magię. Czuł, jak buzuje w nim magiczny gniew. Z trudem odegnał go i uspokoił się.

Potrafił nie tylko przyzwać gniew miecza, ale i jego przeciwieństwo - białą magię. Siostry nie wiedziały, że opanował tę umiejętność. Miał nadzieję, iż nie będzie musiał im jej zademonstrować. Ale na pewno to zrobi, jeśli zajdzie taka potrzeba. Pozbędzie się obroży. Wykorzysta albo jedną, albo drugą magię miecza lub obie - byle tylko pozbyć się obroży. Kiedy nadejdzie czas. Kiedy nadejdzie czas.

Otoczyła ich fiołkowa poświata zmierzchu i Siostra Verna zarządziła postój na noc. Już nie rozmawiała z chłopakiem. Nie miał pojęcia, czy wciąż się nań gniewa. Właściwie nic go to nie obchodziło.

Richard zaprowadził konie ku pobliskim niewysokim wierzdom rosnącym na brzegu rzeczki i zdjął im cugle, zastępując je kantarem. Jego gniada klacz potrząsała łbem, uradowana, że pozbyła się wędzidła. I nic dziwnego - było łopatowate, najgorsze z możliwych. Mało które potrafiło tak się dać koniowi we znaki. Chłopak uważał, że takich wędzideł używali ludzie uznający konie za nic więcej niż tylko głupie bydlęta, które człowiek poskramia i wykorzystuje. Sami powinni pochodzić z wędzidłem i przekonać się, jak to jest. Dobrze wyszkolonemu rumakowi wystarczała zwykła uzda. Dobrze wyszkolony i właściwie traktowany koń w ogóle nie potrzebował wędzidła.

Richard doszedł do wniosku, iż niektórzy ludzie przedkładają karanie nad cierpliwość.

Chłopak wyciągnął rękę i spróbował pogłodzić czarno zakończone ucho. Zwierzę zdecydowanie cofnęło łeb.

- Ach tak - mruknął Richard - lubią cię również targać za uszy. - Drapał i poklepywał szyję konia. - Ja ci tego na pewno nie zrobię, przyjacielu.

Koń nadstawiał szyję do pieszczot.

Chłopak nabrał wody do brezentowego kubelka i pozwolił się napić zwierzętom - tylko po parę łyków, bo jeszcze dobrze nie ostygły. W jednej z toreb przy siodłach znalazł szczotki i starannie wyczesał ich sierść, oczyścił też kopyta. Nie spieszył się z robotą, bo wolał towarzystwo zwierząt niż Siostry Verny. Kiedy skończył, odciął kawałek skórki melona, którego dostał od Bantaka, i obdzielił nią konie. Skórka melona to jeden z ich ulubionych przysmaków. Z ochotą przyjęły poczęstunek. Po raz pierwszy okazały taki zapał do czegoś. I nic dziwnego, skoro wcześniej miały założone te łopatowate wędzidła.

W końcu rana rozboleła Richarda tak, że trudno mu było stać. Wrócił więc do Siostry Verny, usadowionej na niewielkim kocu, i rozłożył własny naprzeciwko niej. Usiadł, skrzyżował nogi i wyjął z plecaka kawałek chleba tava; właściwie nie był głodny, lecz musiał się czymś zająć. Verna pozwoliła się poczęstować. Chłopak podzielił melon, chowając resztę skórki na później, dla koni. Podał Vernie kawałek.

Spojrzała nań zimno.

- Został ofiarowany z fałszywych powodów.
- Został ofiarowany w podzięce za to, że zapobiegłem wojnie.
- Może i tak. - Wzięła w końcu melon, ale niezbyt chętnie. - Jeżeli chcesz, to obejmę pierwszą wartę - zaproponował Richard.
- Warty nie są konieczne.

Chłopak jadł soczysty owoc i przyglądał się Vernie w narastających ciemnościach.

- W Midlandach są sercowe psy i inne stwory. Mogę również przywabić następnego screelinga. Lepiej, żeby ktoś czuwał.

Nie spoglądając na Richarda, Verna wzięła kawałek chleba tava.

- Przy mnie jesteś bezpieczny. Warty nie są potrzebne.

Głos miała bezbarwny: nie było w nim gniewu, lecz czał się tuż-tuż. Chłopak jadł przez chwilę w milczeniu, w końcu jednak postanowił rozładować napięcie. Postarał się przemówić pogodnym tonem, choć daleko mu było do radości.

- Jesteśmy tu oboje. Mam na szyi Rada'Han. Może tak zaczęłabyś mnie uczyć, jak się posługiwać darem?

Verna spojrzała nań spod oka, nie przerywając jedzenia.

- Będzie dość czasu na naukę, kiedy dotrzemy do Pałacu Proroków.

Nagle powiało chłodem. Obudził się gniew Richarda. Gniew miecza domagał się uwolnienia. Chłopak odepchnął go od siebie. - Jak sobie życzysz. Siostra Verna położyła się na kocu i szczelnie owinęła peleryną.

- Zimno. Rozpal ognisko.

Richard włożył do ust ostatni kawałek chleba tava, pogryzł go i połknął; dopiero potem się odezwał. Verna nie spuszczała go z oka.

- Dziwię się, Siostrzo Verno, że tak niewiele wiesz o magii. Istnieje pewne magiczne słówko, które może działać więcej, niż mogłabyś się spodziewać. Może już je wcześniej słyszałaś. Owo magiczne słówko to „proszę”. - Podniósł się. - Mnie nie jest zimno. Potrzebne ci ognisko, to je sobie rozpal. Idę objąć pierwszą wartę. Już ci mówiłem, że nie przyjmuję niczego na wiarę. Jeśli zginiemy tej nocy, to przynajmniej zdążę cię ostrzec, stojąc na mojej warcie.

Chłopak odwrócił się i odszedł, nie czekając na odpowiedź. Nie miał ochoty usłyszeć czegokolwiek od Siostry Verno. Przeszedł spory kawałek po zeschłej trawie i znalazł kopczyk ziemi koło nory pieska stepowego. Usiadł na nim, żeby czuwać. Żeby pomyśleć.

Księżyc już wzeszedł. Spoglądał z góry na Richarda i słał na pustą okolicę bladą, srebrzystą poświatę. Dawał akurat tyle światła, by widzieć bez trudu. Chłopak patrzył na opustoszałą równinę i dumał. Bez skutku próbował zająć myśli innymi sprawami. Nic z tego, mógł myśleć jedynie o Kahlan.

Richard otarł łzy, podciągnął kolana i oplótł je ramionami. Zastanawiał się, *co ona* teraz porabia, gdzie jest, czy odnajdzie Zedda. Czy jeszcze na tyle jej na nim, Richardzie, zależy, by spróbowała dotrzeć do czarodzieja.

Księżyc płynął powoli i spoglądał na chłopaka. Co mam zrobić, zastanawiał się Richard. Czuł się zagubiony.

Wyobraził sobie twarz Kahlan. Zdobyłby całutki świat, żeby tylko się doń uśmiechnęła. Żeby mógł rozkoszować się ciepłem jej miłości. Wpatrywał się w oblicze dziewczyny. Myślał o jej zielonych oczach i długich włosach. O jej wspaniałych włosach. Przypominał sobie o puklu, który mu włożyła do kieszeni. Wyjął go i przyjrzał mu się w blasku księżyca. Kahlan zwinęła odcięte pasmo włosów w kółko i przewięzała pośrodku wstążką ze ślubnej sukni. W zależności od tego, jak Richard obracał w palcach pukiel włosów, raz przypominał on ósemkę, innym razem natomiast symbol

nieskończoności.

Chłopak przesunął pasmo włosów dziewczyny pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym i przyglądał mu się. Kahlan dała mu je po to, by mu ją przypominało. Żeby ją przypominało, bo nigdy już jej nie zobaczy. Straszliwy żal sprawił, iż Richard ledwo mógł oddychać.

Zacisnął Agiela w dłoni najmocniej, jak zdołał, aż pięść drżała z wysiłku. Ból płynący z bicza i męka rozłąki zlały się w jedną przeraźliwą udrękę. Richard pozwolił, by sięgnęła granic jego wytrzymałości, by je przekroczyła - aż ledwo przytomny zsunął się z kopczyka.

Z trudem chwycił powietrze. Ból przegnał z jego umysłu wszystkie myśli. Choć na kilka minut uwolnił go od katuszy. Richard długo leżał na ziemi i zbierał siły.

Wreszcie znów mógł usiąść. Pukiel włosów Kahlan nadal tkwił w jego dłoni. Richard wpatrywał się weń w księżycowej poświacie, przypominając sobie, co mu powiedziała Siostra Verna - że okłamał Bantaków. Ze to ohydne kłamstwo. To przecież były słowa Kahlan. Właśnie ona stwierdziła, iż miłość Richarda do niej to „ohydne kłamstwo”. Te słowa raniły bardziej niż Agiel.

- To nie kłamstwo - wyszeptał Richard. - Zrobiłbym dla ciebie wszystko, Kahlan.

Ale to było za mało. Nie wystarczyło założenie obroży. On, Richard, nie był dla niej odpowiedni. Był synem potwora. Już wiedział, czego chciała. Czego naprawdę chciała.

Kahlan pragnęła uwolnić się od niego.

Chciała, by założył obrożę, bo wtedy mogliby go od niej zabrać i byłaby wolna.

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko, Kahlan - krzyknął. - Wstał i rozejrzał się po pustej równinie. Łzy zamazywały ciemną linię horyzontu. - Wszystko. Nawet to. Zwracam ci wolność, moje kochanie.

Rzucił w noc pukiel włosów dziewczyny; odrzucił go tak daleko, jak tylko zdołał.

Osunął się na kolana i opadłszy na ziemię, załkał. Płakał, dopóki starczyło mu łez. Leżał na ziemi, jęcząc w męce, aż zdał sobie sprawę, że znów zaciska w dłoni Agiela. Puścił go i usiadł. Natychmiast też, wyczerpany, oparł się o ziemny kopczyk.

Już po wszystkim, koniec. Był zupełnie pusty. Martwy.

Po pewnym czasie wstał. Postął przez chwilę i powoli dobył Miecza Prawdy.

Stał cicho zaśpiewała w chłodnym powietrzu. Wraz z mieczem pojawił się gniew i wypełnił pustkę w Richardzie, przelewając się w nim swobodnie. Chłopak z zadowoleniem powitał magiczny gniew. Nie stawiał mu tam i wkrótce przepelniała go wściekłość. Pierś Richarda uniosła się w ciężkim oddechu - chciał zabić.

Spojrzenie chłopaka spoczęło na śpiącej Siostrze.

Ciemny kłębek, do którego zbliżał się bezszelestnie. Był leśnym przewodnikiem i dobrze wiedział, jak podchodzić cichcem. Był w tym dobry.

Stąpając leciutko, uważnie patrzył pod nogi. Obserwował śpiącą Siostrę Verne i coraz bardziej się zbliżał. Nie spieszył się. Nie było potrzeby się spieszyć. Miał tyle czasu, ile trzeba. Starał się oddychać spokojnie, jak najciszej, mało bowiem brakowało, by ciężko dyszał z wszechogarniającej furii.

Znów nosi obrożę - ta myśl rozpaliała gniew, wyzwalała w chłopaku piekło.

Gniew magicznego miecza przelewał się w Richardzie niczym płynny metal. Chłopak aż za dobrze znał to uczucie: nie usiłował z nim walczyć, poddał się mu. Nic doń nie trafi, nic go nie powstrzyma. Jedynie krew zadowoli dawcę śmierci.

Białały kostki zaciśniętych na rękojeści palców. Mięśnie się napięły, gotowe do działania. Już wkrótce magia Miecza Prawdy wykona jego rozkaz.

Richard stał nad Siostrą Verną jak milczący cień i przyglądał się jej. Gniew pulsował mu w głowie. Przeciągnął mieczem po wewnętrznej stronie przedramienia i zwilżył krwią obie strony klingi. Dał orężowi posmakować krwi. Ciemny strumyczek ciekł po stali, kapiąc z czubka ostrza. Ciepły i wilgotny, spływał po ramieniu Richarda. Chłopak ponownie trzymał oburącz rękojeść, a ciężki oddech unosił mu pierś.

Czuł na szyi ciężar obroży. Ostrze uniosło się, zaślniło w księżycowej poświacie.

Richard patrzył na śpiącą u jego stóp Siostrę. Zwinęła się w kłębek. Zmarzła i trzęsła się we śnie.

Richard stał ze wzniesionym mieczem, patrząc na nią, zaciskając zęby i drżąc z morderczej wściekłości. Kahlan go nie chciała. Był synem potwora.

Nie. On sam był potworem. Ujrzał siebie, jak stoi nad uśpioną kobietą, unosząc miecz, gotów zabić.

On sam był potworem.

To właśnie dostrzegła Kahlan i odprawiła go w obroży na męki. Był potworem, którego należało okiełznać; musiał mieć obrożę.

Po twarzy Richarda płynęły łzy. Miecz opadał z wolna, aż wreszcie dotknął ziemi. Chłopak stał, wpatrując się w śpiącą i drżącą z zimna Siostrę. Długo tak stał i patrzył.

W końcu spokojnie wsunął klingę do pochwy. Wziął swój koc i ostrożnie, żeby jej nie obudzić, otulił Siostrę Verne. Usiadł i zaczekał, aż się rozgrzała i przestała drżeć. Dopiero wtedy się położył i otulił płaszczem.

Chłopak był wyczerpany i obolały, lecz nie mógł zasnąć. Wiedział, że będą go dręczyć. Po to nosił obrożę. Będą go dręczyć, kiedy Verna doprowadzi go do pałacu.

No i co z tego?

Wróciły wspomnienia o tym, co uczyniła mu Denna. Pamiętał ból, straszliwą mękę oraz krew - swoją krew.

W pamięci wciąż przepływały nowe obrazy. Nie zapomni tego do końca życia. Dopiero się skończyło, a już znowu się zacznie. Nigdy się nie skończy.

Jedna jedyna myśl przynosiła trochę ukojenia. Od Siostry Verny dowiedział się, że mylił się co do ucieczki Opiekuna. To znaczy, że Kahlan była bezpieczna. Była bezpieczna - i tylko to się liczyło. Spróbował odsunąć wszelkie inne myśli, zachować tylko tę jedną. I to owa myśl pozwoliła mu w końcu zasnąć.

ROZDZIAŁ 19

Richard otworzył oczy. Słońce właśnie wynurzało się z za horyzontu. Usiadł i rana zaboląła tak, że aż stracił oddech. Przyłożył dłoń do opatrunku i trzymał, dopóki ból nie ustąpił. Czuł się, jakby go obito pałką - to efekty działania Agiela. Wszystko chłopaka bolało. Z czasów, kiedy Denna tresowała go Agielem, pamiętał, że budził się w o wiele gorszym stanie i tylko po to, by znów używała sobie na nim.

Siostra Verna siedziała na swoim kocu ze skrzyżowanymi nogami; obserwowała chłopaka i coś jadła. Na ramionach miała pelerynę z opuszczonym kapturem. Kręcone, kasztanowate włosy wyglądały na świeżo wyszczotkowane. Złożyła starannie koc Richarda i położyła go przy śpiącym wówczas chłopaku. Całą tę sprawę pominęła milczeniem.

Richard wstał, złapał równowagę i rozciągnął swoje obolałe, zdrętwiałe mięśnie. Niebo było czyste, chłodne, ciemnobłękitne. Wilgotna od rosy trawa pachniała słodko. Obłoczki oddechu chłopaka szybowwały leniwie w nieruchomym, rześkim powietrzu.

- Osiodłam konie i możemy ruszać. - Nic nie zjesz?

- Nie jestem głodny. - Potrząsnął odmownie głową.

- Co ci się stało w ramię? - spytała Verna, nie podnosząc wzroku. Ramię i dłoń pokrywała ciemna, zaschnięta krew.

- Nic. Polerowałem miecz. Było ciemno i się zaciąłem.

- Rozumiem. - Patrzyła, jak pociera nie ogoloną twarz. - Mam nadzieję, że jesteś ostrożniejszy, kiedy golisz szyję.

W tym momencie Richard postanowił, iż dopóki nosi obrożę, nie będzie się golił. W ten sposób da im do zrozumienia, że obroża to niesprawiedliwość, a on, Richard, wie, iż jest ich więźniem i nie uwierzy w ich kłamliwe zapewnienia, że to nieprawda. Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla obroży i nigdy, przenigdy nie odstąpi od tego przekonania. Spojrzał gniewnie na Siostrę Verne.

- Więźniowie się nie gołą. - Odwrócił się ku koniom.

- Richardzie. - Spojrzał na nią przez ramię. - Usiądź. - Jej głos brzmiał łagodnie, ale chłopak i tak skwitował polecenie wściekłym łypnięciem. Verna wskazała mu miejsce przed sobą. - Usiądź. Myślałam o tym, co powiedziałeś:

że ty tutaj jesteś i że ja tutaj jestem. Usiądź i zacznę cię uczyć, jak kontrolować dar.

Zaskoczyła go.

- Teraz? Tutaj?

- Tak. Siadaj wreszcie.

Tak naprawdę Richardowi wcale nie zależało na posługiwaniu się swoim darem; nienawidził magii. Spytał przedtem o naukę jedynie dlatego, żeby rozładować napięcie. Przez chwilę rozglądał się wokół, spłoszony, w końcu usiadł i skrzyżował nogi, naśladowując Siostrę Verne.

- Jakie masz dla mnie polecenia?

- Sporo cię trzeba nauczyć, skoro masz czynić użytek ze swego daru. Musisz poznać równowagę istniejącą we wszelakich, a zwłaszcza magicznych rzeczach. Powinieneś zważać na wszelkie nasze przestrogi i stosować się do naszych zaleceń. Korzystanie z magii kryje w sobie niebezpieczeństwa. Na pewno już to wiesz, skoro posługiwałeś się Mieczem Prawdy, czyż nie? - Chłopak ani drgnął, więc kontynuowała: - Czynienie użytku z daru niesie ze sobą jeszcze większe niebezpieczeństwo. Może dać nieoczekiwane rezultaty. Rezultaty mogą być katastrofalne.

- Posłużyłem się już darem. Powiedziałaś, że skorzystałem z niego trzy razy.

Siostra Verna nachyliła się lekko ku Richardowi.

- I spójrz, co się wydarzyło. Uzyskałeś zupełnie nieoczekiwany efekt. Nosisz obrożę na szyi.

Zaskoczony chłopak patrzył przez chwilę na Verne.

- To wcale nie był skutek korzystania z daru. I tak mnie już szukałyście; sama tak powiedziałaś. Wyszłoby na to samo, nawet gdybym nie użył daru.

Siostra Verna, patrząc Richardowi w oczy, potrząsnęła z wolna głową.

- Szukałyśmy cię od lat. Coś cię przed nami skrywało. Gdybyś się nie posłużył darem na owe trzy specyficzne sposoby, chyba nigdy byśmy cię nie odnalazły. To użycie daru sprawiło, że masz na szyi obrożę.

Lata. Szukały go od wielu lat. Przez cały ten czas żył sobie spokojnie w Westlandzie - najpierw z bratem, ojcem i Zeddem, a potem na swoim jako leśny przewodnik. A one go wówczas szukały! Wcale o tym nie wiedział, nie podejrzewał tego nawet. Zadrżał. Sam to na siebie ściągnął, kiedy posłużył się magią. Nienawidził magii.

- Zgadzam się, że to zgubne dla mnie, ale dla ciebie? Przecież o to ci chodziło.

- To nasz obowiązek. Lecz zagroziłeś mojemu życiu. Życiu każdego, kto utrzymuje tę obrozę na twojej szyi. To znaczy życiu wszystkich Sióstr Światła. Nigdy nie lekceważę gróźb czarodziejów, nawet nie wyszkolonych. To, że posłużyłeś się darem, dzięki czemu cię odnalazłyśmy, może się skończyć nieszczęśliwie dla nas wszystkich.

Richard wcale się nie ucieszył, że jego groźby nie przeszły bez echa. W ogóle nic nie odczuwał.

- No to dlaczego? - wyszeptał. - Po co nakłoniłyście mnie do założenia tej obroży?

- Żeby ci pomóc. Inaczej byś umarł.

- Już mi pomogłaś. Migreny zniknęły. Jestem ci za to wdzięczny. Dlaczego nie *możesz* mnie teraz uwolnić?

- Jeżeli obroża zostanie zdjęta zbyt szybko, zanim nauczysz się odpowiednio kontrolować swój dar, migreny powrócą. Umarłbyś.

- Ucz mnie więc, bym mógł ją zdjąć.

- Podczas nauczania magii musimy być bardzo ostrożne. Powinieneś zachować cierpliwość, bo więcej od ciebie wiemy o niebezpieczeństwach związanych z magią i nie chcemy, byś skrzywdził się własną niewiedzą. Lecz to nie sprawa na teraz, bo upłynie sporo czasu, nim osiągniesz wiedzę naprawdę pozwalającą korzystać z daru i pod naszą kontrolą będziesz się mógł zmierzyć z owymi niebezpieczeństwami. Okazesz cierpliwość, nieprawdaż?

- Wcale nie pragnę czynić użytku z magii; chyba można to uznać za cierpliwość.

- Na początek wystarczy. Zaczynamy więc. - Siostra Verna poruszyła się i poprawiła nogi. - We wszystkich nas tkwi siła. Siła życia. Zwiemy ją Han. - Chłopak zmarszczył brwi. - Siła życia, którą obdarował nas Stwórca. Jest zamknięta w tobie. Posługiwałeś się już Han. Ci, którzy mają dar, potrafią sięgnąć tą mocą poza obręb swojego ciała. Ową zewnętrzną moc nazywamy siecią, a zwykli ludzie - urokiem. Obdarzeni, a więc i ty, potrafią zarzucać sieć, czyli rzucać urok. Dzięki sieci możesz dokonywać różnych rzeczy poza swoim ciałem na tej samej zasadzie, jak siła życia, Han, działa w tobie.

- Jak to możliwe?

Siostra Verna wzięła w palce niewielki kamyk.

- Oto mój umysł wykorzystał Han, by moja ręka podniosła kamyk. Dłoń nie uczyniła tego sama z siebie: to mój umysł tak pokierował siłą życia, że wykonała jego polecenie. - Odłożyła kamyk i złożyła ręce na podołku. Kamyk uniół się w powietrze i zawisł między nimi. - Dokonałam tego samego, lecz tym razem sięgnęłam siłą życia poza moje ciało. To właśnie jest dar.

- Możesz czynić wszystko to, co czarodzieje?

- Nie. Jedynie niektóre rzeczy. Dzięki temu Siostry mogą uczyć korzystania z daru. Rozumiemy jego naturę. Siostry potrafią w pewnym stopniu kontrolować siłę życia, mają też dar, lecz nie dorównują w tym czarodziejowi, który wie, jak kontrolować swoją Han.

- Jak wysyłasz tę siłę życia poza ciało?

- Zaczniemy ci to tłumaczyć dopiero wtedy, kiedy się nauczysz rozpoznawać siłę wewnątrz siebie, kiedy się nauczysz dotykać Han.

- Dlaczego?

- Bo każdy człowiek jest inny. Każdy odmiennie wykorzystuje moc. Nie ma dwóch osób, które korzystałyby z niej w ten sam sposób. Miłość to forma Han wykraczająca poza daną osobę, sięgająca ku drugiej. To niewielka, słaba forma mocy. I choć miłość jest wszechobecna, każdy inaczej odczuwają i pożytkuje. Niektórzy korzystają zeń, by wydobyć na jaw to, co najlepsze w Han drugiej osoby. Inni, by wydobyć to, co najlepsze w nich samych. Jeszcze inni zaś - żeby kontrolować i dominować drugich. Miłość może koić lub ranić. Najpierw musimy wiedzieć, jak dar działa w tobie, w jaki sposób go wykorzystujesz, i dopiero wtedy będziemy mogły wybrać właściwe ćwiczenia zwane formami. Formy to rodzaj praktyk, które pomogą ci zapanować nad uwolnioną w tobie mocą. Pominie teraz te sprawy. Zanim będziesz mógł sięgnąć mocą poza ciało, musisz się nauczyć wyczuwać Han w swoim wnętrzu. Kiedy już zdołasz dotknąć własnego Han, nastąpi etap drugi: ustalenie, czego potrafisz dokonać za pomocą tej siły. Każdy czarodziej jest inny i odmiennie wykorzystuje Han. Niektórzy czerpią zeń tylko przy pracy swojego umysłu, jak czarodzieje studiujący proroctwa. Dar pozwala im przede wszystkim rozumieć przepowiednie. To ich jedyny talent. Inni mogą korzystać z Han wyłącznie do tworzenia pięknych i godnych podziwu przedmiotów. Jeszcze inni, by wytwarzać przedmioty magiczne. Tylko w ten jeden sposób potrafią wykorzystać swoją moc. Są też tacy, którzy, jak ja

wtedy, kiedy podniosłam kamyk, przez swoje myśli oddziałują na otoczenie. Niektórzy zaś mają wszystkie te zdolności - Siostra Verna znów się nachmurzyła. - Jedno jest szczególnie ważne, Richardzie. Z całą szczerością musisz nam powiedzieć, jaka jest twoja Han. Kłamstwo mogłoby spowodować groźne komplikacje. - Rozluźniła się nieco. - No ale najpierw musisz się nauczyć przywoływać swoją Han, a dopiero potem przekonamy się, do jakiego rodzaju czarodziejów należysz.

- Powiedziałem ci już, że nie chcę być czarodziejem. Chcę się tylko nauczyć kontrolować dar, by móc się pozbyć migren i obrozy. Zapewniałaś mnie, że wcale nie muszę zostawać czarodziejem.

- Być czarodziejem, to znaczy kontrolować Han za pomocą daru. Kiedy się tego nauczysz, zostaniesz czarodziejem. To istota bycia nim. „Czarodziej” to tylko słowo. Nie powinieneś się obawiać słowa.

Jeżeli nie zechcesz korzystać ze swego daru, to nie będziesz tego czynił. Nie możemy cię do tego zmusić; to twój wybór i twoja decyzja. Ale i tak pozostaniesz czarodziejem.

- Naucz mnie tego, co powinienem wiedzieć, lecz i tak nim nie zostanę.

- Bycie czarodziejem to nic złego, Richardzie. To po prostu lepsze poznanie siebie, świadomość swoich możliwości i talentów.

- Dooobrze - westchnął chłopak. - No, to jak mani to kontrolować?

- Kontrolę nad darem zdobywa się stopniowo. Nie mogę ci tego wyjaśnić za jednym razem, bo nie zrozumiałbyś kolejnych etapów. Należy po kolei opanować każdy stopień. Najpierw musisz rozpoznać swoją Han, później dotknąć jej, złączyć się z siłą w swoim wnętrzu, a dopiero potem nauczymy cię, jak wykraczać Han poza ciało. Musisz wiedzieć, co to jest. Musisz ją wyczuć, umieć po nią sięgnąć i dotknąć tej siły, kiedy tylko zechcesz. Pojmujesz, o czym mówię?

- Tak, trochę - przytaknął Richard. - Więc co to jest? Jak to poznam? Co oznacza „poznać”, „dotknąć”?

Oczy Siostry Verny zapatrzyły się w dal, przestały widzieć to, co ją otaczało.

- Na pewno ją rozpoznasz - wyszeptwała. - To jakby ujrzeć światłość promieniującą od Stwórcy, łączyć się z nim.

Richard wpatrywał się w jej szkliste oczy. Verna sprawiała wrażenie oczarowanej tym, co widziała w swoim wnętrzu.

- W jaki sposób mam to odnaleźć? - zapytał w końcu chłopak. Spojrzała nań.

- Musisz tego szukać w sobie. - Jak?

- Po prostu usiądź i szukaj. Odsuń na bok wszelkie myśli, odnajdź w sobie ciszę i spokój. Na początku wskazane jest zamknięcie oczu, spokojny i miarowy oddech, znalezienie spokoju nicości. Dobrze jest też skupić się na konkretnej rzeczy, to pomaga usunąć wszystkie inne myśli.

- Na konkretnej rzeczy? To znaczy na czym?

- Na czym zechcesz. - Verna wzruszyła ramionami. - To po prostu sposób ułatwiający osiągnięcie celu, a nie cel sam w sobie. Każdy postępuje inaczej. Jedni wybierają jakieś słowo i powtarzają je dopóty, dopóki wyciszą wszelkie myśli. Inni przywołują w myślach obraz prostego przedmiotu i na tym skupiają umysł. Kiedy się już nauczysz rozpoznawać ową moc, dotykać jej i stapiać z nią w jedno, techniki te staną się zbędne. Poznasz naturę Han i będziesz mógł sięgnąć wprost po tę moc. Stanie się twoim drugim ja. Wiem, Richardzie, że teraz brzmi to bardzo dziwnie i wydaje się trudne, lecz z czasem okaże się równie łatwe jak przywołanie magii miecza.

Richard miał wrażenie, że słyszał już to, co mówiła Verna. Niemal rozumiał, o czym opowiadała. Słowa brzmiały dziwnie, lecz opisywały coś znanego, choć nieco odmiennego.

- Chcesz, żebym usiadł, zamknął oczy i szukał w sobie spokoju? Siostra Verna potakująco skinęła głową.

- Tak. - Ciaśniej otuliła się ciężką brązową peleryną. - Możesz zaczynać.

- No dobrze - westchnął chłopak.

Zamknął oczy. Myśli pomknęły we wszystkie strony naraz. Próbował zebrać je z powrotem. Usiłował przywołać jakieś słowo lub wyobrażenie i skoncentrować się na nim. Najpierw było to imię Kahlan. Pozwolił mu unosić się w swoim umyśle. Odrzucił ten pomysł. Nienawidził swojej magii i nie chciał wiązać Kahlan z czymś, czego nienawidził. Poza tym myśl o niej przynosiła jedynie cierpienie, udrękę płynącą ze świadomości, że kochał ją na tyle, by ofiarować jej to, czego chciała, by zwrócić jej wolność.

Richard przywoływał pojedyncze słowa, pojedyncze obrazy, lecz bezskutecznie. Wyciszył umysł, uspokoił oddech. Szukał w sobie spokoju, ośrodka spokoju, tak jak to czynił wówczas, gdy chciał odnaleźć rozwiązanie jakiegoś problemu. I dopiero wtedy spróbował ustalić, co mógłby

wykorzystać. Niemal natychmiast wyobrażenie tego pojawiło się w umyśle chłopaka.

Miecz Prawdy.

I tak był magiczny, więc go nie splami. Nieskomplikowany obraz. Spełniał wymogi. Sprawa załatwiona. Niech to będzie Miecz Prawdy.

Chłopak wyobraził sobie oręż unoszący się na czarnym tle. Wpatrywał się w dobrze znane szczegóły: lśniaca klinga z biegnącym przez całą długość rowkiem, kabłąkowato wygięty jelec, rękojeść opleciona cienutką srebrzystą nitką i wypukłe litery słowa PRAWDA uplecione ze złotej nici. Wyobrażał to sobie, utrwalając w umyśle obraz miecza unoszącego się na czarnym tle, lecz coś mu przeszkadzało. Tło, nie broń. Na obwodzie czerni pojawiła się biel i uczyniła z niej czworokąt. Richard przypomniał sobie. To była jedna z instrukcji Księgi Opisania Mroków, dzieła, którego się nauczył na pamięć, kiedy był jeszcze chłopcem. *Oczyść swój umysł z wszelakich myśli i spojrzij wewnętrznym wzrokiem na białą gładź naznaczoną pośrodku czworokątem czerni.* Fragment zaleceń dotyczących zdejmowania pokryw ze szkatuł Ordenu i korzystania z magii księgi. Richard wykorzystał tę magię, żeby powiedzieć Rahlowi Posępnemu, jak zdjąć pokrywę ze szkatuły i tym samym udowodnić mu, że naprawdę zna treść księgi. Ale dlaczego powróciło to teraz do jego umysłu? Uznał, że to zwykły przypadek, że właśnie to wspomnienie wypłynęło z pamięci.

Tło równie dobre jak każde inne, mógł i na nim wyobrażać sobie miecz. W końcu próbował się posłużyć magią. Jeśli to odpowiada jego umysłowi, nie ma sprawy; niech tak będzie. Ta myśl sprawiła, że obraz broni na czarnym, otoczonym bielą tle przestał być płynny i znieruchomiał.

Richard skoncentrował się na wizji oręża na czarnym, otoczonym bielą czworokącie. Skupił uwagę najintensywniej, jak potrafił. Coś się zaczęło dziać.

Miecz, czarny czworokąt i biała otoczka poczęły migotać, jakby patrzył na nie przez rozpalone powietrze. Miecz utracił zwartość, stał się przejrzysty, zniknął. Tło się rozmyło. Richard oglądał miejsce, które znał.

Ogród Życia w Pałacu Ludu.

Chłopak uznał za dziwne i irytujące to, że nie był w stanie wystarczająco się skoncentrować na obrazie miecza. Pamięć o miejscu, w którym zabił Rahla Posępnego, musiała być tak silna, iż wdarła się w jego myśli, gdy tylko

się wyciszył. Już-już miał zmusić umysł do powrotu do wizerunku oręża, gdy coś poczuł. Zapach palonego ciała. Odór aż zatykał. Richard omal się nie zakrztusił, a jego żołądek zaczął wyprawiać dziwne harce. Rozejrzał się po Ogrodzie Życia. Miał wrażenie, że patrzy przez brudne okno. Wszędzie było pełno ciał: leżały na niskich murkach, częściowo ukryte w krzewach, rozrzucone na trawie. Wszystkie były straszliwie poparzone. Niektórzy zmarli trzymali jeszcze miecze lub bojowe topory. Inni mieli puste dłonie, a ich oręż leżał tam, gdzie upadł, kiedy tracili życie. Richarda zaczął dławić lęk.

Przed kamiennym ołtarzem, przed trzema szkatułami Ordenu, stała odwrócona tyłem do chłopaka biała, świetlista postać. J-sdna ze szkatuł była otwarta, tak jak to Richard pamiętał. Biała postać o długich jasnych włosach odwróciła twarz od szkatuł.

Rahl Posępny odwrócił się i spojrzał Richardowi prosto w oczy. Błękitne oczy zaśniły. Uśmiech z wolna wypłynął na wargi. Chłopak miał wrażenie, że jest coraz bardziej przyciągany i nic nie może na to poradzić. Był coraz bliżej uśmiechającej się twarzy.

Rahl Posępny uniósł dłoń ku ustom i oblizwał koniuszki palców.

- Czekam na ciebie, Richardzie - syknął. - Przyjdź zobaczyć, jak rozdieram zasłonę.

Richard, z zapartym tchem, gwałtownie przywołał obraz miecza i jakby zatrzasnął drzwi. Wyobrażał sobie sam miecz, bez tła, i usiłował złapać oddech. Tłumaczył sobie, że to tylko oderwane wspomnienie i strach przywołały widziany przed chwilą obraz. Ze wszystkich sił skupił uwagę na mieczu, aż wreszcie uznał, że tamto było tylko przywidzeniem, reakcją na dręczącą tęsknotę za Kahlan i brak snu.

Tak, na pewno tak. To przecież nie mogło być realne. To niemożliwe. Byłby chory na umyśle, gdyby uwierzył, iż to prawda.

Richard otworzył oczy. Siostra Verna siedziała i przyglądała mu się spokojnie. Westchnęła ciężko. Pewno z irytacji, pomyślał chłopak. Przełknął ślinę.

- Przykro mi. Nic się nie wydarzyło - oznajmił.

- Nie zniechęcaj się, Richardzie. Wcale nie oczekiwałam, że coś się wydarzy. Długo potrwa, zanim się nauczysz dotykać Han. Stanie się to w swoim czasie. Nie można tego przyspieszyć. Nie ma co się zmuszać: to przychodzi, kiedy się odnajdzie wewnętrzny spokój, a nie na siłę. Na dziś

wystarczy.

- Te parę minut? Uważasz, że to dość?

- Siedziałaś z zamkniętymi oczami ponad godzinę - poinformowała go Verna.

Richard zagapił się na nią, a potem spojrział na słońce. Przeskoczyło wyżej na nieboskłonie. Ponad godzinę. Jak to możliwe? Przeszył go dreszcz lęku.

- Zdawało ci się, że to tylko parę minut? - spytała Siostra, przekrzywiając głowę.

Chłopak wstał. Nie podobała mu się jej mina.

- Bo ja wiem? Nie zwróciłem na to uwagi. Mogła być i godzina.

Richard zaczął pakować swoje rzeczy. Im więcej myślał o tym, co zobaczył, tym mniej realne mu się to wydawało. Zaczynało to przypominać blaknący po przebudzeniu sen - przeżyty strach, wyrazistość, realność coraz bardziej się zacierały.

Sen? Przecież nie spał. Czy można śnić, nie śpiąc?

A może i spał. W końcu był zmęczony. Może zasnął, próbując skupić uwagę na wyobrażeniu miecza. Czasami właśnie w ten sposób zasypiał - koncentrował się na czymś i odpływał w sen. Tę tłumaczyło szybki upływ czasu. Richard spał, a to, co przeżył, to tylko sen. Westchnął ciężko. Głupio mu było, iż się tak wystraszył, lecz jednocześnie poczuł ulgę. Odwrócił się - Siostra Verna wciąż go obserwowała.

- Chcesz się ogolić? Przecież udowodniłam, że pragnę ci tylko pomóc.

Richard zeszywniał.

- Już ci mówiłem, że więźniowie się nie golią.

- Nie jesteś więźniem, Richardzie. Wepchnął koc do plecaka, ułożył odpowiednio.

- Zdejmiesz mi obrożę? Odpowiedziała nie od razu, ale twardo:

- Nie. Dopiero wtedy, kiedy nadejdzie pora.

- Czy mogę cię opuścić i udać się tam, dokąd zechcę?

- Nie - Verna westchnęła ze zniecierpliwieniem. - Musisz jechać ze mną.

- A gdybym spróbował iść swoją drogą?

- To czułabym się zmuszona zapobiec temu - odparła, mrużąc oczy. - Nie spodobałoby ci się to. Chłopak pokiwał głową.

- Czyli zgodnie z moją oceną jestem więźniem. I nie będę się golił,

dopóki nim pozostanę.

Widząc Richarda, konie zarżały cicho i nastawiły ku niemu uszy. Siostra Verna przyglądała się im podejrzliwie. Chłopak powitał je łagodnym głosem i każdego poklepał po szyi. Wyjął szczotki, po czym oczyścił kolejno zwierzęta, szczególną uwagę poświęcając ich grzbietom.

- Po co to robisz? - spytała kobieta, krzyżując ramiona. - Przecież wieczorem je czyściłeś.

- Bo konie lubią się tarzać w pyłe. Mogą akurat coś mieć pod siodłem. To gorzej, niżbyś chodziła z kamykiem w bucie: mogłoby im to poranić skórę i nie moglibyśmy ich dosiadać. Dlatego przed osiodłaniem wolę je jeszcze raz oczyścić.

Skończył i ostukał szczotki jedna o drugą.

- Jak się nazywają?

- Nie mają imion - skrzywiła się Siostra Verna. - To tylko konie. Nie nadajemy imion głupim zwierzętom.

- Nawet swojemu nie dałaś imienia? - wskazał zgrzebłem kasztana.

- On nie jest moją własnością. Wszystkie należą do Sióstr Światła. Jeżdżę na tym, który jest akurat wolny. Przedtem dosiadałam tej gniadej, której ty wczoraj. To nie ma znaczenia. Dosiadam tego, który jest wolny.

- Hmm, zatem od teraz będą miały imiona. Żeby uniknąć zamętu. Kasztan jest twój i będzie się nazywał Jessup, moja gniada to Bonnie, a ta druga Geraldine.

- Jessup, Bonnie i Geraldine - parsknęła gniewnie. - Najwyraźniej z *Przygód Bonnie Day*.

- Cieszę się, Sostro Verno, że czytałaś nie tylko prorocstwa. - Już ci przecież mówiłam, że zabieramy do pałacu tych z darem, kiedy są jeszcze dziećmi. Jeden z chłopców wziął ze sobą *Przygody Bonnie Day*. Przeczytałam tę książkę, żeby się przekonać, czy jest odpowiednia dla młodych umysłów i czy naucza dobrych postaw moralnych. Stwierdziłam, że to bzdurna historyjka o trojgu ludzi, którzy nie mieliby żadnych kłopotów, gdyby choć jedno z nich zostało obdarzone rozumem.

- Więc te imiona świetnie się nadają dla głupich zwierzętom. - Richard się uśmiechnął.

- Książka owa była pozbawiona wszelkich intelektualnych wartości. - Verna łypnęła wściekle na chłopaka. - Jakichkolwiek. Zniszczyłam ją.

Chłopak zmusił się do uśmiechu.

- Mój ojciec... to znaczy człowiek, który mnie wychował jak syna i o którym myślę „ojciec”, George Cypher, często podróżował. Kiedyś przywiózł mi w prezencie *Przygody Bonnie Day*, żebym się nauczył czytać na tej właśnie książce. Była pierwszą, jaką w moim życiu przeczytałem. W ogóle to moja pierwsza książka. Czytałem ją wiele razy. Za każdym bawiła mnie i skłaniała do refleksji. Również jak ty uważałem, że trójka bohaterów postępuje nieroztropnie, i obiecywałem sobie, iż nie popełnię tych samych błędów co oni. Może nie dostrzegłaś w niej żadnych wartości, ale ja się wiele nauczyłem. I to mądrych rzeczy. Ta książka zmuszała mnie do myślenia. A może, Siostrze Verno, ty wcale nie lubisz, jak twoi uczniowie myślą? - Richard odwrócił się od Siostry Verno i zaczął zdejmować uprząż. - Tej jesieni pojawił się w moim domu mój prawdziwy ojciec, Rahl Posępny, i szukał mnie. Chciał mi otworzyć brzuch i czytać z moich wnętrzności, chciał mnie zabić. Tak jak zabił George'a Cyphera. - Zerknął przez ramię na Verne. - Nie było mnie w domu, a kiedy na mnie czekał, podarł tę właśnie książkę i porozrzucił dokoła jej karty. Prawdopodobnie nie chciał, żebym się czegoś z niej nauczył i potrafił samodzielnie myśleć.

Siostra Verna milczała, lecz Richard czuł jej baczne spojrzenie. Patrzyła, jak zdejmował uprząż, odczepiał ogłowie i cugle od wędzidła. Skończył, odłożył ogłowia na bok, a cugle przerzucił przez ramię. Słyszał, jak sapnęła gniewnie.

- Nie będę używała końskich imion.

Chłopak ustawił łopatowate munsztuki jeden na drugim na miejscu wydeptanym przez konie.

- Może zechcesz to jeszcze raz przemyśleć, Siostrze Verno. Verna podeszła doń i stanęła z boku, tak że mógł ją widzieć.

- Co robisz? Dlaczego rozczepiłeś uprząż? Co wyprawiasz z tymi munsztukami?

Richard dobył miecza. W zimnym, przejrzystym powietrzu zabrzmiał charakterystyczny śpiew stali. Magiczny gniew natychmiast wdarł się w chłopaka.

- Niszczę je, Siostrze Verno.

I zanim Verna zdołała uczynić jakiś ruch, wrzasnął wściekle i potężnym zamachem opuścił miecz. Klinga ze świstem przecięła powietrze. Ostrze

uderzyło w trzy munsztuki i zmieniło je w deszcz rozgrzanych metalowych odłamków.

Kobieta gwałtownie podeszła ku Richardowi, rozwiewając przy tym pelerynę.

- Coś ty narobił? Chyba straciłeś rozum! Wędzidła są potrzebne, żeby panować nad końmi!

- Takie łopatomate munsztuki mogą ranić. Nie pozwolę, byś ich używała.

- Ranić! Przecież to tylko głupie bydlęta! Bydlęta, nad którymi trzeba panować!

- Bydlęta - mruknął Richard, potrząsnął głową i wsunął miecz do pochwy. Założył Bonnie uździenicę i zaczął przyczepiać cugle do bocznych pierścieni. - Nie potrzebujesz wędzidła, żeby kierować koniem. Nauczę cię, jak się to robi. Poza tym bez niego będą mogły po drodze skubnąć trawy. I będą przez to szczęśliwsze.

- To niebezpieczne! Łopatomate munsztuki dają ci przewagę nad upartym bydlakiem.

Richard znacząco uniósł brew.

- I od koni, Sostro Verno, podobnie jak w innych sprawach, często uzyskujesz to, czego oczekujesz.

- Nie będziesz mógł kierować nimi bez wędzideł.

- Bzdura. Jeżeli jedziesz, jak trzeba, to kierujesz nimi nogami i ciałem. Musisz nauczyć zwierzę, żeby ci ufało i reagowało na twoje znaki.

Verna podeszła bliżej.

- To idiotyczne! I niebezpieczne! Czyha tu wiele niebezpieczeństw. Kiedy zdarzy się coś groźnego i koń się wystraszy, może ponieść. Jak go powstrzymasz bez wędzidła?

Chłopak przerwał swoje zajęcie i spojrzał w rozgniewane piwne oczy.

- Czasem uzyskujemy dokładne przeciwieństwo tego, o co nam chodziło, Sostro. Wplątujemy się w niebezpieczną sytuację, zaczynasz się denerwować, za mocno ściągasz wodze i ranisz pysk konia. Ból, przerażenie i gniew mogą sprawić, iż nie będzie cię słuchać. Nie zrozumie. Pojmie tylko jedno - że sprawiasz mu ból, ranisz go i że ów się nasila przy każdym ściągnięciu cugli. Staniesz się zagrożeniem. Zrzuci cię w mgnieniu oka. Jeżeli się tylko wystraszy, to poniesie. Ale, co gorsza, może się rozzłościć. A rozgniewane konie są niebezpieczne. I tak oto sama na siebie ściągnęłaś

niebezpieczeństwo, choć chciałaś go uniknąć, używając łopatowatego munsztuka. - Richard nie odwrócił spojrzenia od wystraszonych oczu Siostry Verny. - Jeśli zatrzymamy się w jakimś mieście czy osadzie i uda mi się zdobyć zwyczajne wędzidło, to będziesz mogła go używać. Ale dopóki jedziemy razem, nie pozwolę ci na zakładanie koniom tego łopatowatego munsztuka.

Siostra głęboko zaczerpnęła powietrza i powoli je wypuściła; znów skrzyżowała ramiona.

- Nie możemy nimi kierować bez wędzidła, Richardzie. Przecież to jasne.

- Oczywiście, że możemy. - Chłopak uśmiechnął się do mej krzywo, - Nauczę cię. Najgorsze, co się może przydarzyć bez wędzidła, to to, że koń poniesie i trochę czasu zajmie ci powstrzymanie go, lecz prędzej czy później na pewno ci się to uda. A z tym twoim wędzidłem moglibyście się zabić lub pokaleczyć, i ty, i koń. - Richard odwrócił się i podrapał Bonnie po szyi. - Najpierw musisz się z nimi zaprzyjaźnić. Muszą uwierzyć, że ich nie skrzywdzisz i że nie pozwolisz, by się im stało coś złego. Jeżeli się zaprzyjaźnicie, to zadbają, by nic ci się nie stało. Spełnią każde polecenie. To zadziwiająco łatwe: musisz tylko być dla nich miła i okazać trochę szacunku, a jednocześnie być stanowcza. Skoro macie się zaprzyjaźnić, muszą mieć imiona: żeby przyciągać ich uwagę, tak by wiedziały, kiedy do nich mówisz.

Chłopak mocniej podrapał szyję Bonnie; klacz chętnie się poddawała tej pieści.

- Prawda, Bonnie? Dobra z ciebie klacz, prawda? Pewno, że tak. - Obejrzał się przez ramię na Siostrę. - Jessup lubi, jak go drapać pod brodą. No, spróbuj, pokaż mu, że się chcesz z nim zaprzyjaźnić. - Uśmiechnął się do niej smutno. - Nie ma już wędzideł, Siostro, czy ci się to podoba, czy nie. Musisz się nauczyć nowych sposobów.

Siostra Verna wpatrywała się weń zimno. W końcu opuściła skrzyżowane do tej pory ramiona i podeszła do kasztana. Stała przez chwilę przed koniem, a potem poklepała go po pysku i na koniec podrapała pod brodą.

- Dobry konik - powiedziała monotonnym głosem.

- Myślisz, Siostro Verno, że konie są głupie, bo nie rozumieją większości tego, co mówisz. Jednak świetnie pojmują ton głosu. Jeśli chcesz, by ci uwierzył, to lepiej chociaż udawaj, iż mówisz to szczerze.

Verna znów podrapała Jessupa po szyi.

- Jesteś durnym bydlakiem - powiedziała głosem ociekającym słodyczą. - Zadowolony? - burknęła przez ramię do Richarda.

- Zadowolony, dopóki jesteś dla niego miła. Musisz zdobyć jego zaufanie. Konie nie są takie głupie, jak ci się zdaje. Spójrz, jak on stoi: nie ufa ci. Od teraz przypisuję cię do Jessupa. Będziesz się nim opiekować. Musi zacząć na tobie polegać, ufać ci. Ja się zajmę Bonnie i Geraldine. Ty będziesz czyścić Jessupa po zakończeniu jazdy i rankiem przed osiodłaniem.

- Ja! Też coś! Na pewno nie! Ja tu rozkazuję. Będziesz czyścił wszystkie trzy, na pewno sobie poradzisz.

- To nie ma nic wspólnego z tym, kto jest najważniejszy, kto dowodzi. Czystczenie konia rodzi więź pomiędzy nim a tobą. Już mówiłem: nie ma wędzideł i musisz opanować nowe metody. Powinienem cię tego nauczyć dla twojego własnego bezpieczeństwa. - Podał jej uprząż. - Załóż uździenicę i przymocuj wodze, o tu, do tych kółek. Verna zabrała się do pracy. W tym czasie Richard pociął na niewielkie kawałki resztę skórki melona.

- Mów do niego. Nazywaj go jego imieniem i daj mu odczuć, że go lubisz. Nieważne, co będziesz mówić, możesz nawet opowiadać, co teraz robisz, lecz tak moduluj ton, żeby wiedział, iż coś dla ciebie znaczy. Udawaj, jeśli musisz; traktuj go jak jednego z tych twoich chłopaczków.

Siostra łypnęła wściekle na Richarda i wróciła do mocowania cugli. Zaczęła coś mówić, ale cicho, więc chłopak nie słyszał słów - ton jednak był łagodny. Kiedy skończyła, podał jej trochę kawałków skórki melona.

- Konie za tym przepadają. Daj mu kawałek i powiedz, jakim jest wspaniałym konikiem. To odwróci jego uwagę od uprzęży. Niech wie, że czeka go coś miłego, a nie znienawidzone wędzidło.

- Coś miłego - powtórzyła bez wyrazu.

- Pewnie. Nie musisz mu dawać do zrozumienia, jak możesz go zmusić, żeby robił, co każesz. To dałoby efekty przeciwne do zamierzonych. Bądź stanowcza, lecz łagodna. Chodzi o to, by nad nim zapanować łagodnością i wyrozumiałością, nawet i udawaną, a nie siłą. - Richard przestał się uśmiechać, przybrał gniewną minę. Pochylił się ku patrzącej nań Siostrze. - Na pewno sobie poradzisz, Siostrze Verno; jesteś w tym całkiem dobra. Po prostu traktuj go tak jak mnie.

Na twarzy Verny osłupienie przeszło w zdecydowanie.

- Zareczyłam własnym życiem, że przywiodę cię do Pałacu Proroków. Obawiam się jednak, iż powieszą mnie za spełnienie tego obowiązku, kiedy cię tam wreszcie zobaczą. - Odwróciła się i podała kawałek skórki łakomemu koniowi; głaskała i poklepywała jego szyję. - Dobry konik. Doobry. Smakuje ci, Jessupie? Dobry konik.

Jej głos wprost ociekał czułością i współczuciem. Koniowi się to spodobało. Richard wiedział, że brakowało temu szczerości. Nie ufał jej i chciał, żeby o tym wiedziała. Nie lubił, gdy ludziom się zdawało, iż tak łatwo zdołali go oszukać. Był ciekaw, czy Verna zmieni swój stosunek do niego, wiedząc, że się nie dał nabrać.

Kahlan powiedziała chłopakowi, że Siostra Verna jest czarodziejką. Nie miał pojęcia, co potrafi, ale wyczuł ową sieć, którą zarzuciła nań w domu duchów. Widział ogień, który zapaliła myślą. Bez problemu mogła rozpałić wieczorem ognisko, nie zrzucając tego obowiązku na Richarda. Chłopak był przekonany, że Verna - jeżeli zechce - może go łatwo przełamać na pół swoją Han.

Próbowała go tresować - przyzwyczaić do bezwarunkowego wypełniania jej poleceń. Jakby tresowała konia. Albo „bydlę”, jak nazwała Jessupa. Richard wątpił, czy Siostra ma dla niego więcej szacunku niż dla swoich koni.

Mogła go kontrolować, panować nad nim nie za pomocą łopatowatego wędzidla, lecz Rada'Han, którą sam sobie założył na szyję - a to było o wiele gorsze. Lecz gdy nadejdzie czas, on, Richard, pozbędzie się tej obroży. Pozbędzie się, chociaż Kahlan nie chciała go i odesłała.

Siostra Verna zaprzyjaźniała się z Jessupem, a chłopak zaczął siodłać konie.

- Daleko jest ten Pałac Proroków?

- To długa droga na południowy wschód. Daleka i trudna.

- No to będziemy mieć masę czasu, żebyś się nauczyła kierować Jessupem bez wędzidla. Nie będzie ci tak ciężko, jak sądzisz. Podda się i pójdzie za Bonnie. Ona jest przewodniczką.

- Samiec jest przewodnikiem.

Richard położył siodło na grzbiecie Bonnie.

- Klacz jest zawsze na szczycie hierarchii. Matki uczą i ochraniają swoje małe, a ich wpływ utrzymuje się przez całe życie. Nie ma takiego ogiera,

którego klacz nie potrafiłaby onieśmielić i przepędzić. Klacze mogą odegnąć każdego niepożądanego samca. Ogier odpędzi drapieżnika od stada, samica natomiast spróbuje również zabić drapieżcę. Ogier zawsze uznaje autorytet klaczy przewodniczki. Bonnie jest właśnie przewodniczką. Jessup i Geraldine pójdą za nią i zrobią to, co ona, więc ja pojedę na czele. Podążaj za mną, a nie będziesz mieć żadnych kłopotów.

Verna dosiadła Jessupa.

- Belka w głównym holu. Jest najwyżej. Każdy będzie mógł zobaczyć.

- O czym ty mówisz? Spojrzała nań ponuro.

- Belka w głównym holu. Pewno na niej mnie powieszą. Richard wskoczył na siodło.

- Decyzja należy do ciebie, Siostrze. Wcale nie musisz mnie tam zabierać.

- Owszem, muszę - westchnęła, spojrzała nań łagodnie i z troską. Chłopak uznał, że to dość przekonujące, choć nieco wysilone. - Ja tylko chcę ci pomóc, Richardzie. Pragnę być twoim przyjacielem. Uważam, że bardzo go potrzebujesz. Naprawdę bardzo potrzebujesz.

Richard się zjeżył.

- To ogromnie uprzejma oferta, Siostrze Verno, lecz odmawiam. Coś za szybko wbiłaś w plecy przyjaciółki ów nóż, który chowasz w rękawie. Czyż nie dręczy cię fakt, że pozbawiłaś życia Siostrę Elizabeth, swoją przyjaciółkę i towarzyszkę? Bo wygląda, jakby cię to wcale nie wzruszało. Nie ofiaruję ci swojej przyjaźni, Siostrze. Ani swoich pleców. Jeżeli naprawdę chcesz się ze mną zaprzyjaźnić, to radzę starannie to rozważyć, zanim zażądam, byś mi to udowodniła. Bo kiedy przyjdzie czas, będziesz miała tylko jedną szansę. W tej sprawie nie ma półcieni. Jedynie przyjaciele lub wrogowie. Przyjaciele nie trzymają przyjaciół w obrożach i nie więżą ich. Zamierzam się pozbyć tej obroży. Kiedy uznam, iż przyszedł na to czas, przyjaciel powinien mi w tym pomóc. Ci, którzy mnie spróbują powstrzymać, nie będą moimi przyjaciółmi, a śmiertelnymi wrogami.

Siostra Verna potrząsnęła głową i skierowała Jessupa w ślad za chłopakiem.

- Belka w głównym holu. Na pewno.

ROZDZIAŁ 20

Krew szumiała jej w uszach. Oddychała szybko. Zanurkowała za gruby pień starej sosny i przytuliła się do szorstkiej kory. Jeśli Siostry odkryją, że podąża za nimi...

Mroczne, wilgotne powietrze wypełniało jej płuca rwącym oddechem. Usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie do Stwórcy; błagała go o ochronę. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w ciemność i przelykała ślinę, żeby zwilżyć zaschnięte gardło.

Ciemny kształt zbliżył się cicho. Zobaczyła go, kiedy wyjrzała zza drzewa. Stłumiła krzyk, powściągnęła chęć ucieczki i przygotowała się do walki. Sięgnęła do słodkiego blasku; dotknęła swojej Han.

Cień podkradł się bliżej - wahał się, szukał. Jeszcze jeden krok, tylko jeden, i rzuci się na niego. Powinna to zrobić jak należy, by nie mógł zaalarmować Sióstr. Trzeba to wykonać szybko i zarzucić od razu rozmaite sieci. Jeśli uda się jej rzucić je celnie i prędko, to cień nie zdąży krzyknąć, a ona się dowie, kto to jest. Wstrzymała oddech.

Ciemny kształt wykonał w końcu kolejny krok. Wskoczyła zza drzewa i rzuciła sieci. Wokół postaci owinęły się mocne sznury powietrza, wytrzymałe jak liny okrętowe. Usta się otworzyły, lecz dokładnie zakneblowała je powietrzem, żeby się nie przedarł żaden dźwięk.

Odetchnęła trochę, bo cień nie wydał głosu, ale serce wciąż jej waliło i nie mogła złapać tchu. Z wysiłkiem wyciszyła umysł, lecz krzepko trzymała Han, bojąc się chwili nieuwagi - w pobliżu mogli być jeszcze inni. Odetchnęła głęboko i podeszła do unieruchomionej postaci. Kiedy była na tyle blisko, że poczuła na swojej twarzy oddech owej osoby, uniosła otwartą dłoń i rozpałała na jej środku malusieńki płomyczek; płomyczek, który ukazał tamtą twarz.

- Jedidiah! - szepnęła. Przycisnęła dłoń do jego karku, wyczuła pod palcami chłodny, gładki metal Rada'Han. Z zamkniętymi oczami przycisnęła czoło do czoła chłopaka. Po jej policzkach popłynęły łzy. - Ależ mnie wystraszyłeś, Jedidiahu. - Otworzyła oczy i spojrzała na przerażoną twarz, oświetloną maleńkim, drżącym płomyczkiem. - Uwolnię cię - szepnęła łagodnie - ale musisz być cicho. Obiecujesz?

Spętała go bardzo mocno, lecz zdołał lekko skinąć głową. Zdjęła sieci,

usunęła z ust knebel stężałego powietrza. Jedidiah odetchnął z ulgą.

- Siostrze Margaret - wyszeptał drżącym głosem - omal przez ciebie nie narobiłem w spodnie.

- Przepraszam cię, Jedidiahu. - Roześmiała się bezgłośnie. - A wiesz, że i ty omal nie przyprawiłeś mnie o to samo?

Cofnęła cienką niteczkę Han podtrzymującą płomynek i oboje osunęli się na ziemię. Wsparli się o siebie i czekali, aż się zupełnie uspokoją. Jedidiah, choć parę lat młodszy, był od niej wyższy, no i przystojny. Boleśnie przystojny, pomyślała Siostra Margaret.

Przydzielono jej opiekę nad nim, kiedy przybył do pałacu; była wówczas nowicjuską. Był chętny do nauki i bardzo się do niej przykładał. Od pierwszego dnia był miły i układny - sama przyjemność. Margaret wiedziała, że inni sprawiali kłopoty, ale Jedidiah nigdy. Robił wszystko, o co go poprosiła. Wystarczyło, iż powiedziała słowo, a on się natychmiast rzucał, by je wypełnić. Niektórzy uważali, że bardziej zależało mu na przypodobaniu się Margaret niż na postępowaniu zgodnie z własnymi upodobaniami, nikt jednak nie mógł zaprzeczyć, że był najlepszym uczniem i stawał się najlepszym czarodziejem, a w końcu tylko to miało znaczenie. Na tym polu liczyły się efekty, a nie metody, którymi je osiągnano, i Margaret, w nagrodę za prowadzenie Jedidiaha, wkrótce została Siostrą Światła.

Kiedy to się stało, Jedidiah był z niej bardziej dumny niż ona z siebie. Margaret też szczyliła się nim: był chyba najponętniejszym czarodziejem, jakiego widziano w pałacu od tysiąca lat.

- Co tu robisz, Margaret? - wyszeptał chłopak.

- Siostrze Margaret - poprawiła go. - Nikt nie słyszy. - Pocałował ją w ucho.

- Przestań - skarciła go. Dreszcz przebiegł ją od tego przyprawionego szczyptą magii całusa. Czasem żałowała, że go tego nauczyła, innym razem natomiast marzyła, by ją tak całował. - A ty co tu robisz, Jedidiahu? Nie powinienesz podążać za mną, za Siostrą, poza obręb pałacu.

- Masz jakieś tajemne zamiary; wiem, że tak jest, nie próbuj zaprzeczać. Planujesz coś niezbyt bezpiecznego. Najpierw nie bardzo mnie to obeszło, lecz potem się zorientowałem, że idziesz ku lasom Hagen, i zacząłem się o ciebie bać. Nie pozwolę, byś się plątała po takim niebezpiecznym miejscu. A przynajmniej nie samopas, bez mojej opieki.

- Twojej opieki! - parsknęła. - Mam ci przypomnieć, co się przed chwilą wydarzyło? W mgnieniu oka stałeś się zupełnie bezradny.

Nie potrafiłeś się pozbyć ani jednej mojej sieci. Nie mogłeś złamać żadnego uroku. Ledwie potrafisz dotknąć swojej Han, a niemal w ogóle nie umiesz się nią posługiwać. Musisz się jeszcze wiele nauczyć, zanim zostaniesz czarodziejem zdolnym kogoś ochronić. Na razie udaje ci się zadbać jedynie o to, żeby się nie potykać o własne nogi!

Ta reprimenda uciszyła chłopaka. Margaret nie lubiła go tak ostro karcić, lecz owa sprawa była dlań zbyt niebezpieczna; pragnęła, żeby się w to nie mieszał, zwłaszcza jeżeli jej podejrzenia okażą się słuszne. Bała się o niego i nie chciała, by go spotkało coś złego. No i trochę nagięła fakty. Jedidiah już był potężniejszy niż każda z Sióstr, kiedy tylko zdołał wszystko właściwie przeprowadzić, nawet jeśli nie zdarzało się to jeszcze zbyt często. Niektóre Siostry wprost się bały zbytnio go naciskać. Margaret wyczuła, iż odwrócił wzrok.

- Przepraszam, Margaret - wyszeptał. - Bałem się o ciebie. Ból w jego głosie sprawił, że Siostrze ścisnęło się serce. Trzymała głowę tuż przy głowie chłopaka, żeby mogli rozmawiać najcichszym szeptem.

- Wiem o tym, Jedidiahu, i doceniam to, naprawdę. Ale to sprawa dla Siostry.

- Lasy Hagen to niebezpieczne miejsce, Margaret. Mogłabyś w nich stracić życie. Nie chcę, byś tam szła.

Lasy Hagen istotnie były niebezpieczne. Były takie przez tysiące lat i takie pozostały z woli pałacu. Jakby pałac mógł mieć na to jakikolwiek wpływ.

Mówiono, że w lasach Hagen szkolono czarodziejów specjalnego rodzaju. Nikt ich tam nie wysyłał, przychodzili z własnej woli. Chcieli tego. Usilnie tego pragnęli... Musieli pójść.

Były to tylko pogłoski. Siostra Margaret nie słyszała o żadnym czarodzieju, który by się wybierał do lasów Hagen, i nie zdarzyło się to przez kilka tysięcy lat. Jeżeli w ogóle któryś tam kiedykolwiek poszedł. Opowieści głosiły, że w starodawnych czasach istnieli czarodzieje obdarzeni taką mocą i że poszli do lasów Hagen. Opowieści głosiły również, iż jedynie nieliczni z

nich wyszli. Lecz nawet tam obowiązywały pewne prawa.

- Słońce mnie tam nie oświetliło. Przyszłam już po zmroku. Jeżeli słońce nie spocznie na tobie w lasach Hagen, to możesz je opuścić, a nie zamierzam zostawać tam tak długo, żeby padły na mnie promienie następnego dnia. Na razie jest dość bezpiecznie. Przynajmniej dla mnie. Chcę, byś wrócił do pałacu. Natychmiast.

- Cóż jest tak ważnego, że zamierzasz tam iść? Co robisz? Oczekuję odpowiedzi, Margaret. Szczerej odpowiedzi. Nie odsyłaj mnie. Grozi ci niebezpieczeństwo i nie pozwolę się zbyć.

Margaret dotknęła misternego złotego kwiatu, który nosiła na okalającym jej szyję łańcuszku. Jedidiah go dla niej zrobił - był dziełem jego rąk, a nie magii. To kwiat jednego z wilców zwany „chluba poranka” - symbol budzącej się świadomości własnej mocy, świadomości, której ona, Margaret, pomogła się rozbudzić. Ten złoty kwiatusek był dla niej cenniejszy od wszystkiego, co miała. Ujęła rękę Jedidiaha i pochyliła się ku niemu.

- No dobrze, powiem ci. Nie mogę ci jednak zdradzić wszystkiego. To byłoby dla ciebie zbyt niebezpieczne.

- Co byłoby zbyt niebezpieczne? Czego nie możesz mi powiedzieć?

- Uciszyć się i słuchać albo cię natychmiast odeśle. Wiesz dobrze, że mogę to uczynić.

Chłopak dotknął obroży.

- Nie zrobiłabyś tego, Margaret. Przyznaj, że byś tego nie zrobiła, bo przecież byliśmy...

- Ciii! - Umilkł. Zanim zaczęła mówić, odczekała chwilę, żeby się upewnić, iż na pewno zamilkł. - Już od jakiegoś czasu podejrzewałam, że nie mówi się nam prawdy o tych z darem, którzy niby zmarli lub odeszli. Uważam, że zostali zamordowani.

- Co takiego!?

- Cicho bądź! - szepnęła gniewnie. - Chcesz, żeby i nas zabito!?! - Znów umilkł. - Sądzę, że w Pałacu Proroków dzieje się coś okropnego. Myślę, iż to pewne Siostry ich zamordowały.

Jedidiah wpatrywał się w nią w ciemnościach.

- Zamordowani? Przez Siostry? Chyba oszalałaś, Margaret, skoro mówisz coś takiego.

- Wcale nie oszalałam. Ale każdy by tak myślał, gdybym to głośno powiedziała w pałacu. Muszę się dowiedzieć, jak to udowodnić.

Chłopak zastanawiał się przez chwilę.

- Hmm, znam cię lepiej niż inni, więc ci wierzę. Pomogę ci. Może wykopimy ciała i odkryjemy coś, co będzie sprzeczne z opowieściami o ich śmierci, albo znajdziemy kogoś, kto coś widział. Powinniśmy dokładnie przepytąć służbę. Wiem, że niektórzy...

- Jeszcze nie wiesz najgorszego, Jedidiahu.

- Co może być gorsze?

Margaret uniosła złoty kwiatusek i potarła go kciukiem.

- W pałacu są Siostry Mroku.

Nie widziała chłopaka w tych ciemnościach, lecz była pewna, że dostał gęziej skórki. Wpatrywała się w zarys jego twarzy; wokół nich grały nocne owady.

- Ależ Margaret... Siostry... to niemożliwe. Nie ma czegoś takiego. To jedynie legenda... baśń.

- To nie legenda. W pałacu są Siostry Mroku.

- Nie powtarzaj tego, Margaret. Mogliby cię skazać na śmierć za takie oskarżenie. Skażą cię na śmierć, jeżeli oskarżysz o to którąś z Sióstr, a nie będziesz mogła udowodnić zarzutów. A nie będziesz mogła, bo to przecież niemożliwe. Nie ma czegoś takiego jak Siostry...

Jedidiah nawet nie był w stanie wypowiedzieć tych słów. Sama myśl o tym tak go wystraszyła, że nie mógł tego powiedzieć na głos. Margaret dobrze znała ów strach. Sama to czuła, zanim natrafiła na fakty, których już nie mogła ignorować. Żałowała, iż owej nocy poszła do Proroka, a jeszcze bardziej, że słuchała tego, co mówił.

Ksieni się gniewała, że Margaret nie przekazała wiadomości od Proroka jednej z jej pomocnic. W końcu zgodziła się przyjąć Margaret, lecz tylko patrzyła na nią obojętnie i zapytała, co to takiego ten „kamyk w stawie”. Siostra nie wiedziała. Ksieni udzieliła jej surowej reprimendy za to, iż ośmiela się zwracać jej głowę bzdurami Nathana. Margaret okropnie się zezłościła na proroka, bo zaprzeczył, jakoby kazał coś takiego powiedzieć Ksieni.

- Chciałabym, żeby to była tylko legenda, jak mówisz. Lecz to niestety prawda. One naprawdę istnieją. Są wśród nas. Przebywają w pałacu. - Przez

chwilę patrzyła na ciemną postać chłopaka. - To dlatego tu jestem. Żeby zdobyć dowód.

- Jak chcesz to zrobić?

- Są tutaj. Szłam za nimi. W jakimś celu przyszły do lasów Hagen. Zamierzam się dowiedzieć po co.

Poruszył głową, przepatrując ciemności.

- Kto to? Które Siostry? Wiesz, które to?

- Wiem. To znaczy niektóre rozpoznałam.

- Które to?

- Nie powiem ci tego, Jedidiahu. Gdybyś to wiedział i popełnił najdrobniejszy błąd... to nie byłbyś w stanie się obronić. Jeżeli się nie mylę i one naprawdę są Siostrami Mroku, to zabiłyby cię za to, że wiesz. Straszna jest dla mnie sama myśl o tym, iż mogłyby cię skrzywdzić. Nic ci nie powiem, dopóki nie dostarczę Ksieni dowodów.

- Skąd wiesz, że one są Siostrami...? Jaki masz na to dowód? Jakież dowód mogłaś zdobyć?

Margaret przez chwilę szukała najmniejszych oznak zagrożenia.

- Jedna z Sióstr ma pewien przedmiot. Magiczny przedmiot. Przedmiot czarnej magii. Widziałam to w jej gabinecie. To mały posążek. Zauważyłam go wśród innych starych przedmiotów, bo ona ma sporo takich rzeczy, które wszyscy uważają za staroświeckie ciekawostki. Widziałam ów posążek już wcześniej i, jak pozostałe okazy, był zakurzony. A potem, po śmierci jednego z chłopców, poszłam do jej gabinetu, żeby z nią o tym porozmawiać, porozmawiać o jej raporcie. No i ten posążek stał w kącie zakryty książką. Już nie był zakurzony. Był czyściutki.

- A, to tak! Owa Siostra odkurzyła posążek, a ty zaraz pomyślałaś...

- Nie. Nikt nie wie, jaka to figurka. Lecz kiedy ją odkurzyła, miałam podstawy, żeby się tym zainteresować, żeby się dowiedzieć, co to takiego. Musiałam być ostrożna, by nikt się nie domyślił, czego szukam, ale w końcu się dowiedziałam.

- Jak? Skąd się dowiedziałas?

Margaret przypomniała sobie odwiedzin u Nathana i swoją obietnicę, że nigdy nie wyjawia, od kogo się dowiedziała, co to za posążek.

- To nie twoja sprawa. Nie powinieneś tego wiedzieć.

- Jak możesz, Margaret...

- Już mówiłam, że ci tego nie powiem - przerwała mu. - Poza tym to i tak nie ma znaczenia. Ważne, czym jest ów posążek, a nie jak się o tym dowiedziałam. To człowiek unoszący w dłoniach kryształ. Ten kryształ to quillion.

- Co to takiego ów quillion?

- To niezmiernie rzadki magiczny kryształ. Potrafi wysączyć z czarodzieja jego moc.

Zdumiony Jedidiah zamilkł na chwilę.

- Skąd wiesz, że to quillion, skoro jest tak rzadki? Jak potrafiłaś go rozpoznać? Może to tylko jakiś inny, podobnie wyglądający kamień.

- Można by tak sądzić, gdyby się nim nie posłużono. Kiedy wykorzystano się quillion do wysączenia magii z czarodzieja, to pochłonięta moc, wchłonięta przezeń Han sprawia, iż świeci pomarańczowym blaskiem. Widziałam tę statuetkę przez chwilę, kiedy wychodziłam z gabinetu; odkurzoną i przysłoniętą książką. Quillion lśnił pomarańczowo. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, co to takiego. Dowiedziałam się i wróciłam po posążek, żeby zanieść Ksieni jako dowód, ale już nie lśnił.

- Cóż by to mogło znaczyć? - wyszeptał ze strachem.

- To znaczy, iż moc czarodzieja przeszła z kryształu na kogoś. Na biorcę. Quillion jest tylko naczyniem, w którym się przechowuje odebrany dar, zanim zostanie on przekazany komuś innemu. Sądzę, Jedidiahu, że Siostry zabijają tych z darem i kradną ich moc dla siebie. Że wchłaniają ich moc.

- Jakież poziom już osiągnęły? - spytał drżącym głosem. - Dysponują całą mocą daru czarodzieja?

- Tak. Są niebezpieczniejsze, niż podejrzewamy, i potężniejsze, niż możemy sobie wyobrazić. I bardziej się boję, że owe Siostry mnie tu znajdą, niż że zostanę skazana na śmierć za rzucanie oskarżeń. Nie mam pojęcia, jak je powstrzymamy, jeżeli naprawdę wchłaniają w siebie moc. Nikt im nie dorówna. Potrzebny mi dowód, żeby Ksieni mi uwierzyła. Może ona będzie wiedziała, co robić, boja nie wiem.

Nie mogę pojąć, jak Siostry wchłaniają dar z quillionu. Przecież dar czarodzieja, jego Han, ma męskie cechy. Siostry są kobietami. Kobieta nie może ot tak przejąć męskiej Han. To nie takie proste; gdyby było łatwe, to wchłaniałyby Han wtedy, kiedy ich zabijają. Nie mam pojęcia, w jaki sposób pochłaniają męską Han, jeśli rzeczywiście to czynią.

- No to co tu w końcu robisz?

Noc była ciepła, lecz Margaret przeszył zimny dreszcz; skrzyżowała ramiona na piersiach, żeby się przed tym osłonić.

- Pamiętasz ten dzień, kiedy Sam Weber i Neville Ranson przeszli wszelkie próby i miano im zdjąć obroże, zanim opuszczą pałac?

- Tak - przytaknął Jedidiah. - Byłem bardzo zawiedziony, bo Sam obiecał, że się przyjdzie pożegnać i pokazać, iż już nie ma Rada'Han. Chciałem mu pogratulować zostania prawdziwym czarodziejem. Wcale się nie zjawiał. Powiedziano mi, iż odszedł nocą, by uniknąć łzawych pożegnań. Lecz Sam był moim przyjacielem; był uprzejmym, łagodnym człowiekiem, uzdrowicielem, i takie nagłe odejście było zupełnie nie w jego stylu. Nie odszedłby bez pożegnania. Na pewno. Było mi bardzo przykro. Naprawdę chciałem mu pogratulować i życzyć wszystkiego dobrego.

- Zabiły go.

- Co takiego!?! - Skulił się. - O nie, drogi Stwórco. - Głos mu się załamał płaczkliwie. - Jesteś pewna? Skąd wiesz?

Margaret pocieszająco dotknęła ramienia Jedidiaha.

- Podejrzewałam, że stało się coś strasznego, kiedy niby odszedł bez słowa. Poszłam sprawdzić, czy quillion znowu lśni, lecz drzwi były zablokowane.

- To niczego nie dowodzi. Siostry czasem osłaniają swoje pokoje lub gabinety. Sama tak robisz, kiedy nie chcesz, żeby ktoś ci przeszkadzał, albo wtedy, gdy jesteśmy razem.

- Wiem. Lecz pragnęłam zobaczyć quillion i poczekałam za rogiem, aż Siostra wróci do gabinetu. Tak zgrałam wyjście z mojej kryjówki z jej tempem, że przechodziłam obok akurat wtedy, gdy wchodziła do środka. Zerknęłam do ciemnego gabinetu, zanim zamknęła za sobą drzwi. Ujrzałam posążek stojący na półce, za książką. Lśnił pomarańczowo. Tak mi przykro, Jedidiahu.

- Kto to był? - spytał gniewnie. - Która z Sióstr?

- Nie mam zamiaru ci powiedzieć. W każdym razie nie przed dostarczeniem Ksieni dowodu. To zbyt niebezpieczne.

Chłopak zastanawiał się przez chwilę.

- Jeżeli to naprawdę quillion i zdradzi, kim ona jest, to dlaczego go lepiej nie schowała?

- Może nie sądziła, że ktoś się dowie, co to jest. A może dlatego, że się nie boi i zachowuje jedynie niezbędną ostrożność.

- Zatem wracajmy, złammy osłonę, zabierzmy ten przeklęty posążek i zanieśmy Ksieni. Mogę złamać osłonę: wiem, że dam radę.

- Też chciałam to zrobić. Wróciłam tam tej nocy, lecz pokój nie był już osłonięty. Zakradłam się po posążek, jednak zniknął. Potem zobaczyłam, że ona wychodzi z pałacu, a wraz z nią inne. Poszłam za nimi aż tutaj. Jeżeli zdołam ukraść posążek, dopóki lśni, to udowodnię, iż są Siostrami Mroku. Muszę je powstrzymać, zanim jeszcze komuś odbiorą życie. One mordują ludzi, Jedidiahu, i przeraża mnie cel, w jakim to czynią.

- W porządku - westchnął cicho chłopak. - Ale idę z tobą.

- Nie - odparła przez zaciśnięte zęby. - Wracasz.

- Kocham cię, Margaret, lecz nigdy ci nie wybaczę, jeśli mnie odeślesz, żebym się tam sam zamartwiał. Pójdę do Ksieni i oskarżę je, by uzyskać dla ciebie pomoc. Może za to zginę: wiem jednak, iż to wywoła podejrzenia, a może i alarm. Jedynie w ten sposób mogę cię ochronić. Albo idę z tobą, albo pójdę do Ksieni, na pewno to zrobię.

Margaret wiedziała, że mówi prawdę. Jedidiah dotrzymywał obietnic. Potężni czarodzieje zawsze dotrzymują obietnic. Uklękła, nachyliła się i otoczyła ramionami jego szyję.

- Ja też cię kocham, Jedidiahu.

On również uklęknął. Pocałowała go mocno. Wsunął jej ręce pod sukienkę, zacisnął dłonie na pośladkach i przyciągnął do siebie. Dotyk jego dłoni sprawił, że jęknęła cichutko. Gorące usta Jedidiaha całowały szyję dziewczyny, potem jej ucho, aż drżała z zaprawionej magią rozkoszy. Kolanem rozsunął jej nogi, by dać dłoniom dostęp do niej. Na moment straciła oddech.

- Chodź ze mną - szepnął jej do ucha. - Wracajmy. Osłonisz swój pokój i sprawię, że będziesz krzyczeć. Będziesz mogła krzyczeć do woli i nikt cię nie usłyszy.

Margaret oderwała się od Jedidiaha, wyjęła jego ręce spod swojej sukienki. Starał się przełamać opór dziewczyny. Stwierdziła, że z trudem jej przyszło powstrzymanie chłopaka. Wykorzystywał swoją magiczną moc, by uwieść Margaret i w ten sposób odciągnąć ją od niebezpiecznych zapędów, ocalić ją. Wiedziała, że uda mu się to, jeśli cała ta scena potrwa choć sekundę

dłużej.

- Jedidiahu - szepnęła ochryple - nie zmuszaj mnie, bym cię powstrzymała za pomocą obroży. Ta sprawa jest zbyt ważna. W grę wchodzi życie innych. - Chłopak spróbował znów po nią sięgnąć, lecz posłała strumyk mocy poprzez swoje dłonie zaciśnięte na jego nadgarstkach. Zdecydowanie odepchnęła ręce czarodzieja.

- Wiem, Margaret. I twoje życie również. Nie chcę, żeby ci się stało coś złego. Kocham cię bardziej niż kogokolwiek na tym świecie.

- To jest ważniejsze niż moje życie, Jedidiahu. Tu chodzi o istnienie wszystkich ludzi. Sądzę, że ma to jakiś związek z Bezimiennym.

Chłopak zdrętwiał.

- Chyba nie mówisz tego serio.

- A jak myślisz, po co owym Siostrom moc? Do czego ją wykorzystują? Dlaczego zabijają, by ją zdobyć? W jakim celu? Komu, według ciebie, służą Siostry Mroku?

- Drogi Stwórco - wyszeptał z wolna Jedidiah - nie pozwól, żeby Margaret miała rację. - Położył ręce na ramionach dziewczyny. - Kto jeszcze o tym wie, Margaret? Komu powiedziałaś?

- Tylko tobie, Jedidiahu. Rozpoznałam cztery, może pięć Sióstr Mroku. Lecz są jeszcze inne i nie wiem, które to. Nie mam pojęcia, komu mogę zaufać. Tej nocy podążałam za jedenastoma, a przecież może ich być o wiele więcej.

- A co z Ksienią? Może nie powinnaś iść do niej. Nie wiadomo, czy nie jest po ich stronie.

- Może i tak, ale to nasza jedyna szansa. - Margaret z westchnieniem potrząsnęła głową. - Nie wiem, kto inny mógłby mi pomóc. Muszę do niej pójść. - Dotknęła palcami twarzy chłopaka. - Wracaj, Jedidiahu, proszę cię. Jeśliby mi się coś przytrafiło, to może przynajmniej ty będziesz mógł coś zrobić. Powinien być ktoś, kto wie.

- Nie. Nie zostawię cię. Jeżeli zmusisz mnie do odejścia, to powiem Ksieni. Kocham cię. Wolę umrzeć, niż żyć bez ciebie.

- Powinieneś myśleć także o innych. Ich życie również jest w niebezpieczeństwie.

- Inni mnie nie obchodzą, tylko ty się dla mnie liczysz. Margaret, błagam, nie żądaj, bym zostawił cię samą w niebezpieczeństwie.

- Ależ ty potrafisz być czasem denerwujący, mój miły. - Ujęła jego dłoń.
- Jeżeli nas złapią, Jedidiahu...

- Pójdę na takie ryzyko, jeśli będziemy razem. Margaret splotła palce z palcami chłopaka.

- Więc bądź moim mężem. Jak o tym rozmawialiśmy. Jeśli mam zginąć tej nocy, to chcę umrzeć jako twoja żona.

Jedidiah położył dłoń na karku dziewczyny i przyciągnął ją do siebie. Odsunął jej włosy i cichutko wyszeptał do odsłoniętego ucha:

- Uszczęśliwiłoby mnie to najbardziej na świecie. Tak cię kocham, Margaret. Ale jakżeż możemy tu wziąć ślub?

- Możemy złożyć ślubowanie. Liczy się nasza miłość, a nie to, że ktoś inny wypowie dla nas te słowa. Słowa płynące z naszych serc zwiążą nas bardziej, niż ktokolwiek potrafiłby to uczynić.

Jedidiah przytulił ją mocno.

- To najszczęśliwsza chwila w moim życiu. - Odsunął dziewczynę od siebie i ujął jej dłonie. Patrzyli na siebie w ciemnościach. - Ja, Jedidiah, ślubuję być twoim mężem w życiu i w śmierci. Ofiaruję ci, ukochana, moje życie i wieczystą wierność. Obyśmy byli równie mocno związani w oczach i sercu Stwórcy jak w naszych własnych.

Margaret, z twarzą zalaną łzami, powtórzyła przysięgę. Nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa i tak wystraszona. Drżała z pożądania. Zakończyli ślubowanie i pocałowali się. Nigdy jeszcze Jedidiah nie pocałował jej tak czule, z taką miłością. Dziewczyna przyłgnęła doń, do jego ust; wciąż płakała. Zacisnęła dłonie na szerokich barkach Jedidiaha, tuląc go ze wszystkich sił. W jego ramionach czuła się tak bezpieczna i kochana jak nigdy przedtem. W końcu odsunęli się od siebie. Margaret z trudem łapała oddech.

- Kocham cię, mój mężu.

- Kocham cię, moja żono, teraz i na zawsze.

Uśmiechnęła się. Nic nie widziała w tych ciemnościach, lecz czuła, że i on się uśmiecha.

- Przekonajmy się, czy uda się nam zdobyć jakiś dowód. Czy zdołamy powstrzymać Siostry Mroku. Niech Stwórca będzie dumny z Sióstr Światła i przyszłych czarodziejów.

Jedidiah uściskał jej dłoń.

- Obiecay, że nie uczynisz żadnego szaleństwa. Obiecay, iż nie zrobisz niczego, co naraziłoby na szwank twoje życie. Chcę spędzić z tobą trochę czasu w łóżu, a nie w lesie.

- Muszę się dowiedzieć, co one knują. Przekonać się, czy zdołamy to jakoś udowodnić Ksieni. One są potężniejsze ode mnie, no i jest ich co najmniej jednaście. A poza tym, jeśli naprawdę są Siostrami Mroku, to korzystają z magii subtraktywnej. Przed tym się nie obronimy. Nie mam pojęcia, jak zdołamy im odebrać quillion. Może jeżeli będziemy mieć szeroko otwarte oczy, spostrzeżemy coś innego, co nam pomoże. Być może Stwórca poprowadzi nas i objawi nam, co mamy czynić. Nie chcę, żeby któreś z nas ryzykowało bardziej, niż to konieczne. Musimy się postarać, by nas nie wykryły.

- Jasne - przytaknął Jedidiah. - I ja tak sądzę.

- Jestem Siostrą Światła, Jedidiahu. A to oznacza, iż mam obowiązki wobec Stwórcy i jego dzieci, wszystkich jego dzieci. Choć jesteśmy teraz mężem i żoną, to nadal powinnam być twoją przewodniczką. W tym nie jesteśmy równi. Decyzja należy do mnie i pozwolę ci pójść ze sobą jedynie wtedy, jeśli na to przystaniesz. Jeszcze nie jesteś w pełni ukształtowanym czarodziejem. Musisz wykonywać moje polecenia. Wciąż lepiej panuję nad swoją Han niż ty nad swoją.

- Wiem, Margaret. Pragnąłem zostać twoim mężem również dlatego, że cię poważam. Nie chciałbym słabej żony. Zawsze mną kierowałaś i to się nie zmieni. Dałaś mi wszystko, co mam. Zawsze będę ci powolny.

Potrząsnęła głową z uśmiechem.

- Jesteś fenomenem, mój mężu. W najlepszym znaczeniu tego słowa. Będziesz znakomitym czarodziejem. Naprawdę znakomitym.

Nigdy ci tego nie mówiłam, bo się obawiałam, że to cię wbije w dumę, lecz niektóre Siostry twierdzą, iż zostaniesz najpotężniejszym czarodziejem od tysięcy lat.

Nie odezwał się i nie mogła dostrzec jego twarzy, lecz była pewna, iż się zarumienił.

- Zależy mi tylko na tym, Margaret, żebyś była ze mnie dumna. Cmoknęła go w policzek, potem ujęła dłoń chłopaka.

- Przekonajmy się więc, czy zdołamy im przeszkodzić.

- Skąd wiesz, dokąd poszły? W jaki sposób podążymy ich śladem? W tych

lasach jest ciemno niczym w kominie. Drzewa zasłaniają księżyc.

Uszczypnęła go w policzek.

- Moja matka nauczyła mnie pewnej sztuczki. Nigdy nikomu tego nie pokazałam. Kiedy zobaczyłam, że opuszczają pałac, rzuciłam im pod stopy jeziorko mojej mocy. Przeszły przez nie i teraz zostawiają ślady mojej własnej Han. Tylko ja mogę je zobaczyć. Ja jedna widzę ślady ich stóp równie wyraźnie, jak odbicie słońca w jeziorze.

- Musisz mnie nauczyć tej sztuczki.

- Obiecuję, że to zrobię. Chodź już.

Margaret ujęła go za rękę i poprowadziła poprzez gęsty las śladami Sióstr, które ona jedna mogła ujrzeć. Z dala dochodziły niesamowite wołania nocnych ptaków, pohukiwały sowy, jakiejś innej stworzonka popiskiwały cichutko. Grunt był nierówny, pokryty płataniną korzeni i chaszczami, ale jaśniejące ślady stóp prowadziły dziewczynę tropem Sióstr.

Parne powietrze sprawiało, iż sukienka Margaret lepiała się do jej spoconego ciała. Gdy tylko wróci do domu, osłoni swój pokój i weźmie kąpiel. Długą kąpiel z Jedidiahem. Pozwoli, żeby podziałał na nią swoją magiczną mocą, a ona podziela nań swoją.

Coraz głębiej i głębiej wchodzili w lasy Hagen; głębiej, niż Margaret kiedykolwiek dotarła. Od bagnisk napływały opary, przynosząc przenikliwy odór gnijącej roślinności. Mijali mroczne zapadliska, osłonięte zwisającymi korzeniami i mchem, które ocierały się o twarz i ramiona dziewczyny. Wzdrygała się pod tymi niespodziewanymi dotknięciami. Ślady wiodły przez słabo zalesione, skaliste grzbiety.

Margaret przystanęła na szczycie jednego ze wzgórz, w nieruchomym, wilgotnym powietrzu. Obejrzała się i popatrzyła na ponury krajobraz. Zobaczyła odległe, migotliwe światła Tanimury i ogromniejący w srebrzystej księżycowej poświacie Pałac Proroków, zasłaniający światła leżącej poza nim części miasta. Dziewczyna tak pragnęła znów się tam znaleźć, wrócić do domu, lecz tu czekało na nią coś, co musiało być zrobione. Nie było nikogo, kto by ją w tym zastąpił. Od niej, od Margaret, zależało życie innych. Sam Stwórca na nią liczył. Mimo to pragnęła być już w domu, bezpieczna.

Dom jednakże nie był już bezpieczny. Jeśli istotnie przebywały w nim Siostry Mroku, to był równie groźny, jak lasy Hagen. Margaret trudno się było z tym pogodzić, pomimo tego wszystkiego, czego się dowiedziała.

Ksieni musi jej uwierzyć, musi. Przecież jedynie do niej mogę się zwrócić o pomoc, myślała dziewczyna. Żeby tak mogła zaufać choć jednej Siostrze Światła; nie, nie ośmieli się tak zaryzykować. Nathan ostrzegał, by nikomu nie ufała.

Cieszyła się, że jest z nią Jedidiah, choć wołałaby, aby był bezpieczny, w domu. Wiedziała, iż chłopak nie zdoła jej w niczym pomóc, lecz dobrze było mieć przy sobie kogoś, komu można ufać. Jej mąż. Margaret uśmiechnęła się na tę myśl. Nigdy sobie nie wybaczy, jeśli spotka go coś złego. W razie potrzeby oddam za niego życie, postanowiła.

Grunt zaczął opadać. Dzięki odstępom pomiędzy drzewami Margaret dostrzegła, że schodzą do głębokiej niecki. Stok był stromy, musieli więc iść powoli i ostrożnie, uważając, żeby nie strącić żadnego kamienia. Jeden z głazów zaczął się zsuwać, dotknięty stopą dziewczyny, lecz Margaret pospiesznie go powstrzymała, zestalając powietrze, i mocno wepchnęła w ziemię. Odetchnęła z ulgą.

Jedidiah szedł za nią - cichy, dodający otuchy cień. W końcu minęli strefę kamieni i znów stąpali cicho po mchu, w gęstszym lesie. Margaret trochę się odprężyła.

Ciężkie, cuchnące powiewy ze zwartego lasu przyniosły ku nim słabe echo śpiewu. Powolne, rytmiczne, gardłowe słowa, których Margaret nie rozumiała. Nie rozumiała ich, a mimo to przyprawiły ją o mdłości, jakby nasycaly powietrze obrzydliwym fetorem.

Jedidiah chwycił ramię dziewczyny, zmuszając, by się zatrzymała. Przysunął usta tuż do jej ucha.

- Wracajmy, dopóki nie jest za późno - wyszeptał. - Błagam cię, Margaret. Boję się.

- Jedidiahu! - skarciła go i złapała za obrożę. - To bardzo ważna sprawa! Jestem Siostrą Światła, a ty czarodziejem. Jak ci się zdaje, do czego cię szkoliłam? Żebyś się popisował sztuczkami na jarmarku!? I żeby ci ludzie rzucali za to monety? Służymy Stwórcy. Dał nam to wszystko, czym dysponujemy, żebyśmy dzięki temu mogli pomagać ludziom. Teraz grozi im niebezpieczeństwo. Musimy pomóc. Jesteś czarodziejem. Postępuj jak czarodziej!

Margaret ledwo widziała w słabej poświacie szeroko rozwarte oczy chłopaka. Jego mocno do tej pory napięte mięśnie zwiotczały.

- Przepraszam. Masz rację. Wybacz. Obiecuję, że zrobię, co będę musiał.

- I ja się boję. - Gniew opuścił Margaret. - Dotknij swojej Han i uchwycić zdecydowanie, lecz nie za mocno. Trzymaj ją tak, byś mógł natychmiast puścić, jak cię tego uczyłam. I nie powściągaj się, jeżeli

cokolwiek się stanie. Nie przejmuj się tym, że mógłbyś je mocno poturbować, bo jeśli już będziesz musiał wykorzystać swoją moc, to tylko całą: jakaś jej część na pewno wówczas nie wystarczy. Jeżeli nie stracisz głowy, to masz dość mocy, by się obronić. Dasz sobie radę, Jedidiahu. Zaufaj temu, czego cię nauczyłam, czego wszystkie Siostry cię uczyły. Zawierz Stwórcy i temu, co ci powierzył. I ciebie, i nas obdarzył w znanym sobie celu. Może owa chwila właśnie nadeszła. Może tej nocy wydarzy się to, do czego cię powołał.

Jedidiah kiwnął potakująco głową, a Margaret znów spojrzała na połyskujące ślady stóp, wiodące ich w gęsty las. Ruszyli między drzewami ku środkowi niecki, ku miejscu, skąd dobiegały śpiewy. Im bliżej podchodzili, tym Margaret bardziej cierpła skóra. To były głosy Sióstr. Zdawało się jej, iż rozpoznaje niektóre z nich.

Ukochany Stwórco, modliła się dziewczyna, daj mi siły, bym uczyniła, co trzeba w twojej obronie. I Jedidiahowi również daj siły. Wspomóż nas, byśmy mogli ci służyć, byśmy mogli pomóc innym.

Pośród liści ukazały się migotliwe światełka. Podpełzli bliżej. Otaczały ich potężne drzewa. Już nie szli po połyskujących śladach, przemykali się od jednego pnia do drugiego. Zaczęli coś dostrzegać poprzez luki w poszyciu. Ostrożnie, powolutku przeszli pod olbrzymimi świerkami. Cicho i lekko stąpali po świerkowym igliwiu. Zatrzymali się - jedno tuż przy drugim - za gęstymi, niskimi chaszczami na skraju lasu. Dalej już nie mogli się posuwać. Była tam płaska, okrągła, naga przestrzeń.

Krąg ustawiony był chyba ze stu świec, niczym ogrodzenie, granica trzymająca z dala mroczny las. W jego wnętrzu narysowano na ziemi koło. Wyglądało jak usypane z białego pasku, migoczącego punkcikami pryzmatycznego światła. To pewno ów piasek czarnoksiężnika, o którym Margaret słyszała, lecz którego nigdy nie widziała. Był dobrze widoczny w blasku świeci księżycowej poświacie.

Tym samym piaskiem wyrysowano jakieś symbole. Znajdowały się wewnątrz koliska, a ich szpice w nieregularnych odstępach dotykały okręgu.

Margaret nigdy nie widziała takich znaków, lecz pewne ich elementy znała ze starej księgi. Odnosiły się do zaświatów.

Wewnątrz obu kół - tego ze świec i tego z białego piasku - siedziało w kręgu jedenaście Sióstr. Margaret wyteżyła wzrok, usiłując je rozpoznać w mglistym, migotliwym świetle. Każda miała na głowie kaptur z wyciętymi otworami na oczy. Śpiewały unisono. Ich cienie zbiegały się w centralnym punkcie kolistej płaszczyzny.

Leżała tam naga kobieta, z głową okrytą kapturem. Leżała na plecach - ręce skrzyżowała na piersiach i mocno zaciskała nogi.

Dwanaście. Razem z tą w środku - dwanaście. Margaret znów się przyjrzała kręgowi Sióstr. Świece nie rozjaśniały mroku; poza tym i tak znajdowały się za plecami kobiet.

Wzrok Margaret padł na postać po drugiej stronie kręgu. Wstrzymała oddech. Była większa od innych. Przygarbiona, z opuszczoną, nie osłoniętą kapturem głową. Owa istota stała w punkcie, w którym zbiegały się linie owych dziwnych znaków.

To nie była Siostra. Margaret wzdrygnęła się, dostrzegając słabą pomarańczową poświatę. Na podółku stwora leżała statuetka z quillionem.

Margaret i Jedidiah kulili się jak sparaliżowani i patrzyli na krąg śpiewających Sióstr. Po pewnym czasie podniosła się Siostra siedząca obok przygarbionego potwora. Śpiew ustał. Kobieta wypowiedziała krótkie, ostre słowa w języku, którego Margaret nie znała. Dodatkiem do nich był gest - uniesiona w powietrze ręka, sypiąca migotliwy pył na leżącą nagą kobietę. Pył zapłonął, oświetlając na moment zakapturzone Siostry. Zareagowały na ów błysk dziwaczными, rymującymi się słowami. Margaret i Jedidiah wymienili zdumione i wystraszone spojrzenia.

Stojąca Siostra wyrzuciła w górę obie ręce, wykorzystując litanie osobliwych wyrazów. Podeszła do nagiej kobiety, stanęła u jej głowy i znów wyrzuciła w górę obie ręce. Ponownie zapłonął migotliwy pył. Tym razem pojaśniała pomarańczowa poświata quilliona.

Przygarbiona postać powoli uniosła głowę. Margaret aż sapnęła cichutko, ujrawszy twarz bestii. Zębiasta paszcza otworzyła się z warknięciem. Siostra dobyła spod peleryny misternej roboty srebrne kropidło i potrząsnęła nim gwałtownie, śpiewając i opryskując wodą nagie ciało leżącej.

Coś się działo z quillionem. Pojaśniał, potem ściemniał. Mroczne oczy potwora wpatrywały się w leżącą kobietę. Margaret spoglądała na wszystko wielkimi oczami. Serce waliło jej tak, jakby chciało wybić dziurę w piersi dziewczyny.

Quillion gasł, a oczy bestii rozjarzały się pomarańczowym blaskiem - tym samym pomarańczowym blaskiem, którym przedtem quillion. Kryształ wygasał, oczy bestii natomiast płonęły coraz jaśniej, aż statuetka straciła cały blask, a ślepią stwora pałały. Podniosły się dwie Siostry. Stały po bokach tamtej. Pierwsza Siostra uklękła. Pochyliła zakapturzoną głowę i spojrzała na leżącą kobietę.

- Nadszedł czas, jeśli nie zrezygnowałaś. Wiesz, co się musi dokonać: to samo, co uczyniono nam. Tobie ostatniej zaoferowano dar. Czy pragniesz go przyjąć?

- Tak! Mam doń prawo. Jest mój. Pragnę tego. Margaret miała wrażenie, że rozpoznaje oba głosy, lecz nie była całkiem pewna, bo kaptury tłumiły dźwięki.

- A więc będzie twój, Siostro. - Teraz uklękły tamte dwie, a pierwsza wyciągnęła spod peleryny kawałek tkaniny i skręciła go

w dłoniach. - By zdobyć dar, musisz przejść próbę bólu. Nie możemy podczas niej wspomóc cię naszą magią, ale pomożemy ci, najlepiej jak potrafimy.

- Zrobię, co trzeba. Jest mój. Niech się stanie.

Naga kobieta rozrzuciła ramiona. Obie Siostry z całych sił naparły na jej nadgarstki.

Siostra klęcząca przy głowie leżącej przybliżyła skręconą tkaninę do zakapturzonej twarzy.

- Otwórz usta i zaciśnij zęby na owej tkaninie. - Wsunęła zwitek między zęby leżącej. - Rozchyl nogi. Nie wolno ci ich łączyć. Jeśli tego spróbujesz, będzie to oznaczało, iż odrzucasz to, co ci zaoferowano, i na zawsze stracisz sposobność. Na zawsze.

Naga kobieta uporczywie patrzyła przed siebie. Dyszała ze strachu, a jej pierś unosiła się ciężko. Powoli, powoli rozsunęła nogi.

Bestia poruszyła się, stęknęła głucho.

Margaret złapała ramię Jedidiaha, wbiła w nie palce.

Potwór węszył. Rozprostował się powoli i dziewczyna spostrzegła, że jest

wiekszy, niż jej się zdawało, kiedy tak siedział skulony. Atletycznie zbudowany, przypominał człowieka. Światło świec lśniło na błyszczącej od potu skórze, opinającej węzłowate mięśnie ramion i piersi. Dolną połowę ciała stwora porastało włosie: miękkie i puszyste na wąskich biodrach, potem coraz bardziej szorstkie. Najbujniej porośnięte były kostki nóg. Za to głowa zupełnie nie przypominała ludzkiej: odrażająca maska gniewu i kłów.

Wysunął się długi, cienki język; posmakował powietrze. Ślepia zapłonęły pomarańczowo w mglistym blasku świec; pomarańczowo - mocą daru, który potwór wchłonął z quillionu.

Monstrum podczołgało się na rękach i kolanach ku nagiej kobiecie i Margaret omal nie sapnęła głośno; dziewczyna rozpoznała stwora. Widziała jego rysunek w starej księdze. Tej samej, w której ujrzała część wyrysowanych tu symboli. Chętnie by wrzasnęła.

To był nambla. Jeden ze służalców Bezimiennego.

Nambla - pomrukując basowo, z pałającymi pomarańczowo ślepiami, wygięty jak wielkie kocisko - sunął ku spoczywającej na ziemi Siostrze; potężne mięśnie grały pod skórą. Łeb trzymał nisko. Wśliznął się pomiędzy nogi leżącej. Obłądnie przerażona kobieta wpatrywała się w pustkę.

Nambla wachał jej krocze. Wysunął długi język i polizał ją. Zadrżała, a pomiędzy zaciśniętych na zwitku tkaniny zębów wyrwał się jakiś dźwięk, lecz nie zsunęła nóg. Nie poruszyła oczami. Nie spojrzała na namblę. Siedzące kręgiem Siostry zaczęły cicho śpiewać. Nambla znów polizał leżącą; tym razem powoli, pomrukując. Zaskowyczała w zaimprovizowany knebel. Jej skóra pokryła się kroplami potu. Nogi jednak trzymała szeroko rozwarte.

Bestia uniosła się na kolana i gardłowo ryknęła ku ciemnemu niebu. Blask świec ukazał wzniesiony fallus, ostro zakończony i haczykowaty. Zagrały mięśnie ramion. Nambla pochylił się, wsparł pięści po bokach kobiety. Długi język owinał się wokół gardła leżącej. Potwór wydał gromki, wibrujący ryk i opadł. Masywne cielsko zakryło kobietę.

Biodra stwora wygięły się ku przodowi. Siostra gwałtownie zacisnęła powieki i wrzasnęła pomimo knebla. Nambla pchnął potężnie; oczy leżącej, teraz znów otwarte, pełne były przeraźliwego bólu. Ani knebel, ani śpiew Sióstr nie tłumili wrzasków, które się wydobywały z jej ust za każdym razem, kiedy bestia wyduszała z niej powietrze.

Margaret, obserwując ową scenę, musiała się zmuszać do zaczerpnięcia

oddechu. Nienawidziła tych kobiet - oddały się czemuś niewypowiedzianemu. Jednak były Siostrami i dziewczyna z trudem patrzyła, jak jedna z nich cierpi. Uświadomiła sobie, iż cała drży. Po twarzy dziewczyny płynęły łzy; jedną dłoń zaciskała na ramieniu Jedidiaha, drugą - na zawieszonym na swojej szyi złotym kwiatu.

Bestia rytmicznie uderzała w leżącą na ziemi, przytrzymywaną przez trzy współtowarzyszki Siostrę. Jej stłumione wrzaski szarpały serce Margaret.

- Jeżeli pragniesz daru - odezwała się w końcu Siostra trzymająca knebel - to musisz go zachęcić, by ci go przekazał. Nie zrobi tego, dopóki go nie zdominujesz, dopóki mu go nie odbierzesz. Musisz wygrać odeń ów dar. Rozumiesz?

Kobieta - krzycząca, z mocno zaciśniętymi powiekami - potakująco kiwnęła głową. Siostra wyjęła knebel.

- Więc jest twój. Weź dar, jeśli tego chcesz.

Tamte dwie puściły ramiona leżącej i wszystkie trzy wróciły na swoje miejsca w kręgu, przyłączając się do śpiewu pozostałych. Leżąca kobieta wydała jęk, który ściął lodem krew Margaret i boleśnie ścisnął jej serce.

Siostra otoczyła nambłą ramionami i nogami, wczepiła się weń i poruszała w rytm bestii, w rytm zaśpiewu. Jej wrzaski ucichły, dyszała z wysiłku.

Margaret nie mogła na to patrzeć. Zamknęła oczy i stłumiła jęk, który omal się nie wydarł z jej gardła. Ale zamknięcie oczu nic nie dało. Nadal słyszała. Błagam, najdroższy Stwórco, modliła się w myślach, niech to się już skończy. Niech się skończy.

I stwór skończył z ochryplym pomrukiem. Margaret otworzyła oczy - nambła trwał nieruchomo, z wygiętym grzbietem. Zatrząśł się i z wolna zwiotczał. Kobieta z trudem oddychała pod jego ciężarem.

Wreszcie - choć się to wydawało niemożliwe - zepchnęła z siebie nambłą. Dysząc, opadł na ręce i kolana i wrócił na swoje miejsce w kręgu; zwinął się w mroczny kłęb. Śpiew umilkł. Kobieta, dysząc, leżała chwilę na ziemi; wracała do sił. Jej ciało pokrywała lśniąca warstwa potu, połyskująca w żółtawym blasku świec.

Kobieta po raz ostatni głęboko zaczerpnęła powietrza i zręcznym ruchem podniosła się z ziemi. Po jej nogach spływał ciemny strumyczek

krwi. Spokojnie zwróciła twarz ku Margaret - dziewczynę przeszył dreszcz, wstrzymała oddech - i zdjęła kaptur.

Przygasł groźny, pomarańczowy blask jej oczu - znów były jasnobłękitne, cętkowane ciemnym fioletem. Oczy, które Margaret tak dobrze знаła.

- Czy ów widok sprawił ci przyjemność, Siostrze Margaret? - Ton był równie szyderczy, jak uśmiezek wąskich ust. - Wydaje mi się, że powinien.

Margaret podniosła się powoli; oczy miała szeroko rozwarte. Podniosła się również Siostra, która przytrzymała knebel; zsunęła kaptur.

- Jak to miło z twojej strony, kochana Margaret, że się aż tak zainteresowałaś naszą grupką. Nie sądziłam, iż jesteś do tego stopnia głupia. Myślałaś, że przypadkowo zostawiłam quillion w moim gabinecie? Że nie wiedziałam, iż ktoś węszy? Musiałam się przekonać, kto wtyka nos w sprawy, które nie powinny go interesować. Pozwoliłam, byś zobaczyła statuetkę. Ale byłam pewna, że to ty, dopiero wtedy, gdy za nami poszłaś. - Jej uśmiech sprawił, iż Margaret zlodowaciała. - Widziałam twoją Han, którą rzuciłaś tak, byśmy musiały przez nią przejść. A ty myślałaś, że nas zmyliłaś. Przysłużyłaś mi się. Ku swojemu wstydowi.

Dłoń Margaret z całych sił zaciskała się na złotym kwiatuszku, paznokcie wbijały się w ciało. Jakżeż mogły widzieć jeziorko jej Han? Nie doceniła ich, ot co. Nie spodziewała się, że dar da im aż taką moc. Zapłaci za to życiem.

Ale tylko ona. Tylko ona. O, drogi Stwórco, ona jedna. Czują tuż przy sobie Jedidiaha.

- Uciekaj, Jedidiahu - wyszeptała. - Spróbuję je powstrzymać, żebyś mógł uciec. Uciekaj, ukochany. Ratuj życie.

Krzepka dłoń chłopaka ścisnęła jej ramię.

- Nic z tego, najmilsza. - Wpatrzyła się w jego nagle okrutnie obojętną twarz. - Próbowałem cię ocalić, Margaret. Usiłowałem zawrócić, ale nie chciałaś posłuchać. - Spojrzał na Siostrę stojącą po drugiej stronie polany. - Jeżeli przysięgnie, to czy nie moglibyśmy... - Siostra posłała mu gniewne spojrzenie, więc tylko westchnął. - Nie, nie moglibyśmy.

Jedidiah popchnął Margaret na polanę. Dziewczyna zatrzymała się chwiejnie tuż przy świecach. Była zupełnie sparalizowana. Umysł nie chciał pracować. Głos odmówił posłuszeństwa.

Siostra po drugiej stronie klasnęła w dłonie, patrząc na Jedidiaha.

- Czy jeszcze komuś powiedziała?

- Nie. Tylko mnie. Chciała znaleźć jakiś dowód, zanim się do kogoś zwróci o pomoc. - Spojrzał na Margaret. - Czyż nie tak, najmilsza? - Znów potrząsnął głową i uśmiechnął się leciutko, afektowanie. Całowała te usta, zemdliło ją, chyba Stwórca nigdy jeszcze nie widział kogoś tak głupiego jak ona. - Jaka szkoda.

- Dobrze się spisałeś, Jedidiahu. Zostaniesz wynagrodzony. A co do ciebie, Margaret... Jedidiah złoży jutro raport, że po nieskutecznych próbach uniknięcia niestosownych i namolnych afektów starszej kobiety odrzucił cię ostatecznie i nieodwołalnie, ty zaś, zawstydzona i upokorzona, uciekłaś. Nawet jeżeli dotrą aż tutaj i odnajdą twoje kości, to tylko potwierdzi ich obawy, że wolałaś odebrać sobie życie, bo uznałaś, iż nie jesteś godna dłużej być Siostrą Światła.

Cętkowane oczy spoczęły na Margaret.

- Dajcie mi ją. Pozwólcie wypróbować mój nowy dar. Pozwólcie mi go posmakować.

Spojrzenie owych oczu zmroziło dziewczynę, wciąż jeszcze zaciskającą dłoń na złotym kwiatuszku. Z trudem oddychała, straszliwie cierpiąc z powodu zdrady Jedidiaha. A modliła się do Stwórcy, by dał chłopakowi siłę, siłę niezbędną do wspomnienia innych. Nie miała pojęcia, kim mogliby być ci „inni”. I Stwórca wysłuchiwał jej prośb, jej niemądrych prośb.

Siostra się zgodziła i wąskie usta wykrzywił pożądliwy, drapieżny uśmiezek. Przenikliwe spojrzenie cętkowanych oczu sprawiało, że Margaret czuła się naga, naga i bezbronna.

W końcu dziewczyna zdołała zapanować nad swoim umysłem. Panicznie zastanawiała się nad możliwością ucieczki. Przyszło jej na myśl tylko jedno. Pozwoliła, by Han przepoiła całą jej jaźń i otoczyła się najpotężniejszą osłoną, jaką знаła - tarczą powietrza. Uczyniła ją twardą jak stal. Nieprzenikliwą. Przepoiła swoim cierpieniem i nienawiścią.

Wąskie usta nadal się uśmiechały. Cętkowane oczy nie odwróciły się od dziewczyny.

- Powietrze, tak? Widzę to, dzięki memu nowemu darowi. Mam ci zademonstrować, do czego mogę wykorzystać powietrze? Co moja moc może z nim uczynić?

- Ochroni mnie moc Stwórcy - wykrztusiła Margaret. Uśmiezek zamienił się w szyderczy grymas.

- Tak sądzisz? No to ukażę ci niemoc Stwórcy.

Kobieta uniosła rękę. Margaret spodziewała się kuli ognia czarodzieja. Lecz to nie była kula ognia, a powietrza tak zgęszczonego, iż

dziewczyna widziała ją, widziała, jak zbliża się ku niej. Kula powietrza tak gęstego, że zniekształcało widziany przezeń obraz. Margaret słyszała świst nadlatującego pocisku, czuła falę mocy. Kula przeszła przez jej osłonę jak kropla płonącej smoły przez papier.

To się nie powinno było stać: tarcza Margaret była z powietrza. Powietrze nie powinno było przełamać powietrznej osłony, szczególnie tak mocnej jak ta. Jednak ową powietrzną kulę posłała nie zwykła Siostra, lecz Siostra mająca dar. Dar czarodzieja.

Zdumiona Margaret uświadomiła sobie, że leży na ziemi i patrzy na gwiazdy, śliczne gwiazdy - gwiazdy Stwórcy. Nie mogła oddychać. Nie mogła i już.

Jakie to dziwne, pomyślała dziewczyna. Nie pamiętała, czy trafił ją powietrzny pocisk. Pamiętała jedynie, że powietrze gwałtownie uszło z jej płuc. Było jej zimno, ale na twarzy czuła coś ciepłego. Ciepłego i wilgotnego. Dodało jej to otuchy.

Nogi *nie* chciały jej słuchać. Nie mogła nimi poruszyć, choć starała się ze wszystkich sił. Z największym wysiłkiem uniosła nieco głowę. Siostry się nie poruszyły, a jakby były dalej. Wszystkie patrzyły na nią. Margaret też na siebie spojrzała.

Stało się coś strasznego.

Poniżej zeber nie było już nic. Wilgotne, poszarpane resztki wnętrzości, a potem już nic. Zniknęła reszta ciała. Gdzie się podziały nogi? Przecież muszą gdzieś być. Powinny gdzieś być.

A, tam są. Leżały nieco dalej, tam gdzie przedtem stała.

Więc to tak. To dlatego nie mogła oddychać. Ale powietrze nie potrafiło przecież uczynić czegoś takiego. To niemożliwe. Przynajmniej powietrze posłane przez zwykłą Siostrę. Zdziwiałające.

Dla czegoś mnie nie wspomógł, ukochany Stwórco? *Wykonywałam* twoje zalecenia. Czemuś do tego dopuścił?

To powinno boleć, prawda? Czyż nie powinien cierpieć ktoś rozdarty na dwoje? Ale nie bolało. Ani odrobinę.

Zimno. Margaret było zimno. Lecz pokrywające twarz jej własne jelita

sprawały, że czuła coś ciepłego. Ciepło. Owo ciepło koίło.

Może Stwórca ją wspomagał i dlatego nie bolało. Na pewno. Oddalił od niej ból. Dzięki, ukochany Stwórco. Uczyniłam, co w mojej mocy. Przepraszam, że cię zawiodłam. Poślij inną.

Jakieś buty: Jedidiah. Jedidiah mąż, Jedidiah potwór.

- Próbowałem cię ostrzec, Margaret. Próbowałem cię zawrócić. Nie możesz zaprzeczyć, że próbowałem.

Ramiona Margaret opadły bezwładnie. W prawej dłoni wciąż czuła mały, złoty kwiatusek. Nie wypuściła go. Rozdarła ją na pół, a kwiatka nie puściła. Spróbowała to teraz uczynić, lecz nie mogła otworzyć dłoni. Tak chciałaby mieć dość sił, żeby rozewrzeć palce. Nie chciała umierać z kwiatkiem w dłoni. Ale palce jej nie słuchały.

I to mi się nie powiodło, ukochany Stwórco.

Nie potrafiła upuścić kwiatuszka, więc zrobiła jedyną rzecz, jaka jej przyszła na myśl. Przełała w kwiatek resztę swojej mocy. Może ktoś zobaczy i zada właściwe pytanie.

Zmęczona. Taka zmęczona.

Usiłowała zamknąć oczy, ale nie mogła. Czy może umrzeć osoba, której oczy nie chcą się zamknąć?

Ale dużo gwiazd. Ślicznych gwiazd. Choć mniej ich, niż pamiętała. Prawie w ogóle zniknęły. Mama kiedyś mówiła, ile ich jest. Ale Margaret zapomniała ile.

No cóż, musi je teraz policzyć.

Jedna... dwie...

ROZDZIAŁ 21

Jak dawno? - spytał Chase.

Siedmiu groźnie wyglądających mężczyzn, przykucniętych półkolem przed strażnikiem i Rachel, gapiło się nań i mrugało oczami. Poza przyczepionymi do pasów nożami nie mieli innej broni, a jeden z nich w ogóle nie był uzbrojony. Za nimi jednak stało wielu innych mężczyzn, zbrojnych w łuki lub dzidy, lub w jedno i w drugie.

Rachel mocniej otuliła się grubym, brązowym wełnianym płaszczem i kucając, przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, po czym poruszyła palcami stóp. Wolałaby nie mieć tak zmarzniętych stóp. Zaczynały mrowić. Dziewczynka dotknęła dużego bursztynowego kamienia, przymocowanego do zawieszzonego na szyi łańcuszka. Wyczuła palcami ciepło gładkiego, mającego kształt łyzy klejnotu.

Chase zamruczał coś, czego Rachel nie zrozumiała, poprawił na ramionach ciężki czarny płaszcz i wskazał patykiem na dwie wyrysowane na ziemi ludzkie postaci. Pochylił się do przodu, aż zaskrzypiały wszystkie mocujące broń skórzane pasy; buty miał tak wielkie, że tamci spokojnie mogliby włożyć obie stopy w jeden but strażnika. Znów stuknął patykiem w ziemię, obrócił się i wyciągnął ramię ku trawiastej równinie.

- Jak dawno? - Kilka razy pokazał na rysunek i na równinę. - Jak dawno odeszli?

Tamci powiedzieli coś, czego nie zrozumiał ani Chase, ani Rachel. Później mężczyzna o spalonej słońcem, okolonej srebrzystymi włosami twarzy, ubrany w prostą skózaną odzież i nie mający na ramionach skóry kojota, wykonał drugi rysunek. Dziewczynka bez trudu poznała, co to takiego. Słońce. Mężczyzna zrobił jakieś znaczki pod wizerunkiem słońca. Chase patrzył, jak tamten rysuje trzy rzędy symboli. Tylko trzy.

Strażnik wpatrywał się w rysunek.

- Trzy tygodnie. - Spojrzał na długowłosego mężczyznę. - Trzy tygodnie?
- Wskazał na wizerunek słońca i trzy razy pokazał palce. - Odeszli przed trzema tygodniami?

Mężczyzna potaknął i powiedział kilka zabawnie brzmiących słów.

Siddin podał Rachel kolejny kawałek chleba tava z miodem. Pyszne.

Dziewczynka starała się jeść powoli, lecz chleb zniknął nie wiadomo kiedy. Przedtem spróbowała miodu tylko raz, w zamku, gdy była towarzyszką zabaw księżniczki. Księżniczka nigdy nie pozwalała Rachel jeść miodu, mówiła, że to nie dla takich jak ona, jednak jeden z kucharzy pozwolił dziewczynce skosztować przysmaku.

Rachel przypomniawszy sobie, jaka księżniczka była dla niej paskudna, i poczuła ucisk w żołądku. Już nigdy nie chciałaby mieszkać w zamku. No, ale teraz była córką Chase'a i nie będzie musiała tam wrócić. Każdego wieczoru, otulona do snu kocami, zastanawiała się, jaka też jest reszta jej nowej rodziny.

Chase mówił, że będzie miała siostry i braci. I prawdziwą mamę. Powiedział, iż będzie musiała słuchać tej nowej mamy. No to będzie słuchać. Łatwo być posłuszną, kiedy ktoś cię kocha.

A Chase ją kochał. Nigdy tego co prawda nie powiedział, ale łatwo to było odgadnąć. Gdy bała się nocnych odgłosów, obejmował ją wielkim ramieniem i głaskał jej włosy.

Siddin uśmiechnął się do Rachel, zlizując z palców miód. Przyjemnie było znów go zobaczyć. A już się bała, że będą kłopoty.

Kiedy ona i Chase byli jeszcze na trawiastej równinie, znienacka otoczyli ich groźnie wyglądający, wymalowani błotem i oklejeni trawą mężczyźni. Nawet nie zauważyła, skąd się wzięli. Po prostu pojawili się i już.

Z początku Rachel się bała, bo mierzyli do nich z łuków i mówili coś groźnymi głosami, a ona nie rozumiała ich słów. Chase jednak zsiadł z konia, wziął Rachel na ręce i obserwował ich. Nawet nie dobył miecza ani żadnej innej broni. Pewno w ogóle nic go nigdy nie przestraszy. Był najodważniejszym ze znanych Rachel ludzi. Tamci patrzyli na nią, a Chase pogładził ją po włosach i powiedział, żeby się nie bała. Mężczyźni przestali celować w nich z łuków i zabrali ich do wioski.

A w wiosce Rachel zobaczyła Siddina. Chłopiec znał i ją, i Chase'a z czasów, kiedy Kahlan ocaliła go z pałacowych lochów królowej Mileny. Zedd, Kahlan, Chase, Siddin i ona, Rachel, razem uciekali ze szkatułą. Nie mówiła językiem chłopca, lecz wiedziała, że Siddin ich poznał i powie ojcu, kim są. A potem już wszyscy byli dla nich naprawdę mili.

Chase wskazał palcem na jedną z narysowanych postaci, palcem drugiej dłoni na następną postać, a potem połączył oba palce i wskazał w dal,

poruszając dłońmi, jakby przebiegały po pagórkach.

- Richard i Kahlan odeszli przed trzema tygodniami i skierowali się na północ? Do Aydindril?

Mężczyźni potrząsnęli głowami i coś zagadali. Ojciec Siddina uniósł dłoń i uciszył ich. Wskazał na siebie i tamtych mężczyzn - wysunął trzy palce. Pokazał rysunek, postać w sukience, wymówił imię Kahlan i wskazał ku północy.

Chase pokazał na wizerunek słońca, na rysunek Kahlan, na mężczyzn i unosząc trzy palce, zwrócił się ku północy.

- Trzy tygodnie temu Kahlan poszła do Aydindril z trzema twoimi ludźmi?

Wszyscy mężczyźni przytaknęli i powiedzieli „Kahlan” i „Aydindril”.

Chase pochylił się do przodu, podparł kolanem i postukał w rysunek drugiej osoby.

- Ale Richard też poszedł. - Znow wskazał na północ. - Richard też poszedł do Aydindril. Z Kahlan.

Siedzący przed strażnikiem mężczyźni spojrzeli na tego z długimi, srebrzystymi włosami. On zaś popatrzył na Chase'a i potrząsnął przecząco głową. Zakołysał się rzeźbiony kawałek kości, który nosił na szyi na skórzanym rzemyku. Wskazał na rysunek człowieka z mieczem” a potem w kierunku innym niż północny.

Strażnik wpatrywał się jakiś czas w srebrzystowłosego; zmarszczył brwi, bo nic nie pojmował. Tamten zaś narysował patykiem trzy postacie, każdą w sukni. Spojrzał spod oka, żeby się upewnić, iż Chase patrzy, i nakreślił X na dwóch z tych figur. Podniósł oczy na strażnika, otoczył kolana ramionami i czekał.

- Co to znaczy? Martwe? O to ci idzie, prawda? Że nie żyją? - Tamci trwali nieruchomo i patrzyli nań. Chase położył sobie na szyi palec jak nóż. - Martwe?

Srebrzystowłosey raz skinął głową i powiedział „martwe”, ale zabrzmiało to trochę zabawnie: wymawiał słowa tak, że się stawały dłuższe niż zwykle. Potem wskazał patykiem rysunek słońca, następnie wizerunek Kahlan i ponad ramieniem pokazał, w którą stronę poszła. Raz jeszcze dotknął słońca, wizerunku Richarda i kobiety bez X, po czym pokazał kierunek, w którym odeszli.

Strażnik wstał. Jego pierś uniosła się w głębokim westchnieniu. Był okropnie wysoki. Popatrzył w stronę, w którą według srebrzystowłosego odszedł Richard.

- Wschód. To znaczy głębiej w Dzicz - szepnął do siebie. - Dlaczego rozdzielił się z Kahlan? - Potarł brodę. Rachel uznała, że wygląda na zmartwionego, no bo to nie mógł być strach; nic nie mogło wystraszyć Chase'a. - O dobre duchy, po co Richard poszedł głębiej w Dzicz? Co opętało Kahlan, że mu na to pozwoliła? I kto mu towarzyszy?

Tamci spoglądali na siebie, jakby się zastanawiając, dlaczego Chase mówi w pustkę.

Strażnik znów przykucnął, pokazał rysunek trzeciej kobiety i patrząc na mężczyznę, zmarszczył brwi oraz wzruszył ramionami. Potem dotknął wizerunku Richarda, kobiety i wyciągnął rękę na wschód. Uniósł otwarte dłonie na wysokość barków, wzruszył ramionami, po czym skrzywił się, dając znak, że nic nie rozumie.

Srebrzystowłosa obdarzył Chase'a smutnym spojrzeniem i przeciągle westchnął. Pokazał na wizerunek kobiety, którego nie przekreślił, odwrócił się i od mężczyzny, który kucnął za nim, wziął linę. Owinął ją sobie wokół szyi. Popatrzył na zachmurzoną twarz Chase'a i wskazał wizerunek Richarda. Chase podniósł wzrok, ich oczy się spotkały - tamten z trzaskiem mocniej zaciągnął pętlę. Pokazał ku wschodowi. Dotknął patykiem rysunku Kahlan, potem przesunął palcami po swoim policzku, od kącików oka i w dół, markując łzy, a następnie wskazał ku północy.

Chase znów wstał. A właściwie poderwał się. Zbladł.

- Uprowadziła go - wyszeptał. - Ta kobieta pojmała Richarda i uprowadziła go w Dzicz.

Rachel też się podniosła.

- Co to znaczy, Chase? Czemu Kahlan z nim nie poszła? Strażnik spojrział na małą. Jego dziwna, nieruchoma twarz sprawiła, że żołądek dziewczynki zwinął się w twardą kulkę.

- Wyruszyła po pomoc. Poszła do Aydindril. Do Zedda.

Nikt się nie odezwał. Chase popatrzył ku wschodowi, wsunął kciuk za dużą, srebrną sprzączkę u pasa.

- O dobre duchy - szepnął sam do siebie - zawróćcie Richarda na północ, jeśli naprawdę poszedł w Dzicz. Nie pozwólcie, by się kierował na południe,

bo wtedy nawet Zedd nie zdoła mu pomóc.

- Co to ta Dzicz? - Rachel mocniej przytuliła lalkę.

- Bardzo złe miejsce, malutka. - Nieruchomo patrzył na ciemniejące niebo. - Bardzo złe miejsce.

Powiedział to cicho i spokojnie, lecz takim tonem, że Rachel dostała gęsiej skórki.

Zedd czuł, jak falują mięśnie końskiego grzbietu; schylił się pod gałęzią i przyhamował rumaka. Czarodziej preferował jazdę na oklep. Jeśli już musiał jechać konno, to chciał, by zwierzę czuło się tak swobodnie, jak to tylko możliwe. Uważał, że jedynie takie postępowanie jest wobec konia uczciwe. I większość koni, a zwłaszcza ten, doceniało metody Zedda. Klacz dawała z siebie więcej, niż gdyby była osiodłana, a Zedd przyjmował to z wdzięcznym sercem.

Siodło i resztę uprzęży zaoferował mężczyźnie zwanemu Haff. Tamten miał największe uszy, jakie Zedd widział w życiu. Dziw nad dziwy, jak ktoś z takimi uszami mógł znaleźć żonę. A Haft miał i żonę, i czwórkę dzieciaków, więc uprząż z pewnością bardziej mu się przyda niż Zeddowi. Oczywiście nie po to, żeby jeździć konno, a na sprzedaż. D'haranscy żołnierze zabrali zbiory i zapasy Haffa.

Przynajmniej tyle mógł czarodziej uczynić. W końcu Rachel była przemoknięta do suchej nitki, a mężczyzna ofiarował im w zrujnowanej szopie suche miejsca do spania, zaś jego żona poczęstowała cienkim kapuśniakiem; i niczego w zamian nie chcieli. Mina Chase'a, kiedy usłyszał, iż czarodziej nie jest głodny, z pewnością warta była siodła!

Za to wielkolud jadł za trzech, a powinien był się trochę zastanowić. Tej zimy zapanuje głód. Nie dostaną za uprząż tyle, ile jest warta - nie przy takim głodzie, hulającym jak mroczny wiatr przed burzą - ale zawsze coś, może akurat tyle, że łatwiej przetrwają najgorszy zimowy czas.

Zedd zauważył, iż Chase, kiedy myślał, że nikt go nie widzi, wsunął monetę do kieszeni każdego dziecka. Strażnik warczał przy tym na dzieciaki tonem, który wystraszyłby dorosłego, zaś u nich z jakiegoś powodu wywołał tylko uśmiechy, i nakazywał, żeby się nie ważyły zaglądać do kieszeni, dopóki on, Chase, nie odjedzie. Czarodziej miał cichą nadzieję, iż nie były, to złote monety. Strażnik granicy wywęszyłby złodzieja zakradającego się przez okno w sąsiednim mieście i pewno potrafiłby podać jego imię, lecz

zupełnie tracił głowę, kiedy chodziło o dzieci.

Haff dopytywał się podejrzliwie, czym się ma odwdzięczyć za uprząż. Zedd odparł, że powinien przysiąc dozgonną lojalność wobec Matki Spowiedniczki i nowego lorda D'Hary Rahla, którzy wspólnie położyli tamę takim niesprawiedliwościom, jakich i on, Haff, doświadczył. Mężczyzna gapił się na czarodzieja, jego olbrzymie uszy sterczały spod zabawnego kapelusza z chwastami po obu bokach, co jeszcze bardziej zwracało na nie uwagę. W końcu poważnie skinął głową i powiedział „Zgoda!”

Skromny początek: jeden lojalny, za cenę siodła. Żeby wszystko było takie proste. No, ale to się działo kilka tygodni temu. Teraz czarodziej był sam.

Z gęstego lasu przyplął słodki zapach płonącego brzoźowego drewna; klacz, ostrożnie idąca wąskim traktem, uniosła łeb; węszyła. Powietrze stało nieruchomo, gęstniejący mrok kładł na ścieżce coraz głębsze cienie. Zedd posłyszał harmider, zanim jeszcze ujrzał niewielki dom; łomot przewracanych mebli, brzęk garnków i rondli, przekleństwa. Koń nastawił uszy ku owym odgłosom; jechali krętym duktem. Czarodziej poklepał go uspokajająco po szyi.

Domek - drewniane, pociemniałe przez lata ściany, dach gęsto porośnięty paprociami, zasypany suchymi sosnowymi igłami - stał wśród olbrzymich drzew o ciemniejących w zmierzchu pniach. Zedd zsiadł przy brązowych, zeschniętych paprociach tworzących frontowy ogródek. Klacz patrzyła nań, kiedy drapał ją pod brodą.

- Bądź dobrą klaczka i znajdź sobie coś do jedzenia. - Uniósł palcem łeb konia. - Ale się nie oddalaj. - Zarżała cicho, a Zedd uśmiechnął się i potarł szary nos zwierzęcia. - Dobra klaczka.

Z wnętrza domku doleciał niski pomruk i gniewne szczęknięcie. Coś ciężkiego łupnęło o podłogę z towarzyszeniem grubych przekleństw w obcym języku.

- Wyłaż stamtąd, ty parszywa bestio!

Czarodziej uśmiechnął się, słysząc ów znajomy, ochryply głos. Obserwował, jak klacz odchodzi kawałek i zaczyna skubać kępy zeschniętej trawy; przy każdym łomocie unosiła łeb i oglądała się ku domkowi.

Zedd ruszył wolniutko w stronę chaty krętą dróżką. Zatrzymał się i podziwiał piękno otaczającego budynek lasu. To istotnie był prawdziwy

cud - spokojne, bezpieczne miejsce w jednym z najniebezpieczniejszych punktów świata - przy granicy. Lecz granicy już nie było, las zaś pozostał spokojnym, przepojonym niemal dotykającą ciszą schronieniem. Zedd wiedział, że nie było to naturalne. Sprawiała to ta sama kobieta, która w tej chwili rzucała przekleństwa, zdolne przyprawić o rumieniec wstydu zaprawionego w bojach sandariańskiego lansjera.

Zedd był kiedyś świadkiem, jak jeden z owych lansjerów tak sklął własną królową, że wpadła w głębokie omdlenie. Zasłużył sobie tym, rzecz jasna, na stryczek. Zuch powiedział też parę słów katu, a ten w odwecie nie powiesił go czysto, dając tym samym okazję do rzucenia ostatniej - obfitej, choć wulgarnej - wiązanek. Koledzy lansjera najwyraźniej uważali, że gra była warta świeczki. Co do królowej, tak to zraniło jej delikatne uszy, że chyba nigdy w pełni nie odzyskała równowagi i od tej pory zawsze purpurowiała na widok jednego ze swych lansjerów, a towarzyszące jej damy musiały ją energicznie wachlować, by znów nie straciła przytomności. Pewno najchętniej powiesiłaby wszystkich lansjerów, gdyby nie to, że więcej niż raz ocalili jej tron, nie mówiąc o zgrabnej szyjce. Ale to było dawno, dawno temu, na innej wojnie.

Czarodziej splótł dłonie za plecami i oddychał głęboko, rozkoszując się czystym, rześkim powietrzem. Potem pochylił się, zerwał suchą, zwiędniętą różę i dzięki odrobinie magii zmienił ją w świeży, wonny kwiat. Żółte płatki wypełniło nowe życie. Zedd zamknął oczy, głęboko odetchnął aromatem kwiatu i schował różę na piersi. Nie spieszyło mu się.

Niezbyt mądrze byłoby przerywać rozeźlonej czarodziejce.

Przez otwarte drzwi doleciało jeszcze konkretniejsze przekleństwo, jakby obiekt gniewu kobiety miał wreszcie dostać za swoje. Celny cios obuchem siekiery wyrzucił coś przez drzwi. U stóp Zedda wylądowało na grzbiecie niewielkie, opancerzone stworzenie. Powarkiwało, szcząkało szczypcami, kiwało się na boki i młóciło powietrze szponami, próbując się przekreślić na łapy. Ani siekiera, ani twarde lądowanie nic mu nie zrobiły.

Wstrętny szponiak. To właśnie szponiak przyczepił się kiedyś do kostki Adie. Kiedy już szponiak cię dopadnie, to żaden sposób nie możesz się go pozbyć. Trzyma się szponami, wbija w ciebie zęby aż do kości i wysysa krew tym swoim pomarszczonym, pełnym kłów pyskiem. Nie puści, dopóki zostanie w tobie choć kropelka krwi, a pancerz chroni go przed wszystkim.

Adie musiała sobie obciąć stopę, tuż ponad miejscem, do którego przyczepiło się zwierzę. Obcięła ją sobie, żeby ocalić życie. Sama myśl o tym przyprawiła Zedda o mdłości. Przyglądał się przez chwilę leżącemu u jego stóp stworowi, a potem celnym kopniakiem odrzucił go na sporą odległość. Tym razem wylądował na łapach i pomaszerował do lasu poszukać łatwiejszej zdobyczy.

Czarodziej podniósł oczy na stojącą w drzwiach i patrzącą nań gniewnie białymi oczami postać; jej pierś ciągle jeszcze unosiła się w przyspieszonym oddechu. Kobieta była odziana w taką samą szatę jak on, z tym że strój zdobił haft z czerwonych i złocistych paciorków, układających się w starożytne symbole jej profesji. Wsparła się pięściami pod boki. Twarz nadal marszczyła się gniewnie, nie tracąc przy tym nic ze swojej urody. W dalszym ciągu trzymała w dłoni siekiere; niedobry znak. Lepiej zbyt szybko nie mówić, z czym przyszedł.

- Nie powinnaś igrać ze szponiakami, Adie. - Zedd się uśmiechnął. - Przecież w ten sposób straciłaś stopę, pamiętasz?

Z ukrycia na piersiach wyjął żółtą różę, a szeroki uśmiech rozciągnął jego pomarszczone policzki. - Masz coś do jedzenia? Umieram z głodu.

Kobieta obserwowała go przez chwilę w milczeniu, potem opuściła siekiere na podłogę i oparła stylisko o ścianę, tuż za drzwiami.

- Co tu robisz, czarodzieju?

Zedd wkroczył na małe ganek, skłonił się głęboko. Wyprostował się i podał jej kwiat, jakby to był bezcenny klejnot.

- Nie mogłem zbyt długo przebywać z dala od twych czułych objęć, droga damo - rzekł i błysnął swym najbardziej nieodpartym uśmiechem.

Adie patrzyła nań przez moment swymi białymi oczami.

- To kłamstwo.

Zedd odchrząknął i jeszcze bliżej podsunął jej kwiat. Uznał, że musi lepiej wyćwiczyć ten swój uśmiech.

- Czyżbym czuł aromat gulaszu?

Nie spuszczając oka z czarodzieja, przyjęła różę i wpięła ją w proste, czarno-siwe włosy. Naprawdę była ładna.

- To gulasz. - Miękką, szczipłą dłonią ujęła rękę Zedda. Delikatny uśmiech rozjaśnił pokrytą siateczką zmarszczek twarz; z wolna skinęła głową. - Dobrze cię znów widzieć, Zeddzie. Bałam się, że cię już nigdy nie

zobaczę. Bardzo się niepokoiłam, wiedząc, co się stanie, jeżeli ci się nie uda. Kiedy nadeszła zima i magia Ordenu nie przewaliła się przez kraj, wiedziałam, że ci się powiodło.

Zedd się ucieszył, iż jego najlepszy uśmiech nie poszedł całkiem na marne, odpowiedzi udzielił jednak ostrożnie.

- Rahl Posepny został pokonany.

- A co z Richardem i Kahlan? Są bezpieczni?

- Tak. - Czarodziej wypiął się dumnie. - Właściwie to Richard pokonał Rahl Posepnego.

Znów skinęła głową.

- Pewno jest co opowiadać.

- Troszeczkę. - Zedd wzruszył ramionami, starając się nie zdradzić prawdziwej wagi wydarzeń.

Uśmiech wciąż rozjaśniał twarz Adie, lecz mimo to jej białe oczy sondowały duszę czarodzieja.

- Jest jeszcze jakiś powód, dla którego tu przybyłeś. Powód, który, obawiam się, nie spodoba mi się.

Zedd wysunął dłonie z jej rąk, odgarnął do tyłu swoje niesforne, faliste, siwe włosy i nachmurzył oblicze.

- O kurczę, dasz mi w końcu tego gulaszu, kobieto, czy nie? Adie odwróciła wreszcie odeń swoje białe oczy i wycofała się w głąb domu.

- Myślę, że jest dość gulaszu, nawet i dla ciebie. Wejdz i zamknij drzwi. Wystarczy mi na dziś jeden szponiak.

Zaproszony. Idzie całkiem gładko. Zedd się zastanawiał, ile też będzie musiał Adie powiedzieć. Miał nadzieję, że nie wszystko. Dola czarodzieja: posługiwać się ludźmi. Najgorzej było wykorzystywać ludzi, których lubił. Zwłaszcza tych, których lubił bardzo.

Zedd pomagał Adie ustawić stół i krzesła, zebrać z podłogi garnki i cynowe talerze, jednocześnie opowiadając o tym, co się wydarzyło od czasu, kiedy się ostatni raz widzieli. Rozpoczął od wstrząsającej opowieści o tym, jak to wędrował przejściem, chroniony przez kość, którą dostał od czarodziejki, żeby go ukryła przed bestiami. Nadał miał tę kość, zawieszoną na szyi na cienkim skórzanym rzemyku; wcale nie zamierzał się jej pozbywać, choć bezpiecznie przeszedł granicę.

Adie w milczeniu słuchała opowieści Zedda. Nie odwróciła się, kiedy

dotarł do tego, jak Mord-Sith schwytala Richarda. Czarodziej nie widzial jej twarzy, lecz dostrzegł, że na króciutką chwilę napięły się mięśnie barków kobiety. Z patosem powiedział, jak Rahl Posępny odebrał Richardowi nocny kamień, który mu dała, by bezpiecznie przebył przejście. Łypnął gniewnie na plecy Adie, podnoszącej z podłogi talerz.

- Omal nie zginąłem przez ten kamień. Rahl Posępny posłużył się nim, aby zwabić mnie do zaświatów i tam zatrzymać. Ledwo uciekłem. Prawie że mnie zabiłaś, dając ten kamień Richardowi.

- Nie bądź takim tępotnym głupkiem - odburknęła. - Masz dość sprytu, by się ocalić. Gdybym nie dała go Richardowi, to umarłby w przejściu i Rahl Posępny by wygrał, a teraz bez wątpienia znęcałby się nad tobą. Wkrótce by cię uśmiercił. Ocaliłam ci życie, wręczając kamień Richardowi.

Rzuciła nań okiem przez ramię, gdy potrząsnął kością z czyjejs nogi.

- Ten kamień był niebezpieczny. Nie powinnaś rozdawać takich groźnych rzeczy jak cukierków. Trzeba przynajmniej ostrzegać ludzi.

Miał święte prawo czuć się oburzony. To jego wciągnięto do zaświatów za pomocą tego wrednego kamienia. Niewiasta powinna przynajmniej udawać skrucę, ot co.

Czarodziej powiedział, jak Richard uciekł, choć otoczono go siecią kryjącą tożsamość chłopaka, i o tym, jak bojówka zaatakowała Chase'a, Kahlan oraz jego, Zedda. Z wysiłkiem panował nad głosem, mówiąc o tym, czego Kahlan o włos uniknęła, jak przywołała Con Dar i zabiła napastników. Zakończył historię o podstępie, którym Richard skłonił Rahla Posępnego do otwarcia niewłaściwej szkatuły. Opisał, jak magia Ordenu odplaciła Raulowi za tę pomyłkę. Zedd uśmiechał się do siebie, opowiadając o tym, że Richard jakimś sposobem poradził sobie z magią Kahlan, tak iż ci dwoje mogą się kochać bez przeszkód i że szczęśliwie są teraz razem. Nie powiedział, oczywiście, jak to możliwe; nie każdy musiał to wiedzieć.

Czarodziej był zadowolony, iż udało mu się zrelacjonować całą historię bez zbyt dokładnego wnikania w szczegóły co bardziej przykrych zdarzeń. Wolał ponownie nie przeżywać niektórych z nich. Adie nie spytała o nic; podeszła i położyła dłoń na ramieniu Zedda, mówiąc, jaka to dla niej ulga, że przeżyli i wygrali.

Zedd powiedział, co się zdarzyło - to znaczy to, co chciał opowiedzieć - i teraz milczał. Zabrał się do układania kości leżących luźno w kącie, który

wskazała mu Adie. Sądząc po tym, jak były porozrzucane, szponiak musiał szukać tu schronienia. Przykra pomyłka.

Nic dziwnego, że ludzie nazywali Adie kościaną babką; w domku były niemal same kości. Wyglądało na to, iż poświęciła im życie. Osobliwy i niepokojący przypadek - czarodziejka specjalizująca się w kościach. Niewiele tu było wywarów, proszków czy innych rzeczy służących do czarów, choć można było tego oczekiwać po kobiecie o jej zdolnościach. Zedd wiedział, co próbowała zgłębić, ale nie miał pojęcia dlaczego.

Czarodziejki zazwyczaj zajmują się tym, co żywe. Adie zaś zgłębiała wszystko, co mroczne i niebezpieczne. I martwe. Zedd, niestety, również się tym zajmował. Uważał, iż jeśli chce się poznać ogień, to należy go badać. Jasne, że można przy tym spłonąć. Od razu znienawidził to porównanie.

- Trzymaj drzwi zamknięte, Adie, jeżeli nie chcesz w domu szponiaków - rzucił, podnosząc wzrok znad sterty kości, którą właśnie kończył układać.

Zmarnował wspaniale dobraną burkliwą minę, bo Adie nawet się nie odwróciła, nie przerywając układania drew w skrzyni obok paleniska.

- Drzwi były zamknięte. I zaryglowane - odparła swym ochryłym głosem, tonem, który najwyraźniej miał go rozchmurzyć. - To już trzeci raz. - Znalazła kość, ukrytą za szczapą drewna, wyprostowała się i zaniósła ją Zeddowi. - Przedtem szponiaki nigdy się nie zbliżyły do mojego domu. - Zniżyła głos, jakby nie chciała, by ją ktoś usłyszał. - Miałam na to baczenie. - Spojrzała na przykucniętego obok stosu kości Zedda i podała mu grube, białe zebro. - Teraz, od zimy, podchodzą bliżej. Jakby kości ich już nie odstraszały. Powód tego to dla mnie tajemnica.

Adie od dawna mieszkała w tym przejściu. Nikt lepiej od niej nie znał tutejszych niebezpieczeństw, niespodzianek, dziwactw. Nikt lepiej nie wiedział, ile trzeba trudu, żeby być tu bezpiecznym, żeby żyć na granicy pomiędzy światem żywych a światem zmarłych, na skraju zaświatów. Granicy, rzecz jasna, już nie było. Teraz powinno tu być bezpiecznie.

Zedd się zastanawiał, o czym Adie zamilczała; czarodziejki nigdy nie mówią wszystkiego, co wiedzą. Dlaczego wciąż tu tkwi, choć dzieją się takie osobliwe i niebezpieczne rzeczy? Uparte kobiety z tych czarodziejek, wszystkie takie są.

Adie, lekko utykając, szła przez izbę oświetlaną jedynie ogniem.

- Zapalisz lampę?

Idący za nią Zedd wyciągnął rękę ku stołowi. Lampa się zaświeciła, łącząc swe miękkie światło z blaskiem ognia płonącego w dużym palenisku z gładkich rzecznych kamieni i rozjaśniając ciemne ściany izby. Na każdej z nich wisiały białe kości. Na jednej ze ścian zamocowano półki, przeładowane czaszkami groźnych bestii. Z wielu kości zrobiono rytualne przedmioty, z innych naszyjniki ozdobione piórami i paciorkami, jeszcze inne pokryto starożytnymi symbolami. Wokół niektórych kości wyrysowano na ścianie zaklęcia. Zedd jeszcze nigdy nie widział tak osobliwej kolekcji.

- Dlaczego kulejesz? - spytał czarodziej, wskazując kościstym palcem stopę Adie.

Kobieta przystanęła, zdjęła łyżkę z haczyka zamocowanego w ścianie obok paleniska i spojrzała z ukosa na Zedda.

- Za krótką stopę mi wyhodowałaś.

Zatrzymał się, jedną dłoń wsparł na kościstym biodrze. Patykowatymi palcami drugiej natomiast ujął swoją gładko wygoloną brodę i przyjrzał się stopie Adie. Kiedy sprawił, że stopa odrosła, nie zauważył, iż noga jest trochę krótsza; zaraz potem musiał odejść.

- Może mógłbym trochę wydłużyć kostkę - zastanawiał się na głos. Puścił brodę i gestem dał do zrozumienia, co ma na myśli. - Wyrównać je.

- O nie, dziękuję. - Adie, mieszając gulasz, łypnęła nań gniewnie przez ramię.

- Nie wolałabyś mieć równych nóg? - zdumiał się Zedd.

- Doceniam to, iż wyhodowałaś mi nową stopę. Łatwiej żyć, kiedy się ma obie. Nawet nie wiedziałam, że aż tak nie cierpię mojej kuli. Stopa jest dobra taka, jaka jest. - Uniosła łyżkę ku ustom, chuchnęła.

- Łatwiej by ci było, gdyby obie były równe.

- Powiedziałam „nie”. - Spróbowała gulaszu.

- Kurczę, kobieto, dlaczego nie?

Adie ostukała łyżkę do czysta o brzeg stalowego kociołka i odwiesiła ją na miejsce. Z obramowania paleniska wzięła powyginaną puszkę i zdjęła wieczko. Głos miała spokojny, mniej chrapliwy.

- Nie chcę jeszcze raz przeżyć tego bólu. Gdybym wiedziała, co to będzie, to pewno wolałabym przeżyć resztę moich dni bez tej stopy. - Sięgnęła do puszek, wyjęła szczyptę przypraw i wrzuciła do gulaszu.

Zedd pociągnął się za ucho. Może i miała rację. To odrastanie stopy

niemal ją zabiło. Nie spodziewał się, że tak będzie, że tak zareaguje na tę odrobinę magii, którą na nią podziałał. No ale osiągnął zamierzony cel i udało mu się usunąć cierpienie ze wspomnień, choć nadal nie wiedział, czego dotyczyły. Powinien był jednak wziąć pod uwagę, iż Adie zachowa jakieś wspomnienia o tym wielkim bólu.

Powinien wziąć pod uwagę drugie prawo magii, ale za bardzo się skupił na owym dobrym uczynku. I tak to było z tym drugim prawem: zwykle nie było wiadomo, czy się je łamie, czy nie.

- Przecież znasz cenę magii, Adie, i to niemal równie dobrze jak czarodziej. Poza tym wynagrodziłem ci to. Mam na myśli ból. - Zedd wiedział, że do wydłużenia nogi nie trzeba tyle magii, ile do przywrócenia stopy, lecz rozumiał niechęć kobiety po tym, co wycierpiała. - Może i masz rację. Może zrobiłem, co było trzeba.

- Po co tu przyszedłeś, czarodzieju? - Białe oczy znów na nim spoczęły.

- Chciałem cię zobaczyć. - Uśmiechnął się do niej szelmowsko. -

Trudno zapomnieć taką kobietę jak ty. No i chciałem ci opowiedzieć, jak Richard pokonał Rahla Posępnego. Powiedzieć, że zwyciężyliśmy. - Nachmurzył się pod jej spojrzeniem. - Jak myślisz, dlaczego szponiaki tu przychodzą?

Adie z westchnieniem potrząsnęła głową.

- Mówisz tak, jak pijany chodzi: miotasz się we wszystkich kierunkach, zamiast zmierzać prosto do celu. - Wskazała palcem stół, dając Zeddowi znak, że ma przynieść miski. - Wiedziałam już, że wygraliśmy. Nadszedł i minął pierwszy dzień zimy. Gdyby Rahl zwyciężył, nie byłoby tak spokojnie. Miło mi jednak znów zobaczyć twoje kości. - Zniżyła głos jeszcze chryplwszy niż zwykle. - Po co tu przyszedłeś, czarodzieju?

Zedd podszedł do stołu, rad, że może umknąć jej badawczemu spojrzeniu.

- Nie odpowiedziałaś na pytanie. Dlaczego, według ciebie, szponiaki tu przychodzą?

Głos Adie zmienił się w niski, ochryply szept, w którym pobrzmiwała zapowiedź gniewu.

- Myślę, iż pojawiają się tu z tego samego powodu co ty: żeby narobić kłopotów starej kobiecie.

Radośnie uśmiechnięty Zedd wrócił z miskami.

- Moje oczy nie widzą żadnej starej kobiety. Widzą urodziwą kobietę. Adie skwitowała jego uśmiech bezradnym potrząśnięciem głowy.

- Obawiam się, że twoja mowa jest niebezpieczniejsza niż szponiak. Czarodziej podał jej miskę.

- Czy szponiaki i przedtem się tu pojawiały?

- Nie. - Odwróciła się i zaczęła nakładać gulasz do miski. - Kiedy granica była na miejscu, zostawały w przejściu wraz z innymi bestiami. Potem granica zniknęła, ale nie widziałam ich przez jakiś czas. Zjawiły się razem z zimą. To nie w porządku. Myślę, że coś jest nie tak.

Zedd wymienił pustą miskę na pełną, podsunął ją sobie pod nos i wdychał smakowity zapach.

- Pewno już ich nic nie powstrzymywało, kiedy zniknęła granica, i zwyczajnie wyszły poza przejście.

- Może. Większość bestii zniknęła wraz z granicą; wróciły do zaświatów. Inne odzyskały wolność i rozbiegły się po okolicy. Aż do nadejścia zimy, jakiś miesiąc temu, nie widziałam tu żadnego szponiaka. Boję się, że musiało się zdarzyć coś innego, skoro tu przyszły.

Zedd dobrze wiedział, co się stało, ale milczał. Zamiast tego spytał: - Dlaczego stąd nie odejdziesz, Adie? Chodź ze mną. Do Aydindril. To by było...

- Nie! - Mocno zacisnęła wargi; wyglądała na zdziwioną własną odpowiedzią. Wyglądziła dłonią suknię, pozbyła się gniewnej miny i znów zaczęła nakładać gulasz. - Nie. Tu jest mój dom.

Czarodziej w milczeniu patrzył, jak pracowała łyżką nad kociołkiem. Skończyła, zaniosiła swoją miskę ku stołowi, postawiła na blacie i wzięła chleb z półki okrytej zasłonką w białe i niebieskie paski. Wskazała bochenkiem na drugie, puste krzesło. Zedd postawił swoją miskę na stole i usiadł na podwiniętych nogach. Adie spoczęła naprzeciw niego, odkroiła kromkę i popchnęła ją czubkiem noża ku czarodziejowi; dopiero potem spojrzała mu w oczy.

- Nie prosz, żebym opuściła swój dom, Zeddzie.

- Ja tylko martwię się o ciebie, Adie. Kobieta zamoczyła chleb w gulaszu.

- Kłamstwo.

Zedd spojrzał na nią spod oka i wziął swoją kronikę.

- To nie kłamstwo. Jadła, nie unosząc głowy.

- „Tylko” to kłamstwo.

Zajął się swoim gulaszem i jadł gorliwie.

- Mmmm, ale pyszne - wymruczał przez kawałek gorącego mięsa.

Adie skinęła głową w podzięcie za uznanie. Czarodziej zjadł wszystko, podszedł do paleniska i znów napełnił swoją miskę. Wracając, szerokim gestem ręki z łyżką wskazał izbę.

- Masz uroczy dom, Adie. Uroczy. - Usiadł i wziął pieczywo, które mu przysunęła. Oparł łokcie na stole, tak że zsunęły mu się rękawy, i przełamał na pół chleb. - Ale nie powinnaś tu sama mieszkać. Z powodu tych szponiaków i w ogóle. - Wskazał chlebem ku północy. - Dlaczego nie ruszysz ze mną do Aydindril? To też ładne miejsce. Spodobałoby ci się. Mnóstwo tam przestrzeni. Kahlan już zadba o to, byś mogła wybrać domek. A mogłabyś też zostać w wieży, gdybyś chciała.

- Nie. - Białe oczy wpatrywały się w miskę z gulaszem.

- Dlaczego nie? Dobrze by nam tam było. Czarodziejka miałaby co robić w wieży. Są tam księgi i...

- Powiedziałam „nie”.

Przyglądał się jej; znów się zajęła gulaszem. Zedd jeszcze wyżej podciągnął rękawy i poszedł w jej ślady. Nie mógł jednak jeść. Zostawił łyżkę w misce i spojrzał spod oka na czarodziejkę.

- Sporo przed tobą zataiłem, Adie.

- Mam nadzieję, iż nie oczekujesz, że się zdziwię. - Uniosła brew. - Nie jestem dobra w udawaniu. - Znów pochyliła się nad miską.

- Zastona jest rozdarta, Adie.

Ręka niosąca łyżkę do ust zamarła w połowie drogi. Adie nie podniosła oczu.

- Baaa. Co ty tam wiesz o zastonie. Nie masz pojęcia, o czym mówisz. - Łyżka dotarła do ust.

- Wiem, że jest rozdarta.

Adie wyłowiła z miski ostatni kawałek ziemniaka.

- Mówisz o sprawach, które nie są możliwe, czarodzieju. Zastony nie można przerwać. - Wstała, wzięła swoją pustą miskę. - Nie martw się, stary. Gdyby zastona była przzerwana, to musielibyśmy się przejmować nie tylko szponiakami. A tak nie jest.

Zedd odwrócił się, położył dłoń na oparciu krzesła i patrzył, jak Adie

kuleje, idąc ku wiszącemu nad paleniskiem kociołkowi.

- Kamień Łez znalazł się w naszym świecie - powiedział cicho. Adie stanęła. Miska upadła na podłogę, brzęcząc w głuchej ciszy, i odtoczyła się na bok. Kobieta zeszywniała; ręce nadal wyciągała w przód, jakby w dalszym ciągu trzymała w nich naczynie.

- Nie mów na głos takich rzeczy - wyszeptała - chyba że nie masz co do nich ani cienia wątpliwości. Chyba że możesz przysiąc na honor czarodzieja pierwszego stopnia. Chyba że jeśli kłamiesz, chcesz ofiarować swą duszę Opiekunowi.

Płonące orzechowe oczy Zedda wpatrywały się w plecy kobiety.

- Niech Opiekun bierze moją duszę, jeżeli cię okłamuję. Niech mnie natychmiast porwie. Kamień Łez jest w naszym świecie. Widziałem go.

- Chronicie nas, dobre duchy - szepnęła słabym głosem. Nadal stała nieruchomo. - Powiedz mi, jakie szaleństwo popełniłeś, czarodzieju.

- Chodź tu i usiądź, Adie. Chcę, żebyś mi najpierw opowiedziała, dlaczego mieszkałaś w przejściu, a właściwie w tym, co kiedyś nim było. Co porabiałaś na skraju zaświatów i dlaczego nie chcesz stąd odejść.

Odwróciła się ku niemu, zacisnęła dłoń na spódnicy,

- To moja sprawa. Zedd wstał.

- Muszę wiedzieć, Adie. Muszę wiedzieć, co robiłaś, żeby ocenić, czy to się może teraz przydać. Dobrze znam ból, który cię dręczy. Widziałem to, pamiętasz? Nie mam pojęcia, co go spowodowało, lecz wiem, jaki jest głęboki. Proszę, byś mi opowiedziała swoją historię. Proszę cię jako przyjaciel, byś mi zaufała. Nie zmuszaj mnie, żebym prosił jako Pierwszy Czarodziej.

Przy ostatnich słowach uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Przez jej twarz przemknął błysk gniewu; skinęła głową.

- Dobrze. Może zbyt długo zachowywałam to dla siebie. Może ulży mi, gdy komuś powiem... Gdy powiem przyjacielowi. Może nie będziesz chciał ode mnie pomocy, kiedy to usłyszysz. A jeśli dalej będziesz chciał, żebym ci pomogła, to oczekuję, iż opowiesz mi, co się wydarzyło. - Wskazała palcem w jego kierunku. - Że powiesz wszystko.

- Jasne. - Zedd uśmiechnął się do niej zachęcająco.

Utykając, wróciła ku swojemu krzesłu. Usiadła, a największa czaszka stoczyła się z półki i łupnęła o podłogę. Oboje wpatrzyli się w nią. Zedd

podszedł i uniósł czerep. Cienkimi palcami dotknął spiczastych, zakrzywionych kłów, długich jak jego dłoni. Spód czaszki był gładki - nie powinna była się stoczyć. Adie patrzyła, jak czarodziej ponownie ustawiają na półce.

- Wygląda na to - zachrypiła - że kości ostatnio chcą być na podłodze. Wciąż spadają.

Zedd raz jeszcze łypnął groźnie na czaszkę i wrócił na swoje krzesło.

- Opowiedz mi o kościach: po co ci one, co z nimi robisz. Opowiedz wszystko. Zaczynaj od początku.

- Wszystko. - Adie złożyła dłonie na podolku; przez chwilę wyglądała, jakby chciała uciec. - Bolesnie będzie o tym mówić.

- Przenigdy nie zdradzę ani słowa z tego, co mi teraz opowiesz, Adie.

ROZDZIAŁ 22

Adie głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Urodziłam się w Choorą w Nikobarezji. Moja matka nie miała magicznego daru. Była „przeskokiem” Jak to nazywano. Dar miała moja babka Lindel. Matka była wdzięczna dobrym duchom za to, że nie została obdarzona, lecz jednocześnie miała im za złe, iż stało się to ze mną. Ludzi z darem w Nikobarezji nienawidzono i nie wierzono im. Uważano, że dar ma związek z mocą, która pochodzi nie tylko od Stwórcy, ale i od Opiekuna. Nawet tych, którzy posługiwali się nim dla dobra innych, podejrzewano, że są banelingami. Wiesz, kto to baneling, prawda?

- Tak. - Zedd oderwał kawałek chleba. - Ten, który przeszedł na stronę Opiekuna. Złożył mu przysięgę. Czają się tak w mroku, jak i w świetle, spełniając jego życzenia, pracując dlań. Każdy może się okazać banelingiem. Jedni latami działają porządnie i ukrywają się, czekając, aż zostaną wezwani. A gdy to już się stanie, wypełniają wolę Opiekuna. Rozmaicie się ich nazywa, lecz wszyscy są agentami Opiekuna. Niektóre księgi nazywają ich właśnie tak: agenci. Bywają, jak Rahl Posępny, znamienitymi osobistościami, wykorzystywanymi do ważnych celów. Inni to zwyczajni ludzie, używani do małych, brudnych sprawek. Najtrudniej Opiekunowi zdobyć tych z darem jak Rahl Posępny. Nie obdarzonych łatwiej przekabacić, ale i takich nie jest wielu.

- Rahl Posępny to baneling? - zdumiała się Adie. Zedd przytaknął.

- Sam mi to powiedział. Powiedział, że był agentem, a to to samo, niezależnie od nazwy, a słyszałam ich wiele. Wszyscy służą Opiekunowi.

- To groźne wieści.

Zedd zamoczył chleb w gulaszu.

- Mało mam innych. Opowiadałaś o swojej babce Lindel.

- W czasach młodości babki Lindel czarodziejki zabijano za wszystko, co niósł los: za chorobę, wypadki, porody martwych płodów. Uśmiercano je za to, że, jak błędnie sądzono, były banelingami. Niektóre mściły się za niesłuszne prześladowania. Dobrze się broniły. To tylko pogłębiało nienawiść i potwierdzało lęki wielu Nikobarezyjczyków. W końcu zawarto rozejm. Władcy Nikobarezji zgodzili się pozostawić przy życiu czarodziejki,

jeśli przysięgną na własną duszę, udowadniając tym, iż nie są banelingami, że nie będą korzystać ze swojej mocy, jeżeli nie pozwoli im na to lokalna władza. Przysięgały współobywatelom. Zobowiązywały się, że nie będą posługiwać się darem i przyciągać uwagi Opiekuna. Zedd przełknął gulasz.

- Dlaczego ludzie sądzili, iż czarodziejki są banelingami?

- Bo łatwiej winić kobietę za swoje kłopoty, niż uznać prawdę; lepiej oskarżać, niż przeklinać nieznaną. Dar może pomóc innym, może też im jednak zaszkodzić. A skoro można daru użyć na szkodę innych, to wiercono, że przynajmniej częściowo pochodzi od Opiekuna.

- Zabobonna bzdura - warknął Zedd.

- Dobrze wiesz, iż przesąd nie potrzebuje prawdy, by się zakorzenić. A jak się już zakorzeni, to wyrasta na potężne, choć pokrzywione drzewo.

Burkliwie przytaknął.

- Więc żadna czarodziejka nie wykorzystwała swojego daru? Adie potrząsnęła głową.

- Nie. Chyba że dla wspólnego dobra, ale najpierw stawały przed królewskim kręgiem swojego miasta i prosiły o pozwolenie. Każda czarodziejka stawała przed kręgiem we własnym mieście lub dystrykcie i składała przysięgę na swą nieśmiertelną duszę, iż podporządkuje się woli społeczności. Przysięgała uroczyście, że nie użyje swej mocy dla nikogo ani wobec nikogo, chyba że za pozwoleniem kręgu.

Zedd z niesmakiem opuścił łyżkę.

- Ależ one miały dar. Jakże mogły zeń nie korzystać? - Korzystały, lecz jedynie w tajemnicy. Nigdy wtedy, gdy ktoś mógł zobaczyć, i nigdy na nikogo nie wpływały.

Czarodziej odchylił się do tyłu, potrząsnął głową w niemym zadziwieniu nad pierwszym prawem magii i nad tym, jak głupi potrafią być ludzie. Adie ciągnęła opowieść.

- Babka Lindel była surową, samotnie mieszkającą staruchą. Nigdy nie chciała mnie uczyć posługiwania się darem. Powiedziała mi tylko, żeby to zostawić w spokoju. A matka, oczywiście, niczego nauczyć mnie nie mogła. Uczylałam się więc sama, w miarę jak rosłam i jak mój dar rósł razem ze mną, ale dobrze wiedziałam, jak niegodziwie jest się posługiwać darem. Wbijano mi to do głowy niemal każdego dnia. Wykorzystanie daru bez pozwolenia odpowiadało, jak mi wmawiano, dotknięciu piętna uczynionego przez

Opiekuna.

Wierzyłam w to. Bardzo się bałam wykroczyć poza to, czego mnie uczono. Byłam owocem na drzewie przesądów. Raz, kiedy miałam osiem lub dziewięć lat, znalazłam się z matką i ojcem w dzień targowy na miejskim rynku. Zapalił się wtedy dom po drugiej stronie placu. Płomienie odcięły na drugim piętrze dziewczynkę w moim wieku. Wołała o pomoc. Nikt się nie mógł do niej dostać, bo płonęło całe pierwsze piętro. Jej przeraźliwe krzyki szarpały mi nerwy. Zaczęłam płakać. Chciałam jej pomóc. Nie mogłam znieść tych wrzasków. - Adie złożyła dłonie na podołku i opuściła wzrok. - Sprawiałam, że ogień zgasł. Ocaliłam dziewczynkę.

Wpatrywała się w stół, a Zedd obserwował jej spokojną twarz.

- Przypuszczam, iż nikt nie był zadowolony? Poza małą i jej rodzicami, rzecz jasna.

Adie potrząsnęła głową.

- Każdy wiedział, że mam dar. Wiedzieli, że to ja zadziałałam. Matka płakała. Ojciec patrzył w inną stronę. *Nie* chciał spojrzeć na mnie, nosicielkę zła Opiekuna. Ktoś poszedł po babkę Lindel. Bardzo ją szanowano, bo niezłomnie dotrzymywała przysięgi. Babka Lindel zaprowadziła mnie i ocaloną dziewczynkę przed królewski krąg. Wychłostała tą, którą ocaliłam. Długo krzyczała.

- Zbiła małą? Dlaczego? - Zedd nie mógł się nadziwić.

- Za to, że za jej pośrednictwem Opiekun wymusił posłuszenie się darem - westchnęła Adie. - Znałyśmy się, ja i ona, nawet tak jakby się przyjaźniłyśmy. Później już nigdy się do mnie nie odezwała. - Skrzyżowała ręce na brzuchu.

- Potem babka Lindel zdarła ze mnie odzienie przed mężczyznami z kręgu i biła tak, że spłynełam krwią. Darłam się bardziej niż tamta w ogniu. Na koniec powlokła mnie, nagą i okrwawioną, przez całe miasto do swojego domu. Upokorzenie było jeszcze gorsze niż bicie. Kiedy już przybyłyśmy na miejsce, zapytałam, dlaczego tak okrutnie ze mną postąpiła. Popatrzyła na mnie z pogardą wypisaną na tej jej pomarszczonej, zagniewanej twarzy i powiedziała: „Okrutnie, dziecko? Okrutnie? Nie otrzymałaś ani jednego razu, na który byś nie zasłużyła. I akurat tyle, ile było trzeba, żeby cię uchronić przed skazaniem na śmierć przez tych mężczyzn”. Potem kazała mi złożyć przysięgę. Przysięgłam na nadzieję zbawienia, iż nigdy, z żadnego powodu, nie użyję mego daru wobec nikogo bez pozwolenia króla lub kogoś

z jego kręgów i że moja dusza pójdzie do Opiekuna, jeśli kiedykolwiek wykorzystam dar na czyjąś szkodę. Wtedy ogoliła mi głowę i goliła ją dopóki się nie stałam kobietą.

- Ogotiła? Dlaczego?

- Bo, jak sam wiesz, w Midlandach długość włosów kobiety mówi o jej pozycji w społeczności. Chodziło o to, żeby pokazać i mnie, i wszystkim innym, iż już nikt nie może stać niżej ode mnie. Posłużyłam się darem jawnie, bez pozwolenia, więc łysa głowa miała mi stale przypominać o tym, jak źle postąpiłam. Od tego dnia mieszkałam z babką Lindel. Bardzo rzadko widywałam rodziców. Najpierw ogromnie za nimi tęskniłam. Babka Lindel uczyła mnie, jak korzystać z daru, żeby dobrze poznała tę moc i wiedziała, czego mi nie wolno. Niezbyt lubiłam tę kobietę. Była oschła. Ale szanowałam ją. Była na swój sposób sprawiedliwa. Jeżeli mnie karała, a robiła to, to tylko dlatego, że złamałam jej reguły. Chłostała mnie solidnie, lecz jedynie za występki, przed którym mnie ostrzegała. Przygotowywała, pomagała ujarzmić dar, lecz nigdy nie okazała mi życzliwości. To było ciężkie życie, jednak nauczyłam się dyscypliny. No a przede wszystkim nauczyłam się posługiwać darem. I za to zawsze będę jej wdzięczna, bo to moje życie. Darto coś wyższego, coś szlachetniejszego niż ja sama.

- Tak mi przykro, Adie.

Zedd zaczął jeść zimny gulasz, bo nie wiedział, jak się zachować. Ale zupełnie stracił apetyt.

Adie wstała i podeszła do paleniska, zapatrzyła się w płomienie. Czarodziej czekał w milczeniu, aż podejmie opowieść.

- Wreszcie stałam się kobietą i pozwolono mi zapuścić włosy... Uśmiechnęła się leciutko. - Zaokrągliły mi się kształty i uważano, że jestem atrakcyjna.

Zedd odepchnął miskę z zimnym gulaszem, podszedł do Adie i położył jej dłoń na ramieniu.

- I teraz jesteś równie atrakcyjna, miła damo.

Przykryła dłonią rękę czarodzieja, ale nie odwróciła oczu od płomieni.

- Przyszedł czas, iż się zakochałam. Miał na imię Pell. Był niezgrabnym młodzianem, ale dobrym i szlachetnym, a wobec mnie był miły i kochany. Przyniósłby mi cały ocean po łyżeczce, gdyby uznał, że mi się to spodoba. Słońce wschodziło, bym mogła widzieć twarz Pella, księżyc wschodził,

żebym mogła się cieszyć jego pocałunkami. Moje serce biło tylko dla niego. Chcieliśmy się pobrać. Jednak królewski krąg Choory, któremu przewodził Mathrin Galliene, miał inne zamiary. - Adie cofnęła dłoń i zacisnęła ją na sukni. - Postanowili, że wydadzą mnie za mężczyznę z innego miasta, syna tamtejszego burmistrza. Byłam cenna dla mieszkańców Choory. Czarodziejkę związaną przysięgą ze współmieszkańcami uważano za widomą oznakę ich cnót. Wydanie mnie za ważną osobę z większego miasta było źródłem radości i nadziei. Na wiele sposobów związałoby to nasze miasta i, co najważniejsze, ułatwiłoby lukratywny handel. Przeraziłam się. Poszłam do babki Lindel i błagałam, aby się za mną wstawiła. Opowiedziałam jej, że kocham Pella i że nie chcę być zapłatą za handel. Powiedziałam, iż dar jest mój i że nie powinno się mnie traktować jak niewolnicy. Czarodziejka nie może być niewolnicą. Babka Lindel była czarodziejką. Wzgardzono jej darem, lecz ludzie ją szanowali, bo dotrzymywała przysięgi. Bardziej niż szanowali: bali się jej. Błagałam ją o pomoc.

- Nie wygląda mi na osobę, która by ci pomogła.

- Tylko ją mogłam poprosić. Kazała mi odejść na jeden dzień, żeby mogła wszystko przemyśleć. To był najdłuższy dzień w moim życiu. Kiedy wróciłam do niej pod jego koniec, kazała mi uklęknąć i złożyć przysięgę. Powiedziała, bym uczyniła to szczerzej niż kiedykolwiek przedtem i że każe mi często to powtarzać. Uklęknęłam i przysięgłam, przesycając szczerością każde słowo. Potem wstrzymałam oddech i czekałam. Wciąż klęczałam. Patrzyła na mnie lekceważąco, z kwaśną miną. W końcu powiedziała: „Choć masz rogatą duszę, dziecko, to nauczyłaś się nad nią panować. Ludzie chcieli twojej przysięgi i złożyłaś ją. Obym nie dożyła chwili, kiedy ją złamiesz. Dotrzymanie przysięgi to jedyna twoja powinność wobec nich. Zajmę się kręgiem i Mathrinem Galliene. Wyjdiesz za Pella”. Łkałam, wtulając twarz w jej suknię.

Adie zamilkła. Zagubiła się we wspomnieniach, zapatrzyła w ogień. Zedd uniósł brew.

- I co, wyszłaś za swego ukochanego?

- Tak - wychrypięła łagodnie. Zdjęła łyżkę z haczyka i zamieszała gulasz, a Zedd się jej przyglądał; w końcu odwiesiła łyżkę. - Przez trzy miesiące uważałam, że życie jest cudowne.

Zapatrzyła się w przestrzeń i poruszała bezgłośnie ustami. Zedd objął ją i łagodnie podprowadził do stołu.

- Usiądź, Adie. Zrobię ci herbaty.

Kiedy wrócił z parującymi kubkami, nadal siedziała, spoglądając przed siebie, a dłonie wspierała na blacie. Włożył kubek w jej szczupłą dłoń, usiadł naprzeciwko. Nie ponaglał czarodziejki, czekał, aż będzie gotowa dalej opowiadać.

I w końcu podjęła opowieść.

- W moje dziewiętnaste urodziny spacerowaliśmy z Pellem po okolicy. Byłam w ciąży. - Oburącz uniosła kubek, napiła się herbaty. - Cały dzień chodziliśmy sobie obok farm, wybieraliśmy imię dla naszego dziecka, trzymaliśmy się za ręce i... sam wiesz, jak szalona jest miłość w tym wieku. W drodze powrotnej musieliśmy minąć młyn Choory, tuż przy mieście. Zdziwiłam się, że nikogo tam nie ma. We młynie zawsze ktoś był. - Adie zamknęła na chwilę oczy, znów łyknęła herbaty. - Okazało się, iż byli tam ludzie. Bractwo Czystej Krwi. Czekali na nas.

Zedd słyszał o nich. W większych miastach Nikobarezji były to zorganizowane grupy mężczyzn polujących na banelingów; twierdzili, że wrywają zło z korzeniami. W innych krainach też byli tacy: inaczej się nazywali, ale robili to samo. Nikt nie żądał od nich dowodów. Wystarczyło, iż pokazali jakieś zwłoki. Skoro twierdzili, że to ciało banelinga, widocznie tak było. W mniejszych miastach bractwo było zwykle samozwańczą zbieraniną miejscowych twardzieli. Wszyscy się bali Bractwa Czystej Krwi. I słusznie.

- Zabrali nas... - ten jeden raz Adie załamał się głos - do oddzielnych pomieszczeń w dolnej części młyna. Było tam ciemno, pachniało wilgocią od kamiennych ścian i pyłem zbożowych ziaren. Nie wiedziałam, co robili Pellowi. Ledwo oddychałam z przerażenia. Mathrin Galliene stwierdził, że ja i Pell jesteśmy banelingami. Powiedział, iż nie powinnam wychodzić za mąż wedle swojej woli, bo ściągnęłam na Choore uwagę Opiekuna. Latem na wsi było sporo chorób, gorączka i śmierć zawitały do wielu rodzin. Mathrin Galliene twierdził, że to ja i Pell sprowadziłyśmy choroby. Zaprzeczyłam i na dowód, iż to nie ja, wypowiedziałam przysięgę. - Adie obracała kubek w szczupłych palcach i wpatrywała się weń.

Zedd dotknął jej dłoni.

- Pij, Adie. To ci pomoże. - Przyrządził jej herbatę ze szczyptą malinowych liści, by złagodzić napięcie nerwów. Posłusznie wypić.

- Mathrin Galliene powiedział, że ja i Pell jesteśmy banelingami i że na cmentarzu pełno na to dowodów. Mówił, iż chce tylko, byśmy powiedzieli prawdę, przyznali się do winy. Pozostali z bractwa powarkiwali jak psy wokół królika, gotowi rozedrzeć nas na strzępy. Tak się bałam o Pella. Bili mnie i wiedziałam, że nad nim pastwią się jeszcze bardziej, żeby zmusić do nazwania mnie banelingiem. Na niczym tak nie zależało bractwu, jak by wymusić na kimś nazwanie ukochanego człowieka banelingiem. Nie wysłuchaliby moich zaprzeczeń. - Spojrzała czarodziejowi w oczy. - Nie wysłuchaliby.

- Żadne twoje słowo nie miałoby znaczenia, Adie - powiedział cicho Zedd. - Niczego by nie zmieniło. Jeśli raz wpadniesz w pułapkę, to nic nie pomoże.

- Wiem - przytaknęła. - Jej spokojna twarz maskowała burzę uczuć. - Mogłam to powstrzymać, gdybym się posłużyła darem, lecz to z kolei byłoby wbrew wszystkiemu, czego mnie uczono i w co wierzyłam. Miałabym wtedy wrażenie, że ci z bractwa mówią prawdę. Popęłniłabym bluźnierstwo wobec Stwórcy. Byłam tak bezbronna, jakbym nie miała daru; bili mnie bezkarnie. - Znów się napiła herbaty. - Krzyczałam, ale i tak słyszałam wrzaski Pella, dochodzące z innego pomieszczenia.

Zedd podszedł do paleniska, przyniósł stamtąd dzbanek i ponownie napełnił kubek Adie.

- To nie była twoja wina, Adie. Nie oskarżaj się. Zerknęła nań, kiedy i sobie nalewał herbaty.

- Chcieli, bym nazwała Pella banelingiem. Powiedziałam im, że tego nie zrobię; że mogą mnie i zabić, a nie zmuszą mnie do tego. Mathrin pochylił się nade mną, przysunął twarz do mojej twarzy. Do dziś widzę jego uśmiech. Powiedział: „Wierzę ci, dziewczyno. Ale to nieważne, bo to nie ciebie chcieliśmy zmusić do wydania banelinga. To Pell miał wyjawić jego imię. Chcieliśmy, żeby wskazał twoje, wskazał na ciebie. Ty jesteś banelingiem”. Potem mężczyźni mnie przytrzymali. Mathrin próbował włożyć mi coś do gardła. Ów płyn palił. Zacisnął mi nos. Pozostało mi przełknąć albo się zadławić. Przełknęłam, choć wolałabym to drugie. Paliło mi gardło jak ogień. Nie mogłam mówić. Nie mogłam wydać żadnego dźwięku. Nie mogłam

krzyknąć. Pozbawili mnie głosu. Czułam tylko piekący ból. Jeszcze nigdy nie zaznałam takiego bólu. - Łyknęła herbaty, jakby chciała ukoić palenie w gardle. - Potem zawlekli mnie tam, gdzie był Pell, i przywiązali do ustawionego przed nim krzesła. Mathrin trzymał mnie za włosy, żebym się nie mogła poruszyć. Serce mi pękało, kiedy patrzyłam na to, co uczynili Pellowi, mojemu Pellowi. Twarz miał białą jak śnieg. Obcięli mu większość palców, po kawałeczku. - Zacisnęła palce na kubku, zapatrzona w wizję. - Mathrin oznajmił Pellowi, że wyznałam, iż to on, Pell, jest banelingiem. Pell patrzył na mnie wielkimi oczami. Chciałam krzyknąć, że to kłamstwo, lecz nie wydałam żadnego dźwięku. Pragnęłam potrząsnąć głową, iż to nieprawda, ale Mathrin trzymał mnie tak mocno, że nie mogłam. Pell powiedział, że im nie wierzy. Odcięli mu kolejny palec. Oświadczyli, iż czynią to tylko dlatego, bo go wydałam. Że to przeze mnie. Pell nie spuszczał ze mnie oka, drżał i powtarzał, iż im nie wierzy. Powiedzieli mu, jakobym wyznała im, że pragnę jego śmierci, ponieważ jest banelingiem. Nadal jednak twierdził, że im nie wierzy. Stwierdził, że mnie kocha. Galliene rzekł Pellowi, że nazwałam go banelingiem, ale że mogę to odwołać, jeśli to nie jest prawda, i wtedy nas uwolnią. Powiedział Pellowi, że obiecałam, iż tego nie odwołam, bo on jest banelingiem i pragnę, aby za to umarł. Pell krzyczał, bym im powiedziała. Wołał, bym to odwołała. Wołał moje imię; krzyczał, żebym coś powiedziała. Próbowałam i próbowałam, ale nie mogłam przemówić. Ogień trawił moje gardło. Odebrało mi głos. Mathrin trzymał mnie za włosy, więc nie byłam w stanie poruszyć głową. Pell spoglądał na mnie wielkimi oczami. A ja siedziałam w milczeniu. W końcu powiedział: „Jak mogłaś to uczynić, Adie? Jak mogłaś nazwać mnie banelingiem?” Rozpłakał się. Mathrin namawiał go, żeby nazwał mnie banelingiem. Mówił, iż jego słowo przeważy nad moim, boja mam dar, i że Pell będzie wolny. Pell wyszeptał: „Chociaż mnie zdradziła, nie nazwę jej tak nawet dla ratowania życia”. Te słowa złamały mi serce. - Zapatrzyła się w przestrzeń. Zedd spostrzegł, że rozplynęła się świeca, stojąca na ławie za plecami Adie. Czuł płynące od czarodziejki fale mocy. Uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Postarał się oddychać. - Mathrin podciął Pellowi gardło - powiedziała Adie. - Odciał mu głowę i trzymał ją przede mną. Mówił, że chce mi pokazać, co dało chłopakowi trzymanie strony Opiekuna. Twierdził, że to ostatnia rzecz, jaką zobaczę. Mężczyźni odchyłili mi w tył głowę i rozwarli powieki, a on połał

moje oczy palącym płynem. Oślepił mnie. Wtedy coś się ze mną stało. Mój Pell odszedł, zmarł, myśląc, że go zdradziłam; moje życie miało się ku końcowi. Nagle zdałam sobie sprawę, że to moja wina, że to przez to, iż dotrzymałam przysięgi. Mój ukochany stracił życie przez głupie przesady, przez wywodzącą się z ciemnoty przysięgę. Wszystko straciłam, już nic nie miało dla mnie znaczenia. Uwolniłam swoją moc, uwolniłam swój gniew. Złamałam przysięgę, iż nie wykorzystam daru, by krzywdzić innych. Nie widziałam, lecz słyszałam; słyszałam, jak krew obryzguje kamienne ściany. Uderzałam na oślepa, dziko. Rozszarpałam na strzępy każdą żywą istotę w tym pomieszczeniu, obojętne czy był to człowiek, czy mysz. Nie widziałam, więc po prostu uderzałam w każdą żywą istotę, jaką wyczułam. Nie wiem, czy jakieś stworzenie zdołało uciec. Nawet mi to odpowiadało, że jestem ślepa, bo widok efektu moich działań mógłby mnie powstrzymać, zanim dokończyłabym dzieła. Kiedy już wszyscy byli nieruchomi i martwi, obeszałam izbę i policzyłam ciała. Jednego brakowało. Zawlokłam się do babki Lindel. Nie mam pojęcia, jak odnalazłam drogę, chyba dar mnie prowadził. Wściekła się, kiedy mnie ujrzała. Postawiła mnie na nogi i chciała wiedzieć, czy złamałam przysięgę.

- Przecież nie mogłaś mówić. - Zedd pochylił się ku niej przez stół. - Jak odpowiedziałaś?

- Wykorzystałam moc. - Adie uśmiechnęła się zimno. - Złapałam ją falą mocy za gardło i rozpląszczyłam na ścianie. Podeszłam prosto do niej i kiwnęłam głową, że tak. Gniewnie ścisnęłam jej gardło. Opierała mi się. Całą swoją mocą. Byłam jednak silniejsza, o wiele silniejsza. Aż do tej pory nie wiedziałam, że żaden dar nie jest taki sam, że jest inny w każdym, kto go posiada. Babka była równie bezradna jak szmaciana lalka. Ale nie mogłam jej skrzywdzić, choć bardzo chciałam ją ukarać, ukarać za to, iż najpierw zapytała właśnie o to. Puściłam ją i osunęłam się na podłogę: nie miałam siły dłużej stać. Podeszła do mnie i zaczęła opatrywać moje rany. Powiedziała, że źle postąpiłam, łamiąc przysięgę, lecz że mnie uczyniono o wiele większe zło. Już nigdy potem nie bałam się babki Lindel. Nie dlatego, iż się mną zajęła, lecz dlatego, że złamałam przysięgę i wykroczyłam poza prawa, które mi wpojono; a także dlatego, bo wiedziałam, iż jest ode mnie słabsza. Od tej pory ona się mnie bała. Myślę, iż pomogła mi, gdyż chciała, żebym wydobrzała i odeszła. Kilka dni później babka Lindel wróciła do domu i

powiedziała mi, że wezwano ją przed królewski krąg i przepytano. Powiedziała, iż wszyscy w młynie, całe Bractwo Czystej Krwi, zginęli. Jeden Mathrin ocalał. Uciekł. Powiedziała im, że mnie nie widziała. Uwierzyli, a przynajmniej tak twierdzili, bo nie chcieli mieć z nią do czynienia, z nią i ewentualnie z czarodziejką, która w tak szokujący sposób uśmierciła owych mężczyzn. Pozwolili jej odejść. - Odprężyła się trochę. Przez chwilę wpatrywała się w kubek i w końcu łyknęła. Podsunęła kubek Zeddowi. Dolał gorącej herbaty. Ogromnie żałował, że i do swojej herbaty nie dodał malinowego liścia. Nie sądził, że to już koniec opowieści. - Straciłam dziecko - wychrypiła cichutko kościana babka.

Zedd popatrzył na nią.

- Tak mi przykro, Adie. Spojrzała mu w oczy.

- Wiem. - Czarodziej odstawił imbryk, a ona ujęła jego dłoń w swoje dłonie. - Wiem. - Cofnęła ręce. - Gardło mi wyzdrowiało. - Musnęła szyję palcami, a potem je splotła. - Lecz mój głos przypomina teraz drapanie żelazem o kamień.

- Lubię twój głos. - Zedd uśmiechnął się do niej. - Żelazo pasuje do ciebie.

Przez twarz Adie przemknął cień uśmiechu.

- Jednak z oczami nic się nie zmieniło. Byłam ślepa. Babka Lindel nie miała takiej mocy jak ja, lecz była stara i знаła wiele sposobów spożytkowania daru. Nauczyła mnie widzieć bez oczu. Nauczyła mnie patrzeć za pomocą daru. To nie to samo, co patrzenie oczami, ale pod pewnymi względami lepsze. Tak jakbym widziała więcej. Wyzdrowiałam i babka Lindel chciała, żebym odeszła. Nie była zachwycona mieszkaniem z kimś, kto złamał przysięgę, choć byłam z jej rodu. Bała się, iż sprowadzę kłopoty: albo ze strony Opiekuna, ponieważ złamałam przysięgę, albo ze strony Bractwa Czystej Krwi. Nie wiedziała, jakie kłopoty ściągnę, lecz bała się, że tak się stanie.

- I ściągnęłaś? - Zedd odchylił się do tyłu, rozluźnił napięte mięśnie.

- O, tak - syknęła Adie, unosząc brwi i pochylając się do przodu. - Nadeszły. Mathrin Galliene przyprowadził dwudziestu z Bractwa Czystej Krwi. Opłacanych przez Koronę. Profesjonalistów. Zaprawionych w walce, wielkich, ponurych, bezlitosnych mężczyzn. Wszyscy równiutko usadowieni na końskich grzbietach, z mieczami, tarczami, chorągwiami; każda pika pochylona pod tym samym kątem. Śliczni byli w tych swoich zbrojach o

błyszczących napierśnikach z herbem Korony, wszyscy w hełmach z czerwonymi pióropuszcami, kołyszącymi się w rytm jazdy. Każdy koń był biały. Stałam na ganku i obserwowałam oczami daru, jak rozwijają się przede mną w wachlarz równie precyzyjnie jak przed samym królem. Każdy rumak wykonywał te same ruchy i zajmował swoje miejsce w szyku, zatrzymując się na leciutkie skinienie dowódcy. Stali przede mną, gotowi chętnie wykonać swój ponury obowiązek. Za nimi siedział na koniu Mathrin i przyglądał się. Dowódca zawołał do mnie: „Aresztuję cię, bo jesteś banelingiem. Masz zostać stracona”. - Adie oderwała się od upiorów z przeszłości i spojrzała Zeddowi w oczy. - Pomyślałam o Pellu. Moim Pellu. - Jej twarz stężała, zmieniła się w stalową maskę. - Żaden miecz nie opuścił pochwy, żadna pika nie została wycelowana, żadna stopa nie dotknęła ziemi, dopóki nie umarli. Porażałam całą swoją mocą, szybko jak myśl, jednego po drugim; cały szereg, od lewej strony ku prawej. Bach, bach, bach. Został tylko dowódca. Siedział nieruchomo na swoim białym koniu, twarz miał kamienną, a zbrojni jeden po drugim spadali na ziemię. Spojrzałam mu w oczy dopiero wtedy, kiedy było już po wszystkim, kiedy ostatnia tarcza uderzyła o ziemię. Powiedziałam mu: „Zbroja nie uchroni przed prawdziwym banelingiem. Ani przed czarodziejką. Jest dobra tylko przeciw niewinnym ludziom”. Powiedziałam też, że ma królowi przekazać wiadomość ode mnie, od czarodziejki Adie. Spokojnym, pewnym głosem spytał, co to za wiadomość. „Powiedz mu, rzekłam, że jeśli jeszcze raz przyśle tych z Bractwa Czystej Krwi, by mnie pojмали, to będzie to jego ostatni w życiu rozkaz”. Dowódca patrzył na mnie przez chwilę zimnymi oczami, bez śladu jakiegokolwiek emocji, a potem zawrócił konia i odjechał stępą, nie odwróciwszy się. - Opuściła wzrok na blat stołu. - Babka odwróciła się ode mnie. Kazała mi opuścić schronienie pod jej dachem i nigdy nie wracać.

Zedd nie zdołał powstrzymać drgnienia twarzy - czarodziejka obdarzona mocą, która umożliwiała jej takie uśmiercanie ludzi. Czarodziejki niezmiernie rzadko posiadały tak potężną moc.

- A co z Mathrinem? Nie zabiłaś go?

Potrząsnęła głową. Pozbawiony radości uśmiezek przemknął przez jej usta.

- Nie. Zabrałam go ze sobą.

- Zabrałaś ze sobą?

- Związałam go ze sobą. Jego życie z moim. Związałam go tak, że zawsze wiedział, gdzie akurat jestem, i każdego nowiu musiał zjawić się u mnie bez względu na to, gdzie akurat byłam, i bez względu na swoje życzenia. Musiał podążać za mną na tyle blisko, by się zjawić każdego nowiu.

Zedd nachmurzył się, wpatrzył w osad w swoim kubku,

- Spotkałem kiedyś człowieka z Winstead, stolicy i siedzibie władców Keltonu. Miał na imię Mathrin. Był żebrakiem, pozbawionym palców jeden dłoni, jak pamiętam. Był ślepy. Jego oczy... - Nagle wpatrzył się w oczy Adie; przyglądała mu się. - Wyłupiono mu oczy.

- Istotnie - przytaknęła Adie. Znów miała stężałą, bezlitosną twarz. - Przychodził do mnie każdego nowiu, a ja mu coś obcinałam; jego wrzaski wypełniały pustkę we mnie.

Zedd odchylił się do tyłu, przycisnął dłonie do blatu stołu. Rzeczywiście, twarda jak stal.

- To osiedliłaś się w Keltonie?

- Nie. Nigdzie nie osiadłam. Podróżowałam, szukając kobiet mających dar, które mogłyby mi pomóc w nauce. Żadna nie wiedziała zbyt wiele na interesujące mnie tematy, lecz każda miała choć trochę wiadomości nie znanych innym. Mathrin podążał za mną i zjawiał się u mnie każdego nowiu, a ja mu coś obcinałam. Chciałam, żeby żył wiecznie i wiecznie cierpiał. To on pięściami bił mnie we młynie, żebym straciła dziecko Pella. To on zabił Pella. To on mnie oślepił. - Znów się zapatrzyła w przestrzeń; jej białe oczy lśniły czerwono w świetle lampy. - To on wmówił Pellowi, że go zdradziłam. Chciałam, by Mathrin Galliene cierpiał przez wieczność.

Zedd wykonał jakiś nieokreślony gest.

- Jak długo... przetrwał?

- I za krótko, i za długo - westchnęła Adie, a Zedd zmarszczył brwi. - Pewnego dnia przyszło mi do głowy, że nigdy się nie posłużyłam darem, żeby powstrzymać Mathrina przed samobójstwem. Dlaczego stale do mnie przychodzi? Dlaczego pozwala mi się tak dręczyć? Dlaczego tego nie skończy? No i kiedy zjawił się następnym razem, znów mu coś obciąłam, ale zarazem przecięłam więź. Odcięłam to, co kazało mu wracać. Lecz zrobiłam to tak, żeby niczego nie zauważył. Gdyby chciał, mógłby teraz o mnie zapomnieć.

- I wtedy widziałaś go ostatni raz?

- Nie. - Adie ponuro potrząsnęła głową. - Myślałam, że tak się stanie, ale wrócił następnego nowiu. Wrócił, choć już nie musiał. Z przerażeniem myślałam, dlaczego to uczynił. Postanowiłam, że tym razem życiem zapłaci za to, co uczynił mnie i Pellowi. Lecz zanim zginie, musi powiedzieć, czemu powrócił. Dzięki podróżom nauczyłam się wielu rzeczy. Także i takich, z których miałam nadzieję nigdy nie korzystać. Tej jednak nocy skorzystałam. Dowiedziałam się, jakiej tortury Mathrin boi się nade wszystko. Dzięki tej sztuczce można poznać czyjeś obawy, ale nie inne tajemnice. Wbrew swojej woli zdradził, czego się najbardziej boi. Pozwoliłam mu się zadreć całą tę noc i cały następny dzień, a sama wyruszyłam na poszukiwanie tego, co było mi potrzebne, tego czego się najbardziej bał. Kiedy wreszcie wróciłam, był niemal szalony ze strachu. Miał rację, że się tak bał. Kazałam mu zdradzić ów sekret. Odmówił. Siedział nagi i bezbronny na podłodze. Wydobyłam z worka i ustawiłam przed nim małe klatki i inne rzeczy, które przyniosłam. Podnosiłam jedną rzecz po drugiej, przybliżałam do jego ślepej twarzy i dokładnie opisywałam, co jest w każdej klatce, koszyku i słoju. Ponownie kazałam mu się przyznać. Spływał potem, trząsł się i dyszał, lecz odmówił. Mathrin myślał, że udaję, że się nie odważę. Mylił się. Zebrałam się w sobie i sprawiłam, iż jego koszmary się spełniły. Zedd zmarszczył czoło. Ciekawość wzięła górę nad lękiem.

- Co zrobiłaś?

Adie uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Tego jednego ci nie powiem. Poza tym to i tak nie ma znaczenia. Mathrin nie chciał mówić i tak cierpiał, że byłam bliska zrezygnowania. Ale za każdym razem myślałam o ostatniej rzeczy, jaką widziałam, zanim mnie oślepił: o głowie Pella, którą trzymał przede mną. - Przełknęła ślinę i szepnęła tak cicho, że Zedd ledwo dosłyszał: - I przypominałam sobie ostatnie słowa Pella: „Chociaż mnie zdradziła, nie nazwę jej tak nawet dla ratowania życia”. - Zamknęła na chwilę oczy. Potem otworzyła je i podjęła: - Mathrin był na skraju śmierci. Już myślałam, że mi nie powie, dlaczego przyszedł. Jednak tuż przed śmiercią umilkł, mimo tego, co się z nim działo. A potem oznajmił, że mi powie, bo zaraz umrze, bo i to zostało zaplanowane. Znów spytałam, dlaczego powrócił. Nachylił się ku mnie. „Nie wiesz, Adie? - spytał. - Nie wiesz, kim byłem? Byłem banelingiem. Cały ten czas kryłem się

tuż pod twoim nosem. Trzymałaś mnie przy sobie i Opiekun zawsze wiedział, gdzie jesteś. Opiekun ponad wszystko pragnie tych z darem”. Pomyślałam, iż tak musiało być, iż on naprawdę jest banelingiem. Powiedziałam mu, że przegrał, że mu to nie wyszło na dobre, że umrze za swe zbrodnie. Uśmiechnął się do mnie. - Pochyliła się do przodu. - Uśmiechnął! I powiedział: „Mylisz się, Adie. Wcale nie przegrałem. Wykonałem rozkazy Opiekuna. Wypełniłem swoje zadanie. I to znakomicie. To wszystko było zaplanowane. Sprawilem, że zrobiłaś dokładnie to, czego chciał. Zostanę wynagrodzony. To ja podpaliłem ów dom, kiedy byłaś mała. To ja dręczyłem Pella. I nie dlatego, że uważałem ciebie lub jego za banelinga. To ja byłem banelingiem i uczyniłem to, byś złamała przysięgę. Żebyś powitała w sercu zesłaną przez Opiekuna nienawiść. Złamanie przysięgi to pierwszy krok, początek; sama wiesz, czego dokonałaś potem. Patrz, co robisz teraz. Widzisz, jak daleko ku niemu zaszłaś? Już jesteś w jego mocy. Nie musiałaś mu przysięgać, nie przysięgłaś, a wykonałaś jego wolę. Stałaś się tym, czego nienawidzisz. Stałaś się taka, jak ja; stałaś się banelingiem. Opiekun uśmiecha się do ciebie, Adie, i dziękuje, że go wpuściłaś do swego serca”. Mathrin zwiotczał i upadł, martwy.

Adie zapłakała, ukryła głowę w dłoniach. Zedd podniósł się z trudem, okrążył stół i stanął koło niej. Przytulił Adie do siebie, gładził jej włosy, pocieszał ją.

- Ależ nie, miła damo. Wcale nie.

Chlipała z twarzą wtuloną w jego szaty. Potrząsnęła głową.

- Myślisz, czarodzieju, żeś taki sprytny? Nie jesteś taki sprytny, jak ci się zdaje. Mylisz się co do tego.

Zedd uklęknął przy jej krześle; trzymał w dłoniach jej ręce, patrzył w zbolaną twarz kobiety.

- Jestem na tyle sprytny, by wiedzieć, iż ani Opiekun, ani żaden z jego służalców nie zdradziliby ci, że wygrałaś z nim potyczkę.

- Aleja...

- Walczyłaś. Uderzałaś nie dla przyjemności, a powodowana bólem. Nie po to, by wspomóc Opiekuna. Adie próbowała powstrzymać łzy; zmarszczyła czoło.

- Jesteś pewny? Na tyle, by wierzyć komuś takiemu jak ja?

- Jestem pewny - uśmiechnął się Zedd. - Może i nie wiem wszystkiego,

ale wiem, że nie jesteś banelingiem. Jesteś poszkodowaną, nie przestępcą.

- Nie jestem taka pewna jak ty. - Adie potrząsnęła głową.

- Czy zabijałaś nadal, kiedy Mathrin umarł? Mściłaś się na niewinnych?

- Nie. Jasne, że nie.

- Gdybyś była agentem, wydałabyś się w ręce Opiekuna, spełniała jego życzenia i krzywdziła tych, którzy z nim walczą. Nie jesteś banelingiem, miła damo. Moje serce płacze nad tym, co Opiekun ci odebrał, lecz nie odebrał ci duszy, ona nadal należy do ciebie. Odrzuć te obawy.

Trzymał jej dłonie i łagodnie je ścisnął. Nie cofała rąk, zostawiła je w dłoniach Zedda; czerpała z nich pociechę. Otarła łzy z policzków.

- Dasz mi jeszcze herbaty? Ale nie dodawaj już tych liści, bo usnę, zanim skończę opowieść.

Zedd uniósł brew. Wiedziała, co robił. Wstał i poklepał ramię Adie. Nalał jej herbaty. Przysunął sobie krzesło i usiadł, a ona powoli piła. Wypiła pół kubka i opanowała się.

- Szalała wojna z D'Hara, ale zbliżała się do końca. Wyczułam, że pojawiła się granica. Czułam, jak się zjawiała na świecie.

- Więc przyszedł tu zaraz po tym, gdy powstała granica?

- Nie. Najpierw uczyłam się u paru kobiet. Jedna nauczyła mnie nowych rzeczy o kościach.

Adie wysunęła zza dekoltu naszyjnik. Dotknęła małej, okrągłej kości, od której w obie strony rozchodziły się czerwone i żółte paciorki. Podobny naszyjnik dała czarodziejowi, żeby bezpiecznie minął przejście. Wciąż go nosił.

- To kość z podstawy takiej czaszki, jak ta na półce, tej, która spadła na podłogę. To czerep skrina. Skrin jest jedną z bestii - strażników zaświatów, czymś jak sercowe psy, z tym wyjątkiem, że skrin pilnują „na obie strony”. Można powiedzieć, iż stanowią część zasłony, choć to niezbyt ściśle. W naszym świecie są cielesne, mają postać, w tamtym zaś są tylko mocą.

- Mocą? - zdziwił się Zedd.

Adie uniosła łyżkę i upuściła ją na stół.

- Moc, siła. Nie możemy jej zobaczyć, a jednak jest. Sprawia, że łyżka spada i nie pozwala jej ulecieć w powietrze. Nie można jej dostrzec, lecz istnieje. Podobnie jest ze skrinem. Czasem przechodzą do naszego świata, żeby odepchnąć wszystko od miejsca styku świata żywych i świata zmarłych.

Zdarza się to tak rzadko, że niewielu ludzi o nich wie. - Zedd nadal miał dziwną minę. - To bardzo skomplikowane. Innym razem lepiej to wytłumaczę. Najważniejsze, że ta kość ze skrynia kryje cię przed nimi.

Adie łyknęła herbaty, a Zedd wydobył spod szaty swój naszyjnik i ponownie mu się przyjrzał.

- I pewno skrywa przed innymi zwierzami, skoro można przebyć przejście? - Przytaknęła. - Skąd wiedziałaś o przejściu? Ustanowiłem granicę, a nie miałem pojęcia, że ono istnieje. Adie obracała kubek w palcach.

- Kiedy opuściłam babkę, szukałam kobiet mających dar, kobiet, które mogłyby mnie nauczyć czegoś o świecie zmarłych. Po śmierci Mathrina uczyłam się jeszcze pilniej. Każda z tych kobiet mogła mi przekazać jedynie tę znaną sobie odrobinę, ale zwykle kierowały mnie do kolejnej, która wiedziała więcej. Podróżowałam po Midlandach od jednej do drugiej, gromadząc wiedzę. Zebrałam wszystkie jej fragmenty, scalałam w jedno. Dowiedziałam się trochę o tym, jak światy oddziałują wzajemnie na siebie. Ustanowienie granicy w części tego świata przypomniało trochę zatkanie imbryka i postawienie go na ogniu. Wybuchłby, gdyby nie było żadnego ujścia. Wiedziałam, że jeśli istnieje magia tak mądra, iż potrafiła przenieść zaświaty do naszego świata, to miała również pojęcie, jak zrównoważyć obie strony granicy. Musiało istnieć jakieś ujście. Przejście.

Zedd uniósł brew, zadumał się i przeciągnął palcem po brodzie.

- Jasne. To ma sens. Równowaga. Każda magia, każda moc musi być zrównowazona. - Popatrzył na Adie. - Wzniosłem tę granicę, posługując się magią, którą nie całkiem rozumiałem. To była stara księga, pozostawiona przez starożytnych czarodziejów, którzy mieli moc większą, niż jestem sobie w stanie wyobrazić. W akcie rozpaczony posłużyłem się ich zaleceniami i wzniosłem granicę.

- Trudno mi sobie wyobrazić, że byłeś zdesperowany.

- Czasem całe życie tak wygląda: jeden desperacki czyn po drugim.

- Może masz rację - przytaknęła Adie. - Ja rozpaczliwie próbowałam się skryć przed Opiekunem. Pamiętałam, co powiedział Mathrin: że się ukrywał tuż pod moim nosem. Uznałam, iż najbezpieczniejsza będę tam, gdzie Opiekun nigdy nie spojrzy; tuż pod jego nosem, na skraju jego świata. Osiadłam więc w przejściu. Przejście nie jest ani tym, ani tamtym światem. To mieszanka ich obu. Miejsce, w którym się odrobinę mieszają. Kości kryły

mnie przed Opiekunem. Nie zobaczy mnie ani on, ani bestie z jego świata.

- Ukryć się? - W tej kobiecie było więcej stali niż w wiszącym nad paleniskiem kociołku; jak znał Adie, musiało się za tym kryć coś jeszcze. Zedd obrzucił ją surowym spojrzeniem. - Przybyłaś tylko po to, żeby się ukryć?

Nie spojrzała mu w oczy; obracała w palcach małą, okrągłą kostkę z naszyjnika, który w końcu schowała pod wycięciem sukni.

- Był i inny powód. Złożyłam przysięgę. Sama sobie. Przysięgłam, że znajdę sposób, by nawiązać kontakt z moim Pellem i powiedzieć mu, iż go nie zdradziłam. - Znów napiła się herbaty. - Spędziłam tu, w przejściu, większość mojego życia, próbując sięgnąć do świata zmarłych i przekazać mu to. Przejście to część tamtego świata.

Zedd stuknął palcem o swój kubek.

- Teraz granica i przejście zniknęły, Adie. Potrzebna mi twoja pomoc w tym świecie.

Położyła ręce na stole.

- Kiedy zwróciłeś mi stopę, wróciły wszystkie wspomnienia; jakbym jeszcze raz to przeżywała. I dzięki temu przypominałam sobie o sprawach, o których już dawno nie pamiętałam. Rany wciąż istniały, choć czas je złagodził.

- Tak mi przykro, Adie - szepnął czarodziej. - Powinienem był wziąć pod uwagę twoją przeszłość, lecz nawet nie podejrzewałem, że tyle wycierpiałaś. Wybacz mi.

- Nie ma co wybaczać. Obdarowałeś mnie wspaniałe, oddając mi stopę. Nie wiedziałeś, co zrobiłam. To nie twoja wina, iż uczyniłam tamto wszystko. Nie miałeś pojęcia, że jestem banelingiem.

Obrzucił ją ostrym spojrzeniem.

- Sądzisz, że skoro broniłaś się przed niegodziwością, to sama stałaś się niegodziwa?

- Popeliłam gorsze czyny, niż może sobie wyobrazić ktoś taki jak ty.

Zedd leciutko kiwnął głową.

- Czyżby? Pozwól, że coś ci opowiem. Kochałem kiedyś kogoś, jak ty Pella. Miała na imię Erilyn. Było mi przy niej tak, jak tobie przy Pellu. - Jego pamięć przywołała owe miłe wspomnienia i czarodziej się uśmiechnął; później uśmiech znikł. - Potem Panis Rahl wysłał po nią bojówkę.

Adie położyła rękę na jego dłoni.

- Nie musisz, Zeddzie...

Czarodziej uderzył drugą pięścią w stół, aż kubki podskoczyły.

- Nawet me jesteś sobie w stanie wyobrazić, co ci czterej jej uczynili. - Pochylił się do przodu, jego nabiegła krwią twarz odcinała się czerwienią od białych włosów; zacisnął zęby. - Dopadłem ich. To, co im uczyniłem, było o wiele gorsze, niż twoje pastwienie się nad Mathrinem. Chciałem też dopaść Panisa Rahla, lecz nie mogłem doń dotrzeć. Zająłem się więc jego wojskami. Na każdego zabitego przez ciebie, Adie, przypada tysiąc zabitych przeze mnie. Bali się mnie nawet ci, po których stronie walczyłem. Byłem tchnieniem śmierci. Zrobiłem, co było trzeba, żeby powstrzymać Panisa Rahla. A nawet więcej. - Zedd poprawił się na krześle. - Jeśli w ogóle istnieje cnotliwy i bezgrzeszny człowiek, to ja na pewno nim nie jestem.

- Wykonałeś jedynie to, co musiałeś. To nie umniejsza twojej prawości.

Brew Zedda powędrowała do góry.

- Mądre słowa wypowiedziane przez mądrą kobietę. Może powinnaś się w nie wsłuchać. - Adie milczała. Zedd oparł łokcie na stole i powoli podniósł kubek; obracał go w dłoniach i mówił: - W pewnym sensie byłem większym szczęściarzem niż ty. Spędziłem z moją Erilyn więcej czasu. I nie straciłem mojej córeczki.

- Panis Rahl nie próbował zabić również twojej córki?

- Ooo, próbował, próbował. I myślał nawet, że mu się to udało. Ja... rzuciłem czar śmierci, żeby sądzili, iż widzieli jej śmierć. Tylko tak mogłem ją uchronić, powstrzymać ich przed próbowaniem wciąż na nowo, aż do skutku.

- Czar śmierci... - Adie wyszeptała modlitwę w ojczystym języku. - To groźna sieć. Nie wyrzucam ci, iż to zrobiłeś, miałeś powód, ale taka rzecz nie umknie uwagi duchów. Masz szczęście, że to podziałało i ocaliło ją. Miałeś szczęście, iż dobre duchy wzięły owego dnia twoją stronę.

- Czasem trudno powiedzieć, po czyjej stronie jest szczęście. Wychowałem ją bez matki. Wyrosła na ładną dziewczynę, kiedy to się stało. Rahl Posępny stał obok swego ojca, gdy posłałem przez granicę ogień czarodzieja. Stał obok ojca, kiedy dotarł doń mój ogień. Ogień poparzył również Rahla Posępnego. Spędził młode lata na nauce, więc mógł skończyć to, co zaczął jego ojciec, i obmyślić zemstę. Nauczył się, jak przebywać

granicę; bez mojej wiedzy bywał w Midlandach. Zgwałcił moją córkę. Nie wiedział, kim była, bo wszyscy sądzili, że nie żyje. Inaczej na pewno by ją zabił. Lecz skrzywdził ją. - Zacisnął ręce tak, że kubek pękł. Zedd obejrzał dłonie i z lekkim zdumieniem stwierdził, że się nie pokaleczył. Adie milczała. - Po tym wszystkim zabrałem ją do Westlandu, żeby ją tam skryć i chronić. Nigdy się nie dowiedziałem, czy jej śmierć była dalszym efektem owego nieszczęścia, czy też złu udało się ją odnaleźć. Spaliła się w swoim domu. Zawsze podejrzewałem, że nie był to czysty przypadek, lecz nigdy nie znalazłem żadnego dowodu. Może dobre duchy wcale nie były po mojej stronie tamtego dnia, kiedy rzucałem na nią czar śmierci.

- Tak mi przykro, Zeddzie - wychrypiąła miękko Adie. Zamaszystym gestem odpędził jej litość.

- Został mi jej syn. - Zgarnął odłamki kubka na stosik pośrodku stołu. - Syn Rahla Posepnego. Nasienie sługi Opiekuna. Ale i syn mojej córki, no i mój wnuk. Nie winien temu, co go sprowadziło na świat. Wspaniały chłopak. - Spojrzał na Adie spod krzaczastych brwi. - Coś mi się zdaje, że go znasz. To Richard.

Adie gwałtownie pochyliła się do przodu.

- Richard! Richard jest twoim... - Odchyliła się do tyłu, potrząsnęła głową. - Czarodzieje i ich tajemnice. - Jej twarz miała gniewny wyraz, potem jednak złagodniała. - Pewno miałeś powód, żeby trzymać to w sekrecie. Czy Richard ma dar?

Zedd potaknął.

- O tak. To pierwszy powód, dla którego ukrywałem go w Westlandzie. Bałem się, że ma dar, choć nie byłem tego całkiem pewny, i chciałem go uchronić przed niebezpieczeństwem. Sama mówiłaś, że Opiekunowi najbardziej zależy na tych z darem. Wiedziałem, iż byłby w niebezpieczeństwie, gdybym go zaczął uczyć i zbyt często posługiwał się magią. Chciałem, by dorósł i ukształtował się. Wtedy miałem go sprawdzić i przygotowywać, jeśli miałby dar. Zawsze podejrzewałem, iż go ma. A czasem łudziłem się, że nie. Lecz teraz jestem już pewny, że ma dar. Posłużył się nim, by powstrzymać Rahla Posepnego. Posłużył się magią. - Zedd nachylił się ku niej przez stół. - Podejrzewam, że odziedziczył dar po swoim dziadku i po ojcu. Dar z dwóch różnych linii czarodziejów.

- Aha. - To była jedyna reakcja Adie.

- Teraz jednak mamy na głowie rzeczy ważniejsze. Rahl Posepny ruszył szkatuły Ordenu. Otworzył jedną z nich, złą. Przynajmniej dla niego. A może i dla nas. W wieży są księgi, które o tym mówią. Ostrzegają, iż jeśli ktoś posłuży się szkatułami, posłuży się magią Ordenu, to rezultatem może być rozdarcie zasłony; nawet jeżeli ta osoba popełni błąd i magia ją zabije. Nie wiem tyle o zaświatach co ty, Adie. Badałaś je przez większość swojego życia. Potrzebuję twojej pomocy. Chcę, żebyś pojechała ze mną do Aydindril. Przystudiowalibyśmy stare księgi, dowiedzieli się, co należy zrobić. Wiele z nich czytałem, lecz nie bardzo pojmuję, o czym mówią. Może ty zrozumiesz. Choćby tylko jedną rzecz, której ja nie pojąłem; nawet i to może mieć wielkie znaczenie.

Adie wpatrywała się w stół; na jej twarzy malowała się gorycz.

- Jestem starą kobietą. Starą kobietą, która wpuściła Opiekuna do swego serca.

Zedd patrzył na nią, lecz nie spojrzała mu w oczy. Odepchnął krzesło i wstał.

- Stara kobieta? Nie. Może niemądra. - Nie odpowiedziała; wpatrywała się w stół. Czarodziej przeszedł przez izbę i obejrzał wiszące na ścianie kości. Splótł dłonie za plecami i przyglądał się talizmanom śmierci. - To może i ja jestem stary, hmmm? Niemądry staruch. Może powinienem pozwolić, by młody zrobił, co trzeba. - Zerknął przez ramię: Adie patrzyła nań. - Lecz skoro młody jest dobry, to młodszy będzie jeszcze lepszy. A w ogóle dlaczego dziecko nie miałyby się tym zająć? To byłoby jeszcze lepsze. Może jest jakiś dziesięciolatek, który aż się pali, żeby powstrzymać śmierć przed połknięciem wszystkiego, co żyje. - Wyrzucił w górę obie ręce. - Zgodnie z twoimi poglądami to nie wiedza ma znaczenie, a młodość.

- Teraz jesteś niemądry, starcze. Dobrze wiesz, o co mi szło. Zedd wrócił do stołu i wzruszył kościstymi ramionami.

- Jeśli wolisz siedzieć we własnym domu, zamiast wspomagać zdobytą wiedzą, to możesz sobie być tym, czego się najbardziej obawiasz: agentką Opiekuna. - Wsparł pięści o stół, przybrał groźną minę i pochylił się nad Adie. - Skoro z nim nie walczysz, to tym samym mu pomagasz. O to mu właśnie chodziło: nie o to, żeby cię przeciągnąć na swoją stronę, lecz byś się bała z nim walczyć.

Adie patrzyła nań z coraz bardziej niespokojną miną.

- O co ci chodzi?

- Już osiągnął to, czego chciał, Adie. Sprawił, że się boisz siebie. Cierpliwość Opiekuna jest niezmierna. Nie zależy mu, byś dlań pracowała. Trudno przekabacić kogoś z darem. Nie byłaś warta takiego zachodu. Chciał jedynie, żebyś nie działała przeciwko niemu. Zrobił wszystko, co trzeba. Ani odrobinę więcej. Pod pewnymi względami jest równie ślepy na nasz świat, jak my na jego. Nie ma tu zbyt wielkich wpływów; musi ostrożnie dobierać zadania. Nie szafuje rozrzutnie swoją mocą.

Niepokój zniknął z twarzy Adie. Zrozumiała.

- Może i nie jesteś głupim starcem.

Zedd uśmiechnął się, przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Zawsze byłem tego zdania.

Adie siedziała z rękami na podolku i wpatrywała się w blat stołu, jakby stamtąd oczekiwała pomocy. W domu panowała cisza, tylko ogień potrzebował leniwie w palenisku.

- Prawda przez tyle lat kryła się tuż pod moim nosem. - Adie uniosła głowę i obdarzyła Zedda zdumionym spojrzeniem. - Jakżeś się stał taki mądry?

- To jedna z zalet długiego życia. - Czarodziej wzruszył ramionami. - Ty się uważasz za starą kobietę. Ja widzę imponującą, uroczą damę, która się wiele nauczyła podczas pobytu na tym świecie i czerpała mądrość z tego, co widziała. - Wyjął z włosów Adie żółtą różę i podsunął jej przed oczy - Twoja uroda nie jest maską kryjącą spróchniałe wnętrze. Jest promieniowaniem wewnętrznego piękna.

Czarodziejka wyjęła różę z palców Zedda i położyła na stole.

- Twoje zręczne słówka nie ukryją faktu, że zmarnowałam życie.

- Nie - przerwał jej Zedd, potrząsając głową. - Niczego nie zmarnowałaś. Po prostu nie dostrzegłaś drugiej strony medalu. Równowaga istnieje w magii, we wszystkim, musimy ją tylko dostrzec. Opiekun zrobił, co zrobił: wysłał do ciebie banelinga, żeby cię powstrzymał od zawadzania mu, żeby zasiać ziarno zwątpienia, które kiedyś mogłoby cię i przeciągnąć na jego stronę. Ale i w tym było coś, co równoważyło jego postępek. Przybyłaś tu, by badać świat zmarłych, bo chciałaś się porozumieć ze swoim Pellem. Nie rozumiesz, Adie? Podstępem sprawiono, byś nie przeszkadzała zamiarom Opiekuna, lecz jakby dla równowagi, właśnie przez to poznałaś wiele spraw,

które mogą dopomóc w walce z nim. Nie wolno ci się poddać jego woli, musisz odplacić mu tym, co ci mimowolnie dał.

Błyszczącymi oczami rozejrzała się po izbie. Spojrzała na stos kości, na talizmany śmierci, które zbierała przez lata, na półki dźwigające resztę zbiorów.

- Ale moja przysięga... mój Pell. Muszę do niego dotrzeć, powiedzieć mu. Umarł, myśląc, że go zdradziłam. Jeżeli się nie oczyszczę w jego oczach, to będę stracona, moje serce będzie stracone. A jeśli będę stracona, to Opiekun mnie znajdzie.

- Pell nie żyje, Adie. Odszedł. Granica i przejście zniknęły. Lepiej ode mnie wiesz, czy pomogłyby ci w osiągnięciu tego, czego pragnęłaś. Jednak przez te wszystkie lata nie odkryłaś sposobu spełnienia swoich pragnień. Jeżeli nadal chcesz szukać możliwości dotrzymania przysięgi, to tu nic ci w tym nie pomoże. Za to może zyskasz pomoc w Aydindril. Twoje wsparcie w walce z Opiekunem nie musi oznaczać złamania przysięgi, którą sama sobie złożyłaś. Chętnie ofiaruję ci moją wiedzę i pomoc, jeśli tylko na coś się przydadzą. Tak jak ty wiesz rzeczy, o których ja nie mam pojęcia, tak i ja wiem to, czego nie wiesz ty. W końcu jestem Pierwszym Czarodziejem. Może przyda ci się to, co wiem. Pell na pewno nie chciałby, byś mu przyniosła wieść, że go zdradziłaś, jeśli to miałyby się odbyć kosztem zdrady innych.

Adie podniosła złotą różę, przez chwilę przesuwając ją między palcami, w końcu odłożyła ją na stół. Wsparła się na brzegu stołu i wstała. Stała tak przez chwilę, potem uniosła głowę i ponownie rozejrzała się po izbie białymi oczami. Wygładziła suknię na biodrach, kulejąc obeszła stół i zatrzymała się za krzesłem Zedda. Czarodziej poczuł jej dłonie na ramionach. Niespodziewanie pochyliła się, cmoknęła go w czubek głowy i lekko przesunęła palcami po jego niesfornych włosach. Zedd poczuł ulgę, że owe palce nie zacisnęły się na jego gardle. A mogły, ze względu na to, co powiedział.

- Dziękuję, przyjacielu, że wysłuchałeś mojej opowieści i że pomogłeś mi ją zrozumieć. Mój Pell by cię lubił. Obaj jesteście ludźmi honoru. Przyjmuję twoje słowo, że pomożesz mi porozumieć się z Pellem.

Zedd okręcił się na krześle i uniosł twarz ku jej łagodnemu uśmiechowi i takimż oczom.

- Uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc dotrzymać przysięgi. Przymierzam ci to.

Uśmiechnęła się szerzej i przyglądała buntowniczy pukiel jego siwych włosów.

- Dobrze. Teraz opowiedz mi o Kamieniu Łez. Musimy zdecydować, co z nim zrobić.

ROZDZIAŁ 23

Kamień Łez? Hmm, jest ukryty. Adie energicznie kiwnęła głową.

- To dobrze. To nie jest coś, co by się mogło swobodnie poniewierać po tym świecie. - Zmarszczyła się lekko. - Jest porządnie ukryty? Bezpieczny?

Zedd się skrzywił. Nie chciał jej tego powiedzieć, wiedział, jaka będzie jej reakcja, ale przecież obiecał.

- Zawiesiłem go na łańcuszku. A łańcuszek zawiesiłem na szyi dziewczynki. Nie wiem... gdzie ona teraz jest.

- Dotknąłeś go!?- Oczy Adie zrobiły się wielkie. - Dotknąłeś Kamienia Łez!? Dotknąłeś i zawiesiłeś na szyi dziewczynki!? - Chwyciła brodę Zedda palcami, które nagle stały się bardzo krzepkie, i nachyliła się ku twarzy czarodzieja. - Zawiesiłeś Kamień Łez, kamień, który podobno sam Stwórca uwiesił na szyi Opiekuna, żeby go zamknąć w zaświatach... na szyi dziewczynki!? I pozwoliłeś jej odejść!?

Zedd próbował się usprawiedliwić.

- Przecież musiałem coś z nim zrobić. Nie mogłem go zostawić ot tak, by sobie byle gdzie leżał.

Adie uderzyła się dłonią w czoło.

- Ledwo sprawił, iż uznałam go za mędrca, a już się okazuje głupcem. O dobre duchy, uratujcie mnie z rąk, w które wepchnęłyście.

Zedd poderwał się gwałtownie.

- A co ty byś z nim niby zrobiła!?

- Na pewno poświęciłabym mu więcej uwagi, niż ty to uczyniłeś. I nie dotknęłabym go! To przedmiot z innego świata! - Odwróciła się plecami do czarodzieja, potrząsała głową i szeptała coś w swoim ojczystym języku.

Zedd zdecydowanym gestem poprawił szaty.

- Nie miałem czasu na namysły. Screeling nas atakował. Gdybym zostawił kamień tam, gdzie...

Adie okręciła się ku niemu gwałtownie.

- Screeling? Wprost tryskasz dobrymi wieściami, starcze! - Dźgnęła go palcem w pierś. - Ale to i tak cię nie usprawiedliwia. Nie powinieneś...

- Czego nie powinienem? Podnosić go? Pozwolić, żeby to screeling go podniósł, a nie ja?

- Screelingi to asasyni. Nie przyszły, żeby zabrać kamień. Teraz z kolei Zedd wycelował w nią palec.

- Tak mówisz? Jesteś pewna? Zaryzykowałabyś wszystko na podstawie tego stwierdzenia? A gdybyś się myliła, Opiekun mógłby dostać kamień i zrobić z nim, co by zechciał? Taka jesteś pewna, Adie?

Opuściła rękę i wpatrywała się w gniewną twarz czarodzieja.

- Nie. Raczej nie. Mogłoby być tak, jak mówisz. Może i screelingi wzięłyby kamień. Pewno zrobiłaś jedyną rzecz, którą mogłaś uczynić. - Pogroziła mu palcem. - Lecz wieszając go na szyi dziewczynki...!

- A co niby miałem z nim zrobić? Schować do kieszeni? Do kieszeni czarodzieja? Do kieszeni kogoś z darem, gdzie Opiekun na pewno zajrzy najpierw? Albo miałem go może ukryć w miejscu znanym tylko mnie i zdradzić to jakiemuś banelingowi, gdyby się mu udało mnie złapać i zmusić do mówienia? Wyjawić mu kryjówkę, żeby mógł zabrać kamień?

Adie wymruczała jakieś przekleństwo i skrzyżowała ramiona. Wreszcie złągodniała. - Cóż... może...

- Żadne „może”. Nie miałem wyboru. To był akt rozpacz. Zrobiłem to, co w tamtych okolicznościach musiałem zrobić.

Westchnęła ze znużeniem, a potem przytaknęła.

- Masz rację, czarodzieju. To było najlepsze, co mogłaś uczynić. - Poklepała go po ramieniu. - Choć niemądre - szepnęła ledwo dosłyszalnie i łagodnie popchnęła Zedda. - Siadaj. Coś ci pokażę.

Patrzył, jak kuśtyka przez izbę ku półkom.

- Wcale nie uczyniłem tego chętnie, Adie - powiedział ze smutkiem. - Wolałbym zrobić cokolwiek innego niż to.

Kiwnęła głową, nie zatrzymując się.

- Wiem... - Stała i odwróciła się - Screeling, powiedziałaś? - Zedd przytaknął. - Jesteś pewien, że to był screeling? - Uniósł brew. - Tak, jasne, że jesteś. - W zadumie zmarszczyła czoło. - Screelingi to asasyni Opiekuna. Mają tylko jeden cel i są niezwykle niebezpieczne, ale niezbyt bystre. Trzeba im jakoś wskazać tego, kogo mają dopaść, podsunąć sposób, jak go znaleźć. Na tym świecie nie radzą sobie zbyt dobrze z poszukiwaniami. Skąd Opiekun wiedział, gdzie jesteś? Skąd screeling wiedział, jak cię znaleźć? Na pewno chodziło mu o ciebie?

Zedd wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Byłem tam, gdzie otwierano szkatuły. Ale to się stało w jakiś czas po ich otwarciu. W żaden sposób nie mógł wiedzieć, że jeszcze tam jestem.

- Zniszczyłeś screelinga? - Tak.

- To dobrze. Opiekun nie wyśle następnego, skoro udowodniłeś, iż potrafisz je niszczyć.

Zedd wyrzucił w górę ramiona.

- O, jak wspaniale! Screelingi mają eliminować tych, którzy zagrażają Opiekunowi. Tego wysłano zapewne po to, by uwolnił Opiekuna od mojego wścibstwa, tak jak Opiekun wysłał banelinga, żeby powstrzymać cię od mieszania się w jego sprawy. Masz rację: teraz, kiedy udowodniłem, że potrafię je niszczyć, nie wyśle do mnie kolejnego screelinga. Przyśle coś gorszego.

- Jeżeli tamten naprawdę przyszedł po ciebie. - Dotknęła palcem wargi, zamruczała coś do siebie. - Gdzie był kamień, kiedy go znalazłeś?

- Obok szkatuły, którą otwarto. - A gdzie się pojawił screeling?

- W tym samym pomieszczeniu co szkatuły i kamień. W zadziwieniu potrząsnęła głową.

- Może faktycznie było, jak mówisz, i zjawił się po kamień, ale to bezsensowne, żeby screeling przychodził w tym celu. Zastanawiam się, w jaki sposób cię odnalazł. - Ruszyła, utykając, ku półkom. - Coś go musiało prowadzić.

Stanęła na palcach i spojrzała w głąb półki. Ostrożnie odsuwała na bok rozmaite przedmioty, wreszcie znalazła to, czego szukała. Wróciła ku stołowi, trzymając owo coś w dłoni, i delikatnie postawiła na blacie. Było trochę większe niż jajo kury, okrągłe, pociemniałe ze starości i pokryte grubym nalotem, brązowawoczarnym w zagłębieniach. Na stole znajdowała się kunsztownie wyrzeźbiona statuetka jakiejś zwiniętej w kulę groźnej bestii o pełnych wściekłości oczach, które zdawały się w ciebie wpatrywać bez względu na to, jak się trzymało przedmiot. Wyglądało to na wyrzeźbione z kości, bardzo starej kości.

Zedd podniósł przedmiot i zważył w dłoni. Był o wiele cięższy, niż się czarodziej spodziewał.

- Co to jest?

- Dała mi to pewna kobieta, czarodziejka, kiedy przyszłam do niej na

naukę. Była już na łożu śmierci. Spytała, czy wiem o skrinie. Opowiedziałam jej wszystko, co wiedziałam. Westchnęła z ulgą, a potem rzekła coś, co przyprawiło mnie o dreszcze. Oznajmiła, że czekała na mnie, bo tak jej nakazały przepowiednie. Włożyła mi w dłoń tę rzecz i dodała, iż wyrzeźbiono ją w kości skrina. - Adie machnęła ręką ku ścianom, a potem ku stosowi kości. - Tam, wśród kości, mam całego skrina. Kiedyś, w przejściu, stoczyłam walkę z jednym z nich. Są tutaj jego szczątki. Jego czaszka leży na półce.

To ta, która spadła na podłogę. - Położyła chudy palec na rzeźbionej kościanej kuli w dłoni Zedda, nachyliła się ku czarodziejowi i ściszyła chrypiący głos. - Tamta stara czarodziejka powiedziała, że ta rzecz powinna być strzeżona przez kogoś, kto wie. Mówiła, iż to przedmiot starożytnej magii, wykonany przez dawnych czarodziejów, i że pewno sam Stwórca prowadził ich dłonie. Zrobili to ze względu na proroctwa. Powiedziała, że to chyba najważniejszy magiczny przedmiot, jakiego w życiu dotknę. Że ma w sobie większą moc niż obie, ona i ja, jesteśmy w stanie pojąć. Oznajmiła, że to kość skrina, moc skrina, cenny talizman na wypadek, gdyby zasłona znalazła się w niebezpieczeństwie. Spytałam ją, jak się tym posługiwać, jak działa owa magia, jak ów przedmiot dostał się w jej ręce. Podekscytowanie moim przybyciem bardzo ją wyczerpało, powiedziała, że musi odpocząć i żebym przyszła rankiem, to powie mi wszystko, co sama wie. Nie żyła już, kiedy wróciłam. - Adie spojrzała znacząco na czarodzieja. - Śmierć przyszła po nią za szybko jak na mój gust. Zedd miał takie samo wrażenie.

- Więc nie wiesz, co to jest i jak się tym posłużyć? - Nie.

Czarodziej zawiesił przedmiot w powietrzu, patrzył jak się powoli obraca. Mistrzowsko wyrzeźbione oczy zwierza cały czas się weń wpatrywały.

- Próbowalaś podzielać na to magią?

- Bałam się.

Zedd ustawił dłonie po obu stronach unoszącej się w powietrzu rzeźby i delikatnie działał na nią różnymi rodzajami mocy, różnymi rodzajami magii. Opływały okrągłą kość, ostrożnie szukając jakiejś szczeliny, tarczy, czułego punktu.

Dziwne, bardzo dziwne. Magia odbijała się, jakby niczego nie dotykała, jakby tam wcale nie było rzeźby. Może to jakaś osłona, z którą nigdy się

jeszcze nie zetknąłem, zastanawiał się czarodziej. Zwiększył siłę działającej mocy. Ześliznęła się z kości, jak nowy skórzany but ślizga się po lodowej tafli.

Adie załamała rękę.

- Uważam, że nie powinienes...

Zgasła lampa. Z nagle zgaszonego knota uniosło się pasemko mazistego dymu. Pokój wypełniły migotliwe cienie, rzucane przez płonący w palenisku ogień. Zedd spojrzał gniewnie na zgasłą lampę.

Nagły trzask sprawił, że oboje pospiesznie się rozejrzeli. Czaszka toczyła się po podłodze ku miejscu, gdzie siedzieli. W połowie drogi zakołysała się i znieruchomiła ciemieniem ku górze. Puste oczodoły wpatrywały się w nich, długie kły opierały się o drewnianą podłogę.

Rzeźbiona kość łupnęła o stół i podskoczyła dwa razy. Zedd i Adie zerwali się na nogi.

- Jakież to głupstwo zrobiłeś, stary? Zedd wpatrywał się w czaszkę.

- Nic nie zrobiłem.

Z półek spadały dalsze kości. O podłogę uderzały te zawieszony dotąd na ścianach, niektóre podskakiwały i odbijały się od podłoża.

Oboje odwrócili się, słysząc z tyłu jakiś hałas. To z trzaskiem i stukaniem rozdzielał się stos kości. Niektóre z nich jak, żywe ślizgały się lub toczyły po podłodze w kierunku czaszki. Sunące u ich stóp żebro zaczepiło o nogę krzesła i okręciło się dokoła niej, nie przerywając wędrówki.

Zedd obrócił się ku Adie. Pospiesznie szła ku półce za stołem, tej zasłoniętej materiałem w niebieskie i białe pasy.

- Co robisz, Adie? Co się dzieje?

Coraz więcej kości gromadziło się wokół czaszki. Adie szarpnęła zasłonkę, zerwała ją z haczyków.

- Odejdź! Zanim będzie za późno!

- Co się dzieje?

Zabrzęczały energicznie odsuwane słoje i puszki. Adie sięgnęła głębiej ręką, szukała czegoś na oślep. Na podłogę poleciały puszki. Spadający słów rozbił się o brzeg lady i zasypał błyszczącymi szklanymi okruchami stół i krzesła. Gęsta, ciemna maź z roztrzaskanego naczynia spływała z krawędzi, niosąc szklane odłamki; przypominała płynnego jeżozwierza.

- Rób, co mówię, czarodzieju! Odejdź! Natychmiast!

Zedd ruszył pospiesznie ku kobiecie, odłamki szkła trzeszczały mu pod

stopami. Zerknął przez ramię na czaszkę i zamarł.

Była na tym samym poziomie co jego oczy; piszczyle zbierały się pod nią i układały, unosząc ją w powietrzu. Kilka żeber wskoczyło na miejsce, kręgi ustawiły się w linię, pazury sterczały ze szponów, a kości nóg stanęły przy obu bokach. Żuchwa zajęła swoje miejsce w unoszącym się ku sufitowi czerepie.

Zedd okręcił się ku Adie, złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie. Odeszła od lady, zaciskając w dłoni małą puszkę.

- Co się dzieje, Adie?

Uniosła głowę ku ocierającej się o powagę czaszce.

- Co widzisz?

- Co widzę? Kurczę, kobieto! Widzę ozywającą kupę kości! Skrin przygarbił się - nowe kości jeszcze go wydłużyły. A już kolejne ciągnęły ku niemu po podłodze.

Adie gapiła się nań.

- Nie widzę kości. Widzę ciało.

- Ciało! Kurczę! A sądziłem, żeś go zabiła. Tak powiedziałaś.

- Mówiłam, że go pokonałam. Nie wiem, czy skrina można zabić. Nie myślę, by one żyły. Miałaś rację co do jednego, czarodzieju: skoro dałaś radę screelingowi, to Opiekun przysłał coś gorszego.

- Skąd wiedział, gdzie jesteśmy? Skąd skrin wie, gdzie jesteśmy? A te wszystkie kości miały nas ukryć!

- Nie wiem. Nie pojmuję, jak...

Wyciągnęło się ku nim kościotrupie ramię. Zedd odchylił się do tyłu, pociągnął za sobą Adie. Łączyło się coraz więcej kości. Czarodziej włókł Adie za stół, a ona nerwowo otwierała puszkę. Wieczko odskoczyło, upadło na podłogę i zawirowało jak bąk. Skrin pochylił się nagle, opuścił ramię. Stół rozpadł się z trzaskiem.

Rzeźbiona kula poturlała się, podskakując, po podłodze. Zedd spróbował uchwycić ją magią, lecz dało to taki efekt, jakby chciał zatłuszczonymi palcami podnieść pestkę dyni. Starał się zatrzymać kulę zagęszczonym powietrzem, ale wyslizgnęła się i potoczyła w kąt.

Szkielet skrina rzucił się na nich. Czarodziej szarpnął Adie do tyłu, upadli. Podniósł ją, a ona gwałtownym ruchem sięgnęła do puszek. Skrin nie mógł się szybko poruszać - tak urósł, że sufit go przygniatał. Rozdziawił

szeroko pysk, jak gdyby chciał zaryczeć. Nie wydał żadnego dźwięku, jednak Zedd poczuł podmuch powietrza. Rozwiał ich szaty jak wiatr.

Adie wyjęła dłoń z puszkki i sypnęła na bestię migotliwym białym piaskiem.

Piasek czarnoksiężnika. Ta wariatka miała piasek czarnoksiężnika.

Skrin chwiejnie cofnął się o krok, potrząsnął łbem. W mgnieniu oka oprzytomniał i znów ruszył na nich. Zedd puścił kulę ognia. Przemknęła wśród kości i rozprysnęła się na ścianie. Płomienie zgasły, zostawiając okopconą plamę. Ogień nie pomógł, więc czarodziej spróbował z powietrzem. Bez skutku.

Potwór znów się zbierał do ataku; wycofywali się. Czarodziej ciągnął za sobą Adie i próbował rozmaitych rodzajów magii. Nie zwracała uwagi na niebezpieczeństwo; wysypała na dłoń resztę piasku czarnoksiężnika. Kiedy skrin rozwarł paszczę w kolejnym bezgłośnym ryku, sypnęła piasek z niezrozumiałą inkantacją. Te słowa zdusiły bezgłośny ryk. Monstrum wciągało w siebie migotliwy biały piasek. Klapnęły zamykane szczęki, łeb poleciał do tyłu.

- To wszystko, co miałam. Mam nadzieję, że to wystarczy.

Skrin potrząsnął łbem i wypluł piasek, tworząc migotliwy obłok. Znów ruszył na nich. Zedd pociągnął Adie za rękaw, ale się wyrwała. Czarodziej rzucał w kościaną bestię krzesłami i kawałkami drewna, żeby odwrócić uwagę od czarodziejki, która zachodziła ją z boku. Odbijały się.

Zedd wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął garść własnego migotliwego piasku. Cisnął go w sam środek stojącej przed nim kościanej konstrukcji. Nie dało to lepszego efektu niż piasek Adie. Wszelkie podstępny na nic się zdały; stwór zainteresował się kobietą. Ściągała ze ściany starożytną kość. Z jednego jej końca zwieszały się pióra, z drugiego - sznury czerwonych i żółtych paciorków.

Zedd złapał kościste ramię, lecz bestia strząsnęła go. Skrin zatoczył się w stronę Adie. Potrząsnęła ku niemu piszczelą, rzucając zaklęcia w swoim ojczystym języku. Monstrum klapnęło zębami. Adie zdążyła na czas cofnąć rękę i ocalić ją, lecz nie uchroniła kościanego talizmanu. Został przegryziony na pół.

Nie było na co czekać. Zedd nie miał pojęcia, jak walczyć z bestią, a Adie wyraźnie nie szło. Czarodziej zanurkował ku niej pod łbem skrina,

wylądował na nogach.

- Chodź! Musimy się stąd wydostać!
- Nie mogę. Są tu bardzo cenne rzeczy.
- Łap, co zdążysz, i uciekamy.
- Weź tę okrągłą kość, którą ci pokazałam.

Zedd próbował się przedostać do kąta, ale skrin kłapał nań zębiskami i zamierzał się szponami. Czarodziej bronił się wszystkimi rodzajami magii, jakimi dysponował. Niepostrzeżenie tracił pole, nie miał się już dokąd cofać.

- Musimy zaraz uciekać, Adie!
- Nie możemy zostawić tej kości! Jest ogromnie ważna dla zaślony! Adie rzuciła się ku pieszczeli. Zedd chciał ją złapać, lecz chybił.

Skrin, na szczęście, również. Jedynie rozciął jej ramię pazurem. Z krzykiem uderzyła o ścianę, odbiła się i padła na podłogę, twarzą w dół. Wraz z nią poleciały dalsze kości.

Zedd chwycił ją za spódnicę i zdążył odciągnąć w chwili, kiedy pazury uderzyły o ścianę, przechodząc o włos od jej głowy. Adie wczepiała się w podłogę, starając się odpełznąć od czarodzieja i dosięgnąć leżącej w kącie kości.

Skrin cofnął się z bezgłośnym rykiem. Wyprostował się na całą wysokość, przebił sufit. W dół poleciały drzazgi i kawały drewna. Pazury wściekle szarpały drewniane ściany, kły rwały dach. Zedd ciągnął ku drzwiom wyrrywającą się Adie.

- Tu są rzeczy, które muszę ze sobą zabrać! Cenne rzeczy! Zbierałam je całe życie!

- Nie ma czasu, Adie! Teraz ich nie uratujemy!

Wyrwała się i rzuciła ku wiszącemu na ścianie kościanemu talizmanowi. Skrin sięgnął po nią. Zedd skorzystał z magii, żeby ją odciągnąć. Złapał ją oburącz i wypadli przez drzwi dokładnie wtedy, gdy rozorał je pazur.

Podnieśli się. Zedd ruszył biegiem, wlokąc szarpiącą się czarodziejkę. Próbowała na nim swojej magii, lecz się przed tym osłonił. Nocne powietrze było lodowate. Zimny wiatr unosił ich skroplone oddechy, kiedy tak biegli i szamotali się.

Adie zawodziła, jak matka obserwująca kaźnię swego dziecka. Wyciągała ramiona ku domowi; z jednego sączyła się krew.

- Błagam! Moje skarby! Nie mogę ich zostawić! Nie rozumiesz! To

potężna magia!

Skrin szarpał ściany, żeby się wydostać i ruszyć za nimi.

- Adie! - Zedd przyciągnął jej twarz do swojej. - Na nic ci się nie przydadzą, jeżeli zginiesz. Wrócimy po nie, gdy tylko uporamy się z tą bestią.

Dyszała ciężko. Oczy miała pełne łez.

- Proszę cię, Zeddzie. Moje kości. Nie rozumiesz. Są cenne. Mają w sobie magię. Mogą nam pomóc scalić zasłonę. Jeśli wpadną w niewłaściwe ręce...

Zedd gwizdnął na konia. Znów ciągnął za sobą Adie. Opierała się z całych sił.

- Błagam, Zeddzie! Nie zostawiaj ich!

- Adie! Jeżeli umrzemy, to nikomu nie zdołamy pomóc!

Klacz przybiegła i zatrzymała się przed nimi. Potoczyła przerażonymi, wielkimi ślepiami - dostrzegła bestię wydostającą się spomiędzy ścian domu, rozwalającą deski i belki. Zarżała z przerażenia, ale stała w miejscu. Zedd złapał się grzywy i wskoczył na grzbiet konia, usadził Adie za sobą.

- Biegnij! Leć jak wiatr!

Koń skoczył naprzód, spod kopyt trysnęła ziemia i mech; zęby bestii kłapnęły przy boku klaczy. Pogalopowali przez mrok - skulony Zedd i Adie obejmująca go w pasie. Skrin został w tyle może i nie na dziesięć kroków. Wyglądało na to, że jest równie szybki jak rumak. A przynajmniej nie szybszy. Zedd słyszał kłapanie zębisk. Za każdym razem koń kwiczał i dobywał nowych sił do biegu. Czarodziej dumiał, komu na dłużej ich starczy - zwierzęciu czy skrinowi. Bał się, że zna odpowiedź.

ROZDZIAŁ 24

Richard otworzył oczy.

- Ktoś się zbliża.

Siostra Verna siedziała po przeciwległej stronie niewielkiego ogniska i pisała w małej książeczce, którą zwykle nosiła zatknietą za pas. Spojrzała nań spod oka.

- Dotknąłeś swojej Han, tak?

- Nie - przyznał chłopak. Nogi go bolały, musiał przynajmniej godzinę siedzieć nieruchomo. - Ale na pewno ktoś się zbliża, mówię ci.

Powtarzali to każdego wieczoru; tym razem było tak samo. Richard siadał, wyobrażał sobie miecz na jasnym tle, próbując dosięgnąć tego miejsca wewnątrz siebie, owej Han, która, według Siostry Verny, na pewno w nim była - i nie mógł jej odnaleźć. Siostra obserwowała go, pisała coś w niewielkiej książeczce albo dotykała swojej Han. Już nie wyobrażał sobie, jak pierwszego wieczoru, miecza w czarnym czworoboku z białym otokiem. Nie miał najmniejszej ochoty znów się zetknąć z tamym koszmarem.

- Zaczynam podejrzewać, iż nie potrafię dotknąć własnej Han. Staram się, jak mogę, lecz bez skutku.

Verna podsunęła książeczkę bliżej oczu i skończyła pisać w księżycowej poświacie.

- Przecież mówiłam ci, Richardzie, że na to trzeba czasu. Nie masz jeszcze zbyt dużej praktyki. Nie zniechęcaj się. To przyjdzie samo, w swoim czasie.

- Mówię ci, Sostro Verno, że ktoś się zbliża. Nie przerwała pisania.

- Skąd to wiesz, Richardzie, skoro nie potrafisz dotknąć swojej Han? Hmmm?

- *Nie* mam pojęcia. - Przesunął palcami po włosach. - Spędziłem samotnie wiele czasu w lasach. Czasami po prostu czuję, iż ktoś jest w pobliżu. Nigdy ci się to nie przydarzyło? Nigdy nie poczułaś, że ktoś cię obserwuje?

- Tylko za pomocą mojej Han - odparła, nie przerywając pisania. Richard patrzył, jak blask ognia igra na jej obojętnej twarzy.

- Mówiłaś, Sostro Verno, że jesteśmy w niebezpiecznym kraju.

Ostrzegam cię, że ktoś się zbliża.

Kartkowała książeczkę i mrużąc oczy, czytała coś w słabym blasku ognia.

- Od kiedy to wiesz, Richardzie?

- Powiedziałem ci o tym, gdy tylko to wyczułem. Od jakiejś chwili. Verna opuściła notatnik na kolana, podniosła wzrok na chłopaka.

- Lecz nie mówiłeś, że dotknąłeś swojej Han. Nic w sobie nie wyczułeś? Żadnej mocy? Żadnego blasku? Stwórcy? - Oczy jej się zwężyły. - Lepiej mnie nie okłamuj, Richardzie. Nigdy nie kłam, jeśli chodzi o dotykanie twojej Han.

- Nie słuchasz, Siostrze Verno! Ktoś nadciąga! Zamknęła książeczkę.

- O tym, iż ktoś się zbliża, wiedziałam od chwili, kiedy zacząłeś ćwiczenie, Richardzie.

Gapił się na nią ze zdumieniem.

- No to dlaczego tu siedzimy?

- Nie siedzimy ot tak sobie. Ty trenujesz dotykanie swojej Han, a ja się zajmuję moimi sprawami.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? Uprzedzałaś, że to niebezpieczne miejsce. Siostra Verna westchnęła i zajęła się utykaniem książeczki za swój szeroki pas.

- Bo wciąż są dość daleko. Nie pozostawało nam nic innego, jak robić to, co zwykle. Potrzebujesz ćwiczeń. Musisz próbować i próbować, aż dotkniesz swojej Han. - Potrząsnęła głową, zrezygnowana. - Teraz jednak jesteś z pewnością zbyt podekscytowany, żeby dalej ćwiczyć. Dzieli ich od nas jakieś dziesięć, piętnaście minut drogi. Możemy się zacząć pakować.

- Dlaczego teraz? Dlaczego nie odjechaliśmy, kiedy tylko ich wyczułaś?

- Bo nas zauważono. I teraz nie ma już sposobu, żeby uciec przed tymi ludźmi. To ich ziemia; pewno i tak nie zdołalibyśmy im umknąć. To chyba czujka, która nas wykryła.

- Dlaczego więc chcesz się teraz pakować do drogi? Verna spojrzała nań jak na beznadziejnego głupca.

- Bo nie możemy tu przenocować, gdy ich zabijemy. Richard poderwał się.

- Zabijemy ich! Nawet nie wiesz, kto się zbliża, a już chcesz ich zgładzić!

Siostra Verna wstała, wyprostowała się sztywno i spojrzała mu w oczy.

- Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, aby temu zapobiec, Richardzie.

Czy do tej pory kogoś spotkaliśmy? Nie. Nie widzieliśmy nikogo, choć ci ludzie kręcą się wszędzie jak banda rozwścieczonych mrówek. Omijałam każdego, kogo mogłam wyczuć dzięki mojej Han, unikałam jakiegokolwiek kontaktu z nimi. Uczyniłam, co mogłam, by uniknąć kłopotów. Ale czasem nie da się uniknąć kłopotów, choćbyś nie wiem jak się starał. Nie chcę zabijać tych ludzi; za to oni jadą tu z zamiarem zabicia nas.

To tłumaczyło, dlaczego podążali tak szczególną trasą. Od tygodni kierowali się ku południowemu wschodowi, lecz czynili to w wielce osobliwy sposób. Verna, bez słowa wyjaśnienia, prowadziła najpierw jednym szlakiem, potem innym, niekiedy się cofała, ale zawsze podążała na południowy wschód.

Pustkowie stawało się coraz bardziej skaliste i niegościnne. Richard nie dopytywał się, dokąd jadą, bo podejrzewał, że i tak by mu nie odpowiedziała; poza tym nic go to nie obchodziło. I tak zawsze będzie więźniem.

Chłopak podrapał swój świeży zarost i zaczął celnymi kopniakami zasypywać ognisko. Noc była ciepła, jak większość ostatnio. Zastanawiał się, gdzie też się podziała zima.

- Jeszcze nie wiemy, kim oni są. Nie możesz zabijać każdego, kto się pojawi.

- Richardzie. - Załamana ręce. - Nie wszystkim Siostrom udaje się wrócić. Wiele zostało zabitych na tych właśnie ziemiach. Tak czy owak, wyruszyły po ciebie trzy Siostry. Zostałam tylko ja. Niezbyt to pomyślne.

Konie zarżały cicho, zaczęły się kręcić, potrząsać głowami i stukać kopytami. Richard zapiął pendent miecza. Sprawdził, czy klinga luźno tkwi w pochwie.

- Źle zrobiłaś, Sostro, nie próbując odjechać, zaraz gdy ich wyczułaś. Jeżeli teraz musisz walczyć, to dlatego, że nie ma innego wyjścia. Nawet nie próbowałaś go znaleźć.

Verna obserwowała chłopaka, ręce nadal miała splecione. Powiedziała cicho, lecz zdecydowanie:

- Ci ludzie zamierzają nas zabić, Richardzie. Nas oboje. Gdybyśmy próbowali uciekać, to tylko zaalarmowałyby pozostałych. I ściągnęłyby na nas setki, tysiące innych. Nie uciekałam, bo chciałam ich sprowokować, żeby sami próbowali nas pojmać, tak byśmy mogli usunąć zagrożenie.

- Nie będę zabijał dla ciebie ludzi, Sostro Verno.

Patrzyli na siebie gniewnie. Richard posłyszał krzyk - krzyk kobiety. Wpatrzył się w noc, usiłując dojrzeć coś w cieniach wśród skalnych iglic, wypatrzyć, skąd dobiegł krzyk. Nie dostrzegł nikogo, lecz płacz i wrzaski były coraz bliżej.

Chłopak zarzucił ziemią resztki ogniska i pognął do koni; uciszał je głaskaniem i łagodnymi słowami. Nie dbał o to, co mówiła Verna: nie będzie mordował na jej rozkaz. Ta wariatka nawet nie próbowała ucieczki. Pewno chciała walki, żeby się przekonać, co on, Richard, potrafi. Zawsze patrzyła na niego jak na niezbyt lotnego utrapieńca. Bez przerwy pytała, czy ćwiczy, czy próbuje dotknąć swojej Han. Nie mógł wyczuć tej jakiejś Han, a tym bardziej jej dotknąć czy przywołać. No i dobrze, co mu tam.

Richard ruszył właśnie ku skórzanym jukom, by spakować resztę rzeczy - i wtedy ukazała się biegnąca kobieta. W rozwianej pelerynie, krzycząc z przerażenia, wpadła na oślep do ich obozowiska. Wrzasnęła przeraźliwie i rzuciła się ku Richardowi.

- Pomóż mi! Błagam! Pomóż! - wołała. - Nie pozwól, by mnie złapali!

Pęd rozwiewał długie włosy biegnącej. Jej twarz wyrażała takie przerażenie, że chłopaka przeszył zimny dreszcz. Była tuż przy nim, potknęła się, więc podtrzymał ją. Pot i łzy wyłobily pręgi na jej umazanej twarzy.

- Błagam cię, panie - szlochała, patrząc na chłopaka ciemnymi oczami - nie pozwól, żeby mnie złapali. Nawet nie wiesz, co by mi wtedy zrobili.

Richard z przerażeniem przypomniał sobie ściganą przez bojówkę Kahlan. Pamiętał, jak się bała owych mężczyzn, pamiętał, że powiedziała niemal to samo: „Nawet nie wiesz, co oni by mi zrobili”.

- Nikt cię nie złapie. Teraz jesteś już bezpieczna.

Kobieta wysunęła ramiona spod peleryny, objęła go. Podtrzymywał ją, a ona cały czas patrzyła mu w oczy.

Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz tylko wydała dziwny dźwięk i szarpnęła się. Z jej oczu trysnęło światło. Osunęła się ciężko i bezwładnie w ramionach chłopaka.

Richard spojrział w twarde oczy Siostry Verny wyszarpującej srebrny nóż z pleców tamtej. Pozwolił, by ciało osunęło się na ziemię. Kobieta opadła bezwładnie i przetoczyła się na plecy.

Zadźwięczał dobywany z pochwy miecz.

- Co z tobą? - zasyczał chłopak. - Zamordowałaś tę kobietę. Siostra Verna odwzajemniła jego wściekłe spojrzenie.

- Zdawało mi się, że nie masz głupich uprzedzeń co do zabijania kobiet. W chłopaku szalał magiczny gniew miecza, domagając się uwolnienia.

- Jesteś szalona.

Richard był na skraju morderczego wybuchu. Czubek miecza wzniosł się gniewnie.

- Lepiej się upewnij, czy aby nie popełnisz pomyłki - powiedziała spokojnie Verna - a dopiero potem mnie zabij, - Richard milczał, bowiem gniew pozbawił go głosu. - Spójrz, co ma w ręce.

Chłopak popatrzył na martwą kobietę. Ciężka wełniana peleryna zakrywała dłonie. Odrzucił ją mieczem - nóż nadal tkwił w zaciśniętej pięści. Szczyt ostrza zabarwiony był czymś ciemnym.

- Zadrapała cię tym nożem?

- Nie. - Wciąż dyszał gniewem. - A bo co?

- Bo to ostrze pomazane trucizną. Wystarczy jedno draśnięcie.

- Dlaczego myślisz, że był przeznaczony dla mnie? Pewno się chciała bronić przed ścigającymi ją mężczyznami!

- Nikt jej nie ścigał. Była czujką. Ciągle mi powtarzasz, że bym cię przestała traktować jak dziecko. Przestań się więc tak zachowywać, Richardzie. Sporo wiem o tych ludziach, wiem, jak działają. Zamierzała nas zabić.

Zacisnął zęby, poczuł mocno napinające się mięśnie.

- Mogliśmy uciec, kiedy nas pierwszy raz wypatrzyła.

- O, tak - przytaknęła. - I umrzeć. Mówię ci, Richardzie, iż znam tych ludzi. Dzicz zamieszkuje wiele ludów, a każdy z nich na pewno by nas zgładził, gdyby nas dopadł. Jeśli pozwolilibyśmy jej dotrzeć do swoich, z pewnością by nas złapali i zamordowali. Nie pozwól, by oślepił cię gniew miecza. Miała w dłoni zatruty nóż, trzymała go za twoimi plecami. Padła ci w ramiona jedynie po to, żeby się łatwiej nim posłużyć. A ty jej głupio na to pozwoliłeś. - Odwróciła się nieco i uniosła ramię. - A gdzie są ci, którzy ją ścigali? - Opuściła rękę. - Nie ma nikogo poza nią. Gdyby tu byli, wyczułabym ich moją Han. Była sama. Właśnie ocaliłam ci życie.

Richard schował Miecz Prawdy do pochwy.

- To żadna przysługa, Siostrzo Verno.

Nie wiedział, w co wierzyć. Jednego był pewien - miał dosyć magii, dosyć zabijania.

- Cóż to za nóż chowasz w rękawie? Co to za światło pojawia się w ich oczach, kiedy giną od uderzenia twego ostrza?

- To dakra. Chyba odpowiednik jej zatrutego ostrza. Lecz w wypadku dakry nie ginie się od rany; ona gasi iskrę życia. - Spuściła wzrok. - Ciężko jest odbierać życie, ale niekiedy to jedyne wyjście. Tak jak tej nocy: tylko w ten sposób mogliśmy się uratować, czy wierzysz w to, czy nie.

- Jednego jestem pewien, Sostro Verno: bez wahania posłużyłaś się dakrą i nawet nie spróbowałaś niczego innego. Pochowam ją.

- Richardzie. - Verna wygładziła spódnicę. Mam nadzieję, że zrozumiesz i nie wytłumaczysz sobie źle naszego postępowania. Kiedy już dotrzemy do pałacu, będziemy musiały odebrać ci Miecz Prawdy. Dla twojego własnego dobra.

- Dlaczego? Dlaczego to ma być dla mojego dobra? Znow spłotła dłonie.

- To bardzo groźna przepowiednia, ta, która mówi: *Jest dawcą śmierci i sam tak siebie nazwie*. Dalej jest o tym, że właściciel miecza potrafi przywoływać zmarłych, przywoływać przeszłość.

- Co to znaczy?

- Nie wiemy tego.

- Przepowiednie - mruknął Richard. - Przepowiednie to jedynie głupie zagadki, Sostro. Przywiązujesz do nich zbyt dużą wagę. Przyznajesz, że ich nie rozumiecie, a jednak próbujecie działać zgodnie z nimi. Tylko głupiec wypełnia ślepo to, czego nie pojmuje. Gdyby to była prawda, to przywołałbym zmarłą i ożywił tę kobietę.

- Wiemy więcej o przepowiedniach, niż ci się wydaje. Wierzę, że dla bezpieczeństwa powinniśmy zabrać ci miecz, dopóki lepiej nie zrozumiemy owego proroctwa.

- Czy nadal byłabyś Siostrą, gdyby ktoś odebrał ci dakrę?

- Oczywiście. Dakra to wyłącznie narzędzie, które pomaga nam w naszym dziele. Nie czyni nas tym, czym jesteśmy.

Richard uśmiechnął się zimno.

- Tak samo jest z mieczem. Z nim czy bez niego i tak jestem Poszukiwaczem. I nie stanę się dla was mniejszym zagrożeniem. Zabranie go nic wam nie da.

Zacisnęła pięści.

- To nie to samo.

- Nie zabierzecie miecza - oznajmił stanowczo. - Nigdy nie zrozumiecie, jak bardzo nienawidzę tej klingi wraz z jej magią i jak bardzo chciałbym się jej pozbyć. Lecz dano mi ten oręż, kiedy zostałem ogłoszony Poszukiwaczem. Powierzono mi go na tak długo, jak zechcę go dzierżyć. Jestem Poszukiwaczem i to ja zdecyduję, kiedy go złożę. Ja, a nie wy czy ktokolwiek inny.

- Ogłoszony Poszukiwaczem? - Zmrużyła oczy. - Nie znalazłeś tego miecza? Nie kupiłeś go? Czarodziej ci go dał? Zostałeś ogłoszony Poszukiwaczem? Prawdziwym Poszukiwaczem? Przez czarodzieja?

- Tak.

- Przez jakiego czarodzieja?

- Już ci mówiłem: to Zeddicus Zu'1 Zorander.

- Spotkałeś go tylko wtedy, kiedy dał ci miecz?

- Nie. Spędziłem przy nim całe życie. Właściwie wychował mnie. Jest moim dziadkiem.

Przez chwilę panowała martwa cisza.

- I ogłosił cię Poszukiwaczem, bo nie chciał cię nauczyć, jak kontrolować dar? Jak być czarodziejem?

- Nie chciał!? Kiedy sobie uświadomił, że mam dar, błagał wprost, by móc mnie uczyć na czarodzieja.

- Zaofiarował się? - wyszeptała.

- Otóż to. Powiedziałem mu, że nie chcę być czarodziejem. – Coś było nie tak; te wiadomości najwyraźniej wstrząsnęły Verną. - Odpowiedział, że jego propozycja jest nadal ważna. A co? Potarła jedną dłoń o drugą.

- To takie... niecodzienne. Jak wiele z tego, co ciebie dotyczy. Richard nie wiedział, czyjej wierzyć. Myślał, że może i nie potrzebowałby obroży, gdyby Zedd zdołał mu pomóc.

Ale Kahlan chciała, żeby założył obrozę. Chciała, by odszedł. Przeszył go ból.

Miecz to jedyna pamiątka po Zeddzie. Dostał go odeń w Westlandzie, w domu. Chłopak tęsknił za domem, za lasami. A miecz był tym, co mu pozostało po czarodzieju, po domu.

- Ogłoszono mnie Poszukiwaczem, Siostrze, i dano ów miecz na tak

długo, jak długo zechcę go dzierżyć i być Poszukiwaczem. I tylko ja zadecyduję, że nadszedł czas, by go złożyć. Jeśli chcesz mi go odebrać, to spróbuj teraz. Wtedy jedno z nas zginie. I nie dbam o to, które, ty czyja. Zamierzam walczyć na śmierć i życie. Jest mój i nie odbierzesz mi go, dopóki będzie we mnie iskierka życia.

Richard wsłuchał się w odległy skowyt jakiegoś ginącego nagłą, gwałtowną śmiercią zwierzęcia i w długą, pustą ciszę, która potem nastąpiła.

- Możesz zatrzymać miecz, skoro ci go dano, skoro go nie znalazłeś i nie kupiłeś. Nie odbiorę ci go. Nie mogę przemawiać w imię pozostałych, lecz spróbuję dopilnować, by twoje życzenie zostało spełnione. My musimy się zająć darem. Musimy cię nauczyć, jak kontrolować tę magię. - Wyprostowała się i spojrzała nań tak groźnie, że Richard o mało się nie cofnął. - Lecz jeśli ponownie się nim na mnie zamierzysz, to sprawię, iż przeklniesz dzień, w którym Stwórca obdarzył cię pierwszym oddechem. - Twarz jej stężała. - Rozumiemy się?

- Dlaczego jestem aż tak ważny, że zabiłabyś, byle tylko mnie pojąć?

Lodowaty spokój Siostry Verny był bardziej przerażający niż ewentualne wrzaski.

- Naszym zadaniem jest pomaganie tym, którzy mają dar, bo pochodzi on od Stwórcy. Służymy Stwórcy. Dla niego umieramy. Przez ciebie straciłam dwie najdawniejsze przyjaciółki. Płakałam z żalu po nich. Musiałam dziś zgładzić tę kobietę i może będę musiała zabić jeszcze kogoś, zanim dotrzemy do pałacu.

Richard czuł, że powinien milczeć, ale nie mógł się powstrzymać. Jak nikt potrafiła budzić w nim gniew.

- Nie próbuj obarczać mnie winą za to, co zrobiłaś, Siostro. Twarz Verny tak spurpurowiała, że chłopak zobaczył to nawet w nikłej księżycowej poświacie.

- Staralam się być cierpliwa, Richardzie. Pozostawiłam ci swobodę działania, bo wyrwano cię z życia, jakie znałeś, i wtrącono w sytuację, której się boisz i której nie pojmujesz. Lecz moja cierpliwość się kończy. Dokładałam wszelkich starań, żeby nie widzieć martwych przyjaciółek, kiedy patrzyłam w twoje oczy. Albo kiedy mi mówiłeś, iż jestem bez serca. Próbowałam nie myśleć, że to ty, a nie ja, stałeś nad ich grobem, że to tyje pochowałeś. Staralam się nie myśleć, co bym powiedziała nad ich grobami.

To, co się teraz dzieje, wykracza poza moje pojmowanie, poza moje oczekiwania, przekracza wszystko to, w co nauczono mnie wierzyć. Gdyby to zależało ode mnie, postąpiłabym zgodnie z twoim życzeniem, zdjęła ci Rada'Han i pozwoliła umrzeć w szaleństwie i bólu. Lecz decyzja nie należy do mnie. Wypełniam wolę Stwórcy.

Gniew chłopaka nie zgasł, ale ostygł.

- Przepraszam, Siostrze Verno.

Wolałby już, żeby na niego wrzasnęła. To było o wiele lepsze niż ów chłodny gniew, spokojne niezadowolenie.

- Złościłeś się, bo uważałeś, że cię traktuję jak dziecko, a nie jak młodą kobietę. Mimo to jednak nie dałeś mi powodu, bym traktowała cię inaczej. Wiem, jaki stopień możliwości osiągnąłeś, jaka długa czeka cię jeszcze droga. A w tej podróży jesteś niczym dziecko, które, choć nie umie chodzić, z płaczem domaga się, żeby mu zostawiono swobodę. Obroża umożliwia kontrolowanie cię. Zadawanie bólu. Wielkiego bólu. Do tej chwili unikałam posługiwania się nią, próbowałam cię skłonić, byś się pogodził z tym, co nieuniknione. Lecz jeśli będę musiała, to skorzystam z władzy, którą daje obroża. Stwórca wie, że wypróbowałam wszelkie inne metody. Wkrótce znajdziemy się w krainie o wiele bardziej niebezpiecznej niż ta. Będziemy się musieli układać z jej mieszkańcami, żeby nas przepuścili. Siostry mają z nimi swoje układy. Zrobisz, co ci powiem, zrobisz, co oni każą. Uczynisz, co będzie trzeba, albo wpadniemy w wielkie kłopoty.

- Co mam zrobić? - spytał podejrzliwie.

- Nie przeciągaj struny, Richardzie. - Spojrzała nań gniewnie. - Jeżeli zrozumiesz, że bez walki nie dostaniesz mojego miecza.

- Chcemy ci tylko pomóc, Richardzie. Jeśli znów podniesiesz na mnie oręż, to gorzko tego pożałujesz. - Popatrzyła na Agielę, wiszącego na szyi chłopaka. - Mord-Sith nie mają monopolu na zadawanie bólu.

Potwierdziły się jego podejrzenia. Miały zamiar tresować go tak, jak czyniła to Mord-Sith. To był prawdziwy powód założenia obroży. To tak zamierzały go uczyć: zadając ból. Wydało mu się, że Verna po raz pierwszy mimowolnie ukazała mu swoje właściwe zamiary.

- Muszę coś zrobić, zanim stąd odejdziemy. - Siostra Verna wyciągnęła zza pasa książeczkę. - Pochowaj ją. I dobrze ukryj ciało,

Jeśli ją znajdą, to dowiedzą się, co się stało, i zaczną nas ścigać. Wtedy

mój czyn poszedłby na marne. - Usiadła przed zgaszonym ogniskiem. Przesunęła dłonią nad stosikiem drewna i ukazał się ogień. - Chcę, żebyś się przespacerował, gdy ją pochowasz, i ochłonął. Nie wracaj, dopóki się nie uspokoisz. Wiedz, że ściągnę cię tu za pomocą obroży, jeżeli spróbujesz uciec albo nie nabierzesz rozumu, nim będę gotowa do odjazdu. - Spojrzała nań groźnie spod oka. - Na pewno ci się to nie spodoba. Obiecuję, iż ani trochę ci się to nie spodoba.

Martwa kobieta była lekka, łatwo ją było nieść. Richard w ogóle nie czuł jej ciężaru, idąc od ogniska pomiędzy niskie, skaliste wzgórza. Księżyc stał wysoko i oświetlał drogę. Chłopak szedł, od czasu do czasu kopiąc jakiś kamień. Myśli kłębiły mu się w głowie.

Bardzo go zdziwił poryw współczucia dla Siostry Verny. Nigdy przedtem nie zdradziła, jak bardzo cierpi z powodu śmierci Sióstr Grace i Elizabeth. Sądził, iż jest zupełnie nieczuła, skoro nic o tym nie mówi. Teraz bardzo jej współczuł, litował się nad jej udręką. Żałował, że mu o tym nie powiedziała. Łatwiej mu było złościć się na to wszystko, dopóki myślał, iż Verna jest bez serca.

Odszedł daleko od ich obozowiska - aż na szczyt wzniesienia, dokoła którego wyrastały skalne ściany i iglice. Porzucił rozmyślenia i zajął się dźwiganiem ciała. Może i nie zabiła jej rana zadana dąkrą, ale i tak krew spływała po plecach zmarłej, sklejjąc jej włosy i plamiąc mu ramiona. Miał dość niesienia jej na plecach. Ostrożnie położył ciało na skalistym gruncie i rozejrzał się, gdzie by ją pochować. Miał u pasa niewielką łopatę, lecz tu nie bardzo można było kopać. Spróbuje ją zasypać w jakiejś szczelinie.

Zaglądał w mroczne zagłębienia i bezwiednie tarł oparzone miejsce na piersi; wciąż mu dolegało. Nissel, uzdrowicielka, dała mu specjalną maść. Codziennie smarował nią oparzenie, a potem nakładał opatrunek. Nie lubił patrzeć na ranę. Nie chciał widzieć wypalonego odcisku dłoni.

Siostra Verna twierdziła, iż mógł się po prostu poparzyć ogniem płonącym w domu duchów; dopuściła też możliwość, że istotnie przywołali służalców Bezimiennego. To na pewno nie było zwyczajne poparzenie - to było piętno zaświatów. Piętno Rahla Posepnego.

Richard trochę się tego wstydził i nigdy nie pozwolił Siostrze spojrzeć na swoją ranę. Blizna stale przypominała mu o tym, kim naprawdę jest jego ojciec. Była zniewagą dla George'a Cyphera, którego uważał za ojca, który go

wychował, ufał mu i uczył. Dla człowieka, który go kochał i był przez niego, Richarda, kochany.

Ów znak przypominał mu też ciągle, jakim jest potworem - potworem, którego Kahlan skłoniła do założenia obroży i odesłała, odpędziła od siebie,

Richard uderzył brzęczącą mu koło twarzy muchę. Spojrzał w dół. Kłębiły się wokół ciała kobiety. Strach zmroził go, zanim jeszcze poczuł ukłucie w szyję.

Gończe muchy.

Gwałtownie dobył miecza, bo zza skały wyskoczyła wielka, ciemna postać. Ryk zagłuszył dźwięk stali. Chimera rozpostarła skrzydła i runęła na chłopaka. Przez chwilę Richardowi się zdawało, że z tyłu dostrzega drugą, skuloną, lecz natychmiast musiał skupić uwagę na atakującym go olbrzymie, na wbitych weń płonących, zielonych ślepiach.

Stwór był zbyt wielki jak na chimerę długoogoniastą i zbyt bystry, sądząc po tym, jak zręcznie uniknął pchnięcia. To musiała być chimera krótkoogoniasta. Co prawda była chudsza niż te, które widział wcześniej, lecz to pewnie efekt nieudanych polowań na tym pustkowiu. Chuda czy nie i tak była wielka, o połowę wyższa od chłopaka.

Richard potknął się o martwą kobietę i przewrócił, cofając się przed zamachem potężnych szponów. Podniósł się, z furią wprawił w ruch klingę, pozwoliwszy, by wlał się weń gniew miecza. Szpic klingi ciał stworza przez gładki, twardy, różowy brzuch. Chimera zawyla z wściekłości i znów zaatakowała, przewracając chłopaka na ziemię skórzastym skrzydłem. Przetoczył się i poderwał na nogi, ciał. Ostrze załśniło w księżycowej poświacie i ścięło czubek skrzydła, trysnęła krew. To tylko jeszcze bardziej rozjuszyło stworza, który rzucił się gwałtownie na Richarda. Kłapnęły długie, oślinione kły. Zielone ślepia pały wściekłością. Ryk ogłuszał. Szpony sięgnęły po chłopaka. W Richardzie szalał magiczny gniew, domagając się krwi. Chłopak pochylił się, zamiast odskoczyć - Wyprostował się, rzucił w przód i ciał obrośniętą sierścią potężną pierś chimery. Uderzył raz jeszcze, przy wtórze bolesnego, przedśmiertnego wrzasku.

Richard uniósł miecz, gotów ściąć ohydny łeb, lecz stwór go nie zaatakował. Przycisnął łapy do rany na piersi, chwiał się przez chwilę, po czym ciężko padł na plecy; trzasnęły łamane kości skrzydeł.

Z ciemności rozległo się bolesne zawodzenie. Richard cofnął się nieco.

Mały, ciemny kształt pomknął ku umierającej bestii i przylgnął do niej. Niewielkie skrzydła otuliły pierś unoszoną ciężkim oddechem.

Chłopak przyglądał się ze zdumieniem. Chimerze dziecko!

Ranny potwór podniósł drżącą łapę, przytulił zawodzące małe. Pierś uniosła się w bulgotliwym westchnieniu, podzuczając przytulonego potomka. Łapa opadła. Gasnące zielone ślepia wpatrywały się w małe, potem przeniosły się na Richarda; było w nich bolesne błaganie. Pocięła krew i stwór wydał ostatnie tchnienie. Oczy zgasły, potwór znieruchomiał. Małe zakwiliło boleśnie, zacisnęło drobną piąstkę na matczynej sierści.

To wciąż chimera, chociaż mała, pomyślał Richard. Podszedł bliżej. Musiał ją zabić. Szalał w nim gniew. Uniósł miecz.

Małe cofnęło się i osłoniło łeb drżącym skrzydłem. Bało się, ale nie chciało odejść od matki. Kwiliło ze smutku i strachu.

Spod trzęsącego się skrzydła wyglądała przerażona mordka. Mrugały wielkie, przerażone, zielone ślepia. Łzy spływały po pobrużdżonych policzkach, zawodziło rozpaczliwie.

- O, dobre duchy - wyszeptał zdrętwiały chłopak. - Nie mogę tego zrobić.

Chimerka drgnęła, patrząc, jak opada wzniesiony miecz. Richard obrócił się do niej plecami i zamknął oczy. Zemdlilo go; cierpiał. Magia miecza - jak zwykle - doświadczyła go bólem pokonanego wroga i uświadomił sobie, jak przerażający czyn był gotów popełnić.

Wsunął miecz do pochwy i głęboko odetchnął, żeby się uspokoić. Później zarzucił na ramię ciało kobiety i ruszył przed siebie. Słyszał łkanie młodej chimery, wczepionej w martwą matkę. Nie mógł jej zabić. Po prostu nie mógł. Miecz by do tego nie dopuścił, powiedział sobie Richard. Magia srożyła się tylko przeciwko prawdziwemu zagrożeniu. Nie pozwoliłaby mu zgładzić małej chimery. Był pewien, że nie pozwoliłaby.

Magia, rzecz jasna, podziałałaby, gdyby sprawił, żeby klinga zbieła, lecz on sam nie zniósłby takiego cierpienia. Nie wystawiłby się na udrękę tylko po to, by zabić bezbronny malca.

Chłopak niósł martwą kobietę ku następnemu wzniesieniu, nasłuchując cichnących łkań. Ponownie złożył ciało na ziemi i usiadł, żeby odpocząć. Widział powaloną bestię - ciemny kształt na oświetlonej księżycem skale - oraz wczepione w nią małe. Słyszał jęki rozpacz i strachu. Długo tak siedział, patrząc i słuchając.

- Cóżem uczynił, o dobre duchy?

Duchy, jak zwykle, nie miały nic do powiedzenia.

Kątem oka Richard dostrzegł jakiś ruch. Na tle wielkiego, jasnego księżycy ukazały się dwie sylwetki. Zawróciły i zaczęły zniżać lot. Dwie chimery.

Wstał. Może zobaczą małe i pomogą mu. Stwierdził, iż zachęca je do szybszego lądowania. Potem zdał sobie sprawę, jak mało prawdopodobne jest, by małe przeżyło. Ale zaczynał czuć osobliwą sympatię do poczwara.

Schylił się pospiesznie. Chimery, kołując wokół sąsiedniego wzgórza, przeleciały blisko niego. Zacieśniły spiralę.

Mała chimera umilkła.

Ciemne kształty opadły i wylądowały z trzepotem skrzydeł dość daleko od siebie. Ostrożnie okrężyły martwą samicę i jej potomka. Rozłożyły skrzydła i skoczyły zniemacka ku milczącemu małemu. Wrzasnął. Łopot skrzydeł, groźne ryki, przerażone piski.

Richard wstał. Wiele zwierząt zjada małe swojego gatunku. Czynią to zwłaszcza samce, szczególnie jeśli mają niewiele pożywienia. Te na pewno nie ocala młodego - wyraźnie zamierzały je zjeść.

Chłopak pognął w dół stokiem wzgórza, zanim zdał sobie sprawę z tego, co czyni. Biegł, nie dbając o to, jakie szaleństwo popełnia. Dobył miecza i zbiegł sąsiednim stokiem ku małej chimerze. Jej przerażone piski ponaglały go do czynu. Dziwne powarkiwania napastników rozpały gniew magii miecza.

Richard rzucił się z bronią w kłębowisko skrzydeł i pazurów. Te dwie chimery były większe niż zabita przez chłopaka, co tylko potwierdziło jego podejrzenia, że były to samce. Stwory odskoczyły, a ostrze cięło powietrze. Jeden z nich upuścił malca. Chimera znów przylgnęła do matki. Potwory krążyły wokół, usiłując dosięgnąć go szponami. Richard ciął i kłuł mieczem. Jedna z chimer zamierzyła się na małe, więc chłopak pochwycił je wolną ręką i pospiesznie cofnął się o kilka kroków.

Tamte rzuciły się na martwą chimerę. Młode z krzykiem wyciągnęło ramiona ku matce, biło Richarda skrzydłami po twarzy i usiłowało się wyrwać. Stwory jak oszalone szarpały zwłoki.

Chłopak szybko podjął decyzję. Chimera nie odejdzie, dopóki będzie tu ciało jej matki; będzie miała większe szansę przeżycia, jeśli zniknie to, co

wiąże ją z tym miejscem. Stworzenie szarpało się w ramionach Richarda. Było o połowę mniejsze niż on, lecz o wiele lżejsze, niż się spodziewał.

Zamarkował atak, żeby tamte się pospieszyły. Kłapnęły na niego zębami - były zbyt głodne, żeby się wycofać bez posiłku. Walczyły ze sobą. Szpony rwały i rwały, rozdzierając martwą chimere. Mały wyrwał się i pognął z krzykiem ku matce, Richard za nim. Tamte poderwały się do lotu, każda ze swoim łupem. Chwila i zniknęły.

Malec stał tam, gdzie leżała jego matka, i zawodził, patrząc, jak samce znikają pod mrocznym niebem.

Richard, zaspany i zmęczony, wsunął miecz do pochwy. Osunął się na skalny występ i starał się złapać oddech. Ukrył twarz w dłoniach, zapłakał. Chyba traci rozum. Cóż on, u licha, robi? Przed chwilą bez powodu zaryzykował życie. Nie, nie bez powodu. Podniósł głowę. Małe stało we krwi matki, drżące skrzydła wisiały bezwładnie; przygarbiło ramiona, położyło uszy. Na Richarda patrzyły wielkie, zielone ślepia. Długo się w siebie wpatrywali.

- Przepraszam, mały - wyszeptał chłopak.

Stworzenie niepewnie zrobiło krok ku niemu. Po jego mordce spływały łzy. Po twarzy Richarda też. Jeszcze jeden krok.

Chłopak wyciągnął ramiona. Małe patrzyło, a potem rzuciło się w nie z żałosnym zawodzeniem.

Długie, kościste ramiona wczepiły się w Richarda. Ciepłe skrzydła otuliły mu barki. Mocno przytulił małą chimere.

Szeptał cicho do szczenięcia, łagodnie głaszcząc szorstkie futerko. Chłopak rzadko widział równie nieszczęśliwe stworzenie, stworzenie tak pragnące pocieszenia, że przyjmowało je nawet od sprawcy swojego cierpienia. A może, dumał Richard, mały widzi w nim tylko tego, który uchronił go przed pożarciem przez dwa olbrzymie potwory. Może, mając ów straszliwy wybór, woli w nim widzieć wybawcę. Może przeważało ostatnie wspomnienie - ocalenia przed pożarciem.

Malec przypominał futrzany worek kości. Był na wpół zagłodzony. Richard słyszał, jak mu burczy w brzuchu. Jego piżmowy zapasek nie był zbyt miły, ale też i nie odpychający. Chłopak mówił doń łagodnie, kojąco i piski malca powoli cichły. W końcu uspokoił się z ciężkim, zmęczonym westchnieniem. Richard wstał. Malec spojrzał mu w twarz, ostre pazurki

wczepiły się w nogawkę spodni. Szkoda, że nie mam nic do jedzenia, by mu zostawić, pomyślał chłopak, ale plecak został w obozie. Odczepił pazurki od nogawki.

- Muszę iść. Tamte już nie wrócą. Znajdź sobie królika lub coś innego do jedzenia. Musisz sam sobie radzić, jak potrafisz. Odejdź.

Stworzenie zamrugało, powoli wyprostowało skrzydła i jedną łapę, ziewnęło. Richard odwrócił się i odszedł. Mały ruszył za nim. Chłopak stanął.

- Nie możesz iść ze mną. - Zamachał rękami, odpędzając stworzenie. - Odejdź. Zmykaj. - Zaczął się cofać tyłem, lecz chimera poszła za nim. Richard znów stanął i przepłoszył ją bardziej zdecydowanie. - Zmykaj! Nie możesz iść ze mną! Zmykaj!

Skrzydła opadły. Malec cofnął się o kilka niepewnych kroków. Richard odszedł. Tym razem chimera nie poszła za nim.

Chłopak musiał pochować martwą kobietę i powrócić do obozu, zanim Siostra Verna postanowi posłużyć się obrożą. Nie zamierzał dawać jej do tego pretekstu - wiedział, że sama go niebawem znajdzie. Obejrzał się, czy aby zwierzę nie idzie za nim. Nie szło.

Znalazł ciało kobiety tam, gdzie je zostawił. Z ulgą zauważył, że w pobliżu nie było gończych much. Musiał znaleźć skrawek ziemi na tyle miękkiej, by się dało wykopać grób, albo szczelinę na tyle głęboką, aby ukryć w niej ciało. Siostra Verna wyraźnie nakazała, aby je dobrze schować. Rozglądał się za kryjówką, kiedy miękko zaszumiały skrzydła i w pobliżu wylądowała mała chimera. Richard jęknął w duchu, a mały złożył skrzydła i wygodnie przed nim przycupnął; patrzył na chłopaka wielkimi, zielonymi ślepiami. Richard spróbował go przegonić, lecz bez skutku.

- Nie możesz iść ze mną! Zmykaj!

Stworzenie przydreptało doń i przylgnęło do jego nóg. I cóż miał zrobić? Przecież nie mógł wlec za sobą małej chimery.

- Gdzie twoje muchy? Nawet nie masz swoich gończych much. Jak zamierzasz złapać sobie kolację bez gończych much? - Ponuro potrząsnął głową. - Cóż, to nie moja sprawa.

Mała pomarszczona mordka wyjrzała spoza nóg Richarda. Wargi się skurczyły, odsłaniając ostre, drobne kły; stworzenie cicho warknęło. Chłopak się obejrzał. Mały warczał na martwą kobietę. Richard jęknął i zamknął oczy. Stworzenie było głodne. Wykopie ciało, jeśli on, Richard, je pochowa.

Patrzył, jak stwór przyskoczył do ciała, drapał je pazurkami i coraz głośniej warczał. Chłopak usiłował przełknąć ślinę i zwilżyć suche gardło.

Siostra Verna powiedziała, żeby się pozbyć ciała. Dodała, że nie powinni wiedzieć, iż kobieta nie żyje. Nie mógł znieść myśli, że ciało zostanie pożarte. Ale nawet gdyby je pochował, to i tak zjedzą je robaki. Dlaczego robaki mają być lepsze niż chimera? Przyszła inna okropna myśl - kimże on, Richard, jest, żeby to osądzać: przecież jadł ludzkie mięso. Czym to się niby różniło? W czym był lepszy od chimery i robaków?

No i będzie mógł spokojnie odejść, gdy mały zajmie się jedzeniem. Zdążą odjechać, zanim znów go odnajdzie. Chimera będzie musiała sama o siebie dbać, on zaś będzie ją miał z głowy.

Richard patrzył, jak mały ostrożnie ogląda ciało. Szarpnął zębami ramię. Nie za bardzo wiedział, jak się zabrać do zdobyczy. Warknął głośniej. Ów widok przyprawiał chłopaka o mdłości.

Zęby puściły ramię i mały spojrzał na Richarda, jakby prosząc o pomoc. Skrzydła trzepotały w podnieceniu. Był głodny.

Dwie sprawy naraz.

Właściwie co za różnica? Była martwa. Duch opuścił ciało i nie będzie za nim tęsknił. To rozwiąże oba problemy za jednym zamachem. Richard zacisnął zęby i dobył miecza. Odsunął nogą głodną chimere i zamachnął się potężnie; ciało. Mały rzucił się na zer.

Chłopak pospieszenie odszedł, nie oglądając się za siebie. Odgłosy przyprawiły go o mdłości. Kimże jednak był, żeby to osądzać? Potruchtał w stronę obozu. W głowie mu się kręciło. Koszula kleiła się od potu. Miecz jeszcze nigdy tak mu nie ciążył. Usiłował wyrzucić całą tę sprawę z umysłu. Pomyślał o Lasach Hartlandzkich i zapragnął znów być w domu. Na powrót stać się dawnym sobą.

Siostra Verna akurat skończyła czyścić Jessupa i nakładała nań siodło. Spojrzała z ukosa na chłopaka, podeszła do końskiego łba i drapała zwierzę pod brodą, przemawiając doń łagodnie i cicho. Richard wziął zgrzebło, oczyścił pospieszenie grzbiet Geraldine, napominając ją szorstko, by się przestała kręcić i stała spokojnie. Chciał szybko odjechać.

- Upewniłeś się, że nie znajdą ciała?

Trzymająca zgrzebło ręka Richarda zamarła na grzbiecie Geraldine.

- Jeśli znajdą to, co zeń zostało, to i tak nie będą wiedzieć, co się stało.

Zaatakowały mnie chimery. Porwały ciało.

Rozmyślała przez chwilę nad jego słowami.

- Zdawało mi się, że je słyszę. Cóż, sądzę, iż to wystarczy. - Znów zaczął czyścić klacz, kiedy Verna się odezwała. - Zabiłeś je?

- Jedną z nich. - Najpierw nie zamierzał o tym mówić, ale uznał, że to bez znaczenia. - Było tam małe. Nie zabiłem go.

- Chimery to krwiożercze bestie. Powinieneś był je zabić. Może powinieneś wrócić i wykończyć je.

- Nie mogę. Ono... nie pozwoli mi podejść za blisko. Mruknęła coś i mocno zapięła popręg.

- Masz łuk.

- A co to zmieni? Po prostu stąd odjedźmy. I tak pewnie umrze, pozostawione samo sobie.

Verna pochyliła się i sprawdziła, czy rzemień nie dokucza koniowi.

- Może i masz rację. Istotnie, najlepiej będzie, jeśli stąd odjedziemy.

- Dlaczego chimery wcześniej nas nie niepokoiły, Siostrze?

- Bo osłoniłam nas przed nimi moją Han. Napadły cię, ponieważ byłeś zbyt daleko stąd, poza moją osłoną.

- Więc te osłony nie pozwolą się zbliżyć żadnej chimerze?

- Nie pozwolą.

Przynajmniej jakiś pożytek z owej Han.

- Przecież na to potrzeba mnóstwa mocy. Chimery są wielkimi bestiami. Czy to trudne?

Verna uśmiechnęła się leciutko.

- Tak, chimery są wielkie. No i są tu inne stworzenia, przed którymi muszę również wznieść osłonę. Na to wszystko potrzeba wiele mocy. Zawsze musisz się starać wykonać zadanie przy użyciu najdrobniejszej możliwej cząsteczki Han. - Poglądziła końską szyję i podjęła: - Utrzymywałam chimery z dala nie dlatego, że jakoś je odpychałam, lecz dlatego, iż wzniosłam osłony przed ich gończymi muchami. To o wiele łatwiejsze. Jeżeli muchy nie przedostaną się przez osłonę, to chimery sądzą, że nie ma tu nic godnego uwagi, i też nas nie niepokoją. W ten sposób zużywani małą cząstką mojej mocy, a jednak osiągam zamierzony cel.

- A dlaczego nie wykorzystasz takiej osłony przed tutejszymi ludźmi? Przeciwno tej kobiecie?

- Niektóre z żyjących w Dzikich ludów znają uroki na naszą moc. Dlatego wiele Sióstr ginie, próbując tędy przejechać. Gdybyśmy wiedziały, jak działają owe czary, potrafiłybyśmy im przeciwdziałać. Nie wiemy tego jednak. To dla nas tajemnica.

Richard w milczeniu skończył siodłać Bonnie i Geraldine. Siostra czekała spokojnie. Myślał, że powie coś jeszcze o ich sprzeczce, lecz milczała. Postanowił więc pierwszy się odezwać i skończyć z tym.

- Tak mi przykro z powodu Siostry Grace i Elizabeth, Siostrze Verno. - Patrzył w ziemię i gładził bark Bonnie. - Odmówiłem modły nad ich grobami. Modliłem się do dobrych duchów, żeby nad nimi czuwały i były dla nich dobre. Nie chciałem, by umarły. Może myślisz co innego, ale ja nie pragnę niczyjej śmierci. Mam dość śmierci. Przestałem nawet jeść mięso, bo nie mogę znieść myśli, że jakieś stworzenie oddało życie jedynie po to, żebym miał co jeść.

- Dziękuję za modlitwy, Richardzie, lecz musisz się nauczyć, iż powinniśmy się modlić wyłącznie do Stwórcy. To jego światło nas prowadzi. Modły do duchów są pogańskim obyczajem. Zreflektowała się i złagodziła ostry ton. - Lecz nie mogłeś tego wiedzieć, boś nieuczony. Nie mogę cię ganić za to iż postąpiłeś najlepiej, jak umiałeś. Jestem pewna, że Stwórca posłyszał twoją modlitwę i zrozumiał jej dobre intencje.

Richardowi nie podobała się ciasnota umysłowa Siostry Verno. Pomyślał, że pewnie wie o duchach więcej niż ona. Może i nie wiedział zbyt wiele o tym jej Stwórcy, ale za to widział wcześniej duchy - dobre i złe. Wiedział, jak groźne może być ignorowanie ich.

Jej dogmaty wydawały się chłopakowi równie niemądre, jak przesady wieśniaków, których poznał jako przewodnik. Znali całe mnóstwo historii o powstaniu ludzi. W każdym zakątku, do którego trafił, istniała opowieść o tym, jak to człowiek został stworzony z takiej to rośliny lub takiego to zwierzęcia. Richard bardzo lubił słuchać tych podań. Pełno w nich było dziwów i czarów. Jednak były wyłącznie opowieściami wynikającymi z potrzeby zrozumienia, jakie miejsce w otaczającym świecie zajmuje opowiadający. Chłopak nie miał zamiaru uwierzyć w to, co opowiadała Siostra.

Wcale nie uważał, by Stwórca był jakimś zasiadającym na tronie królem, wysłuchującym każdej modlitwy, która doń docierała. Duchy żyły niegdyś i

rozumiały potrzeby śmiertelników, rozumiały wymogi ciała i krwi.

Zedd wytłumaczył Richardowi, iż „Stwórca” jest po prostu jeszcze jednym określeniem siły równowagi, powszechnej równowagi, a nie jakiegoś osądzającego mędrca.

Ale jakież to miało znaczenie? Richard wiedział, że ludzie są ogromnie przywiązani do swoich przekonań i nie lubią żadnych uwag na ten temat. Siostra Verna wierzyła w to wszystko i on, Richard, nie zamierzał tego zmieniać. Skoro nigdy nie krytykował ludzi za ich wierzenia, to i teraz nie zacznie tak postępować. Owe wierzenia - prawdziwe lub nie - mogły przynosić ulgę.

Richard zdjął pendent i podał miecz Siostrze Vernie.

- Przemyślałem to, co mi przedtem powiedziałaś. Uznałem, że już nie chcę miecza.

Wyciągnęła ręce, złożył na nich klingę, pochwę i pendent. Verna zachowała spokój.

- Naprawdę tak uważasz?

- Tak. Skończyłem z tym. Miecz jest twój.

Odwrócił się, żeby sprawdzić siodło. Nie miał już oręza u boku, a nadal czuł jego magię. Mógł oddać broń, lecz magia nadal w nim tkwiła: był prawdziwym Poszukiwaczem, tego nie mógł się pozbyć. Jednak przynajmniej mógł się uwolnić od miecza i tego, co nim czynił.

- Jesteś bardzo niebezpiecznym człowiekiem, Richardzie - wyszeptała Siostra Verna.

Obejrzał się na nią przez ramię.

- To dlatego oddałem ci miecz. Już go nie chcę, a ty tak, więc jest twój. Zobaczmy, jak ci się spodoba zabijanie nim. Wsunął rzemień popręgu w sprzączkę, mocno zaciągnął. Poklepał łagodnie Bonnie i odwrócił się. Siostra Verna nadal trzymała oręż w wyciągniętych rękach.

- Do tej chwili nie miałam pojęcia, jak bardzo jesteś niebezpieczny. - Już nie. Teraz ty masz miecz.

- Nie mogę go przyjąć - wyszeptała. - Do moich obowiązków należało zabrać ci miecz, kiedy wrócisz: żeby cię wypróbować. Mogłeś zrobić tylko jedno, by go nie stracić. I to właśnie uczyniłeś. - Podała mu broń. - Nie ma niebezpieczniejszego człowieka niż ten, który jest nieprzewidywalny. Nie można przewidzieć, jak postąpisz, kiedy się wywrze na ciebie presję.

Przyniesie to wielkie kłopoty. Tobie. Nam.

Richard nie rozumiał, o czym ona mówi.

- Nie ma w tym nic nieprzewidywalnego. Chciałaś miecza, a ja miałem dość czynów, które nim popełniam, więc ci go dałem.

- Rozumiesz, bo to twój sposób myślenia. Inni tak nie rozumują. Jesteś zagadką. Co gorsza, owe niewytłumaczalne postęпки popełniasz wtedy, kiedy są ci najbardziej przydatne. To działa twój dar. Posługujesz się swoją Han, nie mając pojęcia, co czynisz. To niebezpieczne.

- Mówiłaś, że obrozę mam założyć między innymi po to, by otworzyć umysł darowi. Sama tak powiedziałaś. Jeśli korzystam z mego daru, a o to ci przecież chodzi, i jeśli tego właśnie potrzebuję, to nie rozumiem, co w tym niebezpiecznego.

- To, czego potrzebujesz, i to, co właściwe, niekoniecznie jest tożsame. To, czego potrzebujesz, nie staje się przez to czymś właściwym. - Skinęła głową ku mieczowi. - Zabierz go. Nie mogę go teraz przyjąć. Musisz go zatrzymać.

- Mówiłem ci, iż go nie chcę.

- No to wrzuc go w ogień. Nie mogę go wziąć. Jest splamiony. Richard porwał broń z rąk Siostry Verny.

- Nie wrzucę go do ognia. - Założył pendent, poprawił ułożenie pochwy. - Wydaje mi się, Siostrze, że jesteś za bardzo przesądna. To tylko miecz. Nie jest splamiony.

Myliła się. To magia była splamiona, nieczysta, a tego jej nie ofiarował. Nawet gdyby się chciał pozbyć magii, całej magii, nie mógł tego uczynić. Była częścią niego. Kahlan to dostrzegła i pozbyła się magii. Pozbyła się jego, Richarda.

Verna odwróciła się od chłopaka i dosiadła Jessupa.

- Musimy ruszać - oznajmiła zimnym, pełnym rezerwy głosem. Richard usadowił się w siodle i podążył za nią. Miał nadzieję, że mała chimera przeżyje, że ocali ją posiłek, którego tak potrzebowała. Pożegnał się z nią w myślach, jadąc w noc za Siostrą Verną.

Naprawdę chciał jej oddać miecz, lecz czuł osobliwą ulgę, że otrzymał go z powrotem. Miecz należał doń i w pewien sposób go dopełniał. To Zedd dał mu tę broń; odmieniła go, ale teraz jedynie ona przypominała Richardowi o przyjacielu i o domu.

ROZDZIAŁ 25

Koń był już wyczerpany, lecz wciąż rozpaczliwie biegł. Adie mocno trzymała Zedda w pasie, a czarodziej, pochylony na kłębie klaczy, krzepko trzymał się jej grzywy. Czuł, jak pod nim rytmicznie napinają się i rozluźniają mięśnie zwierzęcia. Gęsto rosnące drzewa zlewały się w nie kończącą się smugę. Rumak bez wahania przeskakiwał nad kamieniami i pniakami.

Skrin był tuż-tuż. Wyższy od konia, uderzał w biegu o gałęzie. Zedd słyszał, jak konary pękały z trzaskiem. Spróbował powalać za nimi drzewa, ale to ani odrobinę nie spowolniło bestii. Wypróbował najrozmaitsze sztuczki, czary i uroki. Nic nie podziałało, lecz czarodziej nie chciał się uznać za pokonanego. Takie przyznanie się powodowało stan rezygnacji, który z całą pewnością doprowadziłby do klęski.

- Boję się, że tym razem Opiekun nas dostanie - odezwała się Adie za jego plecami.

- O, nie, nie tym razem! Jeszcze nas nie dopadł! W jaki sposób nas znalazł? Kości skrina przez lata były w twoim domu i chroniły cię! Skoro cię ukrywały, to jak nas odkrył?

Nie odpowiedziała.

Gnali szlakiem, na którym niegdyś znajdowała się granica, kierując się ku Midlandom. Zedd cieszył się, że nie było już ścian granicy, inaczej dawno już znaleźliby się w zaświatach. Granica nie granica, to już długo nie potrwa i skrin ich dopadnie. Zaświaty ich dopadną. Opiekun ich dopadnie.

Myśl, nakazał sobie czarodziej.

Zedd czarami dodawał koniowi sił i wytrzymałości, lecz i tak płuca, serce i ścięgna nie wytrzymają zbyt długo obciążenia ponad miarę. Czarodziej był niemal tak samo znużony jak przerażony koń. Dłużej nie wytrwa.

Musi zrezygnować z prób spowolnienia skrina i zająć się rozwiązaniem problemu. Mogła to być jednak niebezpieczna zmiana taktyki. Może te jego próby nie spowalniały pędu bestii, ale za to nie pozwalały jej ich dopaść.

Chyba po lewej pojawiło się zielone światło, pomyślał Zedd. Taki odcień zieleni widział tylko w jednym miejscu: przy granicy. Dochodził z zaświatów. Niemożliwe. Koń pędził dalej.

- Adie! Masz przy sobie coś, co skrin mógłby rozpoznać? - Na przykład co?

- A bo ja wiem! Cokolwiek! Po czymś musiał nas rozpoznać. Coś, co wiąże nas z zaświatami.

- Nic nie mam. Kości w moim domku musiały go zwabić.

- Ale to przecież one cię chroniły!

Tym razem nie mógł się pomylić. Błysk zielonego blasku z prawej. Drugi z lewej.

- Zedd! Skrin przywołuje zaświaty, żeby nas tam zapędzić! Kości.

- Może to zrobić?

- Tak - odparła o wiele ciszej.

- O kurczę - mruknął czarodziej w zimny wiatr owiewający mu twarz.

Niesamowity zielony blask migotał pomiędzy drzewami. Był coraz bliżej. Zginą, jeżeli Zedd nic nie wymyśli.

Myśl.

Zielony blask zmienił się nagle w lite ściany po obu stronach. Czarodziej poczuł w głębi piersi wstrząs, z jakim zaświaty pojawiły się w jego świecie. Koń galopował pomiędzy dwiema ścianami. Droga się zwężała.

Kości.

Kości skrina.

- Adie! Daj mi swój naszyjnik!

Pałające zielenią ściany granicy naciskały na nich z obu stron. Nie mieli czasu. Nie mieli wyboru.

Adie zdjęła naszyjnik i znów otoczyła Zedda ramieniem, trzymając ozdobę. Dłoń miała zakrwawioną. Czarodziej zerwał z szyi swój naszyjnik i tą samą ręką porwał naszyjnik Adie.

- Przepraszam, Adie, jeśli to nie zadziała. Chcę, żebyś wiedziała, jak cieszyło mnie spędzanie z tobą czasu.

- Co chcesz zrobić?

- Trzymaj się mocno!

Ściany granicy łączyły się przed nimi. Zedd krzepko trzymał konia, rzucił mu cicho jakiś rozkaz.

Klacz zaryła się kopytami w ziemię, okręciła i zatrzymała w miejscu, gdzie droga niknęła w ścianie zaświatów.

Zedd rzucił oba naszyjniki z kości skrina prosto w zielony blask, w

szeroki rozstęp między drzewami.

Skrin był tuż przy nich. Nie zwolnił, pognał za szybującymi w granicę naszyjnikami, w zielony blask. Błysk, huk jak przy uderzeniu pioruna i potwór wpadł w granicę.

Zielony blask oraz skrin zamigotały i zniknęły. Ciszę mrocznego lasu zakłócały jedynie zdyszane oddechy.

Adie ze znużeniem przytuliła głowę do pleców czarodzieja.

- Miałaś rację, stary. Twoje życie to jeden akt desperacji za drugim.

Zedd poklepał ją po kolanie i zsunął się ze spienionego konia. Biedne zwierzę było tak wyczerpane, że ledwie żyło. Czarodziej ujął w dłonie łeb klaczy i dodał jej siłę; szczerze podziękował za wysiłek. Przytulił twarz do końskiego łba, zamknął oczy i przez chwilę głaskał klacz, zanim poszedł sprawdzić, co z Adie.

Krew w dalszym ciągu sączyła się z rany na ramieniu czarodziejki. Rozmiary konia sprawiały, że Adie wydawała się mniejsza, niż *była*. Przygarbione ramiona i zwieszona głowa tylko powiększały to wrażenie. Nie okazała, że boli, kiedy Zedd badał ranę.

- Głupia byłam - oznajmiła. - Cały czas uważałam, że się ukrywam tuż pod nosem Opiekuna, a to on się krył tuż pod moim. Zawsze wiedział, gdzie jestem. Przez te wszystkie lata.

- Pocieszmy się, iż nic mu to nie dało. Cały jego wysiłek poszedł na marne. Nie ruszaj się. Muszę się zająć twoją raną.

- Nie ma na to czasu. Powinniśmy wrócić do mojego domu. Muszę zabrać kości.

- Siedź spokojnie, mówię.

- Musimy się pospieszyć. Zedd spojrzał na nią groźnie.

- Zawrócimy, gdy skończę. Poza tym koń jest wyczerpany i musi iść stępa. Ja pójdę obok, ty pojedziesz na grzbiecie klaczy, jeśli nie będziesz mi przeszkadzać. Siedź spokojnie albo spędzimy tu na kłótni całą noc.

Wrócili do domu Adie wczesnym świtem, w chłodnym, słabym brzasku dnia. Był to smutny widok. Skrin poszarpał wszystko na drzazgi. Adie nie spojrzała na pochylone, podziurawione ściany - pospiesznie weszła do środka i krzątała się tam, przekraczając jakieś odłamki, zbierając kości i kierując się ku kątowi, w którym ostatni raz widzieli okrągłą, rzeźbioną kość.

Zedd badał ziemię wokół domu, kiedy usłyszał wołanie Adie:

- Chodź tu, czarodzieju! Pomóż mi odnaleźć okrągłą kość! Przekroczył powaloną belkę.

- Coś mi się zdaje, że jej nie znajdziesz. Adie odepchnęła deskę.

- Gdzieś tu była. - Zatrzymała się i obejrzała przez ramię. - Czemu? Dlaczego uważasz, że jej nie znajdę?

- Ktoś tutaj był. Rozejrzała się po rumowisku. - Jesteś pewien?

Zedd machnął ręką w stronę, gdzie się przyglądał ziemi.

- Widziałem tam odcisk buta. Nie naszego buta. Adie upuściła na podłogę pozbierane kości. - Kto?

Czarodziej oparł dłoń o zwisającą z sufitu belkę, wspartą jednym końcem o podłogę.

- Nie wiem kto, ale ktoś tu na pewno był. Wygląda to na odcisk kobiecego buta, lecz nie twojego. Podejrzewam, iż zabrała tę kość.

Czarodziejka grzebała w leżących w kącie odłamkach, szukała. W końcu zrezygnowała.

- Masz rację, stary. Kość zniknęła. - Obróciła się, badając przestrzeń białymi oczami. - Banelingi - syknęła. - Myliłeś się, mówiąc, że wysiłki Opiekuna poszły na marne.

- Obawiam się, że masz rację. - Zedd wytarł dłoń o nogę. - Lepiej stąd odjedźmy. I to daleko.

Adie nachyliła się ku niemu; głos miała cichy, lecz stanowczy.

- Musimy mieć tę kość, Zeddzie. Jest bardzo ważna dla zasłony.

- Magicznie zatarła swój ślad. Nie mam pojęcia, dokąd poszła. Widziałem tylko jeden odcisk buta. Musimy stąd odejść. Opiekun z pewnością spodziewa się, że tu wrócimy. Zatrę nasz ślad, by nikt nie wiedział, dokąd jedziemy.

- Jesteś tego pewien? Opiekun wie, gdzie jesteśmy, i wysyła nam swoich służalców, kiedy chce?

- To dzięki tamtym naszym nikom. Teraz nie będzie nas widział. Ale musimy opuścić to miejsce. Może tu mieć swoje „oczy”, tę samą osobę, która wzięła kość.

Adie jeszcze niżej pochyliła głowę, zamknęła oczy.

- Wybacz mi, Zeddzie, że cię naraziłam na takie niebezpieczeństwo. Wybacz, że byłam taka głupia.

- Bzdura. Nikt nie wie wszystkiego. Chyba nie oczekiwałaś, że przejdiesz przez życie i ani razu nie wdepniesz w nic śliskiego. Najważniejsze w takich razach to złapać równowagę i nie paść twarzą w błąd, co jeszcze pogorszyłoby sprawę.

- Ale ta kość jest taka ważna!

- Zniknęła. Teraz nic na to nie poradzimy. Przynajmniej pokrzyżowaliśmy zamiary Opiekuna. Nie dopadł nas. Jednak musimy stąd odejść.

Adie nachyliła się, żeby zebrać upuszczone kości. - Pospieszę się.

- Nie możemy nic zabrać, Adie - powiedział spokojnie czarodziej.

- Muszę wziąć moje kości. - wyprostowała się. - Niektóre z nich są ważne.

W niektórych tkwi potężna magia.

Zedd ujął jej szczupłą dłoń.

- Opiekun wiedział, gdzie jesteśmy właśnie dzięki kości, Adie. Obserwował cię. Nie wiemy, czy nie rozpozna którejś z nich. Musimy je zostawić, nie wolno nam jednak ryzykować, iż zabierze je ktoś inny. Powinniśmy je zniszczyć.

Adie przez chwilę bezgłośnie poruszała wargami, wreszcie znalazła słowa.

- Nie zostawię ich. Są ważne. Ogromnie się natrudziłam, by je zgromadzić. Niektórych szukałam całymimi latami. Opiekun nie mógł ich oznaczyć. Nie wie, jak się trudziłam.

Zedd poklepał ją po ręce.

- Na pewno nie położyłby naznaczonej kości tuż przed tobą, Adie. Zadbałby, żebyś ją zdobyła z wielkim trudem i dzięki temu ceniła i trzymała pod ręką.

Wyszarpnęła mu dłoń.

- Więc mógł nazaczyć cokolwiek! Skąd wiesz, że to nie baneling dał ci tego konia?

Zedd popatrzył na nią spokojnie.

- Bo to nie ten, którego mi dano. Wziąłem innego. Oczy Adie wezbrały łzami.

- Proszę cię, Zeddzie - szepnęła. - Są moje. To dzięki nim miałam dotrzeć do Pella.

- Pomogę ci przesłać wiadomość twojemu Pellowi. Dałem ci na to moje

słowo. Ale nie poprzez kości; przecież dotąd nie podziały. Pomogę ci znaleźć inny sposób.

Chwiejnie zbliżyła się o krok.

- Jaki?

Zedd ze współczuciem spojrział na jej zmienioną twarz.

- Potrafię na krótki czas sprowadzić duchy przez zasłonę, żeby z nimi porozmawiać. Jeślibym nawet nie zdołał przywieść Pella, to na pewno będę mógł mu przekazać wiadomość. Ale musisz mnie słuchać, Adie. Nie możemy tego teraz uczynić. Musimy poczekać, aż zasłona zostanie scalona.

Dotknęła drżącymi palcami ramienia czarodzieja.

- Jak? Jak można zrobić coś takiego?

- Można. Tylko tyle powinnaś wiedzieć.

- Powiedz. - Mocniej zacisnęła palce na ramieniu Zedda. - Muszę wiedzieć, czy mówisz prawdę. Muszę wiedzieć, że to możliwe.

Czarodziej długo się zastanawiał. Posługiwał się czarodziejską skałką, którą dostał od ojca, żeby przywołać do siebie duchy rodziców. Wyraźnie mu jednak oznajmili, żeby ich nie przywoływał, dopóki to wszystko się nie skończy, bowiem groziłoby to całkowitym

rozdarciem zasłony. Wykorzystywanie skałki do tego celu było niebezpieczne i w sprzyjających czasach. Ostrzegano Zedda, by czynił to wyłącznie w razie absolutnej potrzeby.

Otwarcie drogi duchom zawsze stanowiło wielkie ryzyko. Nigdy nie wiadomo, co się niechcący przepuści. I tak się wydostawało aż za dużo mrocznych stworów, nawet i bez jego, Zedda, pomocy.

Adie co prawda była czarodziejką, lecz nie powinna była znać takiego zastosowania czarodziejskiej skałki. Była to tajemnica, której - jak i innych - czarodzieje musieli strzec. Ciężka mu ta odpowiedzialność.

- Musisz mi wierzyć na słowo, że to możliwe. Obiecałem, że ci pomogę. Kiedy to będzie bezpieczne, spróbuję.

Wciąż wbijała palce w ramię Zedda.

- Jak można tego dokonać? Jesteś pewien? Skąd możesz to wiedzieć?

Wyprostował się dumnie.

- Jestem czarodziejem pierwszego stopnia.

- Ale na pewno to wiesz?

- Adie, musisz mi wierzyć na słowo. Nie obiecuję ot tak sobie. Nie wiem,

czy na pewno to się uda lecz wierzę, że może się udać. Teraz najważniejsze jest jedno: musimy wykorzystać to, co wiemy oboje, żeby powstrzymać Opiekuna przed rozerwaniem zasłony. Błędem byłoby posłużyć się owym sposobem z samolubnych pobudek i wystawić na niebezpieczeństwo wszystkich innych. Utrzymanie zasłony wymaga delikatnego zrównoważenia sił; to mogłoby ją zakłócić, a nawet doprowadzić do rozdarcia.

Adie puściła ramię czarodzieja, odgarnęła z twarzy kosmyk siwawych włosów.

- Wybacz mi, Zeddzie. Masz rację. Przez większość życia badałam granicę pomiędzy światami. Powinnam być mądrzejsza. Wybacz mi.

Czarodziej uśmiechnął się, otoczył ramieniem jej barki.

- Wystarczy mi, że tak poważnie traktujesz swoje przyrzeczenia. To świadczy, iż jesteś honorowa. A nie ma lepszego sprzymierzeńca niż człowiek honoru.

Adie rozejrzała się po swoim zrujnowanym domu.

- To jest po prostu... Spędziłam całe życie na zbieraniu tego wszystkiego. Tak długo o to dbałam. Inni mi to powierzyli.

Zedd wyprowadził ją z ruin.

- Inni ci zaufali, wierzyli, że wykorzystasz swój dar, by chronić tych pozbawionych mocy. To oni zapisali przepowiednie. Dotarłaś aż tu nie bez powodu. Nie możesz zawieść tego zaufania.

Kiwnęła potakująco głową, przesunęła szczupłą ręką po plecach czarodzieja, kiedy odchodzili od resztek jej domostwa.

- Wydaje mi się, Zeddzie, że brakuje i innych kości. - Wiem.

- Staną się niebezpieczne w niewłaściwych dłoniach.

- I to także wiem.

- Więc co zamierzasz z tym zrobić?

- Zamierzam uczynić to, co według przepowiedni daje nam jedyną szansę na scalenie zasłony.

- A cóż to takiego, starcze?

- Dopomożenie Richardowi. Musimy znaleźć sposób, żeby mu pomóc, bo przepowiednie mówią, że jedynie on może scalić zasłonę.

Żadne się nie odwróciło, kiedy wśród ruin rozszalał się ogień, ogarnął je całe i zatańczył pośród kości.

ROZDZIAŁ 26

Królowa Cyrilla trzymała głowę wysoko. Nie dała po sobie poznać, jak bardzo krzepkie paluchy trzymających ją brutali raniły jej ramiona. Nie stawiała oporu, kiedy prowadzili ją brudnym korytarzem. Opór i tak na nic by się nie zdał, w niczym by jej nie pomógł. Będzie się zachowywała jak zawsze - z godnością. Była królową Galei. Z godnością podda się temu, co ją czeka. Nie okaże przerażenia.

W końcu nie było ważne to, co się z nią stanie. Smuciło ją to, co zagrażało ludowi Galei.

I co już się działo.

Na jej oczach wymordowano niemal dwa tysiące galejskich gwardzistów. Któż mógł przewidzieć, że spotka ich to właśnie tam, na neutralnym gruncie? To żadna pociecha, iż niektórzy uciekli. I tak pewno zostaną wysledzeni i zabici.

Cyrilla miała nadzieję, że pomiędzy uchodźcami był jej brat, księżę Harold. Jeżeli udało mu się umknąć, to może zorganizuje obronę przeciwko najgorszej rzezi, która dopiero miała nadejść.

Brutalne łapy, trzymające ramiona królowej, zatrzymały ją w pobliżu syczącej pochodni, osadzonej w zardzewiałym uchwycie. Paluchy uszczypnęły tak boleśnie, że z ust Cyrilli wyrwał się krótki okrzyk, chociaż usiłowała go zdusić.

- Czyżby moi ludzie sprawiali ci ból, o pani? - dobiegł z tyłu drwiący głos.

Z premedytacją nie odpowiedziała księciu Fyrenowi.

Strażnik obracał klucz w porzewiałym zamku; zapadka ustąpiła wreszcie z krótkim metalicznym szczęknięciem, które odbiło się echem w kamiennym korytarzu. Ciężkie drzwi otworzyły się ze skrzypieniem zawiasów. Silne jak imadła łapska wepchnęły Cyrillę w otwarte drzwi i pociągnęły długim, niskim przejściem.

Królowa usłyszała szelest swych satynowych spódnic, a po bokach i za plecami tupot męskich butów rozchlapujących niekiedy na kamiennej posadzce kałuże cuchnącej wody. Ociekające wilgocią powietrze ziębiło ramiona Cyrilli, ramiona, które zwykle były zakryte. Pomyślała, dokąd ją prowadzą, i jej serce zabiło szaleńczo. Modliła się do dobrych duchów, żeby

tam nie było szczurów. Bała się szczurów, ich ostrych zębów, chwytnych pazurków i bystrych, czarnych ślepi. Jako dziecko miewała o nich koszmarne sny i budziła się z krzykiem.

Królowa starała się myśleć o innych sprawach i uspokoić rozszalałe serce. Pomyślała o owej dziwnej kobiecie, która prosiła o poufną audiencję. Cyrilla sama nie wiedziała, dlaczego się na to zgodziła. Teraz żałowała, że nie poświęciła upartej kobiecie więcej uwagi. Jakżeż się ona nazywała? Lady jakaś-tam. Welon odchyłał się, ukazując włosy zbyt krótkie jak na kogoś o jej pozycji. Lady... Bevinvier. Tak, tak: lady Bevinvier. Lady Bevinvier z... Cyrilla nie mogła sobie przypomnieć skąd. To i tak nie miało znaczenia - nie to było ważne, skąd przybywała, ale co mówiła. „Opuść AydindriT, ostrzegę lady Bevinvier. „Natychmiast”. Lecz Cyrilla nie po to przebyła całą tę drogę, i to w okowach zimy, żeby odjeżdżać, zanim Rada Midlandów wysłucha jej skargi i zareaguje na nią. Przybyła prosić, by rada spełniła swą powinność i natychmiast położyła kres przestępstwom wymierzonym przeciwko jej ludowi i krajowi.

Rabowano miasta, palono farmy, zabijano ludzi. Armie Keltonu szykowały się do napaści. Inwazja była tuż-tuż, a może właśnie w trakcie? I z jakiego powodu? Po prostu brutalna napaść. Na sprzymierzeńca! To oburzające!

Do obowiązków rady należała obrona każdego zaatakowanego kraju, bez względu na tożsamość agresora. Najważniejszym zadaniem Rady Midlandów było zapobieganie takim zdradzieckim czynkom. Powinna nakazać pozostałym krainom, żeby przyszły z pomocą Galei i zdusiły agresję.

Galea była potężną krainą, lecz bardzo osłabiła ją obrona Midlandów przed D'Hara i nie była gotowa do kolejnej kosztownej wojny. Kelton zaś ominęło główne uderzenie D'Hary i mnóstwo zaoszczędzili. Galea poniosła za nich koszty oporu.

Poprzedniej nocy przyszła do Cyrilli lady Bevinvier i błagała, żeby królowa natychmiast wyjechała. Powiedziała, iż rada nie pomoże Galei, a królowa, jeżeli zostanie, znajdzie się w niebezpieczeństwie. Lady Bevinvier nie chciała najpierw wyjawić, skąd to wie. Cyrilla podziękowała jej, lecz oznajmiła, że nie odrzuci obowiązków wobec swego ludu i, jak postanowiła, stanie przed radą. Lady Bevinvier wybuchnęła płaczem i błagała, by królowa posłuchała jej rad. Przyznała w końcu, że miała wizję.

Cyrilla usiłowała wydusić z kobiety więcej szczegółów, ta jednak rzekła, iż wizja była niekompletna, że nie wie nic ponadto i że jeżeli królowa natychmiast nie wyjedzie, to stanie się coś strasznego. Cyrilla wierzyła w potęgę magii, jednakże nie miała zaufania do wróżbitów. Większość z nich to szarlatani, pragnący tylko nabić sobie kabzę zręczną gadką lub mglistą zapowiedzią zagrożenia, którego należało unikać.

Królowa Cyrilla była poruszona domniemaną szczerością kobiety, choć tłumaczyła sobie, że może to być jedynie sztuczka obliczona na wydobycie od niej jakiejś monety. Dziwne byłoby co prawda, gdyby taka bogata kobieta chciała wyłudzić pieniądze, lecz czasy były ciężkie i królowa wiedziała, że bogaci nie są zabezpieczeni przed stratami. W końcu jeśli się chciało mieć dobra i złoto, to należało je wyłudzać od tych, którzy nimi dysponowali. Cyrilla знаła wielu, którzy ciężko pracowali przez całe życie po to tylko, by stracić wszystko w wojnie z D'Hara. Może krótkie włosy lady Bevinvier były wynikiem takiej właśnie straty?

Królowa podziękowała owej kobiecie, lecz oznajmiła jej, iż misja była zbyt ważna, żeby z niej zrezygnować. Wcisnęła w dłoń lady Bevinvier sztukę złota, a ta cisnęła monetą i wybiegła z płaczem. Wstrząsnęło to Cyrilla. Szarlatan nie odmówiłby złota. Chyba że kobieta liczyła na coś więcej. Albo mówiła prawdę, albo pracowała na rzecz Keltonu i chciała przeszkodzić w doniesieniu radzie o napaści.

Tak czy owak, nie miało to znaczenia; Cyrilla podjęła decyzję. Poza tym miała w radzie wpływy. Galea była szanowana za obronę Midlandów. Kiedy Aydindril padło, zabito i zastąpiono marionetkami tych członków rady, którzy nie chcieli przysiąc posłuszeństwa ich krain względem D'Hary. Ci, którzy złożyli przysięgę, zachowali swoją pozycję. Lojalny wobec swego kraju reprezentant Galei został stracony.

Tajemniczo przedstawiała się sprawa zakończenia wojny: wojskom d'haranskim powiedziano, iż Rahl Posępny nie żyje i że wszystkie wrogie działania dobiegły kresu. Władzę objął nowy lord Rahl, a oddziały albo odwołano do kraju, albo rozkazano im pomagać tym, których podbijali. Cyrilla podejrzewała, że Rahl Posępny został zamordowany.

Tak czy owak, było to dla niej korzystne. Rada znalazła się znów w rękach Midlandczyków. Kolaborantów i marionetki aresztowano. Wszystko miało być tak jak przedtem, przed dyktatorem. Cyrilla oczekiwała, że rada

przyjdzie z pomocą Galei.

Królowa Cyrilla również miała w radzie sprzymierzeńca, sprzymierzeńca najpotężniejszego z możliwych: Matkę Spowiedniczkę. Fakt, że Kahlan była jej przyrodnią siostrą, nie miał na to wpływu. Galea i jej królowa wspierały poprzez radę niezależność poszczególnych krain i pokój Midlandów. Galea zawsze opowiadała się za jednością celów. Matka Spowiedniczka szanowała tę stałość i dlatego właśnie sprzyjała krainie.

Kahlan nigdy nie okazywała Cyrilli żadnych względów, nie faworyzowała jej - i tak właśnie powinno być. Faworyzowanie osłabiłoby pozycję Matki Spowiedniczki i tym samym zagroziło sojuszowi rady, a więc i pokojowi. Królowa szanowała Kahlan za stawianie jedności Midlandów ponad politycznymi gierkami. Zresztą takie rozgrywki były śliską sprawą: w końcu zawsze się lepiej wychodziło, działając uczciwie, niż licząc na fory.

Cyrilla zawsze skrycie szczyliła się swoją przyrodnią siostrą. Kahlan, młodsza od niej o dwanaście lat, bystra i silna, była - mimo młodego wieku - wprawnym przywódcą. Łączyło je pokrewieństwo, lecz nigdy o tym nie mówiły. Kahlan to Spowiedniczka, posiadaczka magicznej mocy. Nie była siostrą z tego samego ojca, lecz Spowiedniczka, Matką Spowiedniczka Midlandów. Spowiedniczki były spowinowacane wyłącznie ze Spowiedniczkami.

Cyrilla - poza ukochanym bratem Haroldem - nie miała rodziny i często pragnęła uściskać Kahlan jak krewniaczkę, jak małą siostrzyczkę oraz pogadać z nią o tym, co je łączyło. Nie było to jednak możliwe. Cyrilla była królową Galei, a Kahlan - Matką Spowiedniczką; dwie właściwie obce sobie kobiety, które łączyło pokrewieństwo i wzajemny szacunek. Obowiązek przed uczuciem. Rodziną Cyrilli była Galea, rodziną Kahlan - Spowiedniczki.

Byli co prawda tacy, którzy mieli za złe matce Kahlan, że wzięła Wyborna za męża, lecz Cyrilla do nich nie należała. Matka, królowa Bernadine, wyjaśniła Cyrilli i Haroldowi, jak potrzebne są Spowiedniczki: ze tej magicznej linii potrzeba mocnej krwi, że Spowiedniczki służą Midlandom, pomagają utrzymać pokój. Jej matka nigdy się nie skarżyła, iż straciła męża na rzecz Spowiedniczki, lecz tłumaczyła, jaki to zaszczyt, iż Cyrilla i Harold są spokrewnieni ze Spowiedniczkami, choć się o tym głośno nie mówi. Tak, Cyrilla była dumna z Kahlan.

Dumna, a może i trochę nieufna. Zwyczajnie Spowiedniczek były dla niej

zupełnie niezrozumiałe. Od urodzenia szkolono je w Aydindril; szkolili je inne Spowiedniczki i czarodzieje. Rodziły się ze swoją magią, swoją mocą - były jej niewolnicami. Z nią, w pewnym sensie, było tak samo: urodziła się królową i nie miała wyboru. Nie dysponowała magiczną mocą, lecz pojmowała brzemię pierworództwa.

Od narodzin aż do chwili zakończenia nauki Spowiedniczki trzymane na osobności jak kapłanki. Żyły w oddzielnym świecie. Mówiono, iż poddawano je surowej dyscyplinie. Cyrilla wiedziała, że również one - jak wszyscy - muszą przeżywać wzruszenia i mieć swoje uczucia, lecz Spowiedniczki uczone panować nad własnymi emocjami i nie okazywać ich. Najważniejszy był obowiązek wobec wrodzonej mocy. Nie miały innego wyboru - pozostawiono im jedynie wybór partnera, ale i to wynikało z obowiązku, a nie z miłości.

Cyrilla zawsze pragnęła wnieść trochę siostrzanej miłości w życie Kahlan. Pewno chciała również, by i Kahlan wniosła odrobinę siostrzanej miłości w jej życie. Ale to było niemożliwe. Może Kahlan kochała ją „na odległość”, tak jak Cyrilla. Może i była z niej dumna. Cyrilla zawsze miała nadzieję, iż tak właśnie było.

Najbardziej bolało królową to, że choć obie służyły Midlandom, to ją lud kochał za wypełnianie obowiązków, zaś Kahlan za to samo nienawidzono i bano się jej. Pragnęła, by i ona doznała miłości mieszkańców - to choć w części rekompensowało poświęcenie się. Lecz Spowiedniczka nigdy nie będzie kochana. Pewno dlatego, dumiała Cyrilla, uczone je panowania nad emocjami i pragnieniami.

Kahlan również próbowała ostrzec ją przed niebezpieczeństwem ze strony Keltonu.

Działo się to parę lat temu, podczas święta pełni lata. Pierwszego lata po śmierci matki Cyrilli. Pierwszego lata jej królowania. Pierwszego lata, od kiedy Kahlan została Matką Spowiedniczka.

Fakt, iż Kahlan w tak młodym wieku wybrano Matką Spowiedniczka, świadczył tak o potędze jej mocy, jak o sile charakteru. A może i o nagłej potrzebie. Wyboru dokonywano w tajemnicy, więc Cyrilla niewiele dowiedziała się o sukcesji u Spowiedniczek. Tyle tylko, że działo się to bez animozji i rywalizacji i zależało od potęgi mocy ocenianej w zależności od wieku i wyszkolenia.

Dla ludu Midlandów wiek nie miał znaczenia. Ludzie bali się wszystkich Spowiedniczek, bez względu na to, ile miały lat, a Matki Spowiedniczki w szczególności. Wiedzieli, że ma największą moc ze wszystkich. Cyrilla, w przeciwieństwie do większości ludzi, zdawała sobie sprawę, iż moc sama w sobie nie była czymś, czego należało się bać, i że Kahlan zawsze była sprawiedliwa. Że pragnęła jedynie pokoju.

Owego dnia ulice Ebinissii, królewskiego miasta Galei, były pełne rozmaitych atrakcji. Nawet najniższy stajenny znajdował swe miejsce przy zastawionych świątecznie stołach, brał udział w rozgrywkach, słuchał muzyków, oglądał akrobatów i zonglerów.

Cyrilla jako królowa przewodniczyła zawodom i rozdawała wstęgi zwycięzcom. Jeszcze nigdy nie widziała tak wielu uśmiechniętych twarzy, tak wielu szczęśliwych ludzi. Jeszcze nigdy nie była tak zadowolona ze swego ludu i nie czuła się przezeń tak kochana.

Tego wieczoru w pałacu odbywał się królewski bal. W wielkim holu zgromadziło się niemal czterysta osób. Wszyscy w swoich najelegantszych strojach. Na długich stołach ustawiono najrozmaitsze potrawy i wina - wybór godny najważniejszego dnia w roku. Nigdy dotychczas nie odbył się jeszcze tak wspaniały bal jak ten. Bo i było za co być wdzięcznym. Był to okres pokoju i dobrobytu, wzrostu i obietnic, nowego życia i szczodrości.

Muzyka umilkła w słabych, nieharmonijnych dźwiękach, ucichł zniecałkany głośny gwar rozmów - w holu pojawiła się Matka Spowiedniczka, a tuż za nią z rozwianą, srebrzystą szatą szedł jej czarodziej. Królewska biała szata dziewczyny wyglądała na tle kolorowych strojów jak księżyc w pełni pośród gwiazd. Jaskrawe kolory i pstrokate stroje wydały się nagle prostackie. Kiedy przechodziła, głowy pochylały się w ukłonie. Cyrilla czekała ze swymi doradcami obok stołu, na którym stała duża misa ze rżniętym szkłem, wypełniona winem z korzeniami.

Kahlan przeszła przez ucichłą nagle komnatę - wszyscy patrzyli na nią - i zatrzymawszy się przed królową, skłoniła lekko głowę. Jej twarz była lodowato spokojna. Nie czekała, aż Cyrilla odpowie na jej ukłon formalnym powitaniem.

- Czy Drefan Tross jest twoim doradcą, królowo Cyrillo? Cyrilla wskazała otwartą dłoń.

- Oto i on.

Kahlan przeniosła pozbawiony wyrazu wzrok na Drefana.

- Chcę z tobą pomówić na osobności.

- Drefan Tross to zaufany doradca - wtrąciła się Cyrilla. Był jeszcze kimś: człowiekiem, którego lubiła, w którym się właśnie zakochiwała. - Możesz z nim rozmawiać w mojej obecności. - Nie wiedziała, o co chodziło, lecz uznała, że powinna być w to wtajemniczona. Spowiedniczki przerywały przyjęcia wyłącznie w ważnych sprawach. - To ani czas, ani miejsce na zajmowanie się takimi sprawami, Matko Spowiedniczko, jeśli jednak to nie może poczekać, zajmijmy się tym tu i teraz i zakończmy od razu ową sprawę.

Cyrilla spodziewała się, że rozmowa zostanie odłożona na odpowiedniejszy czas. Matka Spowiedniczka przez chwilę rozważała jej słowa, twarz miała bez wyrazu. Stojący za nią czarodziej zachowywał się inaczej niż Kahlan. Prawdę mówiąc, był raczej poruszony. Nachylił się ku Matce Spowiedniczce, żeby coś powiedzieć, ale uniosła dłoń i gestem nakazała mu milczenie, zanim się zdążył odezwać.

- Jak sobie życzysz. Przykro mi, królowo Cyrillo, lecz to nie może czekać. - Przeniosła wzrok na Drefana. - Właśnie przyjął spowiedź mordercy. Między innymi wyznał, że jest współnikiem zamachowca. Powiedział, że to ty nim jesteś, a królowa Cyrilla twoim celem.

Rozległy się pełne zdziwienia szepty stojących na tyle blisko, żeby usłyszeć. Twarz Drefana poczerwieniała. Szepty umilkły.

Teraz wydarzenia potoczyły się tak szybko, że Cyrilla o mało co ich nie przeoczyła. Przed sekundą Drefan stał jak wcześniej, z dłonią osłoniętą swoim złocistym i ciemnoniebieskim płaszczem, a moment później zamierzał się nożem na Matkę Spowiedniczkę. Dumnie wyprostowana, wyciągnęła rękę i złapała go za nadgarstek. Jednocześnie powietrze zadrzało gwałtownie bezdźwięcznym gromem. Czara ze rżniętego szkła rozprysła się, czerwone wino polało się na stół i podłogę. Cyrilla zadrzała, a ból przeszył każdą cząsteczkę jej ciała. Nóż uderzył o podłogę. Oczy Drefana rozszerzyły się, twarz obwisła.

- Pani - wyszeptał ze złością.

Cyrilla po raz pierwszy ujrzała Spowiedniczkę robiącą użytek ze swojej mocy i wstrząsnęło nią to. Przedtem tylko słyszała o następstwach owego aktu, ale go nie widziała. Niewielu widziało. Magia jeszcze długo przesyciła powietrze.

Tłum gości zacieśnił krąg. Czarodziej spojrzał na nich ostrzegawczo i ciekawość zmieniła się w bojaźń; cofnęli się.

Kahlan wyglądała na wyczerpaną, lecz jej głos nie zdradził słabości.

- Zamierzałeś zamordować królową?

- Tak, pani - odparł skwapliwie Drefran, oblizując wargi.

- Kiedy?

- Tej nocy. W zamieszaniu przy odejściu gości. - Zdawało się, że cierpi katusze; z oczu pociekły mu łzy. - Rozkazuj mi, o pani, błagam. Powiedz, jakie są twoje życzenia. Pozwól mi wypełnić twój rozkaz.

Cyrilla wciąż była w szoku. To właśnie uczyniono jej ojcu. To tak zamieniono go w partnera, w męża Spowiedniczki. Najpierw ojciec, a teraz człowiek, który był jej drogi.

- Czekaj w milczeniu - rozkazała Kahlan; zwiesiła ręce i spojrzała na Cyrillę. Jej młode oczy pełne były żalu i smutku. - Wybacz, że zakłóciłam twoją uroczystość, królowo Cyrillo, lecz obawiałam się tego, co mogłaby przynieść zwłoka.

Cyrilla, z płonąca twarzą, obróciła się ku Drefanowi. Stał wpatrzony w Kahlan.

- Kto ci to nakazał, Drefanie? Kto nakazał ci mnie zabić? Zdawało się, że jej nie słyszy.

- Nie odpowie ci, królowo Cyrillo - odezwała się Kahlan. - Teraz odpowie tylko mnie.

- Więc spytaj!

- To nie byłoby rozsądne - wtrącił się spokojnie czarodziej.

Cyrilla poczuła się głupio. Każdy wiedział o jej uczuciach do Drefana. Teraz każdy widział, jak ją wyprowadzono w pole. Nikt nigdy nie zapomni owego święta pełni lata.

- Nie waż się mi doradzać!

Kahlan pochyliła się ku niej i powiedziała cicho:

- Sądzimy, Cyrillo, że rozkazodawcę chroni urok. Kiedy zapytałam o współnika Drefana, zmarł, zanim zdążył odpowiedzieć. Wydaje mi się jednak, iż znam odpowiedź. Istnieją okrzęzne sposoby zdobywania informacji, które mogłyby ominąć ów urok. Gdybym mogła zabrać gdzieś Drefana i odpowiednio przepytąć go na osobności, to na pewno uzyskalibyśmy odpowiedź. Cyrilla omal nie płakała z wściekłości.

- Ufałam mu! Był mi bliski! Zdradził mnie! Mnie, nie ciebie! Chcę wiedzieć, kto go nasłał! Chcę to usłyszeć z jego własnych ust! Jesteś w moim królestwie, w moim domu! Zapytaj go!

Kahlan wyprostowała się; twarz znów miała spokojną, pozbawioną wszelkiego wyrazu.

- Jak sobie życzysz. - Zwróciła się do Drefana: - Czy zamierzałeś zabić królową z własnej woli?

Zatarł dłonie, spodziewając się zadowolić Matkę Spowiedniczkę.

- Nie, pani. Nasłano mnie.

Twarz Kahlan stała się - jeśli to możliwe - jeszcze spokojniejsza.

- Kto cię nasłał?

Uniosł dłoń i otworzył usta, jakby chciał odpowiedzieć na jej pytanie, lecz tylko krew zabulgotała mu w gardle i osunął się na podłogę. Czarodziej znacząco chrząknął. - Jak się spodziewałem: tak samo jak tamten. Kahlan podniosła nóż i podała go Cyrilli.

- Uważamy, że zawiązał się rozległy spisek. Nie wiem, czy i ów człowiek doń należy, lecz został nasłany przez Kelton.

- Kelton! Nie zamierzam w to wierzyć. Kahlan wskazała broń w dłoni Cyrilli.

- To keltoński nóż.

- Wielu ludzi ma broń wykonaną w Keltonie. Należy do najlepszych. Trudno to uznać za dowód.

Kahlan nie drgnęła. Cyrilla była zbyt zdenerwowana, żeby się zastanawiać, jakież to myśli kłębią się w głowie przyrodniej siostry. Wreszcie rozległ się spokojny głos Matki Spowiedniczki:

- Ojciec tłumaczył mi, że Keltończycy atakują tylko z dwóch powodów. Po pierwsze z zawiści, po drugie skuszeni słabością przeciwnika. Mówił, iż bez względu na powód ataku, zawsze próbują najpierw zabić najpotężniejszego, najwyżej postawionego z przeciwników. Galea jest teraz, dzięki tobie, silniejsza niż kiedykolwiek, a święto pełni lata daje świadectwo owej potęgi. Ty zaś jesteś jej symbolem i przyczyną zawiści. Ojciec powiedział mi również, że nigdy nie powinnaś spuszczać Keltończyków z oka, odwracać się do nich plecami. Ostrzegał, iż jeżeli pokrzyżujesz im pierwsze zakusy, to tym bardziej będą pragnąć twojej krwi, będą stale czekać, aż okażesz słabość, i wówczas uderzą.

Cyrilla, wciąż jeszcze zła, że Drefan ją oszukał, odparła bez zastanowienia:

- Nie wiem, co mówił nasz ojciec. Nigdy nie miałam okazji korzystać z jego nauk. Spowiedniczka go nam zabrała.

Twarz Kahlan zmieniła się; zniknęła spokojna, zimna, nieporuszona maska Spowiedniczki; zastąpiła ją ponadczasowa, pełna mądrości łaskawość, tak mało pasująca do młodego wieku Kahlan.

- Być może dobre duchy postanowiły oszczędzić ci, królowo Cyrillo, owych nauk i wolały, żebym to ja ich wysłuchała. Bądź wdzięczna za ich łaskawość. Wątpię, czyjego nauki sprawiłyby ci choć odrobinę radości. Bo mnie nie dały one szczęścia, może jedynie o tyle, że dzięki nim ocalałam dzisiaj twoje życie. Nie chowaj urazy, proszę. Pojednaj się ze sobą i ciesz tym, co masz: miłością swojego ludu. To on jest twoją rodziną, wszyscy razem i każdy z osobna.

Kahlan odwracała się, żeby odejść, ale Cyrilla delikatnie ujęła jej rękę i odciągnęła ją na bok; z podłogi właśnie podnoszono ciało, żeby je wynieść z holu.

- Wybacz mi, Kahlan. - Palce Cyrilli miały szarfę u pasa. - Źle uczyniłam, wyładowując na tobie gniew na Drefana.

- Rozumiem to, Cyrillo. Pewno tak samo bym zareagowała na twoim miejscu. Twoje oczy zdradziły mi, jakie żywiłaś do niego uczucia. Wcale nie oczekuję, że się ucieszysz tym, co właśnie uczyniłam. Wybacz, że wniosłam w twój dom smutek w dniu, w którym powinna panować wyłącznie radość. Bardzo się jednak bałam tego, co mogła przynieść zwłoka.

Kahlan sprawiła, że to Cyrilla poczuła się jak młodsza siostra. Królowa innym wzrokiem spojrzała na stojącą przed nią wysoką, piękną, młodą kobietę. Matka Spowiedniczka była w wieku, kiedy należało wybrać partnera. Może już kogoś wybrała. Jej matka musiała mieć tyle samo lat, gdy zabrała ojca Cyrilli. Taka młoda.

Królowa spojrzała w niezgłębione zielone oczy i opuściła ją część gniewu za Drefana. Ta młoda kobieta, jej siostra, dopiero co ocaliła jej życie, świetnie wiedząc, iż nikt jej za to nie podziękuje, że zyska tylko większy strach i, ewentualnie, dozgonną nienawiść przyrodniej siostry. Taka młoda. Cyrilla zawstydziała się swego samolubstwa. Po raz pierwszy uśmiechnęła się do Kahlan.

- Chyba Wyborn nie uczył cię samych ponurych rzeczy?
- Uczył mnie wyłącznie zabijania. Kogo zabić, kiedy zabić, jak zabić. Ciesz się, że nic więcej o tym nie wiesz i że nigdy nie musiałaś postępować według jego wskazówek. Ja muszę, a obawiam się, iż dopiero teraz zaczynam wykorzystywać to, czego mnie nauczył.

Cyrilla zachmurzyła się. Kahlan była Spowiedniczką, nie zabójczynią.

- Dlaczego mówisz takie rzeczy?

- Sądzimy, iż odkryliśmy spisek. Nie będę o tym mówić, dopóki nie poznam jego charakteru i nie zyskam dowodu, lecz myślę, że może na nas ściągnąć burzę, jakiej żadna z nas jeszcze nigdy nie widziała.

Cyrilla - pierwszy i jedyny raz w swoim życiu - dotknęła policzka siostry.

- Zostaniesz, Kahlan? Proszę. Ciesz się u mego boku resztą świątecznego dnia. Bardzo bym chciała, żebyś mi towarzyszyła.

Na twarz Kahlan powróciła spokojna maska Spowiedniczki.

- Nie mogę. Moja obecność tylko zepsułaby ludziom radość. Dzięki za zaproszenie, lecz powinnaś nadal świętować ze swoim ludem bez przeszkód z mojej strony.

- Bzdura. Twoja obecność niczego by nie zepsuła.

- Bardzo chciałabym, żeby tak istotnie było, ale niestety nie jest. Zapamiętaj, co radził nasz ojciec: bacznie obserwuj Keltończyków. Muszę cię opuścić. Szykują się kłopoty i powinnam dopilnować, żeby Spowiedniczki odkryły ich przyczynę. Odwiedzę Kelton, zanim powrócę do Aydindril. Podzielę się swoimi podejrzeniami i ostrzegę, by się to więcej nie powtórzyło. Poinformuję radę o dzisiejszych wydarzeniach, tak by wszyscy baczyli na Keltończyków.

Czegóż to uczyli w Aydindril, że zmieniało w stal najdelikatniejszą porcelanę?

- Dziękuję ci, Matko Spowiedniczko.

Tyle tylko mogła powiedzieć Cyrilla - oddać honory należne pozycji siostry. Patrzyła, jak odchodzi, a za nią czarodziej. To była najbardziej osobista rozmowa, jaką kiedykolwiek odbyła z przyrodnią siostrą. Święto pełni lata nie cieszyło już królowej po wyjściu Kahlan. Taka młoda, a zarazem taka sędziwa.

Dziś Cyrilla bardzo się zdziwiła, bo Matka Spowiedniczka nie przewodniczyła radzie. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewała. Można się

było spodziewać, że nie będzie jej przy upadku Aydindril - często podróżowała, wypełniając obowiązki Spowiedniczki, i prawdopodobnie starała się akurat powstrzymać d'haranskie zagrożenie. Wszystkie Spowiedniczki zawzięcie walczyły z d'haranskimi hordami. Cyrilla była pewna, że Kahlan nie była w tym gorsza od pozostałych, że wykorzystała to, czego ją nauczył ojciec.

Niepokoił fakt, iż nie wróciła do Aydindril zaraz po wycofaniu się D'Hary. Może po prostu nie zdążyła. Cyrilla obawiała się, iż Kahlan zginęła z rąk bojówki. D'Hara skazała na śmierć wszystkie Spowiedniczki i ścigała je bezlitośnie. Galea ofiarowała Spowiedniczkom schronienie, lecz nieprzejednane bojówki i tak ich dopadały.

Co gorsza, podczas nieobecności Matki Spowiedniczki żaden czarodziej nie nadzorował obrad rady. Cyrilla zadrzała z lęku, nie widząc ani Matki Spowiedniczki, ani czarodzieja. Stwierdziła, że ich nieobecność spowodowała w salach rady niebezpieczną próżnię.

A jej obawy zmieniły się w panikę, gdy ujrzała, kto przewodniczy obradom. Na głównym miejscu siedział arcyksiążę Fyren z Keltonu.

Ten sam, przed którym chciała szukać obrony. Wstrząsnęło nią to, iż zajmował miejsce należące zawsze do Matki Spowiedniczki.

Wyglądało na to, że rada nie stała się na powrót tym, czym była niegdyś.

Cyrilla zignorowała go i skierowała swoją prośbę do pozostałych członków. Na to książe Fyren wstał i oskarżył ją o zdradę wobec Midlandów. Miał czelność oskarżyć Cyrillę o swoje winy. Potem zapewnił radę, że Kelton na nikogo nie napadł, a jedynie bronił się przed zachłannym sąsiadem. Wygłosił długą tyradę o podłości kobiet dzierżących władzę. Rada uwierzyła jego słowom. Nie pozwoliła Cyrilli przedstawić żadnych dowodów.

Stała, zdumiona i niezdolna nic wykrztusić, kiedy rada wysłuchiwała oskarżeń Fyrena, po czym natychmiast uznała Cyrillę winną zarzucanych jej czynów i skazała na ścięcie.

Gdzie była Kahlan? Gdzie byli czarodzieje?

Wizja lady Bevinvier była prawdziwa. Cyrilla powinna była posłuchać tej kobiety, a przynajmniej przedsięwziąć pewne środki ostrożności. Również ostrzeżenia Kahlan były prawdziwe: Kelton najpierw próbował uderzyć z zawiści, a teraz - po latach - ponowił atak, ośmielony słabością sąsiada.

Gwardia galejska czekała na wielkim podwórku, gotowa natychmiast

towarzyszyć Cyrilli w drodze powrotnej. Królowa musiała się zająć przygotowaniem obrony Galei, do czasu nadejścia wojsk wysłanych przez radę. Lecz wszystko potoczyło się inaczej.

W trakcie odczytywania wyroku królowa usłyszała dobiegające z zewnątrz przeraźliwe odgłosy walki. Walki, pomyślała teraz gorzko. Bo to nie była walka, lecz rzeź. Eskorta czekała na nią na wielkim podwórku bez broni - na znak respektu i poszanowania władzy Rady Midlandów.

Królowa Cyrilla stała w oknie ze strażnikami u boków i z przerażeniem patrzyła na tę rzeź. Kilku jej ludzi powaliło napastników i odebrało im broń; walczyli bohatersko, ale byli bez szans. Gwardziści królowej nie mieli jak i czym się bronić, na każdego przypadało pięciu atakujących. Cyrilla nie wiedziała, czy któremuś się udało uciec. Miała nadzieję, że tak. Modliła się, by Harold zdołał zbiec.

Biały śnieg, przykrywający podwórzec, zamienił się w morze czerwieni. Cyrilla była przerażona pogromem. Jedynym aktem miłosierdzia było szybkie zadawanie śmierci.

Cyryllę zmuszono, żeby uklękła przed radą. Księżę Fyren złapał długie włosy królowej, uniósł je i obciął własnym mieczem. Klęczała, milcząc. Dumnie wyprostowała głowę, oddając cześć swojemu ludowi, zamordowanym na jej oczach gwardzistom, a Fyren obciął jej włosy tak krótko, jak najmarniejszej kuchennej pomywaczce.

To, co jeszcze przed godziną zdawało się kresem ciężkiej próby jej ludu, okazało się zaledwie początkiem nieszczęść.

Krzepkie paluchy, zaciśnięte na ramieniu Cyrilli, zatrzymały ją przed niewielkimi stalowymi drzwiami. Skrzywiła się z bólu. Pod przeciwległą ścianą korytarza leżała nie wygładzona drabina o długości równej dwukrotnemu wzrostowi królowej.

I znów wysunął się naprzód strażnik z kluczami; zaczął otwierać zamek. Przeklinał mechanizm, żałując się, że ciężko chodzi, bo rzadko jest używany. Wszyscy strażnicy wyglądali na Keltończyków. Cyril - la nie spostrzegła nikogo z Gwardii Obywatelskiej Aydindril. Wiedziała, iż większość z nich zginęła, kiedy D'Hara zdobyła miasto.

Strażnik w końcu otworzył drzwi i ukazała się czarna jama. Cyrilli ugięły się kolana. Upadłaby, gdyby nie przytrzymujące ją łapska. Wrzucają do tej czarnej dziury. Do szczurów.

Siłą woli przywróciła władzę nogom. Była przecież królową. Jednak jej serce biło nadal jak szalone.

- Jak śmiecie wrzucać damę do dołu pełnego szczurów? Książę Fyren podszedł do ziejącej czernią jamy. Dłonią wspartą na biodrze przytrzymał rozpięty płaszcz w kolorze królewskiego błękitu. Drugą ręką wyjął pochodnię z uchwytu w ścianie.

- Szczury? To cię trapi, moja pani? Szczury? - Posłał jej szyderczy uśmiezek. Był za młody na tak wystudiowaną bezczelność; Cyrilla spoliczkowałaby go, gdyby miała wolne ręce. - Pozwól mi rozwiać twoje obawy, królowo Cyrillo. - Rzucił pochodnię w czarną czeluść. Spadła i oświetliła twarze. Krzepka dłoń pochwyciła pochodnię. W jamie byli mężczyźni. Co najmniej sześciu, a może dziesięciu mężczyzn. Książę Fyren nachylił się, a jego głos odbił się echem od czeluści. - Królowa się boi, że tam są szczury.

- Szczury? - odparł z dołu chrapliwy głos. - Tu nie ma żadnych szczurów. Już nie ma. Wszystkie żeśmy zjedli.

Dłoń okryta koronkowym mankietem nadal wspierała się o biodro księcia Fyrena. Jego głos ociekał udawaną troską.

- Słyszysz? Ów człowiek twierdzi, że tam nie ma szczurów. Czy to rozwiało twoje obawy, moja pani?

Cyrilla spojrzała na migocącą w dole pochodnię i znów na Fyrena.

- Kim są ci ludzie?

- Ot, kilku morderców i gwałcicieli, tak jak ty czekających na ścięcie. Prawdę mówiąc, dość podłe bestie. Miałem tyle spraw do załatwienia, że nie zdążyłem się zająć ich wyrokami. Obawiam się, iż długi pobyt w tej jamie źle wpłynął na ich humory. - Znów się uśmiechał. - Lecz towarzystwo królowej z całą pewnością poprawi im nastrój.

- Żądam osobnej celi - wydusiła z siebie Cyrilla.

Uśmiech zniknął. Brew uniosła się w zadziwieniu.

- Żądasz? Ty żądasz? - Fyren zniecierpliwiony uderzył ją w twarz. - Nie masz prawa niczego żądać! Jesteś tylko pospolitą zbrodniarką, podłą morderczynią mojego ludu! Zostałaś osądzona i skazana!

Policzek Cyrilli palił ślad po uderzeniu.

- Nie możesz mnie tam umieścić razem z nimi. - Wiedziała, że owo wyszeptane błaganie nie odniesie żadnego skutku, lecz nie zdołała się

powstrzymać.

Fyren poruszył ramionami, wyprostował się, poprawił płaszcz, opanował się. Zawołał do tamtych na dole:

- Nie zrobicie krzywdy kobiecie, prawda chłopaki? Odpowiedział mu cichy śmiech.

- Jasne, że nie. Jeszcze byśmy drugi raz łby stracili. - W chrypliwym głosie zabrzmiała lodowata groźba. - Będziem dla niej przemili.

Cyrilla zlizwała z kącika ust ciepłą, słonawą krew.

- Nie możesz tego zrobić, Fyrenie. Żądam, aby mnie natychmiast ścięto.

- I znów czegoś żądasz.

Zamierzył się, by ją ponownie spoliczkować, jednak opuścił rękę i uśmiechnął się wymuszenie.

- Widzisz? Najpierw głośisz, iż jesteś niewinna i sprzeciwiasz się egzekucji, a teraz zmieniasz zdanie. Po kilku dniach spędzonych z nimi tam, w dole, będziesz błagać, by cię ścięto. Chętnie wyznasz swoje występki przed tymi, którzy przyjdą na twoją kaźń. Teraz muszę się zająć innymi sprawami. Nie mogę poświęcić ci więcej czasu. Zostaniesz ścięta, kiedy go dla ciebie znajdę.

Cyrilla dopiero teraz zaczynała sobie uświadamiać, co czeka ją w ciemnej jamie; ogarnęła ją panika. Oczy piekły od powstrzymywanych łez.

- Nie czyń mi tego... proszę. Błagam.

Książę Fyren wygładził biały żabot i powiedział łagodnie:

- Pragnąłem ci to ułatwić, Cyrillo, bo jesteś kobietą. Nóż Drefana zadałby ci szybką śmierć. Nie cierpiałabyś. Wobec mężczyzny nigdy nie byłbym tak miłosierny. Lecz ty nie chciałaś, żeby to się odbyło tak prosto. Pozwoliłaś się wtrącić Matce Spowiedniczce. Dopuściłaś, by jeszcze jedna kobieta naruszyła dominację mężczyzn! Kobiety nie są stworzone do rządzenia. Zupełnie się do tego nie nadają. Nie powinny ani dowodzić armiami, ani mieszać się w sprawy państwowe. Trzeba to ukrócić. Drefan zginął przy tobie podczas próby załatwienia całej sprawy łatwym i prostym sposobem. Teraz zrobimy to inaczej.

Fyren skinął na stojącego za nim żołnierza. Strażnik przyciągnął drabinę ku otwartym drzwiom, żeby opuścić ją w otwór; łapy przyciągnęły Cyrillę na skraj jamy. Pozostali strażnicy dobyli mieczy, by ci w dole nie wpadli na pomysł wdrapania się po drabinie.

Królowa nie widziała sposobu powstrzymania tego, co się miało stać. Nie mogła opanować strachu, więc zaprotestowała, wiedząc, iż to się na nic nie zda:

- Jestem damą i królową, nie przystoi mi schodzenie po takiej rozchwianej drabinie.

Książę Fyren trochę się zdziwił, słysząc ów niedorzeczny protest, lecz potem dał znak strażnikowi, żeby odciągnął drabinę od drzwi.

- Jak sobie życzysz, moja pani. - Skłonił się drwiąco.

Wyprostował się, lekko skinął głową ku trzymającym Cyrillę żołnierzom. Puścili ją. Zanim się zdołała poruszyć, Fyren trzasnął ją pięścią w mostek.

Zabolało, królowa straciła równowagę. Upadła na plecy, prosto w ziejący otwór. Prosto w jamę.

Spadała w dół, oczekując, że uderzy w kamienną podłogę i zabije się. Pogodziła się z tym; przez pamięć przemknęły obrazy minionej świetności. I tak się to ma skończyć? Pęknięciem czaszki uderzającej o kamienną podłogę?

Jakieś ręce pochwyciły Cyrillę. Całe jej ciało pokryły łapy dotykające najbardziej intymnych miejsc. Otworzyła oczy i zobaczyła, jak znika światło, jak z głuchym, głośnym trzaskiem zatrzasną się drzwi.

Niesamowite, migotliwe płomienie pochodni ukazywały otaczające królową twarze. Umorusane, zarośnięte gęby. Paskudne, spocone, złośliwe gęby. Gapiły się na nią chytre, czarne oczy. Głodne, ponure uśmieški odsłaniały pokrzywione, ostre zęby. Mnóstwo zębów. Cyrilla poczuła, jak strach, paniczny strach, zaciska jej gardło i tamuje oddech. Umysł odmówił jej posłuszeństwa, podsuwał dziwaczne, bezużyteczne obrazy.

Przyduszono ją do podłogi. Kamień był zimny i szorstki. Wokół rozległy się pomruki i piski. Mężczyźni tłoczyli się ciasno wokół niej. Na nic zdał się opór, robili z jej rękami i nogami, co chcieli.

Szponiaste łapska wczepiły się w szatę królowej, poszarpały delikatną materię i brutalnie podszczypywały obnażone znienacka ciało.

I wówczas Cyrilla uczyniła coś, czego nie robiła od dzieciństwa.

Wrzasnęła.

ROZDZIAŁ 27

Kahlan stała bez ruchu, bezwiednie obracając w palcach gładką, okrągłą kość w naszyjniku, i obserwowała rozciągające się w dole miasto. Urwiste stoki niemal pieszczotliwie okalały budowle, wypełniające prawie całą dolinę. Spadziste łupkowe dachy wznosiły się w obrębie murów; w północnym krańcu miasta sterczał ponad nimi pałac. Ani jedno pasemko dymu nie unosiło się w czyste powietrze z setek kamiennych kominów. Nic się nie poruszało. Wszystkie drogi były puste - i prosta jak strzała droga południowa, prowadząca do głównej bramy, i pomniejsze kręte trakty wiodące do bocznych bram, i drogi omijające mury, by kierować się ku północy.

Śnieg pokrywał leżącą przed Kahlan górską łąkę. Lekki wiaterek strząsnął płatki z obwisłej gałęzi pobliskiej sosny, poniósł migotliwą chmurkę. Zwichrzył włoski okrywającego dziewczynę białego wilczego futra, ale ledwo zwróciła na to uwagę.

Prindin i Tossidin zrobili jej tę pelerynę, żeby nie marzła w podróży na północny wschód, podróży przez niegościnne ziemie, na których szalały zimowe wichury. Kahlan niewiele wiedziała o zwyczajach wilków, bo bały się ludzi i wołały się przed nimi kryć. Lecz strzały braci trafiły w cel tam, gdzie ona niczego nie dostrzegła. Uznałaby te strzały za nieprawdopodobne, gdyby nie to, iż widziała wcześniej, czego potrafił dokonać Richard. Bracia byli niemal tak dobrzy jak on.

Kahlan zawsze żywiła do wilków wrogość, choć nigdy jej nie nękały. Jednak zaczęła lubić te zwierzęta, gdy Richard opowiedział jej o ścisłych rodzinnych więzach. Nie chciała, by bracia zabili wilki dla owego ciepłego okrycia, ale oni twierdzili, iż musi je mieć, więc w końcu się zgodziła.

Z obrzydzeniem patrzyła, jak zdzierają skórę z wilczych ciał, odsłaniając czerwone mięśnie oraz biel kości i ścięgien; tak pełne gracji za życia, a tak odpychające po śmierci.

Bracia wykonywali swe przerażające zadanie, a Kahlan myślała o Brophym, o człowieku, którego dotknęła swoją mocą tylko po to, żeby mógł dowieść swojej niewinności. Giller, jej czarodziej, zamienił go w wilka, by uwolnić mężczyznę od magii Spowiedniczki i umożliwić rozpoczęcie

nowego życia. Dumiała, jaki smutek musiał panować w wilczych rodzinach, kiedy zabite wilki nie wracały - jak partnerka Brophy'ego i jego stado rozpaczali po jego odejściu.

Kahlan widziała już tyle śmierci. Zdawało się jej, że zabijanie nigdy nie dobiegnie końca, miała tego zupełnie dość. Przynajmniej ci trzej mężczyźni nie *okazywali* dumy ni radości z zabicia owych wspaniałych zwierząt; odmówili także modły do duchów swoich braci wilków.

- Nie powinniśmy byli tego robić - burczał Chandalen. Wspierał się o swoją włócznię i obserwował Kahlan; wiedziała, że na nią patrzy, lecz nie odwróciła wzroku od leżącego w dole miasta, zbyt spokojnego miasta. Nie mówił tak szorstkim tonem jak zazwyczaj. Zdradzało to lęk, jaki budziło w nim miasto tak duże jak Ebinissia.

Chandalen jeszcze nigdy nie odszedł tak daleko od ziem Błotnych Ludzi, nigdy nie widział tak wielu budowli, a zwłaszcza tak wspaniałych budynków, zajmujących taki duży obszar.

Kiedy ujrzał je pierwszy raz i zdał sobie sprawę z rozmiarów tego, na co patrzy, zagapił się na miasto w milczącym podziwieniu, którego nie zdołał skryć. Jego ostry język zawiódł go tym razem. Całe życie spędził w wiosce na równinie i teraz pewno mu się zdawało, że patrzy na efekty działania magii, a nie na miasto wzniesione ludzkim wysiłkiem.

Kahlan poczuła ukłucie żalu, iż Chandalen i obaj bracia będą musieli zmienić spojrzenie na świat. Przed końcem podróży ujrzą jeszcze więcej i zadziwią się jeszcze bardziej.

- Chandalenie, włożyłam wiele trudu w to, by ciebie, Prindina i Tossidina nauczyć mojego języka. Tam, dokąd idziemy, nikt nie zna waszej mowy. Uczyłam was dla waszego własnego dobra. Możesz uważać, że kierowałam mną złośliwość, albo wierzyć, iż uczyniłam to, byście byli bezpieczni poza waszymi ziemiami; tak czy owak, mów do mnie w języku, którego cię nauczyłam.

Głos łowcy nabrał twardszych tonów, ale i tak zdradzał, jak mały i niewiele znaczący poczuł się Chandalen, zobaczywszy pierwszy raz w życiu wielkie miasto. A przecież wcale nie było ono największe z tych, które jeszcze zobaczy. Być może jego głos zdradzał coś jeszcze, coś, czego Kahlan nigdy w łowcy nie wyczuła - strach.

- Mam cię zaprowadzić do Aydindril, a nie tutaj. Nie będziemy

marnować tu czasu. - Modułacja głosu świadczyła, iż Chandalen uważa, że w takim miejscu może mieszkać wyłącznie zło.

Kahlan przymrużyła oczy w jaskrawym blasku odbijającego się od śniegu słońca i daleko w dole dostrzegła dwie figurki; zaczynały się wspinać na stok. Wypuściła z palców okrągłą kość.

- Jestem Matką Spowiedniczką. Do moich obowiązków należy chronienie wszystkich ludów Midlandów, tak samo jak chronię Błotnych Ludzi.

- Mojemu ludowi przyniosłaś nie pomoc, a kłopoty. Wyglądało to raczej na przyzwyczajenie niż na szczery protest.

Kahlan zareagowała na to cichym, znużonym szeptem;

- Dość tego, Chandalenie.

Zaprzestał, na szczęście, sprzeczek i skierował gniew na co innego.

- Prindin i Tossidin nie powinni się wspinać po stoku na otwartej przestrzeni. Uczyłem ich, żeby nie postępowali tak głupio. Sprzałbym im tyłki, gdyby byli chłopcami. Każdy widzi, dokąd idą. Czy posłuchasz mnie teraz i przestaniesz stać na widoku?

Kahlan pozwoliła mu się zaprowadzić pod osłonę drzew; nie, by uważała, iż tak trzeba, lecz dlatego, że chciała okazać szacunek dla starań usiłującego ją ochraniać Chandalena. Wyruszył w tę podróż niechętnie, pod przymusem, a mimo to - podobnie jak obaj bracia - nie spuszczał Kahlan z oczu; oni czuwali nad nią z uśmiechem i troską, on gniewnie i podejrzliwie. Wszyscy trzej sprawiali, że dziewczyna czuła się niczym drogocenna i krucha przesyłka, nad którą wciąż trzeba czuwać. Wiedziała, iż bracia troszczyli się o nią szczerze. Chandalen natomiast, Kahlan była tego pewna, traktował to jako jeszcze jedno zadanie do wykonania, choćby było nie wiadomo jak uciążliwe.

- Powinniśmy stąd szybko odejść - ponaglał znowu.

Kahlan wysunęła rękę spod futrzanego okrycia i odgarnęła z twarzy pasmo swych długich włosów.

- Muszę się dowiedzieć, co się tutaj wydarzyło. To mój obowiązek.

- Mówiłaś, że twoim obowiązkiem jest dotrzeć do Aydindril, jak chciał Richard Popędliwy.

Dziewczyna obróciła się bez słowa, weszła głębiej pomiędzy okryte śniegiem drzewa. Z wielkim trudem znosiła tęsknotę za Richardem. Ilekroć zamknęła oczy, widziała jego twarz z chwili, kiedy myślał, że go zdradziła.

Chciała paść na kolana i wreszcie uwolnić z gardła krzyk, który narastał w niej, próbując przełamać samokontrolę, krzyk oddający przerażenie tym, co uczyniła.

Ale cóż innego mogła zrobić? Jeśli prawdą było to, czego się dowiedziała - że zasłona oddzielająca zaświaty została przerwana, że tylko Richard mógł ją scalić, że jedynie obroża mogła mu uratować życie i pozwolić scalić zasłonę - to nie miała wyboru. Jakże mogłaby podjąć inną decyzję? Czyż Richard szanowałby ją, gdyby nie wypełniła swojego obowiązku? Richard, którego kochała, na pewno to zrozumie. Na pewno.

Lecz jeżeli choć jedno byk> nieprawdziwe, to Kahlan na darmo wydała ukochanego na łup najgorszych koszmarów.

Dziewczyna znów się zastanawiała, czy Richard często patrzy na pukiel włosów, który mu dała, czy patrzy nań i myśli o niej. Miała nadzieję, że rozumie, dlaczego zmusiła go do odejścia, że rozumie i wybaczy jej. Tak pragnęła mu powiedzieć, iż bardzo go kocha. Tęskniła za tym, by *go* przytulić. Chciała dotrzeć do Aydindril, do Zedda, po pomoc.

Musiała się jednak dowiedzieć, co się tutaj wydarzyło. Wyprostowała się dumnie. Przecież była Matką Spowiedniczką.

Kahlan zamierzała ominąć Ebinissię, lecz przez ostatnie dwa dni natykali się na zamarznęte ciała kobiet. Ani jednego mężczyzny, same kobiety - młode i stare, od dzieci po babki. Większość z nich była na wpół naga, niektóre w ogóle odarto z ubrań. W największy mróz. Przeważnie leżały pojedynczo, ale czasem w niedużych grupkach - zbyt wyczerpane, zbyt przerażone, zbyt otumanione, żeby szukać jakiegoś schronienia? Uciekały z Ebinissii nie w beładnym pośpiechu, lecz w panice; wołały zamarznąć, niż tarn pozostać.

Nad większością z nich ciężko się znęcano, zanim rozpierzchnęły się we wszystkie strony tej górzystej okolicy. Kahlan wiedziała, co im uczyniono, wiedziała, dlaczego wybrały to, co wybrały. Trzej mężczyźni także to wiedzieli, jednak żaden nie powiedziałby tego na głos.

Dziewczyna szczelniej otuliła się futrem. To nie d'haranskie wojska popełniły owe okrucieństwa - wszystko wydarzyło się niedawno. Armie D'Hary odwołano do kraju. Na pewno by tego nie uczynili, wiedząc, iż wojna się skończyła.

Kahlan nie mogła tego tak zostawić - musiała się dowiedzieć, jakie

nieszczęście spadło na Ebinissię. Poprawiła przewieszony przez ramię łuk i ruszyła w dół stoku. Już dawno się przyzwyczała do chodzenia posuwistym krokiem, koniecznym przy raketach śnieżnych, które trzej łowcy zrobili jej z wierzbowych witek i ścięgien. Chandalen ruszył za nią.

- Nie powinnaś schodzić. Tam może być niebezpieczeństwo.

- Niebezpiecznie - poprawiła go, podciągając wyżej plecak. - Gdyby tam było niebezpiecznie, to Prindin i Tossidin nie szliby po otwartej przestrzeni. Możesz zejść lub czekać tutaj, ale ja tam idę.

Chandalen zrozumiał, że sprzeciw nie zda się na nic, więc poszedł za Kahlan, powstrzymując się, o dziwo, od wszelkich komentarzy. Jasne popołudniowe słońce ani trochę nie ocieplało przeraźliwie zimnego dnia. Na skraju gór Rang'Shada zazwyczaj szalał wicher; na szczęście tego dnia wiało - chyba dla odmiany - bardzo słabo. Od paru dni nie padał śnieg, zatem mogli posuwać się szybciej, niż się spodziewali. Kahlan miała wrażenie, że wdechane powietrze zamraża jej nos.

W połowie stoku spotkała się z Prindinem i Tossidinem. Stanęli przed nią, wsparli się na włóczniach i z trudem oddychali, co było dziwne, bo nigdy nic ich nie męczyło; no ale nie byli przyzwyczajeni do takich wysokości. Zbledli, ich miłe bliźniacze uśmiechy dawno zniknęły.

- Nie chodź tam, Matko Spowiedniczko, błagam - powiedział Prindin, z trudem łapiąc oddech po męczącej wspinaczce. - Owych ludzi opuściły duchy ich przodków.

Kahlan odpięła bukłak od pasa i wyjęła go spod okrycia, gdzie ciepło jej ciała chroniło wodę przed zamrożeniem. Podała naczynie Prindinowi i skłoniła go, żeby się napił, zanim zacznie go wypytywać.

- Co widzieliście? Nie wchodziliście do miasta, prawda? Mówiłam, żebyście nie zapuszczali się w obręb murów.

Prindin wręczył bukłak zadyszanemu bratu.

- Nie. Kryliśmy się, jak nam kazałaś. Nie wchodziliśmy tam, ale nie musieliśmy tego robić. - Zlizał kroplę wody z dolnej wargi. - Wystarczająco dużo zobaczyliśmy z zewnątrz.

Kiedy Tossidin skończył pić, dziewczyna wzięła bukłak i zakorkowała go.

- Widzieliście jakichś ludzi?

Tossidin zerknął przez ramię w dół stoku.

- Widzieliśmy wielu ludzi.

Prindin otarł nos dłonią, popatrzył na brata i na Kahlan.

- Martwych ludzi.

- Ilu? Co ich zabiło?

Tossidin rozluźnił rzemyk u szyi, przytrzymujący jego futrzane okrycie.

- Zabitych w walce. Większość ma broń: miecze, łuki i włócznie. Jest ich tak dużo, że nie umiem zliczyć. Nigdy nie widziałem tylu żołnierzy. Nigdy w życiu nie widziałem tylu żołnierzy. Tu była wojna. Wojna i zabijanie pokonanych.

Kahlan przez chwilę wpatrywała się w braci, porażona okropieństwem tej wieści. Miała nadzieję, że mieszkańcy Ebinissii ocaleli, że udało się im uciec.

Wojna. Czyżby dokonały tego wojska D'Hary już po zakończeniu kampanii? A może co innego spowodowało śmierć tych ludzi?

Wreszcie Kahlan odzyskała zdolność ruchu i zaczęła schodzić ze wzgórza; rozpięte okrycie nie chroniło jej przed lodowatym powietrzem. Serce jej łomotało, przerażone tym, co spadło na lud Ebinissii.

- Muszę tam pójść i zobaczyć, co się stało.

- Nie idź, Matko Spowiedniczko, błagam - zawołał za nią Prindin. - Straszno na to patrzeć.

Schodziła szybko spadzistym stokiem. Trzej mężczyźni ruszyli za nią.

- Już widywałam martwych ludzi.

Zaczęły się pojawiać ciała - najwyraźniej były to miejsca potyczek, w sporej odległości od murów miasta. Nawiany śnieg częściowo je przysypał. W pewnym miejscu spod bieli wystawała dłoń, jakby ktoś się topił i sięgał w górę. Drapieżniki i ptaki nie ruszyły większości ciał - było ich o wiele za dużo dla padlinożerców. Leżeli tu wyłącznie żołnierze armii galejskiej: zamarзли tam, gdzie upadli; przesiąknięte krwią odzienie przymarzło im do ciał, skamieniały na mrozie straszliwe otwarte rany.

W południowym murze, w miejscu wielkiej dębowej bramy z żelaznym wzmocnieniem, ziała wielka dziura; kamienne obrzeże było nadtopione i poczerniałe. Kahlan stała i wpatrywała się w kamień, który stopił się jak woskowa świeca. Wiedziała, że tylko jedna moc mogła tego dokonać: ogień czarodzieja.

Dziewczyna starała się pojąć, co widzi. Wiedziała, jak wyglądają efekty działania ognia czarodzieja, lecz przecież nie było już czarodziejów. Z

wyjątkiem Zedda i - jak się domyślała - Richarda. Ale to z pewnością nie było dzieło Zedda.

Na zewnątrz murów zgromadzono wielkie zwały zamrożonych, bezgłowych ciał. Głowy leżały na mniejszych, nie tak porządnie usypanych stosach. Miecze, tarcze i włócznie poukładano na oddzielne kupki; wyglądały jak wielkie, martwe, stalowe jeźdźce. To była masowa egzekucja, przeprowadzana jednocześnie w wielu miejscach, żeby się szybciej uporać z licznymi skazańcami.

Kahlan, odrętwiała i wstrząśnięta, patrzyła na leżące jedno na drugich ciała. Powiedziała cicho do stojących za nią trzech mężczyzn:

- Nie znane wam słowo służące do tego, żeby ich policzyć, to „tysiąc”. Jest tutaj pewno z pięć tysięcy martwych żołnierzy.

Prindin wbił koniec drzewca włóczni w śnieg i poruszył nim z zażenowaniem.

- Nie wiedziałem, że jest słowo pozwalające ich zliczyć. - Znow poruszył włócznią, zniżył głos do szeptu. - Paskudne to będzie miejsce, gdy nadejdą upały.

- To już jest złe miejsce - mruknął do siebie jego brat w ojczystym języku.

Kahlan wiedziała, iż to tylko niewielka część zabitych. Znała obronną taktykę Ebinissii. Mury nie były, jak dawno temu, solidnymi umocnieniami. Miasto rozrosło się i wzbogaciło dzięki przymierzu z Midlandami, więc zburzono te starsze, solidne, umocnione mury i z ich kamieni postawiono nowsze, okalające większy obszar. Zbudowano je jednak mniej starannie niż w przeszłości. Były bardziej oznaką wielkości i dumy królewskiego miasta niż murami obronnymi.

W razie napaści bramy zamykano, a najbardziej doświadczone i zahartowane w bojach oddziały pozostawały na zewnątrz, żeby powstrzymać napastników, zanim zdołają dotrzeć do umocnień. To okoliczne góry stanowiły właściwy szaniec obronny Ebinissii - na ich wąskich przełęczach nie można było atakować w rozwiniętym szyku.

Na rozkaz Rahla Posępnego wojska D'Hary przez dwa miesiące oblegały Ebinissię, lecz pozostający za murami obrońcy zdołali je powstrzymać na otaczających miasto przełęczach. Szarpali D'Harańczyków bez chwili wytchnienia, aż w końcu ci się wycofali, liżąc rany i szukając łatwiejszej zdobyczy. Ebinissianie wygrali, ale zapłaciło za to życiem bardzo wielu

obrońców. Gdyby Rahl Posępny był mniej zajęty szukaniem szkatuł, z pewnością wysłałby więcej wojska i być może pokonałby obrońców przełęczą - jednakże nie uczynił tego.

Ci pozbawieni głów żołnierze stanowili część zewnętrznego pierścienia obrony. Wycofali się ku murom, tu zostali pokonani i ujęci, a następnie - zanim jeszcze przerwano umocnienia - straceni. Najwyraźniej chodziło o to, żeby przerazić tych, którzy trwali w mieście - zastraszyć ich, by się nie potrafili skutecznie bronić. Kahlan wiedziała, iż wewnątrz murów czekają ich jeszcze gorsze widoki. Była na to przygotowana od chwili, kiedy zaczęli znajdować zamarznęte kobiety.

Dziewczyna bezwiednie przybrała nieprzeniknioną „twarz Spowiedniczki”, tak jak nauczyła ją tego matka.

- Prindinie i Tossidinie, chcę, byście obeszlili miasto wokół murów. Muszę wiedzieć o wszystkim, co się tu wydarzyło. Kiedy to się stało, skąd nadeszli napastnicy i dokąd udali się po wszystkim. Ja i Chandalen wejdziemy do miasta. Kiedy skończycie, spotkamy się w tym samym miejscu.

Bracia natychmiast zabrali się do wypełniania jej poleceń. Pochyleni ku sobie, szeptali, wskazując i badając ślady oraz znaki, które pojmowali na pierwszy rzut oka. Kahlan przekroczyła gruz i ruszyła przez ziejącą w murze wyrwę. Chandalen w milczeniu szedł obok niej z przygotowanym do strzału łukiem.

Żaden z trzech mężczyzn nie sprzeciwił się rozkazom dziewczyny. Wiedziała, że zdumiały ich rozmiary miasta i - przede wszystkim - przytłoczyła potworność tego, co się tu wydarzyło. Uszanowali jej zobowiązania wobec poległych.

Chandalen nie patrzył na leżące wokół ciała; obserwował cieniste przejścia i zaułki pomiędzy niewielkimi domami o ścianach z narzuconej tynkiem plecionki. Kiedyś zamieszkiwali je rolnicy i pasterze pracujący na leżących w pobliżu miasta ziemiach. Na śniegu nie było widać żadnych śladów; ostatnio nie przechodziła tędy żadna żywa istota.

Kahlan prowadziła, a Chandalen kroczył u jej prawego boku, pół kroku z tyłu. Nie zatrzymywała się, żeby obejrzeć spoczywające wszędzie zwłoki. Widać było, iż wszyscy zginęli w ten sam sposób - zabici w zażartej walce.

- Tych ludzi pokonały przeważające siły - powiedział spokojnie Chandalen. - Wiele tysięcy, jak ty to nazywasz. Nie mieli najmniejszej szansy

na zwycięstwo.

- Dlaczego tak mówisz?

- Są stłoczeni pomiędzy budynkami. To złe miejsce do walki, ale jedyne w takim zamknięciu. Tak właśnie próbowałbym się bronić przed dużą liczbą napastników, nie pozwalając, żeby mnie zaszli od tyłu i złapali. Wielkie siły wcale nie są dobre w wąskich przejściach. Postarałbym się utrzymać wrogów w zwartej grupie i szarpać ich ze wszystkich stron, by nie mogli atakować wedle swej woli i nigdy nie byli pewni, skąd na nich wypadnę. Nie możesz przyjmować walki tak, jak wróg sobie tego życzy, zwłaszcza wtedy, kiedy cię tak przewyższa liczebnie. Wśród żołnierzy są też starcy i chłopcy. Chłopcy i starcy nie walczyliby u boku Chandalena, chyba że widzieliby, iż jest to walka na śmierć i życie i że wróg ma wielką przewagę. To musieli być odważni wojownicy, skoro stawili czoło o wiele od nich liczniejszemu nieprzyjacielowi. Gdyby wrogie siły nie były tak ogromne, chłopcy i starcy nie musieliby pomagać swoim żołnierzom.

Kahlan wiedziała, że łowca miał rację. Wszyscy w mieście albo widzieli, albo słyszeli odgłosy odbywającej się tuż przy murach kaźni. Zdawali sobie sprawę, iż klęska oznacza śmierć.

Ciała leżały jak powalone wicherem drzewa. Było ich coraz więcej, w miarę jak Kahlan i Chandalen zbliżali się do miejsca, w którym znajdowały się niegdyś stare mury miasta. Wyglądało to tak, jakby walczący się cofali, żeby stawić opór na podwyższeniu terenu. Nic im to nie dało - pokonały ich przeważające siły.

Spoczywali tu wyłącznie obrońcy - nie było ciał napastników. Kahlan wiedziała, iż niektórzy wierzyli, jakoby pozostawienie pokonanych tam, gdzie padli, broniąc się, przepowiadało niepowodzenia w przyszłych bitwach i - co więcej - wydawało ich własne duchy na zemstę duchów pokonanych. Towarzyszyła temu wiara, że jeżeli pozostawią swoich zmarłych w miejscu porażki, to duchy padłych w walce towarzyszy będą męczyć ich wrogów. Napastnicy musieli w to wierzyć i odciągnęli swoich zmarłych daleko od ciał tych, których pokonali. Dziewczyna wiedziała, że kilka ludów wierzyło, iż śmierć w bitwie może spowodować takie magiczne skutki. Pierwsze miejsce na liście podejrzanych zajmował jeden naród.

Mijali przewrócony wóz, z którego wysypały się szczapy drewna opałowego. Chandalen przystanął pod niewielkim drewnianym szyldem, na

którym wyrzeźbiono moździerz, tłuczek i bogato ulistnioną roślinę. Osłonił dłonią oczy przed blaskiem słońca i zajrzał do długiego, wąskiego sklepu, cofniętego o parę stóp w głąb w stosunku do przylegających z obu stron budynków.

- Co to za miejsce?

Kahlan minęła go i przeszła przez potrzaskane odrzwia.

- To sklep zielarski.

Ładę pokrywała warstwa wymieszanych ze sobą suszonych ziół i strzaskanych szklanych słoików. Ocalały tylko dwie szklane przykrywki.

- Ludzie kupowali tu zioła i lekarstwa.

Za kontuarem znajdowała się duża ścienna szafa, sięgająca od podłogi do sufitu i zajmująca niemal całą długość sklepu; przednie ścianki jej małych drewnianych szufladek pociemniały od niezliczonych dotknięć palców. Niektóre szufladki wciąż jeszcze tkwiły na swoich miejscach, zniszczone pchnięciem maczugi. Resztę rzucono na podłogę i rozdeptano wraz z zawartością. Chandalen przykucnął i otworzył kilka ocalałych, najniżej położonych, przyjrzał się ich zawartości i na powrót je wsunął.

- Nissel byłaby... jak mówisz „zdziwiona”?

- Zdziwiona - odparła Kahlan.

- Byłaby zdziwiona, widząc tak wiele leczniczych roślin. To zbrodnia niszczyć to, co pomaga ludziom.

Dziewczyna patrzyła, jak wysuwa i wsuwa szufladki.

- Zbrodnia - zgodziła się z łowcą.

Chandalen wyjął kolejną szufladkę i aż sapnął. Przez chwilę trwał bez ruchu, potem ze złości wyciągnął pęczek niedużych, związanych kawałkiem sznurka roślinek. Drobne, zasuszone listki były ciemnozielono-brązowe, ze szkarłatnym żyłkowaniem. Łowca cicho gwizdnął.

- *Quassin doe* - wyszeptał.

Kiedy już oczy Kahlan przyzwyczyły się do mroku, spojrzała w głąb sklepiku. Nie dostrzegła żadnych zwłok. Pewnie właściciel uciekł, zanim go zabili, a może walczył wraz z żołnierzami przeciwko napastnikom.

- Co to jest *quassin doe*?

Chandalen obracał w dłoni pęczek roślin, wpatrując się weń nieruchomo.

- *Quassin doe* może ci ocalić życie, kiedy przez pomyłkę połkniesz dziesięciokrokovą truciznę lub, jeśli jesteś dość szybki, gdy trafi cię zatruta

nią strzała.

- Jak przez pomyłkę można połknąć tę truciznę?

- Przez długi czas trzeba żuć i zwilżać w ustach wiele zatrutych liści *bandu*, nim będzie je można rozgotować na gęstą papkę. Czasem łyknie się przypadkowo trochę tej wilgoci albo za długo żuje się liście i to wywołuje chorobę. - Otworzył wiszącą mu u pasa skórzaną torbę i pokazał Kahlan niewielkie rzeźbione pudełko z kości. Zdjął przykrywkę: wewnątrz była ciemna papka.

- To dziesięciokrokowa trucizna, którą nakładamy na strzały. Robimy ją z *bandu*. Jeśli zjesz odrobinę, to zachorujesz. Zjesz trochę więcej i będziesz długo umierać. Zjesz jeszcze więcej i umrzesz szybko. Ale nikt jej nie je, gdy jest już gotowa i nałożona do pudełeczek. - Schował pojemnik z trucizną do torby.

- Więc zażycie *quassin doe* uzdrowi cię, gdybyś przypadkiem połknął odrobinę zużytych podczas przygotowywania trucizny liści *bandul* - Chandalen odpowiedział potakującym skinieniem głowy. - Lecz czyż nie umrzesz, zanim zdążysz zażyć *quassin doe*, kiedy trafi cię dziesięciokrokowa strzała?

Chandalen obrócił w palcach pęczek roślin.

- Pewnie tak. Lecz bywa, iż ktoś się niechcący zadrapie własną dziesięciokrokową strzałą, a wtedy może zażyć *quassin doe* i wyzdrowieć. Czasem zdążyć nawet ocalić życie, gdy trafi cię taka strzała. One działają natychmiast jedynie wtedy, kiedy zranią szyję. Wtedy nie masz czasu na *quassin doe* i wkrótce umierasz. Lecz jeśli zranione zostanie inne miejsce, na przykład noga, to trucizna działa wolniej i zdążysz wziąć *quassin doe*.

- A co, jeżeli Nissel jest daleko i nie zdąży ci tego podać? Umrzesz, jeśli zadrapiesz się przypadkiem strzałą, polując na równinach.

- Wszyscy łowcy noszą przy sobie trochę liści, żeby móc je żuć w razie przypadkowego zadrapania lub zranienia zatrutym grotem, i zdążą wziąć odtrutkę. Jeżeli polujesz na małe zwierzęta i na strzale nie ma dużo trucizny, to masz więcej czasu. Dawno temu, w czasie wojny, nasi łykali *quassin doe* tuż przed walką, by ich nie poraziły dziesięciokrokowe strzały wroga. - Chandalen ze smutkiem potrząsnął głową. - Ale bardzo ciężko zdobyć *quassin doe*. Gdy ostatnio targowaliśmy się o taki pęczek, to każdy mężczyzna w wiosce musiał zrobić łuk i dwie garści strzał, a każda kobieta misę. Ale

odtrutka dawno się skończyła. Lata temu. Ludzie, od których ją braliśmy, nie mogli jej już znaleźć. Moi daliby wiele, żeby znów mieć taki pęczek.

Kahlan stała nad łowcą, patrząc, jak ostrożnie odkłada rośliny do szufladki.

- Weź je, Chandalenie. Daj swoim. Potrzebują ich.

Łowca wolniutko wsunął małą szufladę.

- Nie mogę. Źle bym zrobił, zabierając je innym ludziom, nawet jeżeli już nie żyją. Ten pęczek nie należy do mego ludu, jest własnością tych, którzy tu mieszkali.

Kahlan przykucnęła obok łowcy, wysunęła szufladę i wyjęła pęczek roślin. Wzięła leżący w pobliżu na podłodze kawałek płótna, używanego do pakowania zakupów, i owinęła w nie roślinki.

- Wez to. - Wepchnęła zawiniątko w dłoń Chandalena. - Znam mieszkańców tego miasta. Zapłacę im za to, co zabrałam. Skoro tak, to roślinki są moje. Weź to. To mój dar za kłopoty, jakie sprowadziłam na twój lud.

Chandalen wpatrywał się w pakuneczek.

- To zbyt cenne na dar. Dar o tak wielkiej wartości uczyni nas twoimi dłużnikami.

- Więc to nie dar, a zapłata dla ciebie, Prindina i Tossidina za chronienie mnie w czasie tej podróży. Ryzykujecie własnym życiem, żeby mi zapewnić bezpieczeństwo. Mój dług wobec was o wiele przewyższa tę zapłatę. Nie będziecie mi nic winni.

Łowca zmarszczył brwi, przez chwilę wpatrywał się w zawiniątko, a potem podrzucił je dwa razy na dłoni i schował do wiszącej u pasa torby. Mocno zacisnął ściągający ją rzemyk i wstał.

- Czyli wszystko jest uregulowane. Jesteśmy ci winni tylko tę podróż.

- Tak - dobiła targu Kahlan.

I znów szli milczącymi ulicami, mijając sklepy i zajazdy starej dzielnicy miasta. Wszystkie okna i drzwi były wyłamane. Odłamki szkła połyskiwały w słońcu - lśniące łzy nad umarłymi. W poszukiwaniu niedobitków horda napastników wdarła się do każdego budynku.

- Gdzie te żyjące w jednym miejscu tysiące znalazły ziemię, żeby wyżywić swoje rodziny? Przecież tu zabrakłoby im pól uprawnych i zwierząt, na które mogliby polować.

Kahlan spróbowała spojrzeć na miasto oczami Chandalena. To musiała być dlań wielka zagadka.

- Nie wszyscy polowali i nie wszyscy uprawiali ziemię. Ci, którzy tu mieszkali, byli wyspecjalizowani.

- Wyspecjalizowani? A cóż to znaczy?

- To znaczy, że ludzie mają odmienne zajęcia, robią co innego. Zajmują się tylko jednym. Za srebro lub złoto kupują to, co im potrzebne, a czego sami nie robią lub nie hodują.

- A skąd biorą to srebro lub złoto?

- Srebrem i złotem płacą im inni za to, czego chcą, a w czym tamci są wyspecjalizowani.

- A skąd ci inni biorą srebro i złoto?

- Od ludzi, którzy płacą im za to, co robią.

Chandalen spojrzał na Kahlan ze zdumieniem i niedowierzaniem.

- To czemu się nie wymieniają? Wymiana byłaby prostsza.

- To jest swego rodzaju wymiana. Często osoba pragnąca tego, co masz ty, nie ma niczego, czego ty byś chciał, więc zamiast tego daje ci pieniądze, złote lub srebrne płaskie krążki zwane monetami. Potem możesz za te pieniądze kupić to, czego ci potrzeba.

- Kupić. - Chandalen jakby smakował językiem owo dziwaczne słowo; spojrzał w ulicę po ich prawej stronie i z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- No to dlaczego ludzie pracują? Dlaczego sobie po prostu nie biorą tych złotych i srebrnych monet?

- Niektórzy tak robią. Polują na złoto i srebro. Ale to także ciężka robota. Bardzo trudno znaleźć złoto i wykopać je z ziemi. Właśnie dlatego, że jest takie rzadkie, robi się zeń monety. Jeśli byłoby równie pospolite jak ziarnka piasku, to nikt by się na złoto nie wymieniał. Gdyby monety można łatwo zdobyć lub wyprodukować, stałyby się bezwartościowe, a wtedy załamałby się cały ten system wymiany i wszyscy by głodowali.

Chandalen przystanął i zmarszczył czoło.

- Z czego się robi te monety? Co to takiego to srebro i złoto, o których mówisz?

Kahlan nie przystanęła wraz z nim i musiał zrobić kilka wielkich kroków, żeby się z nią zrównać.

- Złoto to... Ze złota jest zrobiony medalion, naszyjnik, który Bantakowie

ofiarowali Błotnym Ludziom na znak, iż nie chcą wszczynać wojny. - Łowca przytaknął z pełnym zrozumienia pomrukiem; tym razem to dziewczyna przystała. - Wiesz, skąd Bantakowie wzięli tyle złota?

Chandalen obrzucił wzrokiem szczyty łupkowych dachów.

- Pewnie. Dostali od nas.

Kahlan złapała go za ramię okryte ciepłym płaszczem i okręciła ku sobie.

- Jak to dostali od was?

Łowca zeszywniał pod jej dotknięciem. Nie podobało mu się, że to zrobiła - dotknęła dłonią Spowiedniczki. Nie miało znaczenia, iż chwyciła okrycie, a nie samo ramię - kontakt i tak był zbyt bliski. Gdyby uwolniła swoją moc, płaszcz nie byłby żadną przeszkodą; przecież i zbroja nie ochroniła przed mocą Kahlan. Dziewczyna puściła go i Chandalen się odprężył.

- Skąd Błotni Ludzie wzięli tyle złota, Chandalenie? Popatrz na nią jak na dziecko, pytające, gdzie znajdziesz błoto.

- Z dziur w ziemi. Na północy naszej krainy, tam gdzie jest skalista i gdzie nic nie rośnie ani nie żyje, są w ziemi dziury. Mają w sobie złoto. To złe miejsce. Powietrze jest gorące i zepsute. Mówią, iż ludzie umierają, jeśli za długo zostają w ziemi. W tych głębokich dziurach tkwi żółty metal. Jest za miękki, by z niego zrobić dobrą broń, więc nie ma z niego pożytku. - Machnięciem ręki skwitował znaczenie kruszcu. - Ale Bantakowie mówią, że duchy ich przodków lubią wygląd złotego metalu, więc pozwalamy im przychodzić na nasze tereny, wchodzić do tych dziur i brać sobie ów metal, żeby mogli robić z niego rzeczy, na które duchy ich przodków popatrzą z przyjemnością, kiedy odwiedzą ten świat.

- Czy inni wiedzą o tych dziurach w ziemi i o złocie, Chandalenie? Łowca wzruszył ramionami.

- Nie wpuszczamy obcych na nasze tereny. No i przecież ci mówiłem, że jest bezużyteczne, bo za miękkie, żeby zeń wykonać broń. Podoba się Bantakom, a oni się z nami godziwie wymieniają, więc pozwalamy im brać, ile chcą. Ale nie czerpią zbyt dużo, bo to złe miejsce. Nikt tam nie chce chodzić poza Bantakami, którzy pragną się przypodobać duchom swoich przodków.

Jakżeż mogła mu to wytłumaczyć? Nie pojąłby reguł zewnętrznego świata.

- Nie powinniście nigdy korzystać z tego złota, Chandaleni. - Zrobił minę, mówiącą, że przecież dopiero co wyjaśnił, jakie ono jest bezużyteczne i że nikt by tego nie chciał. - Wy możecie je uważać za bezwartościowe, ale inni zabiliby, by je zdobyć. Gdyby inne ludy się dowiedziały, iż macie złoto na waszych ziemiach, mogłyby na was napaść, żeby je zdobyć. Żądza złota odbiera ludziom rozum; są gotowi na wszystko, byle je osiąść. Zabiliby Błotnych Ludzi.

Chandalen wyprostował się z dumną miną. Puścił cięciwę i uderzył się w pierś.

- Ja i moi ludzie chronimy nasz lud. Nie wpuścimy obcych. Kahlan zatoczyła ręką koło, wskazując setki zmarłych.

- Poradzicie sobie z taką liczbą? Z tysiącami? - Łowca nigdy nie widział tylu ludzi naraz i nie bardzo pojmował, jakie mnóstwo osób żyje poza jego krainą. - Z coraz nowymi tysiącami, które będą nieustannie nadchodzić, aż zepchną was na ubocze?

Oczy Chandalena zatoczyły to samo koło, co ręką dziewczyny. Jego twarz przybrała obcy dlań wyraz zatroskania, a arogancja zniknęła - zdał sobie sprawę z liczby ciał.

- Duchy przodków ostrzegły nas, żebyśmy nie rozpowiadali o dziurach w ziemi, pełnych zepsutego powietrza. Puszczamy tam wyłącznie Bantaków.

- I dbajcie, żeby tak pozostało. Inaczej przyjdą inni i ukradną to.

- Niedobrze jest okradać innych ludzi. - Znów napiął cięciwę, a Kahlan westchnęła głośno z irytacji. - Kiedy zrobię łuk na wymianę, każdy wie, że wykonał go Chandalen, bo to świetny łuk. Gdyby go ktoś ukradł, inni wiedzieliby, skąd go wziął, i złapaliby złodzieja. Musiałby oddać broń, a może nawet zostałby przepędzony przez swoich. Jak ci ludzie poznają, czyje są pieniądze, jeśli ukradnie je jakiś złodziej?

Kahlan wyteżęła umysł, chcąc wytłumaczyć Chandalenowi owe sprawy. Przynajmniej odciągało ją to od rozmyślań o leżących wokół zmarłych. Ruszyła dalej po śniegu. Chciała przestąpić zwłoki, nie miała jednak jak, tak ciasno leżały jedne przy drugich. Musiała stanąć na plecach zabitego.

- To bardzo trudne. I dlatego ludzie strzegą swoich pieniędzy. Jeżeli przyłapią kogoś na kradzieży, to bardzo surowo karzą, żeby zniechęcić innych do podobnych czynów.

- Jak karzą złodziei?

- Jeżeli nie ukradną zbyt dużo i mają szczęście, zamyka się ich w małej izdebce, dopóki ich rodzina nie zwróci tego, co ukradli.

- Zamyka? Jak to?

- Zamek to coś, co rygluje drzwi. Kamienne izby, w których umieszcza się złodziei, mają drzwi nie dające się otworzyć od środka. Tkwi w nich zamek i trzeba mieć klucz, odpowiedni klucz, by je otworzyć, więc złodzieje nie mogą się wydostać.

Chandalen przyjrzał się bocznej uliczce ze sklepem złotnika. Nadal szli główną ulicą.

- Wolałbym, by mnie zabili, niż gdyby mieli zaniknąć w takiej izbie.

- I tak się dzieje, jeśli złodziej ma pecha lub okradnie niewłaściwą osobę.

Chandalen chrząknął. Kahlan nie była pewna, czy dobrze robi, tłumacząc mu to wszystko. Najwyraźniej uważał, że to nie ma sensu.

- Nasze zwyczaje są lepsze. Robimy to, co nam potrzebne. Każdy wytwarza, czego mu trzeba. Ta cała specjalizacja nie jest dla nas. Wymieniamy się tylko dla niektórych produktów. Nasze zwyczaje są lepsze.

- Robicie to samo, co ci ludzie, Chandalenie. Możecie sobie tego nie uświadamiać, ale tak jest.

- Nie. Każdy dużo wie. Uczymy nasze dzieci, żeby wiedziały, jak zrobić to, czego im trzeba.

- Specjalizujecie się. Ty jesteś łowcą, co więcej, obrońcą swego ludu. - Ponownie skinęła ku leżącym wokół zabitym. Niektórzy patrzyli niewidzącymi oczami. - Ci ludzie byli żołnierzami. Ich specjalność stanowiła obrona swojego ludu. Oddali za to życie. Jesteś tym, co oni; żołnierzem. Jesteś silny, dobrze władasz włócznią i łukiem, znakomicie odkrywasz i krzyżujesz plany mogące szkodzić twojemu ludowi.

Chandalen dumiał nad tym przez chwilę; zatrzymał się, żeby strząsnąć ciężki śnieg oblepiający wiązania swojej rakiety śnieżnej.

- Ale to tylko ja. Bo jestem silny i bystry. Inni z mego ludu się nie specjalizują.

- Każdy się w czymś wyspecjalizował, Chandalenie. Nissel jest uzdrowicielką, wyspecjalizowała się w pomaganiu chorym lub rannym. Większość czasu poświęca wspomaganie innych. Jak się żywi?

- Dostaje, czego jej trzeba, od tych, którym pomaga. A jeżeli akurat nie ma chorych czy rannych, to ci, którzy mają więcej, dzielą się z nią, żeby

Nissel była dobrze nakarmiona i gotowa nam pomagać.

- Widzisz? Ci, którym pomaga, płacą jej chlebem tava, a to prawie to samo, jakby płacili monetami. Ponieważ zajmuje się wyłącznie leczeniem, każdy pomaga nieco, by była gotowa zająć się mieszkańcami wioski, kiedy zajdzie potrzeba. Tutaj nazywają to podatkiem: każdy płaci trochę dla dobra całej grupy, aby wspomóc tych, którzy pracują dla wszystkich.

- To tak zdobywasz żywność? Wszystkie ludy dają trochę jak my, gdy przychodzisz i sprawiasz nam kłopoty?

Kahlan poczuła ulgę - po raz pierwszy w jego słowach nie było wrogości.

- Tak.

Chandalen wpatrywał się w puste okna na drugich piętrach; szli teraz wśród większych i bardziej ozdobnych budynków. Dwuskrzydłowe, okute żelazem drzwi zajazdu po lewej wyłamano z zawiasów. Stoły, krzesła, garnki i talerze, haftowane w czerwone róże płótna - bo był to zajazd Pod Czerwoną Różą - wyrzucono na ulicę, gdzie leżały, częściowo pokryte śniegiem. Przez dziurę ziejącą w miejscu drzwi Kahlan dostrzegła w środku rozciągnięte na podłodze ciało odzianego w fartuch kuchcika. We wpatrzonych w sufit oczach zastygło przerażenie tym, co zobaczył przed śmiercią. Chyba nie miał nawet dwunastu lat.

- Ale to tylko łowcy i Nissel - dodał po namyśle Chandalen. - Inni nie robią tej jakiejś specjalizacji.

- Każdy się jej w pewnym stopniu poddaje. Kobiety pieką chleb tava, mężczyźni wytwarzają broń. I w przyrodzie jest tak samo. Jedne zwierzęta jedzą trawę, drugie liście, inne owady, a jeszcze inne drugie zwierzęta. Wszystko ma swoje zadanie. Kobiety rodzą dzieci, a mężczyźni... - Kahlan przystanęła, zacisnęła pięści i zapatrzyła na leżące wokół niezliczone ciała. Zatoczyła łuk ręką. - A mężczyźni, jak się zdaje, są po to, żeby zabijać wszystko, co żyje. Rozumiesz, Chandalenie? Specjalnością kobiet jest dawanie życia, mężczyźni odbieranie go.

Dziewczyna przycisnęła pięść do brzucha. Jeszcze chwila, a straci zimną krew. Ogarnęła ją fala mdłości. W głowie jej wirowało. Łowca zerknął na nią kątem oka.

- Człowiek Ptak powiedziałby, żeby nie osądzać wszystkich według tego, co czynią niektórzy. Nie same kobiety dają życie. Mężczyźni mają w tym swój udział.

Kahlan wciągnęła zimne powietrze. Zmusiła się do ruszenia z miejsca i szła, szurając raketami śnieżnymi. Idący obok Chandalen pozwolił jej przyspieszyć. Skręciła w ulicę pełną eleganckich sklepów. Wdrapała się na śnieżną zaspę, a kiedy z niej schodziła, łowca wskazał na coś swoim łukiem, jakby szukał pretekstu, by zmienić temat rozmowy.

- Dlaczego mają tutaj drewnianych ludzi?

Przez parapet zwieszał się bezgłowy manekin. Odziany był w wymyślną błękitną szatę, ozdobioną białymi upiętymi wokół pasa koralikami. Kahlan, uradowana, że choć na chwilę oderwie się od wirujących w głowie myśli, skręciła ku manekinowi w błękitnej szacie.

- To sklep krawca. Ludzie, do których należał, wyspecjalizowali się w szyciu ubrań. Ta drewniana osoba to po prostu postać służąca im do pokazywania swoich dzieł, żeby inni mogli je zobaczyć i dowiedzieć się, jakie piękne rzeczy tu robią. To wyraz dumy z własnej pracy.

Dziewczyna zatrzymała się przed dużym oknem. Wybito wszystkie szyby. Z górnej części futryny sterczały resztki pomalowanych na żółto słupków okiennych. Odcień błękitu wspaniałej szaty przypomniał Kahlan ojej sukni ślubnej. Powstrzymała płacz; czuła, jak krew pulsuje jej w żyłach. Chandalen patrzył to w gore, to w dół ulicy, a ona wolniutko podnosiła rękę, by dotknąć zlodowaciałej błękitnej tkaniny. Nagle dostrzegła coś za manekinem, tam gdzie na zaśnieżoną podłogę padał snop słonecznego, docierającego przez rozbite okno blasku. Ręka Kahlan opadła. Łysy mężczyzna przyszpilony do ściany wbił w pierś włócznią. Kobieta leżąca twarzą w dół na ladzie; zadarta spódnica i halka odsłaniały zsiniałe ciało. Z pleców kobiety sterczała para krawieckich nożyc. W mrocznym wnętrzu sklepu stał drugi manekin, we wspaniałej męskiej pelerynie. Przód ciemnego nakrycia poszarpano setkami nacięć. Najwyraźniej kukła służyła żołnierzom jako cel do rzucania nożami, gdy czekali na swoją kolejkę do kobiety. Kiedy już się nią zabawili, zabili ją własnymi nożycami.

Kahlan odwróciła się od sklepu i znalazła na wprost Chandalena. Był czerwony. Oczy miał groźne.

- Nie wszyscy mężczyźni są tacy. Poderżnąłbym gardło każdemu z moich ludzi, gdyby zrobił coś takiego.

Dziewczyna nie odpowiedziała; nagle straciła w ogóle ochotę do rozmowy. Ruszyła przed siebie, rozluźniając okrycie wokół szyi - chciała

poczuć dotyk zimnego powietrza.

W milczeniu zakłócanym jedynie żalobnym pojękiwaniem wiatru wśród budynków mijali stajnie pełne koni z poderżniętymi gardłami, zajazdy i wspaniałe domy, których wysoko umieszczone gzymsy osłaniały ich przed jaskrawym, z ukosa świecącym słońcem. Smukłe, drewniane kolumny okalające jedne z drzwi zostały porąbane mieczem - ot tak, bez powodu, tylko po to, żeby zniszczyć wykwint budowli.

W cieniu było chłodniej, lecz Kahlan nie zwracała na to uwagi. Przekraczali leżące na brzuchach ciała z ziejącymi w plecach ranami, omijali powywracane wozy i karety, martwe konie i psy. Wszystko świadczyło o bezcelowym szale niszczenia.

Kahlan brnęła w śniegu z wbitymi w ziemię oczami. Zimne powietrze dało się jej we znaki, więc znów zacisnęła pod szyję pelerynę. Chłód odbierał dziewczynie nie tylko ciepło, ale i siły. Z ponurą determinacją przestawiała stopy, podążając ku celowi i jednocześnie mając nadzieję, iż nigdy tam nie dotrze.

Otoczona zewsząd zamarzniętymi zwłokami mieszkańców Ebinissii, Kahlan starała się cichą modlitwą złagodzić dojmującą samotność.

O dobre duchy, sprawcie, żeby Richard nie marzył.

ROZDZIAŁ 28

Jak okiem sięgnąć rozciągała się przed nimi martwa, płaska, wydana na łup słonecznego żaru ziemia. W oddali pojawiały się jakieś skrzące się kształty, chwiejąc się i tańcząc w przeraźliwym słonecznym żarze niczym widmowi zakładnicy oddani wszechmocnemu nieprzyjacielowi. Za nimi zaś popękane wzgórza kończyły się wałem skalnego gruzu. Cisza była równie przejmująca jak upał.

Richard otarł rękawem pot z czoła. Skórzane siodło zaskrzypiało, kiedy się poruszył. Czekał. Bonnie i dwa pozostałe konie też czekały, nastawiwszy uszy. Od czasu do czasu grzebały kopytami w suchej, popękanej ziemi i parskały z niechęcią.

Siostra Verna siedziała nieruchomo na Jessupie, wpatrzona w odległą pustkę, jakby dostrzegła tam coś ogromnie ważnego. Gdyby nie to, że jej kręcone włosy zwisały w strąkach, można by sądzić, iż żar nie ma do niej dostępu.

- Nie rozumiem tego. Jest zima. Nigdy nie słyszałem, żeby w zimie było tak gorąco jak tu.

- Nie wszędzie jest taka sama pogoda - mruknęła.

- Nieprawda. W zimie jest zimno. Tak gorąco jest jedynie w lecie. - A widziałeś w lecie śnieg na szczytach gór?

Richard przesunął dłoń wspartą o kulę siodła. - Tak. Ale leży tylko na szczytach gór. Tam jest chłodniejsze powietrze. Nie jesteśmy na szczycie góry. Verna nadal trwała bez ruchu.

- Nie tylko górskie szczyty mają odmienną pogodę. Na południu nie jest tak zimno jak na północy. Lecz to miejsce jest zupełnie inne. Przypomina niewyczerpaną studnię żaru.

- Co to za miejsce?

- To Dolina Zaginionych.

- Jakich zaginionych?

- Tych, którzy ją stworzyli, i wszystkich, którzy tu wejść. - Dopiero teraz obróciła się nieco i zerknęła na Richarda. - To kres świata. Przynajmniej twojego świata.

Znów się poprawił w siodle, Bonnie również przerzuciła ciężar ciała na

drugą parę nóg.

- To po co tu jesteśmy, skoro to kres świata? Siostra Verna wskazała dłonią ziemię poza nimi.

- Tam jest twój rodzinny Westland, oddzielony od Midlandów, a Midlandy od D'Hary. Ta dolina odgradza nas od tego, co leży poza nią.

- A co leży poza doliną? - spytał Richard, nachmurzywszy oblicze. Verna spojrzała na rozciągającą się przed nimi wypaloną płaszczyznę.

- Mieszkałeś w Nowym Świecie. Za tą doliną znajduje się Stary Świat.

- Stary Świat? Nigdy nie słyszałem o Starym Świecie.

- Niewielu w Nowym Świecie o nim słyszało. Jest oddzielony i zapomniany. Ta dolina, Dolina Zaginionych, oddziela oba światy, jak granica dzieliła niegdyś trzy krainy Nowego Świata. Ostatnio jechaliśmy przez niegościnnie, jałowe ziemie. Ci, którzy je przebędą i wejdą w tę dolinę, nigdy nie wracają. Ludzie sądzą, że dalej nic nie ma, że to południowy kraniec Midlandów i D'Hary, bezkresna pustka, gdzie można skonać z głodu i z pragnienia i gdzie słońce pali kości tych, którzy umarli.

Richard podprowadził Bonnie ku Siostrze.

- Więc co jest dalej? Dlaczego nikomu nie udaje się tędy przejść? Jak nam ma się to powieść, skoro inni nie dali rady?

Verna spojrzała nań kątem oka.

- Proste pytanie, ale odpowiedź już nie taka prosta. - Usiadła trochę swobodniej. - Kraina pomiędzy Starym a Nowym Światem zwęża się nieco, a po obu jej stronach znajduje się morze.

- Morze?

- Nigdy nie widziałeś oceanu? Richard przecząco potrząsnął głową.

- W Westlandzie leży on na dalekim południu i nikt tam nie mieszka. A przynajmniej tak mi powiedziano. Słyszałem, jak inni opowiadali o oceanie, lecz sam nigdy go nie widziałem. Mówili, że jest dużo większy od każdego jeziora, jakie można sobie wyobrazić.

Siostra Verna uśmiechnęła się leciutko do chłopaka.

- Mówili prawdę. - Odwróciła się i wskazała na prawo. - Tam, kawałek drogi stąd, jest morze, - Wskazała w lewo, ku południowemu wschodowi. - I tam jest morze, jeszcze odleglejsze. Rozdziela je rozległa równina, jednak to i tak najwęższe miejsce pomiędzy Starym a Nowym Światem. Dlatego tu właśnie toczyła się wojna. Wojna pomiędzy czarodziejami.

Richard wyprostował się w siodle.

- Pomiedzy czarodziejami? Jaka wojna?

- Tak, czarodziejami. Działo się to przed wiekami, kiedy było bardzo wielu czarodziejów. Masz przed oczami skutki owej batalii. Trwa to tutaj, żeby przypominać, do czego są zdolni czarodzieje mający więcej mocy niż mądrości.

Chłopakowi nie spodobało się oskarżycielskie spojrzenie, jakim go obrzuciła.

- Kto wygrał?

Verna wsparła wreszcie dłonie na wzniesionym łuku siodła i rozluźniła trochę mięśnie ramion.

- Nikt. Obie strony rozdzielił ów szmat ziemi pomiędzy morzami. Walki ustały, lecz nikt nie wygrał.

Richard sięgnął po bukłak.

- Napijesz się?

Z uśmiechem wzięła od niego bukłak i pociągnęła długi łyk.

- Owa dolina stanowi przykład tego, co się może wydarzyć, jeżeli twoją magiczną mocą włada serce, a nie rozum. - Uśmiech zniknął z ust Verny. - Ich postęпки rozdzieliły po wsze czasy ludy obu światów. I między innymi dlatego Siostry Światła uczą tych, którzy mają dar: żeby ich czynami nie kierowała głupota.

- O co walczyli?

- A o cóż zawsze walczą czarodzieje? Bili się o to, którzy będą rządzić.

- Opowiadano mi o wojnie toczącej się o to, czy czarodzieje w ogóle powinni rządzić, czy też nie.

Verna oddała chłopakowi bukłak i otarła palcem wargi.

- To była inna wojna, chociaż stanowiła część tamtej. Kiedy ta równina rozdzieliła obie walczące strony, to w Nowym Świecie zostali czarodzieje z jednego i drugiego obozu. Każda z tych grup chciała narzucić swoją władzę tym, którzy przenieśli się do Nowego Świata, i tym, którzy zawsze tu mieszkali. Jedna ze stron ukrywała się przez wieki, budując swoją potęgę, zanim spróbowała sięgnąć po władzę nad całym Nowym Światem. Znów rozgorzała dawna wojna. W końcu pokonano ich i tylko kilku udało się umknąć do ich fortecy w D'Harze. - Uniosła porozumiewawczo brew. - Twój krewniacy, jak mi się zdaje.

Richard patrzył na nią wściekle przez chwilę, a w końcu pociągnął łyk rozgrzanej wody. Spryskał nią kawałek płótna - Kahlan go tego nauczyła - i obwiązał nim głowę: chłodził i przytrzymywał coraz dłuższe włosy.

- Więc co się tu wydarzyło?

Verna jeszcze raz zatoczyła ręką łuk od południowego wschodu do południowego zachodu.

- Tam, gdzie ląd jest najwęższy, walczyły nie tylko wojska, ale i czarodzieje. Starali się, by druga strona nie posuwała się naprzód. Czarodzieje rzucali uroki. Wykorzystywali każdy rodzaj magii, próbując usidlić przeciwników. Obie strony rozpętały niewypowiedziane okropieństwa. To właśnie znajduje się przed nami. Richard wpatrywał się w jej szkliste oczy.

- Chcesz powiedzieć, że wciąż jest tutaj ich magia, ich uroki?

- Równie silne jak wówczas.

- Jak to możliwe? Przecież powinny osłabnąć. Zaniknąć.

- Być może - westchnęła Verna. - Lecz owi czarodzieje zrobili coś jeszcze. Żeby utrzymać moc czarów, wzniesli budowle podtrzymujące magiczną siłę.

- Jakież budowle mogą to uczynić!?

Siostra Verna wciąż wpatrywała się w pustkę, a może w coś, czego Richard nie potrafił dostrzec.

- Baszty Zatracenia - wyszeptała.

Chłopak głaskał szyję Bonnie i czekał. W końcu Siostra Verna oderwała się od swoich myśli, westchnęła głęboko i podjęła:

- Obie strony wznosiły takie baszty od morza do morza; baszty przesycone ich mocą i magiczną sztuką. Zaczęli przy morzu i jednocześnie znaleźli się w tej dolinie. Lecz moc owych budowli sprawiała, iż każda ze stron nie mogła wykończyć ostatniej baszty w swojej linii. Utknęli w martwym punkcie, bo nikt nie był w stanie zbudować swojej ostatniej baszty. Dzięki temu powstało miejscowe osłabienie magii, słabszy punkt. Luka.

Richard poruszył się niespokojnie w siodle.

- Dlaczego więc ludzie nie mogą tędy przejść, skoro jest ta luka? - To jedynie niewielkie osłabienie mocy całej linii. Za to w obie strony od tego miejsca: poprzez wzgórza i góry, na skraj lądu i głęboko w morze, gdzie się wreszcie podobno kończy, linia Zatracenia jest nieprzenikniona. Wejście w tę strefę oznacza wydanie się na łup magii, huraganu uroków. Każdy, kto się

na to waży, ginie lub, co gorsza, wiecznie błąka się we mgle. Tu, w dolinie, żadna ze stron nie zdołała zamknąć swojej linii. Jednakże uroki błąkają się i snują w szczelinie jak niesione wiatrem burzowe chmury, schodząc się czasem i zderzając. Magia jest tu słabsza, więc tworzy się labirynt, przez który mogą przejść mający dar. Przejście stale się zmienia, a uroki nie zawsze można dostrzec. Trzeba je wyczuć za pomocą daru. Nie jest to łatwe.

- To dlaczego Siostry Światła mogą tędy przechodzić? Bo mają dar?

- Tak, ale co najwyżej dwa razy. Magia doskonali się. Wie, jak cię odnaleźć. Dawno temu wysyłano ponownie Siostry, które przedostały się do Nowego Świata i powróciły zeń, lecz żadna nie wróciła po raz drugi. - Odwróciła wzrok od oczu Richarda, wpatrzyła się w odległą pustkę. - Są tam, a my nigdy ich nie odnajdziemy, nie wybawimy. Upomniała się o nie magia Baszt Zatracenia.

Chłopak odczekał, dopóki znów nie spojrzała mu w oczy.

- A może, Siostrze, one się zraziły i wołały nie wracać? Skąd wiesz, czy tak nie było?

Przybrała surowszą minę.

- Wiemy to. Widziały je niektóre z tych, które potem tędy przechodziły. - Skłoniła głowę ku migotliwej dali. - I ja dostrzegłam kilka z nich.

- Przepraszam, Siostrze Verno. - Richard pomyślał o Zeddzie: Kahlan powinna go znaleźć i powiedzieć mu, co się stało. Odepchnął od siebie bolesne wspomnienia o dziewczynie. - Więc czarodziej mógłby tędy przejść.

- Lecz nie taki, którego moc osiągnęła pełnię. Kiedy już nauczymy ich kontrolować moc, muszą powrócić, zanim osiągnie ona pełnię. Linie baszt wybudowano po to, żeby nie przedostał się żaden czarodziej. Czarodziej dysponujący całą swoją mocą przyciągnie wszystkie uroki tak jak magnes metalowe opiłki. To ich szuka magia, to dla nich wybudowano baszty. Zagubią się jak każdy, kto nie potrafi darem wyczuć luk pomiędzy urokami. Właśnie dlatego budowniczy owej linii nie mogli jej dokończyć; uroki strony przeciwnej nie pozwalały im tam wejść. Prace utknęły w martwym punkcie.

Rozwiały się nadzieje Richarda. Jeżeli Kahlan spełni jego prośbę i odzyska starego przyjaciela, to Zedd i tak nie zdoła mu pomóc. Przełknął poczucie zawodu, dotknął zawieszzonego na skórzanym rzemyku zęba smoczycy.

- A ponad tym? Czy można ponad tym przelecieć? Siostra Verna

potrząsnęła przecząco głową.

- Uroki sięgają w powietrze, podobnie jak i w morze. Nic, co lata, nie wzniesie się dostatecznie wysoko.

- A morzem? Czy da się wypłynąć tak daleko, żeby ominąć linię? Siostra Verna wzruszyła ramionami.

- Słyszałam, iż udało się tego dokonać jedynie kilka razy w ciągu tych wszystkich wieków. Sama zaś widziałam statki wypływające, by podjąć taką próbę, lecz nigdy nie ujrzałam, by któryś z nich powrócił.

Richard obejrzał się za siebie, jednak niczego nie dostrzegł.

- Czy... ktoś mógłby tędy przejść wraz z tobą?

- Jedna lub dwie osoby, jeśli trzymałyby się dostatecznie blisko, tak jak ty powinienes. Licniejsza grupa na pewno by się zgubiła. Przerwy pomiędzy urokami są zbyt małe, żeby przedostało się tamtędy więcej osób.

Chłopak przez chwilę się namyślał, a potem zapytał:

- Dlaczego nikt nie zniszczył baszt, by uroki mogły się rozwiać?

- Próbowałyśmy. Tego nie da się zrobić.

- Nie można twierdzić, iż to niemożliwe, Siostro, tylko dlatego, że nie znalazłyście na to żadnego sposobu.

Verna spojrzała nań ostro.

- Baszty i uroki uczyniono tak za pomocą magii addytywnej, jak i subtraktywnej.

Magia subtraktywna! Jak ci starożytni czarodzieje nauczyli się nią posługiwać? Czarodzieje nie panują nad magią subtraktywną. Hmm, lecz Rahlowi Posępnemu się to udawało. Richard złagodził ton głosu.

- W jaki sposób baszty zapobiegają rozpraszaniu się uroków? Siostra Verna przesuwiała wodze w palcach.

- W każdej tkwi siła życia czarodzieja.

Pomimo panującego żaru Richardowi zrobiło się zimno.

- Chcesz powiedzieć, że czarodziej przelał do baszty siłę swojego życia?

- Jeszcze gorzej. W każdej baszcie tkwi siła życia wielu czarodziejów.

Richard osłupiał. Poraziła go myśl o czarodziejach oddających życie, by wypełnić budowle swoją mocą.

- Jak daleko od siebie stoją te baszty?

- Mówi się, że niektóre dzielą całe mile, inne tylko jardy. To zależy od struktury linii sił w ziemi, na której stoją. Nie rozumiemy, dlaczego tak je

ustawiono. Wejście w taką linię i próby odszukania baszt to pewna śmierć, więc nawet nie wiemy, ile ich zbudowano. Wiemy jedynie o tych nielicznych, z tej doliny.

Richard kręcił się w siodle.

- Czy zobaczymy jakieś baszty, kiedy będziemy szli przez dolinę?

- Nie wiem. Luki nieustannie się przesuwają. Niekiedy podprowadzają tuż w okolice baszty. Podczas mojej pierwszej podróży widziałam jedną z nich. Inne Siostry nie widziały ani jednej. Mam nadzieję, że już nigdy tego nie ujrzę.

Chłopak zdał sobie sprawę, że z całej siły zaciska lewą dłoń na gardzie miecza. Wypukłe litery słowa PRAWDA wbijały mu się w ciało. Rozluźnił mięśnie, puścił gardę.

- No to co zobaczymy?

Siostra Verna przestała się wpatrywać w odległą pustkę i przeniosła wzrok na Richarda.

- Są tam najrozmaitsze uroki. Uroki rozpaczy. Jeżeli dostaniesz się w taki urok, to po wsze czasy będziesz się błąkał w rozpaczy. Są też uroki radości i rozkoszy; wtedy na wieki zatracisz się w zachwycie. Inne to czysta destrukcja: rozedrą cię na strzępy. Niektóre ukazą ci to, czego się najbardziej lękasz, żebyś, uciekając, wpadł w szpony tego, co czai się za nimi. Jeszcze inne kuszą tym, czego pragniesz. Jeżeli poddasz się pragnieniu... - Nachyliła się ku chłopakowi. - Musisz się trzymać blisko mnie, nie wolno ci się zatrzymywać. Musisz odrzucić lęki i pragnienia i iść za mną. Rozumiesz?

Richard zdecydowanie potaknął. Siostra Verna znów spoglądała na połyskujące kształty. Siedziała nieruchomo i patrzyła. Daleko przed nimi, za falami drżącego powietrza, chłopak dojrzał coś, co przypominało chmury burzowe - ciemne i złowieszcze, przesuwające się na widnokręgu. Zrozumiał, iż to nie chmury, lecz magia. Bonnie potrząsnęła łbem i Richard uspokajająco poklepał szyję kłaczy. Siedział tak przez chwilę, obserwując owe chmury. W końcu obejrzał się na Verne. Spoczywała w siodle nieruchoma i spięta.

- Na co czekasz, Siostro? Na odwagę?

- Właśnie - odparła, tkwiąc dalej bez ruchu. - Zbieram się na odwagę, dziecko.

Tym razem nie rozgniewał się za to, że nazwała go dzieckiem. Uznał, iż

to raczej dobrze określa rozwój jego zdolności. Wpatrzona w spaloną piekielnym żarem ziemię, spoczywająca nieruchomo Verna powiedziała szeptem:

- Byłeś jeszcze w powijakach, kiedy tędy przeszłam, ale pamiętam każdy szczegół, jakby to było wczoraj. Tak, czekam na odwagę.

Richard ścisnął Bonnie nogami, skłoniwszy ją, by ruszyła.

- Im szybciej zaczniemy, tym szybciej przetniemy dolinę.

- Lub się zgubimy. - Verna ruszyła za nim stępa. - Tak ci się spieszy do zguby, Richardzie?

- Już jestem zgubiony, Siostró.

ROZDZIAŁ 29

Znaleźli się przed szerokimi na dwadzieścia długich kroków schodami. Wiatr zwał śnieg po prawej, w pobliżu zakreślającej łuk balustrady z różowego marmuru. Dzięki temu poznali, przed czym stoją. Kahlan uświadomiła sobie, że dotarła do celu. Przystanęła na moment, po czym zdecydowanie ruszyła w górę zasy py śnieżnej pokrywającej stopnie i sięgającej aż do ozdobionego rzędami kamiennych posągów portyku. Jego mistrzowsko wyrzeźbione okrycia wyglądały jakby poruszał nimi delikatny wiaterek. Dziesięć białych kolumn z jednej i dziesięć z drugiej strony podtrzymywało masywne belkowanie na zawrotnej wysokości ponad łukowatym wejściem. Na pokrytych śniegiem trawnikach spoczywały, jedne na drugich, ciała zabitych w desperackiej walce obrońców; niektórzy zmarli siedzieli pod ścianami zewnętrznego westybulu, zupełnie jakby odpoczywali.

Na podłodze westybulu leżały potrzaskane ozdobne wierzeje, na których kunsztownie wyrzeźbiono królewskie tarcze herbowe rodu Amnellów, podtrzymywane przez pary górskich lwów. Naprzeciw wejścia, po obu stronach kamiennego łuku, stały naturalnej wielkości posągi królowej Bernadine i króla Wyborna. Każde z nich dzierżyło w dłoni tarczę i włócznię, w drugiej ręce królowa trzymała snopek pszenicy, a król - jagnię. Posągowi Bernadine odłupano piersi - kamienny pył i odłamki zaścielały rdzawo podbarwioną marmurową posadzkę. Obie figury nie miały głów.

Kahlan odpięła sztywnymi palcami rakiety śnieżne i oparła je o posąg królowej. Chandalen zrobił to samo i ruszył za dziewczyną do sali przyjęć o ścianach pokrytych porozbijanymi zwierciadłami i poszarpanymi gobelinami. Kahlan otuliła się szczelnie peleryną, bo obłoczki ich oddechów unosiły się leniwie w nieruchomym, o wiele chłodniejszym niż na zewnątrz powietrzu.

- Do czego służyło to miejsce? - spytał cicho Chandalen, jakby się bał, że obudzi duchy zmarłych.

Dziewczyna zmusiła się, by odpowiedzieć normalnym głosem, a nie szeptać.

- To dom królowej tej krainy. Królowej Cyrilli.

- I w takim wielkim domu mieszkała jedna osoba? - Pełen powątpiewania głos łowcy odbił się echem w kamiennym westybulu.

- Mieszka tu wiele osób. Doradcy, to jakby starsi twojego ludu, i inni odpowiedzialni za zarządzanie sprawami krainy oraz ludzie, którzy im usługują, żeby mogli dobrze wypełniać swoje obowiązki. Wielu nazywa to miejsce swoim domem, lecz królowa jest głową domu, tak jak jest głową całej swojej ziemi. Stoi ponad nimi wszystkimi.

Kahlan zaczęła przeszukiwać pałac, a Chandalen towarzyszył jej w milczeniu. Jego oczy przesuwaly się z jednego wspaniałego przedmiotu na inny; z kunsztownie zdobionych, teraz zaś porozbijanych mebli na ciężkie, czerwone, błękitne i złote draperie zdobiące wysokie na dziesięć stóp prostokątne okna, w których nie było już szyb.

Dziewczyna zeszła po schodach prowadzących do położonych niżej pomieszczeń; zlodowaciałe dębowe stopnie trzeszczały przy każdym kroku. Chandalen uparł się wchodzić przed nią do każdej komnaty. Stopą otwierał drzwi i wsuwał do pomieszczenia dziesięciokrokową strzałę, a dopiero potem wpuszczał tam Kahlan.

Znaleźli tylko zwłoki. W kilku pokojach ujrzeli pewną liczbę służących, ustawionych pod ścianami i przyszpilonych do nich strzałami. W kuchniach zaś - po wymordowaniu kucharzy i kuchcików, podczaszych, pomocników, pomywaczy, bufetowych oraz chłopców obracających różny i podkuchennych - napastnicy zasiedli do suto zakrapianej uczty. Beczutki na wino i piwo były puste. Wyglądało na to, że ucztujący raczej ciskali pożywieniem o ściany, niż jedli.

Chandalen sprawdzał splądrowaną spiżarnię. Kahlan dostrzegła ciała dwóch młodych kobiet, pomocnic kuchennych - leżały na podłodze, za długim kłosem do siekania. Jedna z nich była zupełnie naga, druga miała na sobie jedną brązową, wełnianą pończochę zsuniętą aż do smukłej kostki. Pierwsze wrażenie było mylne. Nie wszystkie pomocnice zabito przed pijacką fetą.

Twarz Kahlan pozostała równie nieruchoma, jak oblicza obu zabitych kobiet. Dziewczyna odwróciła się, wyszła z kuchni i zaczęła wchodzić schodami dla służby, by obejrzeć górne piętra. Chandalen pognął za nią, przesadzając po kilka stopni naraz. Wiedziała, iż wcale nie podobało mu się, że wyszła z kuchni bez niego, lecz nic nie powiedział.

- Tam jest solone mięso. Może byśmy trochę wzięli? Ci ludzie na pewno nie mieliby nam tego za złe. Nie odmówiliby nam odrobiny pożywienia.

Kahlan oparła dłoń na poręczy, pokonując schody równym tempem, szybko jednak schowała rękę pod pelerynę, bowiem ziąb bijący od klonowego drewna aż szczypał w palce.

- Umrzesz, jeżeli zjesz to mięso. Zatruli je, tak by zmarł każdy z rodaków pomordowanych, który tu powróci i posili się.

Na pierwszym piętrze nie znaleźli ciał. Służyło jako główna kwatera. Na podłodze sali balowej wałały się puste baryłki po winie i rumie. Wysłaną dywanami posadzkę pokrywały resztki pożywienia, kubki i dzbany, porozbijane półmiski, popiół z fajek, zakrwawione bandaże, zatłuszczone szmaty, połamane lub pogięte miecze, włócznie i maczugi. Dokoła leżały strużyny wyrzeźbionej w orzechowym drewnie nogi od stołu, którą ktoś strugał tak długo, aż został z niej pień, misy wypełnione zamrznętą wodą, brudne obrusy i serwety, podarte na pasy prześcieradła, ubrudzone pikowane kapy z łóżek. Wszędzie - nawet na blatach - widniały ślady brudnych butów. Łukowate, powywijane zadrapania świadczyły, że żołnierze tańczyli na stołach.

Chandalen przeszedł pobojuwisko, oglądając resztki.

- Byli tu dwa, może trzy dni temu.

Kahlan skinęła potakująco głową, rozglądając się wokół.

- Na to wygląda.

Łowca przetoczył stopą baryłkę na wino, sprawdził, czy jest pusta. Była.

- Zastanawiam się, po co tak długo zostali? Żeby pić i tańczyć? Dziewczyna westchnęła.

- Nie wiem. Może odpoczywali i opatrywali swoich rannych. A może urządzili pijatykę, by uczcić zwycięstwo nad tymi ludźmi.

Chandalen spojrzał na nią ostro.

- Zabijania się nie świętuje.

- Oni świętują.

Kahlan, choć niechętnie, weszła w końcu na najwyższe piętro. Nie miała ochoty tam zaglądać. Tu się mieściły sypialnie.

Najpierw obejrzelni zachodnie skrzydło: męskie pokoje. Musieli tu sypiać napastnicy. Tak liczne siły z pewnością miały wielu oficerów. To pewno oni mieszkali w tych wspaniałych komnatach. Ich podkomendni korzystali z

zajazdów i pośledniejszych domów.

Kahlan głęboko wciągnęła powietrze, zacisnęła zęby i przecięła główny hol, oddzielony balustradą od paradnych schodów. Przyszła kolej na wschodnie skrzydło. Idący tuż za nią Chandalen chciał otwierać wrota i jako pierwszy sprawdzać komnaty, lecz nie pozwoliła mu na to. Potrzymała chwilę dłoń na klamce i otworzyła pierwsze drzwi. Stała jakiś czas, patrząc na to, co za nimi było. Potem pchnęła następne, a później kolejne.

W każdym pomieszczeniu ktoś był. W każdej sypialni leżała kobieta, naga kobieta. Stan dywanów wskazywał na to, że panował tu ciągły ruch. Stosiki strużyn świadczyły, iż czekający na swoją kolejkę mężczyźni siekali, co tylko wpadło im w ręce.

- Teraz wiemy, dlaczego spędzili tutaj kilka dni - odezwała się Kahlan, nie patrząc Chandalenowi w oczy. Łowca milczał. Zmusiła się, by wyszeptać:
- Żeby to uczynić.

Owe dni były bez wątpienia najdłuższymi w życiu tych kobiet. Kahlan modliła się, aby duchy biedaczek zaznały teraz spokoju.

W końcu dotarła do ostatnich drzwi, drzwi komnaty zamieszkaney przez najmłodsze. Otworzyła je powoli i stanęła, patrząc. Chandalen spoglądał ponad jej ramieniem.

Dziewczyna wstrzymała oddech, odwróciła się i położyła dłoń na piersi łowcy.

- Zaczekaj tu, Chandalenie, proszę.

Kiwnął głową, zawzięcie wpatrzony we własne buty.

Kahlan zamknęła za sobą wrota, oparła się o nie plecami i postać tak chwilę. Następnie osłoniła usta dłonią, wyminęła przewróconą, rozbitą szafę i pomiędzy dwoma rzędami łóżek ruszyła przez lodowatą komnatę. Cenne zwierciadełka, szczotki, grzebienie i spinki, niegdyś tak troskliwie poukładane na stojących między łózkami stolikach, leżały teraz na podłodze. Błękitne kotary z mory chwiały się lekko w lodowatym powietrzu wpadającym przez pozbawione szyb okna.

Damy dworu królowej. Czternasto-, piętnasto-, szesnastoletnie, kilka niewiele starszych. To nie były anonimowe zwłoki: Kahlan znała wiele z tych młodych kobiet.

Królowa zabierała je ze sobą, kiedy udawała się do Aydindril, żeby stanąć przed radą. Kahlan nie mogła ich nie zauważyć - tak były pełne życia i

energii, tak podekscytowane pobyt w Aydindril. Ich młodzieńczy entuzjazm i podziw dla wspaniałości miasta sprawił, że na nowo ujrzała swoje otoczenie. Sama chętnie oprowadziłaby je po metropolii, lecz nie uczyniła tego, bo towarzystwo Matki Spowiedniczki na pewno by je wystraszyło. Podziwiała dziewczęta z daleka i zazdrościła im możliwości wyboru.

Kahlan - sztywno wyprostowana, z dumnie uniesioną głową i zaciśniętymi zębami - przystawała przy niektórych łózkach i spoglądała na znajome twarze. Juliana - jedna z najmłodszych, zawsze pewna siebie i stanowcza. Wiedziała, czego chce, i śmiało po to sięgała. Nieustannie durzyła się w młodych, noszących mundur mężczyznach. Raz nawet stało się to przyczyną nieporozumień z jej opiekunką, panią Neldą. Kahlan wstawiła się za nią potajemnie, informując Neldę, że pomimo umizgów Juliany członkowie Gwardii Obywatelskiej Aydindril to ludzie o nieposzlakowanym honorze, którzy przenigdy nie tkną dworki królowej. Teraz miała przywiązane do wezglowia i otarte do krwi nadgarstki. Pewnie uwiązano ją zaraz na początku kaźni. Kahlan w myślach przeklęła duchy za ich okrutne poczucie humoru - dały dziewczynce to, czego, jak się jej zdawało, pragnęła.

Na kolejnym przesiąkniętym krwią łóżku leżała mała Elswyth. Niezliczoną liczbę razy pokłuto jej piersi, a potem, podobnie jak wielu innym, poderżnięto gardło niczym prosiakowi w rzeźni.

W końcu komnaty Kahlan przystanęła u stóp ostatniego łóżka. Spoczywała na nim Ashley, jedna ze starszych dziewcząt. Kostki miała przywiązane do słupków łóżka. Uduszono ją przewiązką kotary. Jej ojciec był jednym z galejskich doradców ambasadora w Aydindril. Matka dziewczyny wzruszyła się do łez, kiedy królowa Cyrilla zgodziła się przyjąć Ashley i mianować swoją dworką. Jakże powie rodzicom, co się przytrafiło ich córce na królewskim dworze?

Kahlan wróciła ku drzwiom, po raz ostatni spoglądając na każde ciało, na każdą twarz stężałą w przerażeniu lub obojętnej rezygnacji. Zastanawiała się, dlaczego nie płacze. Czyż nie powinna szlochać? Czyż nie powinna paść na kolana i krzyczeć z rozpacz, bić się pięściami i płakać, dopóki starczy jej łez? Lecz nie czyniła tego. Jakby zabrakło jej łez.

A może miała ich zbyt wiele. Może było zbyt wiele zwłok. Być może widziała tego dnia tak dużo, iż ją to otępiło, znieczuliło. Jak wówczas, kiedy

wejdzie się do wanny z gorącą wodą - najpierw myślisz, że jest za gorąca, że na pewno się poparzysz, a po chwili woda wydaje ci się tylko ciepła.

Dziewczyna cicho zamknęła drzwi. Chandalen stał dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawiła. Tak mocno zaciskał łuk w dłoni, że aż zbieleły mu knykcie. Kahlan minęła go. Sądziła, iż ruszy za nią, tak się jednak nie stało.

- Większość kobiet płakałaby - odezwał się, wpatrzony w drzwi. Poczula, że się rumieni.

- Nie jestem większością kobiet.

- Nie, nie jesteś. - Nie oderwał oczu od wrót. W końcu uczynił to jednak i spojrzał na łuk. Rozluźnił ramiona i głęboko zaczerpnął powietrza, zupełnie jakby przez chwilę w ogóle nie oddychał. - Chcę ci opowiedzieć pewną historię.

Kahlan czekała, stojąc kilka kroków przed nim. - Nie chcę teraz słuchać żadnej historii, Chandalenie. Może później.

Zwrócił ku niej zawzięte piwne oczy.

- Chcę ci opowiedzieć pewną historię - powtórzył, tym razem głośniej.

Dziewczyna westchnęła.

- Opowiadaj więc, skoro to dla ciebie takie ważne.

Podszedł ku niej, wciąż patrząc jej w oczy. Był może o cal niższy, lecz teraz jakby urósł.

- Kiedy mój dziadek był taki młody i silny - tu klepnął się w dumnie wypiętą pierś - jak ja teraz, miał już żonę i dwóch synów. Do naszej wioski przybywało wielu ludzi, żeby się wymieniać. Nikogo nie wypędzaliśmy. Wszyscy byli mile witani. Wśród tych, którzy przychodzili się wymieniać, byli i Jocopo.

- Kim są Jocopo? - Kahlan znała wszystkie ludy Midlandów, lecz o takim nigdy nie słyszała.

- Mieszkali na zachodzie, w pobliżu miejsca, gdzie była granica. Zmarszczyła brwi, przeglądając w myślach mapę. - Nikt nie mieszka na zachód od Błotnych Ludzi. To bezludne ziemie.

Chandalen obserwował ją spod oka.

- Jocopo byli wysocy. - Uniósł rękę o głowę ponad siebie, demonstrując ich wzrost, po czym opuścił ją. - Zawsze jednak byli pokojowo nastawieni. Jak Bantakowie. Jak my. A potem zaczęli z nami wojnę. Nie wiedzieliśmy

dlaczego. Lecz nasi bardzo się bali. Drżeli nocami, iż następnego dnia pojawią się Joco. Że znów przyjdą do naszej wioski, podetną gardło mężczyznom i zabiorą kobiety, by im zrobić to, co tam. - Wskazał na drzwi.

- Gwałt - powiedziała pozornie obojętnym tonem. - To się nazywa gwałt. Łowca skinął głową.

- Joco robili to naszym kobietom. Ukradli wiele kobiet i zrobili im ten gwałt. - Raz jeszcze spojrzął na drzwi. - W taki sposób jak tamtym. Rozumiesz?

- Były gwałcone przez wielu mężczyzn, torturowano je i zamordowano. Kiwnął głową, zadowolony, iż nie musi szczegółowo wyjaśniać.

- Błotni Ludzie nie mieli wtedy wojowników, jakich teraz mają, jakim i ja jestem. - Znów wypiął pierś i dumnie zadarł brodę; po chwili jednak uszła zeń para. - Nigdy nie musieliśmy z nikim walczyć. Żaden z naszych nie chciał bić się z innymi. Uważali, że to źle. Jednak Joco sprawili, iż nabraliśmy na to ochoty. Ukradli moją babkę. Żonę mojego dziadka. Matkę mojego ojca. Dziadek złożył przysięgę, że wyśle Joco do świata duchów. Zgromadził mężczyzn, którym zabrano żony, siostry lub matki i... - Chandalen otarł czoło, jakby było spocone, ale w tym zimnie się nie spocił.

Kahlan położyła mu dłoń na ramieniu. Tym razem się nie wzdrygnął.

- Rozumiem, Chandalenie.

- Mój dziadek poprosił o radę i odwiedziły go duchy naszych przodków. Płakał przed nimi z tęsknoty za swoją żoną i zapytał, czy nauczą go, jak powstrzymać Joco. Odpowiedziały, że nie wolno mu płakać, dopóki walka się nie zakończy.

Kahlan cofnęła dłoń i w roztargnieniu gładziła futro przy szyi.

- Mój ojciec udzielił mi podobnej lekcji. Powiedział: „Nie płacz nad tymi, którzy są już w ziemi, dopóki nie zemścisz się na tych, którzy ich tam wpędzili. Wówczas będziesz mieć dość czasu na łzy”. Chandalen spojrzął na nią z aprobatą.

- Więc twój ojciec był mądrym człowiekiem.

Dziewczyna czekała w milczeniu, by łowca przypomniał sobie i ułożył w głowie opowieść, zanim podejmie ją na nowo.

- Duchy przodków przychodziły do mego dziadka każdej nocy. Powiedziały mu, co musi zrobić, jak zabijać. On z kolei przekazał tę wiedzę swoim ludziom. Nauczył ich, jak się malować błotem, jak obwiązywać się

trawą, żeby być niewidocznym. Nasi ludzie stali się podobni do cieni. Jocopo nie widzieli ich, nawet jeśli stali tak blisko jak my teraz. Mój dziadek i jego ludzie walczyli z Jocopem. Nie tak jak tamci, lecz tak, jak ich nauczyły duchy. Jocopo bili się za dnia, bo było ich dużo i nie obawiali się nas. Duchy powiedziały dziadkowi, by nie walczył z Jocopem tak, jak oni sobie tego życzą, ale by sprawił, żeby bali się nocy, pustych, trawiastych równin i każdego głosu ptaka, żaby czy owada. Na każdego Błotnego Człowieka przypadało pięciu Jocopem. Najpierw się nas nie obawiali, bo byli liczniejsi. Zabijaliśmy Jocopem, kiedy polowali, kiedy zbierali plony, kiedy zajmowali się swoimi zwierzętami, kiedy szli po wodę, kiedy się załatwiali, kiedy spali. Jakiegokolwiek Jocopem. Każdego Jocopem. Nie próbowaliśmy z nimi walczyć: po prostu ich zabijaliśmy. Aż nie było już na tym świecie żadnego Jocopem, aż wszyscy znaleźli się w świecie duchów.

Kahlan zastanawiała się przez moment, czy to znaczyło, iż zabili również dzieci, lecz знаła odpowiedź - nie pozostał ani jeden Jocopo. Przypomniała sobie słowa ojca: „Jeśli zostaniesz wciągnięta w wojnę, to nie wolno ci okazywać litości. Tobie na pewno jej nie okażą, a staniesz się zdrajcą własnego ludu i będziesz dlań jak nieprzyjaciel, jeżeli pozwolisz sobie na okazanie choćby odrobiny łaskawości, bo twoi ludzie własnym życiem zapłacą za twój błąd”.

- Rozumiem, Chandalenie. Twój lud uczynił to, co musiał; jedynie to mu pozostało. Twój dziadek uczynił, co należało, żeby chronić swoich. Ojciec przekazał mi również: „Jeżeli wydadzą ci wojnę, wtedy niech to będzie wojna, jakiej twój przyjaciel nie wyobrażał sobie nigdy, nawet w najstraszniejszych koszmarach. Odrobina litości i oddajesz zwycięstwo swojemu wrogowi”.

- I twój ojciec musiał spotykać duchy swoich przodków. Dobrze zrobił, przekazując ci ich nauki. - Łowca współczująco zniżył głos. - Dobrze wiem, jak ciężko jest stosować się do tych wskazówek, wiem też, że inni mogą cię uznać za bezlitosną.

- Znam tę prawdę. Twój dziadek przyniósł zaszczyt Błotnym Ludziom, Chandalenie. Jestem pewna, iż kiedy już wypełnił swe zadanie, przelał wiele lez nad pomordowanymi współplemieńcami.

Chandalen rozwiązał rzemyk u szyi i strząsnął z ramion pelerynę. Opadła na podłogę. Ubrany był w ciężką skórzaną bluzę i także spodnie. Na

obu ramionach miał kościane noże, przymocowane opaskami z bawełnianej tkaniny. Dolny koniec noża był ostro zakończony, górny - ozdobiony czarnymi piórami i owinięty bawełnianą tkaniną, żeby wygodniej było go trzymać.

- To z mojego dziadka. - Łowca dotknął jednego noża. - A to z ojca. - Wskazał na drugi. - Kiedy będę miał krzepkiego syna, to pewnego dnia on będzie nosił kość moją i mojego ojca, a kość dziadka złoży w ziemi na odpoczynek.

Gdy po odejściu z wioski Błotnych Ludzi Kahlan po raz pierwszy ujrzała te kościane noże, sądziła, iż to broń obrzędowa. Teraz zyskała pewność, że tak nie jest. To był prawdziwy oręż, duchowy oręż.

- Co to za pióra?

Chandalen pogładził lśniące, czarne pióra noża na prawym ramieniu.

- Umieścił je tu Człowiek Ptak, którego mieliśmy, gdy ten nóż został zrobiony. - Dotknął piór broni na lewym ramieniu. - A te umieścił nasz obecny Człowiek Ptak. Są z kruka.

Błotni Ludzie uważali kruka za potężnego ducha. Kahlan była zdania, że noszenie noży z kości ramieniowej dziadka i ojca to dość makabryczny pomysł, lecz zachowała to dla siebie, wiedząc, jaki to zaszczyt dla Chandalena.

- To zaszczyt dla mnie, Chandalenie, że dla mojej ochrony wezwałbyś duchy swoich przodków.

Łowca nie sprawiał wrażenia zadowolonego.

- Człowiek Ptak powiedział, że i ty należysz do *Błotnych* Ludzi i że trzeba cię chronić, więc wzięłem te noże. To mój obowiązek. - Znow pogładził kość dziadka. - Dziadek uczył mojego ojca i wujka Toffalara, człowieka, którego zabiłaś, jak mają chronić nasz lud. - Dotknął kości ojca. - Ojciec uczył mnie. Ja nauczę syna, kiedy będę go mieć, i pewnego dnia będzie nosić ze sobą mojego ducha, chroniąc nasze plemię. Od czasów, gdy wybiliśmy Joco, nie pozwalamy wielu obcym wchodzić na nasze ziemie. Duchy przodków nauczyły nas, że zapraszać innych, by przybywali wedle swej woli, to jak zapraszać śmierć. Duchy mówiły prawdę. Przyprowdziłaś do nas Richarda Popędliwego, a przez niego zjawił się Rahl Posepny i zabił wielu naszych.

A więc o to chodziło. Chandalen miał chronić swoich, lecz zabito ich, a on nie był w stanie temu przeszkodzić.

- Chandalenie, duchy przodków pomogły nam ocalić i Błotnych Ludzi, i całe mnóstwo innych. Widziały, że Richard jest lojalny i szczerzy, że tak samo jak ty ryzykuje własnym życiem, by ocalić tych, którzy nie chcą wojny.

- Został w domu duchów, kiedy Rahl Posępny zabijał naszych. Nie spróbował mu przeszkodzić. Nie walczył. Pozwolił naszym umierać.

- Czy wiesz dlaczego? - Czekala, a łowca stał przed nią z kamienną twarzą. Nie odpowiadał, więc wyjaśniła: - Duchy powiedziały mu, że jeżeli wyjdzie bić się z Rahlem Posępnym, to postąpi po jego myśli i zginie, a wtedy już nikomu nie zdoła pomóc. Przekazały mu, iż jeśli chce pokonać Rahl Posępnego i uratować resztę Błotnych Ludzi, to nie wolno mu walczyć metodami Rahl, lecz musi poczekać i bić się na swój sposób, później. Podobnie doradziły duchy twojemu dziadkowi.

Chandalen popatrzył na nią sceptycznie.

- To on tak mówi.

- Byłam tam, Chandalenie. Słyszałam, jak to mówiły. Richard chciał walczyć. Łkał z gniewu i żalu, kiedy duchy mu zabroniły. Wtedy nie można było w żaden sposób powstrzymać Rahl. To nie była ani wina Richarda, ani twoja. I ty, i on nie bylibyście w stanie zapobiec temu, co się stało. Gdyby Richard próbował powstrzymać Rahl, zginąłby i Rahl by zwyciężył.

Chandalen nachylił się ku dziewczynie.

- To by się nie stało, gdybyś go do nas nie przyprowadziła. Rahl Posępny nie szukałby go u nas.

Kahlan wyprostowała się dumnie.

- Czy wiesz, Chandalenie, co robię? Jaką funkcję pełnię?

- Tak. Sprawiasz, jak inne Spowiedniczki, iż ludzie się ciebie boją, więc możesz im mówić, co mają robić, a oni ze strachu wypełniają twoje polecenia.

- W pewnym sensie tak jest. Przewodzę Radzie Midlandów. Reprezentuję wszystkie ludy i bronię ich praw. Dbam o to, by podobni Błotnym Ludziom mogli żyć, jak chcą.

- Sami się bronimy. Pokiwała głową.

- Tak sądzisz? Na każdego z Błotnych Ludzi przypadało pięciu Joco, Twój dziadek był mężny i waleczny i pokonał wroga, który górował nad nim liczebnie. Lecz na każdego mężczyznę, kobietę i dziecko Błotnych Ludzi przypada ponad stu poległych tutaj żołnierzy, a jest to zaledwie jedno miasto

owej krainy. I pokonano ich, jakby się w ogóle nie liczyli. Stu żołnierzy na każdego Błotnego Człowieka, a sam mówiłeś, że mężnie walczyli. Jak sądzisz, co byś zdołał przeciwko armii, która pokonała tak licznych obrońców? Przeciwko armii o połowę liczniejszej? - Chandalen przestąpił z nogi na nogę i nie odpowiedział. - Są krainy, Chandalenie, które nie mają głosu, jak Błotni Ludzie i Bantakowie. Nie mają swego przedstawiciela w radzie. Większe, takie jak ta tutaj i ta, która ją pokonała, są bardzo potężne, a jednak Rahl Posępny je podbił. Reprezentuję kraje nie mające własnego głosu w radzie. Bronię waszego życzenia, by pozostawiono was w spokoju, i zabraniam innym napadać na waszą krainę. Gdyby się mnie nie bali i nie słuchali moich poleceń, zabraliby wam ziemię. Widziałeś kraj, przez który podróżowaliśmy. Większość tych terenów słabo nadaje się pod uprawy. Ci ludzie odebraliby wam ziemie na farmy i do hodowli zwierząt. Wasze święte trawiaste równiny zostałyby wypalone, zaorane i obsiane, a plony wymieniano by na złoto. Jesteś mężny i silny, lecz nie zdołałbyś obronie swoich. Obcy ławą zalaliby waszą krainę. Jesteście silni i waleczni, ale to wcale nie oznacza, że zwyciężylibyście. Ci polegli żołnierze też byli dzielni, silni i sto razy liczniejsi niż wy, a popatrz, co się im przytrafiło. A to tylko jedno miasto. Są inne, o wiele większe. Ten, kto jest waleczny, Chandalenie, nie musi wcale być głupi. Widziałeś, co się tu stało. Jak długo walczylibyś z armią, która tego dokonała? Nawet gdyby każdy z twoich ludzi zabił pięćdziesięciu tamtych, ledwo zwróciliby na to uwagę. I stałoby się z wami to, co z Joco. Zniknęlibyście. Co do jednego. - Kahlan stuknęła się palcem w pierś. - To ja zabraniam im napadać na was. Was się nie obawiają; boją się mnie. Mnie i przymierza, które reprezentuję. Są w Midlandach dobrzy ludzie, ludzie chcący bić się w obronie słabszych ludów. Należeli do nich polegli tutaj żołnierze. Tacy ludzie zawsze mnie popierają, kiedy mówię, że żaden kraj nie powinien napadać na drugi, by zdobyć ziemię. Stoję na czele Rady Midlandów i spajam w jedno pragnące pokoju kraje. Pod moim przewodnictwem będą walczyć z każdym, kto rozpocznie wojnę. Tak, sprawiam, iż ludzie się mnie boją, żeby robili to, co im każę. Lecz nie czynię tego dla potęgi i władzy. Dzierzę władzę, aby strzec bezpieczeństwa wszystkich ludów Midlandów, w tym i Błotnych Ludzi. Ci, którzy tu polegli, walczyli przedtem po to, by ludy Midlandów mogły żyć według swoich praw. Bili się za was, za wasze prawa, choć nigdy nie wiedzieliście, iż przelewają za

was krew. - Ciaśniej otuliła się peleryną. - Dopóki Rahl Posępny nie zagroził nam wszystkim, nigdy nie musieliście walczyć o swoje prawa. Przybyłam do Błotnych Ludzi z Richardem, aby prosić o pomoc. Duchy waszych przodków dostrzegły, o co nam chodzi, o co walczymy, i pomogły nam, żeby i Błotni Ludzie, i wszyscy inni mogli żyć w spokoju, wolni. Po raz pierwszy musieliście przelać krew za Midlandy. Duchy przodków rozumiały to i pomogły nam. Ludy Midlandów mają dług wobec Błotnych Ludzi za ich poświęcenie, ale i wy macie dług wobec innych. Richard Popędliwy zaryzykował własne życie dla twoich ludzi. I on, jak wy, utracił w walce tych, których kochał. Nigdy się nie dowiesz, ile wycierpiał. Nawet sobie nie wyobrażasz, co uczynił mu Rahl Posępny, zanim Richard go zabił. - W Kahlan szalał gniew, jej gorący oddech zmieniał się w lodowatym powietrzu w unoszące się w górę obłoczki. -

Sprawiam, że ludzie się mnie boją, byś mógł pozostać ślepy i uparty. Richard i ja toczyliśmy boje o ocalenie przed śmiercią wszystkich Midlandczyków, a więc i Błotnych Ludzi. Walczyliśmy, żeby nikt nie mordował ich tak, jak Joco po mordowali Błotnych Ludzi. Bilibyśmy się o to, choćbyście odmówili pomocy i zwyczajnej wdzięczności.

Wokół nich dzwoniła cisza.

Chandalen podszedł z wolna do balustrady i bezwiednie przesunął palcem po wypolerowanym drewnie. Kahlan patrzyła na rozwiewające się obłoczki miarowego oddechu łowcy. W końcu powiedział cicho:

- Uważasz, że jestem uparty. Ja myślę o tobie to samo. Może nasi ojcowie powinni byli nas nauczyć, iż czasami ludzie postępują tak, a nie inaczej wcale nie dlatego, że są uparci, lecz ponieważ obawiają się o tych, których chronią. Może ty i ja nie powinniśmy patrzeć na siebie jak na kogoś upartego i bezwzględnego, a dostrzec w sobie kogoś, kto najlepiej jak potrafi dba o bezpieczeństwo swoich.

Kahlan - niespodziewanie dla samej siebie - uśmiechnęła się leciutko.

- Może Chandalen nie jest tak ślepy, jak sądziłam. I ja spróbuję inaczej na ciebie spojrzeć, postrzegać cię jako człowieka honoru, którym jesteś.

Łowca skinął głową i również delikatnie się uśmiechnął.

- Richard Popędliwy nie jest głupi. - Oparł dłonie na poręczy i patrzył na niższe piętro. - Powiedział, że gdyby miał wybrać kogoś, by walczył u jego boku, to wybrałby Chandalena.

- Słuszna uwaga - potwierdziła miękko Kahlan. - On nie jest głupi.
- Richard poświęcił siebie, zostając twoim partnerem. Ocalił innych mężczyzn, których mogłabyś wybrać. Ocalił! przed tym naszym, bo na pewno wybrałabyś jednego z nas, jako że jesteśmy silni. - Jego głos przepełniła duma. - Pewno wybrałabyś mnie, żeby się stowarzyszyć z najsilniejszym. Richard mnie ocalił.

Wciąż spoglądał na niższe piętro. Kahlan ponownie się uśmiechnęła.

- Przykro mi, iż bycie moim mężem uważasz za tak uciążliwy obowiązek. Chandalen podszedł do niej. Przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem zaczął rozwiązywać opaskę na prawym ramieniu. Zdjął ją wraz z kościanym nożem, a potem podał Kahlan.

- Dziadek byłby dumny, mogąc cię chronić; ciebie, jedną z jego plemienia, jedną z jego Błotnych Ludzi. - Odstłonił lewe ramię dziewczyny.

- Nie mogę tego przyjąć, Chandalenie. W tym nożu jest duch twojego dziadka.

Nie zwrócił uwagi na jej protest i przymocował opaskę do ręki Kahlan.

- Jest przy mnie duch mojego ojca i jestem krzepki. Walczysz w obronie naszego ludu. Dziadek chciałby być przy tobie w owej walce. Uczynisz mu zaszczyt.

Kahlan dumnie uniosła głowę, a łowca wsunął nóż pod opaskę.

- Czuję się zaszczycona tym, iż będzie przy mnie duch twojego dziadka.

- Tak jest dobrze. Teraz masz obowiązek walczyć jak mój dziadek w obronie swoich ludzi. Wszystkich swoich ludzi. - Uniósł prawą dłoń dziewczyny i położył na kościanym nożu. - Przysięgnij, że zachowasz w sercu ten obowiązek.

- Już przysięgałam chronić Błotnych Ludzi i inne ludy Midlandów. Walczyłam już i nadal będę za was walczyć.

Łowca mocniej przycisnął jej dłoń do kościanego oręza.

- Przysięgnij Chandalenowi.

Kahlan długo obserwowała jego zawziętą twarz.

- Masz moje słowo, Chandalenie. Przysięgam przed tobą. Uśmiechnął się i otulił peleryną ramię dziewczyny wraz z przymocowanym doń kościanym nożem.

- Chandalen podziękuje Richardowi Popędliwemu, kiedy go znów zobaczy. Podziękuje mu za to, iż ocalił go przed wyborem na męża Matki

Spowiedniczki. Nie życzę mu źle. I on walczy za Błotnych Ludzi, jak powiedział nam Człowiek Ptak,

Kahlan pochyliła się i podniosła jego pelerynę.

- Załóż ją, proszę. Nie chcę, żebyś zamarznął. Przecież musisz zaprowadzić mnie do Aydindril.

Łowca kiwnął głową i zarzucił pelerynę na ramiona. Wciąż się uśmiechał. Uśmiech zniknął z jego ust, kiedy spojrzał na drzwi.

- Ktoś był tu już po wszystkim.

- Dlaczego tak uważasz? - zmarszczyła się Kahlan.

- Dlaczego zamykałaś drzwi, gdy już zajrzałaś do izb?

- Z szacunku dla zmarłych.

- Były zamknięte, kiedy tu przyszliśmy. Ci, którzy czynili te gwałty, nie mieli żadnego szacunku. Oni nie zamknęliby drzwi. Chcieli, by każdy, kto tu przyjdzie, ujrzał, co zrobili. Ktoś inny tu był i pozamykał wrota.

Kahlan przyjrzała się drzwiom i przyznała rację łowcy.

- Uważam, że masz rację. - Potrząsnęła głową. - Ci, którzy to uczynili, nie zamykaliby drzwi.

Chandalen znów się przechylił przez poręcz, spojrzał na szerokie schody.

- Po co tu jesteśmy?

- Bo muszę wiedzieć, co się przytrafiło tym ludziom.

- Widziałaś to na zewnątrz. Po co jesteśmy tutaj, w tym domu? Kahlan spojrzała na schody wiodące na najwyższe piętro.

- Ponieważ muszę wiedzieć, czy zabito też królową. Łowca obejrzał się na nią przez ramię.

- Czy ona coś dla ciebie znaczy?

Dziewczyna uświadomiła sobie nagle, jak łomocze jej serce.

- Tak. Pamiętasz posągi przy drzwiach, przez które weszliśmy?

- Kobieta i mężczyzna. Kahlan skinęła głową.

- Posąg kobiety wyobraża jej matkę. Moja matka była Spowiedniczką. Posąg mężczyzny to ojciec królowej. Król Wyborn. Był również moim ojcem.

Chandalen uniósł brew.

- Jesteś siostrą tutejszej królowej?

- Przyrodnią siostrą. - Kahlan zebrała się na odwagę i ruszyła ku schodom. - Zobaczmy, czy ona tam jest, a potem ruszymy do Aydindril.

Dziewczyna stała z bijącym sercem przed drzwiami komnat królowej.

Nie potrafiła się zmusić, żeby je otworzyć. W holu straszliwie cuchnęło, lecz nie zwracała na to uwagi.

- Czy chcesz, bym zajrzał tam za ciebie?

- Nie. Muszę to ujrzeć na własne oczy. - Nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte, klucz wciąż tkwił w zamku. Dotknęła lodowatej metalowej płytki. - To jest zamek, o którym ci mówiłam - przypomniała, wyjmując klucz i pokazując go Chandalenowi. - A to jest klucz. - Włożyła na powrót klucz do zamka i przekręciła go drżącymi palcami. - Jeżeli masz klucz, to możesz otworzyć zamek, a potem drzwi.

Na pewno ktoś zamknął wrota z szacunku dla królowej.

Okna były całe, meble również. Komnata była równie lodowata jak reszta pałacu, lecz znienacka ogłuszył ich smród. Wstrzymali oddech.

Ludzkie odchody pokrywały wszystko w zewnętrznym salonie. Kahlan i Chandalen patrzyli na to, zszokowani. Ciemne sterty pstrzyły dywan, leżały na biurku i na stole. Żółtawa, zamarznęta uryna splamiła błękitne, aksamitne obicia foteli oraz kanap. Ktoś zrobił to nawet w kominku.

Oboje dokładnie osłonili nosy pelerynami i ostrożnie ruszyli przez komnatę ku następnym zamkniętym drzwiom. Sypialnia królowej była w gorszym stanie. Trudno było tak postawić stopę na podłodze, żeby nie wdepnąć w odchody. Łoże wyglądało jeszcze okropniej niż podłoga - pokrywały je stosy kału. Wymazano nim delikatne kwietne motywy wymalowane na ścianach. Smród wygnałby ich stąd, gdyby nie to, że wszystko zamarzło na kość. A i tak trudno było znieść fetor.

Na szczęście nie leżały tu żadne ciała. Nie było też królowej.

Na pamięciowej liście Kahlan, liście ewentualnych sprawców rzezi, pozostał tylko jeden naród. Ten, który przedtem zajmował pierwsze miejsce wśród podejrzanych.

- Keltończycy - syknęła do siebie.

Ów widok sprawił Chandalena w osłupienie.

- Dlaczego ci żołnierze to zrobili? Czyżby byli niemądrzy jak dzieci? Kahlan ostatni raz obrzuciła spojrzeniem komnatę i wyszli do holu. Zamknęła drzwi i nareszcie głęboko zaczerpnęła powietrza.

- To przesłanie. Ma pokazać ich lekceważenie, brak poszanowania dla ludzi, którzy tu mieszkali. Mówi, że napastnicy gardzą nimi i wszystkim, co do nich należało. Splamili honor przeciwników na wszystkie sposoby, jakie

zdołali wymyślić.

- Przynajmniej nie ma tu twojej przyrodniej siostry. Kahlan mocno ściągnęła pelerynę pod szyją.

- Przynajmniej.

Zeszła po schodach, przystanąła, żeby jeszcze raz rzucić okiem na pozamykane drzwi na drugim piętrze. Chandalen obserwował dziewczynę, a potem również spojrzał na ów szereg.

Kahlan chciała przerwać panującą ciszę.

- Musimy odnaleźć Prindina i Tossidina. Twarz Chandalena wykrzywił gniew.

- Czy to wszystko nie budzi w tobie gniewu?

Dziewczyna dopiero teraz uświadomiła sobie, że przez cały czas zachowywała kamienną „twarz Spowiedniczki”.

- Okazanie gniewu na nic by się teraz nie zdało. Dowiesz się, jak bardzo się rozgniewałam, kiedy nadejdzie właściwy czas.

ROZDZIAŁ 30

Byli w ciasnym domku z obrzuconej tynkiem plecionki, stojącym w pobliżu wyrwy w murach miasta. Kahlan patrzyła, jak Chandalen rozpala dla niej ogień w palenisku. Braci nigdzie nie było widać.

- Ogrzej się - powiedział łowca. - Sprawdzę, czy Prindin i Tossidin są gdzieś blisko, i powiem im, że tu czekamy.

Wyszedł. Kahlan zdjęła pelerynę, choć wiedziała, iż nie należy się zbytnio przyzwyczajać do ciepła, bo później chłód wyda się jeszcze gorszy. Przykucnęła przy palenisku, zwabiona ciepłem, i ogrzewała dłonie nad ogniem. Rozgrzewała się powoli, wstrząsana dreszczami.

Ta mała izdebka i sąsiednia stanowiły kiedyś sporą część świata jakiejś rodziny. Stół był połamany, ale stojąca pod ścianą prosta ława - nie. Wokół rozrzucono parę sztuk odzieży, pogięte cynowe naczynia i połamany kołowrotek. Trzy szpule zmiażdżono na glinianej podłodze.

Kahlan znalazła wśród tych resztek powyginany garnek. Uznała, że tak będzie prościej, niż wypakowywać ich własne naczynia. Tuż za drzwiami nabrała weń pełno śniegu i postawiła naczynie na trzech kamieniach paleniska. Potem ogrzewała o niego zgrabiące palce, a w końcu palcami policzki. W leżącym w kącie rozbitym pojemniku była herbata, lecz Kahlan wyjęła z plecaka własną i czekała, aż śnieg się rozpuści, a mężczyźni powrócą.

Nie potrafiła wyrzucić z pamięci twarzy zamordowanych kobiet, choć bardzo się starała.

Kilka razy dokładała śniegu do garnka. Woda zaczynała wrzeć, kiedy pojawił się Prindin. Oparł łuk o ścianę i z westchnieniem opadł ciężko na ławę.

Kahlan wstała i spojrzała na puste drzwi.

- Gdzie twój brat?

- Powinien wkrótce nadejść. Wracaliśmy różnymi drogami, żeby obejrzeć więcej śladów. - Wyciągnął szyję i zajrzał do sąsiedniej izdebki. - Gdzie Chandalen?

- Poszedł szukać ciebie i Tossidina.

- To i on wkrótce wróci. Brat nie jest daleko.

- Co znaleźliście? - Więcej zabitych.

Wyglądało na to, że na razie nie chce o tym mówić, więc Kahlan postanowiła zaczekać z wypytywaniem, aż wrócą Chandalen z Tossidinem.

- Zagotowałam wody. Napijemy się herbaty.

Kiwnął głową i błysnął ku niej swym uroczym uśmiechem.

- Dobrze będzie się napić gorącej herbaty.

Kahlan pochyliła się nad garnkiem, jedną ręką sypała herbatę ze skórzanego woreczka, drugą odsuwała z twarzy swoje długie włosy.

- Masz ładne siedzenie - odezwał się głos poza nią. Wyprostowała się i obróciła ku Prindinowi.

- Co powiedziałaś!?

- Mówiłem, że masz ładny dół. To dobre kształty.

Kahlan nauczyła się nie gorszyć i nie czuć urażona dziwnymi obyczajami rozmaitych ludów Midlandów. Na przykład u Błotnych Ludzi męski komplement na temat kobiecych piersi oznaczał, że mężczyzna widzi w danej kobiecie przyszłą zdrową matkę, mogącą wykarmić ewentualne dzieci. Taki komplement sprawiał, że mile połaskotana rodzina kobiety uśmiechała się z dumą, a konkurent zdobywał względy u ojca wybranki. Natomiast prośba o to, by kobieta pokazała się komuś z włosami nie pomazanymi lepkiem błotem, równała się proszeniu owej młodej damy o zdrożne awanse - co mogło się źle skończyć dla czyniącego tak nieprzyzwoite propozycje.

Błotni Ludzie traktowali sprawy seksu zupełnie swobodnie. Kahlan często się rumieniła, słuchając opowieści Weselan o miłosnych igraszkach z mężem. Co gorsza, pewno i teraz się zarumieniła.

Dziewczyna patrzyła na Prindina. Przed jej oczami unosiły się i przepływały twarze pomordowanych młodych kobiet.

Chłopak nie pochwalił piersi Kahlan, lecz uznała, że i uwagi na temat kobiecych bioder stanowią uznanie dla przydatności do macierzyństwa. Wiedziała, iż nie chciał jej urazić, a mimo to promienny uśmiech łowcy przyprawiał dziewczynę o gęsią skórkę. Może dlatego poczuła się niepewnie, bo źle wybrał czas na takie komplementy. No, ale Prindin nie widział tych zamęczonych młodych kobiet.

Uśmiech Prindina nieco przybladł, łowca zmarszczył się leciutko.

- Wydajesz się zaskoczona. Czyżby Richard Popędliwy nigdy nie mówił ci, jakie masz wspaniałe biodra?

Kahlan z trudem dobierała słowa, nie bardzo wiedząc, jak z godnością zakończyć tę rozmowę.

- Nigdy się nie wdawał w szczegóły.

- Inni mężczyźni musieli ci o tym przedtem mówić. Są zbyt kształtne, żeby ich nie zauważyli. Przyjemnie jest patrzeć na twoje

kształty. Twój wygląd budzi we mnie pragnienie... - Zakłopotał się. - Nie znam waszego słowa na określenie...

Krew uderzyła Kahlan do głowy. Dziewczyna postąpiła krok ku niemu.

- Prindinie! - Rozluźniła pięści i zapanowała nad głosem. - Jestem Matką Spowiedniczką, Prindinie.

Potaknął. Znów się uśmiechał, choć nie był już tak pewny siebie.

- Owszem, jesteś też jednak kobietą, a twoje kształty...

- Prindinie! - Zamrugał, a Kahlan zgrzytnęła zębami. - W twoim kraju można tak mówić do kobiety, lecz gdzie indziej w Midlandach nie. W innych krainach takie słowa są obraźliwe. Bardzo obraźliwe. Poza tym jestem Matką Spowiedniczką i nie powinno się do mnie odzywać w ten sposób.

Uśmiech Prindina zniknął.

- Przecież teraz należysz do Błotnych Ludzi.

- To prawda, ale nadal jestem Matką Spowiedniczką. Zbladł.

- Obraziłem cię. - Zerwał się z ławy i padł przed nią na kolana. - Wybacz mi, proszę. Nie chciałem cię obrazić. Pragnąłem tylko okazać ci względy.

Kahlan zaczerwieniła się jeszcze bardziej z zakłopotania. Upokorzyła go.

- Rozumiem, Prindinie. Wiem, iż to były niewinne słowa, lecz nie wolno ci się tak odzywać poza swoim krajem. Inni nie pojmą twoich intencji i poczują się bardzo urażeni.

Był bliski łez.

- Nie wiedziałem. Powiedz, proszę, że wybaczasz Prindinowi. - Wczepił się w nogawki spodni Kahlan i zacisnął mocne palce na udach dziewczyny.

- Tak... jasne... wiem, że nie miałeś nic złego na myśli. - Ujęła go za nadgarstki i łagodnie odciągała jego ręce od swoich nóg. - Wybaczam ci...

Wszedł Chandalen, minę miał ponurą. Rzucił okiem na Prindina, potem spojrzał Kahlan w oczy.

- Co tu się dzieje? - Nic. - Pospiesznie pomogła Prindinowi wstać; akurat pojawił się jego brat. - Ale musicie się nauczyć, jak się w Midlandach rozmawia z kobietami. Musicie się tego nauczyć, żeby uniknąć kłopotów. -

Wygladziła nogawki i piekące ślady po krzepkich palcach Prindina, po czym wyprostowała się. - Opowiedzcie, co znaleźliście. Chandalen zmiażdżył Prindina groźnym spojrzeniem.

- Cóżeś zrobił? Prindin cofnął się nieco, odwrócił oczy.

- Nie wiedziałem, że tak nie można. Powiedziałem jej, że ma ładne...

- Mówiłam, iż to nic takiego - przerwała mu Kahlan. - To po prostu drobne nieporozumienie. Zapomnijmy już o tym. - Odwróciła się ku palenisku. - Naparzyłam gorącej herbaty. Weźcie kubki, o tam, na podłodze, leżą takie, które się nadadzą, i napijemy się, a wy opowiecie mi, czego się dowiedzieliście.

Tossidin ruszył po naczynia. Po drodze zdzielił brata w kark i szeptem udzielił mu reprimendy. Chandalen zrzucił z ramion ciepłe okrycie, przykucnął przed ogniem i ogrzewał dłonie. Bracia przynieśli kubki - Prindin rozcierał kark - i rozdali je.

Kahlan najpierw spytała Prindina, by łowcy wiedzieli, iż nie stracił w jej oczach honoru.

- Opowiedz, co znalazłeś.

Prindin zerknął na tamtych dwóch, a potem przybrał poważną minę.

- Ta masakra odbyła się dziesięć, może dwanaście dni temu. Wróg nadszedł przede wszystkim ze wschodu, ale również z północy i południa. Bili się z ludźmi z tego miasta w wąskich górskich przejściach. Ci z miasta, którzy ocaleli, uciekli przed liczniejszym napastnikiem i zebrali się w tym miejscu, próbując stawić opór. Wróg ich ścigał, więc, uciekając, walczyli i ginęli. Coraz więcej i więcej napastników wylewało się z przełęczy. Kierowali się na południe i tu była bitwa. Pokonali tych żołnierzy, zabili pojmanych, po czym sforsowali mury. Kiedy skończyli z miastem, wszyscy razem udali się na wschód.

Tossidin nachylił się ku nim.

- Zanim stąd odeszli, zabrali z miasta swoich zabitych. Korzystali z wozów, jest wiele kolein. Potrzebowali na to chyba ze dwa dni. Wywieźli wiele tysięcy zmarłych. Mieszkańcy tego miasta musieli walczyć jak demony. Ci, którzy ich zmasakrowali, stracili więcej ludzi, niż sami zabili.

- Gdzie są ciała? - spytała Kahlan.

- W zagłębieniu w przejściu na wschód - odparł Prindin. - Wozy ze zmarłymi jechały drogą, a potem wrzucono ich tam. Tylu ich tam, że nie

wiemy, gdzie leży dno owego zagłębienia.

- Jak wyglądają? - Dziewczyna łyknęła herbaty; trzymała kubek w obu dłoniach, ogrzewając je. - Jak są ubrani?

Prindin sięgnął za koszulę i wyjął kawałek tkaniny. Podał Kahlan czerwone od krwi zawiniątko.

- Były tam tyczki, na których to wisiało. Wielu zabitych miało na odzieży taki sam znak, lecz nie chcieliśmy odzierać zmarłych z ubrań.

Dziewczyna rozwinęła chorągiew i zapatrzyła się, wstrząśnięta, na długi, czerwony trójkąt. Pośrodku chorągwi widniała tarcza z ozdobną, srebrzystą literą. Literą „R”. To był wojenny proporzec z tarczą i symbolem dynastii Rahlów.

- D'haranscy żołnierze - wyszeptała Kahlan. - Jak to możliwe? - Podniosła oczy. - Czy byli tam również Keltończycy?

Trzej łowcy spojrzeli na siebie. Nie zrozumieli. Nie znali Keltończyków.

- Niektórzy mieli inne ubrania - odezwał się Prindin. - Ale większość miała na sobie lub na tarczach ten znak.

- I odeszli na wschód? Tossidin przytaknął.

- Nie umiem słowami wyrazić, ilu ich było. Jedno mogę rzec: gdybyś stała w tym samym miejscu przy drodze, którą szli, to patrzyłabyś na ich przemarsz cały dzień.

- A jeszcze - dorzucił Prindin - dołączali się do nich inni, którzy czekali na północy i teraz odeszli z nimi. Kahlan zmrużyła oczy, zamyśliła się.

- Czy mieli dużo wozów? Dużych wozów? Prindin parsknął śmiechem.

- Musieli ich mieć setki. Ci ludzie niczego nie nieśli. Korzystali z pojazdów. Zwyciężyli, bo było ich takie mnóstwo, lecz są leniwi. Jadą na wozach albo składają na nich i przewożą swoje rzeczy.

- Taka liczna armia potrzebuje solidnego zaopatrzenia - wyjaśniła dziewczyna. - I jeżeli jadą wozami, to mają więcej sił do walki.

- I słabną - rzekł wyzywająco Chandalen. - Jeśli sam niesiesz, co ci trzeba, jak my, to nabierasz sił. Jeżeli idziesz, niczego nie niosąc, lub jedziesz wozem albo konno, to słabniesz. Ci ludzie nie są tacy krzepcy jak my.

- Mieli dość sił, by zgnieść to miasto - odezwała się Kahlan. - Mieli dość sił, żeby wygrać bitwę i zniszczyć przeciwnika.

- Tylko dlatego, że byli tacy liczni - dowodził Chandalen - jak Jocopo, a nie dlatego, iż są krzepcy lub dobrzy z nich wojownicy.

- Duża liczebność - stwierdziła spokojnie dziewczyna - sama w sobie jest siłą.

Żaden z trzech łowców temu nie zaprzeczył. Prindin wypił resztę herbaty i odezwał się: - Ta liczebność już zniknęła. Trzymają się razem i kierują na wschód.

- Wschód. - Kahlan się zamyśliła, a oni czekali w milczeniu. - Czy poszli przełęczą, nad którą jest przewieszony most linowy? Taki, przez który może przejść pieszo jeden człowiek?

Bracia potaknęli. Kahlan wstała.

- Przełęcz Jara - szepnęła do siebie, odwróciła się i wyjrzała przez drzwi. - Jest dostatecznie szeroka dla ich wozów.

- Jest coś jeszcze - dorzucił Tossidin, też wstając. - Jakies pięć dni po ich odejściu zjawili się tu inni. - Uniósł obie dłonie z rozsuniętymi palcami. - Tylu tu zabijało. - Zgiął prawie wszystkie palce, zostawiając jedynie mały palec prawej dłoni. - A tylu przyszło już po wszystkim.

Kahlan spojrzała na Chandalena.

- To ci, którzy pozamykali drzwi. Przytaknął, a bracia zmarszczyli brwi.

- Przeszukali miasto - podjął Tossidin. - Nie mieli już kogo zabijać, więc poszli po śladach, udali się za tymi, którzy dążyli na wschód, żeby się do nich przyłączyć.

- Nie - stwierdziła Kahlan. - To nie byli sprzymierzeńcy sprawców tej masakry. Nie idą za nimi, by się przyłączyć. Ale posuwają się za nimi.

Prindin rozmyślał nad tym przez chwilę.

- To i oni umrą, jeżeli dogonią zdobywców miasta. Nie są tak liczni jak ci, których ścigają. Będą niczym pchły chcące zjeść psa.

Kahlan porwała pelerynę i zarzuciła na ramiona.

- Ruszamy. Przełęcz Jara jest szeroka i dość dogodna dla dużych wozów, lecz jest też długa i kręta. Znam wąskie przejścia, jak to przechodzące mostem linowym ponad Jarą, a potem Szczeliną Harpii, którymi wojsko się nie przedostanie, ale my tak. To o wiele krótsza droga. Możemy przebyć w jeden dzień trasę, na którą oni potrzebowali trzech lub czterech dni.

Chandalen również się podniósł, jednak spokojnie i swobodnie.

- Podążanie śladami tych ludzi nie zaprowadzi nas do Aydindril, Matko Spowiedniczko.

- I tak musimy pójść jedną z przełęcz, żeby się dostać do Aydindril.

Szczelina Harpii jest równie dobra jak każda inna.

Chandalen nie podniósł swego okrycia.

- Ale tam jest tysięczne wojsko. Chciałaś się dostać do Aydindril, unikając przeszkód, jak tylko się da. Ta droga zaś wiedzie prosto w tarapaty.

Kahlan postawiła but na rakiecie śnieżnej, przykucnęła i zaczęła wiązać rzemyki. Znów miała przed oczami twarze zmarłych młodych kobiet.

- Jestem Matką Spowiedniczką. Nie dopuszczę, żeby w Midlandach działy się takie rzeczy. To mój obowiązek.

Mężczyźni niepewnie spojrzeli po sobie. Bracia ruszyli po swoje rakiety śnieżne, Chandalen - nie.

- Mówiłaś, że twoim obowiązkiem jest dotrzeć do Aydindril, jak prosił Richard Popędliwy. Powiedziałaś, iż musisz zrobić to, o co prosi.

Kahlan przestała przywiązywać drugą raketę. Ogarnął ją dręczący ból. Zadumała się nad słowami Chandalena, jednak nie trwało to długo.

- Nie wyrzekam się tego obowiązku. - Skończyła wiązać rzemyki i podniosła się. - Lecz jesteśmy Błotnymi Ludźmi i mamy również inne obowiązki.

- Inne obowiązki?

Kahlan poklepała kościany nóż przywiązany do okrytego peleryną ramienia.

- Wobec duchów. Jocopo, Bantakowie i teraz ci ludzie usłuchali podszeptów duchów, które przywiodły ich do złych czynów. Usłuchali duchów, które wydostały się przez rozdarcie w zasłonie. Mamy obowiązki wobec duchów naszych przodków i wobec ich żyjących potomków.

Wiedziała, że jeżeli zasłona ma zostać scalona, to ona, Kahlan, musi dotrzeć do Zedda i uzyskać pomoc dla Richarda. Możliwe, iż wyłącznie Richard potrafi scalić zasłonę. Chandalen miał słuszość - powinni się dostać do Aydindril.

Wciąż jednak miała w pamięci twarze owych młodych kobiet. Ciągłe przerażała ją groza tego, co im uczyniono.

Dwaj bracia siedzieli na ławie i mocowali rakiety śnieżne do butów. Chandalen podszedł do dziewczyny, ściszył głos.

- Co nam przyjdzie z dogonienia tego wojska? To błąd. Kahlan spojrzała w jego piwne oczy. Nie było w nich sprzeciwu i buntu jak poprzednio, ale prawdziwa troska.

- Wojska, które dokonały tej rzezi, Chandalenie, i odeszły na wschód, liczą pewnie z pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Ci, którzy pozamykali drzwi pałacu i ścigają sprawców, to może pięć tysięcy ludzi. Przepęlnia ich gniew, lecz i oni zginą, jeśli dogonią tamtych. Jeżeli mam okazję ocalić od śmierci pięć tysięcy żołnierzy, to muszę tę szansę wykorzystać.

Łowca znacząco uniósł brew.

- Czyż większe zło nie złamie okowów, gdy zginiesz przy tej próbie? - Właśnie temu masz zapobiec. Masz zapobiec zabiciu mnie. Kahlan ruszyła ku drzwiom. Chandalen delikatnie ujął ją za ramię i zatrzymał. Powiedział spokojnie:

- Wkrótce będzie ciemno. Możemy tu dziś odpocząć i ugotować coś do jedzenia. Ruszymy rankiem, kiedy wypoczniemy.

- Niedługo wzejdzie księżyc i oświetli nam drogę. Nie mamy chwili do stracenia. - Kahlan pochyliła się ku niemu. - Wyruszani teraz. Jeśli jesteś taki silny, jak mówisz, to chodź ze mną. Jeżeli nie, to sobie wypoczywaj.

Chandalen wsparł się pod boki. Zacisnął wargi i głęboko westchnął. Mierzył dziewczynę zirytowanym wzrokiem.

- Nie możesz iść dłużej niż Chandalen. My też ruszamy. Kahlan uśmiechnęła się doń przelotnie i przemknęła przez drzwi. Bracia porwali łuki i ruszyli za nią, a Chandalen pochylił się, by przymocować rakiety śnieżne.

ROZDZIAŁ 31

Richard drapał swędzącą, pokrytą zarostem brodę i obserwował konie skubiące trawę, której tam wcale nie było. Powierzchnia doliny była spieczona słońcem i jałowa, a mimo to zwierzęta posilały się z zadowoleniem, jakby miały pod kopytami soczystą zieloną trawę. Wyglądało na to, że złudzenie potrafiło omamić nawet konie. Chłopak zastanawiał się, czy i on ujrzy coś, czego nie ma, i cóż to takiego będzie.

Siostra Verna poruszyła się w końcu, odciągając Jessupa od wyimaginowanego pastwiska.

- Tędy.

Przed nimi, tui nad ziemią, wisiały złowieszcze, ciemne chmury. Kłębiły się jak żywe i niecierpliwie na nich czekały. Richard skierował oba wierzchowce za Siostrą. Verna oznajmiła, że muszą iść pieszo, bo konie mogłyby się nagle wystraszyć czegoś niewidzialnego dla ludzi i ponieść ich, bezradnych, prosto w urok.

Siostra Verna zmieniała kierunek marszu przez monotony krajobraz i poprowadziła odrobinę bardziej na prawo.

Ciemne chmury pyłu i kurzu wznosiły się i opadały, pędzone porywami wiatru, który jak dotąd nie musnął nawet podróżników. Verna obejrzała się przez ramię, minę miała równie mroczną jak te chmury.

- Nie zwracaj uwagi na to, co zobaczysz. To nie będzie realne. Nie zwracaj na to uwagi i już. Zrozumiałeś?

- A co zobaczę?

Siostra znów bacznie obserwowała drogę przed sobą. Jej biała bluzka była przesiąknięta potem, podobnie jak koszula Richarda.

- Tego nie mogę ci powiedzieć, bo nie wiem. Uroki wydobywają z twojego umysłu to, czego się boisz lub za czym tęsknisz, więc każdy widzi co innego. Choć niektóre wizje są takie same. Pewne obawy tkwią w nas wszystkich. Część magii, którą zobaczymy, to *nie* wizje, a rzeczywistość. Jak te tumany pyłu.

- A co widziałaś ostatnim razem, że się tak boisz?

Verna przez chwilę maszerowała w milczeniu.

- Kogoś, kogo kochałam.

- Skoro ją kochasz, to dlaczego boisz się ją ujrzeć?

- Ponieważ próbował mnie zabić.

Richard zamrugnął, ściekający z czoła pot drażnił mu oczy.

- On? Masz ukochanego, Siostrze? Szła i patrzyła w ziemię.

- Już nie. - W jej głosie brzmiał smutek i żal. Zerknęła na Richarda i znów obserwowała ziemię. - Miałam ukochanego, gdy byłam młoda. Jedidiaha.

Umilkła, więc chłopak spytał:

- Już go nie kochasz? - Potrząsnęła przecząco głową. - Dlaczego? Verna przystanąła na sekundę, otarła pot z czoła i znów ruszyła przed siebie.

- Opuściłam Pałac Proroków, kiedy byłam młoda, młodsza chyba niż ty. Opuściłam, żeby cię szukać. Nie wiedziałyśmy, czy już się urodziłeś. Wiedziałyśmy jednak, że ma się to stać, choć nie miałyśmy pojęcia kiedy. Wysłano więc trzy Siostry. Było to wiele lat temu. Ponad połowę życia spędziłam z dala od pałacu. Od Jedidiaha. - Znów przystanąła, spojrzęła w lewo, w prawo i ruszyła naprzód. - Pewno już dawno o mnie zapomniał i znalazł sobie inną.

- Jeżeli naprawdę cię kochał, Siostrze, to nie zapomniał o tobie i nie znalazł sobie innej. Ty o nim nie zapomniawsz.

Szarpnęła wodzami, odciągając Jessupa od czegoś, co chciał zbadać.

- Minęło zbyt wiele lat. Oddzielnie się postarzelśmy. Ja się postarzałam. Nie jesteśmy tymi samymi ludźmi co przedtem. On jest obdarzony czarodziejską mocą, darem. Ma własne życie i mnie w tym życiu nie ma.

- Nie jesteś stara, Siostrze. Jeśli naprawdę się kochaliście, to czas nie powinien mieć znaczenia. - Richard się zastanawiał, czy mówi o niej, czy o sobie.

Siostra Verna zaśmiała się cicho.

- Młodość. Młodość ma tyle nadziei, lecz o wiele mniej mądrości. Znam zwyczajnie ludzi. Mężczyzn. Zbyt długo był z dala ode mnie. Już dawno poszukał innej.

Chłopak poczuł, że się czerwieni.

- Miłość to nie tylko to.

- Więc aż tak wiele wiesz o miłości, hmm? I ty wkrótce rozejrzysz się za jakąś parą zgrabnych nóżek.

Richard był bliski wybuchnięcia gniewem, lecz Siostra Verna przystanąła. Podniosła wzrok. Czarne chmury wirowały coraz bliżej,

otaczały ich.

Richard posłyszał czyjś odległy głos, wołający jego imię.

- Coś jest nie w porządku - szepnęła do siebie Verna.

- Co się dzieje?

Siostra pominęła milczeniem to pytanie, pociągnęła Jessupa w lewo.

- Tędy.

Obok nich przemknęła błyskawica. Oślepiający piorun trafił w ziemię przed nimi, wzbijając ku niebu tuman kredowobiałych okrucich. Grunt zatrzęsł się. Każdym włókienkiem mięśni odczuli bliskość uderzenia.

Kiedy błyskawica na chwilę rozdarła ścianę czerni, Richard ujrzał Kahlan. Stała i patrzyła nań. A potem zniknęła.

- Kahlan?

Siostra Verna cofnęła się.

- Tędy. Ale już! Przecież mówiłam ci, Richardzie, że to nie jest realne. Cokolwiek byś zobaczył, nie wolno ci na to zwracać uwagi.

Chłopak wiedział, iż to złudzenie, lecz na widok Kahlan poczuł palącą tęsknotę. Jęknął w duchu. Czyż magia musi go wabić wizjami ukochanej? Siostra Verna mówiła, że to jego własny umysł ukaze to, czego się boi lub za czym tęskni. Więc cóż to było - strach czy tęsknota?

- Czy błyskawica jest prawdziwa?

- Wystarczająco prawdziwa, żeby nas zabić. Ale to nie taka błyskawica, jaką znasz. Tutaj trwa burza ścierających się ze sobą uroków. Błyskawica jest wyładowaniem ich mocy, mocy walczących ze sobą zaklęć. Stara się zniszczyć każdego intruza. Musimy się przemykać w lukach pomiędzy zmagającymi się urokami.

Chłopak znów usłyszał odległy krzyk. Wołano jego imię, jednak nie był to głos Kahlan. Tym razem był to męski głos.

Kolejna błyskawica uderzyła tuż przed nimi. Richard i Verna osłonili twarze ramieniem. Konie nie drgnęły. Musiało więc być tak, jak mówiła Siostra - zwierzęta wystraszyłyby się prawdziwego wyładowania.

Spadł na nich deszcz wzbitych przez uderzenie grud ziemi. Verna odwróciła się i złapała chłopaka za rękaw.

- Wysłuchaj mnie, Richardzie. Coś jest nie w porządku. Przejście za szybko się przesuwa. Nie potrafię go wyczuć tak, jak powinnam.

- Dlaczego? Przecież już tędy przechodziłaś. Potrafiłaś wyczuć przejście i

się przedostać.

- Nie mam pojęcia. Niezbyt wiele wiemy o tym miejscu. Jest przepojone magią, którą nie w pełni rozumiemy. Już tutaj byłam, więc może magia nauczyła się mnie rozpoznawać. Nie można tędy przejść więcej niż dwa razy. I mówi się, że drugie przejście jest trudniejsze niż pierwsze. Może to tylko to. Lecz równie dobrze może to być coś innego.

- Jakie „coś innego”? Chodzi ci o mnie?

Verna spojrzała mimo niego na coś, co widziała, a czego tam wcale nie było, jak domyślał się Richard. Zogniskowała wzrok na chłopaku.

- Nie, nie o ciebie. Gdyby szło o ciebie, nadal potrafiłabym wyczuć przejście tak jak przedtem, a nie mogę. Udaje mi się to tylko czasami. Sądzę, iż to przez to, co się stało z Siostrami Grace i Elizabeth.

- A co one mają z tym wspólnego?

Otoczyła ich, kłębiąc się i wyjąc, czarna burza. Porywy wichru szarpały ich ubraniami. Richard mrużył oczy przed pyłem.

- Umierając, przekazywały swój dar. To dlatego oddały życie, kiedy odmówiłeś: żeby przekazać swój dar następnej, dodać jej mocy, tak by kolejna próba mogła się powieść.

Z tego właśnie powodu za każdym razem czuł coraz silniejszy nakaz przyjęcia obroży. Kahlan mówiła, że to pewnie dlatego się zabijały, kiedy odrzucał ich propozycję - by dodać mocy następnej, uczynić ją potężniejszą.

- To znaczy, że masz moc, Han, tamtych Sióstr?

Kiwnęła potakująco głową, rozglądając się wokół.

- Mam teraz moc nas trzech. - Spojrzała chłopakowi w oczy. - Może mam za dużą moc, by tędy przejść. - Mocniej chwyciła go za rękaw i przyciągnęła bliżej. - Jeśli nie dam rady, musisz iść sam, sam spróbować znaleźć przejście.

- Co takiego!?! Nie mam pojęcia, jak tędy przejść. W ogóle nie wyczuwam tych uroków wokół nas.

- Nie sprzeczasz się ze mną! Wyczułeś błyskawicę. To dużo. Komuś bez daru nie udałoby się to, dopóki nie byłoby za późno. Musisz próbować.

- Nic ci się nie stanie, Siostró. Znajdziesz drogę.

- Lecz jeżeli mi się to nie uda, musisz próbować. Nie zwracaj uwagi na to, co cię będzie kusić. Jeśli umrę, Richardzie, to musisz się spróbować przedostać do Pałacu Proroków.

- Jeżeli coś ci się przydarzy, to spróbuję zawrócić do Midlandów. To

bliżej.

Verna mocno szarpnęła go za rękaw.

- Nie! Czy zawsze musisz się sprzeciwiać temu, co mówię? - Patrzyła nań gniewnie przez chwilę, potem złagodniała. - Umrzesz, Richardzie, jeżeli nie będziesz miał Siostry, która nauczy cię korzystania z daru. Sama obroża cię nie uratuje. Musisz mieć Siostrę, żeby Rada'Han spełniła swoją funkcję. Bez Siostry będzie tak, jakbyś miał płuca pozbawione powietrza. To my jesteśmy owym powietrzem. Niektóre z nas już oddały życie, by ci pomóc. Nie pozwól, aby umarły nadaremnie.

Richard zdjął dłoń Siostry ze swojego rękawa i lekko uściśnił.

- Na pewno przejdiesz. Obiecuję, że tak się stanie. Jeśli mogę ci jakoś pomóc, to spróbuję to uczynić. Nie bój się. Nie zwracaj uwagi na to, co widzisz. Czyż nie tak mi mówiłaś?

Verna westchnęła z desperacją i cofnęła dłoń. Odwróciła się.

- Nie wiesz, co widzę. - Obejrzała się przez ramię i spojrzała na chłopaka przymrużonymi oczami. - Nie sonduj mnie, Richardzie. Nie mam na to ochoty. Rób, co mówię.

Verna pospiesznie ruszyła naprzód, a Richard usłyszał tętent końskich kopyt. Zawirowała przecięta błyskawicą ciemność. Chłopakowi trudno się było pogodzić ze spokojem koni. Czyżby naprawdę korzystał z daru, żeby wyczuć, co się tam działo?

Po lewej stronie chłopaka rozdarła się zasłona pyłu. Spoza niej przebiło się światło. Richard się zapatrzył. To były Lasy Hartlandzkie, lasy, które dobrze znał i do których tak bardzo pragnął powrócić. Były tuż przed nim. O krok. Widok tych przepojonych spokojem miejsc wzbudził w chłopaku tęsknotę i uczucie, że w przejściu tam leży jego ocalenie.

Wiedział jednak, iż to złudzenie, urok tęsknoty mający go złapać w pułapkę i skazać na wieczne błędzenie w zakłętej przestrzeni. Zastanawiał się, co by w tym było złego, nawet gdyby to była iluzja. Kochał owe okolice i byłby tam szczęśliwy. Co byłoby w tym złego?

Znów usłyszał swoje wykrzyczane imię. Tętent kopyt był tuż-tuż. Richard odwrócił się gwałtownie - to Chase go wołał.

- Nie zwracaj na to uwagi, Richardzie - burknęła Siostra. - Nie zatrzymuj się.

Chłopak tęsknił za swoim przyjacielem równie mocno, jak za Lasami

Hartlandzkimi. Szedł tyłem i patrzył.

Chase pędził galopem, w rozwianej czarnej pelerynie, jego broń lśniła w bezlitosnym słońcu. Koń był spieniony. Ktoś jeszcze był z Chase'em, siedział przed nim. Richard przymrużył oczy, żeby lepiej zobaczyć Rachel. To normalne - Rachel powinna być ze strażnikiem. I ona krzyczała imię chłopaka.

Richard obserwował pędzącą ku niemu iluzję.

Coś w dziewczynce przykuło uwagę chłopaka. Owo coś sprawiło, że wyczuł obecność Zedda. Wbił oczy w bursztynowy kamień zawieszony na złotym łańcuszku na szyi Rachel. Kamień tak przyciągnął uwagę Richarda, jakby to sam Zedd go wołał.

- Richardzie! - krzyczał Chase. - Nie idź tam! Zedd cię potrzebuje! Zasłona jest rozdarta! Richardzie!

Chase znieacka powstrzymał konia. Chłopak, wpatrzony w iluzję, z wolna postąpił krok do tyłu. Strażnik się uspokoił, już nie krzyczał. Zsiadł z wierzchowca, trzymając w ramionach Rachel, i ze zdziwieniem rozejrzał się wokół. Znow rozdzieliły ich tumany kurzu i Richard z trudem widział przez nie starego przyjaciela. Chase postawił dziewczynkę i trzymał ją za rączkę. Oboje obracali się dokoła, zapatrzeni w pustkę. Richard pomyślał, iż to dziwne zachowanie jak na iluzję, uznał jednak, że to po prostu jeden ze sposobów zachęcania go, by poszedł sprawdzić, czemuż to tak się przyglądają.

Siostra zawołała chłopaka, więc obrócił się ku niej.

- Chodź albo sprawię, iż pożałujesz, że cię tu nie zostawiłam! Nie wolno ci się zatrzymywać! - Szła naprzód, uważnie obserwując obie strony przejścia. - Ten rozstęp zamyka się wokół nas. Szybko, zanim wpadniemy w pułapkę.

Richard obejrzał się. Wizja zniknęła za kłębiącą się ciemnością. Chase i Rachel oddalali się ku czemuś. Mętne chmury rozdzieliły Richarda i obraz jego przyjaciół. Zniknęli.

Chłopak dogonił Siostrę Verne. Zastanawiał się nad przyczyną tak osobliwej wizji. Dlaczego magia wybrała z jego umysłu akurat tych dwoje, by go kusić? Wydawali się tacy realni. Richard miał uczucie, że dotknąłby ich, gdyby tylko wyciągnął rękę. Może magia próbowała go znęcić, aby udał się za kimś, komu powierzyłby życie. Hm, a wszystko zdawało się takie prawdziwe.

Chase był taki zdesperowany.

Uważaj, napomniał się Richard. Oczywiście, że dla niego to było realne. To właśnie cel magii: wszystko ma być tak realne, żeby cię oszukać i wciągnąć w uludę. Inaczej czary nie byłyby skuteczne.

Richard położył dłoń na boku Jessupa, dając koniowi znak, że to on, by się nie wystraszył. Przesuwał rękę po muskularnym ciele zwierzęcia, mijając je i ciągnąc za sobą Bonnie i Geraldine. Poklepał Jessupa po szyi i wyminął go. Ten opuścił łeb i znów zaczął skubać nie istniejącą trawę; wodze wlokły się po ziemi. Chłopak znieruchomiał.

Siostra Verna zniknęła.

Wokół z ogłuszającym hukiem strzeliły błyskawice. Piorun uderzył w ziemię u stóp Richarda. Chłopak uskoczył w bok, by uniknąć kolejnego. Błyskawica uderzyła i włosy Richarda stanęły dęba. Osmalił go żar. W oczach wciąż miał obraz błękitnych i białych zygzaków.

Chłopak zebrał wszystkie wodze w dłoni, wołał Siostrę Verne i szedł, ciągnąc za sobą konie i zapamiętałe rozglądając się na boki. Błyskawica, wydawało się, goniła go - raz po raz uderzała w ziemię tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał.

W powietrzu zapłonęły kule ognia i rozpadały się z gwizdem. Wydawało się, że to powietrze płonie. Dokoła szalały i wyły płomienie. Richard biegł ku lukom po rozproszonych płomiennych kulach, uchylał się przed błyskawicami i ogniem, osłaniał głowę ręką, choć zdawał sobie sprawę, że ta osłona nic mu nie da, jeśli trafi go magiczna błyskawica. Kakofonia dźwięków mogła przyprawić o utratę zmysłów. Czarne kłęby chmur nie pozwalały nic dojrzeć - jeśli w ogóle było tu cokolwiek do zobaczenia. Richard biegł przed siebie, nie zwracając uwagi na kierunek - po prostu starał się unikać błękitnych błyskawic i żółtych płomieni.

Nagle wyrósł przed nim narożnik murów z białego, lśniącego marmuru. Zadyszany Richard przystanął i spojrzał w górę, lecz nie dojrzał szczytu - ten krył się w czarnych chmurach. Znów blisko uderzył piorun i chłopak ruszył biegiem, ciągnąc za sobą konie. Pośrodku ściany widniało łukowate wejście. Richard skręcił za róg - i tu było identyczne.

Biegł i liczył. Każdy z pięciu boków budowli miał około trzydziestu kroków. Na środku każdej ściany znajdowało się łukowate wejście, szerokie na sześć kroków i prawie tak samo wysokie. Richard zatrzymał się obok

takiego wejścia, by złapać oddech. W środku nie było nic; widział podobne otwory w pozostałych ścianach.

Piorun uderzył w ziemię, wzbijając tumany kurzu. Richard zasłonił twarz ramionami. Błyskawice szły ku niemu, gromy rozdzierały mu uszy. Nie miał dokąd uciec. Puścił konie, zanurkował w łukowaty otwór i potoczył się po piasku w środku budowli.

Usiadł, podparł się rękami; cisza aż dzwoniła w uszach. Wnętrze było puste. Powietrze nie prażyło jak na zewnątrz, zdawało się niemal chłodne i pachniało słodko niczym na bujnej łące.

Przez łukowate wejście Richard widział kłębiące się tuż nad ziemią czarne chmury. Błyskawice uderzały dziko, lecz odgłos grzmotów ledwo tu docierał. Konie snuły się powoli, skubiąc niewidzialną trawę.

To pewno jedna z tych Baszt Zatracenia, o których opowiadała Richardowi Siostra Verna. Wewnętrzne ściany wznosiły się wysoko w zalegający tam mrok i były poczerńiałe od ognia życia czarodzieja. Richard przesunął palcem po czarnym nalocie, posmakował. Skrzywił się, czując gorycz. Czarodziej, który zmarł, przelewając życie w ów ogień, nie uczynił tego z własnej woli. Zrobił to, by uniknąć tortur, którymi mu grożono lub którym go poddawano.

Ziemię pokrywał biały piasek, iskrzący się rozszczepionym światłem. Nagromadził się w narożnikach jak śnieg. Richard przypomniał sobie, że już widział taki piasek. W Pałacu Ludu - białe kolisko pośrodku Ogrodu Życia. Rahl Posępny rysował magiczne symbole w owym iskrzącym się piasku, kiedy próbował otworzyć szkatuły Ordenu.

Chłopak chodził tam i z powrotem wewnątrz budowli, usiłując zdecydować, co robić dalej. Tu się wydawało bezpiecznie, ale na jak długo? Wcześniej czy później magia na pewno go odnajdzie. Może pozorne bezpieczeństwo miało go tu zwabić i zatrzymać na zawsze, zbyt przerażonego, by wyjść na zewnątrz. Nie może tutaj zostać. Musi odnaleźć Siostrę. Verna potrzebuje jego pomocy. Na pewno się boi. A on obiecał jej, że i tym razem przejdzie Dolinę Zaginionych.

Dlaczego jednak chce jej pomóc? Przecież uczyniła zeń więźnia. Jeśli ją tu zostawi, będzie wolny. I po co mu ta wolność? Jeżeli Siostra nie nauczy go, jak kontrolować dar, to Richard umrze. A przynajmniej ona tak twierdziła.

Chłopak odwrócił się, posłyszawszy jakiś dźwięk. Z mroku, za jednym z

łukowatych przejść zjawiała się Kahlan. Długie włosy nie spływały jej na ramiona, lecz były splecione w warkocz. Zamiast białej szaty Spowiedniczki nosiła czerwony skórzany strój Mord-Sith.

Richard stał nieruchomo, oddychał ciężko.

- Kahlan, odmawiam myślenia o tobie w ten sposób. Odmawiam nawet w ułudzie wydobytej z mojego umysłu.

Dziewczyna znacząco uniosła brew.

- Czyż nie tego się najbardziej boisz?

- Zmień strój lub znikaj.

Czerwona skóra zamigotała i zmieniła się w białą szatę Spowiedniczki, którą Richard tak dobrze znał. Warkocz się rozplótł.

- Tak lepiej, najmilszy? Obawiam się, że i to cię nie ocali. Przybyłam, by cię zabić. Umrzyj z honorem. Broń się.

Richard dobył Miecza Prawdy. Charakterystyczny brzęk stali odbił się echem od ścian wieży. Zbudziła się magiczna moc klingi, gniew zawrzał w chłopaku. Patrzył na twarz jedynej osoby, która nadawała sens jego życiu, i cierpiał, trawiony nakazem zadania śmierci. Ścisnął palcami ozdobną rękojeść, wypukłe słowo PRAWDA. Zaciskał zęby. Zrozumiał nagle, dlaczego czarodzieje rozniecali ogień życia i ginęli w nim, dlaczego woleli to uczynić, niż znieść, co im zgotowano. Są sprawy gorsze od śmierci.

Richard cisnął miecz do stóp Kahlan.

- Nie uczynię tego nawet w złudzeniu, Kahlan. Wolałbym umrzeć. Zielone oczy spoglądały ze smutkiem i odwieczną mądrością.

- Lepiej, byś był umarł, najdroższy. Nie musiałbyś patrzeć na to, co mam ci ukazać. Przyniesie ci to więcej bólu niż śmierć.

Dziewczyna zamknęła oczy, osunęła się na kolana, pochyliła do przodu i zgięła w głębokim ukłonie. Kiedy głowa Kahlan dotknęła migotliwego piasku, włosy wyglądały jak ucięte krótko, tuż nad karkiem.

- To się musi stać, inaczej Opiekun się uwolni. Powstrzymanie tego pomoże mu, a wtedy dopadnie nas wszystkich. Powtórz te słowa, jeżeli będzie trzeba, ale nie mów o tym widzeniu. - Jednym tchem, nie podnosząc wzroku, powiedziała: - *Kiedy ustąpią mroki, ze wszystkich, co byli, pozostanie jedynie ów zrodzony z magii, by wydobyć prawdę. Potem idzie najmroczniejszy podstęp śmierci. By ocalić więzy życia, kobieta w bieli ma być ofiarowana swojemu ludowi, co przyniesie radość i otuchę.*

Richard stał, wpatrzony w wizję, w tył głowy Kahlan, gdy wokół szyi dziewczyny wykwitł krwawy pierścień. Chłopak wstrzymał oddech. Głowa Kahlan odczołyła się na bok jak odcięta. Ciało osunęło się, krew popłynęła, plamiąc czerwienią białą szatę i biały piasek. Chłopak spazmatycznie wciągnął powietrze.

- Niiieee!

Ciężko dyszał. Czuł, jak paznokcie ranią mu wewnątrz dłoni. Podkulił palce stóp.

To tylko złudzenie, tłumaczył sobie, trzęsąc się. Nic więcej. Złudzenie, które miało go przerazić.

Kahlan patrzyła nań martwymi, pozbawionymi wyrazu, zielonymi oczami. Chłopak wiedział, że to jedynie złudzenie, lecz ta wiedza w niczym mu nie pomagała. Zdrętwiał z przerażenia, w głowie kłębiły mu się wywołane strachem myśli.

Obraz Kahlan zafalował i zniknął, bocznym wejściem wtargnęła do wieży Siostra Verna.

- Richardzie! - wrzasnęła z wściekłością. - Co ty tutaj robisz!? Mówiłam, żebyś się mnie trzymał! Nie potrafisz wykonywać najprostszycch poleceń? Zawsze musisz postępować jak dziecko!?

Postąpiła dwa kroki, twarz miała czerwoną od gniewu.

Serce Richarda tłukło się gwałtownie. Ostatnia wizja sprawiła, iż wręcz poraził go ból i cierpienie. Spojrzał półprzytomnie na Siostrę Verne. Nie był w nastroju pozwalającym na spokojne znoszenie jej zgryźliwości.

- Zniknęłaś. Nie mogłem cię znaleźć. Szukałem, lecz...

- Nie pyskuj! - Jej loki podskakiwały w rytm wrzasków. - Mam już po dziurki w nosie twego gadania! Mówiłam, że mi to nie odpowiada. Moja cierpliwość się kończy, Richardzie. Już się skończyła.

Zamierzał coś powiedzieć, ale obroża szarpnęła go do tyłu i stracił grunt pod nogami. Miał uczucie, iż poderwano go na owiniętej wokół szyi linie. Łupnął o ścianę. Siła uderzenia pozbawiła go tchu i niemal ogłuszyła. Wisiał ponad ziemią, przyszpilony do muru przez Rada'Han. Obroża go dusiła. Usiłował odzyskać ostrość widzenia, jednak bez skutku.

- Czas na lekcję, której już dawno powinnam ci udzielić - warknęła Siostra, idąc ku niemu. - Wystarczająco długo znosiłam twoje nieposłuszeństwo. I nie zamierzam go dłużej tolerować.

Richard walczył o każdy oddech. Wdychane powietrze paliło uciśniętą szyję. Znów widział ostro i skierował wzrok na twarz Siostry Verny. Obudził się w nim gniew.

- Siostro... nie...

Ból odebrał mu głos. Rozpalił się w piersi chłopaka tak gwałtownie, że ten poczuł mrowienie w palcach. Brakowało mu powietrza, by wrzasnąć.

- Dość mam twojego gadania. Nie będę cię dłużej słuchać. Żadnych przeprosin, tłumaczeń, surowych osądów. Od teraz masz robić, co każę, wtedy, kiedy każę, i masz mi oszczędzić twojego zuchwalstwa. - Zrobiła następny krok ku Richardowi. Na twarzy miała groźny grymas. - Zrozumiałeś wreszcie?

Verna sprawiła, że ból stał się jeszcze silniejszy. Chłopak trząsnął się całym, czuł na piersi miażdżący ucisk. Z jego szeroko otwartych oczu płynęły palące łzy.

- Pytałam cię o coś! Pytałam, czy wreszcie zrozumiałeś!? Powietrze wdarło się do płuc biedaka.

- Ostrzegam cię... Siostro Verno... nie czyn tego, bo... - Ostrzegasz mnie!? Ostrzegasz mnie!?

Pierś Richarda przeszył niesamowity ból, nasilający się jeszcze przy każdym oddechu. Chłopak krzyknął. Urzeczywistniały się jego najgorsze obawy. Oto, co przyniosło mu ponowne założenie obroży. Oto, co szykowała dlań Siostra. Oto, co go czekało, jeśli się nie przeciwstawi.

Richard przywołał magię miecza.

Wypełniła go moc, wezwana przez swego pana, moc pełna obietnic, gniewu, pragnienia. Chłopak powitał ją z zadowoleniem, radośnie się przed nią otworzył, pozwalając, żeby jego własny gniew zespolił się z gniewem miecza i wypełnił go. Wściekłość wchłonęła ból, wykorzystwała go do czerpania mocy.

- Nie waż się ze mną mocować, bo sprawię, iż przeklniesz dzień, w którym się urodziłeś!

Znów poraził go przeraźliwy ból. Richard przemienił go we wściekłość. Nie dotykał miecza, lecz nie było mu to potrzebne. Stanowił jedność z jego magicznym gniewem i teraz przyzywał całą tę moc.

- Skończ z tym - zdołał wykrztusić przez zaciśnięte zęby - albo ja to zrobię.

Siostra Verna, wsparta pod boki, podeszła bliżej.

- Teraz mi grozisz? Już cię ostrzegałam, byś tego nie robił. To twój ostatni błąd, Richardzie.

Przeraźliwy ból niemal oślepił chłopaka. Mimo to Richard coś widział. Miecz Prawdy. Leżał na piasku w pobliżu Siostry.

Poszukiwacz ześrodkował magię oręża na mocy przykuwającej go do muru. Więź pękła z głośnym trzaskiem, a Richard odpadł od ściany i potoczył się po piasku.

Jego dłonie odnalazły miecz.

Siostra Verna rzuciła się ku niemu. Poderwał się, zatoczył łuk klingą. Ogarnęło go niepowstrzymane pragnienie przelania jej krwi. Nic innego nie miało znaczenia.

Dawca śmierci.

Nawet nie próbował kierować ruchem ostrza - jedynie przelał w siłę zamachu całe pragnienie zadania śmierci.

Miecz ze świstem ciął powietrze.

Dawca śmierci.

Klinga cięła na wysokości ramion Verny. Gorąca krew trysnęła w chłodne powietrze, jej zapach wypełnił nozdrza Richarda, a widok - oczy chłopaka. Głowa i część ramion Siostry poleciała wysoko w górę. Krew i kości uderzyły o ściany. Dolna część ciała Verny osunęła się miękko na ziemię. Krew wsiąkała w biały piasek, rozlewała się pod zwłokami. To, co pozostało z głowy i ramion, spadło na ziemię dobre dziesięć stóp dalej, wzbijając w górę fontannę białego piasku. Okrwawione wnętrzości leżały daleko od ciała.

Richard opadł na kolana; dyszał ciężko. Ból wreszcie zniknął. Obiecał sobie, że już nigdy nie pozwoli, by mu to znów uczyniono. Nigdy więcej.

Bolał nad tym, co zrobił. To wszystko stało się tak nagle, iż nie miał czasu się zastanowić. Użył magii miecza, by odebrać życie, i teraz magia upomni się o swoje.

Nie przejmował się tym. To było nic w porównaniu z tym, co zeszła nań Verna, z tym, co jeszcze by mu uczyniła. Skoncentrował się na gniewie i ból zniknął.

Lecz cóż miał teraz robić? Potrzebował Sióstr, żeby nauczyły go, jak się posługiwać darem, jak się uchronić przed śmiercią, którą dar mógł nań sprowadzić. Umarłby bez pomocy Siostry Verny. Jakżeż teraz pójdzie do

innych Sióstr i poprosi je o pomoc? Czy i samego siebie skazał na śmierć?

Jednak nie pozwoli im, by go dręczyły. Nie pozwoli.

Richard klęczał, zbierał siły, odpoczywał i próbował się zastanawiać. Tuż przed nim, obok ciała kobiety, leżała owa mała książeczka, którą Verna zawsze upychała za pasem. W której nieustannie coś pisała.

Chłopak podniósł notesik, przekartkował. Strony były puste. Nie, nie wszystkie. Przy końcu znalazł dwie zapisane stronicie.

Jestem Siostrą, której powierzono opiekę nad tym chłopcem. Te zalecenia są pozbawione sensu, wręcz absurdalne. Domagam się wyjaśnienia powodów owych instrukcji. Chcę wiedzieć, z czyjzego upoważnienia zostały wydane.

Wasza w służbie Światłu, Siostra Verna Sauventreen.

Richard zadumał się nad tym, iż Siostra Verna była porywcza także i w słowie pisanym. Spojrzał na drugą stroniczkę. Zapisała ją inna ręka.

Zrobisz, co ci polecono, lub poniesiesz konsekwencje. Nie waż się ponownie kwestionować rozkazów pałacu. Pisałam własną ręką, Ksieni.

Hmm, wyglądało na to, że Siostra Verna wzbudziła gniew nie tylko w Richardzie. Chłopak odłożył książeczkę tam, gdzie przedtem leżała. Siedział i wpatrywał się w ciało Verny, patrzył na to, co uczynił. Cóż ma teraz robić?

Usłyszał westchnienie i podniósł głowę. Ujrzał Kahlan w białej szacie Spowiedniczki, stojącą w łukowatym przejściu. Z wolna potrząsnęła głową; twarz miała smutną.

- A zastanawiałeś się, dlaczego cię odesłałam?

- Nie rozumiesz, Kahlan. Nie wiesz, co ona zamierzała... Cichy śmiech, dobiegający z naprzeciwka, przyciągnął uwagę Richarda. W innym przejściu stał Rahl Posępny w jaśniejących białych szatach.

Chłopak poczuł, jak wypalony na jego piersi odcisk ręki ojca mrowi i pali.

- Opiekun wita cię serdecznie, Richardzie. - Ponury uśmiech Rahla rozszerzył się. - Dumny jestem z ciebie, mój synu.

Richard poderwał się z krzykiem i rzucił ku niemu. Znów pałał gniewem. Runął na Rahla, unosząc miecz.

Jaśniejąca postać zniknęła, kiedy chłopak wpadł w przejście. Rozległ się śmiech - i ucichł.

Na zewnątrz biły wściekle pioruny. Trzy zygzaki mknęły ku chłopakowi przez mrok. Instynktownie uniósł oręż jak tarczę. Piorun uderzył w miecz,

wił się i syczał niczym usidlony wąż. Ziemia pod stopami Richarda zatrzęsa się od grzmotu.

Chłopak zmrużył oczy, chroniąc je przed oślepiającym blaskiem. Zaciskał zęby, z wysiłkiem kierując w dół pałający płynnym ogniem miecz. Ogień tracił na jasności, malał, zbliżając się do ziemi, potem skręcił się, zasyczał i zgasł.

- Wystarczy tych wizji.

Richard gniewnie wsunął klingę do pochwy i połapał pasące się konie. Nie miał pojęcia, dokąd iść, lecz chciał się oddalić od owej wieży, od martwej Siostry. Od tego, co uczynił.

ROZDZIAŁ 32

Błyskawice już się nie pojawiły. Chmury wciąż kłębiły się wokół Richarda, lecz błyskawic nie było. Chłopak szedł, nie zastanawiając się nad tym, dokąd zmierza. Jeżeli wyczuł jakieś niewytłumaczalne niebezpieczeństwo, to je omijał. Z obu stron jego wzrok wabiły rozmaite wizje, ale zdecydowanie je ignorował.

Dotarł do drugiej wieży, którą ledwo dostrzegł w mrocznych obłokach. Przypominała tę pierwszą, jednakże była lśniąco czarna. W pierwszej chwili Richard chciał ją obejść, lecz stwierdził, że bezwiednie podchodzi do jednego z przejść i zagląda do środka. Ziemię wewnątrz pokrywał piasek, który nagromadził się w narożnikach - identycznie jak w tamtej wieży - ale był czarny, nie zaś biały. Lśnił takim samym rozszczępionym światłem jak tamten.

Ciekawość przeważała nad ostrożnością. Richard sięgnął do środka i przesunął palcem po czarnym nalocie na ścianach. Miał słodki smak.

Czarodziej, który przelał swe życie w ów ogień, uczynił to nie po to, żeby oszczędzić sobie mąk, lecz by uratować innych. Ten był altruistą, tamten - niegodziwcem.

Do którego z nich jestem podobny, dumał Richard, jeśli istotnie jestem czarodziejem, bo mam dar? Wolałby myśleć o sobie jako o kimś szlachetnym, jednak dopiero co zabił kogoś, chcąc oszczędzić sobie męki. Lecz czyż nie miał prawa zabić, aby ocalić życie? Czyż musiał umrzeć bez powodu, żeby tym wykazać, iż jest szlachetny?

Kimże był, aby osądzać, który z owych czarodziejów był mądrzejszy, który miał większe prawo postąpić, jak postąpił?

Migotliwy czarny piasek fascynował Richarda. Zdawało się, że wchłania skądś światło, a potem rozświetla wnętrze wieży mieniącymi się kolorami. Chłopak wyjął z plecaka pusty pojemniczek po przyprawach i napełnił go po brzegi czarnym piaskiem. Potem schował naczynie do plecaka zawieszzonego u siodła Geraldine i gwizdnał na Bonnie, która znów się pasła.

Klacz uniosła łeb, nastawiła uszy ku Richardowi. Posłusznie przyklusowała i wsparła łeb o jego ramię, dopraszając się pieszczot. Chłopak wyprowadził konie z wieży i podrapał Bonnie po szyi.

Richard, w koszuli przesiąkniętej potem, przemierzał pospiesznie tę pustynne ziemie. Chciał się wydostać z doliny, zostawić za sobą magię, uroki i wizje. Pot ściekał mu z czoła, kiedy tak szedł, starając się ignorować nawołujące go znajome głosy. Ogromnie pragnął zobaczyć twarze bliskich i kochanych, którzy go wołali, ale nie patrzył. Inne głosy syczały pogroźki i groźby, lecz szedł dalej, nie zatrzymując się. Niekiedy uroki muskały Richarda. Czuł ukłucia gorąca, zimna lub bólu - mijał takie miejsca jeszcze szybciej.

Chłopak otarł pot z czoła i skierował wzrok na spieczoną ziemię przed sobą - ujrzał ślady. Swoje własne ślady. Zdał sobie sprawę, że usiłując uniknąć miejsc budzących uczucie zagrożenia, wizji i głosów, zataczał koła. Jeśli ślady istotnie były prawdziwe. Zaczęło go ogarniać mdlące uczucie, iż magia wciąga go w pułapkę. Może cała ta wędrówka nie przybliżyła go wcale do opuszczenia Doliny Zaginionych. Może i on również się zagubił. Jak ma znaleźć wyjście z tego miejsca? Ciągnął za sobą konie i szedł, coraz bardziej przerażony.

Z ciemnej mgły przed Richardem nieoczekiwanie wyłoniła się wizja, która tak go przerażyła, że zatrzymał się jak wryty. To była Siostra Verna. Snuła się bez celu, ręce miała złożone modlitewnie, oczy wzniesione ku niebu, a na wargach błogi uśmiech. Wbił w nią wzrok.

- Odejdź! Mam już dość tych duchów! Zostaw mnie! - Zdawało się, że go nie słyszy. Niemożliwe, była tak blisko, iż powinna słyszeć. Richard podszedł bliżej: powietrze zrobiło się nagle gęstsze i zamigotało wokół chłopaka, aż wreszcie przebył tę dziwną granicę. - Słyszysz? Słuchaj, co mówię! Powiedziałem, żebyś zniknęła!

Niewidzące piwne oczy zogniskowały się wreszcie na Richardzie. Verna uniosła ramię w geście zakazu.

- Zostaw mnie. Znalazłam to, czego szukałam. Zostaw mnie memu zachwyceniu i błogości.

Odwróciła się, a chłopaka ogarnęło dziwaczne uczucie. Ta Verna nie próbowała go omamić jak poprzednia wizja. Poczuli, jak jeżą mu się włosy.

- Siostrzo Verno? - Byłaby to prawda? Żyła? Może wcale jej nie zabił. Może tamto było tylko złudzeniem. - Odezwij się do mnie, Siostrzo Verno, jeśli to naprawdę ty.

Przyglądała mu się ze zdumieniem.

- Richard?

- Pewno, że Richard.

- Odejdź - szepnęła i uniosła wzrok ku niebu. - Jestem z nim.

- „Z nim”? Z jakim „nim”?

- Jesteś splamiony, Richardzie. Odejdź. - Jeżeli jesteś wizją, to sama odejdź.

Siostra patrzyła nań błagalnie.

- Proszę cię, Richardzie. Przeszkadzasz mi. Nie niszczy tego, co odnalazłam.

- Co odnalazłaś? Czy to Jedidiah?

- To Stwórca - odparła Verna głosem pełnym uwielbienia. Richard zerknął ku niebu.

- Nikogo nie widzę.

Odwróciła się doń plecami i odeszła.

- Pozostaw mnie z nim.

Chłopak nie wiedział, czy to prawdziwa Siostra Verna, czy też iluzja. A może duch martwej Siostry. Która była prawdziwa? Skąd miał to wiedzieć?

Obiecał prawdziwej Siostrze, że i tym razem przebędzie dolinę, a on jej w tym pomoże. Poszedł więc za nią, nim zniknęła w mrocznej mgle.

- Jak wygląda Stwórca, Sostro Verno? Jest młody? Stary? Ma długie włosy? Krótkie? Ma wszystkie zęby?

Odwróciła się ku niemu z wściekłością.

- Daj mi spokój!

Groźna mina Verny sprawiła, iż Richard znieruchomiał.

- Nie. Wysłuchaj mnie, Sostro Verno. Idziesz ze mną. Nie zostawię cię w pułapce tego czaru. Bo to właśnie oglądasz; magiczny urok.

Chłopak doszedł do wniosku, że jeżeli Verna jest duchem, a on ją ze sobą zabierze, to Siostra zniknie, kiedy wydostaną się spod władzy magii owej doliny. Jeśli zaś jest prawdziwa, to ocali ją dzięki temu. Będzie żyła. Choć chciał się od niej uwolnić, to jeszcze bardziej pragnął, by żyła i nie doświadczyła go tak, jak w tamtej wieży. Nie życzył sobie, aby tamta była prawdziwą Siostrą Verna. Powtórnie ruszył ku niej.

Uniosła dłoń, jakby chciała go odepchnąć, choć był dobre dziesięć kroków od niej. Siła uderzenia rzuciła Richarda na ziemię. Chwycił się za pierś i przetoczył, porażony cierpieniem. To był ból jak w tamtej wieży - potężny,

pałacy - lecz szybciej zniknął. Chłopak usiadł, krzywiąc się. Z trudem chwycił oddech, starając się szybko dojść do siebie. Podniósł oczy i sprawdził, gdzie jest Siostra: na wypadek, gdyby znów chciała go skrzywdzić. To, co ujrzał, sprawiło, że wstrzymał oddech.

Siostra ponownie patrzyła w niebo. Ciemna mgła wokół nich wirowała, skupiając się w kształty, widmowe kształty bezcielesnych zionących śmiercią postaci. Po ich obliczach przesuwaly się parujące, zmienne cienie, stapiające się w pałające czerwone ślepie, osadzone w atramentowoczarnych twarzach - gorące jęzory ożywianych nienawiścią płomieni gorejące w wiecznej nocy.

Ramiona Richarda pokryła gęsia skórka. Kiedy był w domu duchów i wyczuł czającego się za drzwiami screelinga, kiedy wyczuł człowieka chcącego zabić Chandalena i kiedy po raz pierwszy spotkał Siostry - za każdym razem czuł wtedy przytłaczające, nie dające się wytłumaczyć niebezpieczeństwo. Teraz odczuwał to samo.

Nie miał najmniejszej wątpliwości, że stwory są częścią magii owej doliny i że ta magia w końcu odnalazła intruza. Jego, Richarda.

- Verno! - wrzasnął. Spojrzała nań gniewnie.

- Mówiłam ci, Richardzie, że powinieneś się do mnie zwracać Siostro Verno...

- Więc to właśnie czynisz swoim podopiecznym? Ranisz ich własną mocą?

Spłoszyła się. - Ależ ja...

- To jest ten twój wieczysty raj? Sprzeczenie się z ludźmi? Ranienie ich? - Uklęknął, zerkając na unoszące się wokół nich kształty. - Musimy się stąd zabierać, Siostro.

- Chcę z nim pozostać. Odnalazłam swoje szczęście.

- Tak ma według ciebie wyglądać raj? To zadawanie bólu? Odpowiedz mi, Siostro Verno! Czy tego żąda od ciebie ten twój Stwórca? Żebyś raniła ludzi, za których jesteś odpowiedzialna?

Verna zagapiła się na chłopaka i podbiegła ku niemu, odzyskując nagle żywość ruchów.

- Sprawiałam ci ból? - Złapała go za ramiona. - Tak mi przykro, dziecko. Nie chciałam tego.

Richard podniósł się i potrząsnął Siostrą.

- Musimy się stąd wydostać, Siostro! Nie wiem jak! Powiedz mi, jak stąd

wyść, zanim będzie za późno!

- Ależ... ja chcę tu zostać.

- Rozejrzyj się, Siostrze Verno! Co widzisz?

Sztywno poruszała głową, przenosząc wzrok z jednego mrocznego kształtu na drugi, a potem na chłopaka. - Richardzie... Chłopak gniewnie wskazał na niebo.

- Patrz, Siostrze! To nie Stwórca! To Opiekun.

Spojrzała, gdzie wskazywał. Wstrzymała oddech i zasłoniła dłonią usta.

Czerwony żar w ślepiach jednego z mrocznych, płynnych stworów przybrał na sile - płonęły teraz jak węgle. Richarda ogarnęło przeczucie niebezpieczeństwa. W mgnieniu oka dobył miecza. Mglista widmowa postać nabrała ciała i kości, wyrosły jej kły i pazury. Zmieniła się w przerażającą bestię, pokrytą ciemną, popękaną skórą o ohydnych ropiejących ranach. Stwór runął na nich z piorunującą szybkością.

Richard wydał przeraźliwy, pełen furii okrzyk. Trzymając oburącz rękojeść miecza, wbił klingę w pierś atakującej go bestii. Ciało i kość zasyczały pod ciosem ostrza. Potwór zsunął się z miecza i uderzył o ziemię jak kubeł brei; jego skórzasta powłoka nie zdołała utrzymać w sobie zawartości. Kropla krwi spadła na ramię Richarda, przepaliła koszulę i oparzyła go. Wnętrze stwora kipiało i pieniało się. Ze zropiałych ran wypełzały robaki.

Siostra Verna patrzyła wielkimi oczami na dymiącą, wrzącą rnaż. Richard złapał ją za włosy i okręcił głowę kobiety, żeby spojrzała na otaczające ich potwory.

- To jest według ciebie raj? Patrz! Patrz na nie!

Ciągnął Verne za sobą, a ciemna, wodnista krew, wypływająca z bestii, zapaliła się. Z płomieni buchał kwaśny, oleisty, czarny dym. Richard przypomniał sobie słowa Siostry o wycofywaniu się w jeszcze gorsze niebezpieczeństwo i zatrzymał się. Poczł swąd przypalonego ciała - zdał sobie sprawę, że to on się pali, i napluł na dymiący, bolesny ślad po kropli krwi monstrum na swoim ramieniu.

Rozejrzył się pospiesznie. Za nim było więcej kształtów. Kolejny z nich zmieniał się w potwora, tym razem z rozszczepionymi kopytami i szerokim pyskiem. Zawiazki ostrych jak brzytwy zębów rosły i zakrzywiały się, stając się groźną bronią. Potwór prychnął i zaatakował. Richard opuścił miecz na

łeb usiłującej go ubóść bestii. Stwór zaskowyczał i ciężko padł na ziemię. Kiedy beczkowate cielsko dotknęło gruntu, zmieniło się w kłębowisko węży. Gady rozdzieliły się. Na chłopaka patrzyły setki gorejących oczu. Czerwone języki badały powietrze, a cielska w złote i czarne pasy sunęły ku nim.

Richard nie sądził, że to bezcielesne iluzje. Boleśnie piekło miejsce na ramieniu, poparzone kroplą krwi potwora. Węże zasyczały. Niektóre uniosły się, by uderzyć, odsłaniając ociekające jadem kły.

- Musimy stąd odejść, Richardzie. Chodź, dziecko.

Odwrócili się i pobiegli; mgliste kształty ruszyły za nimi. Richard poczuł, że mija zgęstniałe powietrze, które zamigotało wokół niego.

Siostra Verna krzyknęła. Odwrócił się i zobaczył, iż upadła tuż przed wężami. Poderwała się i znów spróbowała biec, lecz nie mogła się wydostać. Powietrze było dla niej jak szklana tafla.

Verna stała przez chwilę bez słowa, uspokoiła się. Splotła dłonie.

- Ten czar uwięził mnie, Richardzie. Nie mogę z niego wyjść. Pochwycił mnie i teraz rozpoznaje. Już dla mnie za późno. Uratuj się. Uciekaj. Beze mnie masz szansę. Pospiesz się. Odejdź.

Wydawało się, iż węży jest o wiele więcej niż na początku. Wyglądało, jakby ziemia ożyła. Otaczały Richarda. Ciął mieczem i pozbawił głów trzy najbliższe.

Bezgłowe cielska skręciły się i zmieniły w setki wielkich, połyskujących insektów w czarne i brązowe pasy. Rozbiegły się we wszystkich kierunkach. Niektóre dostały się do nogawki Richarda. Energicznie ruszał nogami, usiłując je strząsnąć. Każde ukąszenie było jak dotknięcie rozżarzonych węgli. Tupał, by się ich pozbyć. Kolejne insekty wyroiły się z ziemi w miejscu, gdzie zabił węże. Ich ciała w twardych okrywkach uderzały o siebie, szeleszcząc niczym zeschnięte liście wydobywające się spod spieczonej ziemi.

Richard - unikając chrzęszczących owadów i wijących się węży - ponownie wszedł w iskrzące się powietrze.

- Nie poradzę sobie bez ciebie. Idziesz ze mną.

Zamknął Siostrę Verne w ramionach i wysuwając przed siebie miecz, rzucił się na iskrzącą się zaporę. Początkowo przeszkoda była nie do przebycia, potem jednak powietrze wokół nich eksplodowało połyskliwymi rozbłyskami. We wszystkie strony rozbiegły się świetliste linie, jakby popękało szkło. Buchnęły iskry, rozległ się trzask gromu. Rozbiegające się

iskry wyhamowały i opadły na ziemię jak płaty śniegu. Zgasły, gdy dotknęły gruntu. Richard i Verna minęli zniszczoną zapórę, uwolnili się z uroku.

Mroczne kształty ciągnęły za nimi. Węże również. Pod butami chłopaka trzeszczały i strzelały rozdeptywane pancerze insektów.

Richard mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

- Odejdźmy stąd.

Verna zrobiła dwa kroki i znieruchomiała.

- Co się stało?

- Nie mogę wyczuć drogi - szepnęła. - Nie potrafię wyczuć luk między urokami, Richardzie. - Odwróciła się ku niemu. - Czujesz coś? - Chłopak potrząsnął głową. - Próbuj! Staraj się wyczuć mniej niebezpieczne miejsca.

Richard zatupał energicznie, żeby strząsnąć insekty z nóg, i otarł jednego z twarzy. Węże wciąż wydobywały się z ziemi w miejscu, gdzie padł potwór. Tryskały w górę niczym bijące źródło.

- Nie mogę. Wszędzie czuję niebezpieczeństwo. Jednakowe. Którędy iść!?

Verna zacisnęła pięść na spódnicy.

- Nie wiem.

Richard usłyszał krzyk. Znajomy głos przykuł jego uwagę, zanim się zdążył powściągnąć. Kahlan stała tam, skąd wpełzały węże. Poruszały się po niej, jakby była skałą w kłębowisku gadów. Wyciągnęła ku niemu ramiona.

- Richardzie! Pomóż mi! Powiedziałeś, że zawsze będziesz mnie kochać! Błagam cię, Richardzie! Nie zostawiaj mnie tak! Nie wydawaj mnie na łup węży! Pomóż mi!

- Co widzisz, Siostrze Verno? - wyszeptał chłopak drżącym głosem.

- Jedidiaha - odparła spokojnie. - Obeszły go węże. Chce, bym mu pomogła. Oby Stwórca się nad nami zlitował.

- Czemu miałby to uczynić akurat teraz?

- Nie bluźnij.

Richard zmusił się do odwrócenia oczu od wizji Kahlan. Złapał Verne za ramię i odeszli stamtąd. Obserwowali unoszące się wokół nich kształty i usuwali się im z drogi. Unikali węży. Nie mogli jednakże nie następować na wielkie owady. Chłopak wiedział, że takie poruszanie się na oślep może być niebezpieczniejsze od stania w miejscu, zwłaszcza teraz, kiedy magia ich odnalazła, a mimo to nie potrafił się zatrzymać. W końcu dotarli do miejsca,

gdzie, przynajmniej na razie, nie było ani węży, ani insektów.

- Mamy coraz mniej czasu. Czujesz coś już? Wyczuwasz znowu drogę?

- Nie. Przykro mi, Richardzie. Nie wypełniłam obowiązku, zawiodłam Stwórcę. Wydałam nas na śmierć.

- Jeszcze nie.

Chłopak gwizdnął na konie. Przykłusowały; mroczne stwory w ogóle nie zwróciły na nie uwagi. Bonnie ocierała łeb o Richarda, aż się musiał cofnąć o krok. Verna ujęła wodze Jessupa i ruszyła, prowadząc go.

- Nie! Richard wskoczył na Bonnie. Strząsnął z nogawki dwa insekty. - Wskakuj na siodło. Szybko!

Siostra Verna wytrzeszczyła nań oczy.

- Ależ Richardzie, nie możemy jechać konno. Już ci to mówiłam. To głupie zwierzaki. Wystraszą się i poniosą nas w nawałnicę uroków. Nie pokierujemy nimi bez wędzideł!

- Mówiłaś, Siostrze, że czytałaś *Przygody Bonnie Day*. Pamiętasz, jak trójka bohaterów zabierała rannych w bezpieczne miejsce? Jak dotarli do zatrutej rzeki, której nie można było przebyć? Co wówczas powiedzieli? Powiedzieli, że owi ludzie powinni wierzyć, iż to jest możliwe. Bonnie, Geraldine i Jessup przeprowadzili ich przez rzekę. Okaż zaufanie, Siostrze. Dosiądź go. Szybko!

- Chcesz, bym zrobiła coś, co ściągnie na nas śmierć, bo wyczytałaś w książce jakieś głupstwo!? Musimy iść pieszo!

Bonnie potrząsała łbem i tańczyła w miejscu. Richard ściągnął wodze, żeby ją powstrzymać.

- Nie znasz drogi. Ja również. Umrzemy, jeśli tu zostaniemy.

- Więc cóż da nam jazda konna!? - Szarpnęła wodze, by uspokoić Jessupa; koniowi udzieliło się podniecenie Bonnie.

- Co robiły cały dzień, Siostrze, jeśli im na to pozwoliliśmy?

- Skubały trawę, której tu wcale nie ma. Mają wizje!

- Czyżby? Skąd wiesz? A może to my mamy wizje? Widzimy iluzję? Może zwierzęta widzą to, co tu naprawdę jest. Ruszamy!

Mroczne stwory podpląnęły bliżej. Ich ślepie zapłonęły jaskrawszą czerwienią. Siostra Verna spojrzała na nie, potem podciągnęła się na siodło.

- Ale...

- Miej choć trochę wiary. Siostrze. - Bonnie tańczyła, nie mogąc się doczekać biegu. - Obiecałem, iż cię ocalę, i zamierzam dotrzymać obietnicy.

Ja poprowadzę. Nie zostawaj w tyle.

Richard trącił klacz obcasami i krzyknął rozkaz. Bonnie puściła się galopem. Dwa pozostałe konie ruszyły za nią. Chłopak pochylił się na szyję wyciągniętej w biegu Bonnie. Wodze trzymał luźno, nie próbował nią kierować. Wolał patrzeć na jej uszy niż na to, co leżało przed nimi. Nie chciał w żaden sposób wpływać na klacz.

- Richardzie! - wrzasnęła z tyłu Verna. - Na Stwórcę, patrz, którąś jedziesz! Nie widzisz, dokąd prowadzisz tego konia!?

- Wcale nim nie kieruję - krzyknął poprzez łomot kopyt. - Sam wybiera drogę!

Siostra dopędziła go, brwi miała energicznie zmarszczone.

- Straciłeś rozum? Spójrz, dokąd cię wiezie!

Richard zerknął. Na łeb na szyję gnali wprost na skraj urwiska.

- Zamknij oczy, Sostro. - Czyś ty stracił...

- Zamknij oczy! To złudzenie. Wizja zrodzona ze strachu wspólnego nam wszystkim, z lęku przed upadkiem. Tak jak wtedy, gdy oboje widzieliśmy węże.

- Węże były prawdziwe! Zabijemy się teraz, jeżeli się mylisz!

- Zamknij oczy. Jeśli przepaść naprawdę tu jest, to konie zatrzymają się na skraju urwiska. - Miał nadzieję, że tak się rzeczywiście stanie.

- Chyba że przepaść naprawdę istnieje, a magia ukáže im równą drogę, byśmy zginęli!

- I tak umrzemy, gdy się zatrzymamy! Nie mamy wyboru! Usłyszał, jak zaklęła, szarpiąc w lewo lejce i usiłując zawrócić

konia, ale Jessup został przy Bonnie. Była przewodniczką stada, Jessup i Geraldine nie opuszczą jej.

- Mówiłam ci, że niszczenie wędzideł to głupi postępek! Nie mamy nad nimi władzy! Ponoszą nas!

- Obiecałem, iż cię uratuję! Zniszczenie munsztuków ocali ci teraz życie. Mam zamknięte oczy. I ty je zamknij, jeśli chcesz żyć!

Siostra Verna milczała. Trzy konie pędziły przed siebie. Richard mocno zaciskał powieki. Wstrzymał oddech, kiedy, według jego oceny, dotarli na skraj przepaści. Modlił się, żeby były przy nim teraz dobre duchy. Domniemane runięcie w dół sprawiło, że czuł mrowienie w nogach. Usiłował nie myśleć o tym, jak wyglądałoby to spadanie. Był wspólny strach.

Chłopak uświadomił sobie, iż z całych sił wczepia się w grzywę Bonnie. Rozluźnił palce, lecz nie otworzył oczu.

Nie spadli.

Trzy konie nadal galopowały. Richard nie próbował ich przyhamować, pozwolił zwierzętom zachować obrane przez siebie tempo. Przez cały dzień skubały trawę, co dało im siły i swawolny nastrój. Chłopak czuł, jak się cieszą tym galopem. Pędziły dla samej radości, jaką to w nich budziło.

Po jakimś czasie dotarło do Richarda, że zmienił się odgłos uderzeń kopyt. Już nie był taki ostry, stukały bardziej miękko.

- Richardzie! Wyjechaliśmy z doliny!

Chłopak obejrzał się przez ramię - na horyzoncie kłębiły się czarne burzowe chmury. Żłociste słońce stało nisko nad trawiastą, falistą połącią. Konie zwolniły do cwału.

- Jesteś pewna? Jesteś pewna, że się stamtąd wydostaliśmy? Kiwnęła potakująco głową.

- To Stary Świat. Znam tę okolicę.

- Ale to wciąż może być iluzja, żebyśmy w to uwierzyli i pozwolili się złapać, nim naprawdę opuścimy dolinę.

- Czy zawsze musisz kwestionować moje słowa? Czuję to dzięki Han. To nie złudzenie. Bezpiecznie wydostaliśmy się z doliny i pozostawiliśmy za sobą jej magię. Teraz nas nie dosięgnie.

Richard zastanawiał się przez chwilę, czy Verna nie jest aby wizją, lecz i on czuł, że niebezpieczeństwo zniknęło. Pochylił się i serdecznie uściskał rozgrzaną szyję Bonnie.

Wjeżdżali pomiędzy rozległe, pozbawione drzew, porośnięte kępami traw i dzikich kwiatów wzgórze. Zagłębienia usiane były rudawymi skałkami. Słońce grzało mocno, jednak nie paliło już ziemi. Richard roześmiał się w owiewający mu twarz wiatr. Uśmiechnął się do Siostry Verny, lecz ona nie odwzajemniła uśmiechu. Z gniewnie zmarszczonym czołem obserwowała wzniesienia.

- Pozbądź się tego uśmiechu - prychnęła.

- Po prostu cieszę się, że się nam udało. Cieszę się, że żyjesz, Siostro.

- Gdybyś wiedział, Richardzie, jaka teraz jestem zła na ciebie, to byś się tak nie cieszył, iż nadal jestem przy tobie. Potraktuj poważnie tę radę: oddasz sobie wielką przysługę, jeśli zapanujesz nad własnym językiem.

Chłopak tylko potrząsnął głową.

ROZDZIAŁ 33

Musisz mi odciąć ramię.

Zedd opuścił rękaw błękitnej jak niebo atlasowej sukni, zasłaniając nie gojącą się ranę i zielonkawe ciało.

- Nie obetnę ci ręki, Adie. Ile razy mam to powtarzać?

Postawił kryształową lampę na bocznym, inkrustowanym srebrem w kwietne wzory stoliku, obok tacy z ciemnym chlebem i nie dojedzoną potrawką z jagnięcia. Potem przeszedł po dywanach ku oknu i chudym palcem rozsunał odrobinę ciężkie haftowane zasłony. Nic nie widząc, patrzył przez zamarznięte szyby na ciemną ulicę. Otwartymi podwójnymi drzwiami wpadał do pomieszczenia ciepły, przytłumiony blask płonącego w pierwszym pokoju ognia. Komnaty były czarownie spokojne, zważywszy na tłumy w jadalni na dole.

Pomimo pełni zimy, a może właśnie dlatego, Pod Baranim Rogiem interesy szły znakomicie. Otwarte drogi nie były dobrym miejscem do spania w taki mróz i śnieg, a handel nie mógł ustać tylko z powodu nieodpowiedniej pogody. Kupcy, woźnice i wszelkiego rodzaju podróżni tłoczyli się w tym zajeździe i w innych gospodach Penverro.

Zedd i Adie mieli szczęście, że udało im się znaleźć kwatery. A może to właściciel zajazdu miał szczęście, iż znalazł się ktoś gotowy zapłacić wygórowaną cenę za najlepsze pokoje.

Podana cena nie przerażyła Zedda. Wyprodukowanie złota na zapłatę nie sprawiało czarodziejowi pierwszego stopnia żadnych trudności. Zedd miał na głowie prawdziwe kłopoty. Rana zadana pazurem skrina nie chciała się goić. Prawdę mówiąc, wyglądała coraz gorzej. Dalsze leczenie magią nie przyniosłoby nic dobrego, bo to właśnie magia była powodem tego wszystkiego.

- Słuchaj, co mówię, stary. - Adie uniosła się, podparła łokciem. - Tylko w ten sposób można to powstrzymać. Próbowaleś i doceniam twoje wysiłki, lecz umrę, jeśli nie znajdziemy na to rady. Czymże jest jedno ramię w porównaniu z życiem? Jak nie masz odwagi, to daj mi nóż. Sama to zrobię.

Łypnął na nią groźnie przez ramię.

- Nie wątpię w to, miła damo. Obawiam się jednak, iż nic by to nie dało.

- Co to znaczy? - spytała ochryłym szeptem.

Zedd wziął z ozdobionej na brzegach misy kawałek wystygłej jagnięciny i wsunął do ust. Uniósł nieco swe bogate szaty, po czym przysiadł na skraju łoża. Ujął zdrową dłoń Adie. Wydawała się szczupła i krucha, ale czarodziej wiedział, że w gruncie rzeczy to żelazna dama.

- Czy znasz kogoś, Adie, kto wie co nieco o takim kolorku? Zignorowała to pytanie.

- Dlaczego powiedziałaś, że nic by to nie dało? Zedd poklepał jej dłoń.

- Odpowiedz mi. Znasz kogoś, kto wie cokolwiek na ten temat? - Musiałabym sobie przypomnieć, chociaż wątpię, czy taki ktoś jeszcze żyje. Jesteś czarodziejem: któż mógłby wiedzieć więcej od ciebie? Czarodzieje są uzdrowicielami. - Cofnęła rękę. - No i dlaczego powiedziałaś, że obcięcie ramienia nic by nie dało? - Milczała przez chwilę, potem oczy jej się rozszerzyły. - Uważasz, że już za późno...

Zedd wstał i odwrócił się od niej. Wsparł dłoń na kościstym biodrze i rozważał różne możliwości. Nie bardzo było co rozważać.

- Przypomnij sobie, Adie, i to szybko. To poważna sprawa, a ja nic o tym nie wiem.

Czarodziejka opadła na poduszki, łoże zaskrzypiało. Westchnęła ze znużeniem.

- No to umrę. Przynajmniej mój duch nareszcie połączy się z Pellem. Dalej musisz iść sam. I tak za bardzo spowolniłam twój marsz, zbyt wiele dni przeleżałam w tym łożu. Musisz dostać się do Aydindril. Błagam, Zeddzie, nie pozwól, bym stała się przyczyną tego, co się wydarzy, jeśli tam nie dotrzesz. Zostaw mnie mojemu losowi i idź pomagać Richardowi.

- Adie, rób, o co proszę, i przypominaj sobie. Kto mógłby nam pomóc?

Zedd zbyt późno zdał sobie sprawę ze swego przejęzyczenia. Skrzywił się i czekał na to, co nieuniknione.

Sprężyny łoża znów zaskrzypiały.

- Nam?

- Ja tylko...

Złapała go za rękaw eleganckiej szaty i okręciła ku sobie. Minę miała groźną. Szarpnęła ubranie, zmuszając Zedda, żeby usiadł obok niej. W blasku lampy oczy Adie były raczej różowe niż białe, czarodziej widział w nich także zielonkawą mgiełkę.

- Nam? - powtórzyła. Chrypiała gniewnie. - I ty się ośmielasz uskarżać, że czarodziejki zachowują dla siebie swoje drobne sekrety! Gadaj albo pożałujesz, iż mnie tu ze sobą przywlokłeś.

Tym razem to Zedd westchnął ze znużeniem. Choć może to i lepiej; i tak nie mógłby tego dłużej przed nią ukrywać. Podciągnął ciemny rękaw swojej szaty.

Na przedramieniu czarodziejki, w tym samym miejscu, gdzie skrin zranił Adie, widniały czarne placki wielkości złotych monet, a skóra połyskiwała zielono tak jak skóra czarodziejki. Patrzyła na to z pozorną obojętnością.

- Czarodziejki wykorzystują do leczenia ludzi magię empatii. Przyjmujemy na siebie ból i przyczynę dysonansu, chorobę lub uraz. Przeszliśmy próbę bólu, więc potrafimy wytrzymać to, co przejmujemy od innych. Korzystamy z naszego daru, żeby dodać sił sobie i leczonemu, żeby magia naprawiła to, co się odchyliło od normy. Panująca w nas harmonia koryguje brak równowagi. Choroba czy rana to zaburzenia, magia przywraca właściwy przepływ energii. - Zedd pogłaskał dłoń Adie. - W pewnych granicach, rzecz jasna. Nie mamy mocy tworzenia. Jednak Stwórca ofiarował nam dar, byśmy zeń korzystali tam, gdzie to możliwe.

- Ale... dlaczego twoje ramię jest takie jak moje?

- Faktyczne przenoszenie choroby lub urazu jest zablokowane. Przyjmujemy jedynie ból i brak harmonii, żebyśmy mogli leczyć potrzebującego pomocy i przywrócić mu zdrowie. - Złapał srebrny brokatowy mankiet i opuścił rękaw, zasłaniając przedramię. - Skrinowa zaraza jakoś przedostała się przez tę barierę.

Adie się zatroskała.

- No to oboje musimy stracić ramię.

Zeddowi zaschło w ustach; poruszył kilka razy językiem, żeby pobudzić ślinianki.

- Nie. Boję się, iż nic by to nie dało. Kiedy staram się kogoś wyleczyć, wyczuwam, gdzie tkwi choroba, uraz czy brak harmonii. - Znów wstał i obrócił się tyłem do Adie. - Zranił cię w ramię, lecz magia skrina skaziła całe twoje ciało. - Zniżył głos do szeptu. - A teraz i moje.

Zedd słyszał stłumiony śmiech, dobiegający z jadalni na dole. Wesoła muzyczka przesączała się przez zaścielające podłogę wytworne, barwne kobierce. Bard wyśpiewywał sprośną opowiastkę o księżniczce

przebierającej się za kelnereczkę. Król ojciec obiecał ją księciu, którego nienawidziła. Wykazała, że konkurent to kanalia i zachłanny oportunistą, a potem stwierdziła, iż pomimo podszczypywania woli być kelnereczką niż księżniczką, i zaczęła wieść życie pełne śpiewów oraz tańców. Tłum ryczał z aprobatą, waląc do taktu kuflami o stoły.

- Mamy duże kłopoty, stary - rozległ się za plecami Zedda cichy głos Adie.

- Istotnie - przytaknął z roztargnieniem.

- Przykro mi, Zeddzie. Wybacz, że to wszystko na nas ściągnęłam.

Skwitował to machnięciem ręki.

- Co się stało, to się nie odstanie. To nie twoja wina, miła damo. Już raczej moja, bo nie pomyślałem, zanim wykorzystałem magię. To skutek posłużenia się najpierw sercem, a nie głową. - I cena za złamanie drugiego prawa magii, pomyślał Zedd, lecz nie powiedział tego na głos. Obrócił się ku niej, aż zawirowały ciężkie fałdy jego szat. - Przypomnij sobie, Adie. Musi być ktoś, kto wie coś o tej skazie, ktoś, kto się zna na skrinach. Może ktoś, kogo odwiedziłaś, poszukując wiedzy o zaświatach? Niechby wiedział choć odrobinę, może wystarczyłoby mi to, żeby nas od tego uwolnić.

Adie zadumała się i zagłębiła w poduszki. W końcu pokręciła głową.

- Byłam młoda, kiedy odwiedzałam owe mające dar kobiety. One były stare, a przynajmniej starsze ode mnie. Z pewnością już poumieraly.

Zedd podszedł do niej.

- Czy któreś z nich miały córki? Córki mające dar?

Adie spojrzała mu w oczy, uniosła brwi, a na jej poznaczonej delikatnymi zmarszczkami twarzy pojawił się uśmiech.

- Tak! Córki miała ta, która nauczyła mnie najważniejszych rzeczy o skrinach. - Podparła się na zdrowym łokciu. - Trzy córki. - Uśmiechnęła się szerzej. - Wszystkie miały dar. Wtedy były małe, ale na pewno miały dar. Powinny mieć prawie tyle lat co ja. Jeżeli ich matka żyła dostatecznie długo, to przekazała im swoją wiedzę. Tak postępują czarodziejki.

Obca magia pulsowała boleśnie w jego kościach, lecz owa wieść przywróciła Zeddowi lekkość ruchów.

- Musimy do nich pojechać! Gdzie są?

Adie skrzywiła się i opadła na poduszki. Podciągnęła koc.

- W Nikobarezji. W odległym zakątku Nikobarezji.

- O kurczę - westchnął Zedd. - To daleka droga w złym kierunku.

Pogładził gładko wygoloną szczękę kciukiem i palcem wskazującym. - Może przypomnisz sobie jeszcze kogoś?

Adie szeptała do siebie, odchylając jeden po drugim palec.

- Synowie - mruknęła. - Ona miała tylko synów. - Odgięła kolejny palec. - Nie, ta nic nie wiedziała o skrinach. - W końcu wyprostowała ostatni palec. - Bezdzienna. - Opuściła ręce. - Przykro mi, Zeddzie. Jedynie te trzy siostry mogą coś wiedzieć, a one są w Nikobarezji.

- A gdzie tego wszystkiego dowiedziała się ich matka? Może tam moglibyśmy pojechać.

Adie wygładziła koc na brzuchu. Potem opuściła rękę.

- Jedno światło wie. Znam wyłącznie jedno miejsce, w którym możemy szukać odpowiedzi: Nikobarezję.

Czarodziej wycelował w niebo kościsty palec.

- No to ruszamy do Nikobarezji! Adie spojrzała nań niepewnie.

- W Nikobarezji jest Bractwo Czystej Krwi. Na pewno pamiętają moje imię. I nie wspominają go czule.

- To było strasznie dawno temu, Adie. Dwóch królów temu.

- Czas nie ma znaczenia dla bractwa. Zedd zamyślił się, potarł brodę.

- Hmm, nikt nie wie, kim jesteśmy. Zatailiśmy naszą tożsamość, żeby się ukryć przed Opiekunem. Nadal będziemy bogatymi podróżnymi. - Łypnął na nią groźnie. - Już przecież noszę te śmieszne szaty.

Wspaniałe stroje, w które oboje się ubierali, były pomysłem Adie. Nie należały do tych, które podobały się Zeddowi. Adie wzruszyła ramionami.

- Wygląda na to, że nie mamy wyboru. Jak mus, to mus. - Sapiąc z wysiłku, usiadła na łożu. - Musimy ruszać.

Zedd powstrzymał ją gestem.

- Jesteś słaba i potrzebujesz wypoczynku. Załatwię nam transport. Nie możemy już jechać konno. Wynajmę powóz albo coś w tym rodzaju. - Znacząco uniósł brew i uśmiechnął się do niej szelmowsko. - W końcu, jeśli już mamy nosić te bogate szaty i udawać zamożnych podróżnych, to powinniśmy korzystać z powozu.

Adie patrzyła, jak się przegląda w wysokim stojącym lustrze. Rozłożył na boki szatę, oceniając jej obszerność. Strój Zedda uszyty był z ciężkiej bordowej tkaniny, miał czarne rękawy i bufiaste ramiona. Mankiety zdobiły trzy naszywki ze srebrnego brokatu. Wycięcie przy szyi i przód ozdabiały

wzory ułożone z pasów złotego brokatu. Stan otaczał pas z połyskliwego czerwonego aksamitu, spięty złotą klamrą. Wystawność stroju sprawiała, że Zedd wył w duchu.

Ale cóż, jak trzeba, to trzeba. Czarodziej zgiął się w unizonym pokłonie.

- Jak wyglądam, miła damo?

Adie wzięła z tacy kromkę ciemnego chleba.

- Idiotycznie.

Wyprostował się gwałtownie i pogroził jej palcem.

- Pozwalam sobie przypomnieć, że to ty wybrałaś mi ów strój.

- To rewanz. - Wzruszyła ramionami. - Ty wskazałeś mój. Uznałam, iż należy mi się zadośćuczynienie.

Zedd, szumiąc szatą, ruszył po zbyt kochanych kobiercach, mruczając, że i tak o wiele lepiej wyszła na tym interesie.

- Odpuść sobie. Rozejrzę się za jakimś pojazdem.

Adie odgryzła kęs chleba i odezwała się z pełnymi ustami, pouczając spieszącego ku drzwiom czarodzieja:

- Nie zapomnij kapelusza.

Zedd znieruchomiał i wykrzywił się. Obrócił się ku niej na pięcie.

- Kurczę, kobieto! Czyż muszę nosić i kapelusz!?

Pogryzła i połknęła chleb.

- Człowiek, który sprzedał nam ten strój, mówił, iż to ostatni krzyk mody wśród możnych panów.

Czarodziej westchnął głośno i złapał miękki czerwony kapelusz, leżący na marmurowym stoliku przy dwuskrzydłowych drzwiach. Wcisnął go na faliste, siwe włosy.

- Tak lepiej?

- Piórko się przekrzywiło.

Zedd zacisnął pięści. W końcu opanował się i poprawił miękkie nakrycie głowy, wyprostowawszy długie pawie pióro.

- Zadowolona?

Uśmiechnęła się, a on uznał, że to z niego się śmieje, bawi się jego kosztem.

- Powiedziałaś, iż wyglądasz idiotycznie, jedynie dlatego, że jesteś taki przystojny, Zeddzie. Te fantastyczne szaty śmiesz, chcąc cię jeszcze upiększyć.

Uśmiech wrócił na twarz czarodzieja. Skłonił się.

- Dziękuję, o pani.

Złamała na pół kromkę chleba.

- Bądź ostrożny, Zeddie. - Przekrzywił głowę, marszcząc się pytająco. -
Ktoś może cię podszczypywać, skoro przebrałeś się jak księżniczka z pieśni.

Czarodziej mrugnął do niej łobuzersko.

- Nie pozwolę, żeby jakaś przybłęda wdarła się na twoje terytorium.

Przekrzywił zawadiacko kapelusz i wyszedł, nucąc beztrosko. Laska,
pomyślał. Może powinienem mieć laskę. Bardzo ozdobną, rzecz jasna.
Dżentelmen powinien mieć odpowiednią laskę.

ROZDZIAŁ 34

Na schodach czuło się ciepłe powietrze z jadalni i słychać było gwar płynący z zatłoczonego pokoju. Dolatujące z kuchni aromaty pieczystego mieszały się ze słodkim zapachem fajczanego dymu. Schodzący po schodach Zedd pomasaował brzuch i zastanowił się, czy nie poświęcić paru chwil na skosztowanie jakiegoś dania.

Na podeście stał wysoki kosz z trzema laskami. Zedd wyjął zeń najozobniejszą - prostą, czarną laskę z wymyślnym srebrnym uchwytem. Postukał nią o drewniany podest, badając długość i ciężar. Odrobinę za ciężka, pomyślał czarodziej, ale będzie odpowiednim dodatkiem do stroju.

Właściciel zajazdu, pan Hillman - pulchny mężczyzna z podwiniętymi powyżej łokci rękawami, odziany w oślepiająco biały fartuch - dostrzegł Zedda, kiedy ten dotarł do stóp schodów, i natychmiast pospieszył ku niemu przez jadalnię, odsuwając z drogi gości. Pufały uśmiezek sprawił, iż pulchne, różowe policzki pana Hillmana wydały się jeszcze obfitsze.

- Pan Rybnik! Jakże miło znów pana widzieć!

Zedd o mało się nie odwrócił, by zobaczyć, do kogo mówi okrągłutki właściciel, lecz w porę przypomniał sobie, że to on sam podał takie nazwisko. Powiedział właścicielowi zajazdu, iż nazywa się Ruben Rybnik, a Adie przedstawił jako swoją żonę Eldę. Czarodziej zawsze lubił imię Ruben. Ruben. Z upodobaniem powtórzył to słowo w myślach. Ruben.

- Proszę do mnie mówić Ruben, panie Hillman.

- Ależ oczywiście, panie Rybnik, ależ oczywiście - przytaknął tamten, kołysząc głową.

Zedd uniósł laskę.

- Stwierdziłem właśnie, że przydałaby mi się laska. Czy wyświadczy mi pan przysługę i zgodzi się rozstać z tą oto?

Hillman szeroko rozpostarł ramiona.

- Dla pana wszystko, panie Rybnik. Wyrabia je mój bratanek, a ja pozwalam je tu wystawiać dla moich uprzywilejowanych gości.

To szczególna i kosztowna laska. - Zedd zrobił sceptyczny grymas, więc Hillman podszedł bliżej, podniósł laskę. Nachylił się ku czarodziejowi i powiedział w zaufaniu: - Pozwoli pan, że pokażę, panie Rybnik. Nie

demonstrowałem tego nikomu. Mogłoby im to ukazać mój zajazd w niewłaściwym świetle, pojmuje pan. O, widzi pan? Przekręca się i otwiera na tym srebrnym pasie. - Oddzielił odrobinę obie części i ukazało się lśniące ostrze. - Prawie dwie stopy keltońskiej stali. Dyskretna ochrona dżentelmena. Wątpię jednak, czy do codziennego użytku zechce pan tak kosztowną...

Zedd schował ostrze, przekręcił - precyzyjne zamknięcie zadziałało z cichym szcęknięciem i laska znów stanowiła całość.

- Świetnie się nada. Podoba mi się. Nie jest zbyt krzykliwa. Proszę dopisać jej cenę do rachunku za pokój.

Zamożni dżentelmeni nie pytają o cenę. Hillman potakująco pokiwał głową.

- Oczywiście, panie Rybnik. Oczywiście. Pozwolę sobie zauważyć, że to znakomity wybór. Nie pozbawiony fantazji. - Otarł rogiem fartucha czyste, mięsiste dłonie i wykonał gest w stronę jadalni. - Czy mogę zaproponować panu stolik, panie Rybnik? Zwolnię dla pana jeden, jeśli pan pozwoli. Przesadzę kogoś - Proszę mi pozwolić się tym zająć...

- Nie, nie. - Zedd pomachał nową laską. - Ten wolny, w rogu, blisko kuchni, będzie w sam raz.

Właściciel z niesmakiem spojrział w tamtym kierunku.

- Tam? O nie, wielmożny panie. Proszę, by pozwolił mi się pan posadzić przy lepszym stoliku. Bliżej barda? Jestem przekonany, że chciałby pan usłyszeć wesołą melodię. Zna wszystkie, jakie mógłby pan wymienić. Powiedz, którą lubisz najbardziej, panie, a każę mu ją dla ciebie zagrać.

Zedd nachylił się ku niemu i mrugnął porozumiewawczo.

- Ponad śpiewki przedkładam cudowne aromaty płynące z kuchni. Hillman rozpromienił się dumnie i wyciągnął ramię w stronę wolnego stolika; uroczyście poprowadził tam Zedda.

- Czynisz mi wielki zaszczyt, panie Rybnik. Jeszcze nikt tak się nie zachwycał moją kuchnią jak ty. Zaraz przyniosę półmisek.

- Ruben, dobrze? Z przyjemnością skosztuję twej pieczeni, której woń czuję.

- Tak, panie Rybnik. Oczywiście. - Kręcił w palcach róg fartucha i pochylił się ku Zeddowi, który usiadł plecami do ściany. - Jak się ma pani Rybnik? Mam nadzieję, że czuje się już lepiej. Modłę się za nią co dnia.

- Obawiam się, że tak jak przedtem - westchnął Zedd.

- Ojej. Tak mi przykro. Nadal będę się za nią modlić. - Ruszył do kuchni. - Zaraz przyniosę półmisek pieczeni.

Czarodziej oparł o ścianę swoją nową laskę, zdjął kapelusz i położył go na stole. Łysiejący bard siedział na zydłu, na niewielkim podwyższeniu, zgarbiony nad lutnią, jakby miał skrzywiony kręgosłup od stałego przybierania tej pozy. Energicznie brzdąkał na instrumencie, śpiewając dziarską pieśń o przygodach woźnicy - o jego podróży po kiepskich drogach od jednego lichego miasta do drugiego z zepsutą żywnością i jeszcze gorszymi kobietami, o tym, jak kochał wyzwania stromych stoków i krętych przełęczy, zacinający deszcz oraz zalepiający oczy śnieg.

Zedd patrzył na samotnego mężczyznę w boksie po przeciwnej stronie jadalni: toczył oczami i potrząsał głową, słuchając o kolejnych nieprawdopodobnych przygodach. Na stoliku przed gościem leżał zwinięty bat. Siedzący przy innych stolikach uważali, że to świetna historia, śpiewali wraz z bardem i uderzali do wtóru kuflami. Niektórzy podpici mężczyźni próbowali podszczypywać uśmiechnięte kelnerki, lecz zostawało im w palcach wyłącznie powietrze.

Przy niektórych stołach siedzieli schludnie ubrani mężczyźni i kobiety, zapewne kupcy wraz z żonami. Rozmawiali i nie zwracali uwagi na śpiewy. Nieliczne stoliki w spokojniejszej części jadalni zajmowała wytworna szlachta, z błyszczącymi mieczami u boku. W wolnej przestrzeni pomiędzy bardem a samotnym mężczyzną tańczyło kilka par; były tam również kelnerki, tańczące z tymi, którzy zapłacili. Zedd dostrzegł z urazą, że sporo panów miało kapelusze, lecz były one praktyczne i nie zdołały im ozdobić żadne pióra.

Czarodziej wsunął rękę do kieszeni, żeby policzyć złote monety. Dwie. Westchnął. Kosztowne było takie odgrywanie bogacza. Nie miał pojęcia, skąd tacy ludzie na to wszystko biorą i czy im na to wystarcza. Hmmm, musi sobie jakoś poradzić, skoro chce jechać aż do Nikobarezji. Powozem. Już nie pozwolił Adie jechać konno - jest na to za słaba.

Pan Hillman wpłynął przez kuchenne drzwi. Postawił przed Zeddem biały półmisek ze złotą obwódką, wypełniony pieczoną jagnięciną. Położył palce na obu końcach naczynia i odrobinę je obrócił. W mgnieniu oka wydobyl skądś czystą serwetkę i startł ze stolika jakąś plamkę. Zedd uznał, że

pomimo głodu powinien jeść ostrożnie, bo inaczej Hillman przyskoczy i obetrze mu brodę.

- Czy wolno mi przynieść kufel piwa, panie Rybnik? Na koszt firmy?

- Mów mi Ruben, proszę. Wystarczy dzbanek herbaty. - Oczywiście, panie Rybnik, oczywiście. Coś jeszcze? Oprócz dzbanka herbaty?

Zedd pochylił się nad stolikiem. Właściciel zajazdu uczynił to samo.

- Jaki jest kurs wymiany złota na srebro?

- Czterdzieści i pół do jednego - odparł bez wahania Hillman. Odchrząknął. - Tak mi się zdaje. O ile pamiętam. - Uśmiechnął się przepraszająco. - Nie śledzę tego dokładnie, sądzę jednak, że taki właśnie jest. Czterdzieści i pół do jednego. Tak, chyba tak.

Zedd udał, że się głęboko zastanawia. W końcu wydobyl jedną ze swoich dwóch złotych monet i popchnął ją palcem ku właścicielowi zajazdu.

- Brakuje mi drobniejszych monet. Czy mógłby pan wyświadczyć mi przysługę i rozmienić ją dla mnie? Chciałbym to dostać w dwóch sakiewkach. Jedną srebrną monetę zechce pan rozmienić na miedziaki i wsypać do trzeciej sakiewki. Resztę proszę sobie zatrzymać.

Pan Hillman pospiesznie skłonił się głęboko dwa razy.

- Oczywiście, panie Rybnik, oczywiście. Bardzo dziękuję. Zgarnął monetę ze stolika tak szybko, iż Zedd ledwo to zauważył.

Odszedł, a czarodziej zabrał się do pieczenia. Jadł i obserwował innych gości, słuchał piosenek. Właśnie kończył posiłek, gdy powrócił Hillman. Stał przed stolikiem, odgradzając Zedda od sali szerokimi plecami. Położył na stoliku dwie niewielkie sakiewki.

- Srebro, panie Rybnik. Dziewiętnaście w jasnobrązowej i dwadzieścia w ciemniejszej. - Czarodziej schował je pod szatę, a Hillman położył cięższą, zieloną sakiewkę i przesunął ją po blacie. - A w tej miedziaki.

Zedd uśmiechnął się w podzięcie.

- A herbata?

Tłuścioch klepnął się w czoło.

- Proszę wybaczyć. Zająłem się wymianą i zapomniałem. - Jeden ze szlachciców machał ręką, starając się zwrócić uwagę właściciela zajazdu. Hillman złapał za ramię kelnerkę niosącą z kuchni tacę z kuflami. - Julie! Przynieś panu Rybnikowi dzbanek herbaty. Szybciutko, kochana. - Dziewczyna uśmiechnęła się do Zedda, kiwnęła głową i przemknęła z tacą.

Pan Hillman z uśmiechem odwrócił się ku czarodziejowi. - Julie się tym zajmie, panie Rybnik. Proszę powiedzieć, co jeszcze mogę dla pana zrobić.

- Możesz mi mówić Ruben.

Hillman zachichotał z roztargnieniem i potaknął.

- Oczywiście, panie Rybnik, oczywiście. Pospieszyl ku szlachcicowi.

Zedd odciął jeszcze kawałek pieczeni i nadział go na widelec. Podobało mu się imię Ruben. Już nie będzie proponował tamtemu, by go tak nazywał. Gryzł mięso i patrzył, jak Julie zręcznie manewruje pomiędzy zatłoczonymi stolikami. Jadł i spoglądał, jak stawia kufle przed ochryplymi mężczyznami w pelerynach. Postawiła ostatni i ów mężczyzna coś do niej powiedział. Musiała się nachylić, żeby go usłyszeć w tym hałasie. On i jego towarzysze wybuchnęli nagle śmiechem. Julie wyprostowała się i tacą trzasnęła mężczyznę w głowę. Uszczypnął ją, kiedy odchodziła. Krzyknęła, ale się nie zatrzymała. Mijając stół Zedda, przystanęła, nachyliła się ku czarodziejowi i uśmiechnęła się doń.

- Zaraz przyniosę herbatę, panie Rybnik.

- Mów mi Ruben. - Wskazał stół z hałaśliwym towarzystwem. - Widziałem, co się stało. Cały czas musisz cierpliwie znosić takie wysoki?

- O, to tylko Oscar. Przeważnie jest nieszkodliwy. Lecz ma okropnie niewyparzony język, chyba najgorszy ze wszystkich, a słyszałam już niejedno. Chciałabym, żeby dostał czkawki, gdy znów będzie chciał palnąć coś sprośnego. - Odsunęła z twarzy kosmyk włosów. - I zażyczył sobie następnego kufła. Przepraszam. Za dużo gadam. Przyniosę herbatę, panie Ryb...

- Ruben.

- Ruben. - Obdarzyła go uroczym uśmiechem i pospiesznie odeszła. Zedd czekał na herbatę, jadł i obserwował hałaśliwe towarzystwo.

Takie skromne życzenie. I chyba nic się nie stanie? Julie wróciła z herbatą i kubkiem. Postawiła je na stole, a czarodziej dał jej znak, by się nachyliła. Posłuchała go, poprawiając przy okazji tasiemki fartucha.

- O co chodzi, Rubenie?

Czarodziej delikatnie dotknął palcem jej podbródka,

- Śliczna z ciebie kobieta, Julie. Oscar nie powinien więcej ani tak do ciebie mówić, ani cię podszczypywać. - Zedd zniżył głos do cichego, sugestywnego szeptu, od którego powietrze niemal iskrzyło. - Kiedy podasz

mu piwo, wymów jego imię i spójrz mu w oczy jak ja teraz w twoje. Wtedy spełni się twoje życzenie. Nie zapamiętasz jednak ani że o tym mówiłaś, ani że je spełniłem.

Julie zamrugła powiekami i wyprostowała się.

- Przepraszam, Rubenie, nie dosłyszałam, co mówiłeś.

- Dziękowałem ci za herbatę - uśmiechnął się Zedd - i pytałem, czy ktoś ma parę koni i jakiś powóz do wynajęcia.

Znów zamrugła.

- A tak. Hmm. - Rozejrzała się, przygryzając dolną wargę. - Połowa z tych mężczyzn... to znaczy połowa z tych, którzy nie są tak elegancko ubrani jak ty, to woźnice. Niektórzy się wynajmują. Inni jedynie przejeżdżają z towarem. - Wskazała na kilka stolików. - Tych... i tych można nająć. Jeśli potrafisz sprawić, by wytrzeźwili.

Zedd podziękował jej i poszła po piwo. Obserwował, jak przyniosła je i postawiła przed Oscarem. Ten łypnął na nią z pijackim uśmiechem. Czarodziej widział, jak porusza wargami, wymawiając jego imię. Mężczyzna otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i czknął. Z ust wyleciała mu bańka i wzniosła się w powietrze. Pękła z trzaskiem. Kompani Oscara wybuchnęli śmiechem. Zedd zmarszczył brwi; to dziwne, pomyślał.

Ilekcć Oscar otwierał usta, by coś powiedzieć do Julie, czkał i puszczał bańki. Kompani ryczeli ze śmiechu, oskarżając dziewczynę, że rozpuściła mu mydło w piwie. Zgodzili się, iż słusznie mu się to należało. Zostawiła rozbawione towarzystwo, bo przywołał ją mężczyzna samotnie siedzący w boksie. Skinęła głową, kiedy o coś poprosił, po czym pospieszyła do kuchni. Przystanęła przy stoliku Zedda i skinieniem głowy wskazała owego mężczyznę.

- On chyba ma zaprzęg. Pachnie bardziej jak koń niż jak człowiek - zachichotała. - To nie było uprzejme. Wybacz. Po prostu nie mogę go skłonić, żeby przepuścił pieniążki na piwo. Chce herbaty.

- Mam więcej herbaty, niż mogę wypić. Podzielę się z nim. - Zedd mrugnął porozumiewawczo do dziewczyny. - Będiesz miała jeden kurs mniej.

- Dzięki, Kubenie. Oto jeszcze jeden kubek.

Czarodziej włożył do ust ostatni kawałek pieczeni, rozejrzał się po jadalni. Mężczyźni się uciszeli, Oscar przestał czkać. Cała kompania słuchała

smętej pieśni barda o kimś, kto stracił swoją ukochaną. Zedd wziął dzbanek z herbatą oraz kubki i chciał odejść od stolika. Przypomniał sobie o kapeluszu i zaklął pod nosem. Złapał go, zauważył laskę i ją również zabrał. Specjalnie przeszedł obok Oscara i dokładnie mu się przyjrzał. Nie mógł pojąć, dlaczego z ust mężczyzny wylatywały bańki. Hmm, cóż, pomyślał czarodziej. Teraz Oscar wyglądał całkiem zwyczajnie, choć był nieco wstawiony.

Zedd zatrzymał się przed boksem, w którym siedział ów mężczyzna. Uniósł dzbanek i kubki.

- Mam więcej herbaty, niż zdołam wypić. Napijesz się ze mną?

Tamten spojrzał odpychająco spod krzaczastych brwi. Zedd się uśmiechnął. Typ rzeczywiście cuchnął jak koń. Mężczyzna rozplótł potężne ramiona, odsunął na bok zwinięty bicz i gestem dał znak czarodziejowi, żeby usiadł. Potem znów skrzyżował ręce.

- Dzięki za zaproszenie. Jestem... Ruben.

Zedd położył na stole kapelusz i zachęcająco uniósł brew, czekając na odpowiedź.

- Ahern - odparł tamten niskim, dźwięcznym głosem. - Czego chcesz?

Czarodziej umieścił laskę pomiędzy kolanami, a drugą ręką szarpnął ciężką szatę, usiłując wyciągnąć gruby fałd spod kościstego siedzenia. Usiadł na ławie.

- Chciałem się z tobą podzielić herbatą, Ahernie.

- Czego tak naprawdę chcesz? Czarodziej nalał mu herbaty. - Pomyślałem, że może przyda ci się praca.

- Mam robotę.

Zedd napełnił swój kubek.

- Naprawdę? A jaką?

Ahern rozplótł ramiona, cofnął się głębiej i wpatrywał w oczy swego nowego kompana. Odziany był w ciemnozieloną flanelową koszulę, na szerokich barach miał pelerynę. Gęste, siwe włosy zakrywały uszy i wyglądały, jakby rzadko miały kontakt z grzebieniem. Pomarszczoną, zniszczoną twarz pokrywały różowe cętki - ślady działania wiatru.

- Czemu chcesz wiedzieć?

Zedd wzruszył ramionami, łyknął herbaty.

- Żebym się zorientował, czy mogę ci złożyć lepszą ofertę. - Czarodziej

mógł, rzecz jasna, wyczarować taką ilość złota, jakiej by tanten zażądał, uznał jednak, że nie tędy droga. Łyknął raz jeszcze herbaty i czekał.

- Wożę żelazo z Tristen do kowali w Penverro. Czasem aż do Winstead. My, Keltończycy, robimy najlepszą broń w całych Midlandach.

- Słyszałem coś innego. - Ahern spochmurniał. Zedd położył dłonie na srebrnej gałce laski. - Słyszałem, że to najlepsze miecze we wszystkich trzech krainach, a nie tylko w Midlandach. - Bard zaczął nową pieśń: o królu, który stracił głos i musiał pisać swe rozkazy, lecz nigdy nie pozwolił się nauczyć pisać żadnemu z poddanych, więc stracił i królestwo. - Ciężko o tej porze roku wozić taki towar.

Ahern uśmiechnął się nieznacznie.

- Wiosną gorzej. Błoto. To czas, kiedy widać, kto dobrze powozi, a kto się tylko przechwala.

Zedd przysunął mu kubek z herbatą.

- Stała praca?

Ahern w końcu wziął kubek.

- Wystarczy, bym miał co jeść. Czarodziej uniósł zwój splecionej skóry.

- Uznałem, że jesteś obeznany z tym tu.

- Są inne sposoby skłonienia koni do wysiłku. - Ahern wskazał brodą izbę. - Ci głupcy myślą, że osiągną swoje uderzeniami bata.

- A ty jesteś innego zdania? Ahern potrząsnął głową.

- Ja strzelam z bata, żeby przyciągnąć uwagę koni i dać im znać, czego chcę, gdzie mają stawiać kopyta. Mój zaprzęg pracuje nie dlatego, że nauczyłem moje konie pracować. Kiedy się przydarzą kłopoty, to potrzebne mi zwierzęta, które rozumieją, czego od nich chcę, a nie takie, które podskakują, czując bat. W wąwozach leży mnóstwo ludzkich i końskich kości. Nie chcę tam dorzucać i swoich.

„Wygląda na to, iż znasz swoją robotę.

Mężczyzna wskazał kubkiem wymyślne szaty Zedda.

- A w czym ty pracujesz?

- Sady - odparł czarodziej, unosząc w górę palec. - Najlepsze na świecie owoce, sir!

Ahern chrząknął.

- To znaczy, że masz ziemię, a inni tyrają, żeby ci wyhodować te najlepsze na świecie owoce.

- Racja - zachichotał Zedd. - Przynajmniej teraz tak jest. Ale na początku było inaczej. Zaczynałem od zera i latami sam tyrałem. Dniami i nocami troszczyłem się o drzewa, żeby wyhodować najlepsze owoce, jakich ktoś kiedykolwiek próbował. Wiele drzew zawiodło. Wiele razy mi się nie udało i głodowałem. Wreszcie jednak wszystko poszło jak trzeba. Oszczędzałem i kiedy mogłem, dokupywałem ziemi. Sadziłem, pielęgnowałem, szczepiłem, zbierałem i sprzedawałem sam. Z czasem ludzie przekonali się, że moje owoce są najlepsze, i zaczęło mi się wieść. W ostatnich latach wynajmowałem ludzi, by dla mnie pracowali. Ale wciąż sam dokładam się do roboty, żeby nie stracić marki. Chyba i ty chciałbyś osiągnąć taki sukces?

Czarodziej usiadł wygodniej, uśmiechnięty, zadowolony z historyjki, którą wymyślił. Ahern wyciągnął kubek po dolewkę.

- Gdzie są te sady?

- W Westlandzie. Przeniosłem się tam, zanim się pojawiła granica.

- To skąd się tu wzięłeś?

Zedd pochylił się ku niemu, zniżył głos.

- Wiesz, moja żona nie za dobrze się czuje. Jesteśmy już starzy, więc chce - skoro nie ma już granicy - odwiedzić swoje rodzinne strony. Zna tam uzdrowicieli, którzy mogliby jej pomóc. Wszystko zrobię, żeby jej pomóc. Jest zbyt chora, by jechać dalej konno, nie przy takiej pogodzie, dlatego chcę wynająć kogoś, kto by nas zawiózł do tych uzdrowicieli. Zapłacę każdą sumę, na którą mogę sobie pozwolić, aby ją tam dowieźć.

Twarz Aherna nieco zmiękła.

- Szlachetny to cel. Gdzie się wybieracie?

- Do Nikobarezji.

Ahern trzasnął kubkiem o blat stołu. Chlupnęło trochę herbaty. - Co takiego? - Zniżył głos i nachylił się, brzeg stołu wpił się w jego umięśniony brzuch. - Człowieku, toć to środek zimy! Zedd przesunął palcem po obrzeżu swojego kubka. - A zdawało mi się, że mówiłeś, iż wiosna jest gorsza. Tamten chrząknął, łypiąc podejrzliwie.

- To na północny zachód, po drugiej stronie gór Rang'Shada. Skoro udajesz się z Westlandu do Nikobarezji, to po co przeszedłeś tu przez Rang'Shada? Teraz znów musisz pokonać te góry.

Czarodziej dał się zaskoczyć i musiał prędko coś wymyślić. W końcu mu się to udało.

- Ja jestem stąd, z okolic Aydindril. Pragnęliśmy najpierw odwiedzić moje rodzinne strony, a wiosną udać się do Nikobarezji. Chciałem przekroczyć góry na południu i zmierzać na północny wschód, ku Aydindril. Lecz Elda, moja żona, zachorowała i uznałem, że lepiej będzie pojechać do tych jej uzdrowicieli.

- Lepiej byście zrobili, jadąc najpierw do Nikobarezji, zanim przeszliście góry.

Zedd wsparł dłoń na lasce.

- Czy wiesz, Ahernie, jak cofnąć to, co źle zrobiłem, bym mógł tym razem postąpić, jak radzisz?

Tamten się zaśmiał.

- Raczej nie. - Rozmyślał przez chwilę, potem westchnął ze znużeniem. - To długa droga, Rubenie. Sam się prosisz o kłopoty. Nie wiem, czy się chcę w to mieszać.

Zedd przybrał zdziwioną minę.

- Czyżby? - Rozejrzał się po izbie. - Skoro uważasz, że to takie trudne zadanie, Ahernie, to powiedz mi, który z nich się go podejmie? Który jest lepszym woźnicą od ciebie?

Ahern kwaśno spojrział na tłum.

- Nie twierdzę, że jestem najlepszy, lecz ci tutaj bardziej się przechwalają, niż trzeba. Nie wyobrażaj sobie, iż któryś z nich podoła tej podróży.

Czarodziej niecierpliwie poprawił się na ławie.

- Coś mi się zdaje, Ahernie, że próbujesz podbić cenę. - Aja myślę, iż tyją chcesz zaniżyć.

Zedd uśmiechnął się leciutko.

- Wcale nie uważam, że to takie trudne, jak twierdzisz.

- Sądzisz, że to łatwe? - Tamten znów się nachmurzył. - Jeździsz zimą. - Zedd wzruszył ramionami. - Chcę tylko, byś poprowadził zaprzęg w przeciwnym kierunku, ot i wszystko.

Ahern pochylił się do przodu, zacisnął zęby.

- Właśnie o ten kierunek chodzi! Po pierwsze, krążą pogłoski o wojnie domowej w Nikobarezji. A co gorsza, najkrótsza droga prowadzi przez Galeę, chyba że chcesz stracić całe tygodnie na dotarcie do przełęczy na południu. - Zniżył głos. - Są niesnaski między Galeą a Keltonem. Słyszałem

opowieści o walkach na styku obu krain. Splądrowano keltońskie miasta. Ludzie w Penverro są niespokojni, bo blisko stąd do granicy z Galeą. Wszyscy o tym mówią. Podróż do Galei to pewne tarapaty.

- Potyczki? Głupia paplanina. Wojna się skończyła. D'haranskie wojska odwołano.

- To nie d'haranskie najazdy - Ahern z wolna potrząsnął głową - tylko galejskie.

- To śmieszne! - parsknął Zedd. - Keltończycy myślą, że to napad Galejczyków, kiedy jakiś rolnik wywróci latarnię i stodoła się zajmie. A Galejczycy podejrzewają Keltończyków, gdy tylko wilk porwie owcę. Chciałbym mieć tyle pieniędzy, ile strzał wypuszczono do cieni. - Pogroził tamtemu palcem. - Gdyby Kelton lub Galea zamierzały napaść na sąsiada, Naczelna Rada zażądałaby głów tych, którzy wydali takie rozkazy, i to bez względu na to, kim by byli! - Stuknął laską o podłogę. - Nie dopuszczono by do tego!

Ahern cofnął się trochę.

- Nie wiem nic o polityce, a jeszcze mniej o tych niegodziwych Spowiedniczkach. Wiem za to, że ten, kto jedzie przez Galeę, może zostać naszpikowany strzałami, którymi szyją owe cienie. Twój pomysł nie jest tak łatwy do zrealizowania, jak ci się wydaje.

Zedd zaczął mieć dość tej gry. Nie miał na to czasu. Dręczyło go coś, co powiedziała Adie. Mówiła coś o świetle. Postanowił zakończyć tę dyskusję w ten lub inny sposób. Wypił resztę herbaty.

- Dzięki za pogawędkę, Ahernie. Widzę, że nie dasz rady zawieźć mnie do Nikobarezji.

Czarodziej wstał i sięgnął po kapelusz. Ahern położył wielką łapę na ramieniu Zedda i zmusił go, żeby usiadł. Przesunął się na ławie.

- Czasy były ciężkie, Rubenie. Wojna z D'Hara źle wpłynęła na handel. Kelton nie ucierpiał za bardzo, ale wielu sąsiadów tak. Ciężko handlować z martwymi. Nie ma tak dużo towarów do przewożenia jak przedtem, lecz nadal jest mnóstwo ludzi, którzy chcą nas wynająć. Nie możesz mi mieć za złe, że staram się uzyskać jak najlepszą cenę, skoro mi się nadarzyła taka okazja. - Uniósł brwi i nachylił się jeszcze bliżej. - Że staram się uzyskać najlepszą cenę za najlepszy owoc.

- Istotnie najlepszy owoc. - Zedd niecierpliwym gestem wskazał

towarzystwo w jadalni. - Każdy z nich chętnie się zgodzi, bym go wynajął. Każdy opowie mi historyjkę równie dobrą jak twoja, świadczącą o tym, że to on jest tym najlepszym. Dążysz do uzyskania najwyższej ceny. To zupełnie zrozumiałe, ale przestań mnie czarować, Ahernie. Chcę wiedzieć, dlaczego mam tyle zapłacić.

Mężczyzna czubkiem grubego palucha przesunął kubek na środek stołu, dając znak, iż chce dolewki. Zedd wygładził rękawy, a potem spełnił jego życzenie. Ahern nachylił się, przyciągnął kubek pod osłonę swoich krzepkich ramion. Rozejrzał się po jadalni.

Wszyscy patrzyli na barda śpiewającego miłosną pieśń jednej z kelnerek. Trzymał ją za rękę i wyśpiewywał słowa o wieczystym uczuciu i oddaniu. Policzki dziewczyny były czerwone. Trzymała tacę za plecami, wpatrywała się w swoje stopy i chichotała.

Ahern wyjął zza flanelowej koszuli łańcuch ze srebrnym medalionem.

- To dlatego chcę najwyższej ceny.

- Wygląda na galejskie. - Zedd łypnął koso na królewskie podobizny na medalionie.

Tamten potakująco kiwnął głową.

- Wiosną i latem D'Hara oblegała Ebimssię. Galejczyków powoli dławiono i nikt nie chciał im pomóc. Każdy miał swoje problemy z D'Hara, więc nie chciał sobie brać na kark nowych. Tamci potrzebowali broni. Przewiozłem im zatem przez jedną z dalszych przełęczy broń i trochę bardzo potrzebnej soli. Galejska armia obiecała, że osłoni każdego, kto zaryzykuje dostawę, lecz niewielu się na to zdecydowało. Te boczne przełęcze są bardzo zdradliwe.

Zedd uniósł znacząco brew. - To szlachetne z twojej strony.

- Nie ma w tym nic szlachetnego. Znakomicie płacili. Po prostu nie mogłem beczynnym patrzeć, jak tkwią w pułapce. Zwłaszcza że wiedziałem, co żołnierze d'haranscy wyprawiają z pokonanymi. No i uznałem, iż parę keltońskich mieczy pomoże Galejczykom lepiej się bronić. Już mówiłem, że nasze miecze są najlepsze.

Czarodziej uniósł dłoń z gałki laski i wskazał na medalion, teraz znów ukryty za zieloną koszulą Aherna.

- No a to?

- Kiedy D'Hara odstąpiła od oblężenia, wezwano mnie na galejski dwór.

Królowa Cyrilla osobiście wręczyła mi ten medalion. Powiedziała, że pomogłem jej poddanym w walce i że zawsze będę mile widziany w Galei. - Poklepał pierś w miejscu, gdzie za koszulą tkwił medalion. - To królewski glejt. Świadczy o tym, że bez przeszkód mogę się poruszać po całej Galei.

- A teraz - Zedd spojrzał nań spod oka - chcesz wycenić coś bezcennego.

Ahern przymrużył oczy.

- Nie uczyniłem nic wielkiego. To oni wykonali najcięższą robotę. Pomogłem im, bo potrzebowali pomocy i ponieważ dobrze mi zapłacili. Nie twierdzę, że jestem bohaterem. Zrobiłem to z obu wymienionych powodów. Jeden nie skłoniłby mnie do działania. Teraz mam ów glejt i nie widzę nic złego w tym, że chcę to wykorzystać.

- Masz słuszność, Ahernie. - Zedd odchylił się do tyłu. - To Gałejczycy sami wycenili w złocie twoją robotę. Ja również postaram się tak postąpić. Powiedz, ile żądasz za dowieszenie nas do Nikobarezji.

Ahern obracał w wielkich dłoniach kubek herbaty, kubek, który wydawał się teraz kruchy i delikatny. - Trzydzieści sztuk złota. Nie mniej.

- No, no, no - zdziwił się Zedd. - Ależ wysoko się cenimy.

- Dowiozę was tam i taka jest moja cena. Trzydzieści sztuk złota.

- Dwadzieścia teraz, a dziesięć, gdy dostarczysz nas do Aydindril.

- Aydindril! Nie pisałeś ani słowa o Aydindril. Nie chcę mieć nic wspólnego z Aydindril, z tymi tam czarodziejami i Spowiedniczkami. Poza tym znów musielibyśmy przechodzić przez Rang'Shada!

- I tak będziesz musiał pokonać te góry, żeby tu wrócić. Możesz więc przebyć je na północy. Tylko trochę zboczysz z trasy. Jeśli nie podoba ci się moja propozycja, to daję dwadzieścia za dowieszenie nas do Nikobarezji, a tam już na pewno znajdę kogoś, kto za pozostałe dziesięć zawiezie mnie do Aydindril. Jeżeli w ogóle będzie nam potrzebny powóz, gdy moja żona wyzdrowieje. Gdybyś chciał całych trzydziestu, to przystanę na to, jeśli tylko przejedziesz z nami całą trasę. Oto moja propozycja.

Ahern obracał kubek w dłoniach.

- No dobrze. Do Aydindril. Dwadzieścia teraz, dziesięć w Aydindril. - Wskazał mięsistym paluchem na Zedda. - Ale musisz przystać na jeden warunek.

- To znaczy?

Palec Aherna przesunął się w kierunku czerwonego kapelusza Zedda.

- Że nie będziesz nosił tego kapelusika. Pióro na pewno wystraszy konie.

Uśmiech rozjaśnił pomarszczoną twarz czarodzieja. - Ale pod jednym warunkiem. - Ahern przekrzywił głowę. - Ty powiesz mojej żonie, że postawiłeś taki warunek. Ahern odwzajemnił uśmiech.

- Dobra. - Uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił. - To nie będzie łatwa podróż, Rubenie: tam i z powrotem przez górskie przełęcze. Mam powóz, który kupiłem za ładunki dla Ebinissii. Mogę zamontować płozy. Łatwiej się będzie poruszać po głębokim śniegu. - Postukał palcem w bok kubka. - A co ze złotem?

Palce barda tańczyły po strunach, dobywając z nich czarowną melodię. Wszyscy w izbie przytupywali do taktu, akompaniując niczym werble. Zedd sięgnął w fałdy szaty i otoczył dłonią dwie sakiewki srebra. Niewidzącymi oczami obserwował izbę.

A potem czarodziej ponownie uczynił to, co musiał robić o wiele za często: skierował strumień mocy do sakiewek ze srebrnymi monetami i zmienił je w sztuki złota.

Czyż miał inny wybór? Niepowodzenie Zedda to pewna śmierć świata żywych. Czarodziej tuszył, że nie próbuje się usprawiedliwiać, czyniąc coś, co było niebezpieczne.

- Nic nie jest łatwe i proste - mruknął pod nosem.

- Co powiedziałeś?

- Że wiem, iż to nie będzie łatwa podróż. - Położył na stole ciemnobrązową sakiewkę ze złotem. - To powinno ją umożliwić. Dwadzieścia teraz, jak uzgodniliśmy.

Ahern rozwiązał sakiewkę, włożył do środka dwa wielkie paluchy i liczył. Zedd leniwie obserwował ludzi radujących się muzyką, jedzeniem i piciem. Niecierpliwie czekał na wyruszenie do Nikobarezji.

- To jakiś żart?

Czarodziej spojrzał na Aherna. Wielkolud wyciągnął z sakiewki monetę i potoczył ją po stole. Była matowa, przewróciła się, wydając przy tym głuchy dźwięk. Zedd patrzył z niedowierzaniem.

Moneta wyglądała jak każda inna. Lecz nie była złota, a drewniana.

- Ja... ja... hmmm...

Ahern wziął resztę monet w wielką łapę i wsypał je na powrót do sakiewki.

- Jest tylko osiemnaście. Jesteś mi winien dwie. Nie biorę drewnianych monet.

Zedd uśmiechnął się pobłaźliwie i wyjął jasnobrązową sakiewkę.

- Wybacz, Ahernie. - Zabrał z blatu drewnianą monetę. - Wygląda na to, że dałem ci nie tę sakiewkę, którą powinienem. Dostałeś tę z moją szczęśliwą monetą-talizmanem. Nigdy bym się z nią, oczywiście, nie rozstał. Jest dla mnie cenniejsza niż złoto.

Czarodziej zerknął do sakiewki. Siedemnaście. I dwie też były drewniane. A powinno być dziewiętnaście. Łamał sobie głowę, usiłując to zrozumieć. Czyżby pan Hillman próbował go oszukać? Nie, to byłoby zbyt jawne złodziejstwo. Poza tym tylko tępak wycinałby monety z drewna i dawał je za złote.

- Co z tymi brakującymi dwiema monetami?

- A, tak, tak. - Zedd wydobył dwa krążki i przesunął ku niemu po stole.

Ahern wrzucił je do swojej sakiewki, mocno ją zawiązał i schował do kieszeni.

- Teraz jestem do twojej dyspozycji. Kiedy chcesz wyruszyć?

Czarodzieja nie zajmowały trzy srebrne monety, które nie zmieniły się w złote, a w drewniane; to można było wytłumaczyć. Jakoś wyjaśnić. Ale te trzy brakujące? Te, które zniknęły? Tego się wyjaśnić nie da. Niepokoiło go to. Aż do szpiku kości.

- Chciałbym wyjechać najszybciej, jak się da. Natychmiast.

- To znaczy jutro? Zedd porwał kapelusz.

- Nie. To znaczy natychmiast. - Zerknął na zdumioną minę Aherna. - Moja żona... Nie ma czasu do stracenia. Musi jak najszybciej dotrzeć do swoich uzdrowicieli.

Ahern wzruszył ramionami.

- Dopiero co wróciłem z Tristen. Muszę się trochę przespać. To będzie długa i ciężka podróż. - Zedd niechętnie potwierdził. - Najpierw muszę zamontować płozy. To zajmie mi parę godzin. Chyba że wezmę któregoś z chłopaków do pomocy.

- Nie! - Czarodziej stuknął laską. - Nie mów nikomu, co robisz i dokąd się wybierasz. Nawet nie wspominaj, że wyjeżdżasz. - Gwałtownie zamknął usta, widząc minę Aherna. Pomyślał, że musi to jakoś złagodzić. - Te cienie, o których opowiadałeś. Lepiej, żeby nie wiedziały, gdzie posłać strzałę.

Ahern wyprostował się i patrzył w dół, na Zedda; otulał się peleryną.

- Najpierw namawiasz mnie, bym cię zabrał do przeklętej krainy czarodziejów i Spowiedniczek, a teraz jeszcze to. Coś mi się wydaje, że za mało wzięłem. - Zawiązał luźno pasek. - Ale umowa to umowa. Przygotuję powóz i trochę żywności na drogę, a potem się prześpię. Spotkamy się tu trzy godziny przed świtem. Jutro przed południem powinniśmy być w Galei.

- Mam w stajniach klacz. Możemy ją zabrać. Zabierz ją stamtąd, zanim przyjdiesz do nas. - Zedd pożegnał Aherna roztargnionym machnięciem laseczką. - Trzy godziny przed świtem.

Czarodziej myślał już o czymś zupełnie innym. To było o wiele poważniejsze, niż sądził. Koniecznie muszą uzyskać pomoc najszybciej, jak to możliwe. Może od tej kobiety w Nikobarezji, co to miała trzy córki i gdzieś tam się tego wszystkiego dowiedziała, a może gdzieś bliżej. Może znajdą to, czego potrzebują, bez konieczności udawania się w tak daleką podróż. Czas był bezcenny.

Tylko światło wie, powiedziała Adie, skąd ta kobieta dowiedziała się o skrinie. „Światło” zwykle oznaczało dar. I stanowiło aluzję do czegoś zupełnie innego. Zedd uderzył laską w podłogę. Że też Adie przemawia zagadkowymi słowami czarodziejek!

Ahern szedł ku wyjściu. Czarodziej wstał i ruszył w stronę schodów.

ROZDZIAŁ 35

Zedd otworzył drzwi i ujrzał kłęby cuchnącego kreozotem dymu. Przez otwarte okno wpływało do pokoju lodowatozimne powietrze, a dym uchodził na zewnątrz. Adie siedziała na łóżku, owinięta aż po szyję w koc, i szczotkowała swoje szpakowate, przycięte równo z uchem włosy.

- Co to? Co się stało?

- Marzłam. Chciałam rozpalić ogień. - Wskazała szczotką kominek. Zedd spojrzał w tamtą stronę.

- Potrzebne ci drewno, Adie. Bez drewna nie będziesz miała ognia. Spodziewał się gniewnej miny, a zobaczył niepokój.

- Tam było drewno. Chciałam rozpalić ogień magią, nie ruszając się z łóżka. Buchnął dym i iskry. Otworzyłam okno, żeby wypuścić dym. Kiedy spojrzałam na kominek, to drewno już nie było. Zniknęły.

Zedd podszedł do niej.

- Zniknęły?

Kiwnęła potakująco głową i znów zaczęła rozczesywać włosy.

- Coś jest nie tak. Coś nie tak z moim darem.

- Wiem. - Czarodziej przesunął dłoń po jej włosach. - Miałem podobny kłopot. To pewno przez tę skazę. - Usiadł, wyjął szczotkę z ręki Adie i odłożył na bok. - Co mi możesz powiedzieć o skrinie, o tej skazie? Musimy znaleźć jakieś rozwiązanie.

- Już powiedziałam wszystko, co wiem. Skrin to moc na krawędzi świata żywych i umarłych.

- Ale dlaczego rana się nie goi? Dlaczego moja magia nie umożliwia zagojenia? Dlaczego polana zniknęła, kiedy posłużyłaś się darem?

- Skrin pochodzi z obu światów. Nie rozumiesz? - Potrząsnęła głową, zawiedziona i zirytowana. - Skrin to magia, magia dwóch światów, tak by mógł działać w obu. Addytywna i subtraktywna. Zranił nas. Skaza jest subtraktywna.

- Sądzisz, że skażenie magią subtraktywna niszczy naszą magię? Nasz dar?

Adie potaknęła.

- To tak, jakbyś gołymi rękami wymiół popiół z paleniska i zaraz potem,

nie myjąc ich, próbował rozwiesić świeżo wyprane białe prześcieradło. Unurzany w popiele dłońmi pobrudzisz wilgotną, białą tkaninę. Popiół przyłgnie do niej.

Zedd rozważał to w milczeniu.

- Musimy jakoś umyć ręce, Adie - wyszeptał. - Zmyć te plamy.

- Masz prawdziwy talent do stwierdzania rzeczy oczywistych, stary. Zedd ugryzł się w język i zmienił temat.

- Wynająłem powóz, który zabierze nas do Nikobarezji, lecz jesteś coraz słabsza, Adie, i mnie też to pewnie wkrótce spotka. Nie wiem, czy możemy czekać. Muszę wiedzieć, czy istnieje jakiś inny sposób, czy nie ma w pobliżu kogoś, kto mógłby nam pomóc.

- Nie ma innego sposobu. Nie ma nikogo innego.

- No, a co z tą kobietą z trzema córkami? Może dowiedziała się tego wszystkiego gdzieś w pobliżu? Może i my moglibyśmy tam pojechać?

- To nic nie da.

- Dlaczego?

Adie wpatrywała się weń przez chwilę i wreszcie się poddała.

- Bo ona się uczyła u Sióstr Światła. Zedd skoczył na równe nogi.

- Co takiego!?! - Chodził tam i z powrotem między łóżkiem a kominkiem.

- Kurczę, kurczę blade! Wiedziałem! Wiedziałem!

- Była u nich, by się uczyć, Zeddzie. Wróciła do domu. Nie była Siostrą. Siostry nie są tak... nierozsądne... jak ci się zdaje. Czarodziej przystanął i łypnął na Adie jednym okiem.

- A skąd ty to wiesz?

Adie westchnęła z rezygnacją.

- Pamiętasz tę okrągłą kość skrina, którą dostałam od tamtej kobiety tuż przed jej śmiercią? Tę bardzo ważną kość, którą straciliśmy w moim domu... Kobieta, która mi ją dała, była Siostrą Światła.

- Cóż ona porabiała w Nowym Świecie? - zainteresował się Zedd.

- Ona nie była w Nowym Świecie. To ja byłam wtedy w Starym Świecie.

Zedd wsparł się pod boki i nachylił ku Adie.

- Przeszaś przez Dolinę Zaginionych? Poszłaś do Starego Świata!?! No proszę, ile masz drobnych sekretów!

Adie wzruszyła ramieniem.

- Mówiłam, że szukałam kobiet z darem, by się od nich jak najwięcej

nauczyć. Niektóre z nich były w Starym Świecie. Wykorzystałam jedno moje przejście tam i z powrotem przez dolinę, żeby się nauczyć jak najwięcej tego, co chciałam wiedzieć. - Adie szczerzej otuliła się kocem. - Siostry, a właściwie niektóre z nich, przekazały mi okruchy swojej wiedzy. Bardzo ważne okruchy. Siostry uważają za swój obowiązek wiedzieć jak najwięcej o Opiekunie, o Bezimiennym, jak go nazywają, żeby móc ratować dusze z jego łap. Nie przebywałam długo w ich pałacu. Nie pozwoliłyby mi zostać, chyba że chciałabym się stać jedną z nich. Ale zezwoliły mi przez pewien czas uczyć się wraz z nimi, badać rozmaite dokumenty w podziemiach pałacu. Są tam Siostry, którym nie zaufałam ani odrobinę, ale są i takie, które bardzo mi pomogły.

Zedd znów spacerował po pokoju, mrużąc coś pod nosem.

- Siostry Światła są opętanymi, kierującymi się fałszywymi przesłankami zelantkami. Bractwo Czystej Krwi to przy nich wcielenie rozsądku! - Przystanął. - A widziałś któregoś z ich chłopców, gdy tam byłaś? Czy miały u siebie kogoś z darem?

- Zajmowałam się swoimi sprawami. Nie poszłam tam, by dyskutować z Siostrami o teologii. To by nie było rozsądne. Zadbały, bym nie zetknęła się z ich podopiecznymi, jeśli faktycznie takich miały. Jestem pewna, iż nawet gdyby tam byli jacyś chłopcy, to z ich strony doliny. Siostry są za mądre, żeby ryzykować złamanie rozejmu. Bardzo się boją tego, co wówczas zrobiliby czarodzieje z naszego świata. Przekazały mi to, co wiedziały, i pozwoliły czytać księgi w podziemiach. Zadbały jednak, bym nie ujrziała żadnego z chłopców, i nigdy mi nie powiedziały, czy w ogóle są tam jacyś.

- Pewno, że nie ma żadnych! - parsknął Zedd. - Ci z darem już prawie się nie rodzą. Zbyt wielu czarodziejów wyginęło na wojnach. Jesteśmy ginącą rasą. Jako Pierwszy Czarodziej nigdy nie odmówiłbym uczenia kogoś z darem, jak to się zdarzało przed tysiącami lat. I nie zrobiłby tego żaden czarodziej, którego uczyłem. A Siostry o tym wiedzą! Znają prawa! Nie wolno im zabrać mającego dar, chyba że każdy czarodziej odmówi uczenia go. Jedno odstępstwo od tej zasady oznacza wyrok śmierci dla każdej Siostry, która ośmieli się powtórnie przebyć ową dolinę.

- One o tym wiedzą, Zeddzie. Traktują tę groźbę poważnie.

- Powinny to wiedzieć! Kiedyś, gdy byłem młody, spotkałem jedną z nich i wysłałem ostrzeżenie Ksieni. - Zapatrzył się przed siebie, zacisnął pięści. -

Stosują barbarzyńskie metody. To dzieci uczące chirurgii. Gdybym wiedział, jak się przedostać między tymi przekłętymi basztami, to poszedłbym tam i zniszczył Pałac Proroków.

- W dawnych czasach umarło wielu z darem, Zeddzie, bo nie było nikogo, kto by ich nauczył kontrolować moc. Czarodzieje strzegli zazdrośnie swojej wiedzy i nie chcieli przygotowywać kogoś, kto pewnego dnia mógłby im zagrozić. Porzucali urodzonych z darem, pozwalając, by zabijała ich wrodzona moc, której nie potrafili kontrolować. Siostry nie chciały, żeby owi porzuceni chłopcy marli. Robiły, co mogły, aby pomagać ludziom. Zedd łypnął na nią wściekle.

- Siostry Światła robią wyłącznie to, co jest korzystne dla Sióstr Światła.

- Może i tak, lecz zupełnie jak ty przysięgają, że będą przestrzegać zasad, że nie złamią rozejmu i pozwalają im pozostać, kiedy się tu zjawia.

Czarodziej potrząsnął w zadziwieniu głową.

- Wydawać na śmierć tych z darem dla uzyskania samolubnych celów... Gdyby właściwie wypełniali swoje obowiązki, to Siostry Światła nigdy by nie powstały. Nigdy by ich nie było. - Zedd zsunął butem popiół do kominka. - Nigdy nie pozwoliłyby, żeby czarodziej uczył młodą czarodziejkę posługiwania się swoim darem, a uważają, iż mogą nauczać młodych czarodziejów, jak wykorzystywać moc.

- I ja tak sądzę, Zeddzie. Posłuchaj: dawno minione i zapomniane sprawy oraz wojny to nie nasza rzecz. Zasłona jest rozdarta. Kamień Łez znalazł się w świecie żywych. To jest dla nas ważne, tym się powinniśmy zająć. Poszłam do owych kobiet, by się uczyć. Magia, którą tam poznałam i której cię wyuczyłam, spowolniła rozwój skazy, choć, niestety, nie zdołała jej usunąć. Musimy się oczyścić, zanim będzie za późno.

Badawcze spojrzenie białych oczu sprawiło, iż Zedd się opanował.

- Masz rację, Adie. Mamy pilne sprawy do załatwienia. Obdarzyła go jednym ze swoich uśmiechów.

- Cieszę się, że masz na tyle rozsądku, by posłuchać mądrości. Czarodziej rozmasował napięty, obolały kark.

- Naprawdę myślisz, iż owa kobieta z trzema córkami będzie coś wiedzieć o tej skazy? Same przypuszczenia i nadzieja to za mało, żeby wypuszczać się w tak długą drogę.

- Długie lata uczyła się u Sióstr Światła. Lubiły ją i chciały, by została i

stała się Siostrą. Ale nie wierzyła jak one i w końcu wróciła do domu. Nie mam pojęcia, jak rozległą wiedzę tam zdobyła, lecz jeżeli Siostry wiedziały cokolwiek o skazie i przekazały jej to, to nauczyła tego swoje córki. A one są w Nikobarezji, choć wcale mi się to nie podoba.

Adie szczególnie otuliła się kocem, więc Zedd zamknął okno. Potem uklęknął przy kominku, umieścił na ruszcie garść rozpałki, a na tym ułożył drewno. Już miał zniecić ogień zaklęciem, gdy uznał, że lepiej będzie zapalić patyk od płomienia lampy. Przykucnął, zbliżył płomyk do rozpałki.

- Zeddzie, przyjacielu - odezwała się Adie cichym, łagodnym głosem. - Nie jestem Siostrą Światła. Wiem, że się nad tym zastanawiasz. Nie jestem jedną z nich.

Zedd istotnie nad tym rozmyślał.

- A czy powiedziałaś mi, gdybyś była? - spytał, nie odwracając się.

Milczała. Obejrzał się przez ramię - uśmiechała się doń.

- Siostry Światła ponad wszystko cenią uczciwość. Lecz kłamstwo w służbie tego swojego Stwórcy uważają za cnotę.

Ogień zapłonął. Czarodziej stanął przed Adie. Patrzył na nią, nie odwzajemniając uśmiechu.

- To żadna pociecha.

Ujęła jego dłoń i poklepała ją.

- Powiem ci prawdę, Zeddzie. Mam zobowiązania wobec niektórych z nich za to, co dla mnie zrobiły, lecz przysięgam ci na duszę mego zmarłego Pella: nie jestem Siostrą Światła. Nigdy nie oddałabym nikogo z darem z naszej strony doliny, wiedząc, że jest tu czarodziej, który może go uczyć. Nigdy bym nie pozwoliła, żeby wzięły chłopca i stosowały wobec niego swoje metody.

Zedd wygładził stopą frędzle dywanu.

- Wiem, miła damo, że nie jesteś jedną z nich. Po prostu nienawidzę myśli o tym, co te kobiety robią mającym dar. Ja nauczyłbym ich radowania się tymi zdolnościami. Przecież to dar. A one traktują to jak klątwę.

Adie potarła kciukiem grzbiet dłoni czarodzieja.

- Widzę, że sprawiłaś sobie wspaniałą nową laskę. Zedd chrząknął.

- Aż mi skóra cierpnie na myśl o tym, co pan Hillman dopisze za nią do rachunku.

- A znalazłeś nam transport?

- Tak. Wynająłem Aherna. Powinniśmy się trochę przespać. Zjawi się tu z powozem trzy godziny przed świtem. - Spojrzał ponuro na Adie. - Lepiej dobrze się zastanówmy, Adie, zanim użyjemy magii przed pozbyciem się tej skazy w Nikobarezji.

- Jesteśmy tutaj bezpieczni?

Z mglistego blasku wynurzyła się ręka, pogładziła policzek dziewczynki, dodała jej otuchy.

Jesteś tutaj bezpieczna, Rachel. Oboje jesteście bezpieczni. Teraz i zawsze. Jesteście bezpieczni.

Rachel uśmiechnęła się. Czowała się bezpieczna. Bezpieczniejsza niż przedtem. Nie zwyczajnie bezpieczna jak przy Chasie, lecz tak jak w matczynych ramionach. Przedtem nie potrafiła sobie przypomnieć matki, a teraz mogła to uczynić - pamiętała tulące ją do piersi ramiona. Znikał, rozpływał się przeraźliwy strach, który przeżyli z Chase'em, gnając za Richardem. Odpływała dojmująca troska, czy go na czas dopadną. Znikało przerażenie ludźmi, którzy chcieli ich powstrzymać, wspomnienie walk Chase'a, groza krwi, którą widziała, groza morza przelanej krwi.

Dziewczynka stanęła przed migotliwym jeziorkiem i ręce znów się do niej wyciągnęły wśród łagodnych, kojących uśmiechów. Pomogły rozpiąć guziki brudnej, przepoconej sukienki i zdjęły ją z Rachel. Drgnęła, kiedy sukienka uraziła siniak na ramieniu - pamiątkę po tym, jak ścigający ich człowiek powalił ją na ziemię. Uśmiechy zmieniły się w smutek i współczucie. Pocieszały ją delikatne, łagodne głosy. Ciepłe dłonie pogłaskały bolące ramię, cofnęły się i siniak zniknął. Ból zniknął.

Już dobrze?

- Tak! - potwierdziła Rachel. - Już w porządku. Dziękuję.

Ręce zdjęły buciki i pończochy. Dziewczynka usiadła na rozgrzanym kamieniu i majtała bosymi stopkami w kojącej wodzie. Cudownie byłoby się wykąpać, zmyć pot i brud.

Dłonie sięgnęły po wiszący na szyi Rachel kamień. Cofnęły się, jakby wystraszone.

Nie możemy tego zdjąć. Musisz to zrobić bez naszej pomocy.

Przez kojące ciepło i bezpieczeństwo otaczającej ją krainy, przez odnaleziony spokój, przez chęć spełnienia próśb łagodnych szeptów Rachel posłyszała głos. Głos Zedda, mówiący, że nie wolno jej oddać kamienia

nikomu, pod żadnym pozorem; mówiący, jak ważne jest, by zawsze go strzegła.

Dziewczynka oderwała wzrok od wzbijanych jej stopkami rozbryzgów wody i spojrzała na łagodne twarze.

- Nie chcę tego zdejmować. Mogę to zatrzymać? Uśmiechy wróciły, nasiliły się.

Oczywiście, że możesz, Rachel, skoro tego chcesz. Jeśli to cię uszczęśliwi.

- Chcę to mieć na szyi. To mnie cieszy.

Niech więc zostanie. Teraz i zawsze, skoro tego chcesz.

Dziewczynka rozpromieniła się pełnym spokojem i zaufaniem uśmiechem i zsunęła się do kojącej wody. Zanurzyła się w niej, pozwalając unosić. Czuła, jak woda zmywa z niej brud, a wraz z nim wszelkie troski oraz kłopoty. Przez chwilę zdawało się jej, że nie może się czuć bardziej bezpieczna i szczęśliwa, a już chwilę później okazywało się, iż jednak tak, coraz bardziej i bardziej.

Dziewczynka zagarniała ramionkami uzdrawiającą, oczyszczającą, złocistą wodę. Płynęła na przeciwległy kraniec jeziora, tam gdzie zostawiła Chase'a. Znalazła go niemal po szyję zanurzonego w wodzie; przechyloną w tył głowę opierał o porośniętą miękką trawą brzeg. Powieki miał zamknięte i uśmiechał się w zachwycie.

- Ojczy?

- Tak, córeczko? - szepnął, nie otwierając oczu.

Rachel podpłynęła do niego. Uniósł ramię i wśliznęła się pod nie. Dobrze było czuć dodający otuchy uścisk strażnika.

- Czy będziemy musieli kiedyś stąd odejść, ojczy?

- Nie. Mówią, że możemy tu zostać na zawsze. Przytuliła buzię do jego ramienia.

- Tak się cieszę.

Potem zasnęła - naprawdę zasnęła i spała jak nigdy dotąd, bezpieczna i chroniona, choć nie wiedziała, jak długo to trwało. Ubrała się, a ubranie było czyste i lśniące jak nowe. Strój Chase'a również lśnił czystością i świeżością. Rachel tańczyła w kole z innymi dziećmi, jaśniejącymi dziećmi, których głosy i śmiech odbijały się echem. Pobudzało ją to do śmiechu i śmiała się wesoło. Jeszcze nigdy nie czuła się taka szczęśliwa.

Kiedy Rachel była głodna, leżała wraz z Chase'em w trawie. Otaczała ich

jaśniejąca mgła i uśmiechnięte twarze i jedli jakieś słodkie pyszności. Kiedy była zmęczona, spała, nigdy nie troszcząc się o to, gdzie śpi, bo nareszcie była bezpieczna. Gdy chciała się bawić, przychodziły tamte dzieci i bawiły się z nią. Kochały ją. Wszyscy ja kochali. I ona wszystkich kochała.

Czasami dziewczynka przechadzała się samotnie. Poprzez korony drzew padały snopy przytłumionego słonecznego blasku. Promienne łąki pełne były kwiatów kołysanych lekkim wiatrem, mrugających jaskrawymi kolorami.

Innym razem spacerowała z Chase'em, trzymając go za rękę. Była ogromnie szczęśliwa, że i on w końcu odnalazł spokój. Już nie musiał walczyć. On też był bezpieczny. Mówił, iż osiągnął spokój ducha. Niekiedy zabierał małą na przechadzkę i pokazywał jej lasy, w których, jak mówił, dorastał i bawił się, gdy był taki mały jak ona. Uśmiechała się z zachwytem, widząc w jego oczach błysk szczęścia. Kochała go i była usatysfakcjonowana, że i on - podobnie jak ona - znalazł wreszcie spokój.

Kobieta podniosła wzrok, na jej wargach przewinał się leciutki uśmieszek. Nie usłyszała żadnego dźwięku, lecz nie musiała się odwracać i badać wzrokiem gęstego mroku. Wiedziała, że tam był, że stał za drzwiami. Wiedziała od kiedy.

Nie rozprostowała *nóg* - uniosła się w górę na powietrznej poduszce i zawisała nad pokrytą słomą podłogą. Bezwładne ręce chłopca zakotłosały się sztywno. Miętko, bez życia, odchylił się do tyłu i zawisł na jej ramieniu. W drugiej dłoni kobieta ścisnęła statuetkę.

Rozplotła nogi, opuściła na podłogę stopy w pantofelkach, po czym przerzuciła na nie ciężar ciała. Chłopiec ześliznął się z jej ramienia, martwa głowa uderzyła o podłogę. Ręce i nogi upadły nieco skośnie, na jedną stronę. Ubranie miał powalane. Z odrazą wytarła dłonie o spódnicę.

- Dlaczego nie wchodzisz, Jedidiahu? - Głos kobiety odbił się echem od chłodnych kamiennych ścian. - Wiem, że tam jesteś. Nie udawaj, że cię nie ma.

Masywne drzwi zaskrzypiały i powoli się otworzyły. Postać wyszła z cienia, stanęła w świetle padającym od świecy palącej się na rozklekotanym stoliku - jedynym meblu w owej izbie. Jedidiah stał swobodnie i w milczeniu obserwował, jak pomarańczowy blask znika z jej oczu, jak się znów stają jasnoniebieskie, nakrapiane fioletem. Przeniósł spojrzenie na statuetkę, którą trzymała w dłoni.

- Właścicielka mnie po nią przysłała. Chce ją z powrotem. Kobieta uśmiechnęła się szerzej.

- Teraz? - Wzruszyła ramionami. - Skończyłam. - Podała mu posążek. - Na razie.

Jedidiah wziął figurkę, twarz miał zupełnie spokojną.

- Ona nie lubi, gdy „pożyczasz” jej rzeczy. Przesunęła palcem po policzku chłopaka.

- To nie jej służę. Nie dbam o to, co się jej podoba, a co nie.

- Powinno cię to trochę bardziej obchodzić. Uśmiechnęła się promienniej.

- Czyżby? Mogłabym udzielić jej tej samej rady. - Okręciła się i wskazała leżące na podłodze ciało. - On miał dar. - Spojrzała surowo w oczy Jedidiah, a uśmiech zniknął z jej twarzy, jakby nigdy nie łagodził rysów kobiety. Głos zmienił się w pełen jadu syk: - Teraz ja go mam.

Jedidiah nie zdołał opanować zdumienia.

- Myślałeś, że zawsze musi się odbywać ów obrzęd? Rytuał w lasach Hagen? - Potrząsnęła z wolna głową. - Już nie. Tylko za pierwszym razem, bo jesteśmy kobietami, a kobieca Han nie może chłonąć męskiej. - Zniżyła głos do szyderczego szeptu. - Potem już nie. Teraz, kiedy mam męski dar, mogę wchłaniać kolejne już bez rytuału. - Przysunęła twarz tuż do jego twarzy. - I ty także możesz, Jedidiahu - wyszeptała. - Ty również możesz, za pomocą quilliona. Nauczę cię. To bardzo łatwe. Pokazałam mu obrządek zespolenia, by ukazać mu jego Han. - Musnęła policzkiem twarz chłopaka i wyszeptała mu do ucha: - Ale nie wiedział, jak zapanować nad darem. Wytworzyłam próżnię w quillionie. - Cofnęła się i spojrzała Jedidiahowi w oczy. - Wessała jego życie. Wyssała zeń dar. I teraz jest mój.

Czarodziej przez chwilę wpatrywał się w oczy kobiety, potem spojrzał na zwłoki.

- Nie przypominam sobie, że bym go kiedyś widział. Szepnęła, stając tuż przy nim:

- Nie igraj ze mną, Jedidiahu. Tak naprawdę chcesz wiedzieć, gdzie go znalazłam i dlaczego nie odszukały go inne Siostry, skoro miał dar.

Jedidiah niedbale wzruszył ramionami.

- Jeśli miał dar, to dlaczego nie nosi obroży? Kobieta przechyliła na bok głowę.

- Bo jest taki młody. Jego Han była zbyt słaba, by mogły ją wykryć inne Siostry. - Przechyliła głowę w drugą stronę. - Ale ja mogłam to zrobić. - Przytknęła nos do jego nosa. - Był tu, w mieście. Tuż pod ich nosami. Pewno owoc zabaw jednego z was, niegrzecznych chłopaczków.

- Bardzo przebiegle. Oszczędza bawienia się w raporty. Pozwala uniknąć niewygodnych pytań.

Kobieta zerknęła na ciało.

- Bądź miłym chłopcem i pozbądź się go. Mieszkał w pobliżu rzeki, w nędzy. Podrzucić go tam. Nikt się tym nie zainteresuje.

Jedidiah znacząco uniósł brew.

- Chcesz, bym po tobie posprzątał? Przesunęła palcem po jego szyi, po Rada'Han.

- Popełniasz wielki błąd, Jedidiahu, uważając mnie za zwyczajną Siostrę. Mam teraz męski darta jakity. I wiem, jak zeń korzystać. Nie masz pojęcia, jak wzrasta owa moc, kiedy się do niej doda czyjaś Han.

- Wygląda na to, że stajesz się Siostrą, z którą trzeba się liczyć. Nikt mądry nie powinien ci się narażać.

- Bystry z ciebie chłopiec, Jedidiahu. - Poklepała go po policzku, objęła w pasie i zmarszczyła się lekko. - Pewno myślisz, że zostałeś obdarzony sporą mocą, ale na twoim miejscu niepokoiłabym się. Nie było nikogo, z kim mógłbyś się zmierzyć, kto zagroziłby twojej pozycji wśród pałacowych czarodziejów. Jednak nadchodzi ktoś nowy. Wkrótce tu będzie. Jeszcze nigdy kogoś takiego nie spotkałeś. Coś mi się zdaje, że przestaniesz być chlubą pałacu.

Jedidiah nie zmieniał wyrazu twarzy, lecz coraz bardziej czerwieniał. Uniósł statuetkę.

- Obiecałaś, że mnie nauczysz. Potrząsnęła palcem przed jego twarzą.

- Nie, nie, nie. On jest mój. Możesz sobie wziąć innego. Każdy dar spotęguje twoją moc, lecz ten należy do mnie.

Teraz Jedidiah potrząsnął posążkiem przed twarzą kobiety.

- Ona może mieć coś do powiedzenia na ten temat. Ma swoje własne plany. Plany co do niego.

Uśmiechnęła się kącikiem ust.

- Wiem. Będziesz mnie informował o jej zamiarach.

- Masz plany co do mnie? - udał zdziwienie.

Znów się uśmiechnęła.

- I to bardzo konkretne. - Przesunęła dłonie po jego biodrach, wyczuła pod szatami jędrne, młode mięśnie. - Masz zdolne ręce i talent do wytwarzania różnych przedmiotów, przedmiotów z metalu. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Coś przesyconego magią. Słyszałam, iż to jeden z przejawów twojego daru.

- Chcesz błyskotkę, amulet? Ze srebra czy ze złota?

- O nie, nie, drogi chłopcze. To ma być ze stali. Potrzebna będzie stal z ostrzy setki mieczy. Bardzo specyficznych mieczy. Tych ze zbrojowni. Takich, którymi walczone, które w walce przebijały ludzkie ciała.

- A co to ma być?

Przesunęła dłoń w górę po wewnętrznej stronie jego uda.

- Później o tym porozmawiamy. - Z uśmiechem stwierdziła, że niemal natychmiast zareagował na jej dotknięcie. - Musisz być samotny, od kiedy Margaret odeszła. Baaardzo samotny. Potrzebujesz przyjaciela, który cię zrozumie. Czy wiesz, Jedidiahu, że męska Han pozwala wspaniale zrozumieć uczucia i potrzeby mężczyzn? Dopiero teraz pojęłam, co cenią mężczyźni. Sądzę, że zostaniemy bliskimi, bardzo bliskimi przyjaciółmi. I jako ulubiony przyjaciel otrzymasz nagrodę jeszcze przed wykonaniem zadania.

Wniknęła weń strumyczkiem mocy, zogniskowała moc tam, gdzie mogła dać mu najwięcej rozkoszy. Uśmiechnęła się szerzej, widząc, jak głowa Jedidiaha odchyliła się do tyłu. Chłopak zamknął oczy, wydał gardłowy dźwięk i gwałtownie wciągnął powietrze. Dyszał. Zacisnął dłonie na pośladkach kobiety, przyciągnął ją do siebie, zgniótł ustami jej wargi.

Kopniakiem odsunęła na bok zwłoki i pozwoliła Jedidiahowi położyć się na pokrytej słomą podłodze.

ROZDZIAŁ 36

Rosomak jakby się przybliżył i urósł w oczach. Strzała czekała, aż uniesie płaski, czarny łeb. Za lewym ramieniem Richarda rozległo się ciche warknięcie.

- Ciiicho! - syknął chłopak.

Mała chimera zamilkła. Rosomak uniósł głowę. Strzała pomknęła ze świstem. Chimerka podskakiwała w miejscu, trzepocząc skrzydłami, wpatrzona w lecący pocisk.

- Zaczekaj - szepnął Richard i mały znieruchomiał.

Grot z trzaskiem wbił się w cel. Chimera pisnęła radośnie. Rozłożyła skrzydła, podskoczyła wyżej i obróciła się ku Richardowi. Chłopak nachylił się ku niej i wyciągnął palec w stronę pomarszczonego noska. Malec wpatrywał się weń uważnie.

- Leć, ale przynieś mi potem strzałę.

Chimera potakująco kiwnęła łbem i wzniosła się w powietrze. W mglistym blasku wczesnego świtu Richard obserwował, jak zniża się ku martwej zdobyczy i spada na nią tak, jakby ta miała uciec. Poleciały kępki szarpanej pazurami sierści. Ciemna sylwetka zniżyła się, złożyła skrzydła i pochyliła nad zdobyczą. Chimera warczała i rozszarpywała swój posiłek.

Richard odwrócił się od tego widoku i patrzył, jak chmury zmieniają barwy na jaśniejącym niebie. Siostra Verna pewno się już wkrótce obudzi. Chłopak wciąż trzymał w nocy wartę, choć kobieta upierała się, że to zupełnie niepotrzebne. Pogodziła się z tym w końcu, ale Richard wiedział, iż była zła, bo nie ustąpił. To ją złościło. A cóż jej nie złościło? Od kiedy opuścili dolinę, Verna była jeszcze bardziej gniewna niż zwykle. Była milcząca i wściekła.

Chłopak spojrzał na chimerę, żeby się przekonać, czy nadal je. Nie mógł pojąć, jak małemu udało się podążać za nim przez Dolinę Zaginionych. Błędem było karmienie go, nim dotarli do doliny, lecz chłopak czuł się zań odpowiedzialny. Mały zjawiał się co noc podczas warty Richarda, a on zawsze ustrzelił mu jakiś posiłek. Chłopak sądził, iż ostatni raz widział malca przed przejściem do Starego Świata, ale chimera nie zgubiła jego śladu.

Przez całą wartę Richarda mały nie opuszczał go nawet na krok. Jadł z nim, bawił się, spał u jego stóp albo i na stopach chłopaka. I awanturował się, kiedy Richard musiał wracać do obozu. Chimera pojawiała się tylko w godzinach warty, potem znikwała. Jakby instynktownie wiedziała, że należy unikać Siostry i nie pokazywać się jej. Richard był przekonany, iż Verna próbowałyby zabić malca. Może i chimera to wyczuwała.

Wystarczyło, że Richard pokazał coś malcowi raz czy dwa, a ten rozumiał, o co chodzi. Uczył się pojmovać słowa chłopaka i starał się je naśladować, choć nie wyglądało na to, że potrafi mówić. Mimo to niektóre wydawane przez niego dźwięki dziwnie przypominały mowę.

Richard nie wiedział, co zrobić z małą chimera. Myślał, że może nauczy się polować i samodzielnie zdobywać żywność, ale zwierzak nie chciał go opuścić. Szedł za nim ukradkiem, szedł wszędzie, nawet przez niebezpieczeństwo. Może był jeszcze za mały na samodzielne życie. Może uznał Richarda za jedyną ochronę i ocalenie. Może widział w nim namiastkę matki.

Po prawdzie chłopak wcale nie chciał, żeby chimera odeszła. Zaprzyjaźnił się z nią podczas tej podróży przez pustkowia. Malec kochał go bez zastrzeżeń, nigdy nie ganił i nie sprzeczał się z nim. Dobrze było mieć przyjaciela. Jakże więc Richard mógłby odmówić mu przyjaźni?

Z zadumy wyrwał chłopaka trzepot skrzydeł. Chimera z głuchym uderzeniem wylądowała tuż obok. Sporo przytyła od pierwszego spotkania. Richard mógłby przysiąc, że także urosła - blisko stopę. Różowa skóra na piersi i brzuchu okrywała teraz twarde ścięgna i mięśnie, a ramiona nie były już obciążonymi skórą kośćmi - ich muskulatura nabrała siły.

Richard wolał nie myśleć, ile chimera może urosnąć. Miał nadzieję, że się usamodzielni, zanim osiągnie rozmiary dojrzałego osobnika. Zapewnienie strawy dorosłej chimerze krótkoogoniastej zabrałoby mnóstwo czasu.

Malec wytarł grot o porośnięte sierścią udo, uśmiechnął się promiennie do Richarda okrwawioną mordką i podał mu strzałę. Chłopak wskazał ponad swoim ramieniem.

- Nie chcę jej. Odłóż ją na właściwe miejsce.

Chimera sięgnęła ponad ramieniem chłopaka i wsunęła strzałę do opartego o pniak kołczanu. Skrzywiła pysk w grymasie, jakby pytając, czy o to właśnie chodziło. Richard uśmiechnął się i poklepał malca po pełnym

brzuszk.

- Grzeczny chłopczyk. Zrobiłeś, co trzeba.

Malec z zadowoleniem pacnął na ziemię u stóp Richarda i zajął się zlizywaniem krwi z pazurów i sierści. Skończył, położył łapy na kolanach chłopaka i oparł na nich głowę.

- Przydałoby ci się jakieś imię. - Chimera przekrzywiła głowę, łypnęła jednym okiem i nastawiła uszy ku Richardowi. - Imię. - Chłopak klepnął ją w pierś. - Mam na imię Richard. - Mały wyciągnął łapę i też poklepał pierś chłopaka. - Richard, Richard.

Mały przekrzywił łeb w drugą stronę.

- Raaaa - warknął przez ostre kły, nerwowo poruszając uszami. Chłopak potakująco kiwnął głową.

- Ri-chard.

Malec poklepał pierś chłopaka.

- Raaa gurrr - warknął gardłowo, tym razem mniej szczerząc zęby.

- Ri-chard.

- Raaa chaaarg.

- To już lepiej - roześmiał się Richard. - A ciebie jak nazwiemy?

Próbował wymyślić coś odpowiedniego. Chimera usiadła, zmarszczyła czoło i bacznie się weń wpatrywała. Po chwili ujęła rękę Richarda i uderzyła nią o jego pierś.

- Raaa chaaarg - oznajmiła. Potem klepnęła dłonią chłopaka o swoją pierś. - Grrrratch.

- Gratch? - powtórzył zdumiony Richard. - Masz na imię Gratch? - Poklepał małego. - Gratch?

Chimera kiwnęła głową i uderzyła się w pierś.

- Grrrratch, Grrrratch.

Richard był zaskoczony; nigdy *nie* przyszło mu do głowy, że chimera może mieć jakieś imię.

- A więc Gratch. - Poklepał się po piersi. - Richard. - Uśmiechnął się i poklepał małego po ramieniu. - Gratch.

Chimerka rozłożyła skrzydła i łupnęła się w pierś otwartymi szponami.

- Grrrratch!

Richard roześmiał się, a mały skoczył nań i, chichocząc gardłowo, powalił na ziemię. Gratch najbardziej kochał jedzenie, a zaraz potem zapasy. Tarzali

się po ziemi, śmiali się i mocowali, starając się pokonać jeden drugiego. Richard był ostrożniejszy niż Gratch. Mały potrafił uchwycić w paszczę ramię chłopaka, choć na szczęście nigdy nie ugryzł. Ostre jak igła zęby były tak długie, że przeszłyby rękę na wylot, a Richard sam widział, jak *rozgryzamy kość*.

W końcu chłopak usiadł na pniaku i zakończył zapasy. Gratch spoczął mu okrakiem na kolanach, objął ramionami, nogami i skrzydłami. Schował mordkę na ramieniu chłopaka. Wiedział, że Richard odejdzie o świcie.

Chłopak wypatrzył w poszyciu królika i pomyślał, że może Verna chętnie zjadłaby trochę mięsa na śniadanie.

- Przydałby mi się królik, Gratch.

Gratch zląkł mu z kolan, a chłopak wziął łuk. Strzała pomknęła do celu i Richard powiedział chimerze, by przyniosła mu zwierzę i nie zjadła go po drodze. Gratch nauczył się aportować i chętnie to robił; zawsze otrzymywał to, co zostawało po odzieraniu ze skóry i patroszeniu.

Richard oparł królika, pożegnał się z Gratchem i ruszył z powrotem. Rozmyślał o Kahlan, która zjawiała mu się w wieży, i o tym, co od niej usłyszał. Prześladował go obraz egzekucji dziewczyny. Przypomniał sobie jej słowa: „Powtórz te słowa, jeżeli będzie trzeba, ale nie mów o tym widzeniu. *Kiedy ustąpią mroki, ze wszystkich, co byli, pozostanie jedynie ów zrodzony z magii, by wydobyć prawdę. Potem idzie najmroczniejszy podstęp śmierci. By ocalić więzy życia, kobieta w bieli ma być ofiarowana swemu ludowi, co przyniesie radość i otuchę*”.

Wiedział, kim była „kobieta w bieli”. Wiedział, co znaczyło „przyniesienie radość”.

Richard myślał również o prorocестве, które przekazała mu Siostra Verna; o tym, które mówiło: *Jest on dawcą śmierci i nazwie tak sam siebie*. Verna upierała się, że prorocstwo stwierdzało dalej, iż właściciel miecza potrafi ożywiać zmarłych, przywoływać przeszłość do teraźniejszości. Zastanawiał się i martwił, cóż to może oznaczać.

Kiedy wrócił do obozowiska, Verna piekła prząsny, płaski chleb. Chłopakowi zaburczało w pustym brzuchu, kiedy poczuł ów aromat. Rzadko zadrzewiona kraina budziła się powoli; odgłosy wydawane przez zwierzęta i owady zapowiadały bliski świt. Grupki niewielkich ciemnopiórych ptaków śpiewały na wysokich, słabo ulistnionych drzewach, szarawe wiewiórki

goniły się po ich gałęziach. Chłopak zawiesił nad ogniem oprawionego królika, a Siostra Verna pilnowała swojego chleba.

- Przyniosłem ci śniadanie. Pomyślałem, że chętnie zjesz trochę mięsa. - Mruknęła coś w odpowiedzi. - Nadal gniewasz się na mnie za to, że ocaliłem ci wczoraj życie?

Ostrożnie dołożyła do ognia.

- Nie gniewam się o to, że ocaliłeś mi życie, Richardzie.

- Zdaje mi się, iż mówiłaś, że twój Stwórca nie cierpi kłamstw. Myślisz, że on ci wierzy? Bo ja nie wierzę.

Policzki Verny tak poczerwieniały, że chłopak pomyślał, iż jej kręcone włosy mogą się zająć żywym ogniem.

- Nie powinieneś bluźnić.

- A kłamstwo nie jest bluźnierstwem?

- Nie rozumiesz, Richardzie, dlaczego się złościę.

Chłopak usiadł na ziemi, chwycił się za kostki i skrzyżował nogi.

- A może rozumiem. Masz się mną opiekować. A nie ja tobą. Może uważasz, że zawiodłaś. Jednak ja wcale tak nie myślę. Oboje zrobiliśmy wszystko, co należało, by przeżyć.

- Zrobiliśmy, co należało? - Delikatne zmarszczki okoliły przymrużone oczy Verny. - Jeśli sobie przypominam, to w książce zmarła część ludzi przeprowadzanych przez Bonnie, Geraldine i Jessupa przez zatrutą rzekę.

Richard uśmiechnął się w duchu.

- Zatem naprawdę ją czytałaś.

- Mówiłam, że czytałam! To było nieroztropne. Mogliśmy zginąć, podejmując takie ryzyko.

- Nie mieliśmy wyboru.

- Zawsze masz wybór, Richardzie. Tego właśnie próbuję cię nauczyć. - Przysiadła na piętach. - Czarodzieje, którzy stworzyli owo miejsce, też uważali, że nie mają wyboru; i tylko wszystko pogorszyli. Posługiwaleś się tam swoją Han, nie pojmując, jakie ma to konsekwencje.

- A jaki mieliśmy wybór?

Verna oparła dłonie o kolana i pochyliła się do przodu.

- Zawsze mamy wybór, Richardzie. Miałeś szczęście, że nie zginąłeś, posługując się magią.

- O czym ty mówisz?

Siostra Verna przyciągnęła do siebie skórzaną torbę i zaczęła w niej szperać. Po chwili wyjęła woreczek z zielonego płótna,

- Masz na ramieniu trochę krwi owej bestii. Czy ukłuł cię któryś z insektów?

- Tak, pocięły mi nogi.

- Pokaż.

Richard podciągnął nogawki i pokazał Vernie czerwone, opuchnięte ślady po ukłuciach. Siostra potrząsnęła głową, poszeptała coś, po czym wyciągnęła z torby dwie butelki. Podniosła leżący w pobliżu patyczek, nabrała nim z jednej butelki białej pasty i naniosła ją na ostrze noża. Wrzuciła patyczek do ognia. Wzięła następne drewnienko i zaczerpnęła nim z drugiej butelki ciemnej pasty, zmieszała obie na nożu, a potem naniosła tę mieszaninę na ostrze. Wrzuciła do ognia drugi patyk, na którym zostało trochę zmieszanych past. Richard drgnął, bo mikstura wybuchnęła białą kulą ognia, która poszybowała w górę, zmieniając się powoli w kłębiącą się chmurę czarnego dymu. Verna uniosła nóż z ostrzem wysmarowanym szarą pastą.

- Światło i mrok, ziemia i niebo. Magia, która wyleczy to, co zabiłoby cię wieczorem. Masz prawdziwy talent do wpędzania się w kłopoty, Richardzie. A każdy następny krok jedynie pogarsza twoją sytuację. Przysuń się.

Chłopak okrążył ognisko.

- Zastanawiałaś się, czy mi pomóc czy nie?

- Oczywiście, że nie. To potężna magia, magia konstruktywna, która usunie jad wstrzyknięty przez wyczarowane stwory. Owo leczenie, podjęte zbyt wcześnie, zabiłoby cię. Gdybym zastosowała je zbyt późno, zginąłbyś od tych ukąszeń. Należy wykorzystać odpowiednią magię w odpowiednim czasie. Po prostu czekałam, aż nadejdzie właściwa pora.

Richard chętnie by się z nią posprzeczał, lecz zamiast tego powiedział:

- Dzięki za pomoc. - Posłała mu gniewne spojrzenie, po czym zajęła się ukąszeniami. - Dlaczego jeszcze pogarszałem sprawę, Siostrze?

- Bo byłeś lekkomyślny. Magia jest niebezpieczna nie tylko dla innych, ale i dla tego, który się nią posługuje.

Chłopak skrzywił się, bo Verna przeciągnęła nożem ślad po ukąszeniu. Powstało nacięcie w kształcie X. Zapiekło tak, że łzy napłynęły Richardowi do oczu.

- Jak magia może być dla mnie niebezpieczna?

Verna skoncentrowała się, pochyliła nad nogą chłopaka, wyszeptała inkantację i przeciągnęła ostrzem po opuchliznie. Richard bardzo starał się nie podskoczyć, kiedy rozcinała kolejny ślad po ukąszeniu. Nacięcia nie były głębokie, lecz za to przeraźliwie piekły.

- To jak rozpalenie ognia w samym środku wysuszonego na pieprz lasu. Tkwisz wśród płomieni, w centrum tego, co sam wywołałeś. To, co robiłeś, było głupie i niebezpieczne.

- Staralem się ocalić życie, Siostrze Verno. Dźgnęła palcem w bolesną opuchliznę.

- I spójrz, co z tego wynikło! Umrzesz, jeżeli cię nie ulecę. - Skończyła nacinanie śladów na nogach i zajęła się ramieniem Richarda. - Myślałeś, że nas ratujesz, kiedy zostaliśmy zaatakowani przez owe bestie, a tymczasem każdy twój czyn jedynie potęgował niebezpieczeństwo.

Verna skończyła i umieściła ostrze nad ogniskiem. Ze stali buchnął język białego płomienia i zaczął spalać resztki pasty. Siostra trzymała tak nóż, dopóki nie zniknęła i pasta, i biały płomień.

- Już byśmy nie żyli, Siostrze, gdybym nic nie zrobił. Pogroziła mu rozpalonym ostrzem.

- Nie powiedziałam, że źle postąpiłeś, działając! Mówiłam, że robiłeś nie to, co trzeba było! Wykorzystałeś niewłaściwy rodzaj magii!

- Korzystałem z jedynej magii, jaką mam! Z magii miecza! Verna rzuciła nożem - wbił się mocno w kawałek drewna. - Bardzo niebezpiecznie jest działać, nie mając pojęcia o następstwach posługiwania się magią, którą przywołujesz!

- Za to twoje działania nic nie dawały!

Siostra Verna zakołysała się na piętach, patrzyła przez chwilę na Richarda, a potem zaczęła chować butelki do zielonej torby.

- Przepraszam, Siostrze. Wcale tak nie uważam. Nie to chciałem powiedzieć. Chodziło mi o to, że nie potrafiłaś wyczuć drogi, a wiedziałem, że oboje zginiemy, jeżeli tam zostaniemy.

Przesuwane w torbie butelki z brzękiem uderzały o siebie. Verna najwyraźniej nie mogła ich ustawić tak, jak chciała.

- Tobie się zdaje, Richardzie, że nauczysz się u nas, jak kontrolować dar i posługiwać się magią. To najłatwiejsza część nauki. Trudniejsze jest co

innego: wiedzieć, jaki rodzaj magii wykorzystać, kiedy to uczynić, z jaką mocą i jakie będą tego następstwa. Jak, ile, kiedy i co potem, tak jak magiczna mikstura, którą naniosłam na ślady po ukąszeniach. - Verna wpatrywała się w Richarda ze śmiertelną powagą. - Bez tej wiedzy jesteś niczym ślepiec wymachujący siekierą w tłumie dzieci. Nie masz pojęcia, jakie niebezpieczeństwo wyzwalasz, gdy posługujesz się magią. Spróbujemy dać ci wyczucie i świadomość, zanim zamachniesz się ową siekierą.

- Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem. - Richard szarpał kępkę trawy rosnącej koło jego stóp.

- Raczej powinnam się złościć sama na siebie za to, że byłam szalona. Nie podejrzewałam, iż może tam być coś takiego, co zwabi mnie w pułapkę. Myliłam się. Dziękuję, Richardzie, że mnie ocaliłeś.

Chłopak owinął wokół palca długie źdźbło trawy. - Tak mi ulżyło, kiedy cię znalazłem... Myślałem, że nie żyjesz. Cieszę się, iż tak nie jest.

Verna wyjęła z torby wszystkie buteleczki i ustawiła je na ziemi.

- Mogłam zostać w tym uroku już na zawsze. Powinnam była zostać.

- Co masz na myśli?

Richardowi się zdawało, że te wszystkie buteleczki nie zmieszczą się w torbie, lecz przecież widział, jak Verna je stamtąd wyciągnęła.

- Już przedtem usiłowałyśmy ocalić Siostry. Widziałyśmy niektóre z nich i ich podopiecznych, uwięzionych w urokach. Sama dostrzegłam jedną podczas mojej pierwszej podróży. Nigdy się nam nie udało żadnej wydostać. Siostry ginęły, próbując je uwolnić. - Zaczęła chować buteleczki. - Posłużyłeś się magią.

- Posłużyłem się mieczem. Wiesz, że ma własną magię.

- Nie. Nie skorzystałeś z magii miecza. Wykorzystałeś swoją Han, choć nie zdawałeś sobie z tego sprawy. To najniebezpieczniejsze, co mogłeś uczynić: posłużyć się Han na oślep, bez koniecznych umiejętności.

- A ja uważam, Siostro, że była to tylko magia miecza.

- Słyszałam cię, gdy mnie wołałeś. Próbowaliśmy nawoływać tamtych, lecz nigdy nas nie słyszeli. Ani razu.

- Nie wiesz, jak to się udało. I ty mnie nie słyszałaś, dopóki nie przedostałem się przez migotliwą ścianę wokół ciebie. Dopiero wtedy mnie usłyszałaś. Więc i wy musiałybyście najpierw przejść przez tę ścianę.

Verna rozepchnęła buteleczki na boki, żeby zrobić miejsce na następne, a

potem powiedziała cicho:

- Wiemy o tym, Richardzie. Wypróbowałyśmy każdy rodzaj magii i nigdy nie udało się nam ani przejść przez ścianę, ani rozbić osłony takiego uroku, ani przyciągnąć uwagi uwięzionej w niej Siostry. Przedtem nigdy nikogo nie udało się wydostać z uroku. - Schowała ostatnią buteleczkę i w końcu spojrzała na chłopaka. - Dziękuję, Richardzie.

Wzruszył ramionami, odwinął trawę z palca.

- Choć tyle mogłem zrobić, żeby zmasać swój poprzedni czyn.

- Twój poprzedni czyn?

Richard starannie i powoli puszczał nogawki spodni. - Hmmrn, zanim cię uratowałem, zabiłem cię.

- Co zrobiłeś??? - Nachyliła się ku niemu.

- Zadawałaś mi ból. Swoją magią. Obrożą.

- Przepraszam, Richardzie. Byłam w uroku i nie miałam pojęcia, co czynię. Nie zamierzałam cię skrzywdzić.

Richard potrząsnął głową.

- Nie wtedy. Przedtem. W białej baszcie.

Verna nachyliła się jeszcze bardziej i zgrzytnęła zębami. - Wszedłeś do baszty!? Czyś ty oszalał!? Przecież ci mówiłam, czym one są! Jak mogłeś być tak...

- Nie miałem wyboru, Siostro.

- Dopiero co rozmawialiśmy o wyborze. Opowiadałam ci, jakie te baszty są niebezpieczne. Ostrzegałam, żebyś trzymał się od nich z daleka!

- Wszędzie dokoła były pioruny. Próbowaly mnie trafić. Ja... nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić, więc schroniłem się w baszcie.

- Nie potrafisz wykonywać najprostszych poleceń? Zawsze musisz postępować jak dziecko?

Richard spojrzał na nią spode łba.

- Dokładnie tak się wtedy do mnie odezwałaś. Weszłaś do baszty. Byłem przekonany, że to ty. Złościłaś się na mnie tak jak teraz, a przed chwilą powtórzyłaś tamte słowa. - Zacisnął zęby i dotknął obroży. - Tym się posłużyłaś. Za pomocą tego rzuciłaś mną o ścianę i przyszpiliłaś do niej. Czy obroża i do tego służy, Siostro?

Verna uspokoiła się trochę.

- Tak. Nie mamy takiej mocy jak czarodzieje, nie mamy męskiej Han.

Obroża wzmacnia naszą moc, więc możemy być silniejsze od tego, który nosi ją na szyi. Możemy go uczyć.

- Zatem posłużyłaś się nią, żeby zadać mi ból. - W głosie chłopaka brzmiał powstrzymywany gniew. - Tak jak uczyniłaś to naprawdę, gdy tkwiłaś w uroku. Lecz ten w baszcie był silniejszy i wciąż się nasilał. Czy i do tego wykorzystuje się obrożę, Siostrze?

Verna wyrwała rosnącą obok niej kępkę trawy i zaczęła nią czyścić dłonie; unikała gniewnego wzroku Richarda.

- Tak. Lecz nie czyniłam tego naprawdę, Richardzie. To była jedynie wizja.

- Powiedziałem, byś przestała zadawać mi ból albo *sam* położę temu kres. Nie posłuchałaś, więc przywołałem magię miecza i złamałem więzące mnie okowy mocy. Byłaś wściekła. Stwierdziłaś, że popełniłem ostatni błąd w swoim życiu. Że zabijesz mnie za to, iż ci się opieram. Zamierzałaś to zrobić, Siostrze.

- Tak mi przykro, Richardzie - wyszeptała Verna, podnosząc wzrok - że musiałeś przez to przejść. - Jej głos nabrał trochę mocy. - A co mi... co uczyniłeś memu obrazowi?

Chłopak nachylił się ku niej i przytknął palec do jej ramienia.

- Przeciąłem cię mieczem na dwie części. Na tej wysokości. Ręce Verny znieruchomiały; skamieniała. Pobladła. W końcu odzyskała panowanie nad sobą.

Richard znów skubał kępkę trawy rosnącą u jego stóp.

- Nie chciałem tego zrobić, ale byłem absolutnie pewny, iż mnie zabijesz.

- Wierzę, że byłeś o tym przekonany, Richardzie. - Verna odłożyła na bok pęczek trawy. - Lecz to była jedynie wizja. Nie stałoby się tak, gdyby to się działo naprawdę. Nie zdołałbyś wtedy dokonać tego, co uczyniłeś w wizji.

- Kogo o tym próbujesz przekonać, Siostrze? Siebie czy mnie? Spojrzała w jego pałające gniewem oczy.

- To, co widziałeś, nie odpowiada temu, co istnieje w realnym świecie. To były jedynie złudzenia.

Richard pominął to milczeniem. Obrócił nadzianego na patyk królika, żeby mięso piekło się z drugiej strony, i odsunął z ognia blachę z praśnym chlebkiem, by wystygł.

- I gdy cię ponownie zobaczyłem, nie wiedziałem, czy to wizja, czy jawa.

Jednak bardzo pragnąłem, żebyś to była prawdziwa ty, żywa i cała. Nie chciałem cię zabić. - Spojrzał na Verne i uśmiechnął się. - Przecież obiecałem, że i tym razem przebędziesz *Dolinę Zaginionych*.

- Tak, obiecałeś - przytaknęła Siostra. - Faktycznie, więcej dobrych chęci niż mądrości.

- Po prostu robiłem to, co jak sądziłem, pozwoli mi przeżyć, Siostro. I tobie również.

Verna westchnęła i potrząsnęła głową.

- Wiem, Richardzie, że czyniłeś to, co uznałeś za najlepsze, lecz powinieneś zrozumieć, iż to, co uznasz za najlepsze, wcale nie musi być właściwe. Przywołujesz swoją Han, nie mając pojęcia, co robisz, a nawet nie zdając sobie sprawy, że ją przywołujesz. I w ten sposób narażasz się na niebezpieczeństwo, którego nie rozumiesz.

- Jak się posłużyłem moją Han?

- Czarodzieje składają obietnice, które ich Han stara się wypełnić. Obiecałeś, że pomożesz mi przebyć dolinę, że mnie ocalisz. Czyniąc to, odwołałeś się do prorocstwa.

- Niczego nie prorokowałem - zmarszczył się Richard.

- Nie tylko to zrobiłeś, ale bezwiednie posłużyłeś się swoją Han, posłużyłeś się prorocstwem, nie znając jego form, nie wiedząc, że wymaga to wykonania w przeszłości tego, co pomoże w przyszłości.

- O czym ty mówisz?

- Zniszczyłeś wędzidła.

- Wyjaśniłem ci wtedy, dlaczego to robię. Sprawiały koniom ból. Verna potrząsnęła głową.

- O tym właśnie mówię. Sądzisz, że uczyniłeś to z danego powodu, a w rzeczywistości cel był zupełnie inny. Twoja świadomość stara się wyjaśnić działania Han. Nie wierzyłam ci, kiedy uciekaliśmy z doliny, i chciałam zawrócić konia. Nie miał wędzidła, więc mi się to nie udało.

- No i co z tego?

Zbliżyła się do niego jeszcze bardziej.

- Zniszczenie w przeszłości wędzideł umożliwiło w przyszłości złożenie obietnicy i jej wypełnienie. To właśnie było posłużenie się prorocstwem. Na oślepa wywijasz toporem.

Richard spojrzął na nią sceptycznie.

- To bardzo naciągane, Siostro. Nawet jak na ciebie.

- Wiem, jak działa dar, Richardzie.

Chłopak zastanowił się nad tym i uznał, że jej nie wierzy. Postanowił też jednak, że *nie będzie* się sprzeczał z Verna na ten temat. Chciał się dowiedzieć jeszcze paru rzeczy.

- Nie masz już czystych kartek w książeczce? Nie widziałem, żebyś coś pisała.

- Przesłałam wczoraj wiadomość, że przebyliśmy dolinę. Nie mam nic innego do napisania, ot i tyle. To magiczna książeczka. Zaklęciami usuwamy stare wiadomości. Zostawiłam zapisane tylko dwie strony, resztę wymazałam. Z tym, co dodałam wczoraj, są teraz zapisane trzy stroniczki.

Richard oderwał kawałek gorącego chleba.

- Kto to jest Ksieni?

- Kieruje Siostrami Światła. Ona jest... - Verna przymrużyła oczy. - Nigdy o niej nie wspominałam. Skąd się dowiedziałeś o jej istnieniu?

Chłopak oblizał palce.

- Wyczytałem to w twojej książeczce.

Ręka Verny skoczyła do pasa, dotknęła książeczki. Była tam, gdzie zawsze.

- Czytałeś moje osobiste notatki! Nie miałeś prawa! Ja...

- Byłaś wtedy martwa. - Siostra zacisnęła wargi, a Richard dodał: - Wypadła na ziemię, kiedy cię zabiłem, a właściwie kiedy zabiłem twój obraz. Wtedy ją przeczytałem.

Verna rozluźniła się nieco.

- A, to tak. Cóż, była to część iluzji. Mówiłam ci, że nie odpowiada rzeczywistości.

Richard odłamał kolejny kawałek chleba.

- Tylko dwie strony były zapisane, jak w prawdziwej książeczce. Trzecią dopisałaś dopiero wtedy, gdy wyjechaliśmy z doliny. Przedtem były jedynie dwie.

Verna patrzyła, jak jadł chleb.

- Złudzenia, Richardzie. Spojrzał na nią.

- Na jednej stronicy napisano: „Jestem Siostrą, której powierzono opiekę nad tym chłopcem. Te zalecenia są pozbawione sensu, wręcz absurdalne. Domagam się wyjaśnienia powodów owych instrukcji. Chcę wiedzieć, z

czego upoważnienia zostały wydane. Wasza w służbie Światłu, Siostra Verna Sauventreen”. Na drugiej stronie przeczytałem: „Zrobisz, co ci polecono, lub poniesiesz konsekwencje. Nie waz się ponownie kwestionować rozkazów pałacu. Pisałam własną ręką, Ksieni”.

Krew odpłynęła z twarzy Verny.

- Nie powinno cię obchodzić, co piszą inni.

- Przecież mówiłem, że wtedy byłaś martwa. Co ci polecili ze mną zrobić, że się tak rozgniewałaś?

Siostra gwałtownie poczerwieniała.

- To dotyczy szczegółów naszej działalności. I tak nic byś z tego nie zrozumiał, a poza tym to nie twoja sprawa.

- Nie moja sprawa? - zdumiał się Richard. - Twierdzisz, iż chcesz mi jedynie pomóc, po czym czynisz ze mnie więźnia i mówisz, że to nie moja sprawa? Mam na szyi obrożę, poprzez którą możesz mnie ranić, a może i zabić, i twierdzisz, że to nie moja sprawa? Mówisz mi, że muszę robić, co mi każesz, bez dociekania dlaczego. Że mam ci wierzyć, choć każde nowe odkrycie podkopuje moje zaufanie, i to nie jest moja sprawa? Twierdzisz, że złudzenie, które widziałem, nie odpowiadało rzeczywistości, a przekonuję się, iż jak najbardziej tak było, i mówisz mi teraz, że to nie moja sprawa?

Verna milczała. Patrzyła nań obojętnie. Obserwuje mnie, pomyślał chłopak, jakbym był zwierzakiem w klatce.

- Czy wyjaśnisz mi coś, nad czym się zastanawiam, Sostro Verno?

- Jeżeli zdołam.

Richard jeszcze bardziej podwinął nogi pod siebie. Usunął z głosu wszelkie nuty wrogości.

- Kiedy zobaczyłaś mnie pierwszy raz, byłaś zdziwiona, że jestem dorosły. Sądziłaś, że będę dzieckiem.

- To prawda. Mamy w pałacu osoby, które wyczuwają narodzonych z darem. Lecz ty byłeś ukryty przed nami i dlatego tak dużo czasu zajęło nam odszukanie cię,

- Niedawno zaś powiedziałaś, że połowę życia spędziłaś poza pałacem, poszukując mnie. Skoro szukałaś mnie dobrych dwadzieścia lat, to jak mogłaś oczekiwać, że będę dzieckiem? Powinnaś spodziewać się znaleźć dorosłego, chyba że nie wiedziałyście, iż się urodziłem, i zaczęłyście mnie szukać, zanim ktokolwiek w pałacu wyczuł moją obecność.

- Jest, jak powiedziałeś - odparła spokojnym, wyważonym tonem. - Coś takiego nigdy przedtem się nie wydarzyło.

- Dlaczego zaczęłyście mnie poszukiwać, nim któraś z was wyczuła, że narodził się ktoś z darem?

Verna bardzo ostrożnie dobierała słowa.

- Nie wiedziałyśmy, kiedy dokładnie przyjdiesz na świat, lecz byliśmy pewne, że to nastąpi, więc wyruszyłyśmy na poszukiwania.

- Skąd wiedziałyście, że się narodzę?

- Wspominało o tobie proroctwo.

Richard kiwnął głową. Pragnął się dowiedzieć, co to za proroctwo i dlaczego Siostry uważały, że jest taki ważny, jednak nie chciał zbaczać ze szlaku, którym właśnie podążał.

- Czyli wiedziałyście, iż może minąć wiele lat, zanim mnie odnajdziecie?

- Tak. Nie miałyśmy pojęcia, kiedy się urodzisz. Mogłyśmy to ocenić tylko z dokładnością do paru dziesięcioleci.

- Jak się wybiera Siostry, które mają wyruszyć na poszukiwania?

- Kseni nas wybiera.

- Nie macie nic do powiedzenia w tej sprawie?

Verna sprężyła się, jakby podejrzewając, iż nieopatrznie zakłada sobie pętlę na szyję; mimo to nie mogła się powstrzymać od wyrażenia swych przekonań.

- Służymy Stwórcy. Nie mamy powodu sprzeciwiać się wyborowi. Jedynym celem pałacu jest pomaganie mającym dar. Największy zaszczyt, jaki może spotkać Siostrę, to wybór na tę, która ocali obdarzonego.

- Czyli żadna z wcześniej wybranych nie musiała strawić tak wielu lat swego życia na szukaniu osoby z darem?

- Żadna. Nie słyszałyśmy, by kiedykolwiek zajęło to więcej niż rok. Wiedziałam jednak, że moje zadanie może potrwać dziesiątki lat.

Richard uśmiechnął się do siebie triumfalnie. Odchylił się do tyłu, przeciągnął. Odetchnął głęboko.

- Teraz rozumiem. Verna przymrużyła oczy.

- Co rozumiesz?

- Rozumiem, dlaczego mnie tak traktujesz, Siostro Verno. Rozumiem, dlaczego nieustannie walczymy ze sobą, dlaczego skaczemy sobie do gardeł. Pojmuję, o co masz do mnie pretensje. Dlaczego mnie nienawidzisz.

Siostra wyglądała jak ktoś, kto czeka, aż otworzy się pod nim zapadnia.

- Wcale cię nie nienawidzę, Richardzie. Chłopak skinął głową i otworzył zapadnię.

- Ależ nienawidzisz, nienawidzisz. I nie winie cię za to. Rozumiem. Przeze mnie musiałaś zrezygnować z Jedidiaha. Verna drgnęła, jakby stryczek zaciągnął się jej na szyi.

- Richardzie! Nie powinieneś mówić do mnie w...

- O to właśnie masz do mnie pretensje. Nie o to, co się stało z tamtymi dwiema Siostrami. Chodzi ci o Jedidiaha. Byłabyś z nim, gdyby nie ja. Byłabyś z nim przez te dwadzieścia lat. Musiałaś zrezygnować ze swojej miłości i iść mnie szukać. Udać się na te przekłete poszukiwania. Wysłały cię. Nie miałaś wyboru; musiałaś pójść. To twój obowiązek. Kosztowało cię to miłość i dzieci, które mogłaś mieć. Przeze mnie straciłaś to i dlatego mnie nienawidzisz.

Verna siedziała, wpatrując się weń bez słowa, bez ruchu. W końcu powiedziała:

- Rzeczywiście jesteś Poszukiwaczem.

- Przepraszam, Sostro Verno.

- Nie musisz, Richardzie. Nie wiesz, o czym mówisz. - Powoli zdjęła królika znad ognia i położyła obok chleba; przez chwilę spoglądała przed siebie. - Lepiej zajmijmy się jedzeniem. Musimy ruszać w drogę.

- Dobrze. Lecz chcę, Sostro, byś wzięła pod uwagę, że to nie była moja decyzja. Nie ja cię na to skazałem. To Ksieni. Na nią powinnaś się gniewać albo, jeśli istotnie jesteś tak oddana swojej służbie i Stwórcy, winnaś znaleźć radość w spełnianiu własnych obowiązków. Przestań mnie za to winić, proszę.

Verna rozchyliła wargi, jakby chciała coś powiedzieć, jednak zamiast tego zaczęła otwierać swój bukłak. Wreszcie się jej to udało i pociągnęła długi łyk. Potem odetchnęła parę razy głęboko i osuszyła usta rękawem. Twardo spojrzała Richardowi w oczy.

- Wkrótce będziemy w pałacu, Richardzie, ale najpierw musimy przebyć kraj zamieszkały przez bardzo niebezpiecznych ludzi. Siostry mają z nimi układ i są przepuszczane. Ty zaś będziesz musiał wykonać dla nich jakieś zadanie. Będziesz musiał to zrobić albo wpadniemy w wielkie tarapaty.

- Co będę musiał zrobić?

- Zabić kogoś.

- Zapowiadam, Siostrze Verno, że nie zamierzam... Uniosła palec, nakazując chłopakowi milczenie.

- Nie waż się tym razem machać toporem, Richardzie - szepnęła. - Nie masz pojęcia, czym to grozi. - Podniosła się. - Osiodłaj konie. Musimy ruszać.

Chłopak też wstał.

- Nie zjesz śniadania?

Verna zlekceważyła pytanie i podeszła bliżej.

- Do sprzeczki trzeba dwóch osób, Richardzie. Zawsze się na mnie wściekasz, złości cię każde moje słowo. Masz do mnie pretensje. Nienawidzisz mnie, bo myślisz, że to ja skłoniłam cię do założenia obroży. Ale to nie ja i dobrze o tym wiesz. To Kahlan cię do tego nakłoniła. Przez nią nosisz Rada'Han. Gdyby nie ona, to byś tu ze mną nie był. Zapłaciłeś wysoką cenę i dlatego mnie nienawidzisz. Chcę jednak, Richardzie, byś wziął pod uwagę, iż to nie była moja decyzja. Nie ja cię na to skazałam. To Kahlan. Na nią powinieneś się gniewać lub, jeśli istotnie jesteś jej tak oddany, jak twierdzisz, winieneś znaleźć radość w spełnianiu jej życzeń. Może miała ważne powody, by tak postąpić. Może miała na względzie twoje dobro. Przestań więc, proszę, winić mnie za to.

Richard chciał przełknąć ślinę, lecz nie mógł.

ROZDZIAŁ 37

Krwistoczerwone światło gasnącego dnia przesączało się poprzez bezlistne drzewa rosnące na grzbiecie następnego wzniesienia. Kahlan odwróciła zielone oczy od dobrze ukrytych czujek. Były zbyt szeroko rozstawione, inaczej już dawno by ją zauważyły. Spojrzała na rzędy namiotów rozbitych na dnie kotliny i szczerze oceniła liczebność Galejczyków na pięć tysięcy.

Konie były uwiązane po lewej ręce dziewczyny, w pobliżu równiutko ustawionych wozów z zaopatrzeniem. W odległym końcu doliny wykopano w śniegu latryny. Właśnie składano na noc kuchnie polowe, umieszczone pomiędzy wozami a rzędami namiotów. Barwne wojenne chorągwie powiewały nad namiotami dowództwa. Kahlan jeszcze nigdy nie widziała tak wzorowego obozowiska. Galejczycy najwyraźniej mieli skłonność do porządku i dyscypliny.

- Bardzo ładnie wyglądają - odezwał się cicho Chandalen - jak na ludzi, którzy lada moment zostaną wymordowani.

Dwaj bracia zachichotali nerwowo, przytakując mu.

Kahlan z roztargnieniem skinęła głową. Rankiem widzieli wojsko, które Galejczycy ścigali. Ci żołnierze nie byli schludni. Ani zdyscyplinowani. Ani sympatyczni. Gęsto rozstawiali warty. Mimo to Chandalen oraz dwaj bracia zdołali podprowadzić dziewczynę na tyle blisko, by zobaczyła to, co chciała zobaczyć, i policzyła ich. Oceniła ich liczebność na pięćdziesiąt tysięcy. I nie było to przesadzone.

Kahlan odetchnęła głęboko; obłoczek pary poszybował w zimnym powietrzu.

- Muszę położyć temu kres. - Poprawiła plecak i łuk. - Chodźmy tam.

Puściła się w dół zbocza pokrytego puszystym śniegiem, Chandalen i dwaj bracia za nią. Dogonienie tych oddziałów zajęło jej więcej czasu, niż się spodziewała. Zamięć śnieżna na przełęczy Jara zmusiła ich do spędzenia dwóch dni pod gałęziami sosny-strażniczki. Owe sosny zawsze przypominały Kahlan o Richardzie - leżała zawinięta w futrzaną pelerynę, słuchała zawodzenia wichru i marzyła o chłopaku na jawie i we śnie.

Gniewało ją, iż straciła tyle cennego czasu i opóźniła dotarcie do

Aydindril, chcąc odwieść te wojska od samobójczego pościgu za siłami, które zniszczyły Ebinissię. Jednak jako Matka Spowiedniczka nie mogła pozwolić, by na darmo zginęło blisko pięć tysięcy żołnierzy. Musiała ich powstrzymać, zanim dotrą nazbyt blisko armii, która splądrowała Ebinissię. I tak byli zbyt blisko. Z pewnością spotkaliby się następnego dnia.

Cztery postaci w białych pelerynach z wilczego futra wywołały alarm. Rozległy się krzyki, przekazano wieść w głąb obozu. Żołnierze wysypali się z namiotów. W zimnym zmierzchu rozległ się szczeł dobywanych mieczy. Nadbiegli żołnierze z włóczyniami. Łucznicy nasadzili strzały na cięciwy. Kilkuset zbrojnych stanęło pomiędzy Kahlan a namiotami dowództwa. A nadbiegali kolejni, wciągając po drodze odzież i popędzając tych, którzy jeszcze tkwili w namiotach.

Kahlan zatrzymała się, Chandalen i bracia również. Dziewczyna stała nieruchomo, dumnie wyprostowana. Za nią Chandalen, Prindin i Tossidin wspierali się niedbale na swoich włóczyniach.

Z większego namiotu wyszedł oficer, wkładając ciężki brązowy płaszcz. Przeszedł pomiędzy ścianą żołnierzy, wołając do łuczników, by nie strzelali. Dołączyło doń dwóch kolejnych oficerów. Podeszli bliżej i Kahlan rozpoznała ich rangę. Pierwszy był kapitanem, pozostali dwaj porucznikami.

Zaspany kapitan stanął przed Kahlan, a dziewczyna odrzuciła w tył kaptur. Długie włosy rozsypały się na białym wilczym futrze.

- Co to... - zaczął kapitan i zamilkł.

Szeroko otworzył oczy. Trzej oficerowie przyklękli. Każdy żołnierz padł na kolana. Każdy pochylił głowę. Zamilkł szczeł stali, szelest wełny, chrzęst skóry. Stojący za Kahlan łowcy spojrzeli po sobie ze zdziwieniem - do tej pory widzieli tylko, jak Błotni Ludzie witają Matkę Spowiedniczkę. Słyszać było jedynie potrząskiwanie gałęzi kołysanych zimnym wiatrem.

- Powstańcie, moje dzieci.

Wszyscy się podnieśli. Kapitan wstał z kolan i nisko skłonił się przed dziewczyną. Uśmiechnął się z dumą.

- Jakiż to dla nas zaszczyt, Matko Spowiedniczko!

Kahlan patrzyła z niedowierzaniem na jego kwadratową szczękę, faliste jasnokasztanowate włosy, jasne, niebieskie oczy, młodą, przystojną twarz.

- Jesteś jeszcze dzieckiem - wyszeptała. Rozejrzała się wokół. Wpatrywały się w nią setki, tysiące młodych, błyszczących oczu. Zamrugła powiekami.

Poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Zaciśnęła pięści, drżąc z wściekłości. - Jesteście dziećmi! Wszyscy jesteście dziećmi!

Kapitan obejrzał się na swoich ludzi; był zmieszany, niemal urażony.

- Jesteśmy nowym zaciągiem, Matko Spowiedniczko, lecz wszyscy służyliśmy w galejskiej armii.

- Wszyscy jesteście dziećmi - wyszeptała Kahlan. - Dziećmi! Zapanowała cisza. Większość wyglądała na piętnaście, szesnaście lat. Kapitan i dwaj porucznicy przestąpili z nogi na nogę i zwiesili głowy. Niektórzy z ich ludzi nie mogli się powstrzymać i gapili się otwarcie na Chandalena, Prindina oraz Tossidina. Jeszcze nigdy kogoś takiego nie widzieli.

Kahlan chwyciła kapitana za wyłogi munduru i zaczęła go ciągnąć za sobą.

- Wy idziecie z nami - warknęła do obu poruczników. Spojrzała gniewnie ponad ich głowami: - Niech każdy wraca do swoich zajęć!

Szczęknięty chowane do pochew miecze, stuknięty wkładane do kołczanów strzały. Dziewczyna odciągnęła kapitana na taką odległość, by jego ludzie nic nie słyszeli. Gdy dotarli do drzew, popchnęła go w stronę pniaka i puściła, gniewnie potrząsnawszy. Usiadła na ośnieżonej kłodzie jak na tronie. Splotła ramiona. Chandalen stał po jej prawej ręce, Prindin i Tossidin po lewej. Wetknęli w śnieg drzewca włóczni i czekali w milczeniu. Kahlan zgrzytnęła zębami.

- Jak się nazywasz, kapitanie?

Młodzian obracał w palcach miedziany guzik rozpiętego płaszcza.

- Bradley Ryan. - Podniósł na nią niebieskie oczy. - Kapitan Bradley Ryan, Matko Spowiedniczko. - Zerknął na porucznika po prawej. - To porucznik Nolan Sloan. - Wskazał na drugiego. - A to porucznik Flin Hobson.

- Ile dzieci masz ze sobą, kapitanie Ryan? Bradley trochę zeszywniał.

- Jesteśmy młodszy od ciebie, Matko Spowiedniczko, choć wcale nie tak bardzo, lecz chociaż nie masz może o nas najlepszego zdania, jesteśmy żołnierzami. Dobrymi żołnierzami.

- Dobrymi żołnierzami. - Kahlan z trudem powstrzymała się, by nań nie wrzasnąć. - Skoro jesteście takimi dobrymi żołnierzami, to dlaczego zdołałam przejść pomiędzy waszymi wartownikami, nie zauważona przez żadnego z nich? - Twarz Bradleya poczerwieniała, lecz zdołał się zmusić do milczenia. - Czy choć jeden z tych dobrych żołnierzy, łącznie z wami trzema,

przekroczył osiemnastkę? - Ryan zacisnął wargi i potrząsnął przecząco głową. - Pytam więc powtórnie: Ile dzieci masz ze sobą?

- Pod moimi rozkazami służy cztery i pół tysiąca ludzi.

- A czy wiesz, kapitanie Ryan, że lada chwila wpadlibyście na dziesięć razy liczniejsze wojsko?

Kapitan Ryan znacząco uniósł brew i uśmiechnął się chłopięco kącikiem ust.

- Na nikogo byśmy nie „wpadli”, Matko Spowiedniczko. Lada moment mieliśmy ich dopędzić. Ścigaliśmy ich. Uważam, że jutro dogonilibyśmy ich.

Kahlan znów zgrzytnęła zębami.

- Dopadlibyście ich? Gdybym was nie dogoniła, jutro wszyscy byście zginęli, młody człowieku. Nic nie wiesz o wojsku, które ścigasz.

- Wiemy, kogo ścigamy. - Ryan dumnie uniósł brodę. - Mamy zwiadowców. Dostają od nich meldunki.

Kahlan skoczyła na równe nogi i zamaszystym gestem wskazała na prawo.

- Za tą górą jest pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy.

- Pięćdziesiąt dwa tysiące i kilka setek. - Kapitan wzruszył ramionami. - Nie jesteśmy głupcami. Wiemy, co robimy.

Dziewczyna opuściła ramię i obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

- Czyżby? A co zamierzacie zrobić, gdy już ich dopadniecie? Kapitan Ryan uśmiechnął się, pewny, że teraz udowodni jej, iż naprawdę wie, co czyni.

- Są już niedaleko rozwidlenia przełęczy. Chcę wysłać oddziały, żeby wyszły na nich z obu odgałęzień. Pomyślą, że atakują ich liczne wojska. Zamierzamy zepchnąć ich tą drogą do miejsca, gdzie będziemy na nich czekać; za tamtym przewężeniem. Wycofamy się do przewężenia, rozewrzemy szeregi i przepuścimy ich, aż wpadną w pułapkę. W najważniejszym miejscu ustawimy pikinierów; nazywa się to kowadłem. Po bokach znajdują się łucznicy i utrzymują wroga w centrum. Oddział, który ich tu przypędzi, to młot. - Uśmiechnął się promiennie. - Zmiażdżymy ich. - Wykonał niedbały gest dłonią. - To klasyczna taktyka. Nazywa się ją „pomiędzy młotem a kowadłem”.

Kahlan wpatrywała się weń z osłupieniem.

- Wiem, jak to się nazywa, młody człowieku. Młot i kowadło to zuchwały

manewr... w odpowiednich warunkach. I szaleństwo, kiedy ma się przed sobą dziesięć razy liczniejszego przeciwnika. To tak, jakby mysz chciała połknąć całego słonia.

- Uczono nas, że i niewielka grupa dobrych, zdecydowanych na wszystko żołnierzy, przy dobrej koordynacji, w tak ciasnym miejscu jak ta dolina...

- Dobrych żołnierzy? Sądzisz, iż sama odwaga i zapał wystarczą? Czy twoja arogancja i pycha doprowadziły cię do takiego właśnie wniosku!? - Kapitan wbił wzrok w ziemię. - Nie popchniesz głazu patyczkiem! Jedyna metoda, to tak ich przerazić, żeby się cofnęli. - Znow uniosła ramię i wskazała tam, gdzie znajdował się przeciwnik. - Są doświadczonymi, zaprawionymi w bojach żołnierzami. Od dawna walczą i zabijają. Sądzisz, że nie wiedzą, co to jest młot i kowadło? Uważasz ich za durniów jedynie dlatego, iż to twoi przeciwnicy?

- Nie, ale myślę...

Dźgnęła go palcem w pierś i wpadła mu w słowo.

- Chcesz, kapitanie, żebym ci powiedziała, co by się stało? Masz za mało ludzi, aby ich zepchnąć. Gdybyś wysłał bokiem jakiś oddziałek, to dostosowaliby się do tego manewru i trochę przesunęli, okrążając przy tym twoich ludzi. To się nazywa „dziadek do orzechów”. Kto byłby według ciebie orzechem? Dopiero potem ruszyliby. Na twoje kowadło. Byliby jak sfora idąca krwawym tropem. A gdy zmiotliby twój młot, to nie byłoby już nikogo, kto utrzymałby ich w szyku. Mają doświadczenie i dokładnie wiedzą, co robić. Wdarliby się pomiędzy twoich pikinierów i łuczników, odcinając ich od zbrojnych. Osłonięty tarczami klin wbiłby się pomiędzy pikinierów. Wyłapałyby ich boczne skrzydła, bo klin zmieniłby się w półksiężyc. Wtedy opancerzona jazda runęłaby na twoich łuczników, a nie byłoby już pikinierów, by złagodzić jej uderzenie. Bilibyście się dzielnie, ale na każdego z was przypadałoby dwudziestu tamtych, bowiem część wojsk, z której uczyniłeś młot już by nie żyła. Walka z liczniejszym wrogiem polega na odrywaniu odeń mniejszych oddziałów i kolejnym likwidowaniu ich. A ty postąpiłbyś dokładnie odwrotnie. Dla wygody wroga podzieliłbyś dokładnie na połowę swoje siły. Żeby łatwiej byłoby im was wybić.

Kapitan nie chciał ustąpić.

- Dobrze byśmy się spisali. Nie zdajesz sobie sprawy, jak świetnie nas wyszkolono. Nie jesteśmy nowicjuszami.

- Zginęłoby każde z dzieci, którym dowodzisz! Czy choć raz widziałeś, jak ktoś umiera, kapitanie? Ginie w walce, a nie umiera ze starości we własnym łóżu? Przebiliby was włóczniami, posłaliby warn strzały prosto w oko. Miecze podcinałyby ramiona, porozcinałyby żebra. Wypatroszyliby warn brzuchy i wywlekli wnętrzności na zmarzniętą ziemię. Patrzyłyby na ciebie przerażone oczy tych, których znasz: twoich przyjaciół, tych dzieciaków krztuszających się własną krwią i wypluwających ją. Inni wołaliby o pomoc, trатовani przez wroga, patroszeni, skazani na straszliwą śmierć. Ci, którzy by się poddali, zostaliby ścięci. A wróg tańczyłby i śpiewał po świeżo wygranej bitwie.

Kapitan Ryan uniósł w końcu głowę. Dwaj jego porucznicy nadal patrzyli w ziemię.

- Mówisz jak księżę Harold, Matko Spowiedniczko. Wiele razy uraczył mnie taką samą przemową.

- Księżę Harold jest znakomitym żołnierzem.

Kapitan Ryan zapiął dwa z miedzianych guzików swojego ciemnobrązowego wełnianego płaszcza.

- Lecz to nie zmieni mojej decyzji. Młot i kowadło jest najlepszym manewrem, jaki możemy przeciwko nim zastosować. Wierzę, że się nam powiedzie. Musi się powieść.

Chandalen pochylił się ku Kahlan i przemówił w swoim języku:

- To chodzące trupy, Matko Spowiedniczko. Powinniśmy stąd odejść, żeby nie ucierpieć przez ich głupotę. Zamierzają wyginać co do jednego.

- Co on powiedział? - spytał gniewnie kapitan. Kahlan pochyliła się ku młodemu kapitanowi.

- Powiedział, że jutro wszyscy zginiecie. Kapitan Ryan zmierzył Chandalena wzrokiem.

- Co on wie o bitwach? To przecież tylko nieokrzesany barbarzyńca z Dżiczy.

- Barbarzyńca? - zdziwiła się Kahlan. - To rozgarnięty, bystry człowiek. Zna dwa języki. Swój i nasz. - Kapitan Ryan przełknął ślinę. - I brał udział w walkach. Zabił wielu ludzi. A ilu ty zabiłeś, Bradleyu?

Zapytany spojrzał na dwóch swoich poruczników.

- Cóż, żadnego. Przepraszam, nie chciałem nikogo obrazić, lecz ja sporo wiem o wojnie.

- I cóż ty wiesz o wojnie, dzieciaku? - wyszeptała Kahlan.

- Jesteśmy ochotnikami. Ja od trzech lat. Prawie wszyscy pozostali nie mniej niż rok. Bardzo intensywnie się szkoliliśmy. Sam ksiązę Harold z nami pracował, ucząc nas strategii. Parę razy pokonaliśmy go w próbnym walkach. Jesteśmy młodzi, jednak mamy doświadczenie. Ta wyprawa ma być naszą ostateczną próbą przed uzyskaniem przydziału. Byliśmy w polu blisko miesiąc, rozgrywając gry wojenne i ćwicząc strategię. Wiemy, na co się porywamy. Jesteśmy młodzi, ale to nie znaczy, że nie możemy walczyć. Jesteśmy młodzi, a więc silni.

- Silni? - zaśmiał się Chandałen. - Podróżujecie niczym kobiety. - Odchrząknął, bo Kahlan spojrzała nań znacząco. - Hmm, jak niektóre kobiety. Nie jesteście tak mocni, jak ci się zdaje. Jesteście słabi. Wieziecie swój ekwipunek na wozach. To was rozmiękcza. Jutro umrzecie.

Kahlan spojrzała na trzech żołnierzy. - Mój przyjaciel się myli. Nie zginiecie jutro.

- Nie zginiemy? - rozpromienił się kapitan. - Wierzysz w nas? Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie umrzecie jutro, bo na to nie pozwolę. Odsyłam was. Masz wrócić z dywizją do dowództwa waszej jednostki. To rozkaz, kapitanie. Udaję się do Aydindril, żeby się tym zająć. Powstrzymam tę armię morderców.

Twarz kapitana stężała.

- Nie ma żadnego dowództwa, do którego moglibyśmy wrócić. Wybito ich w Ebinissii. To właśnie tam się szkoliliśmy i stamtąd wysłano nas na manewry. Jesteśmy na tropie tych, którzy tam byli, i pójdziemy za nimi.

- Garnizon Ebinissii był o wiele liczniejszy niż wy, a mimo to ci, których ścigacie, zmiądzili go.

- Wiemy o tym. Mieszkaliśmy wśród pomordowanych, jedliśmy wraz z nimi i spaliśmy. Byli naszymi nauczycielami. Naszymi braćmi i ojcami. Przyjaciółmi i towarzyszami. - Bradley przestąpił z nogi na nogę i odchrząknął, z wysiłkiem powstrzymując drżenie głosu. - Powinniśmy byli być tam z nimi.

Kahlan odwróciła się tyłem do trzech Galejczyków. Przyłożyła palce do skroni i masowała je; zamknęła oczy. Głowa ją rozbolała. Dręczyła ją myśl o czekającej tych młodzieńców rzezi. Bolała nad ich przyjaciółmi i towarzyszami broni, nad wymordowanymi obrońcami miasta. Znów miała

przed oczami twarze owych młodych kobiet.

Dziewczyna obróciła się gwałtownie i spojrzała w oczy młodemu kapitanowi. W oczy, które - jak to sobie uświadomiła - widziały więcej, niż się jej początkowo zdawało.

- To byłeś ty - wyszeptała. - To ty pozamykałeś drzwi w pałacu. Drzwi pokojów królowej i jej dam dworu.

Ryan przełknął ślinę, a potem potakująco skinął głową. Błękitne oczy chłopaka zwilgotniały. Usta mu drżały.

- Dlaczego uczynili to wszystko owym biednym ludziom?

- Celem żołnierza jest skłonienie wroga do szaleńczych postępów - wyjaśniła łagodnym tonem dziewczyna. - Aby to osiągnąć, musi albo tak przerazić przeciwnika, albo tak go rozgniewać, by nie potrafił już myśleć. Toteż uczynili to, co uczynili, żeby wzbudzić w waszych sercach strach i doprowadzić was do takiej wściekłości, abyście postąpili niemądrze, tak by i was również mogli zabić.

- Te okropności popełnili żołnierze, których ścigamy. Nie ma już żadnego dowództwa, do którego moglibyśmy wrócić. Decyzja należy do nas.

- To właśnie ów szalony postępek, do którego chcą was skłonić. Nie zrobicie tego. Udacie się do innego dowództwa. Nie zaatakujecie tego wojska.

- Jestem żołnierzem, Matko Spowiedniczko, który przysięgał służyć Galei i Midlandom. Nigdy w życiu, choć uważasz, że to krótki czas, nie pomyślałem, iż mógłbym nie usłuchać dowódców, królowej czy Matki Spowiedniczki. - Kapitan Ryan ujął w palce nadgarstek Kahlan i położył jej dłoń na swoim ramieniu. - Lecz teraz muszę się sprzeciwić twoim rozkazom. Jeśli chcesz, możesz mnie porazić swoją mocą, bo tylko wówczas cię posłucham.

Porucznik Sloan odezwał się po raz pierwszy:

- A potem będziesz musiała porazić i mnie, gdyż zajmę jego miejsce i poprowadzę żołnierzy do walki.

- A później mnie - powiedział porucznik Hobson.

- Zaś po nas trzech - dorzucił kapitan Ryan - będziesz musiała

kolejno wziąć w swoje władanie wszystkich oficerów i żołnierzy. Jeśli oszczędzisz choć jednego, to zaatakuje i zginie w walce. Kahlan cofnęła dłoń z ramienia Bradleya.

- Udaję się do Naczelnej Rady i zajmę się tym. Wasze zamiary to samobójstwo.

- Zaatakujemy ich, Matko Spowiedniczko.

- Po co? Dla chwały? Chcecie być bohaterami mszczącymi pomordowanych? Pragniecie zginąć w zaszczytnej walce?

- Nie, Matko Spowiedniczko - odparł spokojnie Ryan. - Widzieliśmy, co uczynili w Ebinissii. Widzieliśmy, co zrobili z pojmanymi żołnierzami, co uczynili tamtejszym kobietom i dzieciom. Wielu z moich podkomendnych miało w Ebinissii matki i siostry. Wszyscy widzieliśmy, co z nimi zrobiono i co uczyniono naszym ojcom i braciom. Naszemu ludowi. - Kapitan wyprostował się dumnie i stanowczo spojrzął Kahlan w oczy. - Nie czynimy tego dla chwały, Matko Spowiedniczko. Wiemy, że to misja samobójcza. Wszyscy jesteśmy kawalerami i nie zostawimy rodzin bez ojców. Zrobimy to, ponieważ ci żołnierze pójdą do innego miasta i postąpią tak samo jak w Ebinissi. Zamierzamy temu zapobiec, jeżeli zdołamy. Przysięgaliśmy, iż będziemy strzec naszych współobywateli nawet za cenę życia. Nie możemy uchylić się od wypełnienia tego obowiązku. Musimy zaatakować i spróbować powstrzymać tych żołnierzy, zanim zabiją kolejnych niewinnych ludzi. Błagam dobre duchy, żeby powiodło ci się w Aydindril, lecz to i tak trwałoby za długo. Ile jeszcze miast splądrowaliby, nim nakłoniłabyś Midlandy, by zbrojnie przeciwko nim wystąpiły? I jedno miasto to za dużo. Tylko my jesteśmy w pobliżu tych morderców. Jedynie nasze życia dzielą ich od kolejnych ofiar. Kiedy wstąpiłem do wojska, przysięgłem, że ponad wszystko przełożę obronę współobywateli. To dlatego muszę sprzeciwić się twoim rozkazom, Matko Spowiedniczko. Nie dla chwały, ale by chronić bezbronnych. Chciałbym mieć twe błogosławieństwo, ale uczynię to nawet i bez niego.

Kahlan usiadła na kłodzie i zapatrzyła się w dal, rozmyślając o trzech żołnierzach. Sześciu mężczyzn czekało w milczeniu. Dzieci, faktycznie. Byli starsi, niż myślała. I mieli rację. Podróż do Aydindril zajmie jeszcze trochę, potem zaś trzeba będzie poświęcić czas na wystawienie armii mającej ścigać tych morderców. A oni będą dalej zabijać. Ilu umrze, czekając na pomoc Naczelnej Rady? Dziewczyna bardzo chciałaby być teraz kimś zupełnie innym. Nie Matką Spowiedniczką. Odsunęła na bok swoje odczucia i rozważyła całą sprawę tak, jak powinna to uczynić Matka Spowiedniczka.

Oszacowała ich życia, te stracone i te ocalone. Potem wstała i powiedziała do Chandalena:

- Musimy im pomóc.

Chandalen przesunął wyżej dłonie na włócznie i pochylił się ku Kahlan.

- To niemądre dzieci, które zginą, Matko Spowiedniczko. Jeżeli z nimi zostaniemy, ściągną na nas morderczą zawieruchę. Zginiemy wraz z nimi. Oni i tak umrą, a ty nie dotrzesz do Aydindril.

- Ci chłopcy są jak Błotni Ludzie, Chandaleni. Ścigają swoich Jocopo. Jeżeli im nie pomożemy, to inni umrą w ten sam sposób, co w Ebinissii.

- Uczynimy, co zechcesz, Matko Spowiedniczko - wtrącił się Prindin - lecz tym chłopcom nie sposób pomóc. Jest nas tylko czworo.

Tossidin przytaknął bratu.

- I nie wypełniłabyś swojego obowiązku, nie dotarłabyś do Aydindril - dorzucił. - Czy to nie ma znaczenia?

- Oczywiście, że ma. - Kahlan odgarnęła włosy z twarzy. - Lecz co, jeżeli wojsko, które wymordowało wszystkich w mieście, szłoby teraz na Błotnych Ludzi? Czyż nie chcielibyście mojej pomocy, gdyby to wasz lud mieli teraz wymordować?

Trzej mężczyźni wyprostowali się. Kręcili w dłoniach drzewca włócznie i zastanawiali się, od czasu do czasu popatrując ponad ramieniem Kahlan ku trzem milczącym żołnierzom.

- Co byście w razie potrzeby zrobili, żeby pokonać tego wroga? - spytała dziewczyna, spoglądając kolejno na każdego łowcę.

W końcu Tossidin znów nachylił się ku niej.

- Jest ich zbyt wielu. Tego nie da się zrobić. Chandalen gniewnie uderzył go w ramię.

- Jesteśmy wojownikami Błotnych Ludzi! Jesteśmy bystrzejsi od tamtych, którzy jadą wozami i mordują kobiety. Myślicie, że są lepszymi wojownikami niż my?

Dwaj bracia zaszurali stopami i odwrócili oczy.

- Cóż - odezwał się Prindin - wiemy, że to, co chcą zrobić, sprowadzi na nich śmierć. Są inne sposoby.

- Pewnie, że są - uśmiechnął się Chandalen. - Duchy nauczyły mojego dziadka, jak sobie radzić. On nauczył mojego ojca, a ojciec mnie. Oni są liczniejsi, lecz chodzi o to samo. Wiemy lepiej niż oni, co robić. - Spojrzał

Kahlan w oczy. - I ty lepiej niż oni wiesz, co robić. Zdajesz sobie sprawę, że nie należy walczyć takimi metodami, jakich życzy sobie wróg. A ci chłopcy właśnie to chcą uczynić.

Dziewczyna uśmiechnęła się doń i skinęła głową.

- Może zdołamy pomóc im ochronić niewinnych ludzi. Odwróciła się ku kapitanowi Ryanowi. Obserwował ją, gdy rozmawiała z trzema dziwnymi mężczyznami w obcym języku.

- W porządku, kapitanie. Pójdziemy śladem tej armii. Ryan zacisnął dłonie na jej ramionach.

- Dzięki, Matko Spowiedniczko! - Gwałtownie cofnął ręce, uświadomiwszy sobie ze strachem, że jej dotknął. Potarł jedną dłoń o drugą.
- Uda się. Zobaczysz. Napadniemy na nich. Zaskoczemy ich i wpadną w pułapkę.

Kahlan pochyliła się ku niemu. Ryan się cofnął.

- Zaskoczemy ich? Zaskoczemy ich! - Złapała go za kołnierz i przyciągnęła jego twarz do swojej. - Oni mają czarodzieja, ty głupcze!

Kapitan pobladł.

- Czarodzieja? - wyszeptał. Puściła go i gniewnie odepchnęła.

- Byłeś w Ebinissii. Czyż nie widziałeś otworu wytopionego w murach?

- Cóż... Chyba nie zwróciłem nań uwagi. Patrzyłem jedynie na zabitych. - Rozejrzał się, jakby znów ich widział. - Leżeli wszędzie.

Bolesny wyraz twarzy kapitana ostudził gniew Kahlan.

- Rozumiem. Byli tam twoi przyjaciele i rodzina. Pojmuję, dlaczego nie zauważyłeś owej dziury. Lecz żołnierz nie powinien się tak tłumaczyć. Żołnierz powinien dostrzec wszystko. Pominięte szczegóły mogą spowodować twoją śmierć, kapitanie. To znakomity przykład drobiazgu, który mógł cię kosztować życie.

Ryan przełknął ślinę, potem kiwnął potakująco głową.

- Tak, Matko Spowiedniczko.

- Czy chcecie zabić tych, którzy zniszczyli Ebinissię? - Wszyscy trzej potaknęli. - Więc przejmuję dowództwo. Jeśli pragniecie powstrzymać tamtych żołdaków, to powinniście wypełniać moje polecenia. Moje i Chandalena, Prindina oraz Tossidina. Wy znacie strategię bitew, my wiemy, jak zabijać. To nie bitwa, kapitanie, to rzeź. Pomożemy wam wyłącznie wtedy, gdy naprawdę zechcecie ich powstrzymać. Jeżeli wolicie bitwę,

zostawimy was waszemu losowi i możecie się im wystawić na cel.

Kapitan Ryan przyklęknął na kolano. Obaj porucznicy poszli za jego przykładem.

- Służba pod twoimi rozkazami, Matko Spowiedniczko, będzie dla mnie największym zaszczytem. Ofiarowuję ci moje życie i życie każdego z moich ludzi. Jeżeli wiesz, jak sprawić, by tamci już nikogo nie zamordowali, to uczynimy, co każesz.

Kahlan skinęła ku nim głową.

- To nie gra wojenna, kapitanie. Jeśli mamy zwyciężyć, to każdy musi zrobić to, co mu polecono. Każdy, kto nie wypełni naszych rozkazów, wspomóżę wroga. To oznacza zdradę. Jeśli chcesz ich pokonać, musisz przekazać mi dowództwo i nie możesz zmienić zdania, kiedy to wszystko zacznie ci ciążyć. Rozumiesz?

- Rozumiem, Matko Spowiedniczko.

- A wy? - Kahlan spojrzała na obu poruczników.

- Służba pod twymi rozkazami, Matko Spowiedniczko, to zaszczyt dla mnie.

- I dla mnie również.

Dziewczyna dała im znak, żeby wstali, a potem otuliła się futrzaną peleryną.

- Muszę się dostać do Aydindril. To sprawa najwyższej wagi. Pomogę wam jednak zacząć działania. Powiemy wam, co trzeba zrobić. Mogę wam poświęcić tylko dzień lub dwa. Pomożemy wam zacząć masakrowanie przeciwnika, później jednak musimy ruszać w dalszą drogę.

- A co z czarodziejem, Matko Spowiedniczko? Kahlan spojrzała nań spod oka.

- Czarodzieja zostawcie mnie. Rozumiesz? Jest mój. Ja się tym zajmę.

- W porządku. Co mamy uczynić najpierw?

Kahlan przeszła pomiędzy kapitanem a jednym z poruczników.

- Najpierw znajdźcie mi konia.

Chandalen przyskoczył do niej, złapał za ramię, zatrzymał i przysunął głowę do głowy Kahlan. Ton jego głosu był gniewny, podejrzliwy.

- Po co ci koń? Dokąd się wybierasz?

Kahlan przystanęła, uwolniła rękę. Spojrzała na sześciu mężczyzn.

- Czy pojmujecie, co zamierzam zrobić? Zamierzam opowiedzieć się po

jednej ze stron. Jestem Matką Spowiedniczką. Jeśli opowiem się po którejś ze stron, uczynię to w imieniu całych Midlandów. Wciągnę w wojnę całe Midlandy. - Popatrzyła Chandalenowi w oczy. - Nie mogę tego dokonać wyłącznie na podstawie słowa tych mężczyzn.

- Jakiegoż jeszcze dowodu potrzebujesz!? - wybuchnął wściekle łowca. - Widziałaś, co tamci zrobili w mieście!

- To, co widziałam, nie ma znaczenia. Muszę wiedzieć, dlaczego to się stało. Nie mogę ot tak wypowiedzieć wojny. Muszę wiedzieć, kim oni są i dla kogo walczą. - Miała jeszcze jeden powód, żeby tam pójść, lecz go przemilczała.

- To mordercy!

- I ty zabijałeś ludzi. Czyżbyś nie chciał, aby zanim zaczną szukać zemsty, dowiedzieli się, dlaczego to zrobiłeś?

- Ty szalona niewiasto! - Prindin ostrzegawczo położył dłoń na ramieniu Chandalena, próbując skłonić go do ostrożniejszego dobierania słów, lecz ten gniewnie strącił jego dłoń. - Mówiłaś, że ci ludzie to głupcy, a są ich tysiące. Ty jesteś jedna! Sama! Nie uciekniesz, jeżeli zechcą cię zabić!

- Jestem Matką Spowiedniczką. Nikt nie podniesie na mnie oręża. Kahlan wiedziała, iż to absurdalny pretekst, lecz musiała to zrobić, a nie mogła wymyślić nic innego, by rozwiać obawy Chandalena. Łowca był tak wściekły, że nie mógł mówić. W końcu odwrócił się z warknięciem. Dziewczyna wiedziała, że przedtem złościłby się, iż nie będzie mógł wrócić do swoich, jeśli ją zabiją. Miała nadzieję, iż tym razem się o nią martwi. I jej się to nie podobało, ale nie miała wyboru. Była Matką Spowiedniczką. Miała obowiązki wobec Midlandów.

- Poruczniku Hobson, proszę mi przyprowadzić konia. Białego lub siwego, jeżeli takie macie. - Chłopak skłonił głowę i pobiegł spełnić polecenie. - Chcę, kapitanie, byś zebrał wszystkich swoich ludzi i powiedział im, co się dzieje.

Chandalen stał plecami do Kahlan. Przesunęła dłonią po okrytym białym futrem ramieniu łowcy, po nożu z kości jego ojca.

- Teraz walczysz dla Midlandów, a nie tylko dla Błotnych Ludzi. - Burknął coś gniewnie. - Chcę, żebyście po moim odejściu wytłumaczyli tym dzieciakom, co trzeba zrobić. Mam nadzieję, że wrócę przed świtem.

Kahlan zobaczyła Hobsona wracającego z koniem i kolana omal się pod

nią ugięły. O dobre duchy, w cóż to się zamierzała wpakować? Odwróciła się ku kapitanowi Ryanowi.

- Jeżeli ja nie... jeśli cokolwiek... - Zaczepnęła powietrza i powiedziała: - Jeżeli zgubię się i nie odnajdę drogi powrotnej, to masz słuchać rozkazów Chandalena. Rozumiesz? Masz robić, co on każe.

- Tak, Matko Spowiedniczko - powiedział spokojnie kapitan i położył pięść na sercu, oddając honory. - Oby dobre duchy były z tobą.

- Z doświadczenia wiem, że lepszy jest szybki koń.

- Więc spełniło się twoje życzenie - odezwał się porucznik Hobson. - Nick jest szybki i lojalny. Nie zawiedzie cię w potrzebie.

Kapitan podstawiał złożone dłonie pod stopę Kahlan i pomógł dziewczynie dosiąść potężnego bojowego rumaka. Poklepując siwka po szyi, spojrzała na sześciu mężczyzn. Nick parsknął i potrząsnął łbem. Zanim opuściła ją odwaga, Kahlan pospieszenie zawróciła ogiera i skierowała go ku zboczom, ku szlakowi okrążającemu górę i prowadzącemu do obozu przeciwnika.

ROZDZIAŁ 38

Wokół dziewczyny wznosiły się potężne, ośnieżone, oblane tajemniczym blaskiem drzewa. Księżyc powinien wkrótce zająć, lecz na razie śnieg lśnił w jego poświacie i dobrze było widać drogę. Nick kłusował teraz po otwartej przestrzeni i Kahlan była rada, że wyjechała spomiędzy drzew, gdzie ktoś łatwo mógł urządzić zasadzkę. Nie starała się kryć, więc warty dostrzegły ją - jednak żołnierze nie próbowali zatrzymać samotnego jeźdźca.

W obozie płonęły ogniska, kręcili się zbrojni, panował gwar. Był wielkości małego miasteczka, łatwo go było wypatrzeć i usłyszeć z daleka. Nie obawiali się żadnej napaści, ufni w swoją liczebność.

Kahlan - z nałożonym i ciasno ściągniętym wokół twarzy kapturem - prowadziła Nicka wśród gmatwaniny ludzi, wozów, koni, mułów, namiotów, ekwipunku i buzujących ognisk. Siedziała na koniu dumnie wyprostowana i pomimo hałasu, słyszała bicie swojego serca. W nieruchomym powietrzu rozchodził się zapach pieczonego mięsiwa i woń dymu. Dziesiątki tysięcy nóg ludzkich i zwierzęcych oraz koła wozów zdeptały i sprasowały śnieg.

Wojskowi siedzieli wokół ognisk, pili, jedli i śpiewali. Wbite kołem piki nachylały się ku środkowi, tak że ich ostrza stykały się, tworząc połyskujące stożki. Wszędzie było widać mnóstwo lanc: zatknięte w śnieg, sterczały jak las odartych z gałęzi drzewek. Namioty porozstawiano bezładnie.

Żołnierze włóczyli się po całym obozie. Wędrowali od jednego ogniska do drugiego, kosztowali strawy, przyłączali się do pieśni śpiewanej przy grających na fletach, grali w kości, pili. Wyglądało na to, iż większość z nich najbardziej interesuje wspólne popijanie.

Żaden nie zwracał uwagi na Kahlan. Za bardzo byli zajęci, żeby ją zauważyć. Dziewczyna prowadziła Nicka kłusem i mijała tych, którzy na nią spojrzeli, zanim mieli czas stwierdzić, co właściwie widzą. Wszędzie panował duży ruch. Nick przyjmował obojętnie otaczającą go krzątaninę i hałas.

Z odległych namiotów dobiegały wrzaski kobiet i ochryple śmiech mężczyzn. Kahlan nie zdołała powstrzymać drżenia, choć bardzo starała się opanować.

Dziewczyna wiedziała, że takim wojskom jak to towarzyszyły

prostytutki, jadące na wozach z zaopatrzeniem wraz z innymi markietanami. Wiedziała również, że podobne do tej armie biorą kobiety jako część swego łupu, uważając to za przywilej zwycięzcy, podobnie jak zdjęcie pierścienia zabitemu. Zdawała sobie sprawę, iż - bez względu na to, czy powodem krzyków była udawana rozkosz, czy prawdziwy strach - nic nie zdoła na to poradzić, starała się więc ich nie słyszeć i bacznie przyglądała się mijanym żołnierzom.

Najpierw dostrzegła tylko oddziały D'Harańczyków. Aż nazbyt dobrze знаła ich skóry, kolczugi i pancerze. Na każdym napierśniku widniała ozdobna litera „R”, symbol domu Rahlów. Wkrótce wśród D'Harańczyków wypatrzyła i Keltończyków. Dojrzała też dwunastu żołnierzy z Westlandu - tańczyli, trzymając się pod rękę, i popijali z kufli. Widziała również wojskowych z innych krain: kilku z Nikobarezji, paru Sandariańczyków i, co wzbudziło w niej grozę, garstkę Gałejczyków. Może, pomyślała Kahlan, są to D'Haranczycy w mundurach zdartych z pomordowanych. Nie mogła w to jednak uwierzyć.

W obozie tu i tam wybuchały awantury. Żołnierze kłócili się o wynik rzutu kośćmi, o strawę, o beczułki, a nawet o butelki napitku. Niektóre ze sprzeczek zamieniały się w bójkę na noże i pięści. Jeden z żołnierzy został pchnięty w brzuch, co gapie skwitowali gromkim rechotem.

W końcu Kahlan dostrzegła to, czego szukała: namioty dowódców. Co prawda nie zatroszczyli się o wywieszenie chorągwi, lecz rozmiary mówiły same za siebie. Przed największym z nich, w pobliżu ogniska, stał niewielki stół; nad ogniem piekło się nadziane na rożen mięso. Zawieszane na słupkach lampiony oświetlały zgromadzonych tam mężczyzn.

Dziewczyna zbliżyła się do nich i usłyszała ryk potężnego oficera, opierającego buty o stół:

- ...i to natychmiast, bo ci łeb utnę! Pełną! Albo przyniesiesz pełną beczułkę, albo zatknę twój łeb na pikę!

Żołnierz uciekł, a całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem. Kahlan zatrzymała swojego wielkiego bojowego rumaka tuż obok stołu. Siedziała nieruchomo, dumnie wyprostowana, i patrzyła na sześciu siedzących mężczyzn. Czterej byli d'haranskimi oficerami; ten z butami na stole darł się przed chwilą. Jeden to Keltończyk w rozpiętym zdobnym mundurze, spod którego wyzierała brudna, przesiąknięta winem i uwalana resztkami

jedzenia koszula. Ostatni nosił proste, brązowe szaty. Ten z butami na stole odciął dużym nożem od kości kawałek mięsa. Kość rzucił przez ramię psom warczącym za jego plecami. Rozerwał zębami mięso na dwie części i wskazał ostrzem na prawo, na młodego mężczyznę w prostych szatach. Ustami pełnymi mięsiva pociągnął z kufła solidny łyk i przemówił:

- Ten tu czarodziej Slagle ostrzegł mnie, że chyba wywęszył Spowiedniczkę. - Łypnął na dziewczynę nabiegłymi krwią oczami. - A gdzież to twój czarodziej, Spowiedniczko? He? - Wszyscy zaśmiali się wraz z nim; piwo pociekło po gęstej, jasnej brodzie mężczyzny. - Przyniosłaś coś do picia, Spowiedniczko? Bo już prawie nic nie mamy. Nie? No cóż, trudno. - Wskazał nożem keltońskiego dowódcę. Ten tu, Karsh, mówi, że o jakiś tydzień drogi stąd jest milusie miasteczko i że tam na pewno znajdę piwo dla takich spragnionych chłopaków jak my, gdy tylko nas powitają i przysięgną nam posłuszeństwo.

Kahlan spojrzała na czarodzieja. To dla niego tu przybyła. Zastanawiała się chłodno, czy zdąży skoczyć z konia i porazić go swoją mocą, zanim dosięgnie jej ten wielki nóż. Człowiek z nożem nie powinien zareagować zbyt szybko, ale i tak miała niewielkie szansę. Chętnie poświęciłaby swoje życie, lecz wyłącznie wtedy, gdyby była pewna sukcesu. Jednak to dla niego tu przybyła. Czarodziej był oczami tej armii. Widział, nim oni zobaczyli, i to, czego nie mogli ujrzeć - jak na przykład ją, Kahlan. A D'Haranczycy bali się magii i duchów. Czarodziej chronił ich przed nimi.

Dziewczyna przesunęła wzrok z głęboko osadzonych oczu czarodzieja i pijackiego, złośliwego uśmiešku na zajęte czymś ręce mężczyzny. Strugał coś. Stosik strużyn leżał przed nim na blacie stołu. Kahlan przypomniała sobie drewniane wióry w pałacu Ebinissii, przed komnatami dziewcząt.

Czarodziej zamachał struganym patykiem. Kahlan dopiero teraz spostrzegła, co to było. Nadnaturalnej wielkości fallus. Uśmiezek maga stał się jeszcze szerszy.

D'haranski oficer znów wskazał nożem na czarodzieja.

- Slagle ma coś dla ciebie, Spowiedniczko. Pracuje nad tym od dwóch godzin, od kiedy wyczuł, że spieszysz z wizytą. - Bezskutecznie próbował opanować śmiech i w końcu głośno zarechotał.

Dwie godziny. Właśnie zdradzili jej zasięg mocy czarodzieja. Kahlan opuściła Galejczyków przed czterema godzinami, lecz niemal godzinę

spędziła na grani. To by znaczyło, że galejscy chłopcy są zbyt daleko, by czarodziej ich wyczuł, lecz dzielił ich od wykrycia niebezpiecznie wąski margines. Odrobinę bliżej i czarodziej dowie się o nich na długo przedtem, nim zdążą sprawić tym żołdakom jakąkolwiek niespodziankę.

Kahlan odczekała, aż D'Haranczyk przestanie się śmiać, i dopiero potem powiedziała:

- Zaskoczyłeś mnie.

- Jeszcze nie! Ale zrobię to! - Znów ryknęli śmiechem. Dziewczyna opanowała się. Odrzuciła kaptur. Przybrała „twarz Spowiedniczki”.

- Jak się nazywasz, żołnierzu?

- Żołnierzu!? - Pochylił się do przodu i wbił nóż w blat stołu. - Nie jestem żołnierzem. Jestem generał Riggs, najwyższy dowódca tych wojsk. Podlegają mi wszyscy ludzie, dawni i nowi.

- W czym imieniu walczysz, generale Riggs? Wykonał zamaszysty gest.

- No jak to, Armia Imperialnego Ładu walczy w imieniu tych, którzy się do nas przyłączają. Prowadzi wojnę z wszelkimi ciemieżcami przeciwko tym, którzy się nam opierają. Ci, którzy się do nas nie przyłączają, są przeciwko nam i należy ich zmiażdżyć. Walczymy, by zaprowadzić porządek. Armia Imperialnego Ładu będzie chronić przyłączających się do nas, a oni z kolei pomogą ochronić wszystkich. Wszystkie krainy przyłączą się do nas lub zostaną zepchnięte na bok. Wojujemy o nowy ład. Imperialny ład. Oni przewodzą kramom, a ja przewodzę im.

Kahlan zmarszczyła brwi, starając się zrozumieć to, co usłyszała.

- Jestem Matką Spowiedniczką i to ja przewodzę Midlandom, a nie ty.

- Matka Spowiedniczką! - Riggs trzepnął czarodzieja w plecy. - Nie powiedziałaś mi, że to Matka Spowiedniczką! Cóż, nie przypominasz żadnej z matek, które widziałem. Jednak po dzisiejszej nocy i ty na pewno nią zostaniesz. I to wkrótce! Masz na to moje słowo! - Ryknął śmiechem.

- Rahl Posępny nie żyje. - Śmiech umilkł. - Nowy lord Rahl ogłosił koniec wojny i odwołał wszystkie d'haranskie oddziały do domu.

Generał Riggs wstał.

- Rahl Posępny był człowiekiem mało przewidującym, człowiekiem za bardzo zaprzątniętym starożytną magią i zbyt mało uwagi poświęcającym ładowi. Nazbyt absorbował go jego poszukiwania i stare religie. Magia, zanim się ją wykorzeni, powinna służyć ludziom, a nie władać nimi. Rahl

Posepny nie wykorzystał nadarzających się możliwości i zawiódł. My nie zawiedziemy. Rahl Posepny, w zaświatach, też to wie i kaja się. Wspiera naszą walkę. Oznajmiły nam to dobre duchy! Nie chylimy już głowy przed dynastią Rahlów; to oni, tak jak wszystkie inne dynastie, dynastie i królestwa, chylą czoło przed nami. Nowy lord Rahl przyłączy się do nas albo zmiżdżymy go, jego i wszystkie pogańskie psy, które za nim pójda! Zmiżdżymy wszystkie pogańskie psy!

- Innymi słowy, generale, walczy pan na własny rachunek! A pańskim celem jest mordowanie ludzi.

- Nie walczę dla siebie! To szerszy cel, nie zachcianka jednego człowieka. Wszystkim oferujemy możliwość przyłączenia się do nas. Jeżeli tego nie chcą, znaczy to, iż są sprzymierzeni z naszymi wrogami i dlatego musimy ich zabić! - Wyrzucił w górę ramiona. - Szkoda czasu na próby tłumaczenia takich spraw politycznych i wojskowych kobiecie. Macie za mało rozumu, by rządzić.

- Mężczyźni nie mają monopolu na sprawowanie władzy, generale.

- To hańba dla mężczyzny prosić kobietę o ochronę! Prawdziwi mężczyźni starają się dostać pod waszą spódnicę, a *nie* chować się za nią! Kobieta włada swoimi wdziękami, czaruje sutkami. Mężczyzna rządzi siłą pięści. Stanowi i narzuca prawo. Żywi i chroni. Każdy król i patrycjusz będzie mógł przyłączyć się do *nas*, oddać swój kraj i lud pod naszą ochronę. Rólowym proponujemy walki w lupanarze lub zostanie pokorną żoną farmera; w obu wypadkach właściwie wykorzystają swoje osoby. - Złapał stojący na stole kufel i pociągnął parę łyków. - Nie rozumiesz? Jesteś aż tak głupia, nawet jak na kobietę? Czegóż to dokonał twój midlandzki alians pod rządami kobiet?

- Dokonał? Taki sojusz nie ma niczego dokonać. Ma zapewnić pokój wszystkim krainom, pozwolić każdemu zachować swoje ziemie, dać świadomość, że wszyscy chronią się i wspierają, że bronią nawet słabych i bezbronnych, tak by nikt nie pozostał samotny i goły.

Riggs uśmiechnął się triumfalnie i spojrzał na towarzyszy.

- Ależ cycuś palnął! - Wykonał pełen obrzydzenia gest. - Nie zapewniałyście żadnego przywództwa, żadnego prawa. Każda kraina rządzi się zasadami, jakie jej odpowiadają. To, co u jednych jest zbrodnią, gdzie indziej uchodzi za cnotę. Twój sojusz boi się narzucić wszystkim jednakowe

prawa. Jesteście niczym innym jak odseparowanymi plemionami, z których każde zazdrośnie strzeże tego, co swoje i nie myśli o innej unii niż ta, która dogadza jego własnej zachłanności, wystawiając przez to wszystkich na łatwy cel.

- Mylisz się. To właśnie zadanie Naczelnej Rady w Aydindril: zjednoczyć wszystkie krainy dla wspólnej obrony. Dla wspólnej obrony przeciwko takim mordercom jak ty. To nie jest, jak ci się wydaje, słabiutka unia. Ona potrafi się bronić.

- Szlachetna idea. W gruncie rzeczy i ja ją podzielam, lecz wy zrobiliście z niej ciepłą papkę. Łączycie te krainy słabiutko i wstydliwie, *nie* pod silną, popartą bronią władzą. - Wyciągnął ramię i zacisnął dłoń w pięść, uśmiechając się drwiąco do Kahlan. - Przez to te krainy są gotowe do zerwania i wyciśnięcia niczym dojrzałe owoce. *Jesteście* zagubionymi duszami, poszukującymi prawdziwego przywództwa i rozpaczliwie potrzebującymi pomocy i ochrony. Gdy tylko zniknęły granice, Rahl Posępny spustoszył wasze ziemie, a nie włożył w to całego serca, bo zbyt był zajęty swoją magią. Gdyby pozwolił generałom działać, jak chcieli, to z tego twojego sojuszu nic by *nie zostało*.

- A przed kim to potrzebujemy obrony?

Riggs zapatrzył się w dal i wyszeptał jakby do siebie:

- Przed hordą, która nadejdzie.

- Jaką hordą?

Podniósł na nią wzrok, jakby się właśnie obudził.

- Hordą, o której mówią prorocтва. - Skrzywił się z politowaniem, jak gdyby Kahlan była beznadziejnie chora, a potem wyciągnął ramię ku czarodziejowi. - Ten oto dobry czarodziej radził nam w sprawie prorocत्व. Całe życie spędziłaś z czarodziejami i nigdy *nie* ciekawiła cię ich wiedza?

- Twoje opowieści, generale Riggs, o chęci zjednoczenia ludzi w pokoju i prawach, to tylko górnotne słowa. Masakra, którą urządziłeś w Ebinissii, zadaje im kłam. Ebinissia będzie po wsze czasy dawać niezbite, choć nieme świadectwo twoim prawdziwym zamiarom. Horda to ty i ten twój Imperialny Ład. - Kahlan spojrzała gniewnie na czarodzieja. - Jaką grasz w tym rolę, czarodzieju Slagle?

Zapytany wzruszył ramionami.

- Pomagam i ułatwiam zjednoczenie wszystkich ludów pod władzą

wspólnego prawa.

- Czyjego prawa?

- Prawa zwycięzców. - Słagle się uśmiechnął. - Czyli naszego. Imperialnego Ładu.

- Ciężą na tobie jako czarodzieju pewne obowiązki. Masz służyć, a nie władać. Udasz się natychmiast do Aydindril i przyjmiesz swoje obowiązki albo odpowiesz mi za to.

- Tobie?- parsknął pogardliwie generał. - Chcesz, żeby ten porządny, przyzwoity człowiek poniżał się przed tobą i skamlał, kiedy sama jesteś na tyle ślepa, że pozwalasz biegać swobodnie *banelingom*.

- Banelingom? - Kahlan obrzuciła Riggsa gniewnym spojrzeniem. - Jak widzę, byłeś na tyle głupi, by słuchać rad Bractwa Czystej Krwi.

- Oni już się do nas przyłączyli - odpalił generał Riggs. - Nasz cel jest ich celem, a ich - naszym. Wiedzą, jak wyplenić tych, którzy wysługują się Opiekunowi, jak wyplenić naszych wrogów. Oczyszczymy kraj ze wszystkich służalców Opiekuna. Dobro musi zatriumfować.

- Masz oczywiście na myśli swój cel. To ty sprawowałbyś rządu.

- Czy jesteś ślepa, Spowiedniczko? Przewodzę tu i teraz, lecz nie myślę o sobie, a tylko o przyszłości. Zajmuję to stanowisko jedynie chwilowo, orzę ziemię, by mogła rodzić. To nie ja jestem najważniejszy. Ofiarujemy wszystkim możliwość służenia wspólnie z nami i każdy, kto jest ze mną, skorzystał z owej szansy. Przyłączyli się do nas i inni. Już nie jesteśmy d'haranskim wojskiem. Tamci już nie są żołnierzami swoich krain. Wszyscy tworzymy Armię Imperialnego Ładu, Imperialny Ład. Może nami dowodzić każdy, kto uznaje właściwe zasady. Jeżeli polegnę w tej szlachetnej walce, to zastąpi mnie inny i poprowadzi ją dalej, aż wszystkie kraje złączy jednolite prawo, aż bez przeszkód rozkwitnie Imperialny Ład.

Albo ten człowiek był zbyt pijany, żeby wiedzieć, co mówi, albo oszalał. Kahlan spojrzała na tańczących wokół ognisk śpiewających i pijących żołnierzy. Szalony jak Bantakowie. Szalony jak Jocopu.

- Generale Riggs. - Mruczał coś gniewnie do siebie, lecz umilkł i spojrział na dziewczynę. - Jestem Matką Spowiedniczką. Reprezentuję całe Midlandy, czy to ci się podoba, czy nie. W imieniu Midlandów nakazuję ci natychmiast przerwać tę wojnę i albo powrócić do D'Hary, albo stanąć przed radą i przedstawić jej swoje żale. Możesz przedstawić Naczelnej Radzie każdą

sporną sprawę i zostaniesz wysłuchany, ale nie wolno ci sprowadzać wojny na mój lud. Jeśli nie wysłuchasz moich poleceń, poniesiesz konsekwencje, które na pewno ci się nie spodobają.

Riggs parsknął szyderczo.

- Nie uznajemy kompromisów. Unicestwiamy wszystkich, którzy się do nas nie przyłączają. Walczymy, żeby położyć kres zabijaniu, masakrom; toczymy boje, jak rozkazały nam dobre duchy. Walczymy o pokój! Wojna będzie trwać, dopóki nie wywalczymy pokoju!

- Kto wam to nakazał? - spytała Kahlan, marszcząc brwi. - Kto powiedział wam, że musicie walczyć?

- Przecież to oczywiste, ty głupia suko! - Riggs przymrużył oczy.

- Chyba nie jesteś aż tak głupi, by uważać, iż dobre duchy nakazały ci toczyć wojnę? One nie działają tak otwarcie.

- A, no to mamy różnicę zdań. Wojna ma rozstrzygnąć takie kwestie, może nie? Dobre duchy wiedzą, że mamy rację, *gdyż* inaczej przyłączyłyby się do naszych przeciwników. Zwycięstwo dowiedzie, iż są po naszej stronie, w przeciwnym razie bowiem nie wygralibyśmy. Sam Stwórca pragnie naszego triumfu i dowiedzie tego nasze zwycięstwo.

Ten człowiek był obłąkany. Kahlan przeniosła uwagę na keltońskiego dowódcę. - Karsh...

- Generale Karsh.

- Hańbisz swoją rangę, generale. Dlaczego wymordowałeś mieszkańców Ebinissii?

- Ebinissia miała okazję przystać do nas; każdemu oferujemy tę możliwość. Wybrała walkę. Musieliśmy tak postąpić, by los jej pogańskich mieszkańców unaoczniał innym, co ich czeka, jeżeli nie przyłączą się do nas w spokoju. Kosztowało to życie blisko połowy naszych żołnierzy, ale się opłaciło. Już teraz straty są niwelowane przez przyłączających się do nas i na pewno zwiększymy liczebność, przyjmując ochotników ze wszystkich znanych krajów.

- I to nazywacie przywództwem? Zagładę i morderstwa? Generał Karsh uderzył kuflem o blat stołu.

- Odpłacamy im za to, co czynią naszym ludom! Napadają na nasze farmy i przygraniczne miasta! Zabijają Keltończyków, jakbyśmy byli robactwem, które należy rozdeptać! A przecież ofiarowaliśmy im pokój. To

oni odrzucili okazaną łaskę. Daliśmy im możliwość pokoju, możliwość przyłączenia się do nas, lecz wybrali wojnę. Tym sposobem postanowili nam pomóc. Uczyniliśmy z nich przykład dla innych: oto, co was czeka, jeżeli będziecie na tyle szaleni, by z nami walczyć.

- A co zrobiliście z królową Cyrillą? Ją też zabiliście czy raczej wtrąciliście do waszych lupanarów? Wszyscy się roześmiali.

- Byłaby tam - oznajmił Riggs - gdybyśmy ją znaleźli. Kahlan ledwo powstrzymała westchnienie ulgi. Znów spojrzała na pociągającego z kufla Karsha.

- Co na to wszystko księżę Fyren?

- Fyren jest w Aydindril! Tutaj jestem ja!

Hmm, może więc Korona nie rna z tym nic wspólnego. Może to tylko banda wyjętych spod prawa, którzy uważają się za coś więcej.

Kahlan znała księcia Fyrena. Uważała, że jest rozsądnym człowiekiem. To właśnie on najbardziej ze wszystkich keltońskich dyplomatów w Aydindril przyczynił się do przyłączenia Keltonu do Midlandów. To on pochlebstwami i perswazjami nakłaniał swoją matkę, królową, by wybrała drogę pokoju, a nie konflikt. Księżę Fyren był dżentelmenem w każdym znaczeniu tego słowa.

- Generale Karsh, jesteś *nie* tylko mordercą, ale i zdrajcą swego kraju i Korony. Zdradziłeś własną królową.

Karsh z całej siły grzmotnął cynowym kuflem o stół.

- Jestem patriotą! Obrońcą mego ludu! Kahlan nachyliła się odrobinę.

- Jesteś zdrazieckim sukinsynem i pozbawionym sumienia, wyjętym spod prawa bandytą. Pozostawiam księciu Fyrenowi honor skazania cię na śmierć. Będzie to, rzecz jasna, wyrok wydany pośmiertnie.

- Dobre duchy wiedzą, że knujesz przeciwko Midlandom! - Karsh walnął pięścią. - To potwierdza ich słowa! Powiedziały nam, iż nie będziemy wolni, dopóki żyjesz! Kazały nam zabić wszystkich tobie podobnych! Wszystkich, którzy bluźnią! Dobre duchy nie opuszczą nas w naszej walce. Zniszczymy każdego, kto służy Opiekunowi.

- Żaden prawdziwy oficer nie słuchałby bełkotu bractwa - oznajmiła pogardliwie dziewczyna.

Czarodziej utworzył groźnie wyglądającą kulę płynnego ognia i, obserwując Kahlan, przesuwiał ją tam i z powrotem pomiędzy dłońmi.

Płomienie trzeszczały, syczały i pluły iskrami. Generał Riggs czknął, wsparł pięści o stół, po czym pochylił się ku dziewczynie.

- Dość gadania. Chodź no tu, dziwko, zacznijmy zabawę. Nam, dzielnym bojownikom o wolność, należy się trochę rozrywki.

- A jutro albo pojutrze - generał Karsh wreszcie się uśmiechnął - stracisz głowę. Nasi żołnierze, nasze ludy uradują się twoją śmiercią. Będą szaleć ze szczęścia, że zatriumfowaliś nad Matką Spowiedniczką, symbolem ciemnienia przez magię. - Uśmiech zniknął, a twarz generała znów zapłonęła czerwienią. - Lud musi ujrzeć twoją egzekucję, by uwierzyć, iż dobro może zwyciężyć! By zyskać nadzieję! Nasz lud będzie się mógł radować, kiedy zetniemy ci głowę!

- Cieszyć się, że wy, dzielni bojownicy o wolność, macie na tyle siły, by zabić jedną kobietę?

- Nie - odezwał się generał Riggs. Spojrzał na Kahlan i po raz pierwszy wyglądał na trzeźwego. - Nie rozumiesz właściwego znaczenia tego, co robimy. Nie dostrzegasz wymowy naszych czynów. - Zniżył głos, złagodził jego ton. - Wchodzimy w nowy wiek, Spowiedniczeko. Wiek, w którym nie ma miejsca na stare wierzenia. Kończy się linia Spowiedniczek i ich czarodziejów. Trzy tysiące lat temu niemal każdy rodził się z darem. Wszystkim rządziła magia. Wykorzystywano ją do walki o władzę. Czarodzieje nadużywali swojej potęgi. Zabijali się nawzajem. Zabijali innych, którzy mieli dar, i coraz rzadziej był on przekazywany potomkom. Z biegiem lat oczyszczono rasę ludzką z obdarzonych. Lecz ci, którzy pozostali, nadal walczyli o władzę i nadal uszczuplali rzędy obdarzonych wrodzoną mocą. Magia, magiczne istoty, którymi się opiekowali (jak na przykład tobie podobne), z wolna wydostawały się spod ich kontroli. Dziś już prawie nikt nie rodzi się z darem. Magia umiera wraz z nimi. Mieli okazję, jak Rahl Posepny, władać i nie powiodło się im.

Czas czarodziejów minął. Dobiega końca ich opieka nad dwoistymi istotami, dobiega kresu wiek magii. Nadchodzi era ludzi i w tym nowym świecie nie ma miejsca dla starożytnych, ginących wierzeń, które ty zwiesz magią. Czas, by człowiek zajął należne mu miejsce jako dziedzic świata. Na świat sływa Imperialny Ład; władztwo człowieka można by zresztą nazwać inaczej. Czas, by człowiek władał, czas, by magia umarła.

Kahlan nagle poczuła pustkę. Po policzku dziewczyny spłynęła

niespodziewanie ła. Ogarnęło ją dławiące przerażenie.

- Słyszałeś, Slagle, co on powiedział? - szepnęła ochryple. - I ty masz magiczną moc. Ci, którym pomagasz, zabiją także ciebie.

Czarodziej przesunął kulę ognia na drugą dłoń; blask płomieni tańczył na jego ponurej twarzy.

- Jest, jak musi być. Magia, czysta lub skażona, to coś, za pomocą czego Opiekun przenika do tego świata. Kiedy już pomogę wytrzebić magię we wszystkich jej przejawach, będę musiał umrzeć. W ten sposób przysłużę się ludowi.

Riggs niemal ze smutkiem zerknął na Kahlan i podjął:

- Nasz lud musi zobaczyć, jak ginie ostatnie żywe wcielenie tej religii. To ty jesteś owym symbolem, ostatnią spośród stworzonych przez czarodziejów magicznych istot. Twoja śmierć da ludowi nadzieję na przyszłość i śmiałość potrzebną do zniszczenia resztek ognisk zła i perwersji, czyli magii. Jesteśmy pługiem, który przeorze starą ziemię. Kraje, teraz zakazane magią, zostaną uwolnione od owej zarazy i będą je mogli zasiedlić pobożni ludzie. Wówczas uwolnimy się wreszcie od waszych dogmatów, które nie przystoją świetlanej przyszłości człowieka. - Generał wyprostował się i pociągnął z kufła. Jego głos znów stał się szorstki. - A kiedy już skończymy z tobą, utrzymamy nosa Galei i pozostałym krainom. - Uderzył kuflem o stół. - Pragniemy wojny aż do bezwzględnego zwycięstwa!

W Kahlan obudziła się wściekłość, przegnała strach i poczucie zagubienia. Uniosła się gniewem w imieniu tych wszystkich istot, które były od niej zależne.

Spojrzała generałowi w oczy i z wolna skinęła głową.

- Jako Matka Spowiedniczka sprawująca w Midlandach najwyższą władzę, której wszyscy muszą się podporządkować, gwarantuję ci, że stanie się zadość twojemu życzeniu. - Pochyliła się ku niemu i wyszczała: - A więc wojna. I żaden z was nie zostanie oszczędzony, masz na to moje słowo.

Uniosła pięść, kierując ją ku czarodziejowi. To dla niego tu przybyła.

Dziewczyńkę przepełniał gniew i przerażenie szaleństwem mężczyzn. Pozwoliła, by wezbrała w niej magia, domagająca się uwolnienia, domagająca się śmierci tego czarodzieja.

To dla niego tu przybyła. Nie może zawieść. Kipiał w niej Krwawy Gniew. Przywołała błyskawicę.

Nic się nie wydarzyło.

Kahlan na moment sparaliżowało przerażenie - magia zawiodła. Riggs rzucił się, by szarpnąć ją za nogę.

Dziewczyna ściągnęła wodze. Okrutny bojowy rumak ruszył do walki. Zarżał gromko, uniósł się na tylnych nogach, gwałtownie kopiąc przednimi. Dziewczyna chwyciła grzywę Nicka i trzymała z całych sił, żeby nie spaść. Młóćące kopyto trafiło Riggsa w twarz i odrzuciło do tyłu. Przednie nogi konia spadły na stół, rozbijając go w drzazgi. Siedzący przy nim mężczyźni upadli na ziemię. Kopyta Nicka zmiażdżyły głowę jednego z (Tharańskich oficerów i nogę drugiego.

Koń odwrócił się i kopał ich. Kahlan spięła go obcasami i ruszył galopem w chwili, kiedy czarodziej zaczął się podnosić. Zdumieni żołnierze uskakiwali z drogi. Dziewczyna obejrzała się przez ramię i zobaczyła, jak Slagle wyrzuca przed siebie ręce. Ekspłodowała przed nim kula ognia czarodzieja; wirowała w powietrzu, czekając na rozkaz. Znowu wyrzucił przed siebie ramiona, kierując ogień ku Kahlan.

Bojowy rumak przeskakiwał nad ogniskami i żołnierzami, kopyta wzbijały w górę śnieg i płonące drwa. Nick zahaczał o linki namiotów, a te walały się na ziemię. Kahlan spostrzegła to, czego szukała, czego pragnęła teraz ponad życie, i skierowała tam konia.

Słyszała świst nadlatującego ku niej ognia czarodzieja. Słyszała wrzaski żołnierzy, którzy znaleźli się na jego drodze. Obejrzała się raz jeszcze - błękitna i złota kula ognia mknęła przez namioty i żołnierzy, cały czas rosnąc, zataczając się jak pijany czarodziej. Kulą ognia czarodzieja należy kierować, a upity Slagle nie potrafił kontrolować swojego wytworu. Gdyby był trzeźwy, Kahlan już by nie żyła.

O dobre duchy, modliła się dziewczyna, jeżeli mam umrzeć, to pozwólcie mi najpierw zrobić to, co muszę.

Kahlan dotarła do celu. Wychyliła się z grzbietu galopującego zwierzęcia, wyszarpnęła kopię ze śnieżnego pagórka, zawróciła Nicka. Wbiła mu obcasy w boki i koń ruszył pełnym galopem.

Kula ognia mknęła ze świstem ku dziewczynie, paląc po drodze namioty oraz żołnierzy. Rosła i koziołkowała; znajdowała się coraz bliżej.

Kopia była cięższa, niż Kahlan oczekiwała. Przeznaczono ją dla silniejszych od niej żołnierzy i dziewczyna musiała ją trzymać pionowo,

oszczędzając w ten sposób siły. Na galopującym Nicku nie robiło wrażenia ani panujące wokół zamieszanie, ani hałas, ani biegający żołnierze, ani wreszcie ogień czarodzieja. Kahlan kierowała go to w jedną, to w drugą stronę, kopyta rumaka młóciły ubity śnieg. Dziewczyna omijała przeszkody, mknąc ku ogniewi czarodzieja. Ku czarodziejowi.

Slagle usiłował zmienić tor ognistej kuli, zagrozić nią drogę Kahlan, ilekroć ta zmieniała kierunek w tym szaleńczym biegu. Był powolny, lecz zdawała sobie sprawę, że i w takim stanie łatwo ją trafi, kiedy znajdzie się wystarczająco blisko niego.

W ostatniej chwili skierowała konia w prawo. Ryczący ogień przemknął tak blisko, że osmalił jej włosy. Znowu pędziła przed siebie. Nick galopował prosto na Slagle'a. Z tyłu wybuchnął ogień czarodzieja, rozlewając się po ziemi jak woda po przerwaniu tamy. Powietrze wypełniły przeraźliwe wrzaski ginących ludzi i zwierząt. Pałący się żołnierze tarzali się po śniegu, usiłując gasić płomienie. Jednak ogień czarodzieja nie daje się łatwo zagasić - ożywia go konkretny cel.

Ryki bólu wywołały panikę wśród tych, którzy nie wiedzieli, co się wydarzyło. Żołnierze wrzeszczeli ze strachu przed duchami, które rzekomo ich napadły. Młóćące na oślep miecze cięły uciekających przed ogniem. Rozgorzała walka. W powietrzu unosił się nie tylko swąd palących się ciał, ale i odór krwi.

Kahlan nie zwracała uwagi na wrzaski, szukała w sobie ciszy.

Czarodziej zatoczył się do tyłu i upadł. Podniósł się, kołując ramionami. Czubki zataczających łuki palców formowały nową kulę ognia.

Dookoła panowało zamieszanie, lecz Kahlan widziała tylko jedno. Czarodzieja.

Pochyliła broń, wsunęła nasadę drzewca pod prawą pachę i mocno uchwyciła w dłoń skórzany pierścień. Zaciśnęła zęby, wyteżyła siły i uniosła ciężką kopię ponad kołyszącym się łbem Nicka, trochę w lewo, żeby nie stracić równowagi.

Koń słuchał dziewczyny, jakby czytał w jej myślach. Mknął najszybciej, jak potrafił, a mimo to Kahlan miała wrażenie, że przebycie ostatnich dziesięciu jardów zabrało całe godziny. Był to wyścig pomiędzy nią a przywołującym ogień czarodziejem.

Slagle podniósł wzrok, by pokierować ogniem, akurat wtedy, gdy kopia

Kahlan trafiła go w pierś. Siła uderzenia złamała drzewce w połowie i niemal rozdarła czarodzieja na pół. Jeździec i koń przemknęli przez krwawy deszcz.

Dziewczyna uderzyła ułomkiem kopii mężczyznę, który skoczył ku niej, i trafiła go w głowę. Uderzenie wyrwało jej z dłoni resztki broni. Zawróciła konia i - mocno pochylona nad jego kłębem - pogalopowała poprzez zamęt panujący wokół namiotów dowództwa. Serce Kahlan waliło równie mocno jak kopyta Nicka.

Jeden z d'haranskich oficerów wołał o konia. Żołnierze dosiadali rumaków na oklep. Oddalająca się od nich Kahlan słyszała, jak wołał do żołnierzy, że jeśli jej nie złapią, to zostaną poćwiartowani. Pospiesznie zerknęła za siebie - ze trzy tuziny jeźdźców przyłączyły się do pogoni.

Z dala od namiotów dowództwa żołnierze nie wiedzieli, co się stało, i traktowali galopującego jeźdźca jako część pijackich zabaw. Żaden nie próbował jej zatrzymać. Mijała w pędzie żołnierzy, namioty, ogniska, wbite w śnieg kopie, ustawione w kozły piki, konie oraz wozy.

Nick przeskakiwał to, pod czym nie mógł przebiec. Przerażeni żołnierze usuwali mu się z drogi. Gracze uciekali od stolików, monety i kości fruwały w powietrzu. Namioty unosiły się, kiedy nogi wierzchowca zaczepiały o liny, i opadały na ścigających. Konie oraz jeźdźcy walili się na ziemię. Tratowali ich koledzy, starający się nie stracić Kahlan z oczu.

Dziewczyna spostrzegła miecz tkwiący w przymocowanej do boku wozu pochwie; wyszarpnęła go w pędzie. Potem zamachnęła się i przecięła postronki, którymi przywiązano konie. Raniła jednego w zad. Zarżał z przerażenia i bólu, płosząc pozostałe. Rozbiegły się we wszystkie strony. Zatknięte na tykach lampy spadły na namioty; buchnął ogień.

Konie ścigających nie chciały wejść w płomienie; stawały dęba, wierzgały i zrzucały jeźdźców. Jakiś mężczyzna wyskoczył znienacka przed Kahlan, uniknął kopyt Nicka i chciał ją złapać. Cięła go w pierś. Rękojeść miecza wymknęła się z dłoni dziewczyny. Pochyliła się do przodu i starała się nie spaść, a Nick galopował przez rozległy obóz. Pościg nie był zbyt blisko, lecz uparcie podążał jej śladem.

Obóz skończył się nagle, koń mknął teraz po otwartej, zaśnieżonej przestrzeni. Kahlan wracała po własnych śladach, wspomagana niknącą księżycową poświatą. Potężny ogień gnał, jakby nie było śniegu.

W końcu dotarli do linii drzew. Zanim wjechali pomiędzy nie i ruszyli w

górze stromych zboczy, dziewczyna obejrzała się przez ramię.

Około pięćdziesięciu jeźdźców było jakieś trzy minuty za nią. Może uda się jej zyskać przewagę na leśnym trakcie, lecz i tak mieli szansę ją ująć.

Jakoś sobie poradzi.

ROZDZIAŁ 39

Powoli, ostrożnie - ostrzegła; pośliznęło się niepewnie postawione kopyto. - Do tyłu, do tyłu. W tył, koniku.

Z niższych partii stoku dobiegały odgłosy pogoni. Ktoś, chyba d'haranski oficer, wrzeszczał ile tchu w piersiach, żeby nie pozwolili jej uciec, inni popędzali konie w górę stromego podejścia. Kiedy dotrą do płaszczyzny, gdzie była teraz Kahlan, znów ruszą galopem.

Dziewczyna łagodnie szarpnęła wodze. Nick zdjął kopyto z lodu i cofnął się po swoich śladach w wąską szczelinę pomiędzy oblepionymi śniegiem sosnami.

Długa, rozwidlona na czubku gałąź tkwiła w śniegu tam, gdzie Kahlan ją zostawiła, obok dwupiennego świerku. Dziewczyna uniosła ją i zaczęła wstrząsać ciężkimi, obsypanymi śniegiem konarami. Dokuczało jej przy tej robocie ramię, pod którym trzymała połamaną w walce kopię.

Wprowadziła Nicka pomiędzy drzewa, w bok od szlaku; rozwidloną gałąź trzymała nad głową i trącała nią konary. Uniosły się, uwolnione od ciężaru, i częściowo przysłoniły szczelinę między sosnami. Co więcej, opadający na ziemię śnieg krył końskie ślady. Kahlan trącała to jedną gałąź tu, to drugą tam - śnieg spadał, zasypując, maskując ślady kopyt Nicka. Wyglądało to tak, jakby wiatr strząsnął go z drzew.

Dziewczyna podziękowała w myślach Richardowi za to, że tyle nauczył ją o tropach. Mówił, iż zrobi z niej „leśną kobietę”. Przeraził ją za nim tęskniła. Była pewna, że nie spodobałoby mu się, iż wystawiła się na takie ryzyko i wykorzystuje przy tym jego nauki.

Nie mogła przecież jednak pozwolić, żeby żołnierze trafili po jej śladach aż do galejskich chłopców. Któryś mógłby wrócić do obozu z wieścią o tym, co znaleźli, i Galejczycy zostaliby zmasakrowani. Jeżeli zaś żaden z żołdaków nie wróci, to upłynie wiele czasu, nim wyślą następnych, jeśli w ogóle tak zrobią. A gdyby nawet wysłali, to i tak byłoby za późno. Kahlan już dawno zdążyłaby wrócić przełęczami, z których tu nadeszła, a tam nieustannie wiał wicher, zasypując wszystko śniegiem, i napastnicy nie odnaleźliby już jej tropu. Nie mieliby pojęcia, dokąd poszła. Góry i lasy zajmowały tu bezkresne obszary, a Kahlan zadbałaby o to, by jej ostatnie czytelne ślady prowadziły w

kierunku przeciwnym do właściwego szlaku. Ci w obozie powinni wierzyć, że pościg dopadnie ją prędzej czy później, i na pewno będą bardziej zainteresowani czekającą ich za parę dni grabieżą niż łapaniem Kahlan.

Stłumiony śniegiem tętent końskich kopyt sprawił, iż dziewczyna otrząsnęła się z rozmyślań. Pościg dotarł do płaszczyzny i mknął galopem. Kahlan spokojnie cofała się między drzewa, trącąc gałęzie, by śnieg zasypał jej ślady. Wycofywała się ku drodze, którą dotarła do Armii Imperialnego Ładu. Odgłosy pogoni były tuż-tuż.

Przez cały ten czas dziewczyna pochylała się i głaskała szyję Nicka. Szeptala w nastawione ku niej końskie uszy.

- Bądź cicho, Nick. Błagam, nie porusz się i nie wydaj żadnego dźwięku - wyszeptala na koniec. Znów pogładziła spoconą końską szyję. - Dobry konik. Nie ruszaj się.

Miała wrażenie, że każdy może usłyszeć łomot jej serca. Pościg zrównał się z Kahlan. Przemknęli po jej śladach, tuż przed nią. Wypadli pomiędzy drzew po lewej stronie, nawet nie o dziesięć jardów dalej. Mknęli z pełną szybkością. Kahlan wstrzymała oddech. Usłyszała stuk kopyt uderzających o leżący za owymi drzewami, skryty w księżycowych cieniach lód. Lód, do którego wiodły jej fałszywe tropy. Bo zostawiła ślady pomiędzy tamtymi drzewami, ślady prowadzące na skraj skalnego, spadającego z urwiska strumienia. Strumyk był niewielki, lecz kiedy zamarzł, jego wody zalewały ścięte już partie, zmieniając brzegi w lodowisko. Wiatr zwiął śnieg i odsłonił opadające w dół śliskie lodowe garby.

Żołnierze wypadali pomiędzy drzew i nie mieli nawet dwudziestu stóp, żeby wyhamować pęd przed skrajem urwiska, gdzie kończyła się skała i lód, a zaczynała pustka. Musieli powstrzymać konie na terenie pokrytym nierównym, pagórkowatym lodem. Gdyby była to lodowa tafla jak na jeziorze, konie wbiłyby w nią podkowy, próbując się zatrzymać. Jednak nie była to lodowa tafla, a zamarznięte fale, zwierzęta nie miały więc najmniejszej szansy - ślizgały się, potykały i padały.

Kahlan słyszała trzask łamiących się końskich nóg - to więzzące w lodowych szparach kopyta nie mogły powstrzymać rozpedzonych tysięcy funtów mięśni. Jadący na oklep żołnierze byli zupełnie bezradni. Okrzykami dodawali ducha swoim wierzchowcom, a jadący z tyłu nie dość szybko dostrzegli, że gniewne okrzyki przerodziły się we wrzaski przerażenia. Tyłne

szeregi zderzyły się z przednimi, mieszały z nimi. Jeźdźcy nie potrafili zapanować nad końmi, które nie nosiły teraz używanych w walkach wędzideł. Byli zupełnie bezradni. Niektórzy zeskakiwali, widząc, co się dzieje, lecz impet był zbyt wielki, a dystans zbyt krótki. Nie było dla nich ratunku. Rumaki z tylnych szeregów, łamiąc sobie nogi, waliły się na te, które upadły wcześniej, i desperacko usiłowały się podnieść. Nie mogły. Z urwiska spadał strumień żywych istot.

Kahlan siedziała nieruchomo, z kamienną „twarzą Spowiedniczki”, i słuchała wrzasków ludzi oraz koni, zlewających się w skowyt, kiedy znikali za skrajem przepaści. W parę sekund było po wszystkim - ponad pięćdziesięciu żołnierzy wraz z końmi runęło w śmierć.

Zapanowała cisza. Po chwili Kahlan zsiadła i ruszyła bokiem ku skrajowi przepaści, tak by do jej fałszywych tropów nie dołączyły się żadne nowe ślady. W mglistej księżycowej poświacie widziała na lodowych garbach ślady krwi z połamanych nóg i rozbitych czaszek. Na skale nie został żaden wróg. Już miała odejść, kiedy usłyszała ciche jęki rozpaczycy. Dobyła noża i wolniutko wychyliła się poza skraj skały, ku źródłu owych dźwięków. Uchwyciła się grubej gałęzi i wyjrzała. W lodzie tkwiły wmarznięte leśne szczątki: patyki i liście, pokryte kolejnymi warstwami zamarznętej wody. Kilka gałęzi sterczało z lodowego wału. Czyjeś palce czepiały się jednej z nich. Jakiś żołnierz wisiał nad niemal tysięczną przepaścią. Stękał z wysiłku, usiłując zaczepić stopami o lód, lecz nie mógł znaleźć punktu oparcia. Kahlan stała, trzymając się gałęzi, i patrzyła, jak tamten się trzęsie. Cieniutkie strumyczki wody wydobywały się spod lodu, kapały na twarz żołnierza, mocząc mu włosy, i wsiąkały w jego keltoński mundur. Szczękał zębami. Spojrzał w górę i zobaczył Kahlan, stojącą ponad nim w księżycowej poświacie.

- Ratunku! Pomóż mi, błagam! - Na pewno nie był od niej starszy. Dziewczyna patrzyła nań obojętnie. Miał duże oczy, z tych, które doprowadzają kobiety do szaleństwa. Ale kobiety w Ebinissii na pewno nie mdlały z zachwyty nad jego oczami.

- Na dobre duchy, ratuj mnie!

Kahlan przykucnęła, znalazła się bliżej niego.

- Jak się nazywasz?

- Huon! Nazywam się Huon! Pomóż mi, błagam!

Dziewczyna położyła się na lodzie, zaczepiła stopę o wygięty korzeń, jedną ręką mocno chwyciła krzepką gałąź świerku, drugą wysunęła ku Huonowi, ale tak, żeby nie mógł jej złapać.

- Pomogę ci, Huonie, lecz pod pewnym warunkiem. Przysięgam, że nie okażę litości, i nie złamię przysięgi. Jeżeli ujmiesz moją dłoń, to porażę cię swoją mocą. Na zawsze będziesz mój. Jeśli chcesz żyć, to tylko jako ktoś w mocy Spowiedniczki. Gdybyś łudził się, że zrzucisz mnie w przepaść, zanim zdążę porazić cię moją mocą, to cię rozczaruję: nie proponowałabym ci tego, jeśli miałbyś najmniejszą szansę urzeczywistnienia takiego pomysłu. Dotknęłam własną mocą więcej ludzi, niż potrafię zliczyć. Nie miałbyś ani chwili. Natychmiast byłbyś mój.

Zamrugnął powiekami, pozbywając się zalewającej mu oczy wody. Potrząsnął głową, strząsając krople z twarzy, i zagapił się na Kahlan. Wyciągnęła ku niemu dłoń.

- Tak czy owak, Huonie, twoje dotychczasowe życie dobiegło kresu. Jeżeli wybierzesz życie, będziesz kimś zupełnie innym. Ten, kim jesteś teraz, zniknie. Będziesz mój.

- Po prostu mnie wciągnij, błagam - wyszeptał. - Nie zrobię ci nic złego. Przysięgam, że pozwolę ci odejść. Całe godziny będę brnął pieszko do obozu, a przez ten czas ty sobie swobodnie odjedziesz. Pomóż mi, błagam.

- Ilu mieszkańców Ebinissii błagało cię o życie? Ilu spośród nich okazałeś litość? - Słowa były równie zimne jak lód, na którym leżała Kahlan. - Jestem Matką Spowiedniczką. Wypowiedziałam Imperialnemu Ładowi wojnę, w której nie ma miejsca na litość. Przysięga zachowa moc, dopóki choć jeden z was pozostanie przy życiu. Wybieraj, Huonie. Śmierć lub dotknięcie moją mocą. Tak czy owak zginie ten, kim jesteś teraz.

- Mieszkańców Ebinissii spotkało to, na co zasługiwali. Wolałbym ująć dłoń samego Opiekuna, niż dostać się w moc twojej plugawej magii. Dobre duchy nigdy by mnie nie przyjęły, gdybym pozwolił się dotknąć twoją mroczną i pogańską magią. - Wykrzywił się szyderczo. - Oby dopadł cię Opiekun, Spowiedniczko!

Huon rozpostarł ramiona i milcząc, spadł w ciemność.

Kahlan wracała do galejskich rekrutów, rozmyślając o tym, co jej powiedzieli Riggs, Karsh i Slagle. Dumiała też o zamieszkujących Midlandy magicznych istotach.

Wspominała przepiękną krainę nocnych ogników, z rozległymi polanami w starożytnych borach, polanami, gdzie o zmierzchu zbierały się nocne ogniki, żeby tańczyć w powietrzu ponad usianą kwiatami trawą; żeby tańczyć jak radosne świetliki. Kahlan spędziła tam wiele nocy, leżąc na plecach w trawie, a one unosiły się nad nią i rozmawiały z nią o sprawach wspólnych wszystkim żywym stworzeniom: o marzeniach i nadziejach, o miłości.

Rozmyślała o istotach żyjących w Długim Jeziorze; przejrzystych stworzeniach, które tak trudno dostrzec w wodzie, wyglądających, jakby były z płynnego szkła lub z będącej ich domem wody. Nigdy z nimi nie rozmawiała, ale widziała, jak się wynurzają nocami, by wylegiwać się na skałach i na łądzie skąpanych w księżycowej poświacie. O istotach pozbawionych głosu, które jednak rozumiała i które obiecała chronić.

Dumała również o szepczących drzewoludziach, z którymi rozmawiała - wspaniale piękne, niesamowite, a jednocześnie przepelnione łagodnością i spokojem doświadczenie. Drzewoludzie łączyli się stykającymi się pod ziemią korzeniami. Każdy mówił w imieniu wszystkich, jakby nie byli odrębnymi osobami. A przecież każda z tych istot miała imię i gotowa była wyszeptać ci je za obietnicę zwykłej życzliwości. Wspólnota będąca zarazem jednością. Ściąć drzewo, to narazić wszystkie na ból umierania; nie mogły przerwać wzajemnej łączności. Gdyby w tej krainie zjawili się ludzie i zaczęli ścinać drzewa, wszyscy drzewoludzie przeżywaliby męki. Kahlan już kiedyś widziała ich pogrążonych w bólu. Ich skargi mogłyby zmusić gwiazdy do płaczu.

A były jeszcze inne magiczne istoty oraz ludzie obdarzeni magiczną mocą. Niekiedy trudno było powiedzieć, czy to dzika istota, czy człowiek. W Midlandach pewni ludzie byli po części magicznymi stworami; a może to takie istoty były częściowo ludźmi. Byli osobliwi i wspaniali, i bardzo płochliwi.

I tak to szło od najprostszych istot w Ryczących Jaskiniach (które to stworzenia pozwalały zerknąć poprzez skałę i zobaczyć ich gniazda), aż do ludzi jak Błotni Ludzie, obdarzonych odrobiną magii, pojedynczym talentem magicznym.

Jako Matka Spowiedniczka miała pod opieką te istoty i inne jeszcze. Jako Matka Spowiedniczka przewodziła wszystkim, żeby chronić owo magiczne

miejsce, tak by nikt nie atakował słabszych sąsiadów. Taki układ zawarto przed tysiącami lat. Czuwały nad nim Spowiedniczki i czarodzieje.

Istoty zmroku, powiedział o nich Riggs. Była to również jedna z nazw nadana im przez Bractwo Czystej Krwi, bo wiele z owych istot pojawiało się wyłącznie nocą. To dlatego bractwo łączyło je z mrokiem i ze strachu - z mrokiem Opiekuna zmarłych.

Bractwo uważało, że magia jest siłą, za pomocą której Opiekun oddziałuje na ten świat, na świat żywych. Jego członkowie byli równie nierozsądni i tępi jak wszyscy ludzie. I uważali za swój obowiązek wysyłać do świata zmarłych wszystkich, których posądzali o służenie Opiekunowi. To znaczy niemal każdego, kto myślał inaczej niż oni. W jednych krainach bractwo było wyjęte spod prawa, w innych - jak w Nikobarezji - opłacane i chronione przez Koronę.

Może Riggs miał rację. Może Kahlan powinna była ustanowić prawo zakazujące działalności ludziom im podobnym. Lecz rada nigdy nie miała takich intencji; nigdy nie chciała, by wszyscy podporządkowywali się jednemu. Siła i piękno Midlandów brały się z ich różnorodności, nawet jeśli jakaś jej część nie była zbyt piękna. Co dla jednych było brzydkie, to dla innych piękne, i dlatego każda kraina mogła się rządzić własnymi prawami dopóty, dopóki nie atakowała innej. Tolerowano to, co odpychające, żeby pozwolić rozkwitać pięknu. Właściwe kierowanie radą bywało niekiedy trudne i wymagało subtelnej dyplomacji - trzeba było skłonić krainy, by w pewnych sprawach współdziałały, w innych zaś pozwolić im na autonomię.

Może jednak Riggs miał rację. Mieszkańcy niektórych ziem znosili okrutne lub nieudolne rządy swoich zachłannych albo głupich władców; musieli to znosić bez jakiegokolwiek nadziei, iż ktoś z zewnątrz wprowadzi zmiany. Za to mniejsze, mądrze rządzone krainy nie musiały się obawiać napaści. Lecz czyż nie byłoby lepiej, gdyby mądra centralna władza położyła kres cierpieniom nieudolnie rządzonych?

Jednakowoż jeśli o wszystkim decydowałby jeden rząd, to wszelkie inne możliwości egzystowania zostałyby zniszczone. Nigdy nie miałyby szansy zaistnieć - choćby nawet któraś z nich mogła się okazać lepszym sposobem kierowania krainami, niż już istniejący. Jedna władza, w rozumieniu Imperialnego Ładu, to po prostu niewolnictwo.

Kahlan zdziwiła się, spotykając galejskie czujki dalej od obozu niż

przedtem. Nie były już zbyt szeroko rozstawione; dobrze ukryte, a żołnierze ukazywali się z dobytą bronią i napiętymi łukami, kiedy dziewczyna niemal na nich wpadała. To na pewno robota Chandalena, Tossidina i Prindina. Wartownicy rozpoznawali Kahlan i, oddając honory, przykładali pięść do serca.

Wraz ze świtem niebo stawało się stalowoszare. Było cieplej niż poprzednio, bo chmury otulały krainę niczym ciepła narzuta. Straszliwie zmęczona dziewczyna ledwo siedziała na brnącym poprzez śnieg ku obozowi Nicku, lecz kiedy ujrzała krzątających się żołnierzy i pomyślała o tym, co trzeba zrobić, odzyskała siły.

Chandalen, Prindin, kapitan Ryan i porucznik Hobson rozmawiali akurat z grupą wojskowych, kiedy dostrzegli jadącą ku obozowi Kahlan. Wszyscy czterej pobiegli, by spotkać się z nią na skraju obozowiska. Żołnierze gotowali i jedli, chowali ekwipunek, szykowali broń, zajmowali się końmi i wozami. Kahlan dojrzała Tossidina - stał trochę dalej w swoim białym okryciu z wilczej skóry, obok porucznika Sloana, i mówił coś, gestykulując, do milczących żołnierzy. Wbite na sztorc w śnieg włócznie sprawiały, że wyglądali na śniegu jak ciemny jeżozwierz.

Stęknąwszy ze zmęczenia, Kahlan zsiadła z konia przed czterema mężczyzmi, którzy wyszli ją powitać. Żołnierze w dalszym ciągu zajmowali się swoimi sprawami, lecz czynili to o wiele wolniej i z wielką ciekawością przyglądali się Kahlan. Ci czterej zaś wpatrywali się w nią otwarcie, szeroko rozwartymi oczami. Żaden się nie odezwał.

- Na co się tak gapicie? - zniecierpliwiała się.

- Jesteś okrwawiona, Matko Spowiedniczo - odezwał się kapitan Ryan. - Zranili cię?

Dziewczyna spojrzała na białą pelerynę z wilczego futra - okrycie nie było już białe. Po raz pierwszy poczuła, że na twarzy i we włosach ma zaschniętą krew.

- Aaa - powiedziała już spokojniej. - Nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

Chandalen i Prindin odetchnęli z ulgą.

Porucznik Hobson, nadal wytrzeszczając oczy, przełknął ślinę i zapytał:

- A co z czarodziejem? Widziałaś go?

- To, co widzisz na mnie, to wszystko, co z niego zostało.

- Ilu innych zabiłaś? - spytał z chytrym uśmiechem Chandalen.

- Byłem okropnie zajęta. - Kahlan ze znużeniem wzruszyła ramionami. - Nie marnowałam czasu na liczenie, ale wzięwszy wszystko pod uwagę i dodając do tego pożar, sądzę, że ponad setkę. Czarodziej nie żyje, i to jest najważniejsze. Dwaj z ich dowódców również, a przynajmniej dwaj kolejni są ranni.

Kapitan Ryan i porucznik Hobson pobledli.

Dumny uśmiech Chandalena rozszerzył się jeszcze bardziej.

- Dziwię się, Matko Spowiedniczko, że w ogóle zostawiłaś jakichś do zabicia.

Kahlan nie odwzajemniła uśmiechu.

- Zostało jeszcze całe mnóstwo. - Pogłaskała nos konia. - Nick odwalił większość roboty.

- Mówiłem, że cię nie zawiedzie - wtrącił Hobson.

- I nie zawiódł. Był bardziej pomocny niż dobre duchy. Ocalił mi dziś życie. - Dziewczyna przyklękła na kolano przed dwoma galejskimi oficerami i skłoniła głowę. - Muszę was prosić o wybaczenie. - Ujęła dłoń każdego z nich. - Choć nie macie pojęcia, jak dokonać tego, co musi być zrobione, to obowiązek wobec Midlandów przełożyliście nad moje rozkazy. To odwaga najwyższej próby. Chcę, byście wszyscy wiedzieli, iż się myliłam. Działaliście ze szlachetnych pobudek. - Ucałowała ich dłonie. - Sławię wasze prawe serca. Słusznie postawiliście swój obowiązek ponad wszystko. Błagam was o wybaczenie.

Kłęcząca przed nimi w ciszy. W końcu kapitan Ryan wyszeptał:

- Powstań, Matko Spowiedniczko. Powstań, proszę. Wszyscy patrzą.

- Nie wstanę, dopóki mi nie wybaczycie. Chcę, by wszyscy wiedzieli, iż postąpiliście słusznie.

- Przecież nie wiedziałaś, co robimy i dlaczego. Chodziło ci wyłącznie o nasze bezpieczeństwo. - Kahlan czekała, a Ryan, zakłopotany, umilkł na chwilę. - No dobrze. Wybaczam ci. Nie zrobisz tego więcej?

Dziewczyna wstała, puściła ich dłonie i uśmiechnęła się do nich ponuro.

- I oby to był ostatni raz, kiedy mnie nie usłuchaliście.

Kapitan Ryan gorliwie przytaknął.

- Zadbam o to. - Potrząsnął głową. - To znaczy, ja nie... To znaczy, ja... Zrobimy, co rozkażesz, Matko Spowiedniczko.

- Rozumiem, kapitanie, co masz na myśli. - Kahlan westchnęła ze znużeniem. - Czeka nas mnóstwo roboty, zanim zaatakujemy owych żołnierzy.

- My!?! - krzyknął Chandalen. - „My” ich tylko nauczymy pewnych rzeczy, a potem „my” wyruszymy do Aydindril! Nie możemy mieszać się do tej potyczki. I tak już wiele ryzykowałeś! Musimy...

- Muszę porozmawiać z wami trzema - przerwała mu Kahlan. - Przeprowadź Tossidina. Zbierz żołnierzy, kapitanie, w tym i wartowników. Chcę wszystkim coś powiedzieć. Zaczekaj na mnie, proszę, ze swoimi ludźmi. Zostanę z wami na krótko. I dajcie mi jakiś namiot. Muszę przespać się kilka godzin. W tym czasie wy wszystko przygotujecie.

Prindin poszedł po Tossidina, a Kahlan odeszła z Chandalenem poza zasięg słuchu. Spojrzała na nich, kiedy się już zebrali. Chandalen miał gniewną minę, dwaj bracia czekali spokojnie.

- Błotni Ludzie - zaczęła cicho dziewczyna - są obdarzeni magią.

- Nie mamy żadnej magii - sprzeciwił się Chandalen.

- Owszem, macie. Nie uważacie tego za magię, bo rodzicie się z tym i tylko to znacie. Nic nie wiecie o innych ludach i ich zwyczajach. Błotni Ludzie potrafią rozmawiać z duchami swoich przodków. Mogą to czynić, ponieważ mają magiczne zdolności. Myślicie, że to zwykła rzecz, że tak jest wszędzie, lecz to nieprawda. To magia umożliwia wam rozmowy z duchami przodków. Ona nie jest jakąś osobliwą i potężną mocą; to po prostu coś, czym są obdarzeni pewni ludzie, pewne istoty.

- Inni także mogą rozmawiać ze swoimi przodkami, jeżeli tego chcą - wtrącił Chandalen.

- Niektórzy tak, ale większość nie. Dla nich to rozmowy ze zmarłymi, czyli magia. Przerazająca magia. I ty, i ja wiemy, że nie trzeba się tego bać, lecz tamtych nigdy nie przekonasz, iż nie czynisz nic złego. Zawsze będą uważali to za zło. Ludzie wierzą w to, co im wpojono, a wpojono im, że rozmowy ze zmarłymi to coś złego.

- Przecież duchy przodków nam pomagają - odezwał się Prindin. - Nigdy nie czynią nic złego. Jedynie pomagają.

Kahlan położyła mu dłoń na ramieniu i spojrzała w zatroskane oczy łowcy.

- Wiem. To dlatego staram się utrzymać innych z dala od was, żebyście

mogli żyć według własnych obyczajów. Jest jeszcze parę ludów, które, podobnie jak wy, rozmawiają ze swoimi przodkami. Też mają w sobie magię. Są również ludzie i stworzenia obdarzone magią odmienną od waszej, magią równie dla nich ważną jak wasza dla was. - Spojrzała na każdego z łowców. - Rozumiecie?

- Tak, Matko Spowiedniczko - powiedział Tossidin.

Prindin kiwnął potakująco głową. Chandalen chrząknął i skrzyżował ramiona.

- Lecz nie chodzi o to, byście wierzyli, iż wasz talent można zwać magią. Powinniście zrozumieć, że inni to, co robicie, uważają za czary. Wielu boi się magii. Myślą, że jesteście źli, ponieważ paracie się nią. - Kahlan wskazała w kierunku Armii Imperialnego Ładu. - Tamci żołnierze, ci, których ścigamy, ci, którzy wymordowali mieszkańców Ebinissii, mają konkretny cel. Pragną władać wszystkimi ludami Midlandów. Nikomu nie pozwolą żyć według innych zasad, wszyscy mają się im podporządkować.

- Dlaczego chcą panować nad Błotnymi Ludźmi? - zdziwił się Prindin. - Nie mamy niczego, czego mogliby zapragnąć. Trzymamy się naszych ziem.

Chandalen rozplótł ramiona i powiedział cicho:

- Oni boją się magii i chcą, byśmy przestali rozmawiać z duchami przodków.

- Otóż to. - Kahlan ścisnęła ramię łowcy. - A co więcej, myślą, że obowiązek wobec duchów, które czczą, nakazuje im wybić was. Ich misją jest wyniszczenie wszystkich obdarzonych magią, bo sądzą, że magia to coś złego. Wierzą, iż ludy takie jak wasz są obdarzone magią. - Spojrzała Chandalenowi w oczy. - Jeżeli nie zginą co do jednego jak Jocopo, to wcześniej lub później zniszczą Błotnych Ludzi, tak jak zniszczyli Ebinissię.

Trzej łowcy w zamyśleniu wpatrywali się w ziemię. Dziewczyna czekała, aż rozważą jej słowa. W końcu odezwał się Chandalen:

- I zabiją innych, którzy jak Błotni Ludzie nie chcą, by obcy wchodzili na ich ziemię?

- Zrobią to. Rozmawiałam z żołnierzami tej armii. To szaleńcy. Mówią, jakby nawiedziły ich złe duchy. Zupełnie jak Bantaków. Jak Jocopo. Nie chcą słuchać wyjaśnień. Uważają, iż to my słuchamy złych duchów. Uczynią to, co obiecują. Widzieliście miasto, które zniszczyli, i trupy licznej armii, która go broniła. To nie są czcze pogroźki. Muszę się dostać do Aydindril i zebrać

wojska do walki z nimi. Doradcy pewno już się tym zajmują, ale muszę się upewnić, czy zdają sobie sprawę z rozmiarów zagrożenia oraz że całe Midlandy zjednoczą się w walce z nimi. W tej chwili jednak poza galejskimi chłopcami nie ma w pobliżu żadnych sił gotowych do walki z tamtymi żołnierzami. W pobliżu są miasta, które tamci zniszczą, zanim nadejdzie pomoc. Co gorsza, owo zagrożenie może skłonić niektórych do przyłączenia się do napastników. Pewni ludzie traktują honor jak coś niewygodnego i dołączają do wojsk, które uważają za przyszych zwycięzców. To sprawi, że jeszcze bardziej wzrośnie liczebność Armii Imperialnego Ładu. Wielu umrze, nim Aydindril wyśle wojska do boju z wrogiem. Musimy więc skłonić tych chłopców, by już teraz, zanim tamci wymordują więcej niewinnych ludzi, podjęli z nimi walkę. Ci młodzieńcy zgłosili się na ochotnika, żeby zostać wojownikami, tak jak wy, żeby chronić swój lud, lud całych Midlandów. Musimy im w tym pomóc. Nie wolno nam dopuścić, by tamte wojska grasowały po Midlandach, zabijając, niszcząc i przyciągając innych pod swoje sztandary. Powinniśmy rozpocząć walkę wraz z tymi chłopcami, pomóc im, pokazać, jak walczyć. Musimy się upewnić, że wiedzą, jak się bić, i że będą się bić nawet po naszym odejściu. Musimy ich poprowadzić do pierwszej bitwy, aby nabrali zaufania do metod, których ich nauczymy, i uwierzyli w swoje możliwości, zanim wyruszymy do Aydindril.

- I przywołasz błyskawicę, by nas wspomóc? - spytał z pozorną obojętnością Chandalen.

- Nie - wyszeptała Kahlan. - Próbowałam to zrobić tej nocy, ale się nie udało. Trudno mi to wytłumaczyć, lecz uważam, że ponieważ odwołam się do tej specyficznej magii z powodu Richarda, to teraz ona objawi się jedynie wtedy, gdy trzeba go będzie bronić. Przykro mi.

Chandalen opuścił ręce.

- No to jak zabiłaś tylu żołnierzy?

Kahlan poklepała go po ramieniu w miejscu, gdzie miał zamocowany kościany nóż.

- W ten sam sposób, jakiego twój dziadek nauczył twojego ojca, a on ciebie. Nie postąpiłam tak, jak tego oczekiwali. Nie walczyłam zgodnie z ich życzeniami. - Dwaj bracia bacznie słuchali jej słów. - Lubią pić, a kiedy się upiją, nie myślą sprawnie i są powolni.

- Ci tam - Tossidin wskazał kciukiem za siebie - też się lubią wieczorem

napić. Mają w taborach cały wóz napitków. Nie pozwoliliśmy im wypić ani kropli. Niektórzy się rozgniewali. Mówili, że mają do tego prawo.

Kahlan potrząsnęła głową.

- Ci chłopcy myślą również, iż należy iść prosto na dziesięciokrotnie liczniejszego przeciwnika i wydać mu bitwę w biały dzień. Musimy im pomóc. Musimy ich nauczyć, co trzeba zrobić.

- Oni nie lubią słuchać. - Prindin obejrzał się przez ramię w kierunku tych, których próbował uczyć. - Zawsze mają coś do powiedzenia, sprzecząc się. Twierdzą: „to się robi w ten sposób” i „musimy to tak zrobić”. Głowy mają nabite tym, czego ich uczono, i nie chcą poznawać innych metod.

- A tego właśnie musimy ich nauczyć - stwierdziła Kahlan. - Powinniśmy przekazać im metody skuteczne w tych warunkach. I po to wszyscy trzej jesteście mi potrzebni. Chcę, żebyście pomogli mi w tym, bo inaczej zginie wiele ludów, a może to spotkać również Błotnych Ludzi. Potrzebuję waszej pomocy. Muszę ich poprowadzić do boju.

Chandalen stał milczący i nieruchomy. Bracia szurali stopami w śniegu, namyślali się. W końcu Prindin spojrział na nią.

- Pomożemy. Brat i ja zrobimy, jak chcesz.

- Dziękuję Prindinie, lecz nie do was należy decyzja. To Chandalen musi się zgodzić. On musi zadecydować.

Dwaj bracia spojrzeli z ukosa na Chandalena, który gniewnie przyglądał się Kahlan. W końcu westchnął z desperacją.

- Jesteś upartą kobietą. Tak upartą, że z pewnością zginęłabyś, gdyby nas tu nie było, żeby nalać ci trochę rozumu do głowy. Pójdziemy wraz z tobą zabijać tamtych złych żołnierzy.

Dziewczyna westchnęła z ulgą.

- Dziękuję, Chandalenie. - Pochyliła się, nabrała garść śniegu i usiłowała zmyć z twarzy zaschniętą krew. - Teraz muszę pójść i powiedzieć tym chłopcom, co powinni zrobić. - Skończyła ocierać twarz i otrzepała dłonie. - Spaliście choć trochę ubiegłej nocy?

- Trochę - odparł Chandalen.

- To dobrze. Wygłoszę do nich mowę, a potem muszę się przespać parę godzin. Wy zaczniecie ich uczyć podróżowania bez wozów. Pokażemy im, jak się stać takimi silnymi jak wy. Tej nocy zaczniemy zabijać tamtych?

- Tej nocy - potwierdził ponuro Chandalen.

ROZDZIAŁ 40

Kahlan wspięła się na wóz, ustawiony przed zgromadzonymi żołnierzami. Tkwili przed nią w szarawym blasku poranka, otuleni w brązowe wełniane płaszcze, skupieni ciasno jeden przy drugim. Kapitan Ryan z oboma porucznikami po bokach stał przed swoimi żołnierzami. Czekał, oparłszy rękę o koło wozu.

Dziewczyna popatrzyła na młodzieńcze twarze. Chłopcy. Właśnie miała poprosić chłopców, żeby poszli na śmierć. Ale czyż miała wybór?

Czy dlatego, droga mammo, dumiała Kahlan, wybrałaś Wyborna na mego ojca? Żeby nauczył mnie tego, co zamierzam teraz uczynić?

- Obawiam się, że nie mam dla was zbyt wielu dobrych wiadomości - rozpoczęła spokojnym głosem, płynącym w zimnym powietrzu ponad zwróconymi ku niej twarzami. - I dlatego zacznę właśnie od nich, byście nabrali odwagi do wysłuchania tego, co muszę wam potem powiedzieć. - Kahlan głęboko zaczerpnęła powietrza. - Wasza królowa nie zginęła w Ebinissii. Ci, którzy zaatakowali miasto, nie znaleźli jej i nie pojmali. Albo jej nie było, gdy się pojawili, albo udało się jej uciec. Królowa Cyrilla żyje.

Chłopcy głęboko odetchnęli, jakby w nadziei, że już nic nie doda, i wrzasnęli radośnie. Wrzucili ramiona w górę, potrząsali zaciśniętymi pięściami. Wrzeszczeli i pohukiwali radośnie, z ulgą.

Dziewczyna stała w przesiąkniętej krwią pelerynie z wilczego futra. Opuściła swobodnie ramiona i pozwalała im się wykrzyczeć, ucieszyć i mieć nadzieję. Niektórzy ściskali się, zapominając na chwilę, że są już żołnierzami. Patrzyła, jak podskakują i krzyczą, jak po wielu policzkach płyną łzy. Wobec tej adoracji swojej przyrodniej siostry czuła się mała i nic nie znacząca. Nie potrafiła się zmusić, by położyć kres tym objawom radości.

W końcu kapitan Ryan wdrapał się na wóz i stanął obok dziewczyny. Uniósł w górę ramiona, nakazując ciszę.

- Już dobrze! Już starczy! Uspokójcie się! Przestańcie się zachowywać w obecności Matki Spowiedniczki jak banda dzieciaków! Pokażcie jej, jacy z was żołnierze!

Radosne wrzaski stopniowo ucichły; zastąpiły je uśmiechy i błyszczące oczy. Ryan splótł dłonie, łypnął z zakłopotaniem na Kahlan, po czym odsunął

się trochę, by miała więcej miejsca.

- Mieszkańcy Eibinissii - podjęła dziewczyna tym samym spokojnym głosem - nie mieli tyle szczęścia.

Zimowa cisza bliska była załamania. Lekki wiaterek szeleścił oblodzonymi gałęziami drzew, rosnących na stokach okalających dolinę, w której rozbili obóz. Uśmiechy zniknęły.

- Każdy z was miał przyjaciół, których w tym mieście zamordowano. Niektórzy mieli tam ukochane i rodziny, bliskich, którzy zginęli z rąk żołnierzy obozujących o parę godzin drogi stąd. - Kahlan chrząknęła, przełknęła ślinę i wbiła oczy w ziemię. - I ja znałam ludzi, którzy tam zginęli. - Po chwili podniosła wzrok. - Tej nocy pojechałam do ich obozu, by się przekonać, kim są i czy można ich przekonać do powrotu do swoich krain. Nie mają innego zamiaru, jak tylko podbijać wszystkie kraje i władać nimi. Przysięgali, iż zabiją każdego, kto nie zechce się do nich przyłączyć. Ebinissia nie chciała.

Chłopcy krzyczeli i potrząsali pięściami. Sami, wołali, położą kres owemu zagrożeniu.

Kahlan mówiła dalej, choć krzyczeli, i w końcu umilkli.

- Ci, którzy zabili waszych współobywateli, mężczyzn i kobiety, nazywają się Armia Imperialna. Nie walczą dla jakiegoś kraju czy narodu. Chcą podbić wszystkie kraje i panować nad nimi. Nie podlegają żadnemu rządowi, królowi, księciu ni radzie. Uważają, że są źródłem prawa. To przeważnie D'Haranczycy, ale przyłączyli się do nich i inni. Dostrzegłam wśród nich Keltańczyków.

Przez tłum przetoczyły się fale gniewnych szeptów. Kahlan nie uciszała ich przez chwilę.

- Widziałam też żołnierzy z innych krain. Również Galejczyków. Tym razem gniewne głosy krzyknęły, że to nieprawda, że na pewno się pomyliła.

- Widziałam ich na własne oczy! - Umilkli, a dziewczyna podjęła już spokojnym tonem. - Też chciałabym, żeby to nie była prawda, lecz ujrzałam ich. Do tych wojsk dołączyli żołnierze z wielu krajów. I przyłączy się jeszcze więcej, jeżeli uwierzą, że będą mieć udział w zwycięstwie i staną się częścią nowego ładu; jeżeli uwierzą, iż mogą plądrować, że staną się nową władzą. Parę dni drogi stąd leży miasto Cellion. Imperialny Ład zażąda, by się poddało i przyłączyło, bo inaczej je zniszczy. Jeśli nikt nie powstrzyma tych

wojsk ucierpią inne miasta, miasteczka i wsie. Albo wszyscy w końcu dostaną się pod ich panowanie. Udaję się do Aydindril, żeby zwołać siły Midlandów przeciwko Imperialnemu Ładowi, lecz to trochę potrwa. Przez ten czas jej liczebność wzrośnie, bo przystaną do niej ci, którzy lubią być po stronie silniejszych. Już teraz nie ma nikogo, kto mógłby powstrzymać owych żołnierzy od zabijania każdego, kto się im sprzeciwia. Chyba że zrobicie to wy. - Kahlan wyprostowała się, pozwalając, by jej słowa zapadły w ich serca i umysły i przygotowały na to, co im teraz powie. Pozwoliła, żeby dolinę znów wypełniła cisza. - Jako Matka Spowiedniczka Midlandów, i to pozbawiona luksusu przedyskutowania sprawy z Naczelną Radą, muszę uczynić coś, czego Matki Spowiedniczki nie robiły od ponad tysiąca lat. Na mocy mojego urzędu, moją własną decyzją wypowiadam w imieniu Midlandów wojnę. Wojska Armii Imperialnego Ładu mają zostać wybite do ostatniego żołnierza. Midlandy nie zgodzą się na jakiegokolwiek rokowania, na jakiegokolwiek kompromis. W żadnych okolicznościach nie zostanie przyjęta kapitulacja. W imieniu Midlandów złożyłam przysięgę, że nie darujemy życia ani jednemu wrogowi. - Miała przed sobą zdziwione twarze. - Ów dekret jest ostateczny i nieodwołalny, bez względu na to, czy przeżyję, czy nie. Dotyczy również każdej krainy czy ludzi, którzy z własnej woli przyłączą się do Armii Imperialnego Ładu. Nie wzywam was do walki w imieniu Galei. Jako Matka Spowiedniczka wzywam was, byście walczyli w imieniu Midlandów, bo to nie Galea jest zagrożona, a wszystkie krainy i wszyscy wolni ludzie.

Rozległy się pomruki wyrażające gotowość do czynu. Niektórzy wołali, że zwyciężą, bo racja leży po ich stronie.

Kahlan pokiwała głową.

- Tak sądzicie? Chcę, żeby każdy z was przyjrzał się otaczającym go twarzom. - Gapili się na nią. - Róbcie, co mówię! Spójrzcie na twarze wokół was! Przyjrzyjcie się swoim towarzyszom!

Zaczęli się rozglądać, nieco zmieszani. Obracali głowy, by zobaczyć stojących z boku i z tyłu, uśmiechali się i śmiali, jakby to była zabawa. W końcu skończyli się rozglądać i Kahlan podjęła:

- Kilku z was zapamięta twarze, którym się dzisiaj przyjrzelście. Będą pamiętać i smucić się, gdyż jeśli rozpoczniecie tę walkę, to pozostałych już nie będzie, by pamiętać. Polegną w bitwie. - Dziewczyna słyszała w zimnej ciszy odległe skrzeczenie wiewiórki, lecz wkrótce umilkło i ono. Już się nie

uśmiechali. Kontynuowała: - Armia Imperialnego Ładu to przeważnie d'haranskie oddziały, dowódcami są też D'Haranczycy. Szkolenie d'haranskich żołnierzy zaczyna się, gdy są o połowę młodszy od was. Biorą udział w wewnętrznych konfliktach swojej krainy, tłumią bunt i rewolty. Oni nie tylko ćwiczą strategię bitew, lecz cały czas tym żyją. Ich życie to walka, innego nie znają. Na własnej skórze poznali każdy rodzaj walk. Przyjmowałam spowiedź wielu D'Haranczyków. Większość z nich nawet nie rozumie, co to pokój. Od wiosny, kiedy Rahl Posępny wysłał ich przeciwko Midlandom, robili to, co najlepiej potrafią: bili się. Toczyli bitwę za bitwą. Wszyscy, którzy wyszli im naprzeciw, padli. Rozkoszują się walką. Napawają się nią. Są nieustraszeni. Pojedynkują się, często na śmierć i życie, by zdobyć prawo ruszenia w pierwszym szeregu, by móc zadać wrogowi pierwszy cios, mieć prawo polec w pierwszej kolejności. - Kahlan przyjrzała się młodemu twarzom. - Ufacie swojemu wyszkoleniu, swojej strategii?

Kiwnęli potakująco głowami i uśmiechnęli się ufnie do siebie.

Dziewczyna wskazała jednego z nich - sierżanta, sądząc po naszywkach.

- No to słucham. Jesteś na polu bitwy, ścigałeś tamtych, a oto wróg zawraca i atakuje cię. Dowodzisz pikinierami i łucznikami. Przeciwnik naciera. Tysiące biegną z wrzaskiem, by rozbić twój oddział na pół, złamać kręgosłup twemu wojsku. Widzisz, że są uzbrojeni w ciężkie włócznie, zwane przez nich argonami, z długimi, cienkimi wąsami. Takiego ostrza prawie nie można usunąć z ciała. Powoduje straszliwe, niemal zawsze śmiertelne rany. Oto nadbiegają, zbrojni w argony. Tysiące żołnierzy. Jaką taktykę zastosujesz?

Młody człowiek dumnie zadarł brodę.

- Uformuję zwarty szyk pikinierów, ustawionych w klin lub kwadrat, by chronić łuczników. Piki, wysunięte ponad tarczami, utworzą szczelny, nieprzenikniony mur. Tarcze chronią pikinierów osłaniających łuczników. Łucznicy zastrzelą wrogów, zanim dotrą oni na tyle blisko, by mogli użyć argonów. Ci, którzy się przedrą, zginą na pikach. Ich atak zostanie odparty. Prawdopodobnie stracą tak wielu ludzi, że raczej go nie ponowią.

Kahlan skinęła głową, jakby pod wrażeniem tego, co usłyszała.

- Dobrze powiedziane. - Sierżant się rozpromienił, a stojący obok niego żołnierze uśmiechnęli się, dumni, że tak świetnie znają wojenne rzemiosło. - Widziałam, jak niektóre z najbardziej doświadczonych wojsk Midlandów

stosowały tę taktykę podczas pierwszej napaści D'Haranczykow, wiosną, po zniknięciu granic.

- No to wiesz - powiedział sierżant. - Ich atak wytraca impet na naszych strzałach i kończy się na grotach naszych pik.

Dziewczyna obdarzyła go leciutkim uśmiechem.

- Mówisz o awangardzie d'haranskiej armii? O tych żołnierzach, o których przed chwilą opowiadałam? Najsilniejszych, najodważniejszych, którzy bili się o prawo do pierwszego ataku na was? Wymyślili specjalne metody radzenia sobie z waszą strategią. Po pierwsze, mają tarcze chroniące ich przed atakiem łuczników. A, chyba zapomniałam powiedzieć coś o tych argonach. Niemal całe drzewce owych włócznie jest okute żelazem. Wróg atakuje, niemal nie tknięty przez waszych łuczników, i godzi w was argonami.

- My też mamy tarcze - przypomniał sierżant. - Stracą argony i roznieśmy ich na grotach pik.

Kahlan skrzyżowała ramiona, pokiwała głową.

- Ci, którzy wywalczyli prawo do pierwszego ataku, to wielkie chłopiska. Podejrzewam, że najmniejszy z nich ma ramiona ze dwa razy większe od waszych. Argony są ostre jak igły. Ciśnięte przez owe potężne ręce wbijają się w wasze tarcze i sterczą z nich. Długie zadziory nie pozwalają ich wyrwać. - Spojrzała na twarze słuchających: uśmiechy powoli zniknęły. - Czyli argony tkwią mocno w waszych tarczach. Rzucacie piki i dobywacie mieczy, żeby odciąć drzewca włócznie. Jednak te okuto żelazem, więc nie ustępują pod uderzeniami. Włócznie są ciężkie, a ich końce leżą na ziemi. D'Haranczyki, biegnąc, dorównują szybkością lecącym argonom. Dopadają was, wskakują na ich drzewca i wasze włócznie lądują na ziemi, odsłaniając was na ciosy ciężkich toporów. - Nachyliła się ku nim, nie rozprostowując ramion. - Widziałam żołnierzy rozplątanych owymi toporami od głowy do pępka.

Młodzi żołnierze spojrzeli po sobie. Już nie byli tacy pewni siebie. Kahlan rozprostowała ramiona, kpiąco pokiwała głową.

- Nie snuję domysłów. Widziałam, jak D'Haranczyki roznieśli w ten sposób doświadczone, dziesięć razy liczniejsze od nich wojska. W ciągu godziny bitwa zmieniła się z pogromu D'Haranczykow w druzgoczącą klęskę ich przeciwników. D'haranski atak z argonami jest niemal równie

niszczycielski jak szarża kawalerii, z tym że są o wiele liczniejsi niż jakakolwiek konnica. Ich własna jazda jest zupełnie niezwykła. Nawet nie chcecie się czegoś o niej dowiedzieć. Stracili połowę ludzi w masakrze w Ebinissii, a teraz rozbili obóz, piją i śpiewają. Czy bylibyście w dobrych humorach, gdyby któryś z was zginął? Wiem, że wierzycie, iż wygracie bitwę z dziesięciokrotnie liczniejszym wrogiem; wiem, że coś takiego istotnie może się zdarzyć. Ale mogłyby tego dokonać właśnie owe doświadczone d'haranskie oddziały, walczące z wojskiem stosującym konwencjonalną taktykę. Uwierzcie mi, nie wątpię w waszą dzielność, lecz na polu bitwy nie jesteście dla nich równorzędnym przeciwnikiem. Jeszcze nie jesteście. Nie pokonalibyście wojsk i o połowę mniejszych od tych, gdyby posługiwały się ich metodami. To wcale nie oznacza, iż nie możecie zwyciężyć. Po prostu musicie walczyć innymi metodami. Wierzę, że potraficie wygrać i powiem wam, co trzeba zrobić. Poprowadzę was do pierwszej bitwy. Armia Imperialnego Ładu nie jest niezwyciężona. Można ją pokonać. Od dziś już nigdy nie nazwę was chłopcami. Od dziś jesteście mężczyznami, żołnierzami. Uważacie się za żołnierzy waszej ojczystej Galei. Nie jesteście nimi. Jesteście żołnierzami Midlandów. Nie tylko Galea ma być pobita; tu chodzi o całe Midlandy. Całe Midlandy padną, jeśli nikt nie powstrzyma tamtych wojsk. Wzywam was, byście dali im odpór.

Gęsty tłumek żołnierzy, poirytowany tym, co usłyszeli, krzyknął, że na pewno to zrobią. Kahlan patrzyła, jak przysięgają walczyć aż do końca. Po prawej w tłumie rozlegały się gniewne szepty. Popychali się i sprzeczali. Jedni chcieli coś powiedzieć, drudzy próbowali im w tym przeszkodzić.

- Jeżeli postanowicie włączyć się do owej walki, to bez dyskusji będziecie musieli wypełniać wszelkie rozkazy - ostrzegła dziewczyna. - Teraz jednak możecie swobodnie wyrazić swoje zdanie. Jeśli macie coś do powiedzenia, powiedzcie to teraz, niech wszyscy usłyszą, lub zabierzcie to ze sobą do grobu.

Jeden z żołnierzy wyswobodził ramię z rąk drugiego. Popatrzył gniewnie na Kahlan.

- Jesteśmy mężczyznami. Nie pójdziemy w bój pod rozkazami kobiet.

- Przecież słuchacie królowej Cyrilli - zdziwiła się Kahlan.

- Jest naszą królową i walczymy w jej imieniu. Ona nie prowadzi nas do walki. To należy do mężczyzn.

- Jak się nazywasz? - spytała Kahlan, mrużąc oczy. Młodzian spojrział na kolegów i dumnie zadarł brodę.

- William Mosle. Szkolił nas sam ksiązę Harold.

- A mnie szkolił jego ojciec, król Wyborn - oznajmiła dziewczyna. - Król Wyborn był i moim ojcem. Jestem przyrodnią siostrą królowej Cyrilli i księcia Harolda.

W tłumie rozległy się pełne zdziwienia pomruki. Kahlan, nie spuszczać oczu z Mosle'a, uniosła dłoń, żeby ich uciszyć.

- Ale to nie ma znaczenia, gdy chodzi o dowodzenie. Jesteście żołnierzami. Macie obowiązek wykonywać rozkazy dowódców, a następnie waszej królowej. Ona zaś musi wypełniać polecenia Naczelnej Rady Midlandów. Naczelna Rada Midlandów słucha poleceń Matki Spowiedniczki. Teraz ja piastuję ten urząd. Moje rodowe nazwisko, podobnie jak nazwisko waszej królowej, brzmi Amnell, lecz przede wszystkim pochodzę z rodu Spowiedniczek. Jestem Matką Spowiedniczką Midlandów i jeżeli rozkażę wam wmaszerować w jezioro, to macie obowiązek maszerować, dopóki nie zobaczycie ryb i nie zaczniecie oddychać wodą. Czy to jasne, żołnierzu?

Kilku innych trącało Mosle'a, nakłaniając go, by przedłożył ich pretensje.

- To znaczy, że możesz nam rozkazywać, ale wcale nie oznacza, iż wiesz, co czynisz.

Kahlan westchnęła, odsunęła za ucho pasmo zlepionych krwią włosów.

- Nie mam dzisiaj czasu, by opowiedzieć wam o moim szkoleniu, o pozornie beznadziejnych walkach, które stoczyłam, i o mężczyznach, których wówczas musiałam zabić. Powiem tylko tyle, że ostatniej nocy poszłam sama do obozu Armii Imperialnego Ładu, by ocalić wam życie. Żołnierze ci, D'Haranczy, boją się nocnych stworów, duchów, i dla obrony przed nimi mieli ze sobą czarodzieja. Gdybyście, ufając swojemu bojowemu wyszkoleniu, spróbowali ich zaatakować, ów czarodziej wiedziałby o tym i prawdopodobnie posłużyłby się magią, żeby was wszystkich zabić.

Mosle w dalszym ciągu miał wyzywającą minę, ale paru innych zaczęło szeptać z niepokojem. Walka przeciwko żelazowi to jedno, lecz wojna z magią to zupełnie co innego.

Stanął przed nimi kapitan Ryan.

- Matka Spowiedniczka zabiła czarodzieja - oznajmił z dumą. W tłumie

rozległy się pełne ulgi westchnienia. - Gdyby nie jej doświadczenie, poszlibyśmy prosto na śmierć i nawet nie mielibyśmy okazji skrzyżować z tamtymi mieczy. Zamierzam słuchać tych, którym przysięgłem poświęcić życie: mojej ojczyzny, królowej, Midlandów i Matki Spowiedniczki. Powstrzymamy wiszące nad Midlandami zagrożenie i uczynimy to, słuchając tych, których przysięgaliśmy słuchać. Pójdziemy do walki pod rozkazami Matki Spowiedniczki.

- Jestem żołnierzem armii galejskiej! - Mosle zbuntował się jeszcze bardziej. - Nie jakichś tam wojsk Midlandów! Walczę dla Galei, a nie po to, żeby bronić takich ziem jak Kelton! - Kahlan patrzyła, jak inni popierali go okrzykami. - Tamte wojska, ten Imperialny Ład, czy jak tam się nazywają, maszerują ku granicy. Cellion to miasto kresowe, graniczne, większa jego część leży na drugim brzegu rzeki, w Keltonie! Większość mieszkańców to Keltończycy! Dlaczego mamy umierać za Keltończyków?

Żołnierze zaczęli się sprzeczać. Kapitan Ryan poczerwieniał.

- Mosle, jesteś zakałą...!

Kahlan uniosła dłoń, uciszając Ryana.

- Nie. Żołnierz Mosle mówi, co myśli, jak o to prosiłam. Powinniście mnie zrozumieć. Nie rozkazuję wam, byście to zrobili. Proszę, byście walczyli o życie niewinnych mieszkańców Midlandów. W tej wojnie zginęły już dziesiątki tysięcy waszych towarzyszy. Nie prosiłabym, żebyście poświęcili życie w walce o coś, w co nie wierzycie. Zginie większość tych, którzy wezmą udział w tej wojnie. Do was należy decyzja, czy zostanieie, czy nie. Nie nakazuję wam pozostać. Lecz jeśli tak zdecydujecie, to będziecie pod moimi rozkazami. Nie chcę nikogo, kto nie wierzy w nasze zamiary. Decydujcie, czy będziecie z nami, czy nie. Jeżeli nie, to odejdźcie, bo w niczym nie pomożecie swoim towarzyszom. - Głos Kahlan stał się równie zimny jak powietrze poranka. - Jeśli postanowicie pójść ze mną na tę wojnę, to będziecie słuchać poleceń dowódców. W Midlandach nie ma wyższego rangą ode mnie. Bez protestów wykonacie moje rozkazy, w przeciwnym razie kara was nie ominie. Stawka jest zbyt wysoka, żeby pobłażać nieposłusznym żołnierzom. Jeżeli nakazę, byście coś uczynili, to musicie to zrobić, nawet jeśli wiecie, że stanie się to kosztem waszego życia. To jednak ocali istnienia wielu innych. Nie wydaję nie przemyślanych rozkazów, ale nie zawsze będę mieć czas, by wyjaśniać ich przyczyny. Macie obowiązek

ufać waszym dowódcom i robić, co każą. - Dziewczyna wyciągnęła palec i przesunęła nim ponad głowami żołnierzy. - Wybierajcie. Z nami lub nie. Wiedźcie, że to ostateczny wybór.

Kahlan schowała ręce pod ciepłą futrzaną pelerynę i w milczeniu czekała, a oni dyskutowali i sprzeczali się. Wpadali w złość, przeklinali. Jedni zbierali się wokół Mosle'a, inni odsuwali się odeń.

- No to odchodzę - zawołał Mosle i uniósł pięść. - Nie pójdę w bój za kobietą, choćby nie wiem kim była! Kto idzie ze mną!?

Otoczyło go sześćdziesięciu, może siedemdziesięciu żołnierzy, i okrzykami wyraziło swe poparcie.

- Zatem odejdźcie - rozkazała Kahlan - zanim wdacie się w walkę o sprawę, w którą nie wierzycie,

Mosle i stojący dokoła niego ludzie wybrali; patrzyli teraz na dziewczynę z gniewną pogardą. Mosle buńczucznie przysunął się bliżej.

- Odejdziemy, gdy tylko spakujemy nasze rzeczy. Nie będziemy gnać na złamanie karku, bo tobie się tak zachciało.

On i jego żołnierze zostali otoczeni przez rozgniewany tłum. Kahlan uniosła rękę, nim doszło do wymiany ciosów.

- Stójcie! Zostawcie ich w spokoju. Oni wybrali. Niech spakują swoje rzeczy i odejdą.

Mosle odwrócił się i przepchnął przez zgromadzonych, jego ludzie za nim. Kiedy odchodzili, dziewczyna dokładnie ich policzyła. Sześćdziesięciu siedmiu. Sześćdziesięciu siedmiu zdecydowało się odejść.

- Jeszcze ktoś? - Spojrzała na pozostałych. - Czy ktoś jeszcze chce odejść? - Nikt nawet nie drgnął. - Czyli każdy z was pragnie wziąć udział w tej walce? - Rozległ się chóralny, potwierdzający okrzyk. - Niech więc tak się stanie. Żałuję, że musiałam was o to poprosić, lecz miałam tylko was. Moje serce płacze nad tymi, którzy polegą. Wiedźcie, iż żaden z tych, którzy przeżyją, nie zapomni nigdy o waszym poświęceniu; o tym, że oddaliście życie za nich i wszystkich mieszkańców Midlandów. - Kahlan obserwowała kątem oka sześćdziesięciu siedmiu żołnierzy krzątających się wśród wozów i zabierających to, co - jak sądzili - mogło się im przydać. - A teraz o tym, co trzeba zrobić. - Z wolna potrząsnęła głową. - Musicie zrozumieć, o co was właściwie proszę. Nie jest to, jak myślicie, pełna chwały bitwa, w której oddziały poruszają się jak figury na szachownicy. Nie ma tu strategii

obliczonej na przechytrzenie przeciwnika. Nie staniemy naprzeciwko nich na polu bitwy, lecz będziemy ich zabijać na mnóstwo innych sposobów.

- Ale, Matko Spowiedniczko - zawołał nieśmiało ktoś z drugich szeregów - kodeks honorowy wymaga, żeby żołnierz walczył twarzą w twarz, tak by to była uczciwa walka.

- W tej wojnie nie będzie uczciwej walki. Żadna wojna nie jest uczciwa. Jedyną uczciwą i godną rzeczą jest życie w pokoju. Wojna ma jeden cel: zabijanie. Musicie to zrozumieć, ponieważ to umożliwi wam przeżycie. W zabijaniu nie ma nic honorowego, bez względu na metody, jakimi się to czyni. Trup to trup. Zabijanie wroga w walce ma na celu chronienie życia tych, za których się bijecie. Honorowy bój na miecze wcale nie chroni lepiej życia waszych ziomków niż zamordowanie śpiącego wroga, a raczej je naraża. To nie jest zaszczytne zadanie, lecz uciążliwy trud. Nie zamierzamy dawać im okazji do walnej bitwy, nie chcemy sprawdzać, kto jest lepszy w tej grze. Musimy ich po prostu pozabijać. Jeżeli trudno wam to zrozumieć i pochwalić, to zastanówcie się nad honorem tych, przeciwko którym wystąpicie. Pomyślcie, jak stali grupami, czekając na swoją kolej, by gwałcić wasze matki i siostry. Rozważcie, co też wasze matki i siostry w Ebinissii, torturowane, gwałcone i mordowane, myślały o honorze.

Owe słowa sprawiły, że milczący żołnierze zadrżeli. Kahlan musiała się powstrzymać, by nie przypomnieć im o innych okropieństwach. Wciąż miała przed oczami twarze młodych kobiet z pałacu.

- Jeśli wróg patrzy w inną stronę, to nawet lepiej, bo nie rzuci w ciebie nożem. Jeżeli dopadniesz go z daleka strzałą: jeszcze lepiej, gdyż nie będzie miał okazji nabić cię na argon. Gdy wrogowie akurat jedzą, to doskonale, ponieważ nie zdołają podnieść alarmu. Jeśli właśnie śpią, to wręcz znakomicie, dlatego że nie będą mogli was rozplatać mieczem. Tej nocy mój koń zmiażdżył głowę jednego z d'haranskich dowódców. Nie ma w tym żadnej chwały, żadnego honoru, a jedynie świadomość, że ocali to niektórych z was. I dlatego moje serce śpiewa radośnie. Cieszę się, iż być może dzięki temu uchroniłam cenne życie niektórych z was. Czynimy to, co czynimy, po to żeby ratować istnienia kobiet i mężczyzn już będących na tym świecie i tych, którzy się jeszcze nie narodzili. Widzieliście, co zgotowano mieszkańcom Ebinissii. Zapamiętajcie twarze tamtych zmarłych. Zapamiętajcie, w jaki sposób zginęli, jakie potworności musieli

wycierpieć przed śmiercią. Pamiętajcie o schwytych i ściętych żołnierzach. Mamy obowiązek postarać się, by taki los nie spotkał już nikogo. Toteż musimy zabić owych żołdaków. Nie ma w tym jakiegokolwiek chwały. Tu idzie o przeżycie.

Dwaj stojący z tyłu mężczyźni wykonali nieprzyzwoite gesty w kierunku otaczających ich kolegów i ruszyli w stronę ludzi Mosle'a, by się do nich przyłączyć. Sześćdziesięciu dziewięciu. Lecz reszta została, zdecydowana podjąć walkę.

Nadszedł czas. Kahlan wybiła im z głowy rojenia o chwalebnej bitwie, wyjaśniła właściwy cel zadania. Sprawiała, że większość pojęła szersze znaczenie czekającej ich bitwy. Wspomniała o tym, co musi być zrobione. Sprawiała, że lepiej zrozumieli swoje znaczenie w tych zmaganiach.

Nadszedł czas, by nieodwołalnie obarczyć ich ową misją, uczynić ich narzędziem zemsty, zdolnym całkowicie unicestwić zagrożenie.

Kahlan wyciągnęła otwarte ramiona ku stojącym przed nią żołnierzom; przesiąknięta krwią peleryna zwisała ciężko.

- Umarłam - zawołała dziewczyna ku szaremu niebu. Zdziwieni słuchacze lekko pochylili się do przodu. - Zabiło mnie to, co spotkało moich współziomków, mężczyzn i kobiety: moich ojców, matki, synów i córki. Ich przedśmiertne męczarnie śmiertelnie zraniły moje serce. - Rozłożyła szerzej ramiona, a jej głos nabrzmiał gniewem. - Tylko zemsta może mnie uleczyć! Tylko zwycięstwo może wrócić mi życie! - Spojrzała w szeroko otwarte, wpatrzone w nią oczy. - Jestem Matką Spowiedniczką Midlandów. Jestem waszymi matkami, siostrami i nie narodzonymi jeszcze córkami. Wzywam was, byście umarli wraz ze mną i powrócili do życia przez pomszczenie mnie. - Zakreśliła łuk ręką. - Ci z was, którzy się do mnie przyłączą, umrą jak i ja. Odzyskamy życie jedynie poprzez pomstę. Będziemy martwi dopóty, dopóki choć jeden z naszych wrogów pozostanie przy życiu. Nie stracimy w tej walce życia, bo utraciliśmy je dzisiaj, w tym miejscu, teraz. Odzyskamy na powrót dopiero wtedy, gdy zginie ostatni z katów Ebinissii. Dopóki się to nie stanie, jesteśmy martwi. - Spojrzała na poważne twarze żołnierzy, wpatrzonych w nią, czekających na jej kolejne słowa. Kołysane ciepłym wiatrem przesiąknięte krwią wilcze futro ocierało się o policzek Kahlan. Dziewczyna dobiła noża, uniosła broń w zaciśniętej pięści, żeby każdy z nich ją zobaczył. Przyłożyła ostrze do serca. - Przysięgnijmy więc

mieszkańcom Ebinissii, będącym teraz wśród duchów, i wszystkim ludziom Midlandów!

Niemal wszyscy poszli za jej przykładem i położyli noże na sercu. Jedynie siedmiu nie uczyniło tego, lecz - mamrocząc przekleństwa - ruszyło przyłączyć się do Mosle'a. Siedemdziesięciu sześciu.

- Bezlitosna zemsta, a po jej spełnieniu powrót do życia! - ślubowała Kahlan.

Zebrani jednogłośnie, spokojnie i zdecydowanie powtórzyli przysięgę:

- Bezlitosna zemsta, a po jej spełnieniu powrót do życia! - Gromki chór głosów popłynął z porannym wiatrem.

Kahlan widziała, jak William Mosle zerknął na nią przez ramię i dopiero potem ruszył za swoimi w górę przełęczy. Znów spojrzała na zebranych przed nią wojowników.

- Teraz wszyscy jesteście związani przysięgą. Tej nocy zaczniemy zabijać żołnierzy Armii Imperialnej. Nie będzie litości. Nie bierzemy jeńców. - Tym razem nie było okrzyków. Słuchali w zawziętym, ponurym milczeniu. - Nie możemy dłużej przenosić się z miejsca na miejsce tak jak przedtem, przewożąc wozami zaopatrzenie i broń. Weźmiemy ze sobą tylko to, co zdołamy unieść. Musimy korzystać z wąskich przejść, iść lasami, by wyprowadzić w pole tych, na których polujemy. Zamierzam atakować ich w dowolnym czasie oraz miejscu, ze wszystkich kierunków, jak polujące wilki. I tak jak wilki polujące z planem, będziemy naszą zdobycz kontrolować i pędzić w wybranym przez nas kierunku. Jesteście żołnierzami tej krainy. Znacie otaczające nas lasy i góry. Przemierzaliście je od dzieciństwa. Wykorzystamy waszą wiedzę. Wróg jest na obcym terenie i, ze względu na wozy oraz swoją liczebność, musi się trzymać szerokich przełęczy. My nie będziemy tak skrupowani. Będziemy swobodnie krążyć wokół niego jak wilki. Musicie rozdzielić to, co znajduje się na wozach, i zapakować do plecaków wszystko, co zdołacie unieść. Porzućcie ciężkie pancerze: trudno je dźwigać, no i nie będziemy w nich walczyć. Weźcie tylko lekkie półpancerze, które nie utrudnią wam marszu. Zabierzcie tyle żywności, ile zdołacie. Zostawcie cały zapas wina i piwa. Kiedy pomścicie mieszkańców Ebinissii, będziecie mogli pić, ile zechcecie. Lecz zanim to nastąpi, ani kropelki. Chcę, byście nieustannie byli uważni i czujni. Nie zaznamy odpoczynku, dopóki choć jeden wróg pozostanie przy życiu. Część nie zabranej żywności trzeba

złożyć na paru mniejszych wozach, bez broni czy zbroi. Będziemy potrzebować ochotników, którzy oddadzą to wrogom. - Rozległy się pomruki zdziwienia i zakłopotania. - Dalej droga się rozwidła. Kiedy miną to rozwidlenie i pójdą ku Cellionowi, trzeba przeprowadzić wozy z żywnością oraz całym zapasem piwa drugą nitką drogi, a potem węższymi przejściami, tak by ich wyprzedzić. Będziecie czekać z wozami, aż się zbliży straż przednia, i wtedy przetniecie im drogę, aby was ujrzeli. Porzucicie zaprzęgi i uciekniecie, gdy tylko was zobaczą i ruszą w pogoń. Niech zabiorą pożywienie i napitki. Armia Imperialnego Ładu prawie nie ma już piwa, zatem tej nocy będą świętować swój szczęśliwy los. Spodziewam się, że się upiją. Chcę, by byli pijani, kiedy ich zaatakujemy. - Nagrodzili tę wieść okrzykami. - Zapamiętajcie: jesteśmy watahą wilków chcących powalić byka. Nie mamy dość siły, żeby uczynić to za jednym zamachem, musimy więc go najpierw zmęczyć, sprawić, by osłabł, a potem powalić na ziemię i zabić. To nie będzie pojedyncza bitwa, lecz nieustające szarpanie boków, odgryzanie kawałeczków, ranienie, osłabianie i wykrwawianie; aż w końcu zyskamy przewagę i zniszczymy bestię. Tej nocy, pod osłoną ciemności, zakradniemy się do ich obozu i zadamy pierwszy cios. To będzie ukierunkowana akcja, a nie mordowanie na oślep. Sporządziliśmy listę celów. Zamierzamy osłabić byka. Już go częściowo oślepiłam, zabijając czarodzieja. Najpierw zajmiemy się wartami i czatownikami. W ich odzienie ubierzemy tyłu naszych, ilu zdołamy. Pójdą oni do obozu przeciwnika i zlokalizują nasze cele. Przede wszystkim musimy zmniejszyć ich zdolność do kontrataku. Nie chcę, żeby dopadła nas jazda. Powinniśmy pozbawić ich koni. Szkoda tracić czas na uśmiercanie zwierząt: wystarczy połamać im nogi. Trzeba zniszczyć żywność wroga. My jesteśmy na tyle małym oddziałem, że zdobędziemy pożywienie polując, plądrując lub kupując je na okolicznych farmach i w miasteczkach. Taka liczna armia jednak potrzebuje wiele żywności. Osłabimy ich, niszcząc im zapasy. Musimy zabić im tych, którzy wyrabiają łuki i strzały, kowali oraz wszystkich rzemieślników potrafiących wykonać lub naprawić strzały, łuki czy inny oręż. Na pewno mają worki gęsich skrzydeł na pióra do brzechw. Należy je ukraść albo spalić. Nie zabije nas strzała, której nie robią. Trzeba zniszczyć pręty na łuki. Uszkodzić trąbki, jeśli je znajdziecie, i unieszkodliwić trębaczy. To odbierze wrogowi głos i koordynację. Ich lance, piki i argony są ustawione pionowo, grupami.

Wystarczy pięć sekund, by sporo z nich uszkodzić celnymi ciosami topora lub miecza. Ciężkie topory czy młoty przynajmniej zegna argony i dzięki temu je wyeliminują. Złamana lanca lub pika nie zabije żadnego z was. Spalimy im namioty, przez co wydamy ich na łup zimna, spalimy wozy, a wraz z nimi najrozmaitsze zapasy. Szczególnie ważni są oficerowie. Dziś wołałabym raczej uśmiercić jednego oficera niż tysiąc żołnierzy. Jeżeli zdołamy pozabijać ich dowódców, to staną się powolni i tępi i łatwiej nam będzie powalić owego byka na ziemię. Jeśli któremuś z was wpadnie do głowy pomysł, jak ich jeszcze bardziej osłabić, to podzielcie się tym ze mną lub z kapitanem Ryanem albo z innym oficerem. Tej nocy nie chodzi o to, żeby przede wszystkim zabijać żołnierzy; jest ich zbyt wielu. Naszym zadaniem jest obezwładnienie ich i osłabienie, odebranie im pewności siebie. Przede wszystkim jednak chcemy wzbudzić w nich strach. Tamci żołnierze nie są do niego przyzwyczajeni. Wystraszeni ludzie popełniają błędy. Te błędy pozwolą nam ich zabijać. Zamierzam ich przerazić. Później powiem wam jak. Macie parę godzin, żeby wszystko przygotować, potem wyruszamy. Wartownicy mają być rozstawieni w podwójnej odległości. Pomiędzy nimi muszą się znaleźć czatownicy i zwiadowcy nieustannie obserwujący Armię Imperialnego Ładu. Chcę zawsze wiedzieć, gdzie tamci się znajdują. Oczekuję stałych raportów. Nie chcę, by mnie cokolwiek zaskoczyło. Pragnę wiedzieć o wszystkim, co zobaczycie lub na co się natkniecie, choćby się to wydawało bez znaczenia. Powinna wiedzieć i to, że królik zbyt wysoko podskoczył. Mamy zamiar ich podejść, nie chcę więc, by oni podeszli nas. Nie przyjmujcie niczego za rzecz oczywistą. Oby dobre duchy były z wami. Do dzieła.

Żołnierze zaczęli się rozchodzić. Rozległy się rozmowy, dobiegały odgłosy kroków. Jeden z poruczników stał w pobliżu - rozpiął płaszcz i wydawał jakieś rozkazy zgromadzonym dookoła niego wojskowym.

- Poruczniku Sloan. - Podniósł na nią wzrok, a żołnierze ruszyli do przydzielonych im zadań. - Proszę się natychmiast zająć wartami i czatownikami. Chcę, by każdy z twoich ludzi, który wie, jak przygotować wapno lub białą farbę, zebrał wszystkie niezbędne do tego składniki. Będą nam potrzebne jakieś spore wanny. Rozgrzejcie też kamienie, by ogrzały wnętrza namiotów.

- Tak, Matko Spowiedniczko. - Nie zakwestionował owych dziwnych

poleceń.

- Dopilnuj, aby przygotowano małe wozy z piwem i żywnością. Niech czekają na mój rozkaz.

Sloan bez słowa przyłożył pięść do serca i ruszył wykonać polecenia.

Kahlan miała wrażenie, że lada chwila zwali się z nóg. Wyczerpał ją brak snu, konna jazda przez większą część nocy, przemilczenie dokonanych czynów i dojmujący strach. Ledwo mogła patrzeć. Bolało ją ramię, zranione przez łamiącą się lancę. Mięśnie lewej nogi drżały z wysiłku.

Dziewczyna była również wyczerpana psychicznie. Dodatkowo jej siły podkopał niepokój wywołany straszliwą odpowiedzialnością, jaką na siebie wzięła, wypowiadając wojnę w imieniu całych Midlandów oraz gorąco nakłaniając tych chłopców, żeby położyli na szalę swoje życie. Dzień był wyjątkowo ciepły, a mimo to Kahlan drżała w swojej futrzanej pelerynie.

Podszedł do niej kapitan Ryan. Chandalen, Prindin i Tossidin stali z tyłu wozu i przyglądali się.

Ryan uśmiechnął się łobuzersko do dziewczyny.

- Dobra robota.

Potem zeskoczył z pojazdu i wyciągnął rękę do Kahlan. Udała, że tego nie widzi, i zeskoczyła jak on poprzednio; na szczęście utrzymała się na nogach. Nie mogła przyjąć od niego pomocy, nie w tym momencie, kiedy musiała to powiedzieć.

- A teraz muszę wydać rozkaz, który na pewno ci się nie spodoba, kapitanie. - Spojrzała w jego błękitne oczy. - Chcę, byś wysłał ludzi za Mosle'em i tymi, którzy z nim odeszli. Wyekspeduj tyłu, żeby do końca wykonali zadanie.

- Zadanie?

- Trzeba ich zabić. Poślij oddział i każ żołnierzom, by udawali, że chcą się do tamtych przyłączyć. Dzięki temu ci nie rozpierzchną się na widok twoich ludzi. Za piechotę poślij jazdę, ale tak, żeby jej nie dostrzegła. To na wypadek, gdyby chcieli uciec do lasów. Okrążcie ich i zabijcie. Jest ich siedemdziesięciu sześciu. Policzcie ciała, by się upewnić, czy wszyscy zginęli. Będę ogromnie niezadowolona, jeśli choć jeden ucieknie.

- Ależ Matko Spowiedniczko... - zaczął Ryan; oczy miał szeroko otwarte ze zdumienia.

- Wcale nie sprawia mi to przyjemności, kapitanie. Otrzymał pan

rozkazy. - Odwróciła się ku trzem Błotnym Ludziom. - Idź z wybranymi przez niego ludźmi, Prindinie. Upewnij się, że wybiją co do jednego tych, którzy odeszli.

Prindin z powagą skinął głową. Dobrze rozumiał smutną konieczność owego czynu.

Kapitan Ryan zeszywniał, bliski paniki.

- Matko Spowiedniczko... Znam tamtych żołnierzy. Spędzili z nami sporo czasu. Powiedziałaś, że mogą odejść! Nie możemy...

Kahlan położyła dłoń na ramieniu Ryana. Chłopak nagle uświadomił sobie, czym to groziło.

- Czynię to, co muszę czynić, żeby ocalić wam życie. Przysięgliście wykonywać rozkazy. - Pochyliła się bardziej ku niemu. - Nie dołączaj do tamtych siedemdziesięciu sześciu.

W końcu kapitan skinął potakująco głową i dziewczyna cofnęła dłoń. Jego oczy zdradziły, co myśli. Biła odeń nienawiść.

- Nie sądziłem, że zacznę zabójstwa od własnych żołnierzy - wyszeptał.

- Bo tak nie jest. Zaczyniesz od wrogów.

- Przecież idą w kierunku przeciwnym do tego, w którym leży obóz Imperialnego Łądu! - Kapitan. Ryan gniewnie wskazał na przełęcz.

- A myślisz, że poszliby ku wrogowi jawnie, na twoich oczach? Zamierzają zatoczyć łuk. - Kahlan odwróciła się i ruszyła w stronę namiotu, który dla niej przygotowano.

Ryan, wciąż nie chcąc ustąpić, poszedł za nią, a Chandalen, Prindin i Tossidin podążyli za nim.

- Jeżeli się tego boisz, to dlaczego pozwoliłaś im odejść!? Dlaczego nie kazałaś żołnierzom zabić ich wtedy, gdy chętnie by to zrobili!?

- Bo chciałam, żeby odeszli wszyscy ci, którzy i tak wyrzekliby się sprawy i opuścili swoich towarzyszy.

- A skąd wiesz, że wszyscy „zdrajcy” odeszli? Wśród nas mogą być szpiedzy i asasyni.

- Owszem, mogą. Lecz w tej chwili nie ma na to żadnego dowodu. Jeśli się okaże, że są, to wówczas się nimi zajmę. - Kahlan przystanała przed namiotem. - Jeśli sądzisz, że myślę się co do tamtych żołnierzy, to zapewniam cię, że tak nie jest. A jeżeli nawet, to musimy zapłacić tę cenę. Gdy pozwolimy im odejść i choć jeden z nich nas zdradzi, jeszcze tej nocy wszyscy

możemy zginąć. Jeżeli tak się stanie, to przez długi czas nie będzie nikogo, kto powstrzymałby Armię Łądu. Ile tysięcy wtedy umrze, kapitanie? Jeśli tamci żołnierze są niewinni, popełnię straszliwy błąd i umrze siedemdziesięciu sześciu niewinnych ludzi. Zaś jeżeli mam rację, to ocale życie niezliczonych tysięcy niewinnych ludzi. Otrzymałeś rozkazy. Wykonaj je. Kapitan Ryan drżał z wściekłości.

- Chyba nie liczysz na to, że kiedykolwiek ci to wybaczę?

- Nie, nie liczę. Oczekuję jedynie, że wykonasz moje rozkazy. Nie dbam o to, że mnie nienawidzisz, kapitanie. Zależy mi na tym, byś żył i mógł nienawidzić. - Ryan zgrzytnął zębami w niemej furii. - Jestem taka zmęczona, kapitanie, że ledwo trzymam się na nogach. - Kahlan złapała klapę namiotu. - Muszę się parę godzin przespać. Rozstaw wartowników wokół mojego namiotu.

- A skąd wiesz, czy jeden z nich nie okaże się wrogiem? - Chłopak łypnął na nią wściekle. - Mogliby cię zabić, kiedy będziesz spać.

- Całkiem możliwe. Lecz gdyby tak się stało, to jeden z tych trzech mężczyzn mnie pomści.

Kapitan Ryan drgnął i spojrzał na Błotnych Ludzi. Gniew sprawił, iż zupełnie o nich zapomniał. Chandalen spojrzał nań znacząco.

- Najpierw przyszpilę takiemu powieki, żeby nie mógł zamknąć oczu i dobrze widział, co mu robię.

Zjawił się porucznik Hobson, niosąc miseczkę.

- Przyniosłem ci trochę gulaszu, Matko Spowiedniczko. Pomyślałem, że zechcesz coś zjeść. Coś gorącego.

Kahlan zmusiła się do uśmiechu.

- Dziękuję, poruczniku, ale obawiam się, że zmęczenie nie pozwoli mi nic przelknąć. Czy zechciałbyś zadbać, by gulasz nie wystygł, kiedy będę spać?

- Oczywiście, Matko Spowiedniczko.

Oczy kapitana Ryana spojrzały na uśmiechniętego porucznika.

- Mam dla ciebie robotę, Hobson.

- Dwie godziny - powiedziała Kahlan - a potem mnie obudzicie. Przez ten czas będziecie mieli dość roboty.

Odchyliła klapę, weszła do namiotu i zwała się na poślanie. Okryła nogi kocem, osłoniła głowę futrzaną peleryną, chroniąc się przed światłem.

Drżała w tej swojej małej, prywatnej ciemności.

Oddałaby życie za to, by choć przez pięć minut Richard mógł trzymać ją w ramionach.

ROZDZIAŁ 41

Pocałowała Richarda i mocno go tuliła; przepęłniały ją spokój oraz radość. Nagle wzdrygnęła się, słysząc krzyki. Richard zniknął. Ramiona Kahlan ociężale obejmowały pustkę.

Usiadła, zrzuciła z nóg koc; przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest, i przeraziła się, potem jednak sobie przypomniała. Miała wrażenie, że zwymiotuje.

Marzyła o gorącej kąpieli. Nie pamiętała, kiedy się ostatnio kąpała. Akurat przecierała oczy, gdy kapitan Ryan wsunął głowę do namiotu.

- Jak długo? - wymamrotała Kahlan. - Jak długo spałam?

- Parę godzin. Kogoś ci przyprowadziliśmy.

Tuż przed namiotem czekała grupa wojskowych, a wśród nich z poszarzałą twarzą porucznik Hobson. W środku stał Mosle - związany, zakneblowany, podtrzymywany przez żołnierzy. Przerażony, rzucał spojrzenia to tu, to tam. Próbował coś wołać przez knebel, ale nie można było tego zrozumieć.

Kahlan spojrzała ze złością na kapitana Ryana.

Ryan stał z kciukiem zatkniętym za pas.

- Uznałem, że sama zechcesz stracić owego człowieka, Matko Spowiedniczko, skoro osobiście tak cię obraził. - Ryan podał jej swój nóż, rękojeścią ku niej.

Dziewczyna zignorowała broń i powiedziała do trzymających Mosle'a żołnierzy:

- Uwolnijcie go i odsuńcie się.

Miała wrażenie, że w dalszym ciągu śpi, że to sen. Lecz tak nie było. Nie miała wyboru.

Żołnierze cofnęli się. Kahlan wyciągnęła rękę i chwyciła ramię Mosle'a. Na moment zdrętwiał z przerażenia, potem spróbował się cofnąć. Nie miał jednak czasu na ucieczkę. Dotykała go. Był jej. Senność zniknęła, zbudziła się moc dziewczyny. Nie poświęciła ani jednej myśli temu, co miała zrobić; nie miała wyboru. Musiała to uczynić. Niech się stanie.

Ucichły wszelkie odgłosy obozowiska - uderzenia młotków, szuranie przesuwanych po wozach drewnianych skrzynek, trzask odbijanych wiek

skrzyń, skrzywienie kół, rzenie koni, szmery tysięcy stóp rozmowy, stukot kopyt, brzęk ostrzonej stali, potrzaskiwanie palących się szczap, a nawet bicie serca Kahlan.

Wyciszony umysł dziewczyny wypełniła moc. Kahlan czuła, jak mięśnie Mosle'a sztywnieją pod jej dłonią. Nie miał najmniejszej szansy. Należał do niej.

W wypełniającej ją ciszy i niezmaconym spokoju, jak niezliczone mnóstwo razy przedtem, Kahlan uwolniła swoją moc, swoją magię, i poraziła nią stojącego przed nią mężczyznę.

Powietrze gwałtownie zadrżało. Bezdźwięczny grom. Śnieg wokół Kahlan i Mosle'a wzbił się, kłębił i wirował, wreszcie opadł z powrotem.

Mosle - już nie ten co przedtem - padł przed nią na kolana w wilgotny śnieg. Jego przerażona mina zdradzała, iż cierpi, ponieważ knebel nie pozwala mu błagać Kahlan, żeby mu rozkazywała. Wciągał nosem powietrze, coraz bardziej przerażony, że ją urazi. Cały obóz zamarł ze zdumienia, wszyscy gapili się na dziewczynę. Kahlan wyjęła knebel z ust Mosle'a. Z oczu mężczyzny popłynęły łzy ulgi.

- Pani - wyszeptał ochryple. - Rozkazuj mi, pani, błagam. Powiedz, jak mogę ci służyć.

Patrzyły na nią setki drżących, osłupiałych ze zdumienia chłopców. Kahlan skierowała wzrok na klęczącego przed nią mężczyznę. Przybrała nieprzeniknioną „twarz Spowiedniczki”.

- Jeśli chcesz mi sprawić przyjemność, Williamie, to powiedz, co zamierzałeś uczynić po opuszczeniu tego obozu.

Mosle rozpromienił się z radości, a z jego oczu popłynęły jeszcze obfitsze łzy. Z wdzięczności objąłby nogi Kahlan, gdyby nie to, że miał związane na plecach ręce.

- O tak, tak, pani. Pozwól, że ci o tym opowiem. - Mów.

Wypaplał wszystko jednym tchem.

- Chciałem pójść do obozu tamtych, co to ich nazywałaś Imperialnym Ładem, i przystać do nich. Zabrałbym ze sobą wszystkich moich ludzi, by i oni mogli się przyłączyć. By się im przypodobać, tak by pozwolili się nam przyłączyć, zamierzałem powiedzieć tamtym o obecności galejskich rekrutów i o twoich planach. Sądziłem, że tamci mają więcej szans niż ty, a nie chciałem umierać, więc wolałem pójść do nich. Myślałem, iż będą

zadowoleni, jeżeli przyprowadzę ludzi i zwiększę liczebność ich wojsk. Że się ucieszą, jeśli pomożemy im was zmiażdżyć. - Nagle Mosle wybuchnął płaczem. - Przebacz mi, pani, że zamierzałem wyrządzić ci krzywdę. Że chciałem, by cię zabili. Wybacz mi, wybacz o pani, iż pragnąłem cię skrzywdzić. Powiedz, jak mam zasłużyć na wybaczenie. Zrobię, co zechcesz. Rozkaż, a natychmiast to wykonam. Powiedz, o pani, czego ode mnie oczekujesz?

- Chcę, żebyś umarł - wyszeptła w lodowatej ciszy Kahlan. - Natychmiast.

William Mosle upadł na jej buty, zwijał się w konwulsjach. Po długich sekundach agonii znieruchomiał, odetchnąwszy ostatni raz.

Spojrzenie Kahlan ześliznęło się z osłupiałego kapitana Ryana na stojącego za poszarzałym porucznikiem Hobsonem Prindina. Chandalen też patrzył nań gniewnie. Dziewczyna odezwała się w ich języku:

- Mówiłam ci, Prindinie, żebyś dopilnował, by wszyscy zostali zabici. Dlaczego nie uczyniłeś, jak chciałam?

Z zażenowaniem poruszył ramionami.

- Zamierzali to zrobić. Kapitan Ryan powiedział im, żeby tego jednego przyprowadzili tobie, a resztę pozabijali. Nie wiedziałem o tym, kiedy odchodziliśmy, inaczej bym ci powiedział. Poszły dwie setki pieszych i setka konnych. Jak już mówiłem, zamierzali tak zrobić i nie sądzę, bym mógł temu zapobiec, chyba gdybym sam go zgładził. Pomyślałem jednak, że na pewno by mnie za to zabili, a wtedy nie mógłbym cię chronić. Poza tym wiedziałem, że miałaś rację, i uznałem, iż nauczka dobrze im zrobi.

- Czy ktoś uciekł?

- Nie. Trochę się zdziwiłem, że tak dobrze sobie poradzili. To znakomici żołnierze. Mieli trudne zadanie, płakali nad tym, co mieli zrobić, ale dobrze się spisali. Nikt im nie uciekł.

Kahlan odetchnęła głęboko.

- Rozumiem, Prindinie. Dobrze uczyniłeś. - Zerknęła na Chandalena. - Chandalen też będzie zadowolony.

To był rozkaz.

Prindin uśmiechnął się z ulgą. Dziewczyna spojrzała gniewnie na kapitana Ryana.

- Zadowolony?

Zapytany stał sztywno, pobladły i osłupiały.

- Tak, Matko Spowiedniczko.

Kahlan popatrzyła na zebranych przed nią żołnierzy.

- Nareszcie wszyscy zadowoleni?

- Tak, Matko Spowiedniczko - odparli nieskładnym chórem.

Jeśli przedtem znajdowali się wśród nich tacy, którzy się jej nie bali, to teraz nie było już takiego śmiałka. Większość rozpierzchnęła się pośród wzgórz niczym króliki, gdyby znienacka trzasnęła jakaś gałązka. Prawie wszyscy po raz pierwszy w życiu widzieli magię - a nie była to cudowna, wspaniała magia, lecz straszna i groźna.

- Matko Spowiedniczko? - zapytał szeptem kapitan Ryan. W wyciągniętej ku niej, jakby skamieniałej ręce wciąż ścisnął nóż. - Jak zamierzasz ukarać mnie za to, że nie wypełniłem twoich rozkazów?

Kahlan spojrzała na jego bladą twarz.

- Nie zamierzam. To twój pierwszy dzień żołnierskiej służby w wojnie przeciwko Armii Imperialnego Ładu. Większość z was nie pojmowała wagi moich poleceń. Nigdy wcześniej nie walczyliście i nie rozumieliście konieczności takich działań. Zadowolili mnie fakt, że przy tej okazji nauczyłeś się czegoś. Nie ukarzę cię.

Kapitan Ryan przełknął ślinę.

- Dziękuję, Matko Spowiedniczko. - Trzęsącą się dłonią wsunął nóż do pochwy. - Dorastałem wraz z nim. - Wskazał na leżące u stóp Kahlan ciało. - Mieszkaliśmy przy tej samej drodze, o jakąś milę od siebie. Wspólnie polowaliśmy i łowiliśmy ryby. Pomagaliśmy sobie w codziennej pracy. W świąteczne dni nosiliśmy nasze najlepsze stroje w tym samym kolorze. Zawsze...

- Przykro mi, Bradleyu. Tylko czas może złagodzić ból zdrady lub straty. Już ci mówiłam, że wojna nie jest sprawiedliwa. Gdyby nie siły Ładu, które doprowadziły do niej, z pewnością byłbyś dziś z przyjacielem na rybach. Obwiniaj Armię Imperialnego Ładu i pomścij druha oraz innych pomordowanych.

Ryan potaknął.

- Matko Spowiedniczko, co byś zrobiła, gdyby się okazało, że nie miałaś racji? Co uczyniłabyś, gdyby Mosle nie zamierzał dołączyć do wroga?

Kahlan patrzyła nań dopóty, dopóki nie spojrzał jej w oczy.

- Prawdopodobnie wzięłabym od ciebie ów nóż i zabiłabym cię. Odwróciła się od ośupiałego Ryana i położyła dłoń na ramieniu stojącego przy nim chłopca.

- Wiem, poruczniku Hobson, że miał pan ciężkie zadanie. Prindin poinformował mnie, iż świetnie pan sobie poradził.

Hobson był bliski łez, lecz zdołał się dumnie wyprostować. Kahlan zauważyła, że jeszcze wcale nie miał zarostu.

- Dziękuję, Matko Spowiedniczko.

Dziewczyna popatrzyła na stojące wokół i przyglądające się im setki żołnierzy.

- Sądzę, iż każdy z was ma coś do roboty.

Jakby się nagle obudzili - poruszyli się powoli, a potem prędko rozeszli. Hobson przyłożył pięść do serca i oddalił do swoich zajęć. Żołnierze, którzy przywlekli tu Mosle'a zabrali teraz jego ciało. Inni podeszli do Chandalena i dwóch braci, pytając o instrukcje. Kapitan Ryan stał samotnie obok Kahlan i patrzył, jak każdy rusza do swoich zadań.

Dziewczyna czuła, że nogi ma równie miękkie jak cięciwy leżących całą noc na deszczu łuków. Użycie mocy osłabiało nawet wypoczętą i rześką Spowiedniczkę. Dla zmęczonej było wręcz niebezpiecznie wyczerpujące. Z wielkim trudem trzymała się na nogach.

Kahlan była przeraźliwie zmęczona jazdą do obozu wroga i z powrotem, milczeniem o walce, którą stoczyła. Potrzebowała więcej snu niż te parę godzin, a wykorzystanie mocy zniweczyło dobroczynne efekty owej krótkiej drzemki. Dziewczyna zużyła resztkę sił na coś, co mogło być wykonane bez jej udziału. Pomyślała, że to na pewno wpływ zimna i podróżowania w takich ciężkich warunkach, lecz była znacznie bardziej zmęczona niż zwykle. Może powinna poprosić Prindina, by jej jeszcze zrobił herbaty.

- Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać, Matko Spowiedniczko? - spytał kapitan Ryan.

Kahlan przyzwalająco skinęła głową.

- O co chodzi, kapitanie?

Rozchylił rozpięty wełniany płaszcz, wsunął dłonie do kieszeni. Popatrzył na żołnierzy napełniających bukłaki.

- Chcę cię przeprosić. Myliłem się.

- W porządku, Bradleyu. Był twoim przyjacielem. Trudno uwierzyć w zły

postępek przyjaciela. Rozumiem to.

- Nie, to nie to, Ojciec zawsze mi mówił, że człowiek musi się przyznać do swoich błędów, żeby móc potem, spokojnie i uczciwie żyć. - Zaszurał stopami, rozejrzał się wokół; w końcu jego błękitne oczy spojrzały w oczy Kahlan. - Myliłem się, sądząc, że pragnęłaś zabić Mosle'a, bo nie chciał iść z tobą. Myślałem, że o to się na niego rozgniewałaś. Popełniłem błąd i przepraszam. Przepraszam, iż tak o tobie myślałem. Starłaś się nas ochronić, choć wiedziałaś, że cię za to znienawidzimy. Hmm, ja cię nie nienawidzę. I mam nadzieję, że i ty mnie również. Jest dla mnie zaszczytem bić się w tej wojnie u twego boku. Chciałbym być choć w połowie taki mądry jak ty i mieć twoją odwagę, by z tego korzystać.

Kahlan westchnęła cicho.

- Jestem jedynie odrobinę starsza od ciebie, a sprawiłeś, że poczułam się jak staruszka. Cieszę się, iż zrozumiałeś. To okrucieństwo radości osładzającej owo cierpienie. Jesteś znakomitym oficerem, a z pewnością wyrośnie z ciebie szlachetny i prawy mężczyzna.

- Cieszę się, że znów jesteśmy w dobrych stosunkach - uśmiechnął się Ryan.

Zbliżył się jakiś żołnierz i kapitan dał mu znak, by podszedł do nich.

- O co chodzi, sierżancie Frost?

Sierżant Frost zaszalutował, kładąc pięść na sercu.

- Wysłaliśmy paru ludzi i w opuszczonej stodole znaleźliśmy trochę pokruszonej kredy oraz resztę składników potrzebnych do uzyskania wapna do bielenia. Mamy parę drewnianych cebrów, w których możemy te składniki wymieszać. Mówiłaś, że potrzebne jest do tego coś dużego. Cebry są na tyle duże, że można się w nich kąpać.

- Ile ich macie? - spytała Kahlan.

- Dwanaście, Matko Spowiedniczko.

- Ustawcie jeden obok drugiego i każdy otoczcie namiotem. Weźcie największe namioty, jakimi dysponujecie, nawet jeśli należą do dowództwa. Rozróbcie wapno w gorącej wodzie i umieście w namiotach rozgrzane kamienie, by wewnątrz było tak ciepło, jak tylko się da. Zawiadomcie mnie, gdy wszystko będzie gotowe.

Sierżant powstrzymał cisnące mu się na usta pytanie i pomknął wykonać polecenie.

- Po co ci to wapno? - zdziwił się kapitan Ryan.
- Dopiero co się pogodziliśmy, nie zepsuj tego. Powiem ci, kiedy wszystko będzie gotowe. Czy wozy już przygotowane?
- Powinny być gotowe.
- Muszę się więc tym zająć. Wysłałeś wartowników i czatowników?
- Zaraz na początku.

Kahlan ruszyła przez obóz ku wozom. Nieustannie ktoś do niej podchodził.

- Koła wozów, Matko Spowiedniczko. Powinniśmy je rozwalić.
- Może powinniśmy im spalić chorągwie, by nie mieli się wokół czego zbierać?
- A może by tak podpalić im bagaże? Żeby pomarзли, gdy się zrobi jeszcze zimniej?

- Gdybyśmy wrzucili im nieczystości do baryłek z pitną wodą, zmarnowaliby wiele czasu na topienie śniegu.

Padła cała mnóstwo propozycji, od zupełnie bezwartościowych do godnych wykorzystania. Dziewczyna uważnie wysłuchiwała każdej z nich, mówiła, co o tym sądzi, a niekiedy nakazywała wykonanie.

Nadbiegł porucznik Hobson, niosąc miseczkę. Tylko tego jeszcze brakowało!

- Matko Spowiedniczko! Zadbalem, by twój gulasz nie ostygł! Rozpromieniony podał Kahlan naczynie. Dziewczyna starała się okazać wdzięczność. Uśmiechnięty Hobson siedł obok niej, przyglądał się. Zmusiła się do przełknięcia jednej łyżki gulaszu i do pochwalenia wspaniałego smaku. Więcej nie mogła zjeść.

Spowiedniczka potrzebuje czasu, żeby przyjść do siebie po posłużeniu się swoją mocą. Niektórym trzeba na to parę dni, Kahlan - parę godzin. Odpoczynek, jeśli mogła sobie nań pozwolić, to najlepsza rzecz dla Spowiedniczki, która wykorzystwała swoją moc. Przepadły dobroczynne efekty tamtego krótkiego snu. Teraz Kahlan nie miała czasu na odpoczywanie, a nocą prawdopodobnie również nie będzie go miała.

Pożywienie było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała Spowiedniczka po posłużeniu się mocą. Traciła wówczas energię na trawienie, zamiast wykorzystać ją do odzyskania siły. Kahlan musiała się jakoś obronić przed zjedzeniem gulaszu, bo mógłby, ku zakłopotaniu wszystkich, wylądować na

ziemi. Na szczęście dziewczyna dotarła do wozów, nim była zmuszona zjeść drugą łyżkę strawy. Poprosiła porucznika Hobsona, żeby sprowadził Chandalena i obu braci. Kiedy odszedł, postawiła miseczkę na trawersie dwukołowego wozu z beczułkami piwa i wspięła się na niego. Przywołała kapitana Ryana.

- Weź paru ludzi i zdejmijcie górne rzędy baryłek. Resztę ustawcie pionowo i wyjmijcie szpunty. - Ryan gestami przywołał żołnierzy, a Kahlan zapytała: - Czy Chandalen kazał wam wszystkim zrobić *troga*?

Troga to kawałek mocnego sznura albo drutu, z drewnianymi uchwytami na końcach, na tyle długi, że po skręceniu dawał pętlę, w której swobodnie mieściła się ludzka głowa. Zarzucało się to od tyłu, a potem gwałtownie ciągnęło za uchwyty w obie strony. Druciana, właściwie zarzucona *troga*, szarpnięta krzepkimi ramionami, mogła zdekapitować ofiarę, nim ta zdołałaby choćby pisnąć. Lecz nawet sznurowa lub druciana, za to ściągana słabymi rękami, *troga* dusiła przeciwnika, zanim zdążył wydać głos.

Kapitan Ryan sięgnął do tyłu, pod płaszcz, i wyciągnął drucianą *troga*. Pokazał ją Kahlan.

- Pokazał nam, jak się tym posługiwać. Był bardzo ostrożny, ale i tak cieszę się, że to nie na mnie tłumaczył jej działanie. Powiedział, iż on, Prindin i Tossidin pozbędą się w ten sposób wartowników i czatowników. Coś mi się wydaje, że nie wierzy, że i my podkradniemy się tak cicho jak on. Jednak wielu z nas spędziło mnóstwo czasu na łowach i jesteśmy zręczniejsi niż...

Kapitan Ryan krzyknął i podskoczył. To Chandalen podkradł się niepostrzeżenie, po czym szturchnął go w bok. Kapitan rozmasował bolące żebra i gniewnie łypnął na uśmiechniętego łowcę. Prindin z Tossidinem wspięli się na wóz, by pomóc w wyładowaniu baryłek.

- Chcesz czegoś, Matko Spowiedniczko? - spytał Chandalen. - Daj mi swoje *bandu*. - Kahlan wyciągnęła doń rękę. - Swoją dziesięciokrokową truciznę.

Łowca zmarszczył się gniewnie, lecz sięgnął do zawieszanej u pasa sakwy i wyjął kościane pudełeczko. Podał je dziewczynie. Obaj bracia również wyciągnęli swoje pudełka i oddali Kahlan.

- Na ile to wystarczy? Ile baryłek z piwem tym zatruję? Chandalen ominął kapitana Ryana, balansując na wybrzuszonych bokach beczek.

- Chcesz tego dodać do owego napitku? - Kahlan potaknęła. - Ale wtedy nic nam nie zostanie. Musimy to mieć przy sobie. Może być potrzebne.

- Zostawię trochę, nie martw się. Ilu otrujemy, z tyłoma nie będzie trzeba walczyć.

- Mogą wykryć tę truciznę - wtrącił kapitan Ryan. - Wtedy nawet ich nie upijemy.

- Mają psy - powiedziała Kahlan. - To dlatego chcę im również podesłać żywność. Rzucają psom trochę mięsa, by się upewnić, czy nie jest zatrute. Mam nadzieję, że uspokoją się po takim sprawdzianie i będą tak spragnieni piwa, iż nie przyjdzie im na myśl, by mogło być zatrute.

Chandalen w milczeniu policzył baryłki, wyprostował się.

- Jest ich trzydzieści sześć. Po dwanaście na każde nasze *bandu*. - Podrapał się w czarną głowę, zastanowił. - To ich nie zabije, chyba że dużo wypiją. Z pewnością jednak się pochorują.

- Jak bardzo? Co im będzie?

- Osłabną. Rozbolą ich brzuchy. Będzie im się kręcić w głowach. A może i niektórzy umrą w parę dni po zatruciu.

- To nam bardzo pomoże - powiedziała Kahlan.

- Ale tego nie wystarczy dla wszystkich - odezwał się kapitan Ryan. - Napiją się jedynie niektórzy.

- Część dostanie się tym, którzy zdobędą wozy, resztę rozdziela wśród oficerów, a dopiero to, co zostanie, dadzą żołnierzom. Chodzi mi przede wszystkim o oficerów.

Zdjęto górne rzędy baryłek, a te na spodzie ustawiono pionowo, żeby można było wyciągnąć szpunty.

- Dlaczego sześć baryłek jest mniejszych od innych?

- Bo zawierają rum - powiedział kapitan.

- Rum? Napój arystokracji? - Kahlan się uśmiechnęła. - Dowódcy najpierw zabiorą się do rumu. - Wyprostowała się znad otwartej beczułki. - Czy wyczują truciznę, Chandalenie? Czy smak napoju ostrzeże ich, jeżeli dodam trochę więcej trutki do niektórych baryłek?

Łowca umoczył palec w rumie i oblizał.

- Nie. To jest wystarczająco gorzkie. Gorzyc maskuje smak *bandu*.

Kahlan podzieliła czubkiem noża należącą do Chandalena porcję trucizny na sześć części. Potem kolejno zsunęła ostrzem każdą z owych

części do okrągłego otworu w denku mniejszych baryłek - tych z rumem. Chandalen obserwował jej poczynania.

- Ta ilość w mniejszych baryłkach powinna ich zabić do rana, a już na pewno jutro. Ale teraz nie zostało ci nic do kolejnych sześciu.

Kahlan oddała łowcy jego kościane pudełko z resztkami *bandu* w kątach i zeszła z wozu.

- W sześciu baryłkach piwa nie będzie trucizny, żebyśmy mieli pewność, iż to rum zabił tych, którzy go pili. - Zsunęła nożem *bandu* z pudełka Tossidina do dwunastu kolejnych. - Przemieszajcie baryłki. Nie chcę, by rum był na spodzie. Dowódcy mogliby go nie zauważyć i zadowolić się piwem.

Dziewczyna podeszła do ostatniego tuzina beczulek i otworzyła pojemnik Prindina. Popatrzyła nań.

- Nie za wiele ci zostało. Co zrobiłeś z resztą?

Mina łowcy świadczyła, że wolałby, by o to nie pytała. Machnął niezdecydowanie ręką.

- Nie myślałem zbyt jasno, gdy odchodziliśmy. Spieszyłaś się, no i zapomniałem sprawdzić, czy mam pełne pudełko *bandu*.

Chandalen wsparł się pod boki i - stojąc na wozie - obrzucił Prindina gniewnym spojrzeniem.

- Ile razy mówiłem, Prindinie, że jeżeli zapomnisz głowy, to nie będziesz mógł myśleć?

- To nie ma znaczenia - przerwała mu Kahlan, ku wyraźnej uldze chłopaka. - Ta ilość wystarczy, żeby się pochorowali. I to się liczy.

Wrzucała właśnie truciznę do piwa, kiedy ktoś zaczął ją z daleka nawoływać. Zatrzała ostatnią baryłkę i podniosła oczy. Kłusowały ku niej dwa potężne konie pociągowe. Jeźdźcy dosiadali ich na oklep i głośno wołali Kahlan.

Oba krzepkie konie okrywała gęsta, kosmata, zimowa sierść - na nogach biała, poza tym ciemnobrązowa. Nałożono im rzędy i chomąta, ale nie natylniki. Na rożkach obu chomąt wisały pętle łańcucha. Wszyscy żołnierze wpatrywali się w to dziwo.

Konie zatrzymały się przed Kahlan, a wówczas jeźdźcy zdjęli z rożków pętle łańcucha i rzucili je na ziemię. Dopiero wtedy dziewczyna spostrzegła, że łańcuch przyczepiony do rożków chomąt spinał oba zwierzęta. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziała. Mężczyźni zsunęli się na ziemię.

- Matko Spowiedniczko! - Promienne uśmiechy sprawiły, że salutowanie wyglądało dość zabawnie.

Obaj byli pałakowaci, z krótko obciętymi, kasztanowatymi włosami. Prawdopodobnie obaj nie mieli nawet piętnastu lat. Wełniane płaszcze - rozpięte, bo dzień stawał się coraz cieplejszy - wisały na nich jak na kołkach. Aż się gotowali z podniecenia. Zatrzymali się w bezpiecznej odległości, lecz nawet strach nie był w stanie stłumić ekscytacji.

- Jak się nazywacie?

- Ja jestem Brin Jackson, a on Peter Chapman, Matko Spowiedniczko. Mamy pewien pomysł i chcemy go przedstawić. Uważamy, że się przyda. Jesteśmy tego pewni. To sprytny pomysł, przekonasz się. Zrobi, co trzeba. Wykona robotę.

- Co wykona i jaką robotę? - Kahlan przeniosła wzrok z jednej rozpromienionej twarzy na drugą.

Brin niemal podskoczył z radości, że go spytała. Podniósł łańcuch leżący na śniegu pomiędzy potężnymi końmi.

- To! - Przywlókł do dziewczyny pętlę łańcucha. - To wykona robotę, Matko Spowiedniczko. Samiśmi to wymyślili! Peter i ja. - Upuścił na ziemię ciężkie złącza. - Pokaż jej, Peter. Odejdź w bok.

Promiennie uśmiechnięty Peter kiwnął głową. Poprowadził swojego konia w bok, aż ciężki łańcuch uniósł się z ośnieżonej ziemi. Zawisł, rozkołysany, pomiędzy różkami chomąt obu zwierząt. Kahlan i otaczający ją żołnierze usiłowali odgadnąć, czemu miałyby to służyć.

Brin wskazał łańcuch.

- Mówiłaś, że zostawimy wozy, a my absolutnie nie chcemy zostawić Daisy i Pipa. To nasze konie: Daisy i Pip. Jesteśmy woźnicami. Chcieliśmy pomóc i dobrze wykorzystać zwierzęta do tego, no i wzięliśmy trochę największych łańcuchów zaprzęgowych i poprosiliśmy Morvana... Morvan to kowal... No i żeśmy poprosili Morvana, żeby je złączył w jeden. - Kiwnął głową, jakby to wszystko wyjaśniało. Kahlan leciutko pochyliła głowę ku Brinowi.

- A kiedy już je złączył? Podekscytowany chłopiec uniósł w górę rękę.

- Powiedziałaś, że trzeba ich pozbawić koni. - Nie zdołał stłumić chichotu. - To po to ten łańcuch! Mówiłaś, że zaatakujemy nocą. Ich rumaki będą uwiązane do palików. Pogalopujemy na Daisy i Pipie, a łańcuch

połamie tamtym nogi! Za jednym zamachem pozbedziemy się całego rzędu koni!

Kahlan wyprostowała się, skrzyżowała ramiona. Popatrzyła na Petera. Kiwnął głową, pełen entuzjazmu dla tego pomysłu.

- To bardzo niebezpieczne, Brinie: galopujące konie, spięte łańcuchem, który kosi wszystko, co znajduje się na drodze.

Chłopak zasmucił się tylko odrobinę.

- Ale to by ich pozbawiło koni! Zrobimy to! Dla ciebie!

- Tamci mają blisko dwa tysiące wierzchowców.

Peter zmarkotniał trochę bardziej. Brin po raz pierwszy spojrzął w ziemię i skrzywił się. Podrapał się w ramię.

- Dwa tysiące - wyszeptał w kocu, zawiedziony.

Kahlan zerknęła na kapitana Ryana. Ten wzruszył ramionami, jakby chciał rzec, że nie ma pojęcia, czy to zadziała. Stojący w pobliżu żołnierze szurali stopami, drapali się w brody i z namysłem patrzyli na łańcuch.

- To się nie uda - orzekła w końcu dziewczyna. Brin zgarbił się jeszcze bardziej. - Za dużo ich dla was dwóch. Potrzeba więcej tak przygotowanych koni. - Brin i Peter podnieśli głowy, źrenice im się rozszerzyły. - Skoro wy dwaj wiecie, jak to zrobić, to chcę, byście zebrali wszystkie konie pociągowe i ich woźniców. W ten sposób najlepiej wykorzystamy ich umiejętności. Weźcie całe wyposażenie wozów, uprzęże. I tak nie zabieramy tego ze sobą. Dopilnujcie, aby od razu przygotowano łańcuchy, a potem ćwiczcie przez resztę dnia. Ustawcie coś, co zwalicie łańcuchami. To musi być coś ciężkiego, aby konie przyzwyczyły się do tego, co macie zamiar uczynić. Każdy zespół ludzi i zwierząt przywyknąć do wspólnego działania. Peter podszedł i stanął obok rozpromienionego Brina.

- Zrobimy to, Matko Spowiedniczko! Przekonasz się! Na pewno się nam uda! Możesz na nas liczyć!

Kahlan spojrzała poważnie na każdego z nich.

- To, czego chcecie dokonać, jest bardzo niebezpieczne. Lecz jeśli się powiedzie, bardzo nam pomoże. Mogłoby ocalić życie wielu z was. Ich konnica stanowi śmiertelne zagrożenie. Poważnie potraktujcie przygotowania owej specjalnej uprzęży i trening. Kiedy to się będzie działo naprawdę, tamci będą próbowali was zabić.

Położyli pięści na sercu, dumnie unieśli brody.

- Zajmiemy się tym, Matko Spowiedniczko. Możesz polegać na woźnicach. Nie zawiedziemy cię. Pozbawimy ich koni.

Kiedy Kahlan skinęła im głową, wrócili do swoich wierzchowców. Pochylili ku sobie głowy i szeptali coś, podekscytowani. Ruszyli wypełnić polecenie. Dziewczyna obserwowała samotnego jeźdźca, galopującego ku niej przez obóz. Zatrzymał się i zapytał o coś grupę żołnierzy. Wskazali w jej kierunku.

- Są z nami dopiero od paru miesięcy - odezwał się kapitan Ryan. - To jeszcze chłopcy.

Kahlan spojrzała nań znacząco.

- Są żołnierzami walczącymi dla Midlandów. Kiedy cię pierwszy raz ujrzałam, patrzyłam na ciebie tak jak teraz ty na nich. W tej chwili jednak wydajesz mi się trochę starszy.

- Chyba masz rację - westchnął. - Jeżeli naprawdę im się uda, będzie to wspaniałe osiągnięcie.

Dotarł do nich galopujący jeździec. Zeskoczył z konia, zanim ten na dobre się zatrzymał. Niedbale zasalutował.

- Matko Spowiedniczko. - Zaczepnął powietrza. - Jestem Cynric, jeden z wartowników.

- O co ci chodzi, Cynricu?

- Powiedziałaś, że chcesz wiedzieć o wszystkim, więc uznałem, że lepiej ci o tym powiem. Akurat rozstawialiśmy warty, o jakąś godzinę stąd, pomiędzy nami a wojskami Armii Imperialnego Ładu, w pobliżu drogi przecinającej przełęcz Jara, kiedy od Keltonu nadjechał powóz. Wiedzieliśmy, że nie chcesz, żeby działo się coś nieoczekiwanego, więc zatrzymaliśmy pojazd. Uznałem, że lepiej się upewnić, co mamy zrobić.

- Kto jest w powozie?

- Starsze małżeństwo. Bogaci kupcy, a przynajmniej tak twierdzą. Coś od sadów.

- Co im powiedzieliście? Nie mówiliście o nas, prawda? Nie zdradziliście im, że jest tutaj wojsko?

- Nie, Matko Spowiedniczko. - Żołnierz energicznie potrząsnął głową. - Powiedzieliśmy, że w pobliżu grasują banici, a my jesteśmy niewielkim, szukającym ich oddziałem. Że nie mogą jechać dalej, dopóki nie naradzę się z dowódcą. Kazałem im czekać na mój powrót.

- Znakomicie, Cynricu - pochwaliła go Kahlan.

- Woźnica nazywa się Ahern. Zaczął się z nami kłócić i chciał popędzić zaprzęg, ale pokazaliśmy mu miecze. Potem wyskoczył ów starzec i oskarżył nas, że zamierzamy go ograbić. Machał laską, jakby chciał nas w ten sposób odpędzić. Wymierzyliśmy doń z łuków, więc uznał, iż lepiej wrócić do powozu.

- Jak się nazywa?

Cynric przestąpił z nogi na nogę, skubnął brew.

- Robin albo Ruben, tak jakoś. Bojowy staruch. Ruben, na pewno. Ruben Rybnik, tak się nazywa.

Kahlan westchnęła i potrząsnęła głową.

- Nie wyglądają na szpiegów. Lecz jeśli Ład ich złapie, to wyśpiewają wszystko co wiedzą, nim D'Haranczycy z nimi skończą. - Popatrzyła na Cynrica. - Co tu robią?

- Stary mówi, że jego żona jest chora i że wiozą ją do uzdrowicieli do Nikobarezji. Nie wygląda zbyt dobrze. Oczy ma całkiem wywrócone.

- Skoro jadą drogą na północny zachód, przecinającą przełęcz Jara, to nie znajdują się w pobliżu wojsk Ładu. - Dziewczyna odgarnęła z twarzy pukle długich włosów. - Lepiej jednak pomówię z nimi, zanim puszczę ich wolno.

Kahlan nie zdążyła przejść choćby trzech kroków, gdy nadbiegł sierżant Frost.

- Matko Spowiedniczko! Cebry z wapnem są już gotowe, a namioty ogrzane.

Kahlan ze świstem wypuściła powietrze z płuc. Popatrzyła na sierżanta Frosta, potem na wartownika Cynrica, wreszcie na żołnierzy czekających spokojnie, żeby z nią porozmawiać lub zapytać o polecenie. Jeszcze raz głęboko odetchnęła.

- Nie mam godziny na to, żeby tam pojechać, i drugiej, by tu wrócić, Cynricu. Przykro mi, ale po prostu nie mam na to czasu.

- Rozumiem, Matko Spowiedniczko. - Cynric skinął głową. - Co rozkażesz z nimi zrobić?

Dziewczyna zebrała siły i nakazała:

- Zabij ich.

- Matko Spowiedniczko?

- Zabij ich. Nie wiemy, czy na pewno są tymi, za których się podają, a nie

możemy tracić energii na martwienie się, że obcy swobodnie się tu płaczą. Nie wolno nam ryzykować. Zabij ich tak, by nie cierpieli.

Kahlan odwróciła się ku sierżantowi Frostowi.

- Ale, Matko Spowiedniczko... - zaczął Cynric. - Spojrzała nań przez ramię. Zebrał w garści całe wodze. - Ten woźnica, Ahern, ma królewski glejt.

- Co takiego!?! - Dziewczyna odwróciła się ku Cynricowi i zmarszczyła brwi.

- Medalion, który jest królewskim glejtem. Dała mu go sama królowa Cyrilla. Jest tam wygrawerowane, że bohatercko pomagał oblężonym mieszkańcom Ebinissii i w podzięce za owe usługi może się swobodnie poruszać po Galei.

- Sama królowa mu to dała? Cynric potaknął.

- Zrobię, co rozkażesz, Matko Spowiedniczko, lecz dając ów medalion, królowa obiecała mu swoją opiekę.

Kahlan potarła czoło czubkami palców. Była tak zmęczona, iż z trudem zmuszała się do myślenia.

- Skoro ma glejt wydany przez królową, musimy to honorować. - Wskazała palcem wartownika. - Powiedz mu jednak, że powinien stąd natychmiast zniknąć. Powtórz to, co już mówiłeś o kręcących się tu banitach. Wyjaśnisz, że ich ścigasz i że jeżeli znów natkniesz się na powóz Aherna, to masz obowiązek uznać, iż się z nimi zmawiają, i natychmiast ich stracić. Droga do Nikobarezi biegnie na północny wschód. Powiedz, by się jej trzymali i nie zatrzymywali, aż odjadą daleko stąd.

Cynric położył pięść na sercu, a Kahlan wsparła się na ramieniu kapitana Ryana i poprowadziła go ku namiotom, w których stały cebry z wapnem. Słyszała, jak wartownik odjeżdża galopem ku zatrzymanemu powozowi. Żołnierze zrozumieli, że nie mają za nimi iść, i zajęli się swoimi sprawami.

Dziewczyna rozluźniła rzemyk ściągający pelerynę. Temperatura powietrza trochę się podniosła, chmury płynęły tak nisko, iż niemal ocierały się o ziemię. Powietrze wprost ociekało wilgocią.

- Popołudnie będzie mgliste - stwierdził Ryan. - Wieczorem gęsta mgła wypełni całą dolinę. - Zerknął na pytającą minę Kahlan. - Spędziłem w tych górach całe życie. Kiedy w zimie nastaje taka odwilż, mgła wypełnia przełęcze przynajmniej przez parę dni.

Dziewczyna przyjrzała się górskim stokom, wznoszącym się ku szarym

chmurom.

- To dobrze dla nas. Zwłaszcza że mam pewien pomysł. Pomoże nam przerazić wrogów.

- Powiesz mi, co mamy pomalować? Kahlan westchnęła ze znużeniem.

- Wymyśliliśmy sporo sposobów zniszczenia wybranych celów. Tej nocy mamy największą szansę wprowadzenia tych planów w życie, bo zaskoczymy wroga. Taka okazja już się nie powtórzy. Później będą się spodziewać naszych ataków.

- Rozumiem. Żołnierze również zdają sobie sprawę ze znaczenia dzisiejszego ataku. Dobrze się spiszą.

- Nie możemy zapomnieć o naszym głównym celu. Jest nim zabicie tamtych żołnierzy. Dziś mamy okazję, która się już nie powtórzy. Musimy ją dobrze wykorzystać. Ilu mamy zbrojnych?

Ryan przez chwilę milczał, obliczał.

- Blisko dwa tysiące. Poza tym około ośmiuset łuczników. Reszta to pikinierzy, lansjerzy i jazda oraz woźnice, kowale, wytwórcy strzał.

Dziewczyna skinęła głową.

- Chcę, żebyś wybrał z tysiąc zbrojnych. Najsilniejszych, najodważniejszych, najbardziej rwących się do walki.

- Jakie zadanie im przeznaczasz?

- Żołnierze przebrani w mundury zabitych wartowników pójdą do obozu wroga i zlokalizują nasze cele. Mamy dość ludzi do wykonania ustalonych zadań. Zbrojni zrobią to, co najważniejsze. Będą zabijać wroga. Najpierw zajmą się dowódcami, na wypadek gdyby ci się nie otruli, a potem zgładzą tyłu żołnierzy, ilu tylko zdołają.

Doszli do dwunastu namiotów, ustawionych półkolem jeden obok drugiego. Kahlan sprawdziła, czy każdy został wyposażony tak, jak poleciła. Następnie stanęła przed największym twarzą do kapitana Ryana.

- Powiesz mi teraz, co będziemy malować?

- Ów tysiąc zbrojnych.

Ryan zapatrzył się na nią osłupiały.

- Pomalujemy żołnierzy? Po co?

- To proste. D'Haranczyzy boją się duchów. Lękają się duchów zabitych wrogów i dlatego zabierają z pola bity ciała swoich poległych, jak to uczynili w Ebinissii. Tej nocy spełnią się ich obawy. Zostaną zaatakowani przez to, co

ich najbardziej przeraża: przez duchy.

- Przecież się zorientują, że to żołnierze, choć w białych mundurach.

Kahlan spojrzała spod oka na kapitana Ryana.

- Nie będą w mundurach. Będą mieli jedynie miecze, również pomalowane na białą. Tuż przed atakiem zdejmą odzienie.

- Co takiego!? - Aż otworzył usta ze zdumienia.

- Chcę, żebyś wybrał owych zbrojnych i przyprowadził ich tutaj. Rozbiorą się w namiotach i zanurzą w wapnie. Później staną przy rozpalonych kamieniach i wyschną. To nie potrwa długo. Dopiero potem się ubiorą. I rozbiorą bezpośrednio przed szturmem.

Kapitan Ryan był wstrząśnięty.

- Przecież to zima. Zamarzną bez ubrań.

- Mamy teraz lekkie ocieplenie. Poza tym chłód przypomni im, że mają się spieszyć. Nie chcę, by zbyt długo pozostawali w obozie. Wróg mógłby się otrząsnąć z zaskoczenia i zaatakować intruzów. Pragnę, żeby nasi ludzie tam wpadli, zabili przerażonych D'Harańczyków i uciekli. Jak mówiłam, D'Haranczyki boją się duchów. Osłupieją z przerażenia, widząc coś, co na pierwszy rzut oka wezmą za wcielenie swoich lęków. Najpierw pomyślą o ucieczce, nie o walce. Człowiek równie łatwo ginie od ciosu mieczem plecy jak i w serce. Niektórzy z tamtych znieruchomieją, nie wiedząc, co robić. Przez chwilę będą zaskoczeni nawet ci, którzy w końcu rozpoznają w napastnikach nie duchy, lecz pomalowanych na białą ludzi. Te parę sekund niepewności podczas ataku na każdą nową grupę wroga pozwoli nam z nimi skończyć. Czasem chwila wahania w walce decyduje o tym, kto zabije, a kto zostanie zabity. Zbrojnym nie wolno się wdawać w pojedynki. Jeżeli ktoś stawi im czoło, mają go ominąć i zaatakować następnych. Będzie aż nadto ofiar do zgładzenia, błędem jest więc tracenie czasu na potyczkę, której można uniknąć. Chcę, by po prostu mordowali żołnierzy wroga. Nieważne których, gdy już zginą dowódcy. Nasi mają się bić tylko wtedy, gdy inaczej się nie da. Po co mieliby na darmo narażać życie. Wpadnijcie tam, zabijcie ilu się da i wycofajcie się. Takie są rozkazy.

Kapitan Ryan rozważał to przez chwilę.

- Nigdy nie sądziłem, że coś takiego powiem. To mi wygląda na niesamowicie skuteczną taktykę. Najpierw ludziom z pewnością się to nie spodoba, ale posłuchają rozkazów. Wyjaśnię im wszystko i spojrzą na to

łaskawszym okiem. Nigdy o czymś takim ni słyzałem, więc wróg pewnie też nie. - Ryan w końcu uśmiechnął się szelmowsko. - Na pewno ich to zaskoczy! Na pewno.

Kahlan ulżyło, że na to przystał.

- Znakomicie. Miło, iż pozyskałam dla swojego pomysłu kapitana armii Galei. Armii Midlandów. Chcę również, byście zanurzyli w wapnie moje siodło i uprząż. I postaw wartowników przed tym namiotem, kiedy będę w środku.

- Twoje siodło...? - Oczy Ryana rozszerzyły się. - Ty nie... Matko Spowiedniczko... Nie mówisz poważnie.

- Nie poprosiłabym moich ludzi o to, czego sama bym nie zrobiła. W tej pierwszej bitwie potrzebny im ktoś, wokół kogo mogliby się skupić. Zamierzam ich poprowadzić.

Kapitan Ryan cofnął się o krok. Był skonsternowany i przerażony. Po chwili ponownie się zbliżył.

- Matko Spowiedniczko... przecież jesteś kobietą. I nie można powiedzieć, żebyś była brzydka. - Odruchowo obejrzał Kahlan od stóp do głów. - Tak naprawdę to jesteś... Wybacz mi, Matko Spowiedniczko. - Zamilkł.

- Ci żołnierze mają do wykonania trudne zadanie. Wytłumacz się, kapitanie.

Ryan gwałtownie poczerwieniał.

- To młodzi ludzie, Matko Spowiedniczko. Są... Cóż, nie możesz oczekiwać... To młodzińcy. - Umilkł, szukając słów. - Nic na to nie poradzą. Błagam, Matko Spowiedniczko. Będziesz zakłopotana ponad wszelkie wyobrażenie. - Skrzywił się. Miał nadzieję, iż nie będzie musiał tego dokładniej wyjaśniać.

Kahlan uśmiechnęła się doń leciutko, by choć trochę złagodzić jego przerażenie.

- Czy znasz legendę o Shahari, kapitanie? - Potrząsnął przecząco głową. - Ludy i krainy połączono w dzisiejszą D'Hare metodami bardzo przypominającymi te, które stosuje teraz Armia Imperialnego Ładu: przyłącz się sam albo zmusimy cię siłą. Lud Shahari odmówił przystania do napastnika i nie pozwolił się podbić. Walczyli tak zażarcie, że stali się postrachem o wiele od nich liczniejszych wojsk D'Hary. Shahari ponad

wszystko kochali walkę. Byli nieustraszeni i tak rozemocjonowani perspektywą boju, że ruszali do niego nadzy i... hmm... podnieceni. - Dziewczyna spojrzała na kapitana. Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. Podjęła: - Wszyscy D'Haranczycy znają legendę o Shahari. I do dziś wszyscy ich się boją. - Odchrząknęła. - Jeżeli żołnierze ruszą do walki i... i coś takiego się wydarzy, to tylko jeszcze bardziej wystraszy ludzi Armii Ładu. Nie sądzę jednak, by nasi musieli się obawiać zażenowania. Będą mieli na głowie o wiele poważniejsze sprawy, przede wszystkim ochronę swojego życia. A jeżeli mimo to coś takiego się im przydarzy, niech wiedzą, że to mnie jedynie ucieszy, ponieważ porazi serca wrogów jeszcze silniejszym strachem.

Kapitan Ryan wbił oczy w ziemię i kopał butem śnieg.

- Wybacz, Matko Spowiedniczko, lecz ten pomysł w dalszym ciągu mi się nie podoba. Naraza cię na niepotrzebne niebezpieczeństwo.

- Nieprawda. Są dwa bardzo ważne powody, dla których muszę tak postąpić. Po pierwsze, gdy ostatniej nocy opuściłam obóz Armii Ładu, ścigało mnie około pięćdziesięciu ludzi. D'Haranczycy nie wątpią, że owa pięćdziesiątka dopadła mnie i zabiła.

Ryan zeszywniał.

- Czy to znaczy, iż po okolicy grasuje, szukając cię, pięćdziesięciu żołnierzy?

- Nie. Wszyscy nie żyją. Co do jednego. Ale ci w obozie o tym nie wiedzą. Kiedy mnie ujrzą, zupełnie białą jak duch, pomyślą, że zginęłam, tak jak się to miało stać, i że teraz nawiedził ich mój duch. Tym mocniej ich to przerazi.

- Wszystkich pięćdziesięciu...! - Zerknął na Kahlan. - Aten drugi powód?

Dziewczyna wpatrywała się przez chwilę w Ryana. Potem powiedziała cicho:

- Kiedy żołnierze Armii Imperialnego Ładu zobaczą mnie, to czy uznają mnie za ducha, czy za nagą kobietę, będą się na mnie gapić. Przez ten czas nie będą mogli zabijać naszych. My jednak możemy ich wówczas zabić. Taki widok odwróci ich uwagę od naszych ludzi i skieruje ją na mnie. - Kapitan wpatrywał się nią w milczeniu. - Wystawię się na ich spojrzenia i ścierpię każdą krępującą sytuację, jeżeli ocali to życie choć jednemu z naszych ludzi. Muszę to uczynić, zęby im pomóc i uratować ich.

Ryan spuścił wzrok, włożył ręce w kieszenie.

- Nigdy nie pomyślałem, iż Matka Spowiedniczka to ktoś, kto aż tak

bardzo troszczy się o swoich ludzi - wyszeptał. - Nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, że w ogóle obchodzi ją, co się przytrafia któremuś z nas. - W końcu podniósł oczy. - Czy w jakiś sposób mogę cię przekonać, byś tego nie czyniła?

- Tylko jeden człowiek na świecie mógłby mnie powstrzymać - Kahlan uśmiechnęła się - lecz ty nim nie jesteś. - Zaśmiała się cicho. - Jestem pewna, że gdyby wiedział, co zamierzam, zabroniłby mi tego.

W Ryaniu ciekawość wzięła górę nad ostrożnością.

- Tylko jeden człowiek? Jest twoim małżonkiem? - Potrząsnęła głową. - Czy to jego byś wybrała? Na partnera?

Kahlan westchnęła figlarnie.

- Nie. Mam go poślubić. Przynajmniej żywię nadzieję, że go poślubię. Poprosił mnie o rękę. - Uśmiechnęła się, widząc zdumioną minę kapitana. - Ma na imię Richard. Jest Poszukiwaczem.

Kapitan Ryan zeszytniał, wstrzymał oddech.

- Powiedz, jeżeli pytam o coś, o co nie powinienem... Sądziłem jednak, że Spowiedniczki używają swej mocy... Myślałem, iż twoja magia... Nie miałem pojęcia, że Spowiedniczki mogą... wychodzić za mąż.

- Nie mogą. Ale Richard, to ktoś nadzwyczajny. Ma dar i moja moc nie może mu nic uczynić.

Ryan w końcu się uśmiechnął.

- Cieszę się. Cieszę się wraz z tobą, Matko Spowiedniczko. - Jeśli kiedykolwiek go spotkasz, to nie waż się mu powiedzieć o tym... o tym udawaniu duchów. Ma dość zacofany pogląd na takie sprawy. Gdybyś mu powiedział, że pozwoliłeś mi harcować goluteńskiej i to wraz z tysiącem twoich żołnierzy, najprawdopodobniej pozbawiłby cię głowy. - Kahlan roześmiała się, widząc przerażoną minę Ryana. - Potrzebny mi miecz, kapitanie.

- Miecz! Więc masz zamiar walczyć! Dziewczyna pochyliła się ku niemu.

- Jeżeli zjawię się tam naga i jakiś D'Haranczyk zechce splamić mój honor, kapitanie, to jak się obronię, nie dzierżąc oręża?

- Och! Rozumiem.

Rozmyślał przez chwilę. Jakaś myśl rozjaśniła jego oblicze i dobył swojego miecza. Trzymał broń w obu dłoniach. Był to stary miecz z klingą wyklepaną dawną metodą w faliste stalowe zakładki.

- Książę Harold dał mi ten miecz, kiedy zostałem oficerem. Powiedział. Ze przedtem należał do jego ojca, do samego króla Wyborna. Że król Wyborn nim walczył. - Bezwiednie poruszył ramionami. - Król, rzecz jasna, ma wiele mieczy i walczy każdym choć jeden raz, by można było mówić, iż bronił nim swojego królestwa. Tak naprawdę więc nie ma to znaczenia. - Podniósł wyczekująco wzrok. - Byłbym jednak zaszczycony, gdybyś go przyjęła. Skoro jesteś córką króla Wyborna, to powinnaś bić się jego mieczem. Może to ostrze ma w sobie magię i będzie chronić twoje życie.

Kahlan ostrożnie wzięła oręż z rąk Ryana.

- To bardzo wiele dla mnie znaczy. Dziękuję, Bradleyu. Mylisz się: to ważne, że należał do króla. To dla mnie zaszczyt. Ale nie zatrzymam go. Oddam ci go za parę dni, gdy wyruszę do Aydindril. Wówczas będziesz miał miecz, którym walczył nie tylko król, ale i Matka Spowiedniczka.

Kapitan aż się uśmiechnął na tę myśl.

- Czy mógłbyś teraz postawić warty wokół tego namiotu, a potem zająć się zbrojnymi?

Ryan uśmiechnął się leciutko i położył pięść na sercu.

- Oczywiście, Matko Spowiedniczko.

Kahlan ledwo zdążyła wejść do nagrzanego namiotu, a on powrócił już z trzema żołnierzami. Miał groźną minę; dziewczyna jeszcze nigdy nie widziała oficera z tak zasadniczym wyrazem twarzy.

- Staniecie tyłem do namiotu, kiedy Matka Spowiedniczka będzie zażywać kąpieli, i nie pozwolicie nikomu się zbliżyć. Zrozumiano?

- Tak jest, kapitanie - odparli chórem trzej żołnierze z oczami wielkimi ze zdumienia.

Wewnątrz ciepłego namiotu Kahlan oparła miecz o ceber, zsunęła z ramion futrzaną pelerynę i rozebrała się. Była tak zmęczona, że aż ją mdliło. Przez żołądek dziewczyny przebiegały fale skurczów. W głowie jej się kręciło i z trudem powstrzymywała wymioty. Zanurzyła dłoń w wapnie. Ciepłe jak wspaniała kąpiel. Lecz to nie była

kąpiel. Dziewczyna stanęła w cebrze, potem usiadła w jedwabście gładkiej białej wodzie. Jej piersi unosiły się na powierzchni mlecznej cieczy. Kahlan na chwilę oparła ramiona na krawędziach cebra, zamknęła oczy i łudziła się, udając przed sobą, że to po prostu gorąca kąpiel. Tak bardzo chciałaby, aby tak było. Lecz nie było.

Było to coś, co musiała uczynić, żeby ocalić jednych żołnierzy, a uśmiercić innych. Będzie w bieli Jak zwykle Matki Spowiedniczki, ale to nie będzie, jak przedtem, jej suknia.

Kahlan uniosła miecz ojca, przytrzymała rękojeść pomiędzy piersiami; klinga leżała na brzuchu dziewczyny i między jej nogami. Skrzyżowała kostki, by nie pokaleczyć ud. Drugą dłońią zacisnęła nos, zamknęła mocno oczy, zaczerpnęła głęboko powietrza i zniknęła w wannie.

ROZDZIAŁ 42

Richard i Siostra Verna jechali mrocznym, ociekającym wilgocią, dusznym, zielonym tunelem. Droga wznosiła się łagodnie, wiodąc ich ku odległym, natarczywym i nie milknącym tonom fletów. Niemal nie docierało tu światło dnia - przerwy pomiędzy pniami rosnących po obu stronach drzew wypełniane obficie ulistnione, obrośnięte lianami gałęzie oraz wiotkie zasłony zwieszającego się z nich jasnego mchu.

Drogę obrzeżono niskimi murkami, najwyraźniej po to, żeby powstrzymać gęstą roślinność. Stopniowo jednak zarosła je zbita liściasta masa, przed którą miały chronić trakt. Spomiędzy złączeń kamiennych bloków wyrastały liany, pokrywając całe partie muru. Tu i tam wypychały jakiś kamień, zwisający pod najdziwniejszym kątem, a utrzymywany w górze jedynie dzięki płataninie wici. Murki przypomniały zdobycz połykaną przez nieruchawego drapieżcę.

Leśne życie nie tknęło tylko jednej ich partii - ludzkich czaszek. Umieszczono je na szczycie obu murków, co jakieś trzy stopy. Każda tkwiła, niczym nie obrośnięta, na czworokątnym, upstrzonym porostami kamieniu, ukazując puste oczodoły i szczerząc w uśmiechu zęby. Richard już dawno przestał je liczyć.

Ani ciekawość, ani lęk nie zdołały wyrwać chłopaka z upartego milczenia. On i Verna nie rozmawiali ze sobą od ostatniej sprzeczki. Richard nawet nie spał obok niej w obozowisku; wolał spędzić swoją wartę i resztę nocy na łowach i przespać się przy Gratchu. Gniewne milczenie Siostry Verny tym razem nie dorównywało zaciętości młodzieńca. Nie zamierzał być tym, który pierwszy wyciągnie rękę do zgody. Oboje unikali spoglądania na siebie.

Droga rozszerzyła się i wydostała na słoneczny blask. W oddali rozdawała się, rozszczepiona przez pasiastą piramidę. Richard zmarszczył brwi. Usiłował dostrzec, co nadaje piramidzie ów wygląd - cętkowany jasny brąz, z regularnie rozmieszczonymi ciemniejszymi pasami. Ocenił, iż wysokość budowli równa jest trzykrotnej odległości ziemi od poziomu jego oczu, kiedy siedzi na Bonnie. Podjechali bliżej i zdał sobie sprawę, że piramidę usypano z kości. Ludzkich kości. Czaszki tworzyły partie cętkowanego brązu, a kości rąk i nóg - ciemne pasy. Chłopak uznał, iż muszą

tu być dziesiątki tysięcy czerepów, ułożonych w regularne stosy. Nie spuszczał oka z piramidy, kiedy przejeżdżali obok niej. Siostra Verna sprawiała wrażenie, jakby niczego nie zauważała.

Szeroka droga za tym stosem kości wiodła ku rynkowi mrocznego, mglistego miasta, położonego w środku gęstego lasu. Z płaskiego szczytu wzgórza usunięto wszystkie drzewa, podobnie jak na tarasowatych polach, które mijali przed niecałą godziną. Pola były przygotowywane pod uprawę. Ziemia była świeżo przekopana, a strachy na wróble miały odstraszać ptactwo od zasianego ziarna. Była zima, lecz mimo to tutejsi ludzie siali. Richarda ogromnie to zdziwiło.

Rozległe miasto, oczyszczone z najdrobniejszej części okalającej je zieleni, wydawało się jeszcze mroczniejsze i bardziej duszne niż tunel, którym jechali. Budowle były czworokątne, o płaskich dachach; pokrywał je obskurny tynk w kolorze kory. Końce dźwigarów sterczały z murów w pobliżu dachów i na wysokości każdego piętra. Okna były małe, po jednym na każdej ścianie. Budynki, rozmaitej wysokości, w większości tworzyły nieregularne bloki. Najwyższe musiały być czteropiętrowe. Wszystkie były identyczne, różniły się jedynie wysokością.

Mgła i dym przysłaniały niebo i stojące dalej domy. Rynek wyglądał jak zwyczajny, okalający studnię plac i był jedyną otwartą przestrzenią w owym mieście. Szybko przechodził w wąskie, mroczne uliczki, okolone gładkimi ścianami - stworzone przez człowieka szczeliny. Wiele domów łączyło się ponad uliczkami, zmieniając je w ciemne tunele. Tam zaś, gdzie nie było owych „mostów”, na sznurach rozciągniętych pomiędzy przeciwległymi oknami suszyło się pranie. Niektóre uliczki wybrukowano, lecz większość była pełna mułu i płynęła nimi cuchnąca woda.

Wąskie ulice wypełniał tłum odziany w luźne, brązowawe stroje: ludzie chodzili boso po błocie, stali ze skrzyżowanymi ramionami i przyglądali się, siedzieli grupkami w drzwiach. Kobiety, podtrzymując ręką ustawione na głowie gliniane dzbany z wodą, szły tuż pod ścianami domów, żeby zrobić miejsce trzem koniom. Zmierzały do studni i wracały, milcząc, nie zwracając uwagi na Richarda i Verne.

Kilku starszych mężczyzn siedziało w szerokich drzwiach lub stało, opierając się o ściany. Na głowach mieli dziwne, pozbawione rona, okrągłe i spłaszczone z wierzchu, ciemne kapelusze, ozdobione osobliwymi, jakby

namalowanymi palcami jasnymi znakami. Wielu paliło fajki o cienkich cybuchach. Kiedy Richard i Verna mijali ich, rozmowa zamarła. Wszyscy patrzyli na dwoje obcych i trzy konie.

Niektórzy bezwiednie pociągali za długi, wpięte w lewe ucho kolczyki.

Siostra Verna prowadziła wąskimi przejściami, coraz głębiej zanurzając się w labirynt brązowych budowli. W końcu dotarli do szerszej, brukowanej ulicy. Verna zatrzymała się, odwróciła ku Richardowi i ostrzegła go spokojnie:

- *To są Majendie. Ich kraj jest rozległą, półksiężycowatą połącią lasów. Musimy przebyć całą tę krainę, aż do czubka półksiężyca. Czczą duchy. Czaszki, które widzieliśmy, to szczątki ich składanych duchom ofiar. Nie potrafimy, niestety, zmienić ich niemądrych wierzeń. Musimy przebyć ich kraj. Zrobisz, co zechcą, albo nasze czaszki dołączą do tych złożonych w piramidzie.*

Richard nie uznał za stosowne ani jej odpowiedzieć, ani się z nią sprzeczać. Oparł dłonie na kuli siodła i patrzył obojętnie na Verne, dopóki się nie odwróciła i nie ruszyła naprzód.

Przejechali pod niskim „mostem” i dotarli do nieco wklęsłego placu. Było tam chyba z tysiąc mężczyzn - spacerowali lub stali w grupkach. I oni, jak tamci, mieli w uchu długi, kołyszący się kolczyk, lecz w prawym, a nie w lewym. Mieli również czarne szarfy i krótkie miecze. Żaden nie nosił kapelusza na wygolonej głowie.

Pośrodku, na podwyższeniu, siedzieli kręgiem mężczyźni, zwróceni twarzami do grubego pała. To stamtąd dobiegała niesamowita melodia. Mężczyzn otaczał pierścień kobiet odwróconych twarzami na zewnątrz, ku placowi.

O pał opierała się plecami wysoka kobieta w powiewającym czarnym odzieniu. Przesunęła grzbiet dłoni w górę pała i uchwyciła sznur przymocowany do dzwonu. Uderzyła weń raz, patrząc, jak Verna i Richard wjeżdżają na plac. Siostra powstrzymała gwałtownie konie; przenikliwy dźwięk poszybował nad rynkiem, uciszając mężczyzn i skłaniając flecistów do grania w szybszym tempie.

- *To ostrzeżenie - powiedziała Siostra Verna. - Ostrzeżenie dla duchów ich wrogów oraz sygnał dla obecnych tu wojowników. To ci mężczyźni na placu. Duchy zostały ostrzeżone, wojownicy zaalarmowani. Umrzemy, jeśli*

ponownie uderzy w dzwon. - Verna zerknęła na obojętną minę Richarda. - To obrzęd ofiarny dla uspokojenia duchów. - Siostra patrzyła, jak wojownicy podchodzą i ujmują lejce ich koni. Siedzące kręgiem kobiety wstały i zaczęły tańczyć w rytm niesamowitej muzyki. Kiedy Verna znów zerknęła na Richarda, ten niespiesznie sprawdzał, czy miecz tkwi luźno w pochwie. Siostra westchnęła i zsiadła z konia. Chłopak uczynił to dopiero wtedy, gdy chrząknęła z irytacją. Otuliła się ciasno swoją lekką peleryną i - obserwując, jak kobiety w czerni tańczą wokół pala oraz stojącej przy nim postaci - pouczyła Richarda: - Majendie zamieszkują ziemie okalające półksiężycem bagniste lasy, w których żyją ich wrogowie. Lud bytujący w sercu owych zakazanych obszarów to dziki, barbarzyński szczep, który nie tylko nie pozwoliłby nam przejść przez swoje tereny, ale nawet nie dałby przewodnika, gdybyśmy się już tam znaleźli. Nawet gdybyśmy zdołali uniknąć spotkania z nim, to i tak natychmiast byśmy się zgubili i nigdy stamtąd nie wydostali. Do Pałacu Proroków można dotrzeć tylko w jeden sposób: jadąc przez ziemie Majendie wokół lasów tamtych barbarzyńców. Szlak naszej podróży wiedzie skrajem ziem Majendie i lasów dzikusów. - Verna spojrzała przez ramię na Richarda, upewniając się, czy słucha, i kontynuowała: - Majendie nieustannie wojują z barbarzyńcami z bagnistych lasów. Jeżeli chcemy, by przepuścili nas przez swoje ziemie, musimy udowodnić, że jesteśmy sprzymierzeni z nimi i ich duchami, a nie z wrogiem. Czaszki, które widzieliśmy, to czerepy ich przeciwników, złożonych w ofierze duchom Majendie. Ceną za przejście jest udział w tym rytuale. Majendie wierzą, iż mężczyzn z magicznym darem, podobnie zresztą jak i pozostałych, duchy obdarzyły zawiązkami życia i duszy. Ponadto wierzą, że osoba z darem magii ma specjalną, bezpośrednią więź z duchami. Ofiara złożona przy pomocy młodzieńca z darem daje całemu ich ludowi uświęcającą łaskę duchów. Ufają, że sprowadza to na nich tchnienie życia, boskiego życia. Majendie wymagają owego uczestnictwa od czasów, kiedy pierwszy raz przeprowadzałyśmy tędy młodych chłopców, i wierzą, że to wiąże ich duchy z duchami plemienia. Ceremonia ta sprawia poza tym, iż lud, z którym wojują, nienawidzi czarodziejów, bo pomagają Majendie, i nigdy nie będzie z czarodziejami współpracował. A to, według wiary Majendie, pozbawia wrogów boskiej więzi ze światem duchów.

Wszyscy mężczyźni na placu dobyli krótkich mieczy. Położyli je na ziemi,

szczytami ostrzy w kierunku stojącej pośrodku kobiety, uklękli i pochylili łśniące głowy.

- Kobieta, która uderza w dzwon, to władczyni tego ludu. Królowa Matka. Łączy ją więź z duchami żeńskimi. Reprezentuje na tym świecie duchy płodności. Jest usposobieniem odbiorcy boskiego nasienia ze świata duchów - ciągnęła Verna.

Roztańczone kobiety w czerni utworzyły szereg i ruszyły z podwyższenia ku Richardowi i Siostrze.

- Królowa Matka wysłała swoje służki, by zawiodły cię na miejsce ofiary obrzędowej - pouczyła go Siostra. Zerknęła nań, a potem nerwowo zmięła brzeg swojej peleryny. - Mamy szczęście. To oznacza, że mają kogo ofiarować. Gdybyśmy się tu zjawili, a oni nie mieliby nikogo na ofiarę, musielibyśmy czekać, aż schwytają któregoś z wrogów. Czasem trwa to całe tygodnie, a nawet miesiące.

Richard milczał.

Verna stanęła naprzeciwko niego, plecami do zbliżających się kobiet w czerni.

- Zostaniesz zabrany do miejsca, w którym trzymają więźnia. Tam poproszą cię o udzielenie błogosławieństwa. Jeżeli odmówisz, będzie to znaczyło, że chcesz być złożony w ofierze jeszcze przed więzieniem, i z pewnością umrzesz. Udzielisz swojego błogosławieństwa, całując nóż, który ci podsuną. Nie będziesz musiał nikogo zabijać własną ręką. Masz jedynie ucałować ostrze, dając tym swoje błogosławieństwo, błogosławieństwo duchów, a oni już sami zgładzą ofiarę. Powinieneś jednak patrzeć, jak to czynią, żeby duchy widziały obrzęd twoimi oczami. - Siostra westchnęła z rezygnacją i znów nań spojrzała. Richard skrzyżował ramiona i spozierał na nią gniewnie. - Wiem, Richardzie, że ci się to nie podoba, lecz właśnie dzięki temu od trzech tysięcy lat pomiędzy nami a Majendie panuje pokój. Może brzmi to paradoksalnie, ale pozwoliło to ocalić więcej istnień ludzkich, niż złożonych w ofierze. Ich barbarzyńscy wrogowie wojują nie tylko z nimi, lecz także z nami. Sporadycznie napadają na pałac i na cywilizowanych mieszkańców Starego Świata.

Nic dziwnego, pomyślał Richard, lecz milczał.

Siostra Verna stanęła u jego boku, a kobiety w czerni zbiły się w grupkę przed nimi. Wszystkie były starsze, mogłyby być babciami. Czarne stroje

kryły całe korpulentne postacie, odsłaniając jedynie pomarszczone dłonie i twarze.

Jedna z nich przycisnęła sękatymi palcami do brody gruby materiał. Skłoniła głowę przed Siostrą Verna.

- Bądź pozdrowiona, czarodziejko. Nasi wartownicy już prawie dzień temu powiadomili nas, że się zbliżasz. Z radością witamy cię wśród nas, bo to czas składania życiodajnej ofiary. Co prawda, nie spodziewaliśmy się ciebie, lecz błogosławieństwo podczas obrzędu będzie godnym hołdem dla duchów. - Stara kobieta, ledwo sięgająca Richardowi do piersi, zmierzyła go wzrokiem i znów przemówiła do Siostry Verna: - To człowiek mający magię? Nie jest chłopcem.

- Jeszcze nigdy nie prowadziłyśmy do naszego pałacu czarodziejek kogoś w jego wieku - odparła Verna. - Lecz człowiek ten, jak i tamci, ma magiczny dar.

Stara kobieta w czerni spojrzała Richardowi w oczy. Chłopak przyglądał się jej bez wyrazu.

- Jest za stary, żeby udzielić błogosławieństwa. Siostra Verna zeszywniała.

- Ma magiczny dar. Kobieta przytaknęła.

- Ale jest za stary, by inni złożyli za niego ofiarę. Musi sam to zrobić. Własną ręką musi złożyć naszą ofiarę duchom. - Przywołała gestem jedną z kobiet. - Zaprowadź go tam, gdzie czeka przeznaczony na ofiarowanie.

Wezwana kiwnęła głową, podeszła i dała chłopakowi znak, że ma iść za nią. Siostra Verna pociągnęła go za rękaw. Richard poczuł magię promieniującą z jej palców, płynącą w górę jego ramienia i wywołującą niemiłe mrowienie szyi pod Rada'Han.

- Żebyś się nie ośmielił tym razem wymachiwać toporem, Richardzie - szepnęła Verna. - Nie wiesz, co byś zniszczył.

Chłopak spojrzał jej w oczy i odwrócił się bez słowa.

Krągła stara kobieta poprowadziła Richarda błotnistą uliczką obok siedzących w drzwiach i obserwujących ich starców. Potem skręciła w wąski zaułek. Na jego końcu pochyliła się przed niskim wejściem. Richard musiał niemal zgiąć się wpół.

Znaleźli się w pomieszczeniu, którego podłogę pokrywały tkane w splecione wzory kobierce o przytłumionych barwach. Nie było tam żadnych

mebli oprócz kilku niskich, obitych skórą skrzyń, na których stały kaganki. Przy zasłoniętym ciężką kotarą przejściu przykucnęło czterech mężczyzn o wygolonych głowach; po dwóch z każdej jego strony. Na kolanach położyli krótkie dzidy o ostrych, metalowych grotach, wykutych w kształt liści. Pod zaskakująco wysokim sufitem wisiał kłęb fajkowego dymu.

Mężczyźni powstali i skłonili się starej kobiecie. Kiwnęła im głową i wypchnęła Richarda przed siebie.

- Oto człowiek obdarzony magią. Ponieważ doszedł już do męskich lat, Królowa Matka nakazuje, by własnymi rękami złożył ofiarę duchom.

Wszyscy czterej kiwnęli głowami i poważnie przyświadczyli, że to mądra decyzja. Poprosili kobietę, aby powiedziała Królowej Matce, iż stanie się wedle jej woli. Kobieta w czerni życzyła im *pomyślnego* wypełnienia zadania. Wyszła, schylając się w niskim wejściu, i zamknęła za sobą drzwi ze świerkowego drewna. Gdy tylko zniknęła, mężczyźni uśmiechnęli się szeroko. Każdy klepnął Richarda w plecy, na znak, że dopuszczają go do kompanii. Jeden obejrzał się na osłonięte kotarą przejście okręcając głowę tak, że na wygolonym karku pojawiły się bruzdy. Otoczył ramieniem barki Richarda i ścisnął go krzepkimi palcami.

- Masz fart, chłopcze, naprawdę. Spodoba ci się to, co dla ciebie mamy. - Uśmiechnął się łobuzersko, ukazując szczerbę po brakującym dolnym zębie.
- Chodź z nami. Spodoba ci się to, mały. Przyrzekamy ci to. - Zaśmiał się rubaszenie. - Jeśli jeszcze nie jesteś mężczyzną, to dziś się nim staniesz. - Teraz śmiali się już wszyscy czterej.

Trzech z nich odsunęło kotarę i wzięło kaganek, ostatni zaś klepnął Richarda w plecy, ponaglając go do wejścia. Cała czwórka zawczasu radośnie rechotała.

Następne pomieszczenie było właściwie identyczne, brakowało jedynie fajkowego dymu. Prowadzili Richarda amfiladą pokoi, których jedyną ozdobą były niedbale rzucone kobierce. Mężczyźni przykucnęli przy ostatnim zasłoniętym przejściu, postawili końce dzid na podłodze, wsparli się na drzewcach i pochylili ku chłopakowi. Wszyscy czterej uśmiechali się przebiegle.

- Tylko spokojnie, chłopie. Nie napalaj się zbytnio. Bądź spokojny, zabawisz się z tą dzikuską.

Zarechotali z jakiegoś zrozumiałego dla nich żartu, odsunęli zasłonę i

weszli do środka. Znaleźli się w małym, kwadratowym pomieszczeniu z brudną podłogą. Sufit był niemal na wysokości dwóch pięter. Okno, umieszczone u szczytu ściany, dawało niewiele światła. Cuchnęło tu ze stojącego u boku nocnika.

W lewym rogu pokoiku kuliła się naga kobieta. Na widok mężczyzn spróbowała jeszcze bardziej wcisnąć się w kąt. Oplotła ramionami kolana, z całej siły przyciągając do siebie nogi. Jej skórę pokrywały plamy, zadrapania i rany. Zabrudzoną twarz okalała gęsta masa splątanych, długich, czarnych włosów. Zmrużyła ciemne oczy i z nienawiścią patrzyła na czterech mężczyzn. Ich pożądliwe uśmiešky mówiły, że miała podstawy do obaw.

Szyję uwięzionej okalała ciężka żelazna obroza, połączona łańcuchem ze ścianą. Mężczyźni przykucnęli pod ścianami, opierając się o nie plecami. Zacisnęli dłonie na ustawionych między kolanami dzidach. Richard uczynił to, co oni - przykucnął i wsparł się o ścianę po prawej stronie kobiety.

- Chcę rozmawiać z duchami - powiedział. Mężczyźni spojrzeli nań ze zdziwieniem. - Muszę zapytać, jak złożyć ofiarę.

- Jest tylko jeden sposób - stwierdził ten, któremu brakowało zęba. - Musisz jej obciąć głowę. Jedynie tak można ją wyciągnąć bez obrozy. Trzeba oddzielić głowę od ciała.

- Ale i to musi zostać zrobione w miły duchom sposób. Powinienem z nimi porozmawiać. Muszę dokładnie wiedzieć, jak to uczynić... żeby się im spodobało.

Wszyscy czterej namyślali się nad słowami Richarda. Ten bez zęba wypychał policzek językiem i wyteżał umysł. Wreszcie jego twarz pojaśniała.

- Królowa Matka i jej kobiety piją *juka*, by porozmawiać z duchami. Mógłbym ci przynieść trochę *juka*, a wtedy i ty mógłbyś z nimi rozmawiać.

- Więc przynieś mi tej *juka*, bym mógł porozmawiać z duchami i uczynić, co mi rozkażą. Nie chciałbym popełnić błędu i zepsuć życiodajnej ofiary.

Mężczyźni uznali, iż to mądry pomysł, zwłaszcza że Richard miał sam złożyć ofiarę, a nie tylko ją pobłogosławić. Jeden wyszedł pospiesznie, reszta zaś czekała w milczeniu, łypiąc pożądliwie na kobietę. Przynęła bliżej stopy, aby się zasłonić, i patrzyła na nich gniewnie.

Jeden z mężczyzn wyjął z kieszeni fajkę o cienkim cybuchu i długi patyczek. Zapalił patyczek od kaganka i rozniecił fajkę. Pykał, gapiąc się na kobietę maślanymi oczami. Zadarła wyzywająco brodę i odwzajemniła się

gniewnym spojrzeniem. Dym wzniósł się ku odległemu sufitowi, a pykanie nabrało tempa.

Richard przykucnął przy ścianie i skrzyżował ramiona, żeby choć trochę zasłonić prawą dłoń, niedbale spoczywającą tuż przy rękojeści miecza. Tamten mężczyzna powrócił wreszcie, niosąc w dłoniach okrągły gliniany dzbanuszek. Jego boki zdobiły białe symbole, na czubku znajdował się mały otworek.

- Królowa Matka i jej kobiety zgodziły się i przysłały *juka*, żebyś mógł przywołać duchy. Nawiedzą cię, kiedy to wypijesz. - Postawił naczynie przed Richardem, po czym wyjął zza pasa nóż i podsunął chłopakowi malachitową, z wyrzeźbionymi w obscenicznych pozach postaciami rękojeść. - To święty nóż, którym złożysz ofiarę. - Richard wziął broń i zatknął za pas, a mężczyzna przyłączył się do pozostałych.

Ten, który siedział najbliżej kobiety, wydawał się zadowolony, że Królowa Matka przysłała *juka*. Mrugnął znacząco do Richarda. Potem skierował grot dzidy ku twarzy kobiety.

- Przybył obdarzony magią, by ofiarować cię duchom. - Uśmiechnął się pokrzepiająco do chłopaka. - Ale najpierw ofiaruje ci swoje uświęcone przez duchy nasienie. - Kobieta nawet nie drgnęła. Mężczyzna uderzył końcem dzidy w podłogę, a jego uśmiech zmienił się w szyderczy grymas. - Nie znieważaj duchów! Przyjmiesz ich dar! - Zniżył głos i warknął: - Natychmiast.

Kobieta, nie spuszczając go z oka, posłusznie położyła się na plecach na brudnej podłodze. Rozsunęła nogi i wyzywająco łypnęła na Richarda. Najwyraźniej dobrze wiedziała, czym grozi niespełnienie ich życzeń. Wojownik przyskoczył i wbił dzidę w udo kobiety. Wrzasnęła i uchyliła się.

- Przecież wiesz, co robić! Nie obrażaj nas! Nie jesteśmy głupcami! - Zamarkował kolejne pchnięcie. - Zrób, co należy!

Siedzący nieruchomo Richard zacisnął palce na rękojeści miecza. Kobieta nawet nie próbowała zająć się krwawiącą raną na udzie. Posłusznie przewróciła się na brzuch, podparła na łokciach i kolanach, wypinając siedzenie.

Mężczyźni zarechotali do chłopaka.

- Nie chciałbyś z nią leżeć twarzą w twarz - powiedział ten bez zęba. - Ona gryzie. - Inni kiwnęli przytwarzająco. - Dosiądź jej w ten sposób i

trzymaj za włosy. Nie będzie cię mogła ugryźć, a ty sobie dogodzisz.

Mężczyźni czekali. Kobieta i Richard ani drgnęli.

- Nie rozumiecie, głupki? - odezwała się w końcu uwięziona. -

Nie chce mnie wziąć na psi sposób na waszych oczach! - Odwróciła leżącą na brudnej podłodze twarz i uśmiechnęła się drwiąco do chłopaka. - Wstydzi się. Nie chce, byście zobaczyli, jaka mała jest jego magiczna pałeczka.

Wszyscy się nań gapili. Richardowi zbieleły kostki zaciśniętych na gardzie palców. Szalała w nim magia miecza. Z trudem zachowywał obojętną minę. Z całych sił starał się opanować.

Utrata kontroli nad magią nic by nie dała.

Jeden z mężczyzn szturchnął drugiego łokciem i zaśmiał się.

- Może ona ma rację. To młodziak. Pewnie nie jest przyzwyczajony, że inni patrzą, jak się zabawia.

Richard opanował się z największym trudem. Postarał się, by wolna dłoń nie drżała i poruszała się płynnie. Podniósł naczynie z *juka*, pokazując je mężczyznom. Wiele go to kosztowało, ale zdołał powiedzieć spokojnie:

- Duchy chcą ze mną porozmawiać o ważnych sprawach. Uśmiechy zniknęły. Wiedzieli, że jest obdarzony magią, choć nie był tak młodziutki jak ci, do których się przyzwyczaili. Nie mieli pojęcia, jaką mocą dysponuje, lecz najwyraźniej ich to niepokoiło; podobnie zresztą jak jego przesadny spokój i opanowanie.

- Zostawmy go jego obowiązkom - odezwał się jeden z mężczyzn. - Odejźmy, by mógł rozmawiać z duchami i, jeżeli zechce, zabawił się z dzikuską, zanim złoży ją duchom w ofierze. - Skłonił przed Richardem wygoloną głowę. - Odejdziemy. Będziemy czekać w sali, w której pierwszy raz nas zobaczyłeś.

Cała czwórka - już z poważnymi twarzami - wyszła pośpiesznie. Kobieta odczekała, aż znajdą się dostatecznie daleko, i plunęła na Richarda. Wygięła plecy jak kotka w rui, jeszcze bardziej wypinając siedzenie.

- Możesz teraz wleźć na mnie jak pies, którym jesteś. No chodź, magiczny człowieku, pokaż, że potrafisz wziąć kobietę uwiązaną dla ciebie na łańcuchu. Nie zrobisz mi nic gorszego niż tamte psy. - Znów nań plunęła. - Wszyscy jesteście psami.

Richard wyciągnął nogę, oparł but o biodro kobiety i przewrócił ją.

- Nie jestem taki jak tamci.

Przetoczyła się na plecy. Rozłożyła ręce i nogi i spojrzała pogardliwie na chłopaka.

- Ach tak. Więc weźmiesz mnie w ten sposób, by udowodnić, żeś od nich lepszy?

Richard zgrzytnął zębami.

- Przestań. Nie po to tu jestem.

Kobieta usiadła. Uniosła dumnie brodę, lecz w jej oczach nagle pojawił się strach.

- Czyli złożysz mnie teraz w ofierze?

Richard zdał sobie sprawę, iż wciąż zaciska dłoń na rękojeści miecza. Zapomniał o zachowaniu obojętnej miny. Cofnął dłoń. Magia odpłynęła, gniew ostygł. *Vfylakjuka* na brudną podłogę; kobieta obserwowała go bacznie.

- Zamierzam cię z tego wydostać. Nazywam się Richard. A ty?

- Po co ci moje imię? - Kobieta przymrużyła oczy.

- Cóż, skoro mam cię stąd zabrać, to muszę wiedzieć, jak się do ciebie zwracać. Przecież nie mogę na ciebie wołać „kobieto”.

Obserwowała go przez chwilę w milczeniu.

- Jestem Du Chaillu.

- Mam cię nazywać Du czy Chaillu? A może Du Chaillu? Zmarszczyła w zdumieniu czoło.

- Du Chaillu. To moje imię.

Richard uśmiechnął się do niej pokrzepiająco.

- Dobrze więc, niech tak będzie. Du Chaillu. A twój lud? Jak się nazywa?

- Jesteśmy Baka Ban Mana.

- Baka Ban Mana? Co to znaczy?

- Ci, którzy nie znają panów. - Uniosła dumnie brodę. Chłopak uśmiechnął się do siebie.

- Jesteś godna tego miana. Nie wyglądasz na kobietę, którą można ujarzmić.

Du Chaillu, z dumnie uniesioną głową, obserwowała oczy Richarda.

- Tak mówisz, a zamierzasz mnie wziąć jak tamci.

- Nie. - Potrząsnął przecząco głową. - Mówiłem ci, że tego nie zrobię. Spróbuję cię stąd wydostać i zaprowadzić do twego ludu.

- Jeszcze nigdy nie wrócił ten z mego ludu, którego złapali Majendie.

Richard pochylił się ku niej.

- Więc ty będziesz pierwsza.

Dobry miecz. Du Chaillu cofnęła się pod ścianę, podciągnęła kolana do piersi i zasłoniła twarz. Chłopak pojął, że źle odczytała jego gest i oczekiwała najgorszego.

- Nie bój się, Du Chaillu. Nie zranię cię. Przecież muszę zdjąć ci tę obrożę.

Odsunęła się od niego, potem się zreflektowała, uniosła głowę i opluła Richarda.

- O taak, odcinając mi głowę. Nie mówisz prawdy. Chcesz mnie teraz zabić i kłamiesz, żebym spokojnie podsunęła ci szyję.

Richard otarł rękawem ślinę z czoła. Położył kobiecie dłoń na ramieniu, dodając jej otuchy.

- Nie. Nie zrobię ci nic złego. Przetnę tym mieczem obrożę. Jak inaczej cię stąd zabiorę? Przekonasz się, że nic ci się nie stanie. Pozwolisz mi rozciąć tę obrożę?

- Miecze nie mogą przeciąć żelaza!

- Magiczne mogą - powiedział znacząco chłopak.

Du Chaillu zacisnęła mocno powieki i wstrzymała oddech. Richard otoczył ramieniem jej barki i łagodnie położył ją sobie na kolanach, twarzą ku dołowi. Przytknął czubek miecza do karku kobiety. Widział już wcześniej, jak Miecz Prawdy tnie żelazo, wiedział, że magia zadziała i tym razem. Du Chaillu leżała jak martwa, kiedy wsunął miecz po ciężką żelazną obręcz. A potem zniemacka rzuciła się na niego. Błyskawicznie złapała mocno lewą rękę chłopaka. Wbiła zęby w przedramię, uciskając nerwy. Richard znieruchomiał. Wiedział, że z pewnością oderwałaby mu zębami mięśnie od kości, gdyby spróbował wyrwać ramię. W prawej dłoni nadal trzymał miecz. Pulsował w nim magiczny gniew. Posłużył się nim, żeby stłumić ból i trwać nieruchomo.

Łatwo byłoby obrócić wsuniętą pod obrożę klingę i pchnąć. Przeciąłby gardło, a może i odciął głowę dziewczyny, uwalniając się od jej zębów. Bolało przeraźliwie.

- Du Chaillu - wykrztusił Richard przez zęby - puść moją rękę. Gdybym zamierzał cię zranić, to teraz spokojnie odciąłbym ci głowę, żeby się uwolnić

od twoich kłów.

Słysząc było tylko ciężki oddech chłopaka. Po długiej chwili kobieta rozluźniła uścisk zębów, lecz nie puściła ręki Richarda. Leciutko przechyliła głowę.

- Czemu? - Podniosła na niego oczy. - Czemu chcesz mi pomóc? Chłopak spojrział w jej ciemne oczy. Zaryzykował i cofnął dłoń z miecza. Uniósł rękę i położył palce na zimnej, metalowej obręczy okalającej mu szyję.

- Ja również jestem więźniem. I ja wiem, co znaczy nosić obrożę. Nie cierpię jej. Choć sam siebie nie mogę w ten sposób uwolnić, to mogę pomóc tobie.

Przestała się wpijać w jego ramię. Przekrzywiła głowę, spoglądając nań ze zdumieniem.

- Przecież jesteś magicznym człowiekiem.

- To dlatego uczyniono ze mnie więźnia. Kobieta, z którą podróżuję, prowadzi mnie do miejsca zwanego Pałacem Proroków. Powiedziała, że magia mnie zabije, jeśli tam z nią nie pójdę.

- Jesteś z jedną z tych wiedźm? Z dużego, kamiennego domu wiedźm?

- Ona nie jest wiedźmą, ale też ma magiczny dar. Założyła mi tę obrożę, bym z nią pojechał.

Oczy Du Chaillu prześliznęły się po obroży Richarda.

- Jeśli mnie wypuścisz, to Majendie nie pozwolą wam przejść przez swoje ziemie do dużego kamiennego domu. Richard uśmiechnął się do niej leciutko.

- Miałem nadzieję, iż jeżeli pomogę ci wrócić do twoich, to pozwolicie nam przejść przez wasze ziemie. Ze może zechcesz nas przeprowadzić, byśmy dotarli do pałacu.

- Moglibyśmy zabić wiedźmę. - Du Chaillu uśmiechnęła się łobuzersko.

Chłopak potrząsnął przecząco głową.

- Jeśli nie muszę, nie zabijam ludzi. Poza tym to i tak nic by nie dało. Muszę dotrzeć do pałacu i dopiero tam pozbyć się obroży. Umrę, jeżeli się tam nie dostanę.

Du Chaillu odwróciła wzrok. Richard czekał, a ona rozglądała się po swoim więzieniu.

- Nie wiem, czy mówisz prawdę, czy też chcesz mi obciąć głowę. - Łagodnie rozmasowała ramię w miejscu, które ugryzła. - Jeżeli mnie

zabijesz, to trudno. I tak miałam zginąć bez ratunku; no i te psy już by mnie nie brały. A jeśli mówisz prawdę, to będę wolna i będziemy musieli jakoś uciec. Przecież jesteśmy w kraju Majendie.

- Mam pewien plan. - Richard mrugnął do niej. - Możemy chociaż spróbować.

Spojrzała nań zdziwiona.

- Mogłeś mi to zrobić. Oni by się ucieszyli, a ty wyruszyłyś do pałacu. Byłyś bezpieczny. Nie boisz się, że cię zabiją?

Chłopak przytaknął.

- Bardziej jednak obawiam się, że przez resztę życia pamiętałbym twoje śliczne oczy, żałując, iż ci nie pomogłem.

Du Chaillu zerknęła nań z ukosa.

- Może i jesteś magicznym człowiekiem, ale na pewno nie jesteś sprytnym człowiekiem. Spryciarz wolałby być bezpieczny.

- Jestem Poszukiwaczem.

- Kto to taki ten Poszukiwacz?

- To długa historia. W skrócie znaczy to chyba, że robię, co w mojej mocy, by zwyciężyła prawda. To magiczny miecz, pomaga mi w mojej misji. Zwie się Mieczem Prawdy.

Kobieta westchnęła przeciągle i w końcu ponownie złożyła głowę na kolanach Richarda.

- No to spróbuj to zdjąć albo mnie zabij. I tak byłam już trupem.

Chłopak poklepał ją pokrzepiająco po nagich, brudnych plecach.

- Nie ruszaj się.

Sięgnął pod jej szyję i z całej siły uchwycił obrożę. Drugą, uzbrojoną w miecz ręką - tą, w której pulsowała magia - potężnie ciął.

Żelazo pękło z głośnym trzaskiem. Rozgrzane odłamki odbiły się od ścian. Duży kawałek wirował niczym bąk na brudnej podłodze, w końcu podskoczył i upadł. Zapadła cisza. Richard wstrzymał oddech. Miał nadzieję, że żaden z odłamków nie podciął Du Chaillu gardła.

Kobieta usiadła. Oczy miała szeroko otwarte. Obmacała szyję. Nie wyczuła żadnej rany i uśmiechnęła się szeroko.

- Nie ma jej! Uwolniłeś mnie od obroży! I wciąż mam głowę na miejscu!

- Przecież ci mówiłem, że tak zrobię - Richard obruszył się nieco. - Teraz musimy się stąd wydostać. Chodź.

Poprowadził ją drogą, którą tu przyszedł. Dotarli do pomieszczenia, tuż za którym czekali czterej mężczyźni, i chłopak położył palec na ustach. Kazał jej być cicho i poczekać, aż po nią wróci. Kobieta skrzyżowała ramiona na nagich piersiach.

- Czemu? Chcę iść z tobą. Powiedziałeś, że mnie tu nie zostawisz. Richard westchnął z rozpaczą.

- Przyniosę ci jakieś odzienie. Nie możemy wyjść, kiedy ty... - Wskazał na jej nagą postać.

Kobieta opuściła ramiona i przyjrzała się sobie.

- Dlaczego??? Co jest ze mną nie tak? Moje kształty są przyjemne dla oka. Wielu mężczyzn mi mówiło...

- Co z wami, ludzie! - szepnął rozeźlony Richard. - Od kiedy jesienią opuściłem mój kraj, widziałem więcej nagich ludzi niż przez całe dotychczasowe życie! I nikt z was nie wydawał się choć odrobinę...

- Poczerwieniałeś - uśmiechnęła się Du Chaillu.

- Zaczekaj tu! - warknął przez zęby chłopak.

- Zaczekam. - Uśmiechnęła się z wyższością i znów skrzyżowała ramiona.

Richard wyszedł zza kotary i czterej mężczyźni poderwali się na nogi. Nie dał im czasu na zadawanie pytań.

- Gdzie ubranie kobiety? Popatrzeli na siebie zakłopotani. - Jej odzienie? Po co ci...

Chłopak ruszył bojowo ku pytającemu.

- Kim jesteś, by wypytywać duchy? Kwestionować ich polecenia!?! Rób, co każą! Daj mi jej odzienie!

Wszyscy czterej się cofnęli. Przyjrżeli mu się krótko i podeszli do niskich skrzyń. Odstawili kaganki, otworzyli wieka i grzebali w środku, wydając ubrania.

- Znalazłem! - oznajmił jeden z nich. Uniósł strój z cienkiego lnu. Z jasnobrązowej tkaniny zwisały rzędy różnokolorowych taśm. - To jej. - Uniósł skórzany pasek. - I to też.

Richard wyrwał suknię oraz pasek z dłoni mężczyzny.

- Czekać tutaj. - Zgarnął kawałek płótna, który rzucili na podłogę, szukając sukienki.

Wrócił za kotarę, zanim zdążyli o coś spytać. Du Chaillu czekała ze

skrzyżowanymi ramionami. Wstrzymała oddech, widząc, co przyniósł Richard. Przytuliła suknię do piersi. Jej ciemne oczy wypełniły się łzami.

- Moja szata modlitewna!

Zarzuciła chłopakowi ramiona na szyję, stanęła na czubkach palców i zaczęła go obsypywać pocałunkami. Richard ujął w dłonie jej głowę, spłaszczając masę czarnych, splątanych włosów, i odepchnął Du Chaillu od siebie.

- Już dobrze, dobrze. Ubieraj się. Szybko.

Uśmiechając się doń promiennie, narzuciła suknię przez głowę i wsunęła ręce w długie rękawy. Przez ramiona oraz po zewnętrznej stronie rękawów biegł rząd krótkich różnokolorowych taśm - każda była przeciągnięta przez małe otworki pod wykonaną ze sznurka opaską. Suknia odkrywała kolana. Du Chaillu zapięła pasek. Richard spostrzegł, że po jej nodze, aż na stopę, wciąż spływa krew ze zranionego uda. Przyklęknął i dał znak ręką.

- Unieś. Unieś sukienkę.

Du Chaillu spojrzała na klęczącego chłopaka.

- Dopiero co się zakryłam, a już chcesz, żebym się znów odsłoniła? - zdziwiła się.

Richard zacisnął usta. Machnął ku kobiecie kawałkiem płótna.

- Nadal krwawisz. Muszę tym obwiązać ranę. Zachichotała, uniosła sukienkę i wysunęła nogę, prezentując ją uwodzicielsko. Richard pospiesznie owinał płótnem zranione udo i mocno związał opatrunek. Aż zapiszczała z bólu. To jej tylko dobrze zrobi, pomyślał chłopak, ale przeprosił.

Wziął Du Chaillu za rękę i pociągnął przez resztę pokoi. W ostatnim warknął do czterech mężczyzn, żeby się nie ruszali z miejsca. Wciąż mocno trzymając kobietę za rękę, poprowadził ją zaułkiem i uliczkami na otwarty plac. Widział trzy końskie łby, górujące nad morzem lśniących łysych głów. Torował sobie drogę przez tłum, ku zwierzętom.

ROZDZIAŁ 43

Miecz tkwił w pochwie, lecz Richard przywoływał jego magię. Napłynęła fala gniewu. W dalszym ciągu przyzywał go, pozwalając mu sobą zawładnąć.

Wkraczał w swój własny, milczący świat. Świat, w którym musiał się poddać nieubłaganemu przeznaczeniu.

Dawca śmierci.

Siostra Verna zbladła, kiedy zobaczyła chłopaka, ciągnącego za sobą Du Chaillu. Pobladała jeszcze bardziej, gdy ujrzała, co czyni.

Richard w ogóle się do niej nie odezwał. Porwał zawieszony przy siodle łuk. Stęknął z wysiłku, gwałtownie napinając cięciwę. Z przytroczonego do siodła Bonnie kołczanu wyciągnął porywczo dwie strzały o stalowych grotach. Ciężko dyszał z wściekłości.

Wszyscy patrzyli na chłopaka. Stojący z tyłu podskakiwali, żeby lepiej widzieć; tu i tam ukazywały się ich zdumione twarze. Patrzyły nań wszystkie kobiety w czerni. Patrzyła Królowa Matka.

Twarc Siostry Verny gwałtownie i mocno poczerwieniała.

- Richardzie! Co ty zamierzasz...!?

- Zamilcz - nakazał i odepchnął ją.

Wskoczył na siodło, trzymając w dłoni łuk i strzały. Zapanował cisza.

- Rozmawiałem z duchami! - powiedział Richard Królowej Matce. Dłoń Królowej Matki zaczęła sunąć w górę pala, ku linie dzwonu.

Na to właśnie czekał. Nie wykorzystała szansy. Wydała na siebie wyrok.

Richard pozwolił działać magii.

Jednym płynnym ruchem nasadził strzałę. Przyciągnął cięciwę do policzka. Przywołał cel i wypuścił brzechwę.

Zasyczało rozcinane przez strzałę powietrze. Tłum wstrzymał oddech. Chłopak wycelował drugi pocisk, zanim pierwszy dotarł do celu, zanim ucichło rozcinane jego lotem powietrze.

Pierwsza strzała wbiła się z trzaskiem dokładnie tam, gdzie sobie życzył. Królowa Matka krzyknęła z bólu i zdumienia. Grot przeszedł przez odstęp pomiędzy kośćmi nadgarstka i przyszpilił rękę królowej do pala, nim zdążyła dosięgnąć liny dzwonu. Wolna dłoń kobiety ruszyła ku linie.

Druga strzała tkwiła w niewidocznym, wiodącym do celu powietrznym

karbie; czekała.

- Spróbuj sięgnąć dzwonu, a kolejna strzała trafi cię w prawe oko! Grupa kobiet w czerni padła na kolana i zaczęła zawodzić. Królowa Matka znieruchomiała. Po jej ręce spływała krew.

W Richardzie szalał gniew. Na zewnątrz zachowywał kamienny spokój.

- Posłuchaj, co rozkazały duchy!

Królowa Matka powoli opuściła wolne ramię.

- A więc przekaz im ich słowa.

Chłopak wciąż trzymał cięciwę przy policzku i wcale nie zamierzał jej poluzować. Pocisk celował w jedną osobę, lecz gniew był skierowany przeciw wszystkim.

W Richardzie płonęła magiczna furia. W żyłach tętniła wściekłe krew. W przyszłości owa furia była zawsze skierowana ku jednemu wrogowi, jednej konkretnej osobie. Tym razem było inaczej. Obecnie magiczny gniew obejmował wszystkich zgromadzonych na placu, każdego, kto uczestniczył w składaniu ludzkiej ofiary. To była uogólniona furia.

To jedynie pogarszało sprawę. Przywoływało więcej magii.

Richard nie wiedział, czy to efekt wszechobecnego zagrożenia, czy rezultat ćwiczeń z Siostrą Verną, które nauczyły go koncentracji, lecz przywoływał więcej magii miecza niż kiedykolwiek przedtem. Nawet nie podejrzewał, że oręż ma jej aż tyle. Magiczny gniew wrzał z przerażającą mocą. Wibrowała każda cząstka powietrza.

Stojący najbliżej mężczyźni cofnęli się. Zawodzące kobiety umilkły. Twarz Królowej Matki bielą na tle czarnych szat. Tysiąc ludzi stało w milczeniu, bojąc się jednego człowieka.

- Duchy nie życzą już sobie ofiar! To wcale nie dowodzi waszego oddania im, a tylko świadczy, że potraficie zabijać! Od teraz macie okazywać duchom szacunek poprzez poszanowanie życia Baka Ban Mana. Jeżeli tego nie uczynicie, duchy dadzą upust swemu gniewowi i zniszczą was! Weźcie sobie do serca ich groźbę albo sprowadzą na Majendie głód i śmierć! Królowa Matka umrze, jeśli zamierzycie się na mnie lub na którąś z obu kobiet - zapowiedział Richard chcącym podejść mężczyznom. Patrzyli na siebie nawzajem, zbierając się na odwagę. - Pewno chcecie mnie zabić - dodał, a strzała na włos nie odchyliła się do celu - ale Królowa Matka umrze pierwsza. Widzieliście mój poprzedni strzał. To magia kieruje moją ręką. Nie chybię.

Mężczyźni cofnęli się.

- Zostawcie go! - zawołała Królowa Matka. - Słuchajcie!

- Przekazałem wam słowa duchów! Bądźcie im posłuszni! Królowa przez chwilę milczała.

- Sami się porozumiemy z duchami - oświadczyła.

- Czyżbyście chcieli je obrazić? Przyznalibyście, że wcale nie zważacie na to, co mówią, lecz kierujecie się własnymi zachciankami!

- Ale musimy...

- Nie jestem tu po to, żeby się targować w imieniu duchów! Rozkazały, bym dał nóż ofiarny owej kobiecie, aby mogła go zabrać do swego ludu na dowód tego, iż Majendie nie będą już na nich polować. Duchy okażą swój gniew, odbierając płodność waszym uprawom. Zbierzecie plony dopiero wtedy, kiedy wyślecie posłów do Baka Ban Mana i powiecie im, iż przystajecie na życzenia duchów. Jeśli tego nie uczynicie, umrzecie z głodu! Opuścimy was teraz. Przrzeknijcie, że pozwolicie nam bezpiecznie opuścić wasze ziemie, lub natychmiast zginiecie.

- Musimy rozważyć...

- Chcę usłyszeć waszą decyzję, zanim policzę do trzech! Raz, dwa, trzy! - Królowa Matka wstrzymała oddech, kobiety w czerni wstrzymały oddech, tłum wstrzymał oddech. - Co postanowiliście?

Królowa Matka uniosła wolną rękę, błagając, żeby nie wypuszczał strzały.

- Możecie odejść! Macie słowo Królowej Matki, że możecie opuścić nasz kraj cali i zdrowi!

- Mądra decyzja.

Królowa zacisnęła dłoń w pięść; jeden palec celował w Richarda.

- Lecz jest to złamanie naszej ugody z czarodziejkami. Ugoda przestała istnieć. Musicie natychmiast opuścić nasze ziemie. Jesteście wygnani.

- Niech tak będzie - powiedział chłopak. - Jednak dotrzymaj słowa lub poniesiesz ponure konsekwencje każdego nieroztropnego działania.

Poluzował cięciwę. Stał w strzemionach, wyciągnął zza pasa święty nóż i uniósł wysoko, tak by wszyscy go zobaczyli.

- Owa kobieta zanieś ten nóż swoim ludziom i przekaże im słowa duchów. Baka Ban Mana nie będą już wojować z Majendie, a wy nie będziecie wojować z nimi. Staniecie się dwoma ludami żyjącymi w pokoju! Jeden nie będzie krzywdził drugiego! Zastosujecie się do nakazów duchów

albo spadnie na was ich gniew! - Głos chłopaka opadł do groźnego szeptu, lecz magiczna furia niosła jego słowa do najdalszych zakątków placu i wszyscy słyszeli je w panującej ciszy. - Spełnijcie moje polecenia lub poddajcie się temu, co wam zgotuję. Zniszczę was doszczętnie.

Magia wisiała nad placem jak mgła nad doliną, nieziemską, lecz realną, namacalny przejaw groźnej furii Richarda. Każdy z obecnych poczuł jej dotknięcie i drżał z obawy.

Chłopak zeskoczył z konia. Mężczyźni cofnęli się o kilka kroków. Wściekłość odebrała głos Siostrze Vernie. Richard jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie. Stała niczym kamienny posąg z wysuniętymi przed siebie pięściami. Popatrzył na nią gniewnie, zogniskował na niej swoją furję.

- Na koń, Sostro. Odjeżdżamy.

Verna tak mocno zaciskała zęby, iż miało się wrażenie, że za moment trzasną kości szczęk.

- Oszalałeś! My nie... Skierował w jej stronę palec.

- Jeżeli chcesz się z kimś sprzeczać, Sostro, to możesz zostać i podyskutować z tymi ludźmi. Jestem przekonany, że wdzięcznie to przyjmą. Ja jadę do pałacu, by pozbyć się tej obrozy. Jeśli chcesz jechać ze mną, to wsiadaj na konia.

- Którędy!?! Przecież teraz nie możemy jechać przez ziemie Majendie! Wygnano nas!

- Ona poprowadzi nas do Pałacu Proroków. - Richard wskazał kciukiem Du Chaillu. - Przez kraj Baka Ban Mana.

Du Chaillu skrzyżowała ramiona i obdarzyła Siostrę pełnym samozadowolenia uśmiechem.

- Naprawdę oszalałeś. - Verna patrzyła to na jedno, to na drugie. - Nie możemy...

Chłopak zagryzł zęby, wściekle pomrukując. Gniew miecza szalał w nim w dalszym ciągu.

- Na koń, jeśli chcesz się dostać ze mną do pałacu! Ja odjeżdżam! Pod bacznym okiem Du Chaillu Richard wsunął jej za skórzaną pasek nóż z zieloną rękojeścią.

- Obarczyłem cię odpowiedzialnością. Nie zawieź. A teraz wskakuj na konia.

Du Chaillu, wystraszona nagle, opuściła ręce i przeniosła wzrok z

Richarda na konia i z powrotem. Potem znów splotła ramiona i naburmuszyła się.

- Nie pojedę na tej bestii. Cuchnie.

- I ty też!!! - ryknął chłopak. - Wskakuj na konia!

Du Chaillu zadrżała. Spojrzała wielkimi oczami na rozsierdzonego Richarda, zachłusnęła się powietrzem.

- Teraz już wiem, kto to ten Poszukiwacz.

Niezdarnie wspięła się na Geraldine. Siostra siedziała już na Jessupie. Richard wskoczył na Bonnie. Po raz ostatni ostrzegawczo popatrzył na zebranych na placu mężczyzn, ścisnął kolanami zebra klaczy i ta ruszyła galopem. Oba konie pomknęły za nią. Zebrani ustępowali im z drogi.

Magia była głodna krwi, domagała się jej. Richard pragnął, by ktoś spróbował go zatrzymać. Nikt się nie odważył.

- Już prawie ciemno - odezwała się Du Chaillu. - Zatrzymajmy się, błagam, albo przynajmniej pozwól mi iść. Ta bestia sprawia mi ból.

Z całych sił wczepiała się w grzywę kłusującej Geraldine, podbijana w siodle jak piłka. Pęd powietrza rozwiewał małe pasczki barwnego płótna, przywiązane do sukienki dziewczyny. Richard słyszał tętent kopyt Jessupa, ale nie obejrzał się na Siostrę Verne.

Chłopak spojrział na słońce, chowające się za płataninę gałęzi. Jego gniew gasł wreszcie wraz ze światłem dnia. Przez jakiś czas wyglądało na to, że Richard nie zdoła go stłumić.

Du Chaillu wskazała brodą (panicznie się bała puścić choć jedną rękę) miejsce za prawym ramieniem chłopaka.

- Tam za trzcunami, jest mały staw i trawiasta łąka obok niego.

- Masz pewność, że jesteśmy już na ziemiach Baka Ban Mana?

- I to od kilku godzin. To nasz kraj. Znam tę okolicę.

- No dobrze. Zatrzymamy się tu na noc.

Przytrzymał Geraldine, by Du Chaillu mogła się zsunąć z grzbietu klaczy. Rozmasowała sobie siedzenie, boleśnie pojękując.

- Ugryzę cię, jeśli i jutro każesz mi jechać na tej bestii!

Po raz pierwszy, od kiedy opuścili Majendie, Richard zdołał się uśmiechnąć. Zajął się końmi, posławszy Du Chaillu po wodę. Poszła przez trzciny i sitowie ku brzegowi stawu, a Siostra Verna nazbierała drewna i za pomocą magii rozpałała ogień. Chłopak rozsiodłał oraz wyszczotkował konie,

potem uwiązał je na długich linkach, żeby mogły skubać trawę.

- Sądzę, iż należy dokonać prezentacji - oświadczył, kiedy wróciła Du Chaillu.

- Siostrzo Verno, oto Du Chaillu. Du Chaillu, to Siostra Verna. Siostra Verna też się uspokoiła, a przynajmniej ukryła swój gniew.

- Cieszę się, Du Chaillu, że nie musiałaś dziś umrzeć. - W oczach tamtej zapłonął gniew. Richard wiedział, że uważała Siostry Światła za wiedźmy. - Lecz żal mi tych - dodała Siostra - którzy umrą zamiast ciebie.

- Wcale nie jesteś zadowolony, iż przeżyłam. Wolałbyś, abym umarła. Chciałabyś, żeby wszyscy Baka Ban Mana zginęli.

- To nieprawda. Nie pragnę niczyjej śmierci. Wiem jednak, że nie zdołam cię o tym przekonać. Myśl sobie, co chcesz.

Du Chaillu wyciągnęła zza paska ofiarny nóż i podsunęła trzonek przed oczy Siostry Verny.

- Trzy miesiące trzymali mnie na łańcuchu. - Przyjrzała się zielonej rękojeści i stuknęła palcem w jedną z wyrzeźbionych sprośnych scenek. - Tamte psy mi to robiły. - Siostra Verna spojrzała na nóż, a Du Chaillu wskazała kolejną scenkę: - I to. I to także.

Verna patrzyła, jak pierś kobiety unosi się w gniewnym oddechu.

- Nie potrafię cię przekonać, Du Chaillu, jaki wstręt budzi we mnie to, co ci uczynili, i to, co zamierzali uczynić. Na tym świecie jest wiele rzeczy, które budzą we mnie odrazę, lecz nie mam na nie wpływu, a czasem nawet muszę je tolerować w imię wyższego dobra.

- Straciłam swoją miesięczną krew. - Du Chaillu poklepała się po brzuchu. - Te psy mnie zapłodniły! Teraz muszę poprosić babki o zioła na spędzenie psiego bachora.

Siostra Verna złożyła dłonie.

- Nie czyn tego, Du Chaillu, błagam. Dziecko to dar Stwórcy. Błagam, nie odrzucaj jego daru.

- Dar! Ten twój wielki Stwórca ma wredne sposoby ofiarowywania darów!

- Du Chaillu - wtrącił się Richard - do tej pory Majendie zabijali wszystkich Baka Ban Mana, których schwytali. Ty pierwsza uszłaś z życiem. Więcej nie będą tego robić. Potraktuj dziecko jako symbol nowego życia obu ludów. Trzeba położyć kres zabijaniu, żeby wszystkie wasze dzieci były

bezpieczne, żeby mogło rozkwitać owo nowe życie. Pozwolisz dziecku żyć? Nie zrobiło nic złego.

- Ale jego ojciec zrobił! Richard przełknął ślinę.

- To, że ojciec był zły, wcale nie oznacza, że i dziecko takie będzie.

- Jeśli ojciec jest zły, dziecko również takie będzie!

- To nieprawda - odezwała się Siostra Verna. - Ojciec Richarda był bardzo złym człowiekiem, zabił wielu ludzi, a przecież Richard stara się chronić życie innych. Jego matka wiedziała, że wina za zbrodnie obciąża tylko tego, kto je popełnił. Nie żałowała Richardowi swojej miłości, choć jego ojciec ją zgwałcił. Chłopaka wychowali zacni ludzie, którzy wpoili mu właściwe zasady. To dzięki temu żyjesz. I ty możesz nauczyć dziecko prawości.

Gniew Du Chaillu przygasał. Popatrzyła na młodzieńca.

- Mówi prawdę? Jakiś wściekły pies potraktował twoją matkę jak tamci mnie?

Richard zdołał jedynie kiwnąć głową.

- Rozważę twoje słowa, zanim coś zdecyduję. - Du Chaillu potarła brzuch. - Wróciłeś mi życie. Dobrze rozważę twoje słowa.

- Jestem przekonany, że będzie to właściwa decyzja. - Chłopak ścisnął jej ramię.

- Jeśli pożyje dostatecznie długo, by coś zadecydować - wtrąciła Siostra Verna. - Rzuciłeś obietnice i groźby, z których nie zdołasz się wywiązać. Kiedy Majendie obsięją pola i nic się nie wydarzy, przestaną się bać tego, co im dziś naopowiadałeś. Twój czyn nie zda się na nic i znów zaczną walczyć z jej ludem. Nie mówiąc już o moim.

Richard zdjął z szyi rzemyk z gwizdkiem otrzymanym od Człowieka Ptaka.

- Nie byłbym taki pewny, Sostro, że nic się nie zdarzy. Bo coś na pewno się stanie. - Zawiesił gwizdek na szyi Du Chaillu. - To był dar dla mnie, a teraz ja ci to ofiarowuję, byś mogła położyć kres zabijaniu. - Uniósł w palcach rzeźbioną kość. - To magiczny gwizdek. Przywołuje ptaki. Więcej ptaków, niż kiedykolwiek naraz widziałaś. Liczę, że wypełnisz moją zapowiedź. Podkradniesz się do ich pól. Dbaj, żeby cię nikt nie zobaczył. O zachodzie dmuchnij w magiczny gwizdek. Nie usłyszysz żadnego dźwięku, lecz magia przywoła ptaki. Wyobrażaj je sobie. Myśl o wszystkich znanych ci ptakach i gwizdź, dopóki nie przylecą.

- Magiczny? - Dotknęła gwizdka. - Ptaki naprawdę przylecą?

- O tak, przylecą. - Uśmiechnął się do niej kącikiem ust. - Bez najmniejszej wątpliwości. Magia je przywoła. Żaden człowiek nie usłyszy głosu gwizdka, a ptaki tak. Majendie nie będą wiedzieć, że to ty je wezwałaś. Ptaki będą głodne i wydziobią całe ziarno. Ilekroć Majendie obsieją pola, ty przywołasz ptaki, by zjadły zasiewy.

- Majendie umrą z głodu! - ucieszyła się Du Chaillu.

- Nie. - Richard przysunął twarz do jej twarzy. - Ofiarowałem ci ten gwizdek, byś powstrzymała zabijanie, a nie po to, żebyś sama zabijała. Będiesz przywoływać ptaki, dopóki Majendie nie zgodzą się na pokój z wami. Kiedy wypełnią swoją część ugody, ty musisz wypełnić swoją i przystać na pokój z nimi. - Przysunął prawy palec tuż do jej nosa. - Jeśli źle wykorzystasz mój dar, to wrócę i pognębię twój lud innymi czarami. Zaufałem ci i wierzę, że postąpisz właściwie. Nie zawieź mnie.

Du Chaillu odwróciła oczy. Pociągnęła nosem.

- Zrobię, co trzeba. Wykorzystam twój dar, jak kazałeś. - Wsunęła gwizdek po sukienkę. - Dzięki, że pomogłeś moim ludziom zyskać pokój.

- To moje największe pragnienie. Pokój.

- Pokój - obruszyła się Siostra Verna. Spojrzała wściekle na Richarda. - Wydaje ci się, że to takie proste? Myślisz, że po trzech tysiącach lat możesz ot tak sobie nakazać, by skończyło się zabijanie? Ze wystarczy sama twoja obecność i ludzie zmienią własne zwyczaje? Jesteś naiwny jak dziecko. Zbrodnie ojca nie obciążają co prawda syna, lecz twój uproszczony sposób widzenia spraw przynosi tyle samo szkody.

- Jeżeli uważasz, Siostrze, że z jakiegokolwiek powodu wziąłbym udział w ludzkiej ofierze, to ogromnie się mylisz. - Chciał się odwrócić, ale zrezygnował. - Jakąż szkodę wyrządziłem? Jakież zabijanie zapoczątkowałem?

- Po pierwsze - Verna nachyliła się ku niemu - jeśli nie pomożemy tym, którzy jak ty mają dar, to dar ich zabije, tak jak zabiłby ciebie. Jak, według ciebie, mamy przeprowadzić chłopców do pałacu? Już nie możemy podróżować przez ziemie Majendie. - Zerknęła na Du Chaillu. - Ona tylko pozwoliła ci przejść przez swój kraj. Nie powiedziała, że będziemy mogły tędy przeprowadzać innych. - Wyprostowała się. - Twój czyn przyniesie śmierć owym chłopcom.

Richard zastanawiał się nad tym przez chwilę. Był wyczerpany. Jeszcze nigdy nie był tak zmęczony po posłużeniu się magią miecza. Pragnął wyłącznie jednego - spać, spać, spać. Nie miał siły ani na rozwiązywanie problemów, ani na sprzeczkę.

- Kiedy już zawrzesz z Majendie pokój - powiedział na koniec do Du Chaillu - to nim pozwolisz im ponownie obsiać pola, musisz dodać jeszcze jeden warunek. Musisz im powiedzieć, że na cześć zawartego pokoju i by uhonorować kres zabijania powinni przepuszczać Siostry przez swoje ziemie. - Chwilę patrzyła mu w oczy, a potem kiwnęła potakująco głową. - Twój lud uczyni to samo.

- Zadowolona? - Spojrzał na Siostrę przymrużonymi oczami.

- Kiedy w dolinie zabiłeś bestię, z jej cielska wytrysnęło tysiąc węży. Teraz też tak będzie. Nawet nie potrafię dokładnie policzyć twoich dzisiejszych kłamstw. Już przedtem karciałam cię za mówienie nieprawdy i ostrzegałam, byś tego więcej nie czynił. Mówiłam, żebyś dzisiaj nie wymachiwał toporem, a ty, pomimo moich ostrzeżeń, i tak to zrobiłeś. Trudno zliczyć nakazy, które pogwałciłeś tego jednego jedyne dnia. Twój czyn nie zakończył zabijania, on je zapoczątkował.

- W tym wypadku, Siostro, jestem Poszukiwaczem, a nie twoim uczniem. Nie dopuszczę do składania ofiar z ludzi. W żadnym wypadku. Śmierć innych to oddzielna sprawa. Nie możesz tego wykorzystywać do usprawiedliwienia morderstwa. W tej sprawie nie będzie żadnego kompromisu. I nie sądzę, byś chciała mnie ukarać za coś, co sama, założę się, chętnie powstrzymałabyś już dawno temu.

Twarz Verny złagodniała.

- Jako Siostra Światła nie mam prawa zmieniać biegu rzeczy. Żeby ocalić wiele istnień, musiałam godzić się na to, co trwało od trzech tysięcy lat. Przyznaję, że tego nienawidziłam i że nawet jestem zadowolona, iż sam to załatwiłeś. Lecz nie cofnie to ni śmierci, ni kłopotów, które z tego wynikną. Powiedziałeś, zakładając Rada'Han, że trzymanie smyczy będzie gorsze niż noszenie owej obroży. Twoje słowa się sprawdzają. - Oczy Siostry zwilgotniały. - Sprawileś, że moja największa miłość, moje powołanie, zmieniło się w niedolę. Nie zamierzam karać cię za nieposłuszeństwo. Za parę dni będziemy w pałacu i wreszcie nie będę miała z tobą nic wspólnego. Inne się tobą zajmą. Przekonamy się, jak postąpią, kiedy się im narazisz.

Sądzę, że nie będą tak tolerancyjne. Zrobią użytek z tej obroży. A wtedy, jak mi się zdaje, bardziej niż ja pożałują, iż trzymają smycz. Że, jak ja, zaczną żałować, iż spróbowały ci pomóc.

Richard wsunął ręce do kieszeni i zapatrzył się na gęsty las, złożony z dębów i skórnice.

- Przykro mi, iż tak to odczuwasz, Siostrze, ale chyba cię rozumiem. Przyznaję, że nie chciałem zostać twoim więźniem, a potem sprzeciwiałem ci się ze wszystkich sił. Jednak dzisiaj nie szło o mnie i o ciebie, lecz o to, co słuszne. Mam nadzieję, że jako moja nauczycielka oceniasz to tak samo jak ja. Siostry chyba nie pragnęłyby uczyć posługiwania się darem kogoś, kto z łatwością dopasowuje swoje przekonania do okoliczności. Nie chciałem cię urazić czy zirytować, Siostrze Verno. Po prostu nie mógłbym sobie spojrzeć w oczy, gdybym pozwolił, żeby zamordowano kogoś tuż pod moim nosem, a tym bardziej, gdybym przyłożył do tego rękę.

- Wiem, Richardzie. Ale to tylko pogarsza sprawę, bo wciąż chodzi o to samo. - Rozplotła dłonie, popatrzyła na ognisko i zapasy, wyjęła z juków kostkę mydła. - Zrobię gulasz i chlebek. - Podała chłopakowi mydło. - Du Chaillu przyda się kąpiel.

Du Chaillu skrzyżowała ramiona i naburmuszyła się.

- Kiedy byłem przykuta łańcuchem do ściany, to te psy, co przychodziły się ze mną zabawiać, nie dawały mi wody. Nie pachnę więc tak ładnie jak ty.

Siostra Verna przykucnęła i zaczęła wyjmować prowiant.

- Nie chciałam cię obrazić, Du Chaillu. Wydawało mi się, że chętnie obmyłabyś się z brudu po tamtych mężczyznach. Ja sama niczego bym tak nie pragnęła, jak zmyć z siebie ślady ich rąk.

Du Chaillu złagodniała.

- Pewnie, że tego chcę! - Wyrwała Richardowi mydło. - Cuchniesz bestią, na której jechałeś. Wymyj się albo nie będę chciała koło ciebie siedzieć i każę ci jeść z dala od nas.

- Wykąpię się, jeżeli to warunek pokoju z tobą - zachichotał chłopak.

Du Chaillu pomaszerowała nad staw, a Verna zawołała cicho na Richarda. Czekał, dopóki nie wyjęła z juków garnka.

- Jej lud przez trzy tysiące lat zabijał każdego „magicznego człowieka”, który wpadł mu w ręce. Nie czas teraz na lekcję historii. - Spojrzała chłopakowi w oczy. - Niełatwo pozbyć się starych nawyków. Dbaj, byś nie

miał jej za plecami. Wcześniej czy później spróbuje cię zabić.

Spokojny głos Verny sprawił o dziwo, że Richardowi ścierpła skóra.

- Postaram się zachować życie, Siostrze, byś mogła mnie doprowadzić do pałacu i wreszcie pozbyć się uciążliwego obowiązku.

Chłopak pospiesznie ruszył w stronę stawu i wkrótce dogonił przedzierającą się przez trzciny Du Chaillu.

- Dlaczego nazywasz to szatą modlitewną?

Du Chaillu rozłożyła ramiona i wstążki na jej sukience zakołysały się w powiewach lekkiego wiatru.

- To są modlitwy.

- Modlitwy? Mówisz o tych paseczkach płótna?

- Każdy z nich jest modlitwą - potwierdziła. - Kiedy wieje wiatr i one się kołyszą, to każda śle ku duchom modlitwę.

- A o co się modlisz?

- To modły płynące z serca osób, które mi je dały. Wszystkie proszą, by zwrócono nam nasz kraj.

- Wasz kraj? Przecież macie swój kraj.

- Nie. Mieszkamy tutaj, ale to nie są nasze ziemie. Przed wiekami magiczni ludzie odebrali nam nasz kraj, wypędzili nas tutaj.

Dotarli nad brzeg stawu. Powiewy wiatru marszczyły miejscami jego powierzchnię. Brzeg był trawiasty, z kępami sitowia schodzącymi w głąb stawu.

- Magiczni ludzie odebrali wam kraj? Jaki kraj?

- Odebrali kraj naszym przodkom. - Wskazała w kierunku Doliny Zaginionych. - Ziemie po tamtej stronie Majendie. Udawałam się na nasze tereny, żeby błagać duchy o pomoc w odzyskaniu naszego kraju, ale Majendie złapali mnie i nie mogłam zanieść duchom modlitw.

- Jak duchy mają wam zwrócić kraj? Du Chaillu wzruszyła ramionami.

- Dawne słowa mówią jedynie, że każdego roku musimy wysłać kogoś do naszego kraju, by błagał duchy, i że jeśli będziemy tak robić, to odzyskamy go.

Rozpięła pasek i upuściła go na ziemię. Z niepokojącym wdziękiem wbiła nóż z zieloną rękojeścią w sterczącą z kłody resztę gałęzi. - Jak?

- Zsyłając nam władcę. - Popatrzyła nań dziwnie.

- Myślałem, że jesteście Baka Ban Mana: ci, którzy nie znają panów.

- Bo duchy nam jeszcze żadnego nie zesłały.

Richard zadumał się nad ową zagadką. Du Chaillu ujęła rąbek sukni i ściągnęła ją przez głowę.

- Co ty wyprawiasz!?

- Przecież to siebie mam umyć, a nie suknię - zdziwiła się.

- Ale nie tuż przed moim nosem! Przyjrzała się sobie.

- Przecież już mnie widziałeś. Nic się nie zmieniłam od rana. - Spojrzała na Richarda. - Znów się zaczerwieniłeś.

- O, tam. - Pokazał palcem. - Idź na tamtą stronę kępy sitowia. Ty po jednej stronie, ja po drugiej.

- Ale mamy tylko jedno mydło.

- To mi je rzucisz, kiedy się umyjesz - pouczył ją, odwrócony plecami.

Du Chaillu okrążyła chłopaka i stanęła przed nim. Raz jeszcze spróbował się odwrócić, ale ponownie znalazła się przed nim i złapała go za guziki,

- Sama nie umyję sobie pleców. No i to nie jest uczciwe. Ty minie widziałeś, więc i ja powinnam zobaczyć ciebie. Czerwienisz się, ponieważ nie byłeś uczciwy. Po tym będziesz miał czyste sumienie.

Odepchnął jej dłoń.

- Przestań. Tam skąd pochodzę, Du Chaillu, nie godzi się zachowywać w ten sposób. Kobiety i mężczyźni nie kąpią się razem. Tak się nie robi. - Znów odwrócił się do niej tyłem.

- Nawet mój trzeci mąż nie jest taki wstydlivy jak ty.

- Trzeci! Miałaś trzech mężów!?

- Nie. Mam pięciu. Richard osłupiał.

- Masz? - Odwrócił się ku niej. - Co to znaczy „mam”? Popatrzyła nań tak, jakby pytał, czy w lesie rosną drzewa.

- Mam pięciu mężów. I dzieci.

- A ileż to masz dzieci?

- Troje. Dwie dziewczynki i chłopca. - Uśmiechnęła się tęsknie. - Dawno ich nie tuliłam. - Uśmiech posmutniał. - Moje biedne dzieciaczki pewno płaczą każdej nocy, myśląc, że nie żyję. Jeszcze nikt nie wrócił od Majendie. - Uśmiechnęła się.

- Moi mężowie będą losować, który pierwszy spróbuje dać mi nowe dziecko. - Uśmiech zniknął, głos umilkł. - Ale to chyba zrobił już ten pies Majendie.

Richard podał jej mydło.

- Wszystko będzie dobrze. Zobacysz. Wykąp się. Ja będę po tamtej stronie.

Odprężył się w chłodnej wodzie. Nasłuchiwał jej pluskania się i czekał, aż odda mu mydło. Nad stawem gęstniała mgła; cicho i powoli podkradała się ku pobliskim drzewom.

- Jeszcze nigdy nie słyszałem o kobiecie, która ma więcej niż jednego męża. Czy wszystkie niewiasty Baka Ban Mana mają więcej niż jednego rneża?

Du Chaillu zachichotała. - Nie. Tylko ja.

- Dlaczego akurat ty? Przestała się chlapać.

- Bo noszę szatę modlitewną - powiedziała, jakby to było zrozumiałe samo przez się.

Richard przewrócił oczami. - A co to...

Podpłynęła doń poprzez sitowie.

- Umyj mi plecy, to oddam ci mydło.

- No dobrze - westchnął z irytacją. - A wrócisz na swoją stronę, kiedy umyję ci plecy?

- Jeśli zrobisz to porządnie. - Podstawiła mu plecy.

W końcu uznała, że jest czysta i poszła się ubrać, a on się mył. Oznajmiła - przy wtórze rechotu żab i świergotu owadów - że jest głodna. Kiedy naciągał spodnie, popędzała go, żeby się pospieszył i by wreszcie poszli jeść. Zarzucił koszulę na ramię i dopędził Du Chaillu, wabioną aromatami docierającymi znad ogniska. Czysta była o wiele ładniejsza. Jej włosy przypominały włosy kobiety, nie zaś kłaki zwierzęcia. Nie wyglądała już na dzikuskę, raczej na kogoś ze szlachetnego rodu.

Wciąż się ściemniało, choć jeszcze nie zapadł mrok. Od stawu napływała mgła, powoli okrywając drzewa.

Siostra Verna wstała, kiedy Richard i Du Chaillu weszli w krąg rzucanego przez ogień blasku. Chłopak wkładał w rękaw prawe ramię; znieruchomiał, widząc osłupiałą minę Verny. Wpatrywała się w jego pierś, w znamię, którego wcześniej nie widziała.

Patrzyła na bliznę, wypalony odcisk dłoni. Odcisk dłoni nieustannie przypominający, kto spłodził Richarda.

Siostra Verna dorównywała bladością duchom. Odezwała się tak cicho,

że chłopak ledwo ją usłyszał.

- Skąd to masz?

Du Chaillu też spoglądała na bliznę. Richard osłonił się koszulą.

- Już ci mówiłem, że Rahl Posępny wypalił mi swoją dłoń. Ty jednak twierdziłaś, że miałem przywidzenia.

Verna podniosła z wolna wzrok i spojrzała chłopakowi w oczy. W jej oczach było coś, czego Richard jeszcze nigdy w nich nie widział. Nieokiełznany strach.

- Richardzie - wyszeptała Siostra - nikomu w pałacu nie wolno ci pokazywać owego znamienia. Jedynie Ksieni. Może ona będzie wiedziała, co robić. Jej musisz to pokazać, lecz nikomu innemu. - Zbliżyła się do chłopaka. - Rozumiesz? Nikomu!

- Dlaczego? - Richard powoli zapinał koszulę.

- Ponieważ zabiją cię, jeżeli to uczynisz. To piętno Bezimiennego. - Zwilżyła wargi językiem. - Grzechy ojca.

Z oddali doleciało wycie wilków. Du Chaillu zadrżała i objęła się ramionami, zapatrzona w gęstniejącą mgłę.

- Tej nocy umrą ludzie - wyszeptała.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się chłopak.

- Wilki. Kiedy wilki tak wyją we mgle, to przepowiadają, że nocą, we mgle, ludzie zginą gwałtowną śmiercią.

ROZDZIAŁ 44

Z mgły wychynęły białe kły śmierci. Zaskoczone ofiary najpierw znieruchomiały, zmrożone przerażeniem, potem rzuciły się do ucieczki przed białą śmiercią. Białe stalowe ostrza bez litości cięły uciekających. Noc rozdarły przeraźliwe śmiertelne wrzaski. Panika sprawiła, że umykający pędzili wprost na czekającą na nich zimną, białą stal.

Nieustraszeni żołnierze poznali przed śmiercią smak strachu.

Rozpętało się pandemonium. Szczęk stali, trzask pękającego drewna, chrzęst dartej skóry, odgłosy rozdieranego płótna, chrzęst łamiących się kości, syk ognia, huk zderzających się wozów, głuchy łomot padających na ziemię ciał, wrzaski ludzi i zwierząt - zlały się w przeraźliwą kakofonię. Fala białej śmierci niosła panikę i zgiełk.

Odór krwi górował nad słodkim zapachem palącego się drewna, nad ostrą wonią lamp naftowych, nad mdlącym posmakiem podpalonej smoły i duszącym smrodem płonącej sierści oraz ciał.

Wszystko, co nie nasiąknęło wilgocią mgły, było lepkie i śliskie od gorącej posoki.

Zakrzepła i świeża krew plamiła białe stalowe ostrza, miejscami rozmiękł też od niej śnieg. Języki płomieni buzowały w lodowatym powietrzu, rozżarzając pomarańczowym blaskiem mgłę. Nad ziemią wisiały ponure, czarne kłęby dymu; niebo płonęło.

Świstały strzały, leciały dzidy, rozłupane lance ginęły we mgle, ulatywały w mrok odrąbane groty pik. Resztki porozdzieranych namiotów łopotwały, jakby dały silny wicher. Miecze unosiły się i opadały, młócący nimi stękali z wysiłku.

Żołnierze miotali się bezładnie jak oszalałe mrówki. Niektórzy walili się na ziemię, a ich wnętrzości wylewały się na śnieg. Jeden z rannych, oślepiiony krwią, błędził chwiejnie, aż przemykający obok biały cień - duch śmierci - pchnął go mieczem i powalił. Przemknęło koło od wozu, niemal natychmiast przesłonięte przez ciągnące za nim kłęby gryzącego dymu.

Nie podniesiono żadnego alarmu. Wartownicy dawno już nie żyli.

Mało kto w obozie zorientował się, co się dzieje, zanim go to dopadło.

W obozie Armii Imperialnego Ładu hałaśliwie i dziko świętowano

zwycięstwo, toteż wielu - wciąż jeszcze pijanych - w ogóle nie pojmowało, że dzieje się coś groźnego. Wokół ognisk leżeli żołnierze chorujący po zatrutym *bandu* piwie. Mnóstwo z nich było tak osłabionych, że płonęli żywcem, nie próbując nawet uciekać z zajętych ogniem namiotów. Inni byli do tego stopnia pijani, że uśmiechali się do tych, którzy przebijali ich mieczami.

Nawet ci trzeźwi czy tylko nieco pijani nie potrafili pojąć, co się właściwie dzieje. W ich obozie często panował zgiełk i zamieszanie. Przez całą noc, chroniąc przed mrozem, płonęły wielkie ogniska. Owe ogniska były zwykle jedynymi punktami orientacyjnymi w bezładnie rozbitym obozowisku, więc ogniami zagłady przejmowano się jedynie w ich bezpośrednim sąsiedztwie.

Dla D'Harańczyków obozowe bijatyki stanowiły po prostu część hulanek, a wrzaski poturbowanych nie były niczym osobliwym. Żołnierz zachowywał, co miał, tylko wtedy, gdy potrafił to obronić przed innymi, zawsze łasymi na cudze. Alianse d'haranskie przypominały ruchome piaski - trwały całe życie lub - najczęściej - ledwo godzinę: do czasu, gdy nowy sojusz okazywał się korzystniejszy. Pijackie upojenie i trucizna nie pozwoliły im należycie ocenić natężenia wrzasków.

W bitwie byli nadzwyczaj zdyscyplinowani, po walce - nad wyraz niesforni. Podczas wyprawy wojennej łupy stanowiły sporą część żołdu D'Harańczyków - doszczętnie splądrowali Ebinissię pomimo gadania o nowym prawie, zaś świeżo zdobyte dobra wydatnie zmniejszyły ich poczucie obowiązku. W walce lub na pierwszy sygnał alarmu zmieniali się w sprawną bojową maszynę, całość sterowaną jednym mózgiem. W obozie natomiast, bez łączącego ich naczelnego celu - wojny - stawali się zbiorowiskiem jednostek dbających przede wszystkim o własne sprawy.

Zabrakło ostrzegawczego sygnału, toteż niezbyt się przejęli dodatkowymi hałasami i wrzaskami. Zajęci swoimi sprawami - handlem, opowieściami, pićm i śmiechem, grą, bójkami oraz zabawianiem się z kobietami - nie zwracali uwagi na toczącą się w sąsiedztwie potyczkę. Oficerowie zawołają ich, kiedy będzie trzeba. Bez tego wezwania mogą robić, co chcą, i nie przejmować się cudzymi kłopotami. Biała śmierć spadała na niczego nie podejrzewających.

Nagle pojawienie się białych duchów miało paralizującą moc. Wielu żołnierzy zawodziło ze strachu przed duchami Shahari. Wielu wyobraziło

sobie, że zniknęła granica pomiędzy światem żywych a światem zmarłych albo że zniemacka znaleźli się w zaświatach.

Gdyby nie piwo - i to zatrute, i to dobre - wszystko mogłoby się potoczyć inaczej. A tak pijaństwo oraz zadufanie we własną liczebność i siłę uczyniły ich podatnymi na ciosy; ten jeden jedyny raz. Lecz nie wszyscy byli pijani czy otumanieni.

Niektórzy ruszyli do walki.

Kahlan patrzyła na to wszystko, siedząc na tańczącym w miejscu bojowym rumaku. Z „twarzą Spowiedniczki” tkwiła pośród kłębiących się wokół pierwotnych, nieokiełzanych instynktów.

Ci żołnierze nie mieli żadnych zasad moralnych czy etycznych - zezwierżęceni, uznawali wyłącznie prawo pięści. Zgwałcili kobiety w pałacu i bezlitośnie wyrznęli w pień mieszkańców Ebinissii, od starców po noworodki.

Jakiś żołnierz przedarł się przez otaczający dziewczynę stalowy pierścień i uwiesił się na jej siodle. Zagapił się w Kahlan, błagając dobre duchy o litość. Rozplątała mu czaszkę.

Dziewczyna obróciła konia ku sierżantowi Cullenowi.

- Wzięliśmy namioty dowództwa?

Sierżant dał odpowiednie znaki i jeden z nagich, białych żołnierzy pobiegł sprawdzić, a oni zagłębiali się w obóz Armii Ładu. Kahlan dojrzała konie i dała sygnał. Usłyszała z tyłu tętent kopyt i przeraźliwy brzęk łańcuchów: kosy śmierci gotowe żąć plon życia.

Łańcuchowe kosy - z odgłosem, jaki wydaje patyk przesuwany przez chłopca po sztachetach płotu - na pełnej szybkości uderzyły w cel. Trzask łamanych kości złał się jeden długi, klekoczący grzmot. Ponad tętent kopyt i chrzest łamanych końskich nóg wzbily się wrzaski zwierząt oraz głuchy łomot, z jakim waliły się na ziemię.

Pijani wrogowie odwrócili się od białych duchów i wytrzeszczyli oczy na niesamowite widowisko. Była to ostatnia rzecz, jaką ujrzeli w życiu. Z namiotów wytoczyli się żołnierze i gapili się, nie pojmując, co się dzieje przed ich oczami. Inni, jak na jarmarku, włóczyli się bez celu z kuflem w dłoni i zamroczonym przez alkohol wzrokiem obserwowali to jedną scenkę, to drugą. Było ich tak wielu, że niektórzy musieli czekać, aż przyjdzie ich kolej na śmierć.

Niektórzy jednak nie byli pijani i nie wiedzieli duchów, a pomalowanych na biało żołnierzy. Zrozumieli, że ich napadnięto, że mordują ich dobrze wyostrzone miecze. Napastnicy okrążyli i bez własnych strat znieśli w pył ognisko zazartego kontrataku. Kahlan zebrała swoich i głębiej wbiła klin białych ostrzy w serce obozu wroga.

Dziewczyna dostrzegła dwóch żołnierzy na potężnych pociągowych koniach - nie rozpoznała ich - powalających wszystkie wierzchowce, jakie mogli znaleźć, i ruszających z łańcuchami na namioty. Siali spustoszenie, kosząc bezradnych przeciwników. Łańcuch natrafił na coś twardego jak skała. Szarpnięte gwałtownie konie okręciły się ku sobie i zderzyły. Jeźdźcy runęli na ziemię. Natychmiast spadł na nich rój zbrojnych w miecze i topory.

Przy nodze Kahlan pojawił się nagle z mieczem w dłoni jakiś trzeźwy żołnierz. Obrzucił dziewczynę palącym, gniewnym spojrzeniem. Ostre, przenikliwe oczy sprawiły, że poczuła się niczym więcej jak naga, siedzącą na koniu kobietą. Obejrzał ją dokładnie.

- Co u...

Nagle z jego piersi wyskoczyło stalowe ostrze, odbierając mu i oddech, i głos.

- Matko Spowiedniczko! - Nagi mężczyzna wyszarpnął miecz i wskazał nim kierunek. - Tam są namioty dowództwa!

Kahlan kątem oka dostrzegła z boku jakiś ruch. Na odlew uderzyła w kark potykającego się pijaka.

- Naprzód! Do namiotów dowództwa! Natychmiast!

Jej żołnierze zaprzestali zabijania wrogów i ruszyli za dziewczyną. Nick przesadzał ludzi, ogniska i rozbite wozy. W marszu nadal dziesiątkowali przerażonych, skołowanych i pijanych D'Haranczyków, ale czynili to tak, żeby nie zmniejszyć tempa. Jeżeli było trzeba, bronili się.

Pomalowani na biało Galejczycy otoczyli obszerne namioty dowództwa. Miecz mierzył w grupkę może piętnastu mężczyzn. W śniegu przed nimi leżały na plecach, w równym rzędku, ciała co najmniej trzydziestu osób.

Część żołnierzy Kahlan rzuciła na płonący już i dymiący stos bitewne proporce i chorągwie. Na śniegu wałały się puste baryłki. Ich wojska napadnięto, a dowódcy nie wydali żadnych rozkazów. Armia Imperialnego Ładu została bez dowództwa.

- Ci oficerowie byli już martwi. - Porucznik Sloan wskazał mieczem

rządek ciał. - Zadziałała trucizna. Tamci wciąż żyją, choć nie są w najlepszym stanie. Wszyscy leżeli w swoich namiotach. Z trudem postawiliśmy ich na nogi. Nie uwierzysz, ale chcieli od nas rumu. Pilnujemy ich, jak kazałaś.

Kahlan przyjrzała się twarzom zmarłych. Nie zobaczyła tej, której szukała. Spojrzała na jeńców. I tu go nie było.

- Gdzie Riggs? - spytała z twarzą Spowiedniczki stojącego na końcu szeregu keltońskiego oficera.

Zapytany spojrzał na nią wściekle i splunął. Kahlan popatrzyła na trzymającego go żołnierza. Przesunęła palcem po gardle. Nie zawahał się i oficer osunął się bezwładnie.

- Gdzie Riggs? - spytała następnego oficera. - Nie wiem! - odparł, miotając wokół spojrzenia. Dziewczyna przeciągnęła palcem po gardle. Upadł. Wpatrzyła się w stojącego przy nim d'haranskiego dowódcę.

- Gdzie Riggs?

Miał przerażone oczy, ale nie wystraszył się obu zakrwawionych ciał. To Kahlan go przerażała. Stojący przed nim duch.

Oblizwał wargi.

- Matka Spowiedniczka go zraniła. To znaczy ty. Przedtem. - Głos mu drżał. - Kiedy... żyłaś.

- Gdzie jest?

Drgnął i gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie wiem, potężny duchu! Był ranny, koń okaleczył mu twarz. Zajęli się nim lekarze. Nie wiem, gdzie stoją ich namioty.

- Kto wie, gdzie są namioty lekarzy?

Potrząsnęli przecząco głowami, drżąc i trzęsąc się. Kahlan poprowadziła konia wzdłuż szeregu oficerów. Zatrzymała się przed tym, którego znała.

- Z radością znów pana widzę, generale Karsh. Gdzie Riggs?

- Nawet gdybym wiedział, i tak bym ci nie powiedział. - Z uśmieszkiem gapił się na nią pożądliwie spod oka. - Lepiej wyglądasz na golasa, niżem się spodziewał. Czemu puszczasz się z takimi? Lepiej byśmy ci dogodzili niż te chłopaczki.

Pilnujący tak wykręcił mu ramię, że Karsh wrzasnął z bólu.

- Więcej szacunku dla Matki Spowiedniczki, ty keltoński wieprzu!

- Szacunku!? Dla machającej mieczem dziwki!? Nigdy! Kahlan nachylił się ku niemu.

- Te „chłopaczki” schwytały cię i pilnują. Powiedziałabym, że każdy z nich jest lepszy od ciebie. Chciałeś wojny, Karsh. Twoje życzenie się spełniło. Masz wojnę. Prawdziwą wojnę, a nie rzeź kobiet i dzieci. I to wojnę wydaną przeze mnie, Matkę Spowiedniczkę. Kobietę. Bezlitosną wojnę. - Dziewczyna wyprostowała się w siodle, pozwalając Karshowi gapić się na swoje piersi. - Mam wiadomość, Karsh. Dla Opiekuna. Zaraz przed nim staniesz. Przekaż mu ode mnie, żeby przyszykował sporo miejsca. Odeślę mu wszystkich stronników.

Kahlan powiodła wzrokiem po przytrzymujących oficerów żołnierzach. Szybko przeciągnęła palcem po gardle. Reakcja była równie szybka. Kiedy ciała osunęły się na ziemię, dziewczyna krzyknęła, przyciskając dłoń do szyi. Piekący ból przeszył ją w tym samym miejscu...

Był to ból wywołany dotknięciem ust Rahla Posepnego; ból, który poczuła, kiedy Rahl przyszedł do nich w domu duchów, kiedy dłonią wypalił Richardowi piętno. Wtedy pocałował ją w szyję i w milczeniu obiecał niewyobrażalne okropieństwa.

- Matko Spowiedniczko! Co się stało!?! - Żołnierze przyskoczyli do niej.

Kahlan cofnęła dłoń. Białe palce plamiła krew. Choć nie umiała powiedzieć, skąd to wie, dziewczyna nie miała wątpliwości, że to ślad pięknych, śnieżnobiałych zębów Rahla Posepnego.

- Matko Spowiedniczko! Masz krew na szyi!

- To nic. Nic mi nie jest. Pewno musnęła mnie przelatująca strzała. - Otrząsnęła się. - Głowę każdego oficera nabijcie na pał, by zobaczyli je wszyscy ich żołnierze i zrozumieli, że nie mają już dowódców. Pospieszcie się.

D'Haranczyści schodzili się zewsząd. Byli wszędzie, zanim zdołano nabić na pał ostatnią ociekającą krwią głowę. W większości byli pijani - rechotali, jakby to była jedynie pijacka burda. Otumanieni, chwiejący się na nogach, ale niebezpieczni przez samą swą liczebność. Byli niczym rój owadów: jednego powalonego natychmiast zastępowało dziesięciu.

Ludzie Kahlan bili się mężnie, lecz tamci wielokrotnie przewyższali ich liczebnością. Żołnierze, z którymi rozmawiała, których pokrzepiała i zachęcała do walki, na których wrzeszczała, z którymi się śmiała - padali, krzycząc z bólu i przerażenia. Pozostawali tu już zbyt długo.

Przed Kahlan wybuchła walna bitwa. Galejczyków zaczęto spychać do

tyłu. Jeżeli ich zepchną, to nie będą mogli uciec. Nie mogą się cofać trasą, którą tu przyszedli, z powrotem ku żołnierzom, których już pewno otrzeźwiła jatka, którzy odzyskali zdolność myślenia i ducha walki.

Bez elementu zaskoczenia byli jedynie gromadą nagich chłopców z jedną nagą kobietą. Wszyscy zginą, jeśli ponownie spróbują tego, co się raz udało. Musieli się przebić przed Armię Imperialnego Ładu na drugą stronę doliny. D'Haranczycy atakowali białe postacie. Krzepka łapa chwyciła kostkę Kahlan. Dziewczyna odcięła ją i potrząsnęła stopą, żeby pozbyć się dłoni.

Jeszcze trochę, a ta bestia ich połknie.

Kahlan, nie zważając na przedśmiertne krzyki swoich ludzi i lekceważąc obietnicę, że nie opuści ochronnego pierścienia najdzielniejszych galejskich zbrojnych oraz łamiąc przyrzeczenie, iż rozmyślnie nie narazi się na niebezpieczeństwo, skierowała Nicka w wir walki i jeszcze dalej - w głąb wrogich szeregów.

Miecz dziewczyny uderzał każdego przeciwnika, który znalazł się w zasięgu ciosu. Zacisnęła zęby i potężnymi zamachami cięła skórę i kości. Nadgarstek pulsował od wstrząsów, a ramię tak osłabło, że Kahlan obawiał się, iż lada moment nie zdoła dłużej utrzymać miecza.

Galejczycy rzucili się naprzód, przerażeni, że przeciwnicy wreszcie ściągną Kahlan z konia. Odepchnęli mroczną falę, przedarli się poza nią, a dziewczyna popędzała rumaka prosto w morze ciemnych skórzanych mundurów.

Kahlan stanęła w strzemionach i zawołała:

- Za Ebinissię! Za jej wymordowanych mieszkańców! Za jej ducha!

Okrzyk odniósł pożądany skutek. Żołnierze Ładu - skołowani przez białych przeciwników, lecz mimo to zdecydowani ich zmiażdżyć, kimkolwiek by byli - stanęli i zagapili się na białą, nagą kobietę, która nagle wyrosła pośród nich na koniu. Zachwiało się ich przekonanie, że to ludzie, a nie duchy ich napadli. Gapili się ze zdumieniem. Kahlan powiodła wzrokiem po wpatrzonych w nią oczach. Uniosła miecz i zakręciła nim nad głową takiego młynka, że pęd powietrza zwiął jej z ramion długie białe włosy.

- Przybyłam tu na rozkaz duchów pomordowanych, by ich pomścić!

Odziani w skórę żołnierze padli na kolana, odrzucili miecze, złożyli modlitewnie dłonie i unieśli je ku dziewczynie. Skamlali o ochronę. Błagali o litość. Zawodzili, prosząc o wybaczenie. Czy złudzenie byłoby równie

przekonujące, gdyby byli trzeźwi, dumiała Kahlan. Teraz jednak wywarła piorunujący efekt.

- Nie okazemy litości!

Unosili ku niej twarze; wszystkie oczy zachodziły łzami. Z tyłu zaatakowały ich miecze. Klęczących przeraziła nagła, gwałtowna, bezlitosna fala ostrej stali. Przekonała, że duchy zamierzają dopaść ich wszystkich. Poderwali się i uciekli, porzucając broń i wrzeszcząc ze strachu przed zaświatami.

Uczynili to, co zamierzali. Teraz czas działał na ich niekorzyść. Musieli się wycofać.

Ludzie Kahlan parli przed siebie - śmiertelnie groźna, bystra rzeka bieli, opływająca namioty i ogniska, wozy i żołnierzy - zaskakując otępiatego wroga, zabijając każdego, kogo zdołali. Biała śmierć zniknęła we mgle.

Kahlan obejrzała się za siebie i zobaczyła parę koni pociągowych; jeźdźcy unosili łańcuch. Dała im znak, żeby się pospieszyli i dołączyli do białej fali. Zaczęli odczepiać jeden koniec łańcucha z rożka chomąta oraz zwijać go w pętlę, by koniom łatwiej było biec, by mogli szybciej uciekać.

W oddali, po prawej, dziewczyna ujrzała we mgle szereg uwiązanych na noc wierzchowców. Spostrzegła, iż Brin i Peter podjechali ku sobie, zaczepili łańcuch na rożku chomąta i pognali galopem Daisy i Pipa. Chciała ich zawołać, nakazać, by trzymali się z innymi, że chyba nie sądzą, iż dopadną wszystkich; że i tak mnóstwo zdziałali i wreszcie muszą stąd zniknąć; że już za późno. Wiedziała jednak, że nie usłuchali by jej.

Brin puścił pętlę łańcucha. Tak pokierowali końmi, żeby łańcuch się napiął, i pognali ku uwiązanim zwierzętom. Kopyta potężnych rumaków z łomotem waliły o ziemię. Kahlan po raz ostatni spojrzała na Briana oraz Petera, wiedząc, że więcej już ich na tym świecie nie zobaczy, i odwróciła wzrok.

- Tam jest reszta wozów zaopatrzeniowych! - Wskazała mieczem.

Żołnierze wiedzieli, co robić. Oblali pojazdy naftą. Puścili w nie koła, rzucili pochodnie. Buchnęły płomienie. Kolejne pochodnie podpaliły namioty. Na obudzonego hałasem i ogniem wroga spadły miecze. Galejczycy coraz głębiej wchodzili we mgłę, a blask ognia oddalał się, zmieniając w pomarańczową poświatę.

Znienacka wydostali się z obozu i znaleźli na otwartej, zaśnieżonej

przestrzeni. Zostawili za sobą obozowisko i jego ognie, zamknęła się wokół nich ciemność. Biegący na przodzie zaczęli się potykać, rozglądać.

- Zwiadowcy naprzód! - wrzasnęła Kahlan. - Gdzie są zwiadowcy!?

Dwóch ludzi pognało ku przodowi. Wskazywali kierunek wypatrzonego szlaku. Dziewczyna obejrzała się za następnymi. Nie pojawił się już żaden. Popędziła Nicka i dogoniła ich.

- Gdzie pozostali!? Otrzymali rozkaz, by wskazywać drogę! Wilgotne oczy spojrzały na nią i bez słów odpowiedziały na jej pytanie.

- W porządku - oświadczyła. - Wy dwaj znacie drogę. Wyprowadźcie nas stąd.

Pięćdziesięciu żołnierzy przeszło tą trasą. Pięćdziesięciu, tak by zostało ich jeszcze sporo i mogli pokazać drogę. Ocaleli tylko dwaj.

Kahlan w milczeniu przeklinała duchy. Zawstydzona, odwołała owe przekleństwa. Duchy zostawiły jej przynajmniej tych dwóch - bez nich błąkałoby się we mgle, marzli i staliby się łatwym łupem dla ścigających ich żołnierzy Ładu.

Zatrzymała Nicka obok strumienia nagich żołnierzy. Energicznie zamachała ramieniem.

- Prędszej, prędszej, prędszej! Biegnijcie, niech was licho, biegnijcie! Bo nas dopadną! - Obok niej znaleźli się wojskowi na koniach pociągowych. Nie było wśród nich Brina i Petera. - Woźnice! Idźcie za tamtym zwiadowcą! Pokaże wam drogę! - Dali znak, że pamiętają.

Mimo Kahlan przybiegli ludzie w d'haranskich mundurach, z naszytymi na epoletach kawałkami białego płótna na znak, że są Galejczykami, którzy wśliznęli się do obozu wroga w uniformach jego wartowników.

- Nie zapomnijcie powyrywać palików, zanim wsiądziecie na konie. Po dwóch, trzech, mieli dosiąść pociągowych koni i pojechać do jednego z małych obozów, którymi otoczyli przeciwnika. Za dnia porobili ślady po całej dolinie, żeby bez wbitych w śnieg palików nikt nie odnalazł drogi do tych obozowisk.

Wróg łatwo poszedłby śladem zostawionym przez brnących w śniegu żołnierzy. Lecz mieli się zająć i tym.

W oddali, po stronie obozu Armii Ładu, tylna straż wdała się w bitwę. Porucznik Sloan miał temu zapobiec i pogonić tych z tyłu.

Kahlan, znów przeklinając, pogalopowała tam. Runęła pomiędzy

walczących, zawróciła i znów przejechała pomiędzy nimi, rozdzielając obie strony. Odziani w skóry D'Haranczycy cofnęli się na widok białego ducha kobiety galopującego na białym koniu.

- Co z wami!?! - Dziewczyna znalazła się wśród Galejczyków. - Przecież znacie rozkazy! Biegnijcie albo was zabiją!

Ruszyli, wlokąc jakieś ciało.

- Gdzie porucznik Sloan!?! Miał tutaj być!

Kiwnęli głowami w stronę wleczonego przez nich ciała. W rozłupanej czaszce widać było mózg. Porucznik Sloan. D'Haranczycy znów zaatakowali. Kahlan ściągnęła wodze i Nick stanął dęba. Wrogowie się cofnęli.

- Nie żyje! Zostawcie go! Biegnijcie! Uciekajcie, głupcy! Niech się tylko który znów zatrzyma bez powodu, a przez resztę wojny będzie walczył nago! Biegnijcie!

Tym razem ruszyli pędem, wzbijając śnieg. Uciekali, ratując życie. Kahlan ponownie przemknęła przez linię pijanych D'Haranczyków - cofali się w panice i przewracali jeden o drugiego. Musiała ich zatrzymać, żeby jej ludzie mogli się wystarczająco oddalić.

Dziewczyna prowadziła Nicka tam i z powrotem wśród przeciwników, tratując tych, którzy znaleźli się na jej drodze. Rozbiegali się, przerażeni duchem białej kobiety. Niektórzy błagali duchy o obronę, lecz inni wymachiwali orężem. Jeżeli podetną Nickowi nogi...

Otaczali Kahlan, a ona broniła się mieczem i tratowała ich kopytami rumaka. Jej ludzie niknęli we mgle. Uciekajcie, błagała ich uciekajcie. Uderzała klingą tych, którzy sięgali po nią. Kiedy znów się obejrzała, zobaczyła jedynie mrok i mgłę. Od tego ciągłego zawracania konia i szarżowania traciła poczucie kierunku, ale dała swoim czas potrzebny na ucieczkę. Spróbowała się wyrwać, lecz tamci roili się wokół i coraz więcej ich przybywało. Jedyni wrzeszczeli do drugich, że to tylko kobieta, a nie duch, i że nie pozwolą uciec tej babie. Kahlan czuła się bardziej naga niż przedtem.

Żołnierze przyłgnęli do nóg Nicka, a mimo iż stawał dęba i odrzucał ich kopnięciami, coraz więcej wczepiało się w niego, wytrącając wielkiego konia z równowagi swoim ciężarem. Kahlan wściekle atakowała ich mieczem, odrąbując ramiona, rozłupując czaszki i dżgając korpusy.

Otoczona morzem wojowników, zdała sobie nagle sprawę, że nie da rady. Że jeśli ściągną ją z konia, którego zdołali już zresztą unieruchomić, to

będzie po niej. Nie pokona ich, choćby nie wiem co. Po raz pierwszy tej nocy wystraszyła się, iż sobie nie poradzi. Umrze tu, na śniegu, w wypełnionej mgłą dolinie. Już nigdy nie ujrzy Richarda.

Ślad po ugryzieniu przeszył nagły, lodowaty ból Ukąszenie Rahla Posepnego. Dziewczynie zdawało się, iż usłyszała cichy śmiech.

Cięła mieczem sięgających po nią żołnierzy. Krzepkie paluchy wpiły się w jej nogi. Ból zmusił ją do panicznego zamachu orężem. Nickowi udało się okręcić, stopy żołnierzy zawirowały w powietrzu, lecz trzymali się mocno. Kahlan odrąbywała ramiona. Kolejne ręce wczepiały się w wędzidło, odbierając dziewczynie kontrolę nad zwierzęciem. Koń to wspaniały łup, nie chcieli, żeby ktoś go zabił, przynajmniej dopóki to oni kontrolowali sytuację.

Potężny żołnierz złapał za róg siodła i podciągnął się.

- Nie zabijajcie jej! To Matka Spowiedniczka! Nie zabijajcie jej! Musi żyć, kiedy będą jej obcinać głowę!

Kahlan cięła go w szyję. Strumień gorącej krwi trysnął na jej uda.

- Nie zabijajcie jej! - ryknął następny. - Ściągnąć sukę na dół!

Poparły go radosne wrzaski.

Uderzyła mieczem wczepiające się w nią dłonie. Palce drapały jej nogi. Oczy gapiły się na nią pożądliwie. Kahlan dziko uderzała mieczem, a Nick chwiał się i usiłował uwolnić łeb, ale żołnierze krzepko trzymali wędzidło. Któryś podskoczył i złapał Kahlan za włosy. Krzyknęła, bo szarpnął i ściągnął ją z siodła. Padła na ziemię i wyciągnęły się po nią łapy. Dziewczynę oblepił rój żołdaków. Wielkie dłonie chwyciły jej nogi, kostki, piersi, objęły ją w pasie. Palce uchwyciły miecz, usiłując go jej wyrwać. Kahlan przekręciła tam i z powrotem rękojeść i poprzecinała je. Broniła się zażarcie. Przygniatali ją do ziemi, uniemożliwiając oddychanie. Gryzła palce zatykające jej usta. Potężna pięść uderzyła ją w szczękę.

W końcu unieruchomili młóćące ramiona dziewczyny.

Zbyt wielu ich było.

Kocham cię, najdroższy Richardzie.

ROZDZIAŁ 45

Kahlan ze wszystkich sił starała się zaczerpnąć powietrza, lecz nie mogła - zważyło się na nią zbyt wielu żołnierzy, zbyt wielki ciężar przygniatał ją do ziemi. Oczy paliły od łez. Upadli na nią kolejni żołdacy. W brzuch dziewczyny wbijał się czyjś potężny łokieć; miała wrażenie, że ją rozpołowi. Na twarzy czuła cuchnące alkoholem oddechy.

Pole widzenia dziewczyny zmniejszyło się do niewielkiego punktu. Wszystko wokół tego ośrodka zalewała czerń, a on sam się zmniejszał. Połknęła krew. Swoją krew.

Dziewczyna usłyszała coś, co brzmiało jak pomruk odległego grzmotu. Najpierw tylko wyczuwała wibracje wciśniętymi w ziemię plecami, potem jednak ów dźwięk się przybliżył, stał się głośniejszy, wyraźniejszy. Do jej uszu dotarły wrzaski żołnierzy.

Niektórzy z tych, którzy przygniatali Kahlan do ziemi, unieśli głowy i obejrzel się. Ich nacisk nieco zelżał - nareszcie mogła wziąć oddech. Jeszcze nigdy nie było to tak wspaniałe.

Leżący na dziewczynie olbrzym, ten, który uderzył ją w twarz, obrócił głowę ku grzmotowi, odwracając od niej swoje płonące oko. Okazało się, że przez drugie, w dół policzka, biegnie blizna. Pusty oczodół został zaszyty. Kahlan jakoś uwolniła dłoń. Złapała olbrzyma za gardło.

Usłyszała metaliczny brzęk. Nagle pojęła, że ten grzmot to tętent kopyt. Z mgły wypadły Daisy i Pip, niosąc Briana i Petera. Jeźdźcy mknęli w pełnym galopie wzdłuż szeregu D'Harańczyków, kosząc ich łańcuchem. Gnali ku niej jak znoszące drzewa górskie osuwisko. Żołnierze, skamieniali ze strachu, gapili się na nich. Palce Kahlan zacisnęły się na gardle jednookiego.

Uwolniła swoją moc.

Poraziła go magia.

Bezgłośny grom zagrzechotał kolczugami.

Ogłuszający wstrząs sprawił, że żołnierze się cofnęli. Krzyczeli z bólu - byli zbyt blisko uwolnionej magii. Śnieg uniósł się pierścieniem, zawirował.

Stojący nad Kahlan Nick także podskoczył z bólu. Jego tylna noga trafiła na głowę żołnierza tkwiącego tuż koło ucha dziewczyny. Czaszka pękła pod tym ciężarem, a krew i mózg trysnęły na policzek Kahlan.

Jednooki gapił się na nią.

- O pani! - wyszeptał. - Rozkazuj mi, błagam.

- Broń mnie! - wrzasnęła.

Usiadł gwałtownie, napiął potężne mięśnie. Obiema dłońmi chwycił żołnierzy za włosy i odrzucił ich na bok jak lalki.

Prawe ramię Kahlan było wolne. Cięła żołdaka po swojej lewej stronie, rozplatała mu twarz. Jednooki z rykiem odrzucał na bok byłych kolegów. Konie pociągowe mknęły pełnym galopem.

Dziewczyna była wolna. Poderwała się na nogi. Łańcuch był tuż-tuż.

- Pomóż mi dosiąść konia!

Jednooki złapał ją za kostkę i podsadził na siodło. Kahlan wciąż miała w dłoni miecz. Nachyliła się do przodu i pchnęła żołnierza trzymającego wędzidło, trzymającego swoją zdobycz. Czubek klingi rozplatał mu bok twarzy i pół ramienia. Raniony odskoczył z wrzaskiem. Dziewczyna chwyciła wodze. Olbrzym z rykiem rozłupywał swoim bojowym toporem głowy i rozcinał żebra.

- Jedź, o pani! Uciekaj! Orsk cię ochroni!

- Jadę! Uciekaj, Orsk! Nie pozwól się złapać!

D'Haranczycy porzucili Kahlan i jej konia, by zająć się nowym zagrożeniem: Orskiem i łańcuchem. Dziewczyna uderzyła piętami żebra Nicka i poderwała go do galopu w chwili, kiedy zrównali się z nią Brin i Peter. Wsunęła bosc stopy w strzemiona i pomknęli.

Kahlan dostrzegł ślad wydeptany przez setki stóp i pojechała nim przez dolinę, we mgłę, zostawiając żołnierzy Armii Ładu, żeby zebrali myśli. Zajęło im to ledwie sekundy. Pognali za nią. Stanowczo zbyt wielu zostało jeszcze przy życiu. Tysiące.

Peter odpiął łańcuch, który na pewno połamał setki kości i karków. Koniec złącza podskakiwał z tyłu. Kościste palce Brina ciągnęły go i zwijały w pętlę na chomącie.

Galopującej w noc Kahlan zdawało się, że słyszy milknący z tyłu cichy śmiech. Zadrzała, przypomniawszy sobie pocałunek Rahla Posepnego. Nieoczekiwanie znów poczuła się przeraźliwie naga. Spływała potem, choć na całym ciele czuła dotknięcia iskierki lodowato zimnej mgły. Z obrzmiałej wargi sączyła się krew.

- Nie spodziewałam się, że was jeszcze w życiu zobaczę - wrzasnęła,

przekrzykując łomot kopyt.

Brin i Peter, wciąż w tych za dużych płaszczach, uśmiechnęli się w mroku.

- Powiedzieliśmy ci, że damy sobie radę - rzucił Brin.

- Obaj jesteście cudowni. - Kahlan uśmiechnęła się, po raz pierwszy tej nocy.

Dostrzegła znikające we mgle zady reszty koni pociągowych. Wskazała je chłopcom.

- Tam są wasi. Powodzenia. Pomachali jej na pożegnanie i odjechali.

Kahlan galopowała samotnie i wkrótce dopędziła piechotę.

Najpierw zobaczyła tylko jednego żołnierza. Miał straszliwie zranioną nogę i został daleko z tyłu. Wiedziała, że powinna go zostawić. Wiedziała, że powinna. D'Haranczyzy byli tuż-tuż. Kiedy się doń zbliżała, brnący w śniegu żołnierz uniósł głowę. Wiedział, że musi go porzucić. Takie były rozkazy. Jej rozkazy. Nie odstawaj, bo cię zostawimy. Żadnych wyjątków.

Przejeżdżając obok niego, pochyliła się, wyciągnęła rękę. Chwycili się za nadgarstki i wwindowała go za siebie.

- Złap się, żołnierzu.

Rozłożył ramiona, usiłując zachować równowagę na galopującym koniu. Bał się jej dotknąć. - Ale... czego? - W pasie! Obejmij mnie w pasie!

- Ale... - Nadal balansował ramionami i chwiały się.

- Jeszcze nigdy nie obejmowałaś kobiety?

- Ooowszem... lecz była ubrana - wyjęczał.

- Obejmij mnie albo spadniesz i już po ciebie nie wrócę. Niechętnie, ostrożnie otoczył ramionami talię Kahlan. Bardzo uważał, żeby nie dotknąć niczego osobliwego. Kahlan poklepała pokrzepiająco dłoń chłopaka.

- Nie rób z igły wideł. - Uśmiechnęła się, bo chrząknął z zażenowaniem.

Dziewczyna czuła, jak ciepła krew młodzieńca spływa po jej nodze, skapując z palców stóp. Słyszała z tyłu wrzaski ścigających ich wrogów. Ranny tracił mnóstwo krwi. Wyczerpany, położył głowę na ramieniu Kahlan. Raz-dwa wykrwawi się na śmierć, jeżeli szybko nie ucisną mu tej rany. Była naga i nawet gdyby mieli czas się zatrzymać, nie miała niczego, co mogłoby posłużyć jako bandaż.

- Zaciśnij ranę dłonią - nakazała mu. - Zewrzyj ją tak silnie, jak tylko zdołasz. I trzymaj się mnie mocno drugim ramieniem. Nie chcę, żebyś spadł.

Puścił jedną ręką talię dziewczyny i z całej siły zacisnął ranę. Jechali tuż za swoimi. Żołnierze byli zmarznięci i zmęczeni. Ci z Armii Ładu nie byli daleko. Kahlan dostrzegła ich, kiedy się obejrzała. Wstrząsnęła nią ich liczebność. Wrzeszczeli i przeklinali.

- Biegnijcie! Biegnijcie, bo nas złapią!

Przed nimi wyrosła skalna ściana; z załomków i szczelin sterczały sękate drzewa. Żołnierze pognali w górę wąską ścieżką, jakby od tego zależało ich życie. Bo tak i było.

Kiedy zaczęli się wspinać rozpadliną, Kahlan trzy razy uderzyła klingą w skałę: dała sygnał.

- Jeszcze tam nie dotarliśmy! - zawołał ten, który biegł przed dziewczyną, obracając się ku niej. - Za prędko! Zginiemy razem z wrogami!

- Więc lepiej się pospiesz! Jeśli zaczekamy zbyt długo, to i oni się przedostaną!

Znów trzykrotnie uderzyła w skałę, brzęk stali rozniósł się w mrocznym, wilgotnym powietrzu. Miała nadzieję, że to zadziała: w tym wypadku, rzecz jasna, nie mogli przeprowadzić próby. Ci na przedzie gramolili się w górę szlakiem. Kopyta Nicka ślizgały się czasem na ośnieżonej skale.

Kahlan najpierw to wyczuła - dudnienie w głębi piersi, zbyt ciche, żeby je usłyszeć, lecz nazbyt potężne, by go nie wyczuć. Spojrzała ku górze wypolerowanej oparami skały, która niknęła w mroku i we mgle. Jeszcze nic nie widziała, ale czuła, iż nadchodzi.

Miała nadzieję, że żołnierz się mylił, że to nie będzie za prędko. Kiedy usłyszała bojowe wrzaski pościgu, zrozumiała, iż nie mieli wyboru.

W końcu to usłyszała: huczący ryk, jakby poruszała się ziemia. Słyszała pękające pnie drzew. Okropny grzmot odbijał się echem od otaczających ich skalnych ścian. Ziemia drżała.

- Biegiem! Już szybciej nie potraficie!?! Chcecie być żywcem zakopani!?! Biegiem!

Wiedziała, że biegną tak prędko, jak tylko mogą, ale byli pieszo i z grzbietu konia wydawali się rozpaczliwie powolni. Śmiertelnie powolni.

Dobiegający z gór ryk przybierał na sile, w miarę jak wałyły na nich niezliczone tony śniegu. Kahlan była uradowana, że tym na górze udało się na rozkaz spuścić lawinę. Równocześnie bała się, iż zbyt wcześnie wydała ów rozkaz.

Gruda wilgotnego śniegu uderzyła dziewczynę w twarz, druga w ramię. Niewielkie pacyny przelatwały pomiędzy rosnącymi powyżej drzewami i spadały w przepaść. Twarz Kahlan owiała chmura puszystego śniegu. Grzmot był ogłuszający.

Rycząca śnieżna rzeka spływała ze skalnego występu. Przedarli się jak przez wodospad. Za Kahlan uderzył w trakt pień drzewa, odbił się i poleciał w przepaść. W samą porę umknęli lawinie z drogi.

Żołnierze Imperialnego Ładu nie mieli tyle szczęścia. Runęły na nich masy osuwającego się śniegu, wymieszanego z głazami i drzewami. Zmyła ich biała śmierć. Potężny ryk zagłuszył wrzaski unoszonych przez lawinę ludzi, przewalanych ze zwałami śniegu, zagrzebywanych żywcem.

Kahlan odetchnęła z ulgą. Tędy nikt nie będzie mógł ich ścigać. Przejście zostało zasypane.

Zdyszani żołnierze zwolnili, lecz nie za bardzo, bo pozamarzaliby. Rozgrzewało ich szybkie tempo. Dziewczyna wiedziała, że ich owinięte w białe płótno stopy wcale nie są ciepłe. Zrobili dla niej wszystko, co było w ich mocy. Uczynili, co było w ich mocy, dla Midlandów. Wielu oddało życie.

Kahlan z trudem utrzymywała się na Nicku. Była straszliwie wyczerpana brakiem snu, pobitewnym zmęczeniem, przeżytym dopiero co strachem, użyciem swojej mocy. Już niedługo odpocznę, powiedziała sobie, już niedługo. Już niedługo.

- Udało się nam, żołnierzu. - Poklepała dłoń na swoim brzuchu. Już jesteśmy bezpieczni.

- Tak, Matko Spowiedniczko - wyszeptał półprzytomnie. - Przepraszam, Matko Spowiedniczko.

- Za co?

- Zabiłem tylko siedemnastu. Przepraszam. Przynależem sobie, że dostanę dwudziestu. A udało mi się tylko siedemnastu - wymamrotał.

- Znam bitewnych bohaterów, odznaczonych żołnierzy, którzy w walce nie powalili nawet połowy z tyłu, ilu ty. Jestem z ciebie dumna. Midlandy są z ciebie dumne. Możesz być z siebie dumny, żołnierzu.

Wymruczał coś, czego nie zrozumiała.

- Zaraz się tobą zajmą. - Znów poklepała go po dłoni. - Trzymaj się. Wydobrejiesz.

Nie odpowiedział. Obejrzała się za siebie i popatrzyła w dół szlaku - biel i

cisza. W odległych, mrocznych górach zawył wilk.

Wkrótce potem dotarli do obozu, wysoko na płaskowyżu. Ci, którzy szli na początku, już trzęśli się wokół ognisk, poowijani w koce, rozgrzewając stopy. Niektórzy ubierali się pod kocami. Żołnierze narzucali je na poprzedzających Kahlan i opatrywali rannych. Niektórzy ranni jęczeli z bólu, który poczuli dopiero teraz, kiedy wyparowało zacierzowanie walką. Dziewczynie zaczęła pulsować warga.

Trochę dalej, widoczni w blasku niewielkich ognisk, biegali tu i tam Prindin i Tossidin, szukając nowo przybyłych. Zobaczyli Kahlan na koniu i odetchnęli z ulgą; obdarzyli dziewczynę bliźniaczymi uśmiechami.

Nadbiegł kapitan Ryan w d'haranskim mundurze, z obandażowaną lewą ręką. Jedni żołnierze chwycili wodze, inni wyciągnęli ręce po nieprzytomnego chłopaka, którego Kahlan powoli opuściła na ziemię.

Przybiegł Prindin, niosąc futrzaną pelerynę. Stał, trzymając rozłożone okrycie, i czekał, aż Kahlan zsiądzie z Nicka. Uśmiechał się promiennie do dziewczyny.

Kahlan nie zsiadła, lecz z wolna wyciągnęła ku niemu rękę.

- Już tyle oczu gapiło się na mnie, że mam tego dość na resztę życia. Rzuć mi ją!

Prindin odruchowo wzruszył ramionami i rzucił jej okrycie. Tossidin trzepnął brata w kark. Żołnierze umilkli. Odwrócili się z zakłopotaniem, a Kahlan otuliła się peleryną i zawiązała ją. Zsunęła się z konia i stwierdziła, że ledwo może utrzymać się na nogach. Posłużyła się mieczem jak laską. Przez chwilę stała nieruchomo, czekając, aż świat przestanie wirować. Spojrzała na żołnierza, leżącego w śniegu u jej stóp.

- Dlaczego nikt go nie opatruje? Nie stójcie tak, pomóżcie mu! - Nikt się nie poruszył. - Pomóżcie mu!

Zbliżył się do niej kapitan Ryan. Patrzył w ziemię.

- Przykro mi, Matko Spowiedniczko. On nie żyje.

Kahlan zacisnęła dłoń w pięść.

- On nie jest martwy! Dopiero co z nim rozmawiałam! - Nikt nawet nie drgnął. Uderzyła pięścią w pierś leżącego. - On nie jest martwy! Nie jest!

Wszyscy odwrócili oczy. Nikt nic nie powiedział. Kahlan spojrzała w końcu na żołnierzy siedzących wokół ognisk, na wszystkie zwieszane głowy. Opuściła rękę.

- Zabił siedemnastu - powiedziała kapitanowi Ryanowi. - Zabił siedemnastu - powtórzyła głośniejszym głosem, żeby i tamci usłyszeli.

- Dobrze się spisał - orzekł kapitan Ryan. - Jesteśmy z niego dumni.

Dziewczyna patrzyła na uniesione wreszcie twarze.

- Wybaczcie mi. Wybaczcie mi wszyscy, proszę. Każdy z was dobrze się spisał. - Opuścił ją gniew. - Jestem z was dumna. W moich oczach i w oczach Midlandów jesteście bohaterami.

Żołnierze odrobinę wyjaśnili. Niektórzy wrócili do posiłku, inni zaczęli rozdawać miseczki z fasolą, czerpaną z zawieszonych nad ogniem kociołków. Kilku oddziało kawałki chlebowych placków i maczało je w fasoli.

- Gdzie Chandalen? - spytała dziewczyna, wkładając podane przez Tossidina buty.

- Poszedł z łucznikami. Pewnie właśnie strzela do D'Harancyków.

Kiedy bracia odeszli, kapitan Ryan pochylił się ku Kahlan i zniżył głos.

- Cieszę się, że ci trzej są po naszej stronie. Szkoda, że nie widziałaś, jak zdejmowali wartowników. Zwłaszcza Prindin, z tą swoją *troga*, był niczym sama śmierć. To było niesamowite: pojawiali się to tu, to tam, a nigdy się nie wiedziało, jak nadchodzą. Nic nie usłyszałem. Po prostu zjawili się z mundurami wartowników.

- Powinieneś zobaczyć ich przy robocie na otwartym stepie, w pełni dnia.

- Dziewczyna zmierzyła Ryana wzrokiem; zdołała się uśmiechnąć. - Dobrze ci w tym. Ładnie na tobie leży.

Ryan szarpnął się za ramię.

- Jak oni mogą cały czas nosić te ciężkie kolczugi? - Włożył palec w nacięcie skóry. - Cieszę się jednak, że miałem to na sobie.

- Jak poszło? Ilu ludzi straciłeś?

- Udało się nam wykonać prawie wszystko, co zamierzaliśmy. W tych mundurach rzadko kiedy musieliśmy się bić. Mało kto zwracał na nas uwagę, z wyjątkiem tych, którzy zabijaliśmy. Straciliśmy zaledwie kilku ludzi. - Spojrzał przez ramię. - Wygląda na to, że miałaś najgorzej. Wtedy się zaczęło. Straciliśmy czterystu z tysiąca zbrojnych, którzy poszli do obozu.

Kahlan patrzyła na Ryana i na żołnierzy siedzących wokół ognisk.

- O mało nie straciliśmy wszystkich. - Znów spojrzała na kapitana. - Wspaniale się spisali. Woźnice też.

Ułożył wygodniej zabandażowaną rękę.

- Sądząc po tym, co słyszałem, rzadko który zabił mniej niż dziesięciu wrogów, a wielu z nich uśmierciło o wiele więcej. Wyrwaliśmy Armii Ładu spory kawał boku.

Kahlan przełknęła ślinę.

- Oni wyrwali spory kawał nam.

- Czy żołnierze zrobili, jak im kazałem? - spytał. - Dobrze cię strzegli?

- Trzymali ode mnie wrogów na taką odległość, że nawet nie wiem, jak wyglądali. Boję się, iż nie zdołałam okryć chwałą twojego miecza, choć dobrze go było mieć ze sobą. Mam nadzieję, że wystarczy ci, iż trzymałam miecz przy sobie.

Ryan zmarszczył brwi i odchylił się w bok, próbując lepiej dojrzeć jej twarz w blasku ognia.

- Masz rozciętą wargę. - Rzucił okiem na wierzchowca Kahlan, z którego żołnierze zdejmowali uprząż. - Ten koń jest pokryty krwią. I ty również, nieprawdaż? - To był zarzut, nie pytanie.

Dziewczyna patrzyła w ogień.

- Jakiś pijany czymś we mnie rzucił. To mi rozcięło wargę. Ów ranny żołnierz, którego przywiozłam, wykrwawił się na konia i na mnie. - Powiodła wzrokiem po młodych twarzach wokół ogniska. - Chciałabym spisać się choć w połowie tak dobrze jak oni. Byli wspaniali.

Ryan mruknął podejrzliwie. - Cieszę się, że wróciłaś.

- Reszta w porządku? Łucznicy, jazda? Musimy jak najlepiej wykorzystać tę okazję, kiedy są pijani i chorzy od trucizny. Tę pogodę również musimy jak najlepiej wykorzystać. Nie możemy ani na chwilę dać im spokoju. Jedno błyskawiczne uderzenie po drugim. Żadnych bitew. Krótkie, szybkie ataki, zawsze z innego kierunku.

- Wszyscy wiedzą, co do nich należy, i czekają na swoją kolej. Łucznicy powinni być wkrótce gotowi, potem jazda, a później pikinierzy. Zajmiemy się wartami, gdy tylko je wystawią. Nasi ludzie będą spać na zmianę, lecz Imperialny Ład już nie zazna snu.

- Znakomicie. Ci żołnierze powinni wypocząć. Rankiem znów nadejdzie ich kolej. - Dziewczyna uniosła palec. - „Pamiętaj o najważniejszym” - zacytowała ojca. - „Przemoc i panika to broń, którą najłatwiej pokonać rozsądek”. Nie zapominaj o tym. Oni posługują się tą bronią, a teraz my

musimy ją obrócić przeciwko nim.

Prindin powtórnie ukazał się w blasku ogniska.

- Matko Spowiedniczko. Przygotowaliśmy ci z bratem schronienie, kiedy czekaliśmy na twój powrót. Zanieśliśmy tam twoje odzienie i gorącą wodę, żebyś się wykąpała, jeśli chcesz.

Kahlan usiłował nie pokazać po sobie, jak bardzo pragnie zmyć odór wojny.

- Dziękuję, Prindinie.

Wyciągnął rękę, wskazując drogę do niewielkiej polanki. Bracia zbudowali obszerną chatkę z balsamicznych gałęzi, które obsypali śniegiem. Kahlan wpełzła przez niziutkie wejście i stwierdziła, że w środku palą się świece. Ośnieżony grunt również pokryto gałęziami, dzięki czemu wewnątrz przyjemnie pachniało. Pośrodku leżały rozgrzane kamienie, obok nich stało wiadro gorącej wody. Dziewczyna ogrzała palce nad kamieniami.

Bracia urządzili jej na noc ciepłe i wygodne schronienie. Był tu plecak Kahlan i jej ubranie, ułożone w równiutki stosik. Dziewczyna zdjęła otrzymany od Adie naszyjnik, ten z okrągłą kością. Tylko ów naszyjnik miała na sobie podczas walki. Przytuliła go na moment do policzka, a potem umyła. Przypominał jej o naszyjniku, który dostała od matki.

Kahlan zanurzyła w wiadrze głowę, umyła włosy, a potem dokładnie się wymyła. Właściwie było to jedynie wycieranie się gąbką, lecz i tak cudownie było spłukać z siebie krew i ślady dotyku tamtych łap. Dziewczyna zmuszała się do myślenia o czym innym, żeby nie dostać mdłości. Rozmyślała o Richardzie, o jego chłopięcym uśmiechu, który nieodmiennie sprawiał, że i ona się uśmiechała; o szarych oczach chłopaka patrzących prosto w jej oczy. W końcu umyła się i położyła, by wysuszyć włosy na rozgrzanych kamieniach.

Rozpaczliwie potrzebowała snu. Wciąż jeszcze nie odzyskała mocy Spowiedniczki wykorzystanej do porażenia jednookiego, do porażenia Orska. Czuła w sobie pustkę, której dotąd nie wypełniła moc. Jeszcze trochę potrwa, zanim owa pustka się wypełni. Dopóki się nie prześpi, nie pozbędzie się mdłości i dręczącego wyczerpania. Tak bardzo pragnęła ułożyć się w śpiworze i zasnąć. Już tak długo nie spała; była strasznie śpiąca. Lecz nie mogła się przespać. Jeszcze nie.

Kahlan zawiesiła na szyi kościany naszyjnik i z trudem się ubrała. Wyjęła

z plecaka maść, wmasowała w pękniętą wargę. Kiedy chowała pojemniczek, zobaczyła kościany nóż, który dał jej Chandalen; na powrót przymocowała broń do ramienia. Była tak zmęczona, że ledwo zdołała się podnieść, ale musiała jeszcze coś załatwić, nim zaśnie: musiała zobaczyć swoich żołnierzy. Nie mogła dopuścić, by sądzili, że nie bardzo bierze sobie do serca ich sprawy. Ofiarowali jej swoje życie - powinna im podziękować w imieniu Midlandów.

Czysta - długie włosy znów były puszyste i lśniące - i nareszcie ciepło ubrana, otulona peleryną, wędrowała pośród obozowych ognisk. Uważnie słuchała paplaniny jednych i spokojnych, wyważonych słów drugich. Rozmawiała ze wszystkimi, którzy o coś pytali, rozdawała wokół pokrępiające uśmiechy i dawała im odczuć, jak bardzo jest dumna z ich dokonań. Przyklękała przy rannych, sprawdzając, czy im ciepło, i przykładła dłoń do ich policzków, pocieszając i życząc zdrowia oraz szybkiego wygojenia ran. Również ona czuła ulgę, kiedy jej dotyk niósł im ukojenie.

Przy ognisku siedziało dziesięciu milczących żołnierzy; jeden z nich drżał, lecz na pewno nie z zimna, uznała dziewczyna.

- Co u was? W porządku? Rozgrzewacie się powoli? Obecność dziewczyny zaskoczyła i uradowała żołnierza.

- Tak, Matko Spowiedniczko. - Znów zadrżał i zaszczekał zębami. - Nigdy nie sądziłem, że to będzie tak wyglądało. - Opanował się i wskazał pozostałych. - To moi przyjaciele. Sześciu nie powróciło.

Kahlan jedną ręką zacisnęła pelerynę, drugą odgarnęła włosy z czoła.

- Tak mi przykro. I ja nad tym boleję. Chciałam wam powiedzieć, że jestem z was dumna. W życiu nie widziałam tak dzielnych żołnierzy.

Chłopiec zachichotał nerwowo.

- Wszyscy byśmy zginęli, gdyby nie ty. Spychali nas i roznosili w puch, a oto ty, we własnej osobie, szarżujesz na wroga. Tamci skupili na tobie całą uwagę i w tym zamieszaniu rzuciliśmy się do kontrataku. Ocaliłaś nas. - Potrząsnął głową. - Chciałbym zabić choć połowę tych, których tej nocy uśmierciłaś. - Jego koledzy z zapałem przytaknęli. Chłopiec przesunął po twarzy drżącymi palcami. - Dzięki, Matko Spowiedniczko. I my bylibyśmy ranni, gdyby nie twój czyn. - Uśmiechnął się do niej nerwowo. - Jeśli miałbym wybierać, to poszedłbym w bój nie pod dowództwem księcia Harolda, a pod twoim.

- Nieźle robi mieczem, co?

Kahlan drgnęła, słysząc ów głos. Żołnierz spojrział na stojącego z nią kapitana Ryana.

- Mogłaby nauczyć paru rzeczy naszych zbrojnych. Nie uwierzyłbyś, co ona...

Dziewczyna poklepała go po ramieniu.

- Jadłeś coś?

Wskazała zawieszony nad ogniem kociołek z fasolą.

- Czy podzielisz ją z nami, Matko Spowiedniczko? Kahlan ledwo powstrzymała mdłości.

- Jedzcie, chłopcy, Musicie być silni. Dzięki za poczęstunek, lecz najpierw muszę się zobaczyć z innymi.

Kapitan Ryan poszedł za nią.

- Sądziłem, że mogłaś mieć kłopoty z walką mieczem. Ci, którzy zdejmowali siodło z twojego konia, powiedzieli mi, że znaleźli dłonie i palce wczepione w rzemienie popręgu. A i w innych miejscach też.

Dziewczyna uśmiechała się do mijanych żołnierzy. Unosili w pozdrowieniu dłonie lub skłaniali głowy.

- Czyżbyś zapomniał, kim był mój ojciec? Nauczył mnie robić mieczem.

- To nie znaczy, Matko Spowiedniczko...

- Porucznik Sloan zginął. Ryan na chwilę umilkł.

- Wiem. Powiedzieli mi. - Podtrzymał Kahlan, kiedy się potknęła. - Nie za dobrze wyglądasz. To już niektórzy z otrutych wyglądali lepiej niż ty.

- To przez to, że od tak dawna nie spałam. - Nie powiedziała mu, iż kolejny raz posłużyła się swoją mocą. - Jestem śmiertelnie zmęczona.

Stojący przed chatką Tossidin podsunął Kahlan miseczkę fasoli. Dziewczyna zasłoniła usta dłonią, zamknęła oczy. Widok i zapach stawy sprawił, że o mało nie zemdlą. Tossidin, jak się wydawało, zrozumiał i zabrał jedzenie. Prindin podtrzymał Kahlan pod drugie ramię.

- Powinnaś coś zjeść, Matko Spowiedniczko, ale bardziej potrzebujesz wypoczynku. - Kahlan potwierdziła skinieniem głowy. - Przygotowałem ci herbatę. Uznałem, że ci się to przyda. - Prindin wskazał brodą chatkę. - Jest w środku.

- O tak, herbata uspokoi mój żołądek. - Kahlan ścisnęła ramię kapitana. - Obudź mnie rankiem, kiedy nadejdzie pora następnego ataku. Pójdę z

żołnierzami.

- Jeżeli dostatecznie wypoczniesz. Tylko jeśli... - Zamilkł pod jej spojrzeniem. - Tak, Matko Spowiedniczko. Obudzę cię osobiście.

Dziewczyna znalazła się w przytulnej chatce - popijała gorącą herbatę i trzęsa się. Kręciło się jej w głowie. Pociągnęła za ledwie kilka łyków i padła na posłanie. Lepiej się poczuje, powiedziała sobie, kiedy wypocznę. Wreszcie poczuła, jak budzi się w niej moc, jak nabrzmiwa dobrze znana siła. Kahlan zwinęła się w kłębek pod futrzaną peleryną i pomyślała o tysiącu rzeczy, którymi należałoby się zająć. Niepokoiła się o żołnierzy atakujących w tej właśnie chwili wroga i o tych, którzy pójdą następni. Martwiła się o nich wszystkich. Byli tacy młodzi.

Trapiła się tym, co rozpoczęła. Wojną.

Lecz to nie ona ją rozpoczęła. Ona jedynie nie zgodziła się wydać niewinnych ludzi na pewną śmierć. Nie miała wyboru. Jako Matka Spowiedniczka była odpowiedzialna za całe Midlandy. Gdyby nikt nie powstrzymał Imperialnego Ładu, to z ich rąk zginęłyby niezliczone tysiące ludzi, a ci którzy przeżyliby, staliby się niewolnikami Ładu. Pomyślała o młodych kobietach w pałacu w Ebinissii. Ich twarze unosiły się i wirowały w pamięci dziewczyny. Nie miała siły ich opłakiwać. Najpierw trzeba je pomścić, potem przyjdzie czas na łzy.

Kahlan kipiała pragnieniem zemsty. Postanowiła, że wybiję do nogi Armię Imperialnego Ładu. Rankiem ponownie poprowadzi żołnierzy na wroga. Dopilnuje tego. Pomści i te dziewczęta, i wszystkich innych.

Jeśli nie powstrzyma się Armii Imperialnego Ładu, to zginą nie tylko niewinni ludzie, lecz przypadnie również cała magia, dobra i zła, oraz wszystkie magiczne istoty.

Richard miał magiczny talent.

Myśli Kahlan popłynęły ku chłopakowi. I wtedy się rozplakała. Łkała, marząc, żeby nie znienawidził jej za to, co zrobiła. Modliła się, by zrozumiał i wybaczył jej. Uczyniła to dla jego dobra - żeby go uratować, ocalić mu życie. Łzy płynęły coraz wolniej, wreszcie wyschły.

Rozmyślenia o Richardzie wypchnęły z umysłu Kahlan bezładną plątaninę obrazów. Po raz pierwszy tego dnia skupiła się na czymś innym niż wojna i zabijanie.

Umysł dziewczyny zogniskował się na tym, kim była, kim był Richard. Na

poważnych, zepchniętych na skraj świadomości sprawach.

Rozmyślenia o Richardzie przypomniały Kahlan o ważnych rzeczach, o których na chwilę zapomniała. Ważny był nie tylko Ład, inne sprawy również. I to bardzo. Wyglądało na to, że owa wojna odwróciła uwagę dziewczyny od palących konieczności, od ważniejszych spraw.

Pomyślała o Rahlu Posepnym. Rahl Posepny naznaczył Richarda. Siostry Światła zabrały chłopaka. Ona, Kahlan, miała iść do Aydindril, po pomoc dla niego, poprosić Zedda, żeby pomógł Richardowi...

Richard miał powstrzymać Opiekuna.

Kahlan zmarszczyła czoło w panującym pod peleryną mroku. Zasłona zaświatów wciąż była rozdarta. Nie powinna się tu miotać i grozić mieczem d'haranskim oddziałom.

Przypomniała sobie śmiech Rahla Posepnego.

Dotknęła szyi i wyczuła opuchniętą, pękniętą skórę. To się naprawdę zdarzyło. Śmiał się z jej głupoty.

Kahlan usiadła. Co ona robi? Musi pomóc powstrzymać Opiekuna.

Shota mówiła, że zasłona jest rozdarta; mówili tak Rahl Posepny i Denna. Kahlan widziała screelinga, stwora z zaświatów. Rozmawiała z Denna. Denna zajęła miejsce Richarda u Opiekuna, żeby chłopak mógł żyć i naprawić rozdarcie zasłony.

Ona, Kahlan, miała iść do Zedda. Nie mogła udawać żołnierza.

Lecz jeżeli nikt nie powstrzyma Armii Imperialnego Ładu...

Jeśli zasłona jest rozdarta...

Musi dotrzeć do Aydindril. Musi odnaleźć Zedda. Ci żołnierze mogą walczyć bez niej. To ich robota. Ona jest Matką Spowiedniczką. Nie powinna się miotać w terenie, głupio narażając przy tym życie, kiedy Midlandom - całemu światu żywych - zagrażało niebezpieczeństwo.

To z tego śmiał się Rahl Posepny: z jej głupoty.

Dziewczyna podniosła kubek przygotowanej przez Pirindina herbaty i ogrzewała oń palce. Przewodziła Midlandom i powinna się odpowiednio zachowywać. Przede wszystkim powinna się zająć sprawami, którymi nie może się zająć nikt poza nią. Łyknęła resztę herbaty i skrzywiła się: była okropnie gorzka.

Kahlan znów się położyła, oparła kubek o brzuch. Raz jeszcze przed jej oczami pojawiły się twarze zmarłych kobiet. Groza oraz przemoc to broń,

którą najłatwiej pokonać rozum. I tak właśnie wróg z nią postąpił - groza tego, co uczynił, poraziła rozum dziewczyny.

Gdyby zwiadowcy zostali zabici, ona i jej żołnierze mogli zginąć. Bez przewodników zgubiliby się, byłiby łatwym łupem dla wroga.

Oto kim była - przewodniczką. Przewodniczką Midlandów. Powinna być w Aydindril, kierować radą, jednocząc wszystkich przeciwko wspólnemu zagrożeniu. Pozbawieni tych wskazówek będą nieświadomi tego, co się dzieje, i zgubią się we mgle wydarzeń.

Była również przewodniczką Richarda w sprawie pomocy, której potrzebował. Jej powinnością było uzyskać wsparcie Zedda. Bez jej przewodnictwa zginą i Richard, i wszystkie żywe istoty.

Kahlan siedziała, wpatrzona w płomień świecy.

Nic dziwnego, że Rahl Posępny się z niej śmiał. Pozwoliła, by wróg odebrał jej rozum. Omal nie dała się odciągnąć od swoich obowiązków i nie ofiarowała Opiekunowi czasu na zrealizowanie jego planów.

Już wiedziała, co musi uczynić. Udało się jej popchnąć owych żołnierzy do walki. Pokazała im, co i jak powinni zrobić. Teraz wiedzieli, w jaki sposób pokonać wroga. Wykonała, co należało; obecnie oni mają swoje obowiązki, a ona - swoje.

Ci żołnierze wiedzieli, jak walczyć. Ona musi iść do Aydindril.

Podjęcie decyzji sprawiło, że Kahlan spadł z serca ciężki kamień. Wiedziała już, co należy do jej obowiązków, co powinna czynić. Richard - choć go przy niej nie było - pomógł jej dostrzec prawdę w tym zamęcie, pomógł uświadomić sobie jej najważniejsze zobowiązanie.

Kahlan zajrzała do kubka, ale był pusty; wypila całą herbatę. Kręciło się jej w głowie. Oczy same się zamykały. Już nie mogła siedzieć, tak była zmęczona. Znów się położyła. Zastanawiała się, co Richard teraz porabia, gdzie jest. Pewno przebywa u Sióstr, ucząc się kontrolować swój dar. Błagała dobre duchy, żeby pomogły mu zrozumieć, jak bardzo go kocha.

Ramię Kahlan, nagle zbyt ciężkie, osunęło się bezwładnie i kubek wypadł dziewczynie z dłoni; odtoczył się w bok.

Zapadła w głęboki, pozbawiony marzeń sen.

ROZDZIAŁ 46

Kahlan pograżyła się w pustce, w bezmiarze niesamowitej czerni, gdzie nie istniało poczucie czasu ani miejsca. Takie całkowite odcięcie od świata było i niepojęte, i niepokojące. Dryfująca w głębinach pustki dziewczyna nagle coś wyczuła. I to obudziło w niej iskierkę nadziei, że zdoła uciec z owych bezmiarów nieistnienia. Uchwyciła się tego odczucia, wczepiła się w nie jak w skałę tkwiącą w ogromnej czarnej rzece. Próby wyrwania się z dławiącej ciemności przywróciły czucie ciała Kahlan.

Płynęła z powrotem, a głowa pulsowała jej tęnym bólem. Wciąż otumaniona, starała się pojąć, co się z nią dzieje. Ktoś ją wołał. Wołali: „Matko Spowiedniczko”. Nie, to nie było jej imię.

Przypomniała sobie. Kahlan. Tak miała na imię. Potrząsały nią czyjeś dłonie. Ktoś nią potrząsał i wołał do niej.

Wróciła z oddali.

Oczy Kahlan otworzyły się, świat zawirował. Kapitan Ryan trzymał ją za ramiona. Potrząsał nią i nawoływał.

Dziewczyna wciągnęła do płuc zimne powietrze. Uwolniła ramiona, ale musiała się podeprzeć rękami, żeby nie upaść.

Twarze mieli ściągnięte niepokojem.

- Co ci jest, Matko Spowiedniczko?

- Ja... ja... - Rozejrzała się wokół: był tu i Tossidin. Kahlan usiadła prosto, przyłożyła do czoła chłodne palce. - Moja głowa... Która godzina?

- Wkrótce będzie jasno. - Ryan z niepokojem obejrzał się przez ramię na Tossidina. - Przyszliśmy cię obudzić, jak kazałaś. Zbrojni są gotowi do wymarszu.

Kahlan zrzuciła pelerynę.

- Za chwilę będę gotowa i możemy...

Przypomniała sobie decyzję o wyruszeniu do Aydindril. Musi dotrzeć do Zedda. Musi uzyskać pomoc dla Richarada. Jeżeli to prawda, że zasłona została rozdarta...

- Nie wyglądasz dobrze, Matko Spowiedniczko. Wiele przeszłaś.

Od wielu dni nie spałaś, dopiero teraz, przez parę godzin. Uważam, że potrzebujesz więcej snu.

O tak, potrzebowała. Choć odbudowała swoją moc, to na pewno nie odzyskała jeszcze sił. Położyła dłoń na ramieniu Ryana.

- Muszę wyruszyć do Aydindril, kapitanie. Muszę...

- Wypocznij. - Uśmiechnął się do niej leciutko. - Jeszcze brak ci sił na podróż. Zostań tutaj i odpocznij. Kiedy wrócimy, będziesz wypoczęta i wtedy wyruszysz.

Kahlan kiwnęła głową. Wciąż trzymała rękaw Ryana, żeby nie osunąć się na posłanie.

- Dobrze. Ale potem muszę odejść. Rozmyślałam o tym tej nocy. Muszę się dostać do Aydindril. Będę wypoczywać do waszego powrotu, lecz potem odejdę. - Rozejrzała się: tylko Tossidin był z Ryanem. - Gdzie Chandalen i Prindin?

- Brat poszedł sprawdzić, czy nie wystawili wartowników - odparł Tossidin. - W razie czego zajmie się nimi, żebyśmy mogli zaatakować znienacka.

- Chandalen bierze udział w ataku pikinierów - wyjaśnił Ryan. - Dołączę do niego ze zbrojnymi przy kolejnym szturmie.

Kahlan dotknęła obolałej wargi.

- Powiedz Chandalenowi, Tossidinie, że musimy wyruszać, kiedy wrócicie z potyczek. Uważajcie na siebie wszyscy trzej. Musicie mnie doprowadzić do Aydindril. - Oczy same się jej zamykały. Zmuszała się do mówienia; wiedziała, że jeszcze brak jej sił na podróż. - Będę odpoczywać do czasu, kiedy wrócicie.

Kapitan Ryan odetchnął z ulgą, że nie upiera się, by z nimi iść. Że tutaj będzie bezpieczna.

- Zostawię paru ludzi, by cię strzegli.

- Obóz jest dobrze ukryty. - Kahlan machnęła ręką. - Nic mi tu nie grozi.

- Dziesięciu lub dwunastu żołnierzy mniej nie zrobi nam żadnej różnicy, a nie będę się martwił, iż zostałam tu sama, i całą uwagę poświęcę naszemu zadaniu.

- No dobrze... - Dziewczyna nie miała siły na sprzeczkę. Opadła bezwładnie na posłanie. Zaniepokojony Tossidin okrył ją

peleryną. Kahlan znów tonęła w czerni, a tamci dwaj wydostali się z chatki. Dziewczyna opierała się powrotowi w pozbawiające wszelkich odczuć miejsce, lecz bezlitośnie ją tam spychało i nie mogła temu zapobiec.

Wokół niej zamknęła się dławiąca próżnia. Próbowwała uciec, wyswobodzić się, wrócić do przytomności, jednak czerń była zbyt gęsta. Dziewczyna miała wrażenie, że zapada się w jakąś maź. Wpadła w pułapkę, wciągało ją coraz głębiej. Ogarnęła ją panika. Usiłowała myśleć, ale nie była w stanie złożyć myśli w logiczny ciąg. Czuła, że coś jest nie tak, lecz nie potrafiła rozpoznać co.

Tym razem, zamiast się poddać, Kahlan ześrodkowała resztki sił na myślach o Richardzie, na tym, że musi mu pomóc - i mrok nie stał się absolutną pustką. Zachowała słabe poczucie czasu - czuła jego nieustanny upływ. Kurczowo trzymała się myśli o Richardzie. Zdawało się jej, iż prześpi całe życie.

Troska o chłopaka i zaniepokojenie osobliwością otchłannego snu pozwoliły się Kahlan powoli, powoli wydobyć na powierzchnię. Zajęło jej to jednak całe godziny.

Zbudziła się, rozpaczliwie zachłystując się powietrzem. W głowie się jej kręciło i pulsowało. W całym ciele czuła ostre ukłucia bólu. Z ogromnym wysiłkiem uniosła się i usiadła, rozglądając się po ciemnej chatce. Świeca niemal się wypaliła. Cisza dzwoniła w uszach. Może zimne powietrze mnie ocuci, pomyślała dziewczyna. Ramiona i nogi były ciężkie i nieposłuszne, ale wypęzła na zewnątrz. Już się zmierzchało. Kahlan spojrzała na mrugające poprzez drzewa pierwsze gwiazdy. Oddech zmieniał się w parę; stanęła na uginających się nogach. Zrobiła krok, potknęła się o coś i upadła twarzą w śnieg. Otworzyła oczy, nie odrywając policzka od ziemi. Wpatrywało się w nią odległe o kilka cali szkliste oko. Tuż przy niej, na jednym policzku, spoczywała na śniegu twarz młodego mężczyzny. To o jego nogę się potknęła. Dziewczyna miała wrażenie, że wszystkie jej kości chcą się wyrwać poprzez skórę i uciec.

Młodzieniec miał podcięte gardło. Gładko rozcięto mu szyję, niemal odcinając głowę, która zwisała pod niesamowitym kątem. Kahlan widziała otwór przeciętej tchawicy. Krew zakrzepła na śniegu. W gardle dziewczyny podniosła się kula o posmaku żółci. Kahlan przełknęła ją i zepchnęła w dół.

Powolutku uniosła głowę i zobaczyła kolejne ciała. Sami Galejczycy. Wszystkie miecze tkwiły w pochwach. Nie dano im najmniejszej szansy.

Mięśnie nóg Kahlan napięły się, gotowe do biegu. Zmusiła się do zostania na miejscu. Starła się myśleć, choć nie mogła się otrząsnąć z

duszającego pólśnu. Umysł miała pograżony w sennym odrętwieniu, nie była w stanie się skupić. Ktoś pozabijał tych żołnierzy; wciąż jeszcze mógł być w pobliżu: jakoś zmusiła się do myślenia. Dotknęła dłoni martwego żołnierza - nadal była ciepła. To musiało się stać dopiero co. Może to właśnie ją obudziło.

Dziewczyna zerknęła pomiędzy drzewa. W ich cieniu poruszali się jacyś ludzie. Dojrzeli ją i wychodzili na polankę, okrążając Kahlan. Śmiali się i gwizdali. Poznała, kim są - blisko dwunastu D'Harańczyków i paru Keltończyków. Żołnierze Armii Imperialnego Ładu. Poderwała się na nogi.

Jeden z tamtych, znajdujący się najbliżej niej, miał na lewej stronie twarzy obrzmiałą, czerwoną bliznę, sięgającą od skroni do żuchwy - ślad po kopicie Nicka. Nierówne szwy ściągały czerwono-czarne brzegi rany. Druga połowa oblicza uśmiechała się szydlerczo. Generał Riggs.

- No, no, no. W końcu cię znalazłem, Spowiedniczko.

Kahlan cofała się, kiedy nagle z lasu wypadł jakiś ciemny kształt i rozległ się bojowy okrzyk. Kiedy żołnierze odwrócili się, dziewczyna rzuciła się w przeciwną stronę. Zdażyła jeszcze dostrzec potężny bojowy topór lśniący w gasnącym świetle dnia. Półksiężycowate ostrze za jednym zamachem ściąło dwóch żołdaków. To Orsk. Na pewno jej szukał, chcąc jej bronić. Dotknięty mocą Spowiedniczki nigdy nie dawał za wygraną.

Dziewczyna biegła tak szybko, jak tylko mogła. Nogi miała ciężkie i odrętwiałe, jakby na nich spała. Z tyły buchnęły wrzaski i krzyki. Szczękała stal. Orsk z rykiem torował sobie drogę ku niej.

Kahlan brnęła wśród drzew, uderzały ją w twarz gałęzie świerków. Uschnięte konary i krzaki czepiały się koszuli i spodni dziewczyny. W głowie się jej kręciło; grzęzła w zaspach. Roztrącała obwisłe gałęzie, spadały na nią śnieżne czapy. Nie potrafiła zmusić nóg do szybkiego biegu.

Goniący ją mężczyzna stęknął i rzucił się ku niej. Złapał dziewczynę za nogi i szarpnął; runęła w śnieg. Wypluła go z ust; szarpała się i kopała. Tamten trzymał ją mocno, przesuwał coraz wyżej ręce. Chwycił dziewczynę za pas i padł na nią. Nad twarzą Kahlan zawisła czerwona, gniewna gęba z raną na lewym policzku. Riggs uśmiechnął się triumfalnie zdrową połową twarzy. W oddali, za drzewami, słychać było odgłosy wścieklej walki. Kahlan i Riggs byli sami. Usiłowała zrzucić go z siebie. Jedną dłonią złapał ją za włosy i przytrzymał głowę przy ziemi. Drugą pięścią

łupnął dziewczynę pod żebro, aż straciła oddech. Uderzył ponownie. Walczyła o oddech, ogarnięta gorącą falą mdłości.

- Dopadłem cię, Spowiedniczko. Tym razem mi się nie wyślizniesz. Pogódź się z tym.

Był sam. Cóż on sobie wyobrażał? Położyła dłoń na piersi Riggsa. Zdumiewało ją, że pojedynczy mężczyzna sądził, iż poradzi sobie ze Spowiedniczką.

- Nikogo tu nie masz, Riggs - wydyszała z trudem, przygnieciona jego cielskiem. - Już po tobie. Jesteś mój.

- Nie sądzę - prychnął szyderczo. - On powiedział, że teraz nie możesz użyć swojej mocy.

Uniósł głowę dziewczyny i uderzył nią o ziemię. Kahlan zaćmiło się w oczach. Usiłowała się skupić na tym, co musiała zrobić. Raz jeszcze podniósł jej głowę, żeby łupnąć nią o podłoże. Kahlan musiała to uczynić teraz, zanim straci przytomność, zanim będzie za późno. Teraz, choć zaskoczyły ją i zdumiały słowa Riggsa. Teraz, kiedy miała dobrą okazję.

Nastąpił bezgłośny grom. Riggs zadrżał pod uderzeniem mocy, uderzeniem magii. Zatrzęsły się gałęzie pobliskich drzew. Śnieg osypał się na plecy generała i twarz dziewczyny.

Riggs otworzył szeroko oczy, jego twarz zwiotczała.

- Rozkazuj mi, o pani!

- Kto ci powiedział, że moja moc nic ci nie zrobi!? - spytała Kahlan resztką sił.

- To był, o pani...

Z gardła napastnika wyskoczył okrwawiony czubek strzały. Koniec stalowego grota zatrzymał się tuż przed brodą dziewczyny. Z oczu mężczyzny pociekły łzy, poruszał ustami, w których pienila się krew, lecz nie wydał żadnego dźwięku. Oddychał z coraz większym trudem i osuwał się bezwładnie na Kahlan.

Czyjaś ręka złapała Riggsa za ramię i ściągnęła z dziewczyny. Najpierw myślała, że to Orsk, lecz to nie był on.

- Matko Spowiedniczko! - Pochylał się nad nią zaniepokojony Prindin. - Jesteś cała? Nic ci nie zrobił?

Pospiesznie odturlał generała na bok i wyciągnął do Kahlan rękę, żeby pomóc jej wstać. Przesunął oczami po sylwetce dziewczyny. Patrzyła nań,

lecz nie skorzystała z jego dłoni. Jeszcze nigdy nie była tak wyczerpana i pozbawiona sił jak po tym ostatnim wykorzystaniu mocy.

Prindin zarzucił łuk na ramię; znajomy uśmiech pojawił się na jego ustach.

- Widzę, iż nic ci nie jest. Wspaniale wyglądasz.

- Nie musiałeś go zabijać. Poraziłam go swoją mocą. Był mój. Akurat miał mi powiedzieć, kto mu naopowiadał, że nie mogę...

Dziewczynie ogromnie się nie podobał sposób, w jaki Prindin na nią patrzył. Jego uśmiech sprawił, że dostała gęsiej skórki.

Orsk wypadł spomiędzy drzew.

- Jesteś bezpieczna, o pani!?

Słyszała, jak w lesie, za plecami Orska, nadchodzą inni. Dobiegł jej głos Chandalena. Prindin szybko nasadził strzałę. Orsk zamachnął się bojowym toporem.

- Nie! Zostaw, Prindinie! Nic mu nie rób! - Prindin wycelował. - Uciekaj, Orsk!

Wielkolud okręcił się bez słowa i umknął w chaszczę. Jego śladem poleciała strzała. Kahlan usłyszała wbijający się w coś twardego grot. Słyszała, jak Orsk się potyka, łamie gałęzie i małe drzewka. Trzask gałęzi ustał, żołnierz uderzył o ziemię.

Kahlan próbowała wstać, ale nie zdołała się utrzymać na nogach. Miała wrażenie, że jej mięśnie i kości zamieniły się w galaretę. Zupełnie straciła siły. Czerń znów próbowała ją wessać.

Prindin ponownie zarzucił łuk na ramię i uśmiechnął się do dziewczyny. Kahlan zbierała siły, by się odezwać.

- Dlaczego to zrobiłeś, Prindinie? - wyszeptała cichutko. Wzruszył ramionami.

- Żebyśmy byli sami. - Uśmiechnął się szerzej. - Zanim tamci utną ci głowę.

Prindin. To Prindin powiedział Riggsowi, że jej moc nic mu nie zrobi, żeby Kahlan zużyła ją na generała i nie miała już ani odrobiny. Znów próbowała się podnieść na drżących z wysiłku nogach. I raz jeszcze upadła. Prindin przyglądał się jej wysiłkom.

Spomiędzy drzew doleciał czyjś głos. To wołał ją zadyszany Chandalen. Z drugiej strony posłyszała nawoływania Tossidina. Próbowała krzyknąć, by ją

usłyszeli. Z gardła Kahlan wydobył się jedynie cichy, ochryply jęk. Ogarniała ją ciemność.

Może nadal śpię, pomyślała dziewczyna. Ledwo mogła się poruszyć i mówić, zupełnie jak w sennym koszmarze. Tak chciałaby, żeby to był tylko zły sen.

Prindin zwrócił się w stronę, z której dobiegały uporczywe nawoływania. Kahlan wbiła pięty w śnieg i udało się jej przesunąć do tyłu. Poczowała po dłonią leżącą na ziemi gałąź klonu. Prindin rzucił się ku dziewczynie. Zebrała w jedno cały strach, lęk ból i przerażenie. Resztką sił. Chłopak wyciągnął do niej ręce. Kahlan podniosła się, zamachnęła sękatą gałęzią. Prindin uchylił się, złapał zaimprovizowaną pałkę i wyrwał ją z dłoni dziewczyny. Okręcił Kahlan ku sobie, przycisnął jej głowę ramieniem, zakrywając przy tym usta, bo próbowała ostrzec Chandalena. Nie był wysoki, za to niewiarygodnie silny; zresztą teraz nawet dziecko poradziłoby sobie z dziewczyną.

Chandalen wybiegł z lasu poza nimi, w ręce miał nóż. Kahlan wbiła zęby w ramię Prindina. Krzyknęła, a Prindin okręcił się z niebywałą szybkością i uderzył Chandalena gałęzią w głowę. Głuchy, przyprawiający o mdłości odgłos uderzenia. Cios posłał łowcę w konary jodły. Kahlan wyrwała się Prindinowi, zobaczyła zakrwawiony śnieg wokół Chandalena.

Spomiędzy drzew wypadł zadyszany Tossidin.

- Prindinie! Co się dzieje!?

Zobaczył ich i zamarł. Popatrzył na Chandalena, potem znów na brata.

Prindin łypnął na niego przez ramię i powiedział w ich języku:

- Chandalen próbował nas zabić! Zjawiłem się tu akurat wtedy, gdy usiłował zabić Matkę Spowiedniczkę. Pomóż mi. Jest ranna.

Kahlan osunęła się na kolana i zawołała:

- Nie... Tossidinie... Nie!

Tossidin rzucił się ku nim.

- Co to za kłopot, o którym mówił mi Chandalen? Co z tobą, bracie? Coś ty zrobił?

- Pomóż mi! Matka Spowiedniczka jest ranna!

Tossidin chwycił brata za ramię i okręcił ku sobie.

- Prindinie! Coś ty...

Prindin wbił nóż w pierś Tossidina. Łowca wytrzeszczył oczy ze

zdumienia. Otworzył usta, ale nie wydał żadnego dźwięku. Zacharczał, nogi się pod nim ugięły i padł na ziemię. Kahlan krzyknęła. Został pchnięty prosto w serce.

Chandalen jęknął w oszołomieniu i usiadł. Dotknął rękami krwawiącej czaszki. Prindin, nie spuszczać rannego z oka, wydobył z tkwiącej u pasa sakwy kościany pojemniczek. Miał pudełko pełne bandu. Nie oddał dziewczynie całej porcji trucizny.

Kahlan, niezdolna go powstrzymać, zobaczyła, jak Prindin szczerze naciera grot trucizną. Otumaniony Chandalen trzymał głowę w dłoniach, usiłując zebrać myśli. Prindin naciągnął cięciwę. Dziewczyna wiedziała, że celuje w gardło Chandalena. Udało się jej uderzyć ciałem w nogi młodzieńca akurat wtedy, kiedy wypuszczał strzałę. Odchyliła się od celu, ale i tak trafiła Chandalena w ramię.

Cios zadany grzbietem dłoni w twarz powalił Kahlan na ziemię. Porażona przeraźliwym strachem dziewczyna zaczęła się czołgać. Śnieg mroził jej palce. Spodnie na kolanach były lodowate i przemoknięte. Całą uwagę skupiła na zimnie, starając się w ten sposób orzeźwić. Obejrzała się przez ramię.

Prindin, obserwując wysiłki Kahlan, wydobył z kołczana drugą strzałę i nacierał grot trucizną. Obserwował ją jak przedtem Chandalena. Dziewczyna z krzykiem podniosła się i pobiegła. Koszmar. To musi być koszmar.

Strzała trafiła w tył nogi. Kahlan wrzasnęła i padła twarzą w śnieg. W nodze pulsował palący ból. Mięsień mrowiał. Ból sięgnął kości, biodra.

Nagle Prindin znalazł się tuż przy leżącej. Przyklęknął, chwycił strzałę sterczącą z nogi dziewczyny. Drugą ręką przycisnął Kahlan do ziemi, żeby się nie poruszyła, i wyszarpnął grot. Czują, jak trucizna się rozprzestrzenia.

- Nie martw się, Matko Spowiedniczko. Na twoją strzałę nie dałem tyle trucizny, ile na Chandalena. Tylko tyle, byś mi nie sprawiała kłopotu. On zaraz umrze. To pożyjesz na tyle, żeby zdążyli obciąć ci głowę.- Poklepał dziewczynę po pośladkach. - Jeśli nie będą z tym czekać zbyt długo. - Nachylił się nad nią. - Za zimno tu. Wracamy.

Złapał jej nadgarstek i powłókł po śniegu. Dziewczyna walczyła z nim w wyobraźni - szarpała się, biła, kopła i krzyczała - lecz nie mogła zmusić mięśni do posłuszeństwa. Trucizna rozlewała się po całym ciele, sięgając już

zeber.

Łzy płynęły po policzkach Kahlan. Orsk. Tossidin. Chandalen. Ona. Jak Prindin mógł coś takiego zrobić? Łkała, szorując twarzą po śniegu. Jak mógł? Własnego brata. Jak gdyby nigdy nic pchnął nożem własnego brata. Któż mógłby coś takiego uczynić? Jak ktoś mógłby zrobić coś takiego? Jak mógłby... Kto... Chyba tylko...

Baneling.

Zabrakło jej tchu. Nigdy tak do końca nie wierzyła w banelingi - przedtem nie wierzyła. Czarodzieje mówili, że tamci naprawdę istnieją, lecz Kahlan nie wierzyła, iż czarodzieje są tego pewni. Zawsze uważała to za bzdurne przesady, urojenia skłaniające ludzi do wypatrywania stworów w mrokach, istot z zaświatów, potworów kierowanych ponurymi podszeptami samego Opiekuna.

Teraz uwierzyła. Wpadła w łapy banelinga. O dobre duchy, dlaczego nikt się nie domyślił? Tyle razy jej pomagał. Zaprzyjaźnił się z nią.

A wszystko po ty, żeby być blisko niej, śledzić ją dla Opiekuna. Był banelingiem. Rahl Posępny śmiał się z niej, bo była taka głupia.

Teraz Kahlan wiedziała i nie miała najmniejszych wątpliwości - zasłona została rozdarta. Rahl Posępny jej to obiecał. Przybył, by do końca rozedrzeć zasłonę, a ona, Kahlan, głupio sądziła, że kieruje swoimi czynami. Rahl Posępny i Opiekun cały czas śledzili ją oczami Prindina.

Czemuż tak długo czekał? Dlaczego pozwolił jej walczyć, dopuścił, by zginęło tylu ludzi, i dopiero potem ją dopadł?

Kahlan wiedziała dlaczego. Opiekun był ze świata zmarłych. Chciał siać śmierć w świecie żywych. Życie obrażało go. To dlatego chciał rozdarcia zasłony - żeby siać śmierć w świecie żywych. Zazdrościł temu światu iskierki życia. Radowało go patrzeć, jak ludzie umierają. O, na pewno szybko z tego nie zrezygnuje. Nie położy kresu cierpieniom, strachowi, bólowi.

Dziewczyna miała wrażenie, że jej ramię zaraz wyskoczy ze stawu, a Prindin włókł ją przez krzaki, nad na poły przysypanym śniegiem pniem. Trucizna, rozprzestrzeniająca się w ciele Kahlan, sięgała już piersi. Lewa noga zupełnie zdrętwiała. Przynajmniej nie czuję, jak boli rana po strzale, pocieszała się. Czubek metalowego grota sięgnął kości, a Prindin wyszarpnął strzałę mało delikatnie. Teraz przynajmniej noga zdrętwiała i nie bolało.

W końcu dotarli do chatki i Kahlan zobaczyła ciała - nie tylko

Galejczyków, ale i zabitych przez Orską żołnierzy Armii Imperialnego Ładu. Kiedy Prindin z nią skończy, oddają Armii Ładu, żeby obciąli jej głowę. Wszystko się skończy, a Kahlan w żaden sposób nie potrafiła temu zapobiec. Nawet nie mogła się bronić. Już nigdy nie ujrzy Richarda. O dobre duchy, Richard nigdy się nie dowie, jak bardzo go kochała.

Prindin wciągnął Kahlan do chatki i rzucił na wyściółkę z gałęzi. Zapalił dwie świece od płomienia tej, która niemal się wypaliła.

Dziewczyna z trudem oddychała, walczyła o zachowanie świadomości.

- Chcę cię wyraźnie widzieć - objaśnił z lubieżnym grymasem. - Jesteś miła dla oka. Chcę wszystko widzieć.

Kahlan zawsze lubiła jego uśmiech. Teraz przestała.

Prindin zsunął z ramion pelerynę i odrzucił na bok. Przestał się uśmiechać. Miał błędne oczy. Nie odzywał się już w języku dziewczyny, używał wyłącznie własnej mowy.

- Rozbierz się. Najpierw chcę na ciebie popatrzeć. Podnieć się twoim widokiem.

I tak nie była w stanie go usłuchać, nawet gdyby przyłożył jej nóż do gardła.

- Wkrótce wrócą żołnierze, Prindinie - zdołała wykrztusić. - Pochwyć cię.

- Będą zajęci. Wcale się nie spodziewali takiej potyczki. - Znów się uśmiechał. - Nie wrócą tak szybko, jeśli w ogóle wrócą. - Uśmiech zmienił się w grymas wściekłości. - Kazałem ci się rozebrać!

- Jesteś moim przyjacielem, Prindinie. Nie czyn tego, proszę.

Znalazł się na Kahlan, szarpnął za pasek.

- Więc zrobię to za ciebie!

Po policzkach dziewczyny popłynęły łzy: płakała nad swoją bezbronnością, nad szaleństwem przyjaciela, który przeszedł na stronę Opiekuna.

- Dlaczego, Prindinie?

Usiadł, jakby zaskoczony tym pytaniem.

- Wielki duch powiedział, że mogę cię wziąć, zanim zabierze twojego ducha do zaświatów. Powiedział, iż należy mi się nagroda za dobrze wykonaną robotę. Wielki duch jest ze mnie zadowolony, bo mu cię wydałem.

Ślad po ukąszeniu na szyi Kahlan zapulsował kłującym bólem.

Dziewczyna dygotała z żalu nad Tossidinem i Chandalenem. Trzęsa się z rozpaczy nad swoim beznadziejnym, żalonym położeniem. Czuła, jak trucizna dociera do ramion. Wyczuła pierwsze mrowienie idące w górę szyi. Skurczyła się pod Prindinem, całującym ślad na jej szyi, ślad po ukąszeniu przez Rahla Posępnego. Ból i wywołane przezeń wizje sprawiły, iż wstrząsnął nią bezgłośny krzyk.

- Puścisz mnie wolno... Prindinie... gdy już się mną... nacieszysz? - Miała nadzieję, że słowa w jego języku jakoś go ułagodzą. - Puścisz?

Uniósł głowę, spojrzął Kahlan w oczy.

- Nic dobrego by mi to nie przyniosło, gdybym cię puścił. Zatruję cię herbatą i strzałą. I tak wkrótce umrzesz. Musisz być ścięta, nim zginiesz od trucizny. Tak będzie lepiej. Oszczędzi ci to końcowych cierpień. Tak okażę ci litość.

- Prindin wyszczerzył się w uśmiechu, pochylił na dziewczyną i znów zaczął całować jej szyję. Rozplakała się.

- Nienawidzę cię - załkała. - Ciebie i twojego wielkiego ducha.

Poderwał się, wyprostował na tyle, na ile zdołał w niziutkiej chatce, wsparł pięściami pod boki i obrzucił Kahlan wściekłym spojrzeniem.

- Masz być moja! Obiecano mi to! Dostanę cię! Twoja moc mi nie zaszkodzi, zadbałem o to. Już ją zupełnie zużyłaś. Będiesz moja! Jeśli mi się nie oddasz, to wezmę cię siłą! Przywlokłaś do mojego ludu tę swoją wstrętną magię, te twoje ohydne obyczaje! Jesteś zła i wezmę cię, żeby przezwyciężyć twoją niegodziwość! Wielki duch powiedział, że tak ma być!

Prindin ściągnął przez głowę skózaną bluzę, odsłaniając umięśniony tors. Skoczył ku Kahlan i ze stęknieniem wylądował na niej. Jego twarz zawisała nad twarzą dziewczyny.

Wpatrywali się w siebie ze zdumieniem.

Nie miał pojęcia, co się stało. Ona wiedziała, co się wydarzyło, lecz nie miała pojęcia jak.

Dziewczyna czuła spływającą po jej pięści ciepłą krew Prindina. Źrenice chłopaka rozszerzyły się. Zakaszła, obryzgując jej twarz kropelkami krwi. Odetchnął po raz ostatni, zacharczał i zwiotczał.

Po policzkach Kahlan spływały łzy. Nie miała siły, by zepchnąć z siebie ciało; z trudem łapała oddech, przygnieciona ciężarem martwego Prindina.

Leżała bez ruchu, czując, jak jego krew skapuje po jej dłoni, spływa

pomiędzy piersi i wsiąka w koszulę. Mrowienie *bandu* sięgało w górę szyi.

ROZDZIAŁ 47

W otaczającej dziewczynę huczącej czerni rozboleła ją warga. Coś poszturchiwało ranę, wywołując ból. Coś dostało się do ust. Miała wrażenie, że ktoś wpycha jej tam palec.

- Połknij!

Kahlan zmarszczyła się w mrokach, w swoim śnie.

- Przełknij! Słyszysz mnie!? Przełknij!

Skrzywiła się i wykonała polecenie. Palec w dalszym ciągu wpychał jej do ust coś suchego.

- Jeszcze raz!

Połknęła, mając nadzieję, że głos umilknie i zostawi ją w spokoju. Osunęła się w rozbrzęczaną pustkę. Dryfowała w próżni, w niebycie, pozbawiona świadomości. Nie miała poczucia czasu, nie wiedziała, od kiedy i jak długo tak dryfuje.

Zachłysnęła się powietrzem i otworzyła oczy. Mrugając, rozejrzała się po chatce. Świece wypaliły się do połowy. Okrywała ją peleryna.

Przyglądała się jej nachylony nad nią Chandalen. Uśmiechał się szeroko. Odetchnął z ulgą.

- Wróciłaś - powiedział. - Teraz jesteś bezpieczna.

- Chandalen? - Kahlan usiłowała zrozumieć, co widzi. - Jestem w zaświatach czy też żyjesz?

- Trudno zabić Chandalena - zaśmiał się cicho. Dziewczyna poruszała językiem, starając się zwilżyć wyschnięte wnętrze ust. Była obudzona, wyspana, naprawdę przytomna od bardzo, bardzo dawna. Wydawało się jej, że już nie pamięta, jak to wspaniale być wypoczętym i wyspanym. Wciąż jednak leżała nieruchomo, ze strachu, iż czerń powróci.

- Przecież Prindin trafił cię dziesięciokrokovą strzałą. Sama widziałam.

Chandalen odwrócił się leciutko, w oczach miał smutek. Zobaczyła, iż czarne włosy łowcy skleja zakrzepła krew. Machnął ręką, jakby zakłopotany, że musi to tłumaczyć.

- Pamiętasz, jak ci opowiadałem, że nasi przodkowie przed walką zażywali *quassin doe*, by nie zabiła ich dziesięciokrokovą trucizną, gdy zostaną trafieni taką strzałą? - Przytaknęła, a Chandalen dotknął ostrożnie

zranionej czaszki. - Na cześć moich przodków, moich przodków-wojowników, zjadłem trochę liści *quassin doe*, zanim ruszyłem do walki. *Quassin doe*, którą mi dałaś w mieście. - Uniósł brwi, jakby było potrzebne dalsze usprawiedliwienie. - Uczyniłem to, żeby uczcić swoich przodków.

Kahlan uśmiechnęła się doń ciepło i położyła dłoń na ramieniu łowcy.

- Twój czyn przyniósł zaszczyt twoim przodkom. Chandalen pomógł jej usiąść. W słabym blasku świec zobaczyła, że obok niej leży na plecach Prindin. Z jego piersi sterczał kościany nóż wykonany z kości dziadka Chandalena, nóż, który nosiła na ramieniu. Czarne pióra, ułożone wachlarzowato na końcu rękojeści, okrywały śmiertelną ranę niczym całun. Jakoś zdołała wsunąć ów nóż pomiędzy siebie a Prindina, kiedy ten na nią skoczył. Jakoś.

Kahlan pamiętała swoją bezradność i odrętwienie. Pamiętała mrowienie rozchodzącej się w jej ciele trucizny oraz to, że nie była w stanie się poruszyć. Pamiętała swoje przerażenie. Dobrze pamiętała, jak Prindin na nią skoczył.

Nie przypominała sobie jednak, że wyciągnęła nóż.

- Tak mi przykro, Chandaleni - powiedziała drżącym głosem. Zakryła usta palcami. - Tak mi przykro, iż zabiłam twojego przyjaciela.

Chandalen łypnął gniewnie na ciało.

- Nie był moim przyjacielem. Moi przyjaciele nie próbują mnie zabić. - Dotknął pokrzepiająco ramienia Kahlan. - Przysłał go wielki, mroczny duch zmarłych. Zło zagarnęło jego serce.

Dziewczyna zacisnęła palce na rękawie łowcy.

- Chandaleni, ów wielki, mroczny duch zmarłych stara się uciec spoza zasłony. Chce nas wszystkich wciągnąć za nią, do świata zmarłych.

Piwnie oczy badały oczy Kahlan.

- Wierzę ci. Musimy się dostać do Aydindril, byś mogła pomóc go powstrzymać.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję, Chandaleni. Jestem wdzięczna, że rozumiesz i że uratowałeś mnie *quassin doe*. - Złapała go za ramię. - Żołnierze! Prindin zastawił na nich pułapkę! Która godzina?

- Cśśś - uciszył ją łowca. - Kiedy przed atakiem kapitan Ryan przyszedł do mnie i do Tossidina, to zapytałem o ciebie. Wiedziałem, że chciałaś iść z

nimi. Powiedział, iż jesteś chora. Że nie można cię dobudzić. To mi nasunęło myśl o *bandu*. Kapitan Ryan dodał, że nie chciałaś jeść, a tylko wypić zrobioną przez Prindina herbatę. Domyśliłem się, co się dzieje. Wiedziałem, że zostałam zatruta, że piłam jedynie herbatę i że nic nie jadłam. Tossidin i ja bardzo się o ciebie martwiliśmy. Sprawdziliśmy, czy wróg zmienił pozycję. Okazało się, że czekają na atak tam, gdzie go planowaliśmy. Namówiłem żołnierzy, by zmienili plan i uderzyli z innego kierunku. Pospieszyliśmy do ciebie, gdy tylko wydałem nowe rozkazy. Wiedziałem, że Prindin nas zdradził, lecz Tossidin uważał, iż musi być jakieś inne wytłumaczenie. Ufał swojemu bratu i nie chciał o nim źle myśleć. Zapłacił życiem za swoje zaufanie, za swój błąd.

Zapanowało niezręczne milczenie. Kahlan odwróciła wzrok. Potem znów nań spojrzała i zmarszczyła brwi.

- Co ze strzałą? Z raną na twojej głowie? Trzeba się nią zająć. Chandalen podciągnął koszulę na lewym ramieniu - było zabandażowane.

- Żołnierze wrócili nocą. Zeszli mi głowę. To nie jest takie groźne, jak wygląda. No i wyjęli strzałę. - Skrzywił się, poprawiając koszulę na zranionym ramieniu. - Dobrze wyszkoliłem Prindina. Wziął strzałę z żelaznym grotem. Takie wyrządzają więcej szkody przy wyciąganiu, niż kiedy się wbijają. Jeden z żołnierzy, ten, który oczyszcza i zszywa rany, wyciął strzałę i zszył mnie. Grot oparł się o kość, więc nie wbił się zbyt głęboko. Mam sztywne ramię i jakiś czas nie będę mógł zeń korzystać.

Kahlan dotknęła nogi. Pod spodniami wyczuła bandaż.

- Moją nogę też zeszył?

- Nie. Wystarczyło owinąć, nie trzeba było szyc. Ja to zrobiłem. Tobie Prindin posłał strzałę z zaokrąglonym końcem. Nie tak go uczyłem. Nie wiem, dlaczego to zrobił.

Dziewczyna czuła obecność leżących przy niej zwłok.

- Chciał ją swobodnie wyciągnąć - odparła cicho. - Nie życzył sobie, by mu przeszkadzała. Zamierzał mnie zgwałcić, zanim wyda mnie wrogom.

Chandalen, nie chcąc patrzeć na Kahlan, przeniósł wzrok na ciało tamtego i powiedział, że się cieszy, iż do tego nie doszło. Dziewczyna dotknęła jego lewej ręki.

- Aja się cieszę, że dostałeś w ramię, a nie w szyję.

Zmarszczył się.

- Nauczyłem Prindina strzelać. Nigdy nie chybiłby z takiej odległości. Dlaczego nie trafił mnie w gardło?

Wzruszyła ramionami, udając niewiedzę. Chrząknął podejrzliwie. - Dlaczego jego ciało wciąż tu jest, Chandaleni? Dlaczego nie wyciągnąłeś go na zewnątrz?

Poprawił zdrową ręką ranne ramię i wygodniej je ułożył.

- Ponieważ wciąż tkwi w nim nóż z duchem dziadka. - Popatrzył poważnie na Kahlan. - Skorzystałaś z pomocy kości dziadka, z pomocy jego ducha, żeby zabrać czyjeś życie w swojej obronie. Teraz duch mego przodka jest z tobą związany. Obecnie nikt oprócz ciebie nie może dotknąć tego noża. Jest twój i jedynie tobie wolno go dotknąć. Musisz go wyjąć.

Kahlan przez sekundę zastanawiała się, czy nie zostawić noża tam, gdzie tkwił, i nie pochować go wraz z ciałem. Pomyślała, że może i broń powinna zostać złożona na spoczynek. Lecz odrzuciła ów pomysł. Dla Błotnych Ludzi była to potężna magia duchów. Dziewczyna obraziłaby Chandalena, odrzucając nóż. Pomyślała również, że nie wyjmując ostrza, być może uraziłaby też ducha dziadka Chandalena. Wcale nie była pewna, czy to nie duch z kościanej broni zabił Prindina, żeby ją ocalić. Nie miała pojęcia, jak oręż znalazł się w jej dłoni.

Dziewczyna wyciągnęła rękę i zacisnęła palce na sterczącej z piersi Prindina zaokrąglonej rękojeści. Wyciągnęła nóż; rozległo się jakby młaśnięcie. Do czysta wytarła ostrze o leżące na podłodze żywiczne gałęzie. Przysunęła do ust czubek rękojeści i leciutko musnęła ustami.

- Dziękuję, duchu dziadka, za ocalenie mi życia. - Czuła, że tak należało postąpić.

Chandalen uśmiechnął się, a ona wsunęła nóż pod opaskę na ramieniu.

- Jesteś prawdziwą Błotną Kobieta. Wiesz, jak postąpić, zanim ci to powiem. Duch dziadka zawsze będzie nad tobą czuwał.

- Musimy dotrzeć do Aydindril, Chandaleni. Zastłona zaświatów jest rozdarta. Uczyniliśmy, co w naszej mocy, by pomóc tym żołnierzom. Teraz powinnam wrócić do swoich obowiązków.

- Nie chciałem zostać z nimi, gdy ich znaleźliśmy. Chciałem cię odciągnąć od ich walki, żebyś była bezpieczna. - Wpatrywał się w dal. - Potem odrzuciłem ten zamiar i pragnąłem jedynie walczyć i zabijać wroga.

- Wiem - wyszeptała. - I mnie się to przytrafiło. Zapomniałam o tym, co

miałam zrobić. Zupełnie tak, jakbyśmy i my usłuchali wielkiego, mrocznego ducha. Zasłona jest rozdarta. Może dlatego nie pamiętaliśmy o naszych sprawach.

- Myślisz, że ta zasłona jest rozdarta i że dlatego zapomnieliśmy, co mieliśmy zrobić, i chcieliśmy tylko zabijać?

- Nie znam odpowiedzi, Chandalenie. Muszę dotrzeć do Aydindril. Czarodziej będzie wiedział, co robić. Richard potrzebuje pomocy. Zostaliśmy tu tak długo, jak było trzeba. Nie możemy tracić więcej czasu. Musimy porozmawiać z żołnierzami i ruszyć swoją drogą. Są tu? - Przytaknął. - No to chodźmy.

Kahlan zaczęła się podnosić, lecz łowca położył na jej ramieniu zdrową rękę i powstrzymał dziewczynę.

- Całą noc czekali przed twoim schronieniem. Nie pozwoliłem im wejść. - Cofnął dłoń, szukał odpowiednich słów. - Bardzo się bałem, że umrzesz tej nocy. Nie wiedziałem, czy na czas dałem ci *quassin doe*. Prindin bez naszej wiedzy od dawna podawał ci truciznę. Już prawie znalazłaś się w świecie duchów. Gdybyś umarła, już nigdy nie mógłbym wrócić do swoich. Ale to nie dlatego się cieszę, że żyjesz. Cieszę się, bo jesteś porządnym Błotnym Człowiekiem. Obrońcą naszego ludu jak Chandalen. Każde z nas walczy na swój sposób. - Uniósł brew. - Choć ostatnio biłaś się bardzo podobnie do Chandalena. Dobra w tym jesteś, ale te sposoby lepiej zostaw mnie i walcz tak, jak tego po tobie oczekują.

- Masz rację - uśmiechnęła się Kahlan. - Dziękuję, że przesiedziałeś przy mnie całą noc. Przykro mi, iż zostałeś ranny.

Łowca wzruszył ramionami.

- Kiedyś, gdy już sobie znajdę kobietę, pokażę jej te blizny, żeby wiedziała, jaki Chandalen jest odważny.

- Na pewno będzie podziwiał męstwo, z jakim przyjąłeś zranienie - roześmiała się Kahlan.

Chandalen spojrzał na nią krzywo.

- To, że dostałem strzałę, nie świadczy o moim męstwie. Każdego można postrzelić z łuku. - Dumnie uniósł brodę. - Jestem dzielny, bo nie krzyczałem, gdy wycinali ze mnie tę strzałę.

Kahlan pomyślała, iż pewnego dnia jakaś szczęśliwa kobieta będzie przy nim miała pełne ręce roboty.

- Rada jestem, że strzegły cię dobre duchy i że jesteś przy mnie. Przyjrzał się dziewczynie zmrużonymi oczami.

- Nie wiem, co się stało, ale uważam, iż Prindin nie trafił mnie w gardło, bo i ty mnie strzegłaś.

Tylko się uśmiechnęła w odpowiedzi. Spojrzała na zwłoki i uśmiech zniknął. Pogłaskała swoją futrzaną pelerynę.

- Biedny Tossidin. Kochał brata. Będzie mi go brakowało. Chandalen też spojrzał na ciało.

- Znałem ich od dzieciństwa. Łazili za mną i błagali, żebym ich uczył. Prosili, bym przyjął ich do swoich ludzi. - W milczeniu zwiesił głowę; w końcu znów spojrzał na dziewczynę. - Żołnierze ogromnie się o ciebie martwili. Czekają.

Wypełził z chatki na kolanach, podpierając się zdrową ręką; Kahlan za nim. Ciągnęła za sobą miecz. Na zewnątrz było jasno, żołnierze podnieśli się z ziemi.

Kapitan Ryan pospieszył ku dziewczynie, lecz wielkolud z ręką na temblaku wyrzucił zdrowe ramię tuż przed kapitana i ten stanął jak wryty. Olbrzym dźwiżył w dłoni potężny wojenny topór.

- Orsk? To i ty żyjesz?

Wielkolud miał twarz zaczerwienioną od płaczu. Kahlan przypomniała sobie, jak łkał jej ojciec, kiedy chorowała jej matka - jego pani.

- O pani! - Łzy znów napłynęły Orskowi do oka. - Wyzdrowiałaś! Czego pragniesz?

- Ci żołnierze są moimi przyjaciółmi, Orsk. Żaden z nich mnie nie skrzywdzi. Nie musisz ich trzymać z dala ode mnie. Jestem bezpieczna. Sprawisz mi przyjemność, siedząc cicho i spokojnie.

Orsk natychmiast kłapnął na ziemię. Kahlan spojrzała pytająco na Chandalena. Wzruszył ramionami.

- Wiedziałem, jak walczył w twojej obronie, a skoro Prindin chciał go zabić, to dałem mu *quassin doe*. Żołnierze wyjęli mu strzałę z pleców. Nie mam pojęcia, jak poważnie jest ranny. Martwił się tylko o ciebie, nie troszczył się o swoją ranę. Nie wlaźł do chatki tylko dlatego, że powiedziałem mu, iż powinnaś być sama lub możesz nie wydobrzeć. Nie chciał jednak się stąd ruszyć, dopóki byłaś w środku.

Kahlan westchnęła, patrząc na uniesioną ku niej przerażającą twarz. Z

trudem znosiła widok białej zygzakowatej szramy i zaszytego oka. Przeniosła uwagę na niecierpliwiącego się kapitana Ryana i setki twarzy poza nim.

- Jak idzie walka? - Walka! Co tam walka! Jak się czujesz? Na śmierć nas wystraszyłaś! - Łypnął wściekle na Chandalena, potem na siedzącego w śniegu Orska. - Ci dwaj nawet mi nie pozwolili na ciebie spojrzeć, zobaczyć, jak się czujesz.

- To ich obowiązek - odparła Kahlan. Uśmiechnęła się ciepło do nich. - Dziękuję wam wszystkim za troskę. Chandalen uratował mi życie.

- Co się stało? Okropnie tu wyglądało. Zamordowano dwunastu ludzi, których zostawiłem. Zginęli od *troga*. Prindin i Tossidin nie żyją. Leżeli tu również martwi żołnierze Armii Ładu. Baliśmy się, że cię zabil,

Dziewczyna zrozumiała, iż Chandalen nic im nie powiedział.

- Jeden z martwych żołnierzy, który leży gdzieś tam - wskazała kierunek - to generał Riggs z Imperialnego Ładu. Orsk - pokazała jednookiego - zabił większość wojowników Ładu. Przyszli tu, żeby mnie pojmać. Prindin zamordował naszych wartowników i własnego brata, po czym próbował zrobić to samo ze mną.

Wśród żołnierzy rozległy się szepty i pełne zdumienia westchnienia. Zdawało się, że kapitanowi Ryanowi oczy wyskoczą z orbit.

- Prindin! Nie Prindin. Na dobre duchy, dlaczego!?! Dziewczyna odczekała, aż wszyscy umilkną. Powiedziała spokojnie:

- Prindin był banelingiem.

Przez chwilę panowała pełna zdumienia cisza, potem przez szeregi przeleciał zatroskany szept: „baneling”.

- Wspaniale się spisujecie, żołnierze. Od teraz będziecie walczyć beze mnie. Muszę ruszyć do Aydindril. - Rozległ się pełen zawodu i rozczarowania pomruk. - Nie opuściłabym was, gdybym nie była pewna, że sobie poradzicie. W walce dowiedliście swojej odwagi i umiejętności. Dorównujecie zawodowcom. - Wyprężyli się dumnie. Słuchali Kahlan uważnie, jakby była ich generałem. - Jestem dumna z was wszystkich razem i z każdego z osobna. Jesteście bohaterami Midlandów. Armia Imperialnego Ładu, choć groźna, to tylko część zagrożenia dla Midlandów, dla całego świata żywych. Świadczy o tym fakt, że Opiekun posłał banelinga, by mnie powstrzymał. Uważam, iż Imperialny Ład jest po stronie Opiekuna. Teraz

muszę się zająć owym zagrożeniem. Wiem, że będziecie się bić, jak przysięgliście, i że nie okazecie wrogowi litości. Wierzę, że dni Ładu są policzone.

Kahlan zdała sobie sprawę, iż szyja przestała ją boleć. Dotknęła palcami śladu po ukąszeniu. Zniknął. Poczwała nagle, że wysliznęła się z łap Opiekuna, nie tylko zachowując życie, ale i uwalniając się od dozoru Rahla Pośępnego.

Dziewczyna poważnie spoglądała na uniesione ku niej, skupione młode twarze.

- Choć nie wolno wam okazywać wrogom litości, to nie powinniście się do nich upodobnić. Przeciwnik walczy po to, żeby zabijać i zmieniać pokonanych w niewolników. Wy walczycie o życie i o wolność. Zawsze o tym pamiętajcie. Dołóżcie wszelkich starań, by się nie upodobnić do tych, których nienawidzicie. Wiem, jak łatwo może się to przytrafić. Mało brakowało, aby i mnie spotkało. - Kahlan uniosła w górę zaciśniętą pięść. - Przrzekam, że nigdy nie zapomnę żadnego z was. Obiecujcie mi, iż kiedy to wszystko się skończy, kiedy przestanie nam zagrażać tak Imperialny Ład, jak i Opiekun, zjawicie się któregoś dnia w Aydindril, żeby Midlandy mogły oddać hołd waszemu poświęceniu.

Wszyscy zbrojni unieśli pięści na znak przysięgi. Rozległy się okrzyki.

- Kapitanie Ryan powtórz, proszę, moje słowa żołnierzom z innych obozowisk. Żałuję, że nie mogę się z nimi spotkać, lecz natychmiast muszę ruszać w dalszą drogę.

Ryan zapewnił Kahlan, iż wykona jej polecenie. Dziewczyna oburącz uniosła miecz.

- Król Wyborn walczył tym orężem w obronie swojej krainy. Matka Spowiedniczka walczyła nim w obronie Midlandów. Teraz przekazuję miecz w godne dłonie.

Kapitan Ryan ostrożnie wziął broń z rąk Matki Spowiedniczki.

Trzymała go tak, jakby to była korona Galei. Uśmiechnął się promiennie do Kahlan.

- Będę go nosił z dumą, Matko Spowiedniczko. Dzięki za wszystko, czego nas nauczyłaś. Byliśmy chłopcami, kiedy po raz pierwszy nas zobaczyłaś. Dziękujemy ci za to, że uczyniłaś z nas mężczyzn, żołnierzy. Nie tylko nauczyłaś nas skuteczniej walczyć, ale i, co ważniejsze, co to znaczy być żołnierzami, co to znaczy być obrońcami Midlandów. - Ryan zacisnął dłoń

na rękojeści, uniósł klingę w niebo i odwrócił się ku swoim ludziom. - Trzykrotny okrzyk na cześć Matki Spowiedniczki!

Kahlan, słuchając trzech gromkich wiwatów, uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy w życiu nie słyszała radosnych okrzyków na cześć Matki Spowiedniczki. Usiłowała nie pokazać po sobie zaskoczenia. Ucałowała koniuszki palców i podziękowała wszystkim zebranym.

- Chciałabym zebrać Nicka, kapitanie Ryan. Będę również potrzebować dwóch innych koni.

Chandalen szybkim ruchem pochylił się ku niej.

- Po co ci te konie? Dziewczyna spojrzała nań znacząco.

- Mam na nodze ranę po strzale. Ledwo stoję, a jeszcze gorzej przychodzi mi chodzenie. Skoro mam się dostać do Aydindril, to muszę jechać konno. Ma nadzieję, iż nie uznasz mnie z tego powodu za słabeusza.

- Nie. - Ściągnął brwi. - Jasne, trudno oczekiwać, byś szła pieszo. - W jego oczach znów zapłonął gniew. - No ale po co ci jeszcze dwa konie?

- Skoro ja pojedę, to i ty musisz.

- Chandalen nie potrzebuje jechać! Jest krzepki! Kahlan pochyliła się ku niemu i powiedziała w jego mowie:

- Wiem, Chandalenie, że Błotni Ludzie nie jeżdżą konno. Nie oczekuję, że to potrafisz. Nauczę cię. Świetnie sobie poradzisz. A kiedy wrócisz do swego ludu, będziesz umiał coś, czego nikt z nich nie umie. Będą pełni podziwu. Kobiety przekonają się, jaki jesteś dzielny i męski.

- Łowca chrząknął podejrzliwie i nadal się złościł:

- A po co nam trzeci koń?

- Zabieramy Orska. - Co takiego!?

Kahlan wzruszyła ramionami.

- Przecież nie możesz szyc z łuku, dopóki nie wydobreje ci ramię. Jak byś mnie bronił? Orsk może walczyć toporem, trzymanym w zdrowej ręce, a ty możesz rzucać włócznią.

Chandalen przewrócił oczami.

- Nie odwiode cię od tego, prawda?

- Nie. - Dziewczyna uśmiechnęła się doń leciutko. - A teraz zabierajmy nasze rzeczy i w drogę.

Po raz ostatni spojrzała na żołnierzy. Swoich żołnierzy. Zasalutowała im, przykładając pięść do serca. Wszyscy, w milczeniu, oddali jej honory. Wiele

przy nich straciła. I wiele zyskała.

- Dbajcie o siebie. Wszyscy razem i każdy z osobna.

ROZDZIAŁ 48

Kiedyż wreszcie natkniemy się na twoich, którzy mają poprowadzić mnie i Siostrę Verne do pałacu?

Du Chaillu obejrzała się przez ramię, odsuwając na bok szopę gęstych czarnych włosów, która zasłaniała jej Richarda. Prowadziła swojego konia. Chłopakowi znudziły się jej narzekania, więc kiedy odmówiła dalszej jazdy, nie robił z tego problemu i pozwolił jej iść piechotą. Sam też postanowił przejść się kawałek. Siostra Verna jechała za nimi i wpatrywała się w Du Chaillu bacznie jak sowa.

- Wkrótce - odparła zapytana. Jej chłodna, wyniosła mina irytowała Richarda. - Już niedługo.

Du Chaillu zmieniała się powoli, w miarę jak oddalali się od ziem Majendie i wchodzili głębiej w jej terytorium. Już nie była gadatliwa i miła; stała się chłodna i wyniosła. Siostra Verna rzadko spuszczała Du Chaillu z oka, zaś ta śledziła każdy ruch Verny. Były jak dwie nastroszone kocice, ciche i nieruchome, ale gotowe do ataku. Richard wcale by się nie zdziwił, gdyby zaczęły szczyrzyć kły.

Chłopak miał wrażenie, że obie kobiety nieustannie się sprawdzają, choć nie umiał powiedzieć jak. Z zachowania Siostry Verny wywnioskował, iż wcale nie jest zadowolona z tego, co odkryła. Richard wiedział już, kiedy Siostra dotyka swojej Han. Rozpoznawał charakterystyczne zamglenie oczu. Właśnie w tej chwili to czyniła.

Du Chaillu skrzyła nagle z szerokiego leśnego traktu i w gęstniejącym zmroku poprowadziła ich wąską ścieżką, wśród zbitych, splątanych chaszcz. Po obu bokach czaiła się ciemna woda, z której sterczały gęste kępy trzciny i roślin o szerokich liściach oraz różowych i żółtych kwiatach przypominających kształtem trąbki. Richard bacznie wpatrywał się w cienie pomiędzy drzewami.

Du Chaillu zatrzymała się na skraju otwartej, piaszczystej polanki. Podała Richardowi wodze swojego konia.

- Tamci się tu z nami spotykają. Czekał tutaj, magiczny człowieku.

Chłopaka przeszło mrowie, kiedy usłyszał, jak go nazwała. Wziął od niej lejce.

- Richard. Mam na imię Richard. To ja uratowałem twoją głowę. Pamiętaj?

Du Chaillu spojrzała nań w zadumie.

- Nigdy nie myśl, że nie doceniam tego, co zrobiłeś dla mnie i dla mojego ludu. Na zawsze zachowam w sercu twoją dobroć. - Oczy się jej zamglily, w głosie zabrzmiał żal. - Ale i tak pozostałeś magicznym człowiekiem. - Wyprostowała się sztywno. - Czekał tu.

Odwróciła się i zniknęła w otaczającym polanę lesie. Richard spoglądał za nią. Siostra Verna zsiadła z Jessupa. Wzięła wodze wszystkich trzech koni.

- Teraz spróbuje cię zabić - poinformowała chłopaka takim tonem, jakby zapowiadała deszcz na jutro.

- Uratowałem jej życie. - Richard obrzucił Verne wściekłym spojrzeniem. Siostra poprowadziła konie ku drzewom.

- Dla tych ludzi jesteś magicznym człowiekiem. A oni takich zabijają. Chłopak nie bardzo chciał jej wierzyć, a mimo to uwierzył.

- Więc użyj swojej Han, Siostrze, żeby temu zapobiec, żeby ocalić życie, jak to zalecałaś Du Chaillu względem jej nowego dziecka.

Verna pogładziła pysk Jessupa.

- Ona też potrafi używać własnej Han. To dlatego Siostry zawsze unikały tych ziem i tych ludzi: niektórzy z nich potrafią korzystać ze swojej Han w nie znany nam sposób. Wypróbowałam ją. Zaklęcia, które ku niej wysyłałam, zniknęły jak kamyki w studni. Jednak nie przeszły nie zauważone. Du Chaillu wie, co próbuję zrobić, i potrafi to obrócić wniwecz. Już ci mówiłam, iż ci ludzie są niebezpieczni. Ze wszystkich sił starałam się temu zapobiec. Ostrzegałam cię, byś nie wymachiwał toporem. A ty uważałeś, że się mylę.

Richard zacisnął zęby. Zacisnął lewą dłoń na rękojeści miecza. Poczul wypukłe litery słowa PRAWDA, wyczul żar magicznego gniewu. - Nie zamierzam nikogo zabijać.

- Dobrze. Nie uwalniaj teraz gniewu miecza. Będzie ci potrzebny, jeżeli chcesz przeżyć. Właśnie nas otaczają; tyle mówi mi moja Han.

Richard miał wrażenie, że nagle wszystko wymyka się spod kontroli. Nie chciał nikogo krzywdzić. Nie po to ratował Du Chaillu, by teraz walczyć z jej współplemieńcami.

- No to przywołaj swoją Han, Siostrze. Jestem Poszukiwaczem, nie

mordercą. Nie zabiję dla ciebie twoich wrogów.

Verna zrobiła kilka kroków ku chłopakowi. Głos miała twardy i opanowany.

- Mówiłam ci, że moja Han nam nie pomoże. Już dawno rozprawiłabym się z tym zagrożeniem, gdybym mogła, lecz nie mogę. Du Chaillu ma moc chroniącą przed magią. Broń się, Richardzie, błagam.

- A może po prostu nie chcesz pomóc. - Chłopak przymrużył oczy. - Złóścisz się, że zerwałem umowę, którą Siostry miały z Majendie. Jak zawsze masz zamiar obserwować, co zrobię.

Verna z wolna potrząsnęła głową, poirytowana i zniecierpliwiona.

- Czyżbyś naprawdę sądził, Richardzie, że poświęciłam pół życia, by cię odnaleźć i sprowadzić do Pałacu Proroków tylko po to, aby teraz patrzeć, jak cię zabijają niemal na progu mojego domu? Naprawdę uważasz, że nie powstrzymałabym tego, gdybym mogła? Tak źle o mnie myślisz?

W pierwszym porywie Richard chciał się z nią sprzeczać, lecz potem rozważył jej słowa. To, co mówiła, miało sens. Potrząsnął przeproszająco głową i przelotnie zerknął w mroki.

- Ilu ich jest?

- Chyba około trzydziestu.

- Trzydziestu. - Skrzyżował ręce na piersiach, poirytowany. - Jak mam się sam bronić przeciwko trzydziestu?

Verna przez chwilę patrzyła w ciemność, potem wyrzuciła przed siebie ręce. Podniósł się wiatr, uniósł ku mrokom lasu tuman piasku i pyłu.

- To ich spowolni na krótko, ale nie zatrzyma. - Ponownie skierowała piwne oczy na Richarda. - Skorzystałam z mojej Han, żeby uzyskać odpowiedź. Jedyne, co mi powiedziała, to że musisz się uciec do proroctwa, by przeżyć. Nazwałeś się dawcą śmierci, jak zapowiedziało proroctwo. Ono dotyczy ciebie. Jeśli chcesz pokonać tak wielu, musisz je wykorzystać. Głosi ono, iż właściciel miecza potrafi przywoływać umarłych, potrafi ściągać przeszłość w teraźniejszość.

Chłopak rozprostował ramiona.

- Właśnie zmierza na nas trzydziestu ludzi, którzy, jak twierdzisz, zmierzają mnie zabić, a ty częstujesz mnie zagadkami? Już ci mówiłem, Siostrze, że nie wiem, co to oznacza. Jeżeli chcesz pomóc, to udziel mi rady, z której potrafię skorzystać.

Verna odwróciła się i ruszyła ku koniom.

- Już to zrobiłam. Niektóre proroctwa mają pomagać tym, o których mówią, śląc pomoc poprzez czas, dostarczając klucza otwierającego drzwi ku jasności. Wierzę, że i to proroctwo do takich należy. Ono dotyczy ciebie: ty musisz znaleźć sposób, w jaki je wykorzystać. Ja nie pojmuję jego znaczenia. - Siostra zatrzymała się i obejrzała przez ramię. - Chyba nie zapomniałeś, że starałam się trzymać nas z dala od tych ludzi. Ty zaś twierdziłeś, iż w owej sprawie nie jesteś moim uczniem, lecz Poszukiwaczem. I jako Poszukiwacz powinieneś wykorzystać owo proroctwo. To ty nas w to wplątałeś. Jedynie ty możesz nas z tego wyplątać.

Richard patrzył, jak uspokaja zdenerwowane konie. Już przedtem rozmyślał o tej przepowiedni, zastanawiając się, od kiedy Verna mu o niej powiedziała, co też znaczy. Czasami wydawało mu się, że jeszcze chwila, a zrozumie, lecz zanim naprawdę zdołał ją pojąć, jej sens zawsze mu umykał. Wiele razy posługiwał się mieczem, znał jego możliwości. Znał też swoje ograniczenia. Miecz był niepokonany w walce przeciwko jednemu przeciwnikowi, lecz on, Richard, był z ciała i krwi. Nie był wytrawnym szermierzem - w przeszłości zawsze polegał na magii miecza. No i był tylko jeden, a tamtych wielu. Miecz zaś w danym czasie może się znajdować tylko w jednym miejscu.

- Dobrzy z nich wojownicy? - zapytał.

- Baka Ban Mana są niezrównani. Mają specjalnych wojowników, mistrzów miecza, którzy każdego dnia ćwiczą od wschodu do zachodu słońca. A potem ćwiczą w blasku księżyca. Walka to dla nich niemal religia. W młodości widziałam Baka Ban Mana, mistrza miecza, który w garnizonie Tanimury zabił niemal pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych żołnierzy, zanim go pokonano. Walczą tak, jakby byli niezwycięzonymi duchami. Niektórzy wierzą, iż naprawdę nimi są.

- No to wspaniale - mruknął pod nosem Richard.

- Wiem, Richardzie, że trudno się nam porozumieć - powiedziała Verna, nie patrząc nań. - Patrzymy na to samo, a każde z nas widzi co innego. Pochodzimy z odmiennych światów, oboje jesteśmy uparci i niezbyt się nawzajem lubimy. Lecz chcę, żebyś wiedział, iż w tym przypadku nie robię ci na przekór. Mówiłeś prawdę, twierdząc, że to dotyczy ciebie jako Poszukiwacza, a niejako mojego ucznia. W sposób, którego nie pojmuję,

zawiera się to również w proroctwie. Niesie cię fala wydarzeń, ja zaś jestem tylko widzem. Ale jeżeli ty zginiesz, to umrę i ja. - Wreszcie spojrzała mu w oczy. - Nie wiem, jak ci pomóc. Wokół zbierają się ludzie, żeby popatrzeć na to, co się będzie działo, i wiem, że zabiją mnie, jeśli spróbuję się wtrącić. To ma związek z proroctwem, tobą i Baka Ban Mana. Ja nie mam z tym nic wspólnego; jedynie wspólną z tobą śmierć. Nie mam pojęcia, co oznacza przepowiednia, i widzę, że ty także, lecz myśl o niej, a być może zrozumienie nadejdzie w chwili potrzeby. Jeśli możesz, spróbuj wykorzystać twoją Han.

Richard wsparł się pod boki.

- W porządku, Siostrze, spróbuję. Przepraszam, ale nie jestem za dobry w rozwiązywaniu zagadek. Na wypadek, gdyby mnie zabili, już teraz dziękuję, że próbowałaś mi pomóc.

- Chłopak spojrzał w niebo, na przesłaniające księżyc chmury. Mroki sprzyjały nadchodzącym. A niby dlaczego i on nie miałby wykorzystać ciemności?

Richard był leśnym przewodnikiem, w mrokach lasów czuł się jak u siebie. Spędził niezliczone godziny na takich jak ta grach z innymi przewodnikami. To był i jego żywioł. Mógł postąpić po swojemu. Przycupnął i odsunął się w bok, byle dalej od Siostry i koni. Stopił się z rzucanymi przez księżyc cieniami.

Znalazł pierwszego z tamtych, spoglądającego w złym kierunku. Milczący i nieruchomy, Richard obserwował ciemny, otulony w luźne szaty kształt, wsparty na jednym kolanie i wpatrzony w Siostrę. Napastnik zaciskał w dłoni krótką włócznię, koniec drzewca wbił w piasek. Obok leżały jeszcze dwie inne.

Richard, starając się oddychać bezgłośnie, podkradł się bliżej tamtego. Stopniowo znalazł się tak blisko, jak tylko mógł. Wyciągnął rękę: była o cal od włóczni. Zamarł, bo tamten odwrócił głowę. Przeciwnik skoczył na nogi, lecz chłopak był wystarczająco blisko. Wyrwał mu broń. Tamten okręcił się, a Richard odwrócił włócznię i uderzył go drzewcem w głowę. Wojownik padł na ziemię, zanim zdążył zaalarmować innych.

Jeden mniej, pomyślał Richard, prostując się, no i nie musiałem go zabijać. Przynajmniej miał nadzieję, że go nie zabił.

Z mroku wysliznął się jakiś kształt. Z boku następny. I jeszcze jeden. Richard rozejrzał się i ujrzał kolejnych. Otoczyli go, zanim zdążył się

wycofać.

Wszyscy byli otuleni w luźne stroje o barwie kory, żeby zlewać się z otoczeniem. Zarzucone na głowę płótno odsłaniało jedynie ciemne, błyszczące ponurą determinacją oczy.

Nie było dokąd uciekać. Richard przesunął się na polanę, a wraz z nim okalający go pierścień wojowników. Ciągłe przybywali nowi. Chłopak obracał się, obserwując, jak okrążają go podwójnym pierścieniem. Może poradzi sobie bez zabijania.

- Kto wami dowodzi?

Wewnętrzny pierścień opatulonych postaci rzucił na ziemię tarcze i dodatkowe włócznie, grotami ku Richardowi. Każdy z wojowników uniósł oburącz ostatnią z włócznie, trzymając ją jak kij. Nie spuszczała chłopaka z oczu. Ci z zewnętrznego kręgu złożyli na ziemi tarcze oraz wszystkie trzy włócznie i położyli dłonie na rękojeściach mieczy, lecz ich nie dobyli.

Rozległ się cichy, rytmiczny śpiew i oba kręgi zaczęły się poruszać w przeciwnych kierunkach.

Richard chodził tyłem po ciasnym okręgu, starając się mieć wszystkich na oku.

- Kto jest waszym wodzem!?

Cały czas trwał śpiew i niby-taniec.

Na skale za zewnętrznym kręgiem podniosła się jakaś osłonięta od stóp do głów postać.

- Jestem Du Chaillu. Ja nimi dowodzę. Richard z trudem mógł w to uwierzyć.

- Ocaliłem ci życie, Du Chaillu. Dlaczego chcesz nas zamordować?

- Bak Ban Mana nie przyszli tu po to, żeby cię zamordować. Jesteśmy tu, by stracić cię za kradzież naszych uświęconych ziem.

- Nigdy przedtem nie widziałem twojego kraju, Du Chaillu. Nie mam nic wspólnego z tym, co się wydarzyło.

- Magiczni ludzie zabrali nam nasze ziemie. Pogwałcili nasze prawa. Jesteś magicznym człowiekiem. Ciężą na tobie grzechy tamtych magicznych ludzi. Nawet nosisz ich piętno; to dowód. Musisz uczynić to samo, co poprzedni, których złapaliśmy. Musisz stawić czoło kręgowi. Musisz umrzeć.

- Mówiłem ci, Du Chaillu, że zabijanie musi się skończyć.

- Nic dziwnego, że tak mówisz, skoro sam masz zginąć.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić!? Ryzykowałem życiem, by powstrzymać zabijanie! Ryzykowałem życiem dla ciebie!

- Wiem, Richardzie - odparła cicho. - I zawsze będę ci za to wdzięczna. Rodziłabym ci synów, gdybyś tego ode mnie zażądał. Oddałabym ci życie. Przez swój czyn stałeś się bohaterem mojego ludu. Przywiążę modlitwę do mojej szaty, żeby duchy czule przyjęły cię do swoich serc. Ale jesteś magicznym człowiekiem. Stare prawo mówi, że musimy co dnia ćwiczyć i być najlepszymi szermierzami ze wszystkich ludzi. Nakazano nam, abyśmy zabijali każdego magicznego człowieka, którego pochwycimy, albo Duch Mroków wciągnie świat żywych w ciemności.

- Nie możecie zabijać ani magicznych ludzi, ani nikogo innego! To się musi skończyć!

- Zabijanie nie może się skończyć z powodu tego, co uczyniłeś. Dobiegnie kresu dopiero wtedy, kiedy zatańczą z nami duchy.

- Cóż to znaczy?

- To znaczy, że musimy cię zabić, bo inaczej spełni się to, co zapowiedziane, i Duch Mroków ucieknie ze swego więzienia.

- Nie chcę zabić nikogo z nich, Du Chaillu, ale będę się bronił. Powstrzymaj to, proszę, zanim następnemu stanie się krzywda. Nie zmuszaj mnie, bym kogoś zabił. Błagam.

- Gdybyś próbował uciekać, wbilibyśmy ci w plecy włócznie, ale zostałeś i zdobyłeś prawo do walki twarzą w twarz. I tak umrzesz jak wcześniej pochwyceni. Jeżeli nie będziesz walczył, to odejdziesz szybko i bez cierpień. Masz na to moje słowo.

Poruszyła dłonią i znów zabrzmiał śpiew. Zewnętrzny pierścień wojowników dobył mieczy o długich ostrzach osadzonych na czarnych rękojeściach. Od pierścienia na gałce rękojeści biegł sznur okalający szyję szermierza i chroniący przed zgubieniem broni w walce. Każda klinga była zakrzywiona, rozszerzała się ku ściętemu czubkowi.

Wojownicy okręcili miecze, przerzucili je z prawej dłoni do lewej i z powrotem. Ostrza wciąż wirowały. Oba pierścienie Baka Ban Mana ponownie kręciły się w odwrotnym kierunku. Ci w wewnętrznym kręgu zaczęli kręcić młynka włóczniami jak kijami.

Richard znał przewodników noszących kije. Nikt nigdy ich nie zaczepiał.

A ci ludzie byli lepsi niż jakikolwiek przewodnik, którego widział w akcji. Drewniane pręty wirowały w poświęcie księżycy, stalowe groty migotały blado.

Chłopak złamał na kolanie drzewce swojej włóczni i dobył miecza. Dźwięk stali wzniósł się ponad świst włóczni i tamtych kling.

- Nie czyn tego, Du Chaillu! Powstrzymaj to, zanim jeszcze ktoś zostanie ranny!

- Nie walcz z nami, czarnoksiężniku, a damy ci szybką śmierć. Tyle przynajmniej jestem ci winna.

Pierś Richarda uniosła się ciężko; zacisnął zęby. Śpiew nabrał tempa, kręgi wojowników poruszały się szybciej.

Chłopak spojrzał gniewnie na stojącą na skale kobietę.

- Du Chaillu, odrzucam odpowiedzialność za to, co się tu wydarzy. To ty do tego dążysz. Ty ponosisz za to odpowiedzialność. To twoja wina!

- Nas jest wielu. Ty jesteś sam. Przykro mi, Richardzie - powiedziała cicho, głosem pełnym żalu.

- Tylko głupiec ślepo wierzyłby w taką przewagę, Du Chaillu. Nie do końca jest tak, jak się wydaje. Naraz może mnie zaatakować jeden wojownik, dwóch lub co najwyżej trzech. Szansę nie są takie, jak je widzisz. - Chłopak nie wiedział, skąd wziął te słowa.

- Znasz taniec śmierci, czarnoksiężniku.

Zobaczył w księżycowej poświęcie, jak skinęła głową.

- Nie jestem czarnoksiężnikiem, Du Chaillu! Jestem Richardem, Poszukiwaczem Prawdy. Nie ze swojej woli idę z Siostrą, żeby się nauczyć magii. Jestem więźniem. Wiesz o tym. Jednak będę się bronił!

Du Chaillu obserwowała go w blasku księżycy.

- Duchy wiedzą, Poszukiwaczu Richardzie, że mi cię żal, ale musisz umrzeć.

- Nie mnie żałuj, Du Chaillu. Żałuj tych swoich wojowników, którzy zginą tej nocy. Którzy zginą niepotrzebnie.

- Nie widziałeś, jak walczą Baka Ban Mana. Nie draśniesz żadnego. Tylko ty zakosztujesz stali. Nie troszcz się o nas; nic nam nie będzie. Nikogo nie zabijesz.

Richard uwolnił magię miecza, wściekłość.

Oba kręgi szybciej śpiewały, szybciej się poruszały, szybciej kręciły

młynka bronią. W Poszukiwaczu szalał gniew miecza. Lecz nawet teraz - targany wściekłością i nieopanowaną żądzą mordy - Richard wiedział, iż to nie wystarczy. Było ich zbyt wielu. A on jeszcze nigdy nie widział, by ktoś tak panował nad bronią jak ci ludzie.

Odrzucił wszelką ostrożność i wchłaniał coraz więcej magii miecza. Więcej i więcej, aż bezlitosna nienawiść opanowała wszelkie myśli, niemal odbierając mu rozum. Otworzył przed nią najgłębsze zakamarki duszy. Richard tkwił nieruchomo w centrum przesuwających się kręgów. Przyłożył do czoła połyskującą klingę. Zimna stal, rozpalona skóra i pot.

- Nie zawieź mnie teraz, mieczu.

Poszukiwacz w dalszym ciągu przywoływał magię. Instynktownie zdjął i rzucił na bok koszulę, żeby nic nie krępowało mu ruchów. Dlaczego to zrobił? Należało to zrobić, lecz chłopak nie miał pojęcia, skąd wzięła się ta myśl. Wyciągnął miecz wprost przed siebie. Mięśnie Richarda napięły się i stwardniały; lśnił od potu.

Odnalazł centrum siebie, punkt spokoju i skupienia. W oślepiająco białym centralnym punkcie gniewu poszukał swojej Han.

Korzystaj z tego, co jest w tobie, powiedział jakiś wewnętrzny głos. Wykorzystaj to, co tu jest. Uwolnij to.

W wyciszonej pamięci pojawił się obraz: Richard i Zedd stoją na skałce czarodzieja. Zadd ma skryć obłok, który Rahl Posępny posłał śladem chłopaka. Przed Zeddem z owej skałki korzystało wielu czarodziejów. Kiedy Richard tak stał i przywoływał magię, pozwalając jej płynąć przez siebie, wyczuł ślad poprzedników. Przypomniawszy sobie, jak czuł to, co oni, wiedział to, co oni. Jakby wniknął w pamięć tych, którzy niegdyś korzystali ze skałki czarodzieja.

Nagle zrozumiał proroctwo.

Zastanawiał się, jak mógł wcześniej posługiwać się mieczem i nie dostrzegać, nie pojmować tego, co niosła w sobie magia. To samo, co skałka czarodzieja.

Inni korzystali z magii Miecza Prawdy, a ona zachowała pamięć o ich zdolnościach i walkach, o każdym sztychu. Gotowe do wykorzystania umiejętności niezliczonych poprzedników - mężczyzn i kobiet - którzy walczyli Mieczem Prawdy. Zręczność i sprawiedliwych, i nikczemnych Poszukiwaczy.

Nieruchomy Richard zobaczył, że z lewej zbliża się pierwszy przeciwnik.
Bądź piórkiem, a nie głazem. Pozwól się nieść burzy.

Chłopak puścił wodze wściekłości, okręcił się, unikając napaści. Nie uderzył, wykonał unik. Pozwolił kierować sobą magii miecza. Napastnik upadł, nie trafiając w cel.

Natychmiast pojawił się następny, kręcąc młynka włócznią. Richard znów się uchylił i rozciął drzewce na pół. Celował weń grot włóczni. Ominął go, nie zatrzymując się, i ponownie przepołowił drzewce. Kolejny atak nastąpił z tyłu. Chłopak trafił napastnika stopą w pierś i przewrócił.

Richard poddał się magii miecza i wewnętrznemu spokojowi. Działał pod ich dyktando.

Na tyle tylko kontrolował gniew, żeby nie zabijać. Uderzał płazem, podstawiał nogę. Im szybciej atakowali, tym szybciej reagował - magia karmiła się ich energią. Płynnie przemykał wśród napastników, rozszczepiając drzewca włóczni, starając się rozbroić Baka Ban Mana i nie zabić ich.

- Du Chaillu! Powstrzymaj to, zanim będę musiał ich zranić!

To był błąd. Rozproszenie uwagi. Włócznia przeniknęła przez obronę. Zagrożenie - i gniew buchnął z nową siłą. Richard mógł zabić napastnika lub tylko go powstrzymać. Miecz świsnął w powietrzu i odciął dłoń trzymającą włócznię. Trysnęła krew i odłamki kości. Rozległ się krzyk kobiety.

Są wśród nich i kobiety, uświadomił sobie chłopak. To nie ma znaczenia. Zabiją go, jeżeli nie będzie się bronić. Utrata dłoni jest lepsza od utraty głowy. Krew - w Richardzie zakipiała wściekłość, żądza mordu, głód krwi.

Walczył z napastnikami i z tym, co tkwiło w nim samym, co popychało go do atakowania tamtych. Nie chciał tego. Pragnął, żeby dali mu spokój. Lecz jeśli nie...

Połamał im włócznie - wzięli inne i rzucili się nań. Przemykał wśród nich jak duch, oszczędzał siły, pozwalał się zmęczyć tamtym.

Zewnętrzny krąg - do tej pory rytmicznie tańczący - stanął, po czym ruszył do ataku, kręcąc młynka mieczami. Ci z wewnętrznego pierścienia, którzy jeszcze trzymali się na nogach, cofnęli się za nacierających.

Miecze wirowały. Richard nie czekał na nich, ruszył napastnikom naprzeciw. Drgnęli ze zdumienia, kiedy Miecz Prawdy roztrzaskał dwie z ich kling.

- Du Chaillu! Błagam! Nie chcę nikogo zabić!

Uzbrojeni w miecze byli szybsi niż ci z włóczniami. Zbyt szybcy. Rozmowy i próby rozbrojenia ich bez uśmiercania były niebezpiecznymi zagrywkami. Richard poczuł smagnięcie przez zebra. Nawet nie zauważył owego miecza, lecz uskoczył instynktownie i dzięki temu uniknął śmierci.

Przelano jego krew - magia miecza stanęła w obronie chłopaka. Chroniła go wściekłość i umiejętności poprzedników. Już nie mógł tego powstrzymać. Już nie miał wyboru. Pękły wszelkie bariery. Dał im szansę. Teraz nic go nie powstrzyma.

Dawca śmierci.

Szermierze ruszyli śmiercionośną ławą.

Chłopak puścił wodze magicznej mściwości. Skończyły się uniki. Teraz - pozbawiony wszelkich hamulców - tańczył ze śmiercią.

Podniosła się krwawa mgła. Richard słyszał swój krzyk, czuł swoje ruchy. Widział padające na ziemię ciała mężczyzn i kobiet, toczące się głowy. Płonęła w nim żądza krwi.

Nie dotknęło go już żadne ostrze. Parował każdy cios, jakby widział to tysiące razy, jakby zawsze wiedział, co robić. Każdy atak przynosił napastnikowi pewną i szybką śmierć. Fontanny krwi i fruujące odłamki kości, rozbryźnięte mózgi, zakrzepła krew - wszystko to zlało się w jeden przerażający obraz śmierci.

Dawca śmierci.

Nastąpił atak z dwóch stron i dopiero teraz Richard zdał sobie sprawę, że w prawej ręce trzyma miecz, a w lewej nóż. Szyja napastnika z lewej znalazła się w zgięciu ramienia i nóż podciął mu gardło. Ten z prawej otrzymał cios mieczem. Obaj osunęli się na ziemię. Chłopak stał, z trudem chwytając oddech.

Wokół dzwoniła cisza. Poruszała się tylko owa jednoręka kobieta. Wstała i wyjęła z pasa nóż. Richard widział w jej oczach determinację. Rzuciła się nań z krzykiem. Chłopak stał w kokonie magii, podobny do śmierci. Obserwował kobietę, gniew znów zawrzał. Uniosła nóż.

Miecz Richarda przeszył jej serce. Klinga pochyliła się pod ciężarem martwego, osuwającego się na ziemię ciała. Kobieta zdążyła jeszcze zacisnąć palce na ostrzu - na klindze została krwawa pręga.

Dawca śmierci.

Richard podniósł płonące gniewem oczy na stojącą na skałce kobietę. Du Chaillu zeszła z głazu, odkryła głowę, przyklękła na jedno kolano i pochyliła głowę w ukłonie.

Chłopak, wciąż jeszcze wściekły, podszedł do niej. Uniósł czubkiem miecza brodę kobiety. Spojrzał w ciemne oczy.

- Pojawił się *Caharin*.

- Kim jest *Caharin*?

Du Chaillu patrzyła mu w oczy.

- Ten, który tańczy z duchami.

- Tańczy z duchami - powtórzył bezbarwnie Richard. Zrozumiał: tańczył z duchami tych, którzy przed nim władali mieczem. Przywołał umarłych i tańczył z duchami: omal się nie roześmiał.

- Nigdy ci nie wybaczę, Du Chaillu, że zmusiłaś mnie do zabicia tych ludzi. Uratowałem ci życie, bo nienawidzę zabijania, a ty splamiłaś moje dłonie krwią trzydziestu wojowników.

- Przykro mi, *Caharin*, że musisz dźwigać to brzemię. Ale zabijanie mogła powstrzymać jedynie krew trzydziestu Baka Ban Mana. Tylko w ten sposób możemy zadowolić duchy.

- Mordowaniem?

- Kiedy magiczni ludzie ukradli nam nasz kraj, wypędzili nas na te ziemie. Nakazali nam nauczyć *Caharin* tańczyć z duchami. Tylko *Caharin* może powstrzymać Ducha Mroków przed opanowaniem świata żywych. *Caharin* zstępuje na ten świat jak dziecko, które trzeba uczyć. Część tego obowiązku spoczywa na nas: nauczyć go tańczyć z duchami. Czegoś się tej nocy nauczyłeś, prawda? - Richard potaknął ponuro. - Jestem strażniczką praw naszego ludu. Musieliśmy cię tego nauczyć. Gdybyśmy zlekceważyli starożytne nakazy, to *Caharin* nie dowiedziałaby się, co w nim tkwi, i byłby bezbronny wobec sił śmierci. I śmierć zabrałaby wszystkich. Majendie składają z nas ofiary, żebyśmy zawsze pamiętali o naszych obowiązkach wobec duchów, o nieustannych ćwiczeniach z mieczami. Czarownice pomagają Majendie, byśmy byli otoczeni i nie mogli uciec. Żebyśmy nie mieli dokąd iść, nieustannie żyli w zagrożeniu i zawsze pamiętali o naszym obowiązku. Obwieszczono nam, iż *Caharin* oznajmi swoje przybycie, tańcząc z duchami i przelewając krew trzydziestu Baka Ban Mana. Że owego czynu może dokonać jedynie wybrany, wspomagany przez duchy. Powiedziano

nam, iż kiedy to się wydarzy, to zostanie on naszym władcą. Nie będziemy już wolnym ludem, staniemy się podlegli jego woli. Twojej woli, *Caharin*. Starożytne słowa mówią, że jeśli każdego roku pójdzie do naszego kraju ten, który zakłada szatę modlitewną, i zaniesie duchom nasze modlitwy, to któregoś roku ześlą nam *Caharin*. A jeżeli dopełnimy obowiązku, to on odda nam nasz kraj.

Richard stał jak we śnie i patrzył gniewnie na klęczącą kobietę.

- Tej nocy odebrałaś mi coś cennego, Du Chaillu. Wstała, wyprostowała się dumnie.

- Nie mów mi o poświęceniu, *Caharin*. Wśród tych trzydziestu, których zabiłeś, było moich pięciu mężów. Mężów, których kochałam ja i moje dzieci, którzy nie widzieli mnie od czasu, gdy zostałam schwytana.

Richard osunął się na kolana. Miał wrażenie, że zemdleje. - Wybacz mi to, co uczyniłem tej nocy, Du Chaillu. Łagodnie położyła dłoń na schylonej głowie chłopaka.

- Wielki to dla mnie zaszczyt być dla mego ludu łączniczką z duchami i nosić szatę modlitewną wtedy, kiedy się zjawiał *Caharin*; przyprowadzić go do jego ludu. Teraz musisz spełnić swój obowiązek i oddać nam nasz kraj, jak to zapowiedziały starożytne słowa.

Chłopak uniósł głowę.

- A czy te starożytne słowa mówią, jak mam to zrobić? Du Chaillu z wolna potrząsnęła głową.

- Mówią jedynie, że mamy ci pomóc i że to zrobisz. Jesteś naszym władcą. Rozkazuj.

Richard poczuł łzę spływającą po policzku.

- A więc rozkazuję, by ustało zabijanie. Zrobisz to, co już wcześniej nakazałem. Posłużysz się ptasim gwizdkiem, żeby zawrzeć pokój z Majendie. Zajmiesz się tym natychmiast, a nam dasz przewodnika do Pałacu Proroków.

Du Chaillu pstryknęła palcami. Chłopak dopiero teraz uświadomił sobie, iż polaną otaczali ukryci w mroku ludzie. Wszyscy klęczeli, pochyleni przed nim w ukłonie. Kilku się poderwało, słysząc pstryknięcie Du Chaillu.

- Zaprowadźcie ich do wielkiego kamiennego domu. Richard stanął przed nią i spojrzał jej w oczy.

- Tak mi przykro, że zabiłem twoich mężów, Du Chaillu. Błagałam cię,

abyś położyła kres bijatyce. Bardzo żałuję, iż tak się stało.

Jej oczy miały taki sam wyraz jak oczy Siostry Verny, więdźmy Shoty i Kahlan - ponadczasowy. Lecź teraz chłopak wiedział, że widzi dar. Na ustach Du Chaillu pojawił się cień uśmiejchu. Richard nie pojmował, jak może się uśmiejchać w takiej chwili.

- Walczyli równie dzielnie, jak każdy Baka Ban Mana. Mieli zaszczyt uczyć *Caharin*. Oddali życie za swój lud. Okryli się chwałą i będą żyć w legendach. - Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na piętnie wypalonym na piersi chłopaka. - Teraz ty jesteś moim mężem.

- Cooo? - zdumiał się Richard. Zrobiła dziwną minę.

- Noszę szatę modlitewną. Jestem duchową przewodniczką naszego ludu. Jesteś *Caharin*. To stare prawo. Jesteś moim mężem.

Richard przecząco potrząsnął głową. - Nie, nie jestem. Ja już...

Chciał powiedzieć, że ma już ukochaną. Słowa uwięzły mu w krtani. Kahlan go odesłała. Nie miał nic, nie miał nikogo.

- Mogłeś trafić gorzej. - Du Chaillu wzruszyła ramionami. - Ta, która przede mną nosiła szatę modlitewną, była stara i pomarszczona. Bezzębna. Mam nadzieję, że sprawiam choć trochę radości twoim oczom i że kiedyś twoje serce zaśpiewa. Należę do *Caharin*, takie jest prawo. Ani ty, ani ja nie mamy na to wpływu.

- Owszem, mamy! - Richard rozejrzał się, potem porwał z ziemi swoją koszulę i założył ją. Spozrzegł, że ze skraju polany przygląda mu się Siostra Verna. Powiedział do Du Chaillu: - Masz zadanie do wykonania. Zajmij się tym. Nastął kres zabijania. Siostra i ja musimy dotrzeć do pałacu, żebyśmy mógł się pozbyć tej obrozy.

Du Chaillu pocałowała go w policzek.

- Do zobaczenia, Richardzie. Poszukiwaczu, *Caharin*, mężu.

ROZDZIAŁ 49

Siedząc na koniach, Richard i Siostra Verna spoglądali z porośniętego trawą wzgórza. Oboje rzucali długie, wąskie cienie. Drzewa wypełniały dolinki pomiędzy jednymi wzniesieniami, porastały stoki innych. Poniżej leżało rozległe miasto, skąpane w słomkowożółtej, nadającej barwom aksamitną miękkość, mgiełce. Odległe dachy, kryte gontem lub dachówką, lśniły w zachodzącym słońcu jak świetlne cętki na stawie.

Chłopak jeszcze nigdy nie widział tak wielu tak regularnie ustawionych budowli. Na krańcach miasta budynki były niewielkie, w miarę zbliżania się do centrum rosły i nabierały wspaniałości. Lekki, słonawy wietrzyk przynosił aż tutaj mieszaninę głosu dziesiątków tysięcy ludzi, rżenia i tętentu koni, turkotu wozów. Wśród tego zbiorowiska niezliczonych domów wiła się rzeka, dzieląc miasto na dwie części. Dalej położona część była dwa razy większa niż bliższa wędrowcom. Na skraju miasta widać było baseny portowe - znajdowały się na obu brzegach majestatycznej rzeki. Cumowały w nich łodzie najrozmaitszych rozmiarów; niektóre płynęły rzeką, z wydętymi wiatrem żaglami. Richard spostrzegł, że były wśród nich i trójmasztowce. Nawet sobie nie wyobrażał, że istnieją tak wielkie łodzie.

Co prawda znalazł się tu wbrew własnej woli, lecz mimo to zafascynowało go miasto, jego liczni mieszkańcy i osobliwości. Nigdy czegoś takiego nie widział. Na pewno można tu krążyć całymi dniami i nie zobaczyć wszystkiego.

W oddali, poza miastem, rozciągało się złociście połyskujące, sięgające aż po horyzont morze.

Nad metropolią górował olbrzymi pałac, wzniesiony na wyspie w pobliżu centrum. Potężny zachodni mur, zwieńczony blankami, złocił się w promieniach słońca. Zewnętrzne mury obronne, ramparty, wieże, poszczególne segmenty, dachy - wszystko to tworzyło skomplikowany układ, w którym tkwiły wewnętrzne dziedzińce z drzewami, gazonami i sadzawkami. Zdawało się, że pałac wyciąga kamienne ramiona i usiłuje zazdrośnie objąć całą wyspę, na której tkwi. Widziany z tej odległości - wraz z promieniującymi od centrum kreskami ulic i pasami spinających brzegi rzeki mostów - przypominał Richardowi tłustego, usadowionego w środku

pajęczyny pająka.

- Pałac Proroków - poinformowała go Siostra Verna.

- Więzienie - poprawił, nie patrząc na nią, Richard. Udała, że nie słyszy.

- Miasto nazywa się Tanimura, a rzeka Kern. Pałac zajmuje wyspę Halsband.

- Halsband. - Chłopaka przeszło mrowie. - Czy to jakiś sardoniczny żart?

- O co ci chodzi? Czyżby „halsband” znaczyło coś określonego?

- Halsband to skórzana taśma, używana przy wypuszczaniu łownego sokoła.

- Za dużą wagę przywiązujesz do domniemanych znaczeń słów. Verna lekceważąco wzruszyła ramionami.

- Czyżby? Przekonamy się.

Siostra cichutko westchnęła, poprowadziła konia w dół stoku i zmieniła temat.

- Tyle lat minęło, od kiedy byłam w domu, a wygląda tak jak przedtem.

Tego ranka, kiedy Siostra Verna znalazła się wreszcie w znajomej okolicy, opuścili ich dwaj Baka Ban Mana, którzy przeprowadzili ich przez leśne bezdroża. Richard nigdy nie tracił poczucia kierunku, lecz doskonale pojmował, iż ludzie mogli się tam gubić. On sam czuł się jak w domu w takich rozległych pustkowiach i prędzej zgubiłby się w jakimś budynku niż w gęstym lesie.

W czasie tych dwóch dni obaj Baka Ban Mana mówili niewiele. Bali się chłopaka, choć byli szermierzami równie dzielnymi jak ci, z którymi walczył. Richard musiał na nich nakrzyczeć, żeby przestali się wciąż kłaniać. Ale żadne wrzaski nie odwiodły ich od nazywania go „Caharin”.

Pewnej nocy, zanim Richard objął swoją wartę, usłyszał od Siostry Verny, iż ta bardzo żałuje, że musiał zabić tamtych trzydziestu ludzi. Podziękował jej za zrozumienie, choć zdziwiła go jej szczerść i brak jakiegokolwiek podtekstu. Pamięć o tamtym zdarzeniu bardzo ciążyła chłopakowi.

- Dlaczego nikt nie uprawia tej ziemi? - zdziwił się, badając wzrokiem żyzne wzgórza i doliny. - Muszą przecież produkować żywność dla tych wszystkich ludzi.

Siostra Verna uniosła rękę, w której trzymała wodze, i wskazała ziemie po drugiej stronie miasta.

- Gospodarstwa są po tamtej stronie rzeki. Tu nie jest bezpiecznie ani dla

ludzi, ani dla zwierząt. - Skinieniem głowy pokazała na ziemię za nimi. - Nieustannie zagrażają tu Baka Ban Mana.

- Więc nie gospodarzą w tym miejscu, bo boją się Baka Ban Mana?

- Widzisz ten mroczny las? - Spojrzała w lewo. Obserwowała Richarda, wpatzonego w skraj gęstwiny widocznej w sąsiedniej dolinie: potężne, stare, sękate pnie rosły jeden przy drugim, okryte lianami i mchem, dając schronienie ponurym mrokom. - Skraj tego boru ciągnie się całymi milami w stronę miasta. To lasy Hagen. Trzymaj się od nich z daleka. Zmarli wszyscy, którzy dopuścili, by zachód słońca zastał ich w tych lasach. Wielu zmarło, zanim zdążyło doczekać zachodu. To dziedzina niegodziwej, złej magii.

Ruszyli dalej, a Richard często oglądał się na lasy Hagen. Ciągnęło go do tego ponurego miejsca, jakby tam przynależał, jakby współgrało z jego mrocznym nastrojem. Trudno mu było odwrócić od niego wzrok.

Z bliska ulice Tanimury okazały się nie tak uporządkowane, jak wyglądały z oddali. Na skraju miasta panował chaos i bałagan. Pełno było ludzi pchających lub ciągnących wózki z workami ryżu, dywanami, drewnem na opał, skórami czy odpadkami. Czasem się wymijali, czasem tarasowali sobie nawzajem drogę. Wzdłuż ulicy stało mnóstwo straganiarzy, sprzedających dosłownie wszystko: od owoców i warzyw, poprzez kawałki mięsa pieczonego nad zaimprovizowanymi kamiennymi paleniskami, zioła i wróżby, po buty oraz paciorki. Woń smażonych potraw dawała wytchnienie od fetoru garbarni.

Mężczyźni w brudnych, znoszonych ubraniach, skupieni wokół grających w karty czy kości, pokrzykiwali z podnieceniem lub wybuchali nagle śmiechem. Wzdłuż wypełnionych tłumem bocznych ulic i wąskich zaułków stały walące się, sklecone z byle czego chałupy. Wśród tych lichych chat biegały i bawiły się gołe dzieciaki - chlapały się w błotnistych kałużach lub goniły przy zabawie w „łap lisa”. Kobiety kucały przy cebrzykach, prały i plotkowały.

Siostra Verna pomrukiwała pod nosem, że nie przypomina sobie takiego brudu, nędzy i mnóstwa bezdomnych. Richard pomyślał, iż mimo swego losu, ci ludzie wydawali się szczęśliwsi, niż mieli prawo być.

Siostra Verna - choć na skutek obozowego życia trochę nieświeża i zakurzona - wyglądała na tle tych ludzi jak królowa. Każdy kłaniał się jej nisko, a ona życzyła tym osobom błogosławieństwa Stwórcy.

Zniszczone przez czas budynki - i te z odpadającym tynkiem, i te z pociemniałego drewna - były równie zatłoczone jak ulice. Na zardzewiałych, żelaznych barierkach malutkich balkoników powiewało kolorowe pranie. Na niektórych balkonach widać było doniczki z kwiatami lub ziołami. Z tawern i zajazdów dolatywał śmiech oraz gwar rozmów. Przed jatką tkwiły, oblepione muchami, ubite zwierzęta. Inne sklepiki sprzedawały suszone ryby, zboże, oliwę.

Im bardziej Richard i Verna zagłębiali się w miasto, tym dokoła stawało się czyściej. Główna droga zrobiła się szersza, boczne ulice też, zniknęły przyklejone do budynków chałupy. Sklepy miały większe okna wystawowe z malowanymi żaluzjami, towary były lepszej jakości; w wielu sprzedawano barwne miejscowe dywany. Po bokach drogi pojawiły się drzewa, budynki były okazałe. Przed eleganckimi zajazdami stali odziani w czerwone uniformy odźwierni.

Na kamiennym moście przez rzekę Kern zapalano zawieszane na słupach lampy, by rozjaśniały gęstniejący mrok. Na ciemnych wodach wiosłowali rybacy, siedzący w małych łódkach z latarniami. Oba brzegi rzeki patrolowali żołnierze w ozdobnych mundurach ze zdobionymi złotem białymi koszulami i czerwonymi bluzami. Kopyta koni zastukały na bruku i Siostra Verna wreszcie przemówiła:

- Dzień, w którym przybywa ktoś mający dar, to dla pałacu wielkie wydarzenie. - Spojrzała z ukosa na Richarda. - To rzadkie i radosne wydarzenie. Pamiętaj, proszę, Richardzie, że powitają cię z radością. Dla nich to ważny fakt. Ty możesz patrzeć na to inaczej, lecz wiedz, iż twój widok napelni ich serca szczęściem. Będą chciały, żebyś czuł się mile widziany.

Chłopak wiedział swoje.

- Mów, o co ci chodzi.

- Właśnie to zrobiłam. Będą zachwycone.

- Czyli chciałybyś, bym ich tak od razu nie przeraził.

- Tego nie powiedziałam. - Ściągnęła nieco brwi i spojrzała na strzegących mostu żołnierzy; znów przeniosła wzrok na Richarda. - Proszę tylko, byś uświadomił sobie, iż te kobiety właśnie po to żyją.

Chłopak zapatrzył się w dal; minął kolejnych umundurowanych wartowników.

- Pewna mądra osoba, osoba, którą kocham, powiedziała mi kiedyś, że możemy być tylko tym, kim jesteśmy, nikim mniej i nikim więcej. - Przesunął wzrokiem po znajdującym się przed nimi murze, przyjrzał się stojącym tam żołnierzom, ich uzbrojeniu. - Jestem dawcą śmierci i nie mam po co żyć.

- To nieprawda, Richardzie - powiedziała cicho Verna. - Jesteś młody i jak najbardziej masz po co żyć. Przed tobą długie życie. A choć sam się nazwałeś dawcą śmierci, to widziałam, że czynisz wszystko, by powstrzymać zabijanie. Czasami nikogo nie słuchasz i pogarszasz sprawy, ale to wynika z niewiedzy, nie zaś ze złej woli.

- Skoro nienawidzisz kłamstwa, Siostrze, to pewnie nie chciałabyś, żebym udawał.

Siostra Verna westchnęła. Wjechali w wielkie wrota w potężnym murze obronnym; stukot końskich kopyt odbijał się echem pod łukowatym sklepieniem długiego przejścia. Dalej droga wiała się wśród niskich, rozłożystych drzew. Okna okolicznych budynków lśniły w łagodnym, złocistym blasku. Wiele z owych budowli łączyły kryte kolumnady lub zamknięte westybule z łukowato wyciętymi, osłoniętymi kratownicami prześwitami. W głębi dziedzińca, pod ścianą ozdobioną fryzem przedstawiającym jeźdźców, stały ławy.

Jeszcze łukowate przejście z białą bramką - i byli w stajniach. Konie pały się na położonej z tyłu łące. Chłopcy w czystej liberii złożonej z czarnego kaftana i brązowej koszuli przytrzymali wierzchowce. Richard i Verna zsiadli. Chłopak podrapał szyję Bonnie, zaczął zdejmować swoje bagaże.

Siostra Verna wygładziła podróżną spódnicę, otrzepała lekką pelerynkę. Zrobiła porządek z lokami.

- Nie troszcz się o to, Richardzie. Ktoś przyniesie ci twoje rzeczy.

- Nikt oprócz mnie ich nie dotknie - oznajmił.

Verna westchnęła i potrząsnęła głową. Poleciała chłopcu, by zajął się jej dobytkiem. Stajenny skłonił się Siostrze, potem wziął Jessupa na postronek. Mocno szarpnął. Jessup zarył się kopytami w ziemię.

- Rusz się, durne bydlę! - Chłopiec uderzył batem w zad konia. Jessup kwiknął, spróbował wyrwać głowę.

Richard ujrzał, jak chłopiec leci przez drózkę. Uderzył w drewnianą

ścianę i wylądował na siedzeniu. Stała nad nim rozeźlona Siostra Verna.

- Nie waż się batożyć tego konia! Co z tobą? Chciałbyś, żebym z tobą tak postąpiła? - Zaszokowany chłopiec potrząsnął głową. - Jeśli kiedykolwiek usłyszę, że bijesz konia, to spiorę twój kościsty tyłek, a potem stracisz pracę.

Zdumiony chłopak skłonił się przepaszająco. Siostra Verna jeszcze przez chwilę piorunowała go spojrzeniem, a potem odwróciła się i gwizdnęła na zwierzę. Jessup przytruchtał, a ona drapała go pod brodą, uspokajając i pocieszając. Wprowadziła go do boksu, dopilnowała, żeby dostał wody i siana. Richard zadbał o to, by nie spostrzegła jego uśmiechu.

- Pamiętaj, Richardzie - powiedziała, kiedy szli przez dziedziniec - że wszystkie tutejsze Siostry i nowicjuszeki mogą cię swoją Han przerzucić na drugi kraniec komnaty.

W wyłożonym drewnem westybulu, gdzie na długich żółtych i błękitnych chodnikach stały ozdobne konsole, czekały na nich trzy kobiety. Widok Siostry Verny sprawił jej w wielkie podniecenie. Verna była o głowę niższa od Richarda, a żadna z tamtych nie dorównywała jej wzrostem. Wygładziły pofałdowane pastelowe spódnice, obciągnęły białe bluzki i pospieszyły ku przybyłej.

- Siostrzo Verno! - zawołała jedna z nich. - Jak miło cię znów widzieć, Siostrzo Verno!

Kilka łez spłynęło po różowych policzkach. Uśmiechały się od ucha do ucha. Każda wyglądała sporo młodziej niż Verna. Siostra patrzyła w duże, załzawione oczy. Delikatnie pogładziła wilgotną od łez buzię.

- Siostra Phoebe. - Dotknęła dłoni pozostałych. - Siostra Amelia, Siostra Janet. Miło was znów zobaczyć. Od tak dawna się nie widziałyśmy.

Wszystkie trzy zachichotały nerwowo, opanowały się. Siostra Phoebe, z krągłą buzią, spojrzała na Richarda.

- Gdzie on jest? Dlaczego go ze sobą nie przyprowadziłaś?

- Oto on. - Siostra Verna wskazała chłopaka. - Richardzie, to moje przyjaciółki, Siostry: Phoebe, Amelia i Janet.

Uśmiechy zmieniły się w zdumienie. Mrugały ze zdziwienia, przyglądając mu się. Gapiły się nań otwarcie, aż wreszcie jedna przez drugą zaczęły zapewniać, jak się cieszą, iż go poznały. W końcu oderwały odeń oczy i znów spojrzały na Siostrę Verne.

- Chyba pół pałacu czeka, żeby was oboje powitać - poinformowała

Siostra Phoebe. - Każda jest taka podekscytowana, od kiedy dowiedziałyśmy się, że się dzisiaj zjawisz.

Siostra Amelia przyglądała piękne jasnobrązowe włosy, odgarnęła w tył pasma, które ledwie sięgały jej ramion.

- Od kiedy wyruszyłeś po Richarda, nikogo tu nie sprowadzono. Tyle długich lat i nikt nie przybył. Wszystkie bardzo chcą go poznać. Chyba czeka je „wielka” niespodzianka - powiedziała, rumieniąc się, i zerknęła na chłopaka. - Zwłaszcza niektóre z młodszych Sióstr. Miła niespodzianka, moim zdaniem. Ależ on jest wielki.

Richard przypomniał sobie, jak, kiedy był mały, musiał tkwić w domu podczas deszczu. Do matki przychodziły przyjaciółki, żeby porozmawiać i pomóc w pikowaniu kołdry. Bawił się na podłodze, a one siedziały, szyły i rozmawiały o nim, jakby go tam wcale nie było. Mówiły, jak rośnie, matka opowiadała, ile je i jak dobrze czyta. Teraz był podobnie zażenowany; poprawił plecak na ramieniu.

Siostra Phoebe spojrzała nań, a jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu. Dotknęła ramienia chłopaka.

- Widzisz, jakie z nas pape! Nie powinnyśmy mówić o tobie, jakby cię tu nie było. Witaj. Richardzie. Witaj w Pałacu Proroków.

Richard w milczeniu obserwował trzy przyglądające mu się Siostry. Amelia zachichotała i powiedziała do Siostry Verny:

- Nie jest zbyt rozmowny, prawda?

- Wprost przeciwnie - odparła Verna i dodała: - Dzięki ci, Stwórco, że na razie jest cicho.

- To może chodźmy? - rzuciła radośnie Phoebe.

Siostra Verna spojrzała na nią karcąco.

- Co to za oddziały, Siostrze Phoebe? - spytała Verna. - Te w dziwnych mundurach?

Phoebe zastanawiała się przez chwilę.

- Aaa, te oddziały. - Machnęła lekceważąco ręką. - Kilka lat temu obalono władze. To się musiało stać już po twoim odejściu. Stary Świat znów ma nowe władze. Zamiast tych wszystkich królów mamy teraz imperatora. - Popatrzyła na Siostrę Janet. - Jakżeż oni na siebie mówią?

Janet zmarszczyła w namyśle czoło, spojrzała na sufit.

- A, tak - odezwała się afektowanym głosem. - Imperialny Ład. Racja,

Siostrze Phoebe, mają imperatora. - Skinęła głową. - Tak, Imperialny Ład dowodzony przez imperatora.

Siostra Phoebe w zdumieniu potrząsnęła głową.

- Cóż za głupota. Władze się zmieniają, a Pałac Proroków trwa. Osłania nas dłoń Stwórcy. Pójdziemy do pozostałych?

Verna i Richard ruszyli śladem trzech Sióstr poprzez bogato urządzone korytarze i westybule. Richard znalazł się na wrogim terytorium. W razie zagrożenia magia miecza zawsze próbowała się wśliznąć w chłopaka, żeby go chronić. Pozwolił zatlić się gniewowi. Siostra Verna zerknęła nań od czasu do czasu, jakby mierząc natężenie gniewu w jego oczach.

W końcu przeszli przez dwuskrzydłowe orzechowe drzwi i znaleźli się w rozległej sali. Szli pod niskim sufitem, wśród kolumn o złotych kapitelach, aż dotarli pod potężną, pokrytą malowidłami kopułę: ludzie w togach stali dokoła jaśniejszej postaci. Okrągłą komnatę otaczały dwa poziomy balkonów ze zdobnymi kamiennymi balustradami. Górny rząd balkonów rozjaśniało światło wpadające przez okna z kolorowymi szybami. Podłogę komnaty ułożono z jasnych i ciemnych drewnianych deszczulek, tworzących zygzakowaty wzór. Pod kopułą rozbrzmiewał gwar rozmów ponad setki osób.

Kobiety stały grupkami na parterze, całe ich mnóstwo siedziało na balkonach. Na drugim ich poziomie widać było kilku mężczyzn i chłopców. Kobiety - Richard zgadywał, że to Siostry Światła - były wystrojone jak lalki. W ubiorach nie dostrzegł żadnej jednolitej tendencji: suknie były w najrozmaitszych barwach, ich fasony - od skromnych do niewiele zakrywających. Mężczyźni i chłopcy nosili proste szaty lub okrycia tak zdobne, że - według Richarda - nie powstydziliby się ich żaden lord czy książę.

Szmer rozmów cichł, w miarę jak zebrani dostrzegali nowo przybyłych. Zapadła cisza, a potem rozległy się coraz głośniejsze owacje.

Siostra Phoebe postąpiła parę kroków ku środkowi komnaty i uniosła rękę, prosząc o ciszę. Owacja stopniowo ucichła.

- Siostry - powiedziała Phoebe drżącym ze wzruszenia głosem - powitajmy Siostrę Verne. - Znow rozległa się grzmiąca owacja, po paru chwilach uciszona podniesieniem ręki. - Przedstawiam wam naszego najnowszego ucznia, nasze najnowsze dziecko Stwórcy, naszego

najnowsze podopiecznego. - Odwróciła się i gestami dłoni, poruszeniami palców, dała Richardowi znać, żeby się zbliżył. Chłopak podszedł do niej, Siostra Verna wraz z nim.

- Richard...? - wyszeptała Siostra Phoebe, nachylając się ku niemu. - Czy dodajesz także jakieś nazwisko?

- Cypher - odparł po chwili wahania.

- Powitajmy w Pałacu Proroków Richarda Cyphera - powiedziała Phoebe do zebranych.

Znów rozległy się oklaski. Wszystkie oczy zwróciły się na rozeźlonego Richarda. Najbliżej stojące kobiety przysunęły się jeszcze bardziej, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Zgromadziły się tu niewiasty w najrozmaitszym wieku i najrozmaitszej postury. Jedne wyglądały jak miłe babunie, inne dopiero co doszły do kobiecych lat. Pozostałe reprezentowały cały przekrój wiekowy pomiędzy tymi skrajnościami. Pulchne, szczupłe lub kościste. Włosy we wszelkich odcieniach od blond do czerni. Oczy - najrozmaitszego koloru.

Richard zwrócił uwagę na stojącą w pobliżu kobietę. Cienkie czerwone wargi uśmiechały się ciepło, oczy były osobliwe - jasnoniebieskie w fioletowe cętki. Przyglądała mu się, jakby był drogim, kochanym przyjacielem, którego od lat nie widziała. Klaskała z zapalem, trącając łokciem stojącą przy niej wyniosłą niewiastę, żeby i ona przyłączyła się do braw, co też w końcu uczyniła.

Chłopak stał z opuszczonymi ramionami i badał topografię sali: rozmieszczenie wyjść, przejść, posterunki straży. Owacje umilkły i młoda kobieta w sukni o tym samym odcieniu błękitu co ślubna szata Kahlan, zaczęła sobie torować drogę przez tłum. Suknia miała okrągły dekolt, ozdobiony białą wypustką, schodzącą aż do wąskiej talii. Taka sama wypustka zdobiła mankiety. Kobieta stanęła przed Richardem. Była może o pięć lat młodsza i o głowę niższa; miała gęste, sięgające ramion, kasztanowate włosy i duże piwne oczy. Zapatrzyła się na chłopaka. Jej pierś unosiła się przy każdym powolnym oddechu. Wyciągnęła rękę. Delikatne palce dotknęły policzka, pogładziły brodę Richarda.

- Stwórca naprawdę wysłuchał moich modłów - szepnęła do siebie. Nagle przypomniała sobie, gdzie jest. Gwałtownie cofnęła rękę i splonęła rumieńcem. - Jestem... jestem... - wydukała. Opanowała się, przybrała spokojną minę, splotła dłonie i jak gdyby nigdy nic powiedziała do Siostry

Verny: - Jestem Pasha Maes, nowicjuszka, trzeci poziom. Teraz moja kolej zostać Siostrą. Powierzono mi opiekę nad Richardem.

-Sądzę, Pasho, że cię pamiętam. - Siostra Verna obdarzyła ją cierpkim uśmiechem. - Z radością widzę, że przykładałaś się do nauki i osiągnęłaś dobre wyniki. Teraz Richard przechodzi spod mojej opieki pod twoją. Oby Stwórca otaczał was oboje swoją opieką.

Pasha uśmiechnęła się dumnie i odwróciła ku Richardowi. Zmierzyła go wzrokiem. Spojrzała mu w oczy, zatrzepotała rzęsami i obdarzyła ciepłym uśmiechem.

- Cieszę się z naszego spotkania, młody człowieku. Mam na imię Pasha. Zostałeś mi przypisany. Mam ci pomagać w nauce, udzielać wszelkiej pomocy, jakiej sobie zażyczysz. Jestem czymś w rodzaju przewodniczki. Powinieneś się do mnie zwracać ze wszystkimi pytaniami i problemami, a ja uczynię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Wyglądasz na bystrego chłopca; jestem pewna, że będzie się nam doskonale współpracowało. - Uśmiech Pashy troszeczkę przybladł, kiedy stwierdziła, iż Richard się w nią gniewnie wpatruje. Nie przestała się jednak uśmiechać i ciągnęła: - Przede wszystkim musisz wiedzieć, Richardzie, że nie pozwalamy chłopcom nosić broni w Pałacu Proroków. - Wyciągnęła dłonie wnętrzem ku górze. - Wezmę twój miecz.

Strumyczek magicznego gniewu zmienił się w rozszalały potok.

- Dostaniesz mój miecz, kiedy przestanę oddychać.

Pasha pospiesznie zerknęła na Siostrę Verne. Ta leciutko, ostrzegawczo potrząsnęła głową. Oczy Pashy znów spojrzały na Richarda, zmarszczenie brwi zmieniło się w uśmiech.

- Później o tym porozmawiamy. - Ściągnęła brwi. - Musisz nabrać ogłady, młodzieńcze.

- Która z nich jest Ksienią? - zapytał chłopak tonem, który spędził trochę kolorów z twarzy Pashy.

- Ksieni tu nie ma - zaśmiała się. - Jest zbyt zajęta, żeby...

- Zaprowadź mnie do niej.

- Nie możesz się spotkać z Ksienią na własne życzenie. To ona cię wezwie, kiedy będzie miała po temu powód. Nie mogę uwierzyć, że Siostra Verna nie nauczyła cię, iż nie pozwalamy naszym chłopcom...

Richard położył jej dłoń na ramieniu, odsunął na bok i postąpił kolejny

krok w głąb sali. Omiótł gniewnym spojrzeniem obserwujące go setki oczu.

- Chcę coś powiedzieć.

Zapanowała cisza. W dwóch punktach umysłu chłopaka jednocześnie pojawiła się ta sama myśl. Rozpoznał oba źródła. Jedno to *Przygody Bonnie Day*, książka, którą dostał od ojca; drugie - magia miecza, wiedza miecza, duchy, z którymi tańczył.

Wspomnienie i przesłanie mówiły to samo: „Jeśli wróg przewyższa cię liczebnie i sytuacja jest beznadziejna, to nie masz wyboru - musisz atakować”.

Chłopak wiedział, do czego służy obroża. Znalazł się w beznadziejnym położeniu. Nie miał wyboru. Pozwolił, by cisza aż dzwoniła w uszach, by stała się przykra, niepokojąca.

Postukał palcami w Rada'Han.

- Dopóki mam na szyi tę obrożę, jesteście moimi władczyniami, a ja waszym więźniem. - Rozległy się pomruki. Richard odczekał, aż umilkną, i dopiero wtedy kontynuował: - Przez to staliśmy się wrogami, bo przecież was nie atakowałem. Jesteśmy na wojennej stopie. Siostra Verna złożyła przysięgę, że nauczycie mnie kontrolować mój dar i uwolnicie, jak tylko nauczę się wszystkiego co trzeba. Dopóki nie złamiecie owej przysięgi, między nami będzie rozejm. Pod pewnymi warunkami. - Richard uniósł w dłoni czerwony skórzany pręt, Agiel, zawieszony na swojej szyi. Ból Agiela ledwo się tlił, przytłumiony rozszalałym magicznym gniewem. - Już raz miałem na szyi obrożę. Osoba, która mi ją założyła, zadawała mi ból, by mnie karać, tresować, ujarzmić. Tylko po to nakłada się obrożę. Zwierzęciu. Wrogom. Zaproponowałem jej to samo, co wam teraz. Błagałem, żeby mnie uwolniła. Nie chciała. Byłem zmuszony ją zabić. Żadna z was nawet nie może marzyć, iż kiedykolwiek będzie godna lizać jej buty. Ona uczyniła to, co uczyniła, ponieważ ją torturowano i złamano, wpędzono na tyle w szaleństwo, by wykorzystywała obrożę do zadawania ludziom, bólu. Czyniła to wbrew swojej naturze. Wy - chłopak spojrzał we wszystkie oczy - wy czynicie to, ponieważ uważacie, że macie do tego prawo. Czynicie z ludzi niewolników w imię waszego Stwórcy. Nie znam waszego Stwórcy. Jedyna istota spoza świata, o której wiem i która postąpiłaby tak jak wy, to Opiekun. - Tłum zachłysnął się oddechem. - Moim zdaniem, równie dobrze możecie być stronniczkami Opiekuna. Jeżeli postąpicie jak tamta i wykorzystacie tę

obrozę do zadawania mi bólu, to rozejm się skończy. Pewno sądzicie, iż trzymacie smycz od tej obroży, lecz obiecuję wam, że kiedy skończy się rozejm, przekonacie się, iż to nie smycz, ale piorun. - W sali aż dzwoniła śmiertelna cisza. Richard podciągnął lewy rękaw. Dobył Miecza Prawdy. Rozległ się charakterystyczny śpiew stali. - Baka Ban Mana to mój lud. Zgodzili się żyć w pokoju ze wszystkimi innymi ludami. Każdy, kto skrzywdzi któregoś z nich, odpowie za to przede mną. Nasz rozejm się skończy, jeżeli tego nie zaakceptujecie i nie pozwolicie Baka Ban Mana żyć w pokoju. - Chłopak wskazał za siebie mieczem. - Siostra Verna mnie pojmała. Walczyłem z nią przez całą podróż. Zrobiła wszystko poza zabiciem rzhnie i przywiezieniem wam moich zwłok. Choć i ona jest moim wrogiem, to mam wobec niej pewne zobowiązania. Jeśli ktokolwiek podniesie na nią choćby palec z mojego powodu, zabiję tę osobę i rozejm się skończy. - Richard dostrzegł kątem oka, jak Verna zaciska powieki i zakrywa dłonią pobladała twarz. Chłopak przeciągnął mieczem po wewnętrznej stronie ręki i tłum wstrzymał oddech. Richard obrócił ostrze, żeby obie połowy skąpały się we krwi, żeby krew ściekała z czubka miecza. - Przysięgam na mą krew! Skrzywdźcie Baka Ban Mana, Siostrę Verne lub mnie, a rozejm się skończy i będzie wojna! A wtedy zniszczę Pałac Proroków!

- Sam jeden? - zapytał drwiący głos z dalekiego balkonu. Chłopak nie dostrzegł, kto się odezwał.

- Wątp w me słowa na własne ryzyko. Jestem więźniem. Nie mam po co żyć. Jestem dawcą śmierci. - Cisza. Żadnej odpowiedzi. Richard wepchnął miecz do pochwy. Uniósł ręce i skłonił się z gracją. Wyprostował się, uśmiechnięty. - Teraz, kiedy się porozumieliśmy i zawarliśmy rozejm, możecie, szanowne damy, dalej świętować moje pojmanie.

Odwrócił się plecami do osłupiałego ze zdumienia tłumy. Siostra Verna pochylała głowę, osłaniała ręką twarz. Pasha tak mocno zaciskała wargi, że zaczynały sinieć.

Przed Richardem przeszła tęga kobieta o surowej twarzy i zatrzymała się naprzeciwko Siostry Verne. Tak długo stała z dumną miną, aż Verna uniosła głowę i się wyprostowała.

- Siostrze Verno, najwyraźniej brak ci i talentu, i umiejętności, potrzebnych, by być Siostrą Światła. Niepowodzenie twojej misji przekracza wszelkie granice. Od tej chwili jesteś zdegradowana do nowicjuszeki

pierwszego poziomu. Będiesz służyć jako nowicjuszka do czasu, aż, jeżeli Stwórca tego zechce, zapracujesz na tytuł Siostry Światła.

- Tak, Siostrze Maren. - Siostra Verna sztywno uniosła brodę.

- Nowicjuszki nie odzywają się do Siostry nie pytane! Nie prosiłam, byś się odezwała! - Maren wyciągnęła dłoń. - Oddaj dakrę.

Siostra Verna poruszyła dłonią i z rękawa wysunął się srebrny nóż. Obróciła go, zwróciwszy trzonkiem ku tamtej kobiecie; potem stała, milcząco, wpatrzona wprost przed siebie.

- Rankiem zgłosisz się do kuchni. Będiesz szorować naczynia, dopóki nie uznaję, że zasłużyłaś na coś wymagającego większej inteligencji. Zrozumiano!?

- Tak, Siostrze Maren. Rozumiem.

- A jeśli choć raz zdradzisz zamiar impertynenckiego odpysknięcia, to koniec z kuchnią i wylądujesz w stajniach, czyścić boksy i wyrzucać gnój!

- W takim razie, Siostrze Maren, od razu zgłoszę się do stajni, zamiast do kuchni, i oszczędzę twoim uszom słuchania tego, co miałabym do powiedzenia.

- Doskonale, nowicjuszko. - Twarz Siostry Maren poczerwieniała. - A więc do stajni. - Siostra Maren przystanęła przed Richardem i uśmiechnęła się doń cierpko. - Ufam, że to nie łamie twojego rozejmu. - Zadarła dumnie brodę i zamasyście odeszła.

Sala milczała. Richard spojrział na Siostrę Verne, lecz ona patrzyła wprost przed siebie. Nagle stanęła *między* nimi nachmurzona Pasha.

- Verna już nie powinna cię obchodzić. Twoje ramię krwawi. Zajmę się tym, skoro jesteś moim podopiecznym. - Odetchnęła parę razy dla uspokojenia, splótła palce na wysokości talii. - W sali jadalnej rozpoczyna się wielka uczta, wydana na twoje powitanie. Może potem swobodniej się wśród nas poczujesz. Każdy na to czeka. Każdy chce cię osobiście powitać. - Pogroziła chłopakowi palcem. - Powinieneś zaprezentować jak najlepsze maniery, młodzieńcze!

Richard wraz z mieczem schował większość gniewu. Większość, lecz nie cały.

- Nie jestem głodny. Zaprowadź mnie do mojego lochu, dziecko.

Pasha zacisnęła pięści na błękitnej spódnicy. Przez moment wpatrywała się ponuro w chłopaka.

- Znakomicie. Niech będzie po twojemu. Możesz iść spać bez kolacji jak zepsuty bachor. - Odwróciła się na pięcie. - Za mną.

ROZDZIAŁ 50

Siostra Verna położyła dłoń na miedzianej klamce. Pokój był osłonięty. Odetchnęła i zapukała.

- Wejść - powiedział zza ciężkich drzwi stłumiony głos.

Osłona zniknęła. Verna otworzyła prawe skrzydło wrót i weszła do środka. Dwie kobiety siedziały przy biurkach, stojących po bokach wejściach. Obie pisały w rejestrach. Żadna nie podniosła oczu.

- O co chodzi? - spytała ta po lewej, nie przerywając pisania.

- Przyszedłam oddać książkę podrózną, Siostrze Ulicio. Siostra Ulicia zwilżyła palce i odwróciła stronicę.

- Połóż ją na biurku. Czyż nie powinnaś być na bankiecie wydanym na cześć twego powrotu? Sądziłam, że chciałabyś odnowić zażyłość ze starymi przyjaciółmi.

- Mam ważniejsze sprawy na głowie niż bankiety. - Siostra Verna splótła dłonie. - Chcę oddać książkę podrózną samej Ksieni. Pragnę z nią porozmawiać, Siostrze Ulicio.

Obie kobiety przy biurkach podniosły wzrok.

- Ale Ksieni nie chce z tobą rozmawiać, Siostrze Verno - powiedziała Siostra Ulicia. - Jest ogromnie zajęta. Nie można jej niepokoić mało ważnymi sprawami.

- Mało ważnymi! To nie jest mało ważne!

- Nie podnoś tutaj głosu, Siostrze Verno - ostrzegła ją druga kobieta. Umoczyła pióro w atramencie i wróciła do pisania.

Siostra Verna postąpiła krok do przodu. Powietrze pomiędzy biurkami, przed drzwiami w głębi, zalsniło nagle potężnym polem osłonowym, syczącym i trzeszczącym ostrzegawczo.

- Ksieni jest zajęta - oznajmiła Siostra Ulicia. - Pośle po ciebie, jeżeli uzna twój powrót za ważne wydarzenie. - Przysunęła bliżej świecę i pochyliła się nad księgą. - Połóż książkę podrózną na moim biurku. Dopilnuję, by do niej wróciła.

Siostra Verna zacisnęła zęby, zapanowała nad swoim głosem.

- Zostałam zdegradowana do nowicjuszki. - Obie spojrzały na nią. - Zdegradowana do nowicjuszki za to, że wykonywałam rozkazy tej kobiety.

Zabroniła mi robić, co do mnie należy, i to pomimo moich błagań i prośb. Nie pozwoliła wypełnić obowiązku i mam za to ponieść karę! Karę za to, że postąpiłam tak, jak Ksieni mi nakazała! Chcę znać powody jej decyzji!

Siostra Ulicia odchyliła się na oparcie krzesła i powiedziała do drugiej kobiety:

- Sostro Finello, proszę przesłać raport do dyrektorki nowicjuszek. Poinformuj ją, że nowicjuszka Verna Sauventreen przyszła bez zaproszenia i pozwolenia do kancelarii Ksieni i wygłosiła mowę niestosowną dla nowicjuszki, chcącej pewnego dnia zostać Siostrą Światła.

Siostra Finella z irytacją poprawiła się na krzesło i obrzuciła Siostrę Verne gniewnym spojrzeniem.

- No, no, nowicjuszko Verno. Pierwszy dzień starań o wyższy poziom, a już zasłużyłaś sobie na naganę. - Młasnęła. - Mam nadzieję, że nauczysz się właściwych manier, skoro chcesz zostać Siostrą Światła.

- To wszystko, nowicjuszko - oznajmiła Siostra Ulicia. - Możesz odejść.

Siostra Verna odwróciła się na pięcie. Usłyszała stukot palców. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Siostra Ulicia stuka w narożnik biurka.

- Książka podróżna. I chyba nie tak odchodzi odprawiona przez Siostrę nowicjuszka. Nieprawdaż, nowicjuszko?

Siostra Verna wyjęła zza pasa niewielką czarną książeczkę i położyła ją delikatnie na rogu biurka.

- Nie, Sostro, nie tak. - Verna dygnęła przepisowo. - Dziękuję, Sostro, że poświęciłaś mi swój czas.

Siostra Verna zamknęła za sobą drzwi i westchnęła. Stała chwilę, namyślając się. Potem ruszyła przez pałac, z oczami wbitymi w podłogę. Szła otwartymi i zamkniętymi westybulami, kamiennymi oraz wyłożonymi drewnem, po dywanach, płytach. Minęła kolejny narożnik i zniecierpliwiona się na kogoś natknęła. Spojrzała na twarz, której miała nadzieję nie zobaczyć.

- Verna! - Uśmiechnął się poufale. - Jak miło cię znowu widzieć!

Młode oblicze o kwadratowej szczęce wydawało się nie zmienione. Faliste kasztanowate włosy nieco bardziej przykrywały uszy, ramiona były trochę szersze, niż pamiętała. Musiała zapanować nad chęcią dotknięcia jego policzka, chęcią rzucenia mu się w ramiona. Skłoniła głowę.

- Jedidiah. - Spojrzała w piwne oczy. - Znakomicie wyglądasz. Jesteś... jesteś taki jak kiedyś. Czas ci służy.

- Jesteś... myślę...

- „Stara”, to tego słowa szukasz. Postarzałam się.

-Ależ, Verno. Te parę zmarszczek... - zerknął na jej sylwetkę - i parę funtów więcej nie umniejszą takiej urody jak twoja.

- Widzę, że nadal potrafisz czarować kobiety słowami. - Zerknęła na jego prostą, brązową szatę. - I że byłeś jak zawsze dobrym uczniem i otrzymałeś promocję. Jestem z ciebie dumna, Jedidiahu.

Zbył komplement poruszeniem ramion i złączył palce.

- Opowiedz mi o tym nowym, którego przyprowadziłaś.

- Nie widziałeś mnie od dwudziestu lat - Verna przymrużyła oczy - od kiedy wstałam z twojego łóżka i wyruszyłam w tę podróż, i o to mnie pytasz? Nie, jak mi się wiodło. Nie, czy myślałam o tobie przez ten czas. Nie, co jeszcze do ciebie czuję. Nie, czy moje serce wybrało innego. No cóż, sądzę, że to szok wywołany tym, jak się postarzałam, wywiął ci z głowy owe pytania.

- Nie jesteś głupią dziewczyną, Verno. - Nadal przebiegle się uśmiechał. - Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że nie można się spodziewać, by któreś z nas, po tak wielu latach...

- Oczywiście, że to wiem! Nie mam żadnych złudzeń co do nas. Spodziewałam się jedynie, iż po powrocie będę traktowana taktownie i z czułością.

- Przykro mi, Verno. - Znów wzruszył ramionami. - Zawsze uważałem cię za kobietę ceniącą szczerść i nie lubiącą pustych słów. - Oczy mu się zamgliły. - Sporo się nauczyłem o... o życiu od tamtej pory.

Verna odwróciła płonące gniewem oczy od jego przystojnej twarzy i ruszyła w dalszą drogę.

- Dobranoc, Jedidiahu.

- A moje pytanie? - W jego głosie pobrzmiwała nieprzyjemna nutka; złagodził go. - Jaki jest ten nowy?

Verna zatrzymała się, lecz nie odwróciła.

- Byłeś tam. Dostrzegłam cię. Richard jest właśnie taki, jaki tam był.

- Widziałem również, co się tobie przydarzyło. Zdobywam trochę wpływów wśród niektórych Sióstr. Może mógłbym ci jakoś pomóc w tej sytuacji. - Wykonał dłonią nieokreślony gest. - Jeżeli będziesz ze mną szczerą i zaspokoisz moją ciekawość, to może pomogę ci się wyplątać z tych kłopotów.

- Dobranoc, Jedidiahu. - Verna ruszyła w dalszą drogę.

- Będę cię tu widywał, Verno. Przemyśl to.

Nie mogła uwierzyć, że wtedy, przed laty, była aż tak zaślepiona. Pamiętała czułego i troskliwego Jedidiaha. Lecz może wspomnienia trochę się zatarły, wypiękniały. A może teraz myślała tylko o sobie i nie dała mu szansy, by się okazał życzliwszy. Pewno okropnie wygląda. Powinna się wykapać, założyć piękną suknię, uczesać i dopiero wtedy z nim spotkać. Wyszło inaczej.

A może coś obudziłoby się w nim, gdyby dotknęła jego policzka; może przypomniałby sobie łzy, które wspólnie wylali w dzień jej odejścia, łzy i swoje obietnice. Obietnice złamane, zanim jeszcze ucichło echo słów, tak dawno temu.

Verna dotarła do holu prowadzącego do pokoi nowicjuszek. Stała i patrzyła na drzwi. Była zmęczona. A czekała ją wyczerpująca harówka w stajniach, od wschodu do zachodu słońca. Mimo to ruszyła dalej. Nim pójdzie spać, musi jeszcze coś załatwić.

Pasha zatrzymała się przed drzwiami w obramowaniu z kamiennych lian. Same wrota były duże, zaokrąglone u góry, wykonane z przyciemnionego dębu.

- Twój loch. - Pasha znacząco uniosła brew.

- Nie widzę rygła. Jak mnie zamkniesz?

- Nie zamykamy naszych chłopców. - Pytanie najwyraźniej ją zdumiało. - Możesz wychodzić i wracać wedle własnej woli.

- To znaczy, że mogę się włóczyć po tej budowli? - Richard zmarszczył brwi.

- Nie. Możesz iść, dokąd chcesz. Możesz zajrzeć prawie wszędzie w pałacu i jeśli zechcesz, wyjść do miasta. Większość chłopców spędza w mieście mnóstwo czasu. - Zarumieniła się leciutko po tych słowach i odwróciła wzrok od twarzy Richarda.

- A okolice miasta?

Wzruszyła ramionami, podciągnęła rękaw swojej błękitnej szaty.

- Jasne. Nie wiem co prawda, po co chciałbyś wyruszać za miasto, bo żaden z chłopców tego nie robi. Spokojnie możesz wychodzić z pałacu i poza miasto. - Stropiła się nieco. - Lecz musisz się trzymać z dala od lasów Hagen. Są bardzo niebezpieczne. Ostrzegano cię przed lasami Hagen? Pokazano ci

je, gdy jechałeś do pałacu?

Chłopak przytaknął.

- Jak daleko poza miasto mogę wyjść?

- Rada' Han nie pozwoli ci się zbyt oddalić, żebyśmy zawsze mogli cię odnaleźć. Możesz jednak podróżować na wiele mil od Pałacu Proroków.

- Ile?

- Więcej, niż byś chciał przejść. Chyba aż do kraju dzikusów.

- Masz na myśli Baka Ban Mana. Przytaknęła.

- Wydaje mi się, że aż tak daleko.

- Bez straży? Wsparła się pod boki.

- Zostałeś mi przypisany. Na razie będę ci towarzyszyć niemal wszędzie. Chłopcy wychodzą sami dopiero wtedy, kiedy nabiorą doświadczenia.

- I mogę sobie chodzić, kiedy zechcę?

- Cóż, teraz, rzecz jasna, mieszkasz w pałacu. Musisz przychodzić na lekcje. Ja cię będę uczyć, wiele innych Sióstr również. Nauczymy cię dotykać Han, a potem kontrolować ją.

- Dlaczego rozmaite Siostry? Dlaczego nie jakaś jedna albo ty?

- Bo czasem Han pewnych ludzi lepiej działa wspólnie. No a poza tym Siostry mają większe niż ja doświadczenie i wiedzę. Może jedna lub kilka z nas będzie bardziej potrafiła ci pomóc. Dlatego będziesz miał lekcje z różnymi Siostrami, aż przekonamy się, z którą pracujesz najlepiej.

- Czy Siostra Verna też będzie mnie uczyć? Pasha spojrzała nań spod oka.

- Verna już nie jest Siostrą. Nie ma prawa do tego tytułu. Jest teraz nowicjuską i powinno się do niej mówić „Verno”. Nowicjuszki, poza tą, do której zostałeś przypisany, czyli poza mną, nie mogą uczyć. Nowicjuszki z pierwszego poziomu, jak Verna, w ogóle nie mają do czynienia z naszymi chłopcami. Ich obowiązkiem jest uczyć się, a nie nauczać.

Richard nie sądził, by mógł kiedykolwiek myśleć o Siostrze Vernie jako o „Vernie”. Zbyt dziwacznie to brzmiało.

- Kiedy znów zostanie Siostrą?

- Musi służyć jako nowicjuską i jak każda inna zdobywać kolejne stopnie. Zaczęłam myć garnki, gdy byłam mała. Sporo czasu minęło, zanim dotarłam tak wysoko. Jeżeli Verna będzie pracować równie ciężko jak ja, to pewnego dnia zyska szansę zostania Siostrą Światła. Lecz nim to nastąpi, pozostanie nowicjuską.

Chłopak ział gniewem na myśl, iż Verne zdegradowano z jego powodu. Do czasu gdy znów zostanie Siostrą, będzie już stara. Zmienił temat.

- Dlaczego pozwala się nam chodzić swobodnie?

- Bo nie zagrażacie ludziom. Kiedy nauczysz się już kontrolować swoją Han, nie będziesz mógł wszędzie chodzić. Mieszkańcy miasta boją się chłopców, którzy władają mocą, w przeszłości zdarzały się bowiem nieszczęśliwe wypadki, więc kiedy młodzieniec zaczynają kontrolować swoją Han, nie może wychodzić do miasta. Zakazów jest coraz więcej, w miarę jak rozwija się jako czarodziej. Aż wreszcie, pod koniec, przed uwolnieniem, może przebywać jedynie w pewnych sektorach pałacu. Na razie jednak możesz chodzić, dokąd zechcesz. Dzięki twojej Rada' Han będę wiedzieć, gdzie się znajdujesz.

- Każda Siostra odnajdzie mnie dzięki tej przeklętej rzeczy?

- Nie, wyłącznie ta, która dała ci Rada' Han, bo trzymała ją w dłoniach i rozpoznaje jej moc. A ponieważ mam cię pod opieką, zawsze muszę wiedzieć, gdzie jesteś, i dlatego moja Han powinna rozpoznać charakterystyczny ślad twojej Rada' Han.

Pasha otworzyła drzwi i weszła do ciemnej komnaty. Zatoczyła ramieniem łuk i zapłonęły wszystkie lampy.

- Musisz mnie nauczyć tej sztuczki - mruknął Richard.

- To nie sztuczka, lecz moja Han. To najłatwiejsza z rzeczy, jakich cię nauczę.

Obrzeża sufitu rozległej komnaty zdobiły splatające się różnobarwne linie. Ściany wyłożono wiśniowym drewnem w ciepłym kolorze. Wysokie okna, osłonięte bogatymi, ciemnoniebieskimi, morowymi zasłonami, patrzyły w noc. Był tu też kominek, obramowany białymi kolumnami. Grube dywany zakrywały prawie całą podłogę. Przed kominkiem oraz tu i tam w komnacie stały wygodne fotele i kanapy.

Richard pomyślał, że swobodnie zmieściłyby się tu dwa jego domki. Zsunął z ramion plecak i oparł go o ścianę przy kominku. Obok postawił kołczan i łuk ze zdjętą cięciwą. Potem podszedł do dwuskrzydłowych drzwi po prawej stronie kominka, wykonanych z niewielkich szklanych płytek i przesłoniętych przejrzystymi kremowymi zasłonami. Za nimi znajdował się obszerny balkon, z którego roztaczał się widok na miasto. Na łupkowej balkonowej posadzce stały kamienne wazy z kwiatami. Richard dotknął

palcem marmurowej balustrady i spojrział w prawo, na rozmigotaną światłami metropolię, ku wzgórzom, z których przyjechał.

- Z tego balkonu ogląda się wspaniałe zachody słońca - powiedziała Pasha.

Chłopaka nie interesowały zachody słońca. Uważnie oglądał dziedziniec, bramy, drogi, patrole oraz mosty wiodące do miasta i leżących poza nim wzgórz. Próbował zapamiętać dokładny plan. W końcu wrócił do komnaty i podszedł do drzwi naprzeciw balkonu. Prowadziły do sypialni, prawie tak samo obszernej jak pierwsza komnata. Stało w niej największe jakie do tej pory widział łoże, przykryte ciemnopurpurową kołdrą. Szklane drzwi prowadziły na drugi balkon, z widokiem na południe, na morze.

- To przepiękny widok - odezwała się Pasha. - Romantyczny. - Spostrzegła, że Richard przygląda się leżącej poniżej części pałacu. - Za tym dziedzińcem mieści się część kobiecych pokoi, mieszka tu większość Sióstr. - Pogroziła mu palcem. - Trzymaj się z dala od nich, młodzieńcze! - Odwróciła się i dorzuciła półszepem: - Chyba że jakaś Siostra cię zaprosi.

- Jak mam się do ciebie zwracać? - spytał Richard. - Siostró Pasho?

- Nie. - Zachichotała. - Jestem nowicjuską, choć mam nadzieję zostać Siostrą, jeśli dobrze mi z tobą pójdzie. Na razie jestem po prostu Pasha.

- A ja mam na imię Richard. - Chłopak gniewnie patrzył jej w oczy. - Tak ci trudno to zapamiętać?

- Słuchaj no, zostałeś mi przydzielony i...

- Skoro tak trudno zapamiętać ci moje imię, to wątpię, czy kiedykolwiek zostaniesz Siostrą. Jeśli bowiem nadal będziesz mnie poniżać, z uporem pomijając moje imię, to zrobię wszystko, byś oblała ten test. - Nachylił się nad dziewczyną i wbił gniewny wzrok w jej szeroko rozwarte oczy. - Zrozumiałaś, Pasho?

Pasha przełknęła ślinę.

- Nie podnoś na mnie głosu, mło... - Lekko uniosła brodę. - Nie podnoś na mnie głosu, Richardzie.

- Od razu lepiej. Dzięki. - Chłopak miał nadzieję, że Pasha na tym skończy; nie był w nastroju na uprzejmości, gdyby go rozdrażniła.

Wrócił do sypialni. Z tego balkonu nie roztaczał się interesujący go widok. Pasha pospieszyła za nim.

- Słuchaj, Richardzie, albo nauczysz się dobrych manier, albo...

Skończyła się jego cierpliwość. Okręcił się gwałtownie ku Pashy. Wrosła w podłogę, niemal się z nim zderzając.

- Nigdy przedtem nie miałaś podopiecznego, prawda? - Nie poruszyła się. - Sądzę, że pierwszy raz jesteś za coś odpowiedzialna i okropnie się boisz, iż to spaprzesz. Nie masz żadnego doświadczenia, więc uważasz, że tyranizowaniem tak ogłupisz ludzi, iż uznają, że wiesz, co robisz.

- Hmm, ja...

Głos Pashy zamarł, bo Richard pochylił się nad nią i przysunął twarz do jej twarzy.

- Nie powinnaś się bać pokazać mi, że nie masz doświadczenia w kierowaniu ludźmi, Pasho. Za to powinnaś lękać się, że cię zabiję.

- Nie waż się mi grozić - oburzyła się.

- Dla ciebie to gra. Sposób na zdobycie wyższej rangi, jeżeli zadośćuczynisz jakimś tajemniczym regułem, paradując z pieseczkim na smyczy i tresując go w lizaniu twojej dłoni. - Richard zgrzytnął zębami, ściszył głos: - Dla mnie to nie gra, Pasho. To sprawa życia i śmierci. Jestem więźniem, któremu założono obrozę jak zwierzęciu lub niewolnikowi. Na tyle tylko mogę kierować własnym życiem, na ile mi pozwolicie. Wiem, że będziecie mnie torturować, żeby złamać moją wolę. I mylisz się, Pasho, sądząc, iż ci grożę. To nie groźba. To zapowiedź.

- Nie jestem taka, jak ci się zdaje, Richardzie - powiedziała cicho. - Chcę być twoim przyjacielem.

- Nie jesteś moim przyjacielem. Jesteś moim dozorcą. - Uniósł palec i trzymał go przed twarzą dziewczyny. - Nigdy nie odwracaj się do mnie plecami, bo cię zabiję, tak jak zabiłem osobę, która poprzednio więziła mnie w obroży.

Pasha zamrugwała.

- Nie wiem, co ci się przedtem przytrafiło, Richardzie, ale my takie nie jesteśmy. Chcę zostać Siostrą Światła, żeby pomagać ludziom ujrzeć dobroć Stwórcy.

Richard był niebezpiecznie bliski utraty kontroli nad magicznym gniewem. Walczył, by ją zachować. Miał co innego do roboty.

- Nie interesuje mnie twoja teologia. Zapamiętaj, co powiedziałem.

- Zapamiętam. - Uśmiechnęła się. - Przepraszam, że cię rozzłościłam, nie używając twojego imienia. Wybacz mi, proszę. Nigdy nie miałam nikogo

pod opieką. Postępowałam tak, jak mi się wydawało, że powinnam. Zgodnie z zasadami, których mnie nauczono.

- Zapomnij o zasadach. Bądź sobą, a będziesz miała w życiu mniej kłopotów.

- Jeżeli pomoże ci to uwierzyć, że chcę ci tylko pomóc, to już na to czas. Usiądź na brzegu łoża.

- Po co?

Nie poruszyła się, a mimo to Richard poczuł łagodne popchnięcie. Cofnął się i usiadł. - Nie... Pasha stanęła pomiędzy nogami chłopaka, tuż przy nim.

- Ciii. Pozwól mi wykonać moje zadanie. Już ci mówiłam, że moja Han musi poznać twoją Rada'Han, żeby zawsze wiedziała, gdzie przebywasz.

Położyła dłonie na obroży, po bokach szyi Richarda. Zamknęła oczy. Piersi Pashy, unoszące się przy każdym oddechu, znalazły się przed twarzą chłopaka. Poczul delikatne mrowienie, które spłynęło aż do koniuszków palców stóp i uniosło się. Było to trochę niepokojące, lecz nie nieprzyjemne. I im dłużej trwało, tym było miłsze. Kiedy Pasha cofnęła dłonie i mrowienie zniknęło, nastąpiła krótka udręka. Świat wirował i szumiał. Richard potrząsnął głową.

- Co zrobiłaś?

- Pozwoliłam, by moja Han poznała twoją Rada'Han. Wyglądała na lekko oszołomioną; przełknęła ślinę, a po jej policzku spłynęła łza. - I coś z twojej Han, twoją istotę.

Pasha się odwróciła. Richard wstał.

- To znaczy, że teraz zawsze będziesz wiedzieć, gdzie jestem? Dzięki mojej obroży?

Kiwnęła głową, idąc powoli przez pokój. Zapanowała nad głosem.

- Co lubisz jeść? Masz jakieś specjalne wymagania?

- Nie jem mięsa. Pasha przystanęła.

- Jeszcze o czymś takim nie słyszałam.

- Nie lubię też sera.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym ruszyła z miejsca.

- Powiem o tym kucharzom.

W myślach Richarda nabierał życia pewien plan, a Pasha się w nim nie mieściła. Musiał się jej pozbyć.

Dziewczyna podeszła do wysokiej szafy z wybielonego sosnowego

drewna. Szafy pełnej wspaniałych ubrań. Były tam spodnie z gładkiej tkaniny, ze dwanaście koszul, przeważnie białych, niektóre z koronkowym żabotem i mankietami; surduty w najrozmaitszych kolorach.

- To twoje - oznajmiła Pasha.

- Dlaczego są na dorosłego, skoro wszyscy się tak dziwili, że nie jestem dzieckiem?

Obejrzała parę strojów, dotknęła tkaniny, kilka wyjęła z szafy, żeby lepiej się im przyjrzeć.

- Ktoś musiał wiedzieć. Pewno Verna im powiedziała.

- Siostra Verna. Schowała czarny surdut.

- Przykro mi, Richardzie, ale teraz to po prostu Verna. - Wyciągnęła białą koszulę. - Podoba ci się?

- Nie. Głupio bym w tym wyglądał.

- Uważam, że bardzo by ci w tym było do twarzy. - Uśmiechnęła się kokieteryjnie. - Lecz jeśli to ci się nie podoba, to na tamtym stoliku są monety. Pokażę ci w mieście parę sklepów i będziesz mógł kupić to, co ci odpowiada.

Richard spojrział na stolik z marmurowym blatem. Stała tam srebrna misa ze srebrnymi monetami, a obok niej złota wypełniona po brzegi złotymi. Gdyby całe życie pracował jako przewodnik, nie zarobiłby nawet połowy tego złota.

- To nie moje.

- A właśnie, że twoje. Jesteś gościem pałacu, a pałac zapewnia wszystko, czego potrzebują nasi goście. Jeżeli to wydasz, misy zostaną ponownie napełnione. - Wyciągnęła czerwony surdut z naszytami ze złotego brokatu na mankietach i ramionach. Oczy jej pojaśniały. - W tym będzie ci wspaniale, Richardzie.

- Choćbyś nabiła obrożę drogimi kamieniami, nie przestanie być obrozą.

- To nie ma nic wspólnego z twoją Rada'Han. Twoje ubranie jest obrzydliwe. Wyglądasz jak dzikus z lasów. - Podała mu surdut. - Przymierz.

Richard wyrwał jej ubranie z rąk i rzucił na łóżko. Złapał Pashę za ramię i powlókł do drzwi w pierwszej komnacie.

- Richardzie! Przestań! Co robisz!?

Otworzył drzwi.

- Jestem zmęczony, to był długi dzień. Dobranoc, Pasho.

- Ja się tylko starałam, Richardzie, byś lepiej wyglądał. W tym stroju jesteś jak niecywilizowany dzikus. Jak jakaś wielka bestia.

Richard spojrział na jej błękitną suknię, błękitną jak ślubna szata Kahlan, i uspokoił się.

- Nie do twarzy ci w tym kolorze - powiedział. - Ani trochę nie do twarzy.

Pasha stała w holu i wpatrywała się w chłopaka wielkimi piwnymi oczami. Kopniakiem zatrzaskała drzwi. Odczekał parę minut i wyjrzał. Ani śladu Pashy. Podszedł do swego zostawionego przy kominku plecaka i zaczął go rozpakowywać. Nie wszystko będzie mu potrzebne. Nie musi dźwigać zapasowej odzieży. Akurat przywiązywał cięciwę, kiedy usłyszał ciche skrobanie do drzwi. Podkradł się po dywanach, nasłuchiwał. Może sobie pójdzie, gdy nie da znaku życia. W jakim celu ma się tu plątać i pouczać go, co ma założyć. On, Richard, ma ważniejsze rzeczy na głowie.

Znów ciche pukanie. A może to nie Pasha. Richard wyciągnął nóż. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi.

- Siostra Verna.

- Zobaczyłam zapłakaną Pashę, biegnącą westybulem. Zdumiewasz mnie, Richardzie. - Znacząco uniosła brew. - Nie sądziłam, że zajmie ci to aż tyle czasu. Czaiłam się za rogiem, lękając się, że ktoś mnie tu przyłapie. - Szal okrywał jej kręcone włosy i spływał na ramiona. - Musiałeś doprowadzić ją do płaczu?

- Ma szczęście, że nie utoczyłem jej krwi.

Verna zsunęła szal z głowy. Uśmiechnęła się leciutko.

- Mogę wejść? - Zaprosił ją gestem. - I mów mi Verna - dodała, przekraczając próg. - Nie jestem Siostrą.

Richard wsunął nóż do pochwy.

- Przykro mi, lecz z pewnością nie zmuszę się, żeby cię inaczej nazywać. Dla mnie jesteś Siostrą Verna.

- To niewłaściwe, zwracać się do mnie „Siostro”. - Rozejrzała się po komnacie, a chłopak zamknął drzwi. - Jak mieszkanie?

- Zadowoliliby nawet króla. Wiem, że mi nie uwierzysz, Siostro Verno, ale naprawdę żałuję tego, co się stało. Nie zamierzałem ściągnąć na ciebie żadnych kłopotów.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Siostry Verny.

- Byłeś dla mnie jednym wielkim kłopotem, Richardzie, lecz nie ty go na

mnie sprowadziłeś. Zrobił to ktoś inny.

- Wiem, Siostrze, że przeze mnie zdegradowano cię do nowicjuszek. Jednak sama doprowadziłaś do tego, że kazano ci pracować w stajniach.

- Rzeczy nie zawsze są takie, jakimi na pierwszy rzut oka się wydają, Richardzie. - W oczach Verny zatańczyły iskierki. - Nie cierpię szorować garów. Kiedy byłam młoda i byłam nowicjuszką, to najbardziej nienawidziłam właśnie tego. Nie lubię kuchni, zwłaszcza gdy mam moczyć ręce w brudnej wodzie. Wolę konie. Nie pyskują, nie kłócą się ze mną. Lubię być wśród nich, zwłaszcza teraz kiedy zniszczyłeś wędzidła i zaprzyjaźniłam się z Jessupem. Siostra Maren sądzi, że to ona trzyma w dłoniach cugle, a tymczasem postąpiła tak, jak chciałam.

Richard uśmiechnął się kącikiem ust.

- Bardzo przebiegła z ciebie kobieta, Siostrze Verno. Jestem z ciebie dumny. Ale nadal żałuję, że przeze mnie znów jesteś nowicjuszką.

Verna wzruszyła ramionami.

- Jestem tu, by służyć Stwórcy. Nie ma znaczenia jak. I to nie twoja wina; to rozkazy Ksieni spowodowały, że mnie zdegradowano.

- Masz na myśli te, które zapisywała w książce? Zakazała ci działać na mnie mocą, prawda?

- Skąd wiesz?

- Domyśliłem się. Często byłaś tak wściekła, że niemal ziałaś na mnie ogniem. Nigdy jednak nie użyłaś swojej mocy, żeby mnie powstrzymać. Sądzę, iż byłoby zupełnie inaczej, gdyby ci nie nakazano patrzeć, ale nie interweniować. W końcu skoro Rada'Han to narzędzie kontroli, dlaczego się nim nie posłużyłaś?

Verna potrząsnęła głową.

- Sam jesteś bardzo przebiegły, Richardzie. Od kiedy wiesz? - Od kiedy przeczytałem w baszcie książkę. Po co tu przyszłaś, Siostrze?

- Chciałam zobaczyć, czy wszystko u ciebie w porządku. Od jutra nie będę już miała po temu okazji. I to przez bardzo długi czas: dopóki znów nie zostanę Siostrą Światła. Nowicjuszek pierwszego poziomu nie mają żadnej styczności z młodymi czarodziejami. Grożą za to surowe kary.

- Pierwszy dzień nowicjatu i już łamiesz reguły. Nie powinnaś tu być. Jeśli cię złapią, to będziesz aż po łokcie w brudnym wrzątku zmywać gary.

- Są sprawy ważniejsze od reguły. - Verna wzruszyła ramionami.

Richard zmarszczył brwi, dostrzegłszy jej niewidzące spojrzenie.

- Może usiądziesz? - zaproponował.

- Nie mam czasu. Przyszłam tylko po to, żeby dotrzymać obietnicy, - Wyjęła coś z kieszeni.- I przynieść ci to.

Podniosła dłoń chłopaka i coś do niej włożyła, zaciskając na tym jego palce.

Richard rozchylił je i spojrział. Ugięły się pod nim kolana. Gardło mu się ścisnęło. Załzawionymi oczami wpatrywał się we własną dłoń.

Pukiel włosów Kahlan, który wyrzucił.

Siostra Verna splotła dłonie.

- Znalazłam to pierwszej nocy, którą spędziliśmy obok siebie.

- Jak to znalazłaś? - wyszeptał, nie podnosząc oczu. Verna spojrzała w sufit.

- Kiedy już zdecydowałeś, że mnie nie zabijesz i zasnąłeś, wybrałam się na spacer i znalazłam to.

Richard zamknął oczy.

- Nie mogę tego wziąć - zdołał wykrztusić. - Zwróciłem jej słowo.

- Kahlan zdobyła się na wielkie poświęcenie, żeby ocalić ci życie. Obiecałam jej, iż nie pozwolę, byś zapomniał, że ona cię kocha.

Richarda opuściły siły. Drżały mu mięśnie nóg. Ręka się trzęsała. - Nie mogę tego wziąć. Ona mnie odesłała. Zwróciłem jej słowo.

- Ona cię kocha, Richardzie - powiedziała miękko Siostra Verna. - Weź to, proszę, przez wzgląd na mnie. Złamałam reguły, by ci to przynieść. Obiecałam Kahlan, że przekonam cię, iż ona cię kocha. Znów mi dziś przypominiano, jak niezmiernie rzadka jest prawdziwa miłość.

Chłopak miał wrażenie, że przygniata go cały ciężar pałacu.

- Dobrze, Siostro. Przez wzgląd na ciebie. Ale wiem, że ona mnie nie chce. Jeżeli kogoś kochasz, to nie każesz mu zakładać na szyję obroży, nie odsyłasz, go. Ona chce być wolna. Kocham ją i dlatego zwróciłem jej słowo.

- Mam nadzieję, Richardzie, iż pewnego dnia zrozumiesz, jak wiele poświęciła, i uwierzysz w jej miłość. Miłość to bezcenna rzecz, nie wolno o niej zapominać. Nie wiem, co życie dla ciebie chowa, lecz na pewno któregoś dnia znów pokochasz. Teraz jednak najbardziej potrzebujesz przyjaciela. Szczerze proponowałam ci przyjaźń, Richardzie.

- Zdejmiesz mi obrożę?

Verna milczała przez chwilę. Potem powiedziała z wielkim zalem:

- Nie mogę, Richardzie. Doznałbyś krzywdy. Mam obowiązek zachować cię przy życiu. Musisz nosić tę obrożę.

Chłopak pokiwał głową.

- Nie mam przyjaciół. Jestem na terytorium wroga, w jego rękach.

- To nieprawda, choć obawiam się, że jako nowicjuszka nie zdołam cię przekonać, iż jest inaczej. Pasha wygląda na miłą młodą kobietę. Spróbuj się z nią zaprzyjaźnić, Richardzie. Potrzebujesz przyjaciela.

- Nie będę się zbliżał do kogoś, kogo może będę musiał zabić. Nie rzucałem dziś słów na wiatr, Siostrze.

- Wiem, Richardzie - wyszeptała Verna. - Wiem. Ale Pasha jest prawie w twoim wieku. Czasem łatwiej się zaprzyjaźnić z rówieśnikami. Sądzę, że ona chciałaby się z tobą zaprzyjaźnić. Dla nowicjuszki to równie ważny okres życia jak dla młodego czarodzieja. Pomiedzy nowicjuszka a przypisanym jej czarodziejem tworzy się jedyna w swoim rodzaju więź. Bardzo specyficzna więź, na resztę życia.

Pasha też się boi. Całe życie była uczennicą, nowicjuską. Teraz po raz pierwszy jest nauczycielką. Nie tylko chłopak się uczy, dziewczyna również. Razem wchodzi w nowy okres życia. To bardzo doniosłe dla nich obojga.

- Niewolnik i władca. To jedyna więź.

Verna westchnęła.

- Wątpię, czy jakakolwiek nowicjuską zmierzyła się z takim zadaniem, jakie czeka Pashę. Staraj się być dla niej wyrozumiały, Richardzie. Będzie miała przy tobie pełne ręce roboty. A Stwórca wie, że i samej Ksieni dasz się porządnie we znaki.

Richard patrzył w pustkę.

- Czy zabiłaś kiedyś kogoś, kogo kochałaś, Siostrze?

- Hmm, nie...

Chłopak uniósł Agiel w zaciśniętej dłoni.

- Denna, jak Siostry, więziła mnie za pomocą magii. Jak Siostry, założyły mi na szyję obrożę. Torturowali ją tak długo, że na tyle postradała zmysły, by zadać mi ten sam ból. Pojmuję Jak mogła to zrobić, bo sam wypełniłbym każdy jej rozkaz, byle tylko zapobiec dalszej męce. - Richard ledwo odczuwał ból, zsyłany przez Agiel. - Rozumiałem ją i kochałem. - Łza spłynęła mu po policzku. - Tylko w ten sposób mogłem uciec. Miała władzę nad magią

miecza. Ponieważ potrafiłem ją pokochać, potrafiłem też sprawić, że klinga Miecza Prawdy zbieła.

- O drogi Stwórco - wyszeptała Verna, patrząc na chłopaka wielkimi oczami. - Sprawileś, że ostrze zbieło? Richard zamknął oczy i potaknął.

- Musiałem wpuścić do serca miłość do niej. Jedynie wtedy mogłem sprawić, by klinga zbieła. Tylko wtedy potrafiłem przesyć ją mieczem, kiedy patrzyła miłośnie w moje oczy. Mogłem ją zabić i uciec wyłącznie dlatego, że ją kochałem. Nie wybaczę sobie tego, dopóki będę żył.

Siostra Verna objęła go pocieszająco.

- O drogi Stwórco, cóżes uczynił swemu dziecięciu? - wyszeptała. Richard ją odepchnął.

- Odejdź, Sostro, zanim wpadniesz w tarapaty. - Otarł oczy. - Głupio się zachowałem.

Verna złapała go za ramiona.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałeś? Otarł nos rękawem.

- Bo nie jest to coś, czym można się chwalić. No i jesteś wrogiem, Sostro. - Spojrzał w jej wilgotne oczy. - Powiedziałem ci prawdę; tamtym Siostrą też mówiłem dzisiaj prawdę: zabiję każdego, kogo będę musiał. Potrafię zgładzić każdego, Sostro. Jestem dawcą śmierci. Jestem potworem. To dlatego Kahlan chciała się mnie pozbyć.

Verna odgarnęła mu włosy z twarzy.

- Ona cię kocha, Richardzie. Próbowwała ocalić ci życie. Kiedyś to zrozumiesz. - Westchnęła. - Przepraszam. Muszę już iść. Nic ci nie będzie?

Uśmiechnął się bez wyrazu.

- A bo ja wiem, Sostro. Podejrzewam, że będzie wojna. Sądzę, iż w końcu pozabijam Siostry. Mam nadzieję, że nie będzie cię pośród nich.

Musnęła palcami policzek chłopaka.

- Nigdy nie wiemy, co Stwórca nam przeznaczył.

- Jeśli ten twój Stwórca ma jakąś moc, to zostaniesz ponownie Siostrą o wiele szybciej, niż się spodziewasz.

- Muszę już iść. Życzę ci szczęścia, Richardzie. Nie trać wiary.

Kiedy tylko odeszła, Richard zarzucił na ramiona płaszcz, a potem plecak. Musiał działać teraz, dopóki się go bały, dopóki były niepewne. Sprawdził, czy miecz luźno tkwi w pochwie. Przyczepił kołczan do plecaka, zarzucił na ramię łuk i wyszedł na balkon.

Richard przymocował linę do kamiennej balustrady. Wziął nóż w zęby i ześliznął się z krawędzi balustrady w mrok, w swój żywioł.

ROZDZIAŁ 51

Nocą na ulicach Tanimury wcale nie było puściej. Wciąż płonęły małe ogniska, nad którymi opiekano mięso, straganiarze nadal prowadzili ożywione interesy. Mężczyźni nawoływali Richarda, żeby pograł z nimi w kości. Kiedy zauważyli jego obrożę, usiłowali nakłonić go do kupna wszystkiego, od jadła poczynając, na naszyjniku z muszelek dla jego pani kończąc. Tłumaczył im, że nie ma pieniędzy. Śmiali się i mówili, że pałac za wszystko zapłaci. Richard przygarbił się i maszerował dalej.

O chłopaka ocierały się kobiety w lichych, mało co zakrywających sukniach. Chichotały i śmiały się, dotykając go, i próbując sięgnąć do kieszeni. Czyniły mu propozycje, w które ledwo mógł uwierzyć. Odpychanie ich nic nie dało. Przepłoszył je dopiero wściekły wzrok Richarda.

W końcu, ku swojej uldze, chłopak opuścił miasto. Zostawił za sobą światła pochodni, lamp, świec i ognisk, hałas oraz zapachy. Łatwiej mu było oddychać wśród oświetlonych księżycem wzgórz. Wchodząc po stoku, obejrzał się przez ramię na mrugające światła Tanimury.

Nieustannie był świadom okalającej szyję obroży i zastanawiał się, co by się stało, gdyby odszedł zbyt daleko, choć podana przez Pashę odległość była o wiele większa niż ta, którą miał zamiar pokonać. Trochę się niepokoił, że dziewczyna mogła się pomylić i że nagle skończy się luz łańcucha.

W końcu dotarł do właściwego miejsca. Przyjrzał się trawiastemu wzniesieniu, z którego widać było odległe miasto. Trochę w bok, w wilgotnej kotlinie, rosły potężne stare drzewa, oblane księżycową poświatą. Wśród nich czaiły się czarne jak śmierć cienie. Richard jakiś czas wpatrywał się w groźny mrok; nurtowało go pragnienie, by wejść w czekające zawoje nocy. Coś w chłopaku chciało tam pójść i przywołać magię. Coś pragnęło uwolnić gniew, pozwolić się wyładować wściekłości miecza, jego wściekłości. Miał wrażenie, że dałoby to upust frustracji z powodu przymusowego pobytu tutaj; gniewowi na to, że jest bezradnym więźniem; strachowi wywołanemu tym, iż nie wie, co z nim będzie; bolesnej tęsknocie za Kahlan. Odpowiadałoby to gniewnemu uderzeniu pięścią w ścianę. Owe lasy obiecywały chłopakowi takie odreagowanie.

Richard oderwał wzrok od lasów Hagen i zabrał się do zbierania drew na

ognisko. Butem oczyścił ziemię z trawy i na to miejsce nastrugał kopczyk wiórów. Uderzył żelazem o kamień, wióry zlatły się od iskier. Kiedy się już dobrze paliły, dołożył trochę drewna. Wkrótce płonęło ognisko. Chłopak wyjął z plecaka garnek, nalał doń wody i zaczął gotować ryż i fasolę. Czekał, aż będą gotowe, zjadł mały kawałek owsianego placka. Potem podciągnął nogi, otoczył kolana ramionami i wpatrywał się w mroczne lasy, w lasy Hagen. Spoglądał na miasto migocące w oddali światłami. Niebo było usiane gwiazdami. Richard patrzył w nie, czekając, aż znajomy kształt zasłoni grupę gwiazd.

Po jakimś czasie usłyszał za sobą ciche łupnięcie. Roześmiał się, kiedy kosmate ramiona pochwyciły go i przewróciły na ziemię. Gratch rechotał gardłowo. Próbował otoczyć przeciwnika ramionami, nogami i skrzydłami. Richard polaskotał go i Gratch zagrzmiał basowym śmiechem. Zapasy wygrała chimera, więżąc chłopaka w uścisku ramion i skrzydeł. Richard mocno przytulił małą chimerkę.

- Grrrratch kooaaa Raaa chaaarg.

- I ja cię kocham, Gratch. - Chłopak mocniej go przytulił.

Gratch przysunął pomarszczony nos do nosa Richarda. Spojrzał nań pałającymi zielonymi ślepiami i zachichotał gardłowo. Chłopak zmarszczył nos.

- Gratch! Twój oddech cuchnie - Usiadł, trzymając chimere w ramionach.

- Upolowałeś coś do jedzenia? - Mały z zapalem przytaknął, a Richard znów go przytulił.

- Taki jestem z ciebie dumny! Upolowałeś bez gończych much! Co złapałeś? - Gratch przechylił na bok głowę, nastawiając w przód kosmate uszy.

- Złapałeś turkawkę? - spytał Richard. Mały zachichotał i przecząco potrząsnął głową. - Sarnę? - Znow potrząśnięcie głowy i pomruk rozczarowania. - Królika? - Gratch podskoczył i potrząsnął łbem, ucieszony tą zabawą.

- Poddaję się. Co zjadłeś?

Chimera zakryła oczy łapami i łypnęła przez palce.

- Szopa? Złapałeś szopa?

- Gratch przytaknął, wyszczerzył w uśmiechu zęby. Odrzucił w tył głowę, ryknął i uderzył się pięściami w pierś.

- Znakomicie! Wspaniale! - Richard poklepał go po plecach. Zwierzę zarechotało i spróbowało popchnąć chłopaka – wyraźnie miało ochotę na dalsze zapasy. Richard był uradowany i poczuł ulgę, że chimera potrafi już coś sobie upolować. Uspokoił Gratcha i sprawdził, czy ryż i fasola się ugotowały. Wyciągnął garnek ku chimerce.

- Zjesz trochę mojej kolacji?

Gratch nachylił się i uważnie obwąchał garnek. Wiedział, że to gorące. Kiedyś się poparzył i teraz uważał, kiedy Richard gotował. Wykrzywił się na ryż i fasolę. Wydał jakiś chrapliwy dźwięk i poruszył ramionami. Chłopak wiedział, że oznacza to, iż chimera nie jest zachwycona potrawą, ale zje trochę, skoro nie ma nic lepszego. Richard nałożył małemu do swojej miseczki trochę ryżu z fasolą.

- Chuchaj na to. Gorące.

Gratch przysunął cynowe naczynie do mordki i wydał wargi. Dmuchał przez zęby powietrzem i śliną, starając się ostudzić jedzonko. Chłopak jadł łyżką, patrząc, jak mały usiłuje wylizać ryż i fasolę. W końcu padł na plecy, przytrzymał naczynie w dłoniach i stopach i wlał jego zawartość do pyszczka. Trzy łyki i było po wszystkim.

Chimera usiadła, zatrzepotała skrzydłami. Przysunęła się bliżej. Poskarżyła się żałośnie, po czym podsunęła Richardowi miseczkę. Chłopak pokazał jej pusty garnek.

- Nie ma. Skończyło się.

Gratch położył po sobie uszy. Zaczepił pazur o cynowy pojemnik chłopaka i pociągnął leciutko. Richard zabrał miseczkę i odwrócił się plecami.

- Moje. To moja kolacja.

Mały ustąpił i grzecznie czekał, aż chłopak skończy jeść.

Kiedy Richard podciągnął kolana i otoczył je ramionami, patrząc na miasto, Gratch przycupnął obok, starając się naśladować jego pozę. Młodzieniec wyjął z kieszeni pukiel włosów. Obracał go w palcach w poświęcie księżycy i przyglądał się mu. Gratch wyciągnął pazur. Chłopak odsunął palec chimerki.

- Nie - powiedział cicho. - Możesz dotknąć jedynie wtedy, jeśli będziesz bardzo ostrożny.

Mały powoli, ostrożnie przysunął łapę i leciutko dotknął pazurem pukla

włosów. Przyglądał mu się pałającymi zielonymi ślepiami. Przesunął łapkę po włosach Richarda. Dotknął policzka chłopaka. Dotknął spływającej łzy. Richard pociągnął nosem, przełknął ślinę. Schował pukiel do kieszeni. Gratch otoczył długim ramieniem barki Richarda, oparł oń głowę. Ten objął chimere ramieniem i przez jakiś czas patrzyli w noc.

W końcu Richard uznał, że czas iść spać. Znalazł miejsce porośnięte gęstą trawą i rozłożył koc. Położył się, a Gratch zwinął się obok niego i zasnęli.

Księżyc już niemal zaszedł, kiedy chłopak się obudził. Usiadł i przeciągnął się. Gratch zacisnął pięści i naśladował go, dodając trzepotanie skrzydłami. Richard przetarł oczy. Za godzinę lub dwie świt. Już czas. Wstał, chimera również.

- Chcę, żebyś mnie posłuchał, Gratch. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Słuchasz?

Gratch kiwnął potakująco głową, pomarszczona mordka miała poważny wyraz. Richard wskazał miasto.

- Widzisz tamto miejsce, ognie i blask? Będę tam jakiś czas mieszkać. - Chłopak klepnął się w pierś i wskazał miasto. - Będę tam. Ale nie chcę, żebyś mnie tam odwiedzał. Musisz się trzymać z dala od miasta. Tam jest dla ciebie niebezpiecznie. Trzymaj się z dala. - Gratch wpatrywał się w twarz Richarda. - Będę tu do ciebie przychodzić. Dobrze? - Mały namyślał się chwilę, potem potakująco skinął głową. - Trzymaj się z dala od miasta. Widzisz tamtą rzekę? Wiesz, co to rzeka: pokazywałem ci wodę. Zostaniesz po tej stronie wody. Po tej stronie. Rozumiesz?

Richard nie chciał, żeby chimera polowała na inwentarz farm po tamtej stronie rzeki. To z pewnością przysporzyłoby jej kłopotów. Gratch przeniósł wzrok z twarzy chłopaka na miasto i znów na Richarda. Wydał gardłowy dźwięk na znak, iż pojmuje.

- A jeżeli zobaczysz jakichś ludzi, Gratch - chłopak klepnął się w pierś i wskazał miasto - ludzi takich jak ja, to ich nie jedz. - Pogroził małemu palcem. - Ludzie nie są do jedzenia. Nie jedz ludzi. Pojmujesz?

Gratch mruknął z niezadowoleniem, ale kiwnął potakująco głową. Richard otoczył ramieniem barki małego i odwrócił go w stronę lasów Hagen.

- Słuchaj dobrze. To ważne. Widzisz tamto miejsce? Tamte lasy? Z gardła

chimerki wydobył się niski, groźny pomruk. Wargi skurczyły się, odsłaniając kły. Zielone ślepia silniej zapłonęły.

- Nie chodź tam. Nie chcę, żebyś tam chodził. Naprawdę, Gratch. Nie wchodź do tamtych lasów. - Mały obserwował lasy i groźnie warczał. Richard złapał go za futro i potrząsnął. - Nie chodź tam. Rozumiesz?

Gratch obejrzał się nań i w końcu skinął głową.

- Muszę tam pójść, lecz ty nie możesz iść ze mną. Tam jest dla ciebie niebezpiecznie. Nie chodź tam.

Mały miauknął załóżnie i objął Richarda ramieniem; pociągnął go w tył.

- Nic mi nie będzie; mam miecz. Pamiętasz miecz? Pokazywałem ci go. On mnie obroni. Ale ty nie możesz pójść ze mną.

Chłopak miał nadzieję, że nie myli się co do miecza. Siostra Verna mówiła, że w lasach Hagen działa zła magia. Lecz nie miał wyboru. Tylko taki plan zdołał wymyślić.

Richard mocno uścisnął chimerkę.

- Bądź grzeczny - Upoluj sobie coś jeszcze do jedzenia. Będę tu do ciebie przychodzić i będziemy się mocować. Zgoda?

Gratch uśmiechnął się, słysząc o mocowaniu. Z nadzieją pociągnął Richarda za ramię.

- Nie teraz, Gratch. Muszę coś zrobić. Jednak wrócę tu innej nocy i posiłujemy się.

Mały znów położył po sobie uszy. Otoczył Richarda długimi ramionami w pożegnalnym uścisku. Chłopak zebrał swoje rzeczy, pomachał mu na pożegnanie i zaczął schodzić ku bagnistej kotlinie. Gratch patrzył, jak połknął go ciemny las.

Richard szedł niemal godzinę. Żeby plan się powiodł, musiał wejść dość głęboko w lasy Hagen. Konary, obrośnięte mchem i pnączami, wyciągały się jak ręce, żeby go pochwycić. Spośród drzew napływały dźwięki - gardłowe mlaski i długie, ciche gwizdy. Kiedy zbliżał się do stojących rozlewisk, coś chowało się z pluskiem.

Wreszcie - zgrzany i zadyszany po długim marszu - dotarł do niewielkiej polanki, położonej wyżej i suchej, skąd widział trochę gwiazd. Nie było tu żadnej kłody czy kamienia, więc uklepał gęstą kępę trawy i usiadł; postawił przy sobie plecak. Skrzyżował nogi, zamknął oczy i głęboko wciągnął powietrze.

Richard siedział i rozmyślał o domu, o Lasach Hartlandzkich. Tęsknił za powrotem do swoich lasów. Myślał o przyjaciółach, których tak bardzo mu brakowało, o Chasie i Zeddzie. Dorastał przy starym, a nie wiedział, iż Zedd jest jego dziadkiem. Za to zdawał sobie sprawę, że był jego przyjacielem i że się nawzajem kochają. I to się liczyło. Co by to zmieniło, gdyby wiedział? Nie mógłby go jeszcze bardziej kochać, a Zedd nie byłby przez to lepszym przyjacielem. Już od tak dawna nie widział czarodzieja. Spotkali się co prawda w Pałacu Ludu, w D'Harze, ale nie miał czasu z nim porozmawiać, wymienić wiadomości. Nie powinien był tak szybko stamtąd odejść. Bardzo pragnąłby teraz pogadać z Zeddem, poszukać u niego rady i zrozumienia. Nie miał pojęcia, czy Kahlan go odszuka. Czemużby miała to zrobić? Pozbyła się jego, Richarda, a o to jej przecież chodziło.

Z całego serca pragnął, by tak nie było.

Tęsknił za jej uśmiechem, za zielonymi oczami, łagodnym głosem, inteligencją i dowcipem, za jej dotykiem. Sprawiała, że zakwitł dlań cały świat. Oddałby chętnie życie, by tulić ją choć przez parę minut.

Ale wiedziała, kim był, i odesłała go.

A on zwrócił jej słowo.

Tak było najlepiej. Nie był dla niej odpowiedni.

Zanim Richard zdał sobie sprawę, co robi, zaczął szukać w sobie jądra spokoju, swojej Han, tak jak uczyła go Siostra Verna. Kiedy razem podróżowali, ćwiczył to prawie każdego dnia. Co prawda nigdy nie wyczuł własnej Han, lecz te usiłowania były przyjemne. Odprężyły go i napełniały spokojem. Dobrze mu to robi i teraz. Chłopak pozwolił, żeby jego umysł odszukał jądro spokoju, pozwolił, by troski odpłynęły. Jak zawsze, wyobraził sobie Miecz Prawdy. Widział każdy szczegół, czuł każdy szczegół.

Wypełniony spokojem i zatopiony w medytacjach, Richard dobył miecza, nie otwierając oczu. Nie bardzo wiedział dlaczego, po prostu czuł, że tak należy uczynić. Charakterystyczny brzęk stali zawisł w powietrzu nocy, oznajmiając przybycie miecza do lasów Hagen. Położył broń na kolanach. Magia tańczyła z nim w jądrze spokoju. Będzie gotów, jeżeli coś nadejdzie.

Teraz musiał czekać. To trochę potrwa, lecz był pewny, że ona przyjdzie.

Przyjdzie, kiedy się zorientuje, gdzie on jest.

Podczas gdy Richard siedział cicho i bez ruchu, noc wokół niego wróciła do swoich spraw. Koncentrował się na obrazie miecza, był jednak świadom

grania i szurania owadów, cichego, jednostajnego rechotu żab, szelestu myszy i nornic wśród zalegających na dnie lasu suchych szczątków. Od czasu do czasu przelatywał jakiś nietoperz. Raz rozległ się pisk, kiedy sowa złapała swoją kolację.

A potem, gdy tak siedział w sennym oszołomieniu i wyobrażał sobie miecz, noc zamarła.

Wewnętrzny wzrokiem Richard dostrzegł za sobą ciemny kształt.

Chłopak poderwał się w okamgnieniu i obrócił, czubek miecza ze świstem przeciął powietrze. Niewyraźny kształt uskoczył w tył, a potem - kiedy miecz go minął - rzucił się do przodu. Richarda przeszył dreszcz żalu, że chybił, ale i dreszcz uciechy, że to się tak szybko nie skończy, że będzie mógł zatańczyć z duchami i wyładować swój gniew.

Cień poruszał się jak peleryna na wietrze, mroczny niczym śmierć i jak ona szybki.

Miotali się po całej polanie. Klinga lśniła w gasnącej księżycowej poświacie, ostrze cięło powietrze, błyskały nożowate pazury ciemnego cienia. Richard pogrążył się w magii miecza, w jego gniewie, w swoim gniewie. Uwolnił swój gniew i frustrację, pozwalając im zlać się w jedno z furią oręża, radować tańcem ze śmiercią.

Wirowali po polanie jak liście niesione wiatrem. Jeden uchylał się przed mieczem, drugi - przed pazurami. Wypadki i uniki; drzewa służyły im za kryjówki i bazy wypadowe. Richard pozwolił, by tańczyły z nim duchy miecza. Poddał się magicznej władzy. Czynił, co radziły duchy, i obserwował - jakby zawieszony ponad tym, co się działo - jak duchy obracają nim to w jedną, to w drugą stronę, każąc mu się prześlizgiwać tuż nad ziemią, wykonywać unik to w lewo, to w prawo, robić wypadki i zadawać pchnięcia.

Z całych sił pragnął nauczyć się tańca.

Nauczcie mnie.

Wiedza napłynęła jak pamięć, a wola Richarda przekuła ją w brakujące ogniwo.

Już nie był użytkownikiem miecza, magii, duchów - został ich panem. Ostrze, magia, duchy i człowiek zlały się w jedno.

Ciemny kształt skoczył naprzód.

Teraz. Potężne uderzenie klingi rozcięło go na pół.

Krew trysnęła aż na pobliskie drzewa. Powietrze rozdarł przedśmiertny

wrzask i wszystko ucichło.

Richard stał, dysząc ciężko, i niemal żałował, że to już koniec. Niemal.

Tańczył z duchami zmarłych, z magią, i znalazł oczekiwaną ulgę. Rozładował nie tylko poczucie bezsilnej frustracji, ale i ukryte w nim mroczne pragnienia, których nie pojmował.

Usłyszał, jak się zbliża, jakieś dwie godziny po wschodzie słońca. Przedzierała się niezdarnie przez zarośla, prychając z oburzeniem na gałęzie szarpiące jej szaty. Słyszał pękające gałązki, kiedy się rozpychała. Uwolniła spódnicę z kolców i chwiejnie wkroczyła na polankę.

Richard siedział ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczami, miecz leżał na jego kolanach. Stała przed nim, zadyszana.

- Richardzie!

- Dzień dobry, Pasho. - Otworzył oczy. - Piękny dzień, nieprawdaż? Unosiła nieco nad ziemię długą, brązową spódnicę. Biała bluzka była mokra od potu. We włosach miała rzepy. Zdmuchnęła z twarzy pasmo włosów.

- Musisz natychmiast stąd odejść. To są lasy Hagen, Richardzie.

- Wiem, Siostra Verna mi powiedziała. Ciekawa okolica; dość mi się tu podoba.

Zamrugwała.

- Tu jest niebezpiecznie, Richardzie! Co ty tu robisz!?

- Czekam na ciebie - uśmiechnął się chłopak.

Pasha zerknęła na otaczające ich drzewa, na mroczne cienie.

- Coś tu strasznie cuchnie - mruknęła.

Przykucnęła przed chłopakiem, uśmiechając się do niego jak do dziecka lub kogoś słabego na umyśle.

- Już się zabawiłeś, Richardzie, przespacerowałeś po okolicy. Daj mi rękę i chodźmy stąd.

- Nigdzie nie pójde, dopóki Verna ponownie nie zostanie Siostrą.

- Co takiego!?! - Pasha poderwała się na nogi.

Richard zacisnął miecz w dłoni i stanął przed dziewczyną.

- Nie ruszę się stąd, dopóki Verna nie zostanie przywrócona do rangi Siostry, tej samej którą miała przedtem. Pałac musi wybierać, co ważniejsze: moje życie czy trzymanie Siostry Verny w nowicjacie.

Pasha rozdziawiła usta.

- Ależ jedynie Siostra Maren może cofnąć nałożoną na Verne karę!

- Wiem. - Dotknął palcem nosa dziewczyny. - Toteż musisz wrócić i powiedzieć Siostrze Maren, żeby tu przysłała i osobiście oznajmiła mi, iż Verna jest znów Siostrą, oraz zgodziła się na moje warunki.

- Nie mówisz tego serio. Siostra Maren tego nie zrobi.

- Nie ruszę się stąd, dopóki tego nie uczyni.

- Wróćmy, Richardzie, i przekonajmy się, czy Siostra Maren zechce o tym porozmawiać. Nie możesz tu zostać. Za to nie warto umierać!

- Owszem, warto - oznajmił zimno chłopak.

- Nie wiesz, co czynisz, Richardzie. - Pasha zwilżyła wargi językiem. - To niebezpieczne miejsce. Jestem za ciebie odpowiedzialna. Nie mogę dopuścić, byś tu pozostał! Skoro nie chcesz wracać dobrowolnie, będę musiała cię do tego skłonić za pomocą obroży, a wiem, iż tego byś sobie nie życzył.

Richard mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

- Siostrę Verne ukarano, by zemścić się na mnie. Przyrzekłem sobie, że przywrócę jej tytuł Siostry. Nie mogę dopuścić do utrzymania w mocy jej kary. Zrobię, co będę musiał, nawet umrę, byle tylko ją cofnięto. Jeżeli użyjesz obroży, żeby mnie skrzywdzić lub stąd wyciągnąć, będę z tobą walczył, jak tylko potrafię. Nie wiem, które z nas zwycięży, ale jestem pewny, że gdy do tego dojdzie, jedno z nas umrze. Jeśli to będziesz ty, zacnie się wojna. Jeżeli umrę ja, to twoja ostatnia próba przed zostaniem Siostrą zakończy się już po jednym dniu. Siostra Verna pozostanie nowicjuską, czyli tym, kim jest teraz. Lecz przynajmniej zrobię, co do mnie należy.

- Chciałbyś umrzeć? Za to?

- Tak. To aż tak dla mnie ważne. Nie pozwolę, by karano Siostrę Verne za mój czyn. To niesprawiedliwe.

Pasha zachmurzyła się.

- Ale... Siostra Maren jest przełożoną nowicjuszek. Jestem nowicjuską. Nie mogę do niej pójść i powiedzieć, że musi odwołać swoje polecenie. Obdarłaby mnie żywcem ze skóry!

- To ja jestem przyczyną kłopotu. Ty jesteś jedynie wysłanniczką. Jeśli cię ukarze, to nie daruję jej tego, podobnie jak nie daruję tego, co uczyniła Siostrze Vernie. Jeżeli Siostra Maren chce wojny, to niech ją zacnie. Jeśli woli dochować rozejmu, musi tu przyjść i zgodzić się na moje warunki.

Pasha wpatrywała się w chłopaka.

- Umrzesz, Richardzie, jeżeli pozostaniesz tu po zachodzie słońca.

- No to radzę, żebyś się pospieszyła. Odwróciła się i wyciągnęła ramię w stronę miasta.

- Ale... muszę przejść całą powrotną drogę. Podróż tutaj zajęła mi wiele godzin. Droga powrotna też potrwa całe godziny, a potem muszę odnaleźć Siostrę Maren i przekonać ją, że mówisz serio. I nawet jeśli się zgodzi przyjść tu ze mną, to podróż zabierze nam sporo czasu.

- Powinnaś przyjechać konno.

- Przecież wybiegłam, gdy tylko uświadomiłam sobie, gdzie jesteś! Nie pomyślałam ani o koniu, ani w ogóle o niczym innym! Wiedziałam, że coś się święci, i po prostu pobiegłam do ciebie!

Richard spojrzął na nią obojętnie.

- Zatem popełniłaś błąd, Pasho. Powinnaś pomyśleć, nim zaczęłaś działać. Może następnym razem najpierw pomyślisz.

Dziewczyna przyłożyła dłoń do piersi i z trudem chwyciła powietrze.

- Richardzie, ledwo mamy czas na...

- Więc lepiej się pospiesz albo twój podopieczny będzie siedzieć w lasach Hagen, kiedy zajdzie słońce.

W oczach Pashy pojawiły się łzy gniewu i żalu.

- Richardzie, ty nic nie rozumiesz. To nie zabawa. To miejsce jest bardzo niebezpieczne.

Chłopak odwrócił się nieco i wskazał na coś mieczem.

- Tak, wiem.

Dziewczyna zerknęła za niego, w cieniu, i zachłysnęła się oddechem. Z wahaniem podeszła do leżącego pod drzewami stwora. Richard nie poszedł za nią. Wiedział, co tam leży: obie połowy bestii z sennego koszmaru, rozwleczone po ziemi wnętrzości. Węzłasty łeb - na połę ludzki, na połę węzowy lub jaszczurczy - stanowił ucieleśnienie nikczemności i złośliwości. Ów łeb, aż do nasady grubej szyi, pokrywała lśniąca, napięta, gładka, czarna skóra. Poniżej zaczynały się giętkie łuski. Gibkie ciało miało ludzkie kształty. Stwór zdawał się stworzony do płynnej, pełnej śmiertelności gracji, niesamowitej szybkości. Ubrany był w skóry pokryte krótką czarną sierścią i w długą, czarną pelerynę z kapturem. To, co Richard wziął za pazury, było nożami o trzech ostrzach, osadzonych na jednym uchwycie. Stalowe wypustki okalały nadgarstki obu rąk, wzmacniając je podczas zadawania

ciosu.

Pasha osłupiała, straciła głos. Chłopak w końcu podszedł do niej i spojrzał na obie połówki stwora. Czymkolwiek był, krwawił jak każde inne stworzenie. I cuchnął niczym rybie wnętrzności gnijące w słońcu. Dziewczyna trzęsa się i wpatrywała w potwora.

- O najdroższy Stwórcu - wyszeptała. - To mriswith. - Cofnęła się o krok. - Co mu się stało?

- Co mu się stało? Zabiłem go, ot co mu się przydarzyło. Co to takiego ten mriswith?

Spojrzał nań piwnymi oczami.

- Jak to, zabiłeś? Nie możesz zabić mriswitha. Nikt nigdy nie zabił mriswitha.

Na twarzy Pashy malowało się przerażenie i niedowierzanie. - Cóż, ktoś wreszcie jednego zabił.

- Zabiłeś go w nocy, prawda?

- Tak. - Richard zmarszczył brwi. - Skąd wiesz?

- Mriswithy rzadko widuje się poza lasami Hagen, ale zdarzyło się to parę razy w ciągu kilku ostatnich tysięcy lat. Donosili o tym ludzie, którym udało się przeżyć na tyle długo, by mogli opowiedzieć, co zobaczyli. Mriswithy zawsze przybierają barwę tego, co ich otacza. W jednym raporcie jest mowa o takim, który wyszedł z odsłoniętego przypiływem dna morza i miał barwę mułu. Ten, którego widziano na diunach, przybrał kolor piasku. Mriswith dostrzeżony w złotych promieniach zachodzącego słońca był złocisty. Nikt ich nie widział, kiedy zabijały nocą, bo były czarne jak ona. Uważamy, iż mają zdolność, może i magiczną, do przybierania barwy otoczenia. Skoro ten jest czarny, to zgadłam, iż musiałeś go zabić w nocy.

Chłopak ujął ramię Pashy i łagodnie odciągnął dziewczynę od monstrem. Była sparaliżowana strachem. Richard czuł, jak drży.

- Czym one są, Pasho?

- Stworami żyjącymi w lasach Hagen. Nie wiem, czym są. Słyszałam, że czarodzieje stworzyli armie mriswithów podczas wojny, która oddzieliła Nowy Świat od Starego. Pewni ludzie wierzą, iż to sam Bezimienny nasyła mriswithy. Lasy Hagen są ich domem. Ich oraz innych stworów. To przez nie nikt nie mieszka po tej stronie rzeki. Czasami wychodzą z lasów i polują na ludzi. Nigdy nie pożerają swoich ofiar, zabijają dla samego zabijania.

Mriswithy rozpruwają swoim ofiarom brzuch. Niektórzy z tych biedaków żyją na tyle długo, by zdążyć powiedzieć, co ich spotkało. To od nich wiemy to, co wiemy.

- Od jak dawna są tu lasy Hagen i wszystkie te stwory?

- O ile wiem, to przynajmniej tak długo jak Pałac Proroków, czyli od blisko trzech tysięcy lat. - Pasha zacisnęła dłoń na koszuli Richarda. - Przez cały ten czas nikt nigdy nie zabił mriswitha. Każda z ofiar mówiła, że dostrzegła go dopiero wtedy, kiedy ją rozplątał. Były wśród nich Siostry i czarodzieje i nawet ich Han ich nie ostrzegła. Mówili, że pozostali równie ślepi na jego nadejście, jakby się urodzili bez daru. W jaki sposób zdołałeś zgładzić mriswitha?

Richard przypomniał sobie, że widział jego nadejście wewnętrznym wzrokiem. Zdjął dłoń Pashy ze swojej koszuli.

- Pewno zwyczajnie miałem szczęście. Ktoś wreszcie musiał zabić któregoś z nich. Może ten nie był w pełni swoich możliwości.

- Richardzie, chodź stąd ze mną, proszę cię. To nie jest dobry sposób na próbę sił z pałacem. Możesz zginąć.

- Nie staram się nikogo przetrzymać. Biorę odpowiedzialność za moje czyny. To moja wina, że Siostra Verna została zdegradowana. Muszę to naprawić. Walczę o sprawiedliwość. Jeżeli tego nie uczynię, to jestem zerem.

- Richardzie, jeśli słońce zajdzie, a ty będziesz w lasach Hagen... - Marnujesz cenny czas, Pasho.

ROZDZIAŁ 52

Usłyszał je późnym popołudniem. Odgłos kopyt jednego konia i głos Pashy, podający kierunek. W końcu wydostały się na polanę. Richard wsunął miecz do pochwy.

- Bonnie! - Poklepał klacz po szyi. - Jak leci, mała?

Bonnie trąciła go nosem w pierś. Chłopak wsunął palec w pysk konia i dotknął wędzidła. Siostra Maren patrzyła nań gniewnie.

- Cieszę się, iż używasz zwykłego wędzidła, Siostrze.

- Stajenni chłopcy twierdzą, że nie mogą znaleźć tych o metalowym ścięgierzu. - Łypnęła nań z gniewnym podejrzeniem. - Wygląda na to, że zniknęły. Tajemniczo.

- Ach tak? - Richard wzruszył ramionami. - Nie powiem, bym tego żałował.

Pasha była zadyszana po wysiłku, jakiego wymagało wytrzymanie tempa jadącej konno Siostry. Jej biała bluzka była mokra od potu. Bezradnie poprawiła splątane, zmatowiałe włosy. Siostra pewnie za karę kazała Pashy iść pieszo. Siostra Maren, w gładkiej, brązowej, zapiętej pod samą szyję sukni, siedziała wygodnie i spokojnie na grzbiecie klaczy.

- Przybyłam tutaj, Richardzie - odezwała się, zsiadając z Bonnie - jak tego żądałeś. Czego sobie życzysz?

Doskonale wiedziała, czego chciał, lecz chłopak postanowił raz jeszcze uprzejmie to wyłuszczyć.

- To całkiem proste. Siostra Verna ma na powrót być Siostrą. Natychmiast. I oddasz jej dakrę.

Siostra Maren machnęła lekceważąco ręką.

- A już myślałam, że pragniesz czegoś niedorzecznego. To łatwe. Zrobione. Verna znów jest Siostrą. Jest mi to obojętne.

- A kiedy zapyta dlaczego, nie chcę byś mówiła jej o tych układach ze mną. Powiedz, że rozważyłaś to na nowo, albo coś w tym rodzaju, i postanowiłaś przywrócić jej rangę. Jeżeli chcesz, możesz jej powiedzieć, iż modliłaś się do swego Stwórcy o radę i on natchnął cię myślą, że powinna pozostać Siostrą.

Siostra Maren odgarnęła z twarzy delikatne, piaskowoblond włosy. - To

mi odpowiada. Zadowolony? Czy wszystko jest” jak tego chciałeś?

- To kończy sprawę i utrzymuje rozejm.

- Dobrze. A teraz, kiedy już załatwiliśmy owe błahostki, pokaż mi tego zabitego niedźwiedzia. Pasha postawiła na nogi połowę pałacu paplaniem, że zabiłeś mriswitha. - Pasha patrzyła gniewnie w ziemię, a Siostra Maren posłała jej karcące spojrzenie. - To głupiutkie dziecko nigdy jeszcze nie postawiło obutej w pantofelek stopki na czymś, co nie było wymyte, wyskrobane i wypolerowane. Jeśli już wysuwa nosek z pałacu, to tylko po to, żeby sprawdzić, jakie koronki ostatnio przyszły do Tanimury. Nie odróżniłaby wołu od królika, a już na pewno nie rozpoznałaby... Co tu tak cuchnie?

- Niedźwiedzie flaki - poinformował ją uprzejmie Richard.

Gestem wskazał jej drogę. Pasha z szacunkiem usunęła się na bok. Siostra Maren wygładziła suknię na biodrach i ruszyła w stronę drzew. Pasha zerknęła na Richarda, a kiedy usłyszeli, jak tamta zachłysnęła się powietrzem, uniosła głowę i uśmiechnęła się. Siostra Maren wróciła do nich, biała jak płótno, i dziewczyna szybko opuściła wzrok. Starsza kobieta uniosła drżącymi palcami brodę Pashy.

- Mówiłaś prawdę - wyszeptała. - Wybacz mi, dziecko. Zniknęła wyniosłość Siostry Maren, zastąpiło ją szczere zainteresowanie. Spojrzała na Richarda. - Jak zginął ten stwór? - Chłopak wysunął nieco miecz z pochwy i wsunął go z powrotem. - Więc Pasha mówiła prawdę? Zabiłeś go?

Richard wzruszył ramionami.

- Mnóstwo czasu spędziłem pod gołym niebem. Wiedziałem, że to nie królik.

Siostra Maren wróciła do potwora, pomrukując do siebie: - Muszę go dokładnie obejrzeć. To niesłychana okazja. Pasha zerknęła na Richarda i zmarszczyła ze wstrętem nosek, kiedy Siostra przejechała palcem po pozbawionych warg ustach, dotknęła otworów usznych, przesunęła dłoń po błyszczącej czarnej skórze. Szarpnęła skórzanym odzieniem, obejrzała je. Podniosła się, popatrzyła na wnętrzości. Wreszcie obróciła się ku chłopakowi.

- Gdzie peleryna? Pasha mówiła, że miał pelerynę.

Kiedy mriswith skoczył i Richard przeciął go na pół, peleryna ocalała, ponieważ rozwiął ją pęd powietrza. Czekaając na powrót Pashy z Siostrą,

chłopak przypadkiem odkrył jej zdumiewające właściwości. Zmył z niej krew i powiesił na gałęziach, żeby wyschła, a potem schował do plecaka. Nie miał zamiaru im jej oddawać.

- Jest moja. To łup zdobyty w walce. Zatrzymuję ją. Siostra Maren wyglądała na zdziwioną.

- A noże... Czyż żołnierze nie biorą czegoś takiego jako łupu? Dlaczego wolisz pelerynę od noży?

- Mam swój miecz. - Richard poklepał rękojeść. - Po co mi noże, które okazały się gorsze od mojego miecza? Zawsze chciałem mieć długą czarną pelerynę, a ta jest akuratna, więc ją zatrzymam.

Twarz Siostry Maren znów się gniewnie zmarszczyła.

- To kolejny warunek twojego rozejmu?

- Jeśli trzeba.

Oblicze Siostry Maren wypogodziło się.

- To chyba nie ma znaczenia. To stwór jest ważny, nie jego peleryna. - Odwróciła się w stronę cuchnących zwłok. - Muszę to zbadać.

Nachyliła się nad mriswithem, a Richard zawiesił na łąku siodła łuk, kołczan ze strzałami i plecak. Włożył stopę w strzemień i dosiadł Bonnie.

- Nie zostawaj tu po zachodzie słońca, Siostrze Maren. Obejrzała się przez ramię.

- Mój koń. Nie możesz wziąć mojego konia. Chłopak uśmiechnął się przepraszająco.

- Walcząc z mriswithem, skręciłem kostkę. Chyba nie chciałabyś, żeby najnowszy uczeń pałacu kuśtykał przez całą powrotną drogę? Mógłbym upaść i rozbić sobie głowę.

- Ale...

Richard wyciągnął rękę i złapał Pashę za ramię. Aż sapnęła ze zdumienia, kiedy szarpnął ją w górę i posadził za sobą na Bonnie.

- Nie pozwól, by zastał tu cię zachód słońca, Siostrze. Słyszałem, że nocą w lasach Hagen jest bardzo niebezpiecznie.

Pasha schowała twarz przed Siostrą, lecz chłopak czuł, jak cichutko chichocze za jego plecami.

- Tak, tak - odparła Siostra Maren, nie widząc nic oprócz mriswitha - w porządku. Wy wracajcie. Oboje dobrze się spisaliście. Muszę zbadać tego stwora, zanim zwierzęta się do niego dobiorą.

Pasha tak mocno trzymała się Richarda, że ten ledwo mógł oddychać. Rozpłaszczyła o jego plecy swoje jędrne piersi, co go denerwowało. Bała się, iż lada moment spadnie, więc z całych sił wbiła palce w pierś chłopaka, by się mocniej trzymać. Kiedy w końcu wydostali się z lasu na wzgórze, chłopak przyhamował Bonnie do stępa i oderwał od siebie ręce Pashy. Natychmiast ponownie przylgnęła do niego.

- Richardzie! Przecież mogę spaść!

Znów oderwał od siebie jej dłonie.

- Wcale nie spadniesz. Trzymaj się lekko i kołysz biodrami w rytm kroków konia. Balansuj. Nie musisz się wczepiać ze wszystkich sił.

- Spróbuję. - Chwyciła go za boki.

Niebo zaczynało się złocić, kiedy zjeżdżali ze wzgórz ku miastu. Richard kołysał się w rytm kroków Bonnie, która przemierzała urwiska i płytkie parowy, rozmyślał o mriswicie oraz swoim pragnieniu pokonania go. W chłopaku wciąż tliła się chęć powrotu do lasów Hagen.

- Wcale nie skręciłeś sobie kostki, prawda? - zapytała Pasha po długiej jeździe w milczeniu.

- Nie.

- Okłamałeś Siostrę. Musisz się nauczyć, Richardzie, że kłamstwo jest złem. Stwórca nienawidzi kłamstw.

- Tak mi mówiła Siostra Verna.

Chłopak uznał, iż ma dość takiej jazdy z wczepioną weń Pashą, więc zsiadł i prowadził Bonnie za wodze. Pasha przesunęła się do przodu w siodle.

- Dlaczego więc skłamałeś, skoro wiesz, że to źle?

- Ponieważ chciałem, by Siostra Maren wracała piechotą. Kazała ci maszerować do lasów, żeby cię ukarać za nie twoje winy.

Pasha zsunęła się z Bonnie i szła obok Richarda. Przeczesała włosy palcami, usiłując je jakoś ułożyć.

- To miło z twojej strony. - Położyła dłoń na ramieniu chłopaka. - Myślę, że się zaprzyjaźnimy.

Richard udał, iż się odwraca i rozgląda, więc dłoń Pashy się zsunęła.

- Możesz mi zdjąć tę obrożę?

- Rada'Han? Nie. Tylko Siostra może usunąć Rada'Han. Ja nie wiem, jak to zrobić.

- Zatem się nie zaprzyjaźnimy. Nie jesteś mi potrzebna.

- Podjąłeś wielkie ryzyko dla Siostry Verny. Musi być twoją przyjaciółką. Takie rzeczy robi się wyłącznie dla przyjaciół. Skłamałeś, bym mogła wrócić konno. Na pewno liczysz na to, że się zaprzyjaźnimy.

Chłopak szedł spokojnie, obserwując okolicę przed sobą.

- Siostra Verna nie jest moją przyjaciółką. Uczyniłem to tylko dlatego, że ukarano ją za moje przewinienia, co było niesprawiedliwe. To jedyny powód. Od kiedy postanowiłem pozbyć się tej obroży, moimi przyjaciółmi mogą być jedynie ci, którzy mi w tym pomogą. Siostra Verna nie tała, iż nie pomoże mi w tym. Chce, żebym to nosił na szyi. Kiedy przyjdzie czas, a ona stanie na mojej drodze, to zabiję ją jak każdą inną Siostrę, która spróbuje mnie powstrzymać. Ciebie również, jeśli będziesz mi przeszkadzać.

- Richardzie - zaśmiała się drwiąco Pasha - jesteś zwyczajnym uczniem. Nie powinieneś się tak chełpić swoją mocą. To nie przystoi młodemu człowiekowi. Nawet nie powinieneś żartować na ten temat. - Znow położyła mu dłoń na ramieniu. - Nie wierzę, że mógłbyś skrzywdzić kobietę...

- No to się mylisz.

- Większość młodych ludzi ma trudności z przystosowaniem się, lecz niewątpliwie zaczniesz mi ufać. Zaprzyjaźnimy się. Jestem tego pewna.

Richard wyszarpnął ramię i obrócił się ku niej.

- To nie zabawa, Pasho. Kiedy uznam, że nadszedł czas, a ty staniesz na mojej drodze, to przetnę twoją ładną szyjkę.

- Naprawdę uważasz, że mam ładną szyję? - Zerknęła nań z bojaźliwym uśmiechem.

- To taki zwrot retoryczny - odburknął.

Przyspieszył kroku, ciągnąc za sobą Bonnie. Pasha też przyspieszyła. Jakiś czas szła w milczeniu, wyciągając z włosów rzepy i patyczki. Richard nie był w nastroju do uprzejmości. Zabicie mriswitha dało mu osobliwe uczucie spełnienia, które teraz powoli znikało, zastępowane frustracją wywołaną położeniem, w jakim się znalazł, i gniewem.

Twarz Pashy pojaśniała. Dziewczyna uśmiechnęła się miło.

- Nic o tobie nie wiem, Richardzie. Może mi coś o sobie opowiesz?

- A co chciałabyś wiedzieć?

- Co robiłeś... zanim się zjawiłeś w pałacu? Masz jakieś talenty? W jakim zawodzie pracowałeś?

Richard szurał butami w pyle drogi.

- Byłem leśnym przewodnikiem.

- Gdzie?

- Tam, gdzie dorastałem. W Hartlandzie, mieście leżącym w Westlandzie.

Pasha odciągnęła bluzkę od piersi, starając się ją wysuszyć.

- Żałuję, ale nie wiem, gdzie to jest. Nic nie wiem o Nowym Świecie. Może pewnego dnia, kiedy będę już Siostrą, wyślą mnie tam, żebym pomogła jakiemuś chłopcu. - Richard nie odpowiedział, więc mówiła nadal: - A więc byłeś leśnym przewodnikiem. To musi być straszne, tkwić tak cały czas w lesie. Nie bałeś się zwierząt? Ja bym się bała.

- Dlaczego? Gdyby z krzaków wyskoczył królik, mogłabyś spopielić go swoją Han.

Zachichotała.

- I tak bym się bała. Wolę miasto. - Odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na chłopaka. W zabawny sposób marszczyła nos. - Czy miałeś... dziewczynę, ukochaną?

To pytanie zaskoczyło Richarda. Otworzył usta, lecz nic nie powiedział. Zaciśnął wargi. Nie zamierzał rozmawiać z nią o Kahlan.

- Mam żonę.

Pasha zmyliła krok. Pospiesznie zrównała się z chłopakiem.

- Żonę! - Zastanawiała się nad tym przez chwilę. W jej głosie pojawiła się ostra nutka. - Jak jej na imię?

- Du Chaillu - odparł Richard, patrząc prosto przed siebie. Pasha nawijała na palec pasmo włosów.

- Czy jest ładna? Jak wygląda?

- Owszem, ładna. Ma gęste czarne włosy, trochę dłuższe niż twoje. Ma pełne piersi i kształtne ciało.

Kątem oka widział, jak Pasha czerwieni się. Szarpała pasemko włosów. Odezwała się cicho i zimno, choć usiłowała udawać obojętność:

- Długo ją znałeś?

- Parę dni.

Zostawiła włosy w spokoju.

- Jak to, parę dni? Jak to możliwe?

- Kiedy przed paroma dniami wraz z Siostrą Verną zjawiliśmy się na

ziemiach Majendie, trzymali ją na łańcuchu. Mieli ją złożyć w ofierze swoim duchom i chcieli, bym ją zabił. Siostra Verna powiedziała, że powinienem spełnić życzenie Majendie, byśmy mogli bezpiecznie przejść przez ich ziemie. Nie posłuchałem jej i posłałem strzałę ich Królowej Matce. Przyspiliłem jej ramię do pala. Ostrzegłem Majendie, że jeśli nie puszczą wolno Du Chaillu i nie zawrą pokoju z Baka Ban Mana, to następna strzała przesyje głowę Królowej Matki. Rozsądnie przystali na moje warunki.

- To ona jest dzikuską?

- Jest z Bak Ban Mana. To czarownica. Nie jest dzikuską. - I wyszła za ciebie, bo ją bohatercko uratowałeś? Bo byłeś jej bohaterem?

- Nie. Żeby się tutaj dostać, Siostra Verna i ja musieliśmy przejść przez ziemie Du Chaillu. Po drodze zabiłem jej pięciu mężów.

- Oni są mistrzami szermierki! - Pasha złapał ramię Richarda. - Udało ci się zabić pięciu z nich!?

- Nie. Zabiłem trzydziestu. - Pasha aż straciła oddech ze zdumienia. - W tym jej pięciu mężów. Du Chaillu jest duchową przewodniczką i oznajmiła, że teraz ja zostałem wodzem jej ludu. Powiedziała, iż skoro ona jest duchową przewodniczką, a ja ich wodzem, ich *Caharin*, to teraz jestem jej mężem.

Pasha znów się uśmiechała.

- No to nie jesteś naprawdę jej mężem. Mówiła jedną z tych barbarzyńskich... jedną z tych duchowych bajek Baka Ban Mana. - Chłopak milczał. Pasha przestała się uśmiechać i znów się nastroszyła. - To skąd wiesz, jak wyglądają jej piersi i reszta ciała? - Odwróciła oczy i prychnęła pogardliwie. - Przypuszczam, że wynagrodziła cię za męstwo.

- Zobaczyłem ją, gdy wysłali mnie, bym ją zabił: miała na szyi obrożę i była przykuta łańcuchem do ściany. Trzymali ją tak nagą, żeby wojownicy mogli ją gwałcić, kiedy im przyszła ochota. - Pasha przełknęła ślinę i znów odwróciła oczy. - Teraz nosi dziecko jednego z nich. Przypuszczam, że Siostry nigdy nie starały się położyć kresu tym praktykom, bo ludzie przeznaczeni na ofiarę dla duchów mieli zakładaną obrożę. Nie sądzę, by Siostry dbały o to, co się dzieje z kimś, kto nosi obrożę.

- A właśnie, że je to obchodzi - powiedziała cichutko dziewczyna.

Richard nie sprzeczał się z nią. Szedł w milczeniu. Pasha skrzyżowała ramiona, jakby jej było zimno. Niebo nasycalo się głęboką purpurą, lecz wcale się nie ochładzało; wciąż było gorąco. Po pewnym czasie kroki

dziewczyny znów nabrały werwy. Uśmiech powrócił. Spojrzała na Richarda.

- Powiesz coś o sobie? Masz dar. Czy twój ojciec też miał dar?
Odziedziczyłeś go po nim?

Nastrój chłopaka gwałtownie się pogorszył.

- Tak, mój ojciec miał dar.

- Żyje jeszcze?

- Nie. Zabito go niedawno.

- Ach. - Pasha wygładziła spódnicę. - Przykro mi, Richardzie.

- A mnie nie. - Mocniej zacisnął wodze w dłoni. - To ja go zabiłem.

Dziewczyna zamarła.

- Zabiłeś ojca? Własnego ojca??? Richard spojrzał na nią gniewnie.

- Kazał mnie schwytać i założyć mi obrożę, wydał mnie na męki. Zabiłem piękną młodą kobietę, która trzymała smycz tej obroży, a potem zabiłem jego.

Pasha nieomylnie odczytała groźbę w jego głosie, jego słowach, jego spojrzeniu. Wargi jej zadrżały i wybuchnęła płaczem; odwróciła się i uciekła. Ominęła wystającą skałkę i - podtrzymując rękami spódnicę - pobięła stokiem wzgórza.

Richard westchnął głęboko i przywiązał wodze do granitowego złomu. Poklepał szyję Bonnie.

- Bądź grzeczną dziewczynką. Poczekaj tu na mnie.

Znalazł Pashę - siedziała na głazie, obejmując kolana ramionami, i płakała. Stanął przed nią, ale odwróciła głowę. Łkała rozdzierająco; aż się trzęsła.

- Idź sobie! - Przycisnęła czoło do kolan i zawodziła. - A może chcesz mnie posiekać na plasterki!?

- Pasho...

- Obchodzi cię tylko zabijanie ludzi!

- To nieprawda. Niczego bardziej nie pragnę, jak położyć kres zabijaniu.

- Ooo, jasne - załkała. - To dlatego o niczym innym nie mówisz!

- Tylko dlatego, że...

- Całe życie modliłam się o ten dzień! Zawsze chciałam być Siostrą Światła. Siostry pomagają ludziom. Pragnęłam być jedną z nich! - Zalała się łzami. - Teraz już nigdy nie zostanę Siostrą.

- Na pewno zostaniesz.

- Przez ciebie nie zostanę! Mówisz, że nas wszystkich pozabijasz! Od pierwszej chwili nic tylko nam grozisz!

- Nie rozumiesz, Pasho.

- Czyżby? - Uniosła zalaną łzami twarz. - Urządziłyśmy na twoje powitanie wspaniały bankiet, wspanialszy niż święto plonów. Musiałam iść bez ciebie i opowiadać wszystkim, że źle się czujesz. Ależ się na mnie gapili! Inne nowicjuszki dostały chłopców, którzy się chcą uczyć. Przyjaciółki skarżyły mi się, że ich młodzi podopieczni przynoszą im w kieszeni żabę lub robala. A ty przyniosłeś mi mriswitha! Siostra Maren powiedziała, że dobrze się dzisiaj spisaliśmy. Ona to bardzo rzadko mówi. Tylko wtedy, kiedy naprawdę tak uważa. Byłeś dla niej okrutny. Była przełożoną nowicjuszek już wtedy, kiedy się zjawiłam w pałacu. Jest surowa, ale wyłącznie dlatego, że się o nas troszczy. Strzeże nas. - Pasha stłumiła szloch. - Kiedy po raz pierwszy zjawiłam się w pałacu, byłam mała i bałam się. Nigdy przedtem nie przebywałam z dala od domu. Siostra Maren dała mi mały obrazek. Powiedziała, że to podobizna Stwórcy. Położyła obrazek na mojej poduszce i powiedziała, że on będzie mnie strzegł nocą i będę bezpieczna. - Próbowała powstrzymać łzy, lecz nie mogła. - Zachowałam ten obrazek. Chciałam go dać mojemu chłopcu w jego pierwszą noc w pałacu, żeby się nie bał. Miałam go wczoraj przy sobie. Ale kiedy cię ujrzałam i przekonałam się, że jesteś dorosły, wiedziałam, że nie mogę ci go dać. Nie chciałam cię wprawiać w zakłopotanie. Gdy cię zobaczyłam, pomyślałam: cóż, Pasho, to nie mały chłopiec, jakiego dostały pod opiekę inne nowicjuszki. Stwórca zesłał ci najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego w życiu widziałas. Ucieszyłam się, iż założyłam moją najładniejszą sukienkę, którą chowałam na ten właśnie dzień. - Zachłysnęła się powietrzem. - A ty powiedziałeś mi, że jestem brzydka!

Richard zamknął oczy.

- Przepraszam, Pasho. Przykro mi.

- Wcale nie! - załkała. - Jesteś wstrętnym brutalem! Wszystko dla ciebie przygotowaliśmy. Dałyśmy ci jedną z najładniejszych komnat w pałacu. Nic cię to nie obeszło. Uszykowałyśmy pieniądze, żebyś mógł sobie kupić wszystko, co ci się spodoba lub czego będziesz potrzebował, a ty zachowałeś się, jakbyśmy cię obrażyły. Przygotowałyśmy nowe, piękne ubrania, ty zaś nimi wzgardziłeś! - Pasha otarła łzy, lecz polało się ich jeszcze więcej. -

Pierwsza przyznam, że są Siostry, które mają o sobie zbyt wysokie mniemanie, ale większość jest tak dobra, że nie skrzywdziłyby nawet muchy. Ty natomiast pokazujesz im jakiś splamiony krwią miecz i ślubujesz, że je pozabijasz!

Zacisnęła dłonie na spódnicy, zasłoniła nią twarz i znów się rozszlochała.

Richard nie miał pojęcia, co robić.

- Przykro mi, Pasho. Wiem, że to...

- Wcale nie! Nie jest ci ani trochę przykro! Chcesz się pozbyć Rada'Han, a przecież na tym polega moje zadanie: nauczyć cię korzystać z daru, byś nie musiał nosić obroży. A ty mi na to nie pozwalasz! Umarłbyś bez obroży. Dwie Siostry poświęciły dla ciebie życie. Nigdy nie wrócą do swoich przyjaciółek. Te płaczą w sekrecie, ale się uśmiechały, żeby cię powitać. A ty grozisz nam śmiercią za to, że chciałyśmy ci pomóc, że chciałyśmy ocalić ci życie!

- Pasho... - Richard położył delikatnie dłoń na głowie dziewczyny. - Nigdy nie będę Siostrą. Zamiast chłopca, który chce się uczyć, dostałam szaleńca z mieczem. Już zawsze będą się ze mnie wyśmiewać w pałacu. Małym dziewczynkom będzie się mówić, żeby się dobrze sprawowały, bo inaczej skończą jak Pasha Maes i jak ona zostaną wyrzucone. Rozwiały się moje marzenia. - Jej żałosne łkania sprawiły chłopakowi przykrość. Podniósł ją i przytulił. Najpierw się wrywała, próbowała go odepchnąć, lecz kiedy przycisnął ją mocniej do siebie i położył jej głowę na swoim ramieniu, poddała się i rozplakała jeszcze bardziej. Richard gładził jej plecy, a ona trzęsła się i płakała. Kotysał ją łagodnie w ramionach. - Chciałam ci tylko pomóc, Richardzie - chlupała. - Chciałam cię jedynie uczyć.

- Wiem, wiem - uciszał ją. - Wszystko będzie dobrze.

- Nie będzie. - Potrząsnęła głową wtuloną w jego ramię. - Będzie. Przekonasz się.

Po jakimś czasie uniosła ręce i wczepiła się w koszulę chłopaka; nadal płakała. Nie próbował jej powstrzymać. Tulił ją, starając się w ten sposób pocieszyć.

- Naprawdę uważasz, że mogłabyś mnie nauczyć korzystać z daru i że wtedy Siostry zdjęłyby mi obrożę?

Pociągnęła nosem.

- To moje zadanie. Do tego mnie przygotowywano. Tak pragnęłam

ukazać ci wspaniałość Stwórcy i daru, który odeń otrzymałeś. Jedynie tego pragnęłam. - Objęła chłopaka ramionami. Przyłgnęła doń, jakby błagając o pomoc. Głaskał jej włosy. - Kiedy cię wczoraj dotknęłam, Richardzie, kiedy dotknęłam twojej Rada'Han i poczułam Han, to wyczułam trochę twoich uczuć. Wiem, że bardzo cierpisz. Wycucie odrobiny twojego cierpienia sprawiło mi ból. - Dotknęła szyi chłopaka Jakby chciała go pocieszyć.

- Nie wiem o wielu sprawach, które mogą spowodować aż takie cierpienia. Ale, Richardzie, ja wcale nie chcę zająć jej miejsca.

Chłopak zamknął oczy i oparł bezwładnie głowę o ramię Pashy. Zadławił ból. Dziewczyna przecesała mu włosy palcami, przytuliła jego głowę. Po jakimś czasie zdołał wydobyć z siebie głos:

- Może mógłbym od czasu do czasu wkładać któreś z tych ubrań. Pasha cofnęła się troszeczkę, spojrzała nań przez łzy.

- Może na posiłki z Siostrami?

- Pewno świetnie się do tego nadadzą. - Wzruszył ramionami. - Wybierz to, w którym chciałabyś mnie zobaczyć. Nie znam się na wyszukanych strojach. - Zdołał się uśmiechnąć. - Jestem tylko leśnym przewodnikiem.

Twarz Pashy pojaśniała.

- Wspaniale ci będzie w czerwonym surducie.

- Czerwonym? - skrzywił się chłopak. - Musi być czerwony? Przesunęła palcem po zawieszonym na szyi Richarda. Agielu -

Nie, nie musi być czerwony. Po prostu pomyślałam, że doskonale się będzie prezentował na twoich szerokich ramionach.

- W każdym razie będę się głupio czuł - westchnął Richard. - Równie dobrze może być i czerwony.

- W żadnym nie będziesz wyglądał głupio; będziesz wyglądał wspaniale. - Pasha uśmiechnęła się. - Przekonasz się. Wszystkie kobiety będą robić do ciebie słodkie oczy. - Uniosła Agiel. - Co to jest, Richardzie?

- Taka maskotka. Gotowa do powrotu? Chyba musisz zacząć mnie uczyć. Im szybciej zaczniesz, tym wcześniej pozbędę się obroży. I wtedy oboje będziemy szczęśliwi: ty, bo zostaniesz Siostrą, a ja bo będę wolny.

Richard otoczył ramieniem ramiona Pashy, a ona objęła go w pasie i wrócili ku Bonnie.

ROZDZIAŁ 53

Na moście wiodącym na wyspę Halsband, w kręgu rzucanego przez lampę światła, otoczył ich tłumek chłopców i młodych mężczyzn. Wielu nosiło strojne ubrania, niektórzy - proste szaty, każdy jednak miał na szyi Rada'Han. Podekscytowani, pytali jeden przez drugiego, chcąc wiedzieć, czy to prawda, że Richard zabił mriswitha, i jak stwór wyglądał. Pragnęli przedstawić się chłopakowi. Domagali się, żeby dobył miecza i pokazał im, jak zabił legendarne monstrum.

- Tak, Kippie - powiedziała Pasha do najbardziej natarczywego chłopca - to prawda, iż Richard zabił mriswitha. Siostra Maren bada go teraz i jeśli uzna za stosowne, to opowie wam o nim. Ja mogę powiedzieć tylko tyle, że to naprawdę przerażająca bestia. A teraz znikajcie. Już prawie pora kolacji.

Byli co prawda zawiedzeni, że nie uzyskają więcej informacji, lecz bardzo zafrapowało ich to, co usłyszeli. Rozbiegli się, by powtórzyć to pozostałym.

Richard zaprowadził Bonnie do stajni, a potem poszedł z Pashą przez westybule i komnaty, starając się zapamiętać ich rozmieszczenie. Pokazała mu jadalnię chłopców i salę, w której jadały Siostry oraz niektórzy ze starszych młodzieńców. Zaprowadziła go również do kuchni. Po okolicznych korytarzach płynęły aromaty szykowanych potraw.

Przystanęli przy sklepionym przejściu i Pasha wskazała na zgrabny murek, biegnący pod zwisającymi konarami drzew. Tu i tam murek obrastały pnącza - na tle zieleni uwydatniały się duże białe kwiaty.

- Tam jest mieszkanie Ksieni i jej biura.

- Będzie dzisiaj na kolacji?

- Nie, jasne, że nie - zaśmiała się cicho Pasha. - Ksieni nie ma czasu, by jeść z nami kolację.

Richard wyszedł z westybulu i poszedł ścieżką ku bramie w murku.

- Richardzie! Co ty robisz? Dokąd idziesz?

- Chcę się zobaczyć z Ksienią.

- Nie możesz tak po prostu do niej pójść.

- Dlaczego? Pasha go dogoniła.

- To bardzo zapracowana osoba. Nie należy jej przeszkadzać. Nie

pozwolą ci się z nią zobaczyć. Straż nawet nie przepuści nas przez bramę.

- Pytanie nie boli, prawda? - Chłopak wzruszył ramionami. - Potem wybierzesz dla mnie strój i zjemy razem z Siostrami, Zgoda?

Propozycja wyboru stroju powstrzymała zapędy Pashy. Dziewczyna wyjąkała, że, oczywiście, nie zaszkodzi zapytać i starała się dotrzymać kroku raźnie maszerującemu ku bramie Richardowi. Strażnik wyszedł przed żelazną bramę, rozstawił stopy i wsunął kciuki za pas. Chłopak położył mu dłoń na ramieniu.

- Przepraszam. Wybacz. Wybaczysz? Chyba ci nie przysporzyłem kłopotów, co? Mam nadzieję, że nie. Chyba jeszcze na ciebie nie nawrzeszczała?

Żołnierz się zdziwił, a Richard pochylił się ku niemu.

- Słuchaj... jak się nazywasz?

- Zbrojny Andellmere. Kevin Andelhnere.

- Słuchaj, Kevinie, obiecała, że wyśle po mnie strażnika do zachodniej bramy, jeżeli się spóźnię choć minutę. Pewno zapomniała cię posłać. To nie twoja wina. Obiecuję, że nie wymienię twojego nazwiska. Mam nadzieję, iż nie jesteś na mnie zły. - Richard obrócił się tyłem do Pashy i jeszcze bardziej pochylił ku strażnikowi. - Sam rozumiesz. - Znacząco rzucił okiem ku dziewczynie i mrugnął. Kevin spojrzął na Pashę, która usiłowała doprowadzić do ładu splątane włosy. - Hmm? Na pewno rozumiesz. Postawię ci piwo, Kevinie. Zgadzasz się? Lepiej tam wejdę, zanim wpędzę cię w tarapaty, ale najpierw obiecaj, że pozwolisz postawić sobie piwo na zgodę.

- Hmm, chyba mógłbym się zgodzić na piwo...

- Porządny z ciebie chłop. - Richard klepnął Kevina w ramię. Potem pospiesznie minął strażnika i przeszedł przez bramę. Pasha deptała mu po piętach. Chłopak odwrócił się, pomachał Kevinowi i uśmiechnął się doń.

- Jak to zrobiłeś? Gwardziści Ksieni nikogo nie przepuszczają. Richard otworzył przed nią drzwi budynku.

- Postarałem się, by miał o czym myśleć, i zasiałem podejrzenie, że może mieć kłopoty.

Pasha zastukała w dwuskrzydłowe drzwi. Usłyszeli czyjś głos i weszli do słabo oświetlonego pomieszczenia z dwoma biurkami i dwiema Siostrami.

- Siostry - dygnęła Pasha. - Jestem nowicjuszka Pasha Maes, a to nasz nowy uczeń, Richard Cypher. Był ciekaw, czy mógłby się zobaczyć z Ksienią.

Obie Siostry spiorunowały ją gniewnymi spojrzeniami.

- Ksieni jest zajęta - odezwała się ta po prawej. - Możesz odejść, nowicjuszek.

Pasha, nieco pobladła, znów dygnęła.

- Dziękuję, Siostry, że zechciałyście mi poświęcić swój czas. Richard skłonił się lekko.

- O tak, dziękuję wam, Siostry. Przekażcie, proszę, Ksieni najuprzejmiejsze pozdrowienia.

- Mówiłam ci, że nas nie przyjmie - mruknęła Pasha, kiedy wychodzili.

Richard podciągnął plecak na ramieniu.

- Ale przynajmniej spróbowaliśmy. Dzięki, że mi na to pozwoliłaś.

Chłopak wiedział, że Pasha miała rację, mówiąc, iż Ksieni ich nie przyjmie, ale przynajmniej zobaczył to, co chciał. Pragnął poznać rozkład budynku i jego otoczenie - na przyszłość.

Richard nie zmienił zdania o swojej niewoli, lecz postanowił, że - przynajmniej przez jakiś czas - inaczej do tego podejździe. Uzbroid się w cierpliwość i przekona, czego go mogą nauczyć. Bardzo chciałby uwolnić się od obroży, nie krzywdząc przy tym nikogo.

Wrócili do budynku, w którym mieściły się pokoje Richarda; do Gillaume Hali, nazwanego - jak się chłopak dowiedział - na cześć jednego z proroków. Na dolnym poziomie, w pobliżu szerokich schodów, podszedł do nich z wahaniem młody mężczyzna, do tej pory kryjący się w cieniu. Kręcone blond włosy nosił krótko podcięte. Dłonie chował w rękawach fioletowej szaty, wycięcie pod szyją i mankiety obszyte były srebrnym brokatem. Garbił się i dlatego wydawał się niższy, niż naprawdę był. Skłonił głowę przed Pashą i nie wiedział, gdzie podziąć niebieskie oczy.

- Niech Stwórca cię błogosławi, Pasho - powiedział cicho. - Uroczod dziś wyglądasz. Co u ciebie, jeśli wolno zapytać?

Pasha przymrużyła oczy, szukając w pamięci.

- Warren, prawda? - Pokiwał głową, zaskoczony, że pamięta jego imię. - Wszystko w porządku, Warrenie. Dzięki, że o to pytasz. To Richard Cypher.

Warren uśmiechnął się nieśmiało do chłopaka.

- Widziałem cię wczoraj przed Siostrami.

- Podejrzewam, że i ty chcesz wypytywać o mriswitha - westchnęła Pasha.

- Mriswitha?

- Richard zabił mriswitha. Czyż nie o to chciałeś zapytać?

- Naprawdę? Mriswitha? - Popatrzył na Richarda. - Chciałem zapytać, czy zechciałbyś czasem zajść do mnie do podziemi i postudiować ze mną proroctwa.

Richard nie chciał wprawiać młodziana w zakłopotanie, ale proroctwa nic go nie obchodziły.

- Czuję się zaszczycony, Warrenie, lecz obawiam się że nie jestem zbyt biegły w zagadkach.

Warren wbił oczy w podłogę.

- Oczywiście, rozumiem. I tak mało kto interesuje się księgami. Po prostu myślałem, cóż, tak sobie pomyślałem, iż skoro wczoraj wspomniałeś o tamtym proroctwie, to może zechcesz o tym porozmawiać. To dzieło jedyne w swoim rodzaju. Ale rozumiem. Przepraszam, że cię nagabywałem.

- Jakie proroctwo? - zdumiał się Richard.

- To, o którym wspomniałeś na końcu. O tym, że jesteś - Warren przełknął ślinę - dawcą śmierci. Jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś, o kim mówi proroctwo. - Zamrugał, wystraszony. - No i skoro jesteś w proroctwie, to myślałem... myślałem, że może... - Umilkł, wbił wzrok w podłogę i zaczął się odwracać. - Lecz rozumiem. Przepraszam, że...

Richard łagodnie ujął Warrena za ramię i obrócił ku sobie.

- Jak powiedziałem, nie jestem zbyt biegły w zagadkach. Ale może nauczyłbyś mnie o nich czegoś, żebym nie był takim ignorantem. Chętnie się nauczę.

Twarz Warrena pojaśniała. Napęczniał z dumy. Wyprostował się. Był niemal tak wysoki jak Richard.

- Z radością cię nauczę. Naprawdę chętnie z tobą porozmawiam o tym proroctwie. To prawdziwa zagadka. Do dziś nie zakończono dyskusji na ten temat. Może z twoją pomocą...

Bezszelestnie podszedł jakiś młodzian o szerokich barkach, z Rada'Han, odziany w jednobarwną szatę. Złapał Warrena za ramię i odsunął. Cały czas wpatrywał się w Pashę. Uśmiechnął się do niej przymilnie.

- Dobry wieczór, Pasho. Wkrótce kolacja. Postanowiłem, że pójdziesz ze mną. - Jego oczy powędrowały ku stopom dziewczyny i z powrotem. - Jeśli doprowadzisz się do porządku i zrobisz coś z włosami. Okropnie wyglądasz.

Zrób coś ze sobą.

Chciał odejść. Pasha wzięła Richarda pod ramię. - Obawiam się, Jedidiahu, że mam inne plany. Jedidiah obrzucił chłopaka taksującym spojrzeniem.

- Co, ten kmiotek? Zamierzacie rąbać drwa czy patroszyć króliki?

- To ty - odezwał się Richard. - Pamiętam twój głos. To ty zawołałeś wczoraj z balkonu „sam jeden?”

Na usta Jedidiaha jak na zawołanie wypłynął protekcyjny uśmiezek.

- Właściwe pytanie, nie sądzisz?

- Richard zabił mriswitha. - Pasha dumnie zadarła brodę.

Brwi Jedidiaha powędrowały do góry w kpiącym zachwycie.

- Jakież dzielny kmiotek.

- Ty nigdy nie zabiłeś mriswitha - wtrącił Warren. Jedidiah zmiażdżył go wzrokiem. Młodzieniec skulił się i odsunął.

- Co robisz na powierzchni, Krecie? - Przeniósł wzrok na Pashę. - A widziałaś, jak go zabijał? Założę się, że był sam, kiedy go, jak głosi, zabił. Najprawdopodobniej znalazł zmarłego ze starości mriswitha, przebił go mieczem, a potem przechwalał się przed tobą, żeby zrobić na tobie wrażenie.

- Uśmiechnął się afektownie do Richarda. - Czyż nie tak było, kmiotku?

- Tu mnie masz - uśmiechnął się Richard. - Zgadłeś.

- Tak myślałem. - Posłał Pashy przelotny uśmiezek. - Odwiedź mnie później, dziecinko, a pokażę ci prawdziwe czary. Magię mężczyzny.

Jedidiah odszedł władcym krokiem i zniknął za rogiem. Pasha ujęła się pod boki.

- Czemuś tak powiedział?! Czemuś mu nie zaprzeczył!?

- Zrobiłem to dla ciebie - oznajmił Richard. - Sądziłem, że chcesz, bym przestał siać zamęt i zachowywał się jak dżentelmen.

- Fakt, chciałam - parsknęła i skrzyżowała ramiona. Chłopak zwrócił się ku Warrenowi, wciąż przyciśniętemu do marmurowej podpory poręczy.

- Jeśli on coś ci zrobi, Warrenie, to natychmiast mi o tym powiedz. To ja jestem mu solą w oku. Jeżeli zacznie się na tobie wyzywać, przyjdź i powiedz mi o tym.

Warren się rozpromienił.

- Naprawdę? Dzięki, Richardzie. Ale nie sądzę, żeby sobie mną zawracał głowę. Chętnie zobaczę cię w podziemiach, jeżeli znajdziesz czas. -

Uśmiechnął się nieśmiało do Pashy. - Dobranoc, Pasho. Miło było cię znów zobaczyć. Pięknie dziś wyglądasz. Dobranoc.

- Dobranoc, Warrenie. - Uśmiechnęła się doń. Patrzyła, jak zmyka w głąb westybulu. - Cóż za dziwny młodzieniec. Z trudem przypominałam sobie jego prawdziwe imię. Każdy nazywa go Kretem. Prawie nigdy nie wychodzi z podziemi pałacu. - Zerknęła z ukosa na Richarda. - Znalazłeś sobie przyjaciela, który ci w niczym nie pomoże, i wroga, który może ci zaszkodzić. Trzymaj się z dala od Jedidiaha. To doświadczony czarodziej, wkrótce zostanie wyzwolony. Dopóki nie nauczysz się bronić swoją Han, może cię skrzywdzić. Może cię zabić.

- A sądziłem, że jesteście jedną wielką szczęśliwą rodziną.

- Wśród czarodziejów obowiązuje kolejność dziobania* [Kolejność (porządek) dziobania - hierarchia w grupie, ustalona w pojedynkach fprzyp. tłum.]. Ci z najpotężniejszą mocą dążą do dominacji. To czasami staje się bardzo niebezpieczne. Jedidiah jest chlubą pałacu i może mu się nie spodobać, iż ktoś mógłby zagrozić jego supremacji.

- Jakżeż mógłbym stanowić zagrożenie dla czarodzieja?

Pasha znacząco uniosła brew.

- Jedidiah nigdy nie zabił mriswitha i wszyscy o tym wiedzą. Richard, czując się fatalnie w wybranym przez Pashę czerwonym surducie, usiłował zasmakować w specjalnie dlań przyrządzonym kleiku z soczewicy. Pasha przywdziała oszałamiającą ciemnozieloną suknię, która więcej odsłaniała, niż zasłaniała. Chłopak uznał, że owa szata bardziej niż należy odsłania piersi dziewczyny. Zaproszeni przez Siostry lub nowicjuszeki młodzieńcy tak się w nią wpatrywali, że nie mieli głowy do jedzenia. Żaden nie przegapił najłżejszego ruchu Pashy.

Wielu z owych młodzieńców w obrożach podeszło i przedstawiło się Richardowi, mówiąc, że chcieliby go bliżej poznać. Obiecali, iż pokażą mu miasto i jego najbardziej frapujące osobliwości. Pasha zarumieniła się, słysząc tę ostatnią propozycję. Richard spytał, czy wiedzą, gdzie gwardziści chodzą na piwo, i przyrzekli, że go tam zaprowadzą, kiedy zechce.

Richarda powitały również Siostry w różnym wieku, najrozmaitszego wzrostu i tuszy. Wszystkie zachowywały się tak, jakby poprzedniego wieczoru nic się nie wydarzyło. Kiedy chłopak zapytał Pashę, dlaczego tak postępują, odparła, że Siostry doskonale rozumieją, jak trudno jest młodym

ludziom dostosować się do pałacu. Dodała, iż są przyzwyczajone do takich wybuchów i nie biorą ich sobie do serca. Richard pomyślał, że tym razem powinny.

Niektóre z Sióstr uśmiechnęły się i powiedziały, że się spodziewają, iż będą miały okazję z nim pracować. Nieliczne zrobiły srogą minę, obiecując, że się jeszcze spotkają i że zadowolą je tylko najlepsze dokonania Richarda. Chłopak uśmiechnął się i odparł, że da z siebie wszystko. Zastanawiał się jedynie, do czego się zobowiązuje.

Pod koniec posiłku do jadalni wpadły dwie urodziwe młode kobiety. Jedna nosiła różową atlasową suknię, druga - żółtą. Zatrzymywały się przy stolikach i szeptały coś siedzącym tam koleżankom. W końcu dotarły do narożnika, w którym siedzieli Pasha i Richard. Jedna z nich nachyliła się ku Pashy.

- Słyszałaś? - Pasha popatrzyła na nią zaskoczona. - Jedidiah spadł ze schodów. - Oczy opowiadającej plotkę błyszcząły. Nachyliła się jeszcze bardziej, radośnie podekscytowana tym, co teraz powie. - Złamał nogę.

- Nie! - Pashę zatkało. - Kiedy? Dopiero co go widzieliśmy. Kobieta zachichotała i skinęła głową.

- Tak, to prawda. To się stało zaledwie parę minut temu. Są z nim uzdrowicielki. Nie ma powodu do obaw: do rana będzie zdrowy.

- Jak to się stało?

- Przez jego niezdarność. Potknął się o dywan i spadł ze schodów. - Zniżyła głos. - Był tak wściekły, że spalił ów dywan na popiół.

- Ogień czarodzieja! - wyszeptała z niedowierzaniem Pasha. - W pałacu? To ciężki występpek...

- Nie, nie, nie ogień czarodzieja. Jasne, że nie, głuptasie. Nawet Jedidiah nie jest taki bezczelny. Zwyczajny ogień. Ale to był jeden z najstarszych pałacowych dywanów. Siostrom bardzo się nie spodobał ów pokaz złego humoru. Nastawiły kość, lecz za karę ma cierpieć aż do rana. Dopiero wtedy uśmierzą ból.

Przekazały plotkę. Oczy i uśmiechy obu młodych kobiet skierowały się ku Richardowi. Pasha przedstawiła je jako swoje przyjaciółki, Celię i Dulcy - dwie nowicjuszki, mające swoich podopiecznych. Chłopak zachował się uprzejmie, zachwycił się ślicznymi sukienkami i falistymi włosami. Rozpłynęły się w uśmiechach.

Kiedy w końcu sobie poszły, Pasha dotknęła ramienia chłopaka i podziękowała mu.

- Za co?

- Nigdy nie pozwalano mi jeść z Siostrami czy z nowicjuszkami, które mają już podopiecznych. To pierwszy raz, kiedy jem kolację, jakbym już była Siostrą. Zachowywałeś się wobec wszystkich uprzejmie i miło; taka jestem dumna, że tu ze mną przyszedłeś. Bardzo ci do twarzy w tym stroju.

- Podejrzewam, że ubrana w tę sukienkę z łatwością zdobyłabyś lepszego niż ja współbiesiadnika. - Richard rozpiął kołnierz eleganckiej koszuli. - Jeszcze nigdy nie miałem na grzbiecie tak białej i obszytej koronkami koszuli ani tak czerwonego surduta. Ciągle mi się zdaje, że idiotycznie wyglądam.

Twarz Pashy rozjaśnił pełen zadowolenia uśmiech.

- Zapewniam cię, iż Celia i Dulcy wcale nie uważają, że wyglądasz idiotycznie. Dziwię się, iż nie spostrzegłeś, jak cię pożerały wzrokiem. Mało brakowało, by usiadły ci na kolanach.

Richard pomyślał sobie, że skoro Celii i Dulcy tak się podoba czerwony surdut, to mogą go sobie wziąć. Nie powiedział tego jednak.

- Dlaczego taki ważny czarodziej jak Jedidiah nie nosi strojnego odzienia?

- Jedynie początkujący czarodzieje tak się ubierają i mogą wychodzić do miasta. W miarę osiągnięcia pewnych punktów zwrotnych w karierze czarodzieja zmienia się ubiór. Im wyższy poziom czarodziej osiąga, tym skromniejsze szaty nosi. Jedidiah ubiera się w proste brązowe szaty dlatego, że już wkrótce zakończy swoje szkolenie.

- Jak jest cel owej dziwacznej zasady?

- Nauka pokory. Ci o najsłabszej mocy noszą najładniejsze stroje, korzystają z największej wolności i nieograniczonych sum pieniędzy. Ale to nie wzbudza w innych respektu dla nich. Mają się nauczyć, że posłuch zdobywa się przymiotami wewnętrznymi, a nie takimi błahostkami.

- Więc noszenie owego stroju sypcha mnie niżej. Już się ubierałem w proste odzienie.

- Jeszcze nie masz prawa nosić skromnych szat. Jeżeli chcesz, to czasem możesz wkładać własne ubranie. Lecz nie pozwolono by ci na to, gdyby to były proste szaty. Ludzie w mieście rozpoznają po stroju zdolności i moc

czarodzieja. Do miasta nie może wychodzić żaden czarodziej, który nosi proste szaty. - Uśmiechnęła się. - Pewnego dnia, kiedy uczynisz zadowalające postępy, i ty będziesz mógł nosić szaty czarodzieja.

- Nie lubię szat. Wolę takie ubrania, jakie przedtem zakładałem.

- Gdy zdejmą ci obrożę i opuścisz pałac, będziesz się mógł ubierać, jak zechcesz. Większość, rzecz jasna, zaczyna cenić szatę świadczącą o ich profesji i nosi ją przez resztę życia.

- Chciałbym się zobaczyć z Warrenem. - Richard zmienił temat. - Powiedz mi, jak do niego dotrzeć.

- Teraz? Dziś wieczór? To był długi dzień, Richardzie, a muszę jeszcze udzielić ci pierwszej lekcji.

- Po prostu mi powiedz, jak się do niego dostać. Czy Warren będzie tam jeszcze o tak późnej porze?

- Nie słyszałam, by ktoś widywał go gdzie indziej. Podejrzewam, że sypia na książkach. Bardzo się zdziwiłam, iż się dziś pojawił na tym poziomie pałacu. Będzie się o tym mówić przez całe tygodnie.

- Nie chcę, by pomyślał, że o nim zapomniałem. Powiedz mi tylko, jak tam zejść.

- Cóż - westchnęła - skoro się upierasz, żeby tam iść, to pójdziemy razem. Mam ci towarzyszyć wszędzie, dokąd się zechcesz udać w Pałacu Proroków. Przynajmniej na razie.

ROZDZIAŁ 54

Zaczęli schodzić do podziemi w centrum Pałacu Proroków. Na wyższych poziomach schody były ozdobne i eleganckie. Im niżej, tym się stawały zwykłej sze, krawędzie stopni były wytarte, aż zaokrąglone. Zniknęły służące, które Richard widział na wyższych poziomach.

Wykładane drewnem ściany ustąpiły miejsca kamiennym. Tu i ówdzie chłopak musiał się schylać pod potężnymi belkami. Zniknęły przymocowane do ścian lampy - teraz światła dostarczały rzadko rozmieszczone pochodnie. Ucichły odgłosy pałacowego życia, zastąpiła je głucha cisza. Niektóre korytarze były wilgotne; przesączała się do nich woda.

- Co jest w podziemiach? - spytał Richard.

- Księgi proroctw. Księgi historyczne oraz pałacowe archiwa.

- Dlaczego są tutaj?

- Dla ochrony. Proroctwa są niebezpieczne dla nie wyszkolonych umysłów. Wszystkie nowicjuszeki studiują księgi proroctw, lecz jedynie niektóre Siostry mogą czytać je wszystkie i pracować nad nimi. Owe Siostry uczą młodych czarodziejów, którzy wykażą, że ich dar daje im prorocze uzdolnienia. Niewielu młodzieńców pracuje i uczy się w kryptach, a Warren jest tu tym, czym Jedidiah dla innych rodzajów magii. Każdy czarodziej ma swoją specjalność. Postaramy się odkryć, jakie masz wrodzone talenty. Dopóki ich nie poznamy, trudno będzie posuwać naprzód twoje szkolenie.

- Siostra Verna mi o tym wspomniała. Jak myślisz, do czego mam talent?

- Zwykle odczytujemy to z osobowości chłopca. Niektórzy lubią pracę ręczną i uczą się tworzenia magicznych rzeczy. Inni lubią pomagać chorym czy rannym i zostają uzdrowicielami. Tak to jest. Zazwyczaj to odgadujemy.

- No a co ze mną?

Pasha zerknęła na niego przelotnie.

- Żadna z nas nie widziała kogoś takiego jak ty. Na razie nie mamy pojęcia. - Jej oblicze pojaśniało. - Ale się dowiemy.

Dotarli w tych mrokach do otwartych, potężnych, kamiennych, zaokrąglonych drzwi, tak grubych jak Richard był wysoki. Za nimi znajdowały się pomieszczenia wyżłobione w skale, na której zbudowano pałac. Lampy ledwo rozjaśniały owo miejsce. Stało tam wiele długich,

zniszczonych stołów, na których porozrzucano księgi i papiery, oraz rzędy półek, ciągnące się daleko w obie strony. Dwie kobiety czytały i notowały w świetle ustawionych przy nich świec. Jedna z nich podniosła wzrok i spytała Pashę:

- Co tutaj robisz, dziecko? Pasha dygnęła.

- Przyszliśmy zobaczyć Warrena, Siostrze.

- Warrena? Po co?

W tym momencie Warren wychynął z mroku.

- Wszystko w porządku, Siostrze Becky. Zaprosiłem ich.

- Następnym razem uprzedź kogoś, Warrenie.

- Tak, Siostrze, zrobię to.

Warren wcisnął się pomiędzy Pashę a Richarda, ujął ich pod ręce i poprowadził między półki. Zorientował się, że dotyka Pashy, jak oparzony cofnął rękę i poczerwieniał.

- Wyglądasz... oszalamiająco, Pasho.

- Dziękuję, Krecie. - Teraz ona się zarumieniła. Położyła mu dłoń na ramieniu. - Przepraszam, Warrenie... nie chciałam cię urazić. Zamierzałam powiedzieć „Warrenie”.

- Nic się nie stało, Pasho - uśmiechnął się Warren. - Wiem, że nazywają mnie Kretem. Myślę, iż to obraźliwe, ja jednak uważam to za komplement. Kret potrafi odszukać drogę w ciemnościach tam, gdzie inni są ślepi. To bardzo przypomina to, co robię; odnajduję drogę tam, gdzie inni niczego nie dostrzegają.

- Cieszę się, Warrenie - odetchnęła z ulgą Pasha. - Czy słyszałeś, Krecie, że Jedidiah spadł ze schodów i złamał nogę?

- Naprawdę? - Badawczo spojrział w oczy dziewczyny. - Może Stwórca starał się go nauczyć, że jeśli się zbyt zadziera nosa, to nie widzi się, gdzie się stawia stopę.

- Nie sądzę, by Jedidiah wziął sobie do serca nauki Stwórcy - orzekła Pasha. - Słyszałam, że tak się wściekł, iż spalił na popiół drogocenny dywan.

Warren wciąż patrzył jej w oczy.

- To ty powinnaś być zła, a nie Jedidiah. Powiedział ci tyle nieprzyjemnych słów. Nikt nie powinien tak do ciebie mówić.

- Zazwyczaj jest dla mnie miły, ale przyznaję, że paskudnie wyglądałam.

- Niektóre z tych ksiąg też mogą się komuś wydać okropne, lecz liczy się

treść, a nie kurz na oprawach.

Pasha się zarumieniła.

- Dziękuję, Krecie...

Warren przeniósł spojrzenie na Richarda.

- Nie wiedziałem, czy naprawdę przyjdiesz. Większość obiecuje, że się zjawi, i nigdy się nie pokazuje. Bardzo się cieszę, iż przyszedłeś. Tędy. Obawiam się, Pasho, że musisz tutaj poczekać.

- Co takiego!?! - Nachyliła się i Richard pomyślał, że jej piersi wyskoczą z dekoltu, jeżeli się nie wyprostuje. - Ja też idę.

Warren zrobił wielkie oczy.

- Muszę go zabrać do jednego z pomieszczeń na zapleczu. Jesteś nowicjuską, a nowicjuszkom nie wolno tam wchodzić.

Dziewczyna wyprostowała się i obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

- Skoro nie wolno tam wchodzić nowicjuszkom, Krecie, to czyżby wolno było nowemu uczniowi?

- On jest wymieniany w prorocत्वach. - Warren przymrużył oczy. - Jeśli prorocy uznali za konieczne o nim pisać, to trudno zakładać, iż nie chcieli, by to przeczytał.

Warren był tutaj, w swoim żywiole, o wiele bardziej pewny siebie niż na wyższych poziomach pałacu. Twardo obstawał przy swoim. Pasha pogładziła go po ramieniu. Zerknął na jej dłoń.

- Przecież jesteś Kretem, Warrenie. Pokazujesz innym drogę. Jestem opiekunką Richarda, pokazuję mu drogę. Zlekceważyłabym swoje obowiązki, gdybym mu tak wcześniej pozwoliła dokądś pójść samemu. Jestem pewna, że dla mnie możesz zrobić wyjątek. Co, Warrenie? Żeby pomóc Richardowi, pomóc mu zrozumieć prorocत्व i to, jak ma służyć Stwórcy. Czyż nie o to chodzi?

Warren w końcu oderwał od niej oczy i kazał Pashy oraz Richardowi poczekać. Podszedł do obu Sióstr, zaczął z nimi szeptać. Wrócił uśmiechnięty.

- Siostra Becky orzekła, że to możliwe. Powiedziałem jej, iż znasz trochę górnod'harański. Potwierdź, gdyby spytała.

- Co to gornod'haranski? Warrenie, chcesz, żebym okłamała Siostrę!

- Jestem pewny, że nie spyta. - Warren odwrócił twarz. - Skłamałem za ciebie, Pasho, byś nie musiała tego robić.

Dziewczyna nachyliła się ku niemu.

- Jeżeli przyłapią cię na takich kłamstwach, Warrenie, to wiesz, co zrobią.

- Wiem. - Uśmiechnął się z udręką.

- Co zrobią? - dopytywał się Richard, ogarnięty nagłą podejrzliwością.

- Mniejsza o to! - Warren niecierpliwie machnął ręką. - Chodźcie z mną.

Pomknął w mrok, a Richard i Pasha pospieszyli za nim. Mijali szeregi ciasno ustawionych półek, aż w końcu dotarli do twardej, skalnej ściany. Warren położył dłoń na metalowej płytce i część ścianv się odsunęła, odsłaniając znajdujące się za nią pomieszczenie. W niewielkiej komnacie stał stół i może ze dwanaście rzędów półek. Cztery lampy sprawiały, że w środku było jasno, zwłaszcza w porównaniu z mrokami, wśród których tu przyszli.

Weszli i Warren dotknął kolejnej płytki. - Ściana zasunęła się, zamykając ich w sobie i w ciszy. Warren podsunął Pashy krzesło, wskazał Richardowi miejsce po jej prawej ręce. Na koniec zdjął z półki oprawną w skórę księgę i położył ją przed chłopakiem.

- Nie dotykaj jej, proszę. Jest bardzo stara i krucha. A ostatnio korzysta się z niej częściej niż zwykle. Pozwól, że będę odwracał stronicę.

- Któż tak korzysta z tej księgi? - zapytał Richard.

- Ksieni. - Po ustach Warrena przemknął uśmieszek. - Kiedy ma tu przyjść, to najpierw pojawiają się jej dwaj wielcy gwardziści i każą wszystkim wyjść. Opróżniają podziemia, żeby Ksieni była tu sama i by nikt nie wiedział, co czyta.

- Jej dwaj wielcy gwardziści? - spytała Pasha. - Masz na myśli te dwie Siostry w pierwszym gabinecie?

- Tak - potwierdził Warren. - Siostra Ulicia i Siostra Finella.

- Widzieliśmy je dzisiaj - wtrącił Richard. - Nie wydały mi się aż takie wielkie.

Warren znacząco ściszył głos:

- Jeżeli je kiedykolwiek rozgniewasz, to inaczej będziesz śpiewał. Potrafią się wydać naprawdę wielkie.

Widząc minę Warrena, Richard zmienił temat.

- Skoro wyrzucają stąd wszystkich, to skąd wiesz, że czytała właśnie tę księgę?

- Wiem. - Zapytany spojrzał na leżący na stole wolumin. - Wiem.

Ostatnio czytywała przeważnie w tej komnatce. Żyję wśród tych ksiąg. Wiem, kiedy ktoś inny ich dotyka. Widzisz tę plamkę w kurzu? Nie jest moja. Zostawiła ją Ksieni. - Warren ostrożnie odchylił okładkę i uważnie, oburącz, odwracał poźółkłe stronic. Richard nie odczytał żadnego słowa, nie poznał żadnej litery. Na jednej ze stron chyba coś rozpoznał - rysunek. Coś się poruszyło w pamięci chłopaka. Warren przewrócił jeszcze kilka stronic. Pochylił się nad ramieniem Richarda i wskazał palcem. - To jest owo proroctwo, o którym mówiłeś. - Obszedł stół, znalazł się po prawej. - To oryginał spisany ręką proroka. Niewielu widziało to na własne oczy. Znasz górnod'haranski?

- Nie. To dla mnie tylko jakieś gryzmoły. - Richard spojrział na niezrozumiałe pismo. - Mówiłeś, że są spory co do znaczenia tej przepowiedni.

Oczy Warrena lśniły.

- O tak, są. Widzisz, to bardzo stare proroctwo, może równie stare jak pałac, a może i starsze. To oryginalne proroctwo. Jest napisane w górnocTharańskim, jak wszystko w tym pomieszczeniu. Tylko nieliczni rozumieją ten język.

Richard potaknął.

- Czyli ludzie czytają jedynie tłumaczenia i mają powód sądzić, że one nie są, mogą nie być dokładne.

- Rozumiesz - wyszeptał Warren. Jego ruchy nabrały wigoru. - Tak, tak, dostrzegasz problem. A większość nie. Większość uważa, że „coś” w jednym języku musi oznaczać konkretne „coś” w drugim. Tłumacząc, prezentują interpretację, która odpowiada ich widzeniu znaczeń, i przez to tworzą streszczenie, które może lub nie oddawać znaczenie proroctwa.

- Lecz to nie odzwierciedla ewentualnych odmiennych znaczeń - dodał Richard. - Więc kiedy tłumaczą, dają tylko jedną wersję. Nie mogą przetłumaczyć wieloznaczności.

Podeksycytowany Warren pochylił się do przodu.

- Tak! Pojąłeś! To tego nie potrafią zrozumieć i dlatego sprzecniają się nad różnymi tłumaczeniami, jakby istniał dobry i zły sposób ich sporządzania. Lecz to górnod'haranski, a górnod'haranski...

Głos Warrena zamarł. Richard wpatrywał się w stronicę. Tekst go wciągał. Jakby doń szeptał. Nigdy przedtem nie widział owych słów, a

przecież współdźwięczały z czymś głęboko ukrytym w jego umyśle. Ręka chłopaka wysunęła się powoli, przyciągana przez jedno ze słów. Palec dotknął owego słowa.

- To ono - szepnął niczym w transie Richard.

Zdawało się, że litery - jak żywe - unoszą się z powierzchni stronicy i owijają wokół palca chłopaka. Ciemne linie głaskały i pieściły jego palec z tkliwą poufałością. Przed oczami Richarda unosił się obraz Miecza Prawdy.

Warren uniósł znad książki pobladałą twarz.

- *Drauka* - wyszeptał. - Kontrowersje dotyczą tego właśnie słowa. *Fuer grissa ost drauka*: ten, który jest dawcą śmierci.

- To o co te sprzeczki? - Pasha pochyliła się nad stołem. - Chodzi ci o to, że te słowa można inaczej przetłumaczyć?

- Cóż, i tak, i nie. - Warren niezdecydowanie machnął ręką. - To dosłowne tłumaczenie owych wyrazów. Kontrowersje dotyczą ich znaczenia, sensu.

Richard cofnął dłoń. Odpędził obraz miecza.

- Śmierć. To ma i inne znaczenia.

Warren tak się nachylił, że niemal legł na stole.

- Tak! Pojmujesz!

- Śmierć jest jednoznaczna - wtrąciła Pasha. Warren wyprostował się i zatarł dłonie.

- Nie, Pasho. Nie w górnocTharańskim. Z tego słowa wywodzi się nazwa noża Sióstr: *dakra*. *Drauka* oznacza śmierć, czyli martwość, jak w zdaniu „*mriswith*, którego zabił Richard, jest martwy”. *Drauka* znaczy „martwy”. Lecz ma też inne znaczenie. *Drauka* to słowo, którym określa się dusze zmarłych.

Pasha zmarszczyła brwi i pochyliła się ku niemu.

- Czyżbyś chciała powiedzieć, że w tym znaczeniu *drauka* to „ten, który przywołuje dusze”?

- Nie - odezwał się Richard i dodał szeptem: - Duchy. Ten, który przywołuje duchy.

- Tak - potwierdził cicho Warren. - To druga interpretacja. - To ile *drauka* ma znaczeń? - spytała Pasha. Trzy, pomyślał Richard.

- Trzy - powiedział Warren. Richard znał trzecie.

- Zaświaty - wyszeptał, wpatrzony w słowo *drauka*. - Dziedzina zmarłych.

To trzecie znaczenie *drauka*.

Warren pochylił się ku niemu biały jak duch.

- Przecież nie znasz górnodliarańskiego? - Richard z wolna potrząsnął głową, nie odrywając oczu od stronicy. Warren wystawił język i oblizał wargi. - Chyba nie płynie w tobie d'haranska krew?

- Rahl Posępny był moim ojcem - powiedział miękko Richard. - Był władającym D'Hara czarodziejem, a przed nim mój dziadek, Panis.

- Drogie Stwórco - wyszeptał Warren.

Pasha położyła dłoń na ramieniu Richarda i pochyliła się ku obu młodzieńcom.

- Zaświaty? Jak to zaświaty?

- Bo zaświaty to świat zmarłych - wyjaśnił Warren. Zmarszczyła brwi.

- Ale jak to może znaczyć „ten, który sprowadza zaświaty”? Możesz tu ściągnąć zaświaty? Jak?

- Rozdzierając zasłonę - odparł zapatrzonej przed siebie Richard. W kamiennej komnatce rozdzwoniła się cisza. Pasha patrzyła to na twarz jednego, to na twarz drugiego. Wreszcie przerwała milczenie. - Ale uczono mnie, że obce słowo w przepowiedni, mające wiele znaczeń, można interpretować tylko w zależności od kontekstu. Żeby odcyfrować jego znaczenie, trzeba się po prostu przekonać, jak się je stosuje.

- I tego właśnie dotyczy spór. - Warren znacząco uniósł brew. - W tym proroctwie to słowo mówi o sprawach, które mogą obejmować zakres wszystkich trzech znaczeń *drauka*. Wybór jednego z nich zmienia całe proroctwo. To dlatego nie można go w pełni zrozumieć i jednoznacznie przetłumaczyć. Przypomina to pogoń psa za własnym ogonem. Im bardziej się starasz, tym bardziej kręcisz się w kółko. Właśnie dlatego tak mi zależy, żeby poznać, w którym ze znaczeń użyto tu słowo *drauka*. Jeżeli się tego dowiem, to zdołam, po raz pierwszy, dokładnie rozszyfrować proroctwo. Będę pierwszym, który zrozumie je po trzech tysiącach lat.

Richard odepchnął krzesło od stołu.

- Już mówiłem, że nie jestem zbyt dobry w zagadkach. - Zmusił się do uśmiechu. - Ale obiecuję, iż się nad tym zastanowię.

- Naprawdę? - Warren pojaśniał. - Byłoby wspaniale, gdybyś zdołał mi pomóc.

- Masz moje słowo. - Chłopak ścisnął ramię Warrena. Pasha się

podniosła.

- Lepiej wróćmy do nauk Richarda. Robi się późno.

- Dziękuję, że przyszliście. Tak rzadko ktoś mnie odwiedza. Cała trójka ruszyła ku drzwiom, Pasha przodem.

Kiedy minęła próg, Richard przytknął dłoń do metalowej płytki w ścianie.

Drzwi się zamknęły. Pasha nie zdążyła się przedostać przez coraz węższą szczelinę i tłukła pięściami w skałę. Wołała, żeby otworzyli drzwi - jej głos zamarł, kiedy wrota się całkiem zamknęły. Richard i Warren zostali w cichej komnatce.

- Jak to zrobiłeś? - Warren wpatrywał się w metalową płytkę. - Jesteś zaledwie początkującym czarodziejem. Jeszcze długo nie powinieneś uruchamiać pola swojej Han.

Richard nie znał odpowiedzi na to pytanie, więc je zignorował.

- Lepiej mi powiedz, co zrobiłyby ci Siostry, gdyby przyłapały cię na tamtym kłamstwie?

Ręka Warrena powędrowała do obroży.

- Skrzywdziłyby mnie.

- Wykorzystałyby magię obroży, żeby zadać ci ból? Warren potakująco kiwnął głową i zacisnął dłoń na szacie.

- Często to robią? Często zadają nam ból za pomocą obroży? Kret mełł zaciśniętą w pięści szatę.

- Nie, nieczęsto. Ale żeby zostać czarodziejem, musisz przejść próbę bólu. Przychodzą od czasu do czasu i zadają ci ból za pomocą Rada'Han, by się przekonać, czy dostatecznie dużo się już nauczyłeś, by przejść próbę bólu.

- A jak się zdaje ten test?

- Przypuszczam, iż przechodzisz zwycięsko ową próbę wtedy, kiedy potrafisz znieść cierpienie, nie błagając Sióstr, aby przestały. Nigdy mi nie powiedziały, co trzeba zrobić, żeby przejść tę próbę. - Twarz mu poszarzała. - Zawsze je błagam, by przestały. Kiedy już nauczysz się znosić cierpienie, one je zwiększają.

- Podejrzewałem właśnie coś takiego. Dzięki, że mi powiedziałaś. - Richard pogładził brodę. - Potrzebuję twojej pomocy, Warrenie.

Warren otarł wilgotne oczy rękawem szaty.

- Jakżeż mogę ci pomóc?

- Mówiłeś, iż są tutaj dotyczące mnie proroctwa. Chcę, byś przestudiował wszystko, co zdołasz znaleźć na mój temat. I o Basztach Zatracenia, i o Dolinie Zaginionych. Muszę też wiedzieć wszystko o zasłonie. - Richard wskazał leżącą na stole księgę. - Kilka stron przed tym proroctwem jest jakiś rysunek. Przedstawia coś w kształcie łzy. Co to takiego? Wiesz?

Warren podszedł do księgi, odwrócił stronicę. - To?

- Tak, to. - Richard przypomniał sobie, że widział to na szyi Rachel, kiedy miał wizję jej i Chase'a w Dolinie Zaginionych. Z pamięci wypłynęła twarz Zedda, serce chłopaka zabiło szybciej. - To mi przypomina coś, co widziałem. Co to jest?

Warren spojrzał nań z osłupieniem.

- To Kamień Łez. Jak to, widziałeś?

- Co to jest Kamień Łez?

- Nie wiem dokładnie. Muszę jeszcze o tym poczytać, ale uważam, że mogłoby to mieć coś wspólnego z zasłoną, jeżeli przyjmie się, że *drauka* dotyczy zaświatów. Jak mogłeś to wiedzieć?

Richard drugi raz zignorował pytanie.

- Muszę też wiedzieć wszystko o Kamieniu Łez, Warrenie, i o ludzie, który żył niegdyś w Dolinie Zaginionych. O Baka Ban Mana. To oznacza „ci, którzy nie znają panów”. I o osobie, którą nazywają *Caharin*.

- To masa roboty. - Warren w końcu odzyskał głos.

- Pomożesz mi, Warrenie? Warren spuścił wzrok, skubał szatę.

- Pod pewnym warunkiem. Nigdzie stąd nie wychodzę. Nie dlatego, żebym aż tak lubił pracę nad proroctwami, ale ludzie uważają, iż nic innego mnie nie ciekawi. A bardzo pragnąłbym zobaczyć ziemie wokół pałacu: lasy i wzgórza. - Splótł palce. - Boję się rozległych przestrzeni. Niebo jest takie ogromne. Zostaję tu, ponieważ czuję się bezpiecznie. Ale mam już dość kreciego życia. Chciałbym spróbować stąd wyjść i zobaczyć okolicę. Zechciałbyś mi ją pokazać? Wyglądasz na kogoś, kto jest obeznany z naturą. Przy tobie czułbym się bezpieczny.

Richard uśmiechnął się doń serdecznie.

- Trafieś na właściwą osobę, Warrenie. Zanim to się zaczęło, byłem leśnym przewodnikiem. Nie znam wszystkich ziem okalających pałac, lecz zamierzam je poznać. Z radością posłużę ci za przewodnika. Będzie jak za

dawnych czasów.

Warren się rozpromienił.

- Dziękuję, Richardzie. Tak chciałbym ujrzeć otwartą przestrzeń. Potrzebna mi w życiu odmiana, przygoda. Zaraz bym się zabrał do tego, o co prosiłeś, ale Siostry zleciły mi robotę i muszę wygospodarować czas na twoje sprawy. Muszę cię też szczerze uprzedzić, że znalezienie potrzebnych ci wiadomości zajmie mnóstwo czasu. Są tu tysiące ksiąg. To potrwa całe miesiące.

- To może być najważniejsza ze spraw, którymi się w ogóle zajmowałeś, Warrenie. Zaoszczędzisz wiele czasu, zaczynając od tego, co czytała Ksieni.

Warren uśmiechnął się łobuzersko.

- A coś mi się zdaje, że mówiłeś, iż nie jesteś zbyt biegły w zagadkach. Miałem właśnie taki zamiar. - Uśmiech zniknął i Kret przybrał zaniepokojoną minę. - Dlaczego chcesz to wszystko wiedzieć?

Richard długo, badawczo wpatrywał się w niebieskie oczy Warrena.

- Jestem *fuer grissa ost drauka*, Warrenie. Wiem, co to znaczy.

Tamten zacisnął palec na czerwonym rękawie surduta Richarda.

- Wiesz? Znasz właściwie tłumaczenie? - Palce mu drżały. - Mógłbyś mi powiedzieć?

- Jeśli przyrzekniesz, że nikomu nie powtórzysz. - Warren energicznie przytaknął. - Nikt nie mógł ustalić, które z trzech znaczeń jest właściwe, bo wybierając jedno, odrzucali pozostałe i to zmieniało całość. - Warren zmarszczył brwi, a Richard nachylił się ku niemu. - Wszystkie trzy są poprawne, Warrenie.

- Co takiego? - wyszeptał Kret. - Jak to możliwe?

- Tym mieczem zabijałem ludzi. Czyli jestem dawcą śmierci: tym, który jest dawcą śmierci. To pierwsze znaczenie *drauka*. Chcąc zyskać przewagę i zwyciężyć w tak, zdawałoby się, beznadziejnych sprawach jak choćby zabicie mriswitha, posłużyłem się magią miecza, aby przywołać duchy tych, którzy nim walczyli przede mną. Przywołałem zmarłych, sprowadziłem przeszłość do terażniejszości. Czyli jestem tym, który przywołuje duchy. To drugie znaczenie *drauka*. i co do trzeciego, do ściągnięcia tu zaświatów, to mam powody podejrzewać, że być może rozdarłem zasłonę. Czyli spełniłem i trzecie znaczenie *drauka*. - Warrena zatkało. - To bardzo ważne, byś znalazł informacje, o które cię prosiłem. Coś mi się zdaje, iż mam niewiele czasu.

Warren potakująco skinął głową.

- Spróbuję. Ale chyba za bardzo we mnie wierzysz. Richard znacząco uniósł brew.

- Wierzę człowiekowi, który zdołał złamać nogę Jedidiaha.

- Nic nie zrobiłem Jedidiahowi. On jest potężnym czarodziejem. Nigdy bym się nie ośmielił wejść w drogę komuś obdarzonemu taką mocą.

- Nie udawaj, Warrenie. Masz na ramieniu popiół ze spalonego dywanu.

Warren energicznie otrzepał ramię.

- Nie ma tu żadnego popiołu. Nie widzę odrobiny popiołu. Richard odczekał, aż tamten podniesie wzrok.

- No to dlaczego czyścisz szatę?

- No bo... byłem... ja tylko...

Richard klepnął go pokrzepiająco w plecy.

- W porządku, Warrenie. Wierzę w sprawiedliwość. Uważam, że Jedidiah dostał to, na co zasłużył. Nikomu nie powiem. I ty też powinienes obie te sprawy zachować dla siebie.

- Muszę cię ostrzec, Richardzie, że wczoraj popełniłeś wielką nieostrożność, mówiąc wszystkim Siostron, iż jesteś dawcą śmierci. To proroctwo jest dobrze znane i gorąco się nad nim dyskutuje. Niektóre Siostry wierzą, iż oznacza to, że jesteś tym, który zabija. Będą się starały dodać ci otuchy. Inne uważają, iż oznacza to, że przywołasz zmarłych, przywołasz duchy. Te będą chciały cię podpatrzyć. - Warren przysunął się trochę bliżej. - A są i takie, które sądzą, że oznacza to, iż rozedrzesz zasłonę i uwolnisz Bezimiennego, który nas wszystkich pochłonie. Te mogą spróbować cię zabić.

- Wiem, Warrenie.

- To dlaczego zdradziłeś im, że to o tobie mówi proroctwo?

- Bo jestem *fuer grissa ost drauka*. Kiedy nadejdzie czas, zabiję tyle Sióstr, ile będę musiał, żeby się pozbyć tej obroży. Musiałem je najpierw ostrzec, dać im szansę zachowania życia.

Warren dotknął palcami wargi.

- Ale nie rób nic złego Pashy. Nie Pashy.

- Bardzo bym chciał nikogo nie skrzywdzić, Warrenie. I może mi się to uda dzięki informacjom, których mi dostarczysz. Nienawidzę być *fuer grissa ost drauka*, lecz tym właśnie jestem.

- Nie czyń nic złego Pashy - błagał Warren ze łzami w oczach.

- Lubię ją, Warrenie. Sądzę, że to osoba o miłym i pięknym wnętrzu, jak to wcześniej powiedziałaś. Zabijam tylko w obronie swojego życia lub życia niewinnych ludzi. Nie wierzę, by Pasha kiedykolwiek mnie sprowokowała. Musisz jednak zrozumieć, że jeśli się nie mylę i zasłona jest rozdarta, to stawka jest o wiele wyższa niż życie jednej osoby. Niż życie moje, twoje czy Pashy.

Warren potaknął.

- Czytałem prorocтва. Rozumiem. Poszukam ci tych wiadomości. Richard spróbował dodać mu otuchy serdecznym uśmiechem. - Wszystko będzie dobrze, Warrenie. Jestem Poszukiwaczem: zrobię, co w mojej mocy. Nie chcę nikogo skrzywdzić.

- Poszukiwaczem? Co to takiego?

- Później ci o tym opowiem.

Richard przytknął dłoń do metalowej płytki. Drzwi się otworzyły, a Warren zerknął na płytkę.

- Jak ci się to udaje?

Pasha czekała spokojnie. Dokładała starań, żeby nie okazać gniewu.

- A cóż to za pogaduszki?

- Między nami chłopakami. - Richard przekroczył próg.

- To znaczy? - Dziewczyna położyła mu dłoń na ramieniu i zatrzymała.

Richard spojrzał w jej zagniewane piwne oczy.

- Wykręciłem Warrenowi rękę, by mi opowiedział o tej próbie bólu. Zapomniałaś mi o tym powiedzieć, więc się musiałem zapytać. A może zamierzałaś poczekać, aż do tego dojdzie, i poddać mnie jej bez ostrzeżenia?

Pasha masowała odsłonięte ramiona, jakby chciała je ogrzać. - Ja nie przeprowadzam tej próby, Richardzie. Jestem tylko nowicjuską. Robią to Siostry.

- A dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie lubię patrzeć, jak ludzie cierpią. - W oczach dziewczyny wezbrały łzy. - Nie zamierzałam cię straszyć czymś, od czego dzieli cię jeszcze dużo czasu. Niekiedy oczekiwanie jest gorsze niż samo doznanie. Nie chciałam, byś czekał w strachu.

- Ach - Richard odetchnął głęboko. - Uważam, że to godziwy powód. Przepraszam, Pasho, za to, co sobie pomyślałem o tobie.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Możemy zacząć lekcję?

Wydostali się z podziemi. Szli westybulami kilku budowli i wreszcie dotarli do Gillaume Hali, gdzie mieszkał Richard. Suknia Pashy szeleściła, kiedy wchodzili po marmurowych schodach. Kolumny i ściany wykonano z harmonijnie dobranego brązowego i pstrokatego marmuru.

Była to piękna budowla ze wspaniałymi komnatami, lecz nie tak imponująca jak Pałac Ludu w D'Harze. Gdyby Richard nie widział tamtego pałacu, to zdumiałoby go bogactwo Pałacu Proroków. Teraz po prostu zapamiętywał topografię. Na górze, gdy przemierzali kolejny szeroki, wyłożony dywanami korytarz, zobaczył kilku młodzieńców z Rada'Han na szyi. W końcu dotarli do komnat Richarda. Pasha wyciągnęła dłoń ku kłamce, lecz złapał dziewczynę za nadgarstek.

- Ktoś jest w środku - ostrzegł.

ROZDZIAŁ 55

To ja mam nad tobą czuwać - powiedziała Pasha.

Posłużyła się swoją Han, żeby uwolnić nadgarstek z uchwytu chłopaka i odsunąć go na bok, a potem wpadła do środka. Richard przeturlał się, wylądował na nogach, dobył miecza i runął za Pashą. Jedynym jasnym punktem w komnacie był niewielki ogień w kominku. Oboje potknęli się w mroku i zatrzymali.

- Spodziewałeś się mriswitha, Richardzie? - zakpił głos z fotela przy kominku.

- Siostra Verna! - Chłopak schował miecz. - Co tu robisz? Wstała i skinęła dłonią ku lampie; knot zapłonął.

- Nie wiem, czy już słyszałeś. - Twarz miała pozbawioną wyrazu. - Znów jestem Siostrą Światła.

- Naprawdę? - zainteresował się Richard. - Wspaniała nowina. Siostra Verna od niechcienia splotła dłoń.

- Skoro ponownie zostałam Siostrą, to postanowiłam przyjść i chwilę porozmawiać z tobą na osobności. - Zerknęła na Pashę. - O pewnych nie zakończonych sprawach pomiędzy mną a Richardem.

Pasha przeniosła wzrok z Siostry na chłopaka.

- Cóż, ta suknia chyba nie jest odpowiednia do udzielania lekcji. Lepiej pójdę i się przebiorę. - Dygnęła przed Siostrą Verna. - Dobranoc, Sostro. Powinnaś być Siostrą. Cieszę się, że powtórnie nią zostałam. Dzięki, Richardzie, iż byłeś takim dżentelmenem. Wrócę, kiedy się przebiorę.

Chłopak zamknął drzwi za Pashą i teraz się w nie wpatrywał.

- Dżentelmen - odezwała się Siostra Verna. - Jak miło mi to słyszeć. Ja też chciałam ci podziękować za przywrócenie rangi Siostry. Siostra Maren powiedziała mi, co się wydarzyło.

Chłopak zaśmiał się i odwrócił ku niej.

- Za długo przebywałaś w moim towarzystwie, Sostro. Ale potrzebujesz dłuższej praktyki w kłamaniu. Nie jesteś całkowicie przekonująca.

Verna nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Siostra Maren powiedziała, że modliła się o wskazówki i uznała, iż z moim doświadczeniem lepiej będę służyć Stwórcy jako Siostra. - Uniosła

znacząco brew. - Biedna Siostra Maren: od twego przybycia kłamstwo szerzy się jak zaraza.

Richard wzruszył ramionami.

- Siostra Maren zrobiła, co należało. Myślę, że ten twój Stwórca będzie zadowolony z efektów.

- Słyszałam, iż zabiłeś mriswitha. Wieści szerzą się w pałacu równie szybko jak ogień po wyschniętej trawie.

Chłopak podszedł do kominka. Wsparł się o obramowanie z ciemnego granitu i zapatrzył w płomienie.

- Nie miałem wyboru.

Siostra Verna czule pogładziła go po głowie. - Wszystko w porządku, Richardzie? Jak się masz?

- Wspaniale. - Chłopak zdjął przez głowę pendent i odłożył miecz. Rzucił czerwony surdut na fotel. - Byłoby jeszcze lepiej, gdybym nie musiał nosić tych idiotycznych strojów. Ale to niewielka cena za spokój. Na razie. O czym chciałaś ze mną porozmawiać, Sostro?

- Nie wiem, co zrobiłeś, by przywrócić mi rangę Siostry, lecz dziękuję ci za to, Richardzie. Czy to oznacza, że chcesz, byśmy zostali przyjaciółmi?

- Tylko wtedy, gdy zdejmiesz mi tę obrożę. - Odwróciła oczy. - Pewnego dnia będziesz musiała wybierać, Sostro. Mam nadzieję, że gdy nadejdzie czas, staniesz po mojej stronie. Trudno by mi było cię zabić po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, lecz doskonale zdajesz sobie sprawę, do czego jestem zdolny. Wiedziałaś, co powiem. Na pewno przyszłaś po coś więcej.

- Pamiętasz, jak powiedziałam, że używasz swojej Han, nie wiedząc, co robisz?

- Tak, ale nie sądzę, bym się posługiwał moją Han.

- Zabiłeś mriswitha, Richardzie. O ile wiem, nie zdarzyło się to przez ostatnie trzy tysiące lat. Wykorzystałeś swoją Han, żeby to zrobić.

- Nie, Sostro. By zabić tego stwora, wykorzystałem magię miecza.

- Obserwowałam cię, Richardzie, i trochę dowiedziałam się i o tobie, i o twoim mieczu. Nikt nie mógł zabić mriswitha, bo nikt nie wiedział, że się zbliża. Nawet Han Sióstr i czarodziejów nie ostrzega przed jego nadejściem. Twój miecz mógł zgładzić monstrum, jednak to twoja Han ostrzegła cię, iż nadchodzi. Korzystasz z własnego daru, lecz nad nim nie panujesz.

Richard był zmęczony. Nie miał ochoty na sprzeczki, więc zmilczał. Opadł na miękki, pluszowy fotel. Przypomniawszy sobie, jak ujrzał w myślach mriswitha, jak widział jego nadejście.

- Nie rozumiem, co robię, Siostrze. Mriswith nadszedł, więc się broniłem. Verna usiadła w fotelu naprzeciwko.

- Spójrz na to w ten sposób, Richardzie: zabiłeś najniebezpieczniejszą bestię pod słońcem, a przecież dziewczuszka z wielkimi piwnymi oczami, mająca się do ciebie jak wróbel do jastrzębia, bez wysiłku odrzuciła cię na bok własną Han. Mam nadzieję, że dołożysz starań, by uzyskać kontrolę nad swoją Han. Musisz nad nią zapanować. - Siostra Verna pojrzała bacznie na Richarda. - Dlaczego poszedłeś do lasów Hagen, skoro cię ostrzegałam, że jest tam niebezpiecznie? Podaj prawdziwy powód. Nie usprawiedliwienie, lecz głęboko skrywany powód. Powiedz mi prawdę, Richardzie.

Chłopak przeciągnął się, popatrzył w sufit. Wreszcie ustąpił i kiwnął głową.

- Miałem wrażenie, że coś mnie tam ciągnie. Potrzeba. Głód. Pragnienie. Jakbym chciał uderzyć pięścią w ścianę, a to był jedyny sposób zrealizowania tego pragnienia.

Richard spodziewał się wymówek, ale nie nastąpiły. Głos Verny wyrażał zrozumienie i współczucie.

- Rozmawiałam z paroma przyjaciółkami, Richardzie. Żadna z nas nie wie wszystkiego o magii pałacu, a zwłaszcza o lasach Hagen, jednak mamy podstawy, by przypuszczać, że umieszczono je tu specjalnie dla niektórych czarodziejów.

Chłopak uważnie obserwował jej spokojną minę, zmarszczki na twarzy, szczerłość w spojrzeniu.

- Czyżbyś mówiła, Siostrze, że jeśli chcę uderzyć pięścią w ścianę, to może powinienem to uczynić?

Verna leciutko uniosła brwi.

- Stwórca zaszczerpił nam *głód*, byśmy jedli, ponieważ jedzenie jest dla nas niezbędne.

- Jakież byłoby uzasadnienie takiego głodu jak mój?

- Nie wiem. - Potrząsnęła głową. - Ksieni już drugi raz odmówiła mi audiencji. Lecz spróbuję znaleźć jakieś odpowiedzi. A ty nie pozwól, by słońce zaszło nad tobą w lasach Hagen.

- Czy to mi chciałaś powiedzieć, Siostrze?

Verna odwróciła wzrok, zamilkła, tarła palcami czoło.

- Dzieją się rzeczy, których nie rozumiem, Richardzie, i są one powiązane z tobą. Wydarzenia nie następują tak, jak powinny. Jeszcze nie mogę o tym mówić - dorzuciła, widząc zaciekawione spojrzenie chłopaka. Odkasznęła. - Nie chcę, Richardzie żebyś ufał którejkolwiek z Sióstr.

- Nie ufam żadnej z was, Siostrze. - Chłopak znacząco uniósł brew. Verna uśmiechnęła się przelotnie.

- Teraz tak jest najlepiej. To właśnie chciałam ci powiedzieć.

Poszukam odpowiedzi, a na razie... powiedzmy, że wiem, iż zrobisz, co trzeba, byś był bezpieczny.

Siostra Verna odeszła, a Richard rozmyślał o tym, co mu powiedziała, i o tym, co usłyszał od Warrena. Przede wszystkim o Kamieniu Łez. Zadziwiło go, że magia w Dolinie Zaginionych ukazała mu wizję czegoś, czego nigdy przedtem nie widział, i że umieściła to coś na szyi Rachel. Pozostałe wizje miały związek z jego tęsknotami oraz lękami. Może tak pragnął ujrzeć swojego przyjaciela Chase'a, że przy okazji zobaczył i Rachel. Dziewczynka na pewno towarzyszyłaby strażnikowi granicy. Ale dlaczego wizja umieściła na jej szyi wisior, którego nigdy przedtem nie widział, a który odpowiadał rysunkowi w księdze? A może były to dwa różne przedmioty? Richard przekonywał sam siebie, iż prawdą jest, że to dwa odmienne przedmioty, lecz dziwny wewnętrzny niepokój dowodził czegoś przeciwnego.

Bardzo mu brakowało i Chase'a, i Rachel, a przecież jego uwagę przyciągnął przede wszystkim kamień zawieszony na szyi dziewczynki. Wydawało się, że Rachel przynosiła ów kamień Richardowi od Zedda, a czarodziej stał przy nim i nalegał, żeby wziął wisiolek.

Z zadumy wyrwało chłopaka pukanie Pashy. Dziewczyna była ubrana w gładką, brązowawopopielatą suknię, zapinaną na całej długości na małe, obciążone różową tkaniną guziczki. Suknia nie odsłaniała ciała Pashy równie hojnie jak zielona szata, ale była tak skrojona, że dokładnie uwydatniała jej kształty. Zakrywała wszystko i przez to owo „wszystko” stawało się jeszcze bardziej kuszące. Barwa tkaniny podkreślała piękno kasztanowatych włosów nowicjuszek.

Dziewczyna usiadła przed kominkiem, na błękitno-złocistym dywanie. Skrzyżowała nogi i pieczołowicie ułożyła suknię. Potem spojrzała na

Richarda.

- Usiądź naprzeciwko mnie w takiej samej pozie.

Usłuchał. Dała mu znak, żeby się przysunął, tak by zetknęli się kolanami. Ujęła dłonie Richarda i trzymała je, złożony na kolanach obojga.

- Siostra Verna nie robiła tego, kiedy ćwiczyłem.

- To dlatego, iż Rada'Han musi się znaleźć w kręgu oddziaływania magii pałacu, by można było ćwiczyć w ten sposób. Do tej pory, trenując dotykanie Han, miałeś tylko obrożę. Teraz ja albo któraś z Sióstr użyję swojej Han, żeby ci pomóc. - Uśmiechnęła się. - Dzięki temu szybciej poczynisz postępy, Richardzie.

- Niech będzie. Co mam robić?

- Powiedziała ci, jak spróbować dotrzeć do Han? Jak się skoncentrować na poszukiwaniu owego miejsca w swoim wnętrzu? - Richard potaknął. - To właśnie masz uczynić. Kiedy będziesz szukał tego miejsca, spróbuję za pośrednictwem Rada'Han pokierować tobą moją Han.

Chłopak usiadł wygodniej. Pasha cofnęła dłoń i powachlowała nią twarz.

- Ta suknia jest za ciepła po tamtej, zielonej.

Odpięła pięć górnych guziczków i ponownie ujęła dłoń Richarda. Chłopak spojrział na ogień, obejrzał polana, żeby - kiedy powtórnie otworzy oczy - wiedzieć, ile czasu upłynęło. Gdy szukał swojej Han, nie miał poczucia czasu. Zawsze mu się wydawało, że minęło ledwie parę minut, a tymczasem trwało to co najmniej godzinę.

Richard zamknął oczy. Wyobraził sobie Miecz Prawdy na gładkim tle. Wyciszył się; szukał wewnętrznego spokoju, wolniej oddychał. Głęboko zaczerpnął powietrza i zatonął w ośrodku spokoju. Był świadom swoich dłoni w dłoniach Pashy, ich stykających się kolan, oddechu dziewczyny zharmonizowanego z jego własnym. Dobrze, że trzymała jego dłonie. Nie czuł się tak odizolowany jak przedtem. Nie wiedział, czy Pasha naprawdę korzysta z magii obroży, by mu towarzyszyć, lecz czuł, iż zanurza się głębiej niż kiedykolwiek przedtem. Nie myśląc, bez wysiłku i bez lęku, unosił się w miejscu, w którym nie istniał czas. Nie widział i nie czuł niczego, czego już wcześniej nie doświadczył. Chyba tylko poczucia większego wyciszenia i pocrzepiającej obecności Pashy. Chłopak zaczął być świadom bijącego od kominka ciepła i tego, że mięśnie mu drętwieją. Chłodna stal miecza była lodowatym sercem żaru.

W końcu otworzył oczy. Pasha wraz z nim. Richard zerknął na ogień. Polana zmieniły się w rozżarzone węgle. Dwie godziny, ocenił.

- Ależ gorąca noc. - Po szyi Pashy spływała stróżka potu.

Dziewczyna rozpięła kolejne guziczki. Wiele guziczków. Odsłoniła więcej niż w zielonej sukni. Richard skłonił sam siebie do podniesienia wzroku i spojrzenia jej w oczy. Uśmiechnęła się doń, pewna siebie.

- Nic nie czułem - powiedział. - Nie czułem mojej Han. Nie wiem, co mam wyczuwać.

- Ja też nic nie czułam, a powinnam. Dziwne - westchnęła zdumiona Pasha. Jej twarz pojaśniała. - Ale to wymaga ćwiczeń. Czujesz moją Han? Pomogła ci?

- Nie - przyznał Richard. - Nic nie czułem. Wydęła wargi i zmarszczyła brwi.

- W ogóle mnie nie wyczułeś? - Chłopak potrząsnął głową. - No to zamknij oczy i spróbuj jeszcze raz.

Było już późno i Richard nie miał ochoty na dalsze ćwiczenia; to było męczące. Postanowił jednak spełnić życzenie Pashy. Zamknął oczy. Skoncentrował się, próbując wywołać obraz miecza. Nagle poczuł na swoich wargach pełne usta dziewczyny. Otworzył oczy, bo przytuliła się doń. Miała opuszczone powieki i zmarszczone czoło. Ujęła w dłonie twarz Richarda. Chłopak złapał ją za ramiona i odepchnął. Otworzyła oczy, oblizwała wargi.

- Czujesz to? - spytała z nieśmiałym uśmiechem.

- Czułem.

- Najwyraźniej niewystarczająco. - Objęła go za szyję. Richard powstrzymał ją łagodnie, kiedy chciała się przytulić. Nie zamierzał jej wprawiać w zakłopotanie, więc zmusił się, by zachować miły ton głosu.

- Nie, Pasho.

Wolną dłonią pogładziła go po brzuchu.

- Już późno. Nikt tu nie przyjdzie. Jeśli chcesz, to zapieczętuję drzwi, byś nie czuł się skrzępowany. Możesz być spokojny. Nie martw się.

- Nie martwię się. Po prostu... nie chcę.

- Nie jestem dla ciebie dość ładna? - Wydawała się trochę urażona.

Richard nie chciał jej ani obrazić, ani rozgniewać. Ale nie zamierzał jej też zachęcać.

- To nie to, Pasho. Jesteś bardzo pociągająca. Tylko...

Rozpięła kolejny guziczek. Chłopak powstrzymał jej rękę. Uświadomił sobie, że sytuacja staje się ryzykowna. Była jego nauczycielką. Jeśli ją rozgniewa lub upokorzy, to rzeczy mogą się niebezpiecznie skomplikować. Miał do załatwienia pewne sprawy i nie mógł robić sobie z Pashy wroga.

Dziewczyna podciągnęła suknię, odsłaniając nogi, i położyła sobie dłoń Richarda na udzie.

- Wolisz tak? - spytała gardłowo.

Chłopak zdrętwiał, czując dotyk jędrnego ciała Pashy. Przypomniał sobie, jak Siostra Verna mówiła, iż pewno raz-dwa znajdzie sobie inną parę zgrabnych nóżek. Nogi Pashy istotnie były zgrabne, no i dziewczyna niewiele zostawiła wyobraźni. Cofnął dłoń.

- Nie rozumiesz, Pasho. Uważam, że jesteś piękną młodą kobietą...

Wpatrzyła się w twarz Richarda, przesunęła palcami po jego brodzie.

- Jesteś najprzystojniejszym ze wszystkich znanych mi mężczyzn.

- Nie, ty nie...

- Uwielbiam twoją brodę. Nigdy jej nie przycinaj. Czarodziej powinien mieć brodę.

Chłopak przypomniał sobie, jak Zedd posłużył się magią addytywną, żeby wyczarować brodę i dać mu nauczkę, a potem zgolił ją, wyjaśniając, iż trzeba by magii subtraktywnej, aby zniknęła, czarodzieje tymczasem nie znają tej magii. To magia z zaświatów.

Richard chwycił nadgarstek Pashy i odciągnął jej dłoń od swojej twarzy. Broda była dlań symbolem niewoli. Oznaczało, że był więźniem. Więźniowie się nie golią, jak powiedział Siostrze Vernie. Nie sądził jednak, by należało to akurat teraz tłumaczyć Pashy.

Pocałowała go w szyję. Nie mógł jej powstrzymać. Miała takie miękkie wargi; słyszał jej przyspieszony oddech. Odniósł wrażenie, iż pocałunek dociera aż do koniuszków palców stóp. Przypominało to uczucie, jakiego doświadczył, gdy Pasha przytknęła dłonie do jego Rada'Han. Mrowienie otępiało rozum. Bezgłośnie jęknął. Pocałunki Pashy topiły jego opór...

Nie miał wyboru, kiedy Denna trzymała go w obroży - nawet śmierć nie wyzwoliłaby go od pragnień Mord-Sith - lecz nadal wstydził się tego, co wówczas zrobił.

Ponownie nosił obrożę na szyi i Pasha posługiwała się jakąś magią, ale wiedział, że tym razem wybór należy do niego. Zmusił się, by pochylić głowę

i umknąć ustom dziewczyny. Łagodnie ją odsunął.

- Pasho, proszę...

Wyprostowała się.

- Jak ma na imię dziewczyna, którą kochasz?

Richard nie chciał jej zdradzić imienia Kahlan. To było jego życie. Jego sekret. Ci ludzie byli jego porywaczami, nie przyjaciółmi.

- To nie ma znaczenia. Nie o to chodzi. - Ma coś, czego mi brak? Jest ładniejsza?

Jesteś dziewczyną, pomyślał Richard, a ona kobietą. Ale nie powiedział tego. Jesteś płomykiem świecy, a Kahlan wschodem słońca. Ale i tego nie powiedział.

Jeżeli wzgardzi Pashą, będzie miał kłopoty. Musi się z tego tak wyplątać, by nie poczuła się odrzucona i urażona.

- Czuję się zaszczycony, Pasho, i pochlebia mi to, naprawdę, lecz znasz mnie zaledwie jeden dzień. Dopiero co się poznaliśmy.

- Stwórca daje nam pragnienia, Richardzie, i przyjemność płynącą z ulegania im, byśmy poznali jego wspaniałość poprzez jego twory. Nie ma w tym nic złego. To jest piękne.

- Daje nam również umysł, żebyśmy decydowali, co jest dobre, a co złe.

Pasha odrobinę zadarła bródkę.

- Dobre czy złe? Jeżeli cię kocha, powinna być przy tobie. Nie pozwoliłaby ci odejść. Oto, co jest złe. Uważa, iż nie jesteś dla niej wystarczająco dobry. Pewno chce się od ciebie uwolnić. Gdyby jej na tobie zależało, to zatrzymałaby cię przy sobie. Nie ma jej. Ja jestem i obchodzisz mnie. Walczyłabym, żeby cię zatrzymać. A ona walczyła?

Richard otworzył usta, lecz cierpienie pozbawiło go głosu. Miał wrażenie, że pozbawiono go woli życia, pozostawiając pustą, martwą skorupę.

- Przekonasz się, iż mi na tobie zależy, Richardzie. - Pasha dotknęła jego policzka. - Że zależy mi bardziej niż jej. Przekonasz się. To dobrze, jeśli komuś na kimś tak zależy jak mnie. - Zatraskała się. - Chyba że cię nie pociągam. O to chodzi? Widziałeś wiele kobiet i uważasz, że w porównaniu z nimi jestem brzydka?

Chłopak dotknął policzka Pashy.

- Jesteś zachwycająca. Nie o to chodzi. - Przełknął ślinę, postarał się, by jego głos brzmiał szczerze. - Mogłabyś mi dać trochę czasu, Pasho? To się

dzieje za szybko. Rozumiesz? Naprawdę zależałoby ci na mężczyźnie, który tak prędko zapomina o swoich uczuciach? Nie mogłabyś mi dać trochę czasu?

Objęła go ramionami i położyła mu głowę na piersi.

- Wiedziałam już wczoraj, kiedy mnie tak czule tuliłeś, że to kolejny znak, iż Stwórca mi cię zesłał. Wiedziałam, że już nigdy nie zapragnę innego. Mogę czekać, skoro na zawsze jestem twoja. Mamy mnóstwo czasu. Tyle, ile tylko zechcesz. Przekonasz się, że jestem dla ciebie stworzona. Powiesz mi, kiedy będziesz gotowy, i będę twoja.

Richard zamknął drzwi za Pashą i westchnął. Oparł się o nie plecami i zamyślił. Nie bardzo podobało mu się zwodzenie dziewczyny, łudzenie jej, że z czasem coś do niej poczuje, musiał się jednak jakoś wykręcić. Jakże słabo znała i rozumiała ludzi, skoro sądziła, by można było zdobyć miłość, odwołując się do lubieżności.

Chłopak wyjął pukiel włosów Kahlan, obracał go w palcach i przyglądał mu się. Rozłościło go to, co Pasha powiedziała o Kahlan. Ta gąska nigdy nie pojmie, przez co on i Kahlan razem przeszli, jakie trudności musieli przezwyciężyć, jakie udręki przecierpieć, w ilu bitwach walczyć. Pewno nawet nie potrafiła sobie wyobrazić kobiety o odwadze, sile i inteligencji Kahlan.

Przecież Kahlan walczyła o niego. Niejeden raz bezinteresownie ryzykowała własnym życiem. Cóż nowicjuszka może wiedzieć o okropieństwach, którym tamta dzielnie stawiała czoło i z których wyszła zwycięsko? Pasha nie dorastała Kahlan nawet do pięt.

Richard schował do kieszeni pukiel włosów. Siłą przepędził myśli o Kahlan. Teraz nie mógł sobie pozwolić na cierpienie. Miał wiele do zrobienia.

Poszedł do sypialni, odpowiednio postawił umieszczone w jesionowej ramie, stojące lustro i wziął z kąta swój plecak. Wyjął z niego czarną pelerynę mriswitha, zarzucił ją na ramiona i przejrzał się w zwierciadle.

Wyglądała jak zwyczajna peleryna. Prawdę mówiąc, całkiem ładna. Rozmiar i długość były odpowiednie - mriswith musiał mieć niemal posturę Richarda. Ciężki materiał był atramentowoczarny, prawie tak czarny, jak nocny kamień, który Adie dała chłopakowi, żeby łatwiej mu było przebyć Przesmyk. Niemal tak czarny jak szkatuły Ordenu. Prawie tak czarny jak

wiekuista śmierć.

Lecz to nie zgrabny krój peleryny intrygował Richarda.

Chłopak stanął natle jasnobrazowej ściany. Nasunął kaptur, osłonił nim twarz i otulił się peleryną. Obserwując swoje odbicie w lustrze, skoncentrował się na barwie ściany za plecami.

W mgnieniu oka odbicie zniknęło.

Peleryna przybrała barwę muru za plecami Richarda i mógł ujrzeć swoje odbicie w zwierciadle tylko wtedy, gdy ogniskował wzrok na konturach okrycia. Nieco łatwiej było go dostrzec na tle ściany, kiedy się poruszył. Twarz była odkryta, lecz magia peleryny - prawdopodobnie wraz z magią Richarda - osłaniała i ją, pokrywając maskującym kolorem.

To wyjaśniało, dlaczego sądzono, że mriswithy są rozmaitych barw.

Richard ustawiał za sobą rozmaite przedmioty, by sprawdzić, jakie daje to skutki. Stanął częściowo na tle ściany, częściowo na tle krzesła, na którym zawiesił swój czerwony surdut. Na pelerynie pojawiła się czerwona plama, naśladująca tamten kolor i kształt. Nie było to równie udane jak upodobnienie się barwą do jednolitego koloru ściany, lecz i tak znakomicie utrudniało dostrzeżenie chłopaka, jeśli stał bez ruchu.

Ruch zniekształcał złożone obrazy, w miarę jak peleryna dopasowywała się do nowych warunków, mimo to jednak trudno było wybaczyć Richarda. Gdy jednak ten nie poruszał się, nikał na każdym tle. Czasem przyprawiało to aż o zawrót głowy. Peleryna na powrót stawała się czarna, jeśli Richard przestawał się koncentrować na tym, co miał za plecami.

To się na pewno przyda, pomyślał chłopak, obserwując swoje odziane w czarną pelerynę odbicie.

ROZDZIAŁ 56

Tygodnie mijały, a Richard był nieustannie zajęty.

Pamiętał, że Kahlan i Zedd mówili, iż w Midlandach nie pozostał ani jeden czarodziej z darem. Nic dziwnego: wszyscy byli w Pałacu Proroków, Ponad stu chłopców i młodzieńców. Richard wykrył również, że spora liczba starszych także pochodziła z Midlandów, a kilku nawet i z D'Hary.

Zabicie mriswitha sprawiło, iż Richard stał się znakomitością dla młodszych chłopców. Najbardziej namolni byli dwaj spośród nich, Kipp i Hersh. Wszędzie za nim chodzili i domagali się opowieści o jego przygodach. Czasem wydawało się, że mają dojrzałość i niemal mądrość starców, innym razem natomiast, jak wszyscy chłopcy, głównie psocili. Ofiarą psot padała zwykle któraś z Sióstr. Chłopcy niestrudzenie wymyślali i realizowali coraz to nowe sztuczki. Przede wszystkim korzystali z wody, błota i gadów. Siostry padające ofiarą błazeństw chłopców bardzo rzadko wybuchały gniewem, a i wówczas szybko wybaczały. Psotników czekała jedynie surowa reprimenda, innych kar nie stosowano.

Młodszy chłopcy na początku zaliczyli Richarda do celów swoich błazeństw. Ale chłopak miał swoje sprawy i nie wykazał cierpliwości. Kiedy przekonali się, że ani nie jest bojaźliwy, ani nie ociąga się z wymierzaniem kary, raz-dwa potraktowali kubłami wody inne ofiary.

Kipp i Hersh jeszcze bardziej przywiązali się do Richarda, kiedy okazało się, iż zakreśla pewne granice. Wyglądało na to, że bardzo brakuje im męskiej ręki. Chłopak wynagradzał ich opowieściami o przygodach, a czasem - gdy ich obecność nie przeszkadzała mu w wędrówce - uczył ich poznawać las, czytać ślady i rozpoznawać zwierzęta. Bardzo im zależało, by się nie narazić Richardowi, więc znikali, jeśli tylko dał znak, że chce zostać sam. Często towarzyszyli mu, gdy był z Pashą, bo wtedy i tak nie mógł się zajmować niczym ważnym. Pasha trochę się irytowała, bo nigdy nie była z nim sam na sam, lecz udobruchała ją fakt, że przestała być celem chłopięcych figli. Doceniała fakt, iż już nikt nie oblewał wodą jej pięknych sukni i że nie musiała się bać, że znajdzie w szalu węża.

Chłopak niekiedy wypróbował Kippa i Hersha, zlecając im pomniejsze sprawy. Zamierzał wykorzystać ich uzdolnienia.

Młodzieńcy w obrożach chcieli pokazać Richardowi miasto. Dwaj z nich, Perry i Isaac, jak i on mieszkający w Gillaume Hali, zabrali go do miasta i pokazali tawerny, w których piła większość gwardzistów. Wkrótce potem chłopak kupił zbrojnemu Kevinowi Andellmere obiecane piwo.

Richard przekonał się, że większość chłopców spędza noc poza pałacem w rozmaitych eleganckich zajazdach. Szybko się domyślił dlaczego. Mieli - tak jak i on - mnóstwo pieniędzy i ćwiczyli ich wydawanie. Kupowali sobie bogate stroje, ubierali się jak księżęta i wynajmowali najelegantsze pokoje.

Nie brakowało kobiet, gotowych wraz z nimi korzystać z owych wygód. Zadziwiająco pięknych kobiet.

Kiedy Perry i Isaac zabierali Richarda do miasta, wkrótce otaczały ich ładne dziewczęta. Chłopak jeszcze nigdy nie widział tak bezwstydných kobiet. Tamci dwaj każdego wieczoru wybierali sobie jedną, czasami kilka, i kupowali im podarki - suknię lub jakieś cacko - a potem znikali z nimi w pokojach. Poinformowali Richarda, że jeśli nie chce marnować czasu na kupowanie prezentów, to może iść prosto do jednego z wielu przybytków nierządu. Ale zapewnili go, iż tamtejsze kobiety nie są ani tak młode, ani tak ładne jak te, które zaczepiały ich na ulicach. Przyznali jednak, że sami tam zachodzą, jeśli nie chce im się marnować czasu na oczarowanie którejś z miejskich dziewczyn na jedną noc.

Kiedy okazało się, że Richard również nosi obrożę, kobiety ciągnęły doń jak do Perry'ego i Isaaca. Chłopak zaczął dostrzegać inne znaczenie słów Siostry Verny, według których miał szybko znaleźć nową parę zgrabnych nówek. Tamci dwaj uznali, iż chyba ma źle w głowie, bo odrzucał wszelkie propozycje. Richard zastanawiał się czasem, czy aby nie mają racji.

Zapytał Perry'ego i Isaaca, czy nie boją się, że ojciec takiej panny rozłupie im czaszkę. Roześmiali się i powiedzieli, iż czasem ojcowie sami przyprowadzają im córki. Richard wyrzucił w górę ramiona i spytał, czy się nie boją, iż któraś z tych nieznanomych kobiet zajdzie w ciążę. Wyjaśnili, że jeśli kobieta „wpadnie”, to pałac zapewni byt jej i dziecku, a nawet całej jej rodzinie.

Kiedy chłopak zapytał Paszę, skąd wzięły się takie dziwaczne obyczaje, dziewczyna skrzyżowała ręce na piersiach, odwróciła się doń plecami i wyjaśniła, że mężczyźni mają niepohamowane popędy, które mogłyby przeszkadzać w nauce posługiwania się Han, więc Siostry zachęcają ich do

zaspokajania swoich potrzeb.

To dlatego nie wychodzi z nim nocą do miasta. Nie wolno jej przeszkadzać w zaspokajaniu... potrzeb. Potem, nie odwracając się do niego twarzą, błagała Richarda, by to do niej przychodził ze swoimi potrzebami, a ona już zadba, żeby nie miał chęci odwiedzać innych kobiet. Albo jeżeli koniecznie musi wychodzić do miasta, to by przynajmniej pozwolił jej być jedną z kobiet, z którymi sypia. Mówiła, iż zadowoliliby go lepiej niż tamte, i zaproponowała, że mu to udowodni.

Ta przemowa, nie mówiąc już o obyczaju, wprowadziła Richarda w osłupienie. Wyjaśnił Pashy, że do miasta chodzi wyłącznie po to, by oglądać jego osobliwość. Dorastał w lasach i nigdy przedtem nie miał okazji zwiedzać metropolii. Powiedział jej również, że w jego rodzinnych stronach takie traktowanie kobiet było źle widziane. Obiecał, iż jeśli kiedykolwiek ulegnie podobnym zachciankom, to najpierw przyjdzie do niej. Tak ją to uszczęśliwiło, że nie miała mu za złe, kiedy oznajmił, iż nie jest jeszcze na to gotowy. Nie miała pojęcia, że czasem czuł się tak straszliwie samotny, iż niewiele brakowało, by ją odwiedził. Pasha była bardzo ponętna i niekiedy z trudem zmuszał się, żeby trzymać ją na dystans.

Richard skłonił dziewczynę do pokazania sobie w pałacu tego, co tylko mogła. Oprowadziła go także po mieście i zabrała do doków, by zobaczyć duże łodzie. Wyjaśniła, że są to okręty, które pływają po morzu. Chłopak jeszcze nigdy nie widział takich dużych łodzi... okrętów. Pasha powiedziała mu, iż przywożą one towary z położonych na wybrzeżu miast Starego Świata.

Dziewczyna zabierała go również nad morze i siedzieli godzinami, obserwując fale lub przeszukując zostawione przez odpływ kałuże. Richarda ogromnie zdumiało, że morze samo z siebie faluje. Pasha zapewniała go, iż to nie pałacowa magia i że morze wszędzie faluje tak samo. Ocean zachwycił Richarda, a Pasha była zadowolona, iż siedzą razem na plaży. Chłopak jednak nie mógł zbyt często podziwiać fal. Miał sprawy do załatwienia.

Nowicjuszce nie wolno było wyruszać z nim wieczorami do miasta, na wypadek gdyby chciał sobie wybrać jakąś kobietę. Richard musiał ją nieustannie zapewniać, że nie po to wychodzi nocami. Ponieważ naprawdę nie sypiał z żadną z kobiet, był szczery i nie miał trudności z przekonaniem Pashy, że mówi prawdę. Ale nie powiedział jej nigdy, co właściwie wtedy

robi.

Richard zdecydował, że dopóki pałac będzie go zaopatrywał w pieniądze, pozwoli mu finansować jego własną zgubę. Wydawał pałacowe pieniądze na to, co mu się mogło przydać. Został bywalcem tawern i zajazdów, uczęszczanych przez pałacowych gwardzistów. Nigdy nie pozwalał im płacić za napitki. Zapamiętał ich imiona. Nocami zapisywał imiona nowo poznanych gwardzistów i wszystko, czego się o nich lub o ich kolegach dowiedział. Najwięcej uwagi poświęcał strzegącym Ksieni i innych sektorów pałacu, do których nie miał wstępu. Kiedy był w pałacu, zatrzymywał się przy ich posterunkach i plotkował z nimi o ich życiu, o dziewczynach, żonach, rodzicach, dzieciach, strawie i problemach.

Chłopak kupował Kevinowi drogie czekoladki, za którymi przepadała jego dziewczyna, a na które Kevin nie bardzo mógł sobie pozwolić ze swojego żołdu. Słodczyce te zapewniły Kevinowi względy dziewczyny. Gwardzista zawsze promieniał na widok Richarda, choćby wyglądał na bardzo wymęczonego owymi względami.

Chłopak chętnie pożyczał pieniądze każdemu gwardziście, który o to poprosił, choć wiedział, że nigdy ich z powrotem nie zobaczy. Jeżeli jacyś się tłumaczyli, iż nie mogą ich oddać, to nie chciał ich słuchać i zapewniał, że rozumie i by się o to nie troszczyli, bo to go obraża.

Dwaj najbardziej uparci, którzy strzegli niedostępnego sektora w zachodnim skrzydle pałacu, pozwalali sobie stawiać piwo, ale nie zapałali sympatią do chłopaka. Richard potraktował to jako wyzwanie. W końcu wpadł na pomysł, by wynająć im cztery prostytutki - po dwie na każdego, tak by zdobyć ich względy. Zaciekawili się, dlaczego to robi. Wyjaśnił im, że pałac zaopatruje go w pieniądze, więc nie widzi powodu, by tylko on z nich korzystał. Dodał, iż skoro muszą cały dzień strzec pałacu, to on, Richard, uważa, że ów powinien opłacić panienkę, która umili im wypoczynek. Takiej propozycji się nie oparli. Wkrótce mrugali doń porozumiewawczo, kiedy mijał ich posterunki. Kiedy tylko skusili się na jego oferty, Richard zadbał już, by częściej mieli powody do porozumiewawczych mrugnięć. Tak jak przypuszczał, wkrótce obaj zaczęli się przechwalać swoimi igraszkami. Gdy inni dowiedzieli się, że Richard chętnie opłaca tym dwóm usługi pięknych pań, dali mu odczuć, jakie to niesprawiedliwe wobec innych. Chłopak przyznał słuszność ich wywodom. Szybko przekonał się, że nie ma czasu na

zajmowanie się indywidualnymi życzeniami, i postanowił to rozwiązać inaczej. Znalazł chętną do zrobienia interesu właścicielkę lupanaru. Wynajął cały przybytek, który miał być otwarty tylko dla jego, Richarda, „przyjaciół”. Wykalkulował, że wyniesie to taniej niż cząstkowe opłaty i że w ten sposób zaoszczędzi pałacowe fundusze. Chłopak chciał, by żołnierze zapamiętali, kto im to funduje, więc musieli podawać hasło: „przyjaciel Richarda Cyphera” i dopiero wtedy ich wpuszczano. Innych ograniczeń nie było. Szczodrze podwyższył opłatę, kiedy właścicielka się poskarżyła, iż przychodzi więcej chętnych, niż się spodziewała.

Richard tłumił wyrzuty sumienia co do moralności swojego postępku, tłumacząc sobie, że nie może zmienić upodobań ludzi oraz że być może dzięki temu nie będzie musiał zabijać gwardzistów, kiedy nadejdzie czas. To był dobry argument.

Pewnego dnia Pasha zobaczyła, jak jeden z żołnierzy mruga doń, i spytała, o co chodzi. Richard wyjaśnił jej, że to dlatego, że towarzyszy mu najatrakcyjniejsza z pałacowych kobiet. Pasha promieniała przez całą godzinę.

Richard przyzwyczał gwardzistów do tego, że chodzi w czarnej pelerynie mriswitha. Uszczęśliwiał Pashę, przywdziewając często jej najulubieńszy czerwony surdut. Niekiedy zakładał inny: niebieski, ciemnoniebieski, brązowy lub zielony. Dziewczyna najchętniej zabierała go do miasta, lecz towarzyszyła mu i w wyprawach w jego okolice, chcąc brać udział w sprawach Richarda.

Chłopak dowiedział się, iż gwardziści byli oddelegowanymi do pałacu żołnierzami Armii Imperialnego Ładu. Imperialny Ład władał całym Starym Światem, lecz chyba zawarł z Pałacem Proroków układ o niewtrącaniu się w tegoż wewnętrzne sprawy. Żołnierze Ładu nigdy nie zatrzymali żadnej Siostry ani nikogo w Rada’Han.

Zbrojni stacjonowali w pałacu, żeby pilnować ludzi, którzy przychodzili na wyspę Halsband. Każdego dnia mostami przepływały do pałacu rzeki odwiedzających. Do Sióstr kierowano najrozmaitsze prośby. Jedni ubiegali się o wsparcie, inni o rozstrzygnięcie sporów, jeszcze inni - o oświecenie mądrością Stwórcy. Część przychodziła po to, by się pomodlić na rozrzuconych na wyspie dziedzińcach. Miejsce, w którym żyły Siostry Światła, było dla nich święte.

Richard usłyszał, że Tanimura, choć tak rozległa, jest zaledwie wysuniętą placówką Starego Świata, położoną na skraju imperium. Imperator Imperialnego Ładu najwyraźniej zawarł z pałacem układ, że wprowadzi tu swoich żołnierzy, ale nie swoje prawa. Chłopak podejrzewał, iż zbrojni byli oczami imperatora na owym obszarze cesarstwa, gdzie on nie władał. Zastanawiał się, jakie korzyści czerpie imperator z tej umowy.

Chłopak dowiedział się również, że w jednym z zakazanych sektorów pałacu mieszkał „specjalny gość” Sióstr, który nigdy nie opuszczał swoich komnat. Lecz nie zdołał się dowiedzieć niczego więcej.

Chłopak zaczął wypróbowywać lojalność gwardzistów; były to niewinne prośby. Raz powiedział Kevinowi, że chciałby dla Pashy różę, która rośnie tylko w ogrodzie Ksieni. Potem przeprowadził przed gwardzistą Paszę przystrojoną ową różą. Kevin uśmiechnął się dumny.

Jeżeli szło o inne zakazane sektory, to Richard też używał kwiatu jako wymówki lub mówił, iż chciałby zobaczyć morze ze szczytu tego właśnie muru. Nie zniknął gwardzistom z oczu, by stępić ich czujność. Wkrótce wszyscy żołnierze przyzwyczaili się do jego wypadów. Po pewnym czasie prawie swobodnie chodził sobie, gdzie chciał. Był ich przyjacielem - zaufanym i cennym przyjacielem.

Ponieważ miał wiele kwiatów z zakazanych sektorów, więc je wykorzystywał - wręczał je Siostrze, które z nim pracowały. Dziwiły się, dlaczego wręcza im kwiaty z zakazanych sektorów. Wyjaśnił, że uczące go Siostry są dlań kimś specjalnym, zatem daje im te szczególne, przebiegłością zdobyte kwiaty, a nie jakieś zwyczajne. Owo wyjaśnienie nie tylko wywoływało rumieńce na twarzach kobiet, ale i usypiało ewentualne podejrzenia o cel wędrówek do takich zakazanych miejsc.

Choć w pałacu było niemal dwieście Sióstr, to jedynie sześć pracowało z Richardem.

Siostry Tovi i Cecilia były starszymi paniami, w typie kochających babć. Tovi zawsze przynosiła na lekcje ciasteczka lub inne przysmaki. Cecilia, zanim odeszła, odgarniała mu włosy z czoła i całowała w nie. Obie się przeraźliwie czerwieniły, kiedy czasami wręczał im kwiaty. Richard jakoś nie potrafił myśleć o żadnej z nich jako o potencjalnym wrogu.

Kiedy Siostra Merissa po raz pierwszy stanęła w drzwiach, Richardowi aż zaparło dech. Bełkotał jak głupiec, oczarowany jej ciemnymi włosami i

tym, co wypełniało czerwoną suknię. Tak samo działała na chłopaka Siostra Nicei, ubierająca się wyłącznie w czern. Kiedy błękitne oczy tej ostatniej więziły jego oczy, chłopak zapominał wręcz, jak się oddycha. Siostry Merissa i Nicei były starsze od Pashy - w wieku Richarda, a może parę lat starsze. Ich ruchy emanowały pewnością siebie i leniwą gracją. Choć Merissa była ciemnowłosa, a Nicei blond, to wydawały się stworzone z tej samej drogocennej materii. Z każdej emanowała moc jej Han i obie niemal jaśniały. Richardowi zdawało się czasami, że słyszy, jak iskrzy się powietrze okalające te kobiety. Żadna nie chodziła. One sunęły, płynęły jak łabędzie, chłodne i spokojne. Lecz chłopak był przekonany, że ich łagodne spojrzenia mogłyby stopić żelazo. Żadna nie uśmiechała się szeroko. Obdarzały przelotnymi, bladymi uśmieszkami. I zawsze patrzyły przy tym w oczy. Richard czuł wtedy, jak jego serce przyspiesza rytm.

Pewnego razu ofiarował Siostrze Nicei jeden z owych rzadkich kwiatów, zerwany w zakazanym sektorze. Zupełnie wyleciało mu z głowy wyjaśnienie, skąd ma tę roślinę i dlaczego ją jej daje. Siostra Nicei ostrożnie wzięła w palce białą różę, jakby się bała pobrudzić sobie dłoń, spojrzała chłopakowi w oczy i obdarzyła go owym bladym, przelotnym uśmieszkiem, mówiąc przy tym obojętnym tonem:

- Dziękuję, Richardzie.

Richardowi przypomniały się opowieści Pashy o chłopcach przynoszących Siostrze zaby. Już nigdy nie ofiarował kwiatu ani Nicei, ani Merissie. Dla nich były wyłącznie bezcenne klejnoty.

Podczas lekcji żadna z nich nigdy nie siadła na podłodze. Prawdę mówiąc, sama myśl o siedzącej na podłodze Nieci lub Merissie wydawała się Richardowi absurdalna. Starsze Siostry, Tovi i Cecilia, siadały w ten sposób, Pasha również, i było to zupełnie naturalne. Siostry Merissa oraz Nicei siedziały w fotelu, trzymając dłonie chłopaka ponad małym stolikiem. Z jakiegoś powodu miało to erotyczny posmak. Richard aż się pocił.

Obie Siostry były oszczędne w słowach, a ich zachowanie miało arystokratyczny rys. Nie powiedziały mu tego wyraźnie, lecz mimo to chłopak był pewny, że obie mogłyby z nim spędzić noc. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, chociaż nigdy nie padło na ten temat ani jedno konkretne słowo. Ulotne aluzje pozwalały mu udawać, że nie rozumie intencji Sióstr, a żadna nigdy nie zechciała uściślić tego, co powiedziała.

Richard modlił się, by nie złożyły mu wyraźnej propozycji, wiedział bowiem, że wówczas powiedziałby „tak”, chyba żeby odgryzł sobie język. Obie przypominały mu słowa Pashy o niepohamowanych żądach mężczyzn. Chłopak jeszcze nigdy nie przebywał w towarzystwie kogoś, przy kim by się tak jąkał, nieporadnie szukał słów, i najczęściej wychodził na idiotę jak przy tych dwóch Siostrach. Merissa i Nicei były ucieleśnieniem czystej, niczym nie zmaczonej zmysłowości.

Kiedy Pasha się dowiedziała, że Merissa oraz Nicei będą nauczycielkami Richarda, wzruszyła ramionami i powiedziała, że to bardzo uzdolnione Siostry i że jest przekonana, iż na pewno pomogą mu dotrzeć do jego Han. Ale na policzki dziewczyny wystąpiły czerwone plamy.

Zaś Perry'ego i Isaaca niemal poraziła apopleksja, kiedy dowiedzieli się o obu kobietach. Oznajmili, że za jedną noc spędzoną z którąś z owych Sióstr chętnie oddaliby - i to na zawsze - wszystkie kobiety z miasta. Powiedzieli, iż jeżeli Richardowi nadarzy się okazja, to ma z niej skorzystać i potem wszystko szczegółowo im opisać. Chłopak zapewniał młodzieńców, że kobiety w ich typie nigdy nie zainteresują się leśnym przewodnikiem.

Nie ośmielił się powiedzieć głośno, że taka propozycja już padła.

Piąta Siostra, Armina, była dojrzałą i dość miłą kobietą, lecz za to wielką służbistką. Oznajmiła Richardowi - gdy i przy jej pomocy nie mógł dotrzeć do swojej Han - by się nie czuł zawiedziony, bo to przyjdzie z czasem, i że powinien się bardziej przykładać do owych prób. Z czasem polubiła chłopaka i częściej się uśmiechała. Rzadkie kwiaty zadziwiły ją i pochlebily jej. Rumieniła się, otrzymując taki prezent, i te rumieńce przyprawiały ją o pąsy. Richard lubił jej prostoliniowość.

Ostatnia Siostra, Liliana, była ulubienicą Richarda. Miała rozbrajający uśmiech, a otwarta, przyjacielska natura czyniła ją pociągającą, choć była nieładna i koścista. Traktowała chłopaka jak powiernika. Richard czuł się przy niej swobodnie i czasem spędzał z nią więcej czasu, niż powinien, gadając do późnej nocy, ponieważ lubił jej towarzystwo. Choć wśród swoich strażniczek nie miał przyjaciółek, to Liliana była mu z nich najbliższa.

Kiedy Richard wręczył Lilianie ów specjalny kwiat, zacieszała palcami za ucho kasztanowate włosy i pochyliła się ku chłopakowi. Chciała wiedzieć, jak ominął gwardzistów. W jej oczach tańczyły figlarne iskierki. Zachichotała, gdy opowiedział dziewczynie zmyśloną historyjkę o tym, jak to prześliznął

się za ich plecami. Każdą różę zatykała dumnie w dziurkę guzika i nosiła ją, aż zwiędła lub dopóki nie dostała nowej.

Jej przyjacielskie dotknięcia były czymś zupełnie naturalnym. Richard również kładł jej dłoń na ramieniu, kiedy opowiadał zabawne historyjki z okresu, gdy był leśnym przewodnikiem. Razem pękali ze śmiechu, trzymając się za boki i ocierając łzy.

Siostra Liliana opowiadała mu, że wyrosła na farmie i kocha wieś. Parę razy Richard zaprosił ją na piknik na wzgórzach. Na wsi, w plenerze, czuła się swobodnie i szczęśliwie. Nie dbała o to, że zabrudzi suknię. Richard nie potrafił sobie wyobrazić Siostry Merissy czy Nicei, stawiających stopę w pyle drogi, lecz Siostra Liliana chętnie rozsiadała się wraz z nim na ziemi.

Nigdy nie proponowała mu wspólnej nocy. Już to go uspokajało. Nigdy też nie wysuwała żadnych roszczeń - cieszyła się wspólnie spędzonym czasem. Kiedy po sesji Richard otwierał oczy i przyznawał, iż nie wyczuł Han, Liliana ścisnęła dłonie chłopaka, tłumacząc, że wszystko w porządku, po czym obiecywała, iż następnym razem postara się bardziej mu pomóc.

Richard stwierdził, że mówi tej kobiecie rzeczy, które tał przed innymi. Pewnego razu zwierzył się jej, jak bardzo chciałby się pozbyć Rada'Han, a Liliana położyła mu dłoń na ramieniu, puściła doń oko i zapewniła, że postara się spełnić jego życzenie i że sama się tym zajmie, gdy nadejdzie czas. Powiedziała, iż rozumie jego uczucia i poradziła, by nie tracił ducha. Obiecała, że jeśli nadejdzie taki dzień, w którym Richard nie będzie już mógł znieść Rada'Han, to ona pomoże mu usunąć obrożę. Chciała jednak, żeby wiedział, iż ona mu ufa i chce, aby dołożył wszelkich starań i nauczył się kontrolować swoją Han, zanim ona, Liliana, rozważy spełnienie obietnicy. Mówiła, iż inni młodzieńcy usiłują zapomnieć o obroży, sypiając z każdą, która jest chętna. Rozumiała takie potrzeby, ale miała nadzieję, że jeśli Richard zechce się przespać z kobietą, uczyni to nie dlatego, by zapomnieć o Rada'Han, lecz dlatego, iż owa kobieta mu się podoba. Ostrzegała, by nie chodził do prostytutek, bo są brudne i mógłby się czymś zarazić.

Richard zwierzył się Siostrze Lilianie, że kogoś kocha i nie chce być niewierny. Uśmiechnęła się szeroko i klepnęła go w plecy, zapewniając, iż jest zeń dumna. Chłopak nie powiedział, że Kahlan go odesłała, miał jednak ochotę to zrobić. Wiedział, iż jeżeli cierpienie zbyt się nasili, to opowie o tym Lilianie, a ona go wysłucha i zrozumie.

Tak się dobrze czuł w jej towarzystwie, że uważał, iż jeśli ktoś pomoże mu odnaleźć Han, to z pewnością ona. Żywił nadzieję, że to będzie ona. Richard miał jedynie brata i nie wiedział, jak by to było mieć siostrę. Wyobrażał sobie jednak, iż jego siostra przypominałaby Lilianę. „Siostra Liliana” miało dlań inne znaczenie niż dla pozostałych. Była jego bratnią duszą.

Mimo to nie potrafił się przed nią całkowicie otworzyć. Siostry byty jego strażniczkami, a nie przyjaciółkami. Na razie były wrogami. Czuł jednak, że kiedy nadejdzie czas, Liliana stanie po jego, Richarda, stronie.

Lekcje z Siostrami zabierały chłopakowi blisko dwie godziny dziennie. Stracone dwie godziny. Był równie daleki od dotknięcia swojej Han jak wtedy, gdy Siostra Verna nakłaniała go do prób.

Kiedy Richard mógł być sam, badał otoczenie pałacu i sprawdzał, jak długi jest jego niewidzialny łańcuch. Osiągając najdalszy punkt, do którego obroza pozwalała mu dojść, miał wrażenie, jakby się próbował przedostać przez dziesięciostopową warstwę błota nałożoną na twardą skałę. To było ogromnie frustrujące - widzieć to, co znajdowało się dalej, i nie móc tam dotrzeć.

Ów punkt leżał zawsze w tej samej odległości od pałacu, bez względu na kierunek, który Richard wybierał. Była to całkiem spora odległość, a mimo to - po wytyczeniu granic - jego nowy świat zaczął się wydawać chłopakowi bardzo mały.

Tego dnia, gdy znalazł granicę, zasięg swojego więzienia, Richard poszedł do lasów Hagen i zabił mriswitha.

Gratch był jedyną pociechą chłopaka. Richard spędzał z chimerą większość nocy. Siłował się z futrzastym przyjacielem, jadł z nim i spał przy nim. Polował, żeby zdobyć dla Gratcha pożywienie, ale chimera uczyła się już tego sama. Bardzo to ucieszyło Richarda, bo nie mógł spędzać z małym każdej nocy. Jednak Gratch, głodny czy syty, był zawsze rozeźlony, kiedy chłopak się nie pokazał.

Richard martwił się, że Pasha odkryje, dokąd chadza; że wykryje to za pomocą obrozy, lecz zupełnie przypadkowo odkrył kolejną właściwość peleryny mriswitha: kryła go przed nowicjuską. Kiedy otulał się peleryną, dziewczyna nie potrafiła odszukać go poprzez Rada'Han, poprzez jego Han. Dziwiło ją, że nie może wyczuć, gdzie jest Richard, ale nie przejmowała się

tym zbyttnio, uważając, iż pewnego dnia z pewnością odkryje, dlaczego tak się dzieje. Podejrzewała, że to jakieś niedociągnięcie z jej strony. Chłopak nigdy jej tego nie wyjaśnił.

Zrozumiał, iż to dlatego nikt z darem nie wiedział o zbliżaniu się mriswitha. Zastanawiał się, jak to się stało, że zobaczył bestię swoim wewnętrznym wzrokiem. Może Siostra Verna miała rację, mówiąc, że posługuje się swoją Han, nawet nie wiedząc, że to czyni. Jednak Siostry i czarodzieje potrafili korzystać z własnej Han, a mimo to nie mogli wykryć mriswitha.

Richard czuł się o wiele spokojniej i swobodniej, kiedy mógł pójść, dokąd chciał, wiedząc przy tym, że Pasha go nie wyczuje. Nie musiał wymyślać usprawiedliwień. Martwił się tylko, że jeśli dziewczyna odkryje powód owych zniknięć, to zniszczy pelerynę, więc drugą na wszelki wypadek ukrył.

Gratch był większy przy każdym ich spotkaniu. W końcu pierwszego spędzonego w pałacu miesiąca o głowę przewyższał Richarda i był odeń silniejszy. Nauczył się uważać, by w zapasach nie skrzywdzić przyjaciela.

Chłopak poświęcał też trochę czasu Warrenowi, przyzwyczajając go do wychodzenia poza budowlę. Najpierw zabierał Kreta nocą na dziedzińce. Warren powiedział wcześniej, iż przeraża go niebo i krajobraz, zatem Richard uznał, że na początek najlepsza będzie noc, podczas której niewiele widać.

Warren mówił, że Siostry tak długo trzymały go w podziemiach, aż przyzwyczał się do życia w zamknięciu, ale że już mu się to znudziło. Richard bardzo mu współczuł i chciał pomóc chłopakowi. Naprawdę lubił Warrena. Był jednym z najbystrzejszych ludzi, jakich Richard znał. Wydawało się, że nie ma takiej rzeczy, o której Kret nie wiedziałby choć odrobinę.

Poza bezpieczną skorupą pałacu Warren stawał się nerwowy i wystraszony, lecz obecność Richarda i to, że chłopak nigdy nie wyśmiewał jego obaw, dodawały mu otuchy. Richard był zawsze bardzo rozważny i nigdy nie wyciągał Warrena poza granicę, do której Kret czuł się swobodnie. Tłumaczył mu, że to tak, jak powrót do zdrowia po długim leżeniu w łóżku - trzeba rozruszać mięśnie.

Przez kilka tygodni wychodzili jedynie nocami, a potem Richard zaczął zabierać Warrena na spacer w świetle dnia. Najpierw tylko na mury, żeby

popatrzył na bezmiar nieba i oceanu. Warren zawsze zostawał w pobliżu schodów wiodących w głąb pałacu. Dobrze robiła mu świadomość, że ma w pobliżu drogę ucieczki, jeśli zechce wrócić pod dach. Kilka razy istotnie tak zrobił, a Richard za każdym razem wrócił wraz z nim i zabawiał go rozmową na inne tematy, by chłopak zapomniał o nieprzyjemnych odczuciach. Skłonił też Warrena do zabrania ze sobą książki i czytania jej na powietrzu. Kretowi bardzo pomagało zapominanie o bezkresie nieba.

Pewnego pięknego, słonecznego dnia, kiedy Warren przyzwyczał się już do pobytów poza pałacem, Richard uznał, iż czas spróbować

wyprawy na wzgórze. Początkowo Kretowi trochę się kręciło w głowie, ale potem, kiedy już siedzieli wysoko na skałce i patrzyli na miasto oraz jego okolice, oznajmił, iż ma poczucie, że opanował strach. Że wciąż się czuje trochę nieswojo, lecz panuje nad lękiem.

Uśmiechał się szeroko, wpatrzony w roztaczającą się przed nim panoramę, i cieszył widokami, których strach tak długo go pozbawiał. Richard powiedział, że ogromnie się cieszy, iż to właśnie jemu przypadło zadanie wywabienia Kreta z norki. Warren się roześmiał.

Powiedział chłopakowi, iż tęsknił za przygodą i że to wygląda na jej początek.

Warren wytrwale poszukiwał potrzebnych Richardowi informacji, jednak nie zdołał znaleźć zbyt wiele. W starych księgach odszukał nieliczne zapiski o Dolinie Zaginionych i o Baka Ban Mana; zapiski nieliczne, lecz intrygujące. Była tam mowa o mocy, jaką czarodzieje dali Baka Ban Mana w zamian za ich ziemie, żeby ci pewnego dnia mogli odzyskać swój kraj. Że baszty upadną, kiedy brakujące ogniwo spoi się z mocą tkwiącą w ich duchowej przewodniczce.

Richard pomyślał o Du Chaillu, twierdzącej, że on jest *Caharin* i że są teraz mężem i żoną. To było powiązanie losów. Zastanawiał się, czy w miarę upływu czasu nie zaczęto pojmować owego zespolenia jako małżeństwa, zapominając o pierwotnym znaczeniu.

Kiedy tak siedzieli, podziwiając krajobraz, Warren nagle powiedział:

- Ksieni czytała proroctwa i opowieści o „kamyku w stawie”.

Richard nadstawił ucha. Pamiętał, że Kahlan śpiewała mu piosenkę o *screelingach*, w której również była mowa o „kamyku w stawie”. Warren jeszcze nie studiował tych przepowiedni i nie potrafił ocenić ich doniosłości.

- Czy wiesz, jak brzmi drugie prawo magii? - spytał Richard.

- Drugie prawo? To czarodzieje kierują się jakimiś prawami? A jak brzmi pierwsze?

- Pamiętasz ten wieczór, kiedy Jedidah złamał nogę, a ja powiedziałem ci, że masz na ubraniu popiół z dywanu? Przypominasz sobie, jak się starałeś otrzepać? Zastosowałem pierwsze prawo magii. - Warren zmarszczył brwi. - Przemyśl to, Warrenie, i powiedz mi, do jakich wniosków doszedłeś. A w tym czasie przyspiesz poszukiwania potrzebnych mi informacji. To bardzo ważne.

- Teraz będzie łatwiej, bo Siostra Becky co rano źle się czuje i nie będzie mi zaglądać przez ramię. Jest w ciąży - wyjaśnił, widząc pytającą minę Richarda.

- Dużo Sióstr ma dzieci?

- Jasne - odrzekł Warren. - Pełno jest przecież młodych czarodziejów, którym nie wolno już wychodzić do miasta. Siostry pomagają im zaspokoić potrzeby, żeby mogli spokojnie studiować.

- Czy Siostra Becky nosi twoje dziecko? - Richard obrzucił Warrena podejrzliwym spojrzeniem.

Zapytany spurpurowiał.

- Nie - odparł, wpatrzony w miasto. - Czekam na tę, którą kocham.

- Na Pashę - powiedział Richard.

Warren przytaknął. Richard spojrział na Pałac Proroków i otaczające go miasto. Potrzeby.

- Czy wszystkie dzieci mężczyzn z darem dziedziczą go po ojcach, Warrenie?

- O nie. Mówi się, że wiele tysięcy lat temu, zanim rozdzielono Stary i Nowy Świat, liczni ludzie mieli dar. Lecz ci u władzy zabijali młodych z darem, by nie stanowili zagrożenia dla ich potęgi. Odmawiali również uczenia ich. Ojcowie nauczali swoich synów, ale ci z darem rodzili się coraz rzadziej i przeskakiwał on coraz więcej pokoleń, więc ci, którzy znali sposoby, zazdrośnie strzegli swojej wiedzy. To dlatego powstał Pałac Proroków - aby pomagać obdarzonym, którzy nie mają nauczyciela. Czas mijał i dar zanikał wśród ludzi, tak jak odpowiednimi krzyżówkami wykorzenia się jakąś cechę zwierząt. Toteż dzierżący władzę czarodzieje mieli coraz mniej i mniej konkurentów. Teraz rzadko kiedy rodzi się ktoś z

magiczną mocą. Może jedno dziecko na tysiąc poczętych przez czarodziejów. Jesteśmy wymierającym szczepem.

Richard ponownie spojrzął na miasto i na pałac. Nie odrywając oczu od pałacu, podniósł się powoli.

- One wcale nie zaspokajają naszych potrzeb - wyszeptał. - Traktują nas jak rozplodowych samców.

Warren też wstał, zmarszczył brwi.

- Co takiego?

- Wykorzystują pałac i zamkniętych w nim młodych mężczyzn, żeby hodować czarodziejów.

- Po co? - Zmarszczki na czole Warrena pogłębiły się. Richard na chwilę zacisnął zęby.

- Nie wiem, lecz zmierzam się dowiedzieć.

- Wspaniale - rozpromienił się Warren. - Tęsknię za przygodą.

- A czy wiesz, czym jest przygoda, Warrenie? - Richard spojrzął nań chłodno.

Warren potaknął; nadal się uśmiechał.

- Ekscytującym przeżyciem.

- Przygoda to śmiertelny strach i brak pewności, czy przeżyjesz, czy nie. Czy ci, których kochasz, zginą albo ocaleją. Przygoda oznacza tarapaty i brak pewności, czy się z nich wydobędziesz.

Warren miętosił obszywkę rękawa.

- Nigdy tak o tym nie myślałem.

- No to pomyśl - poradził mu Richard - bo właśnie zamierzam zacząć przygodę.

- Co chcesz zrobić?

- Im mniej wiesz, tym mniej masz powodów do zmartwień. Po prostu odszukaj potrzebne mi wiadomości. Jeżeli zasłona została przerwana, to czeka nas Wszystkich nie kończąca się przygoda.

- Cóż - powiedział Warren z błyskiem w oku - dowiedziałem się choć jednej rzeczy, która może ci być pomocna.

- Kamień Lez?

Warren przytaknął z szerokim uśmiechem.

- Wyczytałem, iż absolutnie nie mogłeś go widzieć. Jest zamknięty za zasłoną. W pewnym sensie stanowi jej część.

- Na pewno? Jesteś pewny, że nie mogłem go zobaczyć?

- Całkowicie. Kamień Łez to pieczęć, która zamyka Bezimiennego w jego więzieniu zmarłych, w zaświatach. Może panować nad duszami zmarłych, lecz nie może się przedostać do naszego świata. Kamień Łez broni mu dostępu.

- Znakomicie - Richard odetchnął z ulgą. - Wspaniale, Warrenie. Dobra robota. - Ostrożnie złapał w garść szatę Warrena i przyciągnął go bliżej. - Jesteś pewny? Nie ma sposobu, by Kamień Łez znalazł się na tym świecie?

Warren z przekonaniem zaprzeczył.

- Żadnego sposobu. To niemożliwe. Kamień Łez mógłby się znaleźć w naszym świecie tylko wtedy, gdyby się przedostał przez bramę.

- Bramę? Jaką bramę? - Richard poczuł dreszcze.

- „Brama” to dokładnie to, co znaczy owo słowo. Przejście. W tym wypadku przejście pomiędzy światem żywych a światem zmarłych. Przejście utworzone dzięki magii, magii obu światów. Bramę mogą otworzyć jedynie obie magie, addytywna i subtraktywna. Skoro Bezimienny jest w zaświatach, ma jedynie subtraktywna, nie może więc otworzyć bramy. Nikt z naszego świata też nie może jej otworzyć, ponieważ dysponujemy wyłącznie magią addytywna.

Richard dostał gęsiej skórki.

- Ale ten z naszego świata, który miałby obie formy magii, mógłby otworzyć bramę?

- Pewnie - wyjąkał Warren. - Jeśli mieliby bramę. Ale zgubiono ją ponad trzy tysiące lat temu, Zniknęła. - Obdarzył Richarda uspokajającym uśmiechem. - Jesteśmy bezpieczni.

Richard jednak się nie uśmiechał. Złapał oburącz Warrena za szatę i przyciągnął bliżej.

- Powiedz, Warrenie, że bramy nie nazywa się magią Ordenu. Że brama to nie trzy szkatuły Ordenu.

Oczy Warrena stopniowo robiły się coraz większe.

- Gdzie usłyszałeś tę nazwę? - wyszeptał z niepokojem. - W pałacu jedynie Ksieni, dwie z Sióstr i ja możemy czytać księgi, w których branie nadaje się jej starożytne miano. Richard zgrzytnął zębami.

- Co się dzieje, jeśli otworzy się jedną ze szkatuł?

- Nie można ich otworzyć - upierał się Warren. - Nie można. Przecież ci

mówiłem, iż do otwarcia szkatuły potrzeba obu magii, addytywnej i subtraktywnej.

- Co się dzieje!?! - Richard potrząsnął Warrenem. Kret przełknął ślinę, oczy miał wciąż szeroko otwarte.

- Wtedy otwiera się brama pomiędzy światami. Zasłona jest rozerwana. Pieczęć nie więzi Bezimiennego.

- I Kamień Łez znalazłby się na naszym świecie? - Warren potaknął, a Richard mocniej zacisnął w dłoniach jego szatę. - A gdyby się zamknęło szkatułę? Czy zamknęłoby to bramę? Zapieczetowało rozdarcie?

- Nie. A raczej tak, ale tylko wtedy, gdyby zrobił to ktoś z darem. Wyłącznie magia może zamknąć bramę. Lecz jeżeli ktoś z darem zamyka szkatułę, bramę, to zakłóca równowagę, bo ma jedynie magię addytywną, no i Bezimienny ucieka z zaświatów. A właściwie to nasz świat zostałby wchłonięty przez świat zmarłych.

- Więc jak trzeba zamknąć szkatułę, żeby oba światy pozostały rozdzielone!?

- Tak samo, jak się otworzyło bramę. Magią addytywną i subtraktywną.

- A co z Kamieniem Łez?

- Nie wiem. Musiałbym poszukać w księgach.

- To lepiej pospiesz się z tym szukaniem.

- Tylko mi nie mów, błagam - jęknął Warren - że wiesz, gdzie są szkatuły. Nie odnalazłeś ich, prawda?

- Odnalazłem? Kiedy ostatni raz widziałem szkatuły, to jedna była otwarta i wsysała tego drania, mojego ojca, w zaświaty.

Warren zemdlął.

ROZDZIAŁ 57

W słabnących promieniach chylącego się ku zachodowi słońca stara kobieta posypywała popiołem szerokie oblodzone schody. Kahlan minęła ją, zadowolona, że staruszka nie podniosła głowy i nie rozpoznała Matki Spowiedniczki w osobie w grubym odzieniu, białej futrzanej pelerynie i niosącej plecak oraz łuk. Dziewczyna nie miała najmniejszej ochoty na żadne uroczystości. Była wyczerpana. Zanim wróciła do pałacu, wspięła się aż do Wieży Czarodzieja, lecz ta była zimna jak kamień i mroczna niczym śmierć. Osłony znajdowały się na miejscu. Spowiedniczka mogłaby tam wejść, ale w środku nie było nikogo.

Zedda tam nie było.

Wieża była taka, jaką Kahlan widziała ją wiele miesięcy temu, gdy wyruszała na poszukiwania zaginionego wielkiego czarodzieja. Odnalazła go i pomogła powstrzymać zagrożenie ze strony Rahla Posępnego, lecz teraz znów go potrzebowała.

Przed miesiącem opuściła galejskie wojsko i z wysiłkiem dążyła do Aydindril, do Zedda. Burze szalały całymi dniami. Zła pogoda i śniegi uniemożliwiały przebycie przełęczy, co zmuszało wędrowców do zawracania i szukania innych dróg. Była to wyczerpująca fizycznie i psychicznie podróż, jednak najgorsze było to, iż Zedda nie było w Aydindril.

Kahlan szła bocznymi ulicami, omijając Kings Row. W pałacach przy Kings Row mieszkali dygnitarze wraz ze swoim personelem i gwardzistami; dostojnicy z krain mających własnych reprezentantów w Aydindril. Królowe, królowie i władcy owych krain zatrzymywali się w ich pałacach, kiedy przybywali, żeby stanąć przed radą. Każda z krain szczyliła się swoim pałacem - wszystkie były wspaniałe, lecz żaden nie dorównywał Pałacowi Spowiedniczek.

Kahlan ominęła Kings Row, bo mogliby ją tam rozpoznać, a nie chciała się jeszcze ujawniać. Pragnęła jedynie odnaleźć Zedda, a skoro nic z tego nie wyszło, zamierzała stanąć przed radą. Toteż dziewczyna kierowała się ku bocznemu wejściu, w pobliże kuchni.

Chandalen został w lesie. Nie chciał wejść do Aydindril; wielkość miasta i tłumy ludzi napawały go lękiem, choć temu zaprzeczał i twierdził, że lepiej

się wyśpi w lesie. Kahlan nie miała mu tego za złe. I ona, po tak długim pobycie w górach, niechętnie szła do miasta, choć tu się wychowała i znała te ulice oraz majestatyczne budowle równie dobrze, jak Chandalen równiny wokół wioski Błotnych Ludzi. Jeszcze nigdy nie czuła się tak osaczona wśród tłumów.

Chandalen chciał wrócić do domu, do swojego ludu - przecież bezpiecznie doprowadził Kahlan do Aydindril. Rozumiała go, lecz poprosiła, by odpoczął przez tę noc i by pożegnali się rankiem. Nakazała Orskowi, żeby został przy łowcy. Męczyła ją jego obecność: bezustannie wpatrzone w nią oko, natrętne pomaganie we wszystkim, stała gotowość do spełniania wszelkich życzeń. Miała uczucie, iż jakiś psiak nieustannie płacze się jej pod nogami. Chciała od tego odpocząć. Wydawało się, iż Chandalen to rozumie. Kahlan nie miała pojęcia, co zrobić z Orskiem.

Dziewczyna weszła kuchennymi drzwiami i uderzył w nią podmuch gorącego powietrza. Chuda kobieta w olśniewająco białym fartuchu usłyszała stuk drzwi i okręciła się ku nowo przybyłej.

- Co ty tu robisz!?! Wynoś się, żebraczko!

Zamierzyła się groźnie drewnianą łyżką, więc Kahlan odrzuciła kaptur. Kobietę zatkało. Kahlan się uśmiechnęła.

- Jak to miło znów panią zobaczyć, pani Sanderholt.

- Matka Spowiedniczka! - Kobieta padła na kolana, złożyła dłonie. - Wybacz mi, Matko Spowiedniczko! Nie poznałam cię. To naprawdę ty, chwala dobrym duchom!

Kahlan podniosła zylastą kobietę z kłęczek.

- Tęskniłam za panią, pani Sanderholt. - Wyciągnęła ku niej ramiona. - Nie uściskamy się?

Pani Sanderholt padła dziewczynie w objęcia.

- Jak to wspaniale znów cię widzieć, dziecinko! - Odsunęła się, łzy spływały jej po twarzy. - Nie wiedzieliśmy, co się z tobą stało. Tak się martwiliśmy. Bałam się, że nigdy cię już nie zobaczę.

- To były długie i trudne czasy. Nawet pani nie wie, jak się cieszę, że znów panią zobaczyłam.

Pani Sanderholt zaczęła ciągnąć Kahlan w stronę bocznego stołu.

- Siadaj. Przyda ci się miska zupy. Akurat mam trochę, jeśli te ptasie mózdzki, których robotę z trudem można nazwać gotowaniem, nie zepsuły

smaku nadmiarem pieprzu.

Tłumek kucharzy i podkuchennych dosłyszał te słowa; nie unieśli głów, całą uwagę poświęcając wykonywanej pracy. Energiczniej zastukały łyżki i warząchwie. Mężczyźni złapali worki i zniknęli. Dokładniej szorowano garnki. Masło skwierczało w rozgrzanych rynkach. Nagle okazało się, że trzeba rzucić okiem na piekący się chleb i mięsiwo na rożnach.

- Teraz nie mam czasu, pani Sanderholt.

- Ależ tyle muszę ci powiedzieć. To ważne sprawy.

- Wiem. I ja mam ci dużo dopowiedzenia. Teraz jednak muszę się zobaczyć z radą. To sprawa nie cierpiąca zwłoki. Długo podróżowałam i jestem wyczerpana, lecz muszę się zobaczyć z radą, zanim będę mogła wypocząć. Porozmawiamy jutro.

Pani Sanderholt nie odmówiła sobie kolejnych uścisków.

- Oczywiście, dziecinko. Wypocznij dobrze. Jutro porozmawiamy.

Kahlan wybrała najkrótszą drogę, poprzez olbrzymi hol wykorzystywany podczas ważnych ceremonii i uroczystości. Szła po posadzce z zielonego łupku, otoczona własnymi cieniami rzucanymi przez ognie płonące we wspaniałych kominkach, rozmieszczonych wokół komnaty wśród smukłych kolumn. Teraz hol był pusty i kroki dziewczyny odbijały się echem pod wysokim, żebrowanym sklepieniem. To na tej posadzce ojciec rozstawiał tysiące orzechów i żołądzi, ucząc ją bitewnej taktyki.

Dziewczyna skręciła w głąb holu, w stronę korytarza wiodącego ku pokojom rady. W pasażu Spowiedniczek grupy czterech kolumn z błyszczącego czarnego marmuru podtrzymywały polichromowane sklepienia. Na końcu pasażu, tuż przed pokojami rady, znajdował się okrągły, wysoki na dwa piętra panteon poświęcony pamięci bohaterek: Matek Spowiedniczek - założycielek. Ich portrety, dwukrotnie powiększone, umieszczono pomiędzy siedmioma potężnymi kolumnami, sięgającymi aż do świetlika w sklepieniu. Wśród tych surowych twarzy Kahlan zawsze czuła się jak uzurpatorka. Miała wrażenie, że pytają:

- A kimże ty jesteś, Kahlan Amnell, że rościsz sobie prawo do bycia Matką Spowiedniczką?

Dobrze znała dzieje postaci z fresków i dlatego miała wrażenie, że nie nadaje się na to stanowisko.

Dziewczyna nacisnęła obie mosiężne klamki, otworzyła mahoniowe

drzwi i wkroczyła do pokojów rady.

Olbrzymie pomieszczenie wieńczyła rozległa kopuła. W głębi znajdował się fresk sławiący chwałę Magdy Searus, pierwszej Matki Spowiedniczki. Dotykała palcami grzbietu dłoni swojego czarodzieja, Merritta, który poświęcił życie w jej obronie. Teraz - na zawsze razem na barwnym fresku - spoglądali na zajmujące Główne Krzesło kolejne Matki Spowiedniczki i ich czarodziejów.

Pomieszczenie okalały potężne kolumny. Pomiedzy ich złotymi kapitelami widniały lśniące mahoniowe balustrady łóż otwartych na wspaniałą komnatę. Regularnie rozmieszczone łukowate przejścia prowadzące do owych łóż ozdobione były stiukowymi rzeźbami przedstawiającymi bohaterskie sceny. Znajdujące się nad nimi okna otwierały się na dziedzińce. Okrągłe okna, umieszczone wokół podstawy kopuły, również oświetlały komnatę. W głębi usytuowano półkoliste podwyższenie, na którym, za ozdobnym, wygiętym stołem, zasiadali członkowie rady.

Wokół Głównego Krzesła tłoczyła się grupka mężczyzn. Z ich liczebności Kahlan wywnioskowała, że obecna jest mniej więcej połowa doradców. Szła po słonecznych plamach na marmurowej posadzce i zaczęli się jej przyglądać.

Ktoś siedział na Głównym Krześle. Choć w ostatnich czasach nie przestrzegano tego zbyt ściśle, to zajęcie Głównego Krzesła stanowiło najcięższe przewinienie i było równoznaczne z wypowiedzeniem posłuszeństwa. Kahlan podeszła i rozmowy ucichły.

Krzesło zajmował arcyksiążę Fyren, władca Keltonu. Stopy trzymał na stole i nie zdjął ich, obserwując zbliżającą się Kahlan. Wpatrywał się w dziewczynę, lecz słuchał mężczyzny z przylizanymi ciemnymi włosami i poznaczoną siwizną brodą, który nachylał się ku niemu i coś doń szeptał. Ów chował dłonie w rękawach gładkiej, prostej szaty. To dziwne, pomyślała Kahlan, że doradca ubiera się jak czarodziej.

Książę Fyren zrobił zachwyconą minę.

- Matko Spowiedniczko! - Z wystudiowaną troską zdjął ze stołu lśniące buty i wstał. Wsparł dłonie o blat, nachylił się i patrzył na nią. - Jak miło cię znów widzieć!

Przedtem Kahlan zawsze miała przy sobie czarodzieja, teraz nie. Żadnej

obrony. Nie mogła dopuścić, by wyglądała na onieśmioną czy słabą. Spojrzała gniewnie na księcia Fyrena.

- Zabiję cię, jeżeli znów przyłapię cię na rozsiadaniu się na krześle Matki Spowiedniczki.

Fyren wyprostował się i afektownie uśmiechnął.

- Poraziłabyś doradcę swoją mocą?

- Podetnę ci nożem gardło, jeśli będę musiała to zrobić. Człowiek w jednobarwnej szacie wpatrywał się w Kahlan nieruchomym wzrokiem. Pozostali doradcy pobledli.

Książę Fyren rozchylił ciemnoniebieski surdut i wsparł dłoń na biodrze.

- Nie chciałem cię obrazić, Matko Spowiedniczko. Tak długo cię nie było. Myśleliśmy wszyscy, że już nie żyjesz. W pałacu nie było żadnej Spowiedniczki od... ilu? - Spojrzał na tamtych. - Od czterech, pięciu, sześciu miesięcy? - Nie cofając dłoni z biodra, wykonał drugim ramieniem powitalny gest. - Nie chciałem cię urazić, Matko Spowiedniczko. Twoje krzesło, rzecz jasna, znów należy do ciebie.

Kahlan spojrzała na pozostałych.

- Już późno. Rada zbierze się rankiem na walnej sesji. Powinien się stawić każdy doradca. Midlandy są w stanie wojny.

- Wojny? - zdumiał się książę Fyren. - Z czyjego rozkazu? Nie obradowaliśmy nad tak poważną sprawą.

Dziewczyna omiotła wzrokiem doradców i na koniec popatrzyła na księcia Fyrena.

- Z mojego, Matki Spowiedniczki, rozkazu. - Rozległy się szepty, zgaszone gniewnym spojrzeniem dziewczyny. Fyren nie spuszczał z niej oka. - Chcę, żeby wszyscy doradcy stawili się tu rankiem. Na teraz kończycie obrady, panowie.

Kahlan odwróciła się i dumnym krokiem opuściła komnatę. Nie rozpoznała żadnego z widzianych w pałacu gwardzistów, lecz nie zdziwiło jej to; Zedd mówił, jak wielu członków Gwardii Obywatelskiej zabito, kiedy D'Hara zajęła Aydindril. Dziewczyna tęskniła za znanymi twarzami.

W centrum Pałacu Spowiedniczek w Aydindril znajdowała się monumentalna, ośmioskrzydłowa klatka schodowa, wysoka na cztery piętra, nakryta szklanym dachem. W połowie wysokości otwierały się arkadowe pasaże. Łukowate wejście rozdzielały gładkie kolumny z nakrapianego

zielenią i złotem marmuru, ustawione na czworobocznych plintach - każdą plintę zdobił medalion z podobizną dawnego władcy jednej z krain Midlandów. Setki tulipanowatych tralek wykonano z kamienia w barwie ciemnego złota; zdawały się lśnić wewnętrznym blaskiem. Czworoboczne słupki narożne z ciemnobrązowego granitu były niemal równie wysokie jak Kahlan. Na każdym stała złota lampa w kształcie kwiatu. Kapitele o ząbkowanych krawędziach pokryto skomplikowaną kamienną koronką. Na głównym podejściu stały posągi ośmiu Matek Spowiedniczek. Kahlan widziała pałace, które swobodnie zmieściłyby się w przestrzeni zajmowanej przez ową monumentalną klatkę schodową.

Budowano ją przez czterdzieści lat, koszty pokrył Kelton. Była to częściowa rekompensata za sprzeciw wobec powstania Midlandów i za wojnę, która z tego wynikła. Postanowiono również, że żadnego władcy Keltonu nie uhonoruje się medalionem na podstawie kolumny. Owe schody miały uhonorować ludy Midlandów, a nie tych, którzy je za karę budowali. Obecnie Kelton był znamienitą, cieszącą się poważaniem krainą Midlandów i Kahlan uważała, że to głupie karać ów lud za to, co jego przodkowie uczynili przed wiekami.

Dziewczyna dotarła do głównego podestu i ruszyła w górę drugą kondygnacją schodów, wiodącą ku jej pokojom. Zobaczyła, że u szczytu schodów czeka na nią falanga służby. Wszyscy się skłonili, kiedy na nich spojrzała. Jak to musi zabawnie wyglądać, pomyślała, że trzydziestu lśniących czystością, ładnie uczesanych i ubranych ludzi chyli głowy przed brudną babą w wilczej skórze, dźwigającą łuk i ciężki plecak. Cóż, to mogło oznaczać tylko jedno: wiadomość o jej przybyciu rozniosła się już po pałacu. Już chyba i ogrodnicy z najdalszej oranżerii wiedzieli, że wróciła Matka Spowiedniczka.

- Powstańcie, moje dzieci - powiedziała Kahlan, kiedy dotarła do szczytu schodów.

Wyprostowali się i cofnęli, robiąc jej drogę.

A potem się zaczęło. Czy Matka Spowiedniczka nie zechciałaby się wykapać? A może przydałby się jej masaż? Może Matka Spowiedniczka życzy sobie, by jej umyć i wyszczotkować włosy? Może zająć się paznokciami Matki Spowiedniczki? Czy Matka Spowiedniczka zechce przyjąć petentów? Doradców? Napisać jakieś listy? Czy Matka Spowiedniczka czegoś sobie

życzy, czego potrzebuje, czego chce, czego wymaga?

- Tylko kąpeli Bernadette - powiedziała Kahlan do pierwszej pokojówki.
- Tylko kąpeli. Niczego innego.

Dwie kobiety pospieszyły przygotować kąpiel.

Pani Bernadette mimowolnie obrzuciła wzrokiem odzienie Kahlan.

- Czy Matka Spowiedniczka życzy sobie, aby coś wyprać lub zacerować?

Kahlan pomyślała o schowanej w plecaku błękitnej sukni.

- Chyba mam parę rzeczy, którym przyda się czyszczenie. -
Przypomniała sobie, że reszta jej ubrań przesiąkła krwią pochodzącą z tej
czy innej walki. - I mam mnóstwo rzeczy, które trzeba wyprać.

- Oczywiście, Matko Spowiedniczko. Czy mam przygotować na
dzisiejszy wieczór twoją białą szatę?

- Na dzisiejszy wieczór?

Pani Bernadette poczerwieniała.

- Już wysłano posłańców na Kings Row, Matko Spowiedniczko. Każdy
zechce powitać cię w domu.

Kahlan jęknęła. Była śmiertelnie zmęczona. Nie miała ochoty z nikim się
spotykać, mówić kobietom, jakie mają wspaniałe fryzury lub mężczyznom,
jaki świetny fason mają ich surduty. Nie miała ochoty na cierpliwe
wysłuchiwanie suplik, które niezmiennie dotyczyły rozdziału funduszy i
zawsze miały dowodzić, iż apelantowi nie zależy na korzyściach, a jedynie
na wybawieniu z trudniej sytuacji, w jakiej się znalazł.

Zupełnie jak wtedy, kiedy Kahlan była małą, pani Bernadette obrzuciła
dziewczynę karcącym spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć: „Słuchaj no,
młoda damo, masz obowiązki i nie życzę sobie żadnych wykrętów”. Zaś
głośno powiedziała:

- Wszyscy niecierpliwie oczekiwali bezpiecznego powrotu Matki
Spowiedniczki. Bardzo się uradują, widząc cię zdrową i bezpieczną.

Kahlan w to wątpiła. Pani Bernadette tak naprawdę chciała powiedzieć,
że Kahlan dobrze by zrobiła, przypominając ludziom, iż Matka
Spowiedniczka nadal żyje i piastuje swój urząd. Dziewczyna westchnęła.

- Dobrze, Bernadette. Dziękuję, iż przypomniałaś mi, że ludzie o mnie
pamiętali i martwili się.

- Tak, Matko Spowiedniczko. - Pani Bernadette uśmiechnęła się i
skłoniła głowę.

Pozostałe pokojówki rozbiegły się pospiesznie, a Kahlan nachyliła się ku pani Bernadette.

- Pamiętam czasy, kiedy klapsami musiałaś przypominać mi o różnych rzeczach.

- Teraz jesteś już na to za bystra, Matko Spowiedniczko - uśmiechnęła się kobieta. Potarła niewidoczną płamkę na grzbiecie dłoni. - Matko Spowiedniczko... czy przyprowadziłaś do domu jakąś Spowiedniczkę? Czy i inne wkrótce zaczną powracać?

Kahlan przybrała „twarz Spowiedniczki”, tak jak nauczyła ją matka.

- Przykro mi, Bernadette. Sądziłam, że wiesz. Wszystkie nie żyją. Jestem ostatnią żyjącą Spowiedniczką.

Oczy pani Bernadette wypełniły się łzami, wyszeptała modlitwę.

- Oby dobre duchy zawsze im towarzyszyły.

- Czemuż miałyby teraz o tym pamiętać? - powiedziała cierpko Kahlan. - Przecież nie było ich przy Dennee tego dnia, kiedy dopadła ją bojówka.

We wszystkich kominkach w komnatach Kahlan płonął ogień, tak jak się tego spodziewała i jak płonął każdego dnia, kiedy jej tu nie było; miesiąc po miesiącu. Zimą nigdy nie pozwalano zagasnąć płomieniom w komnatach Matki Spowiedniczki, na wypadek gdyby zechciała powrócić. Na stole leżała srebrna taca ze świeżym bochenkiem chleba, dzbankiem herbaty i miseczką dymiącej korzennej polewki. Pani Sanderholt wiedziała, że to jej ulubiona zupa.

Korzenna polewka przypominała Kahlan o Richardzie. O tym, jak ją dla niej przygotowywał, a ona dla niego.

Dziewczyna rzuciła na podłogę łuk i plecak i po miękkich dywanach przeszła do następnej komnaty. Stała, bezwiednie pocierając palcami jeden ze słupków w nogach jej łoża. Patrzyła i myślała, że miała tu być z Richardem. Mieli się pobrać zaraz po przybyciu do Aydindril. Obiecywała mu to olbrzymie łoże.

Kahlan pamiętała radość wypełniającą jej serce, kiedy rozmawiali o ślubie, o pojawieniu się w Aydindril jako mąż i żona. Poczwała, jak po policzku spływa jej łza. Głęboko odetchnęła, czując płonący ból, i otarła łzę.

Podeszła do przeszklonych drzwi i otworzyła je na szeroki balkon. Położyła drżące palce na lodowatej balustradzie i stała tak na zimnie, spoglądając na stojącą wysoko Wieżę Czarodzieja, na jej ciemne kamienne

ściany, oświetlane ostatnimi złocistymi promieniami zachodzącego słońca.

- Gdzie jesteś, Zeddzie? - wyszeptła. - Potrzebuję cię.

Ześliznął się i uderzył w głowę, ocknął się z sapnięciem. Usiadł, mrugając. Naprzeciwko niego, skulona w kącie, siedziała stara kobieta z prostymi, sięgającymi za ucho, białymi i czarnymi włosami. Oboje tkwili w powozie. Kobieta patrzyła w jego stronę. Zamrugał ze zdumieniem. Miała zupełnie białe oczy.

- Kim jesteś? - zapytał.

- A ty? - odparła pytaniem.

- Pierwszy spytałem.

- Ja... - Otuliła się płaszczem zarzuconym na cienką zieloną suknię. - Nie wiem, kim jestem. A kim ty jesteś?

Uniósł palec ku niebu.

- Jestem... jestem... - westchnął. - Obawiam się, że i ja nie mam pojęcia, kim jestem. Nikogo ci nie przypominam? Jeszcze mocniej otuliła się płaszczem.

- Nie wiem. Jestem ślepa. Nie widzę, jak wyglądasz.

- Ślepa? O, przepraszam.

Rozmasował głowę w miejscu, którym uderzał o ściankę powozu. Przyjrzał się sobie. Był odziany w elegancki strój - rdzawa szata z czarnymi rękawami, o trzech rzędach galonów ze srebrzystego brokatu. No cóż, pomyślał, przynajmniej jestem bogaty. Podniósł z podłogi czarną laseczkę, przyjrzał się srebrnej rączce. Odwrócił laseczkę i łupnął nią w dach, tam gdzie powinien siedzieć woźnica. Stara kobieta podskoczyła z przerażenia.

- Co to za hałas!?

- Przepraszam. Chciałem przyciągnąć uwagę woźnicy. Woźnica pewno usłyszał. Powóz się zatrzymał, potem zakołysał, kiedy mężczyzna zsiadał. Drzwiczki otworzyły się gwałtownie, ukazując olbrzyma z ogorzałą twarzą, odzianego w długi płaszcz. Mężczyzna w powozie cofnął się i mocniej zacisnął w dłoni laskę.

- Kim jesteś? - zapytał, unosząc ją.

- Ja? Skończonym idiotą - warknął olbrzym. Uśmiech złagodził poznaną głębokimi zmarszczkami twarz. - Nazywam się Ahern.

- Co z nami robisz, Ahernie? Porwałś nas? Więzisz dla okupu? Ahern zachichotał.

- Powiedziałbym, że tamto bardziej mi się podobało.

- Co masz na myśli? Długo spaliśmy? Kim jesteśmy? Ahern spojrzał w niebo.

- O drogie duchy, jak ja się w to wplątałem? - westchnął z głębi serca. - Oboje spaliście od przedwczoraj. Ty przespałeś całą ubiegłą noc i cały dzisiejszy dzień. Nazywasz się Ruben, Ruben Rybnik.

- Ruben? - Mężczyzna ostentacyjnie odchrząknął. - Ruben. Ładne imię.

- A ja kim jestem? - zapytała kobieta. - Ty jesteś Elda Rybnik.

- I ona też nosi nazwisko Rybnik? - spytał Ruben. - Jesteśmy spokrewnieni?

Ahern się zawahał.

- Tak i nie. Jesteście mężem i żoną. Tak jakby.

- Sądzę, że to wymaga wyjaśnień. - Ruben pochylił się ku wielkoludowi. Ahern westchnął i potakująco skinął głową.

- Ty masz na imię Ruben, ona Elda. Ale to nie są wasze prawdziwe imiona. Pouczyłeś mnie, że na razie lepiej będzie, jeśli nie zdradzę wam waszych prawdziwych imion.

- Porwałeś nas! Walnąłeś nas w głowę i wykradłeś!

- Uspokój się, wszystko wytłumaczę.

- No to tłumacz, zanim cię złoję moją laseczką!

- To mi się zupełnie nie uśmiecha - mruknął do siebie Ahern. - Dlaczego się w to wplątałem? Złoto mnie zwabiło - odpowiedział sam sobie.

Wielkolud wepchnął się do powozu, usiadł obok Rubena. Zatrzasnął drzwiczki, chroniąc wszystkich przed śniegiem.

- Czuj się jak u siebie - odezwał się Ruben. Ahern odchrząknął.

- Słuchajcie, co powiem. Oboje byliście chorzy. Wynająłeś mnie, bym zawiózł was do trzech kobiet. - Nachylił się bardziej ku Rubenowi i tyknął nań spode łba. - Do trzech czarodziejek.

- Czarodziejek! - pisnął Ruben. - Nic dziwnego, że nie wiemy, kim jesteśmy! Zabrałeś nas do wiedźm i kazałeś im rzucić na nas urok!

Ahern położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

- Siedz cicho i słuchaj. Jesteś czarodziejem. - Ruben wytrzeszczył oczy na Aherna, a wielkolud zwrócił się do Eldy: - Ty zaś jesteś czarodziejką.

Ruben z przejęciem machał ramionami.

- Wcale nie jestem - warknął na koniec - bo inaczej już byłbyś ropuchą.

Ahern mruknął i potrząsnął głową.

- Twoja moc zniknęła.

- A czy przynajmniej byłem - zapytał Ruben, prostując się - uzdolnionym czarodziejem?

- Byłeś na tyle dobry, by dotknąć swymi przeklętymi paluchami mojej zakutej pały i wbić mi do głowy, że mam ci pomóc. Powiedziałeś, iż czarodzieje czasem muszą się posłużyć ludźmi, żeby zrobili to, co trzeba. Nazwałeś to brzemieniem czarodzieja. Mówiłeś, że i tak bym ci pomógł, że tylko odwołujesz się do tkwiącego we mnie „dobra”, bym się szybciej zdecydował. To i taka ilość złota, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem, przekonały mnie, bym się wplątał w coś, co powinienem z daleka ominąć. Zdecydowanie nie lubię mieć do czynienia i z czarodziejami, i z magią.

- A ja jestem czarodziejką? - spytała Elda. - Ślepą czarodziejką?

- Nie, ma'am. Byłaś ślepa, ale mogłaś wykorzystywać swój dar, żeby widzieć, i to widzieć lepiej niż ja zdrowymi oczami.

- To dlaczego teraz jestem ślepa?

- Oboje byliście chorzy. Chorzy przez jakąś złą magię.

Trzy czarodziejki zgodziły się wam pomóc, lecz by was wyleczyć, musiały... musiały podać wam coś, co sprawiło, iż straciliście swoją magię, swój dar. Kazaliście mi poczekać na zewnątrz, więc nie wiem, co zrobiły. Wiem tyle tylko, ile mi powiedziałeś, zanim wszedłeś tam po raz ostatni, żeby to uczyniły.

- Ale zmyślasz - odezwał się Ruben. Ahern zignorował go i ciągnął:

- Ta wasza choroba karmiła się dobrą magią. Nie mam pojęcia, jak działa magia, i duchy wiedzą, że nie chcę się tego dowiadywać. Wiem tylko tyle, ile mi powiedziałeś, gdy tłumaczyłeś mi to, kiedy od nich wyszedłeś i skłoniłeś mnie, bym wam pomógł. Mówiłeś, że aby wam pomóc, te trzy czarodziejki muszą dać wam coś, po czym wasza magia zniknie. Tylko w ten sposób możecie wyzdrowieć. Zła magia nie zniknie i rany się nie wygoją, dopóki może się ona żywić dobrą magią.

- Więc teraz nie mamy magii?

- Cóż, nie wiem, jak ona działa, ale jak zrozumiałem, to nie możecie zupełnie pozbyć się swojej magii. Te trzy czarodziejki podały wam coś, po czym wszystko o sobie żeście zapomnieli, żebyście nie wiedzieli, że macie dar i żeby ta zła magia nie miała pojęcia, że go macie. No i żadne z was nie

wie, kim jesteście i jak się posługiwać magią. To dlatego Elda jest ślepa.

- Dlaczego czarodziejki zgodziły się nam pomóc? - Ruben przymrużył oczy.

- Głównie z powodu Eldy. Powiedziały, że ona jest legendą wśród czarodziejek Nikobarezji. Chodzi o coś, co zrobiła, kiedy była młodsza i tam mieszkała.

Ruben wpatrywał się w wielkoluda.

- To musi być prawda. - Spojrzał na Eldę. - To musi być prawda. Nikt nie wymyśliłby tak absurdalnej historii. Co o tym sądzisz?

- To samo, co i ty. Myślę, że mówi prawdę.

- No dobra - powiedział Ahern. - A teraz czas na to, co wam się nie spodoba.

- A co z naszą magią? Kiedy wróci? Kiedy sobie przypomnimy, kim jesteśmy?

Ahern przeczesał mięsistymi paluchami zmierzwione siwe włosy.

- To właśnie ta część opowieści, która się wam nie spodoba. Trzy kobiety powiedziały, że wątpią, byście kiedykolwiek ją odzyskali.

Możecie sobie nigdy nie przypomnieć. Możecie już nigdy nie odzyskać magii.

W powozie zapanowała cisza. W końcu odezwał się Ruben:

- Dlaczego zgodziliśmy się na to? Ahern wyliczył na palcach:

- Bo nie mieliście wyboru. Oboje byliście chorzy. Poważnie chorzy, Elda bardziej niż ty. Już by nie żyła, a ty umarłbyś dzień lub dwa później. Nie mieliście wyboru. To był jedyny sposób.

Ruben oparł dłonie na srebrnej gałce laseczki.

- Cóż, skoro tak, to musieliśmy się na to zgodzić. Jeśli sobie nigdy nie przypomnimy, to nauczymy się być Rubenem i Eldą i zaczniemy od nowa.

Ahern potrząsnął głową.

- W tym właśnie cały problem. Mówiłeś, że trzy kobiety powiedziały, iż jeśli zła magia w końcu cię opuści, to być może uda ci się odzyskać pamięć i magię. Mówiłeś, że to nadzwyczaj ważne, byś ją odzyskał. Że na świecie dzieje się coś złego i ty musisz pomagać w zwalczaniu tego. Że to niezmiernie ważne dla każdej żywej istoty. Że musisz coś zrobić.

- Jakie kłopoty? Co ja mam zrobić?

- Tego mi nie powiedziałeś. Twierdziłeś, iż nie rozumiem. - A jak mamy

odzyskać pamięć i magię?

Ahern spojrzał na oboje.

- Mogą nigdy nie powrócić. Trzy kobiety nie wiedziały, czy to do was wróci, ale mówiły, że jeśli tak się stanie, to dzięki szokowi. Potężnemu emocjonalnemu wstrząsowi albo szokowi.

- Emocjonalny szok? Jaki na przykład?

- Może jak gniew. Może jeżeli się dostatecznie wściekniesz. Ruben zmarszczył brwi.

- Więc... co? Uderzysz mnie, bym się wściekł?

- Nie. Mówiłeś, że nie wiesz, jak to ma wyglądać, lecz że taki zwykły gniew nie podziała. Że to wymaga potężnego emocjonalnego wstrząsu, ale nie masz pojęcia, co to ma być ani jak do tego doprowadzić. Mówiłeś też, iż jeśli coś wywoła taki gniew, to będzie to gwałtowne i straszliwe z powodu magii. I że nie masz wyboru, bo umrzesz, jeżeli tego nie uczynisz.

Ruben i Elda dumali w milczeniu, a Ahern się im przyglądał.

- A dokąd nas wieziesz? Dlaczego jesteśmy w tym powozie?

- Do Aydindril.

- Aydindril? Nigdy o nim nie słyszałem. Gdzie to? Daleko? - Aydindril to siedziba Spowiedniczek, po tamtej stronie gór Rang'Shada. To długa droga: zajmie tygodnie, może i cały miesiąc. Dotrzemy tam tuż przed zimowym przesileniem, przed najdłuższą nocą roku.

- Długa droga do przebycia - stwierdził Ruben. - Dlaczego chcesz nas tam zawieźć?

- Powiedziałeś, że musisz się dostać do Wieży Czarodzieja. Że trzeba magii, by to osiągnąć, ale teraz nie masz magii, więc powiedziałeś mi, jak tam wejść. Wygląda na to, iż byłeś niczym nieznośny bachor, który potrafił się wślizgiwać do wieży i wychodzić stamtąd bez uruchamiania magicznych zabezpieczeń.

Ruben przesunął palcem wskazującym i kciukiem po gładko wygolonej szczęce.

- I twierdzisz, że mówiłem, iż to bardzo pilne? Ahern ponuro potaknął.

- No to lepiej ruszajmy.

Kahlan - tak samo, jak przez cały wieczór uśmiechała się do ludzi - uśmiechnęła się do stojącej przed nią kobiety w wymyślnej ciemnobłękitnej sukni. Tamta opowiadała, jak się wszyscy martwili o Matkę Spowiedniczkę.

Jej brak szczerości był równie wyrazisty, jak hipokryzja wszystkich pozostałych. Kahlan spędziła całe życie na wysłuchiwanie obłudników, którzy starali się zamaskować swoje skąpstwo pełnymi altruizmu i przyjaźni słowami. Mdlilo ją od tego.

Dziewczyna pragnęła, żeby choć raz któryś z tych ludzi, wśród których żyła i pracowała, znalazł w sobie dość uczciwości, aby przyznać, jak ogromnie jej nienawidzą i jak wścieka ich to, że ona, Kahlan, nie pozwala im grabić Midlandów oraz zamieszkujących je ludów. Tłumaczyła sobie, iż nie wszyscy z nich są tacy.

Kahlan zastanawiała się leniwie, ledwo słuchając tego, co do niej mówiła kobieta, co by też powiedziała owa wyniosła żona ambasadora, gdyby zamiast Matki Spowiedniczki w lśniącej białej szacie i naszyjniku wartym z połowę królestwa, zobaczyła ją na koniu: nagą, pomalowaną na biało i splamioną krwią, jak tnie mieczem po twarzach usiłujących ją zabić mężczyzn. Dziewczyna uznała, że z pewnością zemdłałaby.

Gadatliwa kobieta zamilkła na chwilę dla złapania oddechu i Kahlan podziękowała jej za troskę i odeszła. Robiło się coraz później, a ona była bardzo zmęczona. Wczesnym rankiem miała spotkanie z radą. Kahlan zobaczyła się w mijanym właśnie lustrze i miała wrażenie, że bardzo długo śniła, a teraz obudziła się dokładnie taka sama jak przedtem: Matka Spowiedniczka, w białej szacie Spowiedniczki, w Pałacu Spowiedniczek w Aydindril. Lecz nie była tą samą osobą co przedtem. Czowała się sto lat starsza. Uśmiechnęła się; przynajmniej kąpiel była wspaniała. Nie pamiętała, by kiedykolwiek uważała kąpiel za coś tak cudownego. Prawie zapomniała, jak to jest być czystą.

W pobliżu drzwi podeszła do Kahlan kolejna wystrojona dama. Dziewczyna leciuteńko zmarszczyła brwi. Jasne włosy kobiety były zbyt krótkie i kontrastowały z sięgającymi ramion włosami pozostałych kobiet. Lecz jej szata z pewnością pasowała do strojów tamtych - kosztowna czarna suknia, odsłaniająca ramiona i uwydatniająca lśniący szmaragdowy naszyjnik. Kobieta zastawiła drzwi, zanim Kahlan zdążyła przez nie przejść, a potem skłoniła się pospiesznie. Jej błękitne oczy strzelały na boki.

- Muszę z tobą porozmawiać, Matko Spowiedniczko. To bardzo pilne.

- Przykro mi, ale chyba sobie ciebie nie przypominam. Kobieta nie podnosiła wzroku na Kahlan, nieustannie obserwując znajdujących się w

pobliżu ludzi.

- Nie znasz mnie. Mamy wspólnego przyjaciela... - Spozrzęła patrząc w ich stronę jakąś starszą damę z kwaśną miną i odwróciła się do niej plecami. Spytała: - Czy przybyłaś sama do Aydindril, Matko Spowiedniczo, czy też kogoś ze sobą przyprowadziłaś?

- Przybył tu ze mną mój przyjaciel, Chandalen, ale został na noc w lasach po południowej stronie. Dlaczego pytasz?

- Nie to imię miałam nadzieję usłyszeć. - Kobieta wreszcie spojrzała Kahlan w oczy. - Musisz...

Zamilkła. Błękitne oczy o intensywnym spojrzeniu stopniowo otwierały się coraz szerzej. Stała nieruchomo, jakby skamieniała.

- Co się stało? - spytała Kahlan. Zdawało się, że kobieta widzi zjawy. - Ty... ty...

Znienacka pobladała jak płótno. Chwiejnie cofnęła się o krok. Niesamowita bladość ramion na tle czarnego materiału sukni sprawiała, że wyglądała jak ubrany duch. Bezskutecznie usiłowała się zmusić do mówienia. Na jej twarzy malowało się paniczne przerażenie. Błękitne oczy uciekły w głąb czaszki. Kahlan zbyt późno spróbowała ją pochwycić. Kobieta osunęła się na podłogę. Ci, którzy stali w pobliżu, wstrzymali oddech. Kahlan wraz z innymi pochyliła się nad leżącą. Wokół tłoczyli się mężczyźni i kobiety, szepcząc, że na pewno wypięła za wiele wina. Skrzywiona dama przepchnęła się do przodu.

- Jebra! Wiedziałam, że to Jebra! Kahlan podniosła na nią wzrok.

- Znasz tę kobietę? Kim jesteś?

Dama nagle zdała sobie sprawę, do kogo mówi. Uśmiechnęła się i dygnęła.

- Jestem lady Ordith Condatith de Dackidvich, Matko Spowiedniczo. Jestem szczęśliwa, że w końcu cię spotkałam. Chciałam porozmawiać...

- Kim jest ta kobieta? - przerwała jej Kahlan. - Znasz ją?

- Czy ją znam? - Znów miała kwaśną minę. - To moja przyboczna pokojówka. Nazywa się Jebra Bevinvier. Każę wysmagać tę leniwą dziewczkę!

- Przyboczna pokojówka? - odezwał się jakiś mężczyzna. - Nie sądzę. Jadłem z lady Jebra obiad i mogę cię zapewnić, że to dama.

- To oszustka - prychnęła lady Ordith.

- No to musisz ją dobrze wynagradzać - stwierdził sarkastycznie

mężczyzna. - Zatrzymuje się w najlepszych zajazdach i płaci złotem.

Lady Ordith skwitowała tę uwagę kolejnym wyniosłym parsknięciem i złapała ramię gwardzisty.

- Hej, ty! Zanieś tę dziewczkę do moich komnat. Mieszkam w Keltońskim Pałacu. Dowiem się prawdy.

Kahlan podniosła się i obdarzyła lady Ordith miazdzącym, gniewnym spojrzeniem.

- Na pewno tego nie uczynisz. Chyba że zamierzasz pouczać Matkę Spowiedniczkę, jak ma postępować w swoim własnym pałacu.

Lady Ordith wyjąkała przeprosiny. Kahlan, nie odwracając wzroku od oczu kobiety, pstryknęła palcami. Przyskoczyli gwardziści. Dziewczyna odwróciła się ku nim.

- Zanieście lady Jembrę do komnat gościnnych. Niech służąca przyniesie jej imbirowej herbatki, zimne ręczniki na okłady na głowę i co tylko będzie jej potrzebne. Nie życzę sobie, by ktokolwiek ją niepokoił, dotyczy to także lady Ordith. Idę teraz do swoich komnat i również nie chcę, żeby mi przeszkadzano. Wczesnym rankiem mam spotkanie z radą. Pragnę, aby potem przyprawiono do mnie lady Jembrę.

Gwardziści zasalutowali i pochyłili się nad lady Jembrą.

Kiedy Kahlan dotarła do swoich pokoi, z niespokojnej zadumy wyrwał ją widok dwóch keltońskich gwardzistów z Keltońskiego Pałacu. Stali pod drzwiami. Kiedy ją ujrzeni, jeden flegmatycznie zastukał do drzwi drzewcem piki. Ktoś był w jej pokojach. Kahlan obrzuciła beznamiętnych żołnierzy gniewnym spojrzeniem i dumnym krokiem weszła do środka.

W pierwszej komnacie nie było nikogo. Dziewczyna gwałtownie wmaszerowała do sypialni. Stała jak wryta, kiedy go zobaczyła. Księżę Fyren stał na jej łożu, tyłem do niej. Z wyższością uśmiechnął się do dziewczyny przez ramię i dalej siusiał na środek łoża. Kiedy skończył, odwrócił się ku niej, zapinając spodnie.

- Na dobre duchy, co ty robisz? - wyszeptała.

Zrobił zdziwioną minę, gdy mijał Kahlan, napuszony jak paw.

- Po prostu daję poznać Matce Spowiednicze, jacy wszyscy jesteśmy szczęśliwi, że znów jest w domu. - Miał rozpięty surdut. Przygładził koronkowy żabot na białej koszuli, zatrzymał się przy drzwiach. - Spij dobrze, Matko Spowiedniczko.

Kahlan sześć razy szarpnęła sznur dzwonka. Kiedy spieszyła hołem, nadbiegło sześć zadyszanych pokojówek.

- Życzysz sobie czegoś, Matko Spowiedniczko? Kahlan zgrzytnęła zębami.

- Zabierzcie mój materac i kapę na dziedziniec i spalcie. Dziewczyna zamrugła oczami.

- Matko Spowiedniczko?

- Zabierz z łóżka materac wraz z całą pościelą na dziedziniec pod moim balkonem i spal. - Kahlan zacisnęła pięści. - Czego nie rozumiesz!?

Cała szóstka cofnęła się o krok.

- Tak, Matko Spowiedniczko. - Stały drżące, z wielkimi oczami. - Teraz, Matko Spowiedniczko?

- Gdybym chciała, żeby zrobiono to jutro, to zawołałabym was jutro.

Kahlan dotarła do schodów nad paradnym wejściem akurat na czas, by zobaczyć, jak księżę Fyren podchodzi do czekającego nań mężczyzny w jednobarwnych szatach. Ciemne oczy tamtego długo patrzyły w oczy dziewczyny.

- Straże! - wrzasnęła ku drzwiom. Nadbiegli żołnierze w uniformach, patrząc ku niej. - Zawiesza się immunitet dyplomatyczny! Jeżeli zobaczę w pałacu tę keltońską świnię lub kogoś z jego przybocznej gwardii, zanim rankiem zbierze się rada, to osobiście zabiję go, a was żywcem obedrę ze skóry!

Zasalutowali. Kahlan ujrzała lady Ordith - stała w holu wiodącym do wyjścia i obserwowała całe zdarzenie.

- Lady Ordith. - Ta już na nią patrzyła. - Wydaje mi się, iż mówiłaś, że gościsz w Keltońskim Pałacu. Wynoś się z mojego.

Lady jękała pożegnania, a Kahlan zawróciła na pięcie i ruszyła ponownie ku swoim komnatom. Po drodze zebrała grupkę gwardzistów. Zaczekała, aż ustawią się pod jej drzwiami.

- Jeżeli ktoś tej nocy zechce się dostać do moich komnat, to tylko po waszym trupie. Zrozumiano?

Wszyscy zasalutowali na znak, że świetnie to pojęli. Już u siebie, Kahlan otuliła się białym płaszczem i wyszła na balkon, w chłodne powietrze nocy. Stała prościutka, tuż przy poręczy, i patrzyła na leżący poniżej dziedziniec. Tak bardzo chciała uciec, lecz nie mogła. Była Matką Spowiedniczką.

Musiała zrobić to, co robiły przed nią inne Matki Spowiedniczki - musiała bronić Midlandów. Była sama, nie miała nikogo, kto pomógłby jej spełnić ów obowiązek. Łzy płynęły po policzkach Kahlan, patrzącej na płomienie trawiące jej łożo. Łoże, które obiecała Richardowi.

ROZDZIAŁ 58

Matka Spowiedniczka kroczyła pasażem - prywatnym przejściem Matek Spowiedniczek do pokojów rady - a jej postać w białej szacie odbijała się w lśniących czarnych kolumnach. Kahlan przychodziła godzinę przed czasem. Pragnęła zasiąść na Głównym Krześle i patrzeć, jak zjawiają się kolejni doradcy. Nie chciała, by rozmawiali ze sobą, zanim ona się pojawi.

Otworzyła drzwi i zamarła. Komnata była pełna ludzi. Każdy doradca siedział na swoim krześle. Galerie były zatłoczone - pełno tam było nie tylko urzędników, zarządców, oficerów i szlachty, ale i zwyczajnych ludzi: farmerów, sklepikarzy, kucharzy, kupców, woźniców i wyrobników. Kobiet i mężczyzn ze wszystkich warstw. Wszyscy wlepiali oczy w stojącą w drzwiach Matkę Spowiedniczkę.

Po przeciwległej stronie komnaty doradcy zajmowali swoje krzesła. Milczeli. Ktoś siedział na Głównym Krześle. Z tej odległości Kahlan nie rozpoznała tej osoby, lecz wiedziała, kto to był. Dotknęła kościanego naszyjnika i poprosiła dobre duchy o siłę i opiekę. Ruszyła poprzez plamy słonecznego blasku, a kroki odbijały się echem od marmurowej posadzki. Coś leżało na posadzce przed podwyższeniem, ale nie wiedziała co.

Kahlan dotarła do wygiętego stołu. Na Głównym Krześle siedział nie ten, którego się spodziewała. Na noszach, ustawionych przed podwyższeniem, spoczywało ciało księcia Fyrena. Miał ziemistą skórę. Skrzyżowano mu ramiona, dłonie ułożono na przesiąkniętych krwią koronkowych ozdobach koszuli. Miecz leżał na zwłokach. Gardło księcia Fyrena przecięto, otwarta rana niemal odślaniała kręgi szyjne.

Kahlan spojrzała w obserwujące ją poważne, ciemne oczy. Ten na Głównym Krześle pochylił się do przodu i oparł dłonie o blat. Pospieszne spojrzenie dookoła ujawniło to, czego dziewczyna wcześniej nie zauważyła: pierścien gwardzystów wokół komnaty. Wbiła gniewne oczy w ciemnowłosego i ciemnobrodego mężczyznę.

- Wynoś się z mojego krzesła lub cię zabiję.

Szczęknięty dobywane z pochew miecze. Mężczyzna skinął dłonią, me odwracając wzroku od oczu Kahlan. Niechętnie schowano oręż.

- Zabijałaś ludzi, Matko Spowiedniczko - powiedział spokojnie. - Książę

Fyren był twoją ostatnią ofiarą.

Kahlan zmarszczyła brwi.

- Ktoś ty?

- Neville Ranson. - Wpatrując się w jej oczy, odwrócił dłoń wnętrzem ku górze. Nad dłonią zapłonęła kula ognia. - Czarodziej Neville Ranson. - Wciąż patrzył Kahlan w oczy. Posłał kulę ognia ku sklepieniu. Ta uniosła się posłusznie ku centralnemu punktowi kopuły i rozpadła na tysiące iskier. Rozległy się zdumione westchnienia. Czarodziej Ranson odchylił się do tyłu i rozpostarł zwój. - Mamy mnóstwo zarzutów, Matko Spowiedniczko. Od czego chciałabyś zacząć?

Nie odwracając głowy, Kahlan zbadła wzrokiem ten fragment komnaty, który mogła zobaczyć. Żadnej możliwości ucieczki. Żadnej. Nawet gdyby ten człowiek nie był czarodziejem.

- To chyba nie ma znaczenia, skoro wszystkie zostały wymyślone. Może dalibyście spokój drwinom i od razu przystąpili do egzekucji.

W komnacie panowała martwa cisza. Czarodziej Ranson nie uśmiechnął się. Uniósł brwi.

- O, to nie kpiny, Matko Spowiedniczko. To poważne oskarżenia. Zebraliśmy się tutaj, by dociec, czy są prawdziwe. Ja, w przeciwieństwie do Spowiedniczek, odmawiam wydawania niewinnych ludzi na śmierć. Zanim skończymy dzisiejszą sesję, każdy się dowodnie przekona o twojej zdradzie. Chcę, żeby ludzie w pełni poznali prawdę o waszej nikczemnej tyranii.

Kahlan splótła dłonie i wyprostowała się sztywno. Przybrała twarz Spowiedniczki. Zebrani pochyliłi się do przodu, ale tylko odrobinę.

- Ponieważ lista jest długa - oznajmił czarodziej Ranson - to równie dobrze możemy zacząć od najpoważniejszego zarzutu. - Spojrzał na nią. - Od oskarżenia o zdradę.

- A od kiedy to obronę ludów Midlandów nazywa się zdradą? Czarodziej Ranson skoczył na równe nogi, trzasnął pięścią w stół.

- Obrona ludów Midlandów! Nigdy w życiu nie słyszałem z ust kobiety takiego plugawego kłamstwa! - Wyglądził na brzuchu swą brązową szatę i usiadł. - Ta twoja „obrona” polegała na wplątaniu ich w wojnę. Skazałabyś tysiące na pewną śmierć, byle tylko wyzwolić się z panicznego strachu, że to już nie ty będziesz rządzić, a ktoś inny. I to, dodam, będzie rządzić za jednomyślnym przyzwoleniem rady.

- Trudno nazwać jednomyślną” decyzję, której nie popiera Matka Spowiedniczka.

- Nie popiera, bo kieruje się egoistycznymi pobudkami.

- Kto, według ciebie, miałby władać Midlandami? Kelton? A może ty sam?

- Wybawiciele wszystkich ludów. Imperialny Ład.

Kahlan przeszło mrowie. Miała uczucie, że wali się na nią cała kopuła. W głowie jej wirowało. Bała się, iż zaraz zwymiotuje, tu, przed wpatrzonymi w nią ludźmi. Zmusiła żołądek do posłuszeństwa.

- Imperialny Ład! Imperialny Ład wyrznął w pień mieszkańców Ebinissii! Miażdżą wszelki opór, żeby ukraść dla siebie władzę!

- Kłamstwa. Imperialny Ład rządzi łagodnie i sprawiedliwie, a władzę przejmuje pokojowo. Chce położyć kres twoim morderczym zamiarom.

- Łagodnie! Pokojowo! Gwałcili i mordowali mieszkańców Ebinissii! Ranson zachichotał.

- Ależ, Matko Spowiedniczko. Armia Imperialnego Ładu nikogo nie zamordowała. - Spojrzał na mężczyznę, którego Kahlan nie rozpoznała. - Czy ktokolwiek wyrządził jakieś zło twojemu królewskiemu miastu, twojej stolicy, doradco Thurstanie?

Mężczyzna o podwójnym podbródku wydawał się zdumiony.

- Przed dwoma dniami przybyłem z pięknej Ebinissii i mogę rzec, iż nikt tam nie wie, by został zamordowany.

Zarechotał, a tłum wraz z nim. Ranson uśmiechnął się chmurnie do Kahlan.

- Czyżbyś się nie spodziewała, Matko Spowiedniczko, że przedstawimy świadków, którzy zdemaskują twoje niedorzeczne opowiastki? Te bzdury, wymyślane po to, by obudzić w ludziach strach i podburzyć ich do wojny?

Ranson pstryknął palcami. Podeszła kobieta w znoszonym, burym odzieniu i stanęła z boku. Ranson pouczył ją łagodnie, aby się nie bała i opowiedziała swoją historię. Wezwana zrelacjonowała, jak to jej dzieci chodziły spać głodne, bo nie miała pieniędzy. Jak musiała się prostytuować, by je wyżywić. Kahlan wiedziała, że to kłamstwo. Nie brakowało litościwych ludzi i stowarzyszeń, które pomogłyby każdemu naprawdę potrzebującemu pomocy.

Przez całą godzinę coraz to inny świadek opowiadał o głodzie i niedostatku, o tym, iż pałac nie dawał pieniędzy, żeby się mogli wyżywić i

odziać, i nie dbał o to, że ich dzieci głodowały. Ludzie w łóżach chciwie wysłuchiwali tych smutnych opowieści, niektórzy płakali wraz z opowiadającymi o swoim nieszczęściu.

Kahlan rozpoznała niektórych świadków. Przypomniała sobie, że pani Sanderholt oferowała im niegdyś pracę. Opowiadała Kahlan, iż szydzili, kiedy prosiła ich, by zrobili to lub tamto. Skończyło się tak, że pani Sanderholt sama musiała wykonać większość prac.

Kiedy ostatni świadek opowiedział swoją wyciskającą łzy historyjkę, czarodziej Ranson wstał i zwrócił się do zebranych:

- Matka Spowiedniczka ma pełny skarbiec i zamierzała wykorzystać zgromadzone fundusze do sfinansowania wojny przeciwko tym ludom Midlandów, które chciałyby się uwolnić spod jej władzy. Najpierw odbiera pokarm wam i waszym dzieciom, a potem, byście zapomnieli o dręczącym was głodzie, wymyśla wroga i rozpoczyna wojnę za wasze ciężko zarobione pieniądze, które ukradła dla swoich i tak bogatych przyjaciół. Ludzie głodują, a ona się karmi do syta! Wasi synowie wykrwawiają się w walce, gdy ona tarza się w zbytku! Kiedy waszych krewnych niesprawiedliwie oskarża się o zbrodnie, ona skłania ich swoją mocą, żeby się przyznali do czynów, których nie popełnili, aby uciszyć ich protesty przeciwko jej tyranii!

Ludzie płakali. Niektórzy krzyczeli z udręki podczas końcówki przemówienia Ransona. Coraz nowi i nowi gniewnie domagali się sprawiedliwości. Kahlan zaczęła wątpić, czy doczeka ścięcia. Ten tłum ją rozszarpie, zanim zdąży dość na szafot.

Ranson wyciągnął do zebranych otwarte ramiona.

- Jako przedstawiciel Imperialnego Ładu rozkazuję, żeby ludzie dostali to, czego im trzeba. Skarbiec Aydindril zostanie właściwie wykorzystany. Jego zawartość zostanie zwrócona ciemężonym. Polecam, by każdej rodzinie wypłacono co miesiąc sztukę złota na odzież i żywność dla dzieci. Pod rządami Armii Imperialnego Ładu nikt nie będzie głodował.

W wielkiej komnacie wybuchnęły radosne okrzyki. Przez dobre pięć minut trwała żywiołowa radość. Ranson siedział i - złączywszy palce - przysłuchiwał się owacjom. On i Kahlan nie odrywali od siebie wzroku.

Kahlan zdawała sobie sprawę, że nie tak łatwo da się wytrzebić nędzę i niedostatek. Wiedziała, jakie okrucieństwo może kryć w sobie pozorna dobroć i uprzejmość. Wyliczyła, iż zasobów w skarbcu starczy najwyżej na

sześć miesięcy. Zastanawiała się, co będzie potem, kiedy skończą się pieniądze, a przez te miesiące ludzie odzwyczajają się od pracy w mieście i na roli, od dbania o własne potrzeby. Wtedy dopiero - po fałszywej szczodrości - nastąpią głód i wyniszczenie.

W końcu hałas ucichł. Ranson pochylił się do przodu.

- Trudno wyliczyć, ilu ludzi głodowało, marło z głodu czy ginęło w bitwach na twój rozkaz, Matko Spowiedniczko. Nie ma wątpliwości, iż jesteś winna zdrady wobec ludów Midlandów. Nie widzę powodu, żeby w dalszym ciągu przedstawiać na to dowody, choć moglibyśmy to czynić przez całe tygodnie. - Pozostali doradcy głośno wyrazili swoje poparcie dla czarodzieja, a Ranson uderzył w stół otwartą dłonią. - Winna pierwszego zarzutu: zdrady.

Zebrani znów radośnie wrzasnęli. Kahlan stała sztywno, z „twarzą Spowiedniczki”. Ranson odczytał zarzuty. Trudno jej było uwierzyć, że można coś takiego czytać z poważną miną. Zjawiali się świadkowie i poświadczali okropieństwa, z których każdy z odrobiną zdrowego rozsądku tylko by się śmiał, tak sądziła Kahlan. Nikt się nie śmiał.

Ludzie, których nigdy nie widziała, popisywali się wiedzą o tym, co Spowiedniczki robiły potajemnie. Kahlan słuchała opinii o niej i w jej gardle rosła kula. A ludzie opowiadali o irracjonalnych strachach i powtarzali plotki o bezceństwach popełnionych przez Spowiedniczki, a szczególnie przez Matkę Spowiedniczkę.

Przez całe swoje życie Kahlan - tak jak inne Spowiedniczki - poświęcała wszystko, żeby chronić tych ludzi, a oni cały ten czas wierzyli w owe okropieństwa. Kiedy ktoś opowiadał, że Spowiedniczki musiały jadać ludzkie mięso, by zachować swoją moc, Kahlan łudziła się, iż wreszcie to wyśmieją. Lecz nie: otworzyli szeroko oczy, pochylili się do przodu i wstrzymali oddech. Musiała przygryźć wnętrze policzka, żeby nie wybuchnąć płaczem. Chciało się jej płakać nie dlatego, że ją oskarżano o takie rzeczy, ale dlatego, iż ludzie w to wierzyli.

W końcu Kahlan przestała słuchać. Ranson wymieniał zarzuty, przedstawiał świadków i rada raz za razem uznawała Kahlan winną zarzucanego czynu. W tym czasie dziewczyna rozmyślała o Richardzie. Starła się przypomnieć sobie wszystkie spędzone z nim chwile: każdy jego uśmiech, każde dotknięcie. Każdy pocałunek.

- Bawi cię to! - zadrwił Ranson.

Kahlan podniosła wzrok. Uświadomiła sobie, że się uśmiecha. - Co?

Z boku stała jakaś chlipiąca w chusteczkę kobieta. Kahlan spojrzała na nią, zamrugła, a potem przeniosła wzrok na Ransona.

- Przepraszam, przegapiłam jej występ.

W tłumie rozległy się pomruki gniewu. Ranson odchylił się do tyłu na krześle i zde gustowany potrząsnął głową.

- Winna praktykowania magii Spowiedniczek na dzieciach.

- Co takiego!? Straciłeś rozum!? Na dzieciach!?

Ranson wyciągnął ramię w stronę kobiety, która zaczęła przeraźliwie zawodzić.

- Zeznała właśnie, że zaginęło jej dziecko oraz że ginęły też dzieci innych kobiet, a powszechnie wiadomo, iż zabiera się dzieci, by Spowiedniczki mogły na nich praktykować swoją magię. Mogę to potwierdzić jako czarodziej. - Tłum zawył z gniewu.

- Głowa mnie boli. - Kahlan spojrzała na Ransona przymrużonymi oczami. - Dlaczego mi jej po prostu nie utniesz.

- Nieprzyjemnie, Matko Spowiedniczko? Przykro patrzeć, że ludziom dano szansę spojrzeć w oczy ich gnębiciele i ujawnić jej obrzydliwie zbrodnie?

Kahlan zachowywała „twarz Spowiedniczki”, bo tylko w ten sposób mogła powstrzymać łzy.

- Żałuję, iż całe życie poświęciłam ludziom Midlandów. Gdybym wiedziała, że będą tak niewdzięczni i dadzą wiarę takim brudom po tym, co dla nich poświęciłam, to byłabym o wiele bardziej samolubna i dała im zakosztować prawdziwej tyranii.

Ranson obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

- Całe życie pracowałaś dla Opiekuna. - Tłum wstrzymał oddech. - To jemu służysz. Dla niego pracujesz. Dusze własnych ludzi składasz w ofierze swojemu panu, Opiekunowi, w zaświatach.

Zgromadzeni w łóżach lamentowali w przerażeniu. Pod kopułą rozbrzmiewały wrzaski gniewu i nawoływania do zemsty. Tłum wypełniający komnatę zacisnął pięści i usiłował rzucić się naprzód, lecz gwardziści rozpostarli ramiona i powstrzymali nacierających. Ranson uniósł ręce, nawoływał do spokoju i ciszy.

Kahlan przesunęła spojrzeniem po stojących z boku ludziach.

- Oddaję was Imperialnemu Ładowi - zawołała głośno. - Już dłużej nie będę się starała was ocalić. Zostaniecie ukarani za bezmyślną wiarę we wszystkie te kłamstwa. Ukarani przez to, co sami na siebie ściągniecie, folgując samolubnym zachciankom. Pożałujecie, że sami tak chętnie wydaliście się na cierpienia. Cieszę się, iż wtedy już nie będę żyła, bo nie będzie mnie kusić, by wam pomóc. Żałuję jedynie, iż kiedykolwiek uroniłam łzę nad waszym cierpieniem. Niech was wszystkich porwie Opiekun! - Dziewczyna spojrzała gniewnie na uśmiechającego się z wyższością czarodzieja Ransona. - Kończ z tym! Zetnij mi głowę! Mdli mnie od tej parodii prawdy! Wygraliście, ty i ten twój Imperialny Ład. Zabij mnie, żebym wreszcie mogła skończyć z tym życiem i odejść do świata duchów, gdzie będę musiała cierpieć dlatego, że komuś pomogłam. Przyznaję się do wszystkiego. Dokonaj egzekucji. Jestem winna wszystkich zarzucanych mi czynów. - Spojrzała na leżące u jej stóp ciało. - Z wyjątkiem zabicia tej keltońskiej świni. Szkoda, iż go nie zgładziłam, lecz, niestety, nie mogę sobie przypisać tego czynu.

Ranson znacząco uniósł brew.

- Kłamczucha do samego końca, Matko Spowiedniczko. Nie potrafisz się przyznać do tego morderstwa.

Zjawiała się lady Ordith, z dumnie zadartym nosem, i zeznała, że słyszała, jak poprzedniego wieczoru Kahlan groziła księciu Fyrenowi. Wszyscy doradcy jednym głosem potwierdzili, iż i oni słyszeli, jak groziła, że podetnie mu gardło.

- To twój dowód? - spytała Kahlan. Ranson dał znak.

- Wprowadźcie świadka. Przekonasz się, Matko Spowiedniczko, że znamy prawdę. Jedna z twoich byłych przyjaciółek chciała pomóc ci ukryć prawdę i musieliśmy użyć nadzwyczajnych środków, by skłonić ją do współpracy, lecz w końcu się na to zgodziła.

Do komnaty wprowadzono drżącą panią Sanderholt. Chudą, przygarbioną postać otaczali gwardziści. Twarz miała ściągniętą, pod zaczerwienionymi oczami widniały sine worki. Zniknęła cała jej żywotność. Chwiała się lekko i sprawiała wrażenie, że bez niczyjej pomocy z trudem trzymała się na nogach. Wysuwała przed siebie pokaleczone dłonie, jakby bała się, iż czegokolwiek dotkną. Szczypcami zerwano jej wszystkie

paznokcie. Kahlan poczuła w gardle żółć.

- Powiedz nam, co wiesz o tym morderstwie. - Neville Ranson spojrzał surowo na panią Sanderholt.

Kobieta wpatrywała się weń nieruchomo. Przygryzła wargę. Lzy wezbrały w jej oczach. Najwyraźniej nie chciała nic powiedzieć.

- Mów! - Ranson uderzył pięścią w stół. - Albo uznamy cię winną współudziału w morderstwie!

- Pani Sanderholt - odezwała się cicho Kahlan. Kobieta spojrzała na nią. - I ty, i ja znamy prawdę: tylko to się liczy. Ci ludzie i tak zrobią, co postanowili, obojętnie, czy im pomożesz, czy nie. Nie chcę, żebyś cierpiała z mojego powodu. Powiedz im, proszę, to, co chcą usłyszeć.

- Ale... - Po twarzy kobiety płynęły łzy. Kahlan wyprostowała się sztywno.

- Jako Matka Spowiedniczka nakazuję ci, pani Sanderholt, byś zeznawała przeciwko mnie.

Pani Sanderholt uśmiechnęła się do niej z wysiłkiem. Spojrzała na doradców.

- Widziałam, jak Matka Spowiedniczka podkrada się do księcia Fyrena. Podcięła mu gardło, nim zorientował się, że za nim stoi. Nie dała mu szansy obrony.

Ranson uśmiechnął się do świadka i przytaknął.

- Dziękuję, pani Sanderholt. Byłaś jej przyjaciółką, lecz zgodziłaś się zeznawać, ponieważ chciałaś, by doradcy i ludzie Midlandów poznali prawdę?

- Tak. - Znów płakała. - Choć ją kochałam, chciałam powiedzieć ludziom prawdę o jej krwiożerczych obyczajach.

Wyprowadzono panią Sanderholt i rada jednomyślnie uznała winę Kahlan. Wtedy wstał czarodziej Ranson, nakazał gestem ciszę i przemówił:

- Matkę Spowiedniczkę uznano winną wszystkich zarzutów! - Tłum wrzasnął z uciechą i zadowoleniem. Domagano się natychmiastowej egzekucji. - Matka Spowiedniczka zostanie ścięta, lecz nie dzisiaj. - Uniósł gniewnie rękę, uciszając protesty; uspokoili się. -

Popełniła zbrodnię przeciwko wszystkim ludziom. Muszą się dowiedzieć o tym, że sprawiedliwości stało się zadość. Muszą mieć czas, by tu dotrzeć na egzekucję. Zetniemy winowajczynię za kilka dni, kiedy wszyscy poszkodowani dojadą. - Neville Ranson zszedł z podwyższenia i obszedł je.

Staął przed Kahlan i spojrzał jej w oczy. Odezwał się cicho, tylko do niej, nie do tłumu. - Chciałabyś porazić mnie swoją mocą, Matko Spowiedniczko?

To właśnie pragnęła uczynić - posłużyć się swoją mocą, choć wiedziała, iż będzie ją to kosztować życie. Zmilczała jednak.

- Nie będziesz miała do tego okazji. - Uśmiech Ransona był zimny i okrutny. Zamierzam pozbawić cię trzech rzeczy. Po pierwsze, twojej mocy i jej symboli. Po drugie, godności. Po trzecie, życia.

Kahlan rzuciła się nań. Stał ze złączonymi dłońmi i patrzył, jak zdołała przebyć zaledwie parę cali, zanim ugrzęzła w zagęszczonym powietrzu. Dziewczyna bezskutecznie walczyła z więżącą ją mocą.

Czarodziej uniósł ręce. Kahlan zobaczyła błysk. Krzyknęła, czując, jak przenika ją chłód. Miała wrażenie, że wskoczyła nago do lodowatej rzeki. Trzęsła się gwałtownie. Mroźny chłód załzawił jej oczy. Wydawało się, iż lodowaty ból osiągnął maksymalne natężenie, a chwilę potem jeszcze się wzmaczał. Dziewczyna miała uczucie, że wrywają jej serce z piersi, że wrywają jej trzewia. Krzyczała z bólu. Ogłuszona cierpieniem, uświadomiła sobie nagle, że klęczy. Ranson trzymał dłonie nad jej głową.

Ból minął i Kahlan ogarnęła panika.

Zniknęła jej moc.

Tam, gdzie zawsze ją wyczuwała, choć przeważnie nie była jej świadoma, czuła teraz przeraźliwą pustkę.

Tak często chciała się pozbyć swojej mocy, lecz nigdy nie wyobrażała sobie, jak to będzie bez magii. Znowu krzyknęła. Płakała nad tą pustką, płakała z opuszczenia i żalu. Czuła się, jakby postawiono ją nago przed tłumem.

Kahlan powstrzymała łzy. Nie pozwoli, żeby ci ludzie widzieli płaczącą Matkę Spowiedniczkę. Nie - nie pozwoli, by wiedzieli, jak płacze Kahlan Annell.

Ranson dobył miecza księcia Fyrena. Staął za dziewczyną. Złapał ją za włosy, naciągnął je mocno. Zamachnął się mieczem i obciął Kahlan włosy tuż nad karkiem. Było to równie szokujące jak pozbawienie mocy. Richard kochał jej włosy. Połknęła łzy.

Neville Ranson uniósł wysoko pięść z odciętymi włosami Kahlan, tłum wrzeszczał radośnie. Dziewczyna klęczała, patrząc przed siebie. Żołnierz związał jej ręce na plecach. Ranson złapał ją pod pachę i podniósł na nogi.

- Pierwsze się dokonało, Matko Spowiedniczko. Odarłem cię z mocy i jej symboli. Tak jak obiecałem. Teraz czas na resztę.

Kahlan milczała - nie było nic do powiedzenia - a Ranson i grupka szczerzących zęby strażników wiedli ją przez pałac. Nie zwracała uwagi na to, dokąd ją prowadzą. Myślała o Richardzie, łudząc się, że ten pamięta, jak go kocha. Zatraciła się we wspomnieniach o nim. Zniknęło to, co ją otaczało. Wkrótce zniknie i życie. Opuściły ją dobre duchy. Była obojętna wobec wszystkiego, co się działo. Poczucie braku mocy sprawiało, że niemal straciła wszelkie uczucia. Nigdy nie wiedziała, jak wiele znaczyła dla niej magia, że stanowiła część jej istoty. Przekonała się o tym dopiero teraz, kiedy ta zniknęła. Zastanawiała się, czy ludzie pozbawieni mocy cały czas czują taką głuchą, ponurą pustkę. Nie wyobrażała sobie życia bez magii. Pragnęła śmierci, która położyłaby kres temu straszному odczuciu. Tylko Richard zaakceptował ją wraz z jej mocą. Ona sama tego w pełni nie akceptowała, lecz Richard - tak. A teraz było za późno. Kahlan bardziej cierpiała z powodu utraty magii niż utraty życia. Teraz wiedziała, co czuły inne magiczne istoty, kiedy się im coś takiego przytrafiło. Bolała nad nimi.

Dłoń Ransona, zaciśnięta na ramieniu Kahlan, szarpnęła nagle dziewczynę i zatrzymała ją przed żelaznymi drzwiami, w ciemnym korytarzu - Jeden ze strażników trudził się nad zardzewiałym zanikiem w żelaznych drzwiach. Kahlan rozpoznała je. Tam, na dole, wysłuchiwała spowiedzi.

- Teraz spełnię drugą obietnicę, Matko Spowiedniczko - powiedział szyderczo Ranson. - Pozbawię cię godności.

Złapał ją za obcięte włosy, aż straciła oddech, i szarpnął w tył jej głowę. Kiedy tak stała, zupełnie bezbronna, ze związanymi na plecach rękami i włosami w jego pięści, Ranson pocałował ją w szyję.

Dokładnie w to samo miejsce, co Rahl Posępny.

I takie same okropieństwa przemknęły przez umysł Kahlan. Zadrzała z odrazy i przerażenia owymi wizjami. Znów zobaczyła młode kobiety z Ebinissii, lecz tym razem była jedną z nich.

- Sam bym cię zgwałcił - szepnął jej do ucha Ranson - lecz twoje poczucie honoru napawa mnie obrzydzeniem.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem i Ranson w milczeniu wrzucił Kahlan w czeluść.

ROZDZIAŁ 59

Kahlan spadała. Wstrzymała oddech, lecz zanim zdołała w pełni ocenić, co się stanie, gdy uderzy o podłogę, złapały ją krzepkie łapy. Złożyły dziewczynę na zimnych kamieniach. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, światło zniknęło. Słaby blask kopcącej pochodni ukazał tłoczących się wokół, szczerzących zęby w uśmiechu mężczyzn.

Sznur wpijał się w nadgarstki Kahlan. Przerazenie i bezradność popchnęły ją do desperackich czynów. Kopnęła mężczyznę w pachwinę. Leżała na plecach, więc mogła siał zniszczenie. Wbiła obcas w twarz innego, który się nad nią pochylał. Odskoczył z krzykiem. Energicznie kopała pozostałych.

Złapali ją za kostki. Usiłowała wyszarpnąć nogi, lecz trzymali mocno. Przetoczyła się na bok, wyrwała i schroniła w kącie. Wolność trwała sekundy. Ponownie chwycili ją za kopiające nogi.

Kahlan walczyła i desperacko usiłowała coś wymyślić. Jakaś iskierka myśli próbowała przyciągnąć uwagę dziewczyny. Coś o Zeddzie, ale było to bardzo mętne.

Dobierający się do niej mężczyźni zadarli wysoko białą suknię. Łapy miętosiły uda Kahlan. Grube, mięsiste paluchy ściągnęły z niej bieliznę. Poczwała zimne powietrze i dotyk szorstkich rąk. Walczyła z mężczyznami i z własnym przerażeniem.

Na podłodze leżało dwóch - jeden trzymał się za krocze, drugi spoczywał nieruchomo, z zalaną krwią twarzą. Miał złamany nos. Zostało jeszcze dziesięciu i wszyscy naraz próbowali dopaść Kahlan. Odpychali się, każdy chciał paść na dziewczynę. Zwycięzał najsilniejszy. Kahlan nie mogła oddychać.

Iskierka, tłąca się w głębi jej umysłu, rozgorzała nagle. Dziewczyna przypomniała sobie, jak pytała Zedda, czy mógłby pozbawić ją mocy. Chciała się jej pozbyć, żeby móc być z Richardem. A Zedd odparł, że nie można Spowiedniczki pozbawić mocy, że rodzi się ona z magią i są nierozłączne, dopóki kobieta żyje.

Jakże więc Ranson mógł pozbawić ją mocy? Zedd był czarodziejem pierwszego stopnia. Żaden czarodziej nie miał takiej mocy jak czarodziej

pierwszego stopnia. Dlaczego Ranson nie chciał jej pierwszy zgwałcić? Powiedział, że ona, Kahlan, budzi w nim obrzydzenie. Oznajmił jednak również, iż pragnie ją pozbawić godności. Dlaczego nie chciał jej zgwałcić?

Chyba, że się bał.

Bał się, iż ona się domyśli. Czego się domyśli?

Zrozumiała. Pierwsze prawo magii.

Ludzie uwierzą we wszystko, w co chcą uwierzyć. Lub jeżeli się boją, że to prawda. Bała się, że on naprawdę pozbawił ją mocy. Może posłużył się swoją magią, by zadać jej ból i sprawić, aby nie czuła własnej mocy. Oszukańczo skłonić do wiary w to, czego się obawiała.

Mężczyźni sięgali po Kahlan, a ona sięgała po własną moc. Usiłowała odnaleźć spokój, siedzibę swojej magii, lecz nie mogła. Czuła jedynie pustkę. Tam, gdzie niegdyś drzemała magia, była teraz próżnia, całkowita pustka.

Łapy na jej nogach i pomiędzy nimi wywoływały w Kahlan chęć płaczu, ale nie mogła stracić panowania nad sobą - w tym tkwiła jej jedyna szansa. Starła się z całych sił, jednak nie potrafiła odnaleźć magii, nie potrafiła jej przywołać. Moc zniknęła. Tak chciałaby mieć wolne ręce.

- Czekać! - wrzasnęła.

Zamarli na chwilę, cofnęli głowy i spojrzeli na dziewczynę. Chciwie chwytali powietrze.

Mów, nakazała sobie, dopóki masz po temu okazję.

- Źle się do tego zabieracie! Roześmiali się.

- Jakoś sobie poradzimy! - odparł któryś.

Kahlan starała się zapanować nad strachem i myśleć. Zrobią to, co zamierzają, i ona ich nie powstrzyma. Szarpanina z nimi nic nie da, wyłącznie nasili jej przerażenie. Myślenie-to jej jedyna szansa. Musi ich jakoś przyhamować i zyskać czas na myślenie.

- W ten sposób pozbawicie się całej przyjemności.

- Co masz na myśli? - nachmurzyli się.

- Jeżeli będziecie się bić ze sobą i szarpać ze mną, to nie nacieszycie się mną jako kobietą. Czy nie byłoby przyjemniej, gdybym z wami współdziałała?

Patrzyli na siebie nawzajem. Odezwał się ten z boku:

- Ma rację. Z królową wcale nie było fajnie, kiedy leżała jak śnięta ryba.

- Królowa? - spytała Kahlan. - Jaka królowa? Przechwalacie się tylko,

chłopy. Nie mieliście żadnej królowej.

- Królowa Cyrilla - odparł kolejny z nich. - Mdląła, a potem pomieszało się jej w głowie i leżała cały czas jak zdechła ryba. Ale i tak ją braliśmy. Mieliśmy królową. Wciąż...

Kahlan zdławiła krzyk, zdławiła dziką chęć wierzgania, jaką wzbudziło w niej to, czego się przed chwilą dowiedziała. Inaczej skończyłaby jak Cyrilla. Myślenie - to jej jedyna szansa. Potrzebowała czasu, żeby dotrzeć do swojej magii. A jeśli ją odzyska, to powinna jakoś odseparować mężczyzn. Bo w przeciwnym razie dziewięciu z łatwością pokona tego jednego. Najpierw musiała wszystko właściwie zorganizować, na wypadek gdyby magia zadziałała. I tym jedynym powinien być najsilniejszy.

Kahlan na chwilę porzuciła ów pomysł. Bała się, że to jej nie uratuje i że - co gorsza - zabraknie jej sił, by to uczynić. Lecz potem zrozumiała, iż nawet jeśli się nie powiedzie, to i tak nie będzie miało znaczenia. Tak czy owak ją zgwałcą. Powinna spróbować. Nie miała nic do stracenia.

- Słuchajcie no. Nie wolelibyście, żebym była chętna? Będę tu przez wiele dni. Dostaniecie o wiele więcej niż zwykłą działkę. Nie wolelibyście, bym pomagała? Wszyscy dostalibyście to, czego chcecie. - Miała uczucie, że zwymiotuje.

- Gadaj dalej - ponaglił ją gruby głos najsilniejszego z nich. Kahlan zebrała się w sobie.

- Ja nigdy... jeszcze nie miałam mężczyzny. - Skwitowali to radosnymi pohukiwaniami. Odczekała, aż znów się na nią pożądliwie zagapia; z trudem stłumiła krzyk, wywołany wyrazem ich oczu. - Jak powiedziałam, nigdy nie miałam mężczyzny. Wiem, że mnie weźmiecie, i nie mogę wam w tym przeszkodzić. Skoro to i tak ma się stać, to wołałabym... żeby mi to sprawiło przyjemność.

Ich głodne uśmiechy stały się jeszcze szersze.

- Taa? A jak myślisz, co by ci się najbardziej spodobało, paniusiu?

- Gdybyście to robili kolejno, jeden po drugim. Czy i dla was nie byłoby to lepsze? Gdybyście się nie odpychali i czekali na swoją kolej, to każdy z was bardziej doceniłby to, co prawdziwa kobieta ma do zaoferowania.

Złapali dziewczynę za nogi, rozłożyli je siłą. Warknęli, że i tak dostaną, czego chcą, dostaną to swoim sposobem. Największy, ten z grubym głosem, odciągnął ich od Kahlan i rzucił jednym o ścianę. Głowa owego mężczyzny

walnęła o mur z głuchym stukiem,

- Dajcie jej mówić! Gada do rzeczy! - Skierował na dziewczynę rozeźlone ślepia. - Posłuchajmy, co proponuje.

Kahlan starała się mówić spokojnie i tak, jakby ją ten pomysł zaciekawiał. Poruszyła ramionami i z tupetem - przynajmniej miała nadzieję, że tak to zabrzmiało - oznajmiła:

- Jeśli zrobicie to na mój sposób, to dam wam wszystko, czego zapragniecie. Zadbam, żebyście się dobrze zabawili.

Niektórzy zachichotali. W oczach olbrzyma zabłysła podejrzliwość.

- Czemu? Skąd mamy wiedzieć, że nie łżesz?

- Bo to i mnie sprawi przyjemność. - Kahlan ukryła przerażenie. - Rozwiąż mi ręce, a udowodnię, że nie kłamię.

Pochyliła się do przodu, a olbrzym rozwiązał jej ręce; inny wykorzystał tę okazję i obmacywał jej piersi. Nie protestowała. W końcu miała wolne dłonie. Rozmasowała bolące nadgarstki, a potem uśmiechnęła się do olbrzyma i musnęła palcami jego policzek. Odtrącił jej dłoń.

- Marnujesz czas. Lepiej pokaż, że mówiłaś prawdę.

Kahlan uzbroiła się w męstwo i oparła o ścianę. Zadarła suknię powyżej pasa, podciągnęła w górę kolana i rozłożyła nogi. Popatrzyła na olbrzyma.

- Dotknij mnie.

Sięgnęli do niej trzej z tamtych mężczyzn. Odtrąciła ich dłonie.

- Po jednym, mówiłam! - Spojrzała wielkoludowi prosto w oczy, kiedy je podniósł. Górował wzrostem nad tamtymi. - Jak się nazywasz?

- Tyler.

- Po jednym, kolejno! Ty pierwszy, Tyler. Dotknij mnie.

Ciężki oddech odbijał się echem od kamiennych ścian. Wielkolud wyciągnął rękę i pogłaskał Kahlan. Z trudem się powstrzymała, by nie zewrzeć kolana. Zmusiła się do dyszenia. Modliła się, żeby Tyler nie zauważył, jak się trzęsie.

Na grubo ciosaną twarz wypłynął uśmiech, krzepka łapa szukała. Dziewczyna nieśmiało odsunęła jego dłoń, złączyła kolana.

- Widzisz? Czy to nie lepsze niż wydelikacna panusia, co mdleje przy pierwszym dotknięciu i leży na podłodze jak śnięta ryba?

Reszta mężczyzn przyznała, że lepsze. Tyler łypnął na Kahlan podejrzliwie.

- Wyglądasz jak jedna z tych Spowiedniczek. Parsknęła śmiechem.

- Spowiedniczka! - Uniosła kosmyk krótkich włosów; o mało co nie rozpląkała się z żalu, kiedy poczuła, jakie są krótkie. - Czy to są włosy Spowiedniczki?

- Nie... ale ta suknia...

- Hmm, nie nosiła jej, więc ją sobie pożyczyłam - oparła Kahlan.

- O ile wiem, to nie obcinają głowy za kradzież sukni. Cóżeś zrobiła, że cię do nas wrzucili?

- Nic nie zrobiłam. - Dziewczyna dumnie uniosła głowę. - Jestem niewinna.

Roześmiali się. Oznajmili, że i oni są niewinni. Tyler się nie śmiał. W oczach miał niebezpieczny błysk. Kahlan wiedziała, że musi coś zrobić, i to szybko.

Serce waliło jej tak mocno, że miała uczucie, iż lada moment wyskoczy jej z piersi. Ujęła dłoń Tylera w obie ręce i włożyła pomiędzy nogi, ścisnęła udami. Pożądliwy uśmiezek stał z twarzy Tylera wszelką podejrzliwość.

- No to co mamy robić? - zapytał.

- Ja zostanę w tym kącie, a wy przesuniecie się tam. Będę z każdym po kolei. W ten sposób poczuję się na tyle bezpiecznie, żeby mi to sprawiło przyjemność, i na tyle swobodnie, żeby każdego z was zadowolić. - Spojrzała na wielkoluda i oblizwała usta, uśmiechając się. - I jeszcze jeden warunek. Chcę, byś ty był pierwszy. Zawsze chciałam naprawdę wielkiego chłopa.

Zadrżała, widząc wyraz jego oczu. Powiedziała sobie, że jest Matką Spowiedniczką, że nie wolno jej tracić głowy. Znów oblizwała wargi i poruszyła się pod jego ręką.

Tyler wybuchnął śmiechem. Pozostali zawtórowali mu nerwowych rechotem.

- Wy, dumne paniusie, zachowujecie się dostojniej niż inni, lecz jak przyjdzie co do czego, to jesteście takimi samymi dziwkami jak reszta. - Uśmiech zniknął z jego twarzy tak nagle, że serce Kahlan zgubiło uderzenie.

- Skręciłem kark ostatniej dziwce, co się zachowywała, jakby była czymś lepszym niż ja i chciała zmienić zdanie. Ten tam czarodziej zapowiedział, co nam zrobi, jeśli cię zabijemy, ale to nie znaczy, że się nie możemy postarać, byś gorzko pożałowała, jeżeli nie dotrzymasz słowa. - Kahlan zdołała tylko się uśmiechnąć i kiwnąć głową. - No, to do dzieła.

Jednym machnięciem ramienia przepędził pozostałych pod przeciwległą ścianę lochu. Kahlan desperacko starała się wyczuć swoją magię. Powiedział im, żeby ustalili, kto będzie następny. A potem obrócił się ku dziewczynie. Zaczął rozpinąć spodnie.

Kahlan energicznie szukała jakiegoś wybiegu. Potrzebowała czasu, by odnaleźć swoją moc.

- A może by tak najpierw całusa?

- Nie potrzebuję całusa - burknął. - Rozłóż nogi jak przedtem. Podobało mi się.

- Jednak całus wielkiego, przystojnego chłopca podnieca kobietę i ona chce mu dogodzić.

Wahał się przez chwilę, potem otoczył prawym ramieniem barki dziewczyny i powalił ją obok siebie na podłogę.

- Lepiej szybko się podnieć, zanim stracę cierpliwość.

- Obiecuję. Ale najpierw mnie pocałuj.

Tyler przycisnął wargi do ust Kahlan. Zachłysnęła się powietrzem, bo drugą łapę wsunął jej zniechęca między nogi i nie było to już łagodne dotknięcie. Wielkolud uznał, że owo sapnięcie oznacza współdziałanie i mocniej przycisnął wargi do ust dziewczyny. Objęła go ramionami za szyję. Bijący odeń odór przyprawiał ją o mdłości.

Kahlan starała się skoncentrować, odszukać wewnętrzny spokój - tak jak to zawsze robiła, zanim uwolniła moc. Nie mogła jednak odszukać owego spokoju. Desperacko starała się wyczuć narastanie mocy, ale nic nie czuła. Owo niepowodzenie wywołało łzy. Tyler coraz bardziej dyszał. Tak mocno gniół wargami jej usta, że aż miażdżył je o zęby dziewczyny. Udawała, iż sprawia jej to przyjemność.

To, co łapa Tylera czyniła pomiędzy nogami Kahlan, wprawiało dziewczynę w panikę, niemal uniemożliwiało koncentrację; nie odważyła się go jednak powstrzymać. Strach dusił ją za gardło, lecz zmuszała się, by nie zewrzeć przed nim nóg. Mocniej wbiła obcas w podłogę. Czuła, jak drżą schowane w butach stopy.

Kahlan przywołała się do porządku. Przecież jest Matką Spowiedniczką. Niezliczone razy posługiwała się swoją mocą. Spróbowała raz jeszcze, ale nic się nie stało. Wspomnienie młodych kobiet z Ebinissii nie pozwalało jej się skupić. I wtedy pomyślała o Richardzie. Omal nie zaczęła zawodzić z

tęsknoty za nim. Jeżeli chce znowu go ujrzeć, to musi się postłużyć swoją magią. Musi być silna. Musi to dla niego zrobić.

Nic się nie stało. Kahlan uświadomiła sobie, że pochlipuje z frustracji pod ustami Tylera. On zaś uznał to za namiętny wybuch. Cofnął o kilka cali twarz.

- Bardziej rozłóż nogi, żeby wszyscy widzieli, jak taka fajna paniusia pragnie Tylera.

Kahlan posłusznie przyciągnęła bliżej siebie stopy i szerzej rozchyliła kolana. Mężczyźni przywitali to aprobującymi wrzaskami. Dziewczyna czuła, jak ją palą uszy. Pamiętała, co Ranson mówił o odebraniu jej godności. Tyler znów przycisnął wargi do jej ust. Z kącików oczu Kahlan spływały łzy.

Nie udawało się. Nie mogła odnaleźć mocy - jeśli nadal nią dysponowała. Lecz nie miała wyboru. Musi przejść przez wszystko, co obiecała mężczyznom. Gdyby im odmówiła, jeszcze by ją pobili. Nie było ucieczki.

Dziewczyna pomyślała o biednych kobietach w Ebinissii. To samo czeka i ją. Beznadzieja. Poddawa się. Ugięła się pod tym, co się miało zdarzyć.

Nagle przypomniała sobie słowa ojca: „Jeżeli kiedykolwiek się poddasz, Kahlan, to przepadaś. Walcz każdym oddechem. Do ostatniego tchu, jeśli tak trzeba, ale się nie poddawaj. Nigdy. Nie ułatwiał im zwycięstwa. Walcz tym, co masz, do ostatniego tchu”. A ona tego nie robiła. Poddawała się.

Tyler usiadł.

- Starczy tego całowania. Jesteś gotowa.

To koniec. Kahlan zastanawiała się, czy Richard ją za to znienawidzi. Nie. Będzie wiedział, że nie miała wyboru. Byłby zawiedziony jedynie wtedy, gdyby ona się wstydziła, że padła ofiarą gwałtu. Wycierpiał nieopisane męki, zanim Denna zrobiła, co chciała. Wiedział, co to znaczy być bezbronnym. Ona, Kahlan, nie winiła go za to, co na nim wymuszono. On też by jej nie winił. Pocięszyłby ją.

Jeśli to nie zadziała z tym mężczyzną, powiedziała sobie Kahlan, to może zadziała z następnym. Spróbuje z każdym. Nie podda się. Przy każdym spróbuje odnaleźć swoją moc.

- Nie składaj nóg - warknął Tyler, rozpinając spodnie. Kahlan zdała sobie sprawę, że bezwiednie zsunęła kolana. Znowu posłusznie rozchyliła nogi; po jej policzku spłynęła łza.

Pomóżcie mi, dobre duchy, pomodliła się.

Nie. Dobre duchy nigdy przedtem jej nie pomogły. Nigdy nie przyszły jej z pomocą, pomimo jej działań na ich korzyść, pomimo jej próśb. I tym razem nie pomogą.

Niech Opiekun weźmie sobie te bezużyteczne dobre duchy.

Nie bez dziewczyno, nauczyła się. Walcz. Do ostatniego tchu, jeśli będzie trzeba.

- Jeszcze jeden całus, proszę - powiedziała.

- W sam raz ich dostałaś, tych całusów. Czas na to, co obiecywałaś. Czas na mnie.

Kahlan przyciągnęła do siebie stopy, rozchyliła nogi najszerszej jak zdołała i kręciła siedzeniem, a Tyler uśmiechał się obleśnie.

- Nooo? Jeszcze nikt mnie nie całował tak jak ty. Jeszcze tylko jeden. Malutki. - Patrzyła, jak dyszy. - A potem ci dogodzę jak jeszcze żadna. Jeszcze tylko jeden całus.

Tyler padł na nią, pomiędzy jej nogi. Ciężar wielkoluda sprawił, że dziewczyna straciła oddech.

- Tylko jeden, a potem dajesz, coś obiecała.

Przycisnął wąsatą twarz do twarzy Kahlan. Nie panował nad sobą. Wargami miażdżył jej usta o zęby. Dziewczyna próbowała nie zwracać uwagi na boleśnie przygniatające ją, rozognione cielsko. Przytknęła dłonie do muskularnej szyi Tylera. Jej płuca płonęły z braku powietrza. To ostatnia szansa. Ostatni oddech. Walcz, nakazała sobie. Walcz.

Dla Richarda.

I - jak niezliczone razy przedtem - opuściła bariery, choć nie czuła żadnego naporu mocy.

To było jak skok w czarną, bezdenną czeluść.

Rozległ się bezdźwięczny grom.

Gwałtowne uderzenie sprawiło, iż posypał się deszcz kamiennego pyłu.

Mężczyźni krzyknęli z bólu - stali za blisko, kiedy Kahlan uwolniła swoją moc.

Dziewczyna niemal krzyknęła z radości. Znowu czuła w sobie magiczną moc. Słabą, gdyż dopiero co się nią posłużyła, ale czuła ją. Wróciła. Nigdy jej nie opuściła: Ranson posłużył się magią, by Kahlan uwierzyła w jego kłamstwo.

Twarz Tylera zwiotczała, cofnął się, spojrzął dziewczynie w oczy.

- O pani! - wyszeptał. - Rozkazuj mi! Tamci podkradli się ku nim.
- Broń mnie!

Głowy rozbijały się o ściany, plamiąc kamień krwią. Tyler złamał któremuś ramię. W lochu rozbrzmiewały bolesne wrzaski. Przez kilka minut szalała wściekła walka, aż Kahlan zdołała tak pokierować Tylerem, by uzyskać to, o co jej chodziło - rozejm.

Nie chciała, żeby walczył ze wszystkimi. Gdyby udało się im zyskać nad nim przewagę, byłoby po niej. Chciała, by siedzieli oddzielnie - tamci w swoim kącie, a ona ze strzegącym jej Tylerem. To było najbezpieczniejsze, dawało szansę przeżycia do czasu, aż znowu odzyska moc.

Kahlan wykrzykiwała rozkazy i do Tylera, i do pozostałych mężczyzn. Szóstciu zostało na nogach: wściekli, zdolni do walki. Jeden wił się na podłodze, wrzeszcząc z bólu; złamana kość sterczała z przedramienia. Czterej - w tym ten, którego kopnęła w twarz - leżeli nieruchomo.

Dziewczyna obiecała mężczyznom, że powstrzyma Tylera, jeśli pozostaną w swoim kącie. Niechętnie przeszli na drugą stronę lochu, wlokąc za sobą pozostałych. Wrzaski przekonały ich, że powinni poczekać na stosowną chwilę, zanim rzucą się na wielkoluda z oszalałymi oczami. Kahlan skłoniła ich do oddania jej bielizny, grożąc, że inaczej wyśle po nią Tylera.

W końcu usiadła w kącie i oparła się plecami o mur. Tyler stanął przed nią, w półprzysiadzie. Przerzucił ciężar ciała z jednej stopy na drugą, ramiona ułożył w pozycji do walki. Tamci obserwowali oboje, usadowieni pod przeciwległą ścianą. Kahlan wiedziała, iż ten wymuszony rozejm nie przetrwa zbyt długo. Tyler wcześniej czy później straci siły i energię. Wtedy go dostaną. A potem dostaną ją. Tamci też to wiedzieli.

ROZDZIAŁ 60

Noc mijała. Tyler strzegł Kahlan, a tamci ich obserwowali. Dziewczyna chwilami zapadała w krótki, niespokojny sen. Nie miała pojęcia, która była godzina, ale sądziła, że już po północy, bliżej świtu. Bała się. Wiedziała, iż wcześniej czy później zawiodą ją na szafot, a mimo to cieszyła się, że odzyskała moc, że pokonała tamtych. Dobre duchy nie pomogły jej - sama sobie pomogła. Była dumna z tego, czego dokonała. Nie poddała się.

A dobre duchy zostawiły ją, jak zawsze. Kahlan była na nie wściekła. Ani razu jej nie pomogły, choć przez całe swoje życie dbała o to, by je czczono.

Nigdy więcej. Skończyła raz na zawsze z dobrymi duchami, podobnie jak z próbami pomocy niewdzięcznym ludom Midlandów. Bo i co jej to dało? W komnacie rady dowiedziała się co. Zyskała żywą, dozgonną nienawiść swojego ludu. Ludzie, dla których walczyła, sądzili, iż krzywdzi dzieci. Ludzie nie lubili Spowiedniczek i z najrozmaitszych powodów bali się ich, a mimo to Kahlan osłupiała ze zdumienia, dowiadując się, co naprawdę o niej myślą.

Od teraz będzie się troszczyć wyłącznie o siebie, o swoich przyjaciół i o Richarda, a resztę niech sobie bierze Opiekun. Może sobie ich wszystkich wziąć. Ona, Kahlan, już z tym skończyła.

Nie będzie już Matką Spowiedniczką. Będzie po prostu Kahlan.

Pochodnia zgasła, loch pogrążył się w ciemnościach.

- Dzięki, dobre duchy! - wrzasnęła ile tchu w piersiach; jej głos odbił się echem od ścian lochu. - Oby was porwał Opiekun!

Korzystając z ciemności, mężczyźni zaatakowali Tylera. Kahlan nie wiedziała, co się dzieje. Słyszała pomruki, wrzaski i łomoty.

Słyszała również jakieś dudnienie. Nie pojmowała, co to takiego. A potem dobiegł jej przytłumiony głos, wykrzykujący jej tytuł. Ów znajomy głos dochodził z góry.

- Chandalenie! Chandalenie! Jestem tutaj! Otwórz drzwi!

- Matko Spowiedniczko! - odkrzyknął głos zza drzwi. - Jak mam je otworzyć!?

Kahlan wrzasnęła, bo jakaś ręka złapała ją za kostkę i zbiła z nóg. Chandalen coś zawołał. Tyler złapał palce trzymające kostkę dziewczyny i

odchyłał je do tyłu, dopóki się nie złamały. Mężczyzna wrzasnął w mroku.

- Chandalenie! Potrzebny ci klucz! Użyj klucza!

- Klucz? A co to takiego!?

- Chandalenie! - Dziewczyna zepchnęła z brzucha czyjąś głowę. - Chandalenie! Pamiętasz pobyt w mieście z martwymi ludźmi? Pamiętasz zamkniętą na zamek komnatę królowej? Ja pokazałam ci otwierający drzwi klucz. Jeden ze strażników ma u pasa kółko! Na tym kółku wisi klucz! Pospiesz się!

Kahlan rozpoznała pomruk przypartego do ściany Tylera. Słyszała, jak trzeszczą szczęki łamane jego pięścią. Z góry doleciał metaliczny brzęk.

- Matko Spowiedniczko! Nie chce się przekręcić!

- To znaczy, że jest zły! Wypróbuj następny!

Ktoś wpadł na Kahlan i przewrócił ją na podłogę. Sięgnęła paznokciami do oczu intruza. Uderzył ją pięścią w brzuch.

Znienacka do lochu wpadł słup światła. Tyler zobaczył na Kahlan jednego z tamtych i zrzucił go. Zsunęto drabinę.

- Tylerze! Nie dopuszczaj ich do drabiny!

Kahlan rzuciła się do drabiny i wspięła po niej. Mężczyźni zwalili się na Tylera. Słyszała, jak jęczy, potem chrupnął skrzyżowany kark. Czyjaś pięść trafiła ją w łydkę i stopa dziewczyny ześliznęła się ze szczebla. Chwycili ją za kostki. Kopnęła najbliższego mężczyznę w twarz i dokończyła wspinaczkę. Napastnik poleciał do tyłu, pociągając za sobą pozostałych. Pozbierali się i gwałtownie ponowili atak.

Kahlan sięgnęła ku wyciągniętej z góry ręce. Chandalen złapał ją za nadgarstek i wyciągnął na korytarz. Uderzył wdrapującego się za nią mężczyznę. Tamten poleciał w dół, a łowca zatrzasnął drzwi. Zasapana Kahlan padła mu w ramiona.

- Chodź, Matko Spowiedniczko. Musimy się wydostać z tego pałacu.

Wszędzie leżeli martwi strażnicy, zabici bezgłośnie *troga* przez Chandalena. Łowca wziął Kahlan za rękę i pobiegli ciemnymi, ociekającymi wilgocią korytarzami, a potem schodami w górę. Dziewczyna zastanawiała się, jak Chandalen dotarł aż do drzwi lochu. Ktoś musiał pokazać mu drogę.

Skręcili za róg i zobaczyli krwawe pobojuwisko. Wszędzie leżeli zabici. Tylko jeden człowiek trzymał się na nogach. Orsk. Wielki bojowy topór umazany był zakrzepłą krwią. Orsk ujrzał Kahlan i z radości omal nie

wyskoczył ze skóry. A ona niemal się wzruszyła, widząc jego pokiereszowaną twarz.

- Kazałem mu czekać - wyjaśnił Chandalen, ciągnąc Kahlan przez okrwawione szczątki. - Obiecałem mu, że cię sprowadzę, jeżeli zaczeka i przypilnuje tego korytarza.

Łowca spojrział na dziewczynę i zmarszczył się. Kahlan pojęła, że patrzy na jej włosy, a raczej na to, co z nich zostało. Nic jednak nie powiedział i była mu za to wdzięczna. Dziwnie było nie czuć ciężaru długich włosów. Serce Kahlan pękało z żalu. Kochała swoje włosy, Richard również.

Dziewczyna pochyliła się i podniosła wojenny topór jednego z martwych strażników. Pewniej się czuła z bronią ręce, bo nie odzyskała jeszcze w pełni mocy.

Chandalen złapał Kahlan za rękę i skoczył ku drzwiom; Orsk chronił tyły. Zaraz za odrzwiami kapitan gwardzistów przyciskał do ściany jakąś kobietę. Zarzuciła mu ręce na szyję i całowała go, a on wsunął jej dłonie pod sukienkę. Odwrócił głowę, zaskoczony, posłyszawszy zbiegów. Chandalen wbił mu nóż pod zebro.

- Chodź! - powiedział do kobiety. - Już jest z nami!

Tamta przyłączyła się do nich i ruszyli. Kahlan obejrzała się zdumiona. Dama w pelerynie z kapturem była tą samą, która zemdlała. To była Jebra Bevinvier.

- Co się dzieje? - spytała ją Kahlan.

- Wybacz, Matko Spowiedniczko, że wtedy zemdlałam. Miałam wizję, w której zostałam ścięta. To było takie okropne, iż zasłabłam. Wiedziałam, że muszę pomóc i zapobiec spełnieniu tej wizji. Powiedziałaś mi, że w lesie został twój przyjaciel. Poszłam tam i odnalazłam go.

Przyłgnęli do ściany i zaczekali, aż patrol przejdzie przez przyległe pomieszczenie. Kiedy ucichł odgłos kroków, Chandalen odwrócił się i obrzucił Jebra gniewnym spojrzeniem.

- Co ty wyprawiałaś z tamtym człowiekiem! Jebra zamrugowała ze zdumienia.

- Był kapitanem gwardzistów. Wyruszył na obchód z całym oddziałem. Przekonałam go, by na chwilę odesłał żołnierzy. Tylko to zdołałam wymyślić, żeby ustrzec was przed schwytaniem przez pięćdziesięciu ludzi.

Chandalen mruknął, iż może to i prawda. Kahlan powiedziała Jebraze, że

dzielnie się zachowała i że ona, Kahlan, dobrze rozumie, ile to wymagało odwagi. Jebra zapewniała, że wcale nie jest bohaterką i absolutnie nie zamierza nią być.

Pani Sanderholt czekała na nich przy skrzyżowaniu ze sklepionym korytarzem. Kahlan krzyknęła i objęła ją. Pani Sanderholt wyciągnęła obandażowane ręce, wskazując kierunek.

- Nie teraz, Matko Spowiedniczko. Musicie uciekać. Tędy jest bezpiecznie.

Grupka zbiegów pospieszyła we wskazanym przez panią Sanderholt kierunku, lecz Kahlan ruszyła w przeciwną stronę. Tamci zawrócili i pobiegli za nią.

- Co ty wyprawiasz!?! - ryknął Chandalen. - Musimy uciekać!

- Muszę coś zabrać z mojej komnaty.

- Cóż może być ważniejszego niż ucieczka!?

- Nóż dziadka - odparła, biegnąc dalej.

Poszli za nią, bo zrozumieli, że nie odstąpi od swego zamiaru. Kahlan poprowadziła ich przez labirynt mniejszych i rzadziej patrolowanych holi. Kilka razy natknęli się na gwardzistów. Kiedy rzucali się na Kahlan, Orsk robił z nich sieczkę. Gdy dziewczyna ukazała się zza rogu na wieńczącym szczyt schodów podeście, okręcił się ku niej zdumiony strażnik. Kahlan zebrała wszystkie siły i wbiła mu topór w pierś. Upadł na plecy, jego miecz brzęknął o posadzkę. Dziewczyna postawiła stopę na jego brzuchu i próbowała wyrwać oręż. Pokazały się bąble krwi i powietrza, ale topór tak mocno ugrzązł w mostku, iż nie mogła go wydostać. Na wszelki wypadek podniosła więc keltoński miecz żołnierza. Chandalen trochę się zdziwił, lecz zanim dotarli do jej komnat, Kahlan miała okazję posłużyć się owym mieczem z tym samym skutkiem co wcześniej toporem.

Kahlan wpadła do sypialni, a pozostali czekali w pierwszej komnacie, odpoczywając przy okazji. Dziewczyna zobaczyła swoją błękitną ślubną szatę i zamarła. Podniosła ją, przytuliła do piersi. To po nią tu wróciła. Nie chciała jej zostawiać, bo nie zamierzała kiedykolwiek wracać do pałacu. Uroniła łzę na błękitną szatę, potem ciasno ją zwinęła i wepchnęła do plecaka. Reszta ubrań z plecaka także została wyprana. Dziewczyna ponownie je tam wepchnęła. Przymocowała nóż do lewego ramienia i narzuciła pelerynę na ramiona. Pospiesznie napięła łuk. Potem przemknęła

przez pierwszą komnatę z plecakiem i kołczanem na plecach i łukiem na ramieniu. Miała wszystko, czego potrzebowała. Wszystko, co miało dla niej jakieś znaczenie. Zatrzymała się na chwilę i po raz ostatni spojrzała na swoją komnatę, obracając w palcach okrągłą kość w naszyjniku. Poprowadziła zbiegów bocznym przejściem, kierując się ku wyjściu z pałacu.

Dziewczyna straciła rachubę, ilu żołnierzy Chandalen uśmiercił *troga* lub nożem. Sama przebiła mieczem strażnika, który wyskoczył z bocznego holu i usiłował zrzucić ich ze schodów. Czwórka uciekinierów była jak mknąca przez pałac śmierć. Dzwony na wieży wściekle biły na alarm.

Na podeście wiodącym ku głównym schodom Orsk obciął strażnikowi głowę. Ciało stoczyło się ze schodów, znacząc je krwią, jakby rozścielało przed nim czerwony dywan. Bezgłowy żołnierz zatrzymał się pod posągami Magdy Searus, pierwszej Matki Spowiedniczki.

Zbiegali po kamiennych stopniach, a odgłos kroków odbijał się echem w rozległym pomieszczeniu. Tuż przed końcem schodów Kahlan poczuła nagłe ukłucie bólu, potknęła się i upadła. Spadła z ostatnich kilku stopni. Tamci z krzykiem podbiegli do niej. Chcieli wiedzieć, co się stało. Powiedziała im, że po prostu się potknęła.

Wcale się nie potknęła.

Kahlan zsunęła łuk z ramienia i wskazał nim kierunek.

- Tamtym holem. Wszyscy tamtędy. Na końcu skróćcie w prawo. Dogonię was. Idźcie.

- Nie zostawimy cię - upierał się Chandalen.

- Idźcie! - Kahlan walczyła z piekącym bólem nóg. - Orsk, pogoń ich, ale już. Dopędzę was. Będę bardzo niezadowolona, jeśli nie zdołasz ich stąd wyprowadzić.

Orsk uniósł topór i warknął. Jebra i Chandalen cofali się ku przejściu, pertraktując z Kahlan. Tłumaczyli, że ryzykowali życiem, by ją ocalić, i że teraz na pewno jej nie opuszczą.

- Orsk! Zabierz ich stąd!

- Dlaczego!?! - wrzasnęli chórem Chandalen i Jebra.

Kahlan wskazała łukiem. Po przeciwległej stronie wielkiego pomieszczenia, pod jedną z odległych arkad, stała ocieniona postać.

- Bo inaczej on was zabije.

- Musimy uciekać! Ciebie też zabije!

- Jeśli zostanie przy życiu, to odnajdzie nas dzięki swojej magii i zgładzi wszystkich.

Strzeliła żółta błyskawica. Kamienie poleciały w dół, niemal zatykając przejście, w którym stali. Kahlan wyjęła z kołczana jedną z Chandalenowych strzał o płaskich grotach, jedną ze strzał na ludzi.

- Matko Spowiedniczko! - wrzasnął Chandalen. - Nie trafisz go! Sam bym nie trafił! Musisz uciekać!

Dziewczyna nie powiedziała im, że czarodziej raził ją falami bólu, uniemożliwiającymi ucieczkę. Ledwo mogła się utrzymać na nogach.

- Orsk! Zabierz ich stąd! Natychmiast! Dogonię was!

Kolejna błyskawica sprawiła, iż kamienie poleciały we wszystkie strony. Orsk pognał przed sobą Jebre i Chandalena.

Kahlan przyklęknęła i nasadziła strzałę na cięciwę. Przyciągnęła cięciwę do policzka. Grot leżał poziomo na linii wzroku. Ranson stał tak daleko, że ledwo go widziała; ból mącił jej wzrok. Słyszała jednak, jak się śmieje, posyłając jej kolejne fale szarpiącego, magicznego bólu. Brzmiało to niczym śmiech Rahla Posępnego. Dziewczyna przygryzła wewnętrzną stronę policzka, żeby zapanować nad bólem, żeby powstrzymać krzyk. Nie zdołała opanować szlochu.

- Łuczniczka, Matko Spowiedniczko? - zawołał z oddali. Śmiech odbił się echem od otaczających Kahlan kamieni. - Krótka była twoja wolność, Matko Spowiedniczko. Mam nadzieję, że ci się opłacała. Spędzisz długi czas w lochu, rozmyślając o tych chwilach.

Był za daleko. Nigdy się jej nie uda go stąd trafić. Richard trafiłby. Widziała, jak trafiał z tej odległości. Pomóż mi, Richardzie, błagam. Pokaż mi, jak strzelać; jak tamtego dnia. Pomóż mi.

Kamienna winorośl oderwała się od pobliskiej ściany i owinęła wokół talii dziewczyny; zaciskała się. Kahlan wrzasnęła z bólu. Znów uniosła łuk. Do ostatniego tchu, jeśli tak trzeba, powiedziała sobie. Ramiona jej drżały. Ledwo widziała czarodzieja. Był za daleko. Winorośl trzymała ją mocno. Nie ucieknie, choćby nie wiem jak chciała.

Pomóż mi, Richardzie.

Kolejna fala strasznego bólu przeszła nogi i wnętrze Kahlan. Wokół wielkiej klatki schodowej rozbłysła błyskawica. Huk był ogłuszający. Z trzaskiem runęła kolumna, uniosły się kłęby kamiennego pyłu. Rozprysły się

kamienne odłamki.

Kahlan usłyszała w myślach słowa Richarda: „Musisz potrafić strzelić bez względu na to, co się dzieje. Tylko ty i cel, nie ma nic innego. Nic poza tym się nie liczy. Powinnaś odrzucić wszystko inne. Nie wolno ci myśleć o tym, jak się boisz i co będzie, jeśli chybisz. Musisz umieć strzelić z łuku i w trudnej sytuacji”.

Pamiętała, jak to jej szeptał, jak szeptał, żeby przywołała cel.

I cel przyszedł, jakby czarodziej stał tuż przed nią. Widziała błyski płynnego blasku strzelające z koniuszków jego palców.

Widziała swój cel - pulsujące śmiechem gardło. Wypuściła powietrze z płuc, tak jak nauczył ją Richard. Strzała znalazła powietrzny rowek.

Pocisk opuścił łuk tak łagodnie, jak gdyby odetchnęło dziecko.

Obserwowała przesuwającą się upierzoną brzechwę. Zobaczyła uderzającą w nadgarstek cięciwę. Kamienna winorośl owinęła się jej wokół gardła. Dziewczyna nie odrywała oczu od celu. Patrzyła na pióra lecące strzały. Szarpiący trzewia ból narastał wraz z jego śmiechem.

Śmiech czarodzieja umilkł nagle. Kahlan usłyszała głuchy odgłos wbijającej mu się w gardło strzały. Kamienna winorośl opadła i dziewczyna osunęła się na dłonie i kolana. Lzy spływały jej po twarzy; czekała, aż ustanie ból. I ustał litościwie szybko. Kahlan podniosła się chwiejnie.

- Niech cię Opiekun porwie, czarodzieju Neville'u Ransonie!

Rozległ się ogłuszający trzask jak przy uderzeniu błyskawicy, lecz to nie błysk światła, a strumień całkowitej czerni przemknął przez komnatę. Kahlan przeszło mrowie. Lampy zamigotały.

Kahlan wiedziała - Opiekun rzeczywiście porwał Neville'a Ransona.

Usłyszała pomruk i odwróciła się w sam czas, żeby zobaczyć zbiegającego ku niej gwardzistę. Dziewczyna zanurkowała i wyprostowała się tuż pod nim, kiedy lądował na podeście. Posłużyła się impetem żołnierza, by przerzucić go przez poręcz, w studnię schodów. Spadając, próbował ją złapać, ale tylko zaczeplił palcami o naszyjnik. Zerwał klejnot z szyi Kahlan i poleciał z nim w dół. Dziewczyna przechyliła się przez poręcz i zobaczyła jak uderza o posadzkę trzy kondygnacje niżej. Naszyjnik wysunął mu się z palców i upadł obok.

- Niech lichy porwie dobre duchy - burknęła Kahlan.

Ruszyła ku schodom, żeby odzyskać swój naszyjnik, lecz usłyszała odgłos

kroków. Zatrzymała się i spojrzała w górę. Nadciągali strażnicy. Przez chwilę wahała się, patrząc na naszyjnik, a potem pobiegła ku korytarzowi. Duchy jej nie pomogły. W czym pomoże naszyjnik? Nie warto ryzykować dłań życia.

Kahlan dogoniła pozostałych, kiedy wychodzili z pałacu. Na jej widok westchnęli z ulgą - ucieszyło ich, że czarodziej już im nie zagraża. Pobiegli za Kahlan w noc. Zbiegali schodami przy wtórze bicia na alarm w dzwony. Dziewczyna kierowała się na południe - najkrótszą drogą ku lasom.

Zasapana Jebra złapała ją za ramię i zatrzymała.

- Matko Spowiedniczko...!

- Już nie jestem Matką Spowiedniczką. Jestem Kahlan.

- No to Kahlan. Musisz mnie wysłuchać. Nie wolno ci uciekać. Kahlan obróciła się ku dróżce przez dziedziniec.

- Skończyłam z tym. - Zedd cię potrzebuje. Kahlan okręciła się ku niej. - Zedd? Znasz Zedda? Gdzie on jest? Jebra chciwie chwytła powietrze.

- Posłał mnie do Aydindril. Dzień po tym, jak opuściłaś D'Hare. Powiedział, iż musi pojechać po kobietę o imieniu Adie i wraz z nią do Wieży Czarodzieja. Wysłał mnie tu, żebym pomogła tobie i Richardowi i skłoniła was, byście nań zaczekali. Zedd cię potrzebuje.

- I ja potrzebuję Zedda. - Kahlan chwyciła Jebra za ramię. - Straszliwie jest mi potrzebny.

- Pozwól więc, bym ci pomogła. Nie wolno ci stąd odejść. Spodziewają się, że uciekniesz, i przeszukają okolice. Nie będą się spodziewać, iż zostaniesz w Aydindril.

- Zostać? Pozostać w Aydindril?

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę. Znali ją w Aydindril. Nie, niezupełnie tak. Znali jej długie włosy. Tylko doradcy, ambasadorowie, oficerowie i szlachta widywali z bliska Matkę Spowiedniczkę. Pozostali rzadko oglądali ją z niewielkiej odległości, a i wtedy gapili się przede wszystkim na jej włosy. A nie miała już długich włosów.

Myśl o tej stracie wywołała ból. Dopiero teraz, kiedy zniknęły, przekonała się, ile znaczyły dla niej długie włosy oraz moc, którą przejściowo utraciła.

- To by się mogło udać, Jebro. Gdzie się jednak schowamy?

- Zedd dał mi złoto. Nikt nie zna mojego udziału w twojej ucieczce. Wynajmę pokoje i wszystkich was ukryję.

Kahlan rozważała to przez chwilę, potem się uśmiechnęła.

- Moglibyśmy być twoimi służącymi. Taka dama jak ty powinna mieć służbę.

Jebra aż się cofnęła.

- To niemożliwe, Matko Spowiedniczko. Sama jestem jedynie służącą. Zedd nakłonił mnie, bym udawała damę. Ale tego nie potrafiłabym udawać. Ty jesteś prawdziwą damą.

- To, że jesteś służącą, nie czyni cię kimś niższym ode mnie. Możemy być tylko tym, czym jesteśmy, nikim mniej i nikim więcej. - Kahlan poprowadziła ich ku tej części Aydindril, w której znajdowały się zaciszne i wytworne zajazdy. - To zadziwiająco, ile możesz dokonać w potrzebie. Zrobimy to, co musimy, lecz wszystkich nas zabiją, jeśli nie przestaniesz nazywać mnie Matką Spowiedniczką.

- Postaram się... Kahlan. Wiem tylko, że musimy czekać, aż Zedd zjawi się w Aydindril. - Pociągnęła Kahlan za rękaw. - Gdzie jest Richard, Matko Spowiedniczko!? To sprawa życia i śmierci! - Zniżyła głos zażenowana. - Nie chcę nikogo urazić i mam nadzieję, iż nikt się nie obrazi, ale to Richard jest najważniejszy. Zedd potrzebuje Richarda.

- I dlatego właśnie Zedd jest mi potrzebny - odparła Kahlan.

ROZDZIAŁ 61

Richard złapał każdego z chłopców za ramię.

- Wolniej - powiedział cicho. - Mówiłem, że ja muszę pójść pierwszy.

Kipp i Hersh westchnęli niecierpliwie. Richard wyjrzał zza narożnika, rzucił okiem w głąb korytarza, a potem popchnął chłopców ku ścianie. W kieszeniach wierzgały im żaby.

- To poważna sprawa. Wybrałem was, bo wiem, że jesteście najlepsi. Teraz zrobicie, co mówiłem, tak jak to zaplanowaliśmy. Zostańcie tutaj, plecami przy ścianie, i policzcie do pięćdziesięciu. I nie wychylajcie się zza narożnika, dopóki nie skończycie liczyć. Mam nadzieję, że zrobicie wszystko, jak trzeba.

Obaj się uśmiechnęli.

- Możesz na nas liczyć - powiedział Kipp. - Wywabimy je stamtąd.

Richard przykucnął i przybliżył palec do buzi jednego i drugiego.

- To poważna sprawa. Nie jakaś tam gra. Tym razem możecie wpaść w prawdziwe tarapaty. Na pewno chcecie to zrobić?

Kipp wsunął ręce w kieszenie, dotknął żab.

- Wybrałeś właściwych ludzi. Możemy to zrobić. I chcemy to zrobić, Richardzie.

Chłopcy byli bardzo podekscytowani, bo nigdy przedtem nie udało im się wyminąć strażników. Znaleźli się na nie znanym sobie terenie, gdzie jeszcze nie dokazywali. Richard wiedział, że nie są świadomi grożącego niebezpieczeństwa, i z niechęcią wykorzystywał ich w ten sposób, ale tylko to zdołał wymyślić.

- No to w porządku. Zaczynajcie odliczać.

Richard wyszedł zza narożnika i ruszył w głąb korytarza. Na ramionach miał pelerynę mriswitha. Dotarł do właściwych drzwi, naprzeciwko nich oparł się o białą marmurową ścianę, nasunął kaptur. Otulił się peleryną i skoncentrował na marmurze, który miał za plecami. Stał bez ruchu. Chłopcy wyskoczyli zza rogu, pognali korytarzem, wrzeszcząc i krzycząc ile tchu w płucach. Zatrzymali się przed dwuskrzydłowymi drzwiami, rozejrzeli w obie strony. Nie widzieli stojącego za nimi chłopaka i Richard wiedział, iż zastanawiają się, gdzie się schował.

Gwałtownie otworzyli drzwi, jak to z nimi uzgodnił, i - chichocząc z podniecenia - zaczęli wyciągać z kieszeni żaby, a potem wrzucać je do pokoju. Obie Siostry jedynie na chwilę osłupiały ze zdumienia. Richard widział, jak wypadły zza biurka; jedna chwyciła pręt. Chłopcy z piskiem wrzucili ostatnie żaby i rozbiegli się w przeciwne strony, krzycząc:

- Nie złapiecie nas! Nie złapiecie nas!

Pośliznąwszy się na wypolerowanej marmurowej posadzce, Siostry Ulicia i Finella zatrzymały się tuż za drzwiami. Omal nie wpadły na Richarda, były tuż-tuż. Chłopak wstrzymał oddech. Siostry zobaczyły chłopców skręcających na przeciwległych krańcach korytarza. Wyrzuciły przed siebie ręce. Migotliwe błyskawice trafiły w ściany, zrzucając na podłogę obrazy, ale chybiły chłopców. Siostry, gniewnie pomrukując, rzuciły się za łobuziakami.

Richard odczekał, aż zniknęły za rogiem. Dopiero wtedy odsunął się od ściany i pozwolił pelerynie odzyskać czerń. Zastanawiał się, jak by to wyglądało, gdyby ktoś to widział: prawdopodobnie wydawałoby się, że nagle zmaterializował się w powietrzu.

Zewnętrzny pokój był pusty. Miał wrażenie, iż powietrze pomiędzy dwoma biurkami iskrzy się i brzęczy, broniąc dostępu do drzwi w głębi. Richard ostrożnie wsunął tam rękę. Powietrze wydawało się gęste, ale nie wyrządzało krzywdy. Przemknął pośród iskier i wszedł tamtymi drzwiami.

Drugie pomieszczenie, mniejsze niż poprzednie, było słabo oświetlone i wyłożone wspaniałą boazerią z ciemnego drewna. Pośrodku stał masywny orzechowy stół, na którym znajdowały się trzy świece i piętrzyły się książki oraz jakieś papiery. Obie dłuższe ściany zastawiono sięgającymi sufitu półkami na książki - pełno na nich było poupychanych bezładnie ksiąg i jakichś osobliwych przedmiotów. Na stołku stała stara kobieta, jedna ze sprzątaczek, w grubym, ciemnoszarym roboczym stroju, i odkurzała górną półkę. Richard zatrzymał się, a ona odwróciła się ku niemu zdumiona. Popatrzyła na drzwi, potem znów na chłopaka.

- Jak zdołałeś...

- Przepraszam, ma'am. Nie chciałem cię wystraszyć. Przyszedłem zobaczyć się z Ksienią. Jest?

Kobieta przykucnęła, szukała stopą podłogi. Richard wyciągnął ku niej pomocną dłoń. Uśmiechnęła się z wdzięcznością i odgarnęła z twarzy pasmo

siwiejących włosów. Były związane na karku w luźny węzeł, ale trochę się rozwichrzyły. Kiedy stanęła na podłodze, czubek jej głowy sięgał ledwo mostka Richarda. Ciało kobiety rozszerzało się na boki, jakby kiedyś była wyższa i tylko jakiś olbrzym położył dłoń na jej czaszce, spłaszczając ją o dobrą stopę. Spojrzała na Richarda, minę miała zdziwioną.

- Czy Siostry Ulicia i Finella pozwoliły ci wejść?

- Nie - odparł chłopak, rozglądając się po przyjemnie zabałaganionym pokoju. - One wyszły.

- Na pewno zostawiłyby osłonę...

- Muszę mówić Ksienią, ma'am. - Richard dostrzegł otwarte drzwi, a za nimi dziedziniec. - Jest?

- Czy masz wyznaczoną audiencję? - spytała spokojnym, łagodnym głosem.

- Nie - przyznał. - Staralem się o to od wielu dni. Tamte dwie odmawiały współpracy, więc sam się wprosiłem.

- Rozumiem. - Dotknęła palcem ust. - Ale musisz mieć umówione spotkanie. Takie są zasady. Przykro mi.

Richard ruszył ku otwartym drzwiom. Zaczynał się niecierpliwic, lecz starał się mówić spokojnie, żeby nie przerazić starej służącej.

- Muszę się zobaczyć z Ksienią, ma'am, albo wszyscy będziemy mieli spotkanie z samym Opiekunem.

Uniosła w zdziwieniu brwi.

- Naprawdę? - Mlasnęła. - Z Opiekunem. No, no, no. Richard gwałtownie się zatrzymał. Skrzywił się i jęknął. Odwrócił się na pięcie.

- Ty jesteś Ksienią, prawda?

Uśmiechnęła się szelmowsko, w jej oczach zatańczyły iskierki. - Tak, Richardzie, chyba jestem.

- Wiesz, kim jestem?

- O, tak, wiem - zachichotała. Richard westchnął.

- Więc to ty rządysz pałacem? Zaśmiała się głośnie.

- Słyszałam pogłoski, że teraz to ty tu rządysz. Jesteś tu około miesiąca, a połowa pałacu tańczy, jak zagrasz. Zamierzałam poprosić ciebie o audiencję.

- Na pewno bym się zgodził - odparł z przyjacielskim marsem na twarzy.

- Czekałam na spotkanie z tobą. - Poklepała go po ramieniu. - Od teraz możesz się ze mną widywać, kiedy tylko zechcesz.

- Dlaczego więc przedtem nie chciałaś mnie widzieć? Splotła dłonie pod bujnymi, krągłymi piersiami.

- Próba, chłopcze. Próba. - Uśmiechnęła się doń. - Jestem pod wrażeniem. Sądziłam, że zajmie ci to jeszcze sześć, osiem miesięcy.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Richard poleciał do tyłu i uderzył o ścianę, do której przywarła jego broń. Przydusiło go do muru tak mocno, że stracił oddech. W drzwiach stały dwie rozeźlone, wsparte pod boki Siostry.

- Skończcie z tym, wy dwie - zarządziła Ksieni. - Uwolnijcie chłopca.

Richard gruchnął o podłogę, patrząc gniewnie na obie kobiety.

- To ja namówiłem chłopców do tego, co zrobili. To ja ponoszę winę za ich uczynek. Niech kara spotka mnie, a nie ich. Odpowiedzcie mi, jeżeli zrobicie im coś złego.

Jedna z Sióstr postąpiła o krok w kierunku Richarda.

- Już zarządzone ich ukaranie. Tym razem dostaną za swoje. - Gniewnie wyciągnęła ku chłopakowi gruby pręt. - Ty również zostaniesz ukarany.

- Tak, Siostrzo Ulicio - odezwała się Ksieni. - Uważam, że kara się należy. - Siostra obdarzyła chłopaka zadowolonym uśmiechem. - Tobie - dorzuciła Ksieni. - Wam.

Siostrę Ulicię zatkało.

- Ksieni Annalino???

- Czyż nie nakazałam wam, byście nie wpuszczaly tu Richarda? Siostry zeszywniały.

- Tak, Ksieni Annalino.

- A przecież tu jest. W moim gabinecie.

- Ale... - Siostra Ulicia wskazała drzwi - zostawiłyśmy osłonę! On nie...

- Hmm? Nie mógł? - Siostra ujrzała zmarszczone czoło Ksieni i opuściła rękę. - Przecież go tutaj widzę. Czyżbym się myliła, Siostry?

- Nie, Ksieni Annalino - odparły jednym głosem.

- A teraz, jak gdyby nigdy nic, zamierzacie wrócić do swoich biur i ukarać tych, którym się udało? - Ksieni mlasnęła. - To was obie spotka kara, którą zarządziłyście dla chłopców.

Siostry pobladły.

- Ależ Ksieni... - wyszeptała druga. - Nie możesz tego zrobić Siostrze.

- Czyżby, Siostrzo Finello? Co wymyśliłyście dla chłopców? - Jutro rano, po

śniadaniu, dostaną w skórę... publicznie...

- Sprawiedliwa kara. Wy obie zajmiecie ich miejsca.

- Ależ Ksieni - wyszeptała zaskoczona Siostra Ulicia.- Jesteśmy Siostrami Świątła. To byłoby upokarzające.

- Lekcja pokory nikomu jeszcze nie zaszkodziła. W obliczu Stwórcy wszyscy jesteśmy małuczcy. Za wasze niepowodzenie zostaniecie wychłostane zamiast chłopców.

Siostra Ulicia zeszywniała.

- A jeśli się nie podporządkujemy, Ksieni Annalino?

- Będzie to znaczyło - uśmiechnęła się Ksieni - że nie wolno wam dłużej ufać i że nie chcecie już być Siostrami Świątła.

Siostry pokłoniły się. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Richard spojrział na Ksienię i znacząco uniósł brew.

- Mam nadzieję, że nigdy ci się nie narażę, Ksieni Annalino. Zachichotała.

- Mów mi Ann. Tak mnie nazywają starzy znajomi.

- Będę zaszczycony, nazywając cię Ann, Ksieni, ale nie jestem starym znajomym.

- Tak uważasz? - uśmiechnęła się. - Co za zasadniczy chłopak. Cóż, nie szkodzi. Tak czy owak, mów do mnie Ann. Wiesz, dlaczego je ukarałam? Ponieważ wzięłaś odpowiedzialność za swoje czyny. Nie zrozumiały, jakie to ważne. Uczysz się być czarodziejem.

- Co masz na myśli?

- Wiesz, jak niebezpiecznie jest rozgniewać je obie, prawda? - Richard potaknął. - A mimo to wykorzystasteś chłopców, choć wiedziałeś, że mogą zostać ukarani za swój czyn.

- Tak, lecz musiałem to uczynić. To bardzo ważne, a nie mogłem wymyślić innego sposobu.

- Brzemie czarodzieja. Tak to nazywają. Wykorzystywanie ludzi. Mądry czarodziej rozumie, że sam nie może wszystkiego wykonać i że, jeśli sprawa jest ważna, musi wykorzystać innych ludzi, by zrobili to, co musi być zrobione. Nawet gdyby mieli to przypłacić życiem. To rzadki talent, ale niezbędny dobremu czarodziejowi. A może i Ksieni.

- To nagląca sprawa, Ann. Muszę z tobą porozmawiać.

- Nagląca? No to pospacerujmy po moim ogrodzie i porozmawiajmy o tej

naglącej sprawie.

Wzięła go pod ramię i wyprowadziła przez otwarte drzwi. Na zewnątrz rozciągał się, zalany księżycową poświatą, rozległy dziedziniec pełen drzew, ścieżek, klombów kwiatowych, ze strefami dzikiej roślinności i uroczym, stawem. Richard nie dostrzegał piękna ogrodu. Od rozmowy z Warrenem ledwo mógł jeść i spać. Jeżeli Opiekun ucieknie, to dopadnie wszystkich, Kahlan również. Chłopak musiał coś zrobić.

- Światu grozi wielkie niebezpieczeństwo, Ann. Potrzebuję twojej pomocy. Trzeba mi zdjąć obrożę, bym mógł wyruszyć na ratunek.

- Po to tu jestem, Richardzie. Żeby pomagać. Co to za niebezpieczeństwo?

- Opiekun...

- Bezimienny - poprawiła go.

- Cóż za różnica?

- Wymawiając jego imię, przyciągamy jego uwagę.

- To tylko słowo, Ann. Liczy się znaczenie słowa, a nie uszeregowanie liter. Uważasz, że jeśli nazwiesz Opiekuna Bezimiennym, to będzie tak głupi, by pomyśleć, że nie o nim mówisz? To błąd, sądzić, iż wróg jest głupi, a ty bystra. Roześmiała się z całego serca.

- Od tak dawna czekałam, żeby ktoś na to wpadł. Przystanęli nad brzegiem stawu i Richard spytał:

- Co to znaczy „kamyk w stawie”? Ann spojrzała na wodę.

- Ty jesteś jednym z kamyków, Richardzie.

- Uważasz, że jest ich więcej?

Mały kamyk uniósł się w powietrze i osiadł w dłoni Ann. - Każdy wpływa na innych. Niektórzy ludzie inspirują pozostałych do wielkich czynów. Inni popychają do zbrodni. Ci, którzy mają dar, o wiele silniej wpływają na bliźnich. Im silniejsza Han, tym mocniejsze oddziaływanie.

- A co to ma wspólnego ze mną? Co to ma wspólnego z kamykiem w stawie?

- Widzisz tę pływającą na powierzchni rzęsę? Powiedzmy, że to inni ludzie, świat żywych, a kamyk to ty. - Wrzuciła kamyk do stawu. - Widzisz, co się dzieje? Wywołane przez ciebie fale oddziałują na wszystkich pozostałych. One nie powstałyby bez ciebie.

- Więc oni są kołysani przez fale. A kamyk tonie.

- Nie zapominaj o tym. - Uśmiechnęła się doń bez radości. Zawahał się.
- Za bardzo we mnie wierzysz. Przecież nic o mnie nie wiesz. - Może wiem więcej, niż ci się zdaje, dziecko. Co cię tak trapi w związku z Opiekunem?

- Trzeba coś zrobić. On chce uciec. Otwarto jedną ze szkatuł Ordenu: brama jest otwarta. Kamień Łez jest w naszym świecie. Koniecznie muszę coś zrobić.

- Ach. - Uśmiechnęła się i przystanęła. - Chcesz odejść stąd i wydać wojnę Opiekunowi, ty, którego dopiero co rzuciła o ścianę Han zwykłej Siostry?

- Ale wydarzyły się rozmaite rzeczy. Coś trzeba zrobić.

- Widzę, że rozmawiałeś z Warrenem. Bardzo bystry młodzian z tego Warrena. Choć jeszcze taki młodziutki. Niekiedy potrzebuje ukierunkowania. Porady. - Nagięła gałąź. - Pilnie się uczy, kocha księgi. Pewno zna każdą plamkę na nich.

Przyglądała się kwiatu na zgiętej gałęzi. Richard obserwował ją w blasku księżycy i uznał, że uważał się za bystrzejszego, niż jest w istocie. Warren też.

- To co z tym Opiekunem? I Kamieniem Łez? Ann ujęła go pod ramię i poprowadziła dalej.

- Skoro otworzono bramę i Kamień Łez jest w naszym świecie, to dlaczego Opiekun jeszcze nas nie dopadł, Richardzie? Hmmm?

- Może lada moment zamierza nas połknąć.

- Aaach. Więc uważasz, że się posila, a kiedy się już naje i obetrze brodę, to zabierze się do łykania świata żywych? I dlatego chcesz natychmiast stąd odejść i zamknąć bramę, nim Opiekun podniesie z kolan serwetkę? Więc według ciebie w ten sposób działają inne światy? Na takiej samej zasadzie jak nasz?

Richard nerwowo przeczesał włosy palcami.

- Nie wiem. Nie wiem, jak to jest, ale Warren mówił...

- Warren nie wie wszystkiego. Jest tylko uczniem. Ma talent do proroctw, lecz musi się jeszcze wiele nauczyć. Czy wiesz, dlaczego trzymamy proroctwa w podziemiach i ograniczamy dostęp do nich? Nasza rozmowa ma ten sam powód. Bo proroctwo jest niebezpieczne dla nie wyszkolonego umysłu, a czasem i dla wyszkolonego. Za tym wszystkim kryje się o wiele więcej, niż dostrzegasz, inaczej Opiekun już dawno by nas dopadł.

- Czyżbyś twierdziła, iż nie grozi nam niebezpieczeństwo? Ann uśmiechnęła się przebiegle.

- Zawsze jesteśmy w niebezpieczeństwie, Richardzie. Dopóki istnieje świat żywych, dopóty będzie istnieć i niebezpieczeństwo. Każda żywa istota jest śmiertelna. - Znów poklepała go po ramieniu. - Jesteś kimś ważnym, kimś z proroctwa, ale jeśli postąpisz nierozsądnie, to możesz wyrządzić więcej szkody niż dobrego. Kamień Lez, choć jest w naszym świecie, nie wystarczy, by umożliwić Opiekunowi ucieczkę przez bramę. Kamień to tylko coś, co może mu w tym pomóc.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedział Richard, kiedy podjęli przechadzkę.

Ksieni spojrzała na chłopaka.

- Jak się ma twoja matka?

Richard odwrócił wzrok, zapatrzył się w ciemności.

- Umarła, kiedy byłem mały. Zginęła w ogniu.

- Przykro mi, Richardzie. A ojciec?

- Który? - mruknął.

- Ojczym, George. Chłopak odkaslnął.

- Zabił go Rahl Posępny. - Spojrzał z ukosa na Ann. - Skąd znasz mojego ojczyma?

Rzuciła mu jedno z tych ponadczasowych spojrzeń, jakie widział już wcześniej: u Adie, Shoty, Siostry Verny, Du Chaillu i Kahlan.

- Tak mi przykro, Richardzie. Nie wiedziałam, że nie żyje. George Cypher był wspaniałym człowiekiem.

Richard przystanął, przeszło go mrowie.

- Ty wiesz, skąd ojciec dostał ową księgę - wyszeptał. Specjalnie powiedział to tak ogólnikowo, by musiała dorzucić szczegóły, jeśli chciałyby to potwierdzić.

Na usta Ann powrócił cień uśmiechu.

- Boisz się to głośno wypowiedzieć? Mówisz o Księdze Opisania Mroków.

- Wskazała kamienną ławkę. - Usiądź, Richardzie, zanim się osuniesz na ziemię.

Chłopak klapnął na ławkę. Podniósł oczy na stojącą przed nim kobietę.

- To ty? Ty dałaś ojcu tę księgę?

- Istotnie, pomogłam mu ją zdobyć. Widzisz więc, Richardzie, że ty i ja,

jak ci już mówiłam, jesteśmy starymi znajomymi. Rzecz jasna, kiedy cię ostatnio widziałam, darłeś się na całe gardło. Miałeś zaledwie parę miesięcy.

- Uśmiechnęła się leciutko. - Szkoda, iż matka nie może cię teraz zobaczyć. Taka była z ciebie dumna. Mówiła, że jesteś błogosławieństwem, które zrównoważy przekleństwo. Widzisz, Richardzie, w świecie żywych chodzi przede wszystkim o zachowanie równowagi. Jesteś dzieckiem równowagi. Wiele w ciebie zainwestowałam.

- Dlaczego? - Chłopak miał wrażenie, że język przysechł mu do podniebienia.

- Bo jesteś kamykiem w stawie. - Wydawało mu się, iż przestaje widzieć otoczenie. - Ponad trzy tysiące lat temu czarodzieje mieli magię subtraktywną. Od tamtej pory nie narodził się nikt z takim darem. Cały czas się tego spodziewaliśmy, lecz nikt taki nie przyszedł na świat. Nieliczni mieli powołanie, ale żaden nie miał daru. Ty masz dar magii tak addytywnej, jak i subtraktywnej.

- Co takiego!?! - Chłopak skoczył na równe nogi. - Chyba oszalałaś!?

- Siadaj, Richardzie. - Spokojna moc głosu Ksieni, jej przenikliwe spojrzenie, sama jej obecność sprawiły, że Richard opadł na ławkę. Z jakiegoś powodu Ann nagle wydała mu się bardzo wielka. Była tego samego wzrostu co przedtem, a mimo to odniósł wrażenie, że nad nim góruje. Jej głos stał się władczy. - Wysłuchaj mnie. Przysparzasz mi wielu kłopotów. Zachowujesz się jak byczek, który rozwała ogrodzenie i trątuje zasiewy. Stawka jest zbyt duża, byś działał, nie mając pojęcia, co robisz. Wiem, że sądzisz, iż postępujesz właściwie, ale i ów byczek tak uważa. Twoim problemem jest brak wiedzy. Zamierzam cię wyedukować. Na pewno nie uwierzysz w wiele z tego, co chcę ci powiedzieć, lecz lepiej to zaakceptuj, bo inaczej jeszcze długo będziesz nosił obrożę. Obroża nie spadnie, dopóki nie zaakceptujesz prawdy.

- Powiedziano mi, że Siostry zdejmą obrożę.

Wyraz oczu Ksieni sprawił, iż Richard pożałował, że się odezwał i że zapragnął się zamienić miejscami z Siostrami, które czekała publiczna chłosta.

- Pozbędziesz się obroży dopiero wtedy, gdy zaakceptujesz siebie, swoje zdolności, swoją prawdziwą moc. Sam założyłeś sobie na szyję Rada'Han. Nasza moc nie wystarczy, by zdjąć obrożę, musisz nam dopomóc własną. A

jedyna droga do tego wiedzie poprzez naukę i akceptację samego siebie. Najpierw musisz zrozumieć to, co dotyczy Opiekuna, Stwórcy i natury tego świata. Twój problem Jak większości ludzi, jak Warrena, polega na tym, że usiłujesz pojąć inne światy poprzez zasady rządzące naszym. Dobro i zło, Stwórca i Opiekun, to chaos rozdzielony na dwie przeciwstawne moce. Chociaż nawzajem się nienawidzą, to są od siebie zależni; jeden nie może istnieć bez drugiego. Wzajemnie się definiują. Równowagę utrzymuje walka, nasza walka na tym świecie. - Richard nie pisał ani słowa, lecz nie zdołał zapanować nad wyrazem twarzy. - Od Stwórcy pochodzi życie, dusza życia. Wypływa ze Stwórcy i rozkwita na naszym świecie. Bez Opiekuna, bez śmierci, życie nie mogłoby istnieć. Bez śmierci życie byłoby pozbawione końca. Czy kiedykolwiek próbowałeś sobie wyobrazić świat, w którym nikt nigdy nie umiera? W którym każdy, kto się narodzi, żyje wiecznie? W którym rozwija się każdy roślinny kiełek? Żyje wiecznie każde drzewo i każda siewka wyrasta w drzewo? Co by się wówczas działo? Co byśmy jedli, skoro nie moglibyśmy zabić żadnego zwierzęcia ni zebrać plonów, ponieważ nic, co żyje, nie mogłoby umrzeć? Wieczne życie w przerażającym, dręczącym głodzie? Świat istot żywych pogrzyłby się w chaosie i sam by się zniszczył. Śmierć, zwana przez niektórych zaświatami, jest wieczna. Myślisz o niej według kryteriów świata żywych. W wieczności czas nie ma żadnego znaczenia, nie ma miary. Sekunda czy rok to dla Opiekuna bez różnicy. Opiekun poznaje czas poprzez tych z naszego świata, którzy mu służą. Oni pojmują upływ czasu, potrafią go mierzyć i to ich ponaglenia wzmagają jego wysiłki. Aby odnieść sukces, potrzebuje żywych. Czaruje obietnicami służących mu, a oni niecierpliwie wyglądają jego triumfu.

- No to jaką rolę odgrywa w tym życie?

- Definiujemy chaos i porządek, dbamy, by światło i mrok, miłość i nienawiść, dobro i zło pozostały rozdzielone. Jesteśmy szalami wagi. Jesteśmy jak rzęsa pływająca na powierzchni stawu. Powietrze ponad stawem to Stwórca, głębina to Opiekun.

Dusze żywych, które spłynęły od Stwórcy, rozkwitają i żyją na powierzchni, a kiedy umierają, zstępują do świata zmarłych. Lecz to nie oznacza, że ów świat jest złem. To my tak pojmujemy zło. Opiekun jest niczym szlam na dnie stawu. Duchy zmarłych rezydują w całej przestrzeni pomiędzy Opiekunem, w głębinach chaosu i nienawiści, a światem żywych.

Im bliżej świata żywych, tym bliżej światła Stwórcy. Każda żywa istota ma nadzieję, iż przez wieczność będzie się grzała w owym blasku. To my, żywe istoty, oddzielamy i definiujemy światy po obu stronach życia. A magia nadaje naszemu światu moc czynienia tego. Magia jest języczkiem u wagi. Opiekun chciałby zatriumfować, wchłonąć świat żywych. Żeby tego dokonać, musi wyeliminować magię. Lecz jednocześnie, by zwyciężyć, musi posługiwać się nią.

Richard z wielkim trudem starał się zachować jasność myśli.

- A czarodzieje mają moc, która wpływa na ową równowagę? Ann wciąż pochylała się nad nim. Uniosła palec.

- Tak. Ty zaś masz dar obu magii. - Uśmiech zniknął z jej ust tak nagle, że chłopak wstrzymał oddech. - To czyni z ciebie nadzwyczaj niebezpieczną osobę, Richardzie. Masz dar obu magii, twoja moc może albo scalić, albo zniszczyć zasłonę. Gdyby niektórzy wiedzieli, jaką dysponujesz mocą, natychmiast zabiliby cię ze strachu, że mógłbyś zniszczyć nas wszystkich: jeżeli nie rozmyślnie, to przez przypadek.

- A ty? Czy i ty zaliczasz się do nich?

- Gdybym była jedną z nich, nie pomogłabym twojemu ojcu zdobyć Księgi Opisanie Mroków. Twoja interwencja zapobiegła bezpośredniemu zagrożeniu, lecz jednocześnie uchyliła magiczną bramę. Tym samym w przyszłości może spowodować jeszcze większe niebezpieczeństwo. Musiałam podjąć to ryzyko, ponieważ inaczej nastąpiłaby katastrofa. Ale jeśli nie naprawi się zła, które się stało, to skończy się jeszcze większą katastrofą.

- Co to takiego ta zasłona? Gdzie się mieści? Ann postukała go w czoło.

- Zasłona jest w tych z nas, którzy dysponują magicznym darem. Jesteśmy jej opiekunami. To dlatego równowaga tak wiele znaczy dla tych, którzy mają dar. Kiedy zasłona jest przzerwana, równowaga zostaje zaburzona. Im bardziej wzrasta owo rozchwianie, tym bardziej rozdziera się zasłona. Stwórca włada swoją dziedziną, Opiekun swoją. Opiekun potrzebuje Stwórcy, żeby karmił go życiem, Stwórca zaś potrzebuje Opiekuna, by życie mogło się odnawiać. Zasłona utrzymuje równowagę. - Ann miała ponurą minę. - Wielu uznałoby te słowa za bluźnierstwo. Widzą w Opiekunie jedynie zło, które należy zniszczyć. Lecz gdyby się im powiodło, uzyskaliby skutek przeciwny do zamierzonego i całe życie zostałyby

zmiecione jak piaszczysta łąka przez nurt rzeki.

- Założmy, że naprawdę mam dar obu magii. Na co przyda się moja moc?

- Większość czarodziejów dysponuje wyraźnie ukierunkowanymi talentami. Jedni są uzdrowicielami, inni sporządzają magiczne przedmioty, bardzo nieliczni są prorokami. Najrzadziej trafiają się czarodzieje wojny. Nie urodził się taki od trzech tysięcy lat. Jesteś nim dopiero ty.

Richard otarł spocone dłonie o spodnie.

- Wcale mi się to nie podoba.

- Czarodziej wojny ma dwa równoważące się wzajemnie znaczenia, jak to jest w całej magii. Pierwsze znaczenie mówi, że może rozerwać zasłonę, sprowadzić zniszczenie i śmierć, czyli właśnie wojnę. Drugie, iż dysponuje magią niezbędną w walce z mocami Opiekuna. To, że jesteś czarodziejem wojny, Richardzie, wcale nie oznacza, że jesteś zły. Wielu walczy w obronie bezbronnych. Oznacza to po prostu, iż masz talent do walki, do obrony niewinnych.

- Chyba że w prawdzie zrodzon podejmie bój o sprawę. On naznaczon jest; to kamyk w stawie - zacytował Richard.

Ann uniosła znacząco brew.

- Szydzisz z prorocstw, a mimo to znasz parę kluczowych wersów. Może jeszcze całkiem nie odebrało mi rozumu. Sądzę, że zostałeś naznaczony.

Chłopak przytaknął, poczuł bliznę na piersi.

- Czyżbyś uważała, że moje życie zostało już wytyczone? Że mam je przeżyć tak, jak to z góry założono?

- Nie, Richardzie. Życie nie jest z góry ustalone. Proroctwa mówią jedynie, iż masz takie czy inne możliwości. Możesz wpływać na wydarzenia. Dlatego takie ważne jest, byś się uczył. A przede wszystkim, byś nauczył się akceptować siebie. Jeśli tego nie uczynisz, to okaleczysz najistotniejszą część siebie: swoją wolną wolę. Jeżeli będziesz działał, nie pojmując, co czynisz, pogrążysz się w chaosie. Kiedy się urodziłeś, zostawiłam cię przy życiu, bo masz zdolność czynienia dobra. Tkwi w tobie nadzieja życia. Lecz dopóki naprawdę nie zaakceptujesz obu stron swojego magicznego daru, dopóty będziesz zagrażał każdej żywej istocie.

Richard za wszelką cenę chciał zmienić temat rozmowy. Miał uczucie, że miażdży go świat.

- Czym jest Kamień Lez?

Ann lekko wzruszyła ramionami.

- W świecie zmarłych istnieje jako moc. W naszym ma postać magicznego przedmiotu, w którym owa moc tkwi. Kamień Łez to ciężar zatrzymujący Opiekuna na najdalszych krańcach jego świata, tam gdzie jego moc zmniejsza się do punktu, w którym łatwo ją zrównoważyć.

- Czyli teraz, gdy kamień jest w naszym świecie i przestał go przygniatać, Opiekun może się wydostać ze swojego więzienia.

- Gdyby tak istotnie było, już byśmy nie żyli. Hmm? - Ann pytająco uniosła brew, ale Richard nie odpowiedział. - To tylko jedna z więzących Opiekuna pieczęci. Są i inne, które nadal go ograniczają. Na razie magia pomaga go zatrzymać tam, gdzie tkwi. Jednak Kamień Łez, jeśli zostanie użyty w naszym świecie przez takich jak ty, użyty w niewłaściwy sposób, może zniszczyć równowagę, rozerwać zasłonę i uwolnić Opiekuna. Kamień ma moc wpędzenia każdej duszy w niezgłębione otchłanie zaświatów. Jeżeli zostanie wykorzystany w tym celu z nienawiścią i egoizmem, da moc tamtej stronie i zniszczy zasłonę. Jedynie ten, który ma dar obu magii, może odesłać kamień z powrotem. Kamień musi wrócić tam, gdzie jego miejsce. Musimy dołożyć wszelkich starań, by zapobiec złamaniu pozostałych pieczęci. Powinny pozostać nie naruszone do dnia, w którym ktoś taki jak ty znów umieści kamień tam, gdzie powinien być. Do czasu, w którym się to stanie, rośnie moc Opiekuna na tym świecie. Jego służalcy starają się złamać pozostałe pieczęcie. Są inne sposoby uwolnienia Opiekuna.

- Jesteś pewna... co do mnie, Ann? Może...

- Dowiodłeś tego dzisiejszego wieczoru, przechodząc przez osłonę. To magia addytywna tworzy nasze osłony. Mogłeś ją sforsować tylko wtedy, kiedy twoja Han wykorzystwała magię subtraktywną.

- Może moja Han, moja magia addytywna, jest po prostu silniejsza.

- Przyciągnęło cię do baszt, kiedy przychodziliście przez Dolinę Zaginionych. Do jednych i drugich baszt, prawda?

- Przecież mogłem natknąć się na nie przypadkowo. Ann westchnęła ze znużeniem.

- Baszty stworzyli czarodzieje mający oba rodzaje mocy. W białej baszcie jest biały piasek. Piasek czarnoksiężnika. Wątpię, czy sobie trochę wzięłeś.

- To niczego nie dowodzi. Co to takiego, ten piasek czarnoksiężnika?

- Piasek czarnoksiężnika jest niezmiernie cenny, wprost bezcenny.

Można się weń zaopatrzyć jedynie wtedy, kiedy przypadkiem natrafi się na basztę. Piasek czarnoksiężnika to sproszkowane kości czarodziejów, którzy oddali swoje życie basztom. Jest jakby wydestylowaną magią. Daje moc urokom, dobrym i złym, które się nim nakreśli. Odpowiednie zaklęcia, wyrysowane w białym piasku, mogą wezwać Opiekuna. Lecz ty zaczerpnąłeś czarnego piasku, czyż nie?

- Hmm, tak. Chciałem mieć trochę, ot i tyle. Ann kiwnęła potakująco głową.

- Trochę. Od czasu, kiedy zbudowano baszty, Richardzie, żaden czarodziej nie zdołał zabrać ani odrobiny czarnego piasku czarnoksiężnika. Może go wziąć z baszty tylko ten, który ma dar magii subtraktywnej. Strzeż owego piasku jak własnego życia. Jest cenniejszy, niż sobie wyobrazasz.

- Dlaczego? Do czego służy?

- Czarny piasek jest antytezą białego. Znoszą się wzajemnie.

Czarny, nawet jedno jego ziarenko, może skazać zaklęcie wyrysowane, by wezwać Opiekuna. Zniszczy moc takiego zaklęcia. Łyzeczka czarnego piasku to broń warta królestwa.

- Ale i tak mogłoby być tak, że... - zaczął chłopak.

- Ostatni czarodzieje dysponujący darem obu magii zbudowali Pałac Proroków. Ówczesni prorocy wiedzieli, iż kiedyś znów narodzi się czarodziej wojny mający dar obu magii, i dlatego stworzyli również lasy Hagen i mriswithy. Osobę mającą dar magii subtraktywnej będzie tam ciągnęło. Zechce tam pójść i walczyć. Obroża sprawia, że magia addytywna nie może cię zabić. Lasy Hagen umożliwiają działanie drugiej stronie twojej mocy. Siostry nie potrafią ci tego umożliwić.

- Przecież posłużyłem się Mieczem Prawdy - zaprotestował słabo Richard. - To miecz zadziałał.

- Także Miecz Prawdy został stworzony przez czarodziejów obdarzonych obu rodzajami mocy. Jedynie ten, który ma taką samą moc jak oni, potrafi wykorzystać całą zawartą w nim magię. Tylko ty możesz wykorzystać wszystkie możliwości oręża. Lecz jeszcze tego nie uczyniłeś. Miecz pomógł ci, choć wcale go nie potrzebowałeś, by zabić mriswitha. Wystarczyłby twój dar. Jeżeli mi nie wierzysz, to zostaw miecz i idź do lasów Hagen uzbrojony wyłącznie w nóż. I tak zabijesz mriswitha.

- Inni również korzystali z miecza. Nawet nie mieli daru, a tym bardziej

magii subtraktywnej.

- Tak naprawdę nie korzystali z magii miecza. Uczyniono go dla ciebie. Ma ci pomóc, podobnie jak proroctwa i mriswithy. To pomoc przysłana z odległych czasów.

- Wcale nie uważam, że jestem jednym z tych czarodziejów wojny.

- Jesz mięso?

- A co to ma do rzeczy?

- Jesteś dzieckiem równowagi. Czarodzieje muszą sami siebie równoważyć: swoje czyny, swoją moc. Czarodzieje wojny rzadko jedzą mięso. Powstrzymywanie się od spożywania go równoważy śmierć, którą czasem muszą zadać.

- Przykro mi, Ann, ale jakoś nie mogę uwierzyć, iż dysponuję magią subtraktywną.

- I dlatego jesteś tak niebezpieczny. Za każdym razem, kiedy stykasz się z magią, twoja Han uczy się, jak cię chronić, jak ci służyć. Ty sam jednak nie zawsze jesteś tego świadom. Rada'han wspomaga narastanie twojej mocy, chociaż nie zdajesz sobie z tego sprawy. Czynisz to lub tamto, nie mając pojęcia o znaczeniu własnych postępów ani ich przyczyn, jak wówczas, gdy przyciągnął cię czarny piasek i trochę go sobie wzięłeś, lub wtedy, kiedy przyjąłeś od Adie okrągłą kość skrina.

- To i Adie znasz? - Richard zmarszczył brwi.

- Tak. Pomagała mnie i twojemu ojcu przedostać się przez Przesmyk, byśmy mogli zdobyć Księgę Opisania Mroków.

- O jakiej okrągłej kości mówisz?

Chłopak dostrzegł w oczach Ann cień zaniepokojenia.

- Adie miała okrągłą kość, pokrytą rzeźbami bestii. To przedmiot o wielkiej mocy. Twoja magia subtraktywna powinna była cię doń przyciągnąć.

Richard przypomniał sobie, że widział tę kość na jednej z wyższych półek.

- Widziałem coś takiego w jej domku, ale nie wzięłem tego. Nigdy nie wzięłbym czegoś, co do mnie nie należy. Może to znaczy, że wcale nie mam magii subtraktywnej.

Ann się wyprostowała.

- Masz, ponieważ ją zauważyłeś. To, iż jej nie zabrałeś, oznacza jedynie,

że ponieważ nie miałeś jeszcze Rada'Han, twoja moc nie rozwinęła się wówczas na tyle, by przyciągnąć cię do kości skrina tak, jak później przyciągnęło cię do czarnego piasku.

Richard się zawahał.

- Czy to źle, że jej nie wziąłem?

Ksieni się uśmiechnęła. Miał wrażenie, iż to wymuszony uśmiech.

- Nie. Adie będzie strzec tej kości jak własnego życia. Wie, jakie to ważne. Odnajdziesz ją w przyszłości.

- Jakie jest jej zadanie?

- Pomaga chronić zasłonę. Przyzywa skrina, kiedy posłuży się nią czarodziej wojny taki jak ty, mający podwójny dar. Skrin jest siłą utrzymującą rozdział obu światów. Można by rzec, że skrin są stróżami granicy pomiędzy oboma światami.

- A co, jeśli dostanie się w nieodpowiednie ręce? W ręce osoby, która chce pomóc Opiekunowi?

Ann pociągnęła chłopaka za koszulę, ponaglając go, by wstał.

- Za bardzo się martwisz, Richardzie. Mam sporo pracy. Musisz już odejść. Dołóż wszelkich starań, dziecko, i ucz się. Ucz się dotykać swojej Han, kontrolować ją. Musisz się uczyć, jeżeli masz dopomóc Stwórcy.

Chłopak obrócił się ku niej. Patrzyła w przestrzeń.

- Dlaczego Opiekun pragnie świata żywych, Ann? Co mu to da? Jaki ma w tym cel?

- Śmierć jest antytezą życia - odpowiedziała cichym, jakby dobiegającym z oddali głosem. - Opiekun istnieje po to, by niszczyć życie. Bezgranicznie nienawidzi życia. Jego nienawiść jest równie wiekuista jak jego uwięzienie w śmierci.

ROZDZIAŁ 62

Pogrążony w myślach Richard szedł ku kamiennemu mostowi. Przez wiele dni tkwił w swoich pokojach i rozmyślał. Siostry przychodziły, by go uczyć, ale on poświęcał owym lekcjom jedynie część uwagi. Teraz bał się, że mógłby dotknąć swojej Han.

Warren krzątał się dzień i noc w podziemiach, sprawdzając to, co mu Richard powiedział, i szukając dalszych informacji. Musiało być choć trochę prawdy w tym, co chłopak usłyszał od Ksieni - bo czemużby w przeciwnym razie Opiekun nie skorzystał z bramy, gdyby mógł.

Richard musiał się przejść. Miał wrażenie, że lada moment pęknie mu głowa. Choć na chwilę chciał się oddalić od pałacu. Znienacka u boku chłopaka pojawiła się Pasha.

- Szukałam cię.

- Po co? - spytał, nie zatrzymując się i patrząc przed siebie.

- Chciałam pobyć przy tobie.

- Wybieram się na spacer po okolicy.

- Niech będzie. - Wzruszyła ramionami. - Mogę się przyłączyć?

Richard przyjrzał się jej. Ubrała się w powiewną, rdzawą suknię, tę z dekoltem w „v”. Dzień był chłodny. Na szczęście narzuciła też, chyba dość ciepły, fioletowy płaszczyk. Przypięła do uszu złote kółka. Wyglądała pociągająco, lecz nie był to strój odpowiedni na spacer poza miastem.

- Co masz na stopach? Te bezużyteczne pantofelki? Uniosła stopę, pokazując skórzane buty.

- Kazałam je zrobić, żebyś mogła chodzić z tobą na wyprawę. - Zrobić specjalnie - mruknął do siebie chłopak.

Richard pamiętał, jaka była urażona, gdy powiedział dziewczynie, że nie do twarzy jej w błękitnej sukni. Nie chciał odpędzać Pashy i znów ranić jej uczuć. Próbowowała mu się przypodobać. Może, pomyślał, dobrze zrobi mi widok uśmiechniętej buzi.

- Zatem zgoda. Możesz iść ze mną, lecz nie oczekuj, iż będę cię zabawiać rozmową.

Pasha uśmiechnęła się i wzięła go pod ramię.

- Uszczęśliwi mnie sam spacer u twego boku.

Towarzystwo Pashy przynajmniej chroniło Richarda przed innymi kobietami, kiedy przemierzali razem miasto. Te, które mimo to ośmieliły się zbliżyć, Pasha przepędzała gniewnym spojrzeniem, zaś te, które nie wystraszyły się gniewnego spojrzenia, zarabiały dotknięcie Han dziewczyny. Piszczwały pod niewidzialnymi uszczyplnięciami i odsuwały się.

Teraz Richard rozumiał, dlaczego pałac hodował czarodziejów. Próbowali uzyskać takiego z podwójnym darem, z magią addytywną i subtraktywną.

I wreszcie go mieli.

Szli w milczeniu pośród skąpanych w złocistym blasku późnego popołudnia wzgórz. Richard poczuł się lepiej na otwartej przestrzeni, wśród górujących nad miastem skalistych wniesień. Czuł się wolny, choć było to tylko złudzenie. Nagle zapragnął, by nie było przy nim Pashy. Od wielu dni nie widział Gratcha. Gratch na pewno się wściekał.

Chłopak nie miał pojęcia, co teraz robić. Nie wiedział, czy prawdą jest wszystko to, co usłyszał od Ksieni. Nie wiedział też, czego się bardziej obawiać - tego, że to prawda, czy tego, że to kłamstwa.

Nagle zaciśnięcie dłoni Pashy na ramieniu chłopaka wyrwało go z zadumy; przystanął. Dziewczyna rozglądała się nerwowo. Sposób, w jaki oddychała, zdradzał, że się boi.

- Co się dzieje? - spytał szeptem. Przeszukiwała spojrzeniem otaczające ich skałki. - Coś tam jest, Richardzie. Wracajmy, proszę.

Richard dobył miecza. W popołudniowym powietrzu rozległ się charakterystyczny szczeł. Chłopak niczego nie wyczuwał, nie miał poczucia zagrożenia, lecz Han Pashy najwyraźniej wyczuła coś, co ją przerażało.

Dziewczyna pisnęła. Richard okręcił się gwałtownie. Zza skał wystawała łepetyna Gratcha. Pasha się cofnęła.

- W porządku. On nic ci nie zrobi.

Na wszelki wypadek Gratch uśmiechnął się, ukazując zębiska, i wyprostował się na całą wysokość.

- Zabij go! - wrzasnęła dziewczyna. - To potwór! Zabij go!

- Uspokój się, Pasho. On cię nie skrzywdzi.

Jeszcze bardziej się cofnęła. Gratch stał, patrząc to na nią, to na Richarda. Nie wiedział, co zrobić. Richard uświadomił sobie, że Pasha może wykorzystać swoją moc i skrzywdzić chimere, więc stanął pomiędzy nimi.

- Odsuń się, Richardzie! Trzeba go zabić! To potwór!

- On ci nic nie zrobi. Ja go nam, Pasho...

Dziewczyna odwróciła się i uciekła; powiewała za nią rozwiana pelerynka. Richard jęknął i patrzył, jak skacze ze skałki na skałkę, zbiegając ze wzgórza. Łypnął gniewnie na Gratcha.

- Co z tobą!?! Musiałeś ją wystraszyć!?! Po co pokazujesz się ludziom!?!

Gratch położył uszy. Przygarbił ramiona i zaczął skomleć. Richard podszedł do niego, kiedy zaczęły mu się trząść skrzydła.

- Cóż, co się stało, to się nie odstanie, i nie ma co tego żałować. Chodź i uściskaj mnie. - Gratch spojrział w ziemię. - Wszystko będzie dobrze.

Chłopak objął wielkie, futrzaste stworzenie. Gratch w końcu odwzajemnił uścisk. Otoczył Richarda ramionami i skrzydłami, gulgocząc ze szczęścia. Po chwili ściągnął chłopaka ze skałki i powalił na ziemię. Richard łaskotał go i siłował się z nim, aż Gratch chichotał rozradowany.

W końcu usiedli spokojnie i chimera dotknęła czubkiem pazura kieszeni, w której Richard przechowywał pukiel włosów Kahlan. Popatrzyła na chłopaka spod brwi równie masywnych jak stylisko topora. Po chwili Richard zrozumiał, o co chodzi chimercze.

- Nie. To nie ta sama kobieta. To zupełnie inna osoba.

Gratch zmarszczył brwi. Nie rozumiał. Richard nie miał ochoty tłumaczyć, iż pukiel włosów, na które zawsze patrzy, nie jest od Pashy. Za to, ustępując naleganiom Gratcha, posiłował się jeszcze raz ze swoim włochatym przyjacielem.

Chłopak wracał do pałacu już o zmierzchu. Musiał odszukać Pashę i wyjaśnić jej, iż Gratch jest jego przyjacielem, nie zaś niebezpieczną bestią. Lecz to Siostra Verna znalazła chłopaka, zanim dotarł na miejsce.

- Czy tam, w głuszy, karmiłeś chimere, którą kazałam ci zabić? Pozwoliłeś, żeby szła za nami!?

Richard wpatrywał się w Siostrę.

- Mały był bezbronny, Siostro. Nie mogłem zabić stworzenia, które mi nie zagrażało. Zaprzyjaźniliśmy się.

Verna mruknęła coś i przesunęła dłonią po twarzy.

- Brzmi to absurdalnie, ale chyba rozumiem. Potrzebowałeś towarzystwa, a na pewno nie stowarzyszyłbyś się ze mną.

- Siostro Verno...

- Dlaczego jednak pozwoliłeś, by Pasha go zobaczyła!? - Wcale nie. Gratch wystawił głowę. Nie wiedziałem, że tam jest.

Pasha zobaczyła go przede mną.

Verna westchnęła poirytowana.

- Tutejsi ludzie boją się zwierząt. Zabijają je. Pasha przybiegła, wrzeszcząc, że na wzgórzach jest dziki zwierz.

- Wytlumaczę im. Zrozumieją, że...

- Richardzie! Słuchaj, co mówię! - Cofnął się o krok i w milczeniu czekał, co Siostra powie. - Pałac wierzy, że „ulubione zwierzątka” przeszkadzają w nauce posługiwania się Han. Ze uwagę i uczucia poświęca się takiemu stworzeniu, a nie nauce i Siostrze. Uważam, iż to głupie, ale tak już jest i już.

- O co chodzi? Myślisz, że zabronią mi się z nim widywać? Verna położyła niecierpliwie dłoń na ramieniu chłopaka.

- Nie, Richardzie. One uważają, że to podstępna bestia, która może cię zaatakować. Sądzą, iż jesteś w niebezpieczeństwie. Teraz, kiedy my tu rozmawiamy, Siostry zbierają grupę poszukiwawczą. Zamierzają dopaść go i zabić dla twojego własnego dobra.

Richard przez sekundę patrzył na jej zatroskaną minę, a potem ruszył biegiem. Minał most, gnał przez miasto. Ludzie wytrzeszczali nań oczy, kiedy ich mijał. Przeskakiwał ponad wózkami, które zbyt wolno usuwały mu się z drogi. Przewrócił kram z amuletami. Krzyczano na niego ze złością, ale się nie zatrzymał.

Krew szumiała mu w uszach, gdy pędził wśród wzgórz. Parę razy potknął się o kamienie lub zapadliska, lecz się podrywał, chciwie chwytając powietrze i pędził dalej. Przecinał w ciemnościach parowy, skacząc ze skałki na skałkę.

Wreszcie dotarł na szczyt okrągłego wzgórza, w pobliże miejsca, gdzie wcześniej widział Gratcha, i - ciężko dysząc po wysiłku - zaczął go nawoływać. Wsparł się pod boki, odrzucił głowę w tył i na cały głos wyrzaskiwał imię chimery. Głos Richarda odbijał się echem wśród okolicznych wzgórz. Potem ucichł i zapanowała cisza.

Chłopak, wyczerpany, osunął się na kolana. Wkrótce się tu zjawią. Siostry użyją swojej Han, żeby odszukać chimere. Gratch nie domyśli się, co zamierzają zrobić. Jeśli się nawet nie zbliży, to i tak ich magia dosięgnie go i zabije. Mogą go strącić lub podpalić.

- Graaaaatch! Graaaaatch!!!

Ciemny kształt przesłonił grupę gwiazd. Chimera ciężko osiadła na ziemi, złożyła skrzydła. Przechyliła na bok głowę i cicho zagruchała. Richard zacisnął dłoń na futrze Gratcha.

- Posłuchaj, Gratch! Musisz stąd odejść. Nie możesz tu dłużej być. Chcą cię zabić. Musisz uciec.

Gratch pisnął pytająco. Pochylił do przodu uszy. Spróbował objąć Richarda ramionami. Chłopak go odepchnął.

- Odejdź! Wiem, że mnie rozumiesz! Znikaj! Chcę, byś odszedł! Spróbują cię zabić! Uciekaj i nigdy nie wracaj!

Gratch zastrzygł uszami, przechylił głowę w drugą stronę. Richard uderzył pięścią w pierś chimery. Wskazał na północ.

- Znikaj! - Wyrzucił w górę ramiona, znów wskazał kierunek. - Chcę, żebyś odszedł i nigdy nie wrócił!

Gratch znów próbował otoczyć chłopaka ramionami. Richard go odepchnął. Gratch położył płasko uszy.

- Grrrrratch kooooa Raaa chaaarg.

Chłopak z całego serca pragnął przytulić Gratcha i zapewnić, że i on go kocha, lecz nie mógł tego zrobić. Musiał go przepędzić, by ocalić mu życie.

- A ja cię nie kocham! Uciekaj i nigdy nie wracaj!

Gratch spojrzał na wzgórze, z którego zbiegła Pasha. Przeniósł wzrok na Richarda. Zielone ślepia wypełniały się łzami. Wyciągnął łapę ku chłopakowi. Richard go odtrącił. Gratch stał z wyciągniętymi ramionami. Chłopak przypomniał sobie, jak po raz pierwszy tulił chimere. Gratch był wówczas taki mały. A teraz jest taki wielki. Urosł, a jednocześnie urosła jego miłość i przyjaźń. Był jedynym przyjacielem Richarda i tylko Richard mógł go uratować. Chłopak musiał to uczynić, jeżeli naprawdę kochał chimere.

- Znikaj! Nie chcę, żebyś się tu kręcił! Nie chcę, żebyś wracał! Jesteś głupim, wielkim worem futra! Uciekaj! Jeżeli naprawdę mnie kochasz, to rób, co każe, i znikaj!

Richard zamierzał dalej wrzeszczeć, ale gardło mu się ścisnęło i umilkł. Cofnął się. Gratch jakby się skurczył w zimnym nocnym powietrzu. Jeszcze raz wyciągnął ramiona i smutno, żałośnie zaskomlał. Krzyknął żałośnie. Chłopak ponownie się cofnął. Gratch zrobił krok ku niemu. Richard podniósł kamień i rzucił w niego. Kamień odbił się od potężnej piersi chimery.

- Uciekaj! - krzyknął chłopak. Znow rzucił kamieniem. - Nie chcę cię tutaj! Znikaj! Nie chcę cię więcej widzieć!

Łzy płynęły z zielonych ślepiów, spływały po pomarszczonych policzkach.

- Grrrrrach koouoa Raaa chaaarg.

- Jeśli mnie naprawdę kochasz, to zrób, co mówię! Uciekaj!

Gratch znow pojrzał na wzgórze, z którego zbiegła Pasha, odwrócił się i rozłożył skrzydła. Po raz ostatni obejrzał się przez ramię, podskoczył i odleciał w noc.

Zniknął ciemny kształt przesłaniający gwiazdy, ucichł łopot skrzydeł. Richard osunął się na ziemię. Odszedł jego jedyny przyjaciel.

- I ja cię kocham, Gratch. - Zapłakał. - O dobre duchy, czemu mi to uczyniłyście? Był dla mnie wszystkim. Tylko jego miałem. Nienawidzę was. Każdego z was.

Richard był w połowie drogi powrotnej, kiedy spadło nań nagłe zrozumienie. Zamarł, otworzył usta. Sięgnął drżącymi palcami do kieszeni.

Niedaleko migotały światła miasta. Szczyty dachów lśniły w księżycowej poświacie. Przytłumione odgłosy metropolii docierały aż tutaj, do podnóża wzgórz.

Wyjął z kieszeni pukiel włosów Kahlan.

„Jeśli mnie naprawdę kochasz, powiedziała, zrobisz to”. To samo powiedział Gratchowi. Znienacka Richard wszystko zrozumiał. Aż wstrzymał oddech.

Kahlan wcale go nie przepędziła, ocaliła mu życie. Zrobiła dlań dokładnie to samo, co on teraz dla Gratcha.

Osunął się na kolana, cierpiał dlatego, że w nią zwątpił. To jej musiało złamać serce. Jakżeż mógł w nią zwątpić?

Obroza. Tak się bał obrozy, że był ślepy na wszystko inne. Kahlan go kochała. Nie chciała mu zwrócić słowa, chciała jedynie ocalić mu życie.

Kochała go.

Richard wyrzucił w górę ramiona, uniósł twarz ku niebu.

- Ona mnie kocha!

Kłęczał, wpatrując się w pukiel włosów, który mu dała, żeby nieustannie przypominał mu o jej miłości. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł tak wielkiej ulgi. Miał wrażenie, że świat znowu ożył.

W Richardzie kotłowały się sprzeczne uczucia. Serce mu się ścisnęło, że

przepędził Gratcha, że chimera myśli, iż on ma jej już dosyć, a jednocześnie przepełniała go radość, że Kahlan go kocha.

W końcu radość zwyciężyła. Uznał, iż pewnego dnia Gratch zrozumie, że tak się musiało stać, że to było konieczne. Pewnego dnia on, Richard, pozbędzie się obroży, odnajdzie Gratcha i wszystko mu wyjaśni. A jeśli nawet go nie odszuka, to lepiej, by Gratch prowadził życie chimery, polując i szukając innych ze swego gatunku. Znajdzie swoje szczęście, tak jak znalazł je Richard.

Chłopak tak pragnął przytulić Kahlan i zapewnić o swojej miłości, lecz nie mógł tego zrobić. Nadal był więźniem Sióstr; ale będzie się uczył, uczył i uczył, i w końcu pozbędzie się obroży. Pozbędzie się obroży i wróci do Kahlan. Nie miał najmniejszych wątpliwości, iż ona na niego czeka. Powiedziała, że zawsze będzie go kochać.

Tuż przy Tanimurze Richard napotkał grupę Sióstr i powiedział im, że nie muszą się martwić, bo przepędził bestię. Nie uwierzyły i poszły na wzgórze. Nie przejął się tym. Gratch odleciał. Jego przyjaciel był bezpieczny.

Chłopak kupił od straganiarza złoty naszyjnik. Nie miał pojęcia, czy to prawdziwe złoto, ale nic go to nie obchodziło. Grunt, że naszyjnik był ładny. Pobiegł do pałacu.

Pasha chodziła tam i z powrotem w holu przed pokojami Richarda.

- Richard! Tak się martwiłam, Richardzie. Wiem, że teraz jesteś na mnie wściekły, ale z czasem zrozumiesz...

- Nie jestem zły, Pasho - uśmiechnął się. - Kupiłem ci prezent, by podziękować.

Podał jej naszyjnik, a ona uśmiechnęła się z bojaźliwym zdumieniem.

- To dla mnie? Dlaczego?

- Bo dzięki tobie pojąłem, że ona mnie kocha i zawsze kochała. Byłem ślepym głupcem. Pomogłaś mi to zrozumieć. Pasha spojrzała nań lodowato.

- Teraz jesteś tutaj, Richardzie. Z czasem o niej zapomnisz. Przekonasz się, że jestem dla ciebie stworzona.

Chłopak uśmiechnął się do niej radośnie.

- Przepraszam, Pasho. Nie chciałem cię urazić. Jesteś piękną młodą kobietą. Na pewno spotkasz swego wybranego. Możesz uszczęśliwić, kogo zechcesz. Każdy cię lubi. Ale ja nie jestem dla ciebie. Może gdybym dożył setki, lecz tak...

- W takim razie zaczekam. - Znow figlarnie się uśmiechała.

Richard cmoknął ją w czubek głowy i wszedł do pokoju. Nie sądził, że zaśnie, taki był podekscytowany, ale te spacer i biegi bardzo go zmęczyły. Odpiął się w sen, myśląc o Kahlan. Widział ją tak wyraźnie, jakby była przy nim: jej wyjątkowy uśmiech, głębokie zielone oczy, lśniące długie włosy. Od miesięcy tak dobrze nie spał.

Przez następne dni chłopak miał uczucie, że niemal unosi się nad ziemią. Jego dobry nastrój wszystkich zadziwiał. Najpierw się dziwili, lecz radość Richarda była zaraźliwa. Niektóre Siostry chichotały wesoło, kiedy mówił im, że są tak piękne jak słoneczny dzień.

Ponaglał uczące go Siostry, by się bardziej starały, żeby mu pomogły dotknąć Han. Zatrzymywał je dłużej niż zwykle. Siostry Tovi i Cecilia były zachwycone, Merissa i Nicei uśmiechały się leciutko z zadowolenia. Armina okazywała ostrożną radość, Liliana zaś była pełna entuzjazmu. Richard chciał się pozbyć obroży, a wiedział, iż będzie ją miał na szyi dopóty, dopóki nie będzie mógł zrobić tego, czego chciały.

Przez jakiś czas nie widywał Warrena, lecz w końcu wybrał się do podziemi, by sprawdzić, jak przebiegają poszukiwania. Siostry Becky nie było, zmogły ją mdłości, a druga Siostra zachichotała, kiedy Richard do niej mrugnął.

Warren ucieszył się na widok chłopaka. Radowało go to, co wyszukał. Ledwo mógł się doczekać, kiedy powie o tym Richardowi. Zaczął otwierać leżące na stole książki, gdy tylko zamknęły się drzwi do jednego z tylnych pokoi.

- Bardzo pomogło mi to, co od ciebie usłyszałem. Spójrz tutaj. - Warren wskazał niezrozumiałe dla Richarda wyrazy. - Tak jak mówiłeś. Napisano tu, że Kamień Lez, kiedy znajdzie się w naszym świecie, nie uwolni Opiekuna.

- No to jakież on ma znaczenie?

- Wygląda na to, że w drzwiach więzienia jest sporo zamków, a kamień otwiera tylko jeden z nich. To nie wystarczy, żeby go uwolnić. Jest sporo sposobów, by mu pomóc, wiele magicznych przedmiotów. Jednak Kamieniem Lez musi się posłużyć ktoś z tego świata, ktoś mający dar obu magii: addytywnej i subtraktywnej. Tylko taka osoba mogłaby uwolnić Opiekuna. Ci, którzy mają wyłącznie dar magii addytywnej, mogą bardziej rozedrzeć zasłonę, narobić szkód, lecz nie są w stanie go uwolnić. Uważam -

powiedział Warren z błyskiem w oku - że dopóki będziemy ostrożni, dopóty czarny kamień w naszym świecie nam nie zaszkodzi.

- Nie jest czarny. Nigdy nie powiedziałem, że jest czarny. Opisałem tylko kształt i wielkość.

- Nie czarny? - Warren dotknął palcem wargi. - No to jaką ma barwę?

- Bursztynową.

Warren aż jęknął z ulgi, i przycisnął dłonie do piersi.

- Dzięki niech będą Stwórcy! - wykrzyknął radośnie. - To najlepsza nowina, jaką usłyszałem w tym roku! Jeżeli jest bursztynowy, znaczy to, iż dotknęła go łza czarodzieja. To odpycha Opiekuna. Jest dlań równie odrażający jak dla nas zgniłe, cuchnące mięso. Jego sługusy nie dotkną kamienia!

Richard uśmiechnął się jeszcze szerzej. Zedd musiał to uczynić. To dlatego miał wrażenie, że od kamienia „ciągnie” Zeddem. Owa świadomość, połączona z wiążącym się z Kahlan odkryciem, przepełniła miarę. Musiał się z kimś podzielić rozpierającą go radością.

- Mam i inne dobre wieści, Warrenie. Zakochałem się. Będę się żenił.

Warren znów radośnie wrzasnął, lecz potem jego uśmiech zgasł.

- To nie Pasha, co? Jeżeli ona, to nie szkodzi, zrozumiem. Będziecie piękną...

Richard lekko dotknął ramienia Kreta.

- Nie, to nie Pasha. Kiedyś ci o niej opowiem. Jest Matką Spowiedniczką. Ale nie chcę ci przerywać. Co jeszcze odkryłeś?

- Hmm. - Warren przyciągnął kolejną księgę. - Jest tu parę cennych odniesień do tej okrągłej kości, o której mówiłeś, i do skrina. Mam na myśli między innymi rozgałęzioną przepowiednię dotyczącą zimowego przesilenia, które nastąpi za parę tygodni. To bardzo skomplikowana płatanina rozgałęzień i krzyżujących się wątków. Dopiero niedawno dowiedzieliśmy się, że proroctwo traktujące o tej kobiecie i jej ludzie to właściwa gałąź...

Ile razy Warren zaczynał opowiadać o rozgałęzieniach i zbiegach okoliczności, Richard nieodmiennie tracił wątek. Teraz też pojął przede wszystkim to, że chodzi o zimowe przesilenie.

- Co ma z tym wszystkim wspólnego zimowe przesilenie? - Zimowe przesilenie. - Warren podniósł nań wzrok. - Najkrótszy dzień w roku.

Najkrótszy dzień, najdłuższa noc. Rozumiesz?

- Nie. Co to ma do skrina?

- Najdłuższa noc w roku. Najdłuższa noc, najwięcej mroku. Widzisz, są takie okresy, kiedy Opiekun może wywierać na tym świecie mniejszy lub większy wpływ. Panuje nad światem mroku i kiedy u nas jest okres największej ciemności, zasłona jest naj słabsza. Wtedy Opiekun może wyrządzić najwięcej szkody.

- To za parę tygodni, w zimowe przesilenie, grozi nam niebezpieczeństwo.

Warren miał zadowoloną minę.

- Tak. Dzięki twojej informacji mogę zrozumieć kolejną przepowiednię, mającą związek z odgałęzieniem, które, jak teraz wiemy, jest prawdziwe. Z przesileniem zimowym wiąże się proroctwo mówiące o niebezpieczeństwie grożącym światu żywych. Żeby była to prawdziwa gałąź, Opiekun musi mieć na właściwym miejscu sporo elementów, na przykład otwartą bramę. Potrzebuje jednak również przywołanego na ten świat pośrednika - Warren, zachwycony, pochylił się ku chłopakowi - a ten z kolei potrzebuje skrina. Jeśli ma tę okrągłą kość, o której mówiłeś, to może przywołać stróża i zniszczyć go. Jeżeli zniszczy stróża, to Opiekun może przejść przez bramę.

- To brzmi dość groźnie, Warrenie.

Kret lekceważąco machnął ręką.

- Wiele proroctw brzmi złowieszczo, tak jak i to. Ale rzadko kiedy wszystkie elementy są na swoich miejscach i okazuje się, iż to fałszywe odgałęzienia. Księgi są przepelnione fałszywymi odgałęzieniami, bo...

- Do rzeczy, Warrenie.

- A, tak. Powiedziałeś mi, że twoja przyjaciółka ma kość, którą można przywołać skrina. Opiekun potrzebuje pośrednika, lecz go nie ma. Bez kości i ze zbliżającym się odgałęzieniem, które trzeba prawidłowo minąć, a uważamy, że tak będzie, jest to jeszcze jedna fałszywa gałąź. Jesteśmy więc bezpieczni!

Richard poczuł leciutkie ukłucie lęku, ale zagłuszyła to zaraźliwa uciecha i pewność Warrena. Porwał go entuzjazm Kreta. Klepnął młodziana w plecy.

- Dobra robota, Warrenie. Teraz bez reszty mogę się poświęcić nauce korzystania z Han.

Warren promieniał.

- Dzięki, Richardzie. Cieszę się, iż mogłeś mi pomóc. Poczyniłem większe postępy, niż się spodziewałem. Zanim cię poznałem, nie sądziłem, że tak daleko zajdę.

Uśmiechnięty Richard z podziwem potrząsnął głową.

- Jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś tak bystrego, Warrenie, i tak młodego zarazem.

Warren roześmiał się tak, jakby to była najzabawniejsza rzecz, jaką usłyszał w życiu.

- Co cię tak rozbawiło?

- Twój żart - odparł Warren, ocierając z oczu łzy.

- Jaki żart?

Śmiech Warrena zmienił się w chichot maskujący zdumienie.

- O mnie. Że jestem młody. To mnie rozbawiło.

- Dlaczego to takie zabawne? - Richard zachował uprzejmy uśmiech.

Warren przestał chichotać i tylko się uśmiechał.

- Bo mam sto pięćdziesiąt siedem lat. Richard dostał gęziej skórki.

- Teraz ty żartujesz. To żart. To żart, prawda? Dobry humor Warrena zupełnie zniknął. Zamrugął.

- Przecież wiesz, Richardzie... Musieli ci powiedzieć. Byłem przekonany, że ci powiedziały...

Richard odsunął na bok księgę. Przysunął bliżej swoje krzesło.

- Co mi powiedziały? Warrenie, jeśli już zacząłeś, to teraz nie milknij. Powiedz, przecież jesteś moim przyjacielem.

Warren odchrząknął, zwilżył językiem wargi. Lekko pochylił się do przodu.

- Przykro mi, Richardzie. Sądziłem, że wiesz. Inaczej już dawno sam bym ci o tym powiedział. Na pewno bym powiedział.

- O czym byś mi powiedział?

- O magii. Magii Pałacu Proroków. Pałac ma w sobie magię tak addytywną, jak i subtraktywną, zakotwiczoną w obu światach. Dlatego inaczej płynie tu czas.

- Czy to wywiera wpływ na nas wszystkich, Warrenie? - spytał ochryple Richard. - Na wszystkich noszących obrożę?

- Nie... na wszystkich w pałacu. Na Siostry też. To zaklęte miejsce. Dopóki Siostry mieszkają w pałacu, starzeją się w tym samym tempie, co my.

Zakłęcie sprawia, iż starzejemy się wolniej, iż czas wydaje się nam inny.

- Co to znaczy „inny”?

- Zakłęcie spowalnia procesy starzenia. My starzejemy się o rok, a ci na zewnątrz pomiędzy dziesięcioma a piętnastoma laty.

Richardowi kręciło się w głowie.

- To nie może być prawda, Warrenie. Nie może. - Rozpaczliwie szukał jakiegoś dowodu. - Pasha. Pasha może...

- Znam Pashę od ponad stu lat, Richardzie.

Chłopak odsunął krzesło i wstał. Przeczesał włosy palcami.

- To nie ma sensu. To musi być coś w rodzaju... Dlaczego tak się dzieje?

Warren ujął ramię Richarda, usadowił go na krześle. Przysunął bliżej swoje. Odezwał się cichym, zatroskanym głosem, jak ktoś przekazujący wieści o nieszczęściu.

- Wyszkolenie czarodzieja zabiera dużo czasu. W świecie na zewnątrz minęło ze dwadzieścia lat, zanim byłem w stanie dotknąć mojej Han. Tu jednak postarzałem się zaledwie o dwa lata. I tutaj minęło dwadzieścia lat, a ja postarzałem się jedynie o dwa. Gdyby pałac nie spowalniał naszego starzenia się, zmarlibyśmy ze starości, nim potrafilibyśmy choć lampę zapalić za pomocą naszej Han. Jeszcze nigdy nie słyszałem, by wyszkolenie czarodzieja zajęło mniej niż dwieście lat. Zwykle trwa to niemal trzysta lat, czasem sięga i czterystu. Wiedzieli o tym czarodzieje, którzy stworzyli to miejsce, i dlatego sprzęgli pałac z tamtymi światami, gdzie czas jest bez znaczenia. Nie mam pojęcia, jak to działa, wiem jedynie, że działa.

Richardowi trzęsły się ręce.

- Ale... muszę się pozbyć tej obroży. Muszę wrócić do Kahlan. Nie mogę tak długo czekać. Pomóż mi, Warrenie. Nie mogę tak długo czekać.

Warren wbił oczy w podłogę.

- Przykro mi, Richardzie. Nie wiem, jak zdjąć nasze obroże, nie wiem też, w jaki sposób wydostać się poza barierę, która nas tu trzyma. Wiem, co czujesz. Przez to tkwię w podziemiach ostatnie pięćdziesiąt lat. Niektórzy z tamtych się tym nie przejmują. Mówią, że dzięki temu mają więcej czasu na kobiety.

- Nie wierzę w to. - Richard powoli wstał z krzesła. Warren podniósł głowę.

- Wybacz, Richardzie, że ci to powiedziałem. Tak mi przykro, że to ja

musiałem cię zranić. Zawsze byłeś... Richard położył dłoń na ramieniu Warrena.

- To nie twoja wina. To nie twoje dzieło. Ty mi tylko powiedziałeś prawdę. - Miało się uczucie, iż głos chłopaka wydobywa się z dna czeluści. - Dzięki za prawdę, przyjacielu.

Chłopak wolniutko ruszył ku drzwiom. Wiedział jedno - umierały wszystkie marzenia. Jeżeli nie uda mu się pozbyć obroży, to wszystko będzie stracone.

Siostry Ulicia i Finella podniosły się ostrzegawczo, kiedy Richard wszedł. Cofnęły się jednak - tak jak wcześniej strażnik - gdy ujrzały twarz chłopaka. Przed wewnętrznymi drzwiami pojawiła się migotliwa osłona. Przeszedł przez nią, nawet nie zwalniając. Drzwi rozwarły się gwałtownie, choć ich nie dotknął, trzasnęła część framugi. Nawet nie przyszło mu do głowy, by nacisnąć klamkę.

Ksieni siedziała za masywnym orzechowym stołem, ręce opierała o blat. Poważnymi oczami obserwowała zbliżanie się Richarda. Chłopak oparł się o stół, zawisł nad nią.

- Muszę przyznać, Richardzie - powiedziała pośpennie - że oczekiwałam tej wizyty.

- Dlaczego Siostra Verna mi nie powiedziała? - głos mu się załamał.

- Bo jej zabroniłam.

- A dlaczego ty mi nie powiedziałaś?

- Ponieważ chciałam, byś najpierw dowiedział się ważnych rzeczy o sobie i dzięki temu lepiej zrozumiał swoje znaczenie. Brzemie czarodzieja i Ksieni również.

Richard osunął się na kolana.

- Pomóż mi, Ann, błagam - wyszeptał. - Muszę się pozbyć Rada'Han. Kocham Kahlan. Potrzebuję jej. Muszę do niej wrócić. Tak długo mnie przy niej nie ma. Pomóż mi, Ann, proszę. Zdejmij mi obrozę.

Na dłuższą chwilę zamknęła oczy. Kiedy je znów otworzyła, były pełne smutku.

- Mówiłam prawdę, Richardzie. Nie możemy zdjąć Rada'Han, dopóki nie nauczysz się tyle, by nam pomóc. A na to trzeba czasu.

- Pomóż mi, Ann, proszę. Nie ma innego sposobu?

Z wolna potrząsnęła głową, patrząc mu prosto w oczy.

- Nie ma, Richardzie. Z czasem to zaakceptujesz. Wszyscy akceptują. Dla tamtych to łatwiejsze, bo zjawiają się tutaj jako chłopcy. Nie pojmują tego i dociera to do nich dopiero z czasem. Jeszcze nigdy nie musiałyśmy o tym mówić komuś dorosłemu jak ty, który od razu pojmuje całe znaczenie.

Richard nie potrafił jasno myśleć. Miał wrażenie, że więźnie w mrocznym koszmarze.

- Ale już straciliśmy tyle czasu. Będzie stara. Zestarzeją się wszyscy, których znam.

Ann odwróciła oczy, przygładziła włosy.

- Zanim zostaniesz wyszkolony, Richardzie, i będziesz mógł stąd odejść, upłynie ponad sto lat od czasu, jak pochowano zmarłe ze starości praprawnuki tych, których znałeś.

Mrugał oczami, usiłując doliczyć się pokoleń, ale wszystko mu się zlewało. Nagle przypomniał sobie, przed czym ostrzegęła go Shota - pułapka czasu. To była owa pułapka.

Ci ludzie zabrali mu wszystko. Odeszło wszystko, co kochał. Już nigdy nie ujrzy Zedda ani Chase'a, ani nikogo ze znajomych. Już nigdy nie przytuli Kahlan. Nigdy nie będzie jej mógł powiedzieć, że ją kochał, że zrozumiał, ile dlań poświęciła.

ROZDZIAŁ 63

Richard siedział na podłodze. Podniósł wzrok i zobaczył stojącego w drzwiach Warrena. Nie słyszał pukania. Nie odezwał się, a Warren podbiegł i przykucnął przy nim.

- Posłuchaj, Richardzie. Coś, co powiedziałeś, skłoniło mnie do myślenia. Stwierdziłeś, że masz poślubić Matkę Spowiedniczkę.

Umysł Richarda otrząsnął się z otumanienia, chłopak podniósł oczy.

- Proroctwo dotyczy jej, prawda? To, co ma się spełnić w zimowe przesilenie.

- Tak przypuszczam. Ale za mało wiem o niej, o Spowiedniczkach, żeby mieć pewność. Czy Matka Spowiedniczka ubiera się na biało?

- Tak. A Spowiedniczki rodzą się po to, by znajdować prawdę. Ona jest ostatnią.

- Sądzę, iż to dobre wieści, Richardzie. Myślę, że ona odnajdzie szczęście w zimowe przesilenie i daje swojemu ludowi.

Richard przypomniał sobie wizję, jakiej doświadczył w Baszcie Zatracenia. Pamiętał ów straszliwy obraz. Słowa, które wówczas wypowiedziała Kahlan, wryły mu się w pamięć. Zacytował je Warrenowi:

- Kiedy ustąpią mroki, ze wszystkich, co byli, pozostanie jedynie ów zrodzony z magii, by wydobyć prawdę. Potem idzie najmroczniejszy podstęp śmierci. By ocalić więzy życia, kobieta w bieli ma być ofiarowana swemu ludowi, co przyniesie radość i otuchę.

- Tak! To te słowa! Uważam, że „najmroczniejszy” oznacza tak Opiekuna, jak i zimowe przesilenie. Sądzę, że to oznacza... Gdzie przeczytałeś to proroctwo, Richardzie?

- Nie czytałem go. Usłyszałem je w wizji o Kahlan.

Oczy Warrena zrobiły się wielkie jak zawsze, kiedy był zdumiony.

- Miałeś wizję proroctwa???

- Tak. Ona przyniosła mi te słowa i obraz tego, co się wydarzy.

- A co się wydarzy?

- Nie mogę ci powiedzieć. - Richard wygładził nogawkę. - Powiedziała, że wolno mi powtarzać słowa, lecz zabroniła mówić o wizji. Przepraszam. Warrenie, ale nie osmielę się złamać tego zakazu, nic mając pojęcia, jakie

może to mieć konsekwencje. Jedno mogę zdradzić: jeżeli owo proroctwo się spełni, to nie będzie to radosne ani dla niej, ani dla mnie.

Warren zastanawiał się przez chwilę.

- Tak. Masz rację. - Spojrzał spod oka na Richarda. - Powiniennem ci powiedzieć coś, co dotyczy proroctwa, Richardzie. Mało kto to wie, lecz słowa nie zawsze odzwierciedlają prawdziwą intencję.

- Co masz na myśli?

- Kilka razy miałem wizję, kiedy czytałem proroctwa. Wizja okazała się prawdziwa, proroctwo też, jednak nie w dosłowny sposób. Uważam, że prawdziwe znaczenie proroctwa powinno się poznawać poprzez dar, poprzez wizje.

- Czy Siostry o tym wiedzą?

- Nie. Chyba to właśnie oznacza bycie prorokiem. Może i ty jesteś prorokiem, Richardzie, skoro miałeś wizję, słyszałeś słowa i widziałeś ich znaczenie.

- Według Ksieni mam zupełnie inny talent. Jeżeli ma rację, to owa wizja stanowi ledwo część moich właściwych zdolności.

- To znaczy?

- Ksieni powiedziała, że jestem czarodziejem wojny. Oczy Warrena znów zrobiły się wielkie.

- Czarodziej wojny ma dar obu magii, Richardzie. Od tysięcy lat nie urodził się nikt z darem magii subtraktywnej. Może Ksieni się myli.

- Taką mam nadzieję. Ale to wyjaśniałoby wiele spraw. Jeden z moich przyjaciół mówi, że magia addytywna wykorzystuje to, co jest, dodaje do tego, pomnaża i zmienia; stwarza rzeczy. Magia subtraktywna jest jej przeciwieństwem, obraca wszystko wniwecz. To Siostry stawiają wszelkie osłony. Mają tylko magię addytywną. Nawet ci z darem nie są w stanie łatwo przedostać się przez owe osłony ani bez problemu ich przełamać, bo i oni dysponują jedynie magią addytywną. Moc przeciwko mocy. Za to ja mogę spokojnie przechodzić przez osłony. Wyjaśniałaby to magia subtraktywna. Zniweczyłaby osłony addytywne.

- Ale mówiłeś, że próbowałeś przejść przez barierę, która nas tu zatrzymuje. To też osłona. Dlaczego nie możesz jej pokonać, skoro dysponujesz magią subtraktywną?

Richard nachylił się, znacząco uniósł brew.

- Kto postawił te osłony, Warrenie?
- Ci, którzy przepoili pałac magią, dawni czarodzieje...
- Sam powiedziałaś, że mieli również dar magii subtraktywnej. Oni ustanowili wyłącznie tamtą barierę. Tylko przez nią nie potralic przejść. Jedynie jej nie może zniweczyć moja magia subtraktywna, jeśli ją w ogóle mam. Rozumiesz, o czym myślę?

Warren przysiadł na piętach.

- Tak... - Tarł brodę i zastanawiał się. - Hmmm, to brzmi sensownie. Mogłoby pasować do niektórych proroctw o tobie. Jeżeli naprawdę jesteś czarodziejem wojny, to jesteś zrodzony z prawdy.

- Czy te proroctwa mówią, że zwyciężę?

Warren zawahał się. Zerknął na leżący w pobliżu Miecz Prawdy.

- Czy „biała klinga” coś ci mówi?

Richard ciężko westchnął na to wspomnienie.

- Dzięki magii mogę sprawić, że klinga miecza zbieleje.

Warren otarł twarz dłonią.

- No to grożą nam kłopoty. Istnieje proroctwo, mówiące: *Jeśliby zaś uwolnione zostały siły zatraty, to światem zawładnie jeszcze mroczniejsza pasja, wypływająca przez to, co zostało rozdarte. Nadzieja wybawienia zawisnie na białej klindze zrodzonego z prawdy.*

- Przez to, co zostało rozdarte - powtórzył Richard. - To znaczy przez otwartą bramę.

- A „mroczniejsza pasja” to Opiekun.

- Muszę coś zrobić w związku z proroctwem, Warrenie. Tym, które mówi o kobiecie w bieli. To bardzo ważne. Masz jakieś pomysły?

Warren wpatrywał się w Richarda, jakby próbował podjąć jakąś decyzję.

- Mam. Ale nie wiem, czy to coś da. - Potarł dłonie o uda. - Mają tu w pałacu Proroka. Nigdy go nie widziałem. Chciałem, ale mi nie pozwolono. Siostry twierdzą, iż rozmowa z nim byłaby dla mnie zbyt niebezpieczna, dopóki się jeszcze więcej nie nauczę. Obiecały, że pozwolą mi z nim porozmawiać, kiedy zdobędę odpowiednią wiedzę.

- W pałacu? Gdzie?

Warren wyciągnął spod kolan fałd szaty.

- Nie wiem. Na pewno w jednym z zakazanych sektorów, ale nie mam pojęcia, w którym, i nie wiem, jak się tego dowiedzieć.

- Ja wiem. Richard wstał.

Richard wiedział, że zapytał właściwego gwardzistę. Zbrojny Kevin Andellmere zbiegał jak duch na wspomnienie Proroka. Najpierw udawał, iż nic nie wie, lecz chłopak łagodnie przypomniał mu wszelkie profity i Kevin wyszeptał gdzie.

Był to jeden z najlepiej strzeżonych sektorów. Richard wiedział, jak byli rozstawieni gwardziści, bo zbierał tam białe róże oraz wchodził na mur, żeby „popatrzeć na morze”. No i znał wszystkich strażników. Byli częstymi gośćmi w opłacanym przez chłopaka domu schadzek.

Richard nie zwolnił przy zewnętrznej bramie, po prostu kiwnął głową na mrugnięcie strażnika. Gwardziści na wałach obronnych byli bardziej obowiązkowi, jeden wyciągnął rękę, chcąc zatrzymać chłopaka. Richard uściśnął mu dłoń, udając, że tak zrozumiał ów gest. W końcu westchnęli i wrócili na posterunki, pozwalając mu iść dalej. Poszedł, kołysząc otwartą peleryną mriswitha.

Na końcu rampartu była niewielka kolumnada, za nią kręcone schody, wiodące do apartamentów Proroka. Drzwi, do których zmierzał Richard, strzegli wartownicy, których najtrudniej przyszło mu obłaskawić i którzy jako pierwsi skorzystali z zaoferowanego towarzystwa kobiet. Zesztywnieli na widok chłopaka. Richard ruszył niedbale ku pilnowanym przez nich wrotom.

- O, Walsh, Bollesdun. Jak się macie? Skrzyżowali piki, zasłaniając nimi drzwi.

- Co tu robisz, Richardzie? Róże rosną wyżej.

- Muszę zobaczyć Proroka, Walsh.

- Nie upieraj się, Richardzie. Dobrze wiesz, że nie możemy cię wpuścić. Siostry żywcem odarłyby nas ze skóry.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Przecież im nie powiem, że mnie wpuściliście. Powiem, że was nabrałem. Jeśli ktokolwiek się dowie, w co wątpię, to powiedzcie, że się prześliznąłem i że zauważyliście mnie dopiero wtedy, gdy wychodziłem. Potwierdzą tę historię.

- Richardzie, jesteś naprawdę...

- Czy kiedykolwiek sprowadziłem kłopoty? Czy wam zawsze nie pomagałem? Kupuję wam napitki, pożyczam pieniądze, gdy są wam

potrzebne, za darmo zapewniam dziewczyny. Czy kiedyś chciałem czegoś w zamian?

Chłopak wspierał dłoń na rękojeści miecza. Tak czy inaczej wejdzie przez te drzwi.

Walsh popchnął butem kamyk. Ciężko westchnęli i najpierw jeden, a potem drugi wyprostował swoją pikę.

- Zrób obchód, Bollesdun. Ja idę do wygódki.

Richard zdjął dłoń z rękojeści i klepnął żołnierza w ramię.

- Dzięki, Walsh. Doceniam to.

W połowie wewnętrznego korytarza Richard wyczuł opór osłon, takich jak przed drzwiami Ksieni, ale te go trochę przyhamowały. Komnata była równie rozległa jak jego własna, lecz chyba wytworniej urządzona. Na jednej ze ścian wisiały duże gobeliny, przy drugiej stały półki na książki. Większość książek rozrzucano jednak po całej komnacie: na fotelach, kanapach, a nawet na błękitnych i złocistych pokrywających podłogę dywanach.

Richard widział plecy mężczyzny siedzącego w fotelu przed wygasłym kominkiem.

- Musisz mi powiedzieć, jak to robisz - odezwał się owym mężczyzną głębokim, silnym głosem. - Bardzo chciałbym się nauczyć owej sztuczki.

- Jak co robisz? - spytał Richard.

- Przechodzisz przez osłony, jakby ich wcale nie było. Jeżeli ja tego próbuję, to pali żywym ogniem.

- Powiem ci, gdy tylko sam to zrozumieję. Mam na imię Richard. Chciałbym z tobą porozmawiać, jeżeli masz chwilę. Nie jesteś zajęty.

- Zajęty! - Mężczyzna serdecznie się zaśmiał. Wstał i Richard trochę się zdziwił, że jest aż taki wielki. Siwe włosy tamtego sprawiły, że chłopak oczekiwał kogoś starego i pomarszczonego. I owszem, był stary, ale na pewno nie pomarszczony. Był pełen siły i wigoru. W jego uśmiechu, choć serdecznym, czaiła się groźba. Na szyi nosił Rada'Han, tak samo jak Richard.

- Mam na imię Nathan, Richardzie. Czekałem na spotkanie z tobą. Nie spodziewałem się, że samodzielnie tu dotrzesz.

- Chciałem przyjść sam, byśmy mogli swobodnie porozmawiać.

- Wiesz, że jestem prorokiem?

- Przecież nie przyszedłem tu, by się dowiedzieć, jak się piecze chleb.

Nathan uśmiechnął się jeszcze szerzej, lecz się nie roześmiał. Ściągnął

brwi jak jastrząb. W jego głosie pojawiła się sycząca nuta.

- Chciałbyś, bym opowiedział ci o twojej śmierci, Richardzie? O tym, jak umrzesz?

Richard opadł na kanapę, oparł stopy o stolik. Odwzajemnił jastrzębie spojrzenie i groźny uśmiech.

- Pewnie. Uwielbiam o tym słuchać. A kiedy już skończysz, to powiem ci, jak ty umrzesz.

- Czyżbyś i ty był prorokiem? - zdziwił się Nathan.

- Na tyle, by powiedzieć ci, jak umrzesz.

- Ach tak. - Zdziwienie przeszło w ciekawość. - No to powiedz.

Ze stojącej na stoliku misy Richard wziął gruszkę, wytarł ją o nogawkę i odgryzł kawałek.

- Umrzesz tutaj, w tych komnatach, ze starości, i już nigdy nie ujrysz otaczającego pałac świata.

Na twarzy Nathana pogłębiły się zmarszczki, mina mu zrzędła.

- Wygląda na to, iż jesteś prorokiem, mój chłopcze.

- Chyba że mi pomożesz. Jeśli tak się stanie, to może zdołam tu wrócić i pomóc ci się stąd wydostać.

- A czego chcesz?

- Chcę się pozbyć tej obroży.

- Zdaje się, że obaj pragniemy tego samego, Richardzie. - Nathan uśmiechnął się szelmowsko.

- Ale Siostry mówią, że bez niej umrę. Uśmiech tamtego stal się jeszcze szerszy.

- Wymagają od innych prawdomówności, lecz same rzadko się nią odznaczają. Siostry mają własny raptularz, Richardzie. Przez las wiedzie więcej niż jedna ścieżka.

- One twierdzą, iż muszę się nauczyć korzystać z mojej Han i że dopiero wtedy pozbędę się obroży. Jednak niezbyt mi w tym pomagają.

- Łatwiej byłoby się nauczyć kłódzie śpiewać, niż zwykłej Siostrze nauczyć cię używać twojej Han. Masz dar magii subtraktywnej. One nie mogą ci pomóc.

- A ty, Nathanie?

- Być może. - Prorok usiadł w fotelu i z przejęciem pochylił się do przodu.

- Czy kiedykolwiek czytałeś *Przygody Bonnie Day*, Richardzie?

- Czy czytałem? To moja ukochana książka. Czytałem ją i czytałem, o mało nie wytarłem oczami druku. Tak chciałbym zobaczyć tego, kto ją napisał, i powiedzieć, jak bardzo mi się ona podoba.

Na twarzy Nathana pojawił się szeroki chłopięcy uśmiech.

- Spotkałeś go, mój chłopcze. Właśnie go spotkałeś. Richard odchylił się od oparcia kanapy.

- To ty! Ty napisałeś *Przygody Bonnie Day!*

Nathan zacytował kilka fragmentów, żeby udowodnić swoje autorstwo.

- Dałem tę książkę twojemu ojcu, żeby podarował ci ją, kiedy się nauczysz czytać. To było tuż po twoim urodzeniu.

- Byłeś tam razem z Ksienią? Nie powiedziała mi o tym.

- Wątpię, czy wiedziała. Widzisz, Ann nie ma mocy umożliwiającej wejście do Wieży Czarodzieja w Aydindril. Pomogłem George'owi się tam dostać, by mógł zdobyć Księgę Opisania Mroków. Mają tam parę bardzo interesujących ksiąg z prorocत्वami.

Richard wpatrywał się weń ze zdumieniem.

- Wygląda na to, że jesteśmy starymi znajomymi.

- Czymś więcej niż znajomymi, Richardzie Rahlu. - Nathan spojrzał nań znacząco. - Nazywam się Nathan Rahl.

Richard rozdziawił usta.

- Więc jesteś... moim... prapraprakimś?

- Zbyt wiele tych „pra”, żeby je zliczyć. Mam prawie tysiąc lat, mój chłopcze. - Pomachał palcem. - Od dawna się tobą interesowałem. Mówią o tobie prorocтва. Napisałem *Przygody Bonnie Day* dla mających zadatki. To swego rodzaju prorocтва. Elementarne prorocтва, które byłbyś w stanie zrozumieć i które pomogłyby ci. Bo pomogły, prawda?

- Kilka razy - odparł Richard, który wciąż miał ochotę rozdziawić usta.

- To dobrze. Cieszy mnie to. Daliśmy tę książkę nielicznym, wyjątkowym chłopcom. Tylko ty jeden żyjesz. Reszta zmarła w wyniku „nie wyjaśnionych” wypadków.

Richard się zamyślił; dokończył gruszkę. Stanowczo nie podobała mu się ta część o magii subtraktywnej.

- Czy możesz mi pomóc w opanowaniu mojej mocy?

- Pomyśl, Richardzie. Siostry nie zadały ci bólu za pośrednictwem tej obroży, prawda?

- Nie. Ale mogą to uczynić.

- Ostatnia walka, Richardzie. Co Bonnie Day powiedziała strzegącym wrzosowisk oddziałom Warwicka? Ze wróg może nie nadejść tą samą drogą co poprzednio. Że głupio marnują energię na próby odpierania ostatniego ataku. - Nathan uniósł brew. - Chyba przegapiłeś. To, że coś przytrafiło ci się w przeszłości, wcale nie oznacza, iż to samo znów się przydarzy. Wybiegaj myślą naprzód, Richardzie, a nie cofaj się.

- Ja... miałem wizję w jednej z baszt - powiedział z wahaniem chłopak. - Że Siostra Verna posłużyła się obrożą, by mnie skrzywdzić.

- I to wywołało gniew.

Chłopak przytaknął.

- Przywołałem magię i zabiłem Siostrę.

Nathan leciutko, z rozczarowaniem, potrząsnął głową.

- Twój umysł próbował ci coś ową wizją powiedzieć. Próbował pokazać ci, że możesz się bronić, jeżeli one rzeczywiście coś takiego zrobią. Że możesz je pokonać. To twój dar i umysł współdziałały, by ci pomóc. Za wiele uwagi poświęcałeś ostatniej potyczce, aby zastanawiać się nad znaczeniem owej wizji.

Zasmucony Richard milczał. Tak się lękał, iż Siostry go skrzywdzą, że nie zwracał uwagi na nic innego. Nie dojrzał prawdziwego znaczenia czynu Kahlan, ponieważ przeraźliwie bał się, że przeszłość znów odżyje. Myśl o rozwiązaniu, nie o problemie - tak uczył go Zedd. Przeszłość przesłoniła mu przyszłość.

- Rozumiem, o co ci chodzi, Nathanie - przyznał. - A co z tym, że Siostry nie zadają mi bólu za pomocą obroży?

- Ann wie, iż jesteś czarodziejem wojny. Powiedziałem jej o tym, zanim się urodziła. Powiedziałem jej niemal pięćset lat temu. Wydała Siostram specjalne polecenia. Zadawanie bólu czarodziejowi wojny to jak ciągnięcie byka za ogon.

- Czy to znaczy, że ból jest kluczem do mojej mocy?

- Nie. Rezultat bólu. Gniew. - Prorok wskazał wiszący u boku Richarda miecz. - W ten sposób korzystasz z miecza. Gniew przywołuje magię, a ona przynosi ci gniew i tak to działa. Czy chcesz, bym pokazał ci, jak możesz dotknąć swojej Han?

Richard energicznie się doń przysunął.

- Tak. Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem, lecz tak, chcę. Musi mi się udać stąd wydostać.

- Unieś otwartą dłoń. Dobrze. - Nathana otoczyła aura władczości. - Zatrać się w moich oczach.

Richard zapatrzył się w głębokie, mroczne, błękitne oczy. Utonął w nich. Miał wrażenie, iż wpada w jasne, błękitne niebo.

Nie z własnej woli oddychał krótko, nieregularnie. Raczej wyczuwał rozkazujące słowa Nathana, niż je słyszał.

- Przywołaj gniew, Richardzie. Przywołaj wściekłość. Przywołaj nienawiść i furię. - Chłopak poczuł to dokładnie tak, jak wtedy, kiedy dobywał miecza. Czuł gniew tak, jak czuł oddech. - A teraz poczuj żar owego gniewu. Jego płomienie. Dobrze. Zogniskuj owe uczucia na wewnętrznej stronie własnej dłoni.

Richard skierował magiczną wściekłość ku swojej dłoni, sterował jej przepływem, czuł jej moc. Moc, która sprawiała, że zgrzytał zębami.

- Spójrz na wnętrze swojej dłoni, Richardzie. Ujrzyj to tutaj. Zobacz to, co czujesz.

Chłopak przesunął oczy ku swojej dłoni. Kołysała się nad nią kula błękitnego i złotego ognia. Czuł, jak z jego wnętrza wypływa energia, jak przelewa się w płomienie. Zwiększył napływ gniewu i gniewna kula ognia urosła.

- A teraz wrzuć gniew, nienawiść, furię, ogień do komina. Richard wyrzucił dłoń w tamtym kierunku. Kula nadal tkwiła nad wnętrzem dłoni. Chłopak spojrział na kominek, wypchnął gniew na zewnątrz, odrzucił go od siebie.

Płynny ogień z wyciem wpadł do komina i wybuchnął tam z trzaskiem jak błyskawica.

Nathan uśmiechnął się z dumą.

- Tak to się robi, mój chłopcze. Wątpię, czy Siostry nauczyłyby cię tego i przez sto lat. Masz wrodzony dar. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Jesteś czarodziejem wojny.

- Ale ja nie czułem mojej Han, Nathanie. Nie wyczuwałem niczego odmiennego. Czułem jedynie gniew, jak wtedy, kiedy posługuję się mieczem. Jak wtedy, gdy przytrzasnę palec drzwiami.

Nathan ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Jasne, że nie. Jesteś czarodziejem wojny. Inni mają tylko jedną „stronę” daru. Wykorzystują to, co ich otacza: powietrze, ciepło, chłód, ogień, wodę; to, co jest im akurat potrzebne. Czarodzieje wojny nie są tacy jak pozostali. Oni szukają mocy w sobie. Ty nie ukierunkowujesz swojej Han, lecz swoje uczucia. Siostry uczą, jak” coś zrobić. To nie współgra z twoją mocą. Dla ciebie są ważne jedynie rezultaty, bo czerpiesz moc z własnego wnętrza. Właśnie dlatego Siostry nie mogą cię uczyć.

- Co to znaczy, że nie mogą mnie uczyć?

- Czy widziałeś, by szwaczka choć raz nie trafiła w poduszeczkę do szpilek? Siostry chcą, żebyś obserwował swoją rękę, poduszeczkę i szpilkę. W taki właśnie sposób inni czarodzieje posługują się swoją magią. Czarodzieje wojny nie przestrzegają owego schematu, oni po prostu działają. Ich Han reaguje instynktownie.

- Czy to był... ogień czarodzieja? Nathan zachichotał.

- To się tak miało do ognia czarodzieja jak dokuczliwa ćma do rozwścieczonego byka.

Richard ponownie spróbował, lecz ogień się nie pojawił. Gniew się nie pojawił. Zdołał przywołać gniew miecza, lecz nie był to ten sam rodzaj furii, co przy współdziałaniu z Nathanem, wydobyty z głębi jego istoty.

- Nie działa. Dlaczego nie mogę tego powtórzyć?

- Bo przedtem ci pomagałem, pokazując moją mocą, jak to jest. Samodzielnie nie potrafisz jeszcze tego uczynić.

- Dlaczego?

Nathan wyciągnął rękę i postukał głowę Richarda.

- Bo to musi przyjść stąd. Musisz zaakceptować sam siebie, zaakceptować to, kim jesteś. Jeszcze w to nie wierzysz. Sprzeciwiasz się swojej naturze. Dopóki nie uwierzysz, nie zaakceptujesz siebie, dopóty nie będziesz mógł przywołać swojej Han, swojej mocy; chyba że w wielkim gniewie.

- A co z wywoływanymi przez mój dar bólami głowy? Siostry twierdziły, iż gdybym nie założył obroży, zabiłoby mnie to.

- Siostry tak ogryzają prawdę naokoło, jakby była chrząstką w kawałku mięsa. Przelykają ją wyłącznie wtedy, gdy umierają z głodu. Czynią z nas więźniów, żebyśmy się naginali do ich metod. Szkoląc cię, chcą dojść do tego, co przed chwilą uczyniłem. Bóle głowy są niebezpieczne, lecz jedynie

wówczas, kiedy młody czarodziej jest zostawiony „sam na sam” ze swoją mocą. Czy kiedykolwiek udało ci się stłumić ból głowy?

- Tak. Gdy skoncentrowałem się na strzelaniu z łuku lub kiedy coś we mnie ostrzegło mnie przed niebezpieczeństwem, albo gdy byłem zły i przyzywałem magię miecza. Wtedy na jakiś czas ból zniknął.

- To dlatego, że dostrajałeś dar i umysł. Trochę wskazówek, takich jakich ci przed chwilą udzieliłem, i umiałbyś powstrzymać dar przed wyrządzeniem ci krzywdy. To czarodzieje powinni szkolić czarodziejów. Czarodziejowi nie sprawiłoby kłopotu zharmonizowanie twojego daru z twoim umysłem, bo to męski dar uczyłby męski dar. To, co przed chwilą tu uczyniliśmy, wystarczy, by twój dar przez długi czas nie wyrządził ci krzywdy, i to bez Rada’Han. W przyszłości takie połączenie się z czarodziejem pomoże ci postawić kolejny krok i ochroni cię, dopóki nie osiągniesz następnego poziomu. Ważne, byś otrzymał pomoc wtedy, kiedy jej potrzebujesz. Siostry potrzebują setek lat, żeby pokazać ci to, coja przed chwilą. Obroża jest pretekstem, by nas uwięzić; mają w tym swoje cele. One mają własne teorie na temat szkolenia czarodziejów. Chcą ich kontrolować.

- Dlaczego?

- Uważają, że czarodzieje odpowiadają za całe zło, które spadło na rodzaj ludzki. Wierzą, iż jeśli okiełznają moc, będą ją kontrolować i wyszkolą ją, to narzucą ludziom swoją teologię. To zelantki przekonane, że jedynie one znają prawdziwą ścieżkę do wieczystej nagrody w blasku chwały Stwórcy. Myślą, iż mają prawo stosować wszelkie środki, by osiągnąć zamierzony cel.

- Czy to oznacza, że to, co mi właśnie pokazałeś, to z moją mocą, wystarczy, aby dar mnie nie zabił? I to bez obroży?

- Wystarczy, lecz potrzeba o wiele więcej lekcji, byś się stał prawdziwym czarodziejem. Pokazałem ci tylko, jak zapanować nad wierzchowcem, tak by cię nie zrzucił. Trzeba jeszcze wiele pracy, żebyś jeździł z prawdziwą gracją.

Richard poczuł, jak sztywnieje mu twarz.

- Jeżeli to prawda, to Siostry ciągną byka za ogon. Dzięki, że mi pomogłeś. - Chłopak potarł palce. - Nadciągają wielkie kłopoty, Nathanie. To się stanie wkrótce. Muszę się dowiedzieć paru rzeczy. Czy znasz drugie prawo magii?

- Jasne. Ale najpierw musisz poznać pierwsze.

- Już je znam. Wykorzystałem je do zabicia Rahla Posępnego. Mówi ono,

że ludzie uwierzą w każde kłamstwo albo dlatego, że chcą, by było prawdą, albo dlatego, że się obawiają, iż może okazać się prawdą.

- A jak się przed tym uchronić?

- Cały sekret polega na tym, że nie ma żadnej ochrony. Muszę być zawsze czujny, zawsze pamiętać, że również ja jestem na to podatny i że nigdy nie wolno mi arogancko zakładać, iż mnie to nie dotyczy. Nieustannie muszę pamiętać, że także ja mogę zostać ofiarą.

- Znakomicie.

- A drugie prawo?

Nastroszone białe brwi Nathana przysłoniły jego błękitne oczy.

- Drugie prawo dotyczy niezamierzonych skutków.

- To znaczy?

- Drugie prawo mówi, iż najlepsze intencje mogą spowodować największe szkody. To brzmi paradoksalnie, lecz dobre serce i zamiary mogą zdradziecko doprowadzić do zguby. Czasami to, co się wydaje właściwe, jest w istocie złe i może wyrządzić krzywdę. Jedyna ochrona to wiedza, mądrość, przezorność i zrozumienie pierwszego prawa. Ale i to nie zawsze wystarcza.

- Dobre intencje czy też słuszny postępek mogą spowodować szkody? Podaj mi jakiś przykład.

Nathan wzruszył ramionami.

- Małe dzieci lubią słodyczne, więc dawanie dziecku cukierków wygląda na życzliwość. Jednak wiedza, mądrość i przezorność mówią nam, iż taka „życzliwość” może doprowadzić do choroby, jeśli damy dziecku nadmiar słodczy kosztem zdrowego pożywienia.

- Przecież to jasne. Każdy to wie.

- No to powiedzmy, że ktoś zrani się w nogi, a ty będziesz mu przynosił pożywienie, kiedy będzie leczył rany. Ale po jakimś czasie ta osoba nadal nie będzie chciała wstawać, bo to początkowo sprawia ból. A ty w dalszym ciągu, z dobrego serca, będziesz przynosił jedzenie. Z czasem nogi tego kogoś osłabną jeszcze bardziej i stawanie będzie coraz boleśniejsze. Ty z dobrego serca nadal będziesz dostarczał pożywienie. No i na koniec, przez twoje dobre serce, taka osoba zostanie przykuta do łóżka i już nigdy nie będzie mogła chodzić. Twoje dobre zamiary wyrządziły szkodę.

- Nie sądzę, żeby to się zdarzało aż tak często, by stanowiło problem.

- Staram się podawać jasne przykłady, Richardzie, byś łatwiej przeszedł

do poważniejszych spraw i zrozumiał niejasną zasadę. Dobre intencje, uprzejmość, mogą zachęcić lenia do próżniactwa oraz skłonić bystre umysły do indolencji. Im bardziej im pomagasz, tym więcej potrzebują pomocy. Dopóki nie postawisz tam swojej dobroci, dopóty nie nauczą się dyscypliny i samodzielności, nie odzyskają godności. Twoja dobroć wypacza im charakter. Jeżeli dasz żebrakowi monetę, bo twierdzi, że jego rodzina głoduje, a on się upije i zabije kogoś, czy ponosisz winę za jego czyn? Nie. To on zabił. Lecz gdybyś mu dał żywność zamiast monety albo nakarmił jego rodzinę, to nigdy nie doszłoby do zabójstwa. Dobra intencja wyrządziła krzywdę. Drugie prawo magii mówi: najlepsze intencje mogą spowodować największe szkody. Pogwałcenie tego prawa może skutkować dolegliwością, nieszczęściem, a nawet i śmiercią. Niektórzy przywódcy głosili pokój, twierdząc, że nawet samoobrona jest czymś złym. Wydawałoby się, iż to najlepsza droga do unikania przemocy. A tymczasem doprowadza to często do rzezi w wypadkach, w których natychmiastowe zagrożenie przemocą mogłoby zapobiec atakowi i użyciu siły. Tacy ludzie stawiali swoje dobre zamiary ponad faktycznymi wymaganiami życia. Oskarżali wojowników o krwiożerczość, gdy tymczasem to właśnie wojownicy mogli byli zapobiec rozlewowi krwi.

- Czyżbyś mi próbował wyjaśnić, że nie powinienem się wstydzić, iż jestem czarodziejem wojny?

- Nie wyjdzie owcy na dobre wychwalanie zjadania trawy, skoro wilki są odmiennego zdania.

Richard czuł się jak podczas rozmów z Zeddem. - Ale życzliwość nie zawsze może być zła.

- Jasne, że nie. I tu wkracza mądrość. Musisz być na tyle mądry, by przewidzieć konsekwencje swoich czynów. Cały problem z drugim prawem polega na tym, iż nie zawsze można powiedzieć, czy się je łamie, czy po prostu właściwie postępuje. Co gorsza, magia jest niebezpieczna. Jeżeli dodasz magię do dobrych zamiarów, to pogwałcenie drugiego prawa może doprowadzić do katastrofy. Samo posługiwanie się magią jest łatwe. Trudność polega na tym, żeby wiedzieć, kiedy to zrobić. Możesz spowodować nieoczekiwaną szkodę za każdym razem, gdy z niej korzystasz. Czy wiesz, Richardzie, że ciężar jednego przekraczającego miarę płatka śniegu może spowodować lawinę? Katastrofa nigdy by się nie wydarzyła,

gdyby nie ten jeden płatek w nadmiarze. Posługując się magią, musisz wiedzieć, czy jeszcze możesz dodać ów „płatek śniegu”, czy też właśnie o niego będzie za dużo. Lawina przewyższy wszystko, co według ciebie mógłby on spowodować.

Richard potarł kciukiem rękojeść miecza.

- Coś mi się zdaje, Nathanie, że mogłem rozedrzyć zasłonę, bo pogwałciłem drugie prawo magii.

- I rozdarłeś.

- Co zrobiłem nie tak?

- Żeby wygrać, wykorzystałeś pierwsze prawo i swoją magię. Przez to zasiłłeś magią szkatuły, bramę, i rozdarłeś zasłonę. Postąpiłeś tak na skutek niewiedzy. Nie miałeś pojęcia, że niezamierzone skutki pozornie dobrego uczynku mogą doprowadzić do zniszczenia całego życia. Zaiste, jeden płatek śniegu. Magia jest niebezpieczna.

- Jak mogę to naprawić?

- Kamień Łez musi na powrót zostać nałożony na Opiekuna. Trzeba odtworzyć blokadę, pieczęć. Kamień Łez powinien wrócić na swoje miejsce, do zaświatów, i ponownie służyć do zamykania mocy Opiekuna w owym świecie. Do tego potrzeba obu magii. Potem, obrazowo mówiąc, należy przekręcić klucz w zamku, czyli zamknąć bramę. I do tego trzeba obu magii. Gdyby chciał tego dokonać ktoś z darem tylko jednej magii, to tylko rozerwałby zasłonę. Dlatego nic nie zdoła czarodziej, który jak ja ma wyłącznie dar magii addytywnej. Zadanie może wykonać wyłącznie ktoś taki jak ty. Dopóki to się nie stanie, grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Jeśli postąpisz źle i wykorzystasz kamień do własnych celów, to możesz zniszczyć równowagę, do końca rozedrzyć zasłonę i pogrążyć nas wszystkich w wiekuistej nocy.

Richard wpatrywał się w stolik i dumał.

- Czy wiesz, co to „agent”?

- Ach. Pewno mówisz o kłopotach związanych ze zbliżającym się zimowym przesileniem. Agent to taki ktoś, kto w zamian za coś wyświadcza usługi Opiekunowi. Na przykład wysłał mu niewinne dusze dzieci w zamian za umiejętność korzystania z magii subtraktywnej. - Nathan obrzucił chłopaka posępnym spojrzeniem. - Ale to nie powinno stanowić problemu, bo wysłałeś Rahla Posępnego do zaświatów, dzięki czemu nie ma tu żadnej

mocy. Rahl Posępny jest w zaświatach, czyż nie?

Richarda nagle rozboleł żołądek. Nie tylko rozdarł zasłonę, lecz - znów łamiąc drugie prawo magii, kiedy chciał uzyskać pomoc dzięki naradzie - ściągnął na ten świat agenta, Rahla Posępnego. Teraz Rahl mógł rozedrzeć zasłonę. To wszystko moja wina, pomyślał chłopak. Było mu gorąco i kręciło mu się w głowie. Bał się, że lada chwila dostanie torsji.

- Muszę się pozbyć tej obroży, Nathanie.

- Nie mogę ci w tym pomóc. - Prorok wzruszył ramionami. Richard zjawił się tutaj z konkretnego powodu. Uznał, że musi spróbować uzyskać odpowiedź. Odkasznął.

- Jest też ktoś, kto ma dla mnie duże znaczenie, Nathanie. Grozi jej niebezpieczeństwo, muszę ją ratować. Spisano dotyczącą jej przepowiednię, ale też objawiło mi się to w wizji.

- Jaką przepowiednię?

- *Kiedy ustąpią mroki, ze wszystkich, co byli, pozostanie jedynie ów zrodzony z magii, by wydobyć prawdę...*

Nathan dokończył swym głębokim, pełnym mocy głosem: - *Potem idzie najmroczniejszy podstęp śmierci. By ocalić więzy życia, kobieta w bieli ma być ofiarowana swemu ludowi, co przyniesie radość i otuchę.*

- A więc znasz to, Nathanie. Miałem wizję znaczenia tej przepowiedni. Zakazano mi o tym mówić, lecz mnie by to wcale nie przyniosło radości.

- Ścięto ją - powiedział cicho Prorok. - To właściwe znaczenie owej przepowiedni.

Richard przycisnął dłoń do buntującego się żołądka. To właśnie ukazała mu wizja. Jego świat znów zawirował.

- Muszę się stąd wydostać, Nathanie. Muszę zapobiec egzekucji.

- Spójrz na mnie, Richardzie. - Chłopak usłuchał, starając się powstrzymać łzy. - Muszę ci powiedzieć prawdę. Jeśli ta przepowiednia się nie dopełni, to koniec. Wszyscy umrzemy. Zginie wszystko, co żywe. Opiekun nas pochłonie. Jeżeli posłużysz się swoją mocą, by temu zapobiec, to ostatecznie rozedrziesz zasłonę i umożliwisz Opiekunowi opanowanie świata żywych.

Richard skoczył na równe nogi.

- Dlaczego!? Dlaczego ona musi umrzeć, żeby ratować świat żywych!? To bez sensu! - Zacisnął pięść na rękojeści miecza. - Muszę temu zapobiec! To

tylko idiotyczna zagadka! Nie pozwolę, aby umarła z powodu głupiej zagadki!

- Przyjdzie czas, Richardzie, kiedy będziesz musiał dokonać wyboru. Bardzo długo miałem nadzieję, iż kiedy owa chwila nadejdzie, będziesz na tyle mądry, żeby wybrać właściwie. Jeżeli źle wybierzesz, to zniszczysz nas wszystkich.

- Nie zostanę tu, by słuchać, iż muszę jej pozwolić umrzeć. Dobre duchy nie pomogły ani trochę. No to ja muszę. I zrobię to.

Richard wypadł z komnaty. Pospiesznie kroczył korytarzem, na którego ścianach rysowały się pęknięcia. Spadały odłamki tynku. Chłopak ledwo to zauważał, lecz odpowiadało to jego nastrojowi. Przeszedł przez osłonę - freski na ścianach zwęgliły się i zwinęły.

W głowie Richarda beładnie kłębiły się myśli. Teraz już wiedział, że wizja ukazała mu to, co się stanie, jeśli on tego nie powstrzyma. To się wydarzy, jeżeli on nie wydostanie się z pałacu. Może o to chodziło w prorocztwie - że on, Richard, będzie tutaj więźniem i nie zdoła pomóc, a przez to Kahlan umrze.

Na dolnym podwórku panowało jakieś zamieszanie. Zewsząd zbiegali się strażnicy. Kiedy Richard podszedł bliżej, dostrzegł jednego z mistrzów miecza Baka Ban Mana. Otaczało go - w bezpiecznej odległości - ze stu wystraszonych gwardzistów. Baka Ban Mana, w luźnym stroju, stał spokojnie w środku kręgu.

Richard przepchnął się przez tłumek.

- Co się dzieje?

Baka Ban Mana skłonił się przed chłopakiem.

- *Caharin*. Jestem Jiaan. Twoja żona, Du Chaillu, przesyła ci wiadomość.

- Jaką? - Richard uznał, że lepiej nie negować określenia „żona”.

- Mam ci przekazać, iż wypełniła polecenia swojego męża. Skłoniliśmy Majendie do zawarcia z nami pokoju. Już nie walczymy ani z nimi, ani z tymi tu ludźmi.

- To wspaniałe wieści, Jiaanie. Przekaż jej, że jestem dumny z niej i z jej ludu.

- Twojego ludu - poprawił go Jiaan. - Chce również, byś dowiedział się, iż postanowiła urodzić dziecko. Przesyła także wiadomość, że jesteśmy gotowi powrócić do naszego ojczystego kraju. Pragnie wiedzieć, kiedy się zjawisz,

by nas tam poprowadzić.

Richard rozejrzał się dookoła. Zebrali się nie tylko strażnicy, ale i Siostry. Rozpoznał kilka swoich nauczycielek: Siostry Tovi, Nicei i Arminę. W pobliżu stała Pasha. Na tyłach tłumu dostrzegł Siostrę Verne. Na odległym balkonie, za murami, ujrzał przysadzistą postać Ksieni.

Richard spojrzął na Jiaana.

- Powiedz jej, żeby była gotowa, bo nastąpi to wkrótce.

- Dzięki, *Caharin*. - Jiaan się skłonił. - Będziemy gotowi.

- Ten człowiek przybył tu w pokoju - powiedział chłopak do strażników. - Niech odejdzie w pokoju.

Jiaan spokojnie ruszył przed siebie, jakby był sam, lecz pierścień żołnierzy przesuwiał się wraz z nim. Richard wiedział, iż będzie tak, dopóki Baka Ban Mana nie opuści miasta. Tłum zaczął się rozchodzić.

Richardowi huczało w głowie. Sprowadził swego ojca z zaświatów, po raz drugi łamiąc drugie prawo magii w domu duchów. Usiłował postąpić jak należy, a tymczasem wyrządził szkodę. Warren mówił, że Opiekun potrzebuje agenta, by uciec, i on, Richard, dostarczył mu go.

Chłopakowi kręciło się w głowie. Dopiero co odkrył, iż Kahlan go kocha, i życie znów nabrało dlań uroku, a już się dowiedział, że będą go tu więzić przez setki lat i że, jeśli nie ucieknie, Kahlan umrze w zimowe przesilenie. Myśli Richarda desperacko kręciły się w kółko.

Musiał co zrobić. Czas uciekał. Postanowił, że odszuka jedyną osobę, która mogłaby mu pomóc.

ROZDZIAŁ 64

Usłyszała głosy w pierwszym gabinecie. Miała nadzieję, że to ta osoba, o której myślała. Nie cieszyła się z tego spotkania, lecz miała coraz mniej czasu. Do tej pory Richard z pewnością znalazł już sposób, by zobaczyć się z Nathanem i Nathan odegrał swoją rolę. Teraz czas na nią.

Nie mogła całkowicie ufać Nathanowi, ale w tym wypadku na pewno uczynił to, co potrzeba. Wiedział, co stałoby się w przeciwnym razie. Nie zazdrościła mu tego zadania - dołożenia ciężaru przekraczającego miarę płatka śniegu.

Pstryknęła palcami i drzwi się otworzyły. Musiała wzywać stolarzy, by naprawili framugę. Richard roztrzaskał ją swoją Han, nawet nie wiedząc, że to czyni. I to zanim zobaczył się z Nathanem.

Drzwi stanęły otworem, rozmowa umilkła i trzy twarze zajrzały do gabinetu, czekając na polecenia.

- Już późno, Siostró Ulicio i Finello. Idźcie do swoich gabinetów i zajmijcie się papierkową robotą. Przyjmę ją. Wejdz, Siostró Verno.

Kiedy Siostra Verna wmaszerowała do jej gabinetu, Ann wstała. Lubiła Verne. Żałowała, że musi jej to uczynić, jednak miała coraz mniej czasu. Setki lat przygotowań, a teraz i czas, i wydarzenia przeciekały jej przez palce.

Świat był na skraju zatury.

- Ksieni Annalino - skłoniła się Verna.

- Usiądź, Verno, proszę. Tak dawno się nie widziałyśmy. Verna przyciągnęła krzesło do stołu, naprzeciwko Ksieni. Usiadła prościutko wyprężona, złożyła ręce na podolku.

- Jak to miło z twojej strony, iż zechciałaś mi poświęcić swój cenny czas.

Ann niemal się uśmiechnęła. Niemal.

Dzięki ci, drogi Stwórco, że przysłałaś ją do mnie taką rozdrażnioną; to z pewnością ułatwi mi zadanie, choć nie uczyni go mniej uciążliwym.

- Byłam zajęta.

- Ja również - warknęła Verna. - Przez ostatnie dwadzieścia lat z okładem.

- Najwyraźniej niezbyt się starałaś. Mamy kłopoty z chłopakiem, którego

przyprowadziłaś, zanim go dobrze zdyscyplinowałaś.

Twarz Verny spurpurowiała.

- Zrobiłabym to, gdybyś nie zakazała mi wypełnienia mego obowiązku, wykorzystania moich umiejętności.

- Ach tak? Czyżbyś była tak mało pomysłowa, iż przeszkadzają ci najmniejsze ograniczenia? Pasha, zwykła nowicjuszka, o wiele lepiej radzi sobie, a ma te same ograniczenia co i ty.

- Tak sądzisz? Uważasz, że on jest pod kontrolą?

- Nikogo nie zabił, od kiedy Pasha wzięła go pod swoje skrzydła. Verna zeszywniała.

- Wiem coś o Richardzie. Ośmielałam się doradzać Ksieni, by nie była tak pewna siebie.

Ann spuściła oczy, przesunęła jakieś papiery, udając, iż poświęca uwagę tekstowi, którego nawet nie dostrzegła.

- Wezmę pod uwagę tę twoją radę. Dzięki, że przyszedłeś, Verno. - Jeszcze nie skończyłam! Nawet nie zaczęłam!

- Jeśli znów podniesiesz na mnie głos - Ann z wolna podniosła oczy - to skończysz, Verno.

- Wybacz mi mój ton, Ksieni Annalino, lecz są sprawy wielkiej wagi, o których muszę ci powiedzieć.

Ann westchnęła, udając zniecierpliwienie.

- Tak, tak, przejdź więc do rzeczy. Mam sporo pracy. - Oparła splecione dłonie o blat i posłała Vernie obojętne spojrzenie. - Słucham.

- Richard dorastał przy swoim dziadku...

- Jak to dlań dobrze.

Verna umilkła, zirytowana odezwaniami się Ann.

- Jego dziadek jest czarodziejem. Czarodziejem pierwszego stopnia. I chciał go uczyć.

- Cóż, teraz my zajmiemy się jego nauką. Czy to wszystko? Verna zmrużyła oczy.

- Chyba nie muszę przypominać Ksieni, iż odebranie chłopca czarodziejowi, który chciał go uczyć, stanowi wyraźne pogwałcenie rozejmu. Powiedziano mi, że w Nowym Świecie nie ma czarodziejów, więc chłopców nie ma kto uczyć. Okłamano mnie. Wykorzystano. Kradłyśmy ich. Ty mnie w to wciągnęłaś.

Ann uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Służymy Stwórcy, Siostrze, i staramy się, by wszyscy nauczyli się żyć w blasku jego chwały. Czymże jest rozejm z pogańskimi czarodziejami wobec naszych obowiązków względem Stwórcy?

Vernie odjęło mowę.

Drogi Stwórco, bardzo lubię tę kobietę. Daj mi, błagam, siłę, żebym mogła ją złamać.

Nathan już dołożył swój płatek śniegu, teraz kolej na Ann.

- Wysłano mnie na dwudziestoletnie poszukiwania, nie podając przyczyn. Okłamano mnie, dwie moje towarzyszkę zginęły, jedna z mojej ręki. Nie pozwolono mi posługiwać się mocą w czasie wykonywania zadania...

- Myślisz, że zakazałam ci używać mocy z kaprysu? Czy to cię trapi, Verno? Cóż, skoro musisz poznać powód... Zrobiłam to, by ocalić ci życie.

Verna nastroszyła się czujnie.

- Jeśli dobrze zapamiętałam lekcje w podziemiach, to takie ograniczenie mogłoby mnie uratować tylko w jednym wypadku.

Ann uśmiechnęła się w głębi ducha. Verna chciała to usłyszeć.

- Istotnie. Richard ma dar magii subtraktywnej.

- Wiedziałaś o tym? I kazałaś założyć obrożę komuś z magią subtraktywną? Przeprowadzić go do pałacu? - Rozplotła dłonie i leciutko pochyliła się do przodu. - Dlaczego?

Ann popatrzyła jej w oczy.

- Bo w pałacu są Siostry Mroku.

Verna nawet nie drgnęła. Wiedziała. A przynajmniej podejrzewała coś takiego.

Niech cię Stwórca błogosławi, Verno. Bystra jesteś. Wybacz mi to, co muszę uczynić.

- Czy tę komnatę otaczają osłony? - spytała obojętnie Verna. - Oczywiście. - Ksieni przemilczała, że jej osłona nie ochroni przed tamtymi Siostrami.

- Czy masz dowód potwierdzający owo oskarżenie, Ksieni?

- Niczego nie muszę udowadniać, bo to ściśle prywatna rozmowa. Nie wolno ci tego powtórzyć. Chyba że zamierzasz wnieść oskarżenie. Jeśli powtórzysz, to wszystkiemu zaprzeczę i powiem, iż zgorzkniała Siostra

usiłuje z osobistych pobudek oskarżyć Ksienię o bluźnierstwo. A wtedy musiałybyśmy cię powiesić. Żadna z nas tego nie chce, prawda?

Verna siedziała nieruchomo.

- Nie, Ksieni. Cóż to ma jednak wspólnego ze sprowadzeniem tu Richarda?

- Kiedy szczury grasują po twoim domu, nie pozostaje ci nic innego, jak sprowadzić kota.

- Ten kot uważa nas wszystkie za szczury. Może i ma po temu powody. Ktoś mógłby powiedzieć, że sprowadziłaś przynętę, a nie kota na szczury. Richard jest dobrym człowiekiem. Nie chciałabym, by go poświęcono.

- Czy wiesz, dlaczego właśnie ciebie wysłano na poszukiwania Richarda?

- Myślałam, że to dowód zaufania.

- Na swój sposób. - Ann wzruszyła ramionami. - Choć nie jestem pewna, czy w pałacu istotnie są Siostry Mroku oraz kto do nich należy. Jeżeli naprawdę są, to musiałam ustalić, czy faktycznie tak jest. Na czele listy były Siostry Grace i Elizabeth, więc mogły należeć do Sióstr Mroku. Z proroctwa, które wyłącznie ja czytałam, wiedziałam, że Richard najprawdopodobniej ma dar magii subtraktywnej i, co więcej, że odrzuci dwie pierwsze propozycje. Zdawałam sobie sprawę, iż dwie pierwsze Siostry umrą. Gdyby wiedziały o tym i służki Bezimiennego, chciałyby, żeby i trzecia na liście pochodziła z ich grona. Wykorzystałam moje uprawnienia jako Ksieni, by wybrać trzecią Siostrę.

- Wybrałaś mnie, bo ufałaś, iż nie jestem jedną z nich?

Ann chciała rzec: „Znałam cię od dziecka, Verno. Znam twój bystry umysł, twoje serce i twoją duszę. To właśnie tobie, ze wszystkich Sióstr, ufałam na tyle, by powierzyć ci losy świata. Wiedziałam, że w twoich rękach Richard będzie bezpieczny”.

Lecz nie mogła tego powiedzieć.

- Wybrałam cię, Verno, bo byłaś daleko na liście oraz dlatego, że jesteś zupełnie przeciętna.

Przez dłuższą chwilę w komnacie dzwoniła cisza. Verna przełknęła ślinę.

- Rozumiem.

Ann udawała beznamiętną obiektywność, choć pękało jej serce.

- Wątpiłam, czy należysz do nich. Jesteś mało znaczącą osobą. Jestem pewna, że Grace oraz Elizabeth znalazły się na czele listy, ponieważ ta, która

kieruje Siostrami Mroku, uznała, iż może je poświęcić. Ja kieruję Siostrami Światła. I wybrałam cię z tego samego powodu. Niektóre Siostry są bardzo cenne dla naszej sprawy; żadnej z nich nie posłałabym z tak ryzykownym zadaniem. Chłopiec może się okazać dla nas użyteczny, lecz nie jest tak ważny, jak inne sprawy w pałacu. Może być pomocny. Ot, okazja, którą postanowiłam wykorzystać. Gdyby coś się stało i żadna z was nie wróciłaby... sądzę, iż rozumiesz, że generalnie wysyła najlepszych oddziałów do mało znaczących zadań.

Verna z trudem oddychała. Zdradzał to jej głos.

- Oczywiście, Ksieni Annalino.

Ann ze zniecierpliwieniem zaszurała papierami.

- Muszę powrócić do ważnych spraw. Coś jeszcze, Siostrzo?

- Nie, Ksieni.

Drzwi się zamknęły i Ann ukryła twarz w trzęsących się dłoniach. Łzy kapały na papiery.

Długo patrzyła mu w oczy. Richard nie wiedział, czy zgodzi się, czy nie, lecz musiał jej opowiedzieć wiele z tego, czego się dowiedział, by zechciała wysłuchać jego prośby.

Nie mógł pozwolić sobie na niepowodzenie. Potrzebował pomocy. Musiał komuś zaufać.

- W porządku, Richardzie. Pomogę ci. Muszę ci pomóc, jeśli prawdą jest choć połowa tego, co mi powiedziałeś.

Chłopak zamknął oczy i westchnął z ulgą.

- Dzięki, Liliano. Nigdy o tym nie zapomnę. Ty jedna okazujesz zdrowy rozsądek. Możemy to zrobić teraz? Nadszedł krytyczny moment.

- Teraz? - szepnęła ochryple. - Tutaj? Jeżeli naprawdę masz dar magii subtraktywnej, Richardzie, to nie tak łatwo będzie zdjąć ci obrożę. Muszę mieć pewien magiczny przedmiot przechowywany przez Siostry. On wzmacnia moc, pomoże nam. Może ów przedmiot i twoja moc wystarczą, by usunąć Rada'Han? No, a jeżeli wchodzi też w grę Bezimienny, to nie wiadomo, czyje uszy lub Han mogą nas wysłedzić.

- W takim razie gdzie? I kiedy? Byle szybko. Przesunęła palcami po powiekach, zastanawiała się.

- Hmm, pewno zdołam wydobyć ów przedmiot przed wieczorem, więc wtedy możemy spróbować. Ale gdzie? To się nie może odbyć w pałacu. Zbyt

tu niebezpiecznie.

- Lasy Hagen - powiedział Richard. - Każdy unika lasów Hagen.

- Chyba nie mówisz serio, Richardzie. Tam jest niebezpiecznie.

- Nie dla mnie. Już ci mówiłem, że wyczuwam, kiedy zbliżają się mriswithy. Będziemy tam zupełnie bezpieczni i nie będziemy się musieli obawiać, że któraś z Sióstr lub Pasha zaskoczy nas przy próbach zdjęcia tego paskudztwa z mojej szyi.

Sapnęła z irytacją. W końcu jednak ścisnęła mu ramię i uśmiechnęła się.
- No dobrze. Lasy Hagen. - Przybrała surową minę i odsunęła Richarda na długość ramienia. - Czyniąc to, łamię mnóstwo zasad. Wiem, że to ważne i potrzebne, lecz jeśli nas przyłapią, zadbają, bym już nigdy się do ciebie nie zbliżyła na tyle, aby ponowić tę próbę.

- Chodźmy, jestem gotów.

- Nie. Najpierw muszę zdobyć ów przedmiot. - Przechyliła na bok głowę, zmarszczyła brwi. - Jeszcze coś mi się przypomniało. Wciąż cię ostrzegają, żebyś się tam nie znalazł po zachodzie słońca. Dlaczego?

Richard wzruszył ramionami.

- Bo to niebezpieczne.

- I wierzysz im, po tym wszystkim, czego się dowiedziałeś? Ufasz im? A może straszą cię tym zachodem słońca, Richardzie, byś się nie dowiedział czegoś użytecznego? Mówiłeś, iż lasy Hagen stworzyli dawni czarodzieje, mający dar magii subtraktywnej, żeby pomagały takim jak ty. A jeśli Siostry nie chcą, byś uzyskał tę pomoc? Jeżeli chcą cię wystraszyć, żebyś tego nie odkrył?

Pierwsze prawo magii. Oszukiwały go? Wierzył w kłamstwo?

- Może i masz rację. Pójdziemy przed zachodem.

- Nie. Nie powinni nas widzieć razem. No i trochę czasu zajmie mi wykradnięcie owego przedmiotu. Wiesz, gdzie długa, pęknięta skała tkwi w strumieniu na południowo-zachodnim skraju lasów Hagen?

- Tak, znam to miejsce.

- To dobrze. Idź tam przed zachodem słońca; to dla ciebie jest tamtejsza magia. Wejdź w lasy obok pękniętej skały. Przywiąż do gałęzi paski płótna, żebym mogła podążać twoim śladem i łatwo cię odszukać. Spotkamy się w lasach, kiedy księżyc uniesie się na niebie o dwie dłonie. I nie waż się nikomu o tym wspominać, Richardzie, bo narazisz nie tylko swoje i moje

życie, ale Kahlan również.

Richard kiwnął głową, uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Słowo, że nie powiem. Zatem do wieczoru.

Liliana wyszła, a on chodził po komnacie. Tak chciałby mieć już to za sobą i odejść stąd. Miał coraz mniej czasu. Jeżeli Rahl Pośepny dzierżył kość skryta, to naprawdę czas świata dobiegał końca. Ale to głupie. Jak by ją zdobył? Przecież był duchem. Może, jak twierdził Warren, wszystkie elementy rzadko trafiały jednocześnie na właściwe miejsca.

To o Kahlan się martwił. Musiał jej pomóc.

Pukanie wyrwało Richarda z zadumy. Pomyślał, że może to wróciła Liliana, lecz kiedy otworzył drzwi, do komnaty wepchnął się podekscytowany Perry.

- Richardzie! Potrzebuję twojej pomocy. - Zacisnął w garści szaty. - Spójrz na to! Przeniosły mnie na wyższy poziom!

Richard zerknął na proste, brązowe szaty.

- Gratuluję. To wspaniale, Perry.

- To katastrofa! Potrzebuję twojej pomocy, Richardzie!

- Dlaczego zaraz katastrofa? - Chłopak zmarszczył brwi. Perry wyrzucił w górę ramiona, jakby powody powinny były być jasne dla wszystkich.

- Bo nie mogę wyjść do miasta! Nie w tych szatach! Nie wolno mi przejść przez most!

- Przykro mi, Perry, lecz nie wiem, jak mógłbym ci pomóc. Perry odetchnął głęboko, by się uspokoić. Spojrzał błagalnie na Richarda.

- W mieście jest pewna kobieta... ciągle się z nią ostatnio widywałem. Ja ją naprawdę lubię, Richardzie. Mam się z nią spotkać tego wieczoru. Jeżeli nie zjawię się i nie wyjaśnię jej... jeśli się już nigdy nie pojawię, to pomyśli, że mi na niej nie zależy.

- Nadal nie wiem, Perry, co mógłbym na to poradzić. Perry zacisnął pięść na koszuli Richarda.

- Zabrały wszystkie moje ubrania. Mógłbyś mi jakieś pożyczyć, Richardzie? Wtedy nikt by mnie nie rozpoznał i mógłbym się wymknąć do miasta i spotkać z nią. Proszę cię, Richardzie, pożycz mi któryś ze swoich strojów.

Chłopak zastanawiał się przez chwilę. Nic go nie obchodziło, czy nie złamie jakiegoś tajemnego prawa pałacu, bo to i tak było bez znaczenia

wobec tego, co zamierzał zrobić, ale martwił się o Perry'ego.

- Wszyscy strażnicy mnie znają. Zorientują się, że to ty w moim ubraniu, i powiedzą Siostrze. Będziesz miał kłopoty.

Perry odwrócił wzrok, myślał intensywnie.

- Noc. Poczekam do nocy i wtedy pójdę. Nocą się nie zorientują, kto to właściwie jest. Pożyczysz, Richardzie? Pożyczysz?

Richard westchnął.

- Jeżeli chcesz zaryzykować, Perry. Tylko nie daj się przyłapać. Przykro by mi było, że pomogłem ci wpaść w tarapaty. Gestem wskazał sypialnię, gdzie stała szafa. - Chodź. Weź, co ci się spodoba. Masz dość podobną do mojej sylwetkę.

Perry łypnął nań spod oka i uśmiechnął się.

- Czerwony surdut? Mogę pożyczyć czerwony surdut? Spodobam się jej w tym stroju.

- Jasne. - Richard zaprowadził lekkomyślnego Perry'ego do sypialni. - Bierz, jeśli ci się podoba. Cieszę się, że ktoś z przyjemnością będzie nosił czerwony surdut.

Perry grzebał w szafie, szukał spodni i wystrzałowej koszuli.

- Widziałem, jak z twojej komnaty wychodzi Siostra Liliana. - Wyciągnął białą, zdobioną koronkami koszulę. - Jest jedną z twoich nauczycielek?

- Tak. Lubię ją. Jest z nich najsympatyczniejsza. Perry przyłożył do siebie koszulę.

- Jak mi w niej będzie?

- O wiele lepiej niż mnie. Znasz Lilianę?

- Tak sobie. Zawsze mnie przyprawia o dreszcze. Te jej dziwaczne oczy.

Richard pomyślał o jasno-, jasnoniebieskich oczach w fioletowe cętki. Wzruszył ramionami.

- I mnie na początku wydawały się dziwne. Ale ona jest taka przyjacielska i żywiołowa, że już ich nie zauważam. Tak ciepło się uśmiecha, iż zapomina się o wszystkim innym.

Dostrzegła kapitana stojącego przed jej biurkiem. Żądał wygórowanej ceny. Ale cóż znaczyło dla niej złoto pałacu. Zanim kruszec zniknął, jej już nie było.

Tak jak się obawiała, chłopaka trudno było ujarzmić. Ważne więc było, by zachować też inne możliwości. Istniały jeszcze inne sposoby spełniania

życzeń Opiekuna, inne sposoby pozwalające dotrzymać złożonej przez nią przysięgi.

- Zgadzam się na twoją cenę. Właściwie podwajam ją, by zapewnić sobie twoją lojalność.

Pchnęła sakiewkę przez biurko. Patrząc na to, kapitan Blake oblizał spękane warg. W końcu sięgnął po nią i zanim schował do kieszeni płaszcz, zważył ją w dłoni.

- Jesteś bardzo hojna, Siostrze. Jesteś kobietą potrafiącą zaskarbić sobie lojalność mężczyzny.

- Nie zamierzasz tego przeliczyć, kapitanie?

Spojrzenia zimnych oczu mężczyzny nie zmienił jego służalczy uśmiech.

- Jasne, Siostrze. Przeliczę je, gdy wrócę na *Lady Sefa*. Kiedy chcesz wypłynąć?

Ciągle było kilka spraw, kilka nie załatwionych spraw, z którymi trzeba było coś zrobić.

- Wkrótce. Zapłaciłam ci aż nadto, byś był w gotowości, dopóki ja nie będę gotowa.

- Jasne, Siostrze. Masz to jak w banku. - Podrapał się po brzydkiej brodzie. - Cieszy mnie siedzenie tutaj. Nie spieszy mi się płynąć tam, dokąd chcesz.

- Jesteś pewien, iż możesz wypłynąć w ten rejs? - Pochyliła się do przodu.

- Jasne, Siostrze. *Lady Sefa* już wcześniej tam żeglowała. Jeden rejs nie gra roli. Jednak nie mam ochoty wypływać w ten rejs, dopóki nie będę musiał. - Wyglądził swój obdarty płaszcz. - Ile pań zabierzesz? - Usprawiedliwiający uśmiech rozciągnął się na jego naznaczonej długim żeglowaniem twarzy. - Muszę zorganizować im odpowiednie zakwaterowanie.

Siedząc do niego plecami, raz jeszcze zazgrzytała zębami na wspomnienie Liliany zdejmującej swój kaptur podczas ceremonii. Tym samym każda Siostra poznała jej tożsamość. Gorzej, została ostrzeżona. To było gorsze niż błąd, to była arogancja. Liliana okazała się niebezpiecznie niegodna zaufania. Zważywszy na siłę, którą sobie przywłaszczyła, nie było wiadomo, co jeszcze mogłaby zrobić. Z pewnością nie było najmniejszego powodu, by ją zabrać. Patrząc na pozostałe - dlaczego wziąć je wszystkie. Ksieni popełniła błąd, wypowiadając głośno swoje podejrzenia i myśląc, że osłona z magii addytywniej ochroni ją. Ksieni skierowałyby podejrzenia na

sześć Sióstr, lecz gdyby zginęła, nikt, nawet Liliana, nie miałby podstaw, by oskarżyć inne. Dlaczego je zabierać, skoro tu mogą się okazać pożyteczne.

Z każdą chwilą ów plan podobał się jej coraz bardziej.

- Popłynę ja i pięć innych - powiedziała.

- Czy urażę cię, jeśli spytam, dlaczego wy, dostojne damy, chcecie żeglować dookoła wielkiej bariery? Nie podoba się wam Stary Świat?

Spojrzała groźnie na stojącego przed nią mężczyznę.

- Kupiłam twój statek, twoją załogę i ciebie na tak długo, jak tego zechcę i mogę go wykorzystać, do czego zechcę. Odpowiadanie na pytania nie było częścią umowy.

- Nie, Siostrze, ja tylko myślałem...

- Mogę cię uciszyć. - Nie odwracając od niego oczu potrząsnęła nadgarstkiem i uchwyciła nóż. - Zawsze uważałam śmierć za słabą nauczkę, zbyt krótką lekcję. Jestem zwolenniczką długich. Jeśli, jak podejrzewam, złamiesz twoją część umowy, jakkolwiek jej część, to znajdą cię nadal oddychającego, lecz bez całej skóry na ciele.

Kapitan Blake wpatrywał się wściekle w niebiesko-żółty dywan pod swoimi stopami.

- Jasne, Siostrze.

- W takim razie to wszystko. Zobaczą cię wkrótce. Bądź gotowy do wypłynięcia natychmiast, gdy zobaczysz sześć nadchodzących Sióstr.

Kiedy wyszedł, wyciągnęła z szuflady zapasową dakerę i oparłszy łokieć o biurko, obserwowała obracające się w jej palcach ostrze. Nie lubiła zostawiać rzeczy samym sobie. Najlepiej, jeśli zatroszczy się o wszystkie nie załatwione sprawy.

Ktoś musiałby wyeliminować Richarda Rahla. Ktoś, kto z nimi nie płynął. Uśmiechnęła się. Ktoś zbędny.

ROZDZIAŁ 65

Richard siedział spokojnie. Skrzyżował nogi, położył miecz na kolanach. Narzucił pelerynę mriswitha, żeby ani Siostra Verna, ani Pasha nie wiedziały, gdzie jest. Nie chciał, by któraś się dowiedziała, iż słońce zaszło nad nim w lasach Hagen. Przybiegłyby tu za nim, gdyby wiedziały, co zamierza.

Znalazł niewielką polanę - suchą, bo położoną dość wysoko - i czekał tu od zachodu słońca. Przez splątane gałęzie widział księżyc w pełni i uznał, że wzniósł się już na dwie dłonie. Nie miał pojęcia, co niby miało się dziać w lasach Hagen po zmroku, lecz jak dotąd było tak samo jak za dnia.

Odpowiedział na wołanie Liliany i ukazała się zza grubego dębu. Rozejrzała się po okolicznym lesie. Nie było to podejrzliwe zerknięcie, ale pewne siebie spojrzenie. Usiadła przed Richardem i skrzyżowała nogi.

- Mam to. Ów przedmiot, o którym ci mówiłam.

- Dzięki, Liliano. - Chłopak uśmiechnął się z ulgą. Wyciągnęła przedmiot spod okrycia. W blasku księżycy Richard

dostrzegł posążek człowieka trzymającego coś przejrzystego jak szkło. Liliana uniosła figurkę, pokazała mu ją. - Co to jest?

- Kryształ, to przejrzyste, wzmacnia moc daru. Ja nie mam takiej mocy, by zdjąć ci Rada'Han, jeżeli naprawdę masz dar magii subtraktywnej, gdyż sama mam tylko addytywną. Będziesz to trzymał na podolku. Kiedy połączymy nasze umysły, kryształ zwiększy twoją moc, a ja będę się mogła nią posłużyć i złamać zatrask Rada'Han.

- Dobrze. Zaczynamy więc. Cofnęła statuetkę.

- Najpierw powiem ci resztę.

Richard spojrzał w jej jasne, jasnoniebieskie oczy w ciemne cętki.

- Mów więc.

- Nie potrafisz pomóc w zdjęciu obroży, ponieważ nie umiesz korzystać ze swego daru. Nie wiesz, jak kierować mocą. Mam nadzieję, że to usunie tę wadę.

- Mam wrażenie, że chcesz mnie przed czymś ostrzec. Kiwnęła głową.

- Nie potrafisz kontrolować przepływu, zatem będziesz na łasce posążka. Lecz ten nie pojmuje bólu. On jedynie czyni, co trzeba. Co jest mi potrzebne.

- Czyli ostrzegasz mnie, że to może boleć. Potrafię znieść ból. Zaczynamy.

- Nie „może”. - Ostrzegawczo uniosła palec. - To niebezpieczne, Richardzie. Będziesz cierpieć. Będziesz miał uczucie, że rozdziera ci umysł. Wiem, że pragniesz to uczynić, ale nie zamierzam cię oszukiwać. Możesz nawet odnosić wrażenie, iż umierasz.

Chłopak poczuł strużkę spływającego po szyi potu.

- To się musi stać.

- Nakieruję moją Han i spróbuję złamać zatrząsk Rada’Han. Posążek będzie czerpał moc z ciebie, bym mogła przezwyciężyć zamknięcie obroży. Będziesz cierpieć.

- Zniosę, co będzie trzeba, Liliano. To się musi stać.

- Wysłuchaj mnie, Richardzie. Wiem, że tego chcesz, ale posłuchaj. Żeby rozłamać obrożę, będę wyciągać z ciebie moc. Twój umysł będzie miał wrażenie, jakbym piła z ciebie życie. Najgłębsza częśćka twego ja” może uznać, iż chcę ci odebrać dar, odebrać życie. Będziesz musiał znieść uczucie, że ktoś wydziera ci życie. Potrwa to dopóty, dopóki obroża nie pęknie. Jeśli spróbujesz to przerwać, kiedy moja moc będzie w tobie, usiłując zrobić, co trzeba...

- Czyli nie mogę tego przerwać, choćbym dłużej nie potrafił tego znieść. Bo zginąłbym, starając się powstrzymać wyciąganie mojej magii.

- Tak. Nie możesz stawiać oporu. Umrzesz, jeśli to zrobisz. - Jeszcze nigdy nie widział Liliany tak poważnej. - Musisz mi ufać i nie przerywać tego, co się będzie działo, lub umrzesz. A wtedy umrze i Kahlan. Wciąż jesteś pewny, iż chcesz tego?

- Liliano, by ocalić Kahlan, wycierpię, co trzeba, i zrobię, co trzeba. Wierzę ci. Złożę życie w twoje ręce.

Kiwnęła potakująco głową i położyła mu posążek na kolanach. Długo patrzyła chłopakowi w oczy, potem ucałowała swój palec. Doknęła nim policzka Richarda.

- A więc razem w pustkę. Dzięki za zaufanie, Richardzie. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

- Ani ty, Liliano, ile dla mnie. Co mam czynić? - To samo, co przedtem. Po prostu jak zawsze próbuj dotknąć swojej Han, a ja zrobię resztę.

Przysunęła się, zetknęli się kolanami. Trzymali się za spoczywające na

kolanach ręce. Zaczerpnęli głęboko powietrza i zamknęli oczy. Początkowo było tak samo jak zawsze: głębokie odprężenie, kiedy Richard koncentrował się na obrazie Miecza Prawdy. Ból na początku był jedynie irytującym mrowieniem. Wnikał coraz głębiej, usadowił się u podstawy kręgosłupa. Był niczym naciągnięty mięsień. Wznosił się, zajmując całe plecy. Znienacka buchnął wszędzie naraz jak ból Agiela; żar przeszywający do szpiku kości. Denna nauczyła go znosić cierpienie. Podziękował jej za to w myślach. Może jej nauki pozwolą mu to przetrwać i uratować Kahlan. Przeszywający ból odebrał chłopakowi oddech. Jego plecy zeszywniały. Twarz spłynęła potem. Płuca paliły, domagając się powietrza. Richard z największym trudem zrobił wdech.

W umyśle chłopaka eksplodował rozdzierający ból. Richard znalazł się w świecie wiekuistego, szarpiącego, bezkresnego cierpienia. Walczył, by zatrzymać w pamięci obraz miecza. Łzy spływały mu po twarzy. Musiał to przetrwać.

Miał wrażenie, że odsłonięto mu wszystkie nerwy i przypalano je ogniem. Zdawało mu się, iż jego oczy lada moment eksplodują. Że pęknie mu serce. Trząsł się przy każdym straszliwym szarpnięciu bólu. To była męka ponad wszelką wytrzymałość.

A potem Richardowi wydało się, iż to, czego właśnie doświadczył, nie było nawet początkiem męki. Nie potrafił krzyczeć, oddychać, poruszać się. Miał wrażenie, że ktoś wydziera mu duszę.

Było tak, jak ostrzegła go Liliana: jakby wysysano zeń życie. Poczł ukłucie strachu, że to go zabija. Czuł, jak czarna śmierć wypełnia pustkę po tym, co mu zabierano. Martwił się mgliście, iż tak nie powinno być. Przerazenie zakiełkowało w głębi jestestwa Richarda - i zostało porwane przez ssący wir.

Chłopak bardzo chciał krzyknąć, jakby to zdołało w jakiś sposób złagodzić śmiertelną udrękę. Jednak nie mógł. Mięśnie traciły siłę jak reszta jego osoby. Nie potrafił oddychać ani utrzymać prosto głowy.

Błagam, pospiesz się, Liliano. Błagam.

Starł się nie opierać temu, co robiła. Modlił się, by z nią nie walczyć. Musiał dotrzeć do Kahlan. Potrzebowała go.

Zaczęła go spowijać czerń. Nawet nieznośny ból powoli odpływał. Richard czuł, jak wyslizguje się zeń życie. Nadciągała pustka, okropna ponad

wszelkie wyobrażenie.

Zakamarkiem gasnącego umysłu wyczuł czyjąś obecność.

Mriswithy.

Zbliżyły się. Wzrosło zaniepokojenie chłopaka. Okalały go, podchodząc coraz bliżej.

A potem, jakby z wielkiej odległości, posłyszał głos Liliiany:

- Czekaście, kochaniutki. Kiedy z nim skończę, dostaniecie to, co zostanie. Czekaście.

Jego umysł mgliście odwzorowywał mriswithy, jak zawsze, kiedy się zbliżały. Liliana przemówiła i stwoży się cofnęły.

Dlaczego to powiedziała? Dlaczego mriswithy posłusznie odsunęły się na jej żądanie? O co jej chodziło? Może ból odebrał mu rozum i było to jedynie majaczenie wariata.

Richard wyczuł za plecami czyjąś obecność. Nie mriswitha. Czegoś jeszcze gorszego. Dziesięć razy straszniejszego. Czuł na szyi cuchnący oddech.

Głos Liliiany zmienił się w groźny syk:

- Kazałam czekać.

„Coś” ociupinę się cofnęło, lecz nie tak daleko jak mriswithy.

Co miała na myśli, mówiąc, że dostaną to, co zostanie?

Umierał, oto co miała na myśli. Czuł to. Umierał.

Nie. Liliana ostrzegła, że może tak pomyśleć. Po prostu wszystko działało się dokładnie tak, jak zapowiadała. Musi być silny dla Kahlan. Lecz tak mało zostało mu do ofiarowania. Umierał. Wiedział, że tak było. Statuetka na jego kolanach coraz bardziej rozżarzała się.

Znów poczuł na szyi gorący oddech. Usłyszał basowy pomruk ohydneho stwora. Gwałtownie zapagnął, by to coś się oddaliło.

Jeszcze raz dał się słyszeć groźny głos Liliiany:

- Czeka. To się zaraz skończy i dostaniesz jego ciało. Czeka. W tej samej chwili coś w głębi jestestwa Richarda ostrzegło go, że jeśli w ogóle chce się uratować, to właśnie ma ostatnią po temu okazję. Teraz. Z nagłą desperacją postanowił działać.

Z głębi siebie, z jądra umysłu, z centrum ja”, z głębin duszy jednym gwałtownym zrywem dobył wolę walki i siłą woli, z szaleńczym, potężnym wysiłkiem szarpnął ku sobie swoją moc, swoje życie.

Rozległ się ogłuszający grzmot, który wstrząsnął powietrzem i odrzucił od siebie Richarda i Lilianę. Chłopak wylądował na plecach na skraju polany, Siostra po przeciwległej jej stronie. W środku leżał Miecz Prawdy. Mriswithy i bestia wtopiły się w mrok pomiędzy drzewami.

Richard łapczywie chwycił powietrze. Usiadł i potrząsnął głową. Statuetka leżała w pobliżu miecza. Zniknęło pomarańczowe lśnienie.

Liliana bez wysiłku uniosła się z ziemi. Wyglądało to tak, jakby łagodnie podniosła ją czyjaś niewidzialna ręka. Chłopaka przeszył dreszcz.

Uśmiechnęła się doń jadowicie. Richard nawet nie podejrzewał, iż Liliana potrafi się tak wrednie uśmiechać. Aż skulił palce stóp.

- A byłam tak blisko, Richardzie. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam. Nie masz pojęcia o cudowności swego daru. Jeszcze go jednak dostanę.

Richard zerknął na boki; zastanawiał się, którądy uciec. Czuł się jak głupiec, a jednocześnie opanowało go poczucie straszliwej straty.

- Ufałam ci, Liliano. Sądziłem, że mnie lubisz.

- Taaak? - zdziwiła się. Powrócił leniwy uśmiezek. - Może i cię lubiłam. Być może dlatego chciałam to zrobić w przyjemniejszy dla ciebie sposób. Teraz będzie gorzej.

- To znaczy? - Richard zamrugał.

- Quillion był łagodniejszą metodą. Za jego pomocą zabrałam dar wielu mężczyznom. Ty jednak stawiałeś opór, a oni nie. Żeby uzyskać twój dar, muszę cię żywcem obedrzeć ze skóry. Najpierw muszę cię obezwładnić. Będziesz bezbronny.

Wyciągnęła rękę. Zza wielkiego dębu nadleciał miecz - z mroku wprost do jej dłoni.

Z wrzaskiem rzuciła się przez polanę ku Richardowi. Oręż lśnił w księżycowej poświacie.

Chłopak mimowolnie uniół rękę, przywołał swój miecz i swoją magię. Odpowiedź była natychmiastowa. Wypełnił go gniew. Rękojeść trafiła do dłoni chłopaka w chwili, gdy Liliana zamachnęła się swoją klingą. Miecz, magia i duchy były przy boku Richarda. Zablokował jej cios.

Chłopak zastanawiał się mgliście, dlaczego jego miecz nie roztrzaskał ostrza Liliany. Lecz już wchodził w trans. Zaczął się taniec ze śmiercią.

Kontrował jej ciosy, a ona jego. Uchyłał się przed atakami mogącymi go

kosztować życie, a ona udaremniała wypadki, które zabiłyby ją. Wirowała jak wiatr, wyslizgując się w ostatniej chwili. Richard miał wrażenie, że walczy z cieniem. Żaden człowiek nie mógłby się tak poruszać. On również nie mógł. Nagle wyczuł za plecami czyjąś straszliwą obecność. Odparował cios i błyskawicznie się odwrócił. Przez moment widział kły, pełne gniewnej złości ślepie i miecz trafił w coś, a owo „coś” się rozpadło.

Poczuł nadlatujące ostrze, skoczył ponad padającym cielskiem. Poderwał się i zaatakował. Noc rozdzwoniła się szczękiem uderzających o siebie mieczy.

Richard zdał sobie sprawę, że miecz Liliany jest podobny do jego miecza. Oreż godny Miecza Prawdy. Poza tym władała magią, o której on mógł jedynie marzyć. I to krótko.

Miotali się w walce po całej polanie, walczyli z całą furją, jaką mogli z siebie wydobyć. Nagle Liliana odskoczyła i posłała ku Richardowi błyskawicę. Uchylił się w ostatniej chwili - błyskawica ominęła go i trafiła w drzewo. Pień buchnął drzazgami. Czubek drzewa spadł na ziemię, przykrywając chłopaka, a konary zbiły go z nóg. Liliana przebijała się przez gałęzie grubości męskiego ramienia. Roztrzaskiwały się jak przedtem pień. Richard wydostał się spod gałęzi, zmusił Siostrę do cofnięcia się w gęsty las.

Raz po raz uderzali na siebie, przesuając się w dół stromego wzgórza. Chłopak zaczął analizować jej strategię. Walczyła zażarcie, lecz bez gracji - jak żołnierz na froncie. Nie miał pojęcia, skąd sam czerpie tę wiedzę. Musiały mu ją dać duchy magii miecza. Sposób ataku - zamach, a potem cięcie - czyniły Lilianę podatną na pchnięcie klingą. Richard naparł i w końcu pchnął ją w brzuch, lecz miecz ześliznął się w bok. Coś ją chroniło. Korzystała z magii, której on nie pojmował.

Richard był wyczerpany; walczył dzięki wściekłości i furii magii. Liliana nawet się nie zasapała.

- Nie wygrasz, Richardzie. Dostanę cię.
- Jakżeż! Przecież w końcu i tak przegrasz!
- Otrzymam nagrodę.

Chłopak uskoczył za drzewo, o włos unikając ciosu, który zestrugał z pnia drzazgi.

- Jeśli pomożesz uciec Opiekunowi, ten pochłonie całe życie!
- Tak myślisz? Mylisz się więc. Nagrodzi tych, którzy mu służą. Da mi to,

czego Stwórca nigdy nie mógłby dać.

Próbował ją pchnąć, lecz klinga znów się po czymś ześliznęła.

- Okłamuje cię!

Miecz Liliany śmignął przed twarzą chłopaka. Atakowała bez wytchnienia, bez zmęczenia, spokojnie i z rozmysłem.

- Mamy umowę. Przypieczętowała ją moja przysięga.

- I wierzysz, że jej po wszystkim dotrzyma?

- Przyłącz się do nas, Richardzie, a ukazę ci wspaniałości, które czekają służących mu. Możesz żyć wiecznie. Richard wskoczył na szczyt skałki.

- Nigdy!

Podniosła nań chłodny, obojętny wzrok.

- Myślałam, że to będzie przyjemniejsze, lecz zaczynam się nudzić.

Wyrzuciła przed siebie rękę. Z dłoni trysnęła wijąca się węzowato błyskawica, nie przypominająca żadnej z tych, które chłopak do tej pory widział.

Czarna błyskawica.

Nie był to błysk światła i żaru, lecz falująca próżnia, tak ciemna jak nocny kamień, tak ciemna jak szkatuły Ordenu, tak ciemna jak wiekuista śmierć. W porównaniu z nią mglista księżycowa poświata była jaskrawym blaskiem słonecznego dnia.

Richard pojął, że widzi magię subtraktywną.

Liliana przesunęła błyskawicą po skałce pod stopami chłopaka. Czarna błyskawica wycięła, równie swobodnie jak w maśle, pustą przestrzeń o gładkich brzegach. Górna część, na której stał Richard, zapadła się na dolną. Zapadły się również z wielkim hukiem rosnące sporo dalej drzewa, bowiem czarny błysk wyciął w ich pniach takie samo puste miejsce jak w skałce.

Richard stracił równowagę, upadł na plecy na strome zbocze i zaczął się z niego staczać. Kiedy dotarł do płaszczyzny u stóp wzgórza, wyrzucił do przodu ręce i natychmiast przewrócił się na plecy. Spojrzał w górę i zadławił się oddechem.

Liliana stała dokładnie nad nim, dzierżąc oburącz miecz. Po jej spojrzeniu poznał, że chce mu odciąć nogi. Zamarł, widząc, jak jej miecz zaczyna wędrówkę w dół.

Dotychczasowe metody na nic się nie przydały. Umrze, jeśli nie zdoła wymyślić nic innego.

Ostrze miecza Liliany rozmazywało się w blasku księżyca. Richard opuścił wszelkie wewnętrzne bariery, zaakceptował swoje najgłębsze „ja”, swój dar. Albo przyjmie wszystko, co to ze sobą niesie, albo umrze. To była jego jedyna szansa. Odnalazł jądro spokoju i usłuchał nakazów.

Ujrzał, jak Miecz Prawdy się unosi. Kłykcie zbiegały mu z wysiłku. Klinga lśniła biało w mglistej poświacie księżyca.

Z całej siły wbił syczące białe ostrze pod żebra Liliany. Czubek klingi przeciął jej kręgosłup, wyszedł z pleców pomiędzy łopatkami i Siostra zwiotczała. Jedynie miecz i siła Richarda utrzymywały ją na nogach.

Jej usta się otworzyły. Miecz wypadł z rąk i wbił się w ziemię. Szeroko otwarte jasne oczy wpatrywały się w chłopaka. - Wybaczam ci, Liliano - wyszeptał Richard. Nerwowo poruszała rękami. Oczy wypełniły się grozą. Próbowwała coś powiedzieć, lecz tylko krew pociekła jej z ust.

Rozległ się ogłuszający trzask jak przy uderzeniu pioruna, ale to nie blask, a strużka absolutnej czerni przemknęła poprzez łąs. Jej muśnięcie sprawiło, iż serce Richarda zgubiło jedno uderzenie. Czerń zniknęła. Światło księżyca wydało się oślepiające, Liliana nie żyła.

Chłopak pojął, co się stało - porwał ją Opiekun. Przedtem przyzywał białą magię miecza, wiedząc doskonale, co to oznacza. Tym razem postąpił tak, jak mu doradził Nathan: pozwolił, by przywołał ją instynkt, dar. Zaskoczyło go zarówno natychmiastowe przyzwanie białej magii, jak i to, że nie uczynił tego świadomie.

Coś w głębi Richarda wiedziało, iż jedynie w ten sposób można przeciwdziałać przepętniającej Lilianę nienawiści Opiekuna. Chłopaka wciąż jeszcze zdumiewało to, co zaszło. Wyciągnął swój miecz z ciała Siostry, cały czas się w nią wpatrując. Zawierzył jej. Zwierzył się jej.

Chłopak uświadomił sobie, że nadal jest w punkcie wyjścia - w obroży i nie mając pojęcia, jak się jej pozbyć. Obroża nie obroża, musiał się przedostać przez barierę, która go tutaj trzymała. Zdecydował, iż najpierw zabierze z pałacu swoje rzeczy, a potem znajdzie przejście przez niewidzialną ścianę.

Wytań klingle o ubranie Liliany i przypomniał sobie coś, co zdarzyło się przedtem; miecz leżał na środku polany, daleko od niego. A on przywołał go wraz z magią. Oreż przyleciał i osiadł mu w dłoni. Richard położył broń na ziemi i na próbę przywołał magię. Jak zawsze, wypełniły go gniew i furia.

Wyciągnął otwartą dłoń i zapragnął, by miecz doń przyleciał. Ten jednak leżał na ziemi jak przyrośnięty. Richard starał się, jak mógł, ale miecz ani drgnął.

W końcu zirytowany chłopak wsunął go do pochwy. Wyciągnął z ziemi miecz Liliany i złamał go na kolanie. Odrzucił na bok obie części i wówczas dojrzał coś białego.

Z ciała zostały właściwie tylko białe kości, połyskujące w blasku księżyca. Leżała tu jedynie górna połowa zwłok. Chłopak uznał, że zwierzęta musiały pożreć dół, lecz potem trochę dalej znalazł miednicę i nogi. Kości nóg wciąż spowijały resztki stroju pasującego do tych, które pozostały na górnej połowie. Richard uklęknął, obejrzał górę ciała. Zwierzęta nie tknęły go. Na żadnej kości nie było śladu kłów. Zwłoki leżały tak, jak upadły. Zauważył, że zostały rozerwane kręgi dolnej części kręgosłupa. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział. Wyglądało to tak, jakby Lilianę rozerwało na pół jeszcze za jej życia.

Richard klęczał w milczeniu, patrzył i zastanawiał się. Ktoś zabił tę kobietę. Zabiła ją magia.

- Kto ci to zrobił? - wyszeptał.

W księżycowej poświacie wolniutko uniosło się ku niemu kościotrupie ramię. Rozchyliły się palce. Na kościach palca wskazującego zakotłosał się cienki łańcuszek.

Richard, choć jeżyły mu się włosy, ostrożnie zdjął ozdobę. Na łańcuszku coś wisiało. Uniósł to i zobaczył grudkę złota uformowaną w literę „J”.

- Jedidiah - wyszeptał chłopak, nie wiedząc, co mu podszepnęło owo imię.

ROZDZIAŁ 66

Kiedy Richard znalazł się dostatecznie blisko, zobaczył, że coś dzieje się na kamiennym moście. Po jednej jego stronie stał tłumek i wpatrywał się w rzekę. Chłopak dotarł do środka mostu i przepchnął się ku niskiej barierze. W tłumie dostrzegł Pashę - stała przy kamiennej poręczy, wychylona przez nią, i patrzyła w dół.

- Co się dzieje? - spytał, stając za plecami dziewczyny. Usłyszawszy jego głos, odwróciła się i zadrżała na jego widok. - Richard! Sądziłam... - Rzuciła okiem na rzekę w dole i znów nań spojrzała.

- Co sądziłaś? Objęła go w pasie.

- O, Richardzie! Myślałam, że nie żyjesz! Dzięki niech będą Stwórcy!

Chłopak odsunął jej ramiona i przechylił się przez kamienną barierę. Popatrzył na ciemną rzekę. Kilka niewielkich łódek, każda z latarnią, holowało ciało zaplątane w ręcznie zarzucane sieci. W migoczącym żółtawym świetle dostrzegł czerwony surdut.

Richard zbiegł z mostu, potem w dół wału; dotarł do brzegu wraz z przybiciem łodzi. Wyrwał sieci jednemu z mężczyzn i wyciągnął je razem z brzemieniem na trawiasty brzeg.

W dole pleców czerwonego surduta widniał mały, okrągły otwór. Chłopak przetoczył ciało na plecy, spojrzał w martwe oczy Perry'ego. Jęknął.

Drugie prawo magii. Perry umarł, bo Richard je pogwałcił. Próbował zrobić coś dobrego, miał najlepsze intencje, a wyrządził krzywdę. Dakra była przeznaczona dla Richarda. Myśleli, że to jego zabijają.

Pasha stanęła przed chłopakiem.

- Tak się bałam, Richardzie. Myślałam, że to ty. - Zaczęła płakać. - Dlaczego on był w twoim czerwonym surducie?

- Pożyczyłem mu go. - Krótco uściskał dziewczynę. - Muszę odejść, Pasho.

- Chyba nie z pałacu? Chyba nie mówisz tego serio? Wiesz, że tego nie zrobisz. Nie możesz odejść, Richardzie.

- Mówię bardzo serio. Dobranoc, Pasho.

Zostawił żołnierzy ich smutnemu zadaniu i ruszył do swoich komnat. Ktoś chciał go zabić i tym kimś nie była Liliana. Ktoś inny próbował go

zgładzić.

Richard pakował swoje rzeczy do plecaka, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Zamarł z na wpoi złożoną koszulą w dłoniach. Rozległ się głos Siostry Verny, pytającej, czy może wejść. Szarpnięciem otworzył drzwi, gotując się do wygłoszenia mowy, ale jedno spojrzenie na jej twarz sprawiło, że słowa uwięzły mu w gardle. Stała nieruchomo, wpatrzona w pustkę.

- Co się stało, Siostrze Verno? - Chwycił jej ramię i wprowadził ją do komnaty. - Usiądź tutaj.

Osunęła się na skraj fotela. Richard uklęknął przed Verną, ujął jej dłoń.

- Co się dzieje? Siostrze Verno?

- Czekałam na twój powrót. - Opuchnięte, zaczerwienione oczy spojrzały wreszcie w oczy chłopaka. - Bardzo by mi się teraz przydał przyjaciel. Ty jeden przyszedłeś mi na myśl.

Richard się zawahał: znała jego warunek, choć teraz wiedział już, że Verna *nie* zdoła zdjąć mu obroży.

- Kiedy Siostry Grace i Elizabeth umierały, przekazały mi swoją moc. Mam teraz więcej mocy niż jakakolwiek Siostra w pałacu, niż jakakolwiek normalna Siostra. Wiem, że w to nie uwierzysz, lecz wątpię, czy nawet to wystarczy, by usunąć twoją obrozę. Chcę jednak spróbować.

Richard wiedział, iż Verna nie zdejmie obroży. Przynajmniej tak mu powiedziano. A może Nathan się mylił.

- No dobrze. Spróbuj.

- Wiąże się z tym ból...

Richard podejrzliwie ściągnął brwi.

- Dlaczego mnie to nie dziwi?

- Nie twój ból, Richardzie. Mój.

- Co masz na myśli?

- Odkryłam, że dysponujesz magią subtraktywną.

- A co jedno ma wspólnego z drugim?

- Sam zatrzasnąłeś sobie na szyi Rada'Han. Obroża zamyka się, wykorzystując magię osoby, której jest zakładana. Ja dysponuję tylko magią addytywną. Wątpię, czy to wystarczy, żeby złamać zamknięcie. Nie mam władzy nad twoją magią subtraktywną. Będzie przeciwdziałać moim próbom i to zada mi ból. Ale nie bój się. Nie doznasz żadnej krzywdy.

Richard nie wiedział, co robić, w co wierzyć. Verna przyłożyła dłoń do

obroży, po obu stronach jego szyi. Zanim zamknęła oczy, chłopak dostrzegł owo szkliste spojrzenie i rozpoznał je. Dotykała swojej Han.

Czekał, z dłonią na rękojeści miecza, z napiętymi mięśniami - gotów zareagować, gdyby spróbowała go skrzywdzić. Nie chciał wierzyć, by Siostra Verna mogła mu wyrządzić coś złego, lecz przedtem nie wierzył, aby Liliana kiedykolwiek potrafiła go skrzywdzić.

Siostra Verna zmarszczyła czoło. Richard poczuł jedynie przyjemne, ciepłe mrowienie. Komnata wibrowała niskim buczeniem. Podwinęły się rogi dywanów, szyby w oknach drżały. Siostra Verna dygotała z wysiłku.

Stojące lustro w sypialni rozsypało się na kawałki. Trzasnęły szyby w otwierających się drzwiach balkonowych. Zastony wychyliły się na zewnątrz, jakby wywiały je wiatr. Tynk posypał się z sufitu, a wysoka komoda przewróciła się z hukiem.

Siostra Verna zajęczała z bólu, twarz jej drgała.

Richard chwycił Verne za nadgarstki i odsunął jej dłonie od obroży. Siostra osunęła się bezwładnie.

- Przykro mi, Richardzie - powiedziała ponuro. - Nie zdołam tego zrobić.

Chłopak objął ją i mocno przytulił.

- Nic nie szkodzi. Wierzę ci, Siostro. Wiem, że próbowałaś. Znalazłaś przyjaciela.

Oddała mu uścisk.

- Musisz stąd odejść, Richardzie.

Usadowił ją w fotelu, a ona otarła oczy palcami. Chłopak odchylił się na piętach.

- Opowiedz, co się wydarzyło.

- W pałacu są Siostry Mroku.

- Siostry Mroku? Co to znaczy?

- Siostry Światła starają się przynieść żywym istotom blask chwały Stwórcy. Siostry Mroku służą Opiekunowi. Nigdy nie udowodniono, że one istnieją. Oskarżenie bez dowodu jest zbrodnią. Wiem, iż nie zamierzasz mi uwierzyć, Richardzie. Wiem, że to brzmi, jak...

- Tej nocy zabiłem Siostrę Lilianę. Wierzę ci.

- Co zrobiłeś? - spytała, mrugając.

- Powiedziała, że zdejmie mi obrozę. Namówiła mnie, byśmy się spotkali w lasach Hagen. Próbowała odebrać mi dar, Siostro Verno, dla siebie.

- Nie może tego zrobić. Kobieta nie jest w stanie przejąć daru mężczyzny i odwrotnie. To niemożliwe.

- Mówiła, iż przedtem robiła to już wiele razy. Wydawało mi się to całkiem możliwe, kiedy próbowała. Czuję, jak wyciąga ze mnie dar i życie. Niemal się jej udało. Byłem bliski śmierci,

- Nie rozumiem, jak... - Verna odgarnęła w tył swoje kręcone włosy. Richard wyjął statuetkę.

- Korzystała z tego. Gdy to robiła, kryształ zaczął świecić pomarańczowo. Wiesz, co to jest?

Siostra Verna przecząco potrząsnęła głową.

- Wydaje mi się, że już to gdzieś widziałam, ale nie pamiętam gdzie. To było tak dawno temu. Zanim opuściłam pałac. A co stało się potem?

- Kiedy nie udało się jej, bo przywołałem na pomoc moją magię, wezwała z mroków miecz. Chciała mnie zranić. Powiedziała, że obedrze mnie żywcem ze skóry i ukradnie dla siebie mój dar. Chciała mi odciąć nogi. Zdołałem ją pierwszy zabić. Ona miała magię subtraktywną, Siostrzo Verno. Widziałem, jak się nią posługiwała. Lecz jest coś jeszcze: także ktoś inny chciał mnie zabić. Pożyczyłem Perry'emu mój czerwony surdut. Właśnie wyciągnęli z rzeki jego ciało. Uderzono go w plecy dakrą.

Verna wykrzywiła usta.

- O drogi Stwórco. - Splotła palce. - Pałac wie, że masz dar magii subtraktywnej. Wykorzystują cię, by wypłoszyć służalców Opiekuna. - Wzięła Richarda za rękę. - I ja byłam w to zamieszana. Już dawno powinnam zakwestionować różne rzeczy, lecz nie uczyniłam tego. Postępowałam tak, jakbym wierzyła, iż to słuszne.

- Co zakwestionować?

- Wybacz mi Richardzie. Nigdy nie powinnam była skłaniać cię do założenia Rada'Han. To nie było konieczne. Powiedziano mi, że w Nowym Świecie nie ma czarodziejów, którzy mogliby pomóc chłopcom. Sądziłam, że umarłbyś bez naszego wsparcia. Twój przyjaciel Zedd potrafiłby cię uchronić od śmierci spowodowanej przez dar. Ksieni wiedziała, iż są tam czarodzieje, którzy potrafiliby ci pomóc. Dla własnych samolubnych celów sprawiła, że wykradziono cię twoim przyjaciołom i tym, których kochasz. Nie potrzebowałeś Rada'Han, by ocalić życie.

- Wiem. Rozmawiałem z Nathanem. Powiedział mi.

- Poszedłeś do Proroka? Co jeszcze ci powiedział?

- Że mam moc większą niż każdy czarodziej, który urodził się przez ostatnie trzy tysiące lat. Ale że nie mam pojęcia, jak się nią posługiwać. I że dysponuję magią subtraktywną. Powiedział, iż Siostry nie zdejmą mojej obroży.

- Tak mi przykro, Richardzie, że to na ciebie ściągnęłam.

- Oszukano cię tak jak i mnie, Siostrze Verno. Ty również jesteś ich ofiarą. Wykorzystali nas oboje. Lecz jest jeszcze coś gorszego. Istnieje proroctwo mówiące, że Kahlan umrze w zimowe przesilenie. Muszę temu zapobiec. A Rahl Posępny, mój ojciec, agent Opiekuna, jest na tym świecie. Widziałas znamię wypalone na mojej piersi. On jest agentem, który może rozedrzeć zasłonę, jeśli wszystkie elementy znajdują się na właściwych miejscach, choć wątpię, czy mu się uda. Muszę stąd odejść, Siostrze Verno. Muszę przedostać się przez barierę. - Pomogę ci. Pomogę ci przejść przez barierę. Ale prawdziwym problemem będzie dla ciebie Dolina Zaginionych. Nie sądzę, byś jeszcze raz się przez nią przedostała. Obroża wspomogła rozwój magii subtraktywnej i będziesz przyciągał do siebie uroki. Tym razem magia cię odnajdzie.

- Może jakoś mi się uda. Muszę spróbować. Siostra Verna zamyśliła się na chwilę.

- Opiekun będzie cię chciał powstrzymać, żeby mogła się wypełnić ta przepowiednia o jego agencie. Siostry Mroku zrobią wszystko, by ci przeszkodzić. Jestem pewna, że Liliana nie była jedyna.

- Kto zrobił z niej moją nauczycielkę?

- Nauczycielki wyznacza biuro Ksieni. Ale chyba Ksieni sama się tym nie zajmuje. Takie sprawy załatwiają zazwyczaj jej administratorki.

- Jej administratorki?

- Siostry Ulicia i Finella. - Sądziłem, że są jej strażniczkami.

- Strażniczkami? Nie. Chyba że w biurokratycznym sensie tego słowa. Ksieni ma większą moc niż one. Nie potrzebuje strażniczek. Niektórzy chłopcy uważają je za strażniczki, bo obie Siostry zawsze zawracają ich spod drzwi Ksieni. Część pracy wykonują w gabinecie Ksieni, ale mają swoje własne biura, w których zajmują się sprawami administracyjnymi.

- Może Siostry Mroku zaatakowały mnie, bo uznały, iż trzeba działać, skoro wykryto ich obecność.

- Nie. Ksieni powiedziała, że tylko ona o nich wie.

- Czy ktoś mógł ją podsłuchać? - Nie. Osłoniła komnatę. Richard pochylił się ku niej.

- Liliana miała magię subtraktywną, Sostro Verno. Osłona nic by przeciwko niej nie poradziła. Jedna z tych dwóch administratorok przydzieliła mi Lilianę.

Nagle Verna gwałtownie wciągnęła powietrze.

- I pozostałe pięć nauczycielek. Jeśli jedna lub obie w pierwszym gabinecie słyszały, co mówiła Ksieni, to Ksieni... Biuro Siostry Ulicii: to tam widziałam statuetkę!

Richard złapał Verne za nadgarstek i wyszarpnął z fotela.

- Idziemy! Jeżeli próbowały mnie zabić, to mogą też spróbować zabić Ksieni, nim zdąży jeszcze kogoś ostrzec!

Pognali schodami w dół, wypadli z Guillaume Hali. Mijali w mroku trawniki, przebiegali korytarze i przejścia. Wartę miał inny żołnierz, nie Kevin, lecz nie zatrzymał ich, bo i on znał Richarda, a Siostram wolno było tam wchodzić.

Richard zrozumiał, że się spóźnili, gdy tylko ujrzał wyrwane z zawiasów drzwi wiodące do gabinetu Ksieni. Z poślizgiem zatrzymał się na marmurowej posadzce holu. Papiery i książki wysypały się aż tutaj.

Verna wciąż jeszcze biegła holem, a on z dobytym mieczem wchodził już do gabinetu. Wnętrze wyglądało tak, jakby szalała w nim burza. Szczątki Siostry Finelli leżały za jej biurkiem, reszta ciała rozprysnęła się na ścianie. Kopniakiem otworzył drzwi do wewnętrznego gabinetu; usłyszał, jak Siostra Verna zachłystuje się oddechem.

Drzwi odskoczyły, a Richard zanurkował do środka i natychmiast się podniósł, trzymając oburącz miecz. Panował tu jeszcze większy rozgardiasz niż w pierwszej komnacie. Prawie całą podłogę zaścielała gruba na stopę warstwa papierzyk. Odnosiło się wrażenie, iż większość stojących na półkach książek wybuchła, rozrzucając wszędzie swoje stronicy. Roztrzaskany masywny orzechowy stół leżał pod przeciwległą ścianą. Komnata nie była niczym oświetlona. Trochę światła wpuszczały jedynie drzwi za plecami chłopaka i otwarte wejście do oświetlonego księżycem ogrodu.

Siostra Verna zapaliła płomień nad wnętrzem dłoni. W jego blasku Richard dostrzegł postać stojącą obok resztek stołu. Owa osoba powoli

uniosiła głowę. Wbiła wzrok w oczy chłopaka. To była Siostra Ulicia.

Richard uskoczył w bok. Błękitna błyskawica przemknęła i rozdarła za nim ścianę. Siostra Verna odpowiedziała na ten atak złościwym płomieniem. Siostra Ulicia wyskoczyła na dziedziniec, żeby uniknąć ognia. Richard ruszył za nią. Siostra Verna podbiegła do wywróconego, potrzaskanego stołu i zaczęła odrzucać szczątki.

- Kryj się! - wrzasnął do niej Richard.

Wijąca się czarna błyskawica przecięła ściany ponad głową chłopaka, który zdążył paść na podłogę. Runęły podcięte półki. Richard widział, jak czarna pustka przenika do sąsiedniej komnaty i dalej. Poleciały w dół drewniane listwy, tynk i kamień, wzbily się kłęby pyłu.

Kiedy czarna błyskawica zniknęła, Richard, ogarnięty furia, skoczył na równe nogi i wypadł na zewnątrz. Widział biegnącą dróżką ciemną postać.

I znów z mroków wypadła czarna błyskawica. Wężowata pustka przesunęła się dziedzińcem. Podcięte drzewa padły z trzaskiem łamiących się konarów. Zawałił się przecięty na pół mur. Huk był ogłuszający.

Wreszcie wszystko ucichło i Richard znów się poderwał. Już miał pognać ścieżką za tamtą, kiedy złapała go i szarpnęła do tyłu jakaś niewidzialna ręka.

- Richardzie! - Jeszcze nigdy nie słyszał tak groźnego tonu w głosie Siostry Verny. - Wracaj!

Wrócił do komnaty Ksieni i stanął zasapany obok Siostry Verny.

- Muszę iść...

Podniosła się gwałtownie i - tym razem prawdziwą ręką - chwyciła go za koszulę.

- Dokąd iść!? Dać się zabić!? Co to da!? Czy to pomoże Kahlan? Siostra Ulicia włada mocami, których nawet nie potrafisz sobie wyobrazić!

- Ale ona może uciec.

- I przynajmniej zostaniesz żywy, jeśli ucieknie. Pomóż mi z tym stołem. Myślę, że Ksieni żyje.

- Jesteś pewna? - W chłopaku obudziła się nadzieja.

Zaczął odrzucać połamane kawałki mebla. Na samym dole znalazł ciało. Siostra Verna miała nadzieję. Ksieni żyła, choć wyglądała na ciężko ranną.

Siostra Verna wykorzystywała swoją moc do podniesienia ciężkich fragmentów stołu i biblioteczek, a Richard ostrożnie zdejmował z małej

damy mniejsze odłamki. Ksieni, pokryta krwią, została wtłoczona na najniższą półkę i przyparta do samej ściany. Jęknęła, kiedy Richard ostrożnie ją stamtąd wyciągnął. Nie sądził, by długo żyła.

- Musimy sprowadzić pomoc - powiedział.

Dłonie Siostry Verny przesuwaly się nad ciałem Ksieni. - Jest niedobrze, Richardzie. Wyczuwam niektóre z jej urazów. Nic na to nie poradzę. Wątpię, czy ktokolwiek coś poradzi. Richard wziął Ann na rękę.

- Nie pozwolę jej umrzeć. Jeśli ktokolwiek mógłby pomóc, to tylko Nathan. Chodźmy.

Nadbiegli żołnierze i Siostry, zwabieni ogłuszającym hukiem, wywołanym rozpętanymi przez Siostrę Ulicę mocami. Richard zmierzał do apartamentu Nathana. Nie zatrzymał się, by cokolwiek wyjaśnić. Biegł, starając się jak najmniej urazić Ann, lecz jęki rannej świadczyły, iż nie bardzo mu się to udawało.

Nathan usłyszał ich wołanie i wrócił z dziedzińca.

- Co ta za hałas? Kto to? Co się stało?

- To Ann. Jest ranna.

Prorok zaprowadził go do sypialni.

- Wiedziałem, że ta uparta kobieta napyta sobie biedy.

Richard ostrożnie położył Ksienię na łożu i stał w pobliżu, a Nathan przesunął rozsunięte palce nad jej ciałem. Siostra Verna tkwiła w drzwiach i przyglądała się. Nathan pociągnął rękawy.

- To poważne obrażenia. Nie wiem, czy zdołam jej pomóc.

- Musisz spróbować, Nathanie!

- Oczywiście, że spróbuję, chłopcze. - Wypędził ich gestami. - Zaczekajcie w tamtej komnacie. To trochę potrwa. Dopiero za godzinę lub dwie będę wiedział, czy moja pomoc wystarczy. Zostawcie mnie samego. W niczym mi nie pomożecie.

Richard chodził tam i z powrotem, a Verna siedziała sztywno wyprostowana.

- Dlaczego tak martwisz się tym, co się przytrafiło Ksieni, Richardzie? Kazała cię sprowadzić, choć nie powinna była.

Chłopak przecesał włosy palcami.

- Chyba dlatego, że mogła mnie zabrać, kiedy byłem zupełnie mały, i nie uczyniła tego. Pozwoliła mi dorastać przy rodzicach. Nie pozbawiła ich

miłości. Najważniejsze w życiu to być wychowywanym z miłością. Nie pozbawiła mnie tego, choć mogła.

- Cieszę się, że nie jesteś zawzięty. Richard chodził i myślał. Lecz niedługo,

- Nie mogę tkwić tu beczynn timer, Siostrze. Pogadam z gwardzistami. Musimy wiedzieć, gdzie są i co porabiają te moje nauczycielki. Gwardziści się tego dowiedzą.

- To nie zaszkodzi. Idź, porozmawiaj z żołnierzami. Dzięki temu czas szybciej upłynie.

Pogrążony w zadumie Richard pomaszerował ciemnymi, kamiennymi korytarzami. Musiał się dowiedzieć, gdzie przebywały Siostry Tovi, Cecilia, Merissa, Nicei oraz Armina. Któraś z nich - a może i wszystkie - mogła być Siostrą Mroku. Kto wie, co teraz zamierzały zrobić. Może wszystkie go szukały. Wszystkie mogłyby być... Nagły ból odrzucił Richarda do tyłu. Chłopak miał wrażenie, że został uderzony pałką w twarz. Chwiał się na nogach, świat wirował. Poszukał krwi, ale jej nie wyczuł. Drugi cios trafił go w tył głowy. Podniósł się na rękach, usiłował odgadnąć, gdzie jest. Myśli stały się otępiełe i powolne. Starał się zrozumieć, co się dzieje.

Nad Richardem wyrósł mroczny cień... Chłopak podniósł się wolniutko, z wielkim trudem. Poszukał miecza, ale zapomniał, którą dłoń należy go ująć. Nie potrafił się szybko poruszać.

- Na spacerku, chłopku?

Richard podniósł wzrok na drwiako uśmiechniętego, dumnie wyprostowanego i chowającego w rękawach dłonie założonych rąk Jedidiaha. Chłopak natrafił na rękojeść miecza. Ospale wyciągał go z pochwy. Cofnął się, starał się przywołać magię.

Gniew zaczął napływać do otumanionego umysłu Richarda, a Jedidiah wyciągnął dłonie. Miał dakrę. Uniósł ramię, zaciskał w pięści srebrny sztylet. Richard zastanawiał się, co zrobić, czy to się dzieje naprawdę. A może zaraz się obudzi i przekona, że to tylko sen.

Ramię Jedidiaha uniosło się - i w tym momencie z oczu czarodzieja trysnęło światło. Wolno, a potem coraz szybciej poleciał do przodu i runął twarzą na podłogę.

Przez korytarz przemknęła przerażająca ciemność.

Znów zapłonęły pochodnie. Tuż za miejscem, w którym pojawił się

Jedidiah, stała Siostra Verna. W dłoni trzymała dakrę. Richard osunął się na kolana, próbował pozbierać myśli.

Siostra Verna pospieszyła ku chłopakowi, przyłożyła mu dłonie do głowy. Umysł Richarda ożył. Chłopak wstał i spojrzał na ciało - w plecach Jedidiaha widniał mały, okrągły otwór.

- Uznałam, iż lepiej będzie, jeśli porozmawiam z niektórymi Siostrami - wyjaśniła Verna. - Osądziłam, że im więcej osób dowie się o Siostrach Mroku, tym będzie lepiej.

- To on, prawda? To jego kochałaś? Wsunęła dakrę w rękaw.

- Nie był tym Jedidiahem, którego znałam. Tamten był porządnym człowiekiem.

- Przykro mi, Sostro Verno.

Z roztargnieniem skinęła głową.

- Idź porozmawiać z gwardzistami. Potem wróc do mnie do komnat Nathana. Lepiej, byśmy przespali się tutaj niż w naszych pokojach.

- Słusznie. Kiedy będzie już jasno, zabierzemy nasze rzeczy i odejdziemy stąd.

Richard usłyszał wchodzącego Nathana. Usiadł w fotelu i przetarł oczy. Siostra Verna szybciej poderwała się z kanapy. Chłopak mrugnął powiekami, starając się przepędzić senność.

Oboje do późna nie spali. Kotłowało się w całym pałacu. Wydarzenia w gabinecie Ksieni były wystarczającym dowodem na istnienie owych mitycznych Sióstr Mroku. Wystarczyło jedno spojrzenie na gładko ścięte dwanaście ścian, na czysto przecięte drzewa i kamień, by nawet wątpiący przyznali, iż mogła tego dokonać jedynie magia subtraktywna.

Richard wysłał żołnierzy, żeby dyskretnie rozejrzeli się za sześcioma Siostrami: Ulicią i jego pięcioma nauczycielkami. Pozostałe Siostry też ich szukały. Chłopak zaszedł również do Warrena, by powiedzieć mu, co się stało.

Chłopak wyciągnął nogi i wstał.

- Jak ona się czuje? Wyzdrowieje?

Nathan był wymizerowany.

- Lepiej jej teraz, wypoczywa. Jednak za wcześnie jeszcze, żeby coś powiedzieć. Kiedy wypocznie, będę mógł zrobić więcej.

- Dzięki, Nathanie. Wiem, że Ann nie mogłaby trafić w ręce lepsze niż

twoje.

- Prosisz mnie, bym wyleczył mojego więziennego dozorcę - mruknął skwaszony Prorok.

- Ann to doceni. Może przemyśli sens dalszego więzienia ciebie? Jeżeli nie, to wrócę tutaj i coś z tym zrobię. - Wrócisz? Czyżbyś się dokądś wybierał, mój chłopcze?

- Tak, Nathanie, i potrzebuję twojej pomocy.

- Jeśli ci pomogę, to możesz sobie wbić do upartej łepetyny, żeby stąd odejść i zniszczyć świat.

- A czy proroctwa mówią, iż zostałeś zesłany, aby mnie powstrzymać?

Nathan westchnął ze znużeniem.

- Czego chcesz?

- Jak mogę przejść przez barierę? Obroza mnie powstrzymuje.

- A dlaczego sądzisz, że ja to wiem?

Richard gniewnie postąpił ku olbrzyiemu staremu czarodziejowi.

- Nie igraj ze mną, Nathanie. Nie mam na to ochoty, bo to zbyt poważna sprawa. Przecież tamtędy przeszedłeś. Poszedłeś z Ann, żeby w Aydindril wydostać księgę z Wieży Czarodzieja. Pamiętasz?

Nathan zsunął rękawy.

- Po prostu trzeba osłonić Rada'Han. Ann mi pomogła, Siostra Verna może pomóc tobie. Powiem jej jak.

- A co z Doliną Zaginionych? Mogę tamtędy wrócić? Nathan potrząsnął głową, oczy mu pociemniały.

- Zbyt wiele mocy zdobyłeś. Obroza pomogła jej urosnąć. Przywoływałbyś uroki. Siostra Verna też już nie przejdzie: była tam dwukrotnie. No i ma teraz większą moc. Dwukrotne przejście, przejęcie daru dwóch Sióstr zatrzymuje ją tutaj.

- Więc dlaczego ty przeszedłeś trzy razy? Jesteś z D'Hary, to jedno przejście. Udałeś się z Ann do Nowego Świata i wróciłeś tutaj. To razem trzy przejścia. Jak ci się to udało, skoro to niemożliwe?

Nathan uśmiechnął się łobuzersko.

- Wcale nie przechodziłem trzy razy przez dolinę. Tylko raz. - Uniósł rękę, uciszając Richarda. - Ann i ja nie przechodziliśmy przez dolinę. Ominęliśmy przeszkodę. Wy płynęliśmy poza zasięg uroków, daleko na pełne morze, i w końcu dotarliśmy na najdalej na południe wysunięte krańce

Westlandu. To długa i niełatwa podróż, ale przepłynęliśmy. Niewielu się to udało.

- Morzem! - Richard spojrział na Siostrę Verne. - Nie mam tyle czasu. Zimowe przesilenie jest tuż-tuż, wcześniej niż za tydzień. Muszę przejść przez dolinę.

- Rozumiem, co czujesz, Richardzie - powiedziała łagodnie Siostra Verna - lecz samo dotarcie do Doliny Zaginionych potrwa niemal tydzień. Nawet gdybyś znalazł tamtędy drogę, to i tak nie dotrzesz na czas tam, dokąd chcesz.

Chłopak powściągnął gniew.

- Jestem niedoświadczonym czarodziejem. Nie mogę liczyć na mój dar. I dlatego nic mnie nie obchodzi, czy się nim kiedyś nauczę posługiwać. Jestem jednak również Poszukiwaczem. A w tym, Siostrze Verno, nie jestem tak bardzo niedoświadczony. Obiecałem Kahlan, że gdybym musiał zejść do zaświatów i walczyć z samym Opiekunem, to uczynię to, jeśli tylko w ten sposób będę ją mógł obronić.

Nathan szeptem.

- Ostrzegłem cię, Richardzie. Jeżeli to proroctwo się nie spełni, to Opiekun nas dopadnie. Nie wolno ci przeszkadzać w dopełnieniu się proroctwa. Oddałbyś świat żywych we władanie Opiekuna.

- To tylko głupia zagadka - burknął zirytowany chłopak, choć miał na tyle rozumu, by wiedzieć, że to nieprawda.

Nathan zachmurzył się gniewnie - rodowy mars Rahlów, Richard też go odziedziczył.

- Śmierć jest nierozłącznie związana z życiem, Richardzie. Stwórca i ją stworzył. Jeśli dokonasz złego wyboru, to wszystkie żywe istoty zapłacą za twój upór. I nie zapominaj, Richardzie, co ci mówiłem o Kamieniu Łez. Jeżeli go niewłaściwie użyjesz, przepędzając duszę w otchłanie zaświatów, to zniszczysz całą równowagę.

- Kamień Łez? - spytała podejrzliwie Verna. - Co by Richard miał wspólnego z Kamieniem Łez?

Richard spojrział na nią.

- Tracimy czas. Idę po moje rzeczy. Musimy ruszać.

- Richardzie - odezwał się Nathan. - Ann ci ufa. Pozwoliła ci doświadczyć miłości rodziców po to, byś lepiej zrozumiał prawdziwe znaczenie życia.

Pamiętaj o tym, proszę, w chwili, gdy będziesz musiał dokonać wyboru.

Chłopak długo patrzył na Nathana.

- Dzięki za pomoc, Nathanie, ale i tak nie pozwolę umrzeć kochanej osobie za zagadkę w starej księdze. Mam nadzieję, że cię znów zobaczę. Tyle spraw zostało do obgadania.

Richard upchnął na spód plecaka misę złotych monet, a na to resztę swoich rzeczy. Uznał, że jeśli monety pomogą uratować Kahlan, to pałac może mu dać choć tyle w zamian za to wszystko, co mu wyrządził.

Złoto skłaniało trzymanyh w pałacu młodych mężczyzn do próżniactwa. Okaleczało ich człowieczeństwo, jak określał to Nathan. Może dlatego Jedidiah łaskawym uchem wysłuchał obietnic Opiekuna.

Chłopak wątpił, czy którykolwiek z młodych czarodziejów z wyjątkiem Warrena choć przez jeden dzień pracował od chwili znalezienia się w pałacu. Mieli dostęp do nieograniczonej ilości złota i najmniejszego pojęcia o jego wartości. Jeszcze jeden sposób niszczenia życia przez Pałac Proroków. Chłopak zastanawiał się, ile też dzieci młodych czarodziejów przyszło na świat dzięki kruszcowi.

Richard wyszedł na balkon, by zanim odejdzie, przyjrzeć się wszystkiemu. Gwardziści patrolowali teren. Siostry pilnie przeszukiwały każdy budynek i każde kryte przejście. Będą sobie jakoś musiały poradzić z tymi sześcioma. Chłopak nie miał pojęcia, w jaki sposób zapanować nad ich mocą.

Usłyszał, jak w pierwszej komnacie otwierają się drzwi i uznał, że to Siostra Verna. Lada moment wyruszają. Kiedy się odwrócił i spojrział, nie było już czasu na przeciwdziałanie.

Pasha gnała ku niemu przez komnatę. Wyrzuciła w górę ręce. Drzwi wypadły zawiasów, przekoziółkowały przez balustradę i runęły na leżący trzydzieści stóp niżej wykładany kamieniem podwórzec. Uderzenie twardej ściany powietrza odrzuciło Richarda do tyłu. Na szczęście zatrzymał się na balustradzie i nie spadł wraz z wrotami. Stracił oddech, a ostry ból w boku ostrzegł go, żeby uważać z oddychaniem.

Richard oddalał się chwiejnie od skraju balkonu, lecz kolejne uderzenie ponownie odrzuciło go do tyłu. Tym razem grzmotnął głową o kamienną balustradę. Zobaczył, jak krew plami kamień, i upadł. Pasha krzyczała w furii. Najpierw w ogóle nie rozumiał jej słów. Podniósł się na rękach. Krew

ciekła mu z głowy, zbierając się pod nim w kałużę. Zachwiał się i upadł na bok. W końcu udało mu się usiąść i oprzeć o poręcz.

- Pasho, co...

- Zamknij tę swoją paskudną gębę! Nie zamierzam tego słuchać! Stała w drzwiach, wsparta pod boki. W zaciśniętej dłoni trzymała dakrę. Po jej policzkach płynęły łzy.

- Jesteś pomiotem Opiekuna! Jesteś jego plugawym służalcem! Krzywdzisz dobrych ludzi, tylko tym się zajmujesz!

Richard przycisnął dłonie do czaszki. Kiedy je cofnął, całe były zakrwawione. Tak mu się kręciło w głowie, że z trudem powstrzymywał mdłości.

- O czym ty mówisz? - wykrztusił z wielkim trudem.

- Siostra Ulicia mi powiedziała! Powiedziała mi, że służysz Opiekunowi! Że zabiłeś Siostrę Lilianę!

- Pasho, Siostra Ulicia jest Siostrą Mroku...

- Ostrzegła mnie, że tak powiesz! Opowiedziała mi, jak się posłużyłeś swoją ohydną magią, by zamordować Siostrę Finellę i Ksienię! To dlatego zawsze chciałeś iść do gabinetu Ksieni! Żebyś mógł zgładzić tę, która wiodła nas ku chwale Stwórcy! Jesteś plugawy!

Świat kołował przed oczami Richarda. Widział dwie wirujące wokół siebie Pashe.

- To nieprawda... Pasho.

- Wczoraj ocaliły cię wyłącznie sztuczki Opiekuna. Dałeś komuś innemu surdut, który mi się tak podobał, by mnie upokorzyć! Siostra Ulicia powiedziała mi, iż Opiekun szepce ci do ucha! Powinnam cię była zabić, kiedy zobaczyłam cię na moście. Wtedy już nic więcej by się nie wydarzyło. Ale wierzyłam głupio, że zdołam cię wyrwać ze szponów Opiekuna! Gdybym zakończyła sprawę, to żyłyby i tamte Siostry, i Ksieni. Zawiodłam Stwórcę, kiedy przez twoje oszustwo zabiłam Perry'ego, lecz nie pomogą ci już żadne sztuczki. Twoje podstępne zaświatowe kręactwa już cię nie ocalą!

- Wysłuchaj mnie, Pasho, proszę. Okłamano cię. Wysłuchaj mnie. Ksieni żyje. Mogę cię do niej zaprowadzić.

- Chciałbyś i mnie zabić! Zawsze mówisz tylko o zabijaniu! Profanujesz nas wszystkie! I pomyśleć, że mogłam sądzić, iż cię kocham!

Uniosła dakrę i z krzykiem rzuciła się ku Richardowi. Jakoś udało mu się

dobyć miecza i teraz mętnie dumał, którą Pashę spróbować zatrzymać. Gniew oraz magia miecza dały siłę ramionom chłopaka. Kiedy się nań rzuciła ze wzniesioną dąkrą, podniósł klingę. Dwa obrazy Pashy zlały się w jeden. Jednak miecz jej nie dotknął. Z wrzaskiem przeleciała ponad chłopakiem przez balustradę. Wrzeszczała, dopóki nie uderzyła o dziedziniec. Richard mocno zacisnął powieki, gdy krzyk Pashy urwał się wraz z uderzeniem ciała o kamienie.

Chłopak otworzył oczy i ujrzał stojącego w drzwiach oszołomionego Warrena. Przypomnił sobie, jak Jedidiah upadł na schodach.

- O dobre duchy, nie - wyszeptał Richard.

Wstał i wyjrzał z balkonu. Ludzie zbiegali się z różnych stron ku leżącemu ciału. Warren, jak otępiały, powolutku szedł ku balustradzie. Richard zdążył go zatrzymać w połowie drogi.

- Nie patrz, Warrenie.

Oczy Kreta wezbrały łzami. Richard objął przyjaciela. Czemuś to zrobił, pomyślał, byłbym ją sam zabił. Właśnie miałem tak postąpić. Nie musiałeś tego czynić.

Ponad ramieniem Warrena chłopak zobaczył Siostrę Verne.

- Zgładziła Perry'ego - powiedział Warren. - Słyszałem, jak to wyznała. Chciała cię zabić.

Byłbym to zrobił, pomyślał Richard, nie musiałeś popełniać tego czynu. Jednakże głośno powiedział:

- Dzięki, Warrenie. Uratowałeś mi życie.

- Chciała cię zabić - łkał tamten w ramię chłopaka. - Dlaczego chciała cię zabić?

Siostra Verna dotknęła pocieszająco pleców Kreta.

- Skłoniły ją do tego kłamstwa Sióstr Mroku. Opiekun nasączył nimi jej umysł. Słyszała podszepty ciemności. Opiekun potrafi nawet dobrych ludzi nakłonić do słuchania swoich kłamstw. Mężnie postąpiłeś, Warrenie.

- To dlaczego tak mi wstyd? Kochałem ją i zabiłem ją. Płakał, a Richard bratersko trzymał go w ramionach.

Siostra Verna wciągnęła ich do komnaty. Kazała się Richardowi pochylić o obejrzała jego głowę. Krew kapała na podłogę.

- Trzeba się tym zająć. Nie mogę uleczyć takiej rany.

- Ja mogę - odezwał się Warren. - Jestem dobry w uzdrawianiu. Pozwól,

że się tym zajmę.

Kiedy Kret skończył, Verna kazała Richardowi pochylić się nad miednicą i zmyła krew wodą z dzbanka. Warren siedział na brzegu fotela, głowę ukrył w dłoniach. Richard wystraszył się, że będzie mu potrzebna miednica.

Siostra skończyła obmywać krew i Warren podniósł głowę.

- Już wiem, co to za prawo, o którym mówiłeś. Ludzie uwierzą w kłamstwo, ponieważ chcą wierzyć, iż to jest prawda, lub dlatego, że się boją, iż to może być prawda. Tak jak Pasha uwierzyła w ich kłamstwa. Mam rację?

- Tak, Warrenie - uśmiechnął się Richard. Kret zdołał się leciutko uśmiechnąć.

- Czy mogłabyś mi zdjąć obrożę, Siostrze Verno? Verna się zawahała.

- Musiałbyś przejść próbę bólu, Warrenie.

- A przez co właśnie przeszedł, Siostrze? - zapytał Richard.

- Co masz na myśli?

- Odsyłani przez dolinę młodzi czarodzieje mogą przejść, bo nie mają dostatecznej mocy, żeby przyciągnąć ku sobie uroki. Nie są jeszcze w pełni czarodziejami. Zedd mówił mi, iż czarodziej musi przejść próbę bólu. Z biegiem tysiącleci Siostry przekształciły ów test w badanie wytrzymałości na ból fizyczny. Uważam, że się myliły. Warren przeżył właśnie ból o wiele większy niż ten, który mogłyby mu zadać Siostry. Mam rację, Warrenie?

Zapytany przytaknął, twarz znów mu zbieła.

- Jeszcze nigdy nie doznałem takiego cierpienia.

- Pamiętasz, Siostrze, jak opowiadałem, że sprawiłem, by klinga zbieła, i zabiłem ową kobietę, kochając ją? Może i to była próba bólu. Wiem, jakie cierpienie to sprawia.

Skonsternowana Verna rozłożyła ręce.

- Czyżbyś naprawdę sądził, że osoba z darem musi zabić kogoś, kogo kocha, żeby zdać ów test? Tak nie może być, Richardzie.

- Nie, Siostrze. Oni nie muszą zabijać tych, których kochają. Muszą jednak udowodnić, iż potrafią podjąć właściwą decyzję. Muszą dowieść, że potrafią wybrać to, co przyniesie większą korzyść. Czy obdarzeni dobrze służyliby temu twojemu Stwórcy, życiu, gdyby potrafili kierować się jedynie egoistycznymi pobudkami? Zadawanie bólu, jak to czynią Siostry, dowodzi wyłącznie tego, że ofiara nie umiera. Czy służenie chwale życia, kochanie życia nie wymaga raczej, by udowodnili, iż z własnej woli potrafią wybrać

właściwie, potrafią wybrać ową chwałę życia i miłość do wszystkich ludzi?

- O drogi Stwórco - wyszeptała Siostra Verna - czyżbyśmy się przez cały czas myliły? - Na chwilę zakryła usta. - A sądziłyśmy, że dajemy owym chłopcom światło Stwórcy.

Siostra Verna podjęła decyzję, wyprostowała się energicznie. Stała przed Warrenem i położyła dłonie na jego Rada'Han. Stała z zamkniętymi oczami, dotykając obroży. Powietrze zaczęło wibrować. Po chwili zapanowała cisza i Richard usłyszał słaby trzask. Rada'Han opadła.

Warren z lekkim oszołomieniem patrzył na otwartą Rada'Han. Richard zapragnął, by i jemu poszło to tak łatwo.

- Co będziesz teraz robił, Warrenie? - zapytał. - Opuścisz pałac?

- Być może. Ale, jeśli Siostry pozwolą, chciałbym jeszcze przestudiować więcej ksiąg.

- Pozwolą - wtrąciła Verna. - Już ja o to zadbam.

- A potem może wybiorę się do Aydindril, do Wieży Czarodzieja, i zacznę badać księgi i proroctwa, które, jak mówiłeś, tam przechowują.

- To mądre plany, Warrenie. Muszę już iść, Siostro.

- A może poszedłbyś z nami, Warrenie, aż do doliny? - zapytała. - Teraz jesteś wolny. - Zerknęła ku balkonowi. - Dobrze by ci zrobiło, gdybyś stąd na pewien czas zniknął i zajął umysł innymi sprawami. No i jeśli Richard zrealizuje swoje plany, mogłabym skorzystać z czyjejś pomocy, gdy dotrzemy już do doliny.

- Naprawdę? Bardzo chętnie.

Kiedy szli ku stajniom, zobaczyli ich trzech strażnicy - Kevin, Walsh oraz Bollesdun - i podbiegli do nich. - Chyba je odnaleźliśmy, Richardzie - powiedział Kevin.

- Jak to, chyba? Co to znaczy? Gdzie są?

- Ostatniej nocy *Lady Sefa* postawiła żagle. Rozmawialiśmy z ludźmi w porcie, którzy powiedzieli, że widzieli, jak na pokład weszło kilka kobiet, chyba Sióstr. Większość twierdziła, iż zanim statek odpłynął, na pokład zamustrowało się sześć kobiet.

- Odpłynął! - jęknął Richard. - Co to ta *Lady Sefa*?

- Okręt. Duży okręt. Wyszli w morze z odpływem, późno w nocy. Mają dużą przewagę, a o ile wiem, w porcie nie ma statku, który mógłby doścignąć *Lady Sefę* lub tak daleko jak ona wypłynąć w morze.

- Nie możemy ich ścigać i jednocześnie wypełniać drugiego twojego zadania - odezwała się Siostra Verna.

Richard z irytacją poprawił plecak.

- Masz rację. Jeśli to istotnie one, to na razie się nam wymknęły, lecz wiem, dokąd zdążają. Później się nimi zajmiemy. Przynajmniej Pałac Proroków jest teraz bezpieczny. Najpierw ważniejsze sprawy. Bierzmy konie i w drogę.

ROZDZIAŁ 67

Kahlan biegła mrocznymi kamiennymi korytarzami i podobnymi do grobów pomieszczeniami. Pierwsze promienie słońca rzucały złote plamki na chropowatą, cimnoszarą granitową ścianę naprzeciw okien. Dziewczyna wbiegła po wschodnich schodach. Serce łomotało jej z wysiłku. Nie zatrzymała się ani na chwilę od momentu, kiedy Jebra powiedziała, że dostrzegła światło w Wieży Czarodzieja. Zedd wrócił.

Kahlan pamiętała, jak się biegało z długimi włosami. Ich ciężar, to jak płynęły za nią falą. Teraz tego nie czuła. Ale nie miało to znaczenia - tak się cieszyła z powrotu Zedda. Tak długo na niego czekała. Biegła i wołała jego imię.

Wpadła do zagraconej czytelnicy i zatrzymała się, zasapana. Zedd stał za stołem zawalonym księgami i papierami, zupełnie tak jak parę miesięcy temu, kiedy ostatni raz widziała ów stół. Świece dawały ciepłe, miłe światło. Czytelnia miała tylko jedno okno wychodzące na nieustannie mroczne zachodnie niebo.

Wysoki mężczyzna z krzaczastymi brwiami, niemal siwymi włosami i ogorzałą, pooraną zmarszczkami twarzą, podniósł oczy znad laseczki, której się przyglądał. Adie siedziała na stojącym z boku krześle, obróciła głowę w stronę, z której dochodziły dźwięki. Zedd, ze zdziwioną miną, przechylił głowę na bok.

- Zedd! - Kahlan chciwie chwytając powietrze. - O, Zeddzie, jak dobrze, że jesteś.

- Zedd? - Spojrzył na wysokiego mężczyznę. - Zedd? - Tamten potaknął. - Ale ja wolę Rubena.

- Potrzebna mi twoja pomoc, Zeddzie!

- Kto tu jest? - odezwała się Adie, nie wstając.

- Adie, to ja, Kahlan.

- Kahlan? - Odwróciła głowę ku Zeddowi. - Kto to jest Kahlan? Zedd wzruszył ramionami.

- Ładna krótkowłosa dziewczuszka. Wygląda na to, iż nas zna.

- O czym wy mówicie? Potrzebuję pomocy, Zeddzie! Richard jest w tarapatkach! Jesteś mi potrzebny!

Zedd z zakłopotaniem ściągnął brwi.

- Richard. Znam to imię. Myślę... Kahlan się wściekła.

- Co jest, Zeddzie!? Nie poznajesz mnie? Potrzebuję twojej pomocy, Zeddzie. Richard cię potrzebuje.

- Richard... - Tarł gładki policzek i patrzył w zamyśleniu na stół. - Richard...

- Twój wnuk! O dobre duchy, czyżbyś nie znał własnego wnuka!? Wpatrywał się w stół i namyślał.

- Wnuk... chyba pamiętam... nie, nie pamiętam.

- Zeddzie! Słuchaj, co mówię! Zabrały go Siostry Światła! Zabrały go ze sobą!

Kahlan stała w milczeniu i łapała oddech. Orzechowe oczy Zedda uniosły się wolniutko i spojrzały w jej oczy. Z twarzy zniknęło zdumienie, brwi ściągnęły się nad płonącymi gniewem oczami.

- Siostry Światła mają Richarda?

Kahlan widywała rozzłoszczonych czarodziejów, lecz nigdy nie widziała w ich oczach tego, co płonęło teraz we wzroku Zedda.

- Tak - powiedziała. Otarła spocone dłonie o biodra i patrzyła na szczelinę przecinającą kamienną ścianę za plecami czarodzieja. - Zjawiły się i zabrały go.

Zedd wsparł się o stół i pochylił ku niej.

- To niemożliwe. Nie mogły go zabrać, chyba że założyły mu na szyję jedną z tych przeklętych obroży. Richard sam nie założyłby sobie obroży.

Pod Kahlan zaczęły się uginać kolana.

- Założył.

Zdawało się, że od gniewu Zedda zapłonie powietrze.

- A czemużby miał sobie założyć obrożę, Spowiedniczko?

- Bo - odpowiedziała słabym głosem - ja go do tego skłoniłam. Stojące w pobliżu Zedda świece stopiły się nagle, воск spłynął na podłogę w dymiących kałużach. Żelazne ramiona świeczników opadły jak wołające o wodę rośliny. Wysoki mężczyzna cofnął się ku ścianie półek.

- Co zrobiłaś, Spowiedniczko? - wysyczał groźnie Zedd. Cisza aż dzwoniła w komnacie. Kahlan się trzęsła.

- On nie chciał. Namówiłam go. Powiedziałam, żeby ją założył, jeśli naprawdę mnie kocha.

Kahlan miała wrażenie, że uderzyła w mur. Nie pojmowała, dlaczego leży na podłodze. Uniosła się na drżących rękach. Zachłysnęła się oddechem, bo nagle poderwało ją na nogi i znów rzuciło o ścianę.

Zedd stał przed nią, oczy miał dzikie z wściekłości.

- Zrobiłaś to Richardowi!

Kahlan wirowało w głowie. Miała uczucie, iż jej własny głos dobiega z oddali.

- Nie rozumiesz. Musiałam. Potrzebuję twojej pomocy, Zeddzie. Richard kazał mi cię odnaleźć i powiedzieć, co uczyniłam. Pomóż mu, Zeddzie, błagam.

Rozwścieczony Zedd uderzył ją w twarz. Upadła, pokaleczyła rękę o kamienną posadzkę. Poderwał ją na nogi i znów przygwoździł do ściany.

- Nie mogę mu pomóc! Nikt nie może! Ty idiotko!

- Dlaczego? - Łzy płynęły po twarzy Kahlan. - Musimy mu pomóc, Zeddzie!

Zasłoniła twarz rękami, bo znów się zamachnął. Nic jej to nie pomogło. Głowa dziewczyny ponownie uderzyła o ścianę. Komnata zawirowała. Kahlan się trzęsła. Jeszcze nigdy nie widziała czarodzieja nie panującego nad swoim gniewem. Pojęła, że chce ją zabić za to, co zrobiła Richardowi.

- Ty idiotko. Perfidna idiotko. Teraz nikt nie może mu pomóc.

- Błagam cię, Zeddzie. Ty potrafisz. Pomóż mu, błagam.

- Nawet ja nie mogę. Nikt się do niego nie dostanie. Nie przejdę wśród baszt. Richard jest dla nas stracony. Stracone jest wszystko, co miałem.

- Jak to, stracony dla nas? - Drżącymi palcami otarła krew z kącików ust; łez nie ocierała. - Wróci. Musi wrócić.

Zedd wbił wzrok w jej oczy i z wolna potrząsnął głową.

- Nie za naszego życia. Pałac Proroków jest obłożony zaklęciem czasu. Będą szkolić Richarda przez ponad trzysta lat. Już nigdy go nie ujrzymy. Jest stracony dla naszego świata.

Kahlan potrząsnęła głową.

- Nie. O dobre duchy, nie. To niemożliwe. Zobaczymy go. To nie może być prawda!

- Prawda, Matko Spowiedniczko. To ty pozbawiłaś go wszelkiej pomocy. Już nigdy nie zobaczę mojego wnuka. Ty też nigdy go nie ujrzysz. Richard nie wróci do tego świata przez trzysta lat. Z twojej winy. Ponieważ skłoniłaś

go, by założył obrożę na dowód, że cię kocha.

Odwrócił się do niej tyłem. Kahlan osunęła się na kolana.

- Niiieeee! - Biła pięściami w posadzkę. - Czemuście mi to uczyniły, o dobre duchy! - szlochała spazmatycznie. - Richardzie, o mój Richardzie.

- Co się stało z twoimi włosami, Matko Spowiedniczko? - spytał wrogo Zedd, wciąż odwrócony od niej.

Kahlan przysiadła na piętach. A jakie to miało teraz znaczenie?

- Rada uznała, że jestem winna zdrady. Skazano mnie na ścięcie. Utną mi głowę. Kiedy ogłaszano wyrok, wszyscy krzyczeli z radości. Wszyscy chcą zobaczyć moją egzekucję. Ale uciekłam.

Zedd skinął potakująco głową.

- Spełni się życzenie ludu. - Złapał ją za resztki włosów i zaczął wywlekać z komnaty. - Powinnaś zostać ścięta za to, co uczyniłaś.

- Zeddzie! - krzyczała Kahlan. - Zeddzie! Nie rób tego, błagam! Posłużył się magią i włókł dziewczynę holem jak worek pierza.

- Jutro, w zimowe przesilenie, wypełni się wola ludu. Wszyscy ujrzą spadającą głowę Spowiedniczki. Zadbam o to jako Pierwszy Czarodziej. Zobaczą twoją egzekucję.

Kahlan zwiotczała. No i co z tego? Opuściły ją dobre duchy. Zabrały jej wszystko, co było dla niej ważne.

Co gorsza, sama skazała Richarda na trzysta lat tego, czego się najbardziej obawiała.

Pragnęła umrzeć. Śmierć i tak ociągała się z przyjściem.

Richard stał, wsparty pod boki, i obserwował ciemne chmury uroków w Dolinie Zaginionych. Pięknie wyglądały o wschodzie słońca, ozłoczone na brzegach i rozjaśnione snopami lśniących promieni. Wiedział jednak, że były śmiertelnie niebezpieczne.

Du Chaillu czule dotknęła ramienia chłopaka.

- Jestem dziś dumna z mojego męża. Przywraca nam nasze ziemie, jak to przepowiedziały dawne słowa.

- Tłumaczyłem ci to już ze dwanaście razy, Du Chaillu: nie jestem twoim mężem. Źle zrozumiałaś stare słowa. One mówią jedynie, iż musimy to zrobić razem. I jeszcze tego nie uczyniliśmy. Chciałem, żebyś przyszła tu ze mną sama. Nawet nie wiem, czy to poskutkuje. Możemy zginąć.

Uspokajająco poklepała go po ramieniu.

- Zjawił się *Caharin*. On może wszystko. Odda nam nasze ziemie. - Zostawiła go jego myślom i zawróciła ku obozowi. - Nasz lud powinien być z nami. Ma do tego prawo. - Zatrzymała się i odwróciła. - Wkrótce ruszymy, *Caharin*?

- Wkrótce - odpowiedział z roztargnieniem Richard. Znow poszła ku obozowi.

- Kiedy będziesz gotowy, znajdziesz mnie wśród naszych ludzi. Za nimi obozowali wszyscy Baka Ban Mana. Wzgórza pokrywały setki namiotów jak grzyby, które wyrosły po miesiącu deszczu. Richard nie zdołał ich przekonać, by zostali i czekali, więc wszyscy się tu znaleźli.

Chłopak westchnął. Jaka to w końcu różnica? Jeśli się myli i to się nie uda, to nie ma powodu martwić się, że rozczarował Baka Ban Mana. Będzie martwy.

Pojawili się Warren i Siostra Verna.

- Możemy z tobą porozmawiać, Richardzie? - spytał Warren. Chłopak nadal wpatrywał się w kłębiące się chmury.

- Jasne. Warrenie. - Zerknął do tyłu. - Co cię martwi?

Warren wsunął dłoń w przeciwległe rękawy szaty. Richard pomyślał, że w tej pozie wygląda jak najprawdziwszy czarodziej. Jeszcze trochę i stanie się uosobieniem tego, jaki powinien być według Richarda czarodziej - mądry, współczujący imający wiedzę, o której Richard mógł jedynie marzyć. Na pewno stanie się ucieleśnieniem owego ideału, jeśli wcześniej nie umrą.

- Rozmawialiśmy sobie z Siostrą Verną o tym, co będzie, kiedy przedostaniesz się przez dolinę. Wiem, Richardzie, co zamierzasz zrobić, ale mamy coraz mniej czasu. Właściwie w ogóle go nie mamy. Jutro zimowe przesilenie. To się nie uda.

- Jeśli nie wiesz, jak coś zrobić, to wcale nie oznacza, że to nie może być wykonane.

- Nie rozumiem.

- Zrozumiesz. - Richard uśmiechnął się do nich. - Zrozumiecie za parę godzin.

Warren spojrzał ku dolinie. Bezwiednie potarł nos.

- Skoro tak mówisz, Richardzie.

Siostra Verna myślała. Chłopak nie mógł się przyzwycząić, że się z nim nie sprzecza, kiedy on wykręca się od udzielenia jasnej odpowiedzi. Nie był

wcale pewny, czy naprawdę nie chciała się spierać.

- A co z tym prorocstwem, Warrenie, tym o bramie i zimowym przesileniu? Jesteś pewny, że chodzi o to zimowe przesilenie? - Warren potaknął. - I czy agent, otwarta szkatuła Ordenu oraz kość skryna wystarczą, by otworzyć bramę, rozedrzeć zasłonę?

Gorący wiatr zmierzwił Warrenowi włosy.

- Tak... lecz powiedziałeś, że Rahl Posępny nie żyje. Więc nie ma agenta. Brzmiało to bardziej jak pełne troski pytanie niż stwierdzenie faktu.

- Czy agent musi być żywy? - zapytała Siostra Verna. Warren przeniósł ciężar ciała na drugą stopę.

- Hmm, chyba nie. Gdyby przywołano go na nasz świat, chociaż nie wiem, w jaki sposób, to mogłoby wystarczyć.

Richard westchnął z irytacją.

- I ten agent-duch mógłby zrobić to samo co żywy? Warren stał się podejrzliwy.

- I tak, i nie. Byłby potrzebny jeszcze jeden element. Duch nie może wykonywać fizycznych czynności. Musiałby mieć pomocnika.

- Chodzi ci o to, że duch nie mógłby wykonać pewnych zadań i byłyby mu potrzebne ręce, mogące pracować na tym świecie?

- Tak. Duch, wspomagany przez pomocnika, mógłby uczynić, co trzeba. Lecz jak można by przywołać agenta na nasz świat? Nie widzę sposobu.

- Lepiej mu powiedz. - Siostra Verna odwróciła wzrok.

Richard podciągnął koszulę i pokazał Warrenowi bliznę.

- Rahl Posępny wypalił mi ślad swojej dłoni, kiedy mimowolnie go przywołałem. Powiedział, że zjawił się po to, by rozedrzeć zasłonę.

Warren szeroko otworzył oczy. Spojrzał z troską na Siostrę Verne i znów na Richarda.

- Jeżeli Rahl Posępny jest agentem, jak mówiłeś, i ma kogoś do pomocy, to ocaliliby nas tylko jeden element: musiałoby mu brakować kości skryna. Powinniśmy się tego dowiedzieć.

Richard zsunął z ramion pelerynę mriswitha.

- Pomożesz mi, Sostro Verno?

- Co mam zrobić?

- Kiedy pierwszy raz powiedziałaś mi, żebym spróbował dotknąć mojej Han, postanowiłem skoncentrować się na obrazie Miecza Prawdy. Za

pierwszym razem wyobraziłem go sobie na pewnym tle. Jak w tej magicznej księdze, o której ci mówiłem. Księdze Opisania Mroków. I kiedy próbowałem dotknąć Han, wyobrażając sobie miecz na owym tle, coś się wydarzyło. Znalazłem się w D'Harze, w Pałacu Ludu, tam gdzie są szkatuły. Widziałem Rahla Posępnego. On też mnie widział i odezwał się do mnie. Powiedział, że na mnie czekał.

Siostra Verna uniosła brwi.

- Czy to się powtórzyło?

- Nie. Strasznie się przeraziłem i już nigdy nie wyobrażałem sobie miecza na tamtym tle. Sądzę, że gdybym to teraz powtórzył, zobaczyłbym, co się tam dzieje.

Verna splotła przed sobą ręce.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam, ale może ma to coś wspólnego z magią Ordenu. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy mnie zadziwiłeś. To może być coś realnego lub tylko coś w rodzaju snu.

- Muszę spróbować. Usiądziesz ze mną? Boję się, że mógłbym się nie wyrwać.

- Oczywiście, Richardzie. - Spoczęła na ziemi i wyciągnęła rękę. - Będę z tobą.

Chłopak usiadł i otulił się peleryną mriswitha, skrzyżował nogi.

- Ta peleryna ukrywa moją Han. Może sprawi, że tym razem Rahl mnie nie zobaczy.

Rozluźnił się, ujął dłonie Siostry Verny. Skoncentrował się na wyobrażeniu miecza na tle czarnego czworokąta z białym otokiem, tak jak za pierwszym razem. Kiedy starał się odnaleźć ośrodek spokoju, coś się zaczęło dziać.

Miecz, czarny czworokąt i biała ramka zaczęły drżeć niczym widziane poprzez fale żaru - tak jak za pierwszym razem. Miecz stawał się coraz bardziej przejrzysty, wreszcie zniknął. Tło się rozwiało. Richard znów patrzył na Ogród Życia w Pałacu Ludu. Przeszukiwał wzrokiem zamglony obraz - białe kości leżały tam, gdzie przedtem widział ciała. Pamiętał, że spoczywały na niskich murkach, w krzakach i na trawniku. Było tak, jak zapamiętał, lecz teraz pozostały głównie nagie kości.

Chłopak widział białą, roziskrzoną postać Rahla Posępnego. Rahl nie stał teraz przy kamiennym ołtarzu, przed trzema szkatułami Ordenu. Znajdował

się koło wysypanego białym piaskiem kręgu. Poprzednim razem piasku nie było.

U stóp Rahla Posepnego klęczała kobieta w długiej brązowej spódnicy. Pochylała się nad piaszczystym kręgiem. Richard zbliżył się do nich. Kobieta rysowała w migotliwym piasku czarnoksiężnika. Chłopak przypomniał sobie niektóre z kreślonych symboli - Rahl wykonał je przed otwarciem szkatuła. Richard patrzył, jak ręka kobiety powoli, ostrożnie rysuje linie zakłęb. W prawej dłoni brakowało jej małego palca.

Pośrodku kręgu, pośrodku gładzi białego piasku leżał okrągły przedmiot. Richard przysunął się jeszcze bliżej. Ów przedmiot był pokryty rzeźbami bestii; tak jak go opisywała Ksieni.

Richard miał ochotę krzyczeć z furii.

Dokładnie w tym momencie Rahl Posepny uniósł głowę i spojrzał prosto w oczy chłopaka. Na jego usta z wolna wypełzał uśmieszek.

Richard nie wiedział, czy Rahl naprawdę nań patrzy, czy nie, ale nie miał ochoty się o tym przekonać. Z desperackim wysiłkiem przywołał obraz miecza, jakby zatrząskiwał drzwi, i jednocześnie odpędził biało-czarne tło.

Chłopak zachłysnął się powietrzem i zmusił do otwarcia oczu. Ciężko dyszał.

Siostra Verna również podniosła powieki.

- Nic ci nie jest Richardzie? To trwało godzinę. Poczułam, że chcesz wrócić, więc ci pomogłam. Co się stało? Co widziałeś?

- Godzinę? - Richard wciąż nie mógł uspokoić oddechu. - Widziałem Rahla Posepnego i kość skrina. Jest tam kobieta, która rysuje mu zakłęcia na piasku czarnoksiężnika.

Warren pochylił się nad ramieniem chłopaka.

- Może to jedynie koszmarna wizja, upostaciowienie strachu. Może to nie jest realne.

- Warren może mieć rację - odezwała się Siostra Verna; przygryzła dolną wargę i zamyśliła się. - Jak wyglądała tamta kobieta?

- Faliste, długie do ramion, kasztanowate włosy, figura podobna do twojej. Pochylała się nad piaskiem, więc nie widziałem jej oczu. - Myśląc, chłopak przycisnął palce do czoła. - Jej dłoń. W prawej dłoni brakowało małego palca.

Warren jęknął. Siostra Verna zamknęła oczy.

- Co? O co chodzi?

- Siostra Odette - powiedziała Verna. - To była Siostra Odette.

Warren przytaknął.

- Zniknęła prawie sześć miesięcy temu. Myślałem, że poszła po chłopca.

- Niech będą przeklęte duchy - szepnął do siebie Richard. Poderwał się na nogi. - Biegnij po Du Chaillu, Warrenie. Powiedz jej, że natychmiast ruszamy.

Chłopak aż zgrzytał zębami z gniewu. Łudził się, że ma tyle czasu, ile potrzebował. Cóż, jeśli się pospieszy, to zdąży.

Richard ciągnął za rękę Du Chaillu, która wyglądała jak w transie. On też był w swoim własnym świecie; w drugiej dłoni dzierzył Miecz Prawdy. Rozszalały gniew chłopaka dorównywał wściekłością czarnym chmurom. Magiczne uroki krążyły wokół nich jak psy dokoła jeżozwierz, gniewne i natarczywe, lecz trzymające się na dystans, a oni szukali luki.

Z mroków wynurzyły się świetlne wstęgi i zakotłowały wokół nich, po czym zniknęły w otaczającej Du Chaillu aurze. Absorbowała magię, tak jak o tym opowiadała Siostra Verna. Richard i Du Chaillu zespolili się, jak przepowiadały to stare księgi, o których mówił Warren. Utworzyli ogniwo mocy zdolnej zburzyć baszty.

Poprzez fale żaru i kłębiącą się mgłę Richard dostrzegł pierwszą z nich. Pociągnął Du Chaillu ku lśniącym czarnym ścianom, strzelającym w górę i mknącym w mroku. Biegli w stronę łukowatego przejścia, a kurz i pył wirowały wokół nich. Atakowały ich uroki, ale Du Chaillu wchłaniała ich błyski.

Richard działał instynktownie, nie mając pojęcia, co nim kierowało, i nie próbując tego powstrzymać. Jeżeli miało mu się udać, jeżeli miał ocalić Kahlan - musiał pozwolić, by prowadziło go owo „coś” w jego wnętrzu. Musiał założyć, że naprawdę ma dar, który nim pokieruje, co zapowiadał Nathan, i że dzięki temu postąpi, jak trzeba.

Stali pośrodku baszty, Du Chaillu zdawała się nie zauważać migotliwego czarnego piasku. Wydawała się zagubiona w swoim własnym uroku, w mocy przekazanej jej przez tych, którzy zbudowali baszty i odebrali ziemię jej ludowi. Jak dotąd wypełniała swoją rolę chronią Richarda. Teraz nadeszła kolej na niego.

Richard, powodowany impulsem, mocno ściskając dłoń Du Chaillu,

uniósł wysoko miecz i skierował go prosto w górę. Zatracił się w magicznej furii, pozwolił, by nim zawładnęła. Poczul jej żar w spokojnym centrum, którego zawsze szukał. Pozwolił, by gniew wypełnił pustkę.

Błyskawica strzeliła z klingi, wzniosła się w zalegający wysoko mrok i skakała od jednej ściany do drugiej, kąpiąc wszystko w płynnym świetle. Huk był ogłuszający.

Ogień buszował po czarnym kamieniu, aż cała wieża pałała, a kamień białiał w żarze jaskrawej błyskawicy.

Richard miał wrażenie, iż błyskawica przesywa i jego. Przepalała go swoją mocą i uchodziła przez miecz. Jedynie gniew pozwalał mu wytrzymać napór dzikiej, wydobywającej się z wnętrza siły.

Migotliwe smużki ognia spływały ze ścian, biegały po czarnym piasku, aż pokryły wszystko dokoła. Czarny piasek zbiałał tak jak ściany, świat płonął pulsującym ogniem.

Nagle to się skończyło. Błyskawica zgasła, ogień zniknął, ryk ucichł i cisza aż dzwoniła w uszach. Lśniące czarne ściany baszty stały się oślepiająco białe.

Du Chaillu w dalszym ciągu nie zauważała tego, co działo się wokół, i Richard pociągnął ją za sobą. Musieli dokończyć zadanie, do którego oboje się narodzili.

Kiedy chłopak uniósł miecz w białej baszcie, spodziewał się ponownego błysku światła i żaru, lecz nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego eksplodowało przeciwieństwo, równoważnik poprzedniej mocy.

Wstrząs rozdarł powietrze, o mało nie odrywając mięśni od kości, czarna błyskawica strzeliła w górę; próżnia tnąca blask. I tak jak poprzednio Richard poczuł buchającą zeń moc, jakby wylewała się z niego dusza. Wężowata próżnia przeleciała po ścianach i grzmotem gromu wybiła pustkę w zalegających głowami ciemnościach.

Kiedy czarna błyskawica zniknęła w mrokach, cienie spłynęły po białych ścianach, które jakby ściekały w głębiny wiekuistej nocy. Ciemność sięgnęła gruntu i popłynęła ku nim, wsiąkając w biały piasek i zmieniając go w czarny.

Richard nawet nie pomyślał, żeby uciec przed zatapiającą ich nocą. Kiedy ich ogarnęła, miał wrażenie, że znalazł się w lodowatej wodzie. Du Chaillu, z zamkniętymi oczami, drżała pod jej dotknięciem. Richard też czuł ów chłód,

lecz furia magii miecza sprawiała, iż było to ledwo odczuwalne wrażenie podsycające gniew.

Zdawało się, że cały świat na zawsze zniknął w atramentowej czerni. Światło i możliwość widzenia zagubiły się w niepamięci.

Chłopak wyczuł, jak znika wijąca się czarna błyskawica, pustka w świecie żywych. Cisza zastąpiła nagle kakofonię. Słyszał swój ciężki oddech. Słyszał ciężki oddech Du Chaillu. Z zimnej pustki wyłoniło się światło, życie i ciepło.

Poprzez łukowate przejście w połyskujących czarnych ścianach, które niegdyś były białe, chłopak widział światło przebijające się poprzez rzednącą mgłę. Ziemia, przedtem spieczona i sucha, stała się zielona i soczysta. Richard oraz Du Chaillu, trzymając się za ręce, stali w łukowatym przejściu i patrzyli, jak unoszące się dym i mgła odsłaniają świat, którego nikt nie widział przez tysiące lat.

Wciąż trzymając się za ręce, wyszli w chłodne powietrze, w snopy słonecznego blasku; szli po gęstej trawie. Zniknęły burzowe chmury uroków, rozwiały się tworzone przez nie czarne chmury. Powietrze było czyste i świeże. Wokół wibrowało życie.

Cała dolina, aż po jasnoblękitną linię gór, była soczysta i zielona. Wśród wijących się strumieni rosły gaje. Łagodne wzniesienia lśniły różnymi odcieniami zieleni.

Richard zrozumiał, dlaczego Baka Ban Mana chcieli odzyskać swój kraj. To był ojczysty dom. Siedziba światła i nadziei, które przetrwały w ludzkich sercach setki mrocznych lat. To nie owa dolina do nich należała - to oni należeli do niej.

- Dokonałeś tego, *Caharin* - odezwała się Du Chaillu. - Przywróciłeś nam dom, wydobyłeś go z mgły.

W oddali Richard ujrzał ludzi od niepamiętnych czasów uwięzionych w urokach. Błądzili bez celu, zdezorientowani. Musiał znaleźć dwoje, których znał.

Nadjechali Warren i Siostra Verna, prowadząc chłopakowi konia. Jeszcze się nie zatrzymali, a Richard już siedział na Bonnie. Du Chaillu wyciągnęła rękę. Chciała z nim jechać. Niechętnie usadowił ją za sobą.

- To zdumiewające, Richardzie! - powiedział Warren. - Jak tego dokonałeś?

- Nie mam zielonego pojęcia, Warrenie. Miałem nadzieję, że ty mi to

wytłumaczysz.

Richard pogalopował w stronę, gdzie - jak zapamiętał - widział Chase'a i Rachel, gdy pierwszy raz był w dolinie. Warren i Siostra Verna ruszyli jego śladem. Wkrótce odnalazł ich siedzących na brzegu strumyka. Chase obejmował ramieniem Rachel, typową dlań wyrozumiałą minę zastąpiło zmieszanie.

Richard zeskoczył z Bonnie.

- Chase! Nic ci nie jest?

- Richard? Co się dzieje? Gdzie jesteśmy? Szliśmy do ciebie. Nie możesz iść... - Rozejrzał się wokół. - Nie możesz wejść do doliny. Zedd cię potrzebuje. Zasnęła jest rozdarta.

- Wiem. - Richard podał wodze Siostrze Vernie i pospiesznie ich sobie przedstawił. - Moi przyjaciele wszystko ci wyjaśnią. - Przyklęknął przed Rachel. Na jej szyjce wisiał ciemny, bursztynowy Kamień Łez, dokładnie taki, jakim go zapamiętał. - W porządku, Rachel? Jak się czujesz?

Zamrugęła.

- Byłam w bardzo miłym miejscu, Richardzie.

- Tutaj też jest przyjemnie. Teraz już nic ci nie grozi. Czy to Zedd dał ci ten kamień, Rachel?

Potaknęła.

- Powiedział, że może ci się przydać i żebym go dla ciebie przechowała, dopóki po niego nie przyjdiesz.

- Właśnie przyszedłem, Rachel. Czy mogę go wziąć?

Dziewczynka uśmiechnęła się i zdjęła łańcuszek przez głowę. Richard rozpiął zameczek i zsunął Kamień Łez. Trzymał go w dłoni, czuł jego ciepło i obecność Zedda.

Łańcuszek był za krótki dla chłopaka. Oddał go Rachel, mówiąc, że na jej szyjce ładniej wygląda, umocował kamień na rzemyku. Zawiesił Kamień Łez na szyi, obok Agiela i zęba smoczycy. Kątem oka obserwował punkt na niebie, odległy, lecz rosnący.

- Richardzie - odezwał się Warren - teraz, kiedy zobaczyłem, co zrobiłeś z basztami, nie wątpię, że dokonasz tego, co zapowiedziałeś. Jednak nie ma czasu, byś dotarł tam, dokąd powinieneś. Jeżeli tam dotrzesz, jutro skończy się świat. Co zamierzasz zrobić?

- Dokąd się udajemy, mężu? - spytała Du Chaillu.

- Nigdzie, Du Chaillu. Ty zostajesz tutaj, z twoim ludem.

- Mężu? - zapytał Chase, z wolna się chmurząc.

- Nie jestem jej mężem. Wbiła sobie tę głupotę do głowy. Richard obserwował powiększający się wysoko na niebie szkarłatny kształt. - Nie mam czasu na wyjaśnienia. Siostra Verna i Warren opowiedzą ci o tym.

Siostra Verna przybrała podejrzliwą minę i postąpiła krok ku chłopakowi.

- Co zamierzasz zrobić? Warren ma rację: nie zdążysz.

Rozpostarły się czerwone skrzydła i smoczyca zanurkowała. Richard zdjął z Bonnie swój plecak, zarzucił go sobie na ramiona. Uścisnął na pożegnanie końską szyję. Zawiesił na ramieniu kołczan i łuk. Kątem oka patrzył, jak smoczyca pikuje ku ziemi.

- Zdążę. Muszę cię teraz opuścić, Siostro.

- Opuścić? Jak?

Smoczyca wyrównała lot. Wyciągnęła szyję. Z nieprawdopodobną szybkością pędziła ku nim tuż nad ziemią.

- Tylko w jeden sposób dotrę na czas do celu. Muszę polecieć.

- Polecieć! - wykrzyknęli chórem Verna i Warren.

Scarlet nadleciała majestatycznie, rycząc przy okazji. Warren, Verna i Du Chaillu widzieli ją po raz pierwszy. Olbrzymie skrzydła hamowały pęd smoczycy.

Nagły poryw wiatru szarpnął ich ubraniami. Trawa rozpląszczyła się na ziemi. Warren, Siostra Verna i Du Chaillu, zadziwieni, cofnęli się. Bijące skrzydła wyhamowały rozpęd i smoczyca osiadła na ziemi.

- Richardzie! - oznajmiła Siostra Verna, potrząsając głową - masz najosobliwsze zwierzątko, jakie w życiu widziałam.

- Czerwone smoki ni są niczymi zwierzątkami, Siostro. Scarlet jest moją najdroższą przyjaciółką.

- Jak dobrze znów cię widzieć, Richardzie! Podejrzewam, że ponownie jesteś w tarapatach, skoro przywołałeś mnie za pomocą zęba. W tarapatach, jak zwykle.

- Istotnie, przyjaciółko. - Richard poklepał lśniąca czerwoną łuskę. - Tęskniłem za tobą, Scarlet.

- Cóż, właśnie się posiliłam. Muszę cię zabrać na podniebną przejażdżkę, żeby nabrać apetytu. A potem cię zjem.

Richard się roześmiał.

- A gdzie twoje małe? Zastrzygła uszami.

- Poluje. Gregory nie jest już mały. Tęskni za tobą i chętnie cię ujrzy.

- I ja chętnie zobaczyłbym Gregory'ego. Teraz jednak ogromnie się spieszę. Mam coraz mniej czasu.

- Richardzie! - Du Chaillu podbiegła doń. - I ja muszę polecieć! Muszę iść tam, dokąd idzie mój mąż!

Scarlet opuściła łeb, łypnęła na Richarda. Pochylił się do jej ucha i szepnął:

- Malutki ogienek, Scarlet. Tak dla efektu. Nie zrób jej nic złego. Du Chaillu odskoczyła z wrzaskiem, kiedy jęzor ognia osmalił trawę u jej stóp.

- Twój lud odzyskał ziemię, Du Chaillu. Musisz z nim zostać. Jesteś jego duchową przewodniczką, potrzebuje cię. Potrzebuje twoich wskazówek. Chciałbym cię o coś prosić: strzeż baszt wznoszących się w twoim kraju. Nie wiem, czy mogą wyrządzić jakąś krzywdę, lecz jako *Caharin* rozkazuję, by już nigdy nikt nie wszedł do ich wnętrza. Strzeż ich i nie pozwalaj nikomu wchodzić. Żyj w pokoju z innymi, którzy będą żyć w pokoju z wami, ale nadal ćwiczcie mieczami, byście w razie potrzeby mogli się bronić.

Du Chaillu wyprostowała się dumnie. Wiatr rozwiewał jej gęste czarne włosy, kołysał paseczkami tkaniny na szacie modlitewnej.

- Jesteś mądry, *Caharin*. Zadbam, żeby było, jak kazałeś, zanim nie powrócisz do swojej żony i swego ludu.

- Czy wiesz, gdzie jest Kahlan, Richardzie? - zapytała z poważną miną Siostra Verna.

- W Aydindril. Powinna była tam pójść. Proroctwo ma się dopełnić przed jej ludem. Powinna być w Aydindril.

- Nadszedł czas wyboru, Richardzie. Dokąd się teraz udasz? Spojrzał w jej uporczywe oczy.

- Do D'Hary.

Przez chwilę patrzyła nań w milczeniu, w końcu gorąco uściskała. Pocałowała go w policzek.

- A potem?

Richard przeczesał palcami gęste włosy.

- Jakoś powstrzymam to, co się dzieje w D'Harze, i dostanę się do Aydindril, zanim nie będzie za późno. Zadbaj o wszystko, przyjaciółko.

Przytaknęła.

- Zajmiemy się z Warrenem ludźmi uwolnionymi z uroków. Trzeba nimi pokierować, Byłam Siostrą Światła przez niemal dwieście lat. Zawsze chciałam pomagać tym, którzy potrzebują pomocy. Ale ty otrzymałeś pomoc. Nie ma usprawiedliwienia dla tego, że zabrałam ciebie i innych. Spróbuję choć częściowo to naprawić.

Warren mocno uściskał Richarda.

- Dzięki, Richardzie. Za wszystko. Już się cieszę na kolejne spotkanie z tobą.

- Unikaj przygód. - Chłopak mrugnął do niego.

- Polecę z tobą - odezwał się Chase.

- Nie. - Richard otarł twarz dłonią. - Nie. Wracaj do domu, Chase. Zaprowadź Rachel do nowej mamy, do braci i sióstr. Emma pewno już choruje ze zmartwienia - Nie widziała cię całe wieki. Wracaj do domu, do żony i rodziny. I ja chcę szybko wrócić do domu. - Chłopak spojrzał na Siostrę Verne. - Musimy coś zrobić z owymi sześcioroma Siostrami. Żeglują ku Westlandowi. Westlandczycy nie mają żadnej ochrony przed magią. Te Siostry spadną na nich jak jastrzębie na kurczęta.

- Podróż zajmie im trochę czasu. Nie musisz się jeszcze nimi martwić, Richardzie.

- To dobrze. Kahlan chce, byśmy wzięli ślub u Błotnych Ludzi. Potem pewno zjawię się i poproszę o radę co do tej szóstki. Porozmawiaj z Nathanem i z Ann. Później razem zdecydujemy, co robić.

- Bądź ostrożny - powiedział Warren. Stał ze stoickim spokojem, chowając dłonie w przeciwległych rękawach szaty. - Uważaj nie tylko na siebie. Nie zapominaj, co ci mówiliśmy, Nathan i ja. Pamiętaj, że to, co zrobisz z Kamieniem Łez, może zagrozić wszystkim. Myślę, iż jeszcze nie nadszedł dla ciebie czas wyboru.

- Uczynię, co tylko się da.

Scarlet nachyliła się, żeby Richard mógł się wspiąć na jej grzbiet. Złapał czarno zakończone kostne wyrostki i podciągnął. Klepnął smoczycę w czerwona łuskę.

- Do D'Hary, przyjaciółko. Ponownie.

Scarlet zionęła ogniem, ryknęła i uniosła się w powietrze.

ROZDZIAŁ 68

W szarości przedświt Richard dostrzegł w oddali zieloną poświatę. Biła w górę z Pałacu Ludu, poprzez szklana kopułę Ogrodu Życia, jak wskazująca drogę latarnia. Taki odcień zieleni widział tylko w jednym miejscu. W zaświatach.

Skrzydła Scarlet były miarowo, lodowaty wichur szarpał odzieniem chłopaka. Smoczyca włożyła wiele wysiłku w lot do D'Hary. Rozumiała, jakie niebezpieczeństwo zagraża ze strony Opiekuna. Zaświaty pochłonęłyby i ją. No i nienawidziła Rahla Posępnego. Ukradł jej jajo i w ten sposób zmusił do niewolniczej uległości.

Zaczęła zniżać lot. Spojrzała na chłopaka, nastawiła ku niemu uszu.

- Będzie wystarczająco dużo czasu, Richardzie. Zdążymy do Aydindril. Dopiero świta.

- Wiem, że mnie tam zanieziesz, Scarlet. Postaram się, byś zbyt długo nie odpoczywała.

Scarlet skręciła w lewo, ostrzej schodziła w dół, na ten sam dziedziniec co przedtem. Było tam tyle miejsca, że wielka smoczyca mogła spokojnie wylądować. Pałac - gmatwanina dachów i murów - rósł z przerażającą szybkością. Richard miał uczucie, że zwiewa go z grzbietu Scarlet.

Oślepiający błysk światła strzelił nagle z mroków na dole. Pod powiekami Richarda zostały żółte pasma powidoku. Zanim zdążył się pozbierać, uderzyła kolejna błyskawica. Scarlet ryknęła z bólu i przechyliła się w lewo. Z mdłą szybkością wpadli w korkociąg. Chłopak trzymał się kurczowo kostnych wyrostków, a smoczyca starała się wyrównać lot.

W dole, na szerokich, wirujących mu przed oczami schodach, stała kobieta oświetlona tryskającą z jej dłoni błyskawicą. I znów Scarlet zaryczała z bólu. Błyskawica zgasła, a kobietę skrył mrok.

Smoczyca usiłowała zapanować nad opadaniem. Richard wiedział, że kolejny pocisk ją zgubi. Zdjął z pleców łuk, wyszarpnął strzałę z kołczana.

- Scarlet! Zioń ogniem, bym mógł zobaczyć!

Chłopak napiął cięciwę, a Scarlet ogień ryknęła z bólu i gniewu. W czerwonej poświacie ukazała się kobieta kolejny raz unosząca ramiona. Zanim Richard zdążył przywołać cel, zakos lotu usunął mu ją sprzed oczu.

- Uważaj, Scarlet!

Smoczyca cofnęła prawe skrzydło, skręcili w drugą stronę. Żółta błyskawica strzeliła z lewej, minęła ich. Ziemia szybko się zbliżała.

Scarlet ponownie zionęła ogniem i Richard dostrzegł, że kobieta po raz kolejny unosi ręce. Naciągnął cięciwę i tak się odwrócił, żeby jak przedtem, nie stracić jej z oczu. Przywołał cel, nim znów zniknęła. Wypuścił strzałę.

- Skręcaj!

Smoczyca poruszyła prawym skrzydłem. Wykonali zwrot, żółta błyskawica przemknęła pomiędzy szyją Scarlet a skrzydłem i niemal natychmiast zgasła.

Obok nich śmignęła smuga absolutnej czerni. Strzała trafiła w cel. Opiekun porwał Siostrę Odette.

Twardo uderzyli o ziemię. Richard spadł, potoczył się po dziedzińcu. Usiadł, potrząsnął głową i poderwał się na nogi.

- Scarlet! Ciężko się poraniłaś? Żyjesz?

- Idź - jęknęła smoczyca głębokim, wibrującym głosem. - Spiesz się. Dopadnij go, zanim nas wszystkich zgubi. - Rozprostowała drżące lewe skrzydło.

- Wróć. Trzymaj się. - Richard pogładził ją po pysku.

Dobyl miecza i pognął w górę schodów. Nie musiał przyzywać gniewu - wypełnił go, gdy tylko chłopak dotknął rękojeści miecza; jeszcze zanim jej dotknął. Ogarnięty odbierającą wzrok furia pędził ku drzwiom obramowanym potężnymi kolumnami.

Wbiegł do środka - z mroku wyłoniła się i zaatakowała go grupa żołnierzy. Richard, nie zatrzymując się, runął pomiędzy nich. Klinga Miecza Prawdy migiała w blasku płonących w rozległych westybulach pochodni. Chłopak tańczył z duchami. Miecz z płynną gracją siekał żołnierzy. Pierwszego przeciął na pół wraz z napierśnikiem. Kontrował każdy atak. Moment i piętnastu wojowników leżało we krwi na posadzce, a Richard pędził dalej.

Tak go przywitali. Pamiętał, jak d'haranska armia przysięgała mu wierność, gdy był tu poprzednio, wówczas kiedy zabił Rahla Posepnego. Może go po prostu nie poznali. A może dokładnie wiedzieli, kim był.

Chłopak skręcił w hol wiodący ku Ogrodowi Życia. Hol otaczały trzy poziomy balkony. Większość pochodni zgasła. Richard przebiegł skwer

modlitewny, na którym kręgi białego piasku otaczały dziobaty głaz. Nikogo tu nie było.

Z bocznej klatki schodowej wyskoczyło sześć Mord-Sith i pobiegło ku niemu. Każda w czerwonym skórzanym stroju, każda z Agielem w dłoni. Pomimo gniewu pojął, że nie może użyć przeciwko nim miecza, bo spętają go magią. Wściekł się. Musiał się dostać do Rahla Posępnego. Nie chciał mieć do czynienia z tymi śmiertelnie groźnymi kobietami. Richard niechętnie wsunął miecz do pochwy i dobył noża. Denna powiedziała mu kiedyś, że byłby ją wtedy zabił, gdyby użył noża, a nie miecza. Nie zdoła ich wyminąć - musi je zabić. Ruszył ku najwyższej, biegnącej na przedzie blondynce. Wyciągnęła rękę.

- Nie, lordzie Rahlu!

Cała piątka zatrzymała się za nią. Richard ciął blondynkę, ale się uchyliła; nie atakowała.

- Przestań, lordzie Rahlu! Jesteśmy tu, żeby ci pomóc!

Chłopak co prawda schował miecz, ale to w niczym nie umniejszyło jego gniewu. Jeśli chce ocalić Kahlan, to musi dotrzeć do Rahla Posępnego.

- Pomożecie mi w zaświatach! Wkrótce się tam znajdziecie!

- Nie, lordzie Rahlu! Jestem Cara. Chcemy ci pomóc. Nie możesz tędy iść. Tu nie jest bezpiecznie.

Richard stał z nożem w garści i ciężko dyszał.

- Nie wierzę wam. Zamierzacie mnie pojmać. Dobrze wiem, co Mord-Sith robią swoim więźniom.

- Znałam Denne, twoją panią. Nosisz jej Agiela. Mord-Sith już nie torturują swoich więźniów. Wyzwoliłeś nas. Nigdy nie wyrządzimy krzywdy temu, który nas wyzwolił. Wielbimy cię.

- Zanim stąd odszedłem, kazałem żołnierzom spalić te stroje i zabrać warn Agiele. Skoro mnie wielbicie, to dlaczego nie posłuchałyście moich rozkazów?

Cara uśmiechnęła się szelmowsko. Znacząco uniosła brew nad chłodnym niebieskim okiem.

- Bo nie możesz nas uwolnić po to, by skazać na życie według twego pomysłu. Mamy wolny wybór. Sam nam to umożliwiłeś. Wybrałyśmy walkę w obronie naszego lorda Rahla. Przysięgłyśmy, iż w razie potrzeby oddamy za ciebie życie. Nie tylko żołnierze z Pierwszej Kompanii mogą cię chronić.

Postanowiłyśmy być twoją strażą przyboczną. Nawet Pierwsza Kompania nie ośmieliła się nam sprzeciwić. Jedynie lord Rahl może nam rozkazywać.

- Rozkazuję zatem, żebyście sobie poszły!

- Przykro mi, lordzie Rahlu, lecz nie możemy wykonać tego rozkazu. Richard już sam nie wiedział, w co wierzyć. To mogła być pułapka.

- Chce przeszkodzić Rahlowi Posepnemu. Muszę się dostać do Ogrodu Życia. Zabiję was, jeśli nie zejdzicie mi z drogi.

- Wiemy, dokąd idziesz - powiedziała Cara. - Zaprowadzimy cię tam, ale nie tędy. Nie kontrolujemy całego pałacu. Ta droga nie jest bezpieczna. Cała ta część pałacu jest w rękach buntowników. Pierwsza Kompania straciłaby z tysiąc ludzi, żeby tu dotrzeć. Powiedziałyśmy im, że my pójdziemy, że to będzie dla ciebie mniej ryzykowne. Tylko dlatego się zgodzili.

Chłopak zaczął omijać Mord-Sith.

- Nie wierzę wam i nie mam ochoty narażać się na to, co zrobiłybyście mi, gdybyście mnie okłamywały. To zbyt ważna sprawa. Zabiję was, jeżeli spróbujecie mnie zatrzymać.

- Umrzesz, jeśli tędy pójdziesz, lordzie Rahlu. Pozwól mi, proszę, przekazać na ucho sekretną wiadomość. - Cara podała Agiela stojącej za nią kobiecie. - Nie mam broni. Możesz we mnie celować nożem.

Richard złapał ją za włosy i przyłożył jej do szyi ostrze noża. Podetnie jej gardło, jeśli ośmieli się choć drgnąć. Cara zbliżyła usta do jego ucha.

- Jesteśmy tu po to, żeby ci pomóc, lordzie Rahlu - wyszeptała. To... najprawdziwsza prawda. Prawdziwa jak szczerze złoto.

Richard zeszywniał.

- Gdzieżeś to słyszała?

- Wiesz, co to znaczy? Naczelnym dowódcą Trimack powiedział, iż to zakodowana wiadomość od Pierwszego Czarodzieja Zorandera i że uwierzysz, iż jesteśmy wobec ciebie lojalne. Powiedział, że mam to przekazać jedynie tobie.

- Kim jest generał Trimack?

- To naczelnym dowódcą Pierwszej Kompanii Gwardii Pałacowej. Są ci wierni. Pierwsza Kompania tworzy wokół lorda Rahl'a stalowy pierścień. Czarodziej Zorander powiedział generałowi Trimackowi, żeby za wszelką cenę strzegł Ogrodu Życia. Dwa dni temu zjawiała się ta magiczna kobieta. Zabiła prawie trzystu naszych żołnierzy, by dostać się do Ogrodu Życia.

Staraliśmy się jej przeszkodzić, lecz się nam nie udało. Nie mamy mocy przeciwko jej magii. Tego wieczoru zgładziła niemal setkę naszych, żeby się wydostać. Poszliśmy za nią i obserwowaliśmy z okna na trzecim poziomie. Widziałyśmy, jak słała błyskawice, chcąc strącić z nieba twojego smoka. Widziałyśmy, jak ją zabiłeś. Tylko prawdziwy lord Rahl mógł tego dokonać. W Ogrodzie Życia dzieją się straszliwe rzeczy, lordzie Rahlu. Pozwól się tam zaprowadzić, byś mógł powstrzymać złego ducha.

Richard nie miał czasu do stracenia. Mogły to usłyszeć jedynie od kogoś, komu przekazał to Zedd. Musiał im zaufać.

- No to w drogę. Bardzo się spieszę.

Wszystkie sześć się uśmiechnęło. Cara odebrała swojego Agiela, złapała Richarda za ramię. Druga Mord-Sith chwyciła drugie ramię chłopaka. Ruszyły biegiem, ciągnąc go za sobą. Cara szepnęła, żeby był zupełnie cicho. Pozostała czwórka rozsypała się przed nimi w wachlarz, badając drogę.

Włokły go cicho i szybko przez małe boczne korytarze oraz ciemne pomieszczenia. Zwiadowczynie bezszelestnie wspięły się wąskimi schodami dla służby, a Cera i ta druga przycisnęły Richarda do ściany i położyły palce na ustach, dając mu znak, by milczał. Czekwały, aż rozlegnie się krótki gwizd, i dopiero wtedy skoczyły w górę schodów, ciągnąc chłopaka za koszulę.

Na szczycie schodów Richard o mało co nie przewrócił się o ciało jednej z czterech Mord-Sith, które poszły jako pierwsze. Miecz rozciął jej twarz. Ośmiu odzianych w zbroje d'haranskich żołnierzy leżało w korytarzu. Byli poskręcani, krew ciekła im z uszu. Richard rozpoznał śmierć zadaną Agielem.

Jedna z odzianych na czerwono kobiet z końca korytarza dała im znak, że mogą iść. Cara powlokła chłopaka za narożnik, gdzie tamta kobieta wskazała w górę kolejnych schodów. Richard czuł się jak worek z praniem, gdy go tak włokły, przyduszały do ścian i wtłaczały w kąty, podczas gdy tamte trzy badały drogę. Ledwo mógł za nimi nadążyć, kiedy gnały korytarzami, trzymając go za koszulę na ramionach i ciągnąc za sobą. Przebiegali schody i niezliczone pomieszczenia. Richard już nie wiedział, gdzie właściwie są. Niektóre z owych pomieszczeń miały okna, więc zobaczył, że słońce już wschodziło.

Chłopakowi zupełnie brakowało tchu, gdy wreszcie rozpoznał szeroki korytarz, do którego weszli. Rozpoznawszy go, setki żołnierzy w kolczugach

i napierśnikach padły na kolana. Szczęk zbroi i oręza poniósł się echem przez rozległy westybul. Każdy zbrojny położył pięść na sercu. Gdy się podnieśli, jeden wystąpił naprzód.

- Jestem naczelnym dowódcą Trimack, lordzie Rahlu. Znajdujemy się w pobliżu Ogrodu Życia. Zaprowadzę cię tam.

- Wiem, gdzie to jest.

- Musisz się spieszyć, lordzie Rahlu. Zbuntowani generałowie przypuścili atak. Nie wiem, czy długo zdołamy utrzymać tę pozycję, lecz dopóki będziesz w środku, będziemy jej strzec do ostatniego żołnierza.

- Dziękuję, generale. Powstrzymujcie ich, dopóki nie wyślę tego drania Rahla Posępnego z powrotem do zaświatów.

Generał zasalutował, kładąc pięść na sercu, a Richard ruszył ku celowi. Pobiegł połyskującym granitowym westybulem, który pamiętał - Dotarł przed wielkie, pokryte złotem wrota wiodące do Ogrodu Życia.

Chłopak, pogrążony w wywołanym przez gniew transie, wpadł do środka. Słońce już wstało. Pierwsze promienie oświetlały wierzchołki rosnących tu drzew. Richard poszedł dróżką, minął niskie, obrośnięte pnączami murki, wszedł na trawę.

W centrum ogrodu było kolisko białego piasku - piasku czarnoksiężnika. Pośrodku tkwiła okrągła kość skrina; okrężały ją wyrysowane w piasku skomplikowane linie. Z tyłu znajdował się ołtarz ze szkatułami Ordenu - brama do innego świata. Każda z trzech szkatuł była ciemniejsza od czerni, miało się wrażenie, że wchłoną całe światło z ogrodu.

Z otwartej szkatuły wylewało się zielone światło, unosiło ku szklanej kopule i biło w niebo. Rahl Posępny otwierał bramę. Wokół zielonego promienia wiły się spiralnie roziskrzane błękitne, żółte i czerwone linie.

Biała, połyskująca postać Rahla Posępnego obserwowała idącego przez trawnik Richarda. Chłopak zatrzymał się naprzeciw niego, przed kręgiem piasku czarnoksiężnika. Na usta Rahla Posępnego wypłynął uśmiezek.

- Witaj, synu - zasyczał.

Richard poczuł, jak pali go odcisnięty na piersi ślad dłoni. Zignorował ból. Błyszczące oczy Rahla Posępnego przesunęły się na Kamień Łez, wiszący na szyi chłopaka. Potem wbiły się w oczy Richarda.

- Spłodziłem wielkiego czarodzieja. Chcielibyśmy, Richardzie, żebyś się do nas przyłączył.

Richard nic nie powiedział. Kipiał z gniewu, patrząc, jak Rahl Posępny coraz szerzej się uśmiecha. Przez gniewną furję, przez szalejącą magię szukał jądra spokoju.

- Damy ci to, Richardzie, czego nikt inny dać nie może. Czego nie może ofiarować nawet Stwórca. Jesteśmy więksi od Stwórcy. Chcielibyśmy, abys się do nas przyłączył.

- A cóż byście mi zaoferowali?

Rahl Posępny rozłożył jaśniejące ramiona.

- Nieśmiertelność.

Richard był zbyt wściekły, żeby się roześmiać.

- A kiedyż to uległeś złudzeniu, iż uwierzę we wszystko, co mi powiesz?

- To prawda, Richardzie - szepnął tamten. - Mamy moc pozwalającą to spełnić.

- To, że udało ci się omamić kłamstwami niektóre Siostry, nie znaczy wcale, że i ja uwierzę.

- Jesteśmy Opiekunem zaświatów. Kontrolujemy życie i śmierć. Mamy moc dać jedno lub drugie, zwłaszcza osobom mającym magiczny dar, twój dar. Możesz być panem świata żywych, którym mogłem zostać ja. Którym ja miałem zostać, zanim... się wtrąciłeś.

- Nie interesuje mnie to. Masz jeszcze coś do zaoferowania? Okrutny uśmiezek Rahla Posępnego stał się jeszcze szerszy.

- O, tak, mój synu - syknął. - O, tak.

Wyrzucił rękę w przód, nad biały piasek. Roziskrzone światło utworzyło klęczącą, pochyloną do przodu postać. Postać przybrała znajome rysy.

Kahlan.

Była w białej szacie Spowiedniczki; klęczała, pochylona do przodu. Włosy miała krótko obcięte, jak w tej wizji w baszcie. Przycisnęła policzek do pniaka, z zamkniętych oczu spłynęła łza. Wyszepiała jego imię i to, że go kocha. Serce Richarda biło gwałtownie.

- Smoczyca jest ranna, Richardzie. Nie może cię zanieść do Aydindril. Nie masz czasu, żeby tam dotrzeć. Możesz zrobić tylko jedno: przyjąć naszą pomoc.

- Co to znaczy „pomoc”? Kahl znów się uśmiechał.

- Mówiłem ci, iż mamy władzę nad życiem i nad śmiercią. Bez naszej pomocy zdarzy się to, co tu widzisz. Tego popołudnia, przed jej ludem.

Znów wyciągnął jaśniejącą rękę. Szerokie ostrze topora załśniło nad Kahlan. Topór opadł, uderzył w pniak, trysnęła krew. Richard zadrżał.

Potoczyła się głowa Kahlan. Spływała jasnoczerwona krew, wsiąkając w piasek, w białą szatę. Ciało osunęło się na bok.

- Neeee! - wrzasnął Richard, zaciskając pięści. - Neeee!

Rahl Posępny przesunął dłoń nad ciałem. Rozmyło się w iskrzący blask, zniknęło.

- Możemy powstrzymać rzeczywiste wydarzenie tak, jak teraz odpędziłem ową wizję. Jeżeli się do nas przyłączysz, możemy ofiarować nieśmiertelność nie tylko tobie, ale i jej.

Richard stał jak skamieniały. Dotarło doń, że to koniec, tym razem dotarło. Scarlet była ranna. Nie zanieś go do Aydindril. Dziś zimowe przesilenie. Dzisiaj Kahlan ma umrzeć, a on nie ma jak do niej dotrzeć. Oddychał chrapliwie.

Kończył się dla niego świat.

To właśnie mówiło proroctwo. Jeżeli przyjmie tę propozycję, jeżeli wybierze ocalenie Kahlan od śmierci, to świat skończy się dla wszystkich innych.

Richard pomyślał o Chasie, wiozącym Rachel do nowej mamy. O szczęściu, jakiego zaznałaby otoczona miłością dziewczynka. Pomyślał o własnym życiu przy rodzicach, o miłości, o szczęśliwych wspólnych czasach i o tych nie tak szczęśliwych, o tym, ile dłań znaczyły.

Pomyślał o chwilach spędzonych z Kahlan, o radości płynącej z miłości do dziewczyny i o wszystkich ludziach, którzy zaznali takiego szczęścia oraz zaznaliby go w przyszłości. Jeśli będzie jakaś przyszłość.

- Możecie kroczyć ręką w rękę, Richardzie. Zawsze.

Chłopak podniósł oczy znad białego piasku.

- Ręką w rękę, wśród popiołów śmierci. Zawsze.

Co uczyniłoby to z Kahlan, z jej miłością do niego, gdyby tak egoistycznie postąpił. Byłaby przerażona. Ile razy by nań spojrzała, tyle razy zobaczyłaby potwora. I tak już zawsze.

Na wieczność zyskałby jej odrazę, a nie miłość. Próbując ocalić Kahlan, zniszczyłby nie tylko wszystkich ludzi, lecz również jej serce.

To była zbyt wysoka cena, nawet dla jego miłości.

Skończyłoby się i jego życie, i jego miłość.

Richard kipiał wściekłością i jednocześnie był zupełnie spokojny. Wpatrywał się w jarzące się oczy złego.

- Zatrulbyś naszą miłość kroplą swojej nienawiści. Nawet nie wiesz, co to znaczy „miłość”.

Kipiący w chłopaku gniew zmienił się w rozszalałą burzę. Przynajmniej mu za to zapłacą. Zemści się.

Richard uniósł w zaciśniętej dłoni Kamień Łez. Rahl Posępny cofnął się chwiejnie.

- Zastanów się nad tym, co robisz, Richardzie.

- Zapłacisz mi za to.

Chłopak wyciągnął z kieszeni garść czarnego piasku i wysypał go na kolisko białego.

Rahl Posępny wyrzucił w górę rozpostarte ramiona.

- Ty głupcze! Nie!

Biały piasek wił się jak żywy, jak w męce. Wyrysowane symbole skręcały się, zwijając wokół siebie. Ziemia drżała. Poprzez trawiasty grunt rozbiegały się dymiące szczeliny.

Z migotliwego białego piasku strzeliła błyskawica i obiegła Ogród Życia. Ogród trząśnięty od ogłuszającego huk i błysku. Piasek czarnoksiężnika stopił się w sadzawkę błękitnego ognia. Powietrze drżało od wstrząsów.

- Nie! - Rahl Posępny potrząsnął uniesionymi w górę pięściami. Opuścił głowę. Zobaczył Richarda idącego ku niemu z Kamieniem Łez w dłoni i znieruchomiał. Uniósł dłoń w grożącym geście.

Richard przystanął, ból w bliźnie na piersi odebrał mu oddech. Cierpiał męki. W głębi siebie odnalazł stanowczość i pomimo udręki ruszył dalej. Każdy krok wzmagął ból. Jakby ciało odpadało od kości, w których gotował się szpik. Chłopak zdołał znieść cierpienie dzięki jądro spokoju w burzy gniewu.

Ściągnął przez głowę Kamień Łez. Trzymał w dłoniach rzemyk, a kamień kołysał się przed twarzą Rahla Posępnego. Rahl się cofnął.

- Będziesz to nosił w otchłaniach śmierci. Przez wieczność. - Richard podszedł bliżej. - Uklęknij.

Jaśniejąca postać osunęła się na kolana. Jarzące się oczy wpatrywały się w Kamień Łez. Richard opuścił rzemyk, kamień zawisł nad głową ducha ojca. Chłopak się zawahał.

Ponad głową Rahla Posępnego zobaczył ołtarz ze szkatułami. Z tej w środku, otwartej, kryjącej niewyobrażalne stwory, tryskało zielone światło.

Richard przypomniał sobie, co mówili mu Ann, Nathan i Warren. Rozedrze zasłonę, jeśli wykorzystasz kamień z egoistycznych pobudek, z nienawiści. Nade wszystko chciał odesłać Rahla Posępnego w otchłanie zaświatów, ukarać za to, co uczynił. Wówczas jednak osiągnąłby właśnie to, co, jak uznał, nie było warte żądanej ceny.

Poza tym sam to na siebie ściągnął. Nie szkodzi, że bezwiednie. Życie nie było uczciwe, ono po prostu istniało. Jeżeli przypadkiem nadepniesz na zmiję, to cię ukąsi. Intencje nie mają znaczenia.

- Sam się w to wpędziłem - wyszeptał Richard. - Muszę ponieść konsekwencje własnych czynów. Nie mogę dopuścić, żeby inni płacili za to, do czego doprowadziłem, celowo lub nie.

Znów zawiesił sobie na szyi Kamień Łez. Zaniepokojony Rahl Posępny podniósł się z klęczek.

- Nie wiesz, co mówisz... Richardzie... Ukarz mnie. Zawieś mi kamień na szyi. Zemścij się!

Richard odwrócił się nieco ku centrum Ogrodu Życia, wyciągnął rękę. Okrągła kość skrina przyleciała do jego ręki z sadzawki błękitnego ognia. Chłopaka chroniła jego moc.

Uniósł kość skrina wysoko w górę. Gniewny i spokojny, przywołał moc. Trysnęła z jego pięści.

Ku Rahlowi Posępnemu strzeliła żółta i gorąca błyskawica. Ku Rahlowi Posępnemu strzeliła czarna i zimna błyskawica. Splotły się ze sobą w uwolnionym gniewie skrina.

Przez ogród przesunęła się fala absolutnej ciemności, a kiedy ustąpiła, nie było ani błyskawic, ani Rahla Posępnego. Zimna kość skrina tkwiła w pięści Richarda.

Zielone światło, płynące ze szkatuły, pojaśniało, wypełniło ogród brzęczeniem. Richard zdjął z szyi Kamień Łez. Kamień szerniał mu w dłoni, rzemyk odpadł.

Chłopak wyrzucił przed siebie rękę. Kamień Łez poleciał w zielone światło, przez chwilę wirował w jego snopie. Spadał ku szkatule, światło bladło, kamień stawał się przezroczysty, aż zniknął. Snop zielonego światła zgasł, w ogrodzie zapanowała cisza.

Richard uniósł kość skrina - i znów strzeliła bliźniacza błyskawica, odbił się echem grzmot. Chłopaka opłynęło białe palące światło i lodowato zimna czerń. Kiedy to się skończyło i cisza ponownie zadzwoniła mu w uszach, trzy szkatuły leżały na ołtarzu.

Wszystkie były zamknięte.

Chłopak wiedział, że nikt ich ponownie nie otworzy bez księgi, a księga istniała jedynie w jego pamięci. Szkatuły Ordenu - a więc i brama - pozostaną już zawsze zamknięte.

Usłyszał metaliczny szcęk. Coś mu się otarło o szyję i spadło pod stopy. Spojrzał w dół - obroza, Rada'Han, leżała na ziemi. Odpadła z szyi. Uwolnił się od niej.

Ból również minął. Chłopak dotknął piersi. Blizna zniknęła.

Dokoła panowała cisza. Richard stał w oszołomieniu. Nie bardzo wiedział, co się właściwie wydarzyło. Nie miał pojęcia, jak tego dokonał.

Skończyło się.

Dla niego wszystko się skończyło.

Dziś umrze Kahlan.

Ruszył biegiem. Dzień nie dobiegł jeszcze końca.

Kiedy wyskoczył z Ogrodu Życia, otoczyło go pięć Mord-Sith. Biegł, nie zwracając na nie uwagi. W korytarzu czekał spocony i zakurzony generał Trimack oraz setki żołnierzy, równie wymęczonych jak on. Wielu z nich krwawiło z ran.

Wszyscy wojownicy - jak daleko sięgał wzrok Richarda w zadymionym korytarzu - padli na kolana ze szcękami zbroi i oręża, położyli pięści na sercu. Generał Trimack wstał. Zrobił trzy długie kroki ku chłopakowi i Cara na wszelki wypadek wysunęła się przed lorda Rahla.

- Zejdź mi z drogi, kobieto! Cara ani drgnęła.

- Nikt nie dotknie lorda Rahla.

- Chronię go tak samo jak...

- Uspokójcie się oboje.

Cara uspokoiła się i stanęła z boku. Generał Trimack złapał Richarda za ramiona.

- Dokonałeś tego, lordzie Rahlu. Zajęło to sporo czasu, ale się udało.

- Czego dokonałem? Jak to, dużo czasu? Trimack uniósł brwi.

- Byłeś tam przez większość dnia.

- Co??? - Richard na chwilę stracił oddech.

- Całymi godzinami zawzięcie odpieraliśmy ich ataki, lecz spychali nas. Na jednego z naszych przypadało dziesięciu, piętnastu tamtych. Potem zesłałeś błyskawicę. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Czarodziej Zorander powiedział mi, że pałac to potężny urok mocy, wyrysowany na ziemi płaskowyzu, żeby chronić lorda Rahla i dawać mu moc. Nigdy bym w to nie uwierzył, gdybym tego sam nie widział. Błyskawica jakby tchnęła życie w cały pałac. Przeniknęła przez każdą ścianę. Powaliła każdego z tych fałszywych, wiernych Rahlowi Posępnemu generałów. I rozdarła na strzępy walczących po ich stronie. Ocaleli jedynie ci, którzy złożyli broń i przyłączyli się do nas.

Richard nie wiedział, co powiedzieć.

- Cieszy mnie to, generale, ale nie mogę sobie przypisywać zasługi. Cały czas byłem w ogrodzie. Nawet nie bardzo wiem, co tam robiłem, a jeszcze mniej, co się tutaj działo.

- My walczyliśmy broń przeciwko broni. Ty wykonałeś swoją robotę. Byłeś lordem Rahlem, magią przeciwko magii. Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni. - Generał Trimack klepnął Richarda w ramię. - Cokolwiek zrobiłeś, z pewnością dobrze wybrałeś.

Chłopak dotknął czoła palcami, usiłował coś wymyślić.

- Która godzina?

- Jak powiedziałem, byłeś tam przez większość dnia, kiedy my tutaj walczyliśmy. Zbliża się późne popołudnie.

Richard przycisnął dłonie do piersi.

- Muszę iść.

Zaczął biec. Wszyscy pognali za nim. Wkrótce zagubił się w przepastnych, łączących się westybulach. Zatrzymał się z poślizgiem na marmurowej posadzce i spytał tkwiącą u jego boku Carę:

- Którędy!?

- Ale dokąd, lordzie Rahlu!?

- Tam, skąd przyszedłem! Najkrótszą drogą!

- Za nami, lordzie Rahlu!

Richard pobiegł za pięcioma Mord-Sith. Za nim spieszyła cała armia pałacu. Szczęk zbroi i tupot butów odbijał się echem od ścian i wysokich sufitów. Kolumny, łuki, schody, skwery modlitewne i skrzyżowania

westybuli przepływały obok nich. Pędzili korytarzami, zbiegali po schodach. Trwało to niemal godzinę. Wreszcie zasapany chłopak wypadł z drzwi pomiędzy olbrzymimi kolumnami i znalazł się na zewnątrz, w chłodnym powietrzu. Za nim wysypali się z pałacu żołnierze. Richard zbiegał po cztery stopnie na dziedziniec.

Scarlet leżała na boku w śniegu, lśniące czerwone łuski unosiły się i opadały, poruszane mozolnym oddechem.

- Scarlet! Żyjesz! - Richard pogłodził jej pysk. - Tak się martwiłem.

- Widzę, że i tobie się udało przeżyć, Richardzie. To musiało być łatwiejsze, niż podejrzewałam. - Udało się jej uśmiechnąć po smoczemu, lecz na krótko. - Przykro mi, przyjacielu, ale nie mogę latać. Mam uszkodzone skrzydło. Próbowałam, lecz nic z tego. Dopóki się nie wygoi, jestem przykuta do ziemi.

Chłopak uronił łzę na pysk smoczycy.

- Rozumiem, przyjaciółko. Przyniosłaś mnie tutaj. Uratowałaś świat żywych. Historia nie zna tak szlachetnej heroiny jak ty. Wydobrzejesz? Będziesz mogła znów latać?

Scarlet zaśmiała się grzmiąco.

- Będę znów latać. Jednak dopiero za jakiś miesiąc. Wyzdrowieję. To nie takie straszne, jak wygląda.

Richard obrócił się ku stojącym z tyłu oficerom.

- Scarlet jest moją przyjaciółką. Uratowała nas wszystkich. Chcę, byście przynosili jej pożywienie. Co tylko zechce, dopóki nie wyzdrowieje. Chronicie ją tak, jak chronilibyście mnie.

Przyłożyli pięści do serca.

Richard złapał generała za ramię.

- Potrzebuję konia, mocnego konia. Natychmiast. I muszę wiedzieć, jak dotrzeć do Aydindril.

- Mocnego konia, ale już! - rzucił generał żołnierzom. - A ty po mapy z drogą do Aydindril dla lorda Rahla!

Żołnierze ruszyli biegiem. Richard znów spojrzał na smoczycę.

- Tak mi przykro, że cierpisz, Scarlet. Smoczyca grzmiąco zachichotała.

- Rana nie jest aż tak bolesna. Spójrz tam, z boku.

Podążył za nim łeb na długiej szyi. Zdumiony Richard zobaczył jajo, spoczywające w pętli ogona. Na chłopaka łypnęło wielkie, żółte ślepie.

- Właśnie je zniosłam. To główna przyczyna mojego osłabienia. I tak musiałabym zostać na ziemi.

Ogrzała jajo ogniem. Czule pogładziła je pazurem. Richard patrzył na to, rozmyślając o pięknie życia, o tym, że jest szczęśliwy, iż nie utracili owego piękna.

Lecz wciąż i wciąż wracało wspomnienie spadającego topora. Nie mógł odpędzić przerażającej wizji. Ręce mu się trzęsły. To się mogło dziać właśnie teraz. Spazmatycznie chwycił powietrze.

W końcu pojawił się żołnierz z mapą. Rozwinął ją i wskazał.

- Tędy, lordzie Rahlu. Tu jest Aydindril. To najkrótsza droga. Ale i tak zajmie parę tygodni.

Richard wepchnął mapę za koszulę, bo już drugi zbrojny zbliżał się na koniu. Chłopak podniósł ze śniegu plecak i łuk. Leżały tam, gdzie upadły, kiedy Scarlet osiadła na ziemi. Generał Trimack trzymał wodze muskularnego konia, a Richard pospiesznie mocował swoje rzeczy do siodła.

- W jukach jest żywność. Kiedy wrócisz, lordzie Rahlu? Richard nie potrafił jasno myśleć, nie mógł się skupić. Widział tylko jedno - opadający topór. Wskoczył na siodło.

- Nie wiem. Kiedy będę mógł. Zajmij się wszystkim do mojego powrotu. I nadal strzeż Ogrodu Życia. Nie pozwól nikomu tam wchodzić.

- Wracaj bezpiecznie, lordzie Rahlu. Nasze serca są z tobą. Położyli pięści na napierśnikach, a Richard poderwał krzepkiego konia do galopu i wypadł przez otwarte dlań potężne wrota.

ROZDZIAŁ 69

Koń padł martwy i Richard zaklął pod nosem. Potoczył się po śniegu, wstał i zaczął zdejmować bagaż z martwego, spienionego zwierzęcia. Żał mu było konia, który dał z siebie wszystko.

Chłopak stracił już rachubę, ile koni zajechał na śmierć. Niektóre po prostu stawały i nie chciały dalej iść. Inne zwalniały do stępa i odmawiały biegu. A inne gnały, dopóki serce nie odmówiło im posłuszeństwa.

Richard zdawał sobie sprawę, że za dużo od nich wymaga, i usiłował je oszczędzać, zwalniać tempo, lecz nie potrafił się zmusić, by wystarczająco przyhamować. Kiedy koń umierał albo nie chciał iść dalej, chłopak znajdował kolejnego. Niektórzy chcieli się targować, ale on rzucał im garść złota i zabierał zwierzę.

On sam też ledwo żył ze zmęczenia. Mało jadł i niewiele spał. Czasem szedł, a wierzchowiec odpoczywał. Biegł, jeśli nie mógł znaleźć nowego.

Zarzucił plecak na grzbiet i pobiegł. To już dwa tygodnie, jak opuścił D'Hare. Wiedział, iż musi być blisko Aydindril.

To, że już dwa tygodnie minęły od zimowego przesilenia, wcale nie wydawało się takie ważne, jak chęć szybkiego dotarcia do Kahlan. Wciąż miał wrażenie, że jeśli się pospieszy, to zdąży ją uratować, że jeżeli da z siebie wszystko, to czas nań zaczeka. Nie przyjmował do wiadomości, iż było już za późno.

Przystanął, zadyszany, na szczycie wznoszącego się odcinka drogi. Przed nim leżało Aydindril, oświetlone słońcem. Na stoku gór, daleko za miastem, dostrzegł szare mury Wieży Czarodzieja. Pognał przez śnieg.

Na ulicach były tłumy-jedni spieszyli dokądś w chłodne popołudnie, inni stali, przytupując, i zachwalali swój towar. Chłopak mijał ich pospiesznie. Uświadomił sobie, że ludzie gapią się nań z powodu Miecza Prawdy, więc okrył go peleryną mriswitha.

Z boku drogi, przy wbitym w ziemię krótkim palu, stał przekupień. Z przymocowanej do pala poprzeczki coś zwisało. Richard oprzytomniał w okamgnieniu, kiedy zrozumiał, co woła ów człowiek.

- Włosy Spowiedniczki! - darł się tamten. - Kupcie pasmo włosów Matki Spowiedniczki! Prosto z jej nikczemnej głowy! Już niewiele zostało! Pokażcie

dzieciom włosy ostatniej Spowiedniczki!

Richard wbił wzrok w długie włosy. Włosy Kahlan. Zdarł je z drzewca i wepchnął za koszulę. Mężczyzna próbował o nie walczyć, lecz chłopak łupnął nim o ścianę. Złapał go za koszulę i podniósł.

- Skąd to masz!?

- Od... rady. Odkupiłem je od nich, żeby sprzedawać. Odkupiłem za dobrą cenę, jak tylko obcieli. Są moje. - Wrzasnął o pomoc. - Złodziej! Złodziej!

Gniewny tłum chciał bronić handlarza i Richard dobył miecza. Tłuszcza się rozproszyła. Tamten uciekł.

Richard ruszył ku Pałacowi Spowiedniczek. Schował miecz, a mimo to narastał w nim gniew. Zobaczył wreszcie pałac. Pamiętał, jak Katilan opowiadała o jego wspaniałości. Miał wrażenie, że już go kiedyś widział. Pamiętał również Kahlan opowiadającą o pewnej kobiecie z pałacu, o kucharce. Jakżeż ona się nazywała? Sand coś tam... Sanderholt. Tak, pani Sanderholt.

Aromaty przywiodły go do kuchennego wejścia. Wpadł do środka. Na jego widok wszyscy się cofnęli. Najwyraźniej nikt nie chciał mieć z nim do czynienia.

- Sanderholt! - krzyknął Richard. - Pani Sanderholt! Gdzież ona jest!?

Ludzie nerwowo wskazywali korytarz. Chłopak uszedł może ze dwanaście kroków w tamtym kierunku, kiedy wypadła mu naprzeciw chuda kobieta.

- O co chodzi!?! Kto mnie woła!?!

- Ja - powiedział chłopak. Wystraszyła się.

- W czym mogę ci pomóc, młodzieńcze - spytała niepewnym głosem.

Richard bardzo się starał, żeby nie mówić groźnym tonem. Podejrzewał jednak, iż nie bardzo mu się to udało.

- Kahlan. Gdzie ją znajdę?

Twarz kobiety stała się równie biała jak jej fartuch.

- Richard, na pewno jesteś Richardem. Opowiadała mi o tobie. Wyglądasz tak, jak mówiła.

- Tak! Gdzie ona jest!?!

Pani Sanderholt przełknęła ślinę.

- Tak mi przykro, Richardzie - szepnęła. - Rada skazała ją na śmierć. Wyrok wykonano w święto zimowego przesilenia.

Richard wpatrywał się w chudą kobietę. Z trudem zastanawiał się czy na pewno mówią o tej samej osobie.

- Chyba źle mnie zrozumiałaś - wykrztusił. - Miałem na myśli Matkę Spowiedniczkę. Matkę Spowiedniczkę, Kahlan Amnell. Na pewno mówisz o kimś innym. Moja Kahlan nie może nie żyć. Zjawiłem się tak szybko, jak zdołałem. Przysięgam.

Oczy pani Sanderholt wypełniły się łzami. Mrugała powiekami, usiłując się ich pozbyć. Wpatrywała się w Richarda. Z wolna potrząsnęła głową. Dotknęła go obandażowaną dłonią.

- Chodź, Richardzie. Wyglądasz na wygłodzonego. Pozwól, że podam ci miseczkę zupy.

Chłopak rzucił na podłogę plecak, łuk i kołczan.

- Naczelna Rada skazała ją na śmierć? Kobieta potwierdziła skinieniem głowy.

- Uciekła, lecz ją złapano. Naczelna Rada powtórzyła wyrok przed zgromadzonymi, którzy chcieli zobaczyć ści... egzekucję. A potem członkowie rady stali uśmiechnięci i słuchali radosnych okrzyków ludzi.

- Może znów uciekła. To zaradna kobieta...

- Byłam tam - powiedziała pani Sanderholt łamiącym się głosem. Płakała.

- Proszę, nie każ mi opowiadać, co widziałam. Znałam Kahlan od urodzenia. Kochałam ją.

Może istnieje jakiś sposób, żeby cofnąć się w czasie i zdążyć tutaj. Musi być na to jakiś sposób. Richardowi zrobiło się gorąco, zawirowało mu w głowie.

Nie. Spóźnił się. Kahlan nie żyła. Musiał jej pozwolić umrzeć, by zagrozić drogę Opiekunowi. Proroctwo go pokonało. Chłopak zgrzytnął zębami.

- Gdzie ta rada?

Pani Sanderholt udało się wreszcie oderwać wzrok od Richarda. Wskazała obandażowaną dłonią w głąb korytarza i podała mu kierunek. Znów nań popatrzyła.

- I ja ją kochałam, Richardzie. Już nic się nie da zrobić. Nic na to nie poradzisz.

Ale on już tam szedł w powiewającej pelerynie mriswitha. Tylko tyle dostrzegał wokół siebie, żeby się kierować wskazówkami pani Sanderholt.

Mknął w stronę komnat rady jak jego strzała do przywołanego przezeń celu.

Wszędzie tkwili strażnicy, lecz nie zwracał na nich uwagi. Nie miał pojęcia, czy oni na niego patrzą, i nic go to nie obchodziło. Mknął ku swojemu celowi. W bocznych korytarzach słyszał żołnierzy. Kątem oka zauważył ich na balkonach.

Drzwi do komnaty rady znajdowały się na końcu obrzeżonego kolumnami korytarza. Kiedy Richard szedł nim, przed wrotami stanęli żołnierze. Ledwo ich widział. Patrzył wyłącznie na drzwi.

Miecz Prawdy nadal tkwił w pochwie, lecz magia szalała w chłopaku. Strażnicy przed drzwiami zwarli szereg. Richard nie zwolnił. W takt szybkich kroków powiewała peleryna mriswitha; piorunował - wartowników gniewnym wzrokiem.

Spróbowali go zatrzymać. Nie zwolnił kroku. Chciał, żeby zeszli mu z drogi. Moc przyszła instynktownie, bez świadomego wysiłku. Poczł wstrząs. Kątem oka dostrzegł, jak krew plami biały marmur.

Nie myśląc kroku, Richard wynurzył się z kuli ognia prosto w otwór dwa razy większy od drzwi, które tu przedtem były. W powietrzu latały dymiące kawały marmuru. Z góry poleciał deszcz gruzów. Jedno skrzydło drzwi zatoczyło łuk w powietrzu, drugie sunęło po posadzce komnaty wraz ze szczątkami zbroi i potrzaskanym orężem.

Mężczyźni siedzący za łukowato wygiętym stołem, w przeciwległym końcu komnaty, zerwali się gniewnie na nogi. Richard, nie zatrzymując się, dobył miecza. Charakterystyczny szczęk stali rozbrzmiał w rozległej komnacie.

- Jam jest najwyższy doradca Thurstan! - oznajmił ten, który stał pośrodku, przy najwyższym krześle. - Żądam podania przyczyn owego najścia!

Richard szedł ku nim.

- Czy choć jeden spośród was nie głosował za wyrokiem śmierci dla Matki Spowiedniczki?

- Została skazana na śmierć za zdradę! Legalnie i jednomyślnie! Skazana przez tę radę! Straże, usunąć owego człowieka!

Nadbiegli żołnierze, lecz Richard był już przy podwyższeniu. Doradcy wyjęli noże.

Chłopak, krzycząc z wściekłości, wskoczył na stół. Miecz rozplatał

Thurstana od ucha po krocze. Kolejny zamach ściał głowy po prawej i lewej. Kilku doradców próbowało zasztyletować chłopaka. Byli o wiele za wolni. Miecz dopadł każdego, także tych, którzy uciekali - Kilka sekund i było po wszystkim, żołnierze nie przebyli nawet połowy drogi.

Richard ponownie wskoczył na stół. Stał, kipiąc z niepowstrzymanej wściekłości, oburącz trzymał miecz. Czekał na żołnierzy. Chciał, by zaatakowali.

- Jestem Poszukiwaczem! Ci ludzie zamordowali Matkę Spowiedniczną! Zapłacili za to morderstwo! Ponieśli zasłużoną karę! Zastanówcie się, czy chcecie być po stronie sprawiedliwości, czy też po stronie martwych morderców!

Strażnicy zwolnili, spoglądali po sobie pytająco. W końcu zatrzymali się. Richard oddychał ciężko.

Jeden z żołnierzy obejrzał się na dziurę po drzwiach, potem łypnął na rozrzucone po posadzce szczątki.

- Jesteś czarodziejem?

- Tak. - Richard spojrział mu w oczy. - Tak mi się zdaje.

Tamten wsunął miecz do pochwy.

- To sprawa dla czarodzieja. Nie dla nas walka z czarodziejem. Nie będę umierał za coś, co do mnie nie należy.

Jeszcze jeden włożył broń do pochwy. Wkrótce komnata rozbrzmiała szczękiem chowanego oręża. Zaczęli odchodzić, niosło się echo ich kroków. Parę chwil i Richard został sam w komnacie rady.

Zeskoczył ze stołu i wpatrzył się w stojące pośrodku wysokie krzesło. Tylko ono nie było splamione zaschniętą krwią. To musiało być krzesło Matki Spowiedniczki, krzesło Kahlan. Musiała siadać właśnie tutaj.

Odrętwiały Richard schował miecz. Koniec. Zrobił, co było do zrobienia.

Dobre duchy go opuściły. Opuściły Kahlan. Poświęcił wszystko dla dobra sprawy, a dobre duchy nie uczyniły nic, żeby pomóc.

Niech Opiekun porwie dobre duchy.

Richard osunął się na kolana. Pomyślał o Mieczu Prawdy. Miał w sobie magię. Nie przyda się do tego, co chłopak teraz zamierzał.

Wyciągnął zza pasa nóż.

Zrobił wszystko, co było do zrobienia.

Przytknął ostrze do piersi.

Spojrzał chłodnym okiem, czy celuje prosto w serce. Zza koszuli wystawały włosy Kahlan, które odebrał przekupniowi. Richard wyciągnął z kieszeni pukiel, który od niej dostał.

Dała mu pukiel włosów, żeby pamiętał, iż zawsze będzie go kochać. Chciał wreszcie zdusić straszliwy ból.

- Ocknęła się - powiedział książę Harold. - Prosi, żebyś przyszła.

Kahlan oderwała oczy od płonącego w kominku ognia. Spojrzała zimno na czarodzieja siedzącego przy Adie na drewnianej ławie. Zedd odzyskał pamięć, lecz Adie nie. Nadal sądziła, że jest Eldą i była ślepa.

Kahlan minęła ciemną jadalnię. Kiedy się tu zjawili, gospoda była pusta, a miasto wyludnione. Wszyscy uciekli, bojąc się nadchodzących keltońskich wojsk. Pusty ogród był znakomitym miejscem dla uciekinierów z Aydindril. Po dwutygodniowej ucieczce potrzebowali wypoczynku i ciepła.

Mały oddziałek, dowodzony przez księcia Harolda, spotkał zbiegów - Zedda, Adie, Aherna, Jebkę, Chandalena, Orska i Kahlan - tydzień po ich ucieczce z Aydindril. Książę Harold wraz z garstką swoich ludzi uszedł z życiem z rzezi jego wojsk w Aydindril i przyczaił się. Kiedy wyprowadzono królową Cerillę na ścięcie, Harold zrobił błyskawiczny wypad i w ogólnym zamieszaniu wyrwał siostrę z rąk kata.

W cztery dni po przyłączeniu się do księcia Harolda napotkali kapitana Ryana i jego dziewięciuset ludzi - tylko tylu przeżyło. Wycięli w pień Armię Imperialnego Ładu. Drogo za to zapłacili, lecz wypełnili swoją misję.

Nawet duma z nich nie poprawiła Kahlan nastroju, choć postarała się, by się z tym przed nimi nie zdradzić.

Kahlan zmoczyła płótno w miednicy i przysiadła na skraju łóżka swojej przyrodniej siostry. Cyrilla była przytomna, jak to się zdarzało od czasu do czasu, choć zawsze wkrótce popadała w pełne oszołomienia odrętwienie. Wówczas nic nie widziała, nie słyszała i nie mówiła. Jedynie patrzyła przed siebie. Kahlan podniosła się na duchu, widząc łzy siostry; znaczyło to, że Cyrilla jest przytomna. W takich chwilach jedynie ona mogła z nią rozmawiać. Widok mężczyzn albo powodował powrót odrętwienia, albo nieopanowane wrzaski.

Dziewczyna przetarła zimnym płótnem czoło siostry. Cyrilla wczepiła się w jej ramię.

- Myślałaś o tym, co ci mówiłam, Kahlan? Dziewczyna zabrała płótno.

- Nie chcę być królową Galei. To ty jesteś królową, siostrze. - Proszę cię, Kahlan. Nasz lud potrzebuje przywódcy. Ja się teraz do tego nie nadaję. - Mocniej ścisnęła ramię Kahlan, zapłakała. - musisz to dla mnie zrobić, Kahlan, dla nich. Kahlan otarła łzy płótnem.

- Wszystko będzie dobrze, Cyrillo, zobaczysz.

- Teraz nie mogę im przewodzić. - Przycisnęła pięść do brzucha.

- Rozumiem, Cyrillo. Naprawdę. Choć nie uczynili mi tego, co tobie, to byłam w lochu. Rozumiem. Ale wyzdrowiejesz. Na pewno. Obiecuję.

- I będziesz królową? Dla naszego ludu?

- Jeśli się zgodzę, to jedynie na pewien czas. Dopóki nie odzyskasz sił.

- Nie... - jęknęła Cyrilla. Łkała, chowając twarz w poduszce. - Nie... Błagam... Pomóżcie mi, dobre duchy. Nie...

I znów zapadła w odrętwienie. Odeszła w swoje wizje. Leżała bezwładnie, wpatrując się w sufit. Kahlan pocałowała ją w policzek. Księżę Harold czekał za drzwiami, w ciemnościach.

- Jak moja siostra?

- Obawiam się, że bez zmian. Ale nie trać wiary. Wydobrzeje.

- Musisz zrobić to, o co prosi, Kahlan. Jest królową.

- A ty nie możesz zostać królem? To byłoby o wiele logiczniejsze.

- Ja muszę dalej walczyć; dla naszego ludu, dla Midlandów. Nie mógłbym się poświęcić walce, gdybym jednocześnie był królem. Jestem żołnierzem i chcę służyć, robiąc to, co potrafię. Do tego mnie przygotowano. Ty jesteś Amnell, córka króla Wyborna. Musisz być królową Galei.

Kahlan chciała odrzucić z ramienia długie włosy, ale ich tam nie było. Trudno się było pozbyć starych nawyków, pamiętać, że obcięto jej włosy.

- Zastanowię się - powiedziała i odeszła.

Ponownie stanęła przed kominkiem, jedynym źródłem światła w jadalni. Wpatrywała się w płomień, patrzyła, jak to, co niegdyś żyło, przemienia się w popiół. Każdy jej unikał, zostawiali ją samą sobie. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, iż stoi za nią Zedd. Z trudem przyzwyczajała się do tego, że czarodziej nosi teraz fantastyczny strój. Podał jej kubek.

- Może łyknęłabyś korzennej herbaty?

- Nie, dziękuję. - Nawet nie odwróciła oczu od płomieni. Przetoczył kubek w dłoniach.

- Przestań się obwiniać, Kahlan. To nie twoja wina.

- Nie umiesz kłamać, czarodzieju. Widziałam twoje spojrzenie, kiedy powiedziałam, co uczyniłam. Pamiętasz?

- Już ci to wyjaśniałem. Wiesz, że byłem pod działaniem uroku rzuconego przez trzy czarodziejki, uroku, który mógł przełamać tylko wielki emocjonalny wstrząs. Gniew spełnił zadanie, ale by to zrobić, musiał być zupełnie niepohamowany. Mówiłem, jak mi przykro, że tak się wobec ciebie zachowywałem.

- Widziałam twoje spojrzenie. Chciałeś mnie zabić. Patrzył na nią spod brwi.

- Musiałem to zrobić, Matko Spowiedniczo...

- Kahlan. Mówiłam, że nie jestem już Matką Spowiedniczką.

- Nazywaj się, jak tylko zechcesz, lecz jesteś tym, kim jesteś. Odrzucenie tytułu tego nie zmieni. Jak ci mówiłem, musiałem to uczynić. By udał się urok śmierci, osoby, których ma dotyczyć, muszą być przekonane, że umrą. Inaczej nie podziałałyby. Kiedy tylko gniew przywrócił mi pamięć, wiedziałem, że muszę zastosować urok śmierci. No i wykorzystałem to, co się akurat działo. Gdybym tak nie postąpił, ludzie nie uwierzyliby, iż patrzą na twoją egzekucję.

Kahlan zadrżała na to wspomnienie. Do końca życia nie zapomni lodowatego muśnięcia uroku śmierci.

- Lepiej było wykorzystać magię do zniszczenia tej nikczemnej rady. Ocaliłbyś mnie, zabijając doradców.

- I wtedy wszyscy wiedzieliby, że nadal żyjesz. A każdy był oszalały z nienawiści. Gdybym postąpił tak, jak mówisz, mielibyśmy na karku całą armię i dziesiątki tysięcy ludzi. Atak nikt nas nie ściga. Możemy się zająć tym, co musi być wykonane.

- To się zajmuj. Porzuciłam sprawę dobrych duchów.

- Kahlan, przecież wiesz, co się stanie, jeśli damy za wygraną.

Przecież ty sama przyszłaś ostatniej jesieni do Westlandu, by mnie odnaleźć i powiedzieć mi to. Przekonałaś mnie, że jeżeli porzucimy stronę magii, sprawiedliwości, dobra, nie będziemy bronić bezbronnych i słabych, to sami oddamy zwycięstwo w ręce wroga.

- Duchy uznały, iż można mnie zostawić bez pomocy. Nie zareagowały, kiedy wydawałam Richarda w ręce Sióstr Światła. Pozwoliły, bym go skrzywdziła, by na zawsze zabrano go ode mnie. Dobre duchy wybrały i nie

stanęły po mojej stronie.

- Nie do dobrych duchów należy kierowanie światem żywych. To my, żywi ludzie, powinniśmy dbać o nasz świat.

- Powiedz to tym, których to obchodzi.

- Ciebie obchodzi. Tylko w tej chwili nie zdajesz sobie z tego sprawy. Ja także straciłem Richarda, lecz wiem, że mimo to nie mogę zejść z właściwej drogi. Czy myślisz, iż Richard kochałby cię, gdybyś naprawdę potrafiła opuścić tych, którzy potrzebują twojej pomocy? - Zmilczała, więc dalej naciskał. - Richard kocha cię również za twoje umiłowanie życia. Kocha cię, bo walczysz o życie z całych sił, z takim samym zapałem jak i on. Już to udowodniłaś.

- On był jedynym, którego chciałam od życia, jedynym, o którego błagałam dobre duchy. I patrz, co mu uczyniłam. Myśli, że go zdradziłam. Skłoniłam go, by założył na szyję obrożę; by zrobił to, czego się obawiał bardziej niż śmierci. Nie potrafię nikomu pomóc. Tylko wyrządzam krzywdę.

- Masz magiczną moc, Kahlan. Mówiłem ci, iż nie wolno dopuścić, żeby magia umarła. Świat żywych istot potrzebuje magii. Jeśli ta zniknie, to życie stanie się zubożone, a nawet może zostać zniszczone. Nikt nie wie, że dysponujemy mocą. Dotrzemy do Ebinissii, nikt się tego nie spodziewa, i tam zbierzemy wojska Midlandów do uderzenia na nich. Nikt nie będzie wiedział, że wydobyliśmy Ebinissię z popiołów śmierci.

- Dobrze! Będę królową, jeśli to cię ucieszy! Ale tylko dopóty, dopóki Cyrilla nie wydobrzeje.

Ogień trzeszczał i strzelał.

- Dotrze wiesz, Matko Spowiedniczko, iż nie to miałem na myśli - napomniał ją spokojnie Zedd.

Kahlan milczała. Przygryzała wewnątrz policzka, żeby nie płakać. Nie chciała, by widział, jak płacze.

- Dawni czarodzieje stworzyli Spowiedniczki. Masz unikatową moc. Są w niej składniki, których nie ma żadna inna moc, nawet moja. Jesteś ostatnią Spowiedniczką, Kahlan. Twoja moc nie może umrzeć wraz z tobą. Richard jest dla nas stracony. Nic na to nie poradzimy. Musimy żyć dalej. Życie i magia muszą trwać. - Kahlan patrzyła w płomienie. - Kahlan - szepnął Zedd - musisz to zrobić, by okazać się godną miłości Richarda i jego wiary w ciebie.

Powolutku odwróciła się od kominka. Orsk siedział na podłodze, obok Chandalena. Tylko on patrzył na nią swoim jedynym okiem; blizna na drugim była biała i gniewna w blasku ognia. Obserwował każdy ruch dziewczyny. Wszyscy inni sprawiali wrażenie, iż zajmują się wyłącznie własnymi sprawami.

- Orsk - zawołała.

Wielkolud poderwał się i podszedł. Stał przed nią, przygarbiony, czekał, czy każe mu przynieść kubek herbaty, czy kogoś zabić.

- Idź do mojego pokoju Orsk i czekaj tam na mnie.

- Tak, pani.

Pognał w górę schodów, a Kahlan powoli szła przez pokój. Słyszała, jak zatrzeszczało łóżko, na którym usiadł, czekając na nią. Położyła dłoń na poręczy, lecz Zedd ją powstrzymał.

- To nie musi być on, Matko Spowiedniczko. Możesz znaleźć kogoś, kto ci się bardziej spodoba.

- To nie ma znaczenia. Już dotknęłam go swoją mocą. Czemuż miałabym krzywdzić jeszcze kogoś w tym celu?

- Nie twierdzę, iż to się musi stać natychmiast, Kahlan. Nie tak szybko. Tłumaczę jedynie, że powinnaś się z tym pogodzić, uznać konieczność tego.

- Dziś, jutro, za rok. Jakie to ma znaczenie? Za dziesięć lat będzie tak samo jak dziś. Czarodzieje posługiwali się Spowiedniczkami przez tysiące lat. Dlaczegożby ze mną miało być inaczej? Równie dobrze mogę to zrobić teraz, żebyś był zadowolony.

Szkliste oczy Zedda patrzyły w oczy dziewczyny.

- To nie tak, Kahlan. To nadzieja życia.

Poczuła łzę spływającą po policzku. Widziała w jego oczach cierpienie, ale nie oszczędziła czarodzieja.

- Nazywaj to, jak chcesz. To niczego nie zmieni. To gwałt. Moim wrogom się nie udało. Trzeba było przyjaciół, żeby mnie zgwałcić.

- Wiem, kochanie. Bardzo dobrze wiem. Ruszyła po schodach, lecz znów ją zatrzymał.

- Zrobisz najpierw coś dla mnie, Kahlan? Proszę, zrób. Idź na spacer, przemyśl to, poproś duchy o radę. Módl się do dobrych duchów, pytaj o wskazówki.

- Nie mam nic do powiedzenia dobrym duchom. To one tego chcą.

Zesłały cię, żebyś mną „pokierował”.

Zedd pogładził kościstą dłoń krótkie włosy Kahlan.

- Zatem zrób to dla Richarda.

Wpatrywała się weń. W końcu spojrzała na tylne drzwi, na niewielki zamrażnięty ogród na tyłach gospody. Zaczynało się zmierzchać. Zeszła ze schodów.

- Dla Richarda.

ROZDZIAŁ 70

Richard siedział na wysokim krześle Kahlan i gładził pukiel jej włosów. Wyciągnął je zza koszuli, nie chcąc się pchnąć przez nie nożem. Nie wiedział, jak długo tak siedział, dotykając jej włosów, zatopiony we wspomnieniach, lecz zauważył, iż za oknami robiło się ciemno. Ostrożnie położył pukiel na poręczu krzesła i ponownie uniósł nóż. Ogarnięty rozpaczą, przytknął ostrze do serca. Palce zbieleły mu na rękojeści.

Już czas.

Przynajmniej wszystko się skończy. Zniknie cierpienie.

Zmarszczył czoło. Co to powiedziała pani Sanderholt? Że Kahlan jej o nim opowiadała? Zastanawiał się, czy nie powiedziała pani Sanderholt czegoś jeszcze. Może, zanim umarła, zostawiła jakąś wiadomość. Co by szkodziło zapytać? Potem umrze.

RicHard wyciągnął z kuchni panią Sanderholt. Zamknął drzwi do małej, pełnej półek spiżarni.

- Co zrobiłeś, Richardzie?

- Zabiłem jej morderców.

- Nie powiem, żeby mnie to zmartwiło. Ci ludzie nie nadawali się do rady. Może byś coś zjadł?

- Nie, nie chcę. Podobno Kahlan pani o mnie opowiadała, pani Sanderholt. Czy to prawda?

Najwyraźniej nie miała ochoty wracać do wspomnień, ale w końcu odetchnęła głęboko i potaknęła.

- Wróciła do domu, lecz tu wszystko się zmieniło. Kelton...

- Nie obchodzi mnie, co tu się stało. Opowiedz mi o Kahlan.

- Zamordowano księcia Fyrena. niesprawiedliwie oskarżono ją o to morderstwo i o wiele innych zbrodni, w tym o zdradę. Czarodziej skazał ją... na śmierć.

- Na ścięcie - powiedział Richard. Niechętnie potaknęła.

- Uciekła z pomocą przyjaciół, zabijając przy tym czarodzieja, i ukryła się. Ale dała mi znać i odwiedzałam ją. Wtedy opowiadała mi o wszystkim, co przeszła. I o tobie. Tylko te opowieści ją cieszyły.

- Dlaczego nie uciekła? Dlaczego?

- Mówiła, że musi czekać na czarodzieja o imieniu Zedd. Żeby ci pomóc.
Richard zamknął oczy, cierpienie wzrosło.

- I złapali ją, gdy czekała.

- Nie. Nie tak się stało. - Richard patrzył w drewnianą podłogę, a pani Sanderholt podjęła: - Ten czarodziej, na którego czekała, wrócił. To on ją wydał.

Chłopak podniósł głowę.

- Co? Zedd tu wrócił? Zedd nie wydałby Kahlan na śmierć. Kobieta zeszywniała.

- Otóż wydał. Stał na podwyższeniu przed wiwatującym tłumem i nakazał, by wykonano wyrok. Sama widziałam, jak ten nikczemnik dał znak katowi.

Richardowi zakręciło się w głowie.

- Zedd? Kościsty starzec z długimi, siwymi, sterczącymi we wszystkie strony włosami?

- Tak. Pierwszy Czarodziej Zeddicus Zu'1 Zorander.

W chłopaku po raz pierwszy zapłonęła iskierka nadziei. Nie wiedział o Zeddzie wszystkiego, lecz zdawał sobie sprawę, że jest on zdolny do takich działań. Czyżby...?

Złapał panią Sanderholt za ramiona.

- Gdzie ją pochowano?

Pani Sanderholt wyprowadziła go w zmierzch, na odosobniony dziedziniec, na którym chowano Spowiedniczki. Powiedziała mu, iż ciało Kahlan spalono na pogrzebowym stosie, nadzorowanym przez Pierwszego Czarodzieja. Potem zostawiła go samego przed nagrobkiem kryjącym popioły Kahlan.

Richard dotknął palcami liter wyrytych w szarym granicie. KAHLAN AMNELL. MATKA SPOWIEDNICZKA. JEST NIE TUTAJ, LECZ W SERCACH TYCH, KTÓRZY JĄ KOCHAJĄ.

- Jest nie tutaj - przeczytał na głos.

Czyżby to była wiadomość? Czyżby Kahlan żyła? Czy to sztuczka Zedda, by ocalić jej życie? Dlaczego to zrobił?

Może... Może, żeby jej nie ścigali.

Richard osunął się na kolana, uklęknął w śniegu przed grobem. Czy może sobie pozwolić na nadzieję, skoro dopiero co wszystkie nadzieje się

rozwiały?

Złożył drżące dłonie i skłonił głowę.

- Drogie duchy, wiem, że czyniłem złe rzeczy, ale zawsze starałem się postępować sprawiedliwie. Walczyłem, by pomóc ludziom i ocalić wasze zasady uczciwości i prawości. Pomóżcie mi, drogie duchy, błagam was. Jeszcze nigdy o nic nie modliłem się tak żarliwie. Nigdy na niczym tak mi nie zależało jak na tym. Pomóżcie mi teraz, choćbyście miały mi już nigdy potem nie pomóc. O drogie duchy, nie będę mógł żyć, jeśli się nie dowiem. Wszystko poświęciłem, by zwyciężyła prawda. Spełnijcie moją prośbę. Powiedzcie, czy ona żyje.

Poprzez łyzy dostrzegł blask na śniegu przed sobą. Podniósł głowę. Jaśniał przed nim duch. Zdrętwiał, kiedy ją rozpoznał.

Kahlan krążyła po ogrodzie. Wahała się, po części ze strachu, że się spełnią jej obawy. W końcu uklękła i oparła splecione dłonie o kamień. Skłoniła głowę.

- Wiem, dobre duchy, że nie zasługuję na to, ale spełnijcie moją prośbę. Muszę wiedzieć, czy Richardowi nic się nie stało. Czy mnie nadal kocha. - Przełknęła ślinę. - Muszę wiedzieć, czy go jeszcze zobaczę. Wiem, że odnosiłam się do was bez szacunku i że nie ma dla mnie wytłumaczenia. Jeżeli spełnicie moją prośbę, uczynię wszystko, czego ode mnie zażądacie. Lecz muszę wiedzieć, o dobre duchy, czy jeszcze kiedyś ujrzę mojego Richarda.

Zwiesiła głowę i rozplakała się. Łzy spływały po twarzy dziewczyny. Przed nią, na śniegu, zatańczyły błyski światła.

Kahlan uniosła głowę i spojrzała w twarz jaśniejącego ducha. Znajomą twarz rozjaśniał ciepły uśmiech. Dziewczyna podniosła się wolniutko.

- Czy to naprawdę... ty?

- Tak, Kahlan, to ja Denna.

- Ale... odeszłaś do Opiekuna. Przyjęłaś na siebie piętno, którym Rahl Posępny nazaczył Richarda. Poszłaś do Opiekuna zamiast Richarda.

Promienny, spokojny uśmiech nappełnił radością serce Kahlan.

- To, co uczyniłam, wzbudziło odrazę Opiekuna. Odrzucił mnie i znalazłam się wśród tych, których nazywasz dobrymi duchami. Tak jak mój uczynek zapewnił mi spokój, jakiego nigdy nie oczekiwałam, tak i wasze, Richarda i twoje, bezinteresowne poświęcenie dla innych i wzajemnie dla

siebie, zapewniło spełnienie waszych próśb, przyniosło wam ukojenie. Ponieważ każde z was ma dar obu magii i jest ze mną związane czynami, to zanim przejdę za zasłonę, wolno mi was połączyć na krótką chwilę w miejscu pomiędzy światami. - Denna, otulona długą powiewną szatą, rozpostarła ramiona. Świetliste fałdy szaty spływały aż do ziemi. - Chodź, dziecko. Pójdź w me ramiona i zabiorę cię do Richarda.

Kahlan, drżąc, schroniła się w objęciach Denny.

Richard stał w blasku spływającym z otulających ją czule ramion Denny. Świat zniknął w jasności. Chłopak nie miał pojęcia, co go czeka. Wiedział tylko jedno - że nad życie pragnie zobaczyć Kahlan.

Oślepiająca jasność zmieniła się w łagodny blask. Przed Richardem pojawiła się Kahlan. Wstrzymała oddech, a potem rzuciła mu się w ramiona. Ścisnęła go z całej siły i zawodzącym głosem wołała jego imię.

Tulili się do siebie w milczeniu, ciesząc się bliskością. Richard czuł ciepło Kahlan, jej oddech, jej drzenie. Już nigdy nie pozwoli jej odejść.

Osunęli się na miękkie podłoże. Nie wiedział, co to takiego, lecz nic go to nie obchodziło. Było na tyle solidne, żeby ich utrzymać. Chciał ją zawsze trzymać w ramionach. Kahlan w końcu przestała szlochać i położyła głowę na ramieniu Richarda; tulił ją z całych sił. Podniosła wzrok; piękne zielone oczy zatoneły w oczach chłopaka.

- Tak mi przykro Richardzie, że nakłoniłam cię do założenia obroży... Richard dotknął palcem jej ust.

- Nie stało się to bez przyczyny. Zajęło mi to trochę czasu, ale wreszcie zrozumiałem, jaka byłaś dzielna i jaki ja byłem głupi. Tylko to się liczy. Przez to jeszcze bardziej cię kocham, bo poświęciłaś swoje pragnienia, żeby mnie ocalić.

Kahlan potrząsnęła głową.

- Mój Richard. Jak się tu dostałeś?

- Modliłem się do dobrych duchów. Zjawiła się Denna.

- I ja się modliłam. Denna również poświęciła się dla ciebie. Przejęła na siebie moc piętna, byś mógł żyć. Przywróciła mi twoje życie. Teraz osiągnęła spokój.

- Wiem. - Przesunął dłonią po krótkiej czuprynie Kahlan. - Co się stało z twoimi włosami?

- Czarodziej mi je obciął.

- Czarodziej. Więc czarodziej ci je przywróci.

Richard miłośnie przesunął dłonią po włosach dziewczyny. Przypomniał sobie, jak Zedd gładził zarys policzków, żeby wyhodować sobie brodę. Widział, jak Zedd to robi, i dzięki temu potrafił to teraz powtórzyć. Po każdym dotknięciu włosy Kahlan się wydłużały. Chłopak czerpał moc z jądra spokoju w swoim wnętrzu, a włosy rosły. Przestał, kiedy osiągnęły poprzednią długość.

Kahlan zgarnęła włosy w przód, patrzyła na nie z podziwem.

- Jak to zrobiłeś, Richardzie?

- Mam dar, pamiętasz?

Rozpromieniła się owym specjalnym uśmiechem, który miała tylko dla niego. Przesunęła dłonią po policzku chłopaka.

- Przepraszam, Richardzie, lecz wcale nie podoba mi się twoja broda. Wolałam cię bez niej.

- Naprawdę? - Udał zdziwienie. - No dobrze. Przywróciliśmy już twój poprzedni wygląd, teraz zajmiemy się mną.

Richard przesunął dłonią po obrysie twarzy, zaczerpnął mocy z jądra spokoju. Kahlan sapnęła ze zdumienia.

- Richardzie! Zniknęła! Twoja broda zniknęła. Sprawileś to! Jakżeś to zrobił!?

- Mam dar obu magii. Zamrugła ze zdumienia.

- Magię subtraktywną? Czy to wszystko prawda, Richardzie, czy śnię?

Wtedy ją pocałował, długo, namiętnie.

- To mi się wydaje całkiem realne - powiedział bez tchu.

- Boję się, Richardzie. Jesteś u Sióstr. Nigdy nie będę mogła z tobą być. Jeśli znów mi cię mają odebrać, to nie mogę...

- Nie jestem już u Sióstr. Jestem w Aydindril. - Aydindril!

Potaknął.

- Opuściłem Pałac Proroków. Pomogła mi Siostra Verna. Musiałem dotrzeć do D'Hary.

Richard opowiedział jej wszystko, co mu się przydarzyło, od kiedy się rozstali, a Kahlan zrelacjonowała mu swoje przeżycia. Chłopakowi trudno było uwierzyć, że tego wszystkiego dokonała.

- Taki jestem z ciebie dumny - powiedział. Jesteś prawdziwą Matką Spowiedniczką. Największą, jaka kiedykolwiek żyła.

- Wróć do westybulu przed komnatami rady, a zobaczysz podobizny Spowiedniczek, którym nigdy nie dorównam.

- Nie wierzę w to, kochanie.

Znów ją pocałował. Gorący, namiętny pocałunek. Oddała mu go. Niczego więcej nie chciała od życia, tylko być w ramionach Richarda i całować go. A on całował jej policzki, usta, szyję.

- Czy naprawdę zniknęło piętno Rahla Posępnego, Richardzie? Rozchylił koszulę, żeby się sama przekonała. Dotknęła jego piersi.

- Naprawdę zniknęło - wyszeptała.

Czule ucałowała pierś Richarda. Przesuwała po niej dłonią i całowała miejsca, których dotknęła. Ssała brodawkę.

- To nieuczciwe - powiedział bez tchu. - I ja muszę pocałować to samo, co ty całowałaś.

- Umowa stoi - Kahlan spojrzała mu w oczy i rozpięła koszulę. Zaczęła ciągnąć ubranie Richarda, obsypującego ją pocałunkami.

Każdy całus przyspieszał jej oddech.

- Kahlan - wykrztusił, kiedy zdołał się od niej oderwać - może dobre duchy na nas patrzą?

Położyła go na plecy i pocałowała.

- Jeśli naprawdę są dobrymi duchami, to odwróć się plecami.

Chłopakowi wirowało w głowie od bliskości miękkiego ciała Kahlan. Pragnął jej niepoohamowanie. Łagodny blask pulsował w rytm ich oddechów. Zdawało się, że owa poświata wypływa z ich ciał.

Richard znalazł się na górze. Spojrzał w zielone oczy.

- Kocham cię, Kahlan Amnell. Teraz i zawsze.

- I ja cię kocham, mój Richardzie.

Pocałowali się. Zarzuciła mu ramiona na szyję, oplótła nogami. W łagodnej poświacie przestrzeni pomiędzy światami stopili się w jedno.

ROZDZIAŁ 71

Kahlan weszła do gospody. Stała w mroku, przy końcu prowadzącego ku jadalni korytarza. Nadal czuła blask, żar, radość i spełnienie. Wszyscy podnieśli głowy, kiedy tylko usłyszeli jej kroki. Zedd się poderwał.

- Kahlan! Kurczę, gdzieś ty była przez całą noc!? Zaraz świt! Nie było cię od zmroku! Całą noc szukaliśmy cię w mieście! Gdzieś była!?

- W małym ogrodzie, na tyłach. - Odwróciła się i wskazała ręką. Zedd gniewnie chodził po pokoju.

- Nie było cię w ogrodzie!

- Hmm, poszłam tam, ale potem opuściłam owo miejsce. - Uśmiechnęła się marząco. - Byłam z Richardem. On uciekł od Sióstr, Zeddzie. Jest w Aydindril.

Czarodziej przystanął.

- Wiem, że ciężko to przeżyłaś, Kahlan. Na pewno ukazało ci się to, czego pragnęłaś.

- Nie, Zeddzie. Modliłam się do dobrych duchów. Zjawiła się i zabrała mnie do Richarda. Żebym była z nim pomiędzy światami.

- Kahlan, to po prostu nie...

Dziewczyna wyszła z cienia w bijący od ognia blask. Zedd szeroko otworzył oczy.

- Co... co się stało z twoimi włosami? - spytał. - Znow są długie.

- Richard to zrobił - uśmiechnęła się Kahlan. - Ma dar, wiesz. - Uniosła zawieszoną na szyi Agiela. - Dał mi to. Powiedział, że już tego nie potrzebuje.

- Ale... musi być jakieś inne wytłumaczenie...

- Przesyła ci wiadomość. Dziękuję za to, że nie zamknąłeś otwartej szkatuły Ordenu. Powiedział, że się cieszy, iż jego dziadek miał dość rozumu, by nie pogwałcić drugiego prawa magii.

- Jego dziadek... - Łzy płynęły po pomarszczonej twarzy czarodzieja. - Widziałaś go! Naprawdę go widziałaś! Richard jest bezpieczny!

Kahlan objęła go.

- Tak, Zeddzie. Teraz już wszystko będzie dobrze. Umieścił Kamień Łez tam gdzie jego miejsce, i zamknął szkatułę Ordenu. Nazwał ją bramą.

Powiedział, że do tego trzeba i magii addytywnej, i magii subtraktywnej. bo inaczej zniszczyłoby się życie.

Czarodziej złapał ją za ramiona, odsunął od siebie.

- Richard ma dar magii subtraktywnej? Niemożliwe.

- Miał brodę i sprawił, że zniknęła. Powiedział, żeby ci przypomnieć, jak mu tłumaczyłeś, iż może tego dokonać jedynie magia subtraktywna.

- Dziw nad dziwami. - Przysunął bliżej ostro rzeźbioną twarz. - Zgrzana jesteś, dziewczyno. - Przytknął chudą dłoń do czoła Kahlan. - Nie masz gorączki. Dlaczego jesteś spocona?

- Tam było... gorąco, na tamtym innym świecie. Naprawdę gorąco. Spojrzał na jej włosy.

- Całe splątane. Co za czarodziej przywrócił ci takie skołtunione włosy? Ja sprawiłbym, żeby odrosły ładnie i równo. Ten chłopak musi się jeszcze sporo nauczyć. Nie bardzo sobie poradził.

- O, świetnie sobie poradził. - Kahlan zamglily się oczy. Czarodziej przekrzywił głowę, spojrzał na nią jednym okiem.

- Co robiłaś przez całą noc? Zniknęłaś na całą noc. Co tam we dwoje robiliście?

Kahlan czuła, jak palą ją uszy. Dobrze, że znów miała długie włosy.

- Hmm, bo ja wiem? A co ty i Adie robicie, kiedy zostajecie sami na całą noc?

Zedd zeszywniał.

- Hmm - odchrząknął. - Hmm, my... - Zadarł dumnie brodę i wyciągnął palec ku niebu. - Rozmawiamy. Tak, to właśnie robimy. Rozmawiamy.

Kahlan wzruszyła ramionami.

- My robiliśmy to samo. Tak jak ty i Adie przez całą noc. Rozmawialiśmy.

Zedd uśmiechnął się łobuzersko. Mocno przytulił Kahlan i poklepał ją po plecach.

- Tak się cieszę, kochanie.

Złapał dziewczynę za ręce i zaczął tańczyć wokół pokoju. Ahern się uśmiechnął, wyjął mały flet i zagrał skoczną melodię.

- Mój wnuk jest czarodziejem! Mój wnuk będzie wielkim czarodziejem! Jak jego dziadek!

Wszyscy przyłączyli się do ich radości. Klaskali do taktu, a Zedd tańczył z Kahlan.

Dziewczyna spostrzegła osobę, która nie radowała się wraz z nimi. Adie siedziała na bujanym fotelu w kącie. Uśmiechała się smutno i obracała głowę ku dźwiękom.

Podeszła do starej kobiety i uklękła przed nią. Ujęła jej wątle dłonie.

- Adie - powiedziała łagodnie - duchy ślą ci wiadomość. Tamta potrząsnęła głową.

- Przykro mi, dziecinko, ale nic mi to nie da. Nie pamiętam, że byłam jakąś Adie.

- Obiecałam, iż przekażę wiadomość. Ktoś stamtąd pragnie, by wieść dotarła do ciebie. Wysłuchasz jej?

- Mów, choć żałuję, iż nie pojmę jej znaczenia.

- To wiadomość od kogoś, kto ma na imię Pell.

W pokoju zapanowała cisza. Fotel bujany przestał się kołysać. Kobieta leciutko się wyprostowała. W jej oczach pojawiły się łzy. Zacisnęła w swoich dłonie Kahlan.

- Od Pella? Wiadomość od mojego Pella?

- Tak, Adie. Chce, byś wiedziała, że cię kocha i że trwa w pokoju. Żeby ci powiedzieć, iż wie, że nigdy go nie zdradziłaś. Wie, jak bardzo go kochasz, i żałuje, że tyle musiałaś wycierpieć. Mam ci powiedzieć, byś zaznała spokoju, bo nie ma niezgody pomiędzy waszymi duchami.

Adie odwróciła głowę i spojrzała na Kahlan białymi oczami. Po jej policzkach płynęły łzy.

- Mój Pell wie, że go nie zdradziłam?

- Tak, Adie - przytaknęła dziewczyna. - Wie i kocha cię jak zawsze.

Adie rozplakała się i przytuliła Kahlan.

- Dziękuję, Kahlan. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Przywróciłaś mi życie.

- Wiem, ile to znaczy, Adie.

Kobieta pogładziła głowę Kahlan, mocniej przytuliła dziewczynę.

- Tak, dziecko, chyba wiesz.

Jebra i Chandalen przygotowywali śniadanie, a pozostali snuli plany. Oczyszczenie Ebinissii z martwych ciał to przerażające zadanie - choć teraz, w zimie, nieco mniej straszne, niż byłoby wiosną. Z Ebinissii znów złączą Midlandy w jedną całość.

Kahlan powiedziała, że Richard próbuje się z nimi spotkać w

królewskim mieście Galei oraz że mówił, iż być może będzie musiał zabrać Zedda do Westlandu, by zająć się Siostrami Mroku. Na razie były one, na szczęście, na morzu.

Zjedli śniadanie, wesoło przy tym rozmawiając, czego od dawna im brakowało, i zaczęli się pakować. Nieco zażenowany Chandalen odciągnął Kahlan na bok.

- Chcę cię o coś spytać, Matko Spowiedniczko. Nie pytałbym cię, gdybym mógł spytać kogoś innego.

- O co chodzi, Chandalenie?

- Jak w twoim języku mówi się „piersi”?

- Co takiego?

- Jakim słowem określacie piersi? Chcę powiedzieć Jebrze, że ma piękne piersi.

Kahlan bezwiednie poruszyła ramionami.

- Przepraszam, Chandalenie, ale muszę z tobą o tym porozmawiać. Nigdy nie miałam na to czasu przez to wszystko, co się działo.

- Więc mów teraz. Chcę powiedzieć Jebrze, że bardzo podobają się mi jej piękne piersi.

- U Błotnych Ludzi uchodzi mówić takie rzeczy kobietom, Chandalenie. To komplement. Lecz wśród innych nie byłby to komplement, a zdrożna, nieprzyzwoita uwaga. Bardzo nieprzyzwoita, chyba że te osoby dobrze się znają.

- Dobrze ją znam.

- Raczej nie. Zaufasz mi w tej sprawie? Jeśli ją naprawdę lubisz, to nie mów jej tego, bo przestanie cię lubić.

- Czy tutejsze kobiety nie lubią słuchać prawdy?

- To nie takie proste. Czy powiedziałbyś kobiecie ze swojej wioski, że chciałbyś ją widzieć z włosami umyтыми z błota, nawet gdyby to była prawda?

- Rozumiem, o co ci chodzi.

- No to powiedz jej, że podoba ci się jej uśmiech, włosy lub oczy.

- Skąd mam wiedzieć, czy to można komplementować? Kahlan westchnęła.

- Hmm, na razie ogranicz się do tego, co nie jest zakryte ubraniem, i wszystko będzie dobrze.

Przytaknął w zadumie.

- Jesteś mądra, Matko Spowiedniczko. Cieszę się, że znów masz Richarda, bo inaczej na pewno wybrałabyś Chandalena.

Kahlan roześmiała się i serdecznie go uściskała. Odwzajemnił uścisk równie serdecznie.

Na zewnątrz Kahlan spotkała się z kapitanem Eyanem, porucznikiem Hobsonem, Brinem i Peterem i innymi, których znała. Zaraziła ich uśmiechem i dobrym humorem.

Poszła do stajni po Nicka. Chandalen ukradł go, kiedy opuszczali Aydindril. Wielki bojowy rumak zarżał łagodnie na jej widok. Przytulił do niej łeb, a Kahlan go pogłaskała.

- Co u ciebie, Nick? - Zarżał cicho. - Chciałbyś zanieść królową Galei do pałacu w Ebinissii?

Nick z entuzjazmem kiwnął łbem, niecierpliwie czekając wyprowadzenia ze stajni i wyruszenia we wstający dzień.

Z wiszących u dachu stajni sopli kapała woda. Kahlan popatrzyła na wzgórze. To będzie jeden z cieplejszych zimowych dni. I wkrótce przyjdzie wiosna.

Pani Sanderholt zdumiała się, bo Richard wziął kolejną miseczkę zupy i jeszcze jeden kawałek chleba.

- Robi pani najlepszą na świecie korzenną polewkę, pani Sanderholt. Najlepszą po mojej.

W przyległej kuchni pracownicy przygotowywano śniadanie. Pani Sanderholt zamknęła drzwi.

- Cieszę się, Richardzie, że jesteś w lepszej formie. Tej nocy bałam się, że zrobisz coś strasznego, tak się zamartwiałeś. Ale co za nagła zmiana. Coś się musiało stać, coś, co zupełnie odmieniło twój nastrój.

Spojrzał na nią, żując chleb. Przełknął.

- Powiem ci, ale obiecaj, że na razie zachowasz to w sekrecie. Gdybyś komuś powiedziała, to mogłyby być niezłe kłopoty.

- Obiecuję, że dochowam tajemnicy.

- Kahlan nie umarła. Kobieta patrzyła nań dziwnie.

- Jesteś w gorszym stanie, Richardzie, niż podejrzewałam. Na własne oczy widziałam...

- Wiem, co widziałaś. Ten czarodziej, którego widziałaś, to był mój

dziadek. Rzucił urok, by wszyscy myśleli, że została ścięta. Uczynił to, by mogła uciec i by jej nie ścigali. Jest bezpieczna.

Pani Sanderholt zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Dzięki niech będą dobrym duchom!

- Istotnie - potwierdził Richard z szerokim uśmiechem.

Zabrał miseczkę zupy na zewnątrz, żeby podziwiać świt. Za bardzo był rozradowany, żeby tkwić w pałacu. Usiadł na szerokich schodach, spoglądał na wznoszący się wokół wspaniały pałac. Wieże, wieżyczki i strome dachy podkreślały światło wczesnego świtu.

Chłopak jadł zupę i obserwował chimere siedzącą na obrzeżeniu ogromnego fryzu, podtrzymywanego przez wysmukłe kolumny. Obłoki za stworem zaczynały się jarzyć różowością, stanowiąc wspaniałe tło dla groteskowego, przygarbionego zwierzęcia. Właśnie wziął do ust łyżkę zupy, kiedy wydało mu się, iż chimera głęboko westchnęła. Richard odstawił naczynie. Wstał, nie odrywając oczu od ciemnego kształtu. Znow się ociupinkę poruszyła.

- Gratch! Czy to ty, Gratch!?

Stwór ani drgnął. Może było to tylko złudzenie. Richard szeroko rozpostarł ramiona.

- Gratch! Wybacz mi, jeżeli to ty! Tak za tobą tęskniłem, Gratch! Chimera przez chwilę trwała nieruchomo, potem rozpostarła skrzydła. Zeskoczyła z fryzu i ześliznęła się ku chłopakowi. Z trzepotem skrzydeł wylądowała tuż obok na stopniach.

- Gratch! O, Gratch, jak mi ciebie brakowało! - Chimera obserwowała go płonącymi zielonymi ślepiami. - Nie wiem, czy to zrozumiesz, ale wtedy nie myślałem tego, co mówiłem. Po prostu chciałem ci ocalić życie. Wybaczysz mi? Richard kocha Gratcha.

Skrzydła zatrzepotały. Spomiędzy wielkich zębisk wyleciała chmurka oddechu. Uszy się postawiły.

- Grrraaatch kooooaaa Raaa chaaarg.

Chimera skoczyła Richardowi w ramiona, zbiła go z nóg. Chłopak tulił futrzastego zwierza, a Gratch obejmował go ramionami i skrzydłami. Klepali się wzajemnie po plecach i - każdy na swój sposób - uśmiechali się do siebie.

Kiedy wreszcie usiedli, Gratch się nachylił i z zaciekawieniem popatrzył chłopakowi w twarz. Bokiem potężnego pazura dotknął policzka Richarda.

Chłopak dotknął swej gładkiej twarzy i się uśmiechnął.

- Zniknęła. Już więcej nie będę miał brody.

Gratch, zdegustowany, zmarszczył nos. Zabułgotał z niechęcią. Richard się roześmiał.

- Przyzwyczaisz się. - Siedzieli razem w ciszy poranka. - Czy wiesz, Gratch, że jestem czarodziejem?

Gratch zarechotał i zrobił powątpiewającą minę. Richard był ciekaw, skąd chimera wie, kto to czarodziej. Gratch stale zadziwiał go swoją wiedzą, tym, co potrafił zrozumieć.

- Naprawdę jestem czarodziejem. Pokażę ci, zapalę ogień. Richard wyciągnął otwartą dłoń. Przywołał moc zjądra spokoju.

Starał się i starał, ale nic z tego nie wyszło. Nie zapalił nawet iskierki. Westchnął, a Gratch ryczał śmiechem i klaskał skrzydłami, radując się z żartu.

Nagle chłopakowi coś się przypomniało - coś, co powiedziała mu Denna. Pytał ją, jak dokonał tego wszystkiego za pomocą magii. Patrzyła nań ze wszystkowiedzącym, pełnym spokoju uśmiechem i powiedziała: „Bądź dumny z tego, że podejmowałeś dobre decyzje, Richardzie, że dzięki twoim wyborom mogło się to wszystko wydarzyć. Lecz nie kalaj serca pychą, wierząc, że to wszystko, co się stało, jest twoją zasługą, że ty to sprawiłeś.”

Zastanawiał się, gdzie leży granica. Uświadomił sobie, że musi się jeszcze wiele nauczyć, nim zostanie prawdziwym czarodziejem. Nawet nie był pewny, czy chce nim zostać, ale wreszcie zaakceptował siebie - zrodzonego z darem, zrodzonego, żeby być kamykiem w stawie. Syna Rahla Posępnego, jednakże mającego tyle szczęścia, że wychowali go kochający ludzie. Pod łokciem miał rękojeść miecza. Miecz, który zrobiono dla niego.

Był Poszukiwaczem. Prawdziwym Poszukiwaczem.

Myśli Richarda znów pobiegły ku duchowi, który dał mu więcej szczęścia, niż sprawił bólu za życia. Szczerze się cieszył, że Denna odnalazła spokój. Niczego innego dla niej - dla tej, którą kochał - nie pragnąłby.

Chłopak otrząsnął się z zadumy i poklepał ramię chimery.

- Zaczekaj chwilkę, Gratch. Coś ci przyniosę.

Richard pobiegł do kuchni i zabrał barani udziec. Gratch zatańczył z podniecenia, kiedy chłopak zbiegał ku niemu po schodach. Znow usiedli na

stopniach - Richard jadł zupę, a Gratch szarpał zębiskami mięso.

Kiedy skończyli - Gratch zjadł również kość - Richard wyjął pukiel włosów Kahlan.

- To od kobiety, którą kocham. - Gratch rozważył to, podniósł wzrok na chłopaka i ostrożnie wyciągnął łapę. - Chcę, żebyś to miał. Opowiadałem jej o tobie, o tym, ile dla mnie znaczysz. Pokocha cię tak, jak ja cię kocham, Gratch. Nigdy cię nie przepędzi. Będziesz z nami, jak długo zechcesz i kiedy zechcesz. Oddaj to na chwilę.

Gratch podał mu pukiel. Richard zdjął z szyi rzemyk z zębem Scarlet. Już nie był mu potrzebny, już przywołał nim smoczyce. Przywiązał pukiel włosów do rzemyka i zawiesił całość na szyi Gratcha. Chimera pogładziła pazurem włosy Kahlan. Zmarszczyła w uśmiechu nos i odsłoniła zębiska.

- Zamierzam do niej dołączyć. Pójdziesz ze mną?

Gratch energicznie potaknął. Kiwał głową, ruszał uszami, trzepotał skrzydłami.

Richard spojrzał na leżące w dole miasto. Przemieszczały się tam wojska. Mnóstwo żołnierzy. Wojska Imperialnego Ładu. Wkrótce nabiorą odwagi, by zbadać śmierć doradców, nawet jeśli dosięgła ich z ręki czarodzieja. Richard się uśmiechnął.

- Chyba lepiej poszukam konia i wyruszymy w drogę. Coś mi się wydaje, że powinniśmy stąd zniknąć.

Spojrzał na wstający dzień. Peleryną mriswitha zakotłosał wiatr, w którym czuć było zapowiedź ciepła. Wkrótce nadejdzie wiosna.

Spis treści

PODZIĘKOWANIA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27
ROZDZIAŁ 28
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31
ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36
ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ROZDZIAŁ 41
ROZDZIAŁ 42
ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 45
ROZDZIAŁ 46
ROZDZIAŁ 47
ROZDZIAŁ 48
ROZDZIAŁ 49
ROZDZIAŁ 50
ROZDZIAŁ 51
ROZDZIAŁ 52
ROZDZIAŁ 53
ROZDZIAŁ 54
ROZDZIAŁ 55
ROZDZIAŁ 56
ROZDZIAŁ 57
ROZDZIAŁ 58

ROZDZIAŁ 59
ROZDZIAŁ 60
ROZDZIAŁ 61
ROZDZIAŁ 62
ROZDZIAŁ 63
ROZDZIAŁ 64
ROZDZIAŁ 65
ROZDZIAŁ 66
ROZDZIAŁ 67
ROZDZIAŁ 68
ROZDZIAŁ 69
ROZDZIAŁ 70
ROZDZIAŁ 71